



UNITED STATES OF AMERICA

WASHINGTON, D.C.



ONE BILLION

11 0000035

7 7

Andrew III

# ANDREAS ESCHBACH BILLION DOLLARÓW

DOLLARS



GIACOMO FONTANA

ONE BILLION

11 0000035



THIS NOTE IS LEGAL TENDER FOR ALL DEBTS, PUBLIC AND PRIVATE

7 7

*of Andrew Eschbach's Design*  
Printer of the United States

# Spis treści

Karta tytułowa

PROLOG

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50

Podziękowania i uwagi

# Andreas Eschbach

## BILION DOLARÓW \$\$\$

*(Eine Billion Dollar)*

Przełożyła: Joanna Filipek



2006

# PROLOG

Ciężkie skrzydła podwójnych drzwi otworzyły się wreszcie przed nimi i weszli do jasnej, wypełnionej niemal pozaziemskim światłem sali. Pośrodku pysznił się masywny, owalny stół z ciemnego drewna, przed nim stało dwóch mężczyzn, spoglądając na nich wyczekująco.

— Panie Fontanelli, mam przyjemność przedstawić panu moich partnerów — oznajmił młody prawnik, zamknąwszy drzwi. — Oto mój ojciec, Gregorio Vacchi.

John uścisnął dłoń mierzącego go surowym wzrokiem około pięćdziesięcioletniego mężczyzny, ubranego w szary, jednorzędowy garnitur i okulary w cieniutkich, złotych oprawkach, co w zestawieniu z przerzedzonymi włosami sprawiało, że miał w wyglądzie coś z księgowego. Można było wyobrazić go sobie jako prawnika specjalizującego się w sprawach podatkowych, jak stoi przed sądem administracyjnym i przez wąskie usta cedzi paragrafy z kodeksu handlowego. Uścisk dłoni miał chłodny i suchy, urzędowy, wymamrotał też coś w rodzaju „cieszę się, że mogę pana poznać”, przy czym odnosiło się wrażenie, że raczej nie wie, co to znaczy: cieszyć się.

Drugi mężczyzna wyglądał na nieco starszego, jednak gęste, kręcone włosy i krzaczaste brwi, nadające jego twarzy nieco mroczny wyraz, sprawiały, że robił znacznie bardziej żywotne wrażenie. Ubrany był w granatową dwurzędówkę, do niej absolutnie konwencjonalny krawat klubowy i perfekcyjnie złożoną chusteczkę w butonierce. Można było sobie wyobrazić, jak z kieliszkiem szampana w dłoni świętuje w eleganckiej restauracji wygraną w procesie o morderstwo i późno w nocy, kiedy zabawa nabierze tempa, podszczypuje kelnerki. Miał

mocny uścisk dłoni, John wzdrygnął się nieprzyjemnie, gdy przedstawił się niskim głosem, zaglądając mu głęboko w oczy:

— Alberto Vacchi. Jestem wujem Eduarda.

Dopiero teraz John zauważył, że w masywnym fotelu przy jednym z okien siedzi jeszcze ktoś — stary mężczyzna miał przymknięte oczy, ale nie wyglądał na naprawdę śpiącego. Sprawiał raczej wrażenie zbyt zmęczonego na to, by posługiwać się wszystkimi zmysłami naraz. Jego pomarszczona szyja sterczała chudo z miękkiego kołnierza koszuli, na którą narzuconą miał szarą, dzierganą kamizelkę. Na kolanach umieścił niewielką atlasową poduszeczkę, a na niej złożył dłonie.

— *Padrone* — wyjaśnił przyciszonym głosem Eduardo, dostrzegając spojrzenie Johna. — Mój dziadek. Jak pan widzi, prowadzimy interes rodzinny.

John tylko skinął głową, nie wiedząc, co miałyby powiedzieć. Pozwolił podprowadzić się do krzesła, stojącego samotnie przy jednym z dłuższych boków konferencyjnego stołu, i usiadł, posłuszny zapraszającemu gestowi dłoni. Po przeciwnej stronie stołu stały obok siebie cztery krzesła, z oparciami starannie dosuniętymi do krawędzi blatu, a na miejscach przed nimi ułożono cienkie aktówki oprawne w czarną skórę z wytłoczonym na niej godłem.

— Chciałby się pan czegoś napić? — zapytano go. — Kawa? Woda mineralna?

— Proszę o kawę — usłyszał swoją odpowiedź. W piersiach znów czuł ten trzepot, który dopadł go, gdy tylko przekroczył próg hotelu Waldorff-Astoria.

Eduardo rozstawił filiżanki zapobiegliwie przygotowane na małym, ruchomym stolyczku, podsunął dzbanuszek ze śmietanką i cukiernicę z tłoczonego srebra, nalał wszystkim kawy i odstawił

dzbanek obok filiżanki Johna. Trzech Vacchich zajęło miejsca, Eduardo usiadł na skraju, pierwszy od prawej — patrząc od strony Johna — Gregorio, ojciec, dalej Alberto, wuj. Czwarte krzesło, ostatnie po lewej, pozostało puste.

Nastąpił rytuał nalewania śmietanki, sypania cukru i mieszania kawy. John spoglądał na cudowny mazerunek mahoniowego blatu. To z pewnością drewno z korzenia. Mieszając kawę ciężką, srebrną łyżeczką, próbował dyskretnie się rozejrzeć.

Z okien za plecami trzech prawników roztaczał się szeroki widok na jasną, migotliwą panoramę Nowego Jorku, z tańczącymi w wąwozach ulic promieniami słońca, oraz na East River, połyskującą głębokim, zdobionym jasnymi plamkami błękitem. Po prawej i lewej stronie okien opadały zwiewne, łososiowe zasłony, stanowiące doskonały kontrast dla ciężkiej, idealnie bordowej wykładziny podłogowej i białych jak śnieg ścian. Niesamowite. John małymi łyżkami popijał kawę, mocną i aromatyczną, w smaku przypominającą espresso, jakie przygotowywała mu czasem matka, gdy ją odwiedzał.

Eduardo Vacchi otworzył leżącą przed nim teczkę; przytłumiony dźwięk pocierania skóry okładek o blat stołu zabrzmiał jak sygnał. John odstawił filiżankę i wziął głęboki oddech. Zaczyna się.

— Panie Fontanelli — zaczął młody prawnik, ubrany w marynarkę o dokładnie takim samym odcieniu jak dywan, i pochylił się nieznacznie do przodu, opierając przy tym łokieć o blat stołu i składając dłonie. Ton jego głosu nie był już poufały, brzmiał bardziej urzędowo. — Prosiłem pana o przyniesienie na tę rozmowę dowodu tożsamości — może być prawo jazdy, paszport, cokolwiek — to tylko formalność, rozumie się. Czy ma pan coś takiego?

John skinął głową.

— Prawo jazdy. Chwileczkę. — Pośpiesznie sięgnął do tylnej kieszeni spodni, przestraszył się, gdy nic w niej nie znalazł, aż przypomniał sobie, że przełożył je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Gorącymi, niemal drżącymi palcami podał dokument przez stół. Prawnik wziął go, przejrzał pobieżnie i ze skinieniem głowy przekazał go swemu ojcu, który ze swej strony przestudiował prawo jazdy tak wnikliwie, jakby był przekonany, że ma do czynienia z fałszerstwem.

— My także mamy dowody tożsamości. — Eduardo uśmiechnął się, wyjmując dwa wielkie, wyglądające nadzwyczaj urzędowo papiery. — Rodzina Vacchi mieszka od kilku stuleci we Florencji i od pokoleń niemal wszyscy mężczyźni członkowie naszej rodziny wykonują zawód adwokata lub kuratora majątkowego. Potwierdza to pierwszy dokument; drugi to tłumaczenie pierwszego na angielski, uwierzytelnione przez stan Nowy Jork. — Wyciągnął oba papiery w stronę Johna, który przyjrzał im się bezradnie. Pierwszy arkusz, umieszczony w koszulce z przezroczystej folii, wydawał się dość stary. Włoski tekst, z którego John rozumiał co dziesiąte słowo, wypisano na maszynie na pożółkłym papierze z wytłoczonym herbem, w dole tłoczyły się niezliczone wyblakłe stemple i podpisy. Angielskie tłumaczenie, czysty wydruk z drukarki laserowej, opatrzony znaczkiem skarbowym i stemplem notariusza, napisany prawniczo oschłym językiem, brzmiał raczej zawile i, o ile John dobrze rozumiał, potwierdzał to, co powiedział młody Vacchi.

Ułożył oba dokumenty na stole przed sobą i splótł ramiona. Nie mógł powstrzymać drżenia; miał nadzieję, że nikt tego nie widzi.

Eduardo ponownie złożył dłonie. Prawo jazdy Johna tymczasem dotarło już do Alberta, który przyjrzał mu się,



kiwając z zadowoleniem głową, po czym powoli przesunął je na środek stołu.

— Panie Fontanelli, został pan spadkobiercą pokaźnego majątku — podjął temat Eduardo, ponownie przybierając urzędowy ton. — Jesteśmy tu po to, by powiadomić pana o wysokości kwoty spadku i o warunkach jego otrzymania oraz, o ile złoży pan oświadczenie o gotowości jego przyjęcia, by omówić z panem niezbędne dla jego przekazania kroki.

John przytaknął niecierpliwie.

— Hm, tak — mógłby mi pan najpierw właściwie powiedzieć, kto w ogóle umarł?

— Proszę pozwolić, bym jeszcze przez moment powstrzymał się od odpowiedzi na to pytanie. To długa historia. W każdym razie nie był to nikt z pańskiej najbliższej rodziny.

— Dlaczego wobec tego cokolwiek dziedziczyć?

— Tego, jak już wspomniałem, nie można wyjaśnić w jednym ani w dwu zdaniach. Dlatego proszę pana jeszcze o odrobinę cierpliwości. W obecnej chwili pytanie brzmi: ma pan otrzymać znaczną sumę pieniędzy — czy chce je pan dostać?

John mimowolnie roześmiał się.

— Okay. Ile?

— Ponad osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

— Powiedział pan osiemdziesiąt tysięcy?

— Tak. Osiemdziesiąt tysięcy.

Rany! John oparł się, ze świstem wypuścił powietrze. Pff! Rany, o rany! O-siem-dzie-siąt! Nic dziwnego, że przyjechali tu we czterech. Osiemdziesiąt tysięcy, to naprawdę słuszna sumka. Ile to właściwie jest? I to naraz! Rany, rany! Na jeden raz, to trzeba najpierw przetrwać. To by znaczyło... Rany, to znaczy, że mógłby iść do college'u, spokojnie, nie musiałby już ani jednej

marnej godziny przepracować w żadnej głupiej pizzerii, ani w ogóle nigdzie. Osiemdziesiąt tysięcy. .. Rany, naraz! Tak po prostu! Niesamowite. Gdyby tak... Okay, musi uważać, żeby nie popaść w manię wielkości. Mógłby zostać nadal w tym samym mieszkaniu, jest w porządku, wprowadzie żaden luksus, ale gdyby żył oszczędnie — rany, starczyłoby na jakiś używany samochód! I jeszcze parę niezłych rzeczy. To i owo. Ha! I nareszcie koniec kłopotów.

— Nieźle — wydukał w końcu. — I czego chcecie się ode mnie dowiedzieć? Czy biorę te pieniądze, czy nie?

— Tak.

— Mam tylko jedno głupie pytanie: czy w tym wszystkim tkwi jakiś hak? Dziedziczę jakieś długi albo coś w tym rodzaju?

— Nie. Dziedziczy pan pieniądze. Jeżeli zgodzi się pan, otrzyma pan pieniądze i może z nimi zrobić to, co zechce.

John pokręcił głową, nic nie pojmując.

— Czy wyobraża pan sobie, że powiem „nie”? Może pan sobie wyobrazić, że *ktokolwiek* powiedziałaby „nie”?

Młody prawnik uniósł ramiona.

— To sprawa formalna. *Musimy* zapytać.

— W porządku. Spytał pan. A ja powiedziałem „tak”.

— Wspaniale. Gratuluję.

John wzruszył ramionami.

— Wie pan, uwierzę dopiero, gdy będę miał w dłoni banknoty.

— To pańskie prawo.

Ale to nie była prawda. Wierzył już teraz. Choć było to tak szalone, więcej niż zwariowane — czterech prawników przylatuje odrzutowcem z Włoch do Nowego Jorku, żeby jemu, pozbawionemu środków do życia, fajtłapowatemu rozwozicielowi pizzy podarować osiemdziesiąt tysięcy dolarów

— tak po prostu, nie ma sprawy — a jednak w to wierzył. W tym pomieszczeniu było coś takiego, co dawało mu pewność. Pewność, że oto dotarł do punktu zwrotnego w swym życiu. Czuł się tak, jakby dotąd tylko czekał na to, by się tu znaleźć. Szalone. Czuł przyjemne ciepło rozprzestrzeniające się po jego ciele.

Eduardo Vacchi zamknął swoją teczkę. Jakby na to czekał siedzący obok niego ojciec — jakże on się nazywa? Gregorio? — otworzył swoją. John poczuł łaskotanie na karku i ponad brwiami. To wszystko robiło na nim wrażenie wyćwiczonego manewru. Teraz się okaże, teraz nareszcie się okaże, jaki w tym wszystkim tkwi hak. Teraz musi uważać.

— Z powodów, które wyjaśnimy później — zaczął ojciec Eduarda, a jego głos brzmiał tak beznamiętnie, że miało się niemal wrażenie, jakby z ust wyleciał obłoczek kurzu — pański przypadek jest bez precedensu w historii naszej kancelarii. Mimo że rodzina Vacchich od pokoleń zajmuje się sprawami majątkowymi, nigdy jeszcze nie prowadziliśmy rozmowy takiej jak dzisiejsza i prawdopodobnie nie będzie nam już dane prowadzić podobnej. Z uwagi na tę sytuację uznaliśmy, że najlepiej będzie zachować daleko idącą ostrożność, nie ryzykując beztroski. — Zdjął okulary i trzymał je w dłoni w taki sposób, że jeden z zauszników sterczał w stronę Johna. — Zaprzyjaźnionemu z nami notariuszowi zdarzyło się przed laty, przy okazji otwarcia testamentu, być świadkiem nagłego ataku serca u jednego z obecnych, spowodowanego z wszelkim prawdopodobieństwem radosną niespodzianką, gdy nagle stał się dziedzicem wielkiej fortuny. Chodziło przy tym, muszę tu zaznaczyć, wprawdzie o nieco większą kwotę, niż wymienił mój syn, jednak osoba, o którą chodzi, była niewiele starsza niż pan dzisiaj i do tamtej chwili nikt nie wiedział o jakimkolwiek

zagrożeniu dla jej serca. — Ponownie założył okulary, ostrożnie poprawił je na nosie i spojrzał na Johna. — Czy pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć?

John, przysłuchujący się jego wywodom z wielkim trudem, automatycznie przytaknął, potem jednak potrząsnął głową.

— Nie. Nie, nic nie rozumiem. Więc jak, dziedziczą czy nie dziedziczą?

— Dziedziczy pan, bez obaw. — Gregorio spuścił wzrok na teczkę, przesunął dłońmi leżące w niej papiery. — Wszystko, co powiedział Eduardo, zgadza się. — Znow spojrzał na niego. — Oprócz kwoty.

— Oprócz kwoty?

— Nie dziedziczy pan osiemdziesięciu tysięcy, ale ponad cztery miliony dolarów.

John wpatrywał się w niego i wpatrywał i zdawało mu się, że czas stanął w miejscu, wpatrywał się w niego i jedyną rzeczą, jaka się poruszała, była jego własna dolna szczęka, która opadała w dół, niepoohamowanie, niepowstrzymanie.

Cztery!  
Miliony!  
Dolarów!

— *Wow!* — wyrwało mu się. Chwycił się rękami za włosy, uniósł wzrok do sufitu i powiedział jeszcze raz: — *Wow!* — Potem wybuchnął śmiechem. Mierzwił włosy i śmiał się jak

obląkany. Cztery miliony dolarów! W ogóle nie mógł się uspokoić, śmiał się tak długo, aż tamci pewnie już zastanawiali się, czy nie wezwać karetki. Cztery miliony! *Cztery miliony!*

Spojrzał znów na prawnika z dalekiej Florencji. Światło upalnego poranka prześwietlało przerzedzone włosy, sprawiając, że wyglądały jak aureola. Miał ochotę go wycalować. Miał ochotę wycalować ich wszystkich. Przyjechali i położyli mu na kolana cztery miliony dolarów! Znów zaczął się śmiać; śmiać bez końca.

— *Wow!* — powiedział jeszcze raz, gdy odzyskał oddech. — Rozumiem. Baliście się, że gdybyście powiedzieli mi od razu, że odziedziczyłem cztery miliony dolarów, mógłby mnie trafić szlag, prawda?

— Można to tak ująć — przytaknął Gregorio Vacchi z ledwie zaznaczonym cieniem uśmiechu w kącikach ust.

— I wiecie co? Mieliście rację. Trafiłby mnie szlag. O, rany... — zasłonił usta dłonią, zupełnie nie wiedząc, gdzie podziąć się spojrzeniem.

— Czy panowie wiecie, że przedwczoraj przeżyłem najgorszą noc swego życia — i to tylko dlatego, że nie miałem pieniędzy na metro? Nie miałem nędznego dolara, nędznych pięćdziesięciu centów? A teraz przyjeżdżacie i mówicie mi o czterech milionach... — Uff, na Boga, z tym atakiem serca to na pewno nie było kłamstwo. Serce waliło mu jak oszalałe. Sama wizja takiej ilości pieniędzy wprawiała jego krążenie w taki pęd, jakby uprawiał seks.

Cztery miliony dolarów. To... To więcej niż tylko pieniądze. To inne życie. Mając cztery miliony dolarów, może robić, co tylko zechce. Mając cztery miliony dolarów nie musi pracować już do końca życia ani przez jeden dzień. Czy będzie studiował, czy nie, czy jest najgorszym malarzem świata, czy nie, to wszystko jest

już bez znaczenia.

— Czy to rzeczywiście prawda? — musiał o to nagle zapytać.

— To znaczy, czy raptem się ktoś nie pojawi i nie powie: „Akuku! Jest pan w ukrytej kamerze!” czy coś w tym rodzaju? Mówimy o prawdziwych pieniądzach, o prawdziwym spadku?

Prawnik uniósł brwi, jakby jego pytanie było kompletnie absurdalne.

— Oczywiście, że mówimy o prawdziwych pieniądzach. Proszę się nie obawiać.

— Chodzi mi o to, że jeśli robicie mnie tu w konia, to kogoś uduszę. A nie wiem, czy to spodobałoby się widzom „Ukrytej kamery”.

— Zapewniam pana, że jesteśmy tu tylko po to, by uczynić z pana bogatego człowieka.

— Wspaniale. — Nie chodziło o to, że naprawdę się martwi. Jednak musiał wypowiedzieć głośno tę myśl, jakby samo jej sformułowanie miało go uchronić przed niebezpieczeństwem. Coś sprawiało, że był pewny, iż go nie oszukują.

W pomieszczeniu było gorąco. Osobliwe było to, że wchodząc, miał wrażenie, że jest tu za chłodno, jakby klimatyzację nastawiono na zbyt niską temperaturę. Teraz czuł się tak, jakby krew w jego żyłach miała się w każdej chwili zagotować. Czyżby miał gorączkę? Może to jeszcze odległe skutki przedostatniej nocy, gdy piechotą maszerował do domu przez most Brooklyński, smagany wilgotnym, zimnym wiatrem wiejącym od morza i sprawiającym, że upodabniał się coraz bardziej do sopla lodu.

Spojrzał na siebie. Własne dzinsy wydały mu się raptem bardziej wyświechtane, marynarka miała postrzępione końce rękawów; nigdy do tej pory tego nie zauważył. Materiał był tak wytarty, że włókna prześwitywały. Koszula żalosna, tani ciuch ze

sklepu z używaną odzieżą. Nawet, gdy była nowa, nie wyglądała naprawdę dobrze. Co tam! Dostrzegł spojrzenie Eduarda uśmiechającego się ukradkiem, jakby odgadywał jego myśli.

Sylwetki wieżowców za oknem połyskiwały wciąż niczym sen utworzony ze szkła i kryształu. Zatem jest teraz spełnionym mężczyzną. John Salvatore Fontanelli, syn szewca z New Jersey, dokonał tego — bez własnej zasługi, nie przykładając się, po prostu przez kaprys losu. A może zawsze przeczuwał coś takiego i dlatego nigdy nie wysiłał się zbytnio, nigdy się nie starał? Bo w kołysce wróżka szepnęła mu, że nie będzie musiał?

— Okay — zawołał i klasnął w dłonie. — Co dalej?

— Zatem przyjmuje pan spadek?

— Yes, sir!

Prawnik z zadowoleniem skinął głową i zamknął teczkę. John oparł się wygodniej i głęboko odetchnął. Co za dzień! Czuł się jak wypełniony szampanem, pełen malutkich, wesoło gulgoczących pęcherzyków, wznoszących się bezustannie i wzbierających w jego piersiach głupekowatym chichotem.

Był ciekaw, jak w praktyce odbywa się przejęcie takiego spadku. Jak przekażą mu pieniądze. Chyba nie w gotówce. Przelew też nie jest możliwy, bo on nie ma żadnego konta. Może dostanie czek. To byłoby naprawdę pysznie, podejść spacerkiem do okienka w banku, który zastrzegł mu konto, podsunąć swemu dawnemu doradcy bankowemu pod nos czek na sumę czterech milionów dolarów i spokojnie przyglądać się, jaką tamten zrobi minę. Ależ byłoby cudownie zachować się jak świnia, jak ostatni bogaty wieprz...

Ktoś odchrząknął. John podniósł wzrok, ze swoich marzeń na jawie wrócił do rzeczywistości salki konferencyjnej. Osobą, która odchrząknęła, był Alberto Vacchi. Otworzył przy tym leżącą

przed nim teczkę.

John spojrział na Eduarda. Potem na Gregoria, jego ojca i wreszcie na Alberta, jego wuja.

— Nie chcecie chyba powiedzieć, że jest tego *jeszcze* więcej?

Alberto zaśmiał się cicho. Zabrzmiało to jak gruchanie gołębia.

— A jednak — powiedział.

— Więcej niż cztery miliony dolarów?

— Znacznie więcej.

Serce znów zaczęło galopować. Płucom znów zdawało się, że są kowalskim miechem. John uniósł dłoń w obronnym geście.

— Chwileczkę. Powoli. Cztery miliony to zupełnie dobra liczba. Po co przesadzać? Cztery miliony, to wystarczy, żeby człowieka uszczęśliwić. Więcej byłoby... no cóż, może za dużo ...

Włoch przyjrzał mu się spod krzaczastych brwi. W jego oczach iskrzyło się osobliwe światło.

— To jedyny warunek, związany ze spadkiem, John. Albo weźmie pan wszystko — albo nic ...

John przełknął ślinę.

— Czy to więcej niż dwa razy tyle? — spytał pośpiesznie, jakby uprzedzając słowa tamtego mógł zapobiec jakiejś klątwie.

— Znacznie więcej.

— Więcej niż dziesięć razy tyle? Więcej niż *czterdzieści* milionów?

— John, musi się pan nauczyć myśleć w wielkiej skali. To niełatwe i Bóg mi świadkiem, że wcale panu nie zazdroszczę. — Alberto kiwnął do niego głową zachęcająco, niemal porozumiewawczo, jakby chciał namówić go, by razem z nim wszedł do nawiedzonego domu. — Proszę spróbować myśleć z rozmachem, John!

— Więcej niż... ? — John przerwał. W jakimś czasopiśmie czytał



kiedyś o majątku wielkich gwiazd rockowych. Madonna, tak pisano, była warta sześćdziesiąt milionów dolarów, Michael Jackson co najmniej dwa razy więcej. Ranking otwierał były Beatles, Paul McCartney, którego majątek oszacowano na pięćset milionów dolarów. Zakręciło mu się w głowie. — Więcej niż dwudziestokrotnie więcej ? — Miał ochotę powiedzieć „stukrotnie”, ale się nie odważył. Przypuszczenie, że mógłby — tak po prostu, bez wysiłku, bez talentu — wejść w posiadanie majątku choćby porównywalnego z dorobkiem legendarnego muzyka, miało w sobie coś bluźnierczego.

Przez chwilę panowała cisza. Adwokat patrzył na niego, żując przy tym dolną wargę i nic nie mówiąc.

— Czy zadowala pana — zapytał w końcu — liczba *dwa miliardy*?

I dodał:

— Dolarów.

John wpatrywał się w niego i czuł, jak coś ciężkiego, ołowianego przygniata go i wszystkich obecnych. To już nie były żarty. Słoneczna jasność przenikająca przez okna oślepiała go, boleśnie niby jaskrawe światło lampy do przesłuchań. To naprawdę nie były żarty.

— Pan mówi poważnie, prawda? — upewnił się.

Alberto Vacchi skinął głową.

John obejrzał się, wstrząśnięty, jakby szukał wyjścia. Miliardy! Ta liczba przytłaczała go jak wążący wiele ton ciężar, przygniatała jego ramiona, miażdżyła szczyt czaszki. Miliardy, to były wymiary, w jakich nie poruszał się jeszcze nigdy nawet w wyobraźni. Miliardy, to znaczyło znaleźć się na poziomie Rockefellerów i Rothschildów, naftowych szejków z Arabii Saudyjskiej i japońskich gigantów rynku nieruchomości.

Miliardy, to więcej niż dostatek. To... obłąd.

Serce wciąż galopowało. Na prawej łydce zaczął mu drgać jakiś mięsień i w ogóle nie chciał przestać. Przede wszystkim musi się uspokoić. To tutaj to przecież tylko jakaś dziwaczna gra. Takie rzeczy się nie zdarzają, nie w tym świecie, jaki on zna! Że znieńska pojawia się czterech mężczyzn, o których nie słyszał nigdy w życiu, twierdzących, że również nigdy go nie widzieli — i oznajmiają mu, że odziedziczył dwa miliardy dolarów. Nie. To nie tak. Tu toczy się jakaś nieuczciwa gra. Nie miał pojęcia, jak normalnie powinna przebiegać taka ceremonia przekazania spadku, ale to było w każdym punkcie dziwaczne.

Próbował przypomnieć sobie widziane dawno filmy. Cholera, widział przecież tyle filmów, w mniejszym lub większym stopniu przesiedział dzieciństwo i młodość przed telewizorem albo w kinie — więc jak to było? Otwarcie testamentu, tak jest. Gdy ktoś umierał, odbywało się otwarcie testamentu, na które przybywali wszyscy ewentualni spadkobiercy, żeby usłyszeć z ust notariusza, kto ile dziedziczy. I żeby potem się kłócić.

Właśnie! Jak to w ogóle się odbywa, gdy ktoś umrze i zostawi jakiś spadek? Pierwszymi spadkobiercami są przecież małżonkowie i dzieci, prawda? Jak to możliwe, że on miałby coś odziedziczyć, a jego bracia nie? I dlaczego w ogóle miałby coś odziedziczyć, skoro jego ojciec wciąż żyje?

Coś tu się nie zgadza.

Serce i oddech zredukowały bieg. Nie wolno się cieszyć za wcześnie. Nie od rzeczy będzie najpierw nieco nieufności.

John odchrząknął.

— Muszę zadać jeszcze całkiem głupie pytanie — rozpoczął. — Dlaczego akurat ja mam coś odziedziczyć? Jak na mnie trafiliście?

Prawnik spokojnie skinął głową.

— Przeprowadziliśmy bardzo dokładne i wyczerpujące dochodzenie. Nie prosilibyśmy pana o rozmowę, nie mając stuprocentowej pewności.

— Wspaniale, *panowie*, jesteście pewni. Ale ja nie. Wiecie na przykład, że mam dwóch braci? Nie muszę czasem podzielić się z nimi spadkiem?

— W tym przypadku nie.

— Dlaczego nie?

— Został pan wyznaczony jedynym spadkobiercą.

— Ale kto, do diabła, wpadł na pomysł, żeby akurat mnie zrobić dziedzicem dwóch miliardów? To znaczy, mój ojciec jest szewcem. Nie wiem wprawdzie za wiele o jego krewnych, ale jestem pewien, że nie ma wśród nich miliardera. Najbogatszy jest prawdopodobnie mój wujek Giuseppe, który ma firmę taksówkarską w Neapolu, dziesięć albo dwanaście taksówek.

Alberto Vacchi uśmiechnął się.

— Zgadza się. Do tego on jeszcze żyje i cieszy się, o ile nam wiadomo, dobrym zdrowiem.

— No więc, skąd zatem miałyby pochodzić ten spadek?

— Brzmi to tak, jakby nie był pan nim zbytnio zainteresowany. John poczuł, że z wolna ogarnia go coraz większa wściekłość.

Rzadko był wściekły, jeszcze rzadziej *naprawdę* wściekły, ale w tym momencie może nie byłoby źle rozżłościć się na całego.

— Dlaczego stale robicie uniki? Czemu robicie z tego taką tajemnicę? Czemu nie powiecie mi po prostu, że ten a ten umarł?

Prawnik kartkował swoje papiery, wyglądało to na kolejny cholerny manewr uniku. Coś takiego, jakby ktoś kartkował swój pusty terminarz i udawał, że z trudem szuka wolnego terminu.

— Nie chodzi tu — przyznał w końcu — o zwykły spadek.

Zwykle mamy testament, wykonawcę testamentu i otwarcie testamentu. Pieniądze, o które chodzi w tym przypadku, są własnością fundacji — w pewien sposób można by powiedzieć, że należą obecnie do siebie samych. My jedynie nimi zarządzamy, odkąd umarł założyciel fundacji — co miało miejsce już dawno temu. Zostawił on dyspozycję, zgodnie z którą majątek fundacji ma przypaść jego najmłodszemu męskiemu potomkowi, będącemu przy życiu dnia 23 kwietnia roku 1995. Jest nim właśnie pan.

John nieufnie zmrużył oczy.

— Dwudziestego trzeciego kwietnia ... to przedwczoraj. Dlaczego akurat tego dnia?

Alberto wzruszył ramionami.

— Tak ustalono.

— I ja miałbym być najmłodszym Fontanellim? Jest pan pewien?

— Pański wujek Giuseppe ma piętnastoletnią córkę. Właśnie córkę. Kuzyn pańskiego ojca, Romano Fontanelli, miał syna, Lorenzo. On jednak, jak zapewne pan wie, przed dwoma tygodniami niespodziewanie zmarł.

John wbił wzrok w blat stołu zrobionego z korzeni szlachetnych drzew, jakby dojrzał w nim wyrocznię. To naprawdę możliwe. Cesar i jego żona doprowadzali wszystkich do pasji w każde Boże Narodzenie, dyskutując godzinami o tym, jak bezsensowne, wręcz zbrodnicze" jest powoływanie na ten świat dzieci. Lino — no cóż, ten ma w głowie wyłącznie samoloty. A matka opowiadała mu ostatnio przez telefon o jakimś Lorenzo, który umarł z jakiegoś banalnego powodu, od ukąszenia pszczoły czy jakoś tak. Tak, nieodmiennie, gdy rozmowa schodziła na włoskich krewniaków, zawsze chodziło o śluby i rozwody,

choroby i pogrzeby, nigdy o dzieci. To mogła być prawda.

— Dobrze, no to z czego składają się te dwa miliardy? — spytał wreszcie. — Zakładam, że z jakichś udziałów w firmach, akcji, źródeł ropy i takich tam?

— Pieniądze — odpowiedział Alberto. — Po prostu pieniądze. Niezliczone konta w niezliczonych bankach na całym świecie.

John spojrział na niego i poczuł, że w żołądku gromadzi mu się jakiś kwas.

— I ja mam to odziedziczyć, tylko dlatego, że przypadkiem dwa dni temu byłem najmłodszym Fontanellim? Jaki w tym sens?

Prawnik spojrział mu w oczy, przeciągle i jakby w zamyśleniu.

— Nie wiem, jaki w tym sens — przyznał. — Po prostu tak się zdarzyło. Jak to w życiu.

Johnowi było słabo. Czuł się słaby i brudny, złachmaniony, facet w tanich łachach, które trudno nazwać ubraniem. W jego głowie bezustannie paplał głos, głęboko przekonany o tym, że go tu tylko zwodzą, oszukują, w jakiś niepojęty sposób chcą wywieść w pole. Równocześnie jednak coraz mocniej zakorzeniało się w głębi jego serca poczucie, masywne jak granitowe fundamenty Manhattanu, że ów głos się myli, że jest jedynie efektem niezliczonych godzin spędzonych przed ekranem telewizora, w którym ludziom nigdy nie zdarza się tak po prostu coś dobrego. Dramaturgia scenariusza nie dopuszcza historii w tym rodzaju. Takie rzeczy mogą zdarzać się tylko w realnym świecie.

Uczucie, które zrodziło się w nim, gdy przekraczał próg tego pokoju — poczucie, że oto znalazł się w punkcie zwrotnym swego życia — wciąż w nim było. Nawet mocniejsze niż przedtem.

Tylko że teraz dołączył do niego strach przed tym, iż ta odmiana go zmiażdży.

Dwa miliardy dolarów.

Mógłby powiedzieć im, żeby dali mu trochę pieniędzy. Skoro przyjechali, żeby wręczyć mu dwa miliardy dolarów, mogą przecież dać mu z góry kilka kawałków, nikogo to nie zaboli. Wtedy stać go będzie na adwokata, który mógłby to wszystko dokładnie sprawdzić. Przyszedł mu do głowy Paul Siegel. Paul zna prawników. Na pewno zna najlepszych prawników w mieście. Właśnie. John odetchnął głęboko.

— Muszę powtórzyć to samo pytanie — miękko powiedział Alberto Vacchi, notariusz i zarządca majątkowy z Florencji we Włoszech. — Czy przyjmuje pan spadek?

Czy dobrze jest być bogatym? Do tej pory zawsze starał się tylko, żeby nie być zbyt biednym. Gardził takimi, którzy zabiegali o pieniądze. Z drugiej strony — życie jest o wiele prostsze i przyjemniejsze, gdy ma się pieniądze. Ich brak oznacza zawsze pewien przymus. Brak wyboru. Oznacza, że *trzeba* robić coś, obojętnie, czy się to komuś podoba, czy nie. Prawdopodobnie to właśnie było jedyne prawo obowiązujące niezmiennie przez stulecia: że gdy masz pieniądze, powodzi ci się lepiej, niż gdy ich nie masz. Wystarczyło, żeby pomyślał o tym wielkim czarnym wozie, który potrącił go, gdy ostatnio rozwoził pizzę. To zderzenie kosztowało go utratę pracy i zarobków z dwóch tygodni. Ważniak w samochodzie prawdopodobnie w ogóle nic nie zauważył.

John odetchnął. Ponownie przyłapał się na tym, że wstrzymuje oddech. Złe przyzwyczajenie.

— Odpowiedź — powiedział wreszcie, i stwierdził, że to nieźle zabrzmiało — też jest ta sama. Tak.

Alberto Vacchi uśmiechnął się. W jego wydaniu wyglądało to ciepło i szczerze.

— Gratuluję — powiedział i zamknął swoją teczkę.

Z Johna spłynęło niesamowite napięcie, opadł na siedzenie, na miękkie oparcie swego krzesła. Cóż, jest miliarderem. No i co z tego, ludziom naprawdę przytrafiają się gorsze rzeczy. Spojrzał na trzech prawników, siedzących półkolem naprzeciw niego, jak komisja poborowa, i nagle zachciało mu się śmiać.

W tym momencie z fotela przy oknie podniósł się starzec.

# 1

Dzieciństwo Johna zaludniali tajemniczy mężczyźni. Pojawiali się pojedynczo albo grupami, po dwóch, trzech, obserwowali go ze skraju placu zabaw, uśmiechali się do niego w drodze do szkoły i rozmawiali o nim, gdy sądzili, że on ich nie rozumie albo nie słyszy.

— To on — mówili po włosku. I jeszcze: — Musimy jeszcze poczekać. — I zwierzali się sobie nawzajem, jak trudno przychodzi im czekanie.

Matka śmiertelnie się przestraszyła, gdy opowiedział o tym w domu. Przez długi, wlokący się w nieskończoność czas nie wolno mu było samemu wychodzić z domu, mógł tylko z okna przyglądać się zabawom innych dzieci. Później nikomu nie mówił, gdy mężczyźni znów się pojawiali. Wreszcie jednak przestał ich widywać, ich postacie utonęły w mroku niepamięci.

John miał dwanaście lat, gdy odkrył, że pan Angelo, najlepszy klient w warsztacie ojca, skrywa jakąś tajemnicę. Od zawsze wydawał mu się kimś w rodzaju posłańca z niebios, i to nie tylko z powodu eleganckiego wyglądu: gdy ubrany w biały garnitur zasiadał na stołku przed stołem w warsztacie i dystyngowanym włoskim gawędził z ojcem, opierając odziane w skarpety stopy o metalowy pręt — niezmiennie oznaczało to, że zaczęło się lato, wspaniałe, ciągnące się bez końca tygodnie pełne pysznych lodów, popołudnia spędzone na pluskaniu w dmuchanych basenach, wycieczki na Coney Island i złane potem noce. Dopiero, gdy pan Angelo pojawiał się drugi raz każdego roku, tym razem w jasnopopielatym garniturze, i gdy podawał ojcu swoje buty, dopytując się o zdrowie członków rodziny, lato kończyło się i nadchodził czas jesieni.



— To dobre włoskie buty — John usłyszał pewnego razu, jak ojciec opowiada matce. — Wspaniale miękkie, na włoską pogodę. Dość stare, ale doskonale utrzymane, trzeba przyznać. Założę się, że takich butów dziś już nigdzie się nie dostanie.

To, że niebieski posłaniec musi nosić szczególne buty, było dla Johna oczywiste.

Owego dnia, gdy kończyło się lato roku 1979 — i coś więcej niż lato, tylko że wtedy nikt nie miał o tym pojęcia — Johnowi pozwolono towarzyszyć najlepszemu przyjacielowi, Paulowi Siegelowi i jego matce, na lotnisko Johna F. Kennedy'ego. Prezydentem był wciąż jeszcze Jimmy Carter, dramat zakładników w Teheranie jeszcze się nie rozpoczął, całe lato rozbrzmiewało głosem Arta Garfunkela śpiewającego *Bright Eyes* i piosenką *Y.M.C.A.* grupy Village People, a ojciec Paula miał wrócić z podróży służbowej do Europy. Rodzice jego przyjaciela mieli sklep z zegarkami na trzynastej ulicy i pan Siegel świetnie opowiadał podniecające historie o napadach, jakich już stał się ofiarą. Na tylnej ścianie sklepu była nawet, ukryta pod oprawioną w ramki fotografią Paula jako niemowlaka, prawdziwa dziura po kuli! W taki sposób John znalazł się po raz pierwszy w życiu na sławnym lotnisku JFK i razem z Paulem rozplaszczali nosy na ogromnej szybie, przez którą można było patrzeć na przechodzących pasażerów.

— Oni wszyscy przylecieli z Rzymu — powiedział Paul, który był niezwykle mądry. Podczas jazdy opowiedział im historię Nowego Jorku, chyba od epoki kamienia łupanego, w każdym razie wszystko o Wall Street i o tym, kto zbudował Most Brooklyński i kiedy został otwarty, i tak dalej. — Tata przyleci samolotem z Kopenhagi. Ma przynajmniej pół godziny spóźnienia.

— Super — stwierdził John.

Nie spieszyło mu się z powrotem do domu.

— Chodź, będziemy liczyć facetów z brodami! — zaproponował Paul, To też było charakterystyczne. Paul zawsze miał pomysły, co można by robić. — Liczą się tylko prawdziwe brody, nie wąsy, wygrywa ten, kto pierwszy będzie miał dziesięciu. Okay? Mam już pierwszego, tam z przodu, z czerwoną teczką!

John zmrużył oczy jak prawdziwy indiański tropiciel. Zwykle nie miał najmniejszej szansy, żeby pobić przyjaciela w takich konkursach, ale chciał przynajmniej spróbować.

Wtedy dostrzegł nadchodzącego pana Angelo.

To był on, bez wątpienia. Jasnopopielaty garnitur, sposób, w jaki się poruszał. Twarz. John zamrugał, jakby spodziewał się, że postać zniknie niczym zjawą, ale pan Angelo nie zniknął, lecz maszerował niby zupełnie normalny człowiek w grupie pasażerów lotu z Rzymu, nie podnosząc wzroku, trzymając w dłoni tylko plastikową reklamówkę.

— Ten facet w brązowym płaszczu — zawołał Paul. — Dwóch.

Człowiek w mundurze zatrzymał pana Angelo, wskazał na worek i coś powiedział. Pan Angelo otworzył reklamówkę i wyjął z niej dwie pary butów, jedną brązową i jedną czarną.

— Hej — upomniał go w tym momencie Paul. — Wcale się nie starasz!

— To mnie nudzi — odpowiedział John, nie odwracając wzroku od tamtej sceny. Urzędnik celny był wyraźnie zdziwiony, o coś pytał. Pan Angelo odpowiadał trzymając w dłoni buty. W końcu celnik dał mu dłonią znak, że może iść dalej, na co pan Angelo włożył buty z powrotem do worka i zniknął za automatycznymi drzwiami.

— Po prostu się boisz, że przegrasz — odparował Paul.

— Przecież i tak zawsze przegrywam — powiedział John.

Wieczorem dowiedział się, że pan Angelo naprawdę był tego dnia w warsztacie ojca. Zostawił prezenty dla dzieci, dużą tabliczkę czekolady dla każdego, a dla Johna jeszcze dodatkowo dziesięciodolarówkę. Gdy brał w rękę czekoladę i banknot, opanowało go dziwne uczucie, jakby odkrył coś, co powinno było pozostać tajemnicą.

— Widziałem pana Angelo na lotnisku — wyznał mimo to. — Przyleciał samolotem z Rzymu, i nie miał przy sobie nic oprócz butów.

Ojciec roześmiał się. Matka przyciągnęła go do siebie i westchnęła.

— Ach, ty mój mały marzycielu. — Tak zawsze go nazywała. Sama właśnie też opowiadała o Rzymie, o kuzynie, który urodził się jakimś ich krewnym. Johnowi wydawało się dziwne, że może mieć we Włoszech krewnych, których jeszcze nigdy nie widział na oczy.

— Pan Angelo mieszka na Brooklynie — wyjaśnił ojciec. — Przychodzi tu czasem, bo znał człowieka, który przede mną prowadził nasz warsztat.

John pokręcił głową, ale już nic nie powiedział. Nie było nic więcej do dodania. Tajemnica była rozwiązana. Wiedział, że pan Angelo nie pojawi się już więcej, i tak się w istocie stało.

W następnym roku jego o dziewięć lat starszy brat Cesar ożenił się i wyprowadził do Chicago. Drugi brat, Lino, starszy od Johna o sześć lat, nie ożenił się, ale wstąpił do wojska, by zostać pilotem. I tak z miesiąca na miesiąc John raptem został jedynym dzieckiem w domu.

Przetrwał jakoś szkołę, jego stopnie nie były ani dobre, ani złe, koledzy szkolni zapamiętali go jako niepozornego, spokojnego

chłopca, żyjącego we własnym świecie i nieszukającego kontaktu z innymi. Wykazywał pewne zainteresowanie historią i literaturą angielską, ale nikt nie powierzyłby mu na przykład organizacji żadnej szkolnej uroczystości. Dziewczęta uważały, że jest miły, co znaczyło tyle, że nie obawiały się iść z nim po ciemku ulicą. Jednak jedyny pocałunek, jaki udało mu się zdobyć w czasach szkolnych, miał miejsce na sylwestrowej prywatce, na którą ktoś go zabrał i na której stał pod ścianą, nie wiedząc, co ze sobą począć. Kiedy inni chłopcy opowiadali o swych erotycznych doświadczeniach, on po prostu milczał i nikt go o nic nie pytał.

Gdy skończyli szkołę średnią, Paul Siegel zdobył wysokie stypendium dla wybitnie zdolnych studentów i wyjechał do Harvardu. John wybrał położony w pobliżu Hopkins Junior College, głównie dlatego, że nie był zbyt kosztowny i mógł nadal mieszkać w domu, nie mając za bardzo wyobrażenia o tym, jak dalej pokierować swoim życiem.

Latem 1988 na londyńskim stadionie Wembley odbywał się koncert dla Nelsona Mandeli, transmitowany na cały świat. John wraz z kilkoma znajomymi studentami pojechał do Central Parku, gdzie ktoś ustawił wielki telebim z głośnikami, by można było uczestniczyć w tym globalnym wydarzeniu muzycznym, popijając alkohol w gorącym słońcu.

— Kto to właściwie jest ten Nelson Mandela? — zapytał John po pierwszym łyku piwa z białego plastikowego kubeczka.

Choć nie kierował tego pytania do nikogo konkretnego, stojąca w pobliżu czarnowłosa, trochę pyzata dziewczyna wyjaśniła mu, że Mandela jest przywódcą południowoafrykańskiego ruchu przeciw apartheidowi i że już od ponad dwudziestu pięciu lat jest niewinnie więziony. Czym zresztą nie zdawała się zbytnio przejmować.

W ten sposób mimochodem dał się wciągnąć w dyskusję i ponieważ jego rozmówczynie miała wiele do powiedzenia, szło im całkiem dobrze. Gdy rozmawiali, paliły ich promienie czerwcowego słońca, prześwietlając ich ciała i wyciskając im pot ze wszystkich porów. Muzyka dudniła, przerywana zapowiedziami, oświadczeniami i apelami do rządu Południowej Afryki, wzywającymi do uwolnienia Nelsona Mandeli, a im bardziej popołudnie skłaniało się ku wieczorowi, tym mniej wyraźnie widzieli, co dzieje się na ekranie. Sarah Brickman miała iskrzące się energią oczy i wprost alabastrową skórę, i w pewnym momencie zaproponowała, żeby wzorem innych widzów skryli się w cieniu zarośli albo jakiegoś drzewa. Tam całowali się, a pocałunki miały słony smak potu. Gdy nad trawnikiem grzmiał wielotysięczny krzyk: „Uwolnić Nelsona Mandelę!", John odpinał haczyki biustonosza Sarah, i uwzględniając fakt, że czegoś takiego nie robił jeszcze nigdy w życiu, a do tego wypił więcej alkoholu niż kiedykolwiek przedtem, zdołał pokonać tę przeszkodę nadzwyczaj zgrabnie.

Gdy następnego ranka obudził się z bólem głowy w obcym łóżku i odkrył obok siebie na poduszce czarną grzywę kręconych włosów, nie przypominał sobie wprawdzie wszystkich szczegółów, miał jednak wrażenie, że zdał egzamin. I tak wśród łez matki wyprowadził się z domu i przeniósł do Sarah, która odziedziczyła po rodzicach niewielkie, pełne przeciągów mieszkanko na zachód od Central Parku. Sarah Brickman była artystką. Malowała wielkie, dzikie obrazy w ponurych kolorach, których nikt nie chciał kupować. Mniej więcej raz w roku wystawiała je przez tydzień lub dwa w jednej z tych galerii biorących od artystów za to pieniądze, za każdym razem nie sprzedawała nic albo za mało, żeby przynajmniej pokryć koszt

wynajmu galerii, i potem przez wiele dni nie można się było do niej odzywać.

John znalazł pracę na trzecią zmianę w pobliskiej pralni, nauczył się składać koszule do parowego magła, parząc sobie przy tym w pierwszym tygodniu obie ręce, wystarczało jednak na opłacenie rachunków za prąd i na jedzenie. Przez jakiś czas próbował jeszcze kontynuować naukę w college'u, jednak miał teraz do niego daleko i musiał dojeżdżać, nie będąc przy tym przekonany, na co w ogóle miałyby mu się to przydać, aż wreszcie dał sobie spokój, nie mówiąc o niczym rodzicom. Dowiedzieli się o wszystkim dopiero kilka miesięcy później, skończyło się to straszliwą awanturą, podczas której wiele razy padło słowo „dziwka” w odniesieniu do Sarah. Po tym wszystkim John długo nie odzywał się do rodziny. Uwielbiał patrzeć na Sarah, jak w pełnym wielobarwnych plam fartuchu i z zaciętym wyrazem twarzy pracuje przy sztalugach. Wieczorem ciągała go po zadymionych knajpach Greenwich Village, w których dyskutowała z innymi artystami o sztuce i komercji, z czego on nie rozumiał ani słowa, co również robiło na nim ogromne wrażenie i dawało mu poczucie odnalezienia nareszcie kontaktu z prawdziwym życiem. Jednak przyjaciele Sarah nie byli gotowi dzielić swej przynależności do prawdziwego życia z jakimś zbiegłym żółtodziobem. Śmiali się pogardliwie, gdy zdarzyło mu się odezwać, udawali, że nie słyszą albo wywracali oczami, gdy zadawał jakieś pytanie: dla nich był tylko kochankiem Sarah, jej pupilkiem i maskotką.

Z całej tej paczki był w stanie rozmawiać jedynie z podobnym sobie nieszczęśnikiem, Marvinem Copelandem, żyjącym z inną malarką imieniem Brenda Carrington. Marvin mieszkał w wynajętym wspólnie ze znajomymi mieszkaniu na Brooklynie,

udzielał się jako gitarzysta basowy w rozmaitych nie znanych nikomu zespołach i szlifował własne piosenki, których jednak nikt nie chciał grać. Wiele czasu spędzał na wyglądaniu przez okno lub paleniu marihuany, i nie istniała taka szalona teoria, w którą nie byłby w stanie uwierzyć. Był równie przekonany o tym, że rząd w Strefie 51 ukrywa kosmitów ocalałych z katastrofy UFO w Roswell, jak o uzdrawiającej mocy piramid i szlachetnych kamieni. Jedynie w to, że Elvis wciąż żyje, nieco wątpił. Tak czy inaczej, rozmowa z nim nigdy nie była nudna.

Dochodziło regularnie do kłótni, kiedy John uznawał za dobry jeden z obrazów Sarah, który w jej oczach był nieudany lub odwrotnie. Ostatecznie postanowił dowiedzieć się, według jakich właściwie kryteriów uważa się malowidła za dobre bądź złe. Ponieważ do tej pory nie rozumiał ani słowa z tego, o czym rozmawiali Sarah i jej przyjaciele, zaczął czytać książki o sztuce i spędzać całe dni w Museum of Modern Arts, gdzie ukradkiem przyłączał się do oprowadzanych wycieczek, aż zaczęto go tam rozpoznawać i zadawać mu kłopotliwe pytania. Wygłaszanym przez przewodników objaśnieniom obrazów przysłuchiwał się z zapalem, lecz nie rozumiał zbyt wiele. Wtedy to zakiełkowała w nim myśl, że malarstwo mogłoby stać się w jego życiu owym celem, którego zawsze poszukiwał. Jak mógł odkryć go wcześniej, on, syn szewca, którego braćmi byli urzędnik skarbowy i pilot myśliwców? Zaczął malować. Jak się później okazało, nie był to dobry pomysł. Spodziewał się, że to ucieszy Sarah, jednak ona krytykowała złośliwie wszystko, co udawało mu się stworzyć i kpiła z jego wysiłków przed swymi przyjaciółmi. John nie wątpił, że każde jej słowo jest usprawiedliwione, pokornie przełykał wszelką krytykę i uważał to za zachętę do jeszcze bardziej wytężonej pracy. Chętnie brałby lekcje, jednak nie mógł pozwolić

sobie na to ani finansowo, ani z braku czasu.

Przez pewien czas w telewizji o czwartej w nocy nadawano posiekany przerwami na reklamy kurs malowania. Nie opuścił ani jednego odcinka. Pokazywano, jak malować otoczone sosnami leśne jeziora albo wiatraki odcinające się konturami od wspaniałych zachodów słońca. Choć nie widział nigdy tych widoków na własne oczy, zauważył, że świetnie udaje mu się przetwarzać wskazówki na dzieła, mimo że Sarah tych jego bazgrołów nawet nie krytykowała, a jedynie wywracała oczami.

Pewnego dnia w branżowym piśmie ukazała się krótka notatka o artystce Sarah Brickman i jej pracach. Tę notatkę Sarah oprawiła w ramki i dumnie zawiesiła nad łóżkiem. Krótco później pojawił się klient, młodzieniec z Wall Street z wypomadowanymi włosami, w koszuli w szerokie paski i w szelkach, tłumacząc obszernie, że sztuka jest dla niego inwestycją i chciałby zawczasu kupić sobie dzieła artystów, którzy być może wkrótce staną się sławni. Wyglądało na to, że uważa to za genialny pomysł. Sarah poprowadziła go przez swoje atelier i pokazywała mu malowidła, jednak nie bardzo wiedział, co o nich sądzić. Dopiero, gdy jego spojrzenie padło na jeden z wczesnych obrazów Johna, wielobarwną panoramę miasta, nad którą Sarah tylko z obrzydzeniem zmarszczyła nos, z miejsca zatrzymał się oczarowany. Zaproponował dziesięć tysięcy dolarów, a John po prostu skinął głową.

Ledwie drzwi zamknęły się za kupcem i obrazem, Sarah zatrzasnęła za sobą drzwi łazienki. John, wciąż trzymając w dłoni zwitek banknotów, pukał i dopytywał się, co się stało.

— Czy nie widzisz, że ty jednym popapranym obrazkiem zarobiłeś więcej pieniędzy niż ja przez całe życie? — krzyknęła w końcu.



Od tej chwili ich związek nigdy już nie był taki jak przedtem i skończył się niedługo później, w lutym 1990. Przypadek chciał, że akurat tego dnia media opanowała wiadomość o uwolnieniu Nelsona Mandeli. Sarah oznajmiła Johnowi, że to już koniec. I rzeczywiście tak było. Znalazł kąt u Marvina, w którego mieszkaniu właśnie zwolnił się nieprzytulny, wąski pokoik. Kilka dni później siedział tam na podłodze, wśród swego skromnego dobytku, wciąż jeszcze nie rozumiejąc, co się stało.

Sprzedaż panoramy miasta pozostała jedynym sukcesem artystycznym, a pieniądze rozeszły się szybciej, niż się spodziewał. Zmuszony do przeprowadzki, musiał oczywiście porzucić pracę w pralni i po kilku tygodniach bieżaniny, podczas których jego konto ostatecznie wyczyściło się do zera, w końcu znalazł nową pracę w pewnej pizzerii prowadzonej przez Hindusa zatrudniającego jako roznosicieli przede wszystkim młodych mężczyzn włoskiego pochodzenia.

Na południowym Manhattanie oznaczało to, że musiał przepychać się rowerem przez bardziej lub mniej unieruchomiony w korkach ruch uliczny i poznać każdy wąski przesmyk między budynkami. Praca ta dała mu silne mięśnie nóg i dobrze wytrenowane płuca oraz kaszel wywoływany przez spaliny, lecz niemal wcale pieniędzy na przeżycie. W swoim obecnym pokoju nie tylko nie miał miejsca na malowanie, bo nawet w słoneczne dni brakowało tu potrzebnego światła, ale nie miał też już na to wcale czasu. Praca kończyła się późno w nocy i nierzadko wyczerpywała go tak bardzo, że następnego ranka spał jak zabity, aż brzęczący bez końca budzik nie posyłał go z powrotem na Manhattan. Za każdym razem, gdy brał sobie wolne, by starać się o inną pracę, przepadający mu zarobek powodował, że spadał na jeszcze większy minus.

Mniej więcej w tym samym czasie do Nowego Jorku wrócił Paul Siegel z budzącym podziw, dobrym dyplomem Harvardu w kieszeni i lukratywnym stanowiskiem w pewnej firmie konsultingowej, zaliczającej do swoich klientów niemal wszystkie liczące się firmy świata i do tego jeszcze kilka rządów. John odwiedził go pewnego razu w gustownie urządzonej małym mieszkaniu w West Village i podziwiał widok na Hudson River, podczas gdy Paul bezlitośnie, jak potrafi to tylko dobry przyjaciel, wyliczał mu wszystkie błędy, jakie popełnił w życiu.

— Na początek musisz wydobyć się z długów. Dopóki je masz, nie jesteś wolny — odliczał na palcach. — Potem musisz stworzyć sobie wolną przestrzeń, by móc wytyczyć nowy kierunek, ale przede wszystkim musisz wiedzieć, czego chcesz od życia.

— Tak — odpowiedział John. — Masz rację.

Ale nie mógł wydobyć się z długów, o reszcie nawet nie wspominając. Chcąc pokonać konkurencję, Murali, właściciel pizzerii, wpadł na pomysł, by każdemu klientowi na południe od Empire State Building gwarantować dostawę pizzy w ciągu trzydziestu minut od zamówienia. Kto czekał dłużej, nie musiał płacić. Pomysł ten pochodził z jakiejś książki, której on sam nawet nie czytał, lecz o której mu ktoś opowiedział, a jego następstwa były katastrofalne. Każdy rozwoziciel mógł mieć cztery spóźnienia na tydzień, jeżeli spóźniał się więcej, odciągano mu to od pensji. W czasie szczytu, kiedy pizze wychodziły z kuchni już spóźnione, a do tego klient czekał na trzydziestej ulicy, po prostu nie można było zdążyć. Johnowi zamknięto konto w banku, pokłócił się z Marvinem z powodu czynszu i nie zostało mu już prawie nic, na co mógłby jeszcze w lombardzie pożyczyć pieniądze. W końcu zastawił nawet zegarek na rękę, który dostał od ojca na pierwszą komunię. Wiedział, że to był zły

pomysł, bo potem nie odważył się już więcej odwiedzać rodziców, gdzie przynajmniej od czasu do czasu go karmiono. Zdarzały się dni, że wioząc przez ulice na rowerze pachnące serem i drożdżami styropianowe opakowania miał mdłości z głodu. I tak rozpoczął się rok 1995. W snach Johna czasem pojawiały się bajkowe postacie mężczyzn z dzieciństwa, machali do niego, uśmiechając się i wołali coś, czego nie rozumiał. Londyński Baring Bank zbankrutował po nieudanych spekulacjach dewizowych swego pracownika Nicka Leeson, japońska sekta Aum Shiri Kyo zamordowała trującym gazem w tokijskim metrze dwunastu ludzi i zraniła pięć tysięcy innych, a podczas ataku bombowego w Oklahoma City straciło życie 168 osób. Bill Clinton był wciąż jeszcze prezydentem Stanów Zjednoczonych, nadeszły jednak dla niego ciężkie czasy, ponieważ jego partia utraciła większość w obu izbach Kongresu. John stwierdził, że od ponad roku nie namalował żadnego obrazu, czas po prostu jakoś minął i miał uczucie, że na coś czeka, tylko nie potrafiłby powiedzieć, na co.

23 kwietnia trudno byłoby nazwać szczęśliwym dniem. Po pierwsze była to niedziela, a on musiał pracować. W pizzerii znów czekała wiadomość od jego matki, która chciała, żeby do niej zadzwonił — telefon w mieszkaniu Marvina był chronicznie odłączony, na szczęście. John wyrzucił kartkę z notatką i skupił się na kursach z pizzą, których — jak zwykle w niedzielę — było niewiele, co oznaczało niewiele pieniędzy i najczęściej musiał jechać pod najbardziej zwariowane adresy. Jako że wyczerpał już swój limit spóźnień na ten tydzień, przykładał się bardzo do jazdy i prawdopodobnie właśnie dlatego to się stało. Wypadł ze skrótu między dwoma blokami na ulicę, zahamował o moment za późno i uderzył w samochód, czarną długą limuzynę, robiącą

wrażenie, jakby siedział w niej bohater filmu *Wall Street*, typ, którego grał Michael Douglas.

Rower zmienił się w złom, pizze w śmieci, zaś samochód oddalał się, jakby nic się nie stało. John rozcierał kolano pod podartymi dżinsami, patrzył na oddalające się ciemnoczerwone światła i pojął, że wszystko to mogło skończyć się dla niego o wiele gorzej.

Gdy przykuśtykał z powrotem, Murali wpadł we wściekłość, padło wiele słów i w końcu John nie miał pracy, a zaległej tygodniówki także nie dostał, gdyż Hindus zatrzymał pieniądze na naprawę roweru. I tak John wędrował do domu piechotą, mając w kieszeni całe dziesięć centów, a brzuch pełen wściekłości. Wlókł się przez noc, coraz głębszą i coraz chłodniejszą. Przez ostatnie mile, gdy szedł przez Brooklyn, padała okropna mżawka i gdy John wreszcie dotarł do domu, nie wiedział czy jest już w niebie, czy w piekle, czy jeszcze na ziemi.

Gdy otworzył drzwi, poczuł zapach jajek sadzonych i papierosów, a w środku było wspaniale ciepło. Marvin kucał, jak robił to często, z podwiniętymi nogami w kuchni, do wzmacniacza włożył wtyczkę swojej gitary elektrycznej Fender Jazz Bass, ściszonej do minimum, lecz zamiast jak zwykle dziko szarpać struny, wydawał tylko przytłumione dźwięki, które słyszało się jak bicie serca chorego olbrzyma. *Ta — tam. Ta — tam. Ta — tam.*

— Ktoś o ciebie pytał — powiedział, gdy John skierował się do łazienki.

— O! — John zatrzymał się. Przez wszystkie minione godziny obiecywał sobie wciąż na nowo, że tylko wysika się i pójdzie do łóżka, nie robiąc ani jednego kroku więcej. — O mnie?

— Dwóch mężczyzn.

— Jakich mężczyzn?

— Nie mam pojęcia. Po prostu mężczyzn.

Ta — tam. Ta — tam.

— Dwóch mężczyzn w obrzydliwie eleganckich garniturach, w krawatach i spinkach do krawatów i tak dalej, dopytywali się, czy mieszka tu niejaki John Salvatore Fontanelli.

John zdecydował się zrobić jednak kilka dodatkowych kroków do kuchni. Marvin nie pozwolił sobie przerwać i dalej robił masaż serca chorego olbrzyma. *Ta — tam. Ta — tam.*

— John Salvatore — powiedział Marvin i potrząsnął z naganą głową. — Wcale nie wiedziałem, że masz drugie imię. Zresztą, nawiasem mówiąc, wyglądasz okropnie.

— Dzięki. Murali mnie wyrzucił.

— A, to nieładnie z jego strony. I to teraz, kiedy w przyszłym tygodniu przypada termin zapłaty czynszu.

*Ta — tam. Ta — tam.* Nie tracąc rytmu, Marvin sięgnął za siebie na stół kuchenny i podał Johnowi wizytówkę.

— O, to miałem ci dać.

Arkusik papieru wyglądał na drogą wizytówkę zadrukowaną w czterech kolorach, opatrzoną pełnym zawijasów godłem. Poniżej widniał napis:

Eduardo Vacchi  
Notariusz. Florencja. Włochy  
Tymcz. The Waldorff Astoria  
301 Park Avenue, New York, N.Y.  
Tel. 212-355-3000

John gapił się na wizytówkę. Całe ciało miał ociążałe od ciepła w kuchni.

— Eduardo Vacchi... Przysięgam, nigdy nie słyzałem tego nazwiska. Powiedział, czego ode mnie chce?

— Masz do niego zadzwonić. Powiedział, że kiedy przyjdiesz, mam dać ci wizytówkę i powiedzieć, żebyś do niego zadzwonił, to podobno ważne.

Ta — tam.

— Sprawa spadkowa.

Ta — tam.

— W moich uszach spadek brzmi tak samo jak „pieniądze”. Nieźle, co?

## 2

Stary człowiek — *Padrone* — jak nazywał go Eduardo, odłożył na bok trzymaną na łonie poduszkę i położył ją na stojącym obok małym stoliku. Potem z pewnym trudem dźwignął się z fotela, artretycznymi palcami obciągnął sweter i ciepło uśmiechnął do obecnych.

John siedział sztywno jak trafiony piorunem. Jego mózg zupełnie odmówił posłuszeństwa.

Cichymi, w jakiś sposób bardzo *zrelaksowanymi* krokami człowiek, którego Eduardo Vacchi nazwał swoim dziadkiem, obszedł stół, tak, jakby miał do dyspozycji cały czas świata. Gdy przechodził za plecami Johna, poklepał go dobrotliwie po ramieniu, bardzo lekko i jakby mimochodem, a John poczuł się tak, jakby *Padrone* tym gestem w pewien sposób przyjmował go do rodziny. Niezmiennie odprężonym i swobodnym krokiem dokończył spaceru wokół stołu, spokojnie zajął miejsce na ostatnim wolnym krześle i otworzył ostatnią teczkę, która jeszcze do tej pory pozostawała zamknięta.

Rozum Johna wzbraniał się przyjąć do wiadomości, co ma się teraz wydarzyć. A przecież to było równie proste jak test na inteligencję. Mamy ciąg 2-4-6-8, jaka jest następna logiczna liczba? Dobrze, 10. Mamy ciąg 2-4-8-16, jaka będzie następna liczba? 32, dobrze. Mamy ciąg osiemdziesiąt tysięcy — cztery miliony — dwa miliardy, jaka będzie następna liczba?

Tutaj jednak kończyła się wszelka logika. A może jednak nie są notariuszami? Może to szaleńcy, którzy grają w jakąś szaloną grę? Może stał się ofiarą psychologicznego eksperymentu? Może to jednak tylko „ukryta kamera”?

— Nazywam się Cristoforo Vacchi — powiedział stary

mężczyzna łagodnym, zaskakująco mocnym głosem. — Jestem notariuszem z Florencji, we Włoszech.

Spojrzał przy tym na Johna, zaś intensywność jego wzroku sprawiła, że ten zapomniał o wszelkich podejrzeniach o psychologiczne eksperymenty i ukryte kamery. To wszystko tutaj jest prawdą, jest realne, jest tak niezaprzeczenie rzeczywiste, że można by to niemal pociąć na kawałki.

Nastąpiła przerwa. John miał wrażenie, że oczekuje się od niego, by coś powiedział. O coś zapytał. Wydobył jakiegokolwiek stwierdzenie ze swej wyschniętej krtani, poruszył sparaliżowaną dolną szczęką, mimo spuchniętego, wielkiego jak piłka języka i nie zważając na to, że stracił zdolność mowy. Wszystkim, co zdołał z siebie wydobyć, był rodzaj ochrypłego szeptu:

— Jeszcze więcej pieniędzy?

*Padrone* współczująco skinął głową.

— Tak, John. Jeszcze więcej pieniędzy.

— Ile? — wykrztusił John, choć wcale nie chciał tego wiedzieć.

Trudno byłoby powiedzieć, ile lat ma Cristoforo Vacchi, lecz z pewnością był raczej bliżej osiemdziesiątki niż siedemdziesiątki. Białych jak śnieg włosów niewiele pozostało, zaś skóra była wiotka, pełna plamek i poprzecinana niezliczonymi zmarszczkami. Mimo to, gdy siedział tak ze złożonymi w pełnym gracji dłońmi i patrzył na dokumenty, poznać było, że jest absolutnie kompetentny i pozostaje całkowicie panem sytuacji. Nikomu nawet nie przyszło-by do głowy w odniesieniu do tego kruchego mężczyzny użyć słowa „starzec”. Nikt nie zrobiłby tego, choćby dlatego, by nie ryzykować bycia uznanym za śmiesznego.

— Chciałbym teraz opowiedzieć panu całą tę historię — rozpoczął. — Zaczyna się w roku 1480 we Florencji. W tym roku urodził się pański przodek Giacomo Fontanelli, jako nieślubne



dziecko swojej matki i nieznanego ojca. Matka schroniła się w klasztorze pod opiekę litościwego opata, a chłopiec dorastał wśród mnichów. Mając piętnaście lat, według dzisiejszej rachuby czasu 23 kwietnia roku 1495, Giacomo miał sen — który powinno nazwać się raczej wizją, choć on sam pisze tylko o śnie — sen tak jasny i tak intensywny, że naznaczone przezeń zostało całe jego późniejsze życie. U mnichów nauczył się pisać, czytać i liczyć i krótko po swoim śnie wyjechał, by zostać kupcem i handlarzem. Działał w Rzymie, a przede wszystkim w Wenecji, ówczesnym centrum południowoeuropejskiej gospodarki, ożenił się i dał światu w sumie szóstkę dzieci — samych synów — którzy później przeważnie również wstąpili na drogę kupiectwa. Giacomo jednak wrócił w roku 1525 do klasztoru, by tam zrealizować resztę swego snu.

John potrząsał głową jak ogłuszony.

— Wciąż słyszę o śnie. Co za sen?

— Sen w którym Giacomo Fontanelli zobaczył całe swoje przyszłe życie — swą drogę zawodową, przyszłą żonę i między innymi zyskowne interesy, jakie miał prowadzić. Lecz ujrzał coś, co było o wiele ważniejsze: zobaczył w tym śnie również czas odległy o pięćset lat; przyszłość, którą opisał jako czas rozdierającej nędzy i przeraźliwej trwogi, czas, kiedy już nikt nie będzie zdolny dostrzec przyszłości. Zobaczył, że wolą proroctwa — można powiedzieć wolą Boga — jest, by zapisał swój majątek temu, kto w pięćsetną rocznicę snu będzie najmłodszym męskim potomkiem jego rodu. Ów człowiek będzie wybrańcem mającym zwrócić ludzkości jej utraconą przyszłość, a dokona tego, posługując się majątkiem Giacomo Fontanellego.

— Ja? — krzyknął John przerażony.

— Pan — skinął głową *Padrone*.

— Kim miałbym być? Wybrańcem? Czy ja wyglądam jak ktoś do czegokolwiek wybrany?

— Mówimy tylko o faktach historycznych — łagodnie odparł Cristoforo Vacchi. — To, co tu opowiadam, wkrótce będzie mógł pan przeczytać w testamencie swego przodka, przechowywanym w naszym archiwum. Próbuję tylko wytłumaczyć, jakimi kierował się motywami.

— Ach tak. Więc objawił mu się Bóg. I dlatego siedzę tu dzisiaj?

— Właśnie tak.

— Ale to przecież szalone, prawda?

Stary człowiek uniósł ręce wieloznacznym gestem.

— Proszę samemu o tym zdecydować.

— Oddać ludziom przyszłość. Właśnie ja? — John westchnął.

Jeszcze raz okazało się, ile warte są wizje i święte przywidzenia. Mianowicie dokładnie nic. Jasne, że w dzisiejszych czasach nikt już na żadną przyszłość nie liczy. Każdy ciekaw jest tylko, która z wielu licznych plag ludzkości przyniesie jej zagładę. To, że do zagłady dojdzie, jest jasne i pewne. Alternatywy dotyczą już tylko wyboru broni — strach przed wojną atomową w ostatnich latach trochę wyszedł z mody, być może zresztą niesłusznie, zważywszy niestabilną sytuację na świecie, wysoko zaś stoją akcje zarazków nowych epidemii — AIDS, ebola, BSE, i im podobne — pożerające niezliczone rzesze osłabionych głodem istnień ludzkich. Nie pomniejszając znaczenia dziury ozonowej i rozszerzania się stref pustynnych, słyszy się, że niedługo zabraknie wody pitnej i stanie się ona dobrem, o które będą toczyć się walki. Nie, naprawdę nie ma żadnego powodu, żeby w dzisiejszych czasach widzieć jeszcze jakąkolwiek przyszłość. Tak, tylko że on, John Salvatore Fontanelli, nie jest tu żadnym wyjątkiem. Raczej wręcz

przeciwnie. Podczas gdy jego rówieśnikom w taki czy inny sposób udawało się zadbać o siebie i swą własną, najbliższą przyszłość, gdy inni budowali domy, zakładali rodziny i zapewniali sobie stałe dochody, on ciągle żył z dnia na dzień i zdarzało mu się leżące nawet w niedalekiej przyszłości wydarzenia, jak terminy zapłaty czynszu, odsuwać w przyszłość dalszą. Naprawdę, jeśli istnieje ktoś mniej od niego predestynowany do poszukiwania utraconej przyszłości ludzkości, to on jest bardzo zainteresowany poznaniem tej osoby. Stary człowiek ponownie zajrzał do swojej teczki.

— W roku 1525, jak mówiłem, Giacomo Fontanelli wrócił do klasztoru, w którym spędził dzieciństwo i opowiedział opatowi o swej wizji. Obaj nabrali przekonania, że ów sen został nań zesłany przez Boga, sen porównywalny z biblijnym snem faraona, z którego Józef przepowiedział mu siedem tłustych i siedem chudych lat, i wtedy postanowili odpowiednio się przygotować. Cały majątek należący do Fontanellego został powierzony w opiekę pewnego znajomego opata, prawnika imieniem Michelangelo Vacchi...

— Ach — powiedział John.

— Tak. Mój przodek.

— Czy chce pan powiedzieć, że *pańska* familia strzegła majątku *mojej* familii, by przekazać go dzisiaj *mnie*?

— Właśnie tak.

— Przez *pięćset* lat?

— Tak. Od pięciuset lat mężczyźni rodziny z Vacchi są prawnikami. Dom, w którym dziś ma siedzibę nasza kancelaria, jest wciąż ten sam, co wtedy.

John potrząsnął głową. Niepojęte. Niepojęte przede wszystkim. W obliczu spokojnej pewności siebie, z jaką ów stary człowiek

opowiada mu o tych niewiarygodnych sprawach. Wróciło raptem wspomnienie lekcji historii, o których sądził, że dawno je zapomniał, i sprawiło, że przeszły go ciarki. Pięćset lat, to znaczy, że w czasach, gdy urodził się Jego przodek, odkrycie kontynentu amerykańskiego przez Krzysztofa Kolumba jeszcze się nie dokonało. Ten stary człowiek chciał mu właśnie powiedzieć, ni mniej ni więcej, że jego rodzina w czasie pomiędzy odkryciem Ameryki i pierwszym lądowaniem człowieka na Księżycu nie robiła nic innego, jak tylko strzegła majątku z powodu pewnego snu — i do tego jeszcze przez cały czas mieszkała w tym samym domu!

— Pięćset lat — powtórzył John — to jest... nie wiem, ile to pokoleń. Czy przez ten czas nikomu nie przyszło do głowy, żeby te dwa miliardy po prostu zatrzymać dla siebie?

— Nigdy — odpowiedział swobodnie Cristoforo Vacchi.

— Ale przecież nikt by się o tym nie dowiedział. Nawet teraz, kiedy pan mi o tym opowiada, z trudem przychodzi mi w to uwierzyć.

— Żaden człowiek, to możliwe — przyznał mu rację stary mężczyzna. — Lecz Bóg dowiedziałby się o tym.

— Ach — mruknął tylko John. — No tak.

*Padrone* rozłożył szeroko ręce.

— Być może winny jestem panu jeszcze jedno wyjaśnienie. Naturalnie istnieją dokładne poczynione przez pańskiego przodka ustalenia, jak ma być wynagradzana nasza działalność w zakresie administrowania majątkiem. Tych ustaleń trzymaliśmy się bardzo dokładnie i nie powodziło nam się źle, co chciałbym dodać. Oczywiście, posiadamy również całą księgowość i możemy wszelkie ruchy na kontach i wszelkie pobrane przez nas honoraria udokumentować.

Tak, pomyślał John. Założę się, że możecie.

— I naturalnie — dodał stary Vacchi — pierwotny majątek nie wynosił dwóch miliardów dolarów. Takiej ilości pieniędzy w owych czasach prawdopodobnie w ogóle nie było na świecie. Majątek, który ufundował w roku 1525 Giacomo Fontanelli, składał się z trzystu florenów, przeliczając na dzisiejszą wartość złota to około dziesięciu tysięcy dolarów.

— Co? — wyrwało się Johnowi.

Starzec skinął głową, co sprawiło, że na jego szyi za każdym razem pojawiały się przypominające dinozaura zmarszczki.

— Trzeba przy tym rozróżnić wartość wynikającą z przeliczenia i moc nabywczą. Trzysta florenów nie było małym majątkiem, jeśli wziąć pod uwagę ówczesną siłę nabywczą. Dzisiaj takie pieniądze przeliczone i wymienione na dolary nie byłyby warte wzmianki — sama nasza podróż przez ocean pochłonęłaby większość z nich. Niezliczone rodzaje walut i reform walutowych przesłaniają zwykle widok na prosty fakt, że inflacja obskubuje wszelkie majątki, zarówno wielkie jak i małe. Lecz Giacomo Fontanelli miał potężnego współnika — dodał znacząco *Padrone* — mianowicie odsetki składane.

— Odsetki składane? — powtórzył głupekowato John.

— Proszę pozwolić mi na wyjaśnienie. W roku 1525 zdeponowano sumę po przeliczeniu dziesięciu tysięcy dolarów w instytucji, którą dziś nazwalibyśmy bankiem. W tamtych czasach nie istniały jeszcze banki w dzisiejszym sensie tego słowa, ale w ówczesnej Europie, szczególnie we Włoszech, kwitły gospodarka i dobrze działający rynek kapitałowy. Proszę pamiętać, że Florencja była wówczas metropolią finansową, w czternastym wieku została opanowana przez bankierów takich jak Bardi i Peruzzi, a w piętnastym wieku przez Medyceuszy. Istniał

wprawdzie kościelny zakaz pobierania odsetek, lecz nikt nie mógł go przestrzegać, gdyż żaden rynek kapitałowy nie może istnieć bez procentów — nikt nie pożyczyłby nikomu pieniędzy, gdyby to mu nie przynosiło zysku. Inwestycja Giacomo Fontanellego idealnie zbiegła się w czasie z rozwojem doskonale funkcjonującego międzynarodowego rynku pieniężnego w szesnastym wieku. Mój przodek Michelangelo Vacchi wybrał raczej słabo oprocentowaną inwestycję, gdyż przynosiła tylko cztery procent dochodu, ale za to była bezpieczna. To znaczy, że pod koniec roku 1525 przyniosła ona okrągłe czterysta dolarów odsetek, które zostały dopisane do pierwotnego majątku, tak więc w następnym roku nie było oprocentowane już tylko dziesięć tysięcy, lecz dziesięć tysięcy czterysta dolarów. I tak dalej.

— Wiem, co to są odsetki składane — mruknął John, nadal czekający na wielką puentę — odkrycie skarbu Inków, wielką kopalnię złota, coś w tym rodzaju. — Ale to przecież zawsze tylko drobnostki, prawda?

— Och, tak bym nie powiedział — uśmiechnął się stary mężczyzna i wziął do ręki arkusz papieru, na którym widniały długie kolumny cyfr. — Jak większość ludzi, nie docenia pan tego, co odsetki składane i czas mogą zdziałać wspólnie. A przecież łatwo to wyliczyć, gdyż mimo że rzeczywiste okoliczności wciąż się nieco zmieniały, to udało nam się nieprzerwanie utrzymać średnią stopę procentową w wysokości czterech procent. To znaczy, że majątek w roku 1530, zatem pięć lat po ufundowaniu, wynosił około dwanaście tysięcy dolarów, przeliczając na dzisiejsze pieniądze. W roku 1540 wynosił już osiemnaście tysięcy dolarów, a w 1543 podwoił się. Podwoiły się oczywiście również dochody z odsetek.

John coś przeczuwał, choć nie potrafiłby powiedzieć, co. Lecz było to coś wielkiego. Coś, co zapierało dech w piersiach. Coś jak góra lodowa, jak przewracający się baobab.

— A dalej... — uśmiechnął się Cristoforo Vacchi — dalej było już tak jak w tej historii o szachownicy i ziarnkach ryżu. Cztery procenty oznaczają mianowicie, że dzięki dochodom, które przynoszą, kapitał podwaja się co osiemnaście lat. W roku 1550 wynosił zatem dwadzieścia sześć tysięcy dolarów, w 1600 już sto dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, a około roku 1643 została przekroczona granica miliona. Anno Domini 1700 było już dziewięć i pół miliona, A.D. 1800 już czterysta osiemdziesiąt milionów dolarów, a w roku 1819 osiągnięto pierwszy miliard.

— Mój Boże — szepnął John i znów wydawało mu się, że opada nań i przytłacza go coś wielkiego i ciężkiego. Tylko że tym razem owo coś użyło całej swej siły. Tym razem nie było już zmiłowania.

— Na początku dwudziestego stulecia — kontynuował bezlitośnie staruszek — majątek Fontanellego wzrósł do dwudziestu czterech miliardów dolarów rozdzielonych na tysiącach kont w tysiącach banków. Gdy zaczynała się druga wojna światowa, było to już sto dwanaście miliardów dolarów, a gdy się kończyła, sto czterdzieści dwa miliardy. W dniu wyznaczonym przez przepowiednię, a więc wczoraj, majątek — *pański* majątek — wynosił okrągłą sumkę: dokładnie bilion dolarów.

Uśmiechnął się szelmowsko.

— Tyle chciałem powiedzieć o odsetkach i odsetkach składanych.

John ogłupiały gapił się na prawnika, poruszał dolną szczęką nie będąc w stanie wydać żadnego dźwięku, musiał odchrząknąć

i wychrypiał w końcu głosem chronicznego gruźlika:

— *Bilion* dolarów?

— Bilion. To znaczy tysiąc miliardów. — Cristoforo Vacchi skinął głową. — A to po prostu znaczy, że jest pan najbogatszym człowiekiem świata, nawet najbogatszym człowiekiem wszech czasów, i to z dużym wyprzedzeniem. Bilion dolarów przyniesie panu tylko w tym roku nie mniej jak *czterdzieści miliardów* dolarów dochodu z odsetek. Na świecie istnieje dwustu do trzystu miliardów dolarowych, zależnie od tego jak liczyć, lecz z trudem znalazłby pan więcej niż dziesięciu takich, których majątek jest większy niż pański dochód z procentów w tym roku. Nikt nie ma nawet w przybliżeniu tak wiele pieniędzy, ile pan będzie posiadać.

— Gdyby zliczyć odsetki — wtrącił się ochoczo Eduardo Vacchi — okazałoby się, że z każdym oddechem jest pan bogatszy o cztery tysiące dolarów.

John był w szoku. Twierdzenie, że nie może tego zrozumieć, byłoby karygodnym uproszczeniem. W rzeczywistości jego myśli wirowały jak cząsteczki w akceleratorze, kłębiły się wspomnienia, obawy i bolesne doświadczenia mające związek z pieniędzmi — ściśle mówiąc z ich brakiem — i to wszystko stanowiło taki potop emocji, że coś w nim pociągnęło za hamulec bezpieczeństwa.

— Bilion — powiedział. — Tak po prostu odsetki składane. — I pięćset lat — dodał Cristoforo Vacchi.

— To takie proste. *Każdy* mógłby to zrobić.

— Tak. Ale nikt tego nie zrobił. Nikt oprócz Giacomo Fontanellego.

Sędziwy prawnik pokiwał głową. — Zupełnie takie proste zresztą to nie było. Banki są oczywiście świadome efektu



narastających odsetek — dlatego wszystkie umowy kont oszczędnościowych zawierają niewielki, niepozorny, lecz posiadający elementarne znaczenie paragraf, że jeżeli przez trzydzieści lat na koncie nie zostały wykonane żadne ruchy, wówczas wypłacanie odsetek ustaje. Ma to zapobiegać właśnie takiemu przypadkowi — że ktoś wpłaci na książeczkę oszczędnościową niewielką kwotę, zapomni o niej, a sto lat później znajdzie ją jakiś szczęściarz i będzie domagał się ogromnego majątku. — Uśmiechnął się. — I oczywiście z tego powodu rodzina Vacchich zawsze dbała o ruch na kontach. Tam coś podjęto, tam wpłacono. Dziesięć lat później na odwrót. W zasadzie to było wszystko, co robiliśmy przez pięćset lat.

— Tylko ruch na kontach?

— Dokładnie. I jestem przekonany, że to właśnie jest przyczyną, że ten majątek rósł i rósł i wciąż jeszcze istnieje, podczas, gdy tak wiele innych fortun znikło.

— Ich właściciele nie mieli tak wiele czasu — tylko swoje własne życie. Musieli podejmować rozmaite ryzyka, chcieli korzystać ze swoich pieniędzy... Nic z tego nie dotyczyło mojej rodziny. My nie musieliśmy podejmować żadnego ryzyka, wręcz przeciwnie, my go unikaliśmy. Nie chcieliśmy korzystać z tych pieniędzy, ponieważ nie były nasze. I mieliśmy czas, niezmiernie wiele czasu i święte zadanie. — Cristoforo Vacchi pokiwał głową — Nie, nie sądzę, żeby każdy mógł to zrobić. Myślę, że było to jedyne w swoim rodzaju przedsięwzięcie w historii.

Nastąpiła długa chwila ciszy. John wbił wzrok przed siebie oszołomiony tym, co mu się przytrafiło. Czterech prawników obserwowało go uważnie, patrzyli jak w kilka minut usiłuje zrozumieć to, nad czym oni spędzili lata, każdy z nich. Obserwowali go, patrzyli na niego, jak patrzy się na długo

poszukiwanego członka rodziny, który zaginął i teraz ponownie odnaleziony wrócił do domu, w miejsce, do którego przynależy.

— Co teraz? — spytał w końcu John Salvatore Fontanelli i zdziwił się, że po drugiej stronie okien wciąż jeszcze panuje dzień. Miał uczucie, że — odkąd wszedł do tego pokoju — minęły godziny.

— Trzeba załatwić formalności — powiedział Alberto Vacchi, poprawiając chusteczkę w butonierce. — Majątek musi zostać przepisany na pana i chcemy uniknąć zapłacenia podatku spadkowego. I szereg tego typu rzeczy.

— Zmieni się pański styl życia — dodał Gregorio Vacchi. — Oczywiście nie możemy niczego panu przykazać, lecz ponieważ jako rodzina przygotowaliśmy się na ten moment od pokoleń, możemy poczynić szereg propozycji, które z pewnością mogłyby być pomocne. Na przykład będzie pan potrzebował sekretariatu, choćby po to, aby poradzić sobie z zalewem listów z prośbą o pomoc, które z pewnością nadejdą, oraz ochroniarzy, aby nie narażać się na niebezpieczeństwo, że zostanie pan porwany.

— Dlatego — zakończył Eduardo Vacchi — proponujemy, by na razie zlikwidował pan swój dom tu, w Nowym Jorku, i — przynajmniej na jakiś czas — pojechał z nami do Florencji, nim przywyknie pan do swego nowego życia.

John powoli skinął głową. Tak, rzeczywiście musi to wszystko przetrwać. Będzie musiał się z tym przespać. Do Florencji. Pięknie, czemu nie? Cóż takiego trzyma go w Nowym Jorku? Bilion dolarów. Najbogatszy człowiek świata. Naprawdę, to chyba żart.

— A potem? — zapytał.

— Jesteśmy tego ogromnie ciekawi — powiedział Cristoforo Vacchi.

— Co pan ma na myśli?

Stary człowiek wykonał dłonią nieokreślony gest.

— Cóż, będzie pan miał tyle pieniędzy, że gospodarka każdego państwa będzie musiała drzeć przed pańskimi decyzjami. To jest władza. Co pan z nią zrobi, to sprawa wyłącznie pana samego.

— A cóż takiego zobaczył w swoim śnie Giacomo Fontanelli, że co zrobię?

— Tego nie wiemy. Widział, że zrobi pan to, co należy. W notatkach, które nam przekazano, nie powiedział nic więcej.

— To, co należy? A co należy zrobić?

— Coś, co przywróci ludzkości utraconą przyszłość. -1 cóż by to miało być?

*Padrone* roześmiał się.

— Nie mam pojęcia, synu. Ale nie martwię się i pan też nie powinien się martwić. Proszę pamiętać, że wypełniamy tu proroctwo, co do którego sądzimy, że było święte. A to znaczy, że cokolwiek pan zrobi, nie może pan popełnić błędu.

Susan Winter, trzydzieści jeden lat, niezamężna, kiwając nerwowo nogą, siedziała przy jednym z podwójnych stolików przed Rockefeller Center, na białym metalowym krześle, pod brązowym ośmiokątnym parasolem, a ten mężczyzna wciąż i wciąż nie przychodził. Po raz tysięczny spojrzała na zegarek — w porządku, do umówionego czasu zostały jeszcze dwie minuty — a potem — na złotego Prometeusza, syna tytana, który podtrzymywał fronton wieżowca. Czyż on nie uczynił czegoś zakazanego, nie wyzwiał bogów? Próbowała przywołać w pamięci, co wie o antycznych legendach, jednak nie była w stanie nic sobie przypomnieć.

Fakt, że była niezamężna, zdaniem jej nielicznych przyjaciół

brał się stąd, że wykazywała zbyt mało pewności siebie, by ładnie się ubierać i malować, podkreślając urodę. Owego wieczoru miała na sobie wyświechtane dzinsy i powypychany, sprany, bury T-shirt, a włosy zwisały jej strąkami na twarz. Kelner, u którego zamówiła wodę mineralną, potraktował ją jak dziwadło, zresztą do tej chwili nie dostała tej wody. To, czego nie wiedzieli o niej przyjaciele — czego nie wiedział nikt — to fakt, że Susan Winter jak opętana grała w totolotka. Wszystko, co tylko mogła odłożyć z pensji, pochłaniała namiętność do gry, również te niewielkie wygrane, które udawało jej się uzyskać. Dawno już przyznała się sama przed sobą, że był to raczej nałóg niż namiętność, lecz nie miała siły, aby sobie z tym poradzić. Czasem, kupując losy tuzinami, miała wrażenie, że stoi obok siebie, przygląda się sobie przy tej czynności i odczuwa ponurą satysfakcję na widok, jak to brzydkie i bezsensownie żyjące stworzenie równie bezsensownie niszczy samo siebie. Jej babcia, u której Susan będąc jeszcze dzieckiem spędzała popołudnia, miała zwyczaj mawiać: „Szczęście w grze, pech w miłości”, wygrywając powtarzane w nieskończoność partie brydża z przyjaciółkami. Szczęście w grze, pech w miłości. To było niemieckie przysłowie; babcia uciekła z Niemiec podczas wojny. Dlaczego, to Susan zrozumiała dopiero później. W owe popołudnia, kiedy jej rodzice byli w pracy, siedziała zawsze przy krześle babci, cesała swoje lalki i przebierała je, przysłuchując się rozmowom starszych pań. Szczęście w grze, pech w miłości. Na swój własny użytek odwróciła to przysłowie, nie była już teraz pewna, czy w rzeczywistości nie brzmiało odwrotnie: „Pech w miłości, szczęście w grze”. Przy takim mnóstwie pecha, jaki miała w miłości, po prostu *musiała* pewnego dnia mieć szczęście w grze. Choć jej wyobrażenie o tym, jak owo szczęście mogłoby

wyglądać, było bardzo niewyraźne.

Mężczyzna przyszedł punktualnie, co do minuty. Ubrany w ten sam co zawsze ciemny płaszcz, wchodząc na taras znalazł ją natychmiast, nie szukając. W dłoni trzymał brązową kopertę i Susan wiedziała, że są w niej pieniądze, dużo pieniędzy. W jednej chwili uznała za bardzo podniecające to, co miała zamiar zrobić.

Usiadł naprzeciw niej, niezgrabnie, jakby bolały go mięśnie, położył kopertę przed sobą, skrzyżował nad nią dłonie i spojrzał na Susan. Miał gruboskórną, ciastowatą twarz, tak jakby w młodości przeszedł ospę wietrzną albo przynajmniej bardzo cierpiał na trądzik.

— Więc? — zapytał.

Nie przedstawił jej się i dzwoniąc do niej również nie podawał nigdy swojego nazwiska. Poznawała go po głosie. Od dwóch lat dostarczała mu informacji ze swojej firmy, a on dostarczał jej pieniędzy. Z początku były to tylko pobieżne informacje — nad jakimi przypadkami pracuje biuro detektywistyczne Dalloway, jakich ma klientów — potem pytania stały się bardziej szczegółowe i udzielane przez nią odpowiedzi również. Dziś pierwszy raz miała przekazać mu dokumenty.

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej cienką teczkę. On wyciągnął dłoń, a ona mu ją podała. Tak to się odbyło.

W milczeniu studiował dokumenty. Nie było ich wiele. Tylko to, co zdołała niepostrzeżenie skopiować. Zdjęcie, które bardzo dokładnie studiował. Kilka kopii z innych kopii. Kilka stron tekstu, który odczytał bardzo powoli, kilkakrotnie. Obserwowała go przy tym, wpatrywała się w owłosiony wierzch jego dłoni, czując się przy tym okropnym, małym, nędznym stworzeniem. Równocześnie w głębi serca miała nadzieję, że uzna dokumenty za wystarczające na cenę, którą jej zaproponował.

— Czy ma pani również informacje o jego rodzinie? — spytał nagle.

Prawie się przestraszyła.

— Tak.

Wyciągnął rękę swobodnie, jakby to, co właśnie robili, było najbardziej oczywiste na świecie, równocześnie jednak jego gest emanował nie znającą litości stanowczością. Wyjęła drugą teczkę i podała mu ją także.

Ponownie przejrzał jej zawartość. Ta teczka była bardziej kompletna, zawierała prawie wszystko, co zgromadzono w biurze detektywistycznym. Niektóre z informacji zdobyto w niezupełnie legalny sposób. Jednak również i one wydawały jej się błahe.

— Dobrze.

Wziął brązową kopertę i podał ją jej, zupełnie bezceremonialnie, jakby podawał jej opakowanie parówek. Susan wzięła ją do ręki i wrzuciła do torebki, a w jej podbrzuszu rozeszło się przyjemne ciepłe uczucie.

Mężczyzna wstał, znów w taki sam niezdarny sposób, wsuwając przy tym zrolowane teczki do wewnętrznej kieszeni swego płaszcza.

— Jeśli będę jeszcze czegoś potrzebował, zgłoszę się w najbliższych dniach.

Susan przez skórę swojej aktówki czuła pieniądze.

— Gdybym jeszcze tylko rozumiała, dlaczego interesuje się pan tak tym chłopcem.

Mężczyzna obrzucił ją spojrzeniem, pod którym cała się skurczyła.

— Niech pani lepiej nie próbuje tego zrozumieć. Jeśli wolno mi udzielić dobrej rady.

To mówiąc oszedł, nie odwracając się ani razu.

John siedział na hotelowym łóżku, miękkim i pachnącym lawendą, wpatrywał się w telefon na stoliku nocnym i zmagał się z myślą, czy może z niego zadzwonić. Całe jego wnętrze pulsowało, jakby miał rozpaść się na kawałki. To wszystko musiało być snem i teraz za nic w świecie nie chciałby rozmawiać z kimś z rzeczywistości, z kimś, kto mógłby mu powiedzieć „zbudź się” albo coś w tym rodzaju. Czy wolno mu zadzwonić? Powiedzieli, że ma tutaj spać; nie chcieli pozwolić mu odejść teraz, gdy go wreszcie znaleźli, po pięciuset latach... Czy to znaczy, że wolno mu telefonować? Słyszał, że telefonowanie z hoteli jest drogie, a miał przy sobie akurat tyle pieniędzy, żeby wrócić do domu metrem.

Kupili mu różne rzeczy. Piżamę, spodnie, koszulę, wszystko, co potrzebne i wszystko we właściwym rozmiarze. Cała podłoga była zavalona zakupami, lecz nawet nie otworzył jeszcze wszystkich paczek. Tymczasem zapadł zmierzch, a on nadal siedział w pokoju po ciemku.

Czy, skoro pozwolili mu tu nocować, oznacza, że zapłacą również za jego telefony? Może. Wpatrywał się w płaski, blady, połyskujący w mroku aparat i drżał. *Bilion dolarów*, powtarzał głos w jego wnętrzu, wciąż na nowo. *Bilion dolarów*.

Paul. Paul Siegel potrafiłby mu powiedzieć, co o tym sądzić. Paul pomógłby mu odzyskać zdrowe zmysły.

Jego ramię wystrzeliło do przodu, jakby samo z siebie, wziął słuchawkę, a palec wskazujący drugiej dłoni wybrał numer. Wstrzymując oddech, przysłuchiwał się odgłosom wybierania, potem sygnałowi, słyszał trzask, gdy ktoś podniósł słuchawkę.

— Paul Siegel — odezwał się znajomy głos i już chciał mówić,

tylko że nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć, nie pomyślał nawet o tym, żeby podać własne nazwisko i wtedy zorientował się, że dodzwonił się tylko do automatycznej sekretarki.

— Jestem w podróży zagranicznej, lecz cieszę się, że pan zadzwonił. Proszę po sygnale zostawić swoje nazwisko, wiadomość i ewentualnie swój numer telefonu, żebym mógł po powrocie zaraz do pana oddzwonić. Bardzo dziękuję i do usłyszenia.

Daleki pisk.

— Paul? — Jego głos brzmiał dziwacznie, jakby przeszedł operację krtani.

— Paul, tu John. John Fontanelli. Jeśli jednak tam jesteś, odbierz proszę, to pilne.

Może właśnie w tej chwili wchodzi przez drzwi, zadyszany, ciągnąc walizy i bagaże? Może właśnie szuka kluczy i słyszy dzwoniący w mieszkaniu telefon?

— Proszę, zadzwoń do mnie tak szybko, jak będzie to możliwe. Jestem strasznie skołowany... Zdarzyło się coś szalonego i przydałaby mi się twoja rada. Co robisz za granicą, akurat dzisiaj, do cholery? A właśnie — jestem w hotelu Waldorf Astoria. Zapomniałem numeru.

Kolejny sygnał przerwał połączenie. John ostrożnie odłożył słuchawkę, jeszcze raz przetarł dłonią jej błyszczący od potu wierzch, opadł w tył na poduszki i dalej nic już nie pamiętał.



### 3

Marvin Copeland przez kilka dni nie miał żadnych wiadomości od Johna. Potem dostał widokówkę. Widokówkę z Nowego Jorku.

*Naprawdę dostałem spadek, pisał John, i to niemało. Ale opowiem ci wszystko następnym razem. Muszę teraz na jakiś czas wyjechać — w interesach. Zgłoszę się, obiecuję — nie wiem tylko jeszcze, kiedy. Pozdrowienia, John.*

Na pocztówce widać było Statuę Wolności, World Trade Center, Most Brooklyński i budynek Museum of Modern Arts. Nieco mniejszymi literami i innym długopisem ktoś nabazgrał na krawędzi:

*Za kilka dni zgłosi się kilku ludzi z firmy transportowej. Proszę, pokaż im mój pokój i pozwól wszystko zapakować.*

— A czynsz? — mruknął Marvin, obracając pocztówką kilka razy, lecz nie znalazł dalszych wiadomości. — A co z czynszem?

Niepotrzebnie się martwił, gdyż trzech osiłków o posturze szaf na ubrania, którzy pojawili się kilka dni później, podało mu

kopertę, a w niej banknoty o dużych nominałach — trzy czynsze miesięczne z nadmiarem i krótką notatkę napisaną ręką Johna:

*Zgłoszę się, jak tylko się zorientuję, co jest grane. Do tego czasu zatrzymaj dla mnie pokój. OK? John.*

— Proszę tędy — Marvin wskazał muskularnym mężczyznom drogę do pokoju Johna.

Wyglądali na trochę rozczarowanych faktem, że nie trzeba prznosić pianina, nie było nawet mebli, tylko kilka kartonów pełnych gratów, książek i przyborów malarskich.

— A przy okazji, dokąd to pojedzie?

— To transport morski — powiedział mężczyzna, który wcześniej pokazał mu upoważnienie. Wyciągnął w jego kierunku kartkę. Na papierze było napisane: „Florencja, Włochy”.

### **Florencja, Włochy.**

John zafascynowany zerkał z wąskich zamglonych okienek kołującego samolotu i patrzył na lotnisko rozmigotane w słonecznych promieniach. Na jednym z budynków widniał napis „Peretola Aeroporto”. We Florencji był właśnie wczesny poranek.

Lecieli nocą, jakieś dziesięć, może jedenaście godzin, wszystko mu się pomieszało, rozmaite czasy lokalne i letnie. Lecieli oczywiście pierwszą klasą. Dwa rzędy przed sobą zauważył twarz, która zdawała mu się znajoma. Odczuł lekki szok, gdy przypomniało mu się, skąd ją zna: to był aktor, prawdziwa gwiazda Hollywoodu i zdobywca Oscara, w towarzystwie żony i menedżera. Po cichu spytał Eduarda, czy może się odważyć pójść do przodu i poprosić tego mężczyznę o autograf.

— Dlaczego nie? — odparł Eduardo i dodał sucho: — Może pan

jednak też poczekać dwa tygodnie — wówczas *on* przyjdzie do pana i poprosi o *pański* autograf.

Wtedy John poniechał swego zamiaru.

Mimo szerokich foteli i wielkodusznie obliczonych odstępów między rzędami John niewiele spał i czuł się teraz nieszczególnie. Jaskrawe światło boleśnie raziło go w oczy. Zamrugął, patrząc na łagodne wzgórza, z rozrzuconymi po nich z rzadka piniami, które obudziły w nim nieoczekiwanie silne poczucie powrotu do domu. A przecież nie był we Włoszech nigdy wcześniej, zawsze słyszał tylko o nich w opowiadaniach rodziców.

Nieźle się zdziwili, gdy przyjechał do nich czarnym Lincolnem. Ciągle jeszcze chciało mu się śmiać, gdy przypomniał sobie ich miny.

Niewiele im opowiedział, niezbyt dobrze zrozumieli tę historię o spadku.

— Jak możesz coś dziedziczyć, skoro my jeszcze żyjemy, chłopcze? — Jego ojciec spytał go o to chyba z pięć razy — zrozumieli jednak, że jest teraz bogaty. Informacji o tym, jak bogaty, na razie im oszczędził, gdyż miała to być tylko krótka wizyta, a pojęcie bilion dolarów z pewnością niewiele by im powiedziało. W końcu sam do tej pory nie mógł tego pojąć. W powrotnej drodze z Bridgewater zatrzymali się na Piątej Alei, przed najbardziej eleganckim sklepem. Eduardo, który przez cały czas towarzyszył mu jak przewodnik po cudownym świecie bogactwa, podał mu złotą kartę kredytową, na której wytłoczono jego nazwisko, mówiąc przy tym:

— Działa na jednym z pańskich kont.

A potem weszli do owej świątyni sztuki krawieckiej. Otoczyła ich cisza, zapach tkanin, delikatnej skóry i eleganckich perfum.

Witryny, stół do pakowania i wieszaki wydawały się być tak stare jak odkrycie Ameryki. John ani trochę by się nie zdziwił, gdyby ktoś mu powiedział, że ciemne drewno, z którego zrobiono całe wyposażenie, pochodzi z samej *Mayflower*. Siwowłosa, lekko utykający mężczyzna wyszedł im naprzeciw jak strażnik Graala, szybkim, profesjonalnym spojrzeniem obrzucił od stóp do głowy nieskazitelnie, choć nieco przesadnie modnie ubranego Eduarda, a zaraz potem Johna, wciąż jeszcze mającego na sobie stare dżinsy, rozciągnięty podkoszulek i wyświechtaną kurtkę, po czym bez najmniejszego grymasu zdecydował, że to John jest tym, który potrzebuje jego pomocy.

— Ile panowie zamierzają przeznaczyć na wyposażenie tego młodego mężczyzny? — zapytał.

— Ile trzeba — odpowiedział Eduardo.

I wtedy się zaczęło. John przymierzał, Eduardo decydował, proponował, komentował, komenderował pracownikami wte i wewte.

Pomysł, żeby wystroić się w porządnie skrojone garnitury, koszule, krawaty i tak dalej, w pierwszej chwili zupełnie się Johnowi nie spodobał. Są niewygodne, łatwo się brudzą i będzie czuł się w nich jak przebieraniec.

— Może pan pozwolić sobie na najlepsze z najlepszych — powiedział Eduardo — a te z pewnością nie są niewygodne, inaczej nie nosiliby ich bogacze.

— Niewątpliwie stać będzie pana na to, by ubierać się w cokolwiek pan zechce — oficjalnie odezwał się ojciec Eduarda, Gregorio — lecz radziłbym przynajmniej na pewne okazje posiadać stosowną garderobę.

— Jest pan bogatym człowiekiem — stwierdził jego brat Alberto, mrugając sympatycznie okiem. — Chce się pan przecież

na pewno *czuć jak* bogaty człowiek.

Dziadek Cristoforo uśmiechnął się i powiedział:

— Proszę po prostu zaczekać i zobaczyć, jak się pan będzie czuł.

I rzeczywiście, gdy John wreszcie stanął przed lustrem w pierwszym garniturze, był pod niemałym wrażeniem. O rany! Co za różnica! Wchodząc do sklepu czuł się jak kupka nieszczęścia, jak zbłąkany bezdomny czy urodzony przegrany, a głos w jego wnętrzu namawiał go, by rzucić się do ucieczki, gdyż nie ma czego szukać w tym otoczeniu, nie urodził się dla takiego ogromu bogactwa i elegancji. Teraz, w klasycznej granatowej dwurzędowce, w śnieżnobiałej koszuli i krawacie w dyskretne paski, błyszczących czarnych butach, tak twardych i ciężkich, że przy każdym kroku wydawały potężnie brzmiący dźwięk, nie dość, że wyglądał jak idealnie dopasowany do tego otoczenia, on wprost zdawał się emanować światłem ze swej postaci w lustrze. Nagle zmienił się w zwycięzcę, stał się niezmiernie ważną osobą. John spojrzał na pożałowania godną kupkę swoich starych ciuchów i wiedział na pewno, że już nigdy więcej ich nie założy. Noszenie tych garniturów było jak magia. Czuł się w nich jak półbóg i to go upajało. Było to wprost chorobliwie piękne.

Kupowali i kupowali, w końcu ich rachunek wzrósł do dwudziestu sześciu tysięcy dolarów.

— Mój Boże, panie Vacchi — szepnął John do Eduarda i poczuł, że zupełnie zbladł. — Dwadzieścia sześć tysięcy dolarów!

Eduardo tylko uniósł brwi.

— Tak, i co?

— Tyle pieniędzy za kilka garniturów? — wysyczał John, czując się bardzo nędznie.

— Wyszukanie tych garniturów zajęło nam prawie dwie godziny. Jeśli to pana uspokoi — w tym czasie pański majątek

wzrósł o około dziewięć milionów dolarów.

John wstrzymał oddech.

— Dziewięć milionów? W dwie godziny?

— Chętnie to panu wyliczę.

— Moglibyśmy więc kupić ten cały sklep.

— Moglibyśmy.

John jeszcze raz spojrział na rachunek, i tym razem suma wydała mu się wprost śmieszna. Poszedł z rachunkiem do kasy i położył go wraz ze swoją nową kartą kredytową, siwowłosy mężczyzna zniknął z nią za zasłoną i gdy wrócił, zdawało mu się, że jego garb jest jeszcze większy, tak służalczy nagle się zrobił. John zastanawiał się, czego takiego mógł się dowiedzieć, dzwoniąc do banku.

Zdecydował się zostać od razu w jednym z garniturów. Siwowłosy powiedział, że oczywiście chętnie wywiozą jego stare ubranie. Naprawdę powiedział „wywiozą”, jakby to, co John wcześniej nosił, w czym przyszedł do sklepu, było rodzajem śmieci. John doskonale mógł sobie wyobrazić tego człowieka, jak po ich wyjściu długimi, stalowymi szczypcami bierze z podłogi jego stare dżinsy i z wyrazem obrzydzenia na twarzy schodzi z nimi do piwnicy, by tam spalić je w piecu. Eduardo zarządził dostarczenie pozostałej garderoby przez spedycję, która miała przewieźć do Florencji również pozostały dobytek Johna, po czym wyszli.

Później, w trakcie kontroli na lotnisku JFK, John zauważył, jak odmiennie się czuje i jak inaczej jest traktowany — tylko dlatego, że ma na sobie drogi garnitur. Urzędnicy celni byli wobec niego uprzejmi, wręcz służalczy. Celnicy wierzyli mu, że nie ma nic do oclenia.

Pozostali pasażerowie rzucali w jego stronę pełne respektu

spojrzenia, jakby zastanawiali się, kim jest.

— Suknia czyni człowieka — powiedział Eduardo, gdy John opowiedział mu o swoich obserwacjach.

— To takie proste? — zdziwił się John.

— Tak.

— Ale każdy mógłby to zrobić! Kupić sobie naprawdę dobry garnitur. Oczywiście, tysiąc dolarów to mnóstwo pieniędzy, ale kiedy pomyślisz, ile ludzie wydają na samochody...

Eduardo tylko się uśmiechnął.

Na parkingu przed lotniskiem, tuż przy wyjściu, czekał na nich srebrny rolls-royce, długi, nieskazitelnie błyszczący i każdy, kto wychodził przez automatycznie otwierające się szklane drzwi, wpatrywał się w ów wóz jak zahipnotyzowany.

Przed samochodem stał białowłosy, lekko przygarbiony szofer, patrzący przed siebie z arystokratycznie nieruchomą miną. Jego mundur przywodził na myśl stare filmy, a on nosił go z widoczną dumą. Gdy czterech prawników wraz z Johnem wyszło, pchając przed sobą walizki, zdjął swoją mundurową czapkę, wsunął ją pod lewe ramię, a prawą otworzył drzwi samochodu.

Johna już nic nie dziwiło. Rolls-royce. Jasne. A cóż by innego? Zdziwiło go natomiast to, że już się niczemu nie dziwi.

— Tak — powiedział lekkim głosem Eduardo. — Ci ludzie zaraz zrobią niezłe miny.

— Dlaczego? — dopytywał się zirytowany John.

— Bo musimy sami załadować nasze walizy. Benito cierpi na silne bóle pleców. Ma problemy — dyski i jeszcze kilka innych łacińskich nazw, które mogą nie działać w kręgosłupie. Nie wolno mu podnosić niczego, co byłoby cięższe od kluczyków samochodowych.

Zatem John wraz z trójką młodszych Vacchich zapakowali

ciężkie, kanciaste kufry do zaskakująco przepastnego bagażnika rolls-royce'a. Tymczasem *Padrone* i szofer stali obok, gawędząc po włosku z lekkim odcieniem dialektu tak szybko, że John nie rozumiał właściwie nic. I rzeczywiście, mijający ich ludzie dziwili się, kilku nawet pozwoliło sobie na komentarze.

Benito, szofer, rzeczywiście nie był już najmłodszy. Dziadek Eduarda wydawał się przy nim wręcz młodzieńcem. O czymkolwiek rozmawiali, wydawali się znakomicie rozumieć.

— Benito powinien właściwie od dziesięciu lat być na rencie, i faktycznie jest — wyjaśnił Alberto dostrzegając spojrzenie Johna i odpowiednio je sobie tłumacząc. — Ale przez całe życie pracował dla nas jako szofer. Załamałby się, gdyby nie mógł już prowadzić rolls-royce'a, i dlatego będzie go prowadził, jak długo zechce.

Gdy kufry były już zapakowane, wsiedli, ruszyli, i za moment stali w korku jak wszystkie samochody wokół nich.

— Jedziemy teraz do naszej wiejskiej posiadłości — wyjaśnił Cristoforo, zwracając się do Johna. — Jest pan oczywiście naszym gościem dopóki nie zostaną dopełnione wszystkie formalności i nie wybierze pan sobie swojej przyszłej siedziby.

John poirytowany niechlujnym stylem jazdy innych samochodów, nieustannym używaniem klaksonu i gestykulacją kierowców, spojrzał na Cristofora.

— A o jakich formalnościach konkretnie mówimy?

— Majątek musi oficjalnie przejść w pana posiadanie. Czego musimy przy tym uniknąć, i czego unikniemy, bez obaw, to wysoki podatek spadkowy.

— Ile wynosi?

— Dużo. Połowę.

Zdumiony John zauważył, że informacja ta wyzwoliła w jego



brzuchu gorący, pełen złości impuls — uczucie, które nieomylnie zidentyfikował jako agresję.

*To szaleństwo*, pomyślał. Dwa dni temu życzyłby sobie jeszcze, by spadek ograniczył się do przejrzystych czterech milionów dolarów, zamiast przybierać tak porażające rozmiary. Teraz, zupełnie jakby każdy z tego tysiąca miliardów wypracował w pocie czoła własnymi rękami, sama myśl, że jakiś urząd finansowy mógłby mu tak po prostu zabrać połowę, sprawiła, że zalała go fala wściekłości.

— Ale jak pan chce to załatwić?

To był teren Gregoria.

— Zawarliśmy z włoskim ministrem finansów coś na kształt dżentelmeńskiej umowy. On zadowoli się symbolicznym podatkiem od spadku w wysokości kilku milionów, a pan za to obieca mu przez co najmniej rok swoje dochody kapitałowe opodatkować we Włoszech. To przyniesie mu do kasy dwadzieścia miliardów dolarów, a on akurat teraz będzie mógł zrobić z nich dobry użytek.

— To mógłby każdy minister finansów, prawda?

— Tak — zgodził się z nim prawnik. — Ale Włochy chciałyby koniecznie przystąpić do europejskiej unii walutowej, która ma być wprowadzona w roku 1999, a w tej chwili jest bardzo wątpliwe, czy zdołamy spełnić wymagane kryteria finansowe. Pańskie dwadzieścia miliardów mogłoby być jęczyzkiem u wagi. Dlatego minister, ujmijmy to tak, jest niezwykle skłonny do kompromisu.

John skinął głową ze zrozumieniem, czując równocześnie w żołądku śmieszny ucisk. Musi dopiero przywyknąć do takiej perspektywy. Wszystko co powie albo zrobi, będzie natychmiast zauważone i co więcej, będzie mogło wywierać potężny wpływ

na życie innych ludzi. Jakoś nie mógł jeszcze w to wszystko naprawdę uwierzyć.

Jeden ze sklepów przy ulicy, którą na piechotę poruszałiby się znacznie szybciej, przyciągnął jego uwagę.

— Powiedział pan, że te pieniądze naprawdę należą do mnie — zwrócił się do Gregoria. — Czy to prawda, teraz, w tej chwili, już teraz?

— Oczywiście.

— Mógłbym więc wydać część z nich, jak zechcę?

— W każdej chwili — spojrzał na syna. — Eduardo, dałeś mu przecież jego kartę kredytową, prawda?

Tamten przytaknął.

— OK — powiedział John. — Chciałbym wsiąść.

W swym innym życiu John czytał pewnego razu artykuł, którego autor opisując jazdę ferrari twierdził, że jest lepsza od seksu. Ten człowiek miał rację.

Odkąd opuścili autostradę, mijali miasta o wdzięcznych nazwach Prato, Pistoria albo Montecatini, a droga stała się węższa i wiła się ciasnymi zakrętami wśród suchych wzgórz. Wzdłuż pól wznosiły się kopce kamieni. Raz po raz mijali prastare, wyglądające na opuszczone chłopskie chaty.

Gdy przejeżdżali przez wieś, biegły za nimi umorusane dzieci. Krzyczały i machały do nich. Również mężczyźni, czy to stojący w otwartych drzwiach chat, czy majsterkujący przy traktorach, podnosili dłoń w pozdrowieniu.

— Jeśli skręci pan na tym skrzyżowaniu przed nami w prawo, skrócimy sobie drogę — zawołał Eduardo.

— A jeśli pojedę prosto?

— Wtedy potrzebujemy dwadzieścia minut dłużej.

— Zatem jedziemy prosto — orzekł John. Dodał gazu,

rozkoszując się uczuciem wgniatania w twarde, skórzane siedzenie, gdy czerwone ferrari z niepowtarzalnym, wprost boskim hukiem przyspieszyło i przemknęło przez puste skrzyżowanie niczym wystrzelona z łuku strzała.

To lepsze niż seks, naprawdę. John wyobrażał sobie, że jazda ferrari musi być wspaniała, lecz rzeczywistość okazała się o wiele bardziej podniecająca, niż był w stanie sobie przedstawić. Oto siedzi we wnętrzu mocnej maszyny, huk silnika odczuwa niby szmer własnego serca, auto staje się jednym z jego własnym ciałem. Przyspiesza niepowstrzymanie, z nieograniczoną prędkością i nieograniczoną siłą pędzi po ulicach i bierze zakręty aż krew gotuje się w żyłach. Czuje się tak, jakby cały świat należał tylko do niego.

— Czy to dyskwalifikuje mnie w pańskich oczach? — spytał John, gdy przemknęli przez mostek wznoszący się nad wąskim, niemal zupełnie wyschłym strumieniem.

— W jakim sensie?

— No cóż — stwierdził John, zataczając ręką szeroki gest, obejmujący mniej więcej wnętrze wozu, w którym siedzieli — ma pan przed sobą dziedzica majątku Fontanellich, wykonawcę proroctwa, od pół tysiąclecia wyznaczonego na tego, kto przywróci ludzkości jej utraconą przyszłość... a pierwsze, co robi, to kupuje sobie coś tak kompletnie bezsensownego i niepotrzebnego jak nieprzyzwoicie drogi sportowy wóz!

Eduardo roześmiał się.

— W takim razie nie zna pan mojego dziadka. Polubił pana całym sercem, i to na zawsze. Może pan teraz wyprawiać, co tylko zechce.

John zdziwiony uniósł brwi.

— Och!

Wzruszyło go to, nie wiedzieć czemu.

— Poza tym — kontynuował Eduardo — w jakiś sposób dokładnie odpowiada pan teorii, jaką sobie stworzył.

— Teorii?

— Przez dziesięciolecia śledził losy ludzi, którzy nagle i niespodziewanie otrzymali wiele pieniędzy. Takie rzeczy, o jakich czyta się w gazetach. Mówi, że ci, którzy od razu zaczęli oszczędzać, szybko stracili swój nowy majątek. W przeciwieństwie do nich ci, którzy najpierw spełnili jakieś swoje zupełnie szalone marzenie, później najczęściej nauczyli się prawidłowo obchodzić ze swymi pieniędzmi.

— Zatem jest jeszcze nadzieja.

— Właśnie.

Po prostu musiał to zrobić. Gdy zobaczył okno wystawowe, a w nim czerwone bolidy z nieomylnie rozpoznawalnym czarnym koniem na żółtym tle, w których usadzono uszminkowane manekiny, poczuł coś na kształt głodu: takie auto chciał mieć, chciał nim jechać i to *natychmiast*.

W filmach to zawsze było proste. Jednak po tej stronie ekranu auto musiało najpierw przejść badania techniczne, być ubezpieczone, trzeba było najpierw udać się do tysiąca urzędów, nim można było nim wyjechać.

Eduardo wspierał go mnóstwem pomocnych słów i w końcu ktoś skinął głową, co miało oznaczać: „Wszystko zostanie zrobione, jak należy, ale będzie na to czas później”. Mógł wyjechać natychmiast. Wszystko, co musiał zrobić, to podpisać potwierdzenie z karty kredytowej, na którym widniała niesamowicie ogromna suma w lirach

— John nie zadał sobie nawet trudu, by przeliczyć ją na dolary — i potem nastąpił magiczny moment. Szef filii, bardzo

elegancko ubrany mężczyzna, z oleście błyszczącymi włosami, wcisnął mu w dłoń kluczyki. Eduardo i on wsiedli do wozu, szyba okna wystawowego przed nimi została odsunięta na bok i przy akompaniamencie hałaśliwego koncertu klaksonów wyjechali na zewnątrz.

A przy tym John właściwie nigdy nie był fanem ferrari. W serialu telewizyjnym „Magnum” za każdym razem wydawało mu się dosyć głupkowate, że Tom Selleck jeździ autem tej marki, w oczach Johna zbyt drogim i niepraktycznym wozem. Oczywiście, zawsze marzył o jakimś wspaniałym samochodzie jako o symbolu odniesionego sukcesu, jak każdy zdrowy Amerykanin, ale miał wtedy na myśli raczej cadillaca albo porsche. Z pewnością nie ferrari.

A przecież, kiedy pomyślał o momencie, gdy z okna rolls-royce'a zobaczył szybę wystawową ferrari, w zasadzie chodziło mu o to, by sprawdzić, co naprawdę warte są te wszystkie słowa, czy on, teraz podobno najbogatszy człowiek świata, może po prostu wejść i kupić sobie takie bezsensowne auto. No i proszę, mógł.

— Pański dziadek naprawdę wierzy w to proroctwo, prawda?  
— spytał John.

Eduardo przytaknął.

— Tak, on wierzy.

— A pan?

— Hm. — Dłuższa przerwa. — Nie w tym sensie, w jakim wierzy dziadek.

— A co pan sądzi?

— Ja myślę, że jako rodzina dokonaliśmy czegoś dość bezprecedensowego, utrzymując ten majątek przez tak długi czas. Ale myślę też, że on nie należy do nas, że naprawdę należy

do spadkobiercy wyznaczonego przez Fontanellego.

— Czyli mnie.

— Tak.

— Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, by to sobie po prostu zatrzymać? To znaczy, kto w ogóle wiedział o istnieniu tego majątku?

— Nikt. To brzmi jak szaleństwo, wiem. Ale tak mnie wychowano. Być może nie potrafi pan sobie tego wyobrazić. Wyrosłem w atmosferze oczekiwania i planowania, pracy nad przygotowaniem do pewnego ściśle określonego dnia, ustalonego przed pięciuset laty. Zadaniem Vacchich było chronić majątek, zabezpieczać go i sprawiać, by równomiernie rósł, aż w końcu zostanie przekazany spadkobiercy. Potem — kiedy spadkobierca będzie już posiadaczem swego majątku — staniemy się wolni. Nasze zobowiązanie zostanie wypełnione.

John próbował wyobrazić sobie takie życie — ludzie, którzy czuli się zobowiązani obietnicą, którą ich praprzodek setki lat wcześniej złożył — i przeszedł go dreszcz, tak niesamowite to mu się wydało.

— Naprawdę pan tak to odczuwa? Jako obowiązek? Jako przytłaczający ciężar?

— To nie jest przytłaczający ciężar. To po prostu nasze zadanie i dopiero, kiedy je wypełnimy, możemy zająć się innymi sprawami. — Eduardo wzruszył ramionami. — Może wyda się to panu dziwne, ale musi pan zrozumieć, że te Wszystkie rzeczy, które przed dwoma dniami opowiadał panu mój dziadek, my wiemy przez całe życie. Opowiadano mi historię snu Fontanellego tak, jak innym dzieciom opowiada się historię o Bożym Narodzeniu. Mogę ją powtórzyć z pamięci. Każdego roku obchodziliśmy 23 kwietnia jak święto i za każdym razem

powtarzaliśmy: „Zostało jeszcze tyle a tyle lat”. Nie umiem myśleć o żadnym wydarzeniu w historii ostatniego stulecia bez tego, by przy okazji nie przypomnieć sobie, jaki stan osiągnął majątek Fontanellego danego roku. I przez wszystkie te lata obserwowaliśmy rodzinę Fontanellich. Wiedzieliśmy o każdym zawartym małżeństwie i o każdych narodzinach, wiedzieliśmy, kto jaki uprawia zawód i kto mieszka w jakim mieście. Przy czym w ostatnich latach trochę przegapiliśmy. Im bardziej zbliżał się wyznaczony dzień, tym bardziej byliśmy pewni, że spadkobiercą będzie pański kuzyn Lorenzo.

John poczuł jakby ukłucie.

— A teraz jest pan rozczarowany, że to nie on?

— Mnie proszę nie pytać. Ja do ostatniej jesieni studiowałem i nigdy go nie widziałem. Obserwacja była zadaniem innych. Tu musimy skręcić w prawo.

John posłuchał wskazówki i wjechali na drogę prowadzącą lekko w górę, która zmusiła ich do wolniejszej jazdy, gdyż była wąska i kręta.

— A kim byli inni kandydaci?

— Numerem dwa był pan, numerem trzy byłby pewien dość odległy kuzyn, technik dentystyczny w Livorno, ma trzydzieści jeden lat, jest żonaty, ale bezdzietny, co w rodzinie Fontanellich zdarza się zaskakująco często.

— Ależ będzie się złościł.

— On nic o tym nie wie.

Dotarli do szczytu góry, dalej droga prowadziła najwyraźniej do wioski. Nieco na uboczu, z widokiem na Morze Śródziemne, niewątpliwie przepięknym, leżała wielka posiadłość i John był pewien, że to musi być wiejska posiadłość Vacchich.

— Co pański dziadek o mnie sądzi?

— Że jest pan spadkobiercą, którego w swoim śnie zobaczył Giacomo Fontanelli w roku 1495. I że z jego majątkiem zrobi pan coś bardzo, bardzo dobrego dla ludzi, coś, co otworzy znów drzwi do przyszłości.

— Dość ambitne oczekiwania, prawda?

— Otwarcie mówiąc, sądzę, że to tylko taka mistyczna gadanina.

Eduardo roześmiał się głośno.

Zbliżyli się do wioski. Droga, która dochodziła do niej z drugiej strony, jak zauważył John, była szersza.

— Ale u Vacchich wiara przychodzi z wiekiem, tak się u nas mówi — kontynuował Eduardo. — Mój ojciec i mój wujek są w stadium, w którym Vacchi wierzy przynajmniej, że z tak dużą ilością pieniędzy można zrobić coś przełomowego, coś sensownego i łamią sobie głowę nad tym, co by to mogło być. Mój dziadek w ogóle się o to nie troszczy. Pan jest prawdziwym dziedzicem, to wszystko jest świętą wizją i jeżeli kupuje pan sobie ferrari, to widocznie było tak przewidziane w planach Bożych, *e basta*.

Krótkimi ruchami palca wskazującego, które John nauczył się już dobrze rozumieć, Eduardo pilotował go przez wioskę, robiącą bardzo spokojne wrażenie. Dotarli do posiadłości, wjechali przez szeroki portal, którego kuta w żelazie brama stała szeroko otwarta i znaleźli się na obszernym, wysypanym grysem dziedzińcu wewnętrznym. Rolls-royce już tam stał w cieniu wysokich, starych drzew i John zatrzymał ferrari obok niego. Gdy silnik przestał pracować, przez chwilę miał wrażenie jakby ogłuchł.

— A pan, co pan sądzi? — dopytywał się.

Eduardo skrzywił się.



— Ja myślę, John, że ma pan bilion dolarów. Jest pan królem świata. Jeśli nie będzie się pan tym świetnie bawił, to jest pan idiotą.

## 4

Cała posiadłość tchnęła historią. Liście na drzewach cicho szumiały, poruszone nadlatującym od morza wiatrem, i rzucały niespokojne cienie na wznoszące się wysoko mury, których tynk pokryty był siatką delikatnych pęknięć. Zdążyli zrobić kilka kroków po grysie, kiedy otworzono drzwi domu. Dobrze zbudowana kobieta po pięćdziesiątce, która bez charakterystyki mogłaby wystąpić w reklamie spaghetti, wyszła im naprzeciw, zalewając ich potokiem włoskich słów.

— Musisz mówić wolniej, Giovanna — odpowiedział jej po włosku Eduardo. — Inaczej signor Fontanelli cię nie zrozumie!

I zwracając się do Johna, powiedział po angielsku:

— To Giovanna, dobry duch tego domu. Ona będzie się o pana troszczyć, ale nie mówi po angielsku.

— To, co pan do niej powiedział, zrozumiałem — uśmiechnął się John. — Jakoś to będzie.

Jego ojciec zawsze upierał się, żeby dzieci znały przynajmniej podstawowe słowa swojego ojczystego języka, ale ponieważ w domu najczęściej mówiło się po angielsku, mało było okazji do ćwiczeń. Jednak to, czego się kiedyś nauczył, teraz powoli mu się przypominało.

Weszli przez drzwi, znaleźli się w ciemnym, chłodnym holu. Przed nimi szerokie schody prowadziły nadzwyczaj reprezentacyjnie na galerię. Na lewo i prawo odchodziły mroczne korytarze, a z góry zwisał ciężki żyrandol. Ich kroki rozbrzmiewały echem na chłodnej posadzce z terakoty.

Eduardo jeszcze raz przypomniał Giovannie, by mówiła do Johna powoli i wyraźnie, czym zasłużył sobie na jej nieco obrażone spojrzenie, po czym pożegnał się i zniknął. John

poszedł za rezolutną gospodynią po schodach do góry i przez jasny korytarz, po czym weszli do dużego pokoju, o którym powiedziała, że to jego. Pomieszczenie było wielkie, miało duże szklane drzwi wychodzące na obszerny balkon, nad którego nieco zwietrzałą balustradą z piaskowca można było dojrzeć Morze Śródziemne.

— Tu jest pańska łazienka — powiedziała, lecz John widział tylko połyskujące, rozległe morze. — Gdyby pan czegoś potrzebował, obojętnie czego, proszę wybrać piętnaście.

— Słucham? — powiedział John, teraz już całkiem automatycznie po włosku i odwrócił się. Stała przy łóżku, trzymając w dłoni słuchawkę telefonu, nowoczesnego, bezprzewodowego urządzenia, którego stacja bazowa stała na nocnej szafce.

— Piętnaście — powtórzyła Giovanna jeszcze raz. — Gdyby pan czegoś potrzebował.

— Tak. — John skinął, wziął telefon z jej wyciągniętej dłoni. — A kiedy będę chciał zatelefonować? Na zewnątrz? — Nie mógł sobie przypomnieć włoskiego słowa na *rozmowę lokalną*.

— Trzeba wybrać zero — wyjaśniła Giovanna, cierpliwa jak matka wobec mało rozgarniętego dziecka. John zastanowił się, czy gospodyni ma dzieci. Potem przyjrzał się telefonowi. Miał małą, przezroczystą plastikową tabliczkę, za którą zatknięto kartkę z numerem telefonu. Napisano na nim 23.

— Dziękuję — powiedział.

Kiedy odeszła, poczuł, jak jest zmęczony. To musiał być skutek lotu odrzutowcem. Podczas podróży niewiele spał i stracił poczucie czasu, czuł zupełny zamęt, był rozdrażniony, a równocześnie niesamowicie zmęczony. Łóżko wyglądało nieźle, szerokie i przyjemne, świeżo pościelone. Jazda ferrari była jak

zastrzyk adrenaliny, jak mocna kawa, mknąc przez okolicę czuł się podniecony, niczym w ekstazie... Teraz nie mógłby zasnąć, nawet gdyby mu się chciało. Nie potrafiłby zmrużyć oka. Ale położyć się troszkę na łóżko, chwilę wypocząć, to tak. To nie zaszkodzi.

Gdy się obudził, raptownie usiadł prosto, rozejrzał się i dopiero wtedy zrozumiał, gdzie jest i co się stało. Było jeszcze jasno — a może *znów* jasno — w każdym razie światło zmieniło się. Wyprostował się, przecesał włosy palcami i oszołomiony potrząsnął głową. Żeby zasnąć w ubraniu, tak z sekundy na sekundę...

Z trudem się podniósł. Gdzie jest łazienka? Wszystko jedno. Jakby go tam coś ciągnęło, podszedł do drzwi balkonowych i wyszedł na zewnątrz. Świeże, pachnące solą i przestrzenią powietrze otrzeźwiło go. Słońce stało nisko nad horyzontem, to musi być kierunek zachodni — zatem jest późne popołudnie. Przespał co najmniej pięć godzin.

Dopiero teraz zobaczył, jak zbudowany jest dom Vacchich. Od budynku głównego odchodziły dwa skrzydła, każde z nich skręcało pod kątem prostym w kierunku morza i kończyło się wspaniałym tarasem. Na jednym z nich teraz stał. Na przeciwległym tarasie rozciągnięto błękitne lniane zadaszenie chroniące przed słońcem, a pod nim właśnie nakrywano wielki stół. Dzikie wino pięło się po balustradzie, na której ustawiono wielkie donice z czerwonymi, niebieskimi i fioletowymi kwiatami. Ktoś kiwał do niego, aby przyszedł.

— Kolacja! — zrozumiał i rozpoznał Alberto Vacchiego. Obok niego stał jeszcze ktoś, to musiał być jego brat Gregorio, a poza tym były tam jeszcze jakaś kobieta, której nie znał, i Giovanna

wraz z młodą dziewczyną w stroju służącej — obie rozstawiwały na stole talerze i kieliszki.

John pomachał do nich, stał jednak jeszcze przez chwilę, patrząc na rozległą przestrzeń morza migocącego w świetle słońca jak na kiczowatej widokówce. Zobaczył płynący wielki, śnieżnobiały jacht i jego widok wywołał u Johna lekkie poczucie zazdrości, jakie czuje prawdopodobnie każdy, stojąc na brzegu i spoglądając na tak niedościgle piękny statek. Jachty buduje się chyba specjalnie po to, by budzić u obserwatorów takie uczucia.

Potem przypomniał sobie, że przecież jest bogaty, niesamowicie bogaty. Może kupić sobie taki jacht, kiedy tylko zechce. Może kupić sobie tuzin takich jachtów. Jeśli będzie miał ochotę, może sprawić sobie prywatny odrzutowiec, całą flotę Jumbo Jetów. Nawet to nie spowolniłoby ciągłego wzrostu jego monstrualnego majątku. *Z każdym oddechem*, jak powiedział Eduardo *Jest pan bogatszy o cztery tysiące dolarów*. To znaczy, że jego majątek rośnie szybciej, niż on byłby w stanie zliczyć, nawet gdyby dawano mu banknoty tysiącdólarowe.

Ta myśl sprawiła, że zrobiło mu się miękko w kolanach, choć nie potrafiłby właściwie powiedzieć, dlaczego. Nagle cała ta historia przerosła go, napełniła strachem, napierała na niego, zagrażając, że go zmiażdży i pogrzebie pod sobą, jak schodząca z gór lawina. Odwrócił się w kierunku domu, próbował popychać palcami na oślep kolejno szklane drzwi, aż doszedł do tych, które były otwarte i gdy znalazł się w końcu z powrotem w swoim pokoju, opadł na pokrytą dywanem podłogę. Leżał tak, aż rozwiały się ciemne plamy przed jego oczami.

Miał nadzieję, że nikt nie widział go w tym stanie. Powoli usiadł, siedział tak i czekał. Wreszcie wstał, znalazł łazienkę, trzymał twarz pod kranem, a gdy znów z niej wyszedł, nagle

poczuł niesamowicie smakowity zapach pieczeni, który wiatr przywiał do niego z sąsiedniego tarasu i napełnił nim jego pokój. Chętnie wzięłby prysznic i przebrał się, jednak nie wiedział, kiedy i gdzie przyjadą jego rzeczy, a nie chciał teraz nikogo tym kłopotać. Poza tym wabiło go jedzenie i postanowił, że na prysznic znajdzie czas później.

Sam odszukał drogę na drugi taras. Nie było to trudne, gdyż dom zbudowany był symetrycznie. To, co po tamtej stronie było jego pokojem, tutaj okazało się urządzone z przepychem salonem, a gdy wyszedł na taras, przywitano go przyjaźnie.

— Tak to już jest z tymi lotami transatlantyckimi — stwierdził Alberto, wskazując wolne miejsce obok siebie.

— Najgorsze są te w kierunku wschodnim, wtedy pomaga tylko sen i dobre jedzenie... Giovanna, proszę o talerz dla naszego dostojnego gościa.

Wszyscy siedzieli przy długim, masywnym stole z drewna, który sprawiał wrażenie, jakby wyciosano go przed setkami lat dla jakiejś rycerskiej Sali. Prawnicy na jednym końcu — brakowało tylko *Padrone* — a na drugim garstka innych gości, John rozpoznał z nich tylko Benito, szofera, i siedzącą przy nim Giovannę, mówiącą coś do niego z gwałtowną gestykulacją. Między nimi na środku stołu stały wielkie, szklane misy z wielobarwnymi sałatkami, kosze świeżego, pachnącego drożdżami białego chleba i żeliwne garnki, w których pyszniły się pieczone ryby. Młoda pokojówka przyskoczyła na skinienie Giovanny i postawiła przed Johnem talerz, sztucce i kieliszek ze szlifowanego kryształu.

Alberto zajął się prezentacją. Kobieta, którą John widział już ze swego tarasu, miała na imię Alvina, była żoną Gregoria, a zatem matką Eduarda. Mówiła po angielsku dobrze, choć z silnym

akcentem i opowiedziała, że uczy w tutejszej wiejskiej szkole. Potem Alberto rzucał jedno imię po drugim, John jednak nie był w stanie ich zapamiętać, przyglądał się tylko twarzom. Barczysty mężczyzna z początkami łysiny, który rozsiadł się na krześle i przysłuchiwał rozmowie Giovanni i Benita, był ogrodnikiem.

Dwaj młodzi chłopcy, z zapalem ogryzający swoje ryby, byli tu tylko przez to popołudnie, by wyczyścić basen w piwnicy, co czynili raz na miesiąc, dorabiając do kieszonkowego. Bezzębny staruszek, który trzymał swą szklanę wina z lekko zamglonym uśmiechem, to jeden z wieśniaków, rodzina Vacchich kupowała od niego świeże owoce i warzywa.

— To jeden z naszych stałych zwyczajów — wyjaśnił Alberto. — Duża kolacja i każdy, kto akurat jest w domu, jest proszony do stołu. W ten sposób wiemy zawsze, co nowego dzieje się w wiosce. — Ale pan przecież musi być głodny, John; proszę się częstować!

John rzucił się na miski i nałożył sobie obficie. Tymczasem prawnik nalał mu wina z ciemnej butli, wina, które w kieliszku migotało ciemnoczerwonym kolorem rubinu.

— Pański ojciec nie przyjdzie? — spytał John lekkim tonem i przestraszył się, gdy w odpowiedzi twarz Alberta się zachmurzyła.

— Jeszcze śpi. Takie podróże męczą go bardziej, niż chce przyznać. — Milczał przez chwilę, po czym dodał: — Z jego zdrowiem nie jest już najlepiej, ale nie mógł sobie odmówić przyjemności uczestniczenia w odczytaniu dokumentu. Taki już jest.

John skinął głową.

— Rozumiem.

— Jak podoba się panu pański pokój? — spytał Gregorio.

John, który akurat wziął pierwszy kęs ryby do ust i teraz gryzł go pośpiesznie, kiwnął głową przytakująco.

— Dobrze. Naprawdę bardzo mi się podoba. Wspaniały widok.

— Pozwól mu jeść, Gregorio — upomniała go żona i uśmiechnęła się do Johna. — To najpiękniejszy pokój w całym domu. Już od dawna czekał na pana.

— Ach — mruknął John, nie wiedząc, co ma na to powiedzieć. Ponieważ nic mu nie przyszło do głowy, włożył do ust trochę sałaty. Jedząc ją, przysłuchiwał się rozmowie tyczącej na szczęście innych tematów.

Wyglądało na to, że Alberto nie ma żony. Dopiero teraz John zauważył, że nie nosi on obrączki. Eduardo w milczeniu grzebał widelcem w swojej sałacie, zdawało się, że myślami przebywa gdzie indziej, zaś Alvina i Alberto rozmawiali o jej dawnym uczniu, który, o ile John dobrze rozumiał ich rozmowę, wyjechał do Florencji, tam założył niezależną firmę informatyczną i właśnie zdobył duże zamówienie. Potem ogrodnik podniósł się, podszedł do nich, podziękował za jedzenie i powiedział, że musi iść do pracy, ponieważ wykopał pięć krzewów; trzeba je jeszcze dziś zasadzić, gdyż do jutrzejszego ranka wyschłyby. John czuł, jak opuszcza go napięcie, którego sobie wcześniej nawet nie uzmysławiał. To było uspokajające, siedzieć tu, jeść pieczoną rybę, oddzielając białe mięso od ości i maczać kawałki chleba w sosie, oleistym i pachnącym czosnkiem, o wspaniałym smaku, podczas gdy życie wokół toczyło się dalej, jakby nigdy nic. Coś mówiło mu, że nie będzie mu dane przeżyć wiele więcej takich spokojnych chwil. Było to jak cisza przed burzą.

Przed burzą wartą bilion dolarów.

Następnego ranka potrzebował dużo czasu, by się obudzić.



Wokół było już jasno, leżał wśród niesamowicie wspaniale pachnących prześcieradeł na materacu, który tak dobrze robił jego ciału, nie był za twardy ani za miękki, kiedy wszystko znów mu się przypomniało. Spadek. Lot. Ferrari. Tak, naprawdę *trochę* wypił wczoraj wieczorem.

Lecz, o dziwo, nie bolała go głowa. Wyprostował się. Postawił nagie stopy na mięciutkim dywanie i mrużąc oczy, rozejrzał się po ogromnym pokoju. Drzwi balkonowe były otwarte, z oddali dobiegał szum morza i zdawało mu się, że czuje jego zapach. Meble nie były zupełnie w jego guście, wszystko bardzo ozdobne, za wiele szkła i wymyślnych wywijasów, lecz wyglądały na solidne i z pewnością były bardzo drogie.

Obiema dłońmi przeczesał włosy, ziewnął przeciągle, spróbował się przeciągnąć. Wydarzenia poprzedniego wieczoru pamiętał jak przez sen. Bóg wie, jak tu wrócił, lecz to wszystko jest naprawdę rzeczywiste. Siedzi w jedwabnej piżamie na krawędzi łóżka, ziewa, trochę rozmamłany, lecz z pewnością nie jest to sen.

Co teraz? Dobrze zrobiłaby mu filiżanka kawy. Duża filiżanka gorącej i mocnej kawy. Ale przedtem prysznic.

I nawet bilioner musi rano zacząć od toalety. Do śniadania nakryto znów na tarasie, wyglądało na to, że odbywa się na nim niemal całe życie rodzinne Vacchich. Ktoś przepiął inaczej błękitne osłony przeciwsłoneczne, by chroniły przed przedpołudniowymi promieniami i otwierał się teraz szeroki widok na morze.

Tym razem przy stole siedział tylko *Padrone*, brakowało reszty rodziny. Delikatnym ruchem dłoni zaprosił Johna na miejsce obok siebie.

— Co chciałby pan zjeść na śniadanie? My tu we Włoszech rano

rzadko spożywamy coś więcej niż cappuccino, ale Giovanna jest w kuchni i spełni wszystkie pana życzenia. O ile się nie mylę, może zaproponować nawet szeroki wybór oryginalnych amerykańskich płatków śniadaniowych.

— Na początek najlepsza byłaby dobra kawa — stwierdził John.

Chyba go usłyszała, gdyż zaraz przysłała z wielką filiżanką cappuccino i postawiła ją przed nim. Ona także wyglądała na trochę zmęczoną wczorajszym wieczorem.

— Wszyscy inni jeszcze śpią — mówił dalej pogodnym głosem staruszek, gdy zauważył, że John obserwuje rzędy okien. — Nic dziwnego. Lot przez Atlantyk, potem długa jazda samochodem, a na koniec biesiada... Moi synowie też już nie są tacy młodzi, oni tylko nie chcą tego zaakceptować. Alberto z pewnością opowiedział panu ponure historie o stanie mojego zdrowia, prawda? W rzeczywistości rozmyślnie nie przyszedłem na kolację. Wie pan, studiowałem wiele biografii ludzi, którzy dożyli późnej starości i stwierdziłem, że niezwykle istotną rolę odgrywa sen. Nie jedyną, lecz jednak bardzo ważną. Można stać się naprawdę starym, nawet nie będąc okazem zdrowia ani odporności, jeśli tylko troskliwie dba się o to, żeby wystarczająco dużo spać. — Zresztą, Eduardo mimo to mógłby się już tu pojawić, w końcu jest w pańskim wieku.

John małymi łydkami pił z filiżanki. Gorzki, gorący eliksir sączący się spod słodkiej piany robił mu dobrze i spływając przez gardło ożywiał jego zmysły. W połyskującym chromem drucianym koszyku leżały małe kawałki pieczywa, wziął sobie jeden.

— O ile pamiętam, gdy szedłem do łóżka, on poszedł do piwnicy, by przynieść jeszcze wina.

Cristoforo Vacchi roześmiał się i potrząsnął głową.

— Zatem będziemy mieć ranek tylko dla siebie, jak się spodziewam.

— Czy to dobrze, czy źle?

— To zależy od tego, co z nim poczniemy. Czy ma pan już jakieś plany?

John ugryzł pieczywo. Smakowało troszkę słono, lecz bardzo przyjemnie. Przeżuwając pokręcił głową.

— Zdziwiłbym się, gdyby miał pan plany — oświadczył stary Vacchi. — I tak to wszystko musi panu wydawać się snem. Wyrwaliśmy pana z pańskiego otoczenia, wlekliśmy przez pół kuli ziemskiej, umieściliśmy tutaj... To trochę za wiele.

— Trochę.

Cristoforo Vacchi spojrzał na niego poważnym, łagodnym spojrzeniem.

— Jak pan się czuje, John?

John unikając jego wzroku, uniósł filiżankę.

— Właściwie zupełnie dobrze. Dlaczego?

— Czy czuje się pan *bogaty*?

— Bogaty?

John głęboko odetchnął i zachmurzył się.

— Tego nie mogę powiedzieć. W porządku. Wczoraj kupiłem sobie ferrari. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale bogaty... Nie. Raczej jakbym był na urlopie. Jakby pojawili się włoscy krewni i niespodziewanie wzięli mnie na wycieczkę po Europie.

— Czy miałby pan ochotę na wycieczkę po Europie?

— Jeszcze o tym nie myślałem... Tak mi się wydaje.

— Chwilowo odradzałbym ją panu — powiedział Cristoforo Vacchi. — Może pan to zrobić, kiedy zechce, ale później. To proces nauki. Musi pan nauczyć się obchodzić z pieniędzmi, z mnóstwem pieniędzy. Nie istnieje żadne materialne pragnienie,

którego spełnienia musiałyby pan odmówić sobie z braku pieniędzy — lecz mogą być inne powody i trzeba, by był pan w stanie je dostrzec. Pańskie dotychczasowe życie nie przygotowało pana do tego — przynajmniej nie był to jego główny motyw — i musi pan to teraz nadrobić.

John zmrużył oczy.

— Co ma pan na myśli mówiąc „główny motyw”?

*Padrone* spojrział w górę na zadaszenie przeciwsłoneczne. Oszacował je wzrokiem i przesunął się krzesłem troszkę dalej, by pozostać w cieniu.

— Słońce nie jest już takie samo, jak za czasów mojej młodości. Nie sądzę, by działo się tak za sprawą mojego wieku. W moich czasach nikt nie narzekał na słońce. Myślę, że to naprawdę ma coś wspólnego z tą dziurą ozonową. Ona zmieniła słońce, to znaczy oczywiście światło dochodzące od niego. — Zamyślony pokiwał głową. — Ten, kto wymyślił aerozol, oczywiście tego nie przewidział. Może nie jest to takie proste, że winien jest tylko on sam. Istnieje zawsze wiele przyczyn dających rozmaite efekty, a wszystkie są wzajemnie powiązane, tworzą splot, który trudno jest rozwikłać, a może wcale nie można. Rozumie pan, co mam na myśli mówiąc *główny*?

John zastanowił się, potem skinął głową, choć co najwyżej przeczuwał, do czego zmierza staruszek.

— Tak.

— Sądzę, że jest w tym ukryty sens, zarówno w tym, że dorastał pan tak, jak dorastał, jak i w tym, że — ujmijmy to tak — uszedł pan naszej uwadze od pewnego wieku. — Kręcił głową i zdawało się, że w duchu zaśmiewa się z tego. — Pięćset lat przygotowań, a potem taka kompromitacja. Może pan to sobie wyobrazić? Po śmierci Lorenza zostaliśmy z pustymi rękami. Nie wiedzieliśmy o

panu nic poza nazwiskiem i nie mieliśmy nic, prócz dokumentów sprzed co najmniej dziesięciu lat. — Znów zachichotał, wziął kawałek pieczywa i zamoczył go w kawie, nim ugryzł.

— Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie pan mieszka.

John z wysiłkiem uśmiechnął się.

— Czy Lorenzo bardziej nadawałby się na spadkobiercę? — spytał, mimowolnie wstrzymując oddech.

*Padrone* pokiwał głową.

— Na pewno by się nadawał. Był inteligentny, nawet bardzo inteligentny, w szkole wygrał kilka nagród matematycznych... Przyznaję, fascynował nas wszystkich. Nadawałby się — na pierwszy rzut oka. Ale powiedziałem przecież panu, że nie dowierzam pierwszemu wrażeniu.

— Ja nie wygrywałem nagród matematycznych — powiedział John. — Mam problemy nawet ze zwykłym policzeniem odsetek. I nie jestem też jakoś o wiele bardziej inteligentny niż ktokolwiek inny.

Cristoforo Vacchi spojrzał na niego.

— Ale Lorenzo jest martwy, a pan żyje.

— Może to pomyłka.

— To Bóg wyznacza nam nasze przeznaczenie. Sądzi pan, że Bóg się pomylił?

John zwlekał.

— Nie wiem — powiedział potem. — Może. Czasem myślę, że tak.

Stary człowiek uniósł filiżankę do ust, wypił, mrużąc cicho, kiwał głową, jakby nie słyszał, co powiedział John.

— Jest pan jeszcze młody — oznajmił raptem. — Jest pan jeszcze zbyt młody, by dostrzegać doskonałość świata, John. Niech się pan tym nie przejmuję. Proszę mi wierzyć — jest pan

właściwym spadkobiercą.

— Więc dlaczego wcale się tak nie czuję?

— Bo musi się pan dopiero nauczyć tak czuć. W pewnym stopniu jest pan nadal w szoku. Całe pańskie życie zmieniło się gruntownie i musi się pan najpierw odnaleźć w tym nowym życiu. To zupełnie normalne. Musi się pan wiele nauczyć, wiele zrozumieć, wiele dowiedzieć, nim zrobi pan ten krok. Chętnie — mówił dalej Cristoforo Vacchi, siorbiąc swoje cappuccino — chętnie bym później pojechał z panem do Florencji. Pokazałbym panu trochę miasto, a przede wszystkim nasze archiwum. Ono znajduje się w naszym biurze. Zresztą już od pięciuset lat. Miałby pan ochotę?

„To o pięciuset latach — pomyślał John — przechodzi mu przez usta tak łatwo, jakby sam żył przez cały ten czas. Jakby należał do innej rasy, rasy nieśmiertelnych adwokatów”.

— Brzmi interesująco.

— Tu w piwnicy mamy mikrofilmy wszystkich dokumentów — oznajmił Cristoforo — ale tylko mikrofilmy. Chętnie pokazałbym panu oryginały, żeby zyskał pan poczucie czasu w całej tej historii.

Uśmiechnął się.

— Zakładając oczywiście, że uda mi się obudzić Benito.

— Dość daleko do pracy — stwierdził John, gdy minęli Luccę i drogowskaz na skraju drogi oznajmił, że do *Firenze* pozostało jeszcze siedemdziesiąt osiem kilometrów.

— Cóż, nie pracujemy tak wiele, żeby miało nam to przeszkadzać. — *Padrone* uśmiechnął się. — Poza tym już Dante pisał, że Florentyńczycy to skąpcy, zazdrośnicy i pyszałki, nie jest źle trzymać się nieco dalej od tego miasta.

— Dlaczego więc nie opuścicie Florencji zupełnie?

Cristoforo Vacchi machnął ręką.

— Tradycja, jak sędzę. Poza tym wygląda nieźle na wizytówkach, kiedy rozdaje się je w szerokim świecie.

John skinął głową i znów wyjrzał przez okno.

— To jest jakiś powód.

Nie rozmawiali wiele w podróży. Johna pochłonął widok łagodnych tokańskich wzgórz z ich winnicami i ogrodami i białymi willami, zaś staruszek w zamyśleniu wbił wzrok przed siebie.

Gdy wjechali w granice miasta, przykazał Benito, by wysadził ich na Piazza San Lorenzo.

— Stamtąd już niedaleko do naszej kancelarii, a po drodze będę mógł pokazać panu kilka ciekawostek. Nie tych typowych — Piazza Della Signoria, Uffizi, Duomo, Palazzo Pitti, Ponte Vecchio, to taka zwykła trasa. Ale w mojej opinii nie musi jej pan zwiedzać akurat w sobotę.

John przytaknął. Racja, dziś jest sobota. Jego poczucie czasu wciąż jeszcze było nieco zachwiane.

Samochód przedzierał się przez niekończące się korki wśród kolosalnych średniowiecznych fasad, by zatrzymać się wreszcie przed czerwonym, ceglany frontem wielkiej, wznoszącej się wysoko bazyliki.

Cristoforo poprosił Benita, by odebrał ich o wpół do trzeciej sprzed kancelarii, potem wysiedli razem z Johnem, zaś rolls-royce odjechał odprowadzany zaciekawionymi spojrzeniami przechodniów.

Na ulicach Florencji panował ożywiony ruch. Cały plac przed kościołem Św. Wawrzyńca był jaskrawo zastawiony barwnymi stoiskami handlarzy, między którymi tłumnie przeciskali się

turyści, zaś hałaśliwy gwar głosów we wszystkich językach świata przekrzykiwał warkot przejeżdżających skuterów. John trzymał się blisko Cristoforo, czującego się tu najwyraźniej jak w domu, poszedł za nim do pomnika, który otoczony cienką, czarną, żelazną balustradą stał pośrodku placu i dominował nad nim. Składał się z bogato zdobionego postumentu, na którym stała figura nadnaturalnej wielkości.

— To założyciel dynastii Medyceuszy, Giovanni di Averardo — wyjaśnił *Padrone*. Musiał podnieść głos, by przekrzyczeć hałas. — Żył w czternastym stuleciu, a jego syn Cosimo był pierwszym Medicim, który rządził Florencją — głównie dlatego, że był bogaty. Medici posiadali wówczas największe bankowe imperium w Europie.

John podniósł wzrok ku siedzącej w zamyśleniu figurze, przyglądał się rysom twarzy wyglądającym jak żywe. Finezja szczegółów reliefu zniknęła pod grubą, czarną patyną spalin i kurzu, wyglądającą, jakby była brudem nagromadzonym przez setki lat, a przecież najprawdopodobniej był to brud zaledwie z połowy wieku.

— Aha — mruknął.

— Było to około roku 1434, o ile dobrze pamiętam. W każdym razie zmarł on w roku 1464, a jego syn Piero, zwany Artretykiem, zmarł pięć lat później na chorobę po której wziął przydomek. W ten sposób do władzy doszedł syn Piera, Lorenzo\*, który wtedy skończył dopiero dwadzieścia lat. Mimo to rządził miastem tak roztropnie, że nadano mu potem przydomek *Il Magnifico* — Wspaniały.

— Ach tak. — powiedział głośno, myśląc jednocześnie: „Znów jakiś Lorenzo”. John już w szkole nienawidził takich lekcji w terenie, lecz wyglądało na to, że tym razem nie uda mu się tego



uniknąć.

— W roku 1480 urodził się pański przodek Giacomo Fontanelli — kontynuował stary prawnik, ze wzrokiem skierowanym na posąg, a kiedy John spojrział na niego z boku, zrozumiał, że owe dawno minione wydarzenia mają dla tego człowieka wielkie znaczenie, że należą do jego życia tak samo jak dzień jego ślubu. — Lorenzo akurat uszedł z życiem spiskowi, którego ofiarą padł jego brat i wykorzystał tę okazję, by strząsnąć sobie z karku wszystkich wrogów. Dzięki temu Giacomo Fontanelli dorastał w czasach wielkiego rozkwitu Florencji — właśnie pod rządami Lorenza Wspaniałego.

Cristoforo wskazał w kierunku kopuł wznoszących się na drugim końcu nad kościołem, przed którym stali.

— Tam zresztą są pochowani książęta tego rodu. Może się tam przejdziemy?

— Chętnie — skinął głową John, którego dobijały zupełnie upał, kurz, hałas i spora porcja historii. Jeśli sobie do tego jeszcze wyobrazić, że to wszystko działo się przed odkryciem Ameryki przez Kolumba...

Wolał sobie tego nie wyobrażać.

Szerokim łukiem poszli wokół placu i straganów — to Canto dei Nelli — dowiedział się przy tym, nie rozumiejąc, co to miałyby znaczyć — aż w końcu dotarli do wejścia do kaplicy Medicich, gdzie zapłacili śmiesznie małą cenę za wstęp i z przenikniętego upałem zgiełku ulicy weszli w chłodną ciszę krypty.

Liczni turyści z gotowymi do strzału aparatami fotograficznymi krążyli wokół, mimowolnie cisi i zamyśleni, studiując napisy wymieniające rozmaitych członków rodu Medicich. Cristoforo wskazał na ostatnią kolumnę po prawej stronie:

— Tam jest pochowana ostatnia z Medicich, Anna Maria

Ludovica. Tu jest napis — zmarła w 1743. Na niej kończy się ród.

Stali przez chwilę w milczeniu, chłonęli ciszę, chłód, wietrzyli stęchły zapach martwych stuleci.

— Chodźmy dalej do zakrystii — powiedział wreszcie Cristoforo i dodał zagadkowo: — Spodoba się panu.

Przecięli mroczną kryptę i weszli w krótki korytarzyk, na którego końcu było kolejne pomieszczenie, spychało ono w cień wszystko, co John widział kiedykolwiek w życiu. Wokół niego licznie wznosiły się kolumny, nisze i podesty z marmuru białego i w pastelowych kolorach, tworzące obramowanie nisz z ciemnego marmuru, podpierające czarne belki, imponujące swoją wielkością. John spojrzał w górę na kopułę, która wznosiła się dumnie niczym firmament nieba i z wrażenia wstrzymał oddech. A przecież cały ten przepych stanowił zaledwie tło dla rzędu marmurowych posągów, wyglądających tak naturalnie i żywo, że zdawało się, iż postacie w każdej chwili zaczną się poruszać.

— Mój Boże — John usłyszał swoje mamrotanie. Nie miał pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje.

— Wspaniale, prawda?

John był w stanie tylko skinąć głową. Miał niegdyś sporo brawury, uważając się za artystę.

— Kto to zrobił? — zapytał po chwili.

— Michelangelo... — wyjaśnił Cristoforo Vacchi. — To była jego pierwsza budowla.

— Michał Anioł... — To imię budziło jakieś wspomnienia, przypominało mu coś, co było dawno, ale nie potrafiłby powiedzieć, co.

*Padrone* wskazał na rzeźbę, przed którą John właśnie stał, a która przedstawiała mężczyznę w pozie głębokiego zamyślenia.

— Tę postać nazywa się *Pensieroso* — wyjaśnił. — Myśliciel. Przedstawia Lorenza Młodszeo, wnuka Wspaniałego. Jego grób jest niedokończony.

Wskazał na niszę obok wejścia.

— Lorenzo zmarł w roku 1492, a jego syn Piero uciekł, gdy dwa lata później do Włoch wkroczyły francuskie armie pod wodzą Karola VIII i zdobyły między innymi również Florencję. O Giacomo Fontanellim wiemy tylko, że razem z matką wyjechał z miasta i najprawdopodobniej znalazł schronienie w klasztorze, który również wcześniej dawał im ochronę.

John zapatrzył się na rzeźbę. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi, jak ona oddycha i musiał zamruć, by pozbyć się tego wrażenia. Z trudem nadażał za wyjaśnieniami *Padrone*.

— Czy ten klasztor wciąż istnieje?

— Tak, ale w ruinie. Porzucono go pod koniec dziewiętnastego stulecia, podczas drugiej wojny światowej wykorzystywano jako magazyn broni, a potem został zniszczony podczas nalotów.

John powędrował dalej przez zakrystię, obserwował, jak migocące refleksy światła przesuwają się po powierzchni rzeźb i sprawiają, że te wydają się niemal żywe.

— Ród Medicich był bogaty, ale już wymarł. Cóż pozostałoby dzisiaj z ich majątku, gdyby nie te arcydzieła?

— Nic — powiedział Cristoforo Vacchi.

— Więc dlaczego istnieją jeszcze rodziny Fontanellich i Vacchich? I dlaczego istnieje wciąż majątek Giacomo Fontanellego?

Cristoforo wzruszył ramionami.

— Nikt z tych rodzin nigdy nie rządził, nie panował, nie wysuwał się na pierwszy plan. Niech pan pamięta, że wielu Medicich zostało zamordowanych, większość z nich przez

własnych krewnych. Majątek Fontanellich nigdy nie był inwestowany w interesy, wyprawy wojenne, nie używano go do przekupstw. On po prostu egzystował i rósł niepostrzeżenie. Sądzę, że można to uznać za triumf niepozorności.

Kancelaria leżała tylko kilka przecznic dalej, w nierzucającej się w oczy bocznej uliczce, o ile można powiedzieć, że w centrum Florencji w ogóle istnieje coś takiego jak nierzucająca się w oczy boczna uliczka; ta również była mrocznym, brukowanym wąwozem między dwoma rzędami prastarych fasad. Masywne drzwi pomalowano dawno temu na ciemnozielono, z których teraz farba odłaziła płatami, obok nich zardzewiały otwór do wrzucania listów, na którym jednak wygrawerowane było nazwisko Vacchi. To wszystko.

— Czy wasi klienci potrafią tu trafić? — zapytał John, gdy Cristoforo wyjmował pęk kluczy.

— Nie mamy już klientów, którzy musieliby nas szukać — odparł adwokat i otworzył.

Podupadła fasada była jedynie kamuflażem, John zrozumiał to, rozejrzawszy się po wnętrzu wąskiego domu. Po wewnętrznej stronie drzwi widać było automatyczne zasuwę ze stali połyskującej chromem. Mała kamera wideo poruszyła się i skierowała ku nim, kiedy Cristoforo podszedł do skrzyneczki na ścianie i na umieszczonej tam klawiaturze wystukał długi, co najmniej dziesięciocyfrowy numer, po czym żarzące się czerwonym światłem lampki zmieniły kolor na zielony. W całej klatce schodowej dało się słyszeć ciche stukoty odryglowujących się drzwi.

— Przechowujemy tu wiele starych, oryginalnych dokumentów — wyjaśnił Cristoforo, kiedy wchodzili po schodach, wypaczonych, krętych, z pewnością mających setki lat.

— Do tej pory nie mieliśmy obaw, że komuś przyjdzie do głowy włamywać się do kancelarii. To jednak może się teraz zmienić. Pierwsze piętro: do ostatniego stulecia było tu mieszkanie jednej z rodzin Vacchich. Dziś jest tu tylko jedno prawdziwe mieszkanie, na wypadek, gdyby któryś z nas musiał długo pracować i wieczorem nie miał ochoty jechać z powrotem. Na górze, na czwartym piętrze.

Otworzył drzwi.

Szklane gabloty, jak daleko sięgnąć okiem, a w nich niekończące się rzędy ciemnych, starych foliałów. Światło jarzeniówek na niskim suficie odbijało się w szybach, kiedy John podszedł bliżej, próbował odczytać wyblakłe napisy na grzbietach opraw. Roczniki -1714,1715 i tak dalej. Pachniało tu jak w muzeum — kurzem, środkami czyszczącymi i podłogą z linoleum.

— Co to za książki? — Zapytał John.

— Księgi rachunkowe — odpowiedział z uśmiechem *Padrone*.

— Może pan w nich dokładnie przeczytać, jak rósł pański majątek. Moi przodkowie zachowywali w tej kwestii wręcz pedantyczną staranność. Z całą skromnością muszę powiedzieć, że księgi rachunkowe Vacchich są o wiele bardziej dokładne i kompletne niż te, które prowadził sam Giacomo Fontanelli.

— Czyżby i one jeszcze istniały?

— Naturalnie. Proszę za mną.

John poszedł za starym człowiekiem przez niskie drzwi, w których na wszelki wypadek schylił głowę, do następnego pokoju, urządzonego dokładnie tak samo. Niezupełnie — przyjrząwszy się dokładniej John odkrył, że tomy w tych gablotach są cieńsze, wydają się starsze i bardziej wytarte, zaś same gabloty są masywniejsze, wręcz opancerzone i zaopatrzone

w zamontowane w nich urządzenia klimatyzacyjne.

— Zanieczyszczenie powietrza — wyjaśnił Cristoforo Vacchi i z z troskaniem pokiwał głową. — Przez wszystkie te stulecia dokumenty nie ucierpiały tak, jak w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Musieliśmy zacząć specjalnie je wentylować, w przeciwnym razie obecne w powietrzu spaliny wprost by je pożarły.

Jeszcze jedne drzwi, a za nimi mała, ciemna izba, prawie pusta, urządzona skromnie i przywodząca na myśl raczej kaplicę. Na ścianie wisiał krucyfiks, pod nim stał rodzaj przeszklonego pulpitu, przed nim również postawiono krzesło. Cristoforo zapalił dwie lampy, oświetlające przez szkło pulpitu jego wnętrze.

John podszedł bliżej i poczuł, jak przenika go osobliwy dreszcz. Przeczynał już, co zobaczy, zanim stary prawnik zaczął mówić.

— To testament — oznajmił Cristoforo Vacchi niemal z namaszczeniem. — Ostatnia wola Giacomo Fontanellego.

Były to dwa duże, ciemnobrązowe arkusze grubego, osobliwie połyskliwego papieru, leżące pod szybą na białym aksamicie. Pokryte drobnym, kanciastym, trudnym do odczytania pismem, oba w całości gęsto zapisane arkusze połączono dwoma — wyglądającymi na skruszałe — wstążkami, zamocowanymi na końcach imponującymi pieczęciami. John przyciągnął do siebie krzesło, jak wszystko tutaj stare w dotyku, stare i solidne, i usiadł. Pochylił się ku przodowi, przyjrzał z bliska dokumentowi pod szkłem, próbował pojąć, że jego praprzodek, pomysłodawca całego tego szalonego projektu, własnoręcznie napisał te słowa.

— Nie rozumiem ani słowa — przyznał w końcu — ale to pewnie średniowieczny włoski.

— To łacina.

John skinął głową, wpatrzył w ciemnobrązowe, eleganckie linie

inicjałów. Jak strony ze starej, ręcznie pisanej Biblii.

— Łacina. A czy Lorenzo właściwie znał łacinę?

*Padrone* położył mu dłoń na ramieniu.

— Proszę się nie dręczyć — powiedział. — Nie jest pan winien jego śmierci.

— Ale czerpię z niej korzyści.

Dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

— Pan jest spadkobiercą. Proszę spojrzeć tutaj. — Wskazał miejsce w ręcznie pisanym tekście, w którym John po dokładniejszym przyjrzeniu się rzeczywiście dostrzegł datę napisaną rzymskimi cyframi.

— Najmłodszy męski potomek, który 23 kwietnia roku 1995 będzie przy życiu. Przy życiu — to pan, John. Pan jest tym, którego on miał na myśli.

Spojrzenie Johna powędrowało dalej po starym dokumencie, zatrzymało się na eleganckich zawijasach podpisu, obok którego nagryzmołono inne, mniejsze podpisy, prawdopodobnie uwierzytelnienia, potwierdzenia notarialne, podobnie jak ciemne kruche pieczęcie. Nie miał pojęcia, czy ten dokument wygląda tak, jak powinien wyglądać testament z piętnastego wieku. Mogli mu pokazać to wszystko, twierdząc, że jest tam napisane cokolwiek. Tylko jaki sens miałyby fałszowanie czegoś takiego? Chcieli podarować mu bilion dolarów. Byli wręcz opętani myślą, by uczynić z niego najbogatszego człowieka od powstania Układu Słonecznego. Nie mieli powodu go okłamywać.

Jakim człowiekiem musiał być ten Giacomo Fontanelli? Religijnym zapaleńcem? Fanatykiem? Podpis promieniował siłą, był zaokrąglony, harmonijny. Tak pisze człowiek będący w pełni sił i absolutnie pewny swojej sprawy. Chciałby umieć przeczytać testament. Choć nie — to, czego naprawdę pragnął, to wiedzieć,

jak to mogło być: mieć wizję, która zmieniła i zdeterminowała całe jego życie?

Jakie to musiało być uczucie, posiadać w życiu wyraźny cel.

Ukośnie nad stołem znajdowało się wąskie okienko przypominające szczelinę strzelniczą z grubego, mętnego szkła. Było przez nie widać kawałek jakiejś kopuły, John zastanawiał się, czy to kopuła, którą Michał Anioł zbudował dla zmarłych Medicich. Nie wiedział, nie miał najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku patrzy przez to okno. Michał Anioł. Dlaczego to imię wlecze się za nim, kręci niezmordowanie niekończące się pętle w tle jego myśli? Miał poczucie, jakby w jego wnętrzu był głos, nieustannie powtarzający to imię, jakby chciał mu o czymś przypomnieć — ale o czym? Michał Anioł. Malował Kaplicę Sykstyńską, w Rzymie. W Rzymie, gdzie urodził się Lorenzo, gdzie żył, gdzie umarł.

— Ile miałem lat, kiedy Lorenzo przyszedł na świat?

— Słucham? — poderwał się wyrwany z zamyślenia Cristoforo.

— Dwanaście — John odpowiedział na własne pytanie. — Mniej więcej dwanaście. Co było przedtem?

— Co ma pan na myśli?

— Przed urodzeniem Lorenza. Kto wtedy był kandydatem?

— Pan — powiedział, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie.

— Obserwowaliście mnie wtedy?

— Oczywiście.

Teraz powróciło to wspomnienie, trysnęło z głębin niepamięci jak fontanna, włączona raptem i napełniająca pusty basen. Elegancko ubrany pan. Srebrne siwe skronie. Wymanikiurowana dłoń podająca mu tabliczkę czekolady. Dobrotliwe spojrzenie spod krzaczastych brwi. Teraz nagle zrozumiał, co krzyczał jego



wewnętrzny głos. Nie wołał *Michelangelo*, ale... *Mister Angelo*, wyrwało się Johnowi. Obrócił się na krześle, objął wzrokiem Cristoforo Vacchiego, przyjrzał jego przygarbionej, chudej sylwetce.

— To pan był panem Angelo, prawda?

*Padrone* uśmiechnął się łagodnie.

— Pamięta pan?

— Widziałem pana kiedyś, jak przyleciał pan samolotem z Europy. Nie miał pan przy sobie nic, poza plastikowym woreczkiem z butami.

— Ach tak. Wtedy mnie pan widział? To była moja ostatnia wizyta. Zwykle zatrzymywałem się w Nowym Jorku na kilka dni. Po urodzeniu Lorenza chciałem pana zobaczyć jeszcze raz, ale pana nie było, kiedy przyjechałem do warsztatu pańskiego ojca. To dziwne — tego dnia był pan na lotnisku.

John skinął głową, odkrywał w postaci starca coraz więcej znajomych cech. Jakże dawno było już to wszystko. Nic dziwnego, że Cristoforo Vacchi od początku wydał mu się tak znajomy.

— Tak. Nie pamiętam już dlaczego, wydaje mi się, że wzięli mnie ze sobą rodzice kolegi — na wycieczkę, czy coś w tym rodzaju. Ale widziałem pana. Długo sądziłem, że nie przychodzi pan więcej dlatego, że odkryłem pańską tajemnicę.

— Jak w bajkach, tak, rozumiem — stary człowiek w zamyśleniu skinął głową. — Teraz myślę, że na początku trochę przesadziliśmy z naszymi obserwacjami. Nie mogliśmy się doczekać, choć w testamencie zapisano dokładne zalecenie, że możemy pojawić się dopiero po wyznaczonym dniu. Kiedy był pan jeszcze mniejszy, często przyjeżdżało nas kilku — towarzyszył mi Alberto, później Gregorio, a na początku również

mój zmarły brat Aldo. Obserwowaliśmy pana w drodze do szkoły, na placach zabaw...

Wspomnienia, jak obrazy czasu spędzonego po drugiej stronie lustra.

— Pamiętam, że spotykałem obcych mężczyzn, którzy zadawali mi dziwne pytania. Trzech mężczyzn w płaszczach stoi po drugiej stronie płotu, kiedy ja bawię się na huśtawce. Albo wielki, ciemny mężczyzna, ma owłosione nawet wierzchy dłoni...

— Nie wiem, kto to był, ale tych trzech mężczyzn przy płocie, to byliśmy Aldo, Alberto i ja.

John nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Moja matka zawsze martwiła się, kiedy o tym opowiadałem. Najpierw myślała, że chodzą za mną jacyś erotomani, a potem, że to ze mną jest coś nie w porządku.

Spojrzał na testament w szklanej gablocie, na pieczęcie i na podpis.

— Ale komu mogłoby przyjść do głowy coś takiego...?

— Chodźmy — powiedział do niego Cristoforo. — Muszę panu jeszcze coś pokazać.

Poszli z powrotem w dół, do piwnicy. Sufit był tu jeszcze niższy, brakowało wąskich okien z górnych pięter, ale wszystko było jasno oświetlone, gładko otynkowane, niemal klinicznie czyste. Krótki korytarz kończył się przed ciężkimi, polakierowanymi na czarno stalowymi drzwiami. Dobiegał zza nich dźwięk jak od działającej na wysokich obrotach lodówki, niespodziewany w tym domu, którego grube jak w twierdzy ściany zdawały się chronić panującą tu od setek lat ciszę przed zgiełkiem świata.

Był to, jak się okazało, komputer. Wprost kolos, zwalisty kloc wielkości szafy na ubrania, polakierowany na błękitno, z nieomylnie rozpoznawalnym logo IBM, zajmował całą piwnicę,

dudniąc i bucząc — wyglądał zniewalająco staromodnie. Jakby i on również pochodził z czasów Medicich. Grube, szare kable prowadziły do całych baterii gniazdek telefonicznych, umieszczonych równymi szeregami wzdłuż ściany.

— Na wsi mamy nowoczesny system — wyjaśnił Cristoforo. — Ten tutaj kupiliśmy w roku 1969 i zamówiliśmy do niego program, który jest w stanie ściągać dane tysięcy banków, zarządzać milionami kont oszczędnościowych, przeliczać pieniądze według aktualnych kursów walut i je sumować. Eduardo pokaże panu, jak to się dokładnie odbywa, wszystkie hasła dostępu i tak dalej, ale istotę tego wszystkiego chciałem panu pokazać od razu. Proszę, niech pan spojrzy.

Z nieskrywaną dumą wskazał ciężki, staromodny monitor komputerowy, na którym nie było widać nic prócz długiej, migocącej radarową zielenią liczby. Gdy John podszedł bliżej, zobaczył, że ostatnie pozycje trzynastocyfrowej liczby rosną w błyskawicznym tempie, ostatnie cyfry tak szybko, że ledwie je można odczytać. Bilion i mnóstwo milionów. Aktualny stan konta.

„Cztery tysiące dolarów z każdym oddechem” — powiedział Eduardo. John przyglądał się migocącym liczbom, oddychał i próbował coś z nich odczytać. Przybyło cztery tysiące dolarów. Jednak przy dłuższym przyglądaniu się można było zobaczyć, że na ekranie nie odbywa się równomierne odliczanie w górę, lecz strumień liczb zdaje się oddychać, pulsować jak tętno w żyłach, to przyspiesza, to zwalnia. To tylko niuanse, jednak wyraźnie rozpoznawalne.

Bilion. Jako zwykła liczba na wielkim ciemnoszarym monitorze komputera nie robił wielkiego wrażenia.

— Bilion dolarów to dość dużo pieniędzy, prawda? — Upewnił

się John.

Cristoforo Vacchi stał przed monitorem jak przed ołtarzem.

— Niewyobrażalnie dużo — powiedział poważnie. — Amerykański magazyn *Forbes* publikuje każdego roku listę stu najbogatszych ludzi świata. Na pierwszym miejscu przez długi czas znajdował się król domów towarowych Sam Walton, który stworzył sieć sklepów Wal-Mart i dorobił się około czterdziestu miliardów dolarów. Kilka lat temu zmarł na raka kości, a w międzyczasie prześcignął go Bill Gates, szef firmy Microsoft, ze swoimi, mniej więcej, pięćdziesięcioma miliardami dolarów. Na liście nie ma na przykład królowej angielskiej, ani sułtana Brunei, choć oboje powinni się na niej znaleźć, sułtan nawet na pierwszym miejscu. Jego majątek szacuje się na siedemdziesiąt miliardów dolarów. Ale nawet gdyby wszyscy ludzie z tej listy, stu największych bogaczy świata, zrzucili razem wszystko, co mają, nie mieliby nawet *połowy* biliona dolarów.

John patrzył na niego, niczego nie pojmując.

— Ale to przecież szaleństwo — wykrztusił w końcu przez wyschnięte usta. — Co ja pocznę z taką ilością pieniędzy?

*Padrone* pokiwał siwą głową.

— Myślę, że w tej wyjątkowości tkwi sedno. Pan nie będzie po prostu bogatym człowiekiem, trochę bogatszym od innych, pan będzie zajmował pozycję zupełnie wyjątkową. Nikt nie będzie mógł żywić choćby cienia nadziei, że sięgnie pańskiego rzędu wielkości. Będzie pan bogatszy niż większość krajów na Ziemi. Nie będzie pan po prostu bogaty, pan będzie stanowił globalne finansowe mocarstwo. To właśnie z tym będzie pan musiał się uporać.

Johnowi zrobiło się słabo. Ostatnie słowa docierały do niego jak krople deszczu bębniącego na zewnątrz o grube płótno namiotu.

Za wiele było mu tego wszystkiego. Nie jest stworzony do rozumienia takich wymiarów.

— Nie wiem... A skąd pan wie, czy po prostu nie wydam wszystkiego na ferrari?

— Wiem — odpowiedział zwyczajnie sędziwy prawnik. — Poza tym — dodał z chytrym uśmieszkiem — tyle modeli Ferrari nawet nie ma.

Tego samego wieczoru, długo po kolacji, kiedy od morza nadciągnął chłód, a jedyne oświetlenie długiego stołu stanowiły drżące płomienie świec w małych latarenkach, omówili szczegóły przekazania majątku. John głównie słuchał, rzadko pytał i odpowiadał tylko „Tak”, gdy pytano go o zgodę. Jego wzrok wybiegał daleko w noc, gubił się w srebrzystej mgle nad ciemnym morzem. Na firmamencie nieba żarzyła się garstka gwiazd. Wino w kieliszkach zdawało się być czarne. Prawnicy rozmawiali cicho, ich głosy upodabniały się do siebie coraz bardziej, zdawali się być jakoś natchnieni, nie mogli też ukryć ulgi. Jakby ten majątek był brzemieniem, które w końcu mogą zrzucić na kogo innego.

— Z całym spokojem — *Padrone* podkreślił, że przekazanie majątku odbędzie się bez jakiegokolwiek rozgłosu w jednym z notariatów Florencji, w ciągu najbliższych dni, kiedy tylko ustalą stosowny termin. Postanowiono pozostawić Johnowi decyzję, czy i kiedy zechce ogłosić publicznie fakt i historię swego bogactwa.

*Kupię sobie dom podobny do tego*, postanowił John. Z tarasem, z którego można patrzeć na morze. W okolicy, gdzie słychać cykanie świerszczy. Z tarasem z naturalnych kamieni, które magazynują upał całego dnia i wieczorem łagodnie nim promieniują.

Uświadomił sobie, że trochę się przyzwyczaił już do myśli, że ma pieniądze, John. Daleki był jeszcze od zrozumienia, jaki ogrom pieniędzy posiada, ale już nie czuł się biedny.

Jego rozmyślania przerwał głos Cristoforo Vacchiego.

— Czy to panu odpowiada, John?

— Tak — odpowiedział.

---

\* W polskiej historiografii stosuje się zarówno pisownię polską, jak i włoską: Medici — Medyceusze, Cosimo — Kuźma, Piero — Piotr, Lorenzo — Wawrzyniec, zwany Wspaniałym. Zostajemy przy pisowni włoskiej, ponieważ ma to znaczenie dla dalszej intrygi, (przyp.red.)

## 5

Marvin Copeland rzadko czytał gazety. Po pierwsze dlatego, że na nie trzeba mieć pieniądze, a tych zawsze mu brakowało, i nawet jeśli je miał, to znał inne sposoby, żeby się ich pozbyć. Po drugie, gazety w ogóle go nie interesowały. Wiadomości o przestępcach, meczach baseballowych, wielkiej polityce — a cóż go to obchodziło? Po trzecie zaś, jego życie było tak pełne rozmaitych zajęć, różnych przyjaciółek oraz muzyki, że nawet nie miałyby czasu na czytanie gazet. Zdaniem Marvina czytanie gazet i oglądanie telewizji to zajęcia dla ludzi wiodących życie puste, nudne i pozbawione sensu.

Tak więc tego ranka Marvin nie miał zupełnie o niczym pojęcia. Od wielu godzin wszystkie gazety i stacje telewizyjne mówiły tylko o jednym, ale Marvin — jakby ten dzień był taki sam jak każdy inny — powlókł się w górę ulicy do Konstantinosa po zakupy. Konstantinos prowadził warzywniak, miał w nim jednak także wszystko, czego potrzeba na co dzień, rozpuszczalną kawę, mleko skondensowane, trzy gatunki płatków śniadaniowych, makaron, słodycze, pastę do butów, papierosy itd. Gdyby na ciasnych regałach dało się jeszcze znaleźć alkohol, byłby to sklep doskonały, jednak na tym świecie nie ma rzeczy doskonałych.

Słońce porządnie przypiekało. Marvin nie mógł pozbyć się podejrzenia, że przegapił termin próbnego przesłuchania w nowym zespole.

— Nie, to chyba jednak miało być jutro.

Miał karteczkę z datą, ale gdzieś mu się zapodziała. Bardzo możliwe, że wyrzuciła ją przy zamiataniu nowa dziewczyna Pete'go.

— Gdzie ja trafiłam? — powtarzała cały czas. — Do mieszkania

czy do małej klatki? — Tak czy owak, ich lokum nadawało się obecnie do prezentacji. Może powinien teraz zaprosić swoich rodziców, taka okazja długo się nie powtórzy.

Pobrzękiwał monetami w kieszeni. Poprzedniego wieczora palili skręty i grali w karty o ćwierćdolarówki, udało mu się sporo wygrać. Zadowolający obrót rzeczy po tym, jak przez kilka poprzednich nocy bezpowrotnie przepuścił trzymiesięczny czynsz od Johna.

Będzie mógł nieco zmniejszyć swój dług u Konstantinosa. Poza tym przeszedł się wczoraj przez cały dom, ze wszystkich skrzynek na listy wykradł ulotki reklamowe i po dwudziestu minutach pracy z nożyczkami napełnił kieszenie porządnym zapasem kuponów obiecujących *Kup jeden, drugi gratis!* albo *50% taniej!*. Zobaczymy, co uda się za ich pomocą zdobyć, w każdym razie w lodówce panowała zdumiewająca pustka. Do tego właśnie na niego przypadała teraz kolej zakupu butelki płynu do mycia naczyń, gdyż starą, po wielokrotnym wypłukaniu ciepłą wodą, trzeba było uznać za pustą.

Konstantinosa nie było, przy kasie stała jego wiecznie niezadowolona żona. Zwykle nie zapowiadało to niczego dobrego, gdyż dopisywała jego zakupy do długu niechętnie i z wielkimi oporami, a jeśli nawet to robiła, to nie żałowała sobie wielkiego gderania, które samo w sobie już było krepujące. Tym razem jednak Marvin wyładował przy niej kieszeń pełną ćwierćdolarówek, co wprawdzie nie spowodowało na jej twarzy uśmiechu — nikt nigdy nie doprowadził jej do uśmiechu — ale przynajmniej nie marudziła, gdy zbierał z regałów i składał przed nią produkty, lecz bez oporu zapakowała wszystko do dużej brązowej torby.

Tym głośniejsz lamentowała w chwilę potem. Przy wyjściu wzrok



Marvina padł na gazety leżące przy futrynie w bardzo starym, drucianym stojaku. Nagłówki na nich były tak wielkie, że nawet Marvin nie mógł ich przeoczyć. Wydrukowano też wielkie zdjęcie. Prawdopodobnie właśnie to zdjęcie było głównym powodem, dla którego worek Marvina wysunął mu się z rąk, a on nie był w stanie temu zapobiec.

— Jak mogło do tego dojść? — wykrzyknął Gregorio Vacchi, dorzucając aktualne wydanie *Corriere della Sera* do innych gazet na stole. — I skąd oni to wiedzą? To dla mnie niewytłumaczalne.

To naprawdę osobliwe uczucie, czytać w gazecie własne nazwisko. Do tego na stronie tytułowej, wielkimi, tłustymi literami. Przydawało to całej sprawie więcej realności niż stare dokumenty i stemple, i uwierzytelnienia całego świata.

— Wszyscy piszą tylko o pieniądzach — stwierdził Alberto, przeglądający *Republicca*. — O pieniądzach i o odsetkach. Moim zdaniem nic nie wiedzą o śnie i o prorocत्वie.

Giovanna przygotowała w salonie na parterze nakryty uroczyście stół, stosownie do ważności dnia. Pokrojone w kostkę miodowe melony, prawdziwą parmeńską szynkę i szampana, białe obrusy i kryształowe kieliszki, mieniające się w świetle słońca. Ciepły, pachnący lawendą powiew wiatru nadymał firany w wysokich oknach, a z podwórka na zewnątrz dało się słyszeć na kamyczkach kroki. Był to Benito, miękką szmatką polerujący na wysoki połysk rolls-royce'a. Potem nadszedł Alessandro, młody, silny chłopak, pomagający w kuchni i piwnicy, przyniósł aktualne dzienniki i wtedy się zaczęło. *Padrone* zdawał się bawić całym tym zamieszaniem. Uśmiechając się cicho, mieszał łyżeczką filiżankę cappuccino i z całym tym swym spokojem wyglądał jak przysłowiowe oko huraganu.

— Przecież było wiadomo, że do tego dojdzie. Po prostu dowiedzieli się o tym wcześniej, niż się spodziewaliśmy. — Spojrzał w górę i rzucił Johnowi szelmowskie spojrzenie. — Prawdopodobnie w najbliższych dniach popularnością w prasie pobije pan samą Lady Di.

— Wspaniale — stwierdził John. — Może jeszcze być wesoło.

Eduardo, który do tej chwili z telefonem komórkowym przy uchu stał nieco na uboczu i rozmawiał, zamknął aparat z głośnym „Ciao” i podszedł bliżej.

— Nie ma szans — wyjaśnił. — Oblegają notariat.

— Notariat! — rozzłościł się jego ojciec. — Skąd na Boga mogą wiedzieć, gdzie i kiedy?

— Musieli dzwonić do wszystkich notariatów. A Nuncio poszedł na ich lep.

— *Porco cane!* Skąd przyszło mu do głowy mówić jakiemuś rozmówcy o terminie?

— Nuncio mówi, że przed pół godziną zadzwonił do niego jakiś człowiek twierdząc, że na polecenie rodziny Vacchi ma spytać, czy można przesunąć termin o pół godziny. Znali nasze nazwisko!

— Co? Ależ to... — Gregorio uniósł wąskie brwi. — To znaczy, że w każdej chwili całe ich stado... O nie! Brama! Alessandro! Giuseppe! Szybko, musimy zamknąć i zaryglować bramę! — Pośpiesznie wybiegł do holu, jego głośne klaskanie w dłonie poniosło się echem przez cały dom. — Giuseppe, zostaw wszystko i biegnij, *presto!*

Susan Winter czytała oczywiście każdego dnia gazety, to należało do jej pracy. Pierwszą — *Washington Post* — czytała jeszcze przy śniadaniu, przy składanym stoliku w swojej małej

kuchence, drugą — *New York Times* — w metrze w drodze do biura, a tam jeszcze trzy albo cztery dalsze gazety, przeważnie ich międzynarodowe wydania w zależności od tego, nad czym właśnie pracowała.

I zależnie od tego, jakim loteriom akurat powierzyła swoje pieniądze. Ostatnie dni przyniosły otrzeźwienie. Całe pieniądze, jakie otrzymała od nieznanego, przepadły. Przebrane.

Tego ranka, kiedy wniosła do mieszkania gazety i jej spojrzenie padło na tytuły i na zdjęcie obok, przeniknął ją zimny dreszcz. A więc to się za tym kryło!

Fakt, że nie wpadła na to sama, nawet jej nie zirytował. Czegoś takiego nikt nie byłby w stanie wymyślić. Z trudem mogła sobie wyobrazić, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Bilion dolarów! W ramce na szarym tle napisano liczbę — jedynkę z dwunastoma zerami. Tysiąc miliardów. Zafascynowana czytała wyjaśnienie, że ten majątek rósł nieprzerwanie przez setki lat dzięki odsetkom i odsetkom z odsetek. Artykuł kończył się słowami: „Na przeczytanie tego tekstu potrzebowali państwo około minuty. W tym czasie majątek Johna Fontanellego wzrósł o kolejne osiemdziesiąt tysięcy dolarów”.

Zapomniała o kawie, zapomniała o pączku. Siedziała nad rozłożoną na stole gazetą, nie zwracając na nią uwagi, wbiła wzrok w ścianę przed sobą, nie widząc jej i zastanawiała się, czego ten nieznanomy mógł chcieć od Johna Fontanellego. Na co mogły mu być potrzebne dokumenty, które mu dała.

Susan Winter czuła, że w biurze detektywistycznym Dalloway ledwie ją tolerują i każdego dnia spodziewała się, że stwierdzą, że nie jest im do niczego potrzebna. Pracowała, ile tylko mogła, nigdy się nie skarżyła, kiedy zrzucano jej na głowę niepłatne nadgodziny. Nie wiedziała, co jej szef naprawdę o niej myśli, i

nawet gdyby ktoś jej powiedział, nie uwierzyłaby mu. Jej szef w rzeczywistości uważał ją za osobę neurotyczną, kapryśną i nieodpowiedzialną, jednak bardzo cenił sobie jej zdolność do genialnych skojarzeń, przenikliwych i odgadujących motywy i zamiary obserwowanych osób. Owe błyskotliwe, niemal jasnowidzące przepowiednie, więcej niż równoważyły w jego oczach jej pozostałe wady i nigdy by jej nie zwolnił, nawet gdyby miał zredukować załogę swojej agencji o połowę.

Kiedy w myślach jeszcze raz przebiegała zawartość drugiej teczki, tej z materiałami o rodzinie Fontanellego, miała jedno z owych genialnych skojarzeń. Wydało się jej, że wie, co zamierza nieznajomy. A jeśli to, co wymyśliła, okazałoby się prawdą, wówczas tę wiedzę mogłaby zamienić na pieniądze, na dużo pieniędzy, na więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek byłaby w stanie sobie wyobrazić. Wówczas mogłoby to być jej główną wygraną.

Tego dnia pojechała do biura z bólem brzucha, tak bardzo się bała, że coś zawali.

Pierwszy team nadjechał w Porsche, mężczyzna i kobieta. Mężczyzna dźwigał na ramionach kamerę, kobieta w dłoniach mikrofon z logo stacji, tak wyposażeni grzecznie zadzwonili do bramy. Benito, pełen godności w swym mundurze szofera, spokojnym krokiem udał się do kutej żelaznej bramy i, jak ustalono, udzielił informacji, że rodzina Vacchich jest chwilowo niedostępna.

W chwilę potem nadjechał drugi zespół, czterech mężczyzn w kombi, wyładowali najrozmaitsze sprzęty, wielkie statywy, kamery, magnetofony na taśmę, stojaki na parasole i składane krzesła. Zapachniało regularnym obłęzieniem. Członkowie obu ekip podali sobie ręce i ze stanowiska za zasłonami w bibliotece

na pierwszym piętrze, skąd John i rodzina Vacchich wszystkiemu się przyglądali, wyglądało to jak pozdrowienie zagorzałych rywali przed startem do decydującego wyścigu. Potem ustawiano statywy, montowano kamery, rozwijano parasole.

— Jeśli przetrzymamy ich przez kilka dni, zapewnimy ludziom w wiosce niezły dodatkowy zarobek — stwierdził Alberto.

Liczba reporterów rosła w błyskawicznym staccato. Nie było już więcej podawania rąk, żadnych koleżeńskich pogawędek, tylko pospieszne i agresywne obrzucanie się żądaniami, przepychanki o najlepsze miejsca, poszły w ruch łokcie i gniewne obelgi. W mgnieniu oka przy bramie powstał las obiektywów i mikrofonów.

— Na pewno można nas teraz zobaczyć na żywo w CNN — powiedział Eduardo.

Pojawił się helikopter, przez chwilę zdawało się, że zamierza wylądować na dziedzińcu, w końcu jednak okrążył tylko kilkakrotnie posiadłość i odleciał.

— Obawiam się, że jeśli nie odpowiemy im na kilka pytań, zaczną rozpuszczać w świat plotki. — Zastanowił się z kwaśną miną Gregorio. — Wiadomości telewizyjne i gazety trzeba ostatecznie czymś wypełnić.

— Tak — skinął głową Alberto. — Powinniśmy zwołać konferencję prasową.

— Przynajmniej my, jako zarządcy spadku — zgodził się Cristoforo Vacchi. — A co pan o tym myśli, John?

— Nie wiem, czuję się trochę niezręcznie — oznajmił John. — Nigdy jeszcze nie brałem udziału w czymś takim, to znaczy w konferencji prasowej.

*Padrone* uśmiechnął się.

— A myśli pan, że my braliśmy?

John widział w telewizji sprawozdania z konferencji prasowych w Białym Domu, prezydenta, jak podchodzi do mównicy, czyta oświadczenie, odpowiada na szereg pytań i zawsze zdawało mu się, że jest to najbardziej nudna rzecz na świecie. Jednak siedzieć samemu przed lasem jaskrawo kolorowych mikrofonów, spoglądać w burzę fleszy i odpowiadać na pytania, które zdołały przedrzeć się do niego z gromady krzyczących jeden przez drugiego ludzi, było w osobliwy sposób zatrważające i podniecające.

— Czy pańscy rodzice wiedzą już o spadku?

— Tak — odpowiedział John.

— Co zamierza pan zrobić z taką ilością pieniędzy?

— Tego jeszcze nie wiem.

Same banalne odpowiedzi, lecz każde jego słowo było z taką skwapliwością zapisywane, nagrywane i filmowane, jakby głosił mądrości o epokowym znaczeniu.

— Jest pan teraz prominentem! — krzyknął Eduardo, czyniący nadludzkie wysiłki, by reporterzy zaakceptowali go jako moderatora, który udziela głosu.

Kazali wynieść z pokoju wszystkie meble, zostawili tylko barierę ze stołów w pobliżu tylnych drzwi, aby w razie potrzeby mogli się przez nie wycofać. Alessandro i Giuseppe stali w pogotowiu, by osłaniać ewentualny odwrót i wyglądało na to, że nie mieliby nic przeciwko bijatyce z reporterami, którzy po otwarciu drzwi wpadli do środka jak chmara fanów Beatlesów podczas polowania na swoich idoli.

— Dlaczego nie mogą państwo zatrzymać pieniędzy? — spytano Vacchich.

— Takie postępowanie — chłodno uciął pytającemu Cristoforo Vacchi — byłoby niezgodne z naszym zawodowym sumieniem.

Wywołało to gromki śmiech.

Gregorio rozpoczął konferencję od wyjaśnienia pochodzenia pieniędzy oraz szczegółów testamentu. Uzgodnili wcześniej, że nie będą wspominać o prorocctwie Giacomo Fontanellego, o ile nikt wprost o to nie zapyta. Rzeczywiście, nikt o nim nie wspomniał, przeciwnie, zainteresowanie wszystkich skoncentrowało się na osobliwie nieprecyzyjnej klauzuli głoszącej, że wszystko odziedziczyć ma najmłodszy męski potomek Fontanellego będący przy życiu 23 kwietnia 1995 roku.

— Co jest szczególnego w tej dacie?

— Nic — wyjaśnił Gregorio.

Od Johna chciano dowiedzieć się, czy uważa tę procedurę wyboru za sprawiedliwą.

— Nie — oznajmił John. — Ale tak już po prostu jest.

— Czy w dzisiejszych czasach można uznać za sprawiedliwe to, że wykluczono ze spadku żeńskie potomstwo?

— Dziś pewnie nikt już by nic takiego nie napisał — powiedział John. — Ale rozmawiamy tu o testamencie pochodzącym sprzed pięciuset lat.

Czuł, że jego koszula robi się wilgotna, a pot spływa mu po plecach. Czemu oni chcą wszystko wiedzieć? Czy jest żonaty? Czy podaruje pieniądze organizacjom dobroczynnym? Jakie dyscypliny sportu lubi? Gdzie będzie jego siedziba? I tak dalej. Gdy w końcu na pytanie o jego ulubioną potrawę odpowiedział, że próbuje przyzwyczać się do kawioru, jednak do tej pory pozostają nią *tortellini* jego matki, Eduardo udzielił głosu drobnej kobiecie z niesfornymi, ognście czerwonymi włosami.

— Brenda Taylor z CNN — oznajmiła, i John stwierdził, że ogień tryskał również z jej oczu, głosu i każdego ruchu. — Panie Fontanelli, czy czuje się pan szczęśliwy będąc tak bogatym?

To pytanie było jak cios siekiery. Raptem wszyscy zdawali się wstrzymać oddech, zrobiło się tak cicho, że można by usłyszeć upadek igły. John wpatrywał się w reflektory halogenowe i pojął, że odpowiedź na to pytanie dotrze aż do ostatniego zakątka Ziemi i że to ona zadecyduje o tym, co będą o nim myśleli ludzie.

— Cóż... — zaczął wymijająco, a mózg miał pusty jak biała ściana. — Przecież jeszcze nie jestem bogaty, musi dopiero nastąpić oficjalne przekazanie spadku i tak dalej, potem będę wiedział, jak to jest.

— Wiedział jednak, że nie jest to odpowiedź, jakiej oczekiwała reporterka. Milczenie zdawało się wprost wysysać z niego słowa. Wszystkie oczy były skierowane na niego i krzyczały o więcej. — Tak wielki majątek nie jest po to, żeby uszczęśliwić swego posiadacza. — Słyszał, jak mówi, i nie miał pojęcia, skąd się biorą się słowa. — Znacznie bardziej jest on obowiązkiem. Jedyna nadzieja na szczęście tkwi w tym, by próbować godnie spełnić ten obowiązek. — Sam sobie wydawał się żaloszny. Skąd przyszło mu do głowy wypalić z czymś takim, czy to w ogóle ma sens? Patrzył na pół otwarte usta, na długopisy zastygłe w bezruchu nad notatnikami... zaraz wybuchną głośnym śmiechem, zrobią z niego największego głupka planety... Wtedy jednak ktoś w tyle zaczął powoli klaskać. Inni przyłączyli się, ktoś klepał go po plecach i szeptał:

— Świetnie, wspaniale pan to powiedział, John.

— Co? Wspaniale? Co było wspaniałe?

— Dobre zakończenie tej konferencji prasowej, jak sądzę. — Kto to mówi? John już nie wiedział, co się z nim dzieje. Ścisk, popychano go i potrącano, wokół pełno rąk, które trzeba uścisnąć.

— Bardzo dziękuję, panie i panowie, dziękuję za waszą uwagę



— Alberto, a może nie. Potem były drzwi i cisza.

Później leżał na swoim łóżku, sam w pokoju z położonym na głowie ręcznikiem i wpatrywał się w sufit. Żeby tylko nie myśleć, wspomnienie poranka rozplynęło się w odmętach świateł i krzyków. Nie myśleć o tym, że to mogłoby teraz stać się jego codziennością. Tutaj jest przynajmniej cicho, drzwi na taras zamknięte, nie słyhać nawet morza — absolutnie niczego. Zapadł w drzemkę, wspaniały stan między jawą a snem, nagle zniszczony dzwonkiem telefonu. Co? Poderwał się, leżał teraz wsparty na łokciach i wpatrywał w aparat telefoniczny obok łóżka. To musiał być sen. Telefon naprawdę nie dzwonił. Nikt w domu nie przeszkadzałby mu teraz. A jednak telefon odezwał się ponownie, przykrym, natrętnym brzęczeniem. Przycisnął słuchawkę do ucha.

— Halo?

— Pan Fontanelli?

— Tak? — zastanawiał się, czy powinien znać ten głos.

— John Salvatore Fontanelli? Czy jest pan akurat w swoim pokoju?

A co *to* ma znaczyć?

— Tak, do diabła, oczywiście, że jestem w swoim pokoju. A kim pan jest i czego chce?

— Nie zna mnie pan. Mam nadzieję, że kiedyś się poznamy, ale w tej chwili nie mogę powiedzieć panu nawet mojego nazwiska. Dziś chodziło mi właściwie tylko o to, aby sprawdzić, czy numer telefonu się zgadza.

— Mój numer telefonu?

— Wewnętrzny 23, chciałem się przekonać, czy nadal jest do pańskiego pokoju. Innym razem dokładnie to panu wytłumaczę. Ach, i jeszcze jedno. Proszę nie wspominać nikomu o tym

telefonie, szczególnie nikomu z rodziny Vacchich. — Ten facet musi mieć nierówno pod sufitem.

— Nie wiem, czemu miałbym pana posłuchać? — Nieznajomy na drugim końcu linii zrobił przerwę. Było słychać jak wdycha i wydycha powietrze.

— Dlatego, że będzie pan potrzebował pomocy. A ja jestem tym, który będzie mógł panu pomóc.

## 6

W barze *Jeremy's* były również miejsca siedzące, jednak nikt nie lubił na nich siadać. Syntetyczna skóra siedzeń robiła wrażenie, jakby ktoś rozlał na niej niezdefiniowany bliżej sos, a potem go nie wytarł, lecz po prostu pozwolił mu wyschnąć, następnie zaś kruszyło się na nie coraz więcej resztek jedzenia. Nie było tego dobrze widać, gdyż właściciel knajpy używał tylko zielonych i ciemnożółtych żarówek, na dodatek nie było ich zbyt wiele. Stały tam więc stoły ze stołkami, jednak stali klienci najchętniej stawali przy barze. Stamtąd był najlepszy widok na telewizor, nastawiony zawsze na jakiś sportowy kanał.

Lino Fontanelli miał gładką twarz o niemal dziecięcych rysach, która sprawiała, że wydawał się młodszy niż w rzeczywistości. Jego włosy wyglądały, jakby używał ogromnych ilości pomady, czego jednak nie robił. Tak naprawdę nienawidził swojego wyglądu. Przychodził do baru *Jeremy's*, gdy nie miał ochoty spotkać żadnego innego oficera bazy lotniczej McGuire, co zdarzało się raczej często. Piwo nie było tu gorsze niż gdzie indziej, hamburgery nawet lepsze, do tego miał spokój. Zajął swoje stałe miejsce na rogu lady, gdzie mógł w spokoju czytać gazetę i nikomu nie zasłaniał widoku na ekran. Ostatnimi dniami czytał cholernie dużo gazet. Tego wieczora nic się nie działo. W jednym kącie przykucnął jakiś grubas ze swoją tłuścioszką, objadali się frytkami, pewnie po to, żeby nie stracić atrakcyjnego wyglądu. Na drugim końcu baru siedział siwowłosy stary Murzyn, zdający się należeć tu do inwentarza i mówił coś do barmana, który tylko powoli kiwał głową, wycierając szklanki. Lino w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na mężczyznę, który wszedł w chwilę po nim, stanął kilka miejsc dalej i zamówił

piwo. Ten typ przyciągnął sobie do baru stółek, zatem albo nigdy tu wcześniej nie był, albo nie przejmował się tym, że wróci do domu z brudnymi spodniami. Gdy piwo było już do połowy wypite i Lino akurat kartkował gazetę na strony sportowe, mężczyzna wskazał na nią i zapytał:

— Czytał pan to? O tym typie, który odziedziczył bilion dolarów?

Lino niechętnie podniósł wzrok. Mężczyzna miał na sobie czarny płaszcz i obejmował szklankę dłońmi owłosionymi jak u goryla.

— Zdaje mi się, że każdy o tym czytał — odpowiedział tak obojętnym głosem, jak tylko możliwe.

— Bilion dolarów! Myślałem, że się posram, sam Bóg nie ma chyba tyle kasy, no nie?

— Nie mam pojęcia, ile pieniędzy ma Bóg.

Przez chwilę wyglądało na to, że da mu spokój, ale obcy tylko przez moment przyglądał się bez prawdziwego zainteresowania meczowi bejsbolowemu w telewizji.

— Czytałem, że ten typ ma starszego brata — paplał potem dalej. — Chłopie, powiedziałem sobie, ale ten się musi teraz czuć. Na pewno myśli sobie, czemu nie udusiłem tego małego srajca w kołysce i sam nie odziedziczyłem tej kasy. Wie pan, ja nie mam brata, ale mogę sobie wyobrazić, że tak właśnie bym sobie pomyślał.

Lino opuścił gazetę i spojrzał typowi głębiej w oczy. Miał ospowatą twarz i wyglądał jak ktoś, komu nieobce są zarówno bijatyki, jak i narkotyczne wizje. W jego oczach migotały podstępne iskierki.

Zauważył spojrzenie Lina.

— Niech pan da spokój, to ludzka rzecz tak myśleć, no nie? Za

myślenie nie wsadzają do więzienia, tylko za to, co się robi.

Lino musiał przyznać, że faktycznie przychodziły mu do głowy różne rzeczy, kiedy zrozumiał, że w wiadomościach naprawdę mowa jest o *Johnie*. Jego bracie, którego zawsze musiał pilnować jako niemowlaka. Który z przekory kiedyś omal nie wszedł prosto pod autobus, i tak dalej...

Teraz jednak zastanawiał się, czy to przypadek, że ten typ gada akurat do niego.

— Proszę tylko sobie wyobrazić, jaka to musi być kupa pieniędzy. Bilion dolarów! Człowieku, do przedwczoraj wcale nie wiedziałem, że tyle pieniędzy w ogóle istnieje! Nawet te typy z Waszyngtonu muszą zadowolić się najwyżej miliardami... A ten chłopak dziedziczy bilion. Może powinienem kiedyś przejrzeć papiery mojego dziadka, czy tam gdzieś nie leży jeszcze książeczka oszczędnościowa z piętnastego stulecia, jak pan myśli?

— Tak, być może.

Typ wyjął z kieszeni wizytówkę i podsunął ją do niego.

— Bleeker — powiedział. — Randolph Bleeker, może pan mówić do mnie Randy.

Lino wziął kartonik i przyjrzał mu się. Napisano na niej *Adwokat*, a niżej:

— Co to ma znaczyć? — zapytał. — Czego pan chce?

Randy Bleeker upewnił się szybkim spojrzeniem, że barman i wszyscy pozostali nie mogą ich słyszeć.

— Okay, udawałem, nie chciałem, żeby pan uciekł, rozumie pan? Wiem, że pan jest tym bratem, a czego chcę, no cóż, pracy, można powiedzieć.

— Pracy?

— Pomogę panu dostać te pieniądze. Za skromny udział,

oczywiście.

— Pieniądze? Jakie?

— A o czym mówię przez cały czas? O bilionie dolarów, a może nie?

Lino nieufnie zmrużył w oczy, jeszcze raz spojrzął na wizytówkę. Prawo spadkowe.

— Ależ to śmierdzi na potęgę, nie sędzę, bym miał ochotę dowiedzieć się, co pan ma zamiar mi zaproponować.

— Nie rozzłościło pana, że szczęście ominęło go tak blisko?

— Jasne, oczywiście, ale jest jak jest. Mam młodszego brata i to on tego wyznaczonego dnia był najmłodszym Fontanellim. Kropka. Tego nie da się zmienić.

Randy przyjrzał mu się, krzywiąc twarz w czymś, co zapewne miało być uśmiechem.

— A jednak — powiedział z szelmowskim błyskiem w oku. — Da się. I dziwię się, że sam pan jeszcze na to nie wpadł.

Wszystkie opracowane tak troskliwie plany trzeba było teraz zmienić. Przekazanie spadku miało się odbyć nie we Florencji, lecz w Rzymie, bezpośrednio w Ministerstwie Finansów. Z zachowaniem największej tajemnicy uzgodniono termin.

— Powinniśmy zamówić helikopter— stwierdził podczas dyskusji Eduardo. — Przynajmniej na wypadek, gdyby reporterzy w dalszym ciągu oblegali naszą bramę.

— Nasz samochód przepuszczą — odpowiedział jego ojciec, który wyglądał, jakby od pojawienia się prasy nie zmrużył oka.

— Nie musimy przecież wyrzucać pieniędzy.

John chciał opowiedzieć Vacchim o tamtej rozmowie telefonicznej, ale nie wiedzieć czemu, zwlekał z tym. A teraz im dłużej trwały rozmowy, tym bardziej niestosowne wydawało się

mu wspominać o niej. To przecież bez znaczenia, prawda? Okoliczność, że podpisanie aktu przekazania spadku odbędzie się teraz w samym Rzymie, powinna ułatwić inną sądową procedurę, która musi odbyć się przedtem.

— Jest drobna komplikacja — oznajmił z ujmującym uśmiechem Alberto. — Krótko mówiąc, musi pan być Włochem.

Komplikację stanowiło jego obywatelstwo. Jako obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki, tłumaczył mu drobiazgowo Gregorio, wszystkie swoje dochody na całym świecie musi opodatkować w USA. Dotyczy to również podatków spadkowych i o nie właśnie chodzi. Ponieważ nie poczyniono starań o zawarcie układu z amerykańskim urzędem skarbowym, jedyną możliwością pozostawała zmiana obywatelstwa. Johnowi nie spodobał się ten pomysł.

— Mój dziadek uciekł przed Mussolinim. Zażarcie walczył o swój amerykański paszport. Nie podoba mi się, że miałbym go teraz oddać.

— Mam nadzieję, że nie umknęło pana uwagi, że Mussolini nie jest już u władzy — powiedział Alberto.

— Bardzo lubiłem mojego dziadka, rozumie pan? On był ogromnie dumny z tego, że został Amerykaninem. Oddanie obywatelstwa to dla mnie jak zdrada.

— Z całym szacunkiem dla pańskiego patriotyzmu i dla uczuć rodzinnych — powiedział Gregorio Vacchi. — Ale kilkaset miliardów dolarów to trochę wysoka cena, nie sądzi pan?

— Na pewno, ale to jeszcze nie powód, żeby mi się to podobało.

— Zbyt poważnie pan to bierze — wtrącił się Eduardo. — Będzie pan bogatym człowiekiem, John. Pański majątek będzie większy niż produkt narodowy brutto większości krajów na tym świecie. Będzie pan mógł zamieszkać gdziekolwiek tylko zechce.

Realnie rzecz biorąc, nie musi pan nawet dotrzymywać umowy z włoskim Ministerstwem Finansów, bo cóż będą mogli zrobić, jeśli pan wyjedzie? Nic. Proszę się tylko zastanowić, jakie znaczenie ma pańskie obywatelstwo w obliczu takiego rządu wielkości.

John wreszcie się poddał.

— No dobrze, kiedy zaczynamy?

— Skoro tylko poczynimy wszelkie przygotowania, utajnienie, zapewnienie ochrony i tak dalej. Po ceremonii chciałby pana przyjąć premier — powiedział Gregorio Vacchi. — W przyszły czwartek.

Gregorio wyglądał, jakby już nie mógł się tego doczekać.

John stał w oknie biblioteki i przez gęste zasłony obserwował wysłanników prasy, obozujących na łące przed bramą, niczym publiczność koncertu na otwartym powietrzu. Dziwiła go zażarta wytrwałość, z jaką reporterzy trwali na stanowisku, mimo jego oświadczenia, że nie będzie żadnych wywiadów, póki nie zostanie dokonane notarialne przekazanie spadku. Cały ten widok zdawał mu się osobliwie nierealny, tym bardziej, że jego przyczyną był on sam. Nie, to nie on był przyczyną, nie on jako osoba. Przyczyną był rodzaj marzenia, które uosabiał, marzenia o bezgranicznym bogactwie. Zdawało się, że nikt nie przeczuwa, jaką trwogą może napełniać kogoś takie bogactwo.

Postanowił opowiedzieć tym ludziom o prorocztwie Giacomo Fontanellego.

— John? Ach, tutaj pan jest.

Głos Eduarda, John odwrócił się.

Eduardo wszedł w towarzystwie człowieka, z którego można by zrobić dwóch ludzi: barczysty kolos, przewyższający go o głowę, o wyglądzie, jakiego pozazdrościłby nawet mistrz świata wagi



ciężkiej w boksie.

— Czy mogę panu przedstawić Marco? Marco, to *signor* Fontanelli.

— *Buongiorno* — powiedział Marco i wyciągnął w kierunku Johna dłoń przywodzącą na myśl szufłę. John musiał przełamać się, aby ją uścisnąć. Jednak uścisk dłoni był delikatny, choć mięśnie w przynależącym do dłoni ramieniu wydawały się mieć na celu głównie rozerwanie rękawa w ciemnym garniturze Marca.

— Marco pracuje w najlepszym *Security Service* we Włoszech — wyjaśnił Eduardo.

— *Security Service*?

— Pański *bodyguard*, *signore* — powiedział Marco.

— Mój...? — John przełknął ślinę. Ach tak, Vacchi wspominali o czymś takim. Sto lat temu, w innym życiu, ochroniarz. Niczym król, który musi się strzec przed pozbawionymi skrupułów rywalami. — *Bodyguard*. Rozumiem. Ma pan mnie pilnować?

— Si, *signore*.

Sama fizyczna prezencja tego człowieka napełniała strachem. Z pewnością nie musiał nic robić, wystarczała sama jego obecność, by potencjalnym zamachowcom wybić z głowy ich zamiary. John głęboko nabrał powietrza. *Ochroniarz*. To sprawia, że ta historia robi się cholernie realna. Spojrzał na Eduarda, promieniującego zadowoleniem z każdej dziurki od guzika w jego super modnym garniturze.

— A jak to się ma praktycznie odbywać? Chodzi mi o to, czy on będzie stale przy mnie, będzie mi wszędzie towarzyszył?

— *Scusi, signore* — wtrącił Marco. — Największym niebezpieczeństwem, jakie panu grozi, jest uprowadzenie celem wymuszenia okupu. Oprócz sytuacji wymagających

bezpośredniego fizycznego wsparcia, na przykład gdy chodzi o bezpieczne przeprowadzenie pana przez napierający tłum, będą trzymał się tylko tak blisko, na ile to potrzebne, by uniknąć niebezpieczeństwa.

John wpatrywał się w olbrzyna. Uświadomił sobie, że automatycznie poczynił założenie, że człowiek wyposażony w takie zwały mięśni nie może być w stanie wydobyć z siebie jakiejś rozsądnej myśli czy choćby wyrazić się w sposób względnie zrozumiały.

— Ooo, uprowadzenie — wykrztusił. — Rozumiem.

— Dziś po południu przyjedzie jeszcze kilku moich kolegów, którzy zabezpieczą posiadłość dodatkowymi instalacjami alarmowymi. Naszym celem jest zapewnienie absolutnego bezpieczeństwa pańskiej sypialni bez konieczności przebywania w niej któregoś z nas.

— O, wspaniale.

— Również poza swoim pokojem może pan w stu procentach polegać na naszej dyskrekcji — poważnie zapewnił *bodyguard*.

Zabrzmiało to bardziej jak wywody doktora socjologii, niż wypowiedź kogoś, kto wśród codziennych obowiązków ma dźwiganie ciężarów i trenowanie ciosów karate.

— Świetnie — powiedział John, potem przypomniało mu się coś jeszcze. — Czy mógłbym wiedzieć, jak brzmi pańskie nazwisko?

Wyglądało na to, że tym pytaniem zbił olbrzyna z tropu.

— Do tej pory nikt jeszcze nie chciał tego wiedzieć — wyznał. — Nazywam się Marco Benetti.

— Miło mi — John skinął głową i jeszcze raz podali sobie dłonie.

Posiadłość stopniowo zmieniała się w twierdzę. Mężczyźni z zawieszonymi pod pachą kaburami i z owczarkami niemieckimi

patrowali teren wokół budynku. Oświetlenie zewnętrzne pozostawało włączone przez całą noc. W każdym załamaniu budynku zainstalowano kamerę. Po drugiej stronie starego, masywnego, kutego ogrodzenia, w wozach campingowych i pod parasolami słonecznymi warował tłum reporterów, tropiąc każdy krok wokół domu i każdy ruch za oknami. Z dnia na dzień coraz bardziej przypominali Johnowi stado żądnych krwi dzikich drapieżników. Idąc korytarzem, słyszało się oddalone i przytłumione przez wiele drzwi, stale brzęczące gdzieś telefony. Gregorio, Alberto i Eduardo na zmianę co parę godzin wychodzili na dziedziniec, podchodzili do bramy i odpowiadali na pytania dziennikarzy. Wszystko to przypominało Johnowi falę powodziową, nacierającą na mury budynku, wyrwane z oków siły natury, przed którymi nie można się bronić.

Tego samego dnia, którego zatrudniono ochroniarzy, przedstawiono Johnowi jeszcze kogoś. Małego, starszego człowieka, trzymającego się uderzająco prosto, w wieku koło sześćdziesiątki, którego zaprezentowano mu jako nauczyciela włoskiego.

— Ja przecież mówię po włosku — powiedział John.

— *Scusi* — *professore* pokręcił głową. — To, co pan robi, to gwałt na języku pańskich przodków. Pański włoski przypomina gumę do żucia. Zsób słów jest groteskowy, a budowa zdań katastrofalna, lepiej natychmiast przystąpmy do pracy.

I tak każdego przedpołudnia i każdego popołudnia usuwali się na dwie godziny do biblioteki, gdzie John pod kierunkiem *professore* wkuwał włoskie słówka, uczył się reguł gramatyki, ćwiczył konwersację, i ciągle, wciąż na nowo, musiał powtarzać całe zdania z poprawną intonacją. *Professore* zajął jeden z mniejszych pokoi gościnnych w domu Vacchich, do kolejnego

wprowadziła się następnego dnia nieco puszysta, lecz bardzo elegancka dama w średnim wieku.

— *Signora* Orsini jest nauczycielką tańca i dobrych manier z Florencji — przedstawił ją chichoczący bezwstydnie Eduardo. — W swoim czasie próbowała nauczyć dobrych manier mnie, może z panem lepiej się jej powiedzie.

— Mam następujący plan — wyjaśniła *signora* Orsini z ciepłym uprzejmym uśmiechem. — Przedpołudnia poświęcimy na naukę etykiety, zaś popołudnia przeznaczymy na lekcje tańca. Musi pan koniecznie umieć tańczyć, by potrafić poruszać się po parkiecie ze stosowną zręcznością.

John nie wiedzieć czemu, spodziewał się, że nauczycielka tańca powie coś takiego.

— Przed południem mam już lekcje włoskiego — odważył się sprzeciwić.

— Wobec tego musi pan nieco wcześniej wstawać — zwięźle zdecydowała *signora* Orsini.

Pewnego razu, idąc z lekcji włoskiego na zajęcia z *signora* Orsini, zobaczył Eduarda z wielkim kartonem pełnym listów, jak wchodzi do pokoju i mówi do swojego ojca:

— Będziemy musieli urządzić sekretariat. Gregorio Vacchi wyjął jeden list i przyjrzał mu się.

— Wygląda na rosyjski.

— Duży sekretariat — powiedział Eduardo. — To na pewno dopiero początek.

I tak wszystko czekało na wielki dzień. Każdego dnia w gazetach znaleźć można było nowe raporty, w telewizjach trąbiono na cały świat o szczegółach z życia Johna, takich, o których sam już dawno zapomniał. Rozmawiał przez telefon ze

swoją matką, która, podniecona, opowiadała mu, jak natrętni są reporterzy. Z CNN dowiedział się, jak wysokie mniemanie mają o nim jego koledzy szkolni i nauczyciele. W NBC zobaczył wywiad z Sarah Brickman, podczas którego wielokrotnie powtórzyła, że John jest wielką i jedyną miłością jej życia.

Mężczyzna cierpliwie czekał w holu, aż John zakończy swoją lekcję włoskiego.

— Belfiore — przedstawił się, czyniąc kilka ukłonów, które zdradziły, że jego włosy zaczęły się już przerzedzać. — Przybywam, można powiedzieć, na polecenie rządu.

— Na polecenie rządu? — John obejrzał się nerwowo, lecz żadnego z Vacchich nie było w zasięgu wzroku. — Brzmi zachęcająco. — Ten człowiek przybywa na polecenie rządu, a on musi rozmawiać z nim sam?

— Cóż, mam nadzieję, że nie zawiodę. Jestem tutaj, by panu pomóc.

John spróbował uśmiechnąć się tak uprzejmie, jak starała się mu to wpoić *signora* Orsini. Gościnnie. Suwerennie.

— Ależ przejdźmy do salonu — zaproponował.

Wskazał gestem dłoni kierunek, w którym powinni się udać, i sam sobie wydał się przy tym aktorem.

— Tak — wdzięcznie skinął głową mężczyzna. — To dobry pomysł.

Wziął swój kuferek i poszedł za Johnem.

— Ach tak, napoje. Czy mogę panu zaproponować coś do picia? Może kawę?

— Małe espresso, jeśli to nie kłopot.

John nacisnął jeden z dzwonek i pojawiła się Giovanna.

— Czy mogłaby pani przynieść nam dwa espresso?

Cholera, czuł się przy tym jak dureń, lecz nikomu nie zdawało

się to przeszkadzać. Giovanna pilnie skinęła głową i zniknęła, a on z tym człowiekiem poszedł dalej do salonu. Tam również nie było śladu Vacchich.

Co teraz? Zaprosić, by usiadł.

— Proszę, niech pan siada, *signor* Belfiore. — Niezwykłe to wszystko. — Co pana do mnie sprowadza? — Czuł się, jakby powtarzał wyuczone na pamięć wersety.

Belfiore wyjął ze swojego kuferka coś, co — kiedy rozłożył to na stoliku przy kanapie — okazało się być mapą.

— Tutaj — powiedział, wskazując na otoczony czerwoną ramką teren — jest *Calmata*, rezerwat przyrody. Krajobrazowo położony bardzo pięknie, nad Morzem Tyrreńskim, o powierzchni około dwunastu kilometrów kwadratowych, nie oddalony nawet o piętnaście minut od najbliższego lotniska, o tutaj. Proszę, oto kilka zdjęć.

Wyjął plik fotografii o dużym formacie, ukazujących idylliczny krajobraz śródziemnomorski, porośnięty piękną roślinnością, bez dróg, przewodów wysokiego napięcia i domów.

— Piękne — powiedział, obrzucając fotografie przelotnym spojrzeniem. — A cóż to ma wspólnego ze mną?

— Rząd chciałby panu sprzedać ten teren.

— A na co mi on?

— Cóż, *signor* Fontanelli, po przejęciu swojego majątku z pewnością zechce pan *znaleźć* siedzibę stosowną do swojej pozycji. Willa w tym miejscu — wskazał na dyskretnie narysowany czarny krzyżyk mniej więcej na środku mapy — zapewniłaby panu wspaniałą widok, zarówno na morze, jak i góry, wokół niezabudowana, nieskażona przyroda, wśród której mógłby pan jeździć konno lub spacerować. Do tego miejsca miałby pan u stóp malownicze strome wybrzeże, podczas kiedy

ta zatoka dałaby się zabudować jako przystań...

John raptem nabrał pewności, że się przesłyszał.

— Czy pan przed chwilą nie powiedział, że to rezerwat przyrody? Mężczyzna machnął ręką.

— Tak, lecz szczerze mówiąc nie jakoś szczególnie ważny. Nie ma tam żadnych zagrożonych wyginięciem gatunków zwierząt ani nic w tym rodzaju. Oczywiście życzylibyśmy sobie, żeby zobowiązał się pan dotrzymać pewnych ograniczeń, jeśli chodzi o wykorzystanie tego terenu, choć w zasadzie nasi eksperci zgadzają się, że wykorzystanie go do celów mieszkaniowych nie powinno stanowić problemu.

Ponownie pochylił się nad mapą.

— Pozwoliliśmy sobie wrysować tutaj kilka propozycji, jeśli chodzi o możliwy przebieg dróg, instalacji wodnej i elektrycznej. Naturalnie nie chcemy pana ograniczać w żaden sposób tymi propozycjami.

John zamrugał. Powoli świtało mu, co tu jest grane. Rząd chce go zatrzymać w kraju. Dopóki będzie mieszkał we Włoszech, dopóty będzie płacił tutaj swoje podatki. Byli gotowi zaoferować mu za to najpiękniejszy kawałek ziemi, jaki mieli.

Nie spodobało mu się to jakoś. Ogarnęło go nagle uczucie, jakby targował się z prostytutką. Nie robił tego wprawdzie nigdy, ale tak to musiało wyglądać.

— Muszę się zastanowić, *signor* Belfiore.

— To wspaniały kawałek ziemi, *signor* Fontanelli. Prawdziwy raj.

— Niewątpliwie. Ale majątek nie jest jeszcze przepisany na mnie.

— To tylko formalność. Jeśli pan chce, możemy pojechać tam razem, żeby mógł pan to sobie obejrzeć.

— Dziękuję, ale do wizyty u notariusza nie będę opuszczał tego domu.

— Więc może zaraz potem?

— Muszę się zastanowić, jak powiedziałem.

— Czy mogę zostawić panu mapę i zdjęcia? — jego głos brzmiał niemal tak, jakby żebrał. Jakby zagrożono mu biciem, jeśli wróci z odmową.

John skinął głową

— Proszę bardzo.

Odprowadził gościa do drzwi i pożegnał go, jak nauczyła go *signora* Orsini. Po drugiej stronie bramy rozbłysły lampy błyskowe aparatów fotograficznych.

Na szczęście dziennikarze zatrzymali na jakiś czas samochód z godłem Watykanu. Wartownicy byli nadal zajęci odpychaniem fotografów, którzy razem z samochodem próbowali przedrzeć się na dziedziniec.

— Wielkie nieba! — John bezradnie zwrócił się do *signory* Orsini. — Jak zwracać się do kardynała?

Nauczycielka etykiety otworzyła szeroko oczy.

— *Wasza eminencjo* — odpowiedziała. — A jeśli jest pan wierzącym katolikiem, musi pan pocałować jego pierścień.

— A jeśli nie jestem wierzącym katolikiem? — John zerkał przez okno w dół na dziedziniec.

— Wtedy nie.

— Dzięki Bogu.

Eduardo przywitał dostojnego gościa na dziedzińcu i towarzyszył mu do dużego salonu.

— Kardynał Giancarlo Genaro — przedstawił go. — Czujemy się bardzo zaszczyceni.

— *Wasza Eminencjo* — powiedział John, skłaniając lekko



głowę. *Głębokie ukłony tylko przed głowami państw*, nauczyła go *signora Orsini*.

Ubrana na czerwono postać kardynała, któremu towarzyszył blady młody człowiek w czarnej sutannie, budziła szacunek. Był duży, prawdziwy olbrzym, siwe włosy z metalicznym połyskiem, twarde rysy twarzy i wąskie usta. Robił wrażenie, jakby sam nie był pewien, jak powinien zwracać się do Johna, i po kilku sekundach niezręcznego zbliżania się i ociągania, podali sobie po prostu ręce.

Powitalne frazesy, wskazanie miejsca, zaproponowanie napojów, znów cały ten ceremoniał. Powoli nabierał wprawy.

— John, mogę chyba mówić do pana John? — spytał kardynał, zasiadłszy w jednym z foteli jak na tronie. — Dowiedziałem się, że jest pan katolikiem, czy dobrze mnie poinformowano?

Patrzyli na niego badawczo, kardynał i jego milczący asystent, stojący obok fotela. John powoli skinął głową

— W każdym razie jestem ochrzczony po katolicku.

W twarzy dostojnika coś drgnęło.

— To brzmi, jakby chciał mi pan powiedzieć, że od czasu swojej pierwszej komunii nie był pan w kościele.

— Mniej więcej — przyznał John. — Pomijając wesele mojego najstarszego brata.

— Oczywiście żałuję, ale nie godzi mi się pana osądzać — dobrotliwy uśmiech. — W każdym razie wnioskuje z tego, że nie jest pan zbyt oddalony od świętego Kościoła Rzymskiego. Jego Świątobliwość osobiście polecił mi, bym zaprosił pana na prywatną audiencję.

John zdziwiony zauważył, że Giovanna, podając kardynałowi zamówioną wodę mineralną, niemal umarła z szacunku. Można by wręcz sądzić, że uznałaby za stosowne przeczołgać się przez

pokój na brzuchu.

— Prywatna audiencja? — John próbował uchwycić spojrzenie Eduarda, ale ten z pozbawioną wyrazu miną stał na uboczu i przyglądał się obrazom na ścianach tak intensywnie, jakby widział je po raz pierwszy.

— Poza tym Ojciec Święty polecił mi, bym przekazał panu to oto — ponaglony krótkim ruchem dłoni, błądy asystent wydobyl skądś, spośród fałd swojej sutanny, duży album z portretem papieża na okładce, podał go kardynałowi, który nie zaszczycając swojego towarzysza nawet jednym spojrzeniem przekazał go Johnowi. — Podarunek Jego Świątobliwości.

John ważył książkę w dłoniach, obrazki z życia papieża Jana Pawła II.

— Dziękuję bardzo — powiedział, pragnąc, by jego kwestia zabrzmiała bardziej szczerze.

— Proszę ją otworzyć — zachęcił go kardynał. — Jest podpisana.

— To miłe — posłusznie wymamrotał John i przekartkował do wyklejki. Była cała zabazgrana grubym pisakiem, nie był jednak wstanie odcyfrować nawet jednego słowa. — Bardzo dziękuję.

Zamknął książkę i położył przed sobą, na stoliku. Kardynał splótł dłonie, gestem podkreślającym doniosłość jego słów.

— John, wkrótce zostanie pan najbogatszym człowiekiem świata. Pojawi się wielu ludzi, przybywających do pana z propozycjami zainwestowania pańskich pieniędzy. Ja, mówiąc szczerze, przybyłem prosić pana, aby poświęcił pan część swego majątku na cele dobroczynne.

Cóż, przynajmniej za długo nie owijał w bawełnę. Wyglądało też na to, że nie ma zamiaru czekać na odpowiedź Johna. Kazał swojemu ubranemu na czarno asystentowi podać sobie teczkę, z

której wyciągnął zdjęcia dzieci, większość z nich czarnoskóra, siedziały przy ramach tkackich, dźwigały na plecach kosze pełne cegieł albo uwijały się w ciemnych piwnicach przy wilgotnych belach materiału.

— Praca dzieci jest nadal bardzo rozpowszechniona i setki tysięcy dzieci pracują w warunkach, które można określić tylko jako niewolnictwo. Sprzedane za kilka dolarów przez rodziców, nie będących w stanie ich wyżywić, wpadają w zadłużenie, z którego nigdy już się nie wydostaną. Ojciec Święty bardzo troszczy się o dobro tego świata, dlatego powierzył mi projekt, który, mówiąc zwięźle, ma na celu wykupienie możliwie wielu dzieci z niewolnictwa.

— Niewolnictwo? — powtórzył jak echo John, patrząc na zdjęcia. — Ono jeszcze istnieje?

— Nie nazywa się go tak. Oficjalna terminologia głosi, że dzieci spłacają długi swoich rodziców, lecz to w znacznej mierze to samo.

Kardynał rozplótł dłonie, rozkładając je pełnym namaszczenia gestem.

— Nawet kilka milionów dolarów mogłoby zdziałać prawdziwe cuda...

W tej samej chwili drzwi gwałtownie otworzyły się, i włożył przez nie głowę zupełnie pozbawiony tchu Gregorio.

— John! Eduardo! — wykrztusił — Chodźcie, szybko. Musicie to zobaczyć... na CNN, najnowsze wiadomości... Nie do pojęcia! Proszę o wybaczenie, Wasza Eminencjo.

John i Eduardo wymienili zdziwione spojrzenia.

— Zdaje się, że to ważne — stwierdził kardynał, z dobrotliwym uśmiechem. — Niech pan idzie, ja zaczekam.

Poszli zatem, bardziej z troski o stan Gregoria niż z powodu

zainteresowania jakimiś wiadomościami, podążyli za dyszącym człowiekiem, w górę po schodach do małego saloniku na pierwszym piętrze. Na wiszącym tam wielkim ekranie migotał jak zwykle niespokojny obraz CNN, dziennikarka kończyła właśnie rozmowę z lokalnym reporterem, wygłaszając kilka niewiele mówiących uwag, następnie zaczęła się reklama. *Padrone* siedział w głębokim fotelu, pochylony do przodu, wspierając brodę na uniesionych i splecionych dłoniach. Gregorio ciężko dysząc zatrzymał się za kanapą, oparł się o nią dłońmi i wychrypiał:

— Taka kompromitacja... Taka kompromitacja...

John podszedł do Alberto stojącego bez ruchu i śledzącego całe zajście z wielkim drinkiem w dłoni.

— O co chodzi?

— Pański brat Lino miał przed czterema laty romans, z którego urodził mu się nieślubny syn — powiedział Alberto. — Jeśli to prawda, to on jest dziedzicem majątku Fontanellich.

# 7

Naprawdę to zrobił, dokładnie to, czego się spodziewała. Susan Winter ściszyła telewizor, wzięła telefon, położyła przed sobą karteczkę z numerem i wpatrzyła się w nią. Chętnie poczekałaby z tym trochę, ale jeśli ma wykorzystać to, co wie, musi przystąpić do rzeczy natychmiast.

Pech w miłości. Szczęście w grze. Teraz to się sprawdzi, wszystko albo nic. Wystukała cyferki numeru telefonu, jakby to były liczby wygrywające w loterii.

Sygnał, wstrzymała oddech.

Po drogiej stronie ktoś odebrał.

— Tak? — Niski, matowy, raczej zrelaksowany męski głos.

— Nazywam się Susan Winter — zaczęła, nienawidząc swojego piskliwego altu, drżącego łomotania w brzuchu, całego tego cholernego strachu. — Około trzy tygodnie temu dostał pan ode mnie informacje o Johnie Salvatore Fontanellim i o jego rodzinie. Patrzę właśnie na wiadomości w CNN i chcę tylko panu powiedzieć, że wiem, co pan zamierza.

— Skąd ma pani ten numer? — spytał pozbawiony wyrazu głos.

— Jestem detektywem — wyjaśniła Susan. — Zdobywanie takich informacji to mój zawód.

— Rozumiem, a co pani zdaniem zamierzam?

Susan mu powiedziała.

Gdy skończyła, poczuła się jak sparaliżowana, i nawet za milion dolarów nie wydobyłaby z siebie ani słowa więcej. Zamknęła oczy i czekała, co będzie, drwiący śmiech czy wściekłe pogrożki, w zależności od tego, czy trafiła w dziesiątkę, czy nie.

Lecz mężczyzna zaśmiał się tylko cicho, zabrzmiało to niemal jak wyrazy uznania.

— Podziwiam panią — stwierdził i zdawało się, że się przy tym uśmiechnął. — Przyznaję, że pani nie doceniałem, panno Winter. Co chce pani uzyskać tym telefonem? Pieniądze, zakładam, za to, że zatrzyma pani swoje odkrycie dla siebie.

Susan odetchnęła, przełknęła i odpowiedziała drżącym głosem.

— Coś w tym rodzaju.

— Możemy spokojnie nazywać to po imieniu, nikt nas przecież nie słyszy, zatem okup za milczenie. Oczywiście, możemy to tak potraktować, ale zastanawiam się, czy nie mógłbym zrobić pani jeszcze korzystniejszej propozycji.

Teraz próbuje się wymigać, to jasne.

— Korzystniejszej dla kogo?

— Dla nas obojga. Panno Winter, ile zarabia pani na swoim obecnym stanowisku?

— Osiemdziesiąt tysięcy — powiedziała bez długiego namysłu. Właściwie było to tylko siedemdziesiąt tysięcy, reszta stanowiła pokrycie zeszłorocznych kosztów, ale zawsze mówiła osiemdziesiąt.

— Zapłacę pani dziesięć razy więcej, z możliwością podwyżki, jeśli porzuci pani tamtą pracę i zacznie pracować dla mnie.

Musiała się przesłyszeć.

— Słucham? — prawie krzyknęła, znów absolutnie nieprofesjonalnie.

— Skoro znalazła pani mój numer telefonu — oznajmił niski głos na drugim końcu przewodu — to niewątpliwie wie pani o mnie o wiele więcej. Zrobiona przez panią analiza moich zamiarów świadczy, że jest pani dobra i że marnuje swój talent, śledząc niewiernych mężów i nielojalnych pracowników. Przestańmy więc owijać w bawełnę... Faktem jest, że od lat szukam analityczki o pani zdolnościach, pensja, na początek

osiemset tysięcy dolarów, jest trochę wyższa niż zwykle, ale znów nie aż tak bardzo. Potraktujmy to jako premię za milczenie. Mówiąc wprost, gdyby wcześniej dała mi pani próbkę swoich umiejętności, natychmiast podkupiłbym panią z jej biura detektywistycznego i przekupił tam kogoś innego.

To wszystko jest jakieś... Cóż... Nie tak to sobie wyobrażała. Zadzwoiła do tego mężczyzny, by go szantażować, a on proponuje jej pracę.

— Panno Winter? — zapytał. — Jest tam pani jeszcze?

— Tak. Ja, hm, zastanawiam się jeszcze — A jeśli to jednak tylko trik? Analityczka? Czego? Ależ tak, to możliwe... ale ona? Jej praca miałaby być dla kogoś warta osiemset tysięcy dolarów rocznie?

— Panno Winter, jedno pytanie: Czy lubi pani swoją obecną pracę tak bardzo, że wyklucza pani wszelkie zmiany?

— Hm — nie. Nie, absolutnie nie. To znaczy tak, jestem w stanie wyobrazić sobie zmianę... zupełnie dobrze... — To było kłamstwo, jeszcze nigdy w życiu nie rozważała zmiany pracy.

— W takim razie mam dla pani propozycję, panno Winter. Przyjadę do Nowego Jorku i spotkamy się, powiedzmy, w przyszły wtorek, o siódmej wieczorem, w miejscu naszego pierwszego kontaktu. Dla ułatwienia. Czy to możliwe?

— Tak — skinęła Susan. — Oczywiście. We wtorek o siódmej.

— Świetnie, znam tam w pobliżu niezły, dyskretny lokal, gdzie będziemy mogli omówić wszystkie szczegóły. Przywiozę trochę dokumentów i gotową umowę. Panią poproszę, żeby sformułowała już swoje wymówienie. Kiedy przeczyta pani umowę, przyda się pani wymówienie, obiecuję to pani. — Przerwał na chwilę, potem dokończył:

— Nie muszę o tym wspominać, na pewno, ale dla formalności

— jeśli opowie pani komuś o tym, co pani odkryła, wówczas moja oferta będzie naturalnie nieaktualna.

— Tak — Susan odchrząknęła. — Naturalnie.

Ale on już odłożył słuchawkę.

Powoli dowiadywali się, co zaszło. Niejasne wzmianki, krótkie reportaże, streszczenia układały się w całość. Lino miał przed czterema laty romans z kobietą z Filadelfii, niejaką Deborah Peterson, wówczas sekretarką w mieszczącej się tam kancelarii adwokackiej. Poznali się na pokazach lotniczych, na które Deborah przyszła z paczką przyjaciół, a Lino, który był wprawdzie dobrym pilotem, ale nie akrobatą, został przydzielony do opieki nad publicznością. Ich związek był gwałtowny, potajemny i przelotny. Po miesiącu rozstali się i nigdy więcej nie słyszeli o sobie, aż do teraz. Deborah, przy pomocy adwokata, znów nawiązała kontakt z Linem, który wcześniej nie wiedział, że Deborah rozstając się z nim, była w ciąży. Na dodatek ona nigdy nie zdradziła, kto jest ojcem jej dziecka.

— Nie chciałam szkodzić jego karierze — paplała słodko do kamery drobna kobietka w blond lokach. Jej syn, Andrew, którego trzymała na rękach, patrzył zagubiony. Ładne dziecko, z ciemnymi kręconymi włosami. Reporterzy nazwali je już *Bilion Dollar Child*.

Również Lino udzielał wywiadów, stojąc na trawniku przed swoim domem we Wrightstown.

— Jestem bardzo szczęśliwy, że mam syna — przyznawał, nerwowo mrugając oczyma. — Ta wiadomość bardzo mnie poruszyła... Nie chodzi mi o pieniądze. Ja nie chcę tych pieniędzy dla siebie. Ale oczywiście chcę jak najlepiej dla mojego syna,



rozumieją państwo?

— Czy pan i Deborah Peterson teraz pobierzecie się? — spytał reporter.

Lino zagryzał wargi

— Ja... Jeszcze nie wiem, nie umiem tego jeszcze powiedzieć.

— Ale pan tego nie wyklucza?

— Nie wykluczam.

Musiał się do tego przyzwyczaić, do widoku własnego brata w telewizji, w ramce z napisów i kolorowych znaczków stacji telewizyjnych. John uświadomił sobie, że podobnie musiała odczuwać to jego rodzina i ludzie, którzy znali go wcześniej. W tle widać było przyjaciółkę brata, Verę Jones, trzymającą w ramionach swoją córkę Mirę i robiącą wrażenie zapłakanej. John spotykał ją przy okazji rozmaitych rodzinnych świąt w domu swoich rodziców, ostatnio na Boże Narodzenie. Była nieco pulchną, ale obdarzoną wielkim sercem kobietą, która kochała jego brata mimo jego wiecznie złego humoru i o niczym nie marzyła bardziej, niż żeby ją poślubił. Ta cała historia musiała ją głęboko zranić.

*Padrone* krzyknął rozłoszczony, kiedy zwiastun mającej nastąpić potem audycji gospodarczej przerwał reportaż.

— To oszustwo! — oświadczył, krzywiąc się.

Gregorio Vacchi rzucił na ojca rozdrażnione spojrzenie.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Po prostu wiem.

— Nieślubne dziecko. Giacomo Fontanelli też był nieślubnym dzieckiem. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

— To dziecko jest za małe — Cristoforo odwrócił się. — Pomyśl tylko o prorocztwie. Jaki miałoby sens, żeby 3-latek odziedziczył

taki majątek? Pieniądze dostaliby *de facto* jego rodzice, i zarządzaliby nimi do roku 2010. Do tej pory nic by się nie zdarzyło. W każdym razie nic dobrego. To nie ma sensu.

Gregorio zamyślony spojrział na dywan, jakby spodziewał się znaleźć tam odpowiedź na wszystkie pytania.

— W testamencie nie napisano nic o minimalnym wieku — powiedział.

— I ja to wiem — odparł *Padrone*.

— Ale rozumiesz, że nie możemy zrobić, co zechcemy? Jesteśmy wykonawcami ostatniej woli. Musimy trzymać się prawa jak każdy inny zarządca spadku, decyduje tekst testamentu, a nie to, jak my go interpretujemy.

*Padrone* niechętnie skinął głową. Na ekranie pojawił się niesympatycznie wyglądający mężczyzna o okrągłej, ospowatej twarzy, który według podpisu na obrazie nazywał się Randolph Bleeker i był adwokatem Deborah Peterson. Na schodach imponującego budynku, otoczony lasem mikrofonów, kamer i ludzi trzymał wysoko nad głowami wypełniony i opatrzony stemplami formularz.

— Pan Lino Fontanelli przyznał oficjalnie, że jest ojcem Andrew Petersona, panie i panowie — przekrzykiwał tłum.

Wyciągnął drugi papier, opatrzony nagłówkiem, w którym dało się rozpoznać słowo *laboratorium*.

— To wynik badania grupy krwi, potwierdzający ojcostwo. Tym samym syn mojej klientki, Andrew Peterson, dnia 23 kwietnia 1995 roku był najmłodszym męskim potomkiem florenckiego kupca Giacomo Fontanellego i skutkiem tego, prawomocnym dziedzicem jego majątku. Wzywam kancelarię adwokacką Vacchi do przedstawienia oryginału testamentu Fontanellego w odpowiednim urzędzie, celem sprawdzenia prawa do spadku.

Gregorio Vacchi uderzył płaską dłonią w obicie sofy.

— Nie możemy tego zignorować — krzyknął. — To niemożliwe. Eduardo — zadzwoń do Ministerstwa Finansów. Do notariusza też. Musimy odwołać wszystkie terminy do czasu, nim sprawa będzie wyjaśniona.

Eduardo spojrział pytająco na dziadka, ten zmęczonym ruchem głowy przytaknął. Potem spod ciężkich, pomarszczonych powiek poszukał wzrokiem Johna.

— Musimy teraz porozmawiać o panu, John, rozumie pan. Sądzę jednak, że może pan oszczędzić sobie uczestnictwa w tej dyskusji.

Nagła cisza w pokoju, który być może wkrótce nie będzie już jego pokojem, działała przytłaczająco. John spojrział przez okno w dół na mężczyzn, którzy w kuloodpornych kamizelkach i broni przewieszanej przez ramię patrolowali ogród. Wkrótce nie będzie już taki ważny, by trzeba było go pilnować, reporterzy, teraz okupujący bramę i wzajemnie tratujący się i popychający tylko po to, by zdobyć jego zdjęcie, odjadą i rzucają się na 3-letniego chłopca w Filadelfii. Tak samo, jak zniknął kardynał, kiedy wrócili do wielkiego salonu. Duchowny skądś musiał dowiedzieć się, co zaszło. Zabrał nawet album z dedykacją papieża. Zatem z powrotem w nicość, w świat pozbawiony znaczenia, tam, skąd przyszedł. To naprawę trudne. Z powrotem do Marvinina, do wspólnego mieszkania, znów szukać jakiejś pracy, teraz, kiedy już posmakował całkiem innego życia... Tak czy siak, mógł mieć nadzieję, że jakaś gazeta zainteresuje się jego historią, zapłaci za nią kilka dolarów. No, i do końca życia będzie mógł opowiadać, jakie to było uczucie prowadzić ferrari. Spojrzął po sobie. Czy zostawią mu garnitury? Naprawdę się do

nich przyzwyczaiał, z drugiej strony nie będzie mógł sobie pozwolić nawet na ich czyszczenie. Tak, do cholery, właśnie zaczęło mu się to wszystko podobać.

Tydzień temu był przekonany, że pomylili się co do niego i nie jest prawdziwym spadkobiercą, a teraz, kiedy wyglądało na to, że miał rację, czuł tylko bezgraniczną wściekłość na Lina, który chce zabrać mu jego pieniądze.

*Moje!* To była dzika, uparta złość, złość małego dziecka, którego nie obchodzą ani trochę inni, które po prostu *chce mieć*. Dziecka, gotowego gryźć i drapać, i kopać nogami, żeby tylko nie oddać tego, co do niego należy. Czuł, jak jego płuca intensywnie pracują, jakby przygotowywały się do walki.

Nagle zadzwonił telefon.

John odwrócił się, poczuł, jak cała wojowniczość uchodzi z niego niczym powietrze z przekłutego balonu. Jego pierwszą myślą było ukryć się w łazience i pozwolić aparatowi dzwonić. Ale może to Vacchi, może chcą mu powiedzieć, żeby już pakował swoje rzeczy. Usiadł na łóżku i odebrał.

— Ma pan problemy — odezwał się niski głos nieznajomego — i zostawiono pana z nimi samego.

John poczuł, jak zasycha mu w gardle.

— Można tak powiedzieć.

— Obiecałem panu, że znów się odezwę, prawda?

— Tak.

— I przepowiedziałem panu, że będzie pan potrzebował pomocy, zgadza się?

— Tak — John poczuł, jak miękną mu nogi.

— Dobrze, ale musi pan poczynić trochę przygotowań. Byłoby dobrze, gdyby na wszelki wypadek miał pan faks. Sądzi pan, że zdoła to załatwić?

Johnowi przypomniała się karta kredytowa, którą dał mu Eduardo, wciąż miał ją w swoim portfelu.

— Tak — powiedział. — Tak sędzę.

— Proszę to załatwić tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie wiem jeszcze, czy będzie pan go potrzebował, ale może się tak zdarzyć.

— Nie chce mi pan powiedzieć, co zamierza? — spytał John.

— Głównie dlatego, że sam jeszcze nie wiem, proszę mi zaufać. Znalazł się pan w bardzo nieprzyjemnej sytuacji, ale widzę szereg możliwości, by coś z tym począć.

W tym, co mówił i jak mówił było coś uspokajającego.

— Dziś nie poznam pańskiego nazwiska, prawda?

— Proszę mi wierzyć, że mam słuszne powody, dla których muszę tak postępować — poprosił nieznajomy. — Po tym, jak załatwi pan faks, proszę przebywać możliwie jak najwięcej w swoim pokoju. Odezwę się.

Na tym skończył i odłożył słuchawkę.

Gdy John otworzył drzwi na korytarz, na jednym z krzeseł pod ścianą naprzeciwko siedział Marco, z założonymi na piersiach rękami.

— Marco, potrzebny mi faks.

Jego plan był właściwie taki, by potajemnie pojechać ferrari do najbliższego miasta i kupić urządzenie, ale ochroniarz błyskawicznie wyjął komórkę i powiedział:

— *Va bene, signor Fontanelli*. Załatwię panu faks.

Następnego ranka w gazetach poruszano tylko dwa tematy: wybuch epidemii w Afryce centralnej, wywołanej prawdopodobnie przez wirus Ebola, oraz spór o bilionowy spadek.

— Mój dziadek nadal sądzi, że jest pan właściwym

spadkobiercą — oznajmił Eduardo przy śniadaniu. — Mój ojciec twierdzi, że to początek starczego dzieciennienia. Mój wujek uważa za okropną myśl, że będą musieli męczyć się z trzyletnim megamiliarderem. Ja, szczerze mówiąc, też.

Siedzieli sami w salonie. Vacchi jeszcze długo po północy dyskutowali, co robić i tylko Eduardo zdołał już wstać.

— Co teraz będzie? — spytał John.

— Prawdopodobnie — oznajmił Eduardo, przeżuwając — zacznie się coś, do czego prawnicy nadają się najbardziej, spór prawny. Potrwa zapewne długo. Mam na myśli długo według miary prawników, lata, może dziesiątki lat.

Nad domem znów zaterkotał helikopter. Liczba reporterów nie zmniejszyła się, raczej wzrosła pięciokrotnie. Żaden dostawca ani żaden pracownik nie mógł dostać się do domu, nie wygłosivszy swojej opinii do dwunastu mikrofonów.

— Wspaniale — stwierdził przybity John.

— Najpierw każemy przysłać sobie wszystkie papiery. Trzeba będzie je przetłumaczyć, uwierzytelnić i tak dalej. To potrwa, będzie kosztować, no cóż. Potem zażądamy genetycznego sprawdzenia ojcostwa. Wynik badania krwi, którym ten podejrzany pan Bleeker robił taki *show* przed kamerami, jest wart tyle, co nic.

— Naprawdę? Ale przecież on mówił...

— Prawnicy zawsze coś mówią, w końcu żyją z tego, że się spierają. Faktem jest, że badanie krwi nadaje się tylko do tego, by wykluczyć ojcostwo. Rzecz w tym, że grupy krwi dziedziczone są według określonych reguł. Jeśli na przykład dziecko ma grupę krwi AB, a matka grupę krwi A, wówczas mężczyzna z grupą krwi A nie może być ojcem, tylko taki, który ma grupę krwi B lub AB. Ale badanie krwi nie może stwierdzić na pewno, czy

określony mężczyzna to naprawdę ojciec.

John patrzył na młodego adwokata. Nagle przypomniało mu się jak matka, kiedy byli jeszcze dziećmi, dzieliła między nich słodycze, a Lino później zabierał mu jego część. Po prostu zabierał, ponieważ był silniejszy.

— A test genetyczny? — zapytał i zdawało mu się, że jego głos drży z wściekłości.

— Tutaj też oczywiście zdarzają się przypadki wątpliwe, lecz w zasadzie dostarcza on pewnego dowodu ojcostwa. Próbkę ciała muszą być pobrane pod dozorem, ale to wszystko da się zorganizować. Wystarczy nawet cebulka włosów albo wymaz z błony śluzowej w ustach, więc można przeprowadzić go również na dziecku. I to przyjemniejsze od badania krwi.

— U mnie nie robiliście testu genetycznego.

— Nie — odpowiedział Eduardo i zatopiony w myślach mieszał kawę. — W przypadku dzieci urodzonych w małżeństwie to nieistotne. Męskiej linii pochodzenia i tak nie można z absolutną pewnością prześledzić w przeszłość. W przypadku pańskiego brata chodzi jednak o to, że należy podejrzewać podstęp, za pomocą którego próbuje on przejąć majątek Fontanellich.

Zatem i oni mieli to podejrzenie. Ale Lino od zawsze był kobieciarzem. W sąsiedztwie nie było dziewczyny, do której przynajmniej nie próbowałyby smalić cholewek. Do tego zawsze w tajemnicy. Ilekroć zdarzało mu się natknąć na brata flirtującego z jakąś dziewczyną, Lino spoglądał na niego tym specjalnym spojrzeniem, które obiecywało lanie, gdyby miało mu przyjść do głowy coś wygadać. Z drugiej strony to właśnie on uświadomił go, już w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat, Lino był wtedy piętnastolatkiem i dobrze wiedział, o czym mówi. Całkiem możliwe, że coś mu raz nie wyszło. Mógł zrozumieć

nawet reakcję Deborah Peterson, by Linowi nie mówić nic o dziecku. Zawsze miał wrażenie, że Lino przestaje być miły dla kobiet, kiedy już dostanie to, czego chce.

— A jeśli to nie jest sztuczka? — pytał John.

— Jeśli to nie jest sztuczka — powiedział Eduardo, oblizał łyżkę i starannie odłożył ją na kruchy, biały, porcelanowy spodek — wówczas Andrew Peterson jest spadkobiercą.

To, co do tej pory było oblężeniem, teraz zmieniło się w atak. Mówiąc obrazowo, reporterzy zaczęli dobijać się do metalowych prętów bramy, szarpać je i domagać wpuszczenia. Eduardo odważył się wyjść na zewnątrz w towarzystwie trzech ochroniarzy, choć szedł tylko do bramy dziedzińca. Wyjaśnił dziennikarzom mniej więcej to, co opowiadał Johnowi przy śniadaniu. Mianowicie, że zaistniało podejrzenie, iż Lino za pomocą sprytniej sztuczki chce wejść w posiadanie majątku Fontanellich, i z grubsza nakreślił przebieg oraz przedmiot mającego się odbyć procesu. Tylko brama uchroniła go przed rozszarpaniem.

— Jeszcze raz coś takiego i wyjdę z tego z trwałym uszkodzeniem słuchu — stwierdził Eduardo, wróciwszy do domu i aż otrząsnął się. — Co oni właściwie tutaj robią? Nie powinni być na procesie przeciw OJ. Simpsonowi?

Nie minęły dwie godziny, a mógł już zobaczyć na NBC siebie samego wygłaszającego to oświadczenie. Ujęcie zmontowano, przeplatając gniewnym dementi wyrwanego ze snu Lino Fontanellego, który zdecydowanie odrzucił „infantylnie zarzuty młodego, włoskiego prawnika” i jeszcze raz podkreślił, że chodzi mu wyłącznie o dobro dziecka.

Ponownie pojawił się helikopter, po nim zaraz drugi i trzeci.



Członkowie zatrudnionego u Vacchich personelu wysyłani w rozmaitych sprawunkach, donosili po południu, że proponowano im wielkie sumy pieniędzy za notatki o gospodarstwie domowym Vacchich, za zdjęcia wnętrza ich domu albo za przeszmuglowanie do domu reportera. Ochroniarze wzmocnili kontrole.

Późnym popołudniem John zadzwonił do matki. Na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych było krótko przed południem i swoim telefonem wyciągnął ją z kuchni. Ostatnie kilka razy, kiedy do niej dzwonił, była tylko skołowana tym wszystkim, co się zdarzyło i podniecona, gdyż o jej synu pisano we wszystkich gazetach. Teraz jednak była naprawdę nieszczęśliwa owym rozłamem, który „ten milion”, jak uparcie powiadała, wniósł w rodzinę.

— To nie milion, *mamma* — powtórzył John kolejny raz. — To milion milionów.

— *Non mi piace, non mi piace* — lamentowała. — Komu potrzebne tyle pieniędzy, powiedz tylko? Czy są warte tego, żeby jeden brat pokłócił się z drugim? A teraz on chce opuścić Verę i ożenić się z tą kobietą z Filadelfii, tylko dla pieniędzy...

John poczuł na plecach zimny dreszcz. *Kto właściwie dziedziczy, kiedy umrze dziecko? Jego rodzice, prawda?* To była okropna, przerażająca myśl, która przyszła do niego znikąd i której nie mógł odegnąć.

— Ty przecież zawsze marzyłaś o wnuku — powiedział z trudem. Na stole przed nim leżała *Corriere della Sera* i ze strony tytułowej wielkimi oczami patrzył na niego trzyletni Andrew Peterson.

— Mira też była dla mnie jak wnuczka i miałabym ją teraz stracić? Ach, to wszystko to jedno nieszczęście. Z tych pieniędzy

nie ma nic prócz nieszczęścia.

Użała się tak dalej, aż przypomniała sobie, że powinna nastawić wodę na makaron. John musiał jej obiecać, że wkrótce znów zadzwoni, a jeszcze lepiej, że niedługo wróci do domu. Potem odłożyła słuchawkę.

Wrócić do domu, tak, może łatwiej mu przyjdzie się z tym pogodzić. Właściwie od początku czuł się tu nie na swoim miejscu. Od początku był przekonany, że Vacchi musieli się co do niego pomylić. Okay, cały ten luksus jest przyjemny, niewątpliwie, i człowiek przyzwyczaja się do niego błyskawicznie, ale on tak naprawdę nie potrafi sobie radzić z pieniędzmi. Z małymi pieniędzmi nie potrafi, a co dopiero z dużymi. A co się tyczy tego, by ludzkości przywrócić jej utraconą przyszłość, to na pewno nie może tu chodzić o niego. Dość kłopotu ma ze swoją własną przyszłością, bez tego wszystkiego na dodatek. Podniósł gazetę, przyjrzał się zdjęciu małego *Andrew Petersona*. Dźwięczne imię. Prawie jak *Andrew Carnegie*. Będą mogli posłać go do właściwych szkół, pozwolić mu powoli dorosnąć do jego roli, przygotować na wszelki możliwy sposób do bogactwa i władzy. Jeśli się dobrze nad tym zastanowić, ten zwrot losu nie jest pozbawiony rozsądku.

Nastrój przy kolacji był, jak można się było spodziewać, przygnębiający. Vacchi starali się prowadzić konwersację i zachowywać tak, jakby wszystko było w porządku, lecz ich starania były tak widoczne, że Johnowi po prostu było przykro. Myśłami byli daleko stąd, przy małym, trzyletnim chłopcu, po drugiej stronie Atlantyku i przy pytaniu, czy to możliwe, że prawdziwy dziedzic i wykonawca proroctwa zupełnie uszedł ich uwadze. Choć Giovanna naprawdę się postarała, John nie zdołał wiele zjeść i szybko odszedł. Poszedł przez kuchnię i przeprosił ją

za to. Ciemność w jego pokoju była przytłaczająca, lecz nie odważył się zapalić światła, by nie budzić czujności reporterów. Rozebrał się po ciemku i położył do łóżka. Dlaczego to Cesare i Helen nie mogli mieć dziecka? Z tym łatwiej by się pogodził. Cesare był zawsze o tyle starszy, tak dalece go wyprzedzał, że to nie zraniłoby jego ambicji. Ale nie, to musi być Lino, akurat on. Lino, który zawsze był silniejszy i potrafił to wykorzystać. Lino, który jako jedyny przynosił do domu dobre stopnie. Lino, który go zawsze zwyciężał, we wszystkim. I teraz znów go pokonał.

Co on teraz pocznie? Nie osiągnął w życiu zbyt wiele, lecz nawet ta odrobina legła w gruzach od czasu spotkania Vacchich. Przejdzie do annałów jako tragiczna figura, jako człowiek, który prawie został bilionerem. Będą się na niego gapić jak na cyrkowego potwora, gdziekolwiek by nie poszedł. Mógł pogrzebać wszelką nadzieję na powrót do normalnego życia, takiego, jakie znał.

Jego myśli krążyły w kółko. Wstał, po omacku poszedł do łazienki. Była tam szafka z lekarstwami, najrozmaitsze dostępne w handlu leki. Znalazł ją, otworzył, po ciemku dotykał rurek, tub i pudełek z tabletkami. Teraz jednak musi zapalić trochę światła. Wyszukał fiolkę z tabelkami Valium i otworzył ją.

Następnego ranka w świat poszedł meldunek, że John Salvatore Fontanelli, wyznaczony na dziedzica bilionowej fortuny, popełnił samobójstwo.

Szlochły na drugim końcu przewodu zdawały się nie mieć końca.

— Co za nieszczęście... *madre mio... dio mio...* Te pieniądze przyniosły samo nieszczęście. Zniszczyły rodzinę, wszystko zniszczyły...

— Mamo...

— A ta diabelska zgraja dziennikarzy oblega mój dom, włazi do naszego mieszkania, nie daje mi spokoju. Skąd przyszło im do głowy twierdzić, że nie żyjesz? Ten cios mógł zabić mnie albo twojego ojca.

— Pewnie dlatego, że zawsze muszą ogłaszać jakieś sensacje — powiedział John.

— Ja prawie zemdlałam, a twój ojciec też już nie jest najmłodszy, pamiętaj o tym. A w jego rodzinie większość zmarła na serce. Podali to w nocnych wiadomościach, na które zwykle nigdy nie patrzymy, od tego czasu nie zmrużyłam oka ani na chwilę.

Szybko przeliczył różnicę czasu. W Nowym Yorku musiało być teraz wpół do trzeciej w nocy.

— Dowiedzieliśmy się o tym dopiero przed chwilą, inaczej o wiele wcześniej...

— Do tego to zdjęcie, jak tam stoisz z dwudziestoma tabletkami Valium w dłoni.

— Przecież przez cały czas chcę ci wyjaśnić, jak do tego doszło. To znany reporter z brukowców, Jim Huston, *paparazzo*. W ciągu dnia udało mu się wyskoczyć z helikoptera na dach domu, nikt go nie zauważył w całym tym zamieszaniu. Na samej górze jest jedno miejsce, którego nie widać z podwórza, tam się ukrył. Wieczorem spuścił się na stalowej linie pod okno mojej sypialni jak alpinista i przyczał ze swoim aparatem. Zrobił mi zdjęcie, gdy byłem w łazience, żeby poszukać tabletki nasennej, a ja nic nie zauważyłem.

— Ich było przynajmniej dwadzieścia! Dokładnie to widać.

— Po prostu mi się wysypały, mamo — to nie była prawda. Tak naprawdę chciał sprawdzić, ile tabletek zostało jeszcze w tubce,

gdyż nagle ogarnął go bezsensowny lęk, że ktoś mógłby później zauważyć, iż on jedną zabrał, tabletkę, która do niego nie należała.

Po tym, jak mniej więcej uspokoił już swoją matkę, ubrał się jeszcze raz w swój najlepszy garnitur i zszedł, by wraz z Vacchimi pokazać się dziennikarzom i w ten sposób ostatecznie udowodnić, że wciąż żyje.

— Co będzie pan teraz robił? — krzyczano do niego, trącając go mikrofonami na długich prętach. — Czy sądzi pan, że Andrew Peterson jest naprawdę synem pańskiego brata? — Ale John tylko kręcił głową i nie mówił ani słowa.

Eduardo pokazał reszki konstrukcji ze stalowej liny i wyjaśnił, w jaki sposób Huston zrobił zdjęcie. Kiedy kilku reporterów zagwizdało z uznaniem, ostrzegł przed naśladownictwem.

— Jim Huston w oczywisty sposób naruszył prywatność pana Fontanellego i oskarżymy go albo o zaniechanie pomocy, albo o oszustwo. Obojętnie, jak się będzie tłumaczył, jednego z tych dwóch czynów dokonał na pewno.

Gdy znaleźli się znów w domu, John oznajmił, że za najlepsze wyjście uważa powrót do Stanów Zjednoczonych, do domu swoich rodziców, póki wszystko nie zostanie wyjaśnione.

— Moi rodzice nie radzą sobie z tą nagonką w prasie. Myślę, że powinienem tam być i odciągać od nich uwagę dziennikarzy.

Vacchi przytaknęli, oprócz *Padrone*, który z przyganą kręcił głową.

— Pańskie miejsce jest tutaj, John — powiedział. — To wszystko to jakiś koszmar, to przeminie.

— Cóż, ja dobrze rozumiem Johna — powiedział Alberto.

— Myślę, że to naprawdę najlepsze wyjście — powiedział Gregorio.

Eduardo westchnął.

— Jeśli pan chce, zarezerwuję panu na jutro lot.

— Dziękuję — powiedział John.

Potem poszedł do swojego pokoju, by się spakować. Jednak, stojąc przed szafą stwierdził, że z tych wszystkich rzeczy nic tak naprawdę do niego nie należy. Rano poprosi Eduardo, żeby przyniesiono mu do ubrania coś z kartonów z jego własnym dobytkiem, które muszą jeszcze gdzieś stać. A więc tak to wygląda, koniec snu. Zniechęcony rzucił się na łóżko. Patrzył w sufit nad głową. Tak jak wszystko to rozpoczęło się z godziny na godzinę, równie szybko teraz się kończy.

W pewnym momencie obudził się z półsnu, w który nie wie, kiedy zapadł. Sądząc po świetle, musiało być już popołudnie, i w jakiś nierealny sposób czuł się dobrze. Jak tu spokojnie. John wstał, poszedł na taras, który do niedawna był jeszcze jego, wdychał słone powietrze nawiewane od morza, i zamknął oczy.

W krzewach pod nim coś cykało, a z daleka od bramy dobiegał szmer głosów reporterów. Szkoda. Będzie mu brakować tego, że czuje się jak milioner. Do poczucia, że jest miliarderem nie zdołał dojść w ciągu tych kilku dni, nie mówiąc już od bilionie. Ale milionerem czuł się już raz i polubił to uczucie.

Zadzwoił telefon. Na pewno znów matka. Żeby mu powiedzieć, że teraz jeszcze trochę pospała i czuje się lepiej. Wszedł i odebrał.

— Tak?

— Załatwił pan faks? — niski głos nieznanego.

John przestraszył się, mimowolnie opadł na kolana i zajrzał pod łóżko. Stał tam karton przyniesiony przez Marco.

— Tak. Tak, mam faks.

— Podłączony?

— Co? Nie, jeszcze nie. Myślę, że muszę wyjąć telefon.

— Rozumiem — nieznajomy jakby się uśmiechnął. — Gniazdka telefoniczne mają co najmniej trzydzieści lat, prawda? Tak samo jak aparat telefoniczny.

— Mniej więcej.

— Dobrze. Proszę podłączyć faks. Za pięć minut przefaksuję panu dokument, za którego prawdziwość mogę zaręczyć. Proszę uczynić z niego jak najlepszy użytek.

— Dziękuję — powiedział John. — Jednak nie rozumiem... Ale linia była już martwa.

Pięć minut? Może jednak powinien był wcześniej przeczytać instrukcję obsługi. Wyciągnął karton spod łóżka, rozerwał go i drżącymi palcami wyjął urządzenie ze styropianu. Co za szczęście, że Marco pomyślał i o tym, żeby kupić rolkę papieru faksowego oraz przejściówkę do podłączenia aparatu do starego gniazdka. Potrzebował trzech minut, by uczynić faks gotowym do odbioru. Przez resztę czasu siedział przed nim, wpatrywał się w szczelinę, z której miał wyjść papier, i miał uczucie, że trwa to godziny. Potem, wreszcie, we wnętrzu ciemnoszarej skrzynki coś stuknęło, a szczelina rozbłysła zielono-błękitnym światłem. Z cichym szmerem wysunął się papier, a na nim nabazgrane kreski i rozmazane litery. John pochylił się i próbował odczytać tekst, kiedy z faksu wysuwały się kolejne strony. Był to raport z badań medycznych, którym poddał się porucznik Lino Fontanelli, a przeprowadzonych przez lekarza sztabowego bazy lotniczej McGuire w lutym 1991 roku. Całe strony wyników EKG, EEG, test pojemności płuc, kardiologiczny test obciążeniowy, test czasu reakcji, morfologia krwi, analiza płynu rdzeniowego i tak dalej. Na ostatniej stronie zaznaczono krzyżykiem kwadracik, który

potwierdzał, że pilot pod względem zdrowotnym jest całkowicie zdolny do lotów bojowych. Obok pysznił się zamaszysty, zupełnie nieczytelny podpis lekarza.

Decydującą notatkę John prawie przeoczył. W rubryce: Wyniki badań medycznych nie wpływające na zdolność do pilotowania samolotów, umieszczono lapidarny wpis: „Niepłodny”.



## 8

Ten fakt był jak cios w żołądek. John siedział, gapił się na napis, nie czując upływu czasu i próbował zrozumieć, co to znaczy. Nikt nie przychodził, nikt nie dzwonił, również wtedy, gdy — nieobecny duchem — odłączył urządzenie i wsunął je z powrotem pod łóżko. Nikt mu nie przeszkadzał i dzięki temu miał czas, by wszystko gruntownie przemyśleć. Kiedy już zmierzchało, postanowił przemilczeć informację, by nie musiał nikomu wyjaśniać jej pochodzenia. Zamiast tego, przy kolacji przebiegającej w przygnębionym nastroju, spytał niby mimochodem:

— A właściwie, czy analiza genetyczna potrafi rozpoznać, że ktoś jest nieplodny?

— Nie. — Eduardo pokręcił głową, zajęty rozgniataniem parującego kartofla z pietruszką widelcem z siedemnastego wieku. — A dlaczego?

— Przypomniała mi się jedna rozmowa, którą prowadziłem w ostatnie Boże Narodzenie z Verą, przyjaciółką mojego brata — brnął dalej John. — Dała mi do zrozumienia, że nie może zająć z Linem w ciążę.

Wymyślił to, Vera nigdy w życiu nie rozmawiałaby na takie tematy z nikim, kto nie byłby lekarzem.

— Wielkie nieba! — wyrwało się Gregorio, aż upuścił widelec. Zdawało się, że jego nieliczne włosy stanęły dęba. — O tym zupełnie nie pomyślałem.

*Padrone* również zrobił wielkie oczy.

— Bezplodność to częsta przypadłość w rodzinie Fontanellich. Alberto zmarszczył czoło.

— Ale on przecież nie może chyba sądzić, że coś takiego uda mu

się ukryć.

— Mam wrażenie — John ciągnął dalej swoją historyjkę — że Lino nic nie wie o staraniach Very.

— To znaczy, że ta Peterson może próbuje wmówić mu dziecko — wywnioskował skonsternowany Eduardo.

Jego ojciec zdjął z kolan serwetkę i rzucił ją obok swego na pół opróżnionego talerza.

— Muszę natychmiast zadzwonić.

Następnego dnia sensacja stała się faktem. Zmiażdżony Lino przyznał, że to Bleeker namówił go na ten plan. W rzeczywistości nigdy wcześniej nie spotkał Deborah Peterson. A o swojej niepłodności nie wiedział. W tle widać było żółte plastikowe taśmy trzepocące nad trawnikiem jego domu i wchodzących i wychodzących policjantów. Very Jones ani jej córki nie można było dostrzec.

Deborah Peterson opowiedziała reporterowi, jak Randolph Bleeker znalazł ją i przekonał do swojego planu. Znała przelotnie Bleekera ze swojej poprzedniej pracy w kancelarii adwokackiej, choć nigdy nie wydawał się jej sympatyczny. Zgodziła się, ponieważ jako samotna matka pilnie potrzebowała pieniędzy. Bleeker zaaranżował jej spotkanie z Linem, by mogli nauczyć się wszystkich szczegółów rzekomego romansu, nim on ogłosi publicznie tę własnoręcznie sfabrykowaną sensację.

Jak się okazało, Andrew Peterson rzeczywiście był owocem krótkiego romansu, po którego zakończeniu jego matka nigdy więcej nie usłyszała o ojcu dziecka. Po urodzeniu chłopca sądziła, że poradzi sobie sama i duma nie pozwoliła jej wskazać ojca. Gdy jednak jej oszczędności skurczyły się do zera, zwróciła się do Randolpha Bleekera, by pomógł jej odszukać ojca Andrew i

zażądać alimentów. Rzeczywiście go znalazł: dawny kierowca ciężarówki, teraz po napadzie rabunkowym leżał w klinice i posiadał inteligencję kalafiora. Na twarzy młodej kobiety przerażenie mieszało się z fascynacją, kiedy opowiadała, jak prawnik zamierzał wykorzystać tę sytuację do swojego planu. Potajemnie pobrał od leżącego w śpiączce prawdziwego ojca dziecka próbki włosów i tkanek, i przechowywał je zamrożone, by przed spodziewanym genetycznym testem porównawczym wymienić je na próbki, które miano pobrać od Lina. Jak chciał niezauważenie dokonać tej wymiany, tego jej nie powiedział.

Ta awanturyczna historia ostatecznie wypchnęła ze stron tytułowych wirus Ebola, który w środkowoafrykańskim mieście Kikwit u tysięcy ludzi wywołał rozkład narządów wewnętrznych. Na dodatek, ku wyraźnemu zachwytowi dziennikarzy, twórca podstępного planu, adwokat Randolph Bleeker, zwany Randym, przepadł bez śladu. Mieszkanie w Filadelfii zastano opuszczone, zaś zespół kamerzystów, który równocześnie z policją wkroczył do jego dusznego, małego biura, mógł sfilmować jedynie bezradnie rozkładającą ręce sekretarkę, nie mającą pojęcia, gdzie przebywa jej pracodawca.

Gdy o w pół do ósmej rano rolls-royce opuścił posiadłość rodziny Vacchich, zasłonki na tylnych szybach były starannie zaciągnięte. Śledzony przez długi orszak pojazdów upstrzonych znakami stacji telewizyjnych i agencji informacyjnych, majestatyczny wóz niemal niesłyszalnie mijał wioski i osady. Kiedy na krótko przed Florencją wjechał na autostradę prowadzącą do Rzymu, pojawiły się jeszcze dwa helikoptery i w powietrzu dołączyły do konwoju. Od godziny dziesiątej czasu lokalnego jazda rolls-royce'a w kierunku Rzymu była

transmitowana na żywo w CNN.

Nikt przy tym nie zwrócił uwagi na mały samochód dostawczy, który jak zwykle o piątej rano wjechał przez mniejszą bramę na tyłach posiadłości i jak każdego ranka wyładował kilka skrzynek ze świeżą bielizną i załadował worki z brudami. Bez przeszkód oddalił się potem, na krótko tylko — niewidziany przez nikogo — zatrzymał się przy pralni w miasteczku, gdzie otwarto tylne drzwi i wyrzucono worki, by John Fontanelli i panowie Vacchi mieli więcej miejsca we wnętrzu wozu. Korzystając z okazji, *Padrone* przesiadł się na miejsce pasażera, a Marco za kierownicę, wszyscy jeszcze raz z wdzięcznością uścisnęli dłoń młodemu kierowcy pralni, po czym pomknęli, jakby chodziło o kwalifikacje do wyścigu Formuły 1. Drogi o tej porze były jeszcze całkiem puste i dotarli do autostrady wcześniej, niż planowano, ruch na niej był również znośny. Eduardo, autor tego planu, uśmiechnął się z zadowoleniem. Zdołają dokonać przekazania majątku, nim pierwsi dziennikarze dotrą do Rzymu.

Kiedy przejeżdżali przez miasto, John oparł się o jedno z tylnich okien i wyglądał. Na nim, któremu przez całe życie zdawało się, że Empire State Building to budowla antyczna, wielkie wrażenie zrobiły te wszystkie naprawdę wiekowe budynki na Starym Mieście we Florencji. Ale Rzym? Rzym był po prostu monumentalny. Na Boga, nagle zrozumiał, dlaczego nazywa się go *Wiecznym Miastem*. Każde skrzyżowanie oferowało mu długie na kilka sekund spojrzenie w otchłanie historii i przeszłości, których istnienia nigdy nawet nie przeczuwał. Jak można używać klaksonu w obliczu tych dostojnych budowli? Jakże jakiś kierowca może chcieć wyprzedzić innego w tym mieście, w którym czas się zatrzymał? Nie mógł napatrzeć się do syta i niemal żałował, gdy nagle skręcili z ulicy i — wjechawszy przez

ciemną bramę — znaleźli się na miejscu, w Ministerstwie Finansów Republiki Włoch.

Stalowe bramy zamknęły się za nimi. Pojawili się umundurowani mężczyźni, wyposażeni w krótkofalówki i broń automatyczną, z kamiennymi twarzami przyglądali się im, jak gramolą się z dostawczaka i później z groźnym milczeniem towarzyszyli im we wspinaczkę po wąskich, niepozornych schodach. Niepolakierowane, zardzewiałe stalowe drzwi opatrzone w wiele zamków otworzyły się przed nimi i zaraz po ich wejściu znów ze stukiem je zaryglowano. Kroki niosły się echem po pustych korytarzach, przywodzących na myśl bardziej więzienie niż ministerstwo. W staroświeckiej windzie było miejsce maksymalnie dla czterech osób — musieli wjeżdżać „na raty”.

— Za to po wszystkim wyjdziemy głównymi drzwiami — szepnął do niego Eduardo. Wyglądał na podenerwowanego.

U góry weszli przez szerokie drzwi, za nimi posadzki wyłożone były dywanami, na ścianach wisiały obrazy, zaś sufity ozdobiono freskami i malowaną sztukaterią. John dawno już stracił orientację, gdy wreszcie otworzono przed nimi ogromne drzwi i wprowadzono do małej sali, której ściany były pomalowane z takim przepychem kolorów, że zrobiły na gościu wprost porażające wrażenie. Przez te wszystkie anioły z połączanymi skrzydłami i krzewy róż niemal przeoczył mężczyzn, oczekujących, by mu ich przedstawiono.

— *Signor Fantozzi* — minister finansów, *signor Bernardini* — wiceminister spraw wewnętrznych, *signor Nuncio Tafale* — notariusz.

John ścisnął dłonie i zapewniał, z jaką przyjemnością poznaje ich wszystkich, do tego tak wcześnie rano.

Przez całe ostatnie dni, odkąd stało się pewne, że do tego dojdzie, zastanawiał się, jak to się odbędzie. Wyobrażał sobie pełną namaszczenia ceremonię i można było zauważyć, że wszyscy starali się, by przebiegało to mniej więcej w ten sposób. Ale teraz John czuł tylko bicie własnego serca, pulsowanie krwi w szyi i na skroniach i całym sobą koncentrował się tylko na tym, by nie popełnić błędu, nie powiedzieć czegoś głupiego, nie zniszczyć całej tej podniosłości. Było jak wtedy, podczas egzaminu na prawo jazdy, z którego później mógł sobie tylko przypomnieć, że nie był w stanie orzec, jak długo trwał: godziny czy dni. Pamiętał tylko, że był tak absolutnie skupiony, iż później, kiedy było już po wszystkim, nie potrafił sobie nawet przypomnieć, którędy przejeżdżał i gdzie parkował. Kompletnie zaciemnienie. Stres. A tutaj, dlaczego? To przecież nie jest egzamin, który musi zdać. Wcale o to nie zabiegał, nie mógł też temu zapobiec. Ci mężczyźni pojawili się z mocnym postanowieniem, że podarują mu bilion dolarów i nie można było odwieść ich od tego zamiaru. Musiałby zerwać się i odpowiadać na wszystko „Nie”, by temu zapobiec.

Zaczął wiceminister spraw wewnętrznych, kładąc przed nim formularz, całkowicie wypełniony, i coś, co wyglądało jak umowa, opatrzone było czerwoną tasiemką i prawdziwą woskową pieczęcią. Na oba dokumenty rzucili się Vacchi i sprawdzali je litera po literze, nim skinęli mu głową, że może je podpisać. John posłusznie podpisał. Jego włoski był już dość dobry do czytania gazet, ale przed tekstami prawniczymi musiał skapitulować. Bez Vacchich u boku można by mu sprzedać nawet cegłę, a on by tego nie zauważył.

Wiceminister spraw wewnętrznych uśmiechnął się, bardziej uprzejmie niż radośnie, i wręczył mu jego nowy paszport,

atłasowo czerwony europejski paszport, już gotowy ze zdjęciem i podpisem, opatrzony niemożliwymi do sfalszowania pieczęciami. Musiał za to oddać swój wyświechtany, stary, niebieski paszport amerykański. Minister Spraw Wewnętrznych przyjął go jak łup; Johnowi przeszło przez głowę pytanie, co też on z nim zrobi. Czy nie było w nim napisu „Własność Stanów Zjednoczonych Ameryki”?

Znów uściski dłoni. Gratulacje. Teraz jest Włochem, na powrót obywatelem kraju, z którego uciekł jego dziadek. Wiceminister uśmiechnął się do niego zachęcająco, jakby chciał go zapewnić, że nie będzie tak źle, ale minister finansów uśmiechał się znacznie szerzej.

Kiedy wszystkie dłonie zostały uściśnięte i podano kawę, głos zabrał notariusz. Wyjął jakieś pismo i przeczytał je tak w podniosły sposób, że można by sądzić, iż w pomieszczeniu unosi się jakieś ślepe bóstwo i słowa nabierają wagi dopiero, gdy wzlecą do jego uszu.

— Rzym, szesnastego maja 1995 roku, przed dyplomowanym notariuszem Nuncio Tafale, w sprawie przekazania własności majątku Giacomo Fontanellego stawili się: John Salvatore Fontanelli, obywatel Włoch, urodzony pierwszego września 1967 w Nowym Jorku; Cristoforo Vacchi, obywatel Włoch, urodzony...

I tak dalej, aż John przestał cokolwiek rozumieć. Słowa „spadek”, „przekazanie własności” i „nieograniczona dyspozycja” wynurzały się z monotonnej przemowy niczym pęcherzyki powietrza tryskające z przewalającego się ciężko potoku słów. Potem Vacchi przeczytali swoje dokumenty, sformułowane w staroświeckim urzędowym włoskim, w porównaniu z którym mowa notariusza zdawała się subtelną, lekką jak puch poezją, i tak następowało to jedno po drugim, aż John zaczął się

zastanawiać, po co w ogóle go tutaj potrzebują.

Kiedy przystąpiono do składania podpisów, dowiedział się, po co. Bezsensownie musiał jeszcze raz okazać dokumenty, tym razem swój nowy paszport, który notariusz sprawdził, jakby podejrzewał, że za Johna podstawiono mu inną osobę. Potem zaczęło się nie mające końca podpisywanie. Jedna kartka po drugiej, również Vacchi, przez długie minuty nie było słyhać nic poza skrobaniem piór o gruby papier. Stukały stemple, po błękitnych gryzmołach przetaczały się osuszacze atramentu, nakładano woskowe pieczęcie, a szeroki uśmiech szefa włoskich finansów z każdym złożonym podpisem poszerzał się o jeden ząb. On też jako pierwszy poderwał się i pogratulował Johnowi słowami:

— Dziękuję panu, że zdecydował się pan na Włochy!

Potem gratulowali mu Vacchi, nie wiadomo skąd pojawiło się jeszcze więcej dłoni ściskających jego prawicę. Wydawało się, że w tym małym pokoju zebrała się połowa wszystkich urzędników z całych Włoch.

— Teraz jest pan ostatecznie i prawomocnie najbogatszym człowiekiem świata — powiedział Cristoforo Vacchi. — Teraz to nieodwracalne.

W jego słowach dało się wyczuć ulgę.

Znakomicie zgrali się w czasie. Rolls-royce majestatycznie podtoczył się pod schody i kiedy Benito otworzył tylne drzwi wozu, zgraja kamerzystów i fotoreporterów sfotografowała puste tylne siedzenie. Na sekundę zamarli w przerażeniu, aż jeden z dziennikarzy dostrzegł u szczytu schodów Johna i Vacchich. Wskazał ich ręką, rozległ się przypominający okrzyk bitewny wrzask i wszyscy rzucili się w stronę schodów, zaś John wyszedł w światła lamp błyskowych, na jego twarzy pojawił się uśmiech, i



choć nawet nie wiedział, dlaczego i po co to robi, tryumfalnym gestem uniósł skórzaną teczkę z dokumentami, potwierdzającymi jego niepojęte bogactwo i dźwignął ją wysoko nad głowę. To właśnie zdjęcie miało obieć cały świat.

Po ceremonii notarialnej zaplanowano wizytę u włoskiego premiera. Honorowa kawalkada motocykli eskortowała rollroyce'a do siedziby szefa rządu, który oczekiwał ich już na schodach. Na szerokim czerwonym dywanie, pośród prawdziwej burzy błysków fleszy premier Lamberto Dini i John Fontanelli przez minutę ściskali sobie dłonie, uśmiechając się do kamer, do tłumu i znów do kamer. Tłum policjantów utworzył kordon, chroniący Johna przed napierającymi reporterami i tysiącami gapiów wiwatującymi na jego cześć, jakby dokonał jakiegoś niepojętego czynu.

— Proszę do nich pomachać — szepnął do niego premier, człowiek po sześćdziesiątce, o twarzy smutnego buldoga.

Więc John pomachał, a wiwaty przekroczyły wszelkie granice.

Tego dnia we Włoszech najwidoczniej nikt nie rządził, gdyż wszyscy ministrowie zebrali się, by uścisnąć dłoń świeżo upieczonego bilionera.

*Nie ma mowy, żebym zapamiętał te wszystkie nazwiska,* pomyślał John i uśmiechał się, ściskał dłonie i czuł się tak, jakby trafił w oko cyklonu.

— Może pan do mnie w każdej chwili zadzwonić — mówił mu prawie każdy, a John kiwał głową, obiecywał o tym pamiętać i zadawał sobie pytanie, z jakiego też powodu miałby dzwonić osobiście do jakiegoś ministra.

W powrotnej drodze z Rzymu Johna opadł osobliwy niepokój. Raz po raz ogarniało go poczucie, że nie może już wytrzymać ani sekundy dłużej, siedząc tak beczynn timer samochodzie sunącym

przez skąpaną w ciepłym popołudniowym słońcu okolicę. Coś musi się wydarzyć i wiele dałby za to, żeby dowiedzieć się, co.

A więc teraz to już prawomocne, najbogatszy człowiek świata, najbogatszy człowiek wszech czasów. Bez zasług, bez własnego udziału, bez szczególnych uzdolnień, po prostu dzięki kaprysowi pewnego przodka, który dawno popadłby w zapomnienie, gdyby nie jego testament. Czuje się teraz inaczej? Nie. Spojrzał na teczkę zawierającą stos niezrozumiałych dokumentów — jego bogactwo w przyszłości nie będzie zależeć od posiadania tych dokumentów: uwierzytelnione kopie złożono u notariusza, w ministerstwie i w innych niezliczonych miejscach. Mógłby wyrzucić tę teczkę do najbliższego pieca, i tak dalej byłby najbogatszym człowiekiem świata — zatem ta teczka, te papiery ze swoimi stemplami i podpisami, listy kont i ich stany dowodziły czegoś, co w istocie było absolutnie abstrakcyjne: tego, że jest bogaty. Nie czuł się bogatszy niż dzisiejszego ranka o czwartej. Co zmieniła ta ceremonia? Nic. Przed nią był gościem ludzi, których znał krócej niż miesiąc, i tak pozostało. Kiedy droga zwęziła się i nareszcie znów wjechali do wioski, stały tam szpalerem setki ludzi, klaszczących i rzucających serpentyny. Na pustym placu John zobaczył karuzele i namioty, których rankiem tu jeszcze nie było. Ludowe święto, niewątpliwie z jego okazji. Tak, jakby dokonał czegoś, za co należałby mu się szacunek.

U wejścia do willi, w holu, oczekiwał ich stół z kieliszkami do szampana i dużą zakurzoną butelką w szklanym pojemniku na lód.

— Pozwoliliśmy sobie — wyjaśnił Cristoforo — urządzić na pańską cześć małą uroczystość, to znaczy, głównie Eduardo zatroszczył się o wszystko.

John skrępowany skinął głową i miał uczucie, że w żyłach

zamiast krwi ma mrówki. Przyglądał się napełnianiu kieliszków i najchętniej uciekłby stąd i wziąłby się za maglowanie prania lub rozwożenie pizzy.

Alberto Vacchi wysoko uniósł swój kieliszek. Ostatni promień słońca padł przez jedno z okien nad balustradą wprost na niego i sprawił, że pęcherzyki szampana wyglądały jak perły.

— Miałbym ochotę powiedzieć — oznajmił — że kupiliśmy tę butelkę w dzień pańskich urodzin i przechowaliśmy ją aż do dziś. Niestety, nie jest to prawdą, nabyłem ją dopiero w zeszłym tygodniu. Ale ma tyle lat, co pan, John. Dwudziestoośmioletni szampan, jeden z najlepszych, jakie można dostać za pieniądze. *A votre santé!*

Przez cały wieczór John czuł się tak, jakby wylądował w niewłaściwym filmie. Eduardo pomógł mu prawidłowo założyć frak i kiedy zobaczył w lustrze budzącą szacunek postać, przeląkł się. Kiedy jednak potem przedstawiano mu całe szeregi dystygowanych mężczyzn w podobnym stroju oraz kobiet o zapierającym dech, arystokratycznym wyglądem, i nawet Marco i inni ochroniarze tkwili w eleganckich garniturach, był zadowolony, że mniej więcej dorównuje im strojem.

Również później, kiedy pianista z dwoma skrzypkami przygrywali niegłośną muzykę do konwersacji, a wszyscy z kieliszkami i małymi talerzykami na przekąski w dłoni stali wokół i rozmawiali, jakby od jutra miało to być zabronione, John czuł się jak pod mikroskopem. Mężczyźni śmiali się głośno z jego dowcipów, kobiety uśmiechając się promiennie, wystawiały w jego kierunku imponujące dekolty, a wszystko tylko dlatego, że jest bogaty. W każdym, z kim rozmawiał, dostrzegał staranie, by zrobić dobre wrażenie, zyskać jego sympatię, a wszystko tylko dlatego, że ma więcej pieniędzy niż ktokolwiek na tej planecie.

Przed sześcioma tygodniami, kiedy głodny i zmarznięty z zaledwie dziesięcioma centami w kieszeni włókł się przez Nowy Jork, żaden spośród tych ludzi nie zaszczyliłby go nawet jednym spojrzeniem. A przecież nie zmieniło się nic poza jego strojem, fryzurą, i liczbą na bankowym koncie.

No, dobrze — liczbami na jego dwustu pięćdziesięciu tysiącach bankowych kont.

— Jak to jest czuć się bilionerem? — dopytywał się człowiek około pięćdziesiątki, ubrany w garnitur wykończony kołnierzem z lamparciego furta i pierścionek z szafirem wielkości wolego oka. Był on, o ile John dobrze sobie przypominał, sławnym producentem filmowym.

— Też bym się chętnie dowiedział — wyznał John. — Chodzi mi o to, że również mogę się najeść co najwyżej do syta i być ubranym na raz tylko w jedne spodnie... Właściwie uważam, że to o wiele za dużo pieniędzy dla jednego człowieka.

Najwyraźniej ów mężczyzna nie to chciał usłyszeć.

— Zgrywa się pan tu na skromnego, *signor* Fontanelli — stwierdził i krytycznie zmierzył Johna wzrokiem. — Ale mnie pan nie oszuka. Ja znam ludzi, Bóg mi świadkiem.

John patrzył jego śladem, kiedy wmieszał się między innych gości, i zastanawiał się, czy są ludzie, którzy widzą w nim nie tylko potencjalne źródło kredytu, ale coś na kształt idola. Najbogatszy człowiek świata — jeśli on nie jest szczęśliwy, to znaczy, że coś takiego jak szczęście w ogóle nie istnieje. Mniej więcej w tym sensie.

— Jak właściwie czuje się człowiek będąc bilionerem? — dopytywała się kobieta o natapirowanych włosach, ubrana w suknię wysoko zapiętą z przodu, za to na plecach o tak głębokim wycięciu, że bardzo niewiele pozostawiono fantazji widza. Była

córką jakiegoś przemysłowca, zamężną z synem innego przemysłowca, który akurat, na drugim końcu sali, flirtował z czarnowłosą fotomodelką.

— Podobnie jak miliarder — odpowiedział John z uprzejmym uśmiechem. — Tylko tysiąc razy lepiej.

Przesunęła czubkiem języka po na wpół otwartych ustach.

— To brzmi szalenie podniecająco. Z pewnością taki bogaty człowiek jak pan ma również wspaniałą kolekcję znaczków pocztowych.

No, nieźle!

— Żałuję — pospiesznie zapewnił John. — Ale jeśli kiedyś go sobie sprawię, pani dowie się o tym pierwsza, signora.

Udało mu się od niej odejść. W toalecie spotkał Eduarda, który akurat przyczesał sobie włosy, i opowiedział mu o tym. Ten uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze i powiedział tylko:

— W takim razie niech pan uważa, żeby się nie dowiedziała, gdzie jest pański pokój.

— Poważnie? Chodzi mi o to, że jej mąż stał niecałe dwadzieścia metrów dalej.

— I podrywał inną kobietę, zakład? Podobno to u nich normalne, proszę się tym nie przejmować.

Kiedy wrócił do salonu, kobieta znikła, dość długo jej nie było i pojawiła się trochę później. Wyglądała na nieco rozkojarzoną. John starał się iść za radą Eduarda i nie przejmować się tym. Minister finansów również był na przyjęciu.

— Przy okazji, gdyby szukał pan możliwości zainwestowania swojego majątku — oznajmił żartobliwie spiskującym tonem i uniósł kieliszek — chciałbym panu polecić nasze państwowe obligacje.

John nie miał pojęcia, co to są obligacje skarbowe, zresztą była

to prawdopodobnie luźna pogawędka.

— Zastanowię się na tym — obiecał i uniósł kieliszek w toaście. Natknąwszy się później na Alberta, spytał go o to.

— Obligacja państwowa oznacza, że pożyczca pan państwu pieniądze — wyjaśnił, trzymając w dłoniach dwa drinki. — Pieniądze, które po określonym czasie otrzyma pan z powrotem, wraz z ustalonymi odsetkami. To dość nudna, ale pozbawiona ryzyka inwestycja, o ile nie wybierze sobie pan akurat obligacji jakiejś zbankrutowanej republiki bananowej.

— Czy to znaczy, że państwo pożyczca pieniądze od osób prywatnych? — szepnął zaskoczony John.

— Kiedy rząd przedstawia projekt budżetu, przewidujący tyle a tyle miliardów nowego zadłużenia, wówczas wypuszcza się obligacje dokładnie na tę sumę. Może je kupić każdy, kto zechce. Robią to banki i osoby prywatne.

Na tym skończył i pożegłował znów w kierunku istoty o blond włosach, która, jak wszystkie kobiety na tym przyjęciu, zdawała się pochodzić z innej galaktyki niż dziewczyny, jakie John poznał w swoim dotychczasowym życiu.

Przy bufecie znów spotkał ministra finansów i najwyraźniej jego słowa były czymś więcej niż luźną pogawędką, gdyż ładując sobie na talerz plasterki łososa i pasztet z trufli, znów zaczął mówić o swoich obligacjach skarbowych i spytał go, czy już to sobie przemyślał.

— Nie wiem — John ociągał się z odpowiedzią. — A czy to pewna inwestycja? Chodzi mi o to, że pan to państwo i gdyby postanowił pan nie oddawać mi pieniędzy, będę bezbronny.

— Ależ proszę pana! — z jego głosu znikła wszelka żartobliwość i wyprostował się w całej swej okazałości. — Każdy minister finansów wolałby zmniejszyć rentę własnej matce niż nie spłacić

zadłużenia. Zyskać sławę niesolidnego dłużnika to byłoby coś takiego, jakby pan nie płacił swego czynszu. Żaden rząd na świecie nie może sobie na to pozwolić.

Johnowi natychmiast stanęła w oczach gąbczasta postać panny Pearson, właścicielki wynajmowanego przez nich mieszkania, jak kolejny raz stoi w drzwiach i wyklóca się z Marvinem o spóźniony czynsz. Jakże to było dawno, kilka tygodni temu, setki tysięcy lat. Zrozumiał, co ma na myśli minister. Rząd, który nie spłacałby swych długów, z trudem mógłby brać nowe kredyty, w sumie to logiczne.

— Ja? Hm... — mruknął i spróbował się uśmiechnąć — nie miałem jeszcze czasu, żeby. hm... ustalić strategię inwestycji. Ale pomyślę o pańskiej propozycji.

Z laureatem Nagrody Nobla rozmawiał o pogodzie, z bankierem o wyborze Jacques'a Chiraca na nowego francuskiego prezydenta, a z pewną sopranistką o rozruchach w Bośni i Hercegowinie. Pozwalał wtykać sobie wizytówki, obiecywał rozważyć oferty inwestycyjne, i w którymś momencie zmienił szampana na wodę mineralną, gdyż powoli zaczęło go mdlić.

— Jak właściwie czuje się człowiek będąc bilionerem? — spytała pewna kobieta z pracowicie ułożonymi czerwonymi lokami. Jej identycznie czerwona suknia z pająkami z bliska okazała się niemal przeźroczysta.

— Człowiek czuje się — odpowiedział nieco bełkotliwie — jakby wszystkie kobiety świata leżały mu u stóp.

— Och, naprawdę? — odpowiedziała z nieco urażonym spojrzeniem.

W ten sposób znalazł najlepszą odpowiedź na ten wieczór. Tym razem to ona była osobą szukającą pretekstu, by odejść.

Świtało już delikatną szarością i błękitem, kiedy John zamknął

za sobą drzwi swego pokoju i przez chwilę stał oparty o nie, rozkoszując się nagłym spokojem. Poza tym niezbyt pewnie trzymał się na nogach. Najbogatszy człowiek świata? Czuł się teraz jak najbardziej zmęczony człowiek świata. Świeżo pościelone łóżko z zapraszająco odchyloną kołdrą kusiło go niewymownie.

Otworzył drzwi szafy, na których było lustro, i jeszcze raz przyjrzał się sobie z pijacką intensywnością. To właściwie wcale niegłupia rzecz, taki frak. Dobrze mu w nim. Jeszcze do niego się przyzwyczai, tak samo jak do bycia bilionerem.

Czy przyzwyczai się do szampana, to inna sprawa. Przypominał sobie niewyraźnie bruderszaft z niezliczonymi ludźmi, ale niezbyt dokładnie wiedział, z kim. Z Eduardem, to pamiętał. Młody Vacchi nadskakiwał potem kobiecie w czerwonej sukni z pająkami, a później go już nie widział. Kobiety również.

Biel muszki do fraka nieco ucierpiała. Wyjął z mankietu spinki, zdjął frak, niezdarnie rozplatał muszkę pod kołnierzem koszuli. Kiedy akurat zajęty był rozpinaniem kamizelki, usłyszał skrzypienie bramy ogrodowej.

O tej porze? Podszedł do okna. Po tej stronie dom Vacchich miał małą, niską przybudówkę, wyglądającą na warsztat albo raczej szopkę. Od strony ulicy był otoczony murem dziedziniec, i to właśnie zardzewiałe drzwi na ten dziedziniec zapiszczały przed chwilą. John ściągnął kamizelkę i zmarszczył czoło. Na ulicy parkował dostawczak.

Człowiek, którego John widział już wiele razy, jak załatwiał sprawunki dla Vacchich, wyładowywał z niego kartony. Za oknami przybudówki świeciło się światło, i w jednym z nich John zobaczył siedzącą przy stole kobietę. Kiedy mężczyzna przyniósł do drzwi pierwszy karton i mocno zapukał, wstała, pojawiła się



za chwilę na dziedzińcu i pomogła wyładować pozostałe kartony. John rozpiął koszulę. Na plisowanym gorsie widać było plamy od wina, wrzucił ją do kosza na brudną bieliznę. Osobliwe, że jest ktoś, kto musi o tej porze pracować. Może nie powinien z taką ilością alkoholu we krwi rozmyślać o takich sprawach. John skierował się do łóżka i uległ jego pokusie.

Kontenery we wszystkich możliwych kolorach wyglądały z daleka jak barwne cegły, a z bliska jak połamany, pocięty złom. Dźwig do przenoszenia kontenerów, który w ciągu dnia z jękiem wykonywał swoją służbę, a w nocy rdzewiał. Szyny, rozjeżdżone żwirowe drogi, stare molo wystające z brzegu rzeki Hudson i daremnie czekające na frachtowiec. Susan Winter stawiała się na miejscu spotkania o kwadrans za wcześnie, poszła więc powoli wzdłuż molo, przyglądając się grze światła i cieni między drapaczami chmur na Manhattanie, i zastanawiała się, co pocznie z roczną pensją w wysokości ośmiuset tysięcy dolarów. Kiedy zrobiła się siódma, rozejrzała się i przez myśl przelotnie przemknęło jej pytanie, gdzie tu w pobliżu może być jakiś lokal? Lecz była zbyt zafascynowana wyobrażeniem, jak będą w przyszłości wyglądały jej wyciągi z konta, by rozwijać tę myśl.

Gdy wróciła powolnym krokiem do kontenerów, wyszedł spomiędzy nich mężczyzna, wyglądający dziś dokładnie tak samo jak wówczas, kiedy pierwszy raz zgodziła się zarobić pieniądze na czynach niezgodnych z prawem. Ubrany był w ten sam ciemny płaszcz, co wtedy, jak też i zawsze później, ostatnio podczas ich spotkania przed Rockefeller Center. Poruszał się zawsze tak niezgrabnie, jakby miał reumatyzm, a i jego twarz nie wyładniała.

Najwyżej znajomy. W końcu wie już, jak on się nazywa.

— Cześć, Randy — powiedziała pogardliwie Susan. — Przykro mi, że trudził się pan aż tutaj. I to teraz, kiedy szuka pana cały świat, ale ja dziś jestem umówiona z pańskim zleceniodawcą.

— Wiem — oświadczył Randolph Bleeker z okropnym uśmiechem. — Dał mi pewne dotyczące pani zlecenie.

Susan jak uderzenie pioruna dopadła świadomość, że jest tutaj sama i nikt jej nie obroni. Nigdy nie była dobra w analizowaniu swoich własnych spraw. Spojrzała na Bleekera i poczuła, jak jej oczy robią się wielkie z przerażenia.

To, co tym razem wyjął z kieszeni, nie było kopertą z pieniędzmi.

## 9

Następnego dnia, kiedy się spotkali, słońce stało już wysoko na niebie. Giovanna nakryła do małego śniadania w bibliotece, jednym z niewielu pomieszczeń, które nie ucierpiały od skutków wczorajszego przyjęcia. Na całym parterze pełno było ludzi z *Partyservice*, próbujących przywrócić porządek. Zza otwartych okien dobiegały stuki i odgłosy towarzyszące demontażowi karuzel i bud na placu przy posiadłości.

— To całkiem przyjemnie być bogatym — powiedział John.

— Niewątpliwie — Alberto Vacchi zmęczony popijał małymi łydkami espresso. Jego brat Gregorio miał oczy w czerwonych otoczkach i patrzył równie ponurym, co niewyspanym wzrokiem. Twarz Eduarda była tak napuchnięta, jakby w ogóle nie spał. Zresztą nie wyglądał na obudzonego, siedział tylko milcząco i wlewał w siebie jedną kawę po drugiej. Tylko *Padrone* wyglądał kwitnąco i żywotnie. Jak zwykle poszedł do łóżka wcześniej i teraz był już po długim spacerze.

— Ale moim zadaniem — mówił dalej John, przyglądając się czarnemu jak noc płynowi w swojej filizance — jest przecież rozdzielić całe pieniądze między biednych, prawda?

Nagle zapadła cisza. Tak, jakby powiedział coś bardzo niezręcznego.

John podniósł wzrok, szeroko otwierając oczy.

— Tak to zrozumiałem. Prawda? Pieniądze nie są przeznaczone dla mnie, ale za ich pomocą mam coś zdziałać. Pomniejszyć nędzę. Biedę. Coś w tym rodzaju.

*Padrone* zamknął oczy, powoli i głęboko odetchnął, po czym otworzył je znowu.

— To są pańskie pieniądze, John — powiedział. — One do pana należą. Bez żadnych warunków.

— Może pan z nimi zrobić, co tylko pan zechce — dodał Alberto.

— Ale przecież w testamencie jest ta klauzula? Że za pomocą tych pieniędzy mam przywrócić ludzkości przyszłość, czy jakoś tak.

— To nie klauzula — poprawił go Cristoforo Vacchi. — To proroctwo. Pan nie musi. Pan *to robi*. To ogromna różnica.

— Czy to znaczy, że mogę też to wszystko zachować dla siebie, jeśli zechcę?

— Jest pan wolny. Może je pan zatrzymać albo może pan rozdzielić je między biednych — jak pan zechce.

— Trzeba może jednak — wtrącił Gregorio ze skwaśniałą miną nauczyciela — zadać sobie pytanie, kto to właściwie miałyby być owi „biedni”?

John uświadomił sobie, że przez cały czas podświadomie zakładał, że to wszystko tak naprawdę nie dotyczy jego, nie ma nic wspólnego z nim jako osobą, lecz że służy tylko za coś w rodzaju pretekstu, że będzie figurantem, a majątek znajdzie inne, zaplanowane od początku zastosowanie.

— Cóż — stwierdził niepewnie — wszyscy ludzie, którzy cierpią głód — ich przecież na pewno można określić jako biednych, prawda?

— Zgadzam się. — Gregorio wstał, podszedł do jednej z biblioteczek i wyjął grube tomisko, zgodnie z tytułem rocznik statystyczny. Kartkował pewnie, jakby wiedział, czego szuka.

— To byłoby około 1,3 miliarda ludzi. Ile dostałby każdy z nich?

— Mniej więcej... — Nie potrafił wyliczyć tego w pamięci. W liczeniu w pamięci nigdy nie był za dobry, a resztki wczorajszego

kaca uniemożliwiały to zupełnie. John przysunął sobie kalkulator leżący na jednym z pulpitów i zaczął stukać w klawisze.

— Bilion dzielony przez...

Przerwał. Kalkulator jak większość sprzętów tego rodzaju miał ósmiocyfrowy wyświetlacz. Natomiast bilion ma trzynaście cyfr. Innymi słowy kalkulator nie był w stanie zrozumieć takiej liczby.

Bilion. Milion milionów. 1 000 000 000 000..., nie rozumiał również 1, 3 miliarda.

John zbity z tropu patrzył na urządzenie. Miało obudowę z jasnego plastiku i przyciski z czarnej gumy, kalkulator, jaki na całym świecie można kupić za kilka dolarów. Większości ludzi wystarczał z nadmiarem do wszystkiego, co mieli do policzenia. Wystarczał nawet multimilionerom. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że znalazł się teraz w rejonach położonych poza granicami możliwości kalkulatora.

— Prawie siedemset siedemdziesiąt dolarów — oznajmił Gregorio, który dokonał obliczeń za pomocą ołówka i papieru. — 769 dolarów i 23 centy, dokładniej mówiąc, ale z jednej strony ma pan już więcej niż bilion dolarów, z drugiej jednak trzeba by odjąć koszty, jakie powstaną w wyniku samej organizacji tego rozdziału, więc nie ma sensu takie dokładne obliczanie.

John spojrział na niego, sądząc, że śni.

— Siedemset siedemdziesiąt dolarów? Na osobę?

To przecież szaleństwo. Przyjrzał się rachunkom. Przebiegł wzrokiem po zapiskach. Wszystko się zgadzało.

— To nie za wiele — skomentował Gregorio. — Najdalej po roku będą przejezione. Nawet wtedy, gdyby żywność była tania.

Czy zatem bilion dolarów, więcej pieniędzy niż ktokolwiek kiedykolwiek posiadał, to w ostatecznym rozrachunku tak

niewiele? Johnowi zakręciło się w głowie. Musi przestać o tym myśleć, przynajmniej w tej chwili.

— Ma pan rację — stwierdził. — Może to jednak nie taki dobry pomysł.

*Padrone* podał mu kuty w srebrze koszyk z pieczywem.

— Jeśli pozwoli mi pan na małą radę — powiedział, uśmiechając się delikatnie — to proszę przez jakiś czas nie zastanawiać się nad tym, jak może pan pozbyć się tych pieniędzy. Proszę najpierw przyzwyczać się do tego, że są.

Wnętrze Lear Jeta, wycarterowanego przez Eduarda na podróż do Londynu, było utrzymane w spokojnych, bladych odcieniach szarości. Było tam siedem obciągniętych skórą siedzeń, aparatura stereofoniczna ze zmieniaczem CD i lekkimi jak piórko słuchawkami dla każdego podróżującego, zaś zgrabna stewardessa podawała kawę i zimne napoje. Wystartowali rano o wpół do dziesiątej z prywatnego lotniska w pobliżu Florencji, małego i pustego, które wyglądało tak, jak w starych, dobrych czasach musiały wyglądać lotniska. Bez kolejki do okienka *check-in*, bez wymądrzającego się personelu naziemnego i bez *Departure Lounge*: po prostu wysiedli z samochodu i poczłapali po pasie startowym do maszyny, gdzie pierwszy i drugi pilot przywitali ich uściskiem dłoni. A kiedy wszyscy trzej — John, Eduardo i Marco — siedzieli już wygodnie, wystartowali, bez niepotrzebnej gadaniny o maskach tlenowych i kamizelkach ratunkowych.

— Potrzebujesz garniturów na miarę — zdecydował Eduardo. — Najlepszych na świecie.

Mimo zdjęć, od tygodni zapełniających prasę na całym świecie, nikt nie zwrócił na nich uwagi, kiedy wczesnym popołudniem

włóczyli się wzdłuż Savile Row.

John sądził, że londyńska ulica luksusowych krawców zrobi na nim większe wrażenie — toporny bruk, kruszące się tu i ówdzie pstrokate fasady i worki na śmieci na niektórych rogach sprawiały, że wyglądała jak każda inna ulica w tej części Westminsteru. Co najwyżej nad trotwarem wisiało tu więcej flag niż gdzie indziej, Union Jack we wszystkich rozmiarach, ale również reklamy firm mających tu swoje siedziby, było też o kilka więcej niż zwykle wejść do domów — wspartych na kanciastych marmurowych kolumnach.

Marco szedł za nimi w dyskretnej odległości, kiedy studiowali okna wystawowe firm takich jak Henry Poole & Co., Gieves & Hawkes, J. Dege & Sons albo Kilgour, French & Stanbury, gdzie na bezgłowych manekinach prezentowano garnitury o dyskretnym kroju i w nie rzucających się w oczy kolorach. Wreszcie zatrzymali się przed fasadą migocącą lekko na fioletowo. Nad wielkimi oknami, za którymi można było dostrzec stoły zarzucone niezliczonymi belami ciemnego sukna, pyszniło się złotymi literami nazwisko Anderson & Sheppard.

— Mówi się, że książę Karol najchętniej zleca szycie swoich garniturów właśnie tutaj — oznajmił Eduardo. To, co jest wystarczająco dobre dla brytyjskiego następcy tronu, będzie chyba przynajmniej godne wzmianki dla najbogatszego człowieka świata. Weszli więc.

Przy człowieku, który wyszedł im naprzeciw, jego kolega z Fifth Avenue wyglądałby co najwyżej jak subiekt. Eduardo wyjaśnił mu krótko, kim są — czego tu chcą, było oczywiste — nie wywołując tym najmniejszej reakcji na obliczu swego rozmówcy. Najwyraźniej nie było dla niego żadną nowiną, że piękni, bogaci i sławni tego świata chwytają za jego klamkę. Jednak

oświadczenie Eduarda, że potrzebują od razu tuzina garniturów na rozmaite okazje wyczarowało na obliczu krawca promienny uśmiech.

Johna zaprowadzono do osobnego jasnego pokoju. Na komodzie z niezliczonymi szufladami przygotowano białą kredę krawiecką, miarę i książkę zleceń o stronach z jasnozielonkawego papieru. Starszy człowiek z początkami łysiny na zakolach i w okularach o cienkich oprawkach podszedł z pękiem próbek materiału, układał je na ramieniu Johna albo przytrzymywał pod jego brodą, omawiając przy tym dokładnie krój i szczegóły ubrania, opadające albo wypchane ramiona, z kamizelką lub bez, ułożenie spodni na biodrach, czy będą potem noszone z paskiem czy z szelkami, rodzaj kieszeni, guzików, klap, szwów i tak dalej. Później przyłączył się do nich młody, pucułowaty człowiek zapisujący wszystko w książce, wzięto z Johna miarę, z dyskretną obojętnością rzucając osobliwymi hasłami jak „DRS” albo „BL 1” i notując je starannie. Było w tym coś z rytuału, jakby ceremonia przyjęcia do tajnego bractwa, może królewskiego towarzystwa prawdziwych nosicieli garniturów.

Ku zdziwieniu Johna nikt nie chciał zaliczki, nie zażądano nawet adresu. Zanotowano tylko nazwisko i termin pierwszej przymiarki. Za sześć tygodni, czy mu odpowiada?

— Odpowiada nam wyśmienicie — w imieniu Johna oświadczył Eduardo.

Skoro byli już w Londynie, nastąpiły podobne procedury u Turnbulla & Assera na Jermyn Street 71, gdzie zdjęto z Johna miarę na sześć tuzinów koszul, które miano mu przysłać w ciągu dwunastu tygodni, a także u Johna Lobba na St. James's Street 9, gdzie zamówili dwadzieścia par ręcznie robionych butów.



Pomysłowi, żeby zaraz obok w Lock & Co. dać sobie zrobić cylinder na miarę, John sprzeciwił się, kupił jednak dwie panamy, które ku jego zaskoczeniu sprzedawano zrolowane w cylindrycznych kartonach. Spontanicznie postanowili przenocować, poinformowali załogę Jeta, że dzisiejszego wieczoru jednak nie polecą z powrotem i wynajęli Royal Suite w Savoyu. Tuż przed zamknięciem sklepu kupili puszkę małosolnego kawioru z białugi za taką cenę, że John w pierwszym momencie myślał, że rachunek zamiast w funtach szterlingach wystawiono w lirach, przemycili ją do hotelu i rzucili się na nią.

— Trzeba go jeść wyłącznie *solo* — mentorskim tonem pouczał Eduardo, z oddaniem wciskając puszkę w lód, w którym serwis hotelowy przyniósł wytrawnego szampana.

— Ludzie, którzy jedzą kawior ze śmietaną, anchois, siekanymi kaparami, jajkami na twardo i tak dalej, nie wiedzą, że niszczą w ten sposób dokładnie ów smak, za który tak słono zapłacili. Dopuszczałbym co najwyżej cienką grzanekę z niesolonym masłem, ale najlepiej jeść kawior sam. Nigdy — zaklinał go, jakby chodziło o uchronienie Johna przed niewybaczalnym grzechem — naprawdę nigdy nie rozsmarowuje się kawioru na grzance nożem. To dokładnie takie same barbarzyństwo. Przy kawiorze dowcip polega na tym, żeby jajeczka włożyć do ust nienaruszone i tam zmiążdżyć je między podniebieniem a językiem, rozkoszując się przy tym malutkimi eksplozjami smaku, tymi właśnie, wokół których kręci się cały ten cyrk.

John przyglądał się ciemnej masie w otwartej puszcze, wyglądała jak zbiór kleistych czarnych perełek.

— A jak to prawidłowo zrobić?

— Bierze się łyżeczkę — odpowiedział Eduardo i zaprezentował

dwie białe plastikowe łyżeczki nie różniące się od łyżeczek do karmienia niemowląt. — Dawniej używano łyżeczek z rogu, drewna albo kości słoniowej, ale plastik jest najlepszy — lekki, biały, bez ostrych kantów, higieniczny i jednorazowy.

John, biorąc pierwszą łyżeczkę kawioru, przelotnie uświadomił sobie, że ten kęs kosztuje więcej, niż przed zaledwie kilkoma tygodniami zarabiał przez cały miesiąc. Szaleństwo. Czysta perwersja, pomyślał. Potem włożył kawior do ust i pomyślał: *Z drugiej strony...*

Następnego ranka zakupy trwały dalej. Szli od Picadilly do Burlington Arcade, studiowali brązowe, pozbawione najmniejszej skazy szyby okien wystawowych i kupowali marynarki i pulowery z czystego kaszmiru, klipsy do banknotów ze srebra Sterling, platynowe spinki do mankietów i spinki do krawatów warte mały majątek.

— A krawaty? — spytał John.

— Krawaty kupuje się tylko w Paryżu albo Neapolu — wyjaśnił pewnym głosem Eduardo. — Hermes albo Marinella.

— Ach tak — skinął głową John.

Kupowali okulary słoneczne, jedwabne chustki do butonierek, rękawiczki z jeleniej skóry, wełniane i jedwabne szale, skarpety, płaszcze i parasole, ostatnie u Swaine'a, Adeneya, Brigg & Sons, którzy, jak opowiadał mu zachwycony Eduardo, są dostawcami brytyjskiego domu królewskiego. A kiedy usłudźni sprzedawcy transportowali ich łupy na lotnisko, gdzie Jet wraz z obsługą czekali w gotowości na to, kiedy też przyjdzie im ochota lecieć z powrotem, zajrzeli, bo akurat nadarzyła się okazja, na wyścigi konne.

John z początku nie znajdował w tej imprezie nic zachwycającego: tłum podnieconych ludzi i od czasu do czasu

pędzące po torze stado koni. Do tego po każdym biegu trzeba chodzić po coraz większej ilości podartych kuponów. Bardziej z nudów przyszło mu do głowy spróbować, jakie to uczucie zaryzykować i stracić pieniądze, i gdy wyjaśniono mu, w jaki sposób się gra, postawił sto funtów na konia, o którym mówiono, że jest pozbawiony szans.

To minimalne włączenie się w grę natychmiast zwiększyło atrakcyjność imprezy i sprawiło, że łoskot końskich kopyt o tor oraz nerwowość widzów z ich lornetkami, tweedowymi marynarkami i kuponami, zlały się w przeżycie niemal podniecające. Jakby tego było mało, koń Johna wygrał i opuścili tor wyścigowy z okazałym plikiem banknotów funtowych. John ledwie mógł to pojąć. Jakoś zepsuło mu to doznane właśnie przeżycie gracza na wyścigach konnych.

Po południu polecili do Paryża kupować krawaty i Eduardo zaprowadził go do małej, ekskluzywnej restauracyjki, chcąc dostarczyć mu rozkoszy smaku prawdziwych truflి z Perigord. Nie zapomniał obiecać, że dla porównania spróbują również białych truflิ, te jednak rosną we Włoszech, w Piemoncie, i dlatego we Francji się nimi gardzi.

— I co — spytał Eduardo, kiedy późną nocą Jet pędził z powrotem w kierunku Florencji. — Jak to jest być bilionerem?

John spojrzał na niego i westchnął. Gdyby tylko znał odpowiedź...

— W tej chwili — wyznał — czuję się, jak na wycieczce do Disneylandu dla bogatych.

Obleżenie przez media tymczasem dobiegło końca, znów mogli jadać śniadania na tarasie, nie niepokojeni przez nikogo. Kiedy następnego ranka John wrócił później do swojego pokoju, ktoś

przyniósł tam wszystkie zakupy z Londynu: tuziny kartonów, papierowych toreb i zawiniętych w kolorowy papier sprawunków. Na początku czuł się trochę jak na Boże Narodzenie, rozpakowując to wszystko, jednak gdy skończył i zobaczył, że siedzi pośród niezliczonych parasoli, swetrów, szali, wysadzanych diamentami spinek do krawatów i mankietów, wówczas zakup wszystkich tych przedmiotów wydał mu się całkowicie bezsensowny. Kiedy siedział tak na łóżku, bezsilny i bezradny, zadzwonił telefon i John odruchowo podniósł słuchawkę.

— Dzień dobry. Co słyhać? — Głos nieznanego.

John najpierw nabrał głęboko powietrza, próbując przegnać z głowy rozproszone myśli.

— Dziękuję — powiedział. — Świetnie, jak sędzę. Przy okazji, dziękuję bardzo za faks.

— Proszę bardzo.

Zdawało się, że upłynęły wieki. A przecież zdarzyło się to dopiero przed tygodniem.

— Przyszedł — jakby to powiedzieć — dość niespodziewanie. Tak zwany ratunek w ostatniej chwili.

— Tak — skwitował spokojnie niski głos.

— Zakładam, że nie ma celu pytać, skąd pan miał ten medyczny raport?

Niski przytłumiony śmiech promieniujący spokojem. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby powiedzieć *nie*.

— W każdym razie ma pan teraz u mnie dług wdzięczności — powiedział John. — O ile to dla pana coś znaczy.

Przez chwilę było tak cicho, jakby połączenie zostało przerwane. Potem nieznanomy powiedział:

— To znaczy dla mnie bardzo dużo. Może jeszcze do tego

wrócę.

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, wywołało w Johnie niemiłe uczucie. A może to przez wspomnienie Lina. Przypomnienie, że własny brat gotów był go zdradzić? Nie wiedział.

— Teraz, kiedy jest pan najbogatszym człowiekiem świata — mówił dalej nieznamy — co pan zamierza?

I znów to samo. Akurat udało mu się o tym zapomnieć. Można zapomnieć o wielu rzeczach, kiedy śmiga się Jetem na zakupy wte i wewte po całym kontynencie. Również o prorocत्वach i świętych zadaniach. Szczególnie o nich.

— Jeszcze nie wiem — zwlekał, myśląc o tym, że właściwie wcale nie ma obowiązku rozmawiać i odpowiadać na pytania komuś, kto dzwoni do niego, a nawet nie chce podać swojego nazwiska.

— Chwilowo jestem jeszcze zajęty wyłącznie tym, żeby przyzwycząić się do takiej ilości pieniędzy. Zakupy w Londynie, jedzenie w Paryżu, takie tam.

— To zrozumiałe. I to się panu należy. Ale myślał pan już o tym, co dalej? Co chce pan robić za rok, za pięć, za dziesięć lat? Gdzie chce pan mieszkać? Jak ma wyglądać świat wokół pana?

John patrzył na górę swetrów i szali i nienawidził ich wszystkich.

— Tego... Hm... jeszcze nie zdecydowałem — wyjaśnił, czując jak coraz bardziej brakuje mu tchu. Czy dobrze to ujął, lepiej niż: „nie mam pojęcia”?

— Jeszcze pan nie zdecydował, no, no. Między jakimi alternatywami musi pan zatem wybierać?

— Kiedy ma się bilion dolarów, można robić, co się chce — zabrzmiało to bardziej arogancko niż zamierzał. — To oznacza

cholernie wielką ilość alternatyw, prawda?

— Na pewno. — Jeśli nawet nieznajomy poczuł się obrażony, nie dał tego po sobie poznać. — Nazywa się to, zdaje się, męką wyboru. Ludzie, którzy nie mają wyboru, rzadko przywiązują do tych dylematów stosowną wagę.

A cóż to znowu ma znaczyć?

— No właśnie — przytaknął John, czując się kompletnie skonfundowany.

— Ale przecież — naciskał nieznajomy — na pewno już zastanawia się pan nad proroctwem, prawda?

Wyglądało na to, że ten człowiek wie wszystko.

— Jakie proroctwo? — mimo to spytał John.

— Ależ proszę pana, proroctwo pańskiego przodka, Giacomo Fontanellego. Dziedzic jego majątku przywróci ludzkości przyszłość, którą utraciła. Musiałbym się bardzo mylić co do pana, jeśli pytanie, co też miał on na myśli, nie dręczy pana nieustannie.

*Nawet jeszcze nie przeczytałem tego proroctwa w oryginale. Dlatego, że jest pisane po łacinie, a dziedzic majątku Fontanellich przypadkiem nie nauczył się tego języka,* pomyślał John, ale nie powiedział tego na głos.

Znów ten cichy śmiech, jakby z daleka, może ze szczytów Himalajów.

— Będzie pan jeszcze raz potrzebował mojej pomocy, John. Proszę się nad tym zastanowić — i odłożył słuchawkę.

Każdego dnia przychodziły zaproszenia na bankiety, wernisaże, turnieje piłki nożnej albo gale. Proponowano Johnowi patronat nad projektami charytatywnymi, zapraszano do wstąpienia do Lions Club albo Rotary Club, czy jeszcze innych

ekskluzywnych kólek. Cristoforo Vacchi lubił odczytywać te pisma przy obiedzie, by je potem odkładać na bok i mówić:

— Jeszcze nie jest pan gotów, John. Niech pan najpierw spokojnie poczeka trochę na uboczu. Niech pan przeczeka, aż całe to podniecenie się uspokoi. Proszę dać sobie czas na doróżnienie do swojej roli.

Jednak na ten sobotni wieczór Eduardo miał zaproszenie na premierę teatralną we Florencji i namówił Johna, który i tak nie miał nic innego w planie, by z nim poszedł.

Jak się okazało, chodziło o bardzo mały awangardowy teatr w takiej części Florencji, o której turyści nie mieli nawet pojęcia, że istnieje. Sztuka była również bardzo awangardowa, co oznaczało, że młodzi, egzaltowani aktorzy w małej, mieszczącej zaledwie stu widzów sali wywrzaskiwali bezsensownie brzmiące dialogi, bębniąc raz po raz dłońmi w duże, puste beczki i obrzucając się wzajemnie kolorowym błotem. Pod koniec sztuki coraz bardziej odzierali swoje ciała z ubrań i na końcowe oklaski większość z nich kłaniała się już na pół nago. Oklaski te zresztą nie miały końca, co miało przyczynę być może w tym, że publiczność, w większości męska, nie mogła się dość napatrzeć na kłaniające się aktorki. *Dość wyrafinowane*, pomyślał John. Nie zrozumiał ze sztuki nic a nic. Może powinien w przyszłości poważniej traktować swoje lekcje języka z *professore*.

Później było przyjęcie dla krytyków teatralnych, przyjaciół domu i zaproszonych gości honorowych. Mężczyzna o budzących podziw gabarytach, reżyser i intendent w jednej osobie oraz autor sztuki — przemykający bokiem człowieczek z dziką grzywą włosów, w okularkach á la John Lennon i o nieświeżym oddechu, odpowiadali na pytania prasy. Stopniowo przyłączali się technicy teatralni, oświetleniowcy, a na koniec również aktorzy, świeżo

umyci i uczesani, alkohol płynął strumieniami i przyjęcie przerodziło się w ciągnącą się bez końca imprezę.

Ruchliwy typ, cały ubrany na czarno, jak większość tutaj, nadskakiwał Johnowi, starając się przy tym robić wrażenie, że nie nadskakuje. Unikał również słowa *pieniądze*, mówiąc zamiast tego o *środkach*. Jednak John połapał się, że zarządza on finansami teatru i nie mógł pozbyć się uczucia, że wygląda jak chodząca sakiewka.

Chwilę później reżyser wciągnął go w rozmowę, której nie był w stanie przerwać, nie pomagały nawet sugestie, że jest śmiertelnie spragniony ani próby obejścia go bokiem. Czy mógłby wyobrazić sobie swoje życie jako sztukę teatralną?

— Ale ja przecież jeszcze żyję — powiedział John. — Ta sztuka byłaby w znacznym stopniu niedokończona.

— O, to nie szkodzi — powiedział reżyser.

W pewnym momencie John stracił poczucie czasu oraz świadomość kolejności wydarzeń. Ktoś zaproponował mu kokainę. Marco był wszechobecny, milczący i trzeźwy. Jedna z aktorek nie dawała się odwieść od zamiaru powtórzenia sztuki razem z bilionerem, a przynajmniej tej jej części, w której chodziło o zrywanie z ciała garderoby. John nie zważał już na błyski fleszy.

W poniedziałek rano zdjęcie było we wszystkich gazetach. Vacchi podśmiewali się tylko z niego, ale John postanowił wprowadzić zmiany do swego trybu życia.



## 10

— Tym może pan przestawiać żaluzje — wyjaśnił pośrednik, mały, niski, ruchliwy człowiek, z pedantycznie ułożoną fryzurą, wskazując na umieszczoną na ścianie niewielką tabliczkę ze skomplikowanymi przyciskami. — Ale może pan także zdać się na automatykę. — Starał się budzić zaufanie. Fakt, że w pobliżu kręci się Eduardo, obnosząc się z niezadowoloną miną i krytykując coś ustawicznie, wyraźnie go irytował.

John spojrzał w górę na skośne okno. Śnieżnobiałe płytki, z cichym szmerem sunące ku górze albo odchylające się ku dołowi, w zależności od tego, pod jakim kątem słońce miało wpadać do ogromnego salonu. Wspaniałe, jak wszystko w tym domu, który właściwie nie był już domem ani nawet małą willą, ale marzeniem o pałacu.

— Zaprojektowany przez jednego z najlepszych architektów kraju, jak mówiłem — przypomniał pośrednik.

Wszystko było białe, skrzyło się w słońcu. Po drugiej stronie wysokich, ukośnie ku środkowi pochyłonych okien rozciągał się biały taras, z odważnie giętą balustradą, a po jej drugiej stronie leżało Morze Śródziemne o barwie tak nierealnego, lazurowego błękitu, że wyglądało jak kiczowata fotografia. Wąska ścieżka prowadziła na plażę, którą na przestrzeni wielu kilometrów trzeba było dzielić tylko z posiadaczami podobnie okazałych budowli.

— Świetnie — stwierdził John, właściwie do siebie samego. Na moment zapomniał o obecności pozostałych. To może być jego dom, jeśli zechce. Musi tylko powiedzieć „tak”. To dziwne — nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy kupować dom,

ponieważ nigdy nie miał nawet w przybliżeniu tak wiele pieniędzy, ani nie zarabiał tyle, aby wpaść na taki pomysł. Teraz raptem jest bogaty. Może kupić tę willę i, jeśli mu się spodoba, jeszcze cały pas wybrzeża na dokładkę, ale nie jest w stanie obudzić w sobie poczucia własności. Bilion dolarów. Odkąd trafił do tego osobliwego kosmosu, cały świat zmienił się jakby w rodzaj placu zabaw. Może robić cokolwiek zechce, ale to zdaje się nie mieć już znaczenia. Obojętnie, ile wyda pieniędzy, nie zdoła znacznie uszczuplić swego majątku.

Jak mógłby traktować coś jako swoją własność, skoro nie zrobił nic, by to zdobyć, nie pracował, ani nie zasłużył się w żaden sposób? *Może zmienię się teraz w takiego dupka, co tylko się włóczy i kiedy w jakimś sklepie poczuje się źle obsłużony, to zaraz kupuje cały koncern, żeby móc potem wyrzucić z pracy sprzedawcę.*

— Do kogo właściwie należał wcześniej ten dom? — zapytał.

Pośrednik przekartkował papiery.

— Do znanego producenta płyt — odpowiedział gorliwie — ale nie przypominam sobie jego nazwiska. Jego największym hitem była ta piosenka, jak to było? — I zanucił coś w rodzaju melodii, która Johnowi nie wydała się ani trochę znajoma. — Tak czy siak, zainwestował potem w film z jedną ze swoich piosenek, film padł i producent stracił ten dom na rzecz banku.

— Ach — wyrwało się Johnowi, a więc i tak może być. Rozejrzał się, próbując wyobrazić sobie, jak ten dom mógł być dawniej urządzony. Czy na ścianach, dziś tak doskonale białych, wisały kiedyś złote płyty? Czy na jasnych parkietach, gładko i błyszcząco wypełniających teraz pomieszczenia i wyglądających jak lepka ciecz, leżały wcześniej kosztowne dywany? Płaskimi schodami z butelkowo-zielonego marmuru, prowadzącymi do holu

wejściowego, wchodziły gwiazdy o błogosławionych krtaniach. Uzdolnieni muzycy rockowi pozwalali obsługiwać się w jadalni albo w którymś z gabinetów podpisywali kontrakty. A kto wie, co działo się piętro wyżej, w niezliczonych sypialniach, łazienkach i fitness-roomach?

Wszystko to może teraz należeć do niego, Johna Fontanellego, człowieka pozbawionego wszelkich talentów. Nie do wiary. Eduardo stanął przy nim.

— Trochę malutkie, jak na najbogatszego człowieka świata, prawda? — stwierdził półgłosem. — Od razu wiedziałem, że w tej okolicy tylko zmarnujemy czas.

— Mnie się podoba.

— Co? — Wyglądał naprawdę na zaskoczonego. — John, proszę cię... Takich willi jest tutaj na pęczki. To nic szczególnego, to znaczy... Nawet zwykły miliarder nie zadowoliliby się czymś takim.

John nie mógł powstrzymać śmiechu. Nieustanna troska Eduarda o jego stosowny do pozycji wizerunek była momentami wprost wzruszająca.

— Nie, naprawdę — upierał się Eduardo. — Portecéto! Portecéto to przecież wiocha. Nikt na świecie nigdy nie słyszał o Portecéto. Na większości map nawet go nie ma.

— Może to się zmieni, kiedy tu zamieszkam?

— Uważam, że powinienes kupić Calmata, skoro ci ją oferują, zbudować sobie tam willę zaprojektowaną przez najlepszego architekta na świecie.

— Przecież nie wprowadzę się w środek rezerwatu. Sam sobie wydawałbym się gnojkiem.

— To kup piękne, stare *Palazzo* i każ je urządzić.

— To zawsze mogę jeszcze zrobić. A to tutaj byłoby dobre na

początek.

— Na początek? — powtórzył z nadzieją Eduardo. — No dobrze, na początek.

Po doniesieniach prasowych z poniedziałku *Padrone* porzucił zwyczaj głośnego czytania zaproszeń. Jednak w piątek podniósł niepozorną, zabazgraną karteczkę i spytał:

— Czy mówi panu coś nazwisko Giovanni Agnelli?

— Włoski przedsiębiorca, prawda? — spytał John.

— Można i tak powiedzieć. Agnelli to jakby niekoronowany król Włoch: Prezes Zarządu FIATA, najbogatszy człowiek w kraju, przynajmniej dotychczas, a poprzez swoje holdingi reprezentowany w praktycznie wszystkich liczących się gałęziach gospodarki. — Cristoforo Vacchi przerwał, zatopiony w myślach. — Kiedyś spotkałem go na uniwersytecie. Jest ode mnie trochę młodszy, ale też studiował prawo. Już wtedy był bardzo charyzmatycznym człowiekiem... — Znów pomachał wizytówką. — Zaprasza pana. W przyszłą niedzielę, do mediolańskiej Scali. *La Traviata*.

John musiał spojrzeć trochę poirytowany, gdyż Alberto pośpiesznie wyjaśnił:

— Opera. Verdiego.

— Brzmi to tak, jakbyście chcieli mnie tam posłać — powiedział John.

— Tak dla kontrastu z pańską małą przygodą z ostatniego weekendu.

— Myślałem, że mam jeszcze trochę poczekać? Poza tym, nie przepadam za operami.

— Opera to tylko pretekst. Myślę, że dobrze byłoby dla pana poznać Agnelliego. To interesujący człowiek. Ma styl,

*Grandezza...* Prawdziwy gentleman. Mógłby pan studiować na nim, jak na żywym obiekcie, jak obchodzić się z bogactwem i wpływami. — Uśmiechnął się. — Poza tym należy do niego również firma Ferrari.

*Teatro alla Scala* niczym pałac wznosił się przed nim w beżu i złocie, kiedy krótko przed wpół do trzeciej zajechał przed niego rolls-royce'em. Umundurowani lokaje otworzyli mu drzwi i towarzyszyli jemu i ochroniarzom do foyer, mijając pozostałych gości. Rozwieszony między rzymskimi kolumnami transparent głosił, że jest to przedstawienie specjalne z okazji sto pięćdziesiątej rocznicy *Colla-borazione Fernet-Branca*, zarezerwowane dla zaproszonych gości. We wnętrzu budynku było, mimo popołudniowej pory, tak ciemno, że włączono kryształowe kandelabry, których światło elegancko odbijało się w wypolerowanej podłodze. Pomieszczenie wypełniał jednostajny szmer, na srebrnych tacach roznoszono kieliszki z ciemnobrązowym ziołowym likierem i Johnowi zdawało się, że niejedna osoba patrzy na niego i go rozpoznaje, zachowując się jednak tak, jakby go nie poznawała.

Weszli do góry po czerwonych dywanach, a potem szli korytarzem prowadzącym do łóż. Wielkie kasetonowe drzwi z umieszczonymi wysoko klamkami, jakby dawniej ludzie byli olbrzymami. Aż wreszcie przywitał go Agnelli, otoczony czymś w rodzaju dworu.

— To dla mnie zaszczyt — powiedział miliarder i zabrzmiało to tak, jakby naprawdę tak myślał. Miał szpakowate, układające się w fale włosy, trochę jak *Padrone*, ale zdawał się znacznie bardziej żwawy i dynamiczny, jak ktoś, kto mimo swego wieku może jeszcze fascynować kobiety. Niezliczone delikatne zmarszczki pokrywały jego żywotne oblicze i zdradzały dzikość

minionych lat.

— Nie zazdroszczę panu — oznajmił Agnelli, kiedy weszli do loży, a ich ochroniarze za nimi dogadywali się na temat podziału zadań. — Wiem, co to znaczy odziedziczyć majątek. Często czuję się tak, jakby to pieniądze posiadały mnie, a nie odwrotnie. Trzeba walczyć. Trzeba wkładać naprawdę dużo wysiłku.

— Jedną walkę mam już za sobą — spontanicznie powiedział John. — Może pan o tym słyszał.

— Tak. W rodzinie. To źle. Ale proszę mi wierzyć, to dopiero początek.

Łoża była zaskakująco mała. Mieściły się w niej tylko dwa fotele. Również sama sala, okrągła, z zastawionym czerwonymi, pluszowymi fotelami parterem, który okalało sześć pięter łóż wyglądających, niczym kurze grzędy, wydała się Johnowi niespodziewanie mała.

Nieunikniona — opera. Agnelli przysłuchiwał się w zamyśleniu; John nudził się śmiertelnie. Scena była przygotowana imponująco, aktorzy nosili wspaniałe kostiumy, zaś dyrygent, *signor* Riccardo Muti, jak John dowiedział się z programu, solidnie przykładał się do pracy. Mimo to John w każdej chwili wybrałby koncert rockowy, może Rolling Stonesów albo Bruce Springsteena.

W przerwie rozmawiali. Agnelli opowiadał mu, że niedługo wycofa się z interesów i przekaże kierowanie koncernem swojemu bratankowi Giovanniemu Alberto.

— I pan będzie musiał się kiedyś o to martwić — powiedział. — A to niełatwe. Mój syn Eduardo na przykład zupełnie nie nadawałby się na następcę. Za słaby charakter. Przed każdą decyzją pytałby o radę astrologa albo jasnowidza i w krótkim czasie wszystko byłoby zrujnowane.

Nie dawało się jednak wyczuć aury wycofania z interesów. Przeciwnie, Agnelli zdawał się być ich centrum. Przystojni mężczyźni w towarzystwie eleganckich dam ściskali rękę przemysłowemu magnatowi, on zaś przedstawiał im Fontanellego. John uprzejmie ściskał dłonie silne, suche, miękkie, brutalne, a damom składał pocałunek na dłoni, jak nauczyła go *signora* Orsini. Spoglądał w oczy radosne, ale też w złowrogie, zainteresowane, tępe, pogardliwe i przyjazne.

— Guignard — przedstawił się tykowany Francuz — Jean Baptiste Guignard. Bardzo mi miło, monsieur Fontanelli.

— Jean — wyjaśnił Agnelli — uczynił swoim zawodem własną namiętność. Można tak powiedzieć, Jean? Należy do niego stocznia w Cannes. Buduje jachty.

Niczym drżący obraz stroboskopowy pojawiło się wspomnienie Coney Island. Ich zabawy w piasku. Kiedy patrzyli na morze były tam jachty, daleko od brzegu, a na nich malutkie postacie, o których wiadomo było, że to bogacze. Baśniowe istoty. Nie byli to ludzie, których można by gdzieś spotkać. Bogacze byli w jakiś niesłychany sposób dalecy od normalnego życia, bliżsi aniołom niż ludziom.

I mieszkali na jachtach.

— Bardzo mi miło — powiedział John, ściskając dłoń budowniczego jachtów, Jeana Baptiste Guignarda.

— Jacht?

Gregorio Vacchi patrzył na stół pełen prospektów, czasopism i książek tak, jakby John i Eduardo rozrzučili po nim kolekcję najobrzydliwszych magazynów pornograficznych. Swoje pytanie zadał normalnie głośnym głosem, ale tak ostro, że zabrzmiało jak krzyk. Nawet pies stróżujący na zewnątrz na trawniku zastrzygł

uszami.

— Jacht, a co? — odpowiedział poirytowany Eduardo. — John jest bogaty, a bogaty człowiek potrzebuje jachtu.

— Głupie gadanie — odpowiedział bezlitośnie jego ojciec. — Bezsensowny luksus. Posiadać jacht, to tak jakby stać w ulewnym deszczu i drzeć banknoty tysiąc dolarowe.

— John, jeśli zechce, może do końca życia drzeć tysiąc dolarówki.

— Nie rozumiem, w jaki sposób miałyby to nas zbliżyć do spełnienia proroctwa.

Eduardo wywrócił oczami.

— To po prostu wstrętne! Nie możesz przecież zachowywać się tak, jakby jakiś jacht był za drogi dla Johna. Gdyby zechciał, mógłby kupić sobie *Queen Elizabeth*!

W chwili rzadkiej, cennej jasności umysłu, jakiej doznaje się czasem w śnie, kiedy pośród marzenia sennego nagle uświadamia się sobie, że to tylko sen, John zrozumiał, że to właśnie jest moment, w którym musi podjąć decyzję mającą na długi czas naznaczyć jego życie. Pochylił się do przodu z uczuciem, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie, sięgnął przez stół i z prospektów sprzedawców statków wyjął jeden, który już wcześniej wpadł mu w oko, teczkę z białego kartonu z wytłaczanymi złotymi literami zawierającą duże zdjęcie największego oferowanego statku i starannie sformułowany opis: 53-metrowy jacht oceaniczny z dwoma szalupami i lądowiskiem dla helikopterów w komplecie z dwunastoma członkami załogi. Cena była wygórowana, tak samo jak bieżące koszty utrzymania.

Podniósł w górę otwarty prospekt.

— Postanowiłem — oznajmił mocnym głosem, który zabrzmiał



w pokoju jak świst stalowego pejcza — że kupię ten statek.

Spojrzeni na niego, Eduardo z wytrzeszczonymi oczami, Gregorio z opadniętą szczęką. Nikt nic nie powiedział. W końcu Gregorio wyciągnął dłoń, wziął prospekt, studiował go w milczeniu z wyraźną dezaprobatą. Oddał ze słowami:

— To pańskie pieniądze.

*Tak*, pomyślał triumfująco John, kiedy Gregorio szedł ku drzwiom. *Właśnie tak!*

Sceneria była perfekcyjna. I chwila była perfekcyjna. Z biura maklera jachtowego przez wysokie okna, czyste jak przejrzyste górskie powietrze, roztaczał się widok na zatokę Cannes. Na podjeździe wyłożonym śnieżnobiałym marmurem, w cieniu palmy, stał mercedes, który przywiózł ich tu z lotniska. Siedzieli na sprężystych, niezwykle miękkich skórzanych fotelach przed biurkiem z ciemnej czeczotki, z blatem wielkości dwu stołów bilardowych. Obraz wiszący na ścianie za biurkiem miał wymiary trzy na cztery metry, był jaskrawy i kolorowy, i bez wątpienia oryginalny. Sam makler ubrany w garnitur od *Ermenegildo Zegna* demonstrował starannie wypielegnowane paznokcie i promienny uśmiech.

— Oczywiście zatroszczymy się o wszystko — oznajmił z mieszaniną nonszalancji i służalczości, dokładnie taką, jaka budzi zaufanie, że mamy do czynienia z kimś, kto wie, o czym mówi. — Załatwimy panu miejsce cumowania w porcie jachtowym w Portecéto i członkowstwo w tamtejszym jachtklubie, jeśli pan sobie życzy — zresztą to bardzo ekskluzywny klub. Załatwimy wszelkie urzędowe rejestracje, skompletujemy dla pana załogę i zatroszczymy się o niezbędne ubezpieczenia. Wszystko, co musi pan zrobić, to zadzwonić do

kapitana i powiedzieć mu, dokąd ma pan ochotę popłynąć.

— Wspaniale — John skinął głową i poczuł się wspaniale.

Sekretarka, która przyniosła kontrakty, była wysoką blondynką imponującą nogami o zapierającej dech długości oraz znacznymi wymiarami powyżej pasa, zaś obcisły strój, w który była ubrana, mający zapewne udawać suknię, służył raczej podkreśleniu właściwości jej figury niż ich ukryciu.

— Wspaniale — jeszcze raz powiedział John.

Umowę kupna wydrukowano na papierze ze znakami wodnymi. Makler położył przed nim dokument, podał mu pióro *Montblanc*, grubo i ciężko układające się w dłoni, drogie nawet w dotyku.

*To naprawdę super być bogatym*, myślał John, podpisując. Wyliczył, że ten podpis będzie kosztował go stokrotnie więcej, niż wszystkie dotychczasowe zakupy, wizyty w restauracjach i czarterowane prywatne odrzutowce razem wzięte. Miliony dolarów pójdą w ruch tylko dlatego, że on napisze swoje nazwisko nad tą kropkowaną linią. *Lepsze niż seks*.

Makler pozwolił sobie na delikatny uśmiech. Palma nad mercedesem kołysała się na wietrze, niebo było promiennie błękitne.

— Teraz pozostało nam tylko — oznajmił mężczyzna za biurkiem, otwierając oprawny w bawolą skórę terminarz — ustalić datę przekazania panu pańskiego jachtu.

Kiedy wrócili, John czuł się wspaniale, jakby w jego żyłach zamiast krwi płynął szampan. Wszystko było cudowne. Chrzęst opon na żwirze, kiedy ferrari zatrzymywał się na wewnętrznym dziedzińcu willi Vacchich, brzmiał wspaniale. Błękit nieba, wyblakła ochra muru, mieniające się wieloma odcieniami zieleni drzewa były wspaniale. Kolory świata zdawały się nagle być

bardziej nasycone barwą niż kiedykolwiek przedtem.

*Jestem bogaty!* — pomyślał John i pobiegł do góry, przeskakując po dwa stopnie naraz. *Jestem królem świata!* Kiedy wszedł do swojego pokoju, pokojówka, młoda dziewczyna o czarnych lokach, była akurat zajęta powlekaniem jego łóżka, a on przechodząc, zuchwale poklepał ją po pupie. Podskoczyła, potem zachichotała:

— Signor Fontanelli!

John spojrział na zegarek. Pora zadzwonić do matki. Jego rodzice niedługo mają rocznicę ślubu, którą każdego roku obchodzą w kręgu swoich dzieci i ich nielicznych rodzin. W tym roku będzie to coś szczególnego, niezapomniane przeżycie dla wszystkich, już on się o to zatroszczy. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

— *Ciao, mamma!* — zawołał, kiedy matka podeszła do aparatu.  
— To ja, John!.

— *Ciao, John.* — w jej głosie słychać było całe zmęczenie świata.  
— Wiesz już? Lina przenieśli na Alaskę. Właśnie się o tym dowiedziałam. Na rocznicę ślubu też nie przyjedzie.

— Ach, pozbiera się w końcu — stwierdził pogardliwie John. — Wiesz, o czym myślałem? Moglibyśmy w tym roku w waszą rocznicę ślubu zrobić coś specjalnego. Przyjedziecie wszyscy do *Bella Italia*, oczywiście prywatnym odrzutowcem i potem będziemy razem świętować na moim nowym jachcie — co o tym myślisz? Kupiłem dzisiaj jacht i nie mógłbym sobie wyobrazić nic piękniejszego na jego inaugurację.

Przez moment było tak cicho, że John sądził, iż połączenie przerwano. Potem usłyszał swoją matkę, jak lodowatym głosem mówi:

— Nie zniosę, żeby jeden z moich synów zachowywał się jak

pyszałek. Będziemy świętować tutaj, w tym domu, w którym urodziłam was wszystkich, będzie *Saltimbocca* z brokułami i parmezanem, jak zawsze, a po południu pójdziemy do kawiarni na podwieczorek, jak co roku. I albo przyjedziesz, albo cię z nami nie będzie.

Miał wrażenie, że wytargała go za ucho przez cały Atlantyk. John poczuł się nagle jak balon, z którego uszło powietrze.

— Tak — odpowiedział, czując, że czerwienią mu się uszy. — Rozumiem. Oczywiście przyjadę *mamma*, przyjadę na pewno.

Gdy skończył rozmowę, miał tak miękkie kolana, że musiał usiąść na łóżku.

*Fuck!* Więc jednak zmieniam się w dupka. Niech to cholera. Dzisiaj kupiłem jacht, żeby zaszpanować przed całym światem, a jutro? Czyżbym miał zacząć rozdawać cadillaki, jak kiedyś Elvis Presley? W końcu skończę tak samo jak on, tłuścioch i lekoman, otoczony dworem przytakujących sługusów, mlaskających na widok jego bogactwa. Poczuł się, jakby przez cały dzień był pijany i przed chwilą właśnie wytrzeźwiał. Jakby ktoś przyłożył mu w uszy mokrym ręcznikiem. Podchmielony? Nie, pijany, zupełnie upojony pieniędzmi i uczuciem, że jest liczącym się i ważnym człowiekiem.

*Pieniądze niszczą charakter.* Tak się przecież mówi, prawda? Coś jest w tym porzekadle. Musi uważać. Nikt inny za niego tego nie zrobi. Jego matka przed chwilą właśnie zawróciła go z takiego odlotu, ale nie zawsze jej się to uda i nie zawsze przy nim będzie.

I jeszcze — *fuck!* — zegarek! Chwycił się za przegub dłoni, popatrzył na nowy zegarek, Patek Philippe, za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ponieważ Eduardo odradził mu rolexa, którego chciał kupić. *Ordynarne! Zegarek sutenerów!* Nie może pokazać

się rodzicom bez zegarka, który podarował mu ojciec. Który wciąż jeszcze leży w lombardzie w Nowym Jorku.

Musi coś wymyślić.

# 11

— Nie ma problemu — powiedział Eduardo, wyszedł i po chwili wrócił z wielostronicową listą, którą włożył mu w dłoń. — Proszę bardzo. Numery telefonów i adresy wszystkich ludzi, których znasz.

— Lista ludzi, których znam? — John nie uwierzył własnym uszom. — Skąd masz listę ludzi, których znam?

— Od Dallowaya. To ten detektyw, który miał cię odszukać. Już dawno chciałem ci ją pokazać, żebyś przejrzał, czy kogoś nie brakuje.

Detektyw porządnie się napracował. Większość nazwisk zdawała się Johnowi najpierw tylko mgliście znajoma, ale po chwili przypominał sobie niejasno, że są to jego koledzy z Primary School albo sąsiedzi jego rodziców, albo też ludzie z paczki Sarah. Był tam zarówno Murali ze swoim *Pizza service*, jak i pralnia parowa, w której pracował, i właścicielka ich mieszkania, panna Pearson.

— Na co, na miłość boską — spytał John — potrzebna ci taka lista?

Eduardo uśmiechnął się,

— Cóż — powiedział — jest taka mroczna tajemnica, o której nic nie wiesz.

Eduardo poprowadził go do tej właśnie przybudówki, którą John widział z okna swojego pokoju i zastanawiał się, co się w niej znajduje.

— Ten budynek — opowiadał Eduardo, kiedy szli przez zakurzony dziedziniec — był przez setki lat stajnią, a po wojnie wykorzystywano go jako warsztat.

Drzwi z bali były stare, ciężkie i krzywe, ale zamek w nich nowiutki. W środku podłogę, ściany i sufity wyłożono sklejką, ale za zapachem drewna wyczuć można było jeszcze woń kóz i smaru. Mały, ciasny korytarz prowadził do małego, ciasnego pokoiku, w którym upchnięto trzy biurka, siedziały przy nich trzy kobiety, zaś reszta przestrzeni zastawiona była drewnianymi regałami pełnymi skrzynek i pudełek.

— To — wyjaśnił Eduardo, rozkładając ramiona — jest twój sekretariat.

— Słucham? — krzyknął John. Eduardo stanął obok jednej z kobiet.

— *Signora Vanzetti*. Angielski i francuski w mowie i piśmie, specjalizuje się w korespondencji handlowej. Prowadzi biuro.

Z niepewnym uśmiechem skinęła Johnowi głową. Rozpoznał w niej kobietę, która tamtego ranka, po przyjęciu, pomagała rozładować kartony.

— *Buongiorno* — lakonicznie przywitał się John. — Eduardo, co to ma znaczyć?

— *Signora Muccini* — Eduardo kontynuował przedstawianie — angielski i hiszpański, trochę portugalskiego, choć okazało się, że nie jest nam potrzebny.

Kobieta, rozłożysta włoska *mamma*, wbiła wzrok w podłogę, jakby była nastolatką, a John gwiazdą rockową, której nigdy nie spodziewała się spotkać osobiście.

— I *signora Tronfi* — rosyjski i polski płynnie, każdy inny słowiański język wystarczająco dobrze, by móc rozszyfrowywać listy.

*Signora Tronfi* uśmiechnęła się szeroko jak księżyc w pełni.

— Listy.

Dopiero teraz zauważył, że to właśnie listy całymi stosami

pokrywają biurka.

— Od dnia, w którym twoje nazwisko pojawiło się w gazetach — wyjaśnił Eduardo — jesteśmy zalewani listami. Tysiące listów zaadresowanych do ciebie albo do naszej kancelarii, każdego dnia. Ogólnie mówiąc, są trzy rodzaje listów. Po pierwsze — propozycje małżeństwa.

— Wskazał na liczne, stojące rzędami białe pudełka, na których czarnym pisakiem wyrysowano koślawe serca. Te wkładamy tutaj. Setki kobiet w każdym wieku chcą cię poślubić. Zdjęciami, które tu przysyłają, można by spokojnie wypełnić rocznik magazynów pornograficznych. Drugie — listy z pogroźkami. — Podniósł czarny karton, na którym widniała naklejka z trupa czaszką, taką, jaką umieszcza się na butelkach z trucizną. — Groźby zabójstwa, groźby, że cię uprowadzą, że coś zrobią twojej rodzinie, psychopaci wszelkiego rodzaju. To przychodzi tutaj i codziennie jest przekazywane policji. Interpol ma już chyba osobny wydział, który zajmuje się tylko tobą. A po trzecie — i wskazał na kartony oznaczone symbolami dolara, całe rzędy tych kartonów, całe regały, ustawione jedne na drugich — listy żebracze.

— Żebracze?

— Ludzie, których jedyne dziecko pilnie potrzebuje operacji, a oni nie są w stanie jej opłacić. Ludzie, którzy w pożarze stracili dom i cały dobytek i nie byli ubezpieczeni. Bezrobotne, samotne matki, które nie wiedzą, jak mają wyżywić swoje dzieci. Mężczyźni, którzy na skutek nieszczęśliwego wypadku nie są w stanie pracować i nie mają renty.

John widział, że te kartony podzielono na kategorie oznaczone literami. Eduardo wskazywał na pudło z napisem \$\$-A, teraz wskazał na takie, na którym widniał skrót \$\$-B.



— Biznesmeni, bliscy bankructwa i nie mogący zdobyć w żadnym banku kredytu. Wynalazcy, którzy potrzebują pieniędzy, by móc wprowadzić swoje pomysły na rynek i proponują ci udziały w fantastycznych szansach zysku. Właściciele gruntu oferujący ci ziemię, na której może występować ropa naftowa. Albo złoto. Albo platyna. Albo uran. Ale ogromna większość listów — mówił dalej Eduardo, podchodząc dalej do kartonów z napisem \$\$-C, których było więcej niż wszystkich pozostałych razem wziętych — przychodzi od organizacji dobroczynnych na całym świecie. Są tu reprezentowane wszystkie. Opieka nad niewidomymi. Karmienie biednych. Armia zbawienia. Projekty w afrykańskich wioskach. Misje biblijne. Ratowanie dzieci ulicy. UNICEF. Chleb dla świata. Pomoc głodującym na całym świecie. Caritas. Pomoc dla ciężarnych. Opieka nad grobami wojennymi. Resocjalizacja więźniów. Opieka nad dziećmi chorymi na raka. Akcja na rzecz handlu z trzecim światem. Pomoc dla chorych na AIDS, Alzheimerera. Pomoc zakaźnie chorym. Walka z gruźlicą. Ochrona Morza Watów. Działalność na rzecz międzynarodowego partnerstwa miast. Nie zapominaj o towarzystwie utrzymania języka retoromańskiego.

— Towarzystwo zachowania języka retoromańskiego? — powtórzył jak echo John, gapiąc się głupio na szeregi wypełnionych listami pudeł i skrzynek.

— To prawdziwy przemysł — stwierdził, krzywiąc się Eduardo. — Nie wyobrażaj sobie za wiele. U was w USA nazywa się to *fundraising*. Są kursy pisania takich listów, doradcy *Fundraising* dla organizacji w potrzebie, wszystko, cokolwiek porusza serce.

John na chybił trafił zdjął pokrywę z jednego z kartonów i wyjął list: grube pismo z załączonym prospektem. Chodziło o zachowanie różnorodności gatunków i ochronę przyrody i

proszono go, by kwotą o dwucyfrowej liczbie milionów wsparł projekt ochronny w południowym obszarze Amazonki. Tak na początek.

Eduardo spojrział mu przez ramię.

— Obrońcy zwierząt — rozgniewał się. — Ci są najgorliwsi. Ale to przecież ma najmniej wspólnego z przyszłością ludzkości.

John próbował uporządkować myśli. Tysiące listów, nie do wiary.

— Zakładając, że napisze do mnie list ktoś, kogo naprawdę znam? Jego list zginie w tej całej masie, prawda?

— Miejmy nadzieję, że nie — powiedział Eduardo. — Po to właśnie mamy tę listę. — Wskazał na kartki, które John wciąż trzymał w dłoni. — Każdy list, który przyszedłby od jednego z tych nadawców, zostanie przekazany tobie.

— Ale do tej pory nikt jeszcze nie napisał — piskliwym głosem oznajmiła *signora* Vanzetti.

— Nieprawda, dziś coś przyszło — sprzeciwiła się mamma Puccini i sięgnęła po małe, jaskrawoczerwone pudełko. — Tutaj.

Podawała Johnowi bladoniebieską kopertę pochodzącą z Hopkins Junior College, z New Jersey. John rozerwał ją i przebiegł wzrokiem list.

— To szaleństwo. — Chciano honorowo nadać mu dyplom i na wielkim przyjęciu uczcić go jako najważniejszego absolwenta. John pokręcił głową i odłożył list wraz z listą.

Kiedy opuszczali przybudówkę, czuł się tak, jakby przetoczył się po nim walec.

Po kolacji Cristoforo Vacchi jak zwykle podniósł się, jednak przechodząc za plecami Johna położył mu znów dłoń na ramieniu, dokładnie tak, jak wtedy, wieki temu, w Nowym Jorku,

pochylił się trochę i powiedział:

— Coś muszę panu jeszcze powiedzieć, John. Nawet, jeśli wkrótce wprowadzi się pan do własnego domu i pójdzie swoimi własnymi drogami, zawsze będzie pan u nas mile widzianym gościem. Zawsze, John, i obojętnie co się zdarzy. Proszę nigdy o tym nie zapominać.

John zmieszany spojrział w górę, w pomarszczoną twarz, w zmęczone oczy ze źrenicami jak przepaście i obiecał pamiętać. *Padrone* skinął głową z uśmiechem mędrca, jeszcze raz ścisnął mu dłoń na ramieniu i szurając nogami odszedł.

Alberto również poszedł do sypialni.

— Ja po prostu będę się cieszył, jeśli od czasu do czasu wpadnie nas pan odwiedzić — oznajmił i mrugnął do niego porozumiewawczo. — To przecież niedaleko... pańskim ferrari... a skoro dane było mi dożyć wypełnienia naszego zadania, będę ciekaw, jak się panu powodzi, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Potem siedzieli w czwórce na tarasie, tylko w blasku gwiazd i kilku lampionów, John, Eduardo i jego rodzice. Żona Gregoria opowiedziała kilka zabawnych anegdot ze szkoły — oczywiście w wiosce rozniosło się, jaką rolę Vacchi odegrali w sprawie fortuny Fontanellich, nie mogła więc uniknąć ilustrowania w młodszych klasach, jak wielki jest bilion, zaś w wyższych tłumaczenia mechanizmu odsetek i odsetek składanych.

— Do dziś już dziesięcioro dzieci — uśmiechnęła się — postanowiło wpłacić swoje kieszonkowe na książeczkę i przekazać je swoim potomkom w dwudziestym piątym wieku. Myślę, że nie musimy obawiać się o przyszłość.

Gregorio odgarniał z czoła kosmyki włosów równie często, jak wiatr od morza je tam na powrót przesuwał.

— Jeszcze słowo o interesach, John — powiedział ze sztywną powagą. Jego żona otoczyła go ramieniem, skubała troszkę w koszulę, a troszkę w ucho i wyraźnie starała się zwabić go jak najszybciej do sypialni. — Będzie pan nadal potrzebował prawników i chciałbym zaproponować, że nasza kancelaria będzie dla pana pracować. Mój ojciec sam o tym nie wspomniał, ale oprócz pana i pańskich przodków zawsze mieliśmy również innych klientów. Nie dlatego, żebyśmy potrzebowali pieniędzy, ale by utrzymać się w formie, by być na bieżąco, abyśmy byli dokładnie takimi prawnikami, jakich będzie potrzebował najbogatszy człowiek świata.

John przytaknął ochoczo.

— Oczywiście. Bez problemu.

— Dobrze — stwierdził zadowolony Gregorio. Potem tych dwoje pożegnało się. John widział jeszcze, jak Gregorio całuje swoją żonę z gwałtownością, o jaką nigdy by go nie podejrzewał, potem ich sylwetki rozplynęły się w ciemności we wnętrzu domu.

Eduardo wziął głębokiego łyka ze swego kieliszka i zaśmiał się cicho.

— Bez obaw. Ja jeszcze nie idę i nie będę wygłaszał żadnych pełnych namaszczenia słów pożegnania. Tak po kolei, jak w Nowym Jorku, przemawiamy właściwie tylko wtedy, kiedy to porządnie przećwiczymy.

— Naprawdę to ćwiczycieście?

— Jak sztukę w teatrze, mogę ci wyznać po cichu. Też byś tak zrobił, gdyby na twoich oczach dwudziestopięciolatek zmarł na atak serca tylko dlatego, że odziedziczył kilka milionów. — Eduardo wzruszył ramionami. — Mój ojciec był tego świadkiem, w notariacie, gdzie robił aplikację. Już dawno temu.

Przyciągnęli dwa krzesła do metalowej balustrady tak, że mogli oprzeć o nią stopy i patrzeć na morze. Obok postawili stolik na kieliszki, butelkę z winem i lampiony. Było przyjemnie, od morza wiał ciepły, pełen aromatów wiatr, a w ciemności poniżej cykały świerszcze.

— Prawdę mówiąc — przyznał po chwili John, dowodząc słuszności przysłowia, że w winie tkwi prawda — nie mam pojęcia, co robić. Nawet nie z powodu prorocstwa, ale tak w ogóle. Co będę robił? Wprowadzę się do tej willi, przebiegnę się raz przez wszystkie pokoje i obejrzę je sobie, a potem? Co zrobię potem? Na czym będę spędzał dni, mówiąc całkiem banalnie?

— No coś ty — powiedział Eduardo i dolał wina.

— Chodzi mi o to, że przecież nie mogę ciągle tylko kupować.

— Zgadza się.

— Mógłbym rozdać te pieniądze.

— Tak, propozycji ci nie brakuje.

— Właśnie, ale mam jakieś przeczucie, że nie o to chodzi.

— Poza tym w ten sposób pieniądze mogłyby ci się szybko skończyć. Panna Vanzetti prowadzi książkę i nadawcy listów naprawdę się nie hamują. Myślę, że spokojnie mógłbyś się pozbyć już pięciuset miliardów dolarów, czy coś około tego.

John wziął kieliszek i wlał sobie w gardło bezwstydnie drogie Chianti, jakby musiał coś w sobie zatopić.

— Wiesz, zastanawiam się, co właściwie bogaci ludzie robią przez cały dzień. Co robić, gdy nie jest się zmuszonym pracować, aby mimo to zachować poczucie, że życie ma sens.

Eduardo głośno wciągnął powietrze.

— No cóż... *Pro bono*. My tak robimy. Ja uważam, że to przyjemne, kiedy nie trzeba ze swojej pracy uzyskiwać środków do życia.

— Ale ty się czegoś nauczyłeś. Ty coś umiesz. A ja nie mam nawet porządnego świadectwa ukończenia szkoły, nauczyłem się tylko rozwożenia pizzy i maglowania koszul.

— Możesz się przecież teraz nauczyć wszystkiego, czego zechcesz. Możesz zrobić maturę i studiować, jeśli ci na tym zależy. Otwiera się przed tobą cały świat.

— Niby tak, ale właściwie nigdy nie chciałem studiować i teraz też tego nie chcę. Teraz to byłoby całkiem sztuczne. Jakbym w zwątpieniu szukał jakiejś ciekawej zabawki.

— Dawniej przecież malowałeś. Może coś takiego? Zajęcie artystyczne.

— Zacząłem malować, bo miałem dziewczynę, która malowała. Im więcej czasu mija od naszego rozstania, tym mniej rozumiem, co mi się w tym podobało. Nie, nie jestem artystą. Zupełnie nie jestem utalentowany w kierunku sztuki. — John westchnął. — Właściwie wcale nie jestem utalentowany. Nie mam nawet talentu do bycia bogatym.

— Ty biedaku — powiedział znów Eduardo, a potem patrzyli na migocące ciemnym srebrem morze i długo nic nie mówili.

Wiatr od morza ochłódł.

Na gwiazdach to wszystko nie robiło żadnego wrażenia i nadal skrzyły się wysoko nad nimi.

W zaroślach daleko w dole zaszeleściło jakieś zwierzę.

— Czy ty się właściwie *czujesz* bogatym? — niespodziewanie spytał Eduardo.

John podskoczył wyrwany z zamyślenia. — Co?

— Może to bzdura. Tak mi tylko przyszło akurat do głowy. Czy ty *czujesz*, że jesteś bogaty?

— Hm — John wydał wargi. — Czy czuję się bogaty? — Zastanowił się. — Jak ja się w ogóle czuję? Nie mam pojęcia. To

wszystko mnie w jakiś sposób przytłoczyło, wiesz. Jeszcze miesiąc temu byłem biednym rozwozicielem pizzy, a teraz też nie czuję się jakoś inaczej. W porządku, wiem już, jak smakuje kawior, a w mojej szafie wiszą garnitury od Brookes Brothers... Ale to wszystko nadal wydaje mi się jakimś snem. Nierealne. Jakby jutro rano mogło się skończyć.

— Może to o to chodzi — wolno powiedział Eduardo, równocześnie okrężnymi ruchami dłoni poruszając w swoim kieliszku wino, które w świetle świec wyglądało jak krew. — Wiesz, ja z tymi sprawami — być bogatym, biednym, mieć pieniądze i tak dalej — byłem konfrontowany przez całe życie. Od dzieciństwa... I zauważyłem, że bogaci ludzie myślą inaczej niż biedni. To nie są lepsi ludzie, ogólnie biorąc też nie są gorsi, ale ich myśli biegną innym torem. Nie wiem dokładnie dlaczego — może dlatego, że nie muszą myśleć takimi kategoriami, w których chodzi po prostu o przetrwanie. O spłacenie rat i premię na święta. Kiedy jest się bogatym, pieniądze po prostu są tak oczywiste jak powietrze i woda.

— Chcesz przez to powiedzieć, że bogaci ludzie nigdy nie myślą o pieniądzach? — John przyjrzał mu się sceptycznie z boku.

Eduardo zmarszczył czoło.

— Masz rację, tak nie można powiedzieć. Niektórzy nie myślą w ogóle o niczym innym. Ale ci w głębi duszy nadal są biedni. Jeśli jest się wewnętrznie przekonany, że nie ma się dość pieniędzy, wtedy nawet mając na koncie dwadzieścia milionów pracuje się dalej po to, żeby mieć ich czterdzieści i tak dalej w kółko. Takich nic brakuje. Zgadza się.

— Ale przecież w takim razie nie ma to nic wspólnego z tym, ile pieniędzy ktoś posiada naprawdę — stwierdził John. — To bardziej sprawa cech charakteru i obaw i tak dalej, a ktoś, kto

mając na koncie dwadzieścia milionów, wciąż czuje się biedny, powinien iść do psychiatry.

— Tak — Eduardo odstawił kieliszek i przeciągnął się. — Ale nie wszyscy są tacy. Są ludzie, którzy dobrze sobie radzą z bogactwem. Miałem taką mglistą wizję... Jesteś bogatszy niż stu największych bogaczy świata razem wziętych. Należysz do osobnej kategorii. Myślałem więc, że może kiedyś, kiedy się naprawdę przyzwyczaisz... pewnego dnia... coś wymyślisz. Coś niesłychanego. Coś, o czym nikt jeszcze nigdy nie pomyślał. Wypełnienie proroctwa.

John nabrał głęboko powietrza i wypuścił je krótkimi parsknięciami.

— Tak uważasz? Ja zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić, co by to miało być.

— Gdyby to było takie proste, też bym wiedział — przyznał Eduardo. — W końcu przez całe życie próbuję rozwiązać tę zagadkę. Ale kto wie — może wizja Giacomo Fontanellego była w końcu tylko jakimś lepszym snem i rozwiązanie zagadki w ogóle nie istnieje. Może on był tylko facetem dręczonym przez chandrę, to samo moi przodkowie, i wszyscy razem uczynili cię po prostu bogatym — bezsensownie bogatym.

— To byłoby wspaniale — westchnął John i nagle musiał się roześmiać, gulgoczącym chichotem, który wyrywał się na wolność z najgłębszych trzewi jego brzucha. — Wiesz, nigdy w życiu nie pomyślałbym, że będę kiedyś siedział i czuł się nędznie dlatego, że jestem *zbyt bogaty*. To przecież naprawdę szczyt niewdzięczności, prawda?

— Można tak powiedzieć — zakpił Eduardo.

Podczas następnych dni John zajął się swoją edukacją z



zapalem, który zaskoczył nawet jego samego. Pewnego popołudnia poprosił Eduarda o wprowadzenie w tajniki umieszczonego w jednej z piwnic posiadłości systemu komputerowego, który miał urok centrali sterowania z filmu z Jamesem Bondem. Żeby tam wejść, trzeba było otworzyć mnóstwo robiących wrażenie zamków, a potem siedziało się w świetle jarzeniówek przy białym stole, na którym stał mały, nowoczesny komputer, po którego ekranie przemykały kolorowe liczby z wieloma, wieloma pozycjami. Stany kont z całego świata, jak wyjaśnił Eduardo, które podobnie jak w systemie w kancelarii wpływały tu przez magistralę danych, tylko że tutaj wystarczał zwykły szary kabel i niepozorne plastikowe gniazdko w ścianie.

Wprawa, z jaką Eduardo posługiwał się klawiaturą i myszką, pozwalała domyślać się, że doskonale się na tym zna.

— Zabezpieczenie danych — wyjaśnił, wsuwając kasetę z taśmą w otwór urządzenia, którego lampka sygnalizacyjna natychmiast zmieniła kolor z zielonego na czerwony. — Gdybyśmy zgubili te wszystkie hasła i tak dalej, musiałbyś jeździć po całym świecie, dla każdego konta z osobna potwierdzać swoją tożsamość i wypełniać górę formularzy — możesz sobie wyobrazić, ile czasu zajęłoby ci to dla dwustu pięćdziesięciu tysięcy kont?

John był pod wrażeniem.

— Zdaje się, że świetnie znasz się na komputerach, co?

— Ojciec nalegał, żebym nauczył się wszystkiego, co się z tym łączy — powiedział Eduardo. — Systemy operacyjne, programowanie aplikacji kupieckich, technika przesyłania danych — spytaj o cokolwiek, ja będę wiedział. To było ważniejsze nawet od moich studiów prawniczych. Chodziło o to, żeby ktoś z rodziny doskonale znał się na komputerach.

John z szacunkiem patrzył na monitor.

— Czy to znaczy, że oprogramowałeś to wszystko tutaj? Napęd taśmy mruczał i warczał, lampa na nim migała jak opętana. Eduardo stuknął w urządzenie, po czym migotanie ustało.

— Nie, to w większości jest jeszcze pierwotny program. Zresztą dość wyrafinowany. Ja go tylko przeniosłem ze starego pudła IBM na peceta, trochę dopasowałem komunikaty na ekranie, dodałem kilka wykresów. Nic, co by zaimponowało prawdziwemu profesjonalście.

— A kto zrobił ten pierwotny program?

— Ktoś z IBM. Nie wiem dokładnie — to było jeszcze przed moim urodzeniem — ale musiało być wtedy sporo kłopotów z tym typem. Zaczął zadawać pytania i tak dalej — w każdym razie postanowiono wtedy, że musi się tego nauczyć ktoś z rodziny.

— A teraz ty to potrafisz?

— Tak. Kursy za sto tysięcy dolarów, przez całe jedno lato układałem kable jako praktykant w firmie instalującej sieci, jedną całą zimę byłem pomocnikiem programisty w zadymionej jaskini hakerów, i już umiem. — Eduardo skrzywił się. — Ale to nie takie trudne. Kiedy spece od skarbców będą gotowi z twoją piwnicą i będą już położone przewody telefoniczne, wymontujemy to wszystko tutaj i zainstalujemy u ciebie. Nauczę cię, jak się z tym obchodzić.

John nie podzielał pewności młodego prawnika. Potem coś mu się przypomniało.

— A co właściwie stanie się z systemem w waszej kancelarii we Florencji?

— Oddamy go na złom.

— A jeśli — powiedzmy — mój dom się zawali? Zostanę wtedy bez środków do życia?

— Absurd — odpowiedział Eduardo. Czytnik taśm zapiszczał, wyjął kasetę i zamknął ją w sejfie na ścianie. — Wszystkie konta są na ciebie. Jeśli będziesz potrzebował pieniędzy, pójdziesz do banku i pokażesz dowód tożsamości. Całą resztę się załatwi.

— A skąd będę wiedział, do jakiego banku mam pójść?

— To właściwie obojętne, bo praktycznie w każdym banku na tej planecie masz milionowe konto. Ale w dokumentach, które dostałeś, jest stosowna lista. — Eduardo spojrział na niego kpiąco. — Może powinieneś kiedyś przy okazji przejrzeć te papiery.

John zamrugał poirytowany.

— Ale po co w takim razie potrzebuję w ogóle tego komputera?

— Żebyś w przyszłości każdego ranka mógł sprawdzić, o ile milionów wzbogaciłeś się w ciągu nocy. Żeby cię ostrzec, jeśli w którymś kraju stopa inflacji będzie wyższa niż stopa procentowa, żebyś w porę mógł przesunąć swoje pieniądze gdzie indziej. Żeby...

— Więc za pomocą tego jednak można przekazywać pieniądze?  
— przerwał mu John. — Jeśli ktoś włamie się do systemu, też może to zrobić. Może przesłać sobie miliard na swoje konto, a ja tego nawet nie zauważę.

Eduardo oparł się i skrzyżował ręce za głową.

— Nie, nie może. Mówiłem przecież, że to dość wyrafinowany system. Można przesyłać pieniądze, ale tylko między kontami, które należą do ciebie. Taką samą dyspozycję wydano w każdym z banków, tak, że nawet najlepszy haker nie ma szansy, żeby ją stąd ominąć.

— Hm — mruknął John, przyglądając się bezsensownie wielkiej liczbie na dolnej krawędzi ekranu, która ciągle i ciągle rosła, a jej ostatnie cyfry migotały jak skrzydła pszczoły. — Pomyśleliście o wszystkim, co?

— Co najmniej dołożyliśmy wszelkich starań.

Nastąpił moment ciszy. Chłodnej, rozkosznej ciszy. Johnowi przypomniła się architektka wewnątrz, delikatna blondynka, wprost tryskająca chęcią działania, która pokazała mu projekty urządzenia najważniejszych pomieszczeń willi. Wszystko, co musiał zrobić, to wskazywać rysunki, które podobały mu się najbardziej — podobały mu się wszystkie, ta kobieta była geniuszem. Mówić: *Ten* — i podpisać odpowiednie listy wyposażenia. Od tego momentu całe brygady robotników były zajęte wprowadzaniem projektów w czyn i tworzeniem dla niego domu o wyszukanej elegancji, on zaś nie musiał poświęcać mu już ani jednej myśli.

Lecz niezależnie od tego, ile kosztowały te luksusy, liczba na dole ekranu wciąż niepohamowanie i nieustannie rosła.

Słońce stało nisko nad horyzontem i wyczarowywało ciepłą, złocistą mgiełkę nad morzem w Portecéto, kiedy w zasięgu ich wzroku pojawił się jacht. Jego gibka, szczupła sylwetka sunąca ku nim, promieniście biała i urocza jak żaglowiec, była widokiem, który zaparł Johnowi dech w piersi. Nawet Eduardo, który jeszcze podczas jazdy tutaj zastanawiał się na głos, czy na dłuższą metę nie powinno się rozważyć zlecenia budowy własnego, stosownie wielkiego jachtu, teraz w zachwycie podniósł ramiona.

— To on! — krzyknął.

— Tak — szepnął John. Jacht był przepiękny i jakoś o wiele większy, niż zapamiętał go z oględzin w Cannes. Burta statku zdawała się nie mieć końca, kiedy przesuwał się obok nich, przybijając do brzegu. Na rufie powiewała teraz włoska flaga zamiast angielskiej, za nią pod naprężonym brezentem można było domyślać się motorówki, a na najwyższym pokładzie,

niczym gotowy do lotu owad, przysiadł helikopter. Młody człowiek w szykownym mundurze pomachał do nich z drugiego pokładu, a oni do niego odmachali.

W mgnieniu oka statek był przymocowany i rzucono trap. Gdy wchodzili na łódź, naprzeciw nich wyszedł kapitan, około czterdziestoletni Francuz imieniem Alain Broussard, którego poznali już w Cannes, zasalutował, po czym przywitał ich uściskiem dłoni.

— Na pewno chciałby pan zaraz zrobić wypad w morze — oznajmił w swojej mocno zabarwionej francuskim angielszczyźnie. — Każę przynieść pański bagaż, potem możemy odbić i popłynąć ku zachodzącemu słońcu.

Wystarczyło skinienie dłoni i już młody człowiek, który przedtem do nich kiwał, stał przed nimi jakby wyrósł spod ziemi. John podał mu klucz do tego, co w przypadku ferrari określa się jako bagażnik, po czym poszli za kapitanem zwiedzać statek.

Nie spodziewał się, że ponowne spotkanie z jachtem zrobi na nim takie wrażenie. Wszystko tu oddychało przestronnością... Gdy weszli do jednego z jasnych, dyskretnie oświetlonych salonów, nie mógł się powstrzymać od dotknięcia opuszkami palców boazerii z drewna o delikatnych słojach i pogłaskania oparcia jednej z sof, które wraz z fotelami o wysokich oparciach i szklanymi stolikami ustawiono w małe zestawy wypoczynkowe. Rozłożono na nich dobrane kolorystycznie jedwabne poduszki z indiańskimi motywami, na stolikach z biało-szarego marmuru ustawiono — wyglądające na bardzo drogie — lampy Tiffany o ciężkich, złożonych podstawach. Ściany jadalni wyłożono boazerią z mahoniowymi intarsjami, które ktoś wypolerował do czysta tak, że odbijał się w nich zabytkowy, nakryty srebrną i kryształową zastawą stół. Przez wielkie okna roztaczał się widok

na morze, nad którym zachodziło zmęczone, ogniście czerwone słońce.

To był pływający pałac. Można by tu sfilmować każdą z bajek z tysiąca i jednej nocy. W drodze na mostek — balustrada schodów prowadzących do góry była zresztą pozłacana, ponieważ polegali na słowach pośrednika: „Mosiądz trzeba polerować codziennie, a złota nie” — przeszli obok miejsca, w którym była jeszcze widoczna nazwa, jaką nadał jachtowi poprzedni właściciel, angielski biznesmen: *Shangri-La*. Liter nie usunięto ze ścianki, lecz jedynie zamalowano je białym lakierem.

— Chcę, żeby to znikło — powiedział John i postukał palcem w napis.

— *Pas de problèmes* — zapewnił kapitan. — Każę to usunąć. Pan chciałby nadać statkowi inną nazwę?

— Tak — skinął głową John i spojrzał na morze, z każdą chwilą ciemniejsze. — Będzie nazywał się *PROPHECY*.

# 12

Posłaniec UPS upartym dzwonieniem do drzwi wyrwał Marviną z łóżka wczesnym rankiem, na dodatek uparł się jeszcze potwierdzić jego tożsamość.

— Prawo jazdy, paszport, cokolwiek, na czym będzie pańskie zdjęcie, nazwisko i urzędowy stempel — wyrecytował znudzonym głosem, czekając z wciśniętą pod pachę paczką.

— Człowieku — warknął Marvin, który jeszcze nie zdołał porządnie otworzyć oczu. — Ja tu *mieszkam*, nie widać tego?

— Przykro mi. Przesyłka wartościowa. Przepisy.

Marvin przez chwilę zastanawiał się, czy nie zatrzaskać mu przed nosem drzwi, jednak zwyciężyła ciekawość, kto na Boga przysłał mu paczkę — jak to brzmi! — *wartościowa!* Począłapał z powrotem do pokoju i przyniósł swoje prawo jazdy, nie bez obaw, że o tej porze nie jest jeszcze wystarczająco podobny do zdjęcia i cały wysiłek pójdzie na marne. Ale posłaniec zadowolili się zanotowaniem numeru dokumentu, potem jeszcze tylko podpis i Marvin dostał swoją paczkę. Nim zdołał odczytać nazwisko nadawcy, usłyszał już na dole wycie silnika dostawczaka.

— John? — Przeczytał Marvin ku swemu ogromnemu zaskoczeniu. — John Fontanelli z Florencji. Ktoś robi ze mnie idiotę?

Nie było już mowy o spaniu. Zatrzaskał za sobą drzwi, zaniósł paczkę na kuchenny stół i wygrzebał duży nóż, by rozciąć opakowanie.

W pudełku, starannie opakowany w styropian, leżał telefon komórkowy.

— A co to ma znaczyć? — wymamrotał bezradnie Marvin.

Sprawdził jeszcze raz opakowanie i naklejkę z adresem. Było tam jego nazwisko i adres, naprawdę. To nie pomyłka. A w rubryce: *dostarczyć do:* była zaznaczona godzina *dziewiąta!* — To mają być jakieś tortury, czy co?

Wyjął aparat. Taśmą klejącą przyczepiono do niego małą, złożoną karteczkę. Odkleił ją i rozłożył.

*Cześć, Marvin, nieomylnie rozpoznał pismo Johna. Bateria jest naładowana, karta SIM włożona, PIN 1595. Proszę, włącz go zaraz i czekaj, aż zadzwonię. Cześć, John.*

— Majaczę, czy co? — Marvin spojrział na zegarek. Minuta przed dziewiątą. — To wszystko na pewno mi się śni. — Ale przycisnął zielony guzik. Aparat dał piknięciem znak, że budzi się do życia i kazał mu wprowadzić numer kodu, co zostało skwitowane ponownym piknięciem i napisem na wyświetlaczu *Gotowy.*

Dokładnie o dziewiątej telefon zadzwonił.

— Właściwie myślałem, że takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach — wymamrotał Marvin, kręcąc głową.

Przycisnął klawisz z symbolem podniesionej słuchawki i zaniepokojony przycisnął aparat do ucha.

— Halo?

— Cześć, Marvin — przywitał go znajomy głos. — To ja, John. Marvin głęboko nabrał powietrza.

— Powiedz no — dobrze się czujesz, co? O co chodzi z *tym całym cyrkiem!*

— Nie mogłem się do ciebie dodzwonić — odpowiedział ze śmiechem John. — Twój telefon jest przecież jak zwykle zablokowany, więc co miałem zrobić, żeby z tobą pogadać?

— Człowieku — burknął Marvin, ciągle jeszcze wytrącony z równowagi. — Poczulem się jak James Bond. Więc, kogo mam



załatwić?

— Zajrzałeś już pod styropian? Tam powinna być koperta z tysiącem dolarów i biletem na samolot.

— Coraz lepiej. — Podniósł styropian. Była tam koperta. — Hej, człowieku, mam ją. Chwileczkę. — Położył telefon i rozerwał list. Gruby plik banknotów i bilet pierwszej klasy do Florencji na nazwisko Marvin Copeland. — Wygląda na to, że mam cię odwiedzić, czy jak?

— Tak, ale najpierw chciałbym cię prosić o bardzo ważną przysługę.

— No cóż, na tym świecie nie ma nic za darmo — westchnął Marvin. — *Okay*, mów.

— Pamiętasz mój stary zegarek na rękę?

— Twój zegarek? Nie. Mógłbym przysiąc, że nigdy nie miałem zegarka.

— Bo już nie miałem. Zastawiłem go w lombardzie na Manhattanie. Problem w tym, że zegarek to prezent od mojego ojca, ja zgubiłem kwit z lombardu, a termin wykupu kończy się w piątek w przyszłym tygodniu.

Tego było już trochę za wiele, jak na tę wczesną godzinę.

— Powoli — poprosił Marvin — muszę zanotować. — Z opróżnionej na pół filiżanki kawy wyjął ołówek, otarł go o straszliwie brudny ręcznik kuchenny i wyszarpnął z makulatury puste pudełko po płatkach kukurydzianych, które rozerwał tak, by mógł pisać po wewnętrznej stronie. Przyłożył telefon z powrotem do ucha. — No, więc po kolei. Gdzie jest ten lombard? Jak wygląda ten zegarek? Pod jaki numer telefonu mogę do ciebie zadzwonić?

Kiedy John po rozmowie telefonicznej z Marvinem wrócił na

słoneczny pokład, na horyzoncie można już było dostrzec cienką, szarobrunatną linię południowofrancuskiego wybrzeża. Steward nakrywał właśnie do podwieczorku mały stolik pod parasolem przeciwsłonecznym. Na niebie pojawiły się pierwsze mewy.

— Musimy powoli zdecydować, czy przybijemy do brzegu w Nicei, czy w Cannes — oznajmił Eduardo. — W Nicei jest dobra restauracja, do której już dawno chciałem wpaść na kolację. Co o tym myślisz?

— Czemu nie? — John przyłączył się do niego przy relingu. Od wczorajszego wieczora opłynęli Korsykę i krążyli teraz po Morzu Liguryjskim. To był spokojny rejs, otaczała ich srebrno-błękitna toń Morza Śródziemnego, na którym nie pojawiała się ani jedna fala, z jaką nie poradziłyby sobie stabilizatory statku. — Brzmi nieźle.

Godzinę później na niebie pojawił się ciemny punkt, który na pewno nie był mewą — zbliżał się do nich helikopter. Wyraźnie kierował się ku nim.

— Wygląda na to, że to ludzie z prasy — poinformował ich przez telefon pokładowy Broussard. — Na tylnym siedzeniu helikoptera widać człowieka, który ma kilka aparatów z teleobiektywami na szyi.

John zachmurzył się.

— Zakładam, że nie mamy broni pokładowej?

Helikopter krążył wokół *PROPHECY* jak uprzykrzona osa, czasem manewrując tak brawurowo, że aż dziw brał, iż człowiek fotografujący z tylnego siedzenia nie wypadł przez otwarte drzwi. Wreszcie filmy były pełne i maszyna odleciała w kierunku stałego lądu.

— Powinniśmy w ogóle iść do tej restauracji? — spytał John, patrząc jego śladem. — Bez ochroniarzy?

— Kilku ludzi z załogi wygląda całkiem przekonująco, mogą nam towarzyszyć — stwierdził Eduardo. — Hej, nie pozwolisz przecież, żeby coś takiego zepsuło ci dzień?

— Powoli działa mi to na nerwy. Co oni wszyscy we mnie widzą?

Eduardo roześmiał się.

— Jesteś bogaty, a więc interesujący. Pieniądze dodają seksapilu, kochany. To jest zresztą fakt, który, moim zdaniem, jeszcze o wiele za mało wykorzystujesz.

— A powinienem? — John przyglądał się linii brzegowej, ulicom wykutym śmiało w skale, domkom wyglądającym jak białe piegi.

— Słuchaj, jest mnóstwo kobiet, które chciałyby wiedzieć, jak to jest przespać się z bilionerem.

— Nie inaczej niż z jakimkolwiek innym mężczyzną.

— No jasne, ale pozwól im przekonać się o tym osobiście. — Eduardo podniósł słuchawkę telefonu pokładowego. — Widzę, że przydałby ci się jeszcze kurs sztuki używania życia dla początkujących. Zadzwoń teraz do restauracji, żeby przysłali po nas samochód. Jak słyszałem, obracają się tam tylko milionerzy. Myślę więc, że dobrze wiedzą, jak utrzymać prasę na dystans. A potem będziemy używać życia — zabrzmiało to jak rozkaz.

Gdy przybijali, na molo stała już garstka reporterów. Kiedy *PROPHECY* była zacumowana, garstka zmieniła się w tłum, przez który czterech najbardziej rośłych marynarzy z załogi statku z trudem utorowało im drogę do samochodu. W zbiegowisku nie zabrakło nawet telewizji. Kierowca limuzyny dobrze znał Niceę, a ponadto był chyba kiedyś kierowcą wyścigowym, w każdym razie udało mu się zgubić paparazzi, choć niektórzy dosiadali

mocnych motocykli. Kiedy dojechali przed restaurację, wokół było cicho, spokojnie, a słońce przygotowywało się do tego, by zapewnić im cudowny wieczór na tarasie.

Restauracja okazała się być położona w luksusowym hotelu, starym, eleganckim, urządzonym ze smakiem, z czarującym widokiem na zatokę — to jest miejsce, pomyślał John, w którym nie da się *nie* rozkoszować kolacją. A jednak, ku swemu niemałemu zdziwieniu, przy sąsiednim stole zauważył czterech starszych mężczyzn — niewątpliwie co do jednego starych, wysłużonych multimilionerów — którzy mimo to zdołali dokonać tej sztuki. Według nich białe wino nie miało właściwej temperatury, mięso było odrobinę za twarde, zaś jarzyny o nutę za miękkie, zatem wszystko zupełnie niejadalne. Jeden z nich uniósł palec, mniej więcej na wysokość swego zgorzkniałego podbródka i nie trwało dłużej niż trzydzieści sekund, a już stał przy nim kelner. Wielkie nieba, co też porobiło się z tym światem? John nie znał francuskiego, lecz by zrozumieć nieustanne, pełne niezadowolenia marudzenie dobiegające od sąsiedniego stołu przez cały posiłek, niepotrzebne były zdolności językowe. A kiedy się rozejrzał, dostrzegł tę samą atmosferę na całej sali. Jakby każdy klient zajęty był wyłącznie nieufnym wyczekiwaniem na następne rozczarowanie. Może i ci, co tu jadali, byli samymi milionerami, ale ani jeden z nich nie był wesoły, ani nawet nie miał dobrego humoru.

A przecież jedzenie smakowało wybornie.

— *Peccato* — oznajmił z ociąganiem Eduardo. — Najwyraźniej to nie jest najlepszy materiał do ćwiczeń.

— No właśnie. Jeśli kiedyś stanę się taki jak ci tutaj, wtedy, proszę cię, zastrzel mnie.

Północ. John zamknął za sobą drzwi pokoju ze świadomością,

że to jest jedna z ostatnich nocy pod dachem Vacchich. Ściągnął blezer, odwiesił go na wieszak i rozkoszował się tym, że znów ma pod stopami stały ląd.

Nie wytrzymali długo w Nicei. Po deserze i zachodzie słońca wrócili na statek i rejs pełną mocą silników do Portecéto okazał się tylko żabim skokiem trwającym cztery godziny, czy coś koło tego.

Akurat rozsznurowywał żeglarskie buty, kiedy zadzwonił telefon. To pewnie Marvin, na jednej nodze pokuszył do aparatu. W Nowym Jorku było dopiero krótko po szóstej wieczorem.

Ale to nie był Marvin. To był nieznajomy.

— Chciałbym panu pogratulować — powiedział z drwiną w głosie. — Pańskiego nowego jachtu.

— Dziękuję — powiedział John. Teraz zrobiło to na nim mniejsze wrażenie. Pewnie oglądał wiadomości we francuskiej telewizji.

— Piękny jacht. Czy można zapytać, ile kosztował? Dwadzieścia milionów, tak na oko. A może raczej trzydzieści?

— Czego pan chce? — szorstko spytał John.

— Podsunąć panu kilka propozycji, co mógłby pan kupić jako następne.

— Zamieniam się w słuch.

— Ma pan jacht i ma pan dom. Nie chcę pana zanudzać oczywistą możliwością, by sprawić sobie dalsze siedziby w najróżniejszych zakątkach na świecie. To z pewnością przyszło panu samemu do głowy. Trochę ekstrawaganckim wariantem byłyby w każdym razie zamki. W Europie są liczne oryginalne stare zamki i wiele z nich można kupić, wiedział pan o tym?

Oczywiście w każdy z nich trzeba by włożyć jeszcze kilka milionów, nim będzie wyglądał odpowiednio, ale to nie powinno stanowić problemu. Innym sposobem zainwestowania czasu i uwagi byłby zakup drużyny piłki nożnej lub czegoś podobnego — czy myślał pan już o tym? Można wtedy za wiele milionów kupować i sprzedawać graczy, by uzyskać satysfakcję i poprawić swoją pozycję w tabeli. Albo mógłby pan od razu przestawić się na kolekcjonerstwo — stare malarstwo olejne, na przykład van Gogh, Picasso, Monet. Albo kosztowna biżuteria. Antyki. Przygodą jest nie tylko samo wyszukiwanie i kupowanie, również nabycie stosownych sejfów, utrzymywanie godnego zaufania oddziału strażników, zamykanie koniecznych zabezpieczeń i tak dalej — to może dać komuś całkiem sporo rozrywki. — Przerwał na chwilę. — Czy przydałoby się panu jeszcze więcej pomysłów?

John potarł nos u nasady. Był zmęczony.

— Po co mi pan to opowiada?

— Żeby zwrócić panu uwagę na to, że jest pan dość bogaty, aby resztę życia spędzić na kupowaniu rozmaitych gadżetów. Ale w ten sposób oddali się pan tylko od proroctwa Giacomo Fontanellego.

— Dzwoni pan do mnie o północy, żeby mi to powiedzieć?

— Nie było pana wcześniej, a ktoś musi to panu powiedzieć.

— Co to ma wszystko znaczyć? Po co ta zabawa w chowanego? Dlaczego nie powie mi pan, kim pan jest i po co to wszystko?

Na mgnienie oka zapanowała cisza.

— Proszę mi wierzyć, pewnego dnia zrozumie pan, że nie mogę postępować inaczej — obiecał nieznajomy. — Zakładając, że nie zerwie pan teraz ze mną kontaktu, pewnego dnia spotkamy się i wtedy wszystko panu wyjaśnię. Jeśli nie, przez całe życie będzie

pan zadawał sobie pytanie, co też miałem mu do powiedzenia.

— Do czego pan zmierza?

— Przeprowadzi się pan, prawda? Chcę panu zaproponować, żeby podał mi pan swój przyszły numer telefonu.

John poczuł, że słuchawka w jego dłoni zrobiła się wilgotna — a może to zwilgotniały jego dłonie? Oto nadarza się okazja, żeby pozbyć się nieznanego. Musi tylko podać mu błędny numer. Całkiem proste.

— Powinien pan wiedzieć jeszcze jedno, John — kontynuował dobiegający z nicości niewyraźny głos. — Jestem człowiekiem, który wie o panu więcej niż pan sam. Wiem, co jest naprawdę pana zadaniem i wiem, jak pan może je zrealizować. Kontakt ze mną powinien pan zerwać tylko wtedy, jeśli jest pan absolutnie pewien, że nigdy nie będzie musiał zadać mi w związku z tym żadnego pytania.

Potem już nic nie mówił. Potem było tylko milczenie, które zdawało się nie mieć końca.

Czy to jakiś trik, czy co? John wbijał przed siebie niewidzący wzrok, nie wiedział, co ma zrobić. Trik... Ale z drugiej strony... Co mu szkodzi? W każdej chwili może kazać zmienić numer telefonu, jeśli będzie miał dosyć.

Wyciągnął szufladkę nocnego stoliczka. Na wierzchu znalazł list z Hopkins Junior College, potem list proszący o datek w sprawie ratowania ginących gatunków. Musiał go tu włożyć przez pomyłkę. W końcu znalazł kopertę z informacją Telekomu.

— Więc tak — powiedział i musiał odchrząknąć — mój nowy numer telefonu to...

Eduardo nalegał na kolejną wycieczkę *PROPHECY*. Kiedy w umówionym terminie przybył do portu jachtowego w Portecéto,

była z nim dziewczyna.

— Constantine Volpe — przedstawił ją. — Studiowaliśmy razem. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że ją zaprosiłem?

John popatrzył na Eduarda, który na uśmiechniętej kpiąco twarzy miał wyraźnie wypisany zamiar wykiwania go, potem na kobietę. Była ona zdecydowanie bardziej warta oglądania. Nie do wiary, że Eduardo zna takie kobiety. Nie do wiary, że takie kobiety studiują prawo, zamiast zyskać sławę i majątek jako top-modelki. Constantine miała długie czarne włosy, które morski wiatr stale nawiewał jej na twarz w kształcie serca, wielkie, zielone oczy i niesamowite usta. Jej figura była stworzona do tego, by rozum każdego zdrowego mężczyzny zamarł w bezruchu. John, nim był w stanie znów się odezwać, musiał najpierw odchrząknąć, potem wydobył z siebie tylko bezradne:

— Serdecznie witamy na pokładzie. Bardzo mi miło panią poznać.

Członkowie załogi również robili wielkie oczy. Steward, podając na powitanie szampana, nie mógł oderwać od niej wzroku. Kapitan osobiście zszedł z mostka, by wyrazić *Madame Constantine* swoje uszanowanie, przy czym, jak zdawało się Johnowi, bardziej niż zwykle popadł w swój francuski akcent.

*PROPHECY* wypłynęła i zarzuciła kotwicę u wylotu zatoki Portecéto, w malowniczej bliskości zuchwale sterczącego z morza skalnego klifu, na którym gniazdowały mewy i inne morskie ptactwo. Na rufie zamontowano drabinkę kąpielową, zjeżdżalnię i trampolinę, przyjemny dzień na morzu mógł się rozpocząć.

John oczywiście zajął dużą kabinę właściciela, najbardziej wysuniętą w stronę dziobu i miał odpowiednio długą drogę do przejścia. Dlatego nie zdziwiło go, gdy wrócił na pokład



kąpielowy, że Constantine siedzi już na ręczniku w skąpym, czarnym bikini i zajęta jest nacieraniem się kremem. Bardziej zastanowiło go, gdzie podział się Eduardo.

— Czy byłby pan tak miły i nasmarował mi plecy — spytała, mrugając powiekami w sposób, który zmienił go w niezgrabnego uczniaka i cały jego majątek nie miał tu najmniejszego znaczenia.

— Tak, oczywiście. — Czy to jego głos? Wszystko jedno. Wziął od niej tubkę i z oddaniem zaczął rozsmarowywać biały krem na jej plecach.

— Proszę również pod ramiączkami — powiedziała po chwili i zaproponowała: — Czy mam rozpiąć?

— Nie — pośpiesznie odpowiedział John. — Jest w porządku. — Wprost zapierało mu dech, gdy wsuwał śliską dłoń pod ramiączka biustonosza. Jak daleko musiałby ją jeszcze przesunąć, żeby dotknąć piersi? Gdzie właściwie podziewa się Eduardo? Słońce paliło, cały wszechświat wtopił się tu w promiennie biały pokład, a on czuł wciąż dotyk jej skóry i zapach kremu do opalania.

— Dziękuję — zarządziła koniec. — Teraz pan.

John był zadowolony, że leży na brzuchu, gdy nacierała mu plecy mocnymi, zamaszystymi ruchami. Nawet kiedy już przestała, musiał jeszcze przez chwilę pozostać w tej pozycji. Na szczęście pojawił się Eduardo i odwrócił jej uwagę.

Najpierw zeszli do wody drabinką, ostrożnie, powoli, ponieważ była zimna. Przy pierwszym zanurzeniu oddech zamierał w piersi, ale potem było wspaniale pływać w niej, czuć pod sobą głębię, wokół siebie przestrzeń, a ponad sobą ogromny, świetlisty statek.

Pół godziny później zsuwali się do wody po zjeżdżalni, śmiejąc

się i piszcząc jak małe dzieci, aż wreszcie Eduardo odważył się na pierwszy skok na główkę z trampoliny.

Potem zmęczeni i wychłodzeni leżeli na ręcznikach na rozżarzoną pokładzie kąpielowym. Zakotwiczony statek poruszał się wraz z falami i to kołysanie w mgnieniu oka wprawiało we wspaniałą stan między jawą a snem. Miło było czuć przeraźliwie gorące słońce, które przenika coraz głębiej i głębiej i sprawia, że skóra rozżarza się. Nic nie było już ważne, ani majątek, choćby i tak wielki, ani proroctwo, nic poza tym dniem, obecnością tutaj, migocącym słonecznym upałem i krzykami mew wysoko nad nimi w nieskończonym błękitnie.

— Mamy na pokładzie również narty wodne — Eduardo przywrócił ich do rzeczywistości. — Czy ktoś ma jeszcze ochotę pojechać na nich?

— Nie, dziękuję — wymamrotała sennie Constantine. — Nie przejmujcie się mną.

— Ja też nie — burknął John, który w życiu jeszcze nie jeździł na nartach wodnych i do tej pory również nigdy nawet nie pomyślał o tym, że mógłby.

— Nie wiecie, co tracicie — odpowiedział Eduardo i wyprostował się.

Jego zachcianka uaktywniła całą załogę, zmuszając ją do pospiesznej aktywności i odegnała błogi spokój. Z większej z dwóch łódek motorowych zdjęto brezent, spuszczone ją żurawiem za burtę, wyjęto narty wodne i liny, zamocowano, i w chwilę później motorówka mknęła już po falach, a za nią na nartach Eduardo.

— Więc pani również jest prawniczką? — spytał John, próbując nawiązać konwersację, kiedy już byli sami.

Constantine odgarnęła włosy z czoła i uśmiechnęła się.

— Mówiąc dokładniej, pracuję jako referentka w prokuraturze. Podejrzewam Eduarda, że utrzymuje ze mną kontakt, gdyż ma nadzieję w ten sposób dotrzeć do informacji z wrogiego terytorium.

John niezbyt podzielał jej podejrzenie, ale nic nie powiedział, choćby dlatego, że nic inteligentnego nie przyszło mu do głowy.

— Piękny statek — powiedziała po chwili Constantine.

— Tak — przytaknął John — naprawdę piękny.

— Pięknie jest też wypłynąć tak i mieć morze jakby tylko dla siebie.

— Tak. — Czuł się jak idiota.

Jakby specjalnie po to, by wyratować go z opresji, pojawił się nagle steward z aparatem telefonicznym w dłoni i oznajmił:

— Telefon do *signora* Vacchi.

Podskoczyli, machając i wołając, i sprawili, że motorówka podpłynęła wraz z Eduardem do burty. Wyglądało na to, że przeczuwał, o co chodzi, gdyż biorąc telefon, zrobił niezwykle zachmurzoną minę.

— *Pronto!* — powiedział i przez chwilę się przysłuchiwał. — A gdzie jest teraz? — spytał i mówił dalej: — Ach. Rozumiem. Nie, proszę nic nie robić. Przyjadę tak szybko, jak to możliwe.

— Okropnie mi przykro — wyjaśnił im, kiedy steward odchodził z telefonem — ale natychmiast muszę jechać do Florencji. To jedna z naszych niewielu spraw, właściwie jedyna naprawdę kłopotliwa, z kaucjami za zwolnienie warunkowe i tak dalej... Tak czy siak, muszę się niezwłocznie tym zająć.

— Szkoda! — krzyknęła Constantine. — Jest tak pięknie...

— Nie, nie, wy oczywiście zostaniecie tutaj — pośpiesznie odpowiedział Eduardo. — Do Portecéto może mnie zawieźć motorówka, to przecież niedaleko. Przebiorę się tylko.

John z niedowierzaniem patrzył jego śladem, kiedy Eduardo na mokrych stopach zniknął w salonie. Zabrzmiało to cholernie sztucznie. Ten porąbany...

— To przecież tylko pretekst — wyszeptał John do Eduarda, kiedy ten schodził po drabinie do łodzi.

Cała twarz Eduarda zmieniła się w szelmowski grymas.

— Pst — syknął — teraz bądź dobrym gospodarzem.

Potem motorówka pomknęła w kierunku wybrzeża, a John patrzył jej śladem czując w łędźwiach osobliwe mrowienie, jakby wiedziały one już więcej od niego o tym, co ma się wydarzyć.

Kiedy łódka zniknęła z pola widzenia, usiadł z powrotem na ręczniku i unikał patrzenia na Constantine. Widział jednak kątem oka, że siedzi, lekko pochylona ku przodowi i podpira się na ramieniu tak, by jak najbardziej uwydatnić piersi.

— Trochę gorąco tu na słońcu, nie uważa pan? — spytała łagodnym głosem, który nie zabrzmiał jak głos przyszłej pani prokurator.

— Tak — odpowiedział tępo — dość gorąco.

— Sądzi pan, że moglibyśmy na chwilę wejść do środka?

— Jeśli ma pani ochotę...

W salonie panował przyjemny chłód i po jaskrawym słonecznym świetle zdawało się, że jest tu wręcz ciemno.

— Czy oprowadziłby mnie pan po statku? — poprosiła Constantine.

— Tak, chętnie. A co chciałaby pani zobaczyć? — zaproponował John, myśląc o mostku kapitańskim, maszynowni i kambuzie.

Constantine spojrzała na niego swoimi wielkimi oczami.

— Chętnie dowiedziałabym się, jak wygląda pańska kabina.

A więc tak to się odbywa. John tylko skinął głową i poszedł przodem. Jego kabina, jego zbiór znaczków pocztowych. Czy

naprawdę chce dać się tak łatwo omotać?

Poszli długim korytarzem po puszystych dywanach, wzdłuż boazerii z czeczotki, pod pozłacanymi kinkietami. Wszystko za pieniądze, które sprawiały, że stał się tak seksowny.

Ale może on sobie to wszystko tylko wmawia? Mężczyźni przecież mają taką tendencję, by widzieć w zachowaniu kobiet to, co chcieliby zobaczyć, prawda? To on był tym, który uważał Constantine za niezwykle seksowną, jak zresztą uznałby każdy zdrowy mężczyzna, a teraz wyobraża sobie niestworzone rzeczy, nadinterpretując jej ciekawość i zachowanie Eduarda... Właśnie, dokładnie tak jest. Lepiej wrócić na ziemię i zacząć zachowywać się jak rozsądny człowiek.

— To tutaj — powiedział, otwierając drzwi.

— Niesamowite — westchnęła i weszła, rozejrzała się, obracając wokół własnej osi. Oglądała z podziwem urządzenie wnętrza, obity skórą sufit, dyskretne oświetlenie, kosztownie zdobione ścienne szafy, wszystko. -1 okrągłe łóżko.

Usiadła na nim, na tym kiczowatym, ogromnym, okrągłym łóżku, które wyglądało jak plac zabaw arabskiego szejka, przybierając na jedwabście miękkiej narzucie takie pozy, że Johnowi prawie opadła szczęka, kiedy na nią spojrział.

Potem zatrzymała się, uniosła głowę, obrzuciła go zagadkowym spojrzeniem, sięgnęła dłońmi do tyłu i zdjęła biustonosz.

John gapił się na nią. Każde włókno jego ciała paliło go od słońca. A może z żądy? Trudno rozróżnić. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz spał z kobietą? Dużo. Miesiące.

— Co... — zaczął, oblizwał wargi, spróbował jeszcze raz suchym, ledwie dosłyszalnym głosem. — Co pani...?

Nie odrywając od niego wzroku opadła do tyłu i powoli zsunęła figi po udach, po kolanach, po kostkach...

John czuł, jak serce mu wali, krew tętni w żyłach, głowie, członku, a głos wołający do niego, że to wszystko jest ukartowane niczym zwykle stręczycielstwo, ledwie przebijał się przez całe to tętnienie i stukanie. Leżała tu długonoga, długowłosa, naga, uwodzicielska. Do diabła z Eduardem i jego gierkami. Do diabła z tym! Wszystko jest podstępnie zaplanowane, przećwiczone, umówione. A jak się wije, jak na niego patrzy, jak pachnie — słońcem, morską solą, kremem do opalania. A jak błyszczą tam, gdzie rozchyła nogi...

Do diabła z wszystkimi skrupułami, pomyślał John i zsunął spodenki.

# 13

Śniło mu się, że jego łóżko się chwieje, i gdy obudził się z zaklejonymi oczami, nadal się jeszcze troszkę chwiało. Jego wielkie, okrągłe łóżko. John uniósł się i pojął, że wciąż jest na statku. Zaś nagie ramię obok niego i kruczoczarne włosy, rozsypane niczym ramiona ośmiornicy po białym jedwabiu pościeli dowodziły, że to wszystko, co sobie przypomina, nie jest snem.

Ocknęła się ze snu, gdy się poruszył i spojrzała na niego z głębin zielonych oczu.

— *Buongiorno* — wymamrotała zaspanym głosem.

— *Buongiorno* — odpowiedział krótko John, wciąż jeszcze usiłujący odzyskać jasność myśli. Obrócił się na bok, sięgnął po telefon na obrzeżu łóżka i wybrał numer mostka kapitańskiego.

— Broussard, gdzie jesteśmy? — zapytał.

— Nadal tam, gdzie zakotwiczyliśmy wczoraj wieczorem, sir — odpowiedział kapitan. Czy się mylił, czy naprawdę w głosie Francuza wyczuł teraz o wiele więcej respektu niż do tej pory?

*Jest pod wrażeniem, bo wie, że przespałem się z Constantine,* przemknęło przez myśl Johnowi. Odwrócił się do niej. Leżała nieco uniesiona, wsparta na łokciach, co uwydatniało jej piersi w sposób zapierający dech. Była jednym wielkim zaproszeniem do powtórzenia wydarzeń wczorajszego wieczoru i zapomnienia się w niej aż do wyczerpania. Mógł to zrobić. I czemu nie? Tutaj jest jego królestwo, ma tu nieograniczoną władzę, wszystko dzieje się tu tak, jak on zechce.

— Broussard?

— Tak, sir?

Niemal nie mógł zmusić języka do dokonania tej zdrady na

żądzy własnego ciała.

— Proszę wracać do Portecéto.

— Jak pan sobie życzy, sir.

Na twarzy Constantine dostrzegł zaskoczenie, niemal urazę, kiedy odkładał słuchawkę.

— Nie podobam ci się? — spytała cicho.

Jej piersi poruszyły się lekko. Na ten widok John poczuł, jak drży na całym ciele. Musiał odwrócić wzrok.

— Oczywiście, że mi się podobasz — odpowiedział głucho. — Uważam, że jesteś o wiele bardziej seksowna i pociągająca niż każda inna kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem. Problem tylko w tym — mówił dalej i teraz jednak spojrzał jej prosto w oczy — że cię nie kocham.

Zmarszczyła czoło.

— Nie kocham cię — powtórzył. — Ani trochę. Wczoraj było wspaniale i w ogóle, absolutnie zniewalająco, ale dziś rano obudziłem się z uczuciem, że zrobiłem coś złego. Nie chcę się tak budzić, rozumiesz?

Constantine naciągnęła prześcieradło na piersi i skinęła głową.

— Tak. — Przyjrzała się jego twarzy. — Nie wiedziałam, że istnieją mężczyźni, dla których ma to znaczenie.

John westchnął.

— Ja też się dopiero dziś o tym dowiedziałem.

Przeprowadzka odbyła się tak niekłopotliwie, jak to tylko możliwe. Wszystko, co John musiał zrobić, to zapakować teczkę z papierami, o wszystko inne zatroszczyła się firma spedycyjna. Pożegnał się ze wszystkimi, pozwolił, by *Padrone* udzielił mu na drogę kilku dobrotliwych napomnień, wysłuchał serdecznych życzeń Alberta, potem mniej serdecznych, ale z pewnością



szczerych życzeń Gregoria, Eduardo miał mu i tak towarzyszyć i pomóc przygotować przyjęcie. Podczas jazdy obiecał mu, że go pobije, jeśli spróbuje jeszcze raz zorganizować schadzki jak z Constantine.

Mężczyźni z psami i bronią przy pasach również przeprowadzili się do Portecéto, wprowadzając zaniepokojenie wśród dostawców zajętych przygotowaniami do przyjęcia. Architektka wewnątrz, oczekująca ich przed wejściem, była podenerwowana — trudno powiedzieć, czy również z powodu ochroniarzy, czy z powodu odbioru domu. W każdym razie oprowadzając ich po posiadłości, ścisłała teczkę z dokumentami, jakby był to rozrusznik serca.

John kazał sobie wszystko pokazywać, i wszystko mu się podobało. Do basenu w piwnicy, z którego można było widzieć morze, dobudowano jacuzzi z ciepłą wodą, które za pomocą wysuwanej elektrycznie ścianki działowej można było zmienić w świątynię dumania. Liczne pokoje gościnne urządzono w najróżniejszych stylach: podczas, gdy jeden utrzymano w angielskim stylu kolonialnym, za drugimi drzwiami panował nowoczesny design włoski albo studium dalekowschodniej szkoły Zen. Kuchnia błyszczała najnowocześniejszym sprzętem ze stali szlachetnej, jadalnia aż zapraszała, by do niej wejść, a salon z widokiem na niebo był jak marzenie. Można było dosłownie usłyszeć, jak pani architekt za każdym ich przychylnym skinieniem głowy spada z serca kolejny kamień.

Po złożeniu podpisu pod dokumentem odbioru i pożegnaniu architektki, jakby spod ziemi pojawił się przy nich Jeremy i zaproponował, że — jeśli odpowiada to jego planom na dzisiejszy dzień — przedstawi mu personel.

— Odpowiada — przytaknął John.

Jeremy był najprawdziwszym angielskim kamerdynerem. Tak naprawdę był Hiszpanem — w paszporcie wpisano mu imię Javier — ale jako absolwent *Ivor Spencer International School for Butler Administrators* był bardziej brytyjski niż sam książę małżonek. To Eduardo wyszperał go gdzieś i pozostawił mu dobór całego pozostałego personelu, który ostatecznie w przyszłości miał przecież pracować pod jego kierownictwem.

Tak znaleźli się wokół niego: Gustave, dawny francuski hotelowy kucharz, nieustannie w zaraźliwie dobrym humorze; Sofia, gospodyni, która pochodziła z Neapolu i dotychczas — co często podkreślała — pracowała wyłącznie w szlacheckich domach; Francesca, pokojówka, blade, drobne stworzenie, ledwie mające odwagę spojrzeć mu w oczy i ryzykujące uśmiech co najwyżej raz na sekundę; i na koniec — ogrodniczka. Nazywała się Maria, opiekowała kilkoma ogrodami w sąsiedztwie i mieszkała we własnym mieszkaniu w centrum Portecéto, co było nadzwyczaj praktyczne, gdyż — nie licząc domku portiera — na terenie posiadłości były tylko cztery mieszkania służbowe.

— Wspaniale — powiedział John, uśmiechał się i bardzo pragnął pozbyć się uczucia, że jest aktorem, grającym tylko rolę bogacza.

W sypialni ktoś ustawił kartony z jego rzeczami z Nowego Jorku. Niemal już o nich zapomniał. Ściągnął ze stosu pierwszy karton, zerwał taśmę klejącą i rozbawiony wyjął z niego garnki i talerze, których używał latami, a które teraz, po zaledwie kilku tygodniach zamożności, wydały mu się po prostu śmieciami. Wzór na talerzach był natrętny i tandetny, sztucce zrobione z byle jakiej blachy, filiżanki oszpecone obtłuczonymi brzegami i nadrukami okropnych motywów. Garnki: blaszane kubły, dobre co najwyżej na psie żarcie. Można było oszczędzić sobie trudu

przewożenia tych gratów przez Atlantyck.

Odstawił kartony na bok. Wynocha z tym. To przeszłość. Po chwili jednak podniósł jeszcze raz pokrywę, ponownie wyjął jeden ze swoich starych talerzy i oglądał go, jakby miał przed sobą archeologiczne znalezisko.

Jak to możliwe, że ten talerz latami był dla niego dość dobry, a teraz uznalby za obelgę, gdyby kazano mu z niego jeść? Co się z nim stało? Jeśli nie jest już w stanie wrócić tam, skąd przyszedł, to znaczy przecież, że stał się więźniem bogactwa, uzależnionym od luksusu i pieniędzy. Czy pewnego dnia sprzeda duszę tylko dlatego, żeby nie musiał znów podgrzewać w blaszanym garnku fasolówki?

Odłożył talerz, otworzył jeden z pozostałych kartonów. Nie było ich wiele. Cały jego dobytek, zgromadzony przez dwadzieścia osiem lat zmieściłby się na pace forda pickupa. Tutaj, przybory malarskie. Zasznięta farba w pozaklejanych puszkach, pędzle, których nie wymył w porę i teraz ich włosie stwardniało jak deska, puste szklane butelki, z których wyparowała terpentyna. Płótno ze szkicem, zaledwie rozpoczętym. I, hej, pudło nieużywanych tub z farbą olejną! Gdzie ono się zapodziało?

Mógłby kazać postawić kartony w piwnicy. Kto wie, co się jeszcze stanie? Może cała ta wspaniałość dnia kiedyś przeminie — wtedy będzie mógł to wszystko, co posiadał przedtem, załadować na samochód i odjechać, bez zobowiązań, bez długów. Dokładnie. Tak właśnie robi.

Gdzieś muszą być jeszcze jego książki, mogą mu się przydać i teraz. I jego własny notesik z adresami. Pudełko z listami. Zdjęcia. Grzebał w kartonach, spakowanych starannie, choć niezbyt systematycznie. Osobliwe uczucie, wyjąć stare jeansy i zniszczone tenisówki. Jego koszula w czerwono-czarną kratkę,

zdobyta na pchlim targu za trzy dolary. Niektóre guziki przyszył potem sam, kiedy Sarah pokazała mu, jak to się robi. Jego matka pocerowała w niej rękawy, ledwie można było zauważyć.

Tak wygrzebywał wspomnienie po wspomnieniu z kartonów i ze swej pamięci, aż niespodziewanie do pokoju wpadł Eduardo.

— Ach, tutaj jesteś — krzyknął rozochocony, nadal w nastroju zabawy. — Co jest, chcesz się tu chować cały dzień przy swoich starych gratach? Twoi goście czekają! — Wraz z nim do pokoju wdarł się daleki hałas muzyki, brzęku szklanek i paplaniny licznych, mówiących jeden przez drugiego głosów.

Jego goście? To goście Eduarda. To on ich wybrał. Młodzi artyści, młodzi biznesmeni, młodzi uniwersyteccy docenci. Nie zna tu żywej duszy, wyjąwszy Constantine flirtującą wcześniej w ogrodzie z ubranym na czarno mężczyzną, ale z nią niekoniecznie chciał się spotykać.

— Tak — oznajmił John. — Może tak zrobię. Schowam się na cały dzień.

— Nie, nie zrobisz tego. To twoje przyjęcie, chłopie! To są twoi goście — wyjedzą do pusta twoją lodówkę i obrócą twój dom w ruinę, musisz im przynajmniej powiedzieć *Dzień dobry*. A kto wie, może poznasz kogoś', kto będzie tego wart?

— Ale ja akurat nie mam nastroju do zabawy.

— Przestań, przestań. Czyj to był pomysł? Kto powiedział: „Eduardo, zróbmy parapetówkę”?

— Tak, wiem. To był błąd. Ale te ciągłe przyjęcia — to nie o to chodziło w prorocztwie.

Eduardo spojrzał na niego tak, jakby spadło mu na stopę kowadło.

— Człowieku! — krzyknął, wywracając oczami. — Co ty wygadujesz? — Pogroził mu na wpół opróżnionym kieliszkiem

szampana. — Wiem, co się dzieje. Zaraziłeś się. Dopadł cię wirus Vacchich.

— Tylko dlatego, że chcę począć z życiem coś innego niż zmieniać się w playboya?

Trochę pijany gest dłoni, z kieliszka trysnęło kilka kropli szampana.

— Teraz koniec — zarządził Eduardo. — Daję ci pół godziny na przebranie i masz zejść na dół w świetnym humorze. Bo inaczej przyślę Constantine, żeby cię przyprowadziła!

Zachichotał, ubawiony tym pomysłem, zamknął za sobą drzwi i zostawił Johna w błogosławionym spokoju.

Marvin, kiedy wylądował na lotnisku we Florencji i wreszcie przeszedł przez kontrolę paszportową, stracił jeszcze mnóstwo czasu, zanim znalazł kierowcę taksówki, który jako tako mówił po angielsku i obejrzawszy kartkę z adresem, uparł się na zaliczkę. Na szczęście zgodził się na dolary. Ponieważ wykup zegarka Johna kosztował tylko pięćdziesiąt dolarów, zostało mu ich jeszcze sporo (mimo rozmaitych wydatków, na jakie pozwolił sobie po drodze).

Pojechali kawałek autostradą, potem wąską drogą, wijącą się przez okolicę jak korkociąg. Była całkiem przyjemna, ale Marvin nie mógł się nadziwić, jak można budować takie drogi. Każdy nadjeżdżający z przeciwnej strony pojazd groził czołowym zderzeniem, a kiedy przejeżdżali przez wioski, miał wrażenie, że przejeżdża ludziom przez salony. Cóż, Europa, kontynent architektury domków dla lalek.

Parę wieków później na horyzoncie pojawił się błękitny pas morza i droga poczęła łagodnie zjeżdżać w dół. Mknęli, nie żałując klaksonu przez antyczne miasteczko z portem pełnym

luksusowych jachtów, gdzie taksówkarz zatrzymał się i spytał o drogę pomarszczoną staruszkę. Pół minuty później znaleźli się w dzielnicy pełnej willi i samochód zatrzymał się przed największą z nich.

Marvin wetknął kierowcy w dłoń jeszcze jeden banknot dwudziestodolarowy, zarzucił na ramię swój marynarski worek i poczłapał do posiadłości. Na podjeździe stało mnóstwo samochodów z górnego pułapu skali cen. Przyjęcie, o którym John wspomniał przez telefon. Zatem zjawia się akurat w porę. *Partytime, partytime* — już on pokaże tym ulizanym typom, jak porządnie zabalować.

Niespodziewanie wyrosło przed nim zjawisko w rodzaju szafy pancernej w ludzkiej skórze, strzelając ku niemu lawiną pytań, których włoski zabrzmiał jak seria z broni maszynowej.

— *Non capisco!* — krzyknął w odpowiedzi Marvin. — *Sono Americano!*

— Kim pan jest? — kolos przeszedł na płynną angielszczyznę. — I czego pan tu szuka?

Marvin przerzucił worek marynarski na drugie ramię i cofnął się pół kroku, chcąc lepiej przyjrzeć się rozmówcy.

— Copeland — wyjaśnił — nazywam się Marvin Copeland, przyjeżdżam prosto z Nowego Jorku, i jeśli to tutaj jest willą Johna Fontanellego, to jestem oczekiwany osobiście przez gospodarza, i to z utęsknieniem.

Jako, że ochroniarz nadal nie wykazywał żadnych skłonności, żeby powalony szacunkiem paść przed nim na kolana, dodał jeszcze:

— Przypadkiem jestem jednym z jego najlepszych przyjaciół.

— Ma pan dokumenty?

— No jasne. — Odkąd John się do niego odezwał, musiał swoje

dokumenty pokazywać więcej razy, niż przez całe ostatnie dziesięć lat. Podsunął gorylowi pod nos swój paszport, w odpowiedzi na co tamten włączył krótkofalówkę i zaczął z kimś rozmawiać po włosku. W każdym razie z paplaniny udało mu się wyłowić swoje nazwisko.

— *Okay* — powiedział goryl, usuwając się z drogi. — Czekają na pana. Proszę wejść po prostu tam z przodu, przez drzwi.

— Dzięki za wskazówkę — odpowiedział Marvin. — Serdeczne dzięki. I dalej mi tu grzecznie pilnować.

Już z zewnątrz można było dostrzec stojących w holu gości, mnóstwo ludzi. Oczywiście odszykowani jak na pokaz mody, głównie kobiety. Rety, w swoich wyświechtanych jeansach i spranym T-shircie będzie się tu rzucał w oczy jak naga kobieta na synodzie biskupów! Miał nadzieję, że nie wyjedli jeszcze wszystkiego z bufetu.

Na pierwszy rzut oka było widać, że nastrój na tym przyjęciu trudno nazwać szampańskim. Nie było muzyki, wszyscy stali wokół i patrzyli na siebie dość spięci. Wyglądało to raczej na pogrzeb, w każdym razie dla patrzącego z zewnątrz.

Ale podobno go tu oczekują. A więc naprzód, do salonu!

Gdy wszedł do holu wejściowego, zbliżył się do niego młody typ, ubrany bez zarzutu, robiący nieco skonfundowane wrażenie, podał mu dłoń i uścisnął ją.

— Eduardo Vacchi — przedstawił się. — Jestem adwokatem pana Fontanellego.

— Potrzebuje was ostatnio sporo, jak się słyszy — odpowiedział Marvin. — Marvin Copeland. Jestem przyjacielem Johna z Nowego Jorku.

— Tak, przypominam sobie. Wspominał o panu.

— Świetnie. Gdzie on jest? Chętnie uścisnąłbym mu dłoń, gdyby

dało się to zorganizować.

— Tak, widzi pan... — robił zdecydowanie nieszczęśliwe wrażenie. Jedną rękę trzymał stale przy kołnierzyku, tłamsił go, drapał się w szyję, rozglądając się przy tym na wszystkie strony, jakby go ktoś śledził. — Obawiam się, że jest w tej chwili nieosiągalny.

— Miałem zamówić widzenie już w Nowym Jorku, czy co?

— Nie. Ale odkryliśmy właśnie, że John zniknął, i nikt nie wie, gdzie.

Gdy minęło pół godziny, Eduardo zachęcił zebrany tłum gości do głośnego skandowania: *John! John*, i zagrzewany w ten sposób wszedł wraz z Constantine po schodach z zamiarem wyciągnięcia go z sypialni wszelkimi siłami.

Gdy jednak otworzyli drzwi, zobaczyli, że pokój jest pusty.

Na tym etapie większość gości uznała to jeszcze za udany kawał i z zapalem ruszyła do akcji poszukiwawczej w całym domu. Gdy jednak ochroniarze zaczęli spoglądać niewymownie ponuro i nieustannie warczeć do krótkofalówek, zaczęło im świtać, że to nie było zaplanowane. W końcu okazało się, że znikło również ferrari Johna, i wtedy już dla każdego było jasne, że sprawa jest poważna.

— Jak to możliwe, że ferrari mogło tak po prostu zniknąć? — pytał Eduardo. — Stało na podjeździe. Na strzeżonym terenie.

Na czole Marca zabłyśły krople potu.

— Jeden z moich ludzi widział, jak wyjeżdżało, mniej więcej dwadzieścia minut temu. Ale mówi, że za kierownicą siedział ktoś z obsługi przyjęcia. Jeden z chłopaków odprowadzających wozy.

— I co? Był to jeden z nich? Brakuje jednego?



— Właśnie to sprawdzamy. Zdaje się, że nie.

— To wspaniale. — Eduardo potarł szyję. Zdawało mu się, że koszula zamierza go udusić. — Może pan sobie wyobrazić, co będzie, jeśli będziemy musieli włączyć w to policję?

Goście już tylko stali wokół i patrzyli na nich. Ktoś wyłączył odtwarzacz CD. Cisza, jaka zapanowała wśród zgromadzonych, była przytłaczająca.

— Ferrari ma zamontowane satelitarne zabezpieczenie antywłamaniowe — oznajmił Marco. — Dzięki temu możemy ustalić miejsce jego postoju. Poza tym sprowadzimy zaraz z jachtu helikopter.

Eduardo ssał kciuk u nasady.

— Musimy mieć dane personalne każdego, kto przebywa na terenie posiadłości. Przede wszystkim dostawców. Gości wszystkich znam.

— Już się tym zajęliśmy.

Marvin pomyślał, że to nie powód, żeby miały zmarnować się te pyszności w bufecie. Przynajmniej nie ma tłoku; spokojnie można naładować sobie talerz do pełna. Czego tu nie ma! Łosoś, kawior, faszerowane bakłażany, suszone salami, czarne oliwki, parujący filec w cieście, do tego mnóstwo rzeczy, jakich jeszcze nie widział nigdy w życiu. Cudownie!

Wpadła mu w oko, gdy tylko włożył do ust pierwszy kęs. Spojrzała krótko w jego kierunku, przelotnie, potem odeszła. Marvin przestał gryźć, tylko patrzył.

*Chłopie!* Nogi długie na miliony mil. Krągłości, że po prostu zatyka oddech, i ta sukienka — rety! Obcisła. Czarna jak jej grzywa. Absolutne szaleństwo.

Krótko wysondował sytuację. Jeśli jest tu z tym typem, musi go po prostu szybko udusić w toalecie albo coś w tym rodzaju. Na to

jednak nie wygląda. Może i nie wypadło za dobrze, gdy tak pomaszerował prosto do niej, ale nie było teraz czasu na subtelności. Stanął obok niej, spojrzął krótko w kierunku, w którym patrzyła — kilku ochroniarzy, stojących wokół i paplających do swoich walkie talkie, same nudy — odwrócił się do niej i powiedział:

— Hej. Nazywam się Marvin.

Spojrzenie zimne jak lód, powędrowało po nim z góry na dół i z powrotem, analizując prawdopodobnie skład chemiczny jego ubrania i jego wartość w lirach.

— Cześć.

— Jestem najlepszym przyjacielem Johna — oznajmił Marvin. *Zagadać ją*, powiedział sobie. — Z dawnych czasów, rozumie pani? Specjalnie prosił, żebym przyleciał z Nowego Jorku na jego przyjęcie. A teraz go nie ma. Śmieszne, prawda?

Teraz nagle rzeczywiście w jej wzroku pojawił się błysk zainteresowania. Odgarnęła włosy za ucho ruchem, przez który Marvin omal nie upuścił talerza, i uśmiechnęła się do niego.

— Więc w ogóle się pan nie martwi?

— Ależ skąd. Przetrwiał już o wiele gorsze rzeczy.

Nadal się uśmiechała.

— Przy okazji, mam na imię Constantine — powiedziała.

Lokalizacja ferrari za pomocą namierzania satelitarnego trwała dłużej, niż się spodziewali. Godzinę później, gdy większość gości wyszła i pracownicy *Partyservice* rozczarowani sprząkali częściowo nietknięte półmiski, Eduardo nie wytrzymał i poszedł jeszcze raz do góry, by rozejrzeć się w sypialni. Marco był temu przeciwny, gdyż w głębi ducha widział tam już przy pracy ekspertów od zabezpieczania śladów, ale Eduardo nie chciał o tym słyszeć.

Na fotelu, zwróconym ku oknu, tak, że od drzwi nie można było dostrzec, co na nim leży, znalazł jasny, lniany garnitur, w którym widział Johna ostatnio. Marynarka, spodnie, koszula. Buty stały pod fotelem.

— Namierzyliśmy samochód — Marco zatrzymał się przy framudze. — Stoi na skraju miasta Capannori. Helikopter już tam leci.

Eduardo podniósł marynarkę.

— Przebrał się, nim zniknął. — Uchylił drzwi szafy z ubraniami i popatrzył na długi rząd garniturów. — Moglibyśmy zapytać kamerdynera, czy czegoś nie brakuje.

— Każę go zawołać — powiedział Marco i wydał przez krótkofalówkę odpowiednie polecenie.

Jednak, ku niemałemu poirytowaniu Eduarda, zamiast kamerdynera na korytarzu pojawił się ten dziwaczny nowojorczyk, razem z Constantine, zwisającą mu z ramienia, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. Oboje weszli do pokoju pewnym krokiem i Copeland, według listy znajomy Johna, obrzucił pokój zaciekawionym spojrzeniem.

— Nieźle — skomentował, jakby nie działo się nic, czym należałoby się martwić. Zmierzył wzrokiem częściowo otwarte kartony. — Tylko te stare graty trochę tu kiepsko pasują, co?

Jeremy nadszedł szybkim, lecz mimo to sztywnym krokiem. Przejrzał garderobę nieporuszoną spojrzeniem i doszedł do wniosku, że niczego nie brakuje.

— Ale przecież na pewno nie wyjechał w samych slipkach! — zdenerwował się Eduardo.

— Ja również — zgodził się z nim kamerdyner — tak nie sędzę.

Vacchi niechętnie patrzył, jak Copeland podchodzi do jednego z przeprowadzkowych kartonów i wyjmuje z niego spranego,

zielonego T-shirta z napisem *Smile if you like sex*.

— Może ubrał coś ze swoich starych łachów — orzekł niechlujny Amerykanin.

— Czemu miałyby to zrobić?

— Może miał chęć wyrwać się i wmieszać między normalnych ludzi?

— Urządził tu przyjęcie dla ponad setki zaproszonych gości. Raczej niezbyt odpowiedni moment na coś takiego.

Człowiek z przetłuszczonymi włosami i ubrany w koszulkę nadającą się co najwyżej na szmatę do sprawdzania oleju silnikowego, machnął lekceważąco dłonią.

— Co pan! Gdybym chciał uprowadzić Johna, nie zrobiłbym tego przecież na przyjęciu, na którym kręci się tysiąc ludzi i milion rzeczy może wejść w paradę. — Odwrócił się do Marco. — Na pańskim miejscu rozejrzałbym się w tym Capannori za jakimś Burger Kingiem albo czymś w tym rodzaju.

Rzeczywiście, znaleźli Johna w restauracji McDonald's w centrum Capannori. Miał na sobie jeansy, wysłużone trampki i pocerowaną w wielu miejscach koszulkę w czerwono-czarną kratę, siedział samotnie przy brudnym stole i dojadał akurat ostatnie frytki, gdy stanęli przy nim: Marco, Eduardo i jeszcze dwóch ochroniarzy w wypchanych marynarkach.

— Co tu robicie? — zmarszczył czoło, siorbiąc colę. — Nie powinniście być na przyjęciu?

— Przyjęcie się skończyło, John — odpowiedział Eduardo. — Myśleliśmy, że zostałeś uprowadzony.

— Uprowadzony? Boże drogi. Po prostu nie byłem w nastroju. Poza tym chciałem się przekonać, czy będzie mi jeszcze smakował Big Mac. — Uśmiechnął się zadowolony. — I patrzcie tylko, wciąż smakuje.

Eduardo patrzył na niego i każdy mógł zauważyć, że przełyka mnóstwo słów, cisnących mu się na usta. Poza tym sporo ludzi zerkąło już na osobliwych mężczyzn w eleganckich garniturach, otaczających chłopaka, który przecież niczego nie zrobił. To mi wygląda na mafię, stwierdził manager restauracji i zastanawiał się, czy nie wezwać policji.

— Cholernie się martwiłem — powiedział w końcu Eduardo. — Powinieneś być mi powiedzieć.

John już się nie uśmiechał.

— Chciałem sprawdzić, czy mogę jeszcze gdzieś pójść, nie mówiąc o tym nikomu. — Zgniół serwetkę, rzucił ją na tacę i wstał. — Okay, teraz wiem. Chodźmy.

# 14

Plaża należała do ludzi, ci jednak nie mieli czasu na plażowanie, dlatego była cicha i pusta. Tego ranka nawet słońce skryło się za bladymi chmurami. Morze chlupotało ociężale o szary, piaszczysty brzeg. Domy po drugiej stronie suchych zarośli wyglądały odpychająco i obco.

Od kilku dni ktoś, gdyby był tym zainteresowany, mógłby zobaczyć mężczyznę, który wędrował wzdłuż plaży całymi godzinami, często wielokrotnie w ciągu dnia. Za nim krok w krok chodził drugi człowiek, zawsze w pewnym odstępnie, jakby nie miał z tym pierwszym nic wspólnego, ale zaprzysiął powtarzać każdy ruch tamtego. Szli wzdłuż plaży powoli, gdyż trudno było iść po piasku, dochodzili do północnego końca, gdzie plaża zwężała się i zaczynały skały, tam zawracali i ruszali z powrotem. Na południowym końcu plaża kończyła się gwałtownie betonowym murem ujścia kanalizacji, tam robili drugi nawrót.

Tego ranka raptem pojawił się trzeci mężczyzna, z pośpiechem goniący tamtych dwóch. Przedsięwzięcie pozbawione wszelkich szans. Mężczyzna był pokaźnych gabarytów, dyszał poświstując i szedł tak szybko, że musiał przystawać co chwilę dla złapania oddechu. Zdecydował się wreszcie na wołanie i machanie, aż udało mu się zwrócić uwagę tamtych dwóch, którzy na jego widok natychmiast zawrócili i ruszyli mu na spotkanie.

— Dziękuję, że mógł pan przybyć — powiedział John, doszedłszy do Alberto Vacchiego i uściskawszy mu dłoń. — Gdybym mógł przewidzieć, jak szybki pan będzie, oczekiwałbym pana oczywiście w domu.

— Przez telefon brzmiało to bardzo pilnie — stwierdził prawnik

i otarł kilka kropli potu u nasady swoich czarnych, kręconych włosów.

— Nie, ja przecież tylko powiedziałem... Hm. Czy to rzeczywiście brzmiało pilnie? — John zmarszczył czoło. — Tak, może to pilniejsze niż sobie uświadamiam. Proszę, wejdźmy do domu.

Przy tym zdaniu obserwator zauważyłby, jak przez twarz ochroniarza przemknął ukryty uśmiech ulgi. Ostatnio ochroniarze losowali wśród siebie spacerów i ten, który przegrywał, musiał towarzyszyć Johnowi Fontanellemu.

— No i? — dopytywał się Alberto Vacchi, człapiąc z powrotem drogą, którą tu przyszedł. — Jak podoba się panu w nowym domu?

— Dobrze, dziękuję. Muszę się jeszcze trochę przyzwyczaić do tego, że stale krząta się przy mnie ktoś z personelu, ale ludziom przytrafiają się gorsze rzeczy.

— Zdziwiłem się trochę, że nie ma tu Eduarda. Przez ostatnie tygodnie trzymaliście się stale razem...

John uśmiechnął się przelotnie.

— Myślę, że jeszcze trochę się dąsa z powodu mojej wycieczki do Capánnori.

Alberto skinął ze zrozumieniem.

— Też mam takie wrażenie. Ale to się ułoży. — Rzucił na niego krótkie spojrzenie z boku. — Jednak to nie z tego powodu chciał pan ze mną rozmawiać, prawda?

— Nie. — John zatrzymał się gwałtownie, spojrzał na szare morze, ssąc w zamyśleniu dolną wargę i nagle spojrzał na Alberta z taką porywcznością we wzroku, jakby musiał nabrać rozpędu do pytania, które chciał zadać. — Jakim człowiekiem był Lorenzo?

— Słucham? — sapnął zaskoczony prawnik.

— Znał go pan. Proszę mi coś o nim opowiedzieć.

— Lorenzo... — Alberto Vacchi opuścił głowę, oglądał czubki swoich butów i klejący się do nich piasek. — Lorenzo był delikatnym dzieckiem. Wcześnie dojrzały, inteligentny, bardzo muzykalny, bardzo odczytany... Miał te alergie. Na orzechy laskowe, jabłka, na nikiel i tak dalej. Dostawał od nich wysypki, czasem nawet musiał kłaść się do łóżka, bo jego układ krążenia odmawiał posłuszeństwa. Ale naprawdę niebezpieczne było uczulenie na jad pszczoły. Jako siedmiolatek wylądował z powodu ukąszenia pszczoły w szpitalu. No tak — historię z pięcioma ukąszeniami zna pan przecież. Cztery z nich we wnętrzu jamy ustnej. Lekarz sądził, że musiał ugryźć owoc, w którym były pszczoły. Prawdopodobnie gruszkę, lubił je, a poza tym był to jeden z niewielu gatunków owoców, jakie mógł jeść.

— Czy rzeczywiście nie strzegł się przed nimi?

— I to jeszcze jak. Panicznie bał się wszelkich owadów. Nie, paniczny strach nie jest właściwym słowem — był bardzo ostrożny. Niezwykle starannie unikał wszelkiego kontaktu z owadami. Wychodząc na dwór, rzadko nosił krótkie spodnie, natomiast zawsze ubierał się w koszule z długimi rękawami i nigdy nie chodził boso. — Alberto westchnął. — A tu zdarzyło się coś takiego. To tragiczne. Naprawdę, bardzo tragiczne. Lubilem go, wie pan?

John powoli skinął głową, próbując sobie wyobrazić, jakim chłopcem musiał być Lorenzo Fontanelli.

— Powiedział pan, że był bardzo muzykalny?

— Słucham? Tak, to prawda. Bardzo muzykalny. Grał na pianinie i na flecie poprzecznym. Brał dodatkowe lekcje, przez jakiś czas grał w szkolnej orkiestrze. W ogóle był dobry w szkole,



nigdy nie było problemów z nauką. Jeśli chodzi o matematykę, był nawet kimś w rodzaju cudownego dziecka. Jako dwunastolatek znalazł wśród rzeczy swojego dziadka książkę o rachunku nieskończoności i sam nauczył się wszystkiego, co w niej było. Ja, prawdę mówiąc, do dziś nie wiem, o co w tym chodzi, może dlatego robiło to na mnie takie wrażenie. W każdym razie krótko potem wziął udział w konkursie matematycznym dla uczniów i zdobył pierwszą nagrodę. Było o tym nawet w gazecie, ze zdjęciem. Zachowałem wycinek, mogę go panu kiedyś pokazać, jeśli pan chce.

— Tak. Chętnie.

Alberto spojrział na Johna, który zatopiony w myślach patrzył w dal.

— Mam wrażenie, że nie powinienem panu opowiadać o tym wszystkim.

John powoli wykonał wdech i wydech, nabrał powietrza i wypuścił, zabrzmiało to jak echo przyływu i odpływu.

— Był odpowiednim kandydatem, prawda?

— John, pan nie powinien się tym zadręczać.

— Pan tak uważał, prawda?

— A co to ma za... — Alberto przerwał. Ramiona opadły mu bezbrinnie. — Tak. Uważaliśmy tak wszyscy. Czasem nie mogliśmy pojąć, jak opatrność uczyniła spadkobiercą majątku Fontanellich człowieka, który tak bardzo nadawał się do tego, by dokonywać rzeczy nadzwyczajnych.

John uśmiechnął się nieznacznie, niemal boleśnie.

— A potem raptem mieliście na karku mnie. To musiało być całkiem duże rozczarowanie.

— My tak nie uważamy, John — powiedział Alberto Vacchi. W jego głosie pojawił się nagle ciepły, zatroskany ton. — Zna pan

mojego ojca. Wierzy w pana tak niewzruszenie jak w bieg słońca. A my wierzymy w jego intuicję.

— Tak. Wiem. — John odwrócił się do niego, chwycił go za ramię i spojrzał mu w oczy. — Dziękuję panu, że powiedział mi pan prawdę, Alberto. Może wydać się to panu dziwne, ale teraz czuję się lepiej. — Zrobił głową zapraszający gest. — Proszę, wróćmy do domu i napijmy się cappuccino.

Serbskie siły zbrojne ostrzelały centrum telewizyjne w Sarajewie. W Korei Południowej po raz pierwszy od 35 lat odbyły się wybory komunalne zakończone zwycięstwem opozycji. Amerykański prom kosmiczny *Atlantis* po raz pierwszy zadokował do rosyjskiej stacji kosmicznej MIR. A berliński Reichstag wciąż pozostawał opakowany przez Christo.

John czytał gazetę bardziej z nudów, niż z prawdziwego zainteresowania. Odkąd Jeremy troszczył się o jego dobre samopoczucie, gazeta była w dotyku inna, niż John do tego nawykł. Kiedy pewnego razu o to spytał, dowiedział się, że kamerdyner każdego ranka starannie *prasuje* gazetę — dzięki temu o wiele przyjemniej się ją kartkuje, a palce nie brudzą się od farby drukarskiej. John był tak zaskoczony, że pozwolił Jeremiemu robić to dalej, bo już się do tego przyzwyczaił.

— Proszę wybaczyć, sir. — Jeremy stał w drzwiach salonu sztywny jak kij od szczotki. — Niejaki Marvin Copeland jest tutaj i chciałby z panem mówić. — Jakby powątpiewał, czy Johnowi to nazwisko cokolwiek powie, dodał: — Przypominam sobie, że był obecny na pańskim przyjęciu, sir.

— Marvin? — John odłożył wyprasowaną gazetę. — Jest tutaj?

— W holu wejściowym, sir.

Rzeczywiście, był tam, powykrzywiany, blady, z workiem

marynarskim zarzuconym na ramię.

— Cześć, John — powiedział. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w jakichś interesach.

Uściskali się jak w starych czasach.

— Cześć, Marv — powiedział John. — A gdzie ty się podziewał?

— No cóż... — jego gość zrzucił worek marynarski. — Poznałem przecież na przyjęciu tę babkę, Constantine. U niej byłem.

John skinął głową. Eduardo coś mu o tym wspominał.

— Dziękuję, że przywiozłeś zegarek.

— To oczywiste. Takie było przecież moje zadanie, no nie?

— Dalej, chodźmy do salonu. Chcesz się czegoś napić? Albo coś zjeść?

Marvin począłapał za nim, rozglądając się przy tym dookoła.

— Zjeść coś byłoby świetnie, trochę to zaniedbałem.

— Nie ma problemu. Powiem w kuchni. — John wziął słuchawkę najbliższego domowego aparatu i wybrał odpowiedni numer. — Masz ochotę na coś specjalnego?

— Obojętnie — odpowiedział Marvin. — Najważniejsze, żeby było dużo i dobre. — Dotknął boazerii z drewna wiśni. — Ładnie tu u ciebie. Wcale nie zauważyłem tego na przyjęciu. Dość przestronnie. Czy myślisz, że mógłbyś mnie przechować w jakimś kąciku?

— Człowieku, mam tyle pokoi gościnnych, że mógłbym zaprosić całą drużynę piłki nożnej. Zostań, ile chcesz. Gustaw? — zawołał John, kiedy kucharz odebrał słuchawkę. — Mam gościa, który jest bliski śmierci głodowej. Czy mógłby pan szybko wyczarować coś smacznego? Z tego, co ma pan pod ręką i co da się zrobić szybko. I żeby było sycące. Dziękuję.

Gdy się odwrócił, Marvin stał i przyglądał mu się dziwnym wzrokiem.

— Całkiem nieźle ci to już wychodzi — powiedział. — Ten rozkazujący ton. I to, jak ustawiasz swoich domowników.

— Tak uważasz? — John zmarszczył czoło i przypomniał sobie, co powiedział do Gustawa i jakim tonem. Właściwie wydawało mu się, że całkiem normalnie. Jak inaczej miałyby to powiedzieć?

— Nieważne — machnął ręką Marvin.

Kiedy weszli do salonu, żaluzje akurat podnosiły się, otwierając zapierający dech w piersiach widok na morze i na słońce zalewające horyzont rozżarzoną czerwienią. Marvin zatrzymał się w przejściu jak skamieniały, jakby nie mógł pojąć, co widzi.

— Chcesz coś pić? — spytał troskliwie John. Marvin z trudem wyrwał się z odrętwienia.

— Co znaczy, czy chcę? — rzekł, wyglądając na oszołomionego. — Ja muszę. Inaczej tego nie wytrzymam.

— A co?

— Whisky, jeśli masz. Ach, na pewno masz. Przecież masz teraz wszystko.

John właściwie nie to miał na myśli, zadając pytanie, ale nic nie powiedział.

Nalewając drinki, przyglądał się przyjacielowi w lustrze barku. Marvin wyglądał na zmienionego. Prawdopodobnie Constantine w końcu go wyrzuciła, inaczej dlaczego przyjechałby tu z wszystkimi rzeczami? I prawdopodobnie właśnie! to go dręczyło, bardziej, niż chciał przyznać. Lepiej na razie nie będzie o to pytał.

— W poniedziałek rano lecę do Londynu, a po południu wyruszam do Nowego Jorku — opowiedział John, kiedy usiedli. — Moi rodzice mają rocznicę ślubu. Wiesz przecież, wtedy jest zawsze rodzinny zjazd. Ale ty oczywiście możesz zostać tutaj, nie ma problemu. — Do Londynu musiał zalecieć z powodu

przymiarki swoich garniturów.

Marvin zatopiony w myślach skinął głową, spojrział na niego znów tym samym spojrzeniem, co wcześniej. Spojrzeniem, które miało w sobie coś niedobrego. Potem jednym haustem wypił całego drinka, odstawił szklankę na stół, oparł się i powiedział:

— Uważaj, John. Uważaj, żeby te pieniądze cię nie zmieniły.

Na podróż do rodziców założył na rękę swój stary zegarek, chcąc sprawić ojcu przyjemność. Jednak obłudne wydawałoby mu się udawanie, że wie gdzie wciάζ to samo życie, co wcześniej, dlatego resztę garderoby dobrał tak, jak lubił. Gdy przygotowywał dokumenty do podróży, znów wpadł mu w ręce ten list o ochronie ginących gatunków. Zdawał się go prześladować z jakimś dziwnym uporem, wciąż pchając mu się w pole widzenia. Postanowił go wziąć, przeczytać podczas lotu, a potem albo wyrzucić, albo przelać pieniądze. Jako że i tak zamierzał gruntownie przemyśleć, co pocnie z pieniędzmi i prorocstwem, list mógł posłużyć mu za punkt wyjścia do tych rozmyślań równie dobrze, jak cokolwiek innego.

To był zwykły, liniowy lot pierwszej klasy do Nowego Jorku, na górnym pokładzie Jumbo Jeta, który zastawiony wygodnymi wyściełanymi fotelami ustawionymi w grupy siedzisk wyglądał jak zatłoczony salon. Ochroniarze nalegali tylko, by na lotnisku w Nowym Jorku czekała na nich opancerzona limuzyna, wynajęta na dalszą podróż do New Jersey od pewnej firmy ochroniarskiej, której ufali.

List pochodził od World Wildlife Fund i prosił o finansowe wsparcie kampanii nazwanej *Living Planet*. Za cel postawiła sobie utrzymanie dwustu najważniejszych przestrzeni życiowych na Ziemi — terenów charakteryzujących się

szczególną naturalnością, niepowtarzalnością, pierwotnych bądź rzadkich albo z jakiegoś innego powodu odgrywających kluczową rolę w ewolucji. Utrzymanie tych terenów, twierdzono, uratuje z górą osiemdziesiąt procent różnorodności biologicznej.

Różnorodność biologiczna, jak John dowiedział się z załączonego prospektu, to w gruncie rzeczy nic innego, jak różnaitość gatunków, zarówno jeśli idzie o zwierzęta, jak i rośliny. W ciągu ostatnich dziesięcioleci naukowcy zaobserwowali masowe wymieranie gatunków — takie samo, jakie ostatnio miało miejsce 65 milionów lat temu, kiedy zniknęły dinozaury. Obecnie, przeczytał John i zaraz musiał przeczytać to jeszcze raz, ponieważ ledwie mógł w to uwierzyć, średnio co dwadzieścia minut ginie jeden gatunek. Oznacza to, że każdego roku znika na zawsze okrągłe dwadzieścia sześć tysięcy gatunków zwierząt i roślin. Z górą czwartą część wszystkich kręgowców uważano za zagrożoną, co ósmemu gatunkowi roślin groziło bezpowrotne wyginięcie. Przy tym owo wymieranie nie jest w żadnym razie czymś, co odbywa się tylko w jakiejś dalekiej puszczy tropikalnej i dotyczy wyłącznie dziwacznych gatunków chrząszczy albo rzadkich orchidei. W niebezpieczeństwie są nawet rasy zwierząt gospodarczych. Istnieje na przykład z górą pięćset ras wołów, hoduje się jednak tylko dwadzieścia, pozostałe stopniowo znikają. Spośród istniejących gatunków kukurydzy uprawia się już tylko dziesięć procent, najchętniej wysokowydajne, ale podatne na choroby. W ten sposób ubożeją również zasoby genetyczne tych gatunków i ras, które przetrwają.

Wszelkie podstawy życia człowieka, głosiły dalej wywody prospektu, są uzależnione od funkcjonującego ekosystemu. Zdrowa żywność, czysta woda, stabilny klimat zakładają, że

istnieją morza odpowiedzialne za równowagę temperatur oraz wilgotności i stanowiące przy tym przestrzeń życiową ryb, że lasy absorbują dwutlenek węgla i wytwarzają tlen, że drzewo rośnie, owady dziesiątkują pasożyty człowieka, a w glebie istnieją mikroorganizmy, bez których nasze pola nie przynosiłyby plonów.

Wartość tych bezpłatnie wykonywanych usług ziemskiego ekosystemu wynosi okrągłe trzydzieści bilionów dolarów, wyliczał prospekt, niemal dwukrotność globalnego produktu krajowego brutto.

John uniósł wzrok i wyjrzał przez okno na połyskującą pokrywę chmur, nad którą lecieli. Pierwszy raz zdarzyło się, że znalazł liczbę, do której mógł porównać swój niewyobrażalny majątek. Zgodnie z tym globalny PKB wynosi około piętnastu bilionów dolarów. Inaczej mówiąc, za swoje pieniądze mógłby kupić jedną piętnastą wszystkich towarów i usług produkowanych przez cały rok na całym świecie. Nie do wiary, prawda? Ale co mógłby tym zdziałać? Proroctwo musi mieć na myśli jakieś takie wyrafinowane działanie, jakiś szachowy ruch możliwy do przeprowadzenia tylko z ogromną masą pieniędzy, który mógł zdziałać coś decydującego... Ale co?

Począł chwilę, lecz w miejscu, gdzie potrzebowałby błysku genialności, widział tylko kłębiące się mgły i rozmytą niepewność, wrócił więc do prospektu. Zatem ekosystem Ziemi wart jest trzydzieści bilionów dolarów.

Johnowi interesujące wydało się takie ujęcie tematu. Argumenty, jakie słyszał dotychczas, były przeważnie natury emocjonalnej — ckliwe, płaczące śpiewki typu: jakże wspaniała jest natura i jak okropnie się ją dewastuje. Nie można im było w zasadzie zaprzeczyć, ale w ten sposób dyskusja traciła na

wartości. Oczywiście, to okropne, kiedy pod budowę jakiejś autostrady czy fabryki trzeba wyciąć piękny las, ale kiedy z jakichś przyczyn musiało tak być, że na jednej szali kładziono uczucia, a na drugiej pieniądze, wówczas z reguły wygrywały pieniądze.

Ale czy rzeczywiście nie jest tak, że po prostu nie bierze się pod uwagę kosztów ekosystemu? Załóżmy, że na księżycu albo innym niezamieszkałym ciele niebieskim, na którym nie ma nic prócz przestrzeni, spróbowano by odtworzyć Ziemię. W takim przypadku trzeba by samemu zatroszczyć się o wszystko, co na Ziemi jest za darmo — wodę, powietrze, różnorodność roślin i zwierząt, żyzną glebę. Wodę trzeba by tam transportować albo wytwarzać sztucznie. Powietrze trzeba by produkować, uzdatniać, oczyszczać i tak dalej. Wszystko to kosztowałoby krocie. Prawdopodobnie stworzenie na Księżycu nawet jednego podobnego do ziemni areału wielkości jednej otoczonej polami wioski, okazałoby się zbyt drogie. A skoro tak to wygląda, to traktowanie wszystkiego na Ziemi tak, jakby było bezpłatne, wprowadza do obliczeń błąd. Czyżby oznaczało to, że obrońcy przyrody marnują swój czas, blokując buldożery i śpiewając przy gitarach piosenki na pikietach? Tych niszczycieli można pobić tylko ich własną bronią. Jedyne, co trzeba zrobić, to pójść i rozłożyć na drobne ich kalkulacje, uwzględnić w nich wartość ekosystemu i zobaczyć, co wyjdzie pod kreską.

Ale on sam też nie potrafiłby tego zrobić. I z pewnością nie było żadnego ogólnie uznanego sposobu, jak wyrazić w pieniądzu wartość lasu, jeziora albo gatunku zwierząt.

Na zakończenie list jeszcze raz podkreślał, że ekosystemy nie kończą się na granicach państw i dlatego trzeba działać ponad nimi, do czego predestynowana jest *WWF*. I jeszcze, że gdyby



zdecydował się ofiarować większą sumę — tak od stu milionów w górę — uhonorowano by go specjalną ceremonią. John odłożył list, kazał przynieść sobie koktajl owocowy z odrobiną alkoholu i zamyślony zapatrzył się w okno.

Jaka też może być przyczyna masowego wymierania gatunków? Znikanie nietkniętej przyrody. Z biegiem lat ludzie postawili stopę na każdym skrawku Ziemi, zbadali go i na koniec zaczęli eksploatować. Wycinali drewno, budowali domy, za pomocą nawozów, pestycydów i maszyn wydzierali glebie żywność. Powód tego był całkiem banalny — coraz więcej ludzi. Coraz więcej ludzi, którzy muszą jeść, którzy chcą gdzieś mieszkać, którzy powołują na świat kolejne dzieci. I tak dalej.

To wszystko jest tak cholernie skomplikowane. I tak cholernie beznadziejne. Czy ma wydać swój bilion na to, żeby cały świat zaopatrzyć w prezerwatywy i pigułki antykoncepcyjne? Wygląda przecież na to, że to właśnie ten problem tkwi u źródła wszystkich problemów. Ludzie, dużo, o wiele za dużo ludzi. Całe ich armie, występujący z brzegów potop ludzi, coraz bardziej tłoczących się na planecie, która się przecież nie powiększa.

Rozejrzał się po pierwszej klasie, wprawdzie ciasnej, ale wciąż jeszcze obszernej w porównaniu z przypominającym puszkę sardynek pokładem turystycznym poniżej, pomyślał o swojej willi na plaży, o wielkim płocie wokół ogrodu, o ochroniarzach, prywatnej plaży, jachcie. Jak nagły ból zęba przeszła go świadomość, że bogacze wydają mnóstwo pieniędzy na to, by tę ludzką powódź trzymać od siebie na dystans.

Obawiał się, że dom rodziców mógł stać się dla niego obcy, że może wydać mu się ubogi i tandetny jak jego stare talerze. Uściskał matkę w przedpokoju, w którym pachniało skórą i

woskiem z warsztatu, tego dnia nie otwieranego przez ojca. Salon pełen był aromatów z kuchni, zapachu pomidorów, świeżej bazylii i wody po makaronie. John i ojciec uściskali się, a matka nie mogła uspokoić się, widząc, jak statecznie wygląda i jak pięknie jest opalony.

Tu nic się nie zmieniło. W przedpokoju brązowa tapeta w romby, coraz ciemniejsza z biegiem lat. Schody, ich trzeci stopień wciąż trzeszczy. Jego pokój, w którym niczego nie zmieniono od czasu wyprowadzki do Sarah. A na górnym piętrze nadal ten niezdefiniowany zapach, bardziej niż cokolwiek innego przypominający mu dzieciństwo.

Ale w salonie stał nowy telewizor. Usiadł na sofie, na której oparciu ułożono dziergane szydełkiem serwetki, i powiedział, że dobrze mu się powodzi. Matka nakrywała do stołu. Ojciec opowiadał, że ostatnio miała kłopoty z nogami. Nie dał po sobie poznać, czy zauważył, że syn ma na ręce jego stary zegarek, ale tego John wcale się nie spodziewał.

Krótko potem przyszli Helen i Cesare. Przynieśli wielki bukiet. Sposób, w jaki przywitali się z Johnem, miał w sobie coś wymuszonego, jakby nie wiedzieli dobrze, jak się mają wobec niego zachować. Helen wyglądała jak zwykle, na wskroś intelektualistka i doktorantka filozofii, rozpuszczone długie włosy, ubrana modnie na czarno, ponadczasowa, jakby znalazła sztuczkę, by ujść uwadze przemijającego czasu. Cesare przeciwnie, miał coraz rzadsze włosy, co sprawiało, że wyglądał jakby był już dobrze po czterdziestce, choć nie miał nawet trzydziestu ośmiu lat. W ostatnie Boże Narodzenie John nie zauważył jeszcze zmęczonych zmarszczek wokół jego ust. Cesare był nadal chudy i ogólnie nie robił wrażenia, że jest szczęśliwy.

— Która to wasza rocznica ślubu? — spytała Helen, kiedy już

usiedli do stołu. O Lino nikt nie powiedział ani słowa, po prostu brakowało jego krzesła. — Trzydziesta dziewiąta? W takim razie w przyszłym roku musicie zrobić coś specjalnego!

John zauważył, jak przy tej uwadze spojrzenie matki przesunęło się po nim.

— Zobaczmy — powiedziała krótko.

Saltimbocca smakowała wspaniale. Wprost nie do pojęcia. John gryząc pierwszego kęsa, spojrział na talerz i zastanowił się, czy w którejkolwiek z tych niezliczonych, dobrych, drogich restauracji, w których jadał ostatnimi czasy, cokolwiek smakowało mu tak dobrze. A może tylko mu się tak zdawało, gdyż w tej kuchni dorastał?

— John — spytała półgłosem matka — czy ci dwaj ludzie muszą koniecznie siedzieć tam w korytarzu?

Nie rozumiał, do czego zmierza. Jego inne, nowe życie w tej chwili zdawało mu się tylko dalekim snem.

— Oni tylko wykonują swoją pracę, *mamma*.

— Ale to będzie w porządku, jeśli im też wyniosę talerz, prawda?

Ochroniarze dali się przekonać, żeby pójść do kuchni i zjeść tam przy stole.

— Ale oni mają broń pod marynarką — szepnęła do niego przestraszona matka, gdy wróciła.

To znów przypomniało mu o jego zamiarach. Przy deserze oznajmił, że zamierza uczynić każdego z członków rodziny niezależnym finansowo.

— Oczywiście, również Lina — dodał. — Każdy dostanie dziesięć milionów dolarów, kapitał, z którego odsetek można wygodnie żyć i nie trzeba już nigdy martwić się o pieniądze.

— Ale trzeba będzie zapłacić podatek od darowizny — wtrącił

Cesare swoim najlepszym tonem urzędnika izby skarbowej.

Ojciec głośno odchrząknął, zdjął serwetkę z kolan, położył ją obok talerza i zmarszczył czoło nad krzaczastymi brwiami.

— Dobrze — powiedział — ale ja nie przestanę pracować.

— Ale nie musisz już pracować!

— Zdrowy człowiek musi pracować. Takie jest życie. John, nie możemy przecież wszyscy żyć tylko z odsetek! Musi być też ktoś, kto piecze chleb, kto łąta buty i tak dalej. Przyjmę pieniądze, powiem dziękuję i przestanę martwić się, że kiedyś mi zabraknie. To będzie ulga, nie ukrywam. Ale tak naprawdę uważam, że mamy te zmartwienia wyłącznie dlatego, że urządziliśmy świat tak dziwacznie, aby ktoś zajmujący się wyłącznie uczciwą pracą, nie uzyskiwał z niej porządnego dochodu.

John spojrział na niego i poczuł się tak, jakby złożona przez niego przed chwilą propozycja była beznadziejnie śmieszna. Na dodatek Helen powiedziała przez zaciśnięte usta:

— My nie przyjmujemy twoich pieniędzy, John. Przykro mi. Wiem, że chciałeś dobrze. Ale my ich nie potrzebujemy. Każde z nas ma swój zawód, zarabiamy dobrze i mamy wszystko, czego nam trzeba.

— Rozumiem — odpowiedział spokojnie John i spojrział na swojego starszego brata. Ten skinął głową potakująco, ale na jego twarzy nagle pojawił się szary cień, którego przedtem tam nie było. John zadał sobie pytanie, czy Helen postanowiła to sama. Tu, przy stole, w każdym razie nie mieli okazji o tym porozmawiać.

— Kilka lat temu — zaczął opowiadać ojciec — jeden człowiek z naszej ulicy wygrał w totolotka. Gianna, pamiętasz go? Spacerował zawsze z tym pudłem, który miał jasnego loczka na

czole... Rosjanin, Malkov, czy jakoś tak...

— Malenkov — powiedziała matka. — Karol Malenkov.

— Malenkov, zgadza się. Wygrał w totolotka, dwa miliony dolarów, zdaje się. Kierowca autobusu. W każdym razie przestał pracować i już tylko chodził na spacer. Widziałem go zawsze z małego okienka w warsztacie, z psem. I pół roku później usłyszałem, że nie żyje. Jego żona powiedziała, że źle mu zrobiło leniuchowanie. W pewnej chwili serce zrobiło się tak leniwe, że przestało bić.

— Bogactwo komplikuje życie — wtrąciła Helen. — Może jeszcze sobie tego nie uświadamiasz. Ale masz teraz wielką wilę, samochody, jacht, służbę... O cały ten dobytek musisz się troszczyć. To kosztuje czas — czas, którego już nie masz dla siebie samego. Zastanów się, czy to nie jest tak, że teraz twój dobytek posiada *ciebie*.

— No cóż — odpowiedział oględnie John — wcześniej po całych dniach rozwoziłem pizzę, żeby móc zapłacić czynsz. Wtedy miałem o wiele mniej czasu dla siebie. — Nie chciał jej tak wprost powiedzieć, że nie ma pojęcia o tym, jak to jest być bogatym.

— Ale ochroniarze! — krzyknęła. — Na Boga, John, zrobiłabym wszystko, żeby nie musieć mieć stale koło siebie ochroniarzy.

— Posiadanie biliona dolarów jest trochę nienormalne, to przyznaję — odpowiedział John. — Nie da się tego uniknąć.

— Nie, nie. Teraz każdego dolara, który posiadam, zarobiłam sama. Straciłabym to poczucie niezależności, gdybym przyjęła twoje pieniądze.

John wzruszył ramionami.

— Jak chcesz. — Cesara nikt nawet nie zapytał o zdanie.

Po drodze do kawiarni, w której kiedyś ojciec oświadczył się matce, Helen spytała go, dlaczego tych wszystkich pieniędzy po prostu nie podzieli na różne organizacje dobroczynne.

— Dziesięć milionów możesz przecież zachować i żyć z odsetek, tak jak powiedziałaś. Nie będziesz wtedy musiał martwić się o biedę, ale również nie będziesz się martwił o bogactwo.

— Ja mam całkiem inne zmartwienia — przyznał John. Słońce wspaniale świeciło na niebie, sprawiało, że połyskiwały słupy na rogach ulic i latarnie uliczne. Panował ożywiony ruch.

Rodzice szli spacerem, ramię w ramię, nieco z przodu, i John opowiedział bratu i szwagierce o wiążącym się ze spadkiem ich przodka proroctwie, i o swoim przekonaniu, że musi pieniądze utrzymać w całości dla przyszłych przedsięwzięć, które dadzą się urzeczywistnić tylko za pomocą mnóstwa pieniędzy, nie mając jeszcze jednak za grosz pojęcia, cóż to miałyby być za przedsięwzięcia.

Właściciel kawiarni, jak każdego roku, zarezerwował dla nich ten sam stół.

— Ja siedziałam tutaj — opowiadała matka z rzewnym uśmiechem — a wasz ojciec tam, dokładnie na tym krześle.

— Oczywiście dziś to już nie jest to samo krzesło — mruknął ojciec i pociągnął nosem, by nie dać po sobie poznać wzruszenia.

— Piliśmy cappuccino.

— A nie była to kawa *con latte*?

— I byliśmy w kinie na Piątej, w tym z niebieskimi wieżyczkami, które później zburzyli. Na filmie z Cary Grantem.

— *Nad dachami Nicei*. Tak się nazywał.

— Pamiętam jeszcze, myślałam tylko o filmie. A ten się mnie pyta, czy chcę za niego wyjść! Pomyślcie tylko!

— Bałem się, że jak się wtedy nie zapytam, to nie zapytam się

nigdy.

— On sam wtedy wyglądał jak Cary Grant, wasz ojciec.

— No co...

— A ja natychmiast odpowiedziałam: „Tak”. Nie zastanawiałam się ani sekundy.

Wziął jej dłoń w swoją, pokrytą bliznami, z pierwszymi starczymi plamami.

— Wyszłabyś za mnie jeszcze raz, gdybyś mogła zawrócić czas?

Objęła go ramionami.

— Zawsze.

Pocałowali się, odsunęli natychmiast od siebie, jakby to nie wypadło i roześmiali się oboje, gdy uświadomili sobie, jak staroświecka była ich reakcja.

Potem wszyscy zamówili *cappuccino* — tylko Helen chciała *espresso* — i ciasto. Johnowi wydawało się, że na twarzach swego brata i jego żony widzi pewne napięcie. Nie wyglądało na to, by przyglądanie się scenie, która mniej więcej tak samo powtarzała się co roku, wprowadziło ich w stan zakochania.

Ku jego zdziwieniu w drodze powrotnej Cesare wciągnął go w rozmowę o piłce nożnej, która tak znudziła Helen, że przyłączyła się do teściów. John miał wrażenie, że Cesare specjalnie zwiększył odległość od pozostałych.

— Chciałbym wrócić do tej sprawy z pieniędzmi... — brat nagle zmienił temat, przerwał jednak, jakby nie wiedział, jak ma to powiedzieć.

— Tak? — próbował go ośmielić John.

— Kilka miesięcy temu dostałem pewną wskazówkę na temat giełdy. To wyglądało naprawdę dobrze, pewna sprawa. Dlatego pomyślałem, że raz zaryzykuję. — Cesare ociągał się. — Helen nic o tym nie wie. Oczywiście nie wyszło i chodzi o to, że mam teraz

problemy z ratami za dom, i...

— Wszystko jasne. Podaj mi tylko numer konta.

— Wiesz, jako urzędnik skarbowy nie mogę nic zarobić na boku, dlatego pomyślałem, że ty — chodzi mi o to, że zaproponowałeś...

— Cesare, nie musisz się usprawiedliwiać. Helen o niczym się nie dowie, obiecuję.

Jego brat rozejrzał się i kiedy był pewien, że jego lepsza połowa nic nie widzi, wsunął Johnowi w dłoń kartkę, którą musiał napisać w toalecie kawiarni.

— I, John — tylko proszę, żadne dziesięć milionów.

— Czemu nie?

Broda Cesare dziwnie drgnęła.

— Mówiłem przecież, wtedy musiałbym zapłacić podatek od darowizny, a tego nie mógłbym utrzymać w tajemnicy przed Helen.

— Rozumiem. Ile chcesz?

— Rocznie można dostać dziesięć tysięcy darowizny bez podatku. Gdybyś dał mi dziesięć tysięcy teraz i w przyszłym roku jeszcze raz...

— Dwadzieścia tysięcy? Więcej nie? Poważnie?

— Tylko, żeby pokryć straty. Potem sobie poradzę.

— Więc dobrze. Zrobione. Nie ma problemu.

— Dziękuję. — Cesare westchnął. — Nie poradziłbym sobie z dziesięćmioma milionami dolarów, całkiem szczerze. Nie wiem, jak tata zamierza sobie z tym poradzić. A ty? Nie mam pojęcia, jak to robisz, że nie dostajesz kręcka!

John wzruszył ramionami.

— Wszystko się jeszcze może zdarzyć.



Musieli wracać do Chicago wieczornym lotem, gdyż Cesare dostał tylko jeden dzień wolnego, pożegnali się z mnóstwem uścisków i pocałunków, w które teraz został włączony również John, i nie bez matczynych łez. Kiwali z krawężnika na taksówkę, zaś obaj ochroniarze jak cienie stali przy nich, jeden wyżej przy drzwiach do domu, drugi na dole, przy słupie latarni.

Potem wrócili do salonu i ojciec otworzył butelkę chianti.

— Wiesz, John — oznajmił po pierwszym łyku. — Jestem szczęśliwym człowiekiem. Cóż, nie zawsze na takiego wyglądam, można być szczęściarzem, a przecież czasem zapomnieć, że się nim jest i zachowywać się jak jakiś idiota, tak. Ale jeśli się nad tym zastanowię, wiem, że jestem szczęśliwy. Nie tylko dlatego, że ożeniłem się z twoją matką i że jesteśmy szczęśliwym małżeństwem, choć to oczywiście jest bardzo ważne. Ale przede wszystkim jestem szczęśliwy dlatego, że kocham moją pracę. Wiesz, można kochać swoją żonę, to piękne, ale jak często i jak długo widzi się w ciągu dnia żonę? Godzinę, może dwie. Za to pracę wykonuje się każdego dnia osiem godzin, a czasem dłużej, i dlatego to takie ważne, choćby tylko ze względu na czas, czy się ją lubi, czy nie, a ja lubię moją pracę. Kocham skórę — jej dotyk, jej zapach — lubię przecinać skórę, wybijać szydłem dziurkę do sznurowadła; lubię dźwięk młotka, kiedy przybijam obcas i lubię przyszywać maszyną nową cholewkę. W porządku, nie jestem najlepszym szewcem na świecie. Na pewno nie. Przede wszystkim od dawna już nie robię butów, tylko je naprawiam. Popatrz, moje własne buty zrobiłem sobie sam, ale to już dawno temu. Chyba z dziesięć lat? Prawie piętnaście. Nieważne. Chcę tylko powiedzieć, że dobrze się czuję, kiedy stoję w moim warsztacie między tymi wszystkimi butami, wśród narzędzi zawieszonych na ścianach, starych maszyn pachnących olejem i

puszek z woskiem. Od czasu do czasu schodzą na dół ludzie, można wtedy trochę pogadać, potem jest się znów samemu i można zatopić się w myślach, a stare ręce pracują same.

Wziął jeszcze jednego łyka i mlasnął ze smakiem.

— Rozumiesz teraz, że nie chcę przestać pracować? Robię to chętnie — więc dlaczego miałbym przestać tylko dlatego, że to nazywa się *praca*?

John skinął głową.

— Tak. Ale mimo to weźmiesz pieniądze.

— Tak, przecież powiedziałem. Możesz je dla mnie zainwestować, a ja będę się cieszył, że nie muszę się już martwić. Wiesz, jak bardzo się martwiłem? Zawsze bałem się, że to, co zarobię w warsztacie, nie wystarczy i będę musiał iść do fabryki. To szczęście, że wtedy kupiłem dom i go spłaciłem, bo gdybym musiał płacić dzisiejsze czynsze, nie dałbym rady. Nie wiem, jak teraz mają sobie radzić małe firmy, ale, no cóż, ja się na tym nie znam, niech się martwią inni.

— Pozwól wreszcie chłopakowi coś powiedzieć — przywołała go do porządku żona. — No, opowiadaj John, jakie masz zmartwienia tam, we Włoszech?

John trzymał kieliszek w dwu dłoniach niczym szklaną kulę jasnowidza i przyglądał się ciemnoczerwonemu płynowi. Światło sufitowej lampy, która miała już trzydzieści lat, wyczarowywało migocące iskierki na powierzchni. Wino miało mocny i korzenny aromat.

— Powiedzcie — poprosił w zamyśleniu — co wiecie o Lorenzo.

# 15

Siedziała na fotelu jak skamieniała, sztywna, ogłuszona i bezwolna wobec tego, co się z nią dzieje. Niemal do niej nie docierało, że samolot przyśpiesza i wznosi się, niewidzącym wzrokiem wpatrywała się przed siebie, nie słyszała stewardessy objaśniającej pasy bezpieczeństwa i maski tlenowe, wiedziała tylko, że wokół niej są ludzie i dźwięki, i że to już koniec.

Jakby coś przeczuwała. To miała być niespodzianka. Na Boga, ależ to była niespodzianka! Gdyby tylko nie zabrakło jej łez, pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego: móc rozplakać się nad tym, co się stało. Jej serce nadal biło jak oszalałe, jakby nie minęły już godziny od chwili, kiedy wybuchła, krzyczała, gryzła i drapała, aż musiał ją odciągać boy hotelowy. Gdyby miała wtedy w dłoni nóż, zostałaby morderczynią. Nawet teraz jeszcze czuła tę nieposkromioną nienawiść, to bezmierne zwątpienie, które trysnęło w niej ze źródeł, jakich w sobie nie podejrzewała, i ta wizja robiła jej dobrze — jak wbija mu nóż w gardło, jak go do cholery pozbawia męskości, kastruje jak psa!

Ursula Valen, studentka nauk historycznych i pracująca jako wolny strzelec dziennikarka z Lipska, lat dwadzieścia sześć, od dwóch godzin i pięćdziesięciu pięciu minut znów samotna, zamknęła oczy. To boli, bardzo. Jak rana w brzuchu, w duszy. Jakby odciął jej kawałek ciała. Miała ochotę zgiąć się z bólu w pół, zwinąć na łóżku w pozycji embriona i przez resztę życia jęczeć i rozpaczać. Wiedziała, że tego nie robi, że jutro znów będzie dalej pracować, nikomu nie pozwoli poznać, co się stało.

To, jak niczego nie podejrzewając, otworzyła drzwi i zobaczyła go nagiego, nie było nawet najgorsze. Również nie to, kiedy zobaczyła tamtą kobietę, oczywiście też nagą. Tym, co niczym

stalowe ostrze przeszło jej ciało i duszę, był widok, jak on się zwraca do tej kobiety. Jak mówi, jak się porusza, ton jego głosu, gesty... To wszystko było jej, a on to dawał komuś innemu! To, co ona uważała za miłość, za niepowtarzalne w ich związku, było tylko jego manierą, jego osobistym sposobem zwabiania kobiet do łóżka.

Ileż wydała pieniędzy, ile zleceń odrzuciła, by móc tak często, jak to możliwe, być u niego w Nowym Jorku. Zainwestowała w ten związek spokojnie wartość dobrego, używanego samochodu średniej klasy — a on ją zwyczajnie wymienił!

Oddychać. Po prostu oddychać. Wdech. Wydech. Nie myśleć o niczym. Czuć, jak siedzenie naciska na ciało. Wąchać chłodny powiew klimatyzacji. Wsłuchiwać się w dudnienie motorów, rozmowy sąsiadów...

— Słuchaj, John jest dość wykształconym Amerykaninem kończącego się dwudziestego stulecia. — Głos kobiety niecierpliwy, ostry, twardy. — Jak ktoś taki może na poważnie brać taką bzdurę jak prorocstwo?

— Nie mam wrażenia, że on w nie wierzy. — Głos męczyzny, niepewny, miękki, niechętny. — Po prostu przyjął je do wiadomości i zastanawia się, czy coś w nim tkwi.

— Nie, nie, mój kochany. Krótko i jasno powiedział, że nie chce dzielić pieniędzy, ponieważ sądzi, że będzie potrzebował ich w całości do wypełnienia prorocstwa.

— Tak powiedział?

— Dokładnie.

Głos w jej wnętrzu upierał się, że przecież to przeczuwała. Kiedy dostała zlecenie na napisanie dużego artykułu o historii motoryzacji z okazji setnych urodzin samochodu? W grudniu. Już wtedy było dla niej jasne, że badania poprowadzą ją do

Chicago i Detroit. A jak często od tamtej pory się widzieli i rozmawiali przez telefon? Nie zdradziła się ani słowem. Pomyśl, żeby z Chicago tak po prostu polecieć do Nowego Jorku i zrobić mu niespodziankę, nie był tak spontaniczny, jak teraz próbowała się oszukiwać. To zazdrość już wiele miesięcy temu podszeptała jej ten plan: *Co też on takiego robi, kiedy mnie nie ma ?*

Teraz wie. Różnie młode studentki.

— No cóż, może masz rację. — Znów odezwał się mężczyzna. Chce po prostu mieć spokój i nie kłócić się z partnerką. — Może naprawdę w to wierzy. Ale jakoś nie uważam, że to takie złe.

— Mnie to denerwuje. Dokładnie tak samo, jak złości mnie, kiedy Marjorie nie wychodzi z domu, ponieważ przestraszyła się dziennego horoskopu.

Robił takie stateczne wrażenie, kiedy spotkała go na balu prasowym Międzynarodowego Towarzystwa Historycznego. Doktor Friedhelm Funk. Piętnaście lat starszy, matka Amerykanka, ojciec Niemiec, dorastał w Niemczech, później błyskotliwa kariera naukowa w Stanach, w końcu doktorat z nauk historycznych w Nowym Jorku, pracował jako doradca dla Narodów Zjednoczonych. Był autorem studiów nad historycznym tłem konfliktu na Bałkanach, które konsultował sekretarz generalny ONZ, nim podjął decyzję w sprawie konfliktu w Bośni. Jak miała nie czuć się mile połączona jego zainteresowaniem? Jak mogła oprzeć się pochwałom swoich własnych prac?

A on tylko włączył ją do haremu maszerującego przez jego sypialnię.

— Mogę zrozumieć, że ten Giacomo Fontanelli wierzył w swoją wizję. Żył w piętnastym wieku. Wtedy to było normalne. Ale dziś? Daj spokój!

„O czym mówi ta kobieta? Fontanelli — to nazwisko już słyszała, w innym życiu, w życiu pełnym marzeń i oślepiającego zakochania. — Czy to nie ten chłopak, który odziedziczył bilion dolarów?”. Wtedy uznała tę informację za kaczkę dziennikarską, ale najwyraźniej to prawda. Odsetki i odsetki składane i pięćset lat — wszystkie kolorowe magazyny wyliczyły co do feniga. Od tego czasu w Niemczech potroiła się liczba książeczek oszczędnościowych zakładanych dla noworodków.

Ursula Valen szybko zerknęła w bok. Mężczyzna wydał jej się znajomy. Dokładnie — jego twarz widziała już raz wydrukowaną w piśmie BILD. Starszy brat bilionowego dziedzica. Jedyne żonaty. *Gdyby ten człowiek miał syna, byłby najbogatszym człowiekiem świata*, wydawca gazety podpisał zdjęcie w swoim nieomylnie rozpoznawalnym stylu. *A tak pozostaje urzędnikiem amerykańskiego ministerstwa finansów z czterdziestoma tysiącami dolarów rocznej pensji*. W takim razie to musi być jego żona.

Proroctwo? Jakie proroctwo?

Ursula Valen odchrząknęła.

— Przepraszam — uśmiechnęła się najpiękniej jak umiała. — Niechcący usłyszałam państwa rozmowę... Państwo Fontanelli, prawda? — Ich sceptyczne spojrzenia złagodniały, szczególnie kobiety, kiedy dodała: — Jestem dziennikarką z Niemiec. Czy mogę być tak nachalna, by zapytać, o co chodzi z tym proroctwem...?

Podczas powrotnego lotu do Europy John podjął decyzję, że odszuka rodzinę swego zmarłego kuzyna Lorenzo. Nie potrafiłby powiedzieć, co obiecuje sobie po tym spotkaniu, ale czuł nieodpartą potrzebę dowiedzenia się możliwie najwięcej o

chłopcu, którego nigdy nie poznał.

Kiedy przyjechał do Portecéto, Marvin zniknął, bez słowa, bez listu. W poniedziałek po południu gdzieś dzwonił, opowiadał mu Jeremy, potem bez słowa wyjechał, razem ze swoim marynarskim workiem. Sofii, gospodyni, zdawało się, że widziała, jak w dole ulicy zabrało go przejeżdżające auto. Francesca, pokojówka, niepytana oznajmiła, że już wysprzątała jego pokój, „wszystko wyniosła” — jak się wyraziła. Ssała przy tym nerwowo dolną wargę i patrzyła tak, jakby to ją winiono za to, że gość z Ameryki wyjechał.

— Dziwne — powiedział John. Już się prawie cieszył na myśl, że przesiedzi wieczór z Marvinem. Ale wyglądało na to, że jego kumpel, kiedy tak siedział sam w wielkim domu, zatęsknił za domem i odleciał z powrotem.

Przez resztę dnia John krążył wokół telefonu i odsuwał chwilę, kiedy zadzwoni do krewnych w Rzymie. W końcu w ogóle go nie znali. Dla nich musi być przecież tym, który odniósł korzyść ze śmierci Lorenza. Dopiero, gdy znikające za horyzontem słońce napełniło salon pomarańczowo-czerwonym światłem, zebrał się na odwagę i wykręcił numer.

I patrzcie tylko, kobieta po drugiej stronie, matka Lorenza, żona kuzyna jego ojca, nie posiadała się z radości, że ktoś interesuje się jej zmarłym synem. Tak, oczywiście może przyjechać w każdej chwili, kiedy tylko mu pasuje. Również jutro, nie ma problemu, ona i tak jest w domu.

John odkładając słuchawkę, czuł ulgę i pod koszulą był mokry od potu. Na horyzoncie widział ciemnoczerwony rąbek zachodzącego słońca, nad głową rozgwieżdżone niebo. Spoglądając w górę na spokojnie migocące świetlne punkciki rozrzucone na czarnym aksamicie, powiedział sobie, że

wszystko, co tutaj robi, jest obojętne w obliczu wielkości wszechświata. Czy uratuje przyszłość ludzkości, czy nie, gwiazdy i tak będą dalej świecić z wyniosłą obojętnością,

Następnego ranka ku swemu zaskoczeniu znalazł Marvina w salonie, rozwalającego się na białej sofie i kartkującego angielskie czasopismo muzyczne.

— Cześć — powiedział, nie podnosząc wzroku. — I co? Ładna pogoda w Nowym Jorku?

— Tak, można tak powiedzieć — stwierdził John. — Było ładnie. — Opadł na jeden z foteli. — Dziwię się, że tu jesteś. Wczoraj wieczorem założyłbym się, że poleciałeś do domu.

— Nawet o tym nie myśl. Tu mi się podoba. Chciałbym jeszcze trochę zostać, jeśli nie masz nic przeciw temu.

— Oczywiście, że nie. Przecież mówiłem. — Irytowało go, że Marvin nie patrzy na niego podczas rozmowy. On sam nie mógł oderwać wzroku od zniszczonych czarnych butów Marvina, niedbale opartych na podłokietniku. — Świetnie — powiedział, starając się nie dać poznać po sobie irytacji. — A co zamierzasz robić we Włoszech?

— To, co zawsze. Walczyć o przeżycie — stwierdził zwięźle Marvin i zagłębił się w oglądaniu zdjęcia czarnej lakierowanej gitary basowej. Drapał się zawzięcie po plecach, a jego buty przesuwają się przy tym tam i z powrotem z cichym szuraniem, które sprawiało, że John odczuwał niemal fizyczny ból.

— Słuchaj — zapytał — czy mógłbyś zdjąć swoje buty z sofy? Marvin niechętnie podniósł wzrok.

— Zostałeś teraz drobnomieszczaninem, czy jak?

— To skóra z alpaki. Nawet stąd widzę, że podszwami robisz na niej czarne smugi.

Marvin nie poruszył się ani o milimetr.



— Zdaje mi się, że nie będziesz musiał iść żebrać, żeby kupić nową.

— Zgadza się, ale nie zrobię tego — wyrwało się Johnowi z taką ostrością, która nawet jego samego zaskoczyła. — Ktoś przez wiele godzin pracował nad tą sofą i zrobił to bardzo starannie. Nawet jeśli jestem teraz bogaty, nie daje mi to prawa, żebym deptał po jego pracy.

— Okay, nie denerwuj się tak. — Marvin podciągnął stopy i spuścił nogi na podłogę tak, że leżał teraz na sofie w zupełnie nienaturalnej pozycji. — Zadowolony?

John zadał sobie pytanie, czy to normalne, że zaczyna kłótnię z powodu sofy zrobionej z bezsensownie delikatnej skóry.

— Sorry — powiedział.

— Już w porządku — odpowiedział wielkodusznie Marvin. — Szczerze, ja to rozumiem. Jesteś teraz bogatym człowiekiem, a bogaci ludzie po prostu mają rzeczy, na które muszą uważać.

John nic nie powiedział. Ze wstrząsającą jasnością widział, że nie są już kumplami i towarzyszami niedoli, jakimi byli jeszcze trzy miesiące wcześniej, i że tamte czasy nigdy nie wrócą. W trudny do pojęcia sposób stanęły między nimi pieniądze.

— Przy okazji, byłem u Constantine — wypalił zniechęca Marvina.

— Acha — mruknął John. Jednak Marvin nic więcej nie powiedział, więc dodał jeszcze: — Świetnie. Ja... no cóż, ostatnio, kiedy przyjechałeś... myślałem, że to tylko romans.

— Bo to prawda. I to jaki. Nie wyobrażasz sobie, jak oszalała tui moim punkcie. — Marvin kartkował dalej. — Chodzi tylko o to, że przez ostatni tydzień zapieprzyliśmy się prawie na śmierć i pomyślałem, że dobrze nam zrobi kilka dni przerwy. — Zaśmiał się zrzędliwie sam do siebie. — Dobrze zapowiadająca się pani

prokurator.... Nieźle ją rozłożyło, kiedy zaproponowałem jej jointa. Coś mi się zdaje, że nigdy wcześniej nie paliła nic takiego.

John zamrugał. Marvin musiał oszaleć, jeśli nosi ze sobą marihuanę.

— A co z Brendą?

Marvin lekceważąco machnął ręką.

— Zapomnij o tym. Ostatnio i tak niezbyt dobrze nam szło. — Odłożył na bok gazetę i przeciągnął się, przyjrzał się meblom w zalanym słońcem salonie, jakby szacował ich wartość. — Powiedz tylko, na pewno znalazłbyś dla mnie jakąś pracę, co?

— Pracę? — zająknął się John.

— Pomyślałem sobie, że mógłbyś mnie zatrudnić jako osobistego sekretarza, czy coś w tym rodzaju — wyjaśnił Marvin. — Człowiek od wszystkiego. Jak w tej sprawie z zegarkiem twojego ojca. No co — musisz przyznać, że załatwiłem to dla ciebie pierwsza klasa, nie? Gdyby ten typ w lombardzie zauważył, że na kopercie zegarka wygrawerowane jest twoje nazwisko, na pewno te tysiąc dolarów, które mi przysłałeś, nie wystarczyłoby.

John tylko na niego patrzył. Czuł się zaskoczony. — Nie wiem...

— Potrzebujesz kogoś takiego, człowieku! — Głos Marvina nabrał teraz tego samego śpiewnego pogłosu, którym zwykle namawiał Konstantinosa, żeby ten mimo długów jeszcze raz udzielił im kredytu. — Jesteś teraz bogaty, jesteś sławny. Nie możesz się nigdzie ruszyć bez ochroniarzy. Wszędzie wszyscy się na ciebie gapią. Twoje pieniądze to złota klatka, człowieku, i dlatego potrzebny ci osobisty sekretarz. Ktoś taki jak ja — inteligentny, sprytny, godny zaufania. Ktoś, kogo możesz niepostrzeżenie wysłać, żeby wyciągnął z ognia kasztany.

John czuł się przyciśnięty do muru. Jakoś nie czuł się dobrze z

tym pomysłem. Marvin o każdej pracy, jaką miał kiedykolwiek, opowiadał mu makabryczne historie, jak to go wykorzystywano i jak źle traktowano. Z biegiem czasu zaczął wątpić, czy rzeczywiście Marvin zawsze był tak niewinny.

Z drugiej strony im dłużej Marvin go namawiał, tym bardziej ten krok wydawał mu się nieunikniony. Jakby tylko w ten sposób mogli znaleźć nową drogę porozumienia.

— No dobrze — powiedział w końcu, niezbyt zachwycony. — Jesteś zatrudniony.

— Hej, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, kumplu — zażartował Marvin. — Zakładam, że to w porządku, jeśli będę tutaj dalej mieszkał; w końcu musisz mieć swojego sekretarza w zasięgu głosu, prawda? — Przez twarz Johna musiał przemknąć cień grymasu, bo Marvin pośpiesznie dodał: — To tylko tak teraz, na początek. Przeczuwam, że panna Nigdysyta Constantine i tak niedługo uprze się, żebym się wprowadził do niej. Acha — przypomniało mu się — a ile ty właściwie zapłacisz?

John nie miał ochoty łamać sobie nad tym głowy.

— A o jakiej kwocie myślałeś?

— Co powiesz na pięć tysięcy dolarów miesięcznie?

— Okay.

Cóż w końcu znaczy dla niego pięć tysięcy dolarów. Dłuższy oddech, nic więcej. Poza tym, tak czy siak, i tak skończy się na tym, że Marvin będzie cały czas spędzał u Constantine.

Johnowi przyszła do głowy pewna myśl. Sięgnął po notatnik, który miał ze sobą w samolocie i przebiegł wzrokiem po zabazgranych wierszach.

— Miałbym dla ciebie zaraz pierwsze zadanie — powiedział.

— Patrzcie tylko — powiedział Marvin już z mniejszym zachwytem.

— Potrzebne mi angielskojęzyczne książki. Nie mogę wysłać Jeremiego, jest Hiszpanem i umie po angielsku tylko tyle, ile potrzebuje jako kamerdyner. A wolałbym nie iść sam, z obstawą i w ogóle.

— Książki? — Marvin patrzył na niego, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa.

— Wszystko, co da się zgromadzić na temat ochrony środowiska, wzrostu zaludnienia, efektu cieplarnianego, zanieczyszczenia powietrza, wymierania gatunków, dziury ozonowej i tak dalej. Kompletna biblioteka na temat „przyszłość ludzkości”.

— Chwileczkę — mruknął Marvin. — Muszę to sobie zapisać. Masz coś do pisania?

John podał mu długopis ze swojego notatnika i Marvin zaczął bazgrać na odwrotnej stronie gazety.

— Więc, jak to było? Ochrona środowiska i co jeszcze?

John ponownie podyktował mu listę.

— A poza tym książki na temat gospodarki i finansów. Co tylko uda ci się dostać.

— No to będziesz potrzebował mnóstwa regałów, jak mi się wydaje.

— Tak. Możesz je też od razu zamówić. I ustawić. W jednym z małych salonów na tyłach rezydencji zrobimy bibliotekę.

Marvin pisząc, zmarszczył czoło.

— Masz pojęcie, gdzie w tym spaghettielandzie znajdę angielskie książki?

— Nie — przyznał John. — Spróbowałbym we Florencji, to w końcu miasto uniwersyteckie.

— Tak zrobię. Mogę wziąć ferrari?

— Sam będę go potrzebował — odpowiedział John. Marvin

zaraz zażąda jego szczoteczki do zębów, jeśli będzie mu we wszystkim ustępował.

— Możesz wziąć jeden z mniejszych dostawczaków. Sofia ma do nich kluczyki.

— To ta gospodyni?

— Tak.

— Okay. — Marvin podniósł się z ociąganiem. — Poszło szybciej niż myślałem. Przy okazji założę sobie konto i co tam trzeba, okay?

— Zrób tak. Numer konta możesz podać Jeremiemu, on zarządza całym personelem.

— Jak widzę, masz tu u siebie porządek. — Wychodząc, zatrzymał się jeszcze raz i odwrócił się z niezadowolonym wyrazem twarzy. Ociągał się. — Mogę cię jeszcze o coś zapytać?

— Jasne.

— Zapłaciłbyś też dziesięć tysięcy, gdybym zażądał, prawda?

John wzruszył ramionami. Sam nie wiedział.

— Kurde — mruknął Marvin i zniknął.

Kiedy krótko potem zadzwonił telefon, wiedział, że to nieznajomy. Po prostu wiedział.

— Zastanawiał się pan? — zapytał dźwięczny głos.

— Cały czas — odpowiedział John i naszała go ochota, by trochę zdenerwować nieznajomego. — Czy przypadkiem nie leciał pan wczoraj z Nowego Jorku do Paryża?

— Słucham? Nie. — Patrzcie tylko, więc i jego można trochę zbić z tropu.

— Zdawało mi się, że pana rozpoznałem. Chwila ciszy, potem cichy śmiech.

— Dobra próba. — Mężczyzna znów był całkiem opanowany. — Ale wróćmy do pańskich planów. Co zrobi pan ze swoim

mnóstwem pieniędzy?

— Do tej pory moim najlepszym pomysłem jest sfinansowanie globalnego projektu kontroli urodzin. — Po co mu to opowiada? Z drugiej strony: Dlaczego miałby nie opowiadać? W końcu to kłamstwo. 1'ruwdą byłoby, gdyby powiedział, że jest zupełnie zbity z tropu. Ale tego nie musi pisać sobie na czole.

— Godne uwagi. — Zabrzmiało to prawie jak pochwała. — Czy mogę zapytać, z jakiego powodu?

John przeszedł do stojącej po drugiej stronie pokoju sofie, usiadł na niej i rozmawiając, próbował poślinionym palcem wskazującym zdrapywać ślady butów Marvinina. Daremnie.

— Myślę, że wszystkie problemy, z którymi boryka się ludzkość, są wzajemnie powiązane. Problemy powstają na skutek okoliczności, które są znów następstwem innych problemów. A kiedy prześledzić taki łańcuch aż do samego początku, zawsze na koniec dochodzi się do tego, że zaludnienie Ziemi nieustannie wzrasta. Wzrost zaludnienia jest tym, co Saddam Hussajn nazwałby może matką wszystkich problemów.

To sformułowanie chyba go ubawiło.

— Do tej chwili zgadzam się z panem.

— Nie uda się więc rozwiązać żadnego z problemów pojedynczo, ale można rozwiązać wszystkie za jednym zamachem, jeśli rozwiąże się problem, tkwiący u korzeni. — Dobrze było móc mówić. Kiedy mówił, przychodziły do niego myśli, jakich sobie wcześniej nie ułożył. Zaskakiwał sam siebie. — A problem wzrostu zaludnienia można rozwiązać tylko przez kontrolę narodzin.

— Świetnie. W zasadzie słusznie, i w gruncie rzeczy całkiem blisko. Nie mogę panu jednak dać jeszcze punktu za oryginalność albo głębie przemyśleń, chyba że może mi pan teraz opisać, jak

ten projekt konkretnie ma wyglądać.

John uniósł brwi.

— Jak ma konkretnie wyglądać? No cóż, kontrola urodzin, to znaczy antykoncepcja. Trzeba ludziom udostępnić do tego celu środki, nauczyć skutecznie ich używać i tak dalej. I to na całym świecie.

— O jakich ludziach mówimy? O mężczyznach? O kobietach? I co chce im pan udostępnić? Tabletki? Prezerwatywy?

— To przecież tylko szczegóły.

— Szczegóły, właśnie. Ale w życiu chodzi właśnie o szczegóły. Co robi pan z krajami, które zabronią pańskiej akcji? Z krajami, gdzie rządzą fanatyczni mułowie albo gdzie silne wpływy ma papież? A co robi pan z ludźmi, którzy *chcą* mieć dużo dzieci? Myli się pan, sądząc, że w krajach rozwijających się przychodzą na świat tylko niechciane dzieci.

— Hm — mruknął John. Rzeczywiście, musi się nad tym jeszcze raz zastanowić. Do tej pory jego pomysły o sposobach wypełnienia proroctwa nie wyszły poza poziom gadaniny przy biesiadnym stole.

— Myślę, że zbliża się czas, abyśmy się spotkali — powiedział nieznajomy.

— Najpierw musi mi pan powiedzieć, kim pan jest — skontrolował John.

— Dowie się pan tego, kiedy staniemy naprzeciw siebie.

— Dopóki nie poznam pańskiego nazwiska, nie umówię się z panem.

Sytuacja patowa, tak to się przecież nazywa.

— Więc dobrze — odrzekł dźwięczny głos. — W takim razie nie. Ale, panie Fontanelli, proszę pamiętać o jednym: ja wiem, co trzeba zrobić. Pan tego nie wie. Jeśli chce się pan tego

dowiedzieć, musi pan do mnie przyjść, to minimum.

Na tym zakończył i odłożył słuchawkę. John patrzył na telefon, marszcząc czoło.

— Co też on sobie myśli, że kim jest? — wymamrotał.

Następnego ranka pojechał do Rzymu, towarzyszył mu tylko Marco, który po kolejnym ostrym hamowaniu stwierdził sucho, że w najlepszym wypadku może go ochronić przed zamachowcami i porywaczami, ale nie przed zderzeniem z ciężarówką. Kiedy dotarli do pierwszych przedmieść, otwierano już sklepy, i John kupił jeszcze duży bukiet kwiatów. Kwiaciarka, której wyjaśnił, czego potrzebuje, zapewniła go, że ułożyła wiązanekę z kwiatów stosownych w żałobie. Matka Lorenza była kobietą na smutny sposób piękną, szczupłą, o regularnych rysach twarzy, najwyżej czterdziestoletnią. Przywitała Johna poważnie, ale serdecznie, nie rozwijając tematu, wysłuchiwała wyjaśnień, kim jest Marco i poprosiła potem obu do kuchni.

— Jesteś podobny do ojca— powiedziała, stawiając przed nimi filiżanki kawy. Kiedy John kolejny raz niepewnie zwrócił się do niej *Signora Fontanelli*, pokręciła głową i poprosiła: — Nazywaj mnie Leona, John!

Nie wyglądała jak kobieta, która przepłakała cały poranek. Wyglądała, jakby przez ostatnie trzy miesiące płakała bez chwili przerwy i dopiero przed kilkoma dniami podjęła decyzję o powrocie do życia. Skóra jej twarzy miała w sobie coś przejrzystego, rozmiękłego, a długie czarne włosy były pozbawione blasku i matowe.

— Tego wieczora nie wrócił do domu — opowiadała bezdźwięcznym głosem ze spojrzeniem skierowanym w nieokreśloną dal. — Wyszedł po obiedzie, żeby się z kimś



spotkać, przyjacielem ze szkoły. Widzę go jeszcze, jak idzie tam, w górę wzgórza — drogę można widzieć z. kuchennego okna i czasem, kiedy wyglądam, zdaje mi się, że lada **chwila** pojawi się i zejdzie z góry, i wtedy stoję i czekam... To był słoneczny dzień. Po południu wystawiłam kwiaty... — Zamilkła i siedziała bez słowa, zatopiona we wspomnieniach. Potem wróciła do rzeczywistości, spojrzała na Johna. — Chciałbyś zobaczyć jego pokój?

John przełknął ślinę.

— Tak — powiedział. — Chętnie.

Był to duży pokój na pierwszym piętrze, jednak tak zastawiony starymi ciemnymi meblami i wielkim czarnym pianinem, że mimo wszystko wydawał się ciasny. Na pianinie leżał stos nut, a na nim etui z poprzecznym fletem, otwarte, a srebrny flet na pół przykryty chustką. Na ścianie powyżej wisiała rama z dyplomem.

— To nagroda matematyczna, którą wygrał — wyjaśniła Leona, która tak kurczowo otoczyła się ramionami, jakby musiała się sama podtrzymywać. — Poza tym dostał pięćset tysięcy lirów i zaraz je wydał na książki. — Wskazała ręką regał z książkami. John pochylił głowę, próbując odczytać tytuły. Dużo matematyki, astronomii, podręcznik gospodarki i zaczytany egzemplarz *Raportu dla klubu rzymskiego*.

— Mogę to wyjąć? — poprosił.

— Tak, tak. Dużo to czytał, już kiedy był o wiele młodszy. Nawet nie wiem, skąd to miał.

John otworzył książkę. Na każdej stronie zaznaczono niezliczone zdania, podkreślone różnymi kolorami, na marginesach i wolnych przestrzeniach nabazgrano uwagi. Przekartkował. Jego włoski nie był dostatecznie płynny, by móc zrozumieć treść, wszystko, co mógł odczytać, to nagłówki. Ale to

wystarczyło, by poznać, że Lorenzo już od lat zajmował się dokładnie tymi problemami, z którymi John zetknął się dopiero niedawno.

Przerobił całą książkę, od początku do końca. John czuł się pusty i smutny, jak zdrajca, kiedy wie już, że nie uniknie zdemaskowania. Zaszedł tu tragiczny błąd. Los się pomylił. Majątek odziedziczył ktoś niegodny, ktoś, kto nie jest w stanie dokonać z nim nic rozsądnego.

Spomiędzy stron wysunął się kawałek papieru i upadł na podłogę. John szybko go podniósł. Wycinek z gazety. Wyblakłe zdjęcie pokazywało małego, dwunasto— albo trzynastoletniego chłopca przed wielką tablicą wzdłuż i wszerz zabazgraną wykresami i matematycznymi wzorami. Chłopiec trzymał w dłoni dyplom, który teraz wisiał w ramce na ścianie i patrzył w aparat z powagą i pewnością siebie.

— Ach, tutaj to włożył! — zawołała Leona i wzięła od niego papier. — Wszędzie szukałam tego wycinka i nie mogłam znaleźć. Dziękuję.

Widok Lorenza po prostu wstrząsnął Johnem. Nie dość, że był tak inteligentny i wykształcony, na zdjęciu promieniował jeszcze pewnością siebie i zdecydowaniem, cechami, których John zawsze pragnął dla siebie. Nie mógł znaleźć właściwego słowa. Może niezależność, suwerenność. Ktoś, kto panuje nad swoim życiem. Może nawet charyzma.

Teraz rozumiał, dlaczego Vacchi tak bardzo byli pewni wyboru. *Nie mogę tylko zrozumieć, jak mogą teraz widzieć we mnie właściwego dziedzica*, pomyślał gorzko. Ale może tak naprawdę wcale nie widzieli. Sam sobie wydał się idiotą. Był marzycielem, dokładnie tak, jak zawsze mówiła to jego matka, bez celu i bez ambicji. I całkiem na pewno to nie on był tym, którego miało na

myśli prorocstwo. On tylko nosił garnitury Lorenza, jeździł jego autem, mieszkał w jego domu.

Leona otworzyła pokrywę masywnego sekretarzyka. Ich oczom ukazała się maszyna do pisania, mała i czarna, okaz niemal muzealny.

— Dużo siedział tutaj i pisał. Oczywiście chciał komputera, jak wszyscy chłopcy. Tę maszynę odziedziczył po dziadku. — Przesunęła dłonią po urządzeniu.

— A co pisał? — spytał John, bardziej dlatego, że wyczuwał, iż ona oczekuje od niego tego pytania. Najchętniej uciekłby stąd. Rozpłynąłby się w powietrzu.

— Nie wiem, wszystko, co się da. Kiedyś przejrzę jego rzeczy. Pokazywał mi kiedyś sztukę teatralną. Nie wiem, czy była dobra. Pisał dużo listów, do wszystkich możliwych ludzi. I artykuły do szkolnej gazetki, tego rodzaju rzeczy.

— Artykuły do szkolnej gazetki? — Z jakiegoś powodu wzbudziło to jego zainteresowanie.

— W ostatnim numerze był jeden, poczekaj... — Przejrzała mały stosik cienkich zeszytów z dziwnymi kreskowymi rysunkami na okładkach. — Tutaj.

John wziął zeszyt. Nosił tytuł *Ritirata*. Toaleta. Otworzył na spisie treści. Główny artykuł numeru nosił tytuł *Droga ludzkości w dwudzieste pierwsze stulecie — napisał Lorenzo Fontanelli*. John poczuł, jak gwałtownie przyspiesza mu tętno.

To niesamowite. To był naprawdę długi artykuł, zawierający wnikliwą i obszerną analizę problemów, z którymi ludzkość miała się skonfrontować u progu nowego tysiąclecia. Do tego na prawie dziesięć stron.

— Mogę zrobić sobie kopię tego? — spytał John z wyschłymi ustami.

— Możesz wziąć ten numer. Mam jeszcze kilka egzemplarzy. Proszę, sprawisz mi tym przyjemność.

— Dziękuję — chciał powiedzieć John, ale zabrakło mu nagle tchu. Przekartkował na koniec artykułu i przeczytał ostatni akapit. Przeczytał go jeszcze raz, nic nie rozumiejąc.

*Mamy mnóstwo problemów naraz i na pierwszy rzut oka wygląda to dla nas dość beznadziejnie — zakończył Lorenzo swój artykuł. Jednak wykażę, że za wszystkim tym kryje się tylko prosty błąd konstrukcyjny naszej cywilizacji, któremu jesteśmy winni sami — i z którym właśnie dlatego również sami możemy się uporać. Nie popełniajcie więc przedwcześnie samobójstwa, lepiej przeczytajcie następny numer „Ritiraty”!*

# 16

Kiedy rozmowa telefoniczna dobiegła końca, Cristoforo Vacchi jeszcze przez chwile trzymał aparat na kolanach, a jego spojrzenie błąkało się w nieokreślonej dali. Uśmiechał się w milczeniu.

Gregorio odchrząknął, niszcząc czar chwili.

*Padrone* niedosłyszalnie westchnął. Pomyślał, że młodzi ludzie nie mają jeszcze wycucia subtelnych sił działających za kulisami pozornie obiektywnej rzeczywistości.

— Dziwisz się? — spytał swego syna.

— Oczywiście. Zadaję sobie pytanie, czy wiesz, co robisz?

Odłożył telefon na bok.

— Nadszedł czas ujawnienia tej całej historii.

— To wbrew ustaleniom.

— Może po prostu nie mogę się oprzeć pokusie odegrania tu roli przeznaczenia — powiedział Cristoforo Vacchi.

— Nic! — powiedział Marco. — Tutaj tego nie ma.

John stał wśród stosów papieru, jak na polu bitwy marszałek dowodzący swoimi oddziałami, patrzył na wypróżnione do pusta regały i szafy o drzwiach otwartych tak szeroko, jakby ziewały.

— Naprawdę niczego nie przeoczyliśmy?

Ochroniarz westchnął.

— Nie.

Leona po długim przekonywaniu z oporem pozwoliła im przejrzeć rzeczy Lorenza w poszukiwaniu rękopisu drugiej części artykułu.

— Ale ja na ten czas wyjdę — powiedziała. John włączył do pracy Marco, który umiał czytać po włosku płynniej niż on sam i

wspólnie mieli już za sobą drugi systematyczny przegląd wszystkich zapisanych papierów, jakie tylko mogli znaleźć. Znaleźli wiersze i wspomnianą sztukę teatralną i jeszcze kilka innych fragmentów prozy, pisane na maszynie listy książek wypożyczonych przez Lorenza z różnych bibliotek, pozbawione respektu rozprawki na tematy religijne, skróty materiałów naukowych z biologii i nauki o ziemi, wszystko to bez widocznego systemu. Dwa grube segregatory wypełnione były esejami na tematy matematyczne, Johnowi mówiły one mniej niż nic. Podczas swoich poszukiwań trafiali również tu i ówdzie na rękopisy, wyraźnie przeznaczone dla szkolnej gazetki — zbiory cytatów nauczycieli, porywcze krytyki stosunków społecznych i decyzji rządu, artykuły o prawach człowieka i ochronie zwierząt. Nie mogli znaleźć tylko drugiej części artykułu.

— Na pewno dostarczył go już do redakcji — stwierdził Marco, siedząc niczym zmęczony niedźwiedź na podłodze przed łóżkiem, najwyraźniej nie miał ochoty przegrzebywać się przez te stosy po raz trzeci.

John skinął głową.

— Ale musimy jeszcze posprzątać.

Redakcja uczniowskiej gazetki mieściła się w szkolnej piwnicy, malutkie okienka umieszczone były wysoko na ścianach, pozostawało więc sporo miejsca na regały, na których upchnięto rozerwane paczki papierów, puste butelki po piwie i coca-coli, książki z niezliczonymi zakładkami i pękate segregatory. Krzesła były równie odrapane jak stoły, ekran jedyne komputera migotał, telefon nadawałby się raczej do muzeum, zaś drukarka bez przerwy wydawała ciche, piszczące dźwięki. A wszystko to przenikliwie cuchnęło papierosowym dymem.

Nie było w tym zresztą nic dziwnego, gdyż chłopak, który

przedstawił im się jako redaktor naczelny, był chuderlawym osobnikiem o nastroszonych włosach i bystrych oczach ukrytych za okularami w cienkich oprawkach, wyposażonym w zwinne palce, nieustannie zajęte albo skręcaniem papierosów albo bazgraniem notatek, kiedy papieros się palił.

— Co za zaszczyt, co za zaszczyt — przywitał ich i opróżnił dwa krzesła z kartonowych pudełek i popielniczek. — Proszę zająć miejsce, signor Fontanelli; niestety, w naszej małej gazecie mogę panu zaproponować tylko to skrajnie skromne siedzisko, nie chciałbym, żeby to zabrzmiało tak, jakbyśmy bronili się rękami i nogami przed małym albo i nie bardzo małym datkiem...

John usiadł. Marco wolał stać przy drzwiach z założonymi rękami.

— Przez telefon wyraził się pan trochę, jakby to ująć, *niejednoznacznie* — co zresztą, muszę przyznać, wzbudziło moją ciekawość. Zrozumiałem tylko tyle, że Lorenzo był pańskim kuzynem, czy to prawda?

— Jego ojciec jest kuzynem mojego ojca — wyjaśnił John. — Nie wiem, czy jest nazwa na takie pokrewieństwo.

— Ach, rozumiem, rozumiem. Nie, chwilowo również nie przychodzi mi do głowy żadne słowo. Tak czy owak, powiedział pan, że szuka czegoś, co napisał Lorenzo... — Spod stosu gazet, dużych kopert i zakurzonej wysokiej szpiczastej czapki wyciągnął mały magnetofon. — Ach, czy miałby pan coś przeciw temu, gdybym naszą krótką rozmowę nagrał na taśmę? Wywiad na wyłączność z najbogatszym człowiekiem świata mógłby przywrócić nakład naszej chronicznie zagrożonej bankructwem gazety z powrotem na zdrowe obszary, co, prawdę mówiąc, jest chwilowo moją największą troską. John ociągał się.

— Sam nie wiem.

Młodzińczy wydawca gazety manipulował już przy przełącznikach.

— Wywiad z Johnem Salvatore Fontanellim, bilionerem, popołudniu, dnia — gdzie jest kalendarz? Nie mam pojęcia, którego mamy dzisiaj, siódmego lipca czy coś takiego. — Ustawił małe czarne pudełeczko na skraju stołu między nimi. — Signor Fontanelli, jest pan dalekim krewnym naszego zmarłego kolegi szkolnego Lorenza. O ile dobrze pamiętam odpowiednie doniesienia prasowe, sprawy mają się tak, że to Lorenzo, gdyby nie zmarł na krótko przed owym sławnym dniem, odziedziczyłby bilionowy majątek — czy to prawda?

— Tak — powoli odpowiedział John. Znów czuł się trochę manipulowany. — To prawda.

— Teraz, jak powiedział mi pan przez telefon, znalazł pan w jego dokumentach najświeższe wydanie naszego głośnego magazynu *Ritirata*, a nim pierwszą część artykułu Lorenza Fontanelli o problemach ludzkości. Przyjechał pan tu do redakcji, gdyż szuka pan drugiej części tego artykułu, w której mianowicie ma zostać podane rozwiązanie omawianych problemów. Chciałbym zadać pytanie, signor, czy w spuściźnie swego kuzyna Lorenza szuka pan pomysłu, co sensownego mógłby pan działać za pomocą swego bajecznego majątku?

John spojrział na niego. Ten chłopak nieźle zna się na rzeczy, do tego uparty łajdak, kiedy już się kogoś uczepli.

— Proszę to wyłączyć.

Oczy za okularami zamrugwały, jakby doznał właśnie napadu debilizmu.

— *Signore*. To przecież nic wielkiego — zadam tylko kilka pytań, a pan... — Zobaczył, że Marco się poruszył, nie więcej niż milimetr, więc pośpiesznie sięgnął do magnetofonu, by go



wyłączyć. — W porządku.

— A więc — zapytał John — gdzie jest rękopis drugiej części?

— No, cóż. Będę jeszcze miał przez to niezłe kłopoty — powiedział chłopiec, którego imienia John już zapomniał. Antonio, czy jakoś tak. — Chodzi o to, że ja go nie mam.

John i Marco wymienili krótkie spojrzenia. Potem John powoli powiedział:

— Jeśli to miałyby być sprawa pieniędzy, oczywiście wyrażę niemałym datkiem wdzięczność za tę uprzejmość.

— Tak, tak, mam nadzieję, ale widzi pan, wydałem pierwszą część, nie mając w rękach drugiej, bo Lorenzo przysięgał mi na wszystkie świętości, że ma ją już prawie gotową i bezzwłocznie mija dośle. W takich sprawach zawsze można było na nim polegać, dlatego nie miałem obaw. Chodzi mi o to, że nikt nie mógł się liczyć z tym, że włoży sobie do ust gruszkę pełną pszczoł. Tak czy siak, nie mam drugiej części. W następnym numerze zamiast niej zamieścimy nekrolog.

— Powiedział, że chce ją przysłać? — upierał się John. — Ale Lorenzo chodził przecież do tej szkoły, prawda?

— Zgadza się, ale nigdy nie przychodził do redakcji. Myślę, że miał coś przeciw dymowi, którego potrzebujemy do pracy. Przeważnie rozmawialiśmy przez telefon, czasem na boisku, a swoje rękopisy zawsze przysyłał. Zdaje mi się, że w ten sposób czuł się bardziej jak pisarz.

— Ile czasu minęło, odkąd chciał go przysłać?

— Hm, tak, proszę poczekać — ostatni raz rozmawiałem z nim trzy albo cztery dni przed jego śmiercią, więc powiedziałbym, że musiało to być okrągłe dwa miesiące temu. Raczej więcej.

John zmarszczył czoło.

— Więc nie może być już w drodze.

— Och, to nie jest powiedziane, we włoskiej poczcie wszystko jest możliwe. Mój ojciec posłał swojej pierwszej miłości list miłosny, który dostała dopiero po urodzeniu swego pierwszego dziecka, oczywiście z innym mężczyzną, za którego w międzyczasie wyszła...

— Inaczej mówiąc — kontynuował John — druga część artykułu prawdopodobnie w ogóle nie istnieje. — Gonię za fatamorganą.

Zwinne dłonie zdusiły aktualnie wypalany papieros w ściętej puszcze po coca-coli i błyskawicznie sięgnęły po worek z tabaką.

— Chętnie jeszcze raz to wszystko przeszukam. Ile, mówił pan, chciał pan nam przekazać, jeśli go znajdę? Milion dolarów?

— Nie wymieniłem żadnej liczby — powiedział John i wstał. — Ale nic będę skąpy. — Podał mu swoją wizytówkę. — Gdyby pan znalazł. — Będzie musiał w sekretariacie dodać nazwisko chłopca do listy nadawców, których listy mają być mu przekazywane bez otwierania. Choć pewnie nigdy nic nie przyjdzie.

Tu z góry roztaczał się widok na zasnuty deszczem Hamburg, szare morze mokrych dachów otaczające posępnie i rdzawo wyglądający port. Ursula Valen zajęła miejsce na krześle dla gości, które Wilfried van Delft opróżnił dla niej i czekała, zaś szef działu „rozrywka, media i współczesne życie” w magazynie ilustrowanym *Stern* stał przed swoim przepełnionym ściennym regałem, trzymając stos książek i kaset, które wcześniej leżały na siedzisku i rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby je odłożyć.

— To nie przestaje być frustrujące... — westchnął mężczyzna w połowie pięćdziesiątki, o cienkich rudawych włosach i świetnie, jak na pracującego przy biurku, utrzymanej figurze. — Kto

właściwie wymyślił pojęcie zalewu informacji? To musiał być jasnowidz. Prorok, chciałoby się niemal powiedzieć. — W końcu poddał się, położył wszystko na stos piętrzący się już w jednym z kątów i wrócił za biurko. — Jak było w Ameryce? — spytał potem, składając szerokie dłonie jedna na drugiej.

Ursula Valen spojrzała na niego zaskoczona.

— Skąd pan wie, że byłam w Ameryce?

— Och, śledzę pani pracę z największym zainteresowaniem, chyba wie pani o tym? — uśmiechał się jak magik, któremu dobrze wyszła czarodziejska sztuczka. — Pomijając to, powinna pani wiedzieć, że redaktor, który panią wynajął, pracuje wprawdzie dla innej gazety, ale swoją pensję ma przelewana z tego samego konta, co ja. Tak to już jest w dzisiejszych czasach w świecie wydawniczym. Jeden smok, wiele głów.

Ursula powoli skinęła głową. Wciąż jeszcze z trudem przychodziła jej orientacja w wydawniczych kolosach. Zresztą niechętnie się nad tym zastanawiała, gdyż budziło to w niej nieprzyjemne skojarzenia z monolityczną prasą w NRD.

— To było bardzo pouczające — powiedziała. — Chętnie przyślę panu egzemplarz artykułu, jeśli pan sobie życzy.

Van Delft uniósł ramiona w obronnym geście.

— Proszę mi tego nie robić. Proszę tylko o artykuły, które mogą drukować.

— W ten sposób wróciliśmy do sedna — weszła mu w słowo Ursula. — Trafiłam na coś, co mogłoby być sensacyjną historią. Chciałabym nad tym popracować.

— Ostatnio powiedziała pani, że najwyższy priorytet ma ukończenie studiów.

— Wiem.

— No dobrze. Moje uszy należą do pani.

Ursula opowiedziała mu o spotkaniu w samolocie, zmieniając przy tym kilka szczegółów, gdyż nie chciała być pytana, co robiła w Nowym Jorku, który w historii motoryzacji nie odegrał właściwie żadnej roli.

— Zastanawiam się — zakończyła — dlaczego tych dwoje miałyby coś przede mną udawać? Nie wiedzieli, kim jestem; to nie miałyby sensu. Z drugiej strony istnienie takiego proroctwa tłumaczyłoby mniej więcej, dlaczego rodzina prawników przez pokolenia strzegła tego niesamowitego majątku i dlaczego go w końcu rzeczywiście oddała.

Van Delft zaczął bawić się nożem do listów. Robił tak zawsze, kiedy się nad czymś intensywnie zastanawiał.

— Jest pani pewna, że to był brat Fontanellego?

— Absolutnie.

Odchylił się z krzesłem do tyłu i patrzył na całkiem zabazgrany kalendarz wiszący za nim na ścianie, niemal tak kolorowy, jak zawieszony wyżej przedszkolne rysunki jego wnuczki.

— To interesujące, ma pani rację — przyznał. — Ale rozumie pani, że ta historia musi być absolutnie pewna, nim będziemy mogli o niej napisać?

— Oczywiście — skinęła głową Ursula. Minęło już dwanaście lat od chwili, kiedy *Stern* dał się nabrać na sfałszowane pamiątniki Hitlera, fiasko, po którym magazyn do dziś tak naprawdę się nie pozbierał.

— Przy tym — powiedział van Delft i przesunął palcami po ostrzu noża do kopert, — podsłuchana przypadkiem w samolocie rozmowa nie jest koniecznie tym, co uważam za wiarygodne źródło.

— To zupełnie jasne. Po pierwsze pojedę do Florencji i obejrzę sobie oryginał testamentu. Jeśli znajdę tam wskazówki, że w tej

historii rzeczywiście coś jest, poszukam informacji o Giacomo Fontanellim w innych źródłach. — Przerwała, gdyż van Delft zaczął uśmiechać się!, w taki sposób, który sprawił, że poczuła się, jakby przed chwilą powiedziała coś kompletnie idiotycznego.

— Moje drogie dziecko, czy ma pani pojęcie, jaki zamek chce pani oblegać? Rodzina Vacchich okopała się przed dziennikarzami tak dokładnie, jak nie zdarzyło mi się widzieć jeszcze nigdy. Lista kolegów, którzy wrócili z Florencji sfrustrowani, sięgnęłaby stąd aż do Alsteru. Zdaje mi się, że łatwiej byłoby dostać zezwolenie na sfotografowanie Michaela Jacksona pod prysznicem, niż na dostęp do dokumentów Vacchich.

— Naprawdę? — zdziwiła się Ursula.

— Poważnie. Amerykańskie gazety proponowały już za to milionowe sumy. Ale Vacchi są bogaci. Nie da się zrobić zupełnie nic.

Teraz była kolej na Ursulę, by się oprzeć i uśmiechnąć.

— Interesujące — powiedziała. — Wczoraj rozmawiałam z Cristoforo Vacchim przez telefon i powiedziałam mu o swojej prośbie, a on zaprosił mnie do przyjazdu. W przyszły wtorek. Odbierze mnie nawet z dworca.

Van Delft prawie skaleczył się nożem.

— Nic mówi pani poważnie.

— W drodze tutaj byłam już na dworcu i spisałam połączenie. Muszę tylko zarezerwować bilet.

— Jest pani pewna, że rozmawiała ze starym Vacchim? — Na widok wyrazu jej twarzy machnął ręką. — Przepraszam, to było głupie pytanie. Co, na Boga, mu pani powiedziała?

— Tylko prawdę. Że studiuje historię i pracuję trochę dla gazet.

Wilfried van Delft pokręcił głową. Najwyraźniej wytrąciło go to

z równowagi.

— I powiedziała mu pani, że chce zobaczyć testament?

— Oczywiście. Pytał tylko, czy znam łacinę. — Ursula ugryzła się w wargę, gdyż zrozumiała, co znaczy reakcja van Delfta. Nabrała głęboko powietrza i powiedziała: — Proponuję panu prawo pierwodrunku artykułu, który napiszę.

— Prawo pierwodrunku...? — powtórzył jak echo van Delft.

— Na Niemcy — uzupełniła Ursula, zastanawiając się gorączkowo, gdzie ma wizytówkę agenta prasowego, którego poznała kiedyś na przyjęciu w centrali koncernu. Będzie potrzebowała jego pomocy. Trzeba teraz wszystko szybko załatwić. — Nie na wyłączność.

— Nie wiedziałem, że tak dobrze zna się pani na interesach — powiedział kwaśno Wilfried van Delft.

Gromadzenie biblioteki robiło jeszcze wolniejsze postępy niż John się obawiał. Minął prawie tydzień, a w pokoju, który służba opróżniła jeszcze tego samego dnia, kiedy John postanowił o przebudowie, Marvin ustawił tylko pożałowania godny regał, a na nim około trzydziestu książek, wszystkie co do jednej tytuły ezoteryczne, obiecujące powrót UFO, tłumaczące proroctwa Nostradamusa o zbliżającym się końcu świata albo nawołujące do powrotu do koczownictwa.

— Chciałem *naukowych* książek! Fizyka. Biologia. Socjologia. Ekonomia. Nie takie bzdury.

Marvin leżał na sofie i czytał książkę pod tytułem „Wielkie spiski”.

— Są zamówione, nie denerwuj się — powiedział, nie podnosząc wzroku. — Te mieli po prostu na miejscu i pomyślałem, że nie zaszkodzą jako uzupełnienie. W ten sposób

możesz poznać kilka pomysłów wykraczających poza konwencjonalne sposoby myślenia, prawda?

John przyjrzał się okładkom dwóch trzymanyh w dłoniach książek.

— Ani wiara w Nostradamusa, ani w UFO nie wydaje mi się szczególnie niekonwencjonalna.

— To tutaj na przykład wygląda na bardzo pouczające — powiedział Marvin, unosząc w górę swoją lekturę. — Jeśli to prawda, co tu napisano...

-...co na szczęście nie ma miejsca... — warknął John. -...to w rzeczywistości jesteś ofiarą spisku! John wywrócił oczami.

— Ciekawe, skąd wiedziałem, że to powiesz.

— Zdradza to data. Dwudziesty trzeci kwiecień. 23 to symboliczna liczba iluminatów. To najbardziej tajne sprzysiężenie świata — przeniknęli dosłownie wszystko, by zdobyć panowanie nad światem.

— Skoro są tacy tajni, to jakim sposobem opisano to wszystko w tej książce?

— No cóż, od czasu do czasu coś wypływa. Na przykład Kennedy był dla nich niebezpieczny, dlatego kazali go zabić. Dwudziestego trzeciego, żeby zademonstrować swoją potęgę wszystkim, którzy wiedzą, o co chodzi.

John przyjrzał mu się sceptycznie.

— Jeśli dobrze pamiętam, zamach był *dwudziestego drugiego* listopada.

— Naprawdę? — Marvin zająknął się. — To śmieszne. Może się przeliczyli. Zlecają wszystko wynajętym przez swoich pomocników ludziom, wiesz, i może ci nie trzymali się instrukcji.

— Ach tak — skinął głową John. — Mogę sobie wyobrazić, jakie mają z nimi kłopoty. Przy okazji, założyłeś już konto?

— *Nope*. Zapomniałem.

— Gdybyś je jednak kiedyś założył, daj numer mi, nie Jeremiu, w porządku?

Na widok żalostnego regału na książki zrozumiał, że spowoduje otwarty bunt, jeśli pozostały personel dowie się, jaką królewską pensję płaci Marvinowi za nieróbstwo. Będzie musiał regulować to poza Jeremym, z innego konta, których na szczęście mu nie brakowało.

Jednak nie czuł się z tym dobrze. W gruncie rzeczy karał tych, którzy pracowali dla niego uczciwie. Dokładnie tak, jak powiedział jego ojciec.

Marvin przytaknął, ziewając szeroko.

— W porządku.

Później, kiedy Marvin poszedł na spotkanie z Constantine, John zajął znów na tarasie miejsce, które urządził sobie pod żółtą markizą. Stół i krzesło, przybory do pisania, słownik włosko-angielski i kopia artykułu Lorenza. Postanowił samodzielnie przetłumaczyć tekst na angielski, po pierwsze po to, by móc go łatwiej odczytać, a po drugie, ponieważ miał nadzieje, że w ten sposób zrozumie go gruntownie.

*Przed kilku laty powiedziano i napisano tak wiele — tak wiele przygnębiających stów na temat granic wzrostu i przyszłości ludzkości, że ludzie nie chcieli już o tym słuchać. Nikt nie chciał już czytać takich książek ani artykułów, dlatego przestano je wydawać. A ponieważ nic się nie publikuje, mamy dziś wrażenie, że sprawy nie poszły wcale tak źle, jak się wcześniej obawiano.*

*Jednak to uczucie jest mylące. Pokolenie naszych rodziców, tych, którzy urodzili się krótko po wojnie, zakochanych w muzyce Davida Bowie, Pink Floyd i Abby, ci, którym papież Paweł VI zabronił seksu — oni przeżyli złotą epokę ludzkości. Ich jakoś*



życia była wyższa niż kiedykolwiek przedtem i niż powtórzy się to kiedykolwiek potem. My zaś, przyjaciele, jesteśmy świadkami schyłku tej ery.

Przyczyna spadku jest taka sama jak przyczyna wzrostu: uprzemysłowienie. Wynalazki techniczne, które ludziom minionych stuleci wydawałyby się czystą magią, doprowadziły do poprawy warunków życia. Ale nie tylko wynalazki były źródłem tych zmian. Pozostałyby bez znaczenia, gdyby nie wykorzystano ich tak szeroko — samochód dla każdego, telefon i kolorowy telewizor w każdym domu. To właśnie uprzemysłowienie umożliwiło tę powszechność. Antybiotyki trzeba wytwarzać przemysłowo, by były dostępne w każdej chwili i wszędzie. Metody nowoczesnego rolnictwa nie mają prawie nic wspólnego z tymi stosowanymi w poprzednim stuleciu. Dzięki maszynom, nawozom sztucznym i pestycydom uzyskano taki wzrost plonów, że dziś walczymy nie z głodem, a z nadprodukcją.

Postęp medyczny doprowadził do spadku śmiertelności niemowląt i wydłużenia oczekiwanej długości życia, czego następstwem jest szybki przyrost zaludnienia. Jak dotąd zwiększone plony w rolnictwie są w stanie w pewnej mierze dotrzymać mu kroku; głodna ziemia jest problemem w pierwszym rzędzie podziału, nie produkcji. Jednak rolnictwu powoli brakuje już przestrzeni, do tego na skutek zanieczyszczeń zaczyna na całym świecie brakować ziem uprawnych. Również przemysł napotyka granice, mianowicie granice istniejących zasobów surowcowych i wytrzymałości środowiska.

My tego nie zauważamy, powiecie. Nie brakuje przedmiotów codziennego użytku, niektóre z nich nawet tanieją zamiast drożeć. Do prorokowanego często katastrofalnego zanieczyszczenia powietrza i wody jakoś nie doszło. Wydaje się, że jakoś nad tym

zapanowano, prawda?

*Ale wyobraźcie sobie tylko, że możliwe byłoby wzniesienie w ciągu jednej nocy całego świata na poziom życia taki, do jakiego przywykliśmy tu, we Włoszech i w innych krajach uprzemysłowionych. Miliardy Chińczyków jeżdżących samochodami, miliardy Hindusów w domkach szeregowych z ogródkiem i tak dalej. Łatwo wyliczyć, co by to oznaczało. W krajach rozwijających się żyje cztery razy więcej ludzi niż w krajach uprzemysłowionych. Jeden obywatel kraju uprzemysłowionego obciąża środowisko i zasoby surowcowe Ziemi dziesięć do dwudziestu razy więcej niż mieszkaniec trzeciego świata. Oznaczałoby to więc, że obciążenie Ziemi, które przecież nawet teraz jest już wysokie, wzrosłoby jeszcze dziesięciokrotnie. To byłaby zapaść.*

*Innymi słowy: granice już osiągnięto. Gdyż jeśli życie, jakie prowadzimy, nie jest możliwe dla wszystkich ludzi, nie oznacza to nic innego, jak tylko, że wzięliśmy sobie większy kawałek ciasta niż nam przysługuje. Nie zauważamy nic z opisanych tutaj problemów jedynie dlatego, że udało nam się odsunąć je do odległych krajów. Włochy zużywają o wiele więcej surowców niż posiadają, a dotyczy to całej Europy. Nasz stały wzrost gospodarczy jest możliwy tylko dlatego, że wydzieramy krajom trzeciego świata ich surowce za małe pieniądze. Za to odsyłamy im nasze śmieci. I wygląda na to, że wciąż jeszcze nie jesteśmy zadowoleni. Choć zaludnienie Włoch już niemal nie rośnie, wszelkie zabiegi i poczynania skierowane są wyłącznie na dalszy gospodarczy wzrost. Wszystkiego musi być coraz więcej, musi być coraz większe i coraz bardziej kosztowne. Wydaje się rzeczą niemożliwą powiedzieć „Dość!” i zadowolić się tym, co osiągnięto. Ale do czego to ma doprowadzić, ten nieustanny gospodarczy*

wzrost, który rządowi wydaje się ważniejszy niż wszystko inne? Narzeka się, kiedy wynosi tylko dwa procent. Załóżmy, że wyniosłoby pięć procent. Marne pięć procent, policzmy, jeśli trochę uważaliśmy na matematyce. Oznacza to mianowicie podwojenie po szesnastu latach — dwa razy tak duże zużycie surowców, dwa razy większe obciążenie środowiska i tak dalej. Zbiegiem lat nawet tak mały procentowy wzrost prowadzi do bardziej gigantycznego rozdęcia, niż mogliśmy to sobie wyobrazić.

John skinął głową, doszedłszy do tego miejsca. Dokładnie w taki sposób powstał również jego bilionowy majątek, który z pełnym prawem można traktować jako gigantyczne rozdęcie.

Ale oczywiście takie procesy nie mogą trwać wiecznie. Jeśli przed dziesięciu laty jedna rodzina miała przeciętnie jeden samochód, a dziś ma przeciętnie trzy, to nie oznacza to przecież, że kiedyś każda rodzina będzie mieć sto samochodów. Wszystkie te obszary — rezerwy surowcowe, zanieczyszczenie środowiska, zdrowie, przyrost naturalny, standard życia, klimat i tak dalej — są ze sobą na wiele sposobów wzajemnie powiązane. Zmiany na jednym z nich mają wpływ również na inne obszary. W tak skomplikowanych systemach może na skutek długotrwałego obciążenia dojść do nagłej zapaści, gdyż kiedy w jednym obszarze coś się załamie, spowoduje to załamanie również na innych obszarach, rodzaj efektu domina. Na mniejszą skalę zdarzyło się to w jeziorach Europy Północnej, które przez długi czas pozornie bez szkód znosiły odprowadzanie zanieczyszczeń, by nagle „się przekręcić”, dziś są martwymi zbiornikami wodnymi bez roślin i ryb. Coś podobnego mogłoby przytrafić się wielkiemu ekosystemowi Ziemi i może za sześćdziesiąt pięć milionów lat inteligentne owady będą dziwić się, dlaczego wymarliśmy równie nagle, jak przed nami dinozaury.

*Mamy mnóstwo problemów naraz i na pierwszy rzut oka wygląda to dla nas dość beznadziejnie. Jednak wykazę, że za wszystkim tym kryje się tylko prosty błąd konstrukcyjny naszej cywilizacji, któremu jesteście sami winni — i z którym właśnie dlatego również sami możemy się uporać. Nie popełniajcie więc przedwcześnie samobójstwa, lepiej przeczytajcie następny numer „Ritiraty”.*

Nie jest to, myślał John, przeglądając jeszcze raz swoje tłumaczenie, może zbyt błyskotliwe, ale jak na szesnastolatka godne uwagi.

Zapowiedź w zakończeniu brzmiała w każdym razie brawurowo. Przygnębiające było nie mieć nawet cienia pojęcia, o czym może mówić druga część artykułu.

# 17

Tymczasem stało się to rytuałem. Akurat, kiedy chciał kłaść się do łóżka, zadzwonił telefon w sypialni. Dzwoniący jak zwykle chciał wiedzieć, jak daleko John posunął się w swoich rozważaniach.

— Myślę, że problemem jest uprzemysłowienie samo w sobie — podsumował John, rozsiadając się wygodnie na małej sofie ustawionej przed oknem sypialni tak, by mieć z niej piękny widok na szeroką, ciemną, opustoszałą plażę i iskrzące się srebrem przybrzeżne fale. Przyjemnie było mówić tak w ciemność i mieć na drugim końcu kogoś, kto uważnie słucha. W ten sposób pojawiały się zupełnie nowe myśli. Było to trochę jak dawniej, kiedy chodził do spowiedzi. Albo jakby leżał u terapeuty na kanapie — w każdym razie tak to sobie wyobrażał. Był u terapeuty tylko raz w życiu, jako dziecko, gdyż jego matka obawiała się, że ma za dużo fantazji i jest marzycielem, ale ten kazał mu tylko bawić się małymi laleczkami i wymyślać o nich historie. Potem terapeuta powiedział do matki, że jej syn niewątpliwie jest marzycielem, ale nie ma z tego powodu jakoś niezwykle dużo fantazji.

— Uprzemysłowienie? Acha. A co chce pan w związku z tym poglądem *zrobić*?

— Musimy znaleźć drogę powrotu. Powrotu do natury, nawet jeśli ten plan nie jest oryginalny.

Dudniący śmiech zabrzmiał niemal pogardliwie.

— Przede wszystkim ten plan jest zabójczy, panie Fontanelli, musi pan być tego świadom. To właśnie przemysłowa cywilizacja utrzymuje przy życiu tak wielką liczbę ludzi, przynajmniej jako tako. Jeśli zabierze pan nawozy i rośliny hodowlane i zredukuje

ilość dostępnej energii, to wyląduje pan między górami zwłok.

— Oczywiście nie z dnia na dzień. Mam na myśli raczej stopniowe przejście, z rozwojem upraw biologicznych, wykorzystaniem energii słonecznej, całą tą alternatywną paletą.

— Można palić papierosy z upraw dynamicznych biologicznie, ale to są wciąż tylko papierosy. Ale można też naprawdę odzwyczaić się od palenia. A to już trudne. Nie może pan zapominać, że bez technicznych środków pomocniczych ta planeta dysponuje przestrzenią życiową dla co najwyżej pięciuset milionów ludzi. Nim nie zejdzie pan znów do tej liczby, nie może pan zrezygnować z techniki i przemysłu. John westchnął.

— No dobrze. Nie mam planu. Ale pan ma, tak przynajmniej pan twierdzi.

— Tak. Wiem, co trzeba zrobić.

— Więc proszę mi powiedzieć.

— Chętnie to zrobię, ale to niemożliwe przez telefon. — Zabrzmiało to, jakby się uśmiechnął.

Co to miał być za plan? Przecież on blefuje, całkiem jak Lorenzo. Nie ma takiego planu. Nie ma nic, co można by zrobić.

— Musimy się spotkać — powiedział nieznajomy. — Tak szybko, jak to możliwe.

— Zastanowię się nad tym — odpowiedział John i odłożył słuchawkę.

Czuł się niespokojnie, zamknięty w złotej klatce, zdawało mu się, że majątek przytłacza go jak monstrualny niewidzialny ciężar. Bilion dolarów. Niewyobrażalnie dużo pieniędzy. Tysiąc miliardów. Milion milionów. Taka masa pieniędzy, skoncentrowana dla jedyne go skutecznego celu, użyta dla dobrze przemyślanego planu — to zdawało się być zamiarem, który

mógłby przestawić koła historii na inne tory.

Ale w takim razie, jaki punkt jest tym najbardziej skutecznym? Czy w ogóle istnieje taki punkt — a może jest już za późno, by jeszcze cokolwiek zmienić w biegu rzeczy?

Bez spoczynku biegał po domu, próbował zrelaksować się w jacuzzi i zaraz z niego wyskakiwał, ledwie tylko woda się nagrzała, stał na tarasie, spoglądał na morze, nic nie widząc.

W momentach największego zwątpienia mówił sobie, że przynajmniej jemu nic się nie stanie. Z tymi wszystkimi pieniędzmi może ustrzec siebie i swoich bliskich. Będzie miał czystą wodę, nawet gdyby wokół rozgorzała wojna. Może kupić czysty kawałek ziemi i bronić go aż do ostatniej chwili. Może kazać zbudować bunkier, jeśli będzie trzeba. W każdej chwili będzie miał najlepszą medyczną opiekę, jaka tylko istnieje. Może kupować, zatrudniać, przekupywać, obojętnie, co się stanie.

W jednej z takich mrocznych chwil zrozumiał nagle, co miało na myśli proroctwo. *Ludzie utracili swoją przyszłość*. Chodziło o to uczucie: to trwożliwe przeczucie, że od teraz wszystko będzie już tylko gorsze i gorsze, aż w końcu całkiem się skończy. To odwracanie wzroku ku romantycznie przekształconej przeszłości albo narkotycznie ruchliwej terażniejszości tylko po to, aby nie myśleć o przyszłości; przyszłości będącej niewymownie wielką czarną dziurą, ku której ludzie nieuchronnie zmiernają.

Ludzie utracili swoją przyszłość. Kiedyś, jakoś, gdzieś im się zawieruszyła. Utracili swoją wiarę w przyszłość, a czy nie powiada się, że wiara przenosi góry? Możliwe, że również pozwala ginąć cywilizacjom.

Tylko gromadzić. Przede wszystkim dla siebie. Jak długo się jeszcze da. Obojętnie, co będzie potem, bo potem przecież już nic nie będzie. Wyciągnąć jeszcze tyle, ile się da, żyć tak dobrze, jak

to możliwe, nim wszystko pójdzie pod wodę. Czy to nie właśnie ten nastrój leżał u podstaw wszystkiego, co się zdarzyło? Kiedy ktoś zaczynał mówić o tym, co będzie w roku 2100 — wyśmiewano go czy nie? Wiare, że w roku 2100 jeszcze w ogóle coś będzie oprócz czarnego jak sadza nieba, cuchnących zbiorników wodnych i może jeszcze paru karaluchów, które przetrwają wszystko, nawet radioaktywne opady po bombach atomowych, uważano za oznakę najwyższej naiwności...

Gdzieś na trasie swoich nieustannych wędrówek po domu John znalazł butelkę, którą wziął ze sobą do salonu; butelkę starego, mocnego portweinu, z pewnością bezwstydnie kosztowną, którą z nabożeństwem opróżnił, kieliszek po kieliszku, podczas gdy nad nim zachodziło słońce. To wreszcie spowolniło karuzelę jego myśli.

Wśród książek dostarczanych całymi skrzyniami John trafił na jedną na temat przeludnienia, napisaną, gdy miał pięć lat. Marvin musiał ją wygrzebać w jakimś antykwariacie. Nie mógł go o to zapytać, gdyż jego sekretarz do wszystkiego i niczego błyszczał swą nieobecnością, podobnie jak obiecane biblioteczne regały.

Przekartkował książkę, przejrzał liczne wykresy i wzory, poczytał trochę tu i tam. Nie zrozumiał z niej wiele, tyle tylko, że autor, najwyraźniej poważany ekspert, stawiał pod znakiem zapytania mniej więcej wszystko, co powszechnie uważano za wiadome na temat wzrostu zaludnienia. Czym, pytał się, jest właściwie *przeludnienie!* Dlaczego uważa się Kalkutę za przeludnioną, a na przykład Paryż nie? Bangladesz jest zaludniony tak samo gęsto jak Malta — ale przecież sama gęstość zaludnienia nie uprawnia jeszcze nikogo do tego, by jakiś kraj określić jako przeludniony. Czy nie nazywa się wreszcie



przeludnieniem tego, co w rzeczywistości jest zwykłą nędzą? Gdyby ludzie w krajach rozwijających się nie byli tak przerażająco biedni, mogliby zapłacić wyższe ceny za żywność i wówczas wzrost produkcji — zakładając inwestycje w maszyny i tym podobne — byłby opłacalny.

Mówienie o problemie przeludnienia świata jest, według autora, niedopuszczalnym uogólnieniem. W rzeczywistości wiadano już, że liczba ludności na świecie ustali się kiedyś na mniej więcej równym poziomie, prawdopodobnie między dwanaście a piętnaście miliardów dusz i nie wyklucza się też, że później znów spadnie — podobne procesy obserwowano już lokalnie w przeszłości. To, co uważane jest za przeludnienie, należałoby raczej rozpatrywać w kategorii biedy, a dokładniej mówiąc zubożenia. Nędza jest symptomem ciężkiego kryzysu systemów gospodarczych i społecznych. Dlatego doszukiwanie się wyścigu między bocianem i pługiem, jak to postulował już w dziewiętnastym stuleciu Robert Malthus, jest błędne i ogłupiające i doprowadziło w konsekwencji w Trzeciej Rzeszy do powstania ideologii ludu bez ziemi.

John obracał książką wte i wewte, studiował tekst na okładce i biografię autora. Czy próbuje on upiększać sytuację, czy też jest to głos rozsądku w morzu hysterii? Gdyby tylko nie miał dzisiejszego ranka tak ciężkiej głowy. Albo, lepiej powiedziawszy, gdyby nie miał tak *głupiej* głowy! Miał uczucie, że stracił połowę swojego mózgu, ale gdziekolwiek nie zaczynał czytać tekstu, zawsze trafiał na ton chłodnej, rzeczowej analizy. Ton budzący zaufanie. Może więc to wszystko jednak nie jest aż tak dramatyczne?

Zupełnie już nic nie rozumiał.

*Dziedzic przywróci kiedyś ludziom przyszłość, którą utracili.*

Co właściwie jest jeszcze w testamencie? Nigdy dokładnie go nie przeczytał, bo nie zna łaciny. Nie wpadł na pomysł, by poprosić kogoś o pomoc.

Jednak potrzebuje pomocy. Ta sprawa jest za wielka, by mógł jej podołać sam. W kinie zawsze podziwiał opanowanych, super-inteligentnych supermanów, Tomów Cruisów i Arnoldów Schwarzeneggerów, którzy brali na barki ciężar całego świata i zawsze dokładnie wiedzieli, jak sobie poradzić, a na koniec nieodmiennie okazywało się, że racja była po ich stronie i zawsze wygrywali. Jeśli w prawdziwym życiu istnieją takie postacie, on w każdym razie do nich nie należy.

Zadzwoił do Eduarda. Poprosił, by pojechał razem z nim do Florencji do archiwum i pomógł mu odczytać testament, słowo po słowie. I wszystko, cokolwiek pozostało ze spuścizny po Giacomo Fontanellim.

— A potem chciałbym, żebyśmy albo poszli razem coś zjeść, albo się razem upili, albo dali sobie po pysku.

Wyglądało na to, że udało mu się przynajmniej wywołać uśmiech Eduarda. Od historii z Capannori niemal się nie pokazywał. Może da się to jeszcze naprawić.

— Dlaczego właściwie nagle cały świat interesuje się archiwum? — zapytał Eduardo. — Czy coś przegapiłem? Czy dziś jest międzynarodowy dzień starych papierów albo coś w tym rodzaju?

John zapytał, o co mu chodzi.

— Dziadek jest tam dzisiaj ze studentką historii z Niemiec, która interesuje się prorocstwem Fontanellego. Nic ci nie powiedział?

— Nie — odpowiedział poirytowany John. — Skąd ona w ogóle wie, że istnieje to prorocstwo?

— Dobre pytanie, prawda? — stwierdził Eduardo.

— Nie wiem, co takiego wspaniałego jest w tych papierzyskach, naprawdę — przyznał Eduardo w drodze do Florencji. — Zakurzone stare papiery, nic ponadto. W niektóre dni okropnie mnie denerwuje, że pozwalamy, by decydowały i krępowały nas jakieś słowa, które napisał ktoś pięćset lat temu — jakim prawem oczekiwał, że będziemy ich słuchać?

— Nie mam pojęcia — powiedział John. — Jednak nie zabrzmiałeś teraz jak Vacchi.

Była to pierwsza jazda opancerzonym mercedesem, którego zamówił, ulegając usilnym namowom Marca. Trzeba było odbyć specjalny kurs, by prowadzić taki pojazd, dlatego za kierownicą siedział Marco. Wszystko pachniało jeszcze nowością, skórą i mnóstwem pieniędzy. I jakoś zdawało się, że w ciągu nocy naprawiono wszystkie wyboje i dziury na wąskich drogach do Florencji.

— Jestem przecież ostatnim strażnikiem majątku Fontanellego — przepowiedział ponuro Eduardo. — Wypełniliśmy nasze zadanie. Po mnie rodzina Vacchich będzie nareszcie wolna. — Zerknął przez okno. — I prawdopodobnie wymrze.

We Florencji jak zwykle roiło się od turystów. Na ulicach tylko z wielkim trudem udawało im się posuwać naprzód. Kiedy samochód utknął, przechodnie zaciekawieni podglądali przez przyciemniane szyby i John nagle zrozumiał, po co potrzebne są zasłony na tylnych oknach.

Na szczęście kancelaria leżała w uliczce, która uchodziła za nieinteresującą architektonicznie ani historycznie i dlatego była względnie spokojna. John przyzwyczał się już do procedury wysiadania. Marco zatrzymał się bezpośrednio przed wejściem, mimo wyraźnego absolutnego zakazu postoj, wysiadł z ręką w

kieszeni marynarki, rozejrzał na wszystkie strony, po czym otworzył tylne drzwi wozu. Dopiero kiedy bezpiecznie weszli do budynku, wsiadł z powrotem, by pojechać dalej. Zaparkuje w pobliżu i poczeka, aż po niego zadzwonią.

W pomieszczeniach starego domu nadal unosił się chłodny i czcigodny zapach, ale dało się słyszeć bardzo ciche głosy, niemal poniżej progu słyszalności. A więc *Padrone* i ta studentka już tu są.

Weszli na pierwsze piętro. Drzwi były półotwarte, światło zaświecone. Głosy były wyraźniejsze. Przede wszystkim jeden głos, kobiecy.

Dźwięk tego głosu wywołał w Johnie osobliwy niepokój, którego nie potrafił wytłumaczyć. Czyżby już go kiedyś słyszał? Nie, to nie to. Może czuł się dotknięty, że Cristoforo Vacchi pozwolił komuś wejść do tych pomieszczeń, do tych dokumentów, nie pytając go ani nawet nie informując.

Tych dwoje nie usłyszało ich wejścia. Siedzieli w tylnym pokoju, pochyleni w skupieniu nad gablotą z testamentem. *Padrone* i młoda kobieta o długich, jasnych włosach, ułożyła przy sobie notes, ołówek i mały słownik i powtarzała półgłosem tłumaczenie, które notowała.

— A zdarzyło się w nocy na 23 kwietnia roku 1495, że śniłem, że przemówił do mnie Bóg...

Niniejszym ja, Giacomo Fontanelli, urodzony w Roku Pańskim 1480 we Florencji oświadczam, że to jest moja ostatnia wola i moja dyspozycja moim majątkiem. Ogłaszam ją i spisuję w obecności świadków, którzy poświadczą to na tym dokumencie. Ogłaszam ją, choć dziś w chwili spisywania jestem w pełni sił i, o ile człowiek jest zdolny to zmierzyć, daleki jeszcze od progu śmierci. Ponadto oświadczam także, że po rozdysponowaniu

mojego majątku i moich pozostałych światowych dóbr wycofam się i poświęcę służbie Bogu, naszemu Panu, jak było mi przeznaczone już od długiego czasu. Z całą pokorą oświadczam to wszystko.

Zostało mi to przeznaczone we śnie, który śniłem jako chłopiec i który był tak jasny i wyraźny, jak nie śniłem nigdy przedtem, ani nigdy potem. A zdarzyło się w nocy na 23 kwietnia roku 1495, że śniłem, iż przemówił do mnie Bóg. Z całą pokorą powiadam to, gdyż naprawdę czułem się, jakby Bóg dopuścił mnie do malutkiej części swej wszechwiedzy i to było zaprawdę cudowne, doświadczyć tego. Widziałem samego siebie leżącego na łóżku, w komorze służbowego domku, w którym mieszkałem z moją matką, a choć działo się to we śnie, przecież każdy szczegół był dokładnie taki sam jak na jawie, a jednak wiedziałem, że śnię. Widziałem teraz wyżej i szerzej i widziałem kraj i miasto Florencję, i widziałem nie tylko odległości, które zwykle pozostają ukryte dla ludzkiego oka, ale byłem zdolny przejrzeć również przeszłość i przyszłość. Widziałem, że Boża Łaska w przeorze Savonaroli skończy się i że będzie płonął przed ratuszem i zląkłem się bardzo, gdyż byłem jeszcze chłopcem w piętnastym roku i starałem się wieść pobożne, podobające się Bogu życie. Równocześnie jednak pozostałem w tym śnie spokojny, niejako ogarnięty wzniosłym spokojem ducha i nietknięty sprawami świata i w ten sposób byłem zdolny otwartymi oczyma chłonąć to, co widzę, zaś moje spojrzenie sięgało coraz dalej w przyszłość. Widziałem wojny i bitwy, klęski głodu i zarazy, męczyzn wielkiego formatu i tchórzliwą zdradę i widziałem takie mnóstwo twarzy, że na innym miejscu spisałem je, by służyły bliźnim za drogowskaz.

Aż w końcu sięgnąłem wzrokiem w czas, o którym wiedziałem,

że leży oddalony o pięćset lat w przyszłość i na progu następnego tysiąclecia, a ujrzałem świat, który był niewyobrażalnie luksusowy, lecz równocześnie budził wstręt i przerażenie. Zobaczyłem miliony ludzi żyjących tak wystawnie, jak Medici i najrozmaitszymi sprzętami czyniących rzeczy, które w moim śnie wszystkie rozumiałem, których dziś jednak nie jestem w stanie już opisać, tyle tylko, że nam zdawałyby się czarami, nie były nimi jednak, przeciwnie, już dzieci uczyły się ich używać. Lecz nie było rajem to, co widziałem, bowiem jednocześnie widziałem wojny, w których ludzie maszerowali przez kraj niby mrówki i pustoszyli, cokolwiek napotkali, na wroga miotane było nawet samo słońce i wszystko zamierało w bezruchu ze strachu przed tą mocą i obawiano się, że może wybuchnąć wojna, która zniszczy samą ziemię, tak potężni stali się ludzie. Odwrócili się od Boga i w jego miejsce czcili mamonę, lecz żyli przez to w dotkliwej nędzy i pożałowania godnej trwodze i żaden z nich nie widział już przyszłości. Wielu wierzyło w powrót potopu i że ród człowieczy tym razem ostatecznie zginie i wielu z nich przeżywało swoje życie pod ciężarem tego oczekiwania. Poznałem jednak, że Bóg nieodłącznie kocha ludzi, nie zważając na ich czyny ani wiarę, ani na to, czy się od niego odwrócili, czy nie i że to nie Bóg jest tym, kto karze ludzi, lecz aż nadto karzą się sami, odwracając się od miłości i szukając zbawienia w sprawach świata. Tak jasno i wyraźnie widziałem to, że pragnąłbym teraz zdatniej używać słów, niż to robię i być w stanie sprawić moim opowiadaniem, byście i wy mieli udział w tej cudownej pewności, tylko, że tego nie potrafię. Zobaczyłem potem, jak przed moimi oczyma rozwija się moje życie i poznałem, co Bóg ze mną zamierza. Zobaczyłem, jak opuszczam klasztor i idę na naukę do kupca, który mnie wspiera i dobrze kształci i czyni

mnie swoim współnikiem. Zobaczyłem siebie, że jak jako handlarz i kupiec jadę do Wenecji i Rzymu, zobaczyłem zyskowne interesy, jak i te, których na swoje szczęście unikałem i zobaczyłem, jak osiągam dostatek i bogactwo. Zobaczyłem w tym śnie nawet kobietę, która była mi przeznaczona i zobaczyłem to tak, jak się później rzeczywiście potoczyło. Widziałem, że będę miał sześciu synów i że będę prowadził szczęśliwe życie i że będą mi zazdrościć, ale zobaczyłem również ten smutny moment, którego nie zapomniałem przez wszystkie te lata, że muszę zanieść moją ukochaną żonę do grobu, a jako, że to się teraz stało, wiem, że nadeszła chwila, by wypełnić to, com ujrzał. Czynię to teraz w tym piśmie.

Cały mój majątek przekazuję w opiekę Michelangelo Vacchi, by go strzegł i powiększał przez użyczanie i pobieranie odsetek, lecz nie przeznaczam go mu na własność, lecz po to, by ustrzeżony i powiększony przekazany został temu, który w roku 1995 w dniu nazwanym 23 kwietnia będzie najmłodszym żyjącym męskim potomkiem mojego rodu, gdyż ten jest wyznaczony, by przywrócić ludzkości utraconą przyszłość, a dokona tego z pomocą tego majątku. Jako że sam urodzony zostałem z nieprawego łoża, postanawiam, by również nieślubne dzieci zaliczane do moich potomków na równi z tymi zrodzonymi w małżeństwie, nie mają być brane tylko dzieci przysposobione. W moim śnie zobaczyłem też, że Michelangelo Vacchi, choć dziś on sam w to nie wierzy, będzie miał dzieci i że jego linia nie wygaśnie przez pięćset lat, lecz będzie wypełniać swoją powinność. Jego rodzina może zatrzymać tysiączną część dziesięciny majątku i wszystkie moje pisma. Ten dokument jednak i opisany w nim zamiar musi pozostać tajemnicą aż do wyznaczonego dnia.

-...pozostać tajemnicą do wyznaczonego dnia. — Ursula Valen zakończyła tłumaczenie testamentu. — Podyktowany w roku pańskim 1525. Podpis Fontanellego i świadków. — Podniosła wzrok w łagodnie uśmiechniętą twarz stojącego obok starego mężczyzny. — To po prostu nie do wiary!

A było to jeszcze ostrożnie powiedziane. Całe archiwum z punktu widzenia historyka było sensacją. Archiwum, od pięciuset lat troskliwie doglądane i utrzymane po to, by w dzisiejszych czasach je otworzyć i zbadać! To tak, jakby pokolenia inteligentnych, sumiennych ludzi prowadziły przez pięćset lat prace przygotowawcze dla badań dzisiejszych historyków.

Nawet same księgi bankowe były kopalnią informacji o starych walutach, o okresach ich obowiązywania i sile nabywczej. Widziała w nich notatki, w których jeden z Vacchich opisuje rozwój ówczesnej polityki na świecie, by uzasadnić, dlaczego postanowił przesunąć część majątku z jednego regionu do innego. Prowadzony przez pięćset lat dziennik polityki finansowej i gospodarczej Europy i świata — to właśnie kryło się w tych oprawnych w skórę, ponumerowanych tomach.

To było znacznie więcej materiału, niż potrzebowała dla swojej pracy magisterskiej. Ze wszystkich sił postara się napisać tutaj dysertację. Przynajmniej. To było znalezisko, któremu naukowiec mógł poświęcić całe życie.

No tak, i jest jeszcze przecież ten artykuł do *Sterna*...

— Myśli pani, że to się na coś nada? — zapytał Cristoforo Vacchi.

Ursula roześmiała się bezradnie.

— Jeszcze pan pyta? Jestem... jak to powiedzieć? To nie do pojęcia! Absolutnie fascynujące. Czy to się na coś nada? Co za



pytanie! Gdybym nie umiała tego wykorzystać, to znaczyłoby, że wybrałam zły zawód.

Nawet eksplozja nie zdołałaby jej przestraszyć bardziej, niż raptowne suche chrząknięcie za plecami.

— Czy wolno spytać, co pani zamierza z tym począć? — spytał niecierpliwy głos.

John miał dziwaczne, nieracjonalne uczucie, że ta kobieta chce zdobyć jego pieniądze. Była szczupła i atrakcyjna, włosy stanowiły ramę dla nie rzucającej się w oczy gładkiej twarzy o wielkich oczach, ciemnych jak onyks. Na pierwszy rzut oka cichy, ciemny anioł, a przecież było w niej coś, co sprawiało, że drżał, co wywoływało w nim strach, bezimienny, nieunikniony strach.

Położyła dłoń na piersi, szczupłą, delikatną dłoń, a jej piersi unosiły się i opadały szybko, podniecające kształty, przez bluzkę widać było brodawki. Przestraszył ją, to było jasne.

Wyrwało jej się jakieś zdanie, po niemiecku, prawdopodobnie okrzyk przerażenia, potem pozbierała się i odpowiedziała w jako tako płynnym angielskim:

— Opracuję to naukowo, to znaczy, że będę pisała rozprawy dla historycznych czasopism specjalistycznych, może nawet książkę. I jeszcze napiszę artykuł dla niemieckiego magazynu ilustrowanego. Miło mi pana poznać, panie Fontanelli. Jednak wolałabym, żeby w przyszłości pan pukał.

Dlaczego ta kobieta tak go irytuje?

— Artykuł? Jaki artykuł?

— O historycznym tle powstania pańskiego majątku — odpowiedziała z chłodną stanowczością. — Pominąwszy prymitywne wyjaśnienia o odsetkach i odsetkach składanych, media nie podały na ten temat jeszcze nic wspartego dokumentacją.

— Nie sędę, żeby mi się to podobało.

— Dlaczego? Ma pan coś do ukrycia?

John poczuł impuls wściekłości, który z trudem stłumił. Odwrócił się do *Padrone*, którego jego niespodziewane pojawienie się, zdaje się, tylko trochę zmieszało.

— Dlaczego nic mi pan nie powiedział?

Cristoforo Vacchi zmarszczył czoło.

— Och, wcześniej czy później oczywiście przedstawiłbym państwa sobie. Signora Valen, to jest John Fontanelli, dziedzic, o którym mowa jest w testamencie, a to mój wnuk Eduardo. John, mam przyjemność przedstawić panu pannę Ursulę Valen, studentkę historii z Niemiec i przy okazji dziennikarkę.

John skinął głową tak nieznacznie, jak tylko możliwe.

— Uważa pan za wskazane, by dziennikarce umożliwić dostęp do tych dokumentów?

— Tak — powiedział *Padrone*. — Uważam to za wskazane.

— Czy ja nie mam tu nic do powiedzenia?

— Przykro mi, John, ale nie. Archiwum jest naszą własnością, własnością rodziny Vacchich. I naszą zasługą. To całkiem naturalne, że zabiegamy tu o uznanie.

Co za arogancki chłystek. Ursula Valen przyglądała się Fontanellemu. Najwyraźniej uważa się za kogoś specjalnego. Jasne, jest wybrańcem, narzędziem Boga, niby-mesjaszem. Opalony lekko na brązowo, szczupły, prawie chudy, ubrany równie drogo co elegancko. Ale twarz tuzinkowa. Gdyby nie to wszystko, nikt nie odwróciłby się za nim na ulicy. Seksapil, którym promieniuje, to z pewnością seksapil pieniędzy.

Oto w drzwiach stoi bilion dolarów. Co za szaleństwo! Na przykładzie tej historii można jeszcze raz się przekonać, do jakich niesamowitych wyczynów zdolni są ludzie zachęteni jakąś

wizją, prorocstwem, bezwarunkową wiarą — i jak żałośnie mało są warte prorocstwa, nawet, gdy pochodzą z zesłanego przez Boga snu.

Ale stary prawnik zdawał się być po jej stronie. Własność dokumentów również jest jasna. Nie pozwoli sobie tego zabrać, a już na pewno nie temu sfrustrowanemu parweniuszowi o złych manierach. Nigdy już nie pozwoli sobie niczego zabrać. Dorosła w realnie istniejącym socjalizmie, jako wnuczka zadeklarowanego nazisty, co wykluczyło ją z życia towarzyskiego, podobnie jak z uczestnictwa w FDJ oraz z prawa uczęszczania na uniwersytet, i zamknęło w dziwnym, rodzinnym areszcie. Później jednak państwo, które chciało jej zabronić studiowania historii, przestało istnieć i mogła, choć z opóźnieniem, podjąć studia. Nie, ona nie dałaby się zastraszyć.

W czwartek następnego tygodnia *Stern* w Niemczech ukazał się z artykułem Ursuli Valen jako materiałem wiodącym i uzyskał drugi co do wielkości nakład w swojej historii. Następnego dnia artykuł przedrukowano praktycznie we wszystkich liczących się gazetach na całym świecie i jeszcze wiele miesięcy później na konto Ursuli Valen wpływały tantiemy, wśród nich płatności w tak niezwykłych walutach jak tajlandzki *baht* albo wietnamski *dong* i z tak egzotycznych krajów jak Nauru albo Burkina Faso. Same prawa autorskie do fotografii testamentu przyniosły tak dużo pieniędzy, że mogła z nich spłacić swój kredyt na studia.

Noc była ciemniejsza niż zwykle, otuliła go jak czarna nieprzenikliwa chusta. Żadnych gwiazd, nawet księżyca, a szum fal przypominał ochrypy oddech postrzelonego olbrzyma.

— Musi pan teraz działać — oznajmił niewyraźny głos ze

słuchawki telefonicznej. — Nie może pan dłużej czekać i mieć nadzieję, że boska wskazówka wskaże panu drogę.

John spojrział na gazetę, która wyczytana i postrzępiona leżała na jego kolanach. *Corriere della Sera* przedrukowało artykuł *Sterna*, w którym wychwalano zasługę Vacchich w utrzymaniu i powiększeniu majątku. On, dziedzic, przedstawiany był w nim jako głupkowaty, ignorancki nieudacznik, bez żadnego planu, zadufany w sobie i nie wart trudu, jaki zmarnowały na niego pokolenia inteligentnych, pełnych wiary i zapału Vacchich.

— Potrzebuje pan pomocy — nalegał nieznajomy. — I nikt poza mną nie może jej panu udzielić, proszę mi wierzyć. Nadszedł czas, żebyśmy się spotkali.

— Zatem dobrze — powiedział John. — Wygrał pan. Proszę powiedzieć, gdzie i jak?

— Proszę przyjechać do Londynu. Ale proszę dyskretnie. Zwykłym lotem liniowym. Pan sam.

John wydał dźwięk, który zabrzmiał na poły jak westchnienia, a na poły jak śmiech.

— Sam? Jak pan sobie to wyobraża? Nie znam pana. Może jest pan poszukiwanym seryjnym mordercą albo wyrafinowanym porywaczem.

— Pańscy ochroniarze mogą panu oczywiście towarzyszyć. Chciałem powiedzieć, że nie dam się panu rozpoznać w Londynie, jeśli będzie przy panu ktoś z rodziny Vacchich albo jeśli cokolwiek na ten temat przeniknie do prasy.

— Zgoda — powiedział John. Czy to mądre? Dowie się dopiero po wszystkim. Ale co też takiego ryzykuje? Lot samolotem, stracony dzień. Dopóki się nie dowie, co ma robić dalej, i tak każdy dzień będzie dniem straconym.

— Dobrze. Proszę wziąć coś do pisania, powiem panu godzinę i

numer lotu, którym ma pan przylecieć.

Następnego ranka John i Marco polecieeli razem z Florencji do Rzymu, a stamtąd do Londynu.

# 18

Kiedy wysiedli na londyńskim Heathrow, dwóch pasażerów w tłumie podróżnych, biznesmeni w podróży, z cienkimi, skórzanymi walizeczkami w dłoni, John poczuł, że jest podenerwowany. Zdjął okulary ze zwykłego szkła, które Marco pożyczył mu ze swojej kolekcji, i wsunął je do kieszonki na piersiach. Jadąc niekończącymi się ruchomymi chodnikami wypatrywał wśród tłumu twarzy, które by się za kimś rozglądały, ale to było lotnisko i rozglądało się wielu ludzi.

Mężczyzna, który w końcu niespodziewanie stanął przed nimi, wyciągnął dłoń i znajomym głosem odezwał się:

— Pan Fontanelli? — Był o pół głowy wyższy od niego, na oko pięćdziesięcioletni, miał gęste, ciemne włosy i brwi oraz posturę boksera. — Nazywam się McCaine — powiedział. — Malcolm McCaine.

Uścisnęli dłonie i John przedstawił Marca.

— Mój ochroniarz, Marco Benetti.

McCaine wydawał się nieco zaskoczony, że podano mu nazwisko ochroniarza, ale uścisnął również dłoń Marca.

— Proszę iść za mną, mam samochód. Porozmawiamy w moim biurze.

Ruszył do przodu tak szybko, że John ledwie mógł za nim nadążyć bez podbiegania, a większość ludzi instynktownie usuwała się na bok, widząc trzech mężczyzn idących tak pośpiesznie. Przed głównym wejściem, na absolutnym zakazie zatrzymywania, stał jaguar. McCaine otworzył, wyciągnął zza wycieraczki mandat, zgniótł go w kulkę i rzucił niedbale na ziemię.

Prowadził sam. John przyglądał mu się dyskretnie, taką miał

nadzieję. McCainie ubrany był w drogi garnitur z *Savile Row* i w szyte na miarę buty, mimo to robił wrażenie ubranego niedbale, prawie niechlujnie. Tak, jakby tylko trzymał się pewnych zasad ubierania, jednak w rzeczywistości wcale się nimi nie przejmował. Krawat zawiązany byle jak, a koszulę miał pomiętą, gdyż za daleko wysunęła się ze spodni, tylko buty błyszczały jak nowe.

— Kilka informacji na początek — powiedział McCainie, z oczami wbitymi sztywno, niemal wojowniczo, w potok pojazdów. Wykorzystywał każdą sposobność, by zmieniać pas jazdy i posuwać się naprzód choć odrobinę szybciej. — Moje biuro jest w City. Mam tu firmę inwestycyjną. *Earnestine Investments Limited*. Earnestine to drugie imię mojej matki, chciałbym nadmienić. Nie mam zbyt wiele wyobraźni, jeżeli chodzi o nazwy moich firm; nazywam je zawsze imionami członków mojej rodziny. Wartość naszego kapitału wynosi już okrągłe pięćset milionów funtów, co nie stanowi wiele w porównaniu z największymi, ale dość, by móc poważnie grać w tym interesie.

John poczuł, jak wydłuża mu się twarz. Więc to wszystko? Po prostu jeszcze jeden finansowy cwaniak. Jedyna różnica polega na tym, że potrafił w wyrafinowany sposób wzbudzić jego zainteresowanie. Zapadł głębiej w fotelu i w myślach spisał ten dzień na straty. Odpowie „nie” na wszystko, co ten McCainie mu zaproponuje, wszystko jedno, czy będzie chodziło o kontrakty zbożowe, wieprzowinę, czy papiery wartościowe, i tak szybko jak to będzie możliwe, a potem odleci z powrotem. A w domu każe zmienić numer telefonu.

Obok nich przemykały wieżowce, połyskliwe fasady, dostojne mury. Ledwie to zauważał. Wreszcie zanurkowali do jasnego, przestronnego, podziemnego garażu i tam stanęli na

zarezerwowanym miejscu parkingowym, kilka kroków od windy, która wyniosła ich na podniebne, jak się wydawało, wysokości. Kiedy migocące drzwi rozsunęły się na boki, roztoczył się widok na obszerne, jasne biuro, w którym tłoczyły się długie szeregi pulpitów, zastawionych telefonami i monitorami komputerowymi. Siedzieli przed nimi mężczyźni i kobiety wszystkich kolorów skóry, rozmawiali równocześnie przez kilka słuchawek w jaskrawych barwach i nawet na sekundę nie spuszczaali skupionego wzroku z ekranów i wyskakujących na nich liczb i wykresów.

— Zajmujemy się głównie akcjami — wyjaśnił McCaine, wskazując im drogę między rzędami stołów i przez gmatwaninę głosów. — Kilku moich ludzi uczestniczy wprawdzie również w handlu dewizami, ale w zasadzie nie mamy dostatecznej siły finansowej, by na tym interesie naprawdę zarabiać. Robimy to bardziej po to, by nie wyjść z formy.

John uśmiechnął się kwaśno. A więc stąd wieje wiatr. Handel dewizami. Już wiedział, co to znaczy; z dużym rozmachem kupować albo sprzedawać walutę danego kraju i zarabiać na drobniotkich wahnięciach kursu dewiz w ciągu dnia. By na tym zarobić dużo pieniędzy, trzeba było inwestować cholernie dużo pieniędzy. Setki milionów na transakcję albo więcej.

Nietrudno zgadnąć, jaką propozycję zrobi mu McCaine.

Dotarli do biura McCaina, pomieszczenia oddzielonego szklaną ścianą od pokoju brokerów, dużego prawie jak połowa tamtej sali. Roztaczał się z niego imponujący widok na miasto. Na podłodze leżał nieco zdeptyany perski dywan, potężne biurko i ogromny skórzany fotel robiły wrażenie drogich, lecz pozbawionych smaku, i ani umeblowanie kącika do rozmów, ani regały na książki nie pasowały tu stylem.



— Proszę zająć miejsce, panie Fontanelli — zaproponował McCaine, wykonując zdecydowany ruch dłonią w kierunku kanapy. — Pan Benetti, pana chciałbym poprosić, by zaczekał pan przy sekretarce. Panna O'Neal przyniesie panu kawę i wszystko, na co ma pan ochotę.

Marco spojrział na Johna pytająco. Ten przytakująco skinął głową; ta farsa i tak długo nie potrwa. Ochroniarz nie mówiąc już ani słowa, wrócił w okolice drzwi do biura, gdzie stało biurko sekretarki i kilka, wyglądających na niewygodne, krzeseł dla gości. McCaine zamknął za nim drzwi i wszechobecna natarczywa gadanina zamilkła jak ucięta nożem. Szklana ściana musiała być dźwiękoszczelna.

— Cóż — powiedział potem i zaczął spuszczać żaluzje. — Proszę teraz zapomnieć o firmie inwestycyjnej. To tylko zabawka. Moje pole treningowe, można powiedzieć. I na pewno nie zaprosiłem pana tutaj, by proponować panu zyskowe inwestycje. Jeśli na tej planecie w ogóle jest ktoś, kto ma dość pieniędzy, to jest to przecież właśnie pan.

John spojrział na niego zaskoczony. A cóż to może znaczyć?

— Wiem o panu bardzo dużo, panie Fontanelli, jak pan niewątpliwie już zauważył. Będzie fair, kiedy opowiem panu teraz trochę o mnie i o moim życiu. — McCaine przysiadł na krawędzi swego biurka i skrzyżował ręce na piersiach. — Urodziłem się w 1946, tu w Londynie. Mój ojciec, Philip Callum McCaine był wysokim rangą oficerem w Royal Air Force, co miało skutek taki, że mając dziesięć lat mieszkałem już w czternastu różnych miastach, w ośmiu państwach, i znałem płynnie pięć języków obcych. Nie pamiętam już, do ilu szkół chodziłem w młodości, ale kiedyś je skończyłem, a ponieważ styl życia mojej rodziny — to znaczy mój i moich rodziców, gdyż nie

mam rodzeństwa — nie zrodził we mnie poczucia przynależności do żadnego określonego narodu, poczułem pociąg do wielonarodowych koncernów. Próbowałem tu i ówdzie, trafiłem do IBM i wyuczyłem się na programistę. Była to połowa lat sześćdziesiątych, kiedy jeszcze perforowano karty i posyłano sobie taśmy magnetyczne, a komputery kosztowały miliony dolarów. Zresztą do dziś nie zaniechałem zupełnie programowania; moi brokerzy — wskazał głową w kierunku ściany zasłoniętej żaluzjami — pracują częściowo na programach napisanych przeze mnie. W tym interesie jakość używanego software'u ma decydujące znaczenie. Niektóre z wielkich firm brokerskich na Wall Street, osiągające zyski w wysokości miliardów dolarów, inwestują nawet jedną trzecią z tego z powrotem w przetwarzanie danych. Ale prawdopodobnie żadna z nich nie ma szefa, który sam potrafi przyłożyć do tego rękę.

John zdziwiony przyglądał się temu mężczyźnie, robiącemu wrażenie, jakby był wprost naładowany energią. Zupełnie nie wyglądał na kogoś, kto byłby w stanie znaleźć choćby guzik do włączania komputera, nie mówiąc już o programowaniu.

— Rozumiem — powiedział sztywno, żeby cokolwiek powiedzieć.

— Dobrze, wróćmy do początku — mówił dalej McCaine, machając gwałtownie dłonią. — Dzięki moim umiejętnościom językowym mogłem pracować wszędzie, dlatego wysyłano mnie do różnych krajów Europy. Belgia, Francja, Niemcy, Hiszpania... Włączyłem się po świecie i pisałem kupieckie programy dla klientów IBM. Systemy komputerowe połączone ponad granicami państw z innymi systemami należały najczęściej do banków i wkrótce stałem się kimś w rodzaju specjalisty od ponadnarodowych projektów komputerowych. Dlatego właśnie

na mnie padł wybór, kiedy w roku 1969 pojawiło się zlecenie z Włoch, szczególne, dość trudne zlecenie. — McCaine spojrział na niego przenikliwym spojrzeniem. — Zleceniodawcą, co dość niezwykle, była kancelaria notarialna z Florencji.

Johnowi zabrakło powietrza.

— Pan...? — wyrwało mu się wbrew woli.

— Tak. Pierwotną wersję programu, dzięki któremu zarządza pan swoimi kontami, napisałem ja.

Marco kartkował nieciekawą gazetę, nie przestając jednak pilnować swego podopiecznego, obserwował go kątem oka przez płytki żaluzji, zakrywające drzwi tylko do połowy. Podniósł wzrok, kiedy John Fontanelli zerwał się, zaczął krążyć po wielkim biurze i gestykulować. Również McCaine zaczął chodzić tam i z powrotem, co i w jego przypadku wyglądało, jakby wściekły byk miotał się po arenie. Ochroniarz zadał sobie przelotnie pytanie, co też może się tam dziać. Tak czy siak, nie wyglądało na to, żeby jeden chciał się dobrać drugiemu do gardła. Rozluźnił mięśnie, które automatycznie spięły się gotowe do skoku i znów się oparł wygodniej.

— Jeszcze kawy? — spytała sekretarka, ładna, młoda kobieta o rudych, wysoko upiętych włosach i kremowo bladej cerze. Najwyraźniej jej się spodobał.

— Nie, dziękuję — uśmiechnął się. — Ale może mógłbym dostać szklanek wody?

— To zlecenie było punktem zwrotnym w moim życiu — oznajmił Malcolm McCaine. Siedzieli teraz obaj w fotelach w kąci konferencyjnym. McCaine pochylony do przodu, z łokciami opartymi o kolana. Nie odrywał oczu od Johna. —

Vacchi od początku byli bardzo tajemniczy, nie chcieli mi zdradzić, o co właściwie chodzi. Przez pewien czas podejrzewałem, że system, który mam zaprogramować, ma służyć do prania pieniędzy mafii. Ale obojętnie, co chciałby pan ukryć w jakiejś firmie, jeśli każe pan opracować dla niej system komputerowy, wszystko się wyda. Programista jest jak spowiednik, musi mu pan powiedzieć nawet to, co ukrywa pan przed urzędem finansowym albo izbą kontroli — inaczej program nie będzie działał. Musiałem przecież przetestować program i kiedy na ekranie zobaczyłem sumę 365 miliardów dolarów, nieźle wytrzeszczyłem oczy, może pan to sobie chyba wyobrazić.

— 365 miliardów? — powtórzył zdziwiony John. McCainie przytaknął.

— W ciągu nieco ponad dwudziestu pięciu lat od tamtego czasu pański majątek prawie się potroił.

John otworzył usta, ale nie przyszło mu do głowy nic, co mógłby na to odpowiedzieć, więc znów je zamknął.

— Musieli ze mną zagrać w otwarte karty — opowiadał dalej McCainie. — Do tej pory Vacchi starannie dbali o to, żeby wszystkie drzwi oprócz tych do piwnicy były zamknięte, kiedy byłem w domu. Ale powiedziałem im, że podejrzewam, iż chodzi o pieniądze mafijne albo ze sprzedaży narkotyków, więc chcąc nie chcąc musieli pokazać mi archiwum i testament Giacomo Fontanellego i wyjaśnić, o co chodzi, żebym nie poszedł na policję. — McCainie pokręcił głową. — Byłem całkowicie zafascynowany. To była najbardziej niesamowita historia, jaką słyszałem w życiu. I byłem przekonany — absolutnie przekonany — że "znalazłem w niej przeznaczenie swojego życia. Rzuciłem pracę w IBM, wróciłem z moimi niemałymi oszczędnościami do

Londynu i studiowałem — ekonomię polityczną, socjologię, ekonomikę przedsiębiorstw, wszystko równocześnie. Mieszkałem na tanim poddaszu bez ogrzewania, nosiłem latami te same spodnie i tę samą marynarkę, nigdzie nie wychodziłem, nie paliłem, nie piłem, żyłem jak mnich żebraczy — i pożerałem wiedzę, jak jej jeszcze nigdy nikt nie pożerał. Siedziałem zawsze w pierwszym rzędzie, zamęczałem wszystkich profesorów pytaniami, pisałem wszystkie egzaminy na najlepsze oceny. Kiedy miałem już dyplom, poszedłem do banku, pracowałem jako broker, nauczyłem się w praktyce wszystkiego, czego można było dowiedzieć się o akcjach, derywatach, handlu dewizami i tak dalej. Potem utworzyłem własną firmę, zainwestowałem własne i pożyczone pieniądze, spadek po ojcu, harowałem całymi nocami, aż wreszcie mogłem zatrudnić pierwszych pracowników, harowałem dalej, póki nie znaleźliśmy się nad kreską i ruszyliśmy dalej w górę. A robiąc to wszystko, przez wszystkie te lata, w dobrych i złych czasach, zawsze gorączkowo wyczekiwałem tego momentu, dzisiejszego dnia, kiedy będę siedział naprzeciw pana, dziedzica majątku Fontanellich, dziedzica biliona dolarów.

John zorientował się, że wpatruje się w tego człowieka wytrzeszczonymi oczami. Prawdopodobnie przedstawia śmieszny widok. Ale McCaine emanował taką energią, takim fizycznie wyczuwalnym zdecydowaniem, iż można by sądzić, że siedzi się naprzeciw wielkiego, wrzącego, hutniczego pieca.

— Obawiam się — powiedział powoli John — że jeszcze do końca pana dobrze nie zrozumiałem.

— Moja misja, moje życiowe zadanie — wyjaśnił McCaine, ruszając potężnymi szczękami — to wspierać pana i pomóc w wypełnieniu proroctwa Giacomo Fontanellego. Nie mniej i nie

więcej. Wszystko, co zrobiłem do tej pory — studia, budowanie tej firmy — to tylko przygotowanie do tego zadania, ledwie trening, ćwiczenie, boksowanie z workiem treningowym. Musiałem nauczyć się obchodzić z pieniędzmi, z mnóstwem pieniędzy. Jeśli chcę okazać się panu przydatny, muszę umieć poruszać się w świecie wielkiej finansjery. To jedyny powód. Bogactwo mnie nie interesuje. Wszystko mi jedno, czy jadę jaguarem, czy idę na piechotę. Wtedy, dwadzieścia pięć lat temu, zyskałem tę wolność, jaką daje człowiekowi absolutne opętanie jednym celem, jedną wizją. Od tego czasu wiem, po co żyję na tym świecie. Jestem przekonany o tym tak samo mocno, jak o tym, że jutro rano znów wszędzie słońce i że to nie przypadek zaprowadził mnie do Florencji, a Opatrzność. Naszą dzisiejszą rozmowę prowadziłem w myślach już tysiące razy. Przez dwadzieścia pięć lat pracowałem z myślą o tym dniu, o tej chwili. Wszystko, co miałem, to data — wyznaczony dzień, 23 kwietnia 1995 roku — i numer telefonu. Numer telefonu do pokoju gościnnego, który już wtedy przygotowano w willi. Zobaczyłem go na liście technika, który układał również przewody w piwnicy kancelarii. Wiedziałem, że rodzina Vacchich nie zmieni tego numeru telefonu. A teraz — dodał z wprost orgiastyczną satysfakcją — jest pan tutaj.

John przełknął ślinę. Nie wiedział, co ma na to powiedzieć. Ten człowiek to albo kompletny szaleniec, albo geniusz. Albo jedno i drugie.

— Skąd — zapytał — wiedział pan, że Vacchi nie zmienią tego numeru telefonu?

McCaine uśmiechnął się krótkim, ponurym uśmiechem, w którym nie brały udziału jego oczy.

— Cóż, symbolika liczby 23 była oczywista. Wyznaczony dzień.

I nie wiedzieli, że znam numer. Uważałem, żeby się nie zdradzić. Wiedziałem, że muszę działać w tajemnicy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mój zamiar stawiał pod znakiem zapytania ich kompetencje. — Nabrał tak głęboko powietrza, że John odniósł wrażenie, iż McCaine od początku rozmowy nie oddychał. — Czuję się źle, mówiąc to, co mam panu teraz do powiedzenia, gdyż rozumiem, że jest pan pełen dobrych uczuć w stosunku do rodziny Vacchich. Vacchi uczynili pana bogatym człowiekiem, zmienili pana życie na lepsze w takiej mierze, w jakiej pan sobie nigdy nie mógł nawet wymarzyć i nie chcą za to nic, żadnego zadośćuczynienia ani nawet podziękowań. Zadowolają się tym, że wypełnili ślubowanie swego przodka. Prawdziwie szlachetni ludzie, można by pomyśleć.

John skinął głową.

— Tak. Rzeczywiście widzę to w ten sposób.

— W rzeczywistości jednak — oznajmił McCaine — i oni mają również swoje ciemne strony. Bez wątpienia dokonali niesamowitej pracy, tego nie można im odmówić. Jednak dokładnie to, co uczyniło ich zdolnymi do tej pracy, jest również tym, co teraz stoi im w drodze. Vacchi, panie Fontanelli, są ludźmi zorientowanymi na przeszłość, zapatrzonymi wyłącznie w zachowanie, utrzymanie stanu rzeczy, w tradycję. W swojej wiosce stworzyli mały raj, Shangri-La, w którym są niekoronowanymi królami. Ale jeśli zada pan sobie pytanie, starając się o całkowitą bezstronność, co konkretnie zrobili Vacchi, to stwierdzi pan, że nie mogą panu pomóc. Nie, jeśli chodzi o proroctwo i jego wypełnienie. Przeciwnie, oni całą nadzieję pokładają w panu. Pan już jakoś tego dokona. Pan jest dziedzicem, pan jest tym, którego Giacomo Fontanelli ujrzał w

swojej wizji, pan przywróci ludzkości jej utraconą przyszłość — jakoś. Został pan z tym sam, prawda? Vacchi chronili pana przed światem, osłaniali, zabawiali wszystkimi tymi zabawkami, jakie człowiekowi może dać bogactwo. A wszystko dlatego, że w głębi serca wcale nie chcą, żeby coś było inaczej niż dotąd. Nie ze złej woli. Vacchi są na wskroś niezdolni do takich życzeń. Ta właściwość uczyniła tę rodzinę zdolną do tego, by przez pięćset lat wydawać uczonych w piśmie, w każdym pokoleniu, i nigdy nie ulec pokusie, by zatrzymać pieniądze dla siebie. Lecz ta sama właściwość czyni ich niezdolnymi do pomocy panu, do wprowadzenia niezbędnej zmiany. — Poderwał się, ruszył gwałtownie w głąb pokoju, zatrzymał pośrodku dywanu, odwrócił i rozrzucił ramiona gwałtownym gestem, z którym byłoby do twarzy prorokowi ze Starego Testamentu. — Dostrzega pan teraz ten plan? Ten fascynujący zwrot losu, który wtajemniczył w tę historię akurat mnie, w samą porę, bym zdążył poczynić przygotowania, by stanąć u boku dziedzica? Kogoś, kto myśli, czuje i postępuje całkiem inaczej niż ludzie, którzy strzegli majątku? Wszystko toczy się dokładnie tak, jak powinno. Jeden trybik zahacza o następny. Czekałem, czekałem na pana dwadzieścia pięć lat, czekałem i przygotowywałem się, a teraz jest pan tutaj. Nadeszła ta chwila. Dziś jest ten dzień, o którym kiedyś będzie się mówić, że od niego rozpoczęła się przyszłość.

John wpatrywał się w niego, potem musiał się odwrócić, przysłonił oczy dłonią.

— Trochę za dużo tego wszystkiego — przyznał. Serce waliło mu, jakby był już starym człowiekiem, źle znoszącym stres. — Przede wszystkim nadal nie mam pojęcia, jak wygląda pański plan na przyszłość. Przeszłość — okay. To zrozumiałem. Ale co w



takim razie chciałby pan *zrobić!* Co konkretnie *zrobiłby* pan z bilionem dolarów, by uratować przyszłość?

— Momencik — wszedł mu w słowo McCainie i uniósł palec mentorskim gestem. — To jeszcze jeden błąd w sposobie myślenia rodziny Vacchich. Wiara, że ktoś mógłby tak po prostu przeanalizować niesamowicie skomplikowaną sytuację na świecie i wpaść na nieistniejący pomysł, jak rozwiązać problemy. Nikt by tego nie potrafił. Ja nie, pan nie, i Albert Einstein też nie. Ale proszę nie zapominać, że ja na namysł miałem ćwierć wieku. A dużo czasu równoważy brak geniuszu. Miałem czas, by analizować i planować, i miałem czas, by się rozejrzeć, co inni wcześniej na ten temat pomyśleli. I patrzcie tylko: armia super inteligentnych naukowców już dawno naświetliła ten problem ze wszystkich stron. W ogóle nie trzeba wpadać na żaden genialny pomysł — wszystkie potrzebne pomysły są od dawna znalezione, opublikowane i dostępne. Problem nie polega na tym, że ludzie nie wiedzą, co należy zrobić — ale na tym, że tego nie robią. Wszystko, co zrobiono, to bezużyteczne marnowanie czasu.

John patrzył za nim, jak pędzi do biblioteczki i czegoś w niej szuka. Miał sucho w ustach. McCainie najwyraźniej nie wpadł na pomysł, by czymś go poczęstować. Prawdopodobnie wychodził z założenia, że wszyscy ludzie są tak pozbawieni potrzeb, jak on sani, przynajmniej ci ważni.

— Proszę — McCainie zaprezentował mu książkę, której tytułu nie mógł z daleka odczytać. — Od tej książki bym zaczął. Wcześniej pojawiały się tylko rozproszone, siejące strach rozprawki, w znacznej mierze przeczące sobie nawzajem, opracowane przez niezbyt systematycznie myślących publicystów. Po niej zaczęły się poważne badania i prawdziwa wiedza. *Granice wzrostu*. To tytuł tej książki, pojawiła się na

początku lat siedemdziesiątych. Autorami byli Dennis Meadows i Jay W. Forrester. Forrester był profesorem na MIT i opracował teoretyczne podstawy dynamiki systemu, działu cybernetyki, badającego zachowanie wysoko skomplikowanych układów. Meadows zrobił z tego program komputerowy o nazwie WORLD2, który był jeszcze bardzo prosty i ograniczony, wykazał już jednak, jak w ogólnym zarysie będzie wyglądała przyszłość ludzkości i umożliwił badanie, jaki wpływ na tę przyszłość będą miały rozmaite czynniki.

McCaine znów usiadł i odłożył książkę na stół. John jeszcze nigdy nie widział tak zaczytanej książki. McCaine musiał przez długie lata wkładać ją sobie pod poduszkę.

— Rozumie pan, że mnie, jako programiście, odpowiadało takie podejście do problemu. Proszę nie zapominać, że wówczas programowanie komputerów było tajemną, niemal legendarną wiedzą. Przepisałem program Meadowsa, by z nim poeksperymentować. Musiałem wtedy rezerwować czas obliczeniowy na jednostce centralnej uniwersytetu, kartonami dźwigałem karty perforowane i wstawałem nocami o pierwszej, gdyż tylko o tej porze studenci otrzymywali bezpłatny dostęp do komputera. Dziś to samo można zrobić na każdym PC-cie za tysiąc dolarów. Tylko, że dziś tego już nikt nie robi.

Otworzył książkę i podsunął ją otwartą ku niemu, żeby mógł obejrzeć wykresy. John zadał sobie pytanie, dlaczego McCaine nigdy nie pomyślał o tym, żeby kupić sobie nowy egzemplarz. Prawie każde zdanie było podkreślone albo inaczej zaznaczone, niektóre strony wypadły z oprawy.

— To tak zwany *przebieg standardowy* — wyjaśnił McCaine, wskazując na prymitywnie wyglądający wykres, w którym pięć linii faliście unosiło się i opadało. Rozwój pięciu najważniejszych

wielkości opisujących stan: wielkość zaludnienia, jakość życia, zanieczyszczenie środowiska, zasoby surowcowe i zainwestowany kapitał, z założeniem, że nie wystąpią żadne czynniki korygujące. W roku 1975 można było tak myśleć. Dziś wiemy, że do tej pory nic się nie wydarzyło, zatem ten przebieg przedstawia rzeczywisty rozwój wypadków od tamtego czasu. Widzi pan tutaj linie, które naniosłem przy roku 1970 i 1995? Jeśli weźmie się pod uwagę tylko ten wycinek, nie wygląda to źle. Lekki wzrost zanieczyszczenia środowiska i silny wzrost liczby zaludnienia, mały spadek zasobów surowcowych oraz jakości życia. Mniej więcej to, co się obserwuje, prawda? Powiększyła się dziura ozonowa, ludność świata wzrosła nawet jeszcze bardziej, zbliża się już do szóstego miliarda i tak dalej. A teraz proszę spojrzeć, ku czemu to zmierza: załamanie mniej więcej w okolicy roku 2030, spowodowane niedoborem surowców.

— Ale to przecież nieprawdopodobne — powiedział John. — Surowce przecież raczej tanieją. Znajduje się wciąż nowe zasoby i wymyśla coraz więcej surowców zastępczych. Niedawno czytałem, że na okablowanie całego kraju włóknem szklanym potrzeba tylko ciężarówki piasku, podczas gdy wcześniej trzeba było na to wielu ton miedzi.

McCaine splótł dłonie. Najwyraźniej i te argumenty słyszał już często.

— Po pierwsze, to prosty model. Nazwa surowce obejmuje po prostu wszystko — miedź tak samo jak ropę naftową. Zatem ta linia jest bardzo, ale to bardzo zgrubnym uśrednieniem. Po drugie, jeśli chodzi o ceny surowców: tak, wiele z nich można zastąpić i wiele surowców — na przykład żelazo albo aluminium — naprawdę jest dostępnych w obfitości. Przeoczył pan jednak fakt, którego nie dostrzega wielu ludzi, a mianowicie, że liczne

surowce, o których rzadko się słyszy, które jednak mają decydujące znaczenie dla rozmaitych procesów przemysłowych, rzeczywiście stają się coraz radsze i droższe. Pierwiastki jak molibden albo tantal, pallad albo hafn, german czy niob i tak dalej. Po trzecie jednak — mówił dalej, wzięwszy znów książkę i kartkując do innego wykresu — wyglądało na to, że zna jej zawartość równie dobrze jak ksiądz Biblię — przede wszystkim mamy tu do czynienia z systemem złożonym. Wszystkie czynniki zależą od wszystkich pozostałych. Pański argument, panie Fontanelli, to typowy argument myślenia liniowego. Pojawia się problem, zwalcza się go nie dostrzegając, że rozwiązanie problemu stwarza w innych dziedzinach nowe, może jeszcze gorsze problemy. Jeśli zlikwidować niedobory surowcowe — co w programie łatwo zasymulować, wprowadzając na przykład pięciokrotnie wyższe rezerwy niż w rzeczywistości — zamiast nich po prostu uaktywnią się inne obciążenia. Proszę spojrzeć na ten wykres: Jeśli spadnie zużycie surowców, wówczas czynnikiem ograniczającym stanie się wzrastające ponad wszelką miarę zanieczyszczenie środowiska, a to — w tym samym czasie — doprowadzi do daleko gwałtowniejszego załamania się systemu.

— Och — John kartkował dalej. Każdy wykres wyglądał gorzej od poprzedniego. Czegokolwiek by nie próbowano, wszystko kończyło się katastrofą. Nawet zmniejszenie emisji elementów szkodliwych mogło odsunąć zagładę co najwyżej o dwa dziesięciolecia.

Tak czy siak — po wystąpieniu katastrofy, którą można było poznać po gwałtownym spadku zaludnienia, co było równoznaczne z milionami zmarłych, niektóre z krzywych poprzesuwały się znów w rozsądne zakresy. Dokładnie tak, jakby

potem miał się rozpocząć okres spokoju.

McCaine zauważył jego spojrzenie i zdawał się zgadywać jego myśli.

— Proszę zapomnieć o krzywych po katastrofie, obojętne, jak wyglądają — powiedział. — W zasadzie nie wolno ich rysować dalej, niż do punktu katastrofy. Tego, co nastąpi potem, nie da się obliczyć. Prawdopodobnie oznacza to koniec ludzkości jako gatunku.

— Ależ to wygląda raczej beznadziejnie — stwierdził John.

— To dlatego, że to jest raczej beznadziejne — oznajmił McCaine. Kartkował książkę dalej, otworzył na jednej z końcowych stron.

— To można by osiągnąć, gdyby w roku 1970 zaczęto wprowadzać radykalne środki zapobiegawcze. Stan równowagi. Trzeba by zastosować surową kontrolę prokreacji, drastycznie zredukować zanieczyszczenie środowiska oraz niezwykle oszczędnie obchodzić się z surowcami. Nie da się z tego wywnioskować, co to miałyby oznaczać w szczegółach, ale jasnym jest, że założenie takiego stanu — bądź co bądź zapewnionej na długi czas egzystencji na bardzo wysokim poziomie jakości życia — jest położeniem kresu rozwojowi gospodarczemu oraz wzrostowi zaludnienia.

Johnowi znów przypomniał się artykuł Lorenza. Jego kuzyn wycelował palec wprost w ten sam problem: ciągły, nieprzerwany, przez wszystkich wręcz ubóstwiany wzrost.

— Położyć kres wzrostowi — powtórzył pod nosem. — A jak mielibyśmy tego dokonać?

— Pytanie brzmi, dlaczego nie zrobiono tego już dawno? Wzrost nie odbywa się przecież sam z siebie. Trzeba czynić w tym kierunku wysiłki. Wymaga potu i wyrzeczeń. Pytanie brzmi,

dlaczego ludzie nie przestają, skoro mają dość.

— Świetnie. Więc dlaczego nie przestają?

— Bo nikt nie chce być pierwszy. To tak, jak przy zbrojeniach — każdy się boi zrobić pierwszy krok, gdyż obawia się, że zostanie w tyle. Nikt nie przestaje, gdyż nie przestają inni.

John spuścił wzrok na wystrzępioną książkę. Bolała go głowa.

— W porządku. A co to ma wspólnego ze mną? I z panem?

— Czy odpowiedź nie leży jak na dłoni?

— Nie — John odwrócił obie dłonie wnętrzem do góry. — Na mojej dłoni nic nie leży.

— OK — powiedział McCain, rozsiadł się w fotelu, oparł wygodnie i skrzyżował ręce na piersiach. — Panie Fontanelli, co pan wie o tym, jak zostać bogatym?

— Słucham? — John zamrugał. — Jak zostać bogatym?

— Tak. Jak to działa? Dlaczego jedni stają się bogaci, a inni nie? Wyłączając szczęściarzy, którzy dziedziczą spadki.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Jak większość ludzi. Ale jest dla pana jasne, że musi w tym być jakaś reguła?

— Myślę, że wiele jest przypadku. Poza tym nie widzę związku z tym, o czym rozmawialiśmy poprzednio.

— Zaraz go pan zobaczy. — McCain wstał, robiąc nagle o ciężale wrażenie. — Proszę się oprzeć. Proszę się zrelaksować. Ja to panu wytłumaczę.

Na imię miała Karen, i im dłużej Marco z nią flirtował, tym bardziej mu się podobała. Raz po raz zerkał jeszcze przez szklane drzwi, ale dwaj mężczyźni byli pogrążeni w rozmowie i wyglądało na to, że Fontanellemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Rudowłosa sekretarka nie miała chyba dziś

wiele do roboty, mimo że na biurku stał komputer i wielki aparat telefoniczny.

— Różnie bywa — powiedziała. — Czasem jest tu po prostu piekło. Zależnie od tego, co dzieje się na giełdzie, wie pan?

— Na tym się nie znam — przyznał Marco.

Karen udało się namówić go na jeszcze jedną kawę i znalazła gdzieś ciasteczka. Zajadając malutkie, słodkie herbatniki opowiadali sobie wzajemnie o swoim życiu.

— Mogłabym pokazać panu Londyn — zaproponowała Karen. — Kiedy pan znów przyjedzie.

Marco ukradkiem obrzucił wzrokiem jej figurę.

— To by mnie naprawdę zainteresowało — powiedział i ze szczerym żalem dodał: — Ale nie wiem, kiedy znów przyjadę do Londynu.

— Och, na pewno będzie pan przyjeżdżał częściej — powiedziała Karen O'Neal z łobuzerskim uśmiechem. — Mój szef chciałby współpracować z pańskim szefem — a on potrafi być *bardzo* przekonujący...

— Bogactwo w pierwszej linii *zależy* od dochodów, a w drugiej od wydatków — pouczał McCaine, stojąc jak ciemny cień na tle jasnej panoramy Londynu. — Jeśli będzie pan wydawał więcej niż wynoszą pańskie dochody, będzie pan coraz biedniejszy, a jeśli będzie pan wydawał mniej niż pan zarabia, będzie pan coraz bogatszy. Co się tyczy wydatków, może je pan zmniejszyć tylko do pewnej wartości granicznej, przynajmniej, jeśli chce pan pozostać normalnym członkiem społeczeństwa. Jediną możliwością jest więc podwyższenie dochodów. Czy zgadza się pan z tym? John sceptycznie przytaknął.

— To banały, szczerze mówiąc.

Ale McCainie jakby go nie słuchał.

— Osiągane dochody podlegają pewnej hierarchii. Na najniższym stopniu tej hierarchii stoi po prostu *praca*. Robi pan coś dla kogoś, a on daje panu za to pieniądze. Dotyczy to pracy świadczonej w ramach umowy albo może pan być samodzielnym rzemieślnikiem — to nie ma znaczenia. W mowie potocznej nazywa się to uczciwą pracą, a dochody, które zyska pan w ten sposób, nigdy poważnie nie przekroczą pańskich wydatków. Ma to związek z podatkiem. Państwo chce pańskich pieniędzy i najchętniej zabrałoby panu wszystko. Ale ponieważ wtedy umarłby pan z głodu albo przynajmniej musiał zaniechać powoływania na ten świat dzieci, nowych obywateli, a zatem nowych płatników podatku, zostawia się panu dosyć do przeżycia. Nie więcej. Żadne państwo ani żadne społeczeństwo nie jest zainteresowane finansowo niezależną ludnością. Uczciwa praca, a więc to, na czym większość ludzi spędza swój czas, wystarcza zawsze tylko na ogólnie przyjęty standard życia, nigdy na więcej.

Johnowi przypomniały się jego czasy w pralni, noce przepracowane przy maglu. Tygodniowa stawka wystarczała akurat na najpotrzebniejsze.

— Następnym stopniem uzyskiwanych dochodów — kontynuował McCainie — jest *praca specjalistyczna*. Wartość pracy podlega, jak wszystko w świecie gospodarki, zasadzie popytu i podaży. Jeśli nauczy się pan tego, czego uczą się wszyscy i będzie potrafił to, co potrafią wszyscy, łatwo będzie pana wymienić i szantażować, a więc osiągnana płaca będzie poruszać się na najniższym możliwym poziomie. Pańska wartość wzrośnie, kiedy będzie pan gotów zrobić coś, co nie wszyscy są gotowi zrobić — zrujnować zdrowie, nadmiernie przeciążać się



fizycznie, pracować nocami czy w święta — albo kiedy będzie pan potrafił coś, co nie wszyscy potrafią, zakładając, że ta wiedza jest pożądana. Czasem będzie pan musiał poszukać sobie dopiero rynku dla swoich umiejętności — zatrudniony na państwowej posadzie nauczyciel zarabia zawsze tak samo dużo, obojętnie jak dobrze czy źle naucza, ale jeśli jest dobry, może ewentualnie w szkole prywatnej wytargować sobie lepszą pensję. Z drugiej strony istnieją związki zawodowe, izby adwokackie i rzemieślnicze, a więc struktury, które w przemyśle nazwalibyśmy kartelami, a które przez negocjacje płacowe dbają o swoich członków, aby płace za świadczoną przez nich pracę nie spadły poniżej pewnego minimalnego poziomu. Ale ponieważ w ten sposób rynek jest troszeczkę za bardzo wyśrubowany, mści się to ograniczeniem popytu, ponieważ świadczenie za wyższą cenę nie znajdzie tak wielu odbiorców, jak za cenę niższą. Jakkolwiek bądź, im bardziej specjalistyczne jest to, co może pan zaproponować jako świadczenie, kiedy ktoś tego szuka, tym znacznie może wzrosnąć pański dochód. Adwokat może zarobić pięćset dolarów za godzinę, średnio sławny piosenkarz rockowy dwadzieścia tysięcy dolarów za godzinny występ. Jednak nie może to rosnąć bez końca — adwokat obciążony jest kosztami prowadzenia biura i swojej sekretarki, które odejmuje od czystego zarobku, a piosenkarz musi uzgadniać terminy, negocjować umowy, przyjeżdżać, przebierać się, próbować i rozdawać autografy, nie mówiąc o tym, że latami występował za przysłowiową kromkę chleba, nim stał się sławny.

Przypomniał mu się Paul Siegel, który kiedyś był jego najlepszym przyjacielem. Ten, który poszedł na Harvard i nauczył się czegoś, co sprawiło, że przedsiębiorstwo było gotowe płacić mu za godzinę pracy niemal tysiąc dolarów. John dobrze

pamiętał chwilę, w której Paul mu to opowiedział i swoje bezgraniczne zdumienie w obliczu przepaści, jaka się między nimi otworzyła.

— Teraz będzie pierwszy skok. Mówiąc inaczej, przejście od równi pochyłej do zasady dźwigni. Następnym stopniem w hierarchii dochodów jest *handel*. Handel oznacza, że kupujemy coś tanio, aby sprzedać to drogo. Wyrażając się mniej banalnie oznacza to, że handlarz wykorzystuje różnicę między popytem a podażą, wyrównuje je swoją działalnością i na tym zarabia. Zasada dźwigni polega na tym, że jego zarobek zależy od wartości sprzedawanego towaru, a nie od nakładów na pracę handlarza. Jeśli sprzedaje pan melona, może pan na tym zarobić co najwyżej dziesięć centów, jeśli sprzeda pan fabryce instalację do odsalania wody, przyniesie to panu może dziesięć tysięcy dolarów. Jednak prawdziwy nakład pracy może być taki sam. Jest pan opłacany nie za pracę, ale za swoją umiejętność zidentyfikowania potrzeby i jej zaspokojenia. Na tym poziomie hierarchii zakres może być względnie duży — na handlu można zarobić bardzo mało albo całkiem nic, ale też można stać się niezwykle bogatym. Księgarzowi wolno narzucić jako zysk około trzydziści do czterdziestu procent ceny sprzedaży książki. Za to właściciel modnego butików narzuca na cenę kupna swoich towarów dwieście do trzystu procent zysku. Za pośrednictwo w sprzedaży przyjęte są prowizje od dziesięciu do piętnastu procent, co w przypadku maszyny za kilka milionów czyni słuszną sumkę, choć wymaga czasem tylko kilku telefonów i jednego popołudnia rokowań.

John milczał. Właściciele galerii, w których Sarah i inni artyści wystawiali swoje obrazy, należeli prawdopodobnie do tej kategorii. Byli pośrednikami pomiędzy tymi, którzy produkują

sztukę, a tymi, którzy sztukę chcą kupić, i kasowali za to od obu stron. Nic dziwnego, że właściciele galerii przyjeżdżali zawsze dużymi samochodami, a artyści metrem.

— Następny skok polega na tym, że się pan w pewien sposób zwielokrotnia. Nie pracuje pan już, ale prowadzi innych tak, aby pracowali, jak pan chce. Inaczej mówiąc staje się pan *przedsiębiorcą*. Za to, że ktoś robi to, co pan mu powie, otrzymuje on od pana pieniądze. Pan stara się kupić jego pracę tak tanio, jak to możliwe, gdyż teraz znalazł się pan po drugiej stronie mechanizmu rynkowego. Wszystko, co z zarobionych przez pańskie przedsiębiorstwo zysków musi pan oddać swoim pracownikom, zmniejsza pański własny dochód. Tworzenie firmy wiąże się z rozmaitym ryzykiem i na początku jest zwykle ogromnie męczące. Ale w ten sposób własne zwielokrotnianie daje się rozbudowywać niemal dowolnie. Może pan instruować ludzi, którzy znów instruują innych ludzi, i tak dalej. A jeśli dobrze trafi pan w rynek, wówczas wynagrodzenie, jakie płaci pan swojemu pracownikowi, jest najlepszą inwestycją finansową, jaka istnieje. W ekonomicznych rozważaniach dotyczących spraw personalnych zakłada się, że pracownik jest wart swoich pieniędzy, jeśli przynosi firmie co najmniej trzydzieści procent więcej od tego, co się mu płaci. Innymi słowy, oprocentowanie równe trzydzieści procent. Takiego oprocentowania nie da się uzyskać na stałe żadną inną poważną inwestycją. Wielkie koncerny są przykładem, jak można korzystać z tej zasady i zgodnie z nią szefowie tych koncernów zarabiają może dziesięć milionów dolarów rocznie, co — zważywszy nawet ich wysokie obciążenie pracą — czyni trzy tysiące dolarów za godzinę.

Przypomniał mu się Murali. Murali w swoim życiu nie upiekł

na wet jednej pizzy, nie wspominając już o jej rozwoju, ale potrafi zatrudniać tanio piekarzy i rozwozicieli i był od rana do nocy w sklepie, marudził i burczał, gniewał się i utrzymywał wszystko w ruchu. W ten sposób tysiące ludzi na południowym Manhattanie błyskawicznie dostawały swoją pizzę. Właśnie z tego żył Murali, choć John nie miał pojęcia, ile zarabiał.

— Mam nadzieję, że zauważył pan, jaką rolę w tej kategoryzacji odgrywają już istniejące pieniądze. Tym łatwiej jest przejść do wyższej kategorii dochodów, im więcej pieniędzy już się posiada. Jeśli jest pan pozbawiony środków, jest dla pana prawie zupełnie niemożliwe zażywanie rozkoszy wykształcenia, które pozwoliłoby panu wydostać się z najniższej kategorii. Przeciwnie, jeśli posiada pan już pewien majątek, znacznie łatwiej jest uprawiać handel albo założyć firmę, nawet jeśli musiałby pan w tym wszystkim wspomóc się kredytami. Im więcej pieniędzy pan już ma, tym łatwiej będzie zarobić następne.

— Ale to przecież niesprawiedliwe — stwierdził John bez zastanowienia.

— Natura nie jest sprawiedliwa — sprzeciwił się McCaine. — Świat nie jest sprawiedliwy. Sprawiedliwość oznaczałaby równowagę, ale życie nie jest stanem równowagi, jest ono raczej splotem wzmacniających się wzajemnie nierówności — stąd bierze się owa fundamentalna niesprawiedliwość, która działa w hierarchii dochodów. — Podniósł palec wskazujący, mroczny Mefisto na tle jasnego morza domów. -1 wreszcie dochodzimy do najwyższej kategorii dochodów, do optymalnego zwielokrotnienia siebie samego, do ultymatywnej zasady dźwigni. Jest to stopień, w którym pańskie *pieniądze* zarabiają dalsze pieniądze. Mówimy tu o rynku kapitałowym, o obszarze

czystych finansów. Posiadanie firmy przynosi zyski, ale tym trudniej jest nią zarządzać, im jest większa, jakby istniały siły przeciwdziałające nieograniczonemu wzrostowi. Zasada ta nie występuje w przypadku pieniędzy. Nieważne, czy puści pan w ruch milion, sto milionów czy sto miliardów przez kanały finansowe o światowym zasięgu, nakład pracy jest ten sam. Pan, panie Fontanelli, znajduje się na tym najwyższym poziomie. Nie musi pan już w ogóle pracować, gdyż pańskie pieniądze pracują dla pana i każdego roku przynoszą panu więcej pieniędzy, niż posiada następny po panu najbogatszy człowiek świata. Czy pan to w ogóle zauważa? Czy pan czyni w tym kierunku wysiłki? Ani trochę. To może trwać wiecznie. Pańskiego wzrostu nie ograniczają już żadne bariery.

McCaine z gwałtownością, która prawie przestraszyła Johna, opuścił swoje miejsce przy oknie i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

— Pieniądze — krzyczał — to największa siła na tej planecie. Jeśli ma pan pieniądze, ma pan wszystko inne. Ma pan nazwisko. Okazuje się panu szacunek. Traktuje się pana z poważaniem. Kocha się pana! Tak, wiem, mówi się *money can't buy me love* — ale jest z tym tak samo, jak z większością ludowych mądrości; absolutna głupota. Oczywiście, może pan zdobyć kobietę, nie posiadając nic albo nie będąc nikim, ale w tym celu musiałby pan być przynajmniej miły, atrakcyjny i troskliwy. Musiałby pan naprawdę się przyłożyć. I może być pan sobie tak atrakcyjny i miły, jak pan chce — jeśli nie będzie pan bogaty, pewne kobiety pozostaną dla pana nieosiągalne. Proszę wymienić mi choć jedną modelkę, która byłaby zameżna ze stolarzem albo sprzedawcą w kiosku, nie znajdzie pan ani jednej. Uważa pan, że Onassis mógł poślubić Jackie Kennedy dlatego, że tak powalająco dobrze

wyglądał? *Bullshit*. Zdobył ją, ponieważ był jednym z najbogatszych mężczyzn na świecie, to takie proste. Pieniądze dodają seksapilu.

— Hmm — mruknął John i pomyślał o Constantine. I o tej niemieckiej dziennikarce, podobno studentce historii, Ursula jakaś tam. W jej przypadku pieniądze na pewno nie dodały mu seksapilu.

— Nie musi pan być piękny, jeśli jest pan bogaty. Nie musi pan być nawet inteligentny ani utalentowany, gdyż może pan *kupić* inteligencję i talent. Lepiej jest być bogaczem niż artystą, gdyż za pieniądze może pan kupić sztukę — ach, co tam, może pan nawet kupić *artystów*. — McCaine przerwał, oddychając gwałtownie i spojrzał na niego. — Nie musi pan być nawet dobrym handlarzem, jeśli ma pan dużo pieniędzy; wtedy bowiem może pan wyprzeć z rynku konkurentów. Nie musi pan być również dobrym przedsiębiorcą, aby mieć dobrą firmę. Po co panu mozolnie zakładać firmy, rozbudowywać je, pracując przez wiele pełnych wyrzeczeń lat, po nocach i w niedziele, cierpiąc tygodnie panicznego strachu, gdy nie przychodzą czeki — może pan taką firmę łatwo i szybko *kupić*. Rozumie pan, o czym mówię? Rozumie pan, co tak naprawdę znaczą pieniądze, czym są? Pieniądze, panie Fontanelli — to władza.

John zauważył, że ma otwarte usta, więc je zamknął. McCaine powoli zbliżał się do niego, złożony dłoń na piersiach w zaklinającym geście.

— Zajmuje pan pozycję nie mającą sobie równej, pan Fontanelli. Może pan zostać najpotężniejszym człowiekiem świata. Pańskie pieniądze, pańskie tysiąc miliardów dolarów, ma większą siłę niż wszelkie rakiety nuklearne, gdyż pieniądze są sokiem życia tego świata, jego krwią, jego decydującym

pierwiastkiem. Jeśli nauczy się pan operować pieniędzmi, chwyci pan świat za jaja.

Wskazał na książkę, nadal otwartą na stronie z wykresem przed stawiającym przejście do świata długotrwałej egzystencji.

— To nigdy nie zdarzy się samo. Ja to wiem, pan to wie, każdy to wie. Minione dwadzieścia lat dowiodło tego ponad wszelką rozsądną wątpliwość. Jedyna szansa, jaka jeszcze istnieje — i przyczyna, dla której sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły — jest taka, że pojawi się ktoś, kto będzie władny powiedzieć: *oto właściwa droga, nią należy pójść*. To pan, panie Fontanelli. Pan może o tym zdecydować. Ponieważ pan może to *wymusić*.

# 19

— Czy to właśnie jest pański plan?

— Tak.

— Wymusić to?

— Nie ma innej możliwości — powiedział McCain. Zdawało się, że jego wzrok jest w stanie wypalać w meblach dziury. — To nie jest miłe, zgoda. Ale to, co zdarzy się w przeciwnym razie, też nie będzie miłe.

— Wymusić to, ale czy ja mogę? — John uniósł ręce. — To znaczy, okay, bilion dolarów to kupa pieniędzy — ale czy to *dosyc*?

McCaine tylko skinął głową.

John pokręcił głową.

— Czytałem o bankach, które w swoich bilansach podają sumy czterystu albo nawet pięciuset miliardów dolarów — kontynuował.

— Citibank, czy to możliwe? I banki japońskie, nie mam pamięci do nazw. Istnieją ubezpieczalnie posiadające rezerwy w wysokości setek miliardów...

— Tak — ponownie przytaknął McCain. — Ale pański bilion, pan Fontanelli, jest nie tylko jedyny w swoim rodzaju, ma jeszcze jedną decydującą zaletę, on do pana *należy*!

Znów podjął swą wędrówkę. John powoli zaczął się domyślać, dlaczego dywan jest tak zdeptyany.

— Banki, ubezpieczalnie, jak również fundusze inwestycyjne — a proszę mi wierzyć, że wiem o czym mówię — to niewolnicy rynków. Słudzy bogactwa. Miliardy, którymi się posługują, tylko im powierzono, a jeśli nie będą nimi zarabiać więcej pieniędzy, zostaną im zabrane. To nie tylko zawęży pole manewru, to



prawie całkowicie anuluje ich władzę. No, bo o czym mogą decydować? Czy kupią takie akcje, czy inne. A ta decyzja zależy od tego, na jakich akcjach mają nadzieję więcej zarobić. Ja w mojej firmie zarządzam pięciuset milionami funtów. Jak pan sądzi, co się zdarzy, jeśli postanowię kupić za te pieniądze ziemię nad Amazonką, żeby ratować puszczy tropikalną? Inwestorzy natychmiast zabraliby swoje pieniądze, a ja prawdopodobnie wylądowałbym albo w więzieniu, albo w domu wariatów. A przecież byłaby to inwestycja, która miałaby błogosławione skutki jeszcze dla dzieci inwestorów i dla dzieci ich dzieci — ale nie przyniosłaby pieniędzy, żadnych zysków. Rozumie pan, co mam na myśli? Widzi pan różnicę? Banki wprawdzie *posiadają* pieniądze, ale nie mogą nimi swobodnie dysponować. Są to więc tylko organy wykonawcze, usługodawcy, zbiorniki gromadzące zamiary inwestycyjne swoich inwestorów, nic ponadto. Nie, proszę nie mylić posiadania i własności. Decydujące znaczenie ma własność.

Wszedł za biurko, podniósł podkładkę i wyjął spod niej małą karteczkę, która tam najwyraźniej już jakiś czas czekała na swoją kolej.

— A teraz pańskie drugie pytanie — ile to właściwie jest bilion dolarów? Zapisałem sobie kilka liczb dla porównania. Takie liczby nawiasem mówiąc bardzo trudno jest uzyskać i najczęściej nie da się o nich powiedzieć, że są pierwszej świeżości. Te tutaj pochodzą z roku 1993, ze statystyk *Financial Times*. Według nich całkowite obroty handlu światowego w 1993 wynosiły 4,5 biliona dolarów, z czego bilion dolarów przypadło na usługi. Doliczając do tego dochody zagraniczne i międzynarodowe transfery uzyskuje się kwotę zapotrzebowania na dewizy w wysokości 5, 8 biliona dolarów. Całkowita wartość kapitału firm obecnych na

giełdzie w Stanach Zjednoczonych wynosi około 3,3 biliona dolarów, a w Japonii 2,3. Na całym świecie kwota ta sięga 8, 8 biliona dolarów. — Podniósł wzrok. — Pański bilion, pan Fontanelli, to dużo pieniędzy. Za mało, żeby kupić świat — ale dość, żeby móc decydować w jakim kierunku się potoczy.

John potarł czoło. Tyle tego, takie trudne, takie przytłaczające.

— Ale jak to konkretnie ma się odbyć? — zapytał w końcu. Własny głos zabrzmiał w jego uszach cienko i miękko, niemal płaczliwie, rozzłościło go to. — Pójdę i powiem: „Róbcie w przyszłości to i to, bo inaczej...”. Co inaczej? I komu to powiem?

— Nie, to tak nie zadziała — uśmiechnął się McCaine i włożył karteczkę do kieszeni. — Władza to nie to samo, co szantaż. To, co pan musi zrobić, to kupować firmy. Będzie przy tym dla pana korzystne coś, o czym jeszcze wcale nie wspomniałem, a mianowicie fakt, że nie musi pan posiadać firmy w całości, by ją kontrolować. Wystarczy, by należało do pana 51 procent. Czasem wystarczy nawet jeszcze mniej. A kiedy będzie pan kontrolował jedną firmę, może pan *za jej pieniądze* kupować dalsze firmy — w ten sposób potęguje pan wpływy swojego majątku. Na to nakłada się fakt, że czynniki, decydujące w dzisiejszych czasach o produktywności — inteligencja, know-how, osobiste zaangażowanie — ekonomia wartościuje całkowicie błędnie, ponieważ jest nadal zorientowana na stosunki wczesnego kapitalizmu. Na wartość zasobów magazynowych, maszyn i tak dalej. Ale proszę sobie wyobrazić, że trafi pan na młodą, małą firmę, której założyciele mają fantastyczny pomysł i potrzebują tylko trochę pieniędzy na kilka komputerów, wtedy może pan za pomocą pięćdziesięciu albo stu tysięcy dolarów i kredytu na kilka milionów, który otrzyma pan z powrotem — do tego z odsetkami — uzyskać kontrolę nad firmą, która za pięć lat może być warta

miliardy. Splótł ręce.

— Tak, i oczywiście nie uzyska pan nic, inwestując w ten sposób w wideoteki albo sieć barów szybkiej obsługi. Musi pan postawić stopę w branżach o decydującym strategicznym znaczeniu. Żywność. Finanse. Technologie informatyczne. Media. Surowce. Zaopatrzenie w energię... Jeśli Shell albo BP czegoś zechcą, nie sądzi pan, że to dostaną? Są ludzie stanowczo przekonani o tym, że koncerny naftowe są siłą napędzającą, kryjącą się za co najmniej połową wszystkich regionalnych wojen tego stulecia. Obojętne, czy to prawda, czy nie, sam fakt, że sieje o to podejrzewa, świadczy o sile, jaką reprezentują.

John zacisnął wargi. Skąd się wziął ten ból głowy? Chciało mu się też pić.

— Nie umiem sobie wyobrazić, by posiadanie firm naprawdę oznaczało, że ma się na coś wpływ — powiedział. — Mani na myśli wpływ w takim sensie, w jakim ma go prezydent. Naprawdę móc o czymś decydować.

McCaine skrzyżował ramiona na piersiach i prawą dłonią w zamysleniu gniótł wargi.

— Rozumiem, co pan ma na myśli — powiedział.

Przez chwilę zastanawiał się, potem skinął głową.

— Prawdopodobnie spodziewam się zbyt wiele. Zasypuję pana wszystkim, do czego doszedłem przez dziesięciolecia rozmyślań... Ale jest jeden historyczny przykład.

Podszedł bliżej i opadł na fotel stojący naprzeciw Johna.

— Czy kiedykolwiek w życiu słyszał pan nazwisko *Fugger*?

— Nie.

— Tak myślałem. Właściwie to nazwisko powinno być tak powszechnie znane, jak imię Napoleona albo Czyngis-Chana, ale z jakiegoś powodu wygląda na to, że nauki historyczne są ślepe

na finanse. Fuggerowie to ród kupców, mieszkających w Augsburgu, mieście, które obecnie leży na południu Niemiec i do dzisiaj jest naznaczone przez Fuggerów. Zaczynali jako tkacze, ale w swoich najlepszych czasach panowali nad całym światem — ich ramię sięgało od zachodnie go wybrzeża Ameryki Południowej przez Europę aż do korzennych wysp Moluków. Bez telegrafów, satelitów i komputerów sprawowali kontrolę nad swoim obszarem wpływów z efektywnością, o jakiej w dzisiejszych czasach niejeden wielki koncern może tylko marzyć, i zdominowali praktycznie wszystkie obszary ówczesnej gospodarki. Byli największymi posiadaczami ziemskimi, najbardziej liczącymi się bankierami, największym domem kupieckim, jaki istniał do tamtych czasów, największym przedsiębiorcą górniczym, największym pracodawcą rzemiosła, najważniejszym producentem broni — opanowali po prostu wszystko, przez pewien czas dysponowali ponad dziesięcioma procentami całkowitego majątku niemieckiej Rzeszy. Koncernu o władzy równej Fuggerom w dzisiejszych czasach właściwie nie można sobie wyobrazić, musiałby obejmować około sześćdziesiąt największych firm świata. Najpotężniejsze dzisiejsze wielonarodowe koncerny, powiedzmy General Motors, Mitsubishi czy IBM, to karły w porównaniu z Fuggerami.

McCaine skinął głową, zacisnął oczy, nabrał głęboko powietrza, jakby potrzebował go dużo do tego, co ma teraz do powiedzenia.

— Nazwisko mężczyzny, o którym myślę, brzmi Jakob Fugger, człowiek, który prowadził to rodzinne przedsiębiorstwo w tamtych złotych czasach i którego nazywano Jakobem Bogatym. Dlatego, że taki właśnie był — bogaty. Bogaty i potężny. Uwzględniając czasy, w których przychodzi żyć różnym ludziom, był on z pewnością najpotężniejszym człowiekiem, jaki

kiedykolwiek urodził się na tej planecie. Nigdy przedtem ani nigdy potem pojedynczy człowiek nie miał tak wielkich wpływów, nie skupiał w swoich rękach tak wielkiej władzy. Jakob Fugger był tym, kto decydował, kiedy ma być wypowiedziana wojna, a kiedy zawarty pokój. Strącał z tronu książąt, jeśli stawali na drodze jego interesom. Za sprawą swojej finansowej pomocy decydował, kto będzie cesarzem Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego i to on był tym, kto opłacał cesarską armię. Kiedy za jego czasów w Europie rozpoczęła się reformacja, wahał się przez jakiś czas, kogo ma wspierać i tylko dlatego, że miał dobre interesy ze stolicą apostolską, stanął w końcu po stronie Rzymu, zaś buntowniczych chłopów wyrżnięto w krwawych bitwach. Gdyby zajął miejsce po stronie reformacji — jestem przekonany, że to mogłoby oznaczać koniec kościoła katolickiego w takiej postaci, w jakiej go znamy.

McCaine złożył dłonie, zetknąwszy je czubkami palców. Jego oczy nabrały szklistego blasku, jakby mógł patrzeć wprost w inne, minione czasy.

— Fuggerowie, panie Fontanelli — i to czyni ich tak interesujący mi — żyli w tych samych czasach, co Medici. W czasie, kiedy Medici żyli we Florencji i wspierali sztuki piękne, Fuggerowie w Augsburgu zgarniali pieniądze. Wszyscy oni byli współczesnymi pańskiego przodka. Jakob Fugger Bogaty był tylko o dwadzieścia lat starszy od Giacomo Fontanellego, który jako kupiec niewątpliwie odczuwał przewagę Fuggera na wszystkich rynkach. Fontanelli wiedział, gdzie tkwi prawdziwa władza jego czasów, kto, kryjąc się w cieniu polityków, ma naprawdę decydujące zdanie. Wiedział to bez wątpienia. Każdy wtedy to wiedział.

Przerwał, skierował spojrzenie na Johna, lustrował go

wzrokiem, jakby nagle odkrył coś niezwykle interesującego w jego twarzy.

— Nie zastanawiał się pan nigdy, co nasunęło mu tę myśl, że ten, kto ma zmienić kurs ludzkości, musi dysponować właśnie *pieniędzmi*?

Tak, pomyślał John, to rzeczywiście dobre pytanie. Pytanie, którego sobie mimo to jeszcze nigdy nie postawił.

— Fontanelli w swojej wizji nie zobaczył wędrownego kaznodziei, przemierzającego boso świat i nawracającego ludzi siłą swojego słowa — stwierdził McCaine. — Zobaczył kogoś, kto ma pieniądze, niezmiernie dużo pieniędzy. Niech pan nie zapomina, że był kupcem. Odsetki i odsetki składane były jego codziennym chlebem. Potrafił sobie *wyliczyć*, jak wielki będzie jego spadek po pięciuset latach. Jak ogromnie wielki. I tę niezmiernie wielką sumę pieniędzy chciał dać swojemu potomkowi wraz z proroctwem — dlaczego? Ponieważ wiedział, że pieniądze oznaczają władzę. I ponieważ, jakkolwiek się tego dowiedział, przewidział, że ów ktoś będzie potrzebował władzy do podjęcia decyzji.

Nim John zdołał cokolwiek powiedzieć, McCaine podskoczył, stanął tuż przy nim i przytknął mu palec do piersi.

— Pan jest pierwszym człowiekiem od pięciuset lat, który może podjąć dzieło tam, gdzie przerwał je Jakob Fugger. Może pan być tak potężny, jak on w swoich czasach. I tylko jeśli będzie pan tak potężny, zdoła pan zdziałać coś, by wypełnić proroctwo. Pański bilion, panie Fontanelli, w tej chwili to tylko leżąca bezsensownie kupa pieniędzy. Ale jeśli ją pan przetworzy na wpływy gospodarcze, może pan przestawić świat na inne tory!

John spojrzał w dół na swoją pierś, na palec, który na niej spoczywał, twardy i blady. Chwycił go i odsunął na bok, jak lufę

pistoletu, potem otarł dłoń o spodnie, ponieważ palec był zimny i wilgotny.

— A co konkretnie pan przez to rozumie? — zapytał. — Mam kupić IBM? Albo Boeinga? A kiedy już je będę miał, co z nimi pocznę?

McCaine odwrócił się niespiesznie, powoli podszedł do swoich szaf.

— Prawda, panie Fontanelli — oznajmił powoli z odwróconą twarzą — jest taka, że nie jest pan w stanie zrobić tego sam. Potrafi pan kupić jacht, ale nie zdoła pan kupić firmy — a już na pewno nie zdoła jej pan poprowadzić. Proszę nie uważać tego za krytykę pańskiej osoby albo pańskich zdolności. Ale nie uczył się pan tego, co tutaj trzeba umieć, i nie posiada pan zbieranych przez ćwierć wieku doświadczeń w finansach. Wszystko, co pan osiągnie, próbując na własną rękę ruszyć drogą, którą przed chwilą naszkicowałem, to zmarnowanie pańskiego majątku.

Otworzył szafę pełną segregatorów.

— Aktualne bilanse najważniejszych firm na świecie. Potrafi je pan odczytać? Potrafi pan poznać, które z nich mają znaczenie, a które są nieważne? Czy zrozumie pan, o czym jest mowa, jeśli zasiądzie pan w radzie nadzorczej albo na posiedzeniu rady banku centralnego? Będzie pan w stanie skutecznie pertraktować z Międzynarodowym Funduszem Walutowym?

Zamknął szafę.

— Nie po to przygotowywałem się przez dwadzieścia pięć lat, by tylko panu powiedzieć, w jakim kierunku należy szukać rozwiązania. Zrobiłem to po to, by pójść razem z panem. By wykonać całą szczegółową pracę. Pan musi tylko podejmować wielkie decyzje. Jeśli zadzwoni pan do mnie, zostawię to wszystko tutaj, sprzedam moją firmę, bez chwili namysłu spalę

za sobą mosty co do jednego. Jeśli mnie pan wezwie, zaangażuję się w stu procentach. Wszystko, co pan musi zrobić, to podjąć decyzję, że tego pan chce.

John mimowolnie zaczął pocierać policzki. Kiedy sobie to uświadomił, przerwał i położył dłonie z powrotem na kolanach. Nadal chciało mu się pić i wciąż bolała go głowa.

— Ale nie teraz od razu, prawda?

— Kiedykolwiek pan zadzwoni, jestem do dyspozycji. Ale niech pan zadzwoni dopiero wtedy, kiedy będzie pan miał pewność.

— Tego wszystkiego było trochę za dużo na jedno przedpołudnie, muszę się nad tym zastanowić.

McCaine skinął głową.

— Tak. Oczywiście. Sprowadzę wóz, który odwiezie pana na lotnisko. — Spojrzał na zegarek. — Powinien pan zdążyć akurat na następny samolot do Rzymu. Proszę nie brać tego za nieuprzejmość, że nie odprowadzam pana na Heathrow — powiedziałem, co miałem do powiedzenia i nie chcę pana ponaglać w podejmowaniu decyzji. Proszę tak to rozumieć. Jako swego rodzaju dyskretne wycofanie się.

— Tak, rozumiem — To mu odpowiadało, nawet bardzo. Jeszcze jedna lekcja historii, a pęknie mu głowa. Jeśli ten McCaine tak pracuje, jak mówi, bez chwili przerwy — bez względu na potrzeby fizyczne — to z bilionem dolarów w zanadrzu naprawdę zmiażdży światową gospodarkę.

— Muszę się nad tym w spokoju zastanowić. Muszę się z tym przespać.

A na lotnisku pójdzie z Marco nareszcie coś zjeść.

— Nie chodzi o jeden dzień mniej czy więcej.

— Może byłoby dobrze, gdyby teraz, kiedy i tak znam pańskie nazwisko, dał mi pan również swój numer telefonu?



— To zrobiłbym tak czy inaczej — McCainie podszedł do biurka i wyjął wizytówkę zafoliowaną jak dowód osobisty. Było na niej napisane: Malcolm McCainie i numer telefonu. Nic poza tym.

— Jeszcze jedno słowo na drogę — oznajmił McCainie, ściskając mu rękę na pożegnanie. — Proszę nie czekać zbyt długo. Nawet jeśli nie chodzi o dzień mniej lub więcej, to przecież czas nam ucieka. Wierzę w ludzkość i chciałbym, żeby miała przyszłość — ale wierzę też, że plan Giacomo Fontanellego jest ostatnią szansą, jaka nam pozostała.

John miał oczy zamknięte, kiedy maszyna się wznosiła. Nie spał, właściwie również nie myślał. Było raczej tak, jakby dobitna mowa McCaina wywołała w jego myślach rozmaite echa i teraz nasłuchiwał, jak wybrzmiewają w nim, by w końcu zamilknąć.

Kiedy przyniesiono jedzenie i otworzył oczy, natychmiast pochylił się ku niemu Marco, który najwyraźniej tylko na to czekał.

— Signor Fontanelli, czy mogę pana o coś spytać?

John zmęczony przytaknął.

— Oczywiście.

— Czy pańskie rozmowy były udane?

John zastanowił się chwilę. Co o tym powiedzieć Marco? Co można w ogóle o tym powiedzieć?

— Jeszcze nie jestem pewny.

— Czy to możliwe, że w przyszłości będziemy częściej przyjeżdżać do Londynu?

— Hm — John zatopił się w myślach. — To możliwe.

Na twarzy Marca pojawił się szeroki uśmiech.

— Mnie to odpowiada — oznajmił. — Londyn mi się podoba.

John zdziwiony podniósł wzrok.

— Skąd może pan to wiedzieć? Przecież praktycznie nic pan nie widział.

Marco uśmiechnął się.

— Dość, by wiedzieć.

## 20

— Co na moim miejscu zrobiłbyś z tymi pieniędzmi? Eduardo podniósł płaski kamień i rzucił go w morze tak, że ten odbił się dwa razy od fal, nim zatonął. Jakby w odpowiedzi spieniona fala polizała jego buty.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział młody prawnik. — W każdym razie nie łamałbym sobie głowy nad proroctwem jakiegoś nadwrażliwego średniowiecznego kupca. Chodzi mi o to, że jest przecież mnóstwo sensownych projektów, które można wesprzeć. Pomóc stanąć na nogach kilku najbiedniejszym krajom rozwijającym się gospodarczo. Takie tam rzeczy. Przeznacz swoje miliardy na coś takiego, tyle pieniędzy i tak nie jesteś w stanie wydać w ciągu całego życia. Jeśli zatrzymasz sobie sto milionów albo coś koło tego, to i tak wystarczy ci jeszcze na dobre życie.

Obrzucił go drwiącym spojrzeniem.

— Choć ty tak czy siak masz nadmierne skłonności do skromności, jeśli mogę wyrazić moje zdanie.

— Co na moim miejscu zrobiłby pan z tymi pieniędzmi?

Gregorio Vacchi z powagą skinął głową. Jego dłoń spoczywała na okładce prawniczej książki, którą czytał przed przyjściem Johna. Teraz jego palce zaczęły wystukiwać na niej niespokojny rytm.

— Zawsze zadawałem sobie to pytanie — przyznał, marszcząc czoło. — Co można zdziałać za pomocą tysiąca miliardów dolarów, aby wypełnić proroctwo? Myślałem kiedyś o tym, by stworzyć światowy program edukacyjny, uświadamiający wszystkim ludziom problemy tej planety. Ale z drugiej strony w

krajach uprzemysłowionych mamy dość edukacji, by rozpoznać wszystkie zależności, a nic się nie zmienia, zatem taki program również niczego by nie zmienił. A może należałoby kupować licencje przyjaznych dla środowiska technologii i eksportować je do krajów rozwijających się, by uniknąć powtórzenia tam wszystkich błędów, które my popełniliśmy? Na przykład zmusić Chińczyków, by od początku budowali samochody z katalizatorami. Ale ostatnio powiadam sobie, że to wszystko są krople padające na gorący kamień, żadne tam decydujące rozwiązania.

Z z troskaniem pokiwał głową.

— Muszę przyznać, że nie wiem. Nie potrafię udzielić panu żadnej rady.

— Co na moim miejscu zrobiłby pan z pieniędzmi?

Alberto Vacchi sięgnął do kieszeni swojego ogrodniczego fartucha i wyjął z niej sekator, którym uciął uschniętą gałąź różanego krzewu.

— Cieszę się, że nie jestem na pańskim miejscu — oznajmił. — Szczerze. Tyle pieniędzy, i do tego jeszcze to proroctwo... Rozumiem, że to leży panu na sercu. W każdym razie mnie to leżałoby na sercu. Wydaje mi się, że nie byłbym w stanie spokojnie przespać ani jednej nocy. Oczywiście, mając tyle pieniędzy ma się sporo władzy, pytanie jednak brzmi, co chce się działać, by skierować sprawy na lepsze tory. A ja, otwarcie mówię, nie przenikam gmatwaniny dzisiejszej światowej gospodarki. Kto do kogo należy, kto ma ile udziałów i gdzie...

Przerwał, odginał teraz inną gałązkę róży, przywiązywał ją, by rośła we właściwym kierunku.

— Dzisiejsza światowa gospodarka — co też ja wygaduję? Nigdy

jej nie rozumiałem, nigdy tak naprawdę. Nie pojmuję, cóż to miałyby mieć wspólnego z moim życiowym szczęściem. I dlatego nie wiem, nigdy tego nie zrozumieć.

— Co na moim miejscu zrobiłby pan z pieniędzmi? Cristoforo Vacchi siedział na ławce, dłonie złożył na lasce ze srebrnym uchwytem i przymknął oczy.

— Słyszysz pan, John? Brzęczenie pszczół? Z tego miejsca brzmi jak chór, daleki chór tysięcy głosów.

Milczał przez chwilę, nasłuchując, potem podniósł powieki i lustrował Johna wodnistym spojrzeniem.

— Wiele się nad tym zastanawiałem, kiedy byłem młodszy. Ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że wyrażanie naszej opinii nie może być naszym zadaniem. A wie pan dlaczego? Ponieważ naszym zadaniem było przechowanie majątku. Nie zdołalibyśmy tego dokonać, gdybyśmy nie byli rodziną opiekunów, stróżów, gdybyśmy przez pokolenia nie wykazywali absurdalnej wręcz niechęci do zmian wszelkiego rodzaju. Jednak ten, kto wypełni proroctwo, musi być reformatorem, a to jest tak odległe od mentalności naszej rodziny, jak biegun północny od południowego — diametralnie.

Na starej twarzy pojawił się uśmiech, wyraz niemal pozaziemskiej pewności.

— Jestem jednak pewien, że postąpi pan właściwie, John. Wszystko, co Giacomo Fontanelli widział w swojej wizji, stało się rzeczywistością — a więc i to się urzeczywistni.

Wieczorem znów siedzieli na tarasie, tak samo, jak w pierwszych dniach po przyjeździe Johna do Włoch, a stół znów uginał się pod miskami i garnkami, z których unosił się aromat mięsa i czosnku i dobrej oliwy. Alberto nalewał do pękających

kieliszków ciężkiego czerwonego wina i zapytał, co też porabia w dalekim Portocéto.

— Ostatnio byłem w Londynie — odpowiedział John, przeżuwając.

— Rozumiem — uzupełnić garderobę! — przytaknął Alberto. A Gregorio odpowiedział kwaśno:

— We Włoszech są również wspaniali krawcy o światowej sławie, jeśli wolno mi przy okazji wspomnieć.

— Byłem na rozmowie z właścicielem pewnej firmy inwestycyjnej — kontynuował John.

— Czy mogę dostać trochę sosu? — poprosił *Padrone*, wskazując na ciemnobrązowy dzbanuszek na drugim końcu stołu.

Eduardo podał mu go i powiedział:

— Można by się spodziewać, że ma dość pieniędzy, prawda?

— Nazywa się — powiedział John — Malcolm McCaine. *Brzdęk!* Dzbanuszek z sosem trzasnął o stół. *Brzdęk!*s Gwałtownie odstawiono butelkę z winem.

Przez mgnienie oka było tak cicho, jakby cały świat wstrzymał oddech.

Potem krzyknęli jeden przez drugiego.

— Ten oszust?! Mam nadzieję, że nie uwierzył mu pan w ani jedno słowo? Ostrzegam, temu człowiekowi nie może pan wchodzić w drogę...!

— Wiedziałem, że kiedyś się znów pojawi! Od początku mówiłem, że z tym człowiekiem będziemy mieć tylko...!

— John, na Boga, skąd panu to przyszło do głowy? Co w pana wstąpiło, żeby z takim...?

W pierwszej chwili John pomyślał, że wszyscy czterej rzucą się na niego i pobiją. Kiedy Vacchi naskoczyli na niego z krzykiem, dosłownie skurczył się w sobie, wpatrywał w cztery twarze,

które niemal wybuchły z oburzenia i nie mówił ani słowa.

Ale nikt nie może wściekać się bez końca. Choćby dlatego, że kiedyś zabraknie mu tchu.

— Niech się pan strzeże McCaina, John! — krzyknął Alberto. — To najbardziej podstępny kłamca, jakiego kiedykolwiek spotkałem w całym moim życiu!

Potem przerwał, łapiąc powietrze.

— McCaine już wtedy, kiedy instalował komputer i dowiedział się o majątku, próbował przechwycić go dla siebie! – denerwował się Gregorio. — Próbował nas przekonać, żebyśmy złamali przysięgę i sami wydali te pieniądze!

Ze złością wbił widelec w bezbronny kawałek mięsa i wsunął go do ust.

— Muszę pana ostrzec przed tym człowiekiem — oznajmił również *Padrone*, kiwając w zamyśleniu białowłosą głową. — Obojętne, jakie wrażenie zrobił na panu, proszę mi wierzyć — McCaine to psychopata. Jest opętany. To naprawdę niebezpieczny człowiek.

— John, możesz zatrudnić każdego doradcę finansowego na świecie, nawet laureata Nagrody Nobla, jeśli zechcesz — zaklinał go Eduardo. — Ale nie McCaina!

John przez chwilę odczuwał pokusę, by ulec, zgodzić się z nimi, zapomnieć o McCainie i by znów wszystko było dobrze. Niewątpliwie Anglika nie można było mierzyć normalną miarą, ale w końcu Vacchich również nie. A jeśli było coś, co byłoby mu jeszcze trudniej znieść niż kłótnię ze swoimi mecenasami i protektorami, to był to powrót w stan niezdecydowania i bezradności ostatnich tygodni. Dlatego starannie odłożył nóż i widelec obok talerza, i równie starannie oznajmił:

— Pierwszy raz, odkąd usłyszałem o prorocztwie mojego

przodka, ktoś wskazał mi sposób, w jaki mógłbym je wypełnić. Rozumiem, że panowie najwyraźniej macie nieprzyjemne doświadczenia z McCainem, ale to było dwadzieścia pięć lat temu, a muszę panom powiedzieć, że mi zaimponował.

W czterech parach oczu dostrzegł dezaprobatę.

— McCain potrafi być bardzo przekonujący, to jeszcze pamiętam — chłodno oznajmił Cristoforo. — Ale jest to człowiek na wskroś amoralny. Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że można mu przypisać wszelką niegodziwość.

— Okay, byłem jeszcze dzieckiem, kiedy on się tu kręcił — pokiwał głową Eduardo. — Znam tylko jego programy, ale i one były po części bardzo dziwne. Nie ryzykowałbym tego John, naprawdę.

— Proszę się z nim nie zadawać — ostrzegł Alberto. — Założyłbym się o każdą sumę, że będzie pan tego żałował.

Wzrok Gregoria był wprost morderczy.

— I jeszcze jedno chciałbym powiedzieć jasno: jeśli postanowi pan, że będzie współpracował z McCainem, wtedy my nie będziemy już mogli dłużej dla pana pracować.

Sierp księżyca odbijał się w spokojnym, ciemnym morzu. John stał przy barierce i wsłuchiwał się w niski głos w telefonie. To było dziwne uczucie, móc związać z nim tylko jedną twarz i jedną historię.

— Jeśli kiedykolwiek poznałem kogoś, kto zmajstrował sobie prywatną religię, to była to właśnie rodzina Vacchich — oznajmił spokojnym głosem McCain. — Oni chodzą w niedzielę do kościoła i modlą się do Boga, ale w rzeczywistości wierzą w pieniądze i w wizję Giacomo Fontanellego. W swoje święte zadanie, wyznaczone ich rodzinie.



— Ale pan musiał im przecież coś zrobić, skoro są tak wzburzeni — do dzisiaj?

Krótki niski śmiech. Choć nie zabrzmiał tak naprawdę wesoło.

— O tak, zrobiłem coś. Popełniłem świętokradztwo. Odważyłem się zaproponować, by zapomnieli o swoim świętym zadaniu i o świętym wyznaczonym dniu i zgromadzone do tego czasu pieniądze wydali na sprawy, które wtedy, w 1970, były ważne i sensowne. Majątek wynosił wówczas ponad trzysta miliardów dolarów i gdyby wtedy zainwestować je w rozwój odnawialnych energii, w ochronę przed erozją terenów rolniczych i w program ograniczenia liczby urodzin, można by zapobiec wielu nieszczęściom, które dziś czynią sytuację tak beznadziejną.

— I Vacchi reagują tak źle na wzmiankę o panu tylko dlatego, że pan to zaproponował?

— Przedłożyłem im kompletny plan. Taki już jestem. Robię to, co robię, z pełnym zaangażowaniem. Dla Vacchich musiało to wyglądać tak, jakbym chciał zagarnąć pieniądze dla siebie.

McCaine wydał dźwięk, który był na poły westchnieniem, na poły wyrazem niezadowolenia.

— Zmarnowano tak dużo cennego czasu, tylko przez upór Vacchich. Wtedy można było poczynić istotne kroki, ale nie, oni musieli czekać na wyznaczony dzień. Każdego dnia ginął jeden gatunek, każdego dnia umierały z głodu tysiące niewinnych ludzi, ale ci prawnicy nie mieli w głowie nic innego, jak tylko swoje tajemne ślubowanie.

Tej nocy nie mógł zasnąć. Leżał rozbudzony, wpatrywał w telefon, który jakby świecił w ciemności i znów przypomniał mu się Paul Siegel. Przypomniał mu się zburzony dom na ulicy, przy której rodzice przyjaciela prowadzili sklep z zegarkami. W ciepłe

dni tam się właśnie spotykali. Potrafili godzinami siedzieć na zakurzonych resztkach muru, machając nogami, obserwując przechodniów i rozmawiając o wszystkim, co się dało. Czasem odrabiali tam swoje szkolne zadania, rozkładając zeszyty na kruszącym się betonie i resztkach kafelków. Paul zawsze mu pomagał, potrafił wszystko wyjaśnić lepiej niż jakikolwiek nauczyciel — obojętne, czy chodziło o historię wojny secesyjnej, trygonometrię, czy o to, co Salinger chciał wyrazić w swoim *Buszującym w zbożu*. Tylko o dziewczynach obaj mieli równie mało pojęcia. On wtedy zawsze opowiadał to, czego dowiedział się od Lina, i dyskutowali potem o tym z czerwonymi uszami.

To było wieki temu. Teraz jego telefon wciąż nie odpowiadał.

Może Paul potajemnie mu zazdrościł? Zazdrościł bogactwa, które przypadło mu w udziale. Tak po prostu, bez walki o stypendium dla zdolnych studentów. Bez niezliczonych nocy spędzonych nad książkami i nieskończonych godzin na egzaminach. Może dlatego się nie odezwał?

John wyciągnął dłoń, zatrzymał się na chwilę, nim podniósł słuchawkę. A jednak. Która godzina jest teraz w Nowym Jorku? Wczesny wieczór. Może nawet za wcześnie, ale mógłby zostawić przynajmniej informację na sekretarce. Z szufladki nocnego stolika wyjął notatnik i wybrał numer Paula.

Ale nie odezwała się automatyczna sekretarka. Miłym, kobiecym głosem automat wyjaśnił mu, że taki abonent nie istnieje.

— Signora Sofia! Caffè, per favore! Epresto!

Głos dochodził z kuchni. Pomijając fakt, że mówił po włosku, brzmiał zupełnie jak głos Marvina. John zatrzymał się na dolnym końcu schodów i z dłonią na poręczy zastanawiał, czy ma ochotę

wchodzić w drogę swojemu gościowi. Nie, właściwie nie. Ale nadszedł czas, by na nowo uporządkował różne sprawy w swoim życiu i może nie byłoby złym pomysłem zacząć od Marvina. Zdecydowanie rozsunął się kuchenne drzwi w kolorze aluminium.

Marvin siedział u szczytu wielkiego stołu. Namówił Sofię, by zrobiła mu na śniadanie prawdziwe amerykańskie naleśniki i nasączał je właśnie syropem klonowym. Sofia dolewała mu kawy, patrząc na niego morderczym wzrokiem.

— Dzień dobry, panie sekretarzu — powiedział John i stanął za oparciem krzesła po drugiej stronie stołu. — Dawno pana nie widziałem.

Marvin podniósł wzrok, żując z pełnymi ustami.

— Hej, mistrzu — udało mu się powiedzieć i nie zauważył nawet, że z ust wypadło mu kilka okruchów. Zapraszająco wskazał na krzesła przy stole. — Siadaj.

John nie przyszedł tu po to, by zapraszano go do zajęcia miejsca w jego własnym domu.

— Wolno zapytać, gdzie byłeś przez ostatnie dni?

Marvin przełknął, zatoczył dłonią szeroki gest.

— To tu, to tam... Constantine to prawdziwa diablina, mówię ci. Po prostu nienasycona. Pilnie już potrzebowałem przerwy, by w spokoju nabrać sił, rozumiesz?

— Jeremy mówił, że dzwoniła tu i chciała z tobą rozmawiać. Więc raczej nie mogłeś być z nią przez cały czas.

— Hej, ona nie jest jedyną kobietą we Włoszech, nie? — Oparł się, położył ramię niedbale na oparciu krzesła i uśmiechnął. — Człowieku, gdybym wiedział, jak muzycy podziwiają tu kogoś tylko dlatego, że pochodzi z Nowego Jorku, to o wiele wcześniej przeskoczyłbym przez ten cholerny staw. To prawdziwy odjazd

— wiesz? Za pierwszą pensję kupiłem sobie bas Steinbergera, mówię ci, doskonały sprzęt — i trochę jamo wałem po okolicy. Po prostu genialne. Jedna laska miała takiego typu, wyglądała oryginalnie jak włoski kuzyn Jona Bon Jovi, i zostawiła go tylko dlatego, że totalnie zakręcił ją mój nowojorski akcent, możesz sobie wyobrazić?

John nie miał ochoty czegokolwiek sobie wyobrażać.

— Skoro wspomniałeś o pierwszej pensji — oznajmił lodowato — przypomina mi się, że biblioteka jest jeszcze pełna niewypakowanych kartonów z książkami, a o żadnym regale nie słyszano jak kraj długi i szeroki.

Marvin obrzucił go pogardliwym wzrokiem, sięgnął po butelkę z syropem klonowym i wylał z niej kolejny złotozółty potok na swojego naleśnika.

— Szczerze mówiąc, nie tak to sobie wyobrażałem, że moja posada ma być harówką. Myślałem, że to taki *agreement* między kumplami, z których jeden miał szczęście i pozwala drugiemu też się tym trochę nacieszyć.

— Na początku też tak o tym myślałem, ale to był błąd. Nie mogę płacić ci za nieróbstwo, gdyż karzę w ten sposób wszystkich ludzi, którzy naprawdę dla mnie pracują.

We wzroku Marvina pojawił się jakiś przyczajony błysk.

— Hej, człowieku, przypomnij sobie, jak pełzałeś, kiedy Sarah zostawiła cię na lodzie, dzieliłem się z tobą jointami i piwem. Wygląda na to, że takie rzeczy szybko popadają w zapomnienie.

*On ciągle wie, co na mnie działa*, pomyślał John i poczuł, jak narasta w nim irytacja. Sądził, że pójdzie mu łatwiej. W złość wmieszało się zniechęcenie; skoro nie potrafi rozwiązać nawet tego problemu, jak zatem chce sobie poradzić z problemami całego świata?

— Nie zapomniałem — odpowiedział. — Ale musimy znaleźć inne rozwiązanie. Nie mogę zatrzymać cię jako pracownika.

Marvin napchał sobie usta naleśnikami, jakby się obawiał, że za chwilę mu je zabiorą i potem patrzył tylko, przeżuwając. Po prosi u na niego patrzył. Można było od tego oszaleć.

— Mógłbym zaofiarować ci na początek pomoc — zaproponował w końcu John, kiedy już nie mógł tego dłużej znieść. — Jednorazowa kwota, żebyś mógł zacząć od nowa.

Marvin pokiwał głową. John zacisnął usta. Nie powie już ani słowa.

— Okay — oznajmił w końcu Marvin. — Milion dolarów.

John pokręcił głową ściągając policzki.

— Wykluczone. Maksymalnie sto tysięcy.

— Raczej skąpo, co? Czy człowiek się taki robi, jak jest bogaty?

— Sto tysięcy i musisz się teraz wziąć do roboty i jeszcze dziś wyprowadzić. — John nabrał powietrza. — Któraś z twoich niezliczonych wielbicielek na pewno cię przyjmie.

Marvin zamknął oczy i zaczął szarpać struny wyimaginowanej gitary basowej. Niewyraźnie zamruczał jakąś melodię i powiedział:

— I tak zastanawiałem się, czy nie zacząć kariery we włoskim przemyśle muzycznym. Poznałem już jednego, facet ma studio, zna mnóstwo producentów, niezły typ. Pomijając fakt, że okropnie mówi po angielsku. Albo mógłbym założyć zespół. Gwiżdżę na Nowy Jork, tam jest wszystkiego za dużo.

Otworzył oczy.

— Sto tysięcy dolarów i lot do Nowego Jorku, żebym mógł przywieźć moje piosenki i kilka rzeczy. I masz mnie z głowy.

John spojrzał na niego. Czuł się, jakby ktoś wymiół mu mózg do czysta.

- Lot w pierwszej klasie, jeśli nie żądam za wiele.
- Zgoda — przytaknął John, nim Marvinowi przyjdzie do głowy prosić o więcej.

Godzinę później John patrzył z biblioteki, której okna wychodziły na podjazd, jak Marvin wsiada do taksówki ze swoim wielkim marynarskim workiem, czekiem na sto tysięcy dolarów i milionem lirów gotówki w kieszeni. Gdy taksówka skręciła na ulicę i zniknęła mu z oczu za zamykającą się bramą, odetchnął z ulgą.

Zrobione. Nie był to może bohaterski wyczyn, ale zrobione.

Teraz, kiedy podłoga zbrukana była już pierwszą krwią, trzeba było iść dalej naprzód i dokończyć rzezi. Uniósł telefon trzymany przez cały czas w dłoni i jeszcze raz wybrał numer McCaina.

- Przyjmuję pańską ofertę — oznajmił po prostu.
- Dobrze — spokojnie odpowiedział niski głos. — Przyjadę jutro.

Potem drżącymi dłońmi wybrał numer Vacchich. Sekretarka połączyła go z Gregorio Vacchim.

— Przed chwilą zaangażowałem McCaina — powiedział John bez powitania, póki mu jeszcze starczało odwagi.

— Przykro mi to słyszeć — odpowiedział Gregorio głosem zimnym, jak lód na biegunie. — To znaczy, że się rozstaliśmy.

# 21

Później John miał wspominać ten dzień jako moment, w którym jego życie gwałtownie zostało przerzucone na najwyższy bieg i wypchnięte na pas do wyprzedzania, by przyspieszać i przyspieszać, choć on nie widział, kogo ani co goni — albo przed czym ucieka...

McCaine zadzwonił jeszcze raz, by zapowiedzieć, że przyleci wyczarterowanym Jetem i żeby go nie odbierać z lotniska, przyjedzie taksówką. Był to więc poranek wypełniony niespokojnym oczekiwaniem. Żar słoneczny lał się z nieba, powietrza nie poruszał najmniejszy powiew wiatru, pod nim nieruchomo leżało ołowiane morze. Nawet w suchych zaroślach, zwykle pełnych cykania, szelestu i świergotu, panowała martwa cisza. Pewnie z powodu upału, ale Johnowi zdawało się, jakby cykady i ptaki czekały razem z nim. Raz po raz wychodził na mały balkonik przy pokoju gościnnym, z którego widać było wjazd oraz ulicę, nad którą drżało powietrze. Nic. Nabierał potem powietrza, za każdym razem głębiej. Wychodził znów na chłód i zadawał sobie pytanie, czy podjął właściwą decyzję.

Taksówka przyjechała, kiedy poszedł do kuchni, żeby napić się szklanki wody. Przez kuchenne okno przyglądał się, jak otwierają się drzwi wozu i gramoli się z nich masywna postać McCaina. Miał przy sobie tylko aktówkę i znów dokonał tego cudu, żeby wyglądać niechlujnie w garniturze za czterdzieści tysięcy dolarów.

— Panie Fontanelli — krzyknął McCaine, kiedy John pojawił się w drzwiach. Dyszał przy tym, jakby musiał przez całą drogę od lotniska pchać taksówkę.

— Proszę zwracać się do mnie John — odpowiedział, kiedy

McCaine do niego dotarł.

— Malcolm — odpowiedział McCaine i uścisnął mu dłoń.

Na dom nie zmarnował nawet jednego spojrzenia. John poszedł przed nim do salonu, gdzie McCaine natychmiast, jakby liczyła się każda minuta, zasiadł na kanapie przy stoliku. Otworzył walizeczkę, wyjął z niej mapę świata i rozłożył ją na wypolerowanym na wysoki połysk alabastrze.

— Jakie miasto — zapytał — ma w przyszłości być centrum świata?

— Słucham? — spytał poirytowany John.

— Mam na myśli siedzibę firmy. Jako ramę dla wszystkich dalszych działań stworzymy holding, a on musi mieć oficjalną siedzibę. Oczywiście wszędzie na świecie będziemy mieli oddziały, ale potrzebujemy centrali. Pytanie brzmi: „Gdzie?”.

John niezdecydowany opuścił wzrok na mapę.

— A jakie miejsce najbardziej by się do tego nadawało?

— Każde. Pan jest John Salvatore Fontanelli, najbogatszy człowiek wszech czasów. Góra przyjdzie zawsze do pana.

— Hm — miał opory przed podjęciem decyzji tu i teraz, kierując się chyba tylko kaprysem. Ale McCaine najwyraźniej tego po nim oczekiwał. Łatwość podejmowania decyzji, czytał kiedyś, to ważna cecha osobowości przywódcy. — Co powie pan na Florencję?

McCaine przytaknął, choć z ociąganiem.

— Florencja. Świetnie, jest równie dobra jak każde inne miasto.

— W gruncie rzeczy wszystko mi jedno — pośpiesznie dodał John.

— Czy w takim razie mogę zaproponować Londyn? Nie dlatego, że ja tam mieszkam i nie dlatego, że mieszka tam w moim domu moja stara matka — to wszystko dałoby się załatwić, a ja



oczywiście dostosuję się do pańskiej decyzji. Ale Londyn to ważne miejsce w świecie finansów. Tradycyjne centrum finansowe. Jeśli umieścimy siedzibę w City, będzie to miało istotną wartość symboliczną.

John wzruszył ramionami.

— Świetnie. Londyn też mi odpowiada.

— Wspaniale. — McCaine zwinął mapę świata. — A zatem stworzymy *Fontanelli Enterprises* z siedzibą w Londynie. — Rozejrzał się pobieżnie, jakby dopiero teraz zauważył, że nie jest w swoim biurze, ale w obcym domu. — Nie będzie też trudno znaleźć tam w pobliżu siedzibę dla pana, stosowną do pańskiej pozycji.

— A co można zarzucić tej? — zdziwił się John. McCaine gwałtownie rozrzucił ramiona.

— Nic, zupełnie nic. Dom jest w porządku. Niech mnie pan źle nie zrozumie, John... — Zdawał się zastanawiać, jak ma sformułować to, co musi zostać powiedziane. — Vacchi wznieśli pana na własny poziom, nie sposób tego nie zauważyć. Ale nie wykazali przy tym zbyt wiele wyobraźni. Choć ten dom jest niewątpliwie piękny, jest to jednak siedziba zwykłego milionera, a nie najbogatszego człowieka w historii. Nawet z perspektywy miliardera z końca listy *Forbesa* mieszka pan jak biedak.

— To dla mnie obojętne — powiedział John. — Czuję się tu dobrze.

— Nie o to chodzi. Dla kogoś pańskiego pokroju dobre samopoczucie nie jest celem, ale oczywistością. Podstawowym założeniem, można powiedzieć. — McCaine siedział na sofie, a John po drugiej stronie stolika, ale mimo to Anglik zdołał spojrzeć na niego tak, jakby był surowym nauczycielem pochylającym się nad pierwszoklasistą z pozbawioną pobłażania

satysfakcją. — Tu obowiązują inne reguły gry, John. Tam, gdzie zmierzamy, nie idzie już o bogactwo, ale o władzę. A w świecie władzy trzeba grać według reguł siły, i czy się to panu i mnie podoba, czy nie, do tych reguł należy również puszenie się przed innymi. Musi im pan zaimponować i narzucić swoje zdanie. Musi pan być, John, najsilniejszym gorylem w stadzie, dominującym samcem, którego słuchają wszyscy. — Spróbował się uśmiechnąć, ale z jego oczu nie znikła powaga. Spojrzenie generała, zmuszonego poprowadzić swoje oddziały do trudnej bitwy. — I zostanie nim pan. Proszę mi zaufać.

Przez sekundę można byłoby usłyszeć spadającą igłę. Potem wysoko w powietrzu zakrzyczała mewa i przełamała rzucony urok. John skinął głową, choć nie mógłby szczerze przyznać, że naprawdę mu ufa. Ale wybrał tę drogę i nią pójdzie.

— Poza tym nic nie przeszkadza, aby zachował pan również ten domek — wzruszył ramionami McCaine. Gwałtownie poruszył się, ponownie otworzył aktówkę, wyjął z niej papiery, gruby kalendarz i telefon komórkowy. — Zatem ruszamy! — powiedział, i zabrzmiało to jak bitewne zawołanie. John przysiadł na podłokietniku fotela i przysłuchiwał się, jak McCaine dzwoni do londyńskiego notariusza i przekonuje go tak długo, aż ten zgodził się jeszcze dzisiaj wieczoru przyjąć ich w sprawie ustanowienia spółki kapitałowej.

— Proszę kazać spakować swoje rzeczy — stwierdził McCaine. — Ja tymczasem zorganizuję resztę.

John był zadowolony, że na kilka chwil wydostał się z pola magnetycznego tego człowieka. Będzie jeszcze musiał przyzwyczać się do tempa, jakie narzuca McCaine. Zawołał Jeremiego i poprosił go o spakowanie torby podróźnej.

— Na jak długo, sir? — zapytał kamerdyner. John wzruszył

ramionami.

— Kilka dni. Nie wiem. Może to trochę potrwać.

— Czy mam poinformować pracowników ochrony? Kiedy pan wyrusza?

— Dziś. Tak, proszę powiedzieć Marco.

Kamerdyner przytaknął z kamienną twarzą i oddalił się w górę schodów. John stał chwilę na korytarzu, wsłuchując się w echo głosu McCaina — jak nalega, przekonuje, decyduje, zarządza, skrycie grozi. Ten człowiek jest jak buldożer. Z bilionem dolarów w zanadrzu zniszczy wszystko, cokolwiek stanie mu w drodze.

— Wyciągi z kont! — krzyknął z salonu McCain.

— Słucham? — odkrzyknął John, niepewny, czy w ogóle o niego chodziło.

Ale oto Anglik przybiegł już sam we własnej osobie.

— Musi pan wydrukować i wziąć ze sobą aktualne wyciągi kont. Zakładam, że komputer stoi w piwnicy, prawda?

— Tak, ale nie mam pojęcia, jak miałbym cokolwiek wydrukować.

— Mogę panu pokazać.

Pomaszerowali więc do piwnicy, opancerzonej przez firmę instalującą skrytki pancerne, zgodnie z najnowszymi osiągnięciami techniki. McCainie uprzejmie odwrócił się, kiedy John wpisywał swój kod dostępu, i z uznaniem kiwnął głową, zobaczywszy PC-ta i nowy program.

— Nieźle — orzekł. — Kto to zrobił? Ten młody Vacchi, spodziewam się. Jak on się nazywa? Eduardo?

John przytaknął. Suma w dolnej linii pędziła jak zawsze, wskazywana kwota wynosiła już bilion i trzysta miliardów dolarów.

— Świetnie, świetnie. Mogę? — Zajął miejsce na krześle przed

komputerem, kliknął myszą tu i tam. — Tak jak myślałem, zrobił nakładkę na mój program. Ale udaną, muszę przyznać. Tak, spójrzmy zatem, co możemy wydrukować...

— Czy to nie będzie ogrom papieru? — przyszło do głowy Johnowi.

— Licząc jeden wiersz na konto około daje to dwanaście tysięcy stron — skinął głową McCaine. — Okrągłe trzydzieści segregatorów. To oczywiście za dużo; wydrukujemy tylko zestawienie według krajów i rodzajów lokat. To zaledwie około czterdzieści arkuszy. — Drukarka zaczęła z buczeniem wypluwać papier. — Przy okazji coś przyszło mi do głowy, w piwnicy Vacchich dalej jest ten stary komputer, prawda? Musimy go odłączyć. Nie dlatego, żebym nie ufał Vacchim, oni są po prostu nieludzko uczciwi, ale nie podoba mi się sama myśl, że istnieje gdzieś dziurka od klucza, którą można by podglądać nasze finanse, rozumie pan?

— Mhm — mruknął John. Poczul się trochę nieswojo, słysząc, jak McCaine mówi o *naszych* finansach. Ale to z pewnością tylko pozbawione znaczenia przejęzyczenie.

Procedura utworzenia *Fontanelli Enterprises Limited* odbyła się, o ile to możliwe, jeszcze mniej spektakularnie niż przekazanie spadku. Niebo nad Londynem ściemniało się już, gdy wchodzili do kancelarii notarialnej — wyłożone ciemną boazerią, wysokie pomieszczenia, w których czuło się jeszcze ducha Brytyjskiego Imperium. Notariusz, dystyngowany siwowłosy mężczyzna o sylwetce gracza w polo, wyglądał i zachowywał się, jakby był krewnym samej królowej. Swoim precyzyjnie artykułowanym *upperclass-english*, brzmiącym, jakby mówca miał w ustach gorący kartofel, wyłożył Johnowi zawartość dokumentu

założycielskiego i tylko w momencie, gdy uświadomił sobie, że ustanawia właśnie spółkę z płynnym kapitałem własnym w wysokości biliona dolarów, na moment stracił opanowanie, bezzwłocznie jednak pokonując zakłopotanie i kontynuując, jakby nic się nie stało. John — wyjaśnił — będzie jedynym właścicielem udziałów spółki, a Malcolm McCain zostanie jej prezesem. Dalej były całe strony paragrafów, a na koniec zapytał o umowę o pracę prezesa.

— To przecież teraz bez znaczenia — wyrwało się McCainowi, nie kryjącemu zniecierpliwienia. — Zawrzemy zupełnie normalną umowę o pracę. Możemy to zrobić również sami.

— Jak pan uważa — odpowiedział prawnik, pochylając głowę nieco w bok, co najwyraźniej miało być wyrazem dezaprobaty.

McCaine zerknął na Johna.

— Chciał tylko więcej na nas zarobić — szepnął do niego po włosku.

Znów pieczątki, podpisy, bibuła. Żadnego szampana, żadnych gratulacji. Szczupła, blada kobieta czekała w drzwiach, by odebrać od nich dokumenty do depozytu w kancelarii, potem notariusz przekazał Johnowi jego egzemplarz, krótko uściśnił obu dłonie i było po wszystkim. Pięć minut później siedzieli w samochodzie wiozącym ich do hotelu.

John był przygotowany na to, że obudzwszy się następnego ranka, zobaczy hotel oblegany przez dziennikarzy. Jednak ku jego niemałej zresztą uldze, kiedy się obudził i zerknął zza ciężkich zasłon na ulicę, nie dostrzegł ani jednej anteny satelitarnej.

Ich dyskretna nocna ceremonia nie pozostała jednak zupełnie niezauważona. Kiedy John siedział w jadalni swojego

apartamentu przy wręcz imponująco niesmacznym śniadaniu, z plikiem gazet pod pachą zjawił się McCain. *Sun* na ostatniej stronie okładki publiko wała dłuższą notatkę, której myśl przewodnia brzmiała: „bilionowy goguś sprawił sobie nową zabawkę”. *Financial Times* uznał za stosowne zamieścić dwukolumnowy artykuł, choć na pierwszej stronie. ale za to na samym dole i przepełniony ową ostrą kpina, z której słynie ta gazeta. Z przekąsem zauważono, że nie wiadomo jeszcze nawet, jaki biznesowy cel ma przyświecać *Fontanelli Enterprises*. Czy pozostając pod wrażeniem prorocstwa, zacznie od wykupienia puszczy tropikalnej, by powstrzymać jej wycinkę i w ten sposób uratować zielone płuca Ziemi?

— Jeszcze się zdziwią — to był cały komentarz McCaina.

John przekartkował stos gazet.

— A co z amerykańskimi dziennikami?

— Jeszcze na nie za wcześnie — powiedział McCain. — Tylko CNN nada później specjalny program, półgodzinny. Choć zastanawiam się, czym zamierzają go wypełnić. Spekulacjami, zapewne.

— To dobrze czy źle? — zapytał John, oglądając ze wszystkich stron lichego tosta. Postanowił go nie jeść.

McCaine złożył gazety i wyrzucił do kosza.

— *Any publicity is good publicity*, to obowiązuje nie tylko w Hollywood. Sporo ludzi straci dziś apetyt na śniadanie.

Kawa, mówiąc szczerze, również nie nadawała się do picia.

— Możemy pójść gdzieś, gdzie można by zjeść porządne śniadanie? — poprosił John.

McCaine jeszcze w hotelowej windzie zaczął dzwonić do maklerów nieruchomości w sprawie odpowiedniego biura.

— Najchętniej cały wieżowiec w City — tłumaczył jednemu z

rozmówców, kiedy szybkim krokiem przechodzili przez foyer. — Zapłacę gotówką, jeśli będzie trzeba.

John z zaskoczeniem zauważył, że McCainie wszystko pamięta. Zna na pamięć wszystkie numery telefonów, zapamiętywał podawane mu przez maklerów adresy, i najwyraźniej nie potrzebował planu miasta, by je odnaleźć, gdyż w samochodzie nie miał niczego w tym rodzaju.

— Myślę, że na początek potrzebne nam będą filie w Nowym Jorku, Tokio, Paryżu, Berlinie, Sydney i Kuwejcie — wyjaśniał McCainie, przedzierając się swoim nadal nie posprzątanym jaguarem przez ruch uliczny londyńskiego śródmieścia. Marco, Carlin i trzeci ochroniarz, mający na imię również John, jechali za nimi opancerzonym mercedesem, wypożyczonym od jakiejś londyńskiej firmy ochroniarskiej.

— Jak tylko uporamy się z organizacją, musimy mieć przedstawicielstwa co najmniej w każdej stolicy świata.

— Kuwejt? — zdziwił się John.

— Ropa naftowa — odpowiedział McCainie.

— Ropa? Jest jeszcze taka ważna?

McCainie obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

— W porównaniu z technologią genetyczną?

— Na przykład. To znaczy, chodzi przecież o przyszłość, i wtedy przecież na pewno takie branże... tak się w każdym razie czyta.

— John, niech pan zapomni o tej całej gadaninie. Branże przyszłości — jasne, na technologiach genetycznych, farmacji, softwarze internetowym i tak dalej da się zarobić mnóstwo pieniędzy. Jeśli wierzyć giełdzie, Microsoft jest wart więcej niż cała Rosja. Ale czy pan w to wierzy? Kilka budynków z komputerami miałyby być warte więcej niż największy kraj na Ziemi, z jego ropą, surowcami naturalnymi, ogromnymi

przestrzeniami? To nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To jedynie punkt widzenia giełdy, a giełda to nic więcej niż rodzaj zakładów bukmacherskich. Jedyna różnica w tym, że gra się na niej udziałami w wysokości zabronionej u zwykłego bukmachera. — Wzrok, jakim McCainie patrzył na ruch uliczny, przywodził na myśl szpiega podczas wojny. Błyskawicznym manewrem zmienił pas ruchu. — W prawdziwym życiu liczy się tylko żywność i energia. Wie pan, że w tym roku światowe rezerwy pszenicy, ryżu i innych gatunków zbóż są na najniższym poziomie od dwóch dziesięcioleci? W wiadomościach to się oczywiście nie pojawia, oni wolą opowiadać o jakiejś szarpaninie w Bośni i Hercegowinie. A prognozy na tegoroczne zbiory są złe, co znaczy, że w przyszłym roku zapasy spadną zapewne poniżej poziomu pięćdziesięciodniowego światowego zapotrzebowania. Do tego ze wzrostem zaludnienia na świecie kurczą się obszary rolnicze, na skutek erozji, zasolenia, wyjałowienia, zasiedlenia. Na samej Jawie zabudowuje się właśnie ulicami, osiedlami i fabrykami dwadzieścia tysięcy hektarów, powierzchnię, która mogłaby wyżywić ponad trzysta tysięcy ludzi — podczas, gdy ludność Indonezji wzrasta rocznie o trzy miliony. Dlaczego, jak pan sądzi, USA przywiązuje tak wysoką wagę do tego, by być największym eksporterem zboża na świecie? Bo to daje władzę. Wkrótce amerykańskie silosy zbożowe będą oznaczały większą władzę niż lotniskowce US Navy.

— Czy to znaczy, że chce pan kiedyś zagrozić rządowi powstrzymaniem dostaw żywności? — zapytał John.

— Nie. Nie trzeba grozić. Wystarczy zadbać o to, żeby dla drugiej strony było jasne, co *możemy* zrobić, a potem powiedzieć, czego się chce. To załatwia sprawę. — McCainie uśmiechnął się wieloznacznie — Niech się pan nie obawia. Niedługo zobaczy



pan, jak to działa.

Tydzień później John podpisał przelew budzącej respekt kwoty w brytyjskich funtach za budzący respekt wieżowiec w City of London, należący wcześniej do National Bank of Westminster. Akurat demontowano ich sztyl, kiedy pierwszy raz przyjechali jako nowi, prawowici właściciele.

— Nie trafiło na biedaków — lekkim tonem skomentował McCaine — mają jeszcze pięć takich drapaczy chmur w okolicy, większość wyższa od tego.

Nawet opróżniony do czysta budynek nadal emanował aurą władzy, bogactwa i stuletniej historii. Ich kroki niesły się echem, gdy wędrowali po ogromnych, zdobionych sztukaterią pomieszczeniach, po starym, solidnym parkiecie, i przez wysokie okna wyglądali na miasto.

McCaine wyglądał na bardzo zadowolonego z zakupu, dzięki któremu założyli swoją kwaterę główną, jak się wyraził, „w sercu terytorium wroga”.

— Niech pan wyjrzy, John — zachęcił go, kiedy doszli do najwyższego pietra. — Oto City, samodzielna dzielnica z własną administracją, własną konstytucją, własną policją, niemal suwerenne państwo. Naprzeciw jest Bank of England, tam Lloyd's of London, londyńska giełda jest tutaj, dosłownie każdy liczący się dom kupiecki ma tu swoje biuro. Nigdzie na Ziemi nie znajdzie pan bogatszej dzielnicy. To prawdziwy Watykan Pieniądza — a my jesteśmy w samym jego środku.

John przyglądał się panoramie Londynu, wijącej się ciemnymi meandrami Tamizie, myślał o liczbie zer na podpisanym niedawno czeku, i mimo wszystko nie czuł wielkiego podziwu.

— I co teraz zrobimy? — zapytał.

McCaina prawdopodobnie można by obudzić w środku nocy, a on podałby wszystkie szczegóły swojego planu.

— Zatrudnimy ludzi — wyjaśnił niezwłocznie, nie odrywając wzroku od widoku za oknem, zresztą naprawdę imponującego. — Analityków, którzy wezmą pod lupę wszystkie firmy na świecie, żeby stwierdzić, które z nich będą nam potrzebne. Specjalistów od zarządzania, zdolnych zbudować organizację. Prawników, którzy szczelnie nam wszystko zabezpieczą. I tak dalej. Możemy przejść kilku ludzi z mojej starej firmy, ale to nie wystarczy. Dałem ogłoszenia do wszystkich ważnych gazet, ukążą się jutro, poza tym zleciłem różnym *head hunterom* i doradcom personalnym, by szukali dla nas dobrej kadry kierowniczej.

— Head hunterom? — powtórzył jak echo John.

Zastanawiał się tylko głośno, o jaki może chodzić zawód, ale McCaine zrozumiał chyba jego uwagę jako troskę o związane z tym koszty, gdyż pośpiesznie wyjaśnił:

— Sukces każdego przedsięwzięcia rośnie i upada wraz z jego pracownikami. Można by sądzić, że to najpilniej strzeżona tajemnica gospodarki, ale w rzeczywistości w ogóle nie jest strzeżona. Wszędzie można o tym przeczytać, ale mało kto to rozumie. Nie rozumieją tego przede wszystkim ci, którzy szukają pracy. Bo gdyby rozumieli, świat wyglądałby inaczej.

Później John zrobił sobie jeszcze mały spacer po Watykanie pieniądza. Sam, pierwszy raz od... Prawie nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz szedł gdzieś sam. McCaine zapewnił go, że nic mu się nie stanie; i rzeczywiście, na każdym rogu obserwowała go kamera, a obecni wszędzie policjanci, w hełmach ozdobionych własnym herbem, nie spuszczały go z oczu. Wszystko było czyste, jak wylizane, i trochę nudne, mimo

złożonych zwierząt na godłach i okazałych fasad. Na ulicach chodziło niewielu ludzi, turystów raczej wśród nich nie było.

W wąskiej, niepozornej jednokierunkowej uliczce natknął się na szyld z napisem: „N.M. Rothschild & Sons”. Zajrzał do holu wejściowego. Wielki obraz na ścianie ukazywał Mojżesza i jego lud w chwili, kiedy otrzymali od Boga tablice z dziesięcioma przykazaniami.

— Sir? — obok niego jak spod ziemi wyrósł strażnik w ciemnym kombinezonie. — Czy zechciałby pan pójść dalej? — poprosił z chłodną jak stal uprzejmością.

John spojrział na niego. *Mógłbym kupić ten bank i go wyrzucić*, przemknęło mu przez myśl. Zobaczył swoje odbicie w ciemnych szybach westybulu. Nie ten *outfit*. Garnitur zostawił w hotelu, miał na sobie jeansy i cienką wiatrówkę. Ona też wprawdzie kosztowała sporo pieniędzy, ale na to nie wyglądała. Zdecydowanie nie wyglądał na klienta N.M. Rothschild & Sons.

— W porządku — odpowiedział. — I tak chciałem już iść.

Agent nieruchomości był chuderlawy, seplenił, miał nieregularne rysy twarzy i brudnorude, niesforne włosy, ale jego perfumy pachniały pieniędzmi, a na wizytówce pyszniło się wytłaczane, złote godło. I oczywiście do wchodzących w grę „obiektów”, jak się wyrażał, woził ich rolls-royce'em.

— Właścicielem tej posiadłości — mówił przez nos, kiedy powoli podjeżdżali do ogromnej bramy kutej z żelaza — był osiemnasty earl von Harrington-Keynes, zmarły niestety bezdzietnie. — Dotknął pilota. Kiedy skrzydła bramy z arystokratyczną nonszalancją otwierały się przed nimi, wskazał na wprawione w nie herby. — Te insygnia musiałyby pan oczywiście ewentualnie kazać usunąć.

— Oczywiście — odpowiedział McCaine. — Ewentualnie.

Wtoczyli się przez bramę. Ogrodzenie po prawej i lewej stronie pochodziło chyba jeszcze z okresu inwazji Normanów, w cieniu wznoszących się za nim dumnie drzew chronił się może jeszcze Henryk VIII, posesji na razie nie można było dostrzec. Wóz powoli sunął w górę zbocza przez krajobraz przywodzący na myśl wspaniałe tereny myśliwskie albo zdziczały plac golfowy.

— Hrabina od lat mieszka w domu opieki i nie ma już możliwości odpowiednio dbać o rodzinne włości — kontynuował swoje wywody agent nieruchomości. — Przed dwoma laty zdecydowała się ją zbyć.

Minęli wzgórze. Roztoczył się przed nimi wspaniały widok. Jakby nie z tego świata, wznosił się przed nimi zamek, zbudowany na wieczne trwanie z niezniszczalnego szarego bazaltu. Miał trzy wielopiętrowe skrzydła, otaczające umieszczony symetrycznie staw, zwieńczone wieżami wykusze na zewnętrznych narożnikach i pod dobudowanym wyraźnie później zadaszeniem wejście główne, przed którym zatrzymał się samochód.

Wysiedli. John nieco osłupiały patrzył na front zamku, przesuwał wzrokiem z jednego końca do drugiego — a trzeba było na to sporo czasu. To coś było większe niż osiedle, na którym stał dom jego rodziców. Przyszło mu do głowy pytanie, czy kiedykolwiek ktoś policzył, ile tu jest właściwie okien.

— I co, John? — spytał McCaine z takim zachwytem, jakby sam własnoręcznie to wszystko zbudował. — Co pan na to powie?

John odwrócił się, spojrział w kierunku, z którego przyjechali.

— Dość daleko do skrzynki na listy, prawda? — stwierdził. — Szczególnie kiedy pada.

Agent przerażony wytrzeszczył oczy, ale McCaine tylko

roześmiał się i powiedział:

— Proszę nas oprowadzić.

W holu wejściowym można by grać w tenisa. Z większych od człowieka, ciemnych olejnych malowideł w złożonych ramach spoglądały na nich zblazowane oblicza martwych lordów.

— Galeria przodków jest obiecana muzeum — wyjaśnił pośrednik. — Musi pan wyobrazić sobie ten hol bez obrazów.

— Z ochotą — odpowiedział John.

Korytarze ciągnęły się bez końca. Większość klamek pokrywał kurz. Jadalnia przywiodła im na myśl wnętrze kościoła.

— Absolutnie stosowne do pozycji — orzekł McCaine.

— Trochę tu ciemno — stwierdził John.

Okna były wysokie, ale wąskie, a przy wyposażeniu w światło elektryczne nie wykazano szerokiego gestu.

— Pewien amerykański historyk twierdzi, że zamek pod względem powierzchni jest dokładnie dziesięć razy większy od Białego Domu w Waszyngtonie — oznajmił pośrednik nieruchomości, zastrzegając się: — Tego jednak nikt jeszcze nie sprawdził.

McCaine z powagą pokiwał głową. John czując się nieswojo, przełknął ślinę. Wędrowali jeszcze trochę po obszernych pomieszczeniach i kiedy spotkali się znów, McCaine odciągnął Johna na bok i cicho spytał:

— I co? Ja myślę, że to w miarę odpowiednia siedziba dla najbogatszego człowieka świata.

— Zamek? Czy to aby nie przesada?

— Nonsens. Każda większa gwiazda rockowa ma coś takiego. Mam pokazać panu wiejską posiadłość Micka Jaggera? Albo zamek, w którym mieszka George Harrison?

— Ale to mi się wydaje okropnie... duże!

— John — powiedział McCain, patrząc mu z powagą w oczy. — Musi pan nauczyć się myśleć z rozmachem. To tutaj to tylko początek. Proszę potraktować to jako obiekt codziennych ćwiczeń.

W ten sposób John Fontanelli, najbogatszy człowiek świata, kupił angielski zamek z piętnastego wieku wraz z posiadłością o powierzchni niemal czterech mil kwadratowych, z licznymi domkami dla służby, stajniami, oborami, domkami ogrodowymi i leśnymi altanami, ze stróżówką i własną kaplicą. Restauracją zabytkowej budowli zajęło się konsorcjum firm budowlanych, a przedstawiciel renomowanego biura architektów stawiał się co trzy dni celem zdania sprawozdania z postępu prac i udzielenia odpowiedzi na ewentualne pytania. Planowano na krótko przed Bożym Narodzeniem doprowadzić prace do takiego etapu, by John mógł się wprowadzić.

McCaine nalegał, by nie szczczędząc kosztów ani wysiłków urządzić wszystko z jak największym przepychem. Parter północnego skrzydła przebudowano na wielki basen z jacuzzi, kilkoma saunami i łaźniami parowymi, pokojem do masażu i przylegającym ogrodem zimowym z egzotycznymi roślinami. Chcąc stworzyć odpowiednie miejsce dla luksusowych samochodów, które za namową McCaina sprawił sobie John — na początek po jednym egzemplarzu marki Rolls-Royce, Jaguar, Mercedes-Benz i Lamborghini — oraz by móc odpowiednio o nie dbać, większość stajni przebudowano na garaże i urządzono warsztat samochodowy. O dom i obejście miało troszczyć się dwustu pracowników; by móc nadzorować ich doborem i zatrudnieniem, Jeremy przekazał zarządzanie domem w Portecéto Sofii i przyjechał do Londynu. Do prowadzenia kuchni zwerbowano francuskiego kucharza wielokrotnie honorowanego

nagrodami i gwiazdkami, który przyprowadził własną załogę, od kuchcika do mieszania sosów po krojczego warzyw, i otrzymał całkowicie wolną rękę i prawie nieograniczony budżet na wyposażenie kuchni.

W odległym zakątku posiadłości zbudowano lądowisko helikoptera, wyposażone w system oświetlenia. Wiosną miało się okazać, że hałas lądującego helikoptera daje się wprawdzie wytrzymać w zamku, jednak specjalnie importowane pawie, malowniczo przechadzające się wśród świeżo założonych kwiatowych rabat, okazują za każdym razem irytację.

## 22

Jego życie raptem zaczęło toczyć się solidniejszym i regularniejszym torem niż kiedykolwiek przedtem. Wstawał rano o wpół do siódmej, brał prysznic, jadł śniadanie, o wpół do ósmej czekał na niego samochód, wiozący go do biura, w asyście gromady ochroniarzy, których liczba zdawała się rosnać z dnia na dzień, codziennie inną trasą. Dzięki temu widział przynajmniej odrobinę Londynu, gdyż resztę dnia spędzał z miotającym się jak opętany McCainem, którego same towarzystwo działało jak narkotyk.

Hordy rzemieślników przewalały się przez biurowiec, instalując telefony, sieci komputerowe i elektroniczne zamki, przekładając podłogi, odnawiając grzejniki, burząc, stawiając, wykładając boazerią albo malując ściany, układając marmur tam, gdzie wcześniej było tekowe drewno, i złoto tam, gdzie wcześniej wystarczała nierdzewna stal. John z trudem odnajdywał się w swoim biurze o wymiarach czteropokojowego mieszkania, z takim widokiem na panoramę miasta, że można by za jego oglądanie pobierać przy wejściu opłatę. McCain otrzymał lustrzane odbicie jego gabinetu w przeciwległym narożniku budynku, zaś między nimi znalazła się ogromna sala konferencyjna, jak z filmu z Jamesem Bondem, ze stołem wielkim jak kort tenisowy, mnóstwem ekranów i projektorów, żaluzjami i innymi gadżetami, a miejsc siedzących było w niej więcej niż w Parlamencie. Pozostałą część piętra zajmował pełen przepastnych skórzanych foteli, szklanych stoliczków i rozrastających się bujnie hydroponik hol, przeznaczony dla rzeszy gości oczekujących w nim, aż zostaną wpuszczeni przed oblicze Johna i McCaina. Sześć sekretarek, pięknych jak z



obrazka, zasiadało za ladą ze śnieżnobiałego marmuru, by swoim widokiem cieszyć oko wspomnianych już gości, jednak tymczasem nie pojawiali się żadni goście, więc McCain kazał im pisać listy i wykonywać rozmowy telefoniczne.

Dni układały się w tygodnie, tygodnie w miesiące, i dało się nic mai fizycznie odczuć, jak sprawy nabierają tempa. Puste tabliczki informacyjne w windach i na klatkach schodowych wypełniały się. Na piętrze bezpośrednio pod nimi urządził się dział kadr, zaś zatrudniani przez nich analitycy i ekonomiści zaludnili najniższe trzy piętra. Reszta budynku była jeszcze pusta, istniały już jednak dokładne plany jej wykorzystania, codziennie przychodzili rzemieślnicy i dostarczano meble, toteż należało spodziewać się, że przed końcem roku w całym wieżowcu będzie wrzało od pracy. Zdawało się, jakby powoli ruszała z miejsca ważąca miliony ton lokomotywa, na początku ledwie dostrzegalnie, lecz niepowstrzymanie, kiedy już znalazła i się w ruchu.

Wspominali coś niejasno o załatwieniu dla Johna mieszkania na okres przejściowy, jednak ostatecznie nie miał ochoty na ponowne obwożenie się z agentami nieruchomości i zdecydował, że równie dobrze może na ten czas pozostać w hotelu. Apartament był dostatecznie duży, by mógł już zacząć przyzwyczajać się do późniejszego mieszkania w zamku, i tak czy inaczej wszystko było luksusowe, nawet śniadania poprawiły się, odkąd poczynił na ten temat krótką uwagę przy dyrektorze hotelu; przez kolejny tydzień każdego ranka po uprzątnięciu talerzy pojawiał się osobiście szef kuchni, by gorliwie dopytywać się o jego uwagi i życzenia, aż naleśniki stały się tak lekkie, kawa tak aromatyczna, tosty tak chrupkie, że John już kładąc się do łóżka cieszył na następny poranek.

Pierwotnie miał zamiar kazać przysłać sobie z Portecéto więcej garniturów i tym podobnych, ale wtedy przypomniało mu się upomnienie McCaina, że ma *myśleć z rozmachem*, więc polecił zadzwonić do krawców, i tak mających już jego wymiary, i zamówić wszystko nowe. I to nie za sześć tygodni, ale *pronto!* I, o cudowna mocy pieniądza, nikt nie potrzebował więcej niż trzech dni, by dostarczyć mu żądane garnitury, koszule i resztę wprost do hotelu. Nikt nie zawracał mu głowy rachunkiem. Wszystko jakoś regulowało się samo, John nie wiedział, jak, i niezbyt go to interesowało.

Dni, układające się w tygodnie, były jak niekończący się wir wydarzeń, bez przerw, bez weekendów ani świąt. McCaine włókł go na rozmowy, dawał mu do czytania projekty, brudnopisy kontraktów i nieskończenie długie szeregi liczb, wyjaśniał mu bilanse i statystyki ekonomiczne i kazał mu podpisywać czeki, umowy kupna, umowy najmu, umowy o pracę, formularze rozmaitych urzędów i tak dalej. Kiedy John wśród tego wszystkiego miał odrobinę czasu, siadał za swym okazałym biurkiem w swoim okazałym biurze i czytał rozmaite codzienne gazety, prasę finansową i raporty giełdowe, albo jedną z książek o ekonomii, ekonomiczne przedsiębiorstw i ekologii, które polecił mu McCaine. Większości z nich nie rozumiał dalej niż do dziesiątej strony, ale starał się nie dać tego po sobie poznać. Przeważnie nie trwało pół godziny, a McCaine znów wzywał go do siebie i John mógł tylko z podziwem przyglądać się, jak ten człowiek telefonuje całą baterią telefonów naraz, równocześnie kając ludziom wygłaszać raporty i odsyłając ich z nowymi zadaniami. Kiedy John przyjeżdżał rano o ósmej, McCaine już tam był i, choć żadnym słowem ani miną nie dawał do zrozumienia, że oczekuje od niego podobnej ofiarności, John nie

mógł pozbyć się narastającego poczucia winy, kiedy wieczorem o ósmej chciał iść do hotelu, a McCain *wciąż* był w pracy. Z czasem zaczął się zastanawiać, czy McCain w ogóle kiedykolwiek chodzi do domu.

Tak układały się dni, tak mijał czas. Francja mimo międzynarodowych protestów odpaliła bombę atomową pod atolem Mururoa, futbolista OJ. Simpson, po zmienionym w medialną sensację procesie sądowym, został uwolniony od zarzutu morderstwa, a izraelskiego premiera Icchaka Rabina zastrzelono podczas manifestacji pokojowej. Londyn coraz częściej ukazywał mu się podczas porannej jazdy otulony przydymioną szarą mgłą, od dawna już przed hotelem nikt nie czekał na Johna Fontanellego z mikrofonami i fleszami, aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy naprawdę się zaczęło.

— Oto one. Pierwsze zalecenia analityków...

— Ach — mruknął John.

— ...które — kontynuował McCain i rzucił stos papierów na stół — najpierw zignorujemy.

Trzask, z jakim papiery wylądowały na imponującym, pozbawionym najmniejszej skazy blacie stołu konferencyjnego, jeszcze przez chwilę rozbrzmiewał echem. W tym wielkim pomieszczeniu zapanowała taka cisza, jakby świat na zewnątrz naprawdę nie istniał.

— I zamiast tego... co zrobimy? — zapytał John, gdyż wyczuwał, że McCain czeka na to właśnie pytanie.

— Nasze pierwsze przejęcie firmy — wyjaśnił McCain — musi być jak cios pałką. Porządny młot. Coś, czego nikt nie będzie mógł zignorować. I nasz pierwszy cios musi trafić w kręgosłup cały świat.

John patrzył na widok, jaki prezentowały papiery. Rozległa

powierzchnia stołu konferencyjnego migotała w świetle porannego słońca jak czarne jezioro podczas flauty, a rozrzucony stos był jak skalista wyspa.

— Sądzi pan, że powinniśmy kupić jakąś naprawdę dużą firmę?

— Tak, z pewnością. Ale samo to nie wystarczy. Ona musi równic/ coś symbolizować. To musi być coś więcej niż tylko firma. To musi być instytucja. I to amerykańska. Musimy tej wiodącej sile gospodarczej świata wyrwać najlepszy kawałek, i to jednym, sprytnym ruchem.

John zmarszczył czoło, przebiegał w myślach nazwy firm, które znał. Mniej czy więcej wszystkie one były instytucjami, prawda? Wyglądało na to, że w tym tkwi istota odnoszącej sukcesy firmy, że zmienia się w coś na kształt instytucji.

— Malcolm, pan mnie przecież nie pyta, którą mamy wziąć. Pan ma już jedną na celowniku.

McCaine niedostrzegalnie skinął głową, położył dłoń gestem posiadacza na czarnym, gładkim jak tafla jeziora blacie.

— Jest pan Amerykaninem. Jakie nazwiska łączy pan z bogactwem?

— Bill Gates.

— OK, nie o niego mi teraz chodzi. Myślę o kimś z poprzedniego stulecia.

John musiał się chwilę zastanowić, nim na to wpadł.

— Rockefeller?

— Właśnie. John D. Rockefeller. Czy wie pan, jak nazywała się jego firma?

— Proszę poczekać — Standard Oil? — Czy w szkole kiedykolwiek o tym mówiono? Nie pamiętał. Czytał o tym w jakiejś książce, raczej przypadkiem. I w telewizji coś było przed laty. — Tak, właśnie. Standard Oil Corporation. To ta historia.

Rockefeller miał monopol na rynku ropy naftowej, póki rząd nie wprowadził prawa antymonopolowego i koncern nie został rozbity.

— To wersja dla ludu. Prawdziwa historia jest taka: John D. Rockefeller został oskarżony w 1892 w Ohio o przekroczenie prawa antymonopolowego. Uniknął jednak egzekucji wyroku sądu, rozbijając Standard Oil i dzieląc jego majątek na firmy w innych krajach. One nadal były kontrolowane przez niego i jego sztab. Wyrok sądu zmusił go do utworzenia pierwszego wielonarodowego koncernu.

— Znakomicie. I co? Mimo to Standard Oil już nie istnieje.

— Tak pan myśli? Standard Oil Company of New York od 1966 nazywa się Mobil Oil. Standard Oil z Indiany, Nebraski i Kansas dokonały między 1939 a 1948 fuzji i od 1985 nazywają się Amoco. Standard Oil Company z Kalifornii i Kentucky połączyły się w 1961 i od 1984 działają pod nazwą Chevron. A największy z wszystkich jest dawny holding, Standard Oil of New Jersey, który w 1972 zmienił nazwę na Exxon Corporation.

John wpatrywał się w niego i czuł, jak opada mu szczęka.

— Chce pan kupić Exxon?!

— Właśnie. Exxon z wielu powodów jest idealnym kandydatem na pierwszy cios. To jedna z pięciu największych firm na świecie, po Shellu drugi co do wielkości koncern energetyczny, działa na całym świecie, ma przedstawicieli na każdym kontynencie poza Antarktydą. I, o czym nie wolno zapominać, Exxon jest na tej planecie jedną z firm przynoszących największe zyski.

— Exxon...? — John poczuł nagle, że serce podchodzi mu do gardła. — Ale czy możemy sobie na to pozwolić? To znaczy, Exxon to przecież gigant...

McCaine wyjął ze swoich papierów gazetę i otworzył ją przed

Johnem.

— Oto lista pięciuset największych przedsiębiorstw przemysłowych świata według *Fortune*. Ważna jest przedostatnia kolumna, kapitał własny. Aby mógł pan kontrolować firmę, wystarczy posiadać pięćdziesiąt jeden procent.

Podsunał mu listę.

— Po prostu proszę policzyć, jak daleko pan zajdzie.

John gapił się na listę. Czytał nazwy jak General Motors, IBM, Daimler-Benz, Boeing albo Philip Morris. Sięgnął po wielki kalkulator, zaczął dodawać tylko miliardy i przerwał, kiedy pod koniec pierwszej strony doszedł do pozycji pięćdziesiątej i wciąż pozostało mu jeszcze sześćset miliardów.

— Naprawdę mogę kupić pół świata — mruknął.

McCaine skinął głową, jak nauczyciel zadowolony z odpowiedzi swojego najbardziej tępego ucznia.

— A kiedy już pan kupi pół świata — uzupełnił — nie straci pan swoich pieniędzy. Pan je zainwestuje, John. To znaczy, że dopiero wtedy zaczną zarabiać jeszcze więcej pieniędzy. Pieniądzy, za które dostaniemy całą resztę.

Był to jeden z tych magicznych momentów, które człowiekowi zostają w pamięci jak wspaniale doświetlone kolorowe przezrocza. John siedział, wpatrywał się w listę nazw wydrukowanych na zmianę na błękitnym i niebieskim tle i na liczby, niemal niepozorne liczby, jeśli porównywać je z niesamowitą wagą majątku o wartości biliona dolarów, i pojął w tym momencie iluminacji, pierwszy raz pojął naprawdę, jaką władzę włożono w jego ręce. Dopiero teraz zrozumiał, co zamierza McCaine, zrozumiał cały rozmach planu i jego niepokonaną dynamikę, którą mieli zamiar rozwinąć. Odniosą

sukces. Po prostu dlatego, że nie było nikogo ani niczego, co mogłoby stanąć im w drodze.

— Tak — szepnął. — Tak to zrobimy.

— Dwa tygodnie — powiedział McCaine. — Wtedy będziemy siedzieć w Teksasie.

Johnowi jeszcze coś przyszło do głowy.

— Czy to znaczy, że praktycznie wszystkie wielkie koncerny naftowe, jakie istnieją, wywodzą się z Rockefeller Standard Oil Corporation?

— Nie wszystkie. Shell ma korzenie w Holandii i w Anglii i nigdy nie miał nic wspólnego ze Standard Oil. Elf Aquitaine jest francuskiego, a British Petroleum, jak sama nazwa wskazuje, brytyjskiego pochodzenia.

McCaine pochylił się.

— Ale czy pan coś zauważył? Był już ktoś, kto próbował pójść w naszym kierunku. Problem Rockefellera polegał na tym, że pojawił się za wcześnie. W zasadzie nie wiedział, co począć z władzą, którą zdobył. Gdyby żył dzisiaj, po pierwsze nie udałoby się rozbić Standard Oil, a po drugie wiedziałby, że wybiła jego godzina. Prawdopodobnie realizowałyby ten sam plan, co my.

Jeszcze tego samego dnia *Fontanelli Enterprises* ogłosiło, że zamierza przejąć Exxon. Kapitał zakładowy Exxon Corporation wynosił w tym momencie 91 miliardów dolarów, uzupełniany przez kapitał własny w wysokości 40 miliardów, podzielonych na dwa i pół miliarda udziałów w posiadaniu sześciuset tysięcy zarejestrowanych udziałowców. Aktualny kurs wynosił około 35 dolarów, Fontanelli zaproponował 38 dolarów za akcję.

Zarząd Exxonu niezwłocznie zebrał się, by naradzić się co do sytuacji. To był szok; wyniki ekonomiczne były tak dobre, że uważano, iż są doskonale chronieni przed próbami przejęcia.

Nikt nie liczył się z atakiem inwestora, któremu nie chodzi o miliard mniej czy więcej.

Kontaktowano się z największymi udziałowcami, rozważano zakup większych kontyngentów akcji, by zapobiec przejęciu. Tymczasem kurs na giełdzie rósł nieustannie, przekroczył nawet, kiedy do wszystkich dotarło, że *Fontanelli Enterprises* dysponuje nieskończonym mnóstwem pieniędzy, cenę 38 dolarów i rósł dalej ku przyprawiającym o zawrót głowy wysokościami. Jak w gorączce inwestorzy próbowali wejść w posiadanie akcji Exxon, gdyż ten szalony bilioner z Londynu zapłaci prawdopodobnie każdą cenę.

— Czysta gra nerwów — mówili ludzie uważający się za ekspertów giełdowych, kiedy kurs przekroczył granicę sześćdziesięciu dolarów.

— Jeśli chce mieć Exxon, zapłaci.

Londyn zareagował chłodno. Kurs osiągnął akurat 63,22 dolara, kiedy z dalekopisów wysunął się jeden z tych meldunków, które przyprawiają człowieka o skręt kiszek, kiedy pojmie ich wagę. John Salvatore Fontanelli, jak twierdziły dobrze poinformowane kręgi, powiedział: „W takim razie kupimy Stella”.

Na następny dzień zapowiedziano oferty przejęcia akcjonariuszom wszystkich pozostałych wielkich koncernów naftowych.

Wszyscy, którzy kupili akcje Exxon po całkowicie przewartościowanym kursie, próbowali panicznie je sprzedać. Pech chciał, że nowina zatoczyła już szerokie kręgi i nikt teraz nie chciał kupować. Kurs spadał jak kamień.

McCaine śledził liczby z giełdy nowojorskiej na monitorze swojego komputera w Londynie z pełnym napięciem spokoju, godnym pilota bombowca.



— Teraz — powiedział miękko do słuchawki telefonu, przy kursie równym 32,84 dolara.

Dwa tygodnie później wszędzie na świecie pracownicy zaczęli wyrzucać do śmietników stary papier listowy i zastępować go nowym, z nagłówkiem „*EXXON— A Fontanelli Corporation*”.

Tym razem mieli nagłówki na pierwszej stronie, we wszystkich gazetach i na całym świecie. Nie było stacji telewizyjnej ani radiowej, która by nie zaczynała od wiadomości o przejęciu Exxonu. Gdyby trzeba było ująć myśl przewodnią wszystkich meldunków w dwóch słowach, brzmiałyby one: „Czyste przerażenie”.

Za jednym ciosem uświadomiono również ostatnim dziennikarzom, co oznacza prywatny majątek w wysokości biliona dolarów. W niezliczonych audycjach specjalnych, panelach i wywiadach na całym globie wciąż na nowo tłumaczono to, co McCainie wyjaśnił Johnowi już przy ich pierwszym spotkaniu: że czym innym jest, kiedy wielki fundusz inwestycyjny albo bank dysponują setkami miliardów dolarów, a zupełnie czym innym, kiedy ta sama suma pieniędzy naprawdę i rzeczywiście *należy* do jednej osoby.

— Różnica — jak ujął to niejaki lord Peter Rawburne, według zapowiedzi przed wywiadem jeden z najbardziej liczących się dziennikarzy gospodarczych na świecie — polega po prostu na tym, że Fontanelli przy podejmowaniu swoich decyzji nie musi ani trochę przejmować się zyskiem. To czyni go nieobliczalnym. Można by również powiedzieć — *wolnym*.

Tyle wolności budziło gniew. Ministrowie gospodarki przypominali mu o społecznej odpowiedzialności. Przywódcy związków zawodowych zgłaszali ciężkie zastrzeżenia wobec takiej koncentracji pieniędzy i wpływów. Prezesi rad

nadzorczych innych wielkich koncernów starali się promieniować pewnością siebie i robić wrażenie, że mają wszystko pod kontrolą.

Roztrząsano ten temat wszędzie, myśląc, co wydarzy się teraz? Niektóre gazety, wśród nich również poważne czasopisma finansowe, publikowały zupełnie na serio mapy świata, w których pięknie rozrysowano, podając loga firm i ich wartości giełdowe, jak mógłby wyglądać ogólnoświatowy koncern Fontanellego.

— Robią za naszych analityków połowę roboty — skomentował z uśmiechem McCaine. Pewien niezupełnie poważny magazyn wyliczył nawet szczegółowo, które z mniejszych krajów Afryki Fontanelli mógłby kupić w całości, wraz z ziemią i całym majątkiem. Nie było dwóch takich samych prognoz. W zasadzie wyglądało na to, że może zdarzyć się wszystko.

W Boże Narodzenie John przyjął zaskakujące zaproszenie McCaina na kolację z nim i jego matką.

Ruth Earnestine McCaine była starszą panią naznaczoną postępującym reumatyzmem, siedziała krzywo wygięta w swoim o wiele za dużym fotelu, ale mimo to emanowała twardym postanowieniem, by kpić sobie z choroby. Szarobłękitne oczy patrzyły przenikliwie z twarzy pokrytej siatką zmarszczek od śmiechu i pełnej starczych plam, obramowanej zaskakująco gęstymi, kręconymi, siwymi włosami.

— Jak podoba się panu w pańskim zamku? — zapytała.

— Trudno mi jeszcze coś o tym powiedzieć — odparł John. — Mieszkam tam dopiero tydzień.

— Ale zrobiła się z niego piękna budowla, prawda?

— Tak, rzeczywiście. Bardzo piękna.

— Powinien pan wiedzieć — wtrącił McCain, uśmiechając się z rozbawieniem — że moja matka ma znakomitą orientację w rozmaitych produktach *Yellow Press*. Z nich zna pański zamek pewnie lepiej niż pan sam.

— Ach — mruknął John. — O to nie trudno, jak sędzę.

Kilka ze wspomnianych gazet leżało na stoliku. Pobieżne spojrzenie pozwoliło Johnowi stwierdzić z ulgą, że przynajmniej Lady Diana zachowała swoją zwykłą pozycję na stronach tytułowych.

Dziwne było zobaczyć McCaina po raz pierwszy od jego prywatnej strony. W biurze wirujące na wysokich obrotach dynamo, stale w ruchu, z napięcia aż strzelające iskrami, wręcz bezwzględny w myśleniu tylko o osiągnięciu celu, tego wieczoru w swoich własnych czterech ścianach obcując ze swoją wiekową matką, wydawał się swobodny, zupełnie odprężony, naprawdę w dobrym humorze.

Dom był dostojną białą budowlą z przełomu wieków, stał przy cichej ulicy spokojnego przedmieścia Londynu i wśród wszystkich innych, daleko bardziej okazałych willi, wyglądał prawie niepozornie. Dla matki McCaina, poruszającej się z wielkim trudem, zbudowano nowoczesną szklaną windę, która burzyła architektoniczną harmonię holu wejściowego, ale pomijając to można by w nim, nie zmieniając wiele w umeblowaniu, kręcić film, którego akcja toczyłaby się w czasach przedwojennych.

Jedzenie było smaczne, choć proste, niemal codzienne. Podawała je pulchna gospodyni, stanowiąca cały personel w domu McCaina, jak dowiedział się John, pomijając pielęgniarkę, która przychodziła dwukrotnie w ciągu dnia na godzinę albo dwie, by doglądać panią McCainę.

Kiedy McCaine opuścił ich na chwilę, jego matka wskazała na wielką akwarelę nad kominkiem, oprawną w prostą ramkę ze stali szlachetnej.

— Poznaje pan?

John przyjrzał się obrazowi.

— To mogłaby być Florencja — zastanowił się. — Jeden z mostów nad Arno.

— Ponte Vecchio. Tak. — Spiskowym tonem dodała: — Malcolm to malował.

— Naprawdę? — Nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy myśl, że McCaine mógłby mieć kiedykolwiek w dłoni pędzel.

— Jako młody człowiek przez pewien czas dużo malował — opowiedziała Mrs McCaine. — Mojego zmarłego męża często przenoszono, wie pan, i dlatego wiele podróżowaliśmy. Wtedy mieszkaliśmy we Włoszech. Malcolm poszedł do pracy do tej firmy komputerowej i krótko po tym przestał malować.

Jej oczy zaiskrzyły się.

— Proszę mu nie zdradzić, że to panu opowiedziałam.

John wpatrywał się w obraz i nie wiedział, co myśleć. To głupota uważać to za znak Boga, prawda? Ale nie umiał inaczej. Obaj kiedyś malowali, a potem przestali. Szczegół bez znaczenia. Znak, że ich przeznaczeniem było kiedyś się spotkać.

— Jest jeszcze jedna sprawa, którą odsuwaliśmy przez cały czas — oznajmił McCaine pewnego dnia przed odlotem do Irving w Teksasie na rozmowy z zarządem Exxona. — Mój kontrakt. Powinniśmy to wyjaśnić, nim pierwszy raz oficjalnie wystąpię jako dyrektor pańskiej firmy.

— Ach tak — powiedział John, sięgając po długopis. — Jasne. Zupełnie o tym nie pomyślałem.

— Cóż, było dosyć do roboty — powiedział McCain, wyjmując ze skórzanej teczki wielostronicowy dokument w trzech egzemplarzach. — Ale rozumie pan, od czasu do czasu muszę pomyśleć również o sobie. Zakładając, że nie dogadamy się teraz w sprawie mojego kontraktu, okaże się, że miesiącami pracowałem dla pana za darmo. I zostanę na ulicy, a pan nie będzie mi winien nawet złamanego szylinga.

Jego troska zdziwiła Johna. Czy naprawdę robił na Brytyjczyku takie niesolidne wrażenie?

— No, może się jednak dogadamy — spróbował zażartować i wyciągnął rękę. — Proszę to dać.

McCaine podał mu przygotowane egzemplarze kontraktu i stwierdził:

— Proszę dokładnie wszystko przeczytać, nim pan podpisze. Usiadł, założył nogę na nogę i skrzyżował ramiona jak ktoś, kto przygotowuje się do długiego czekania. John musiał zmuszać się do przeczytania każdej strony w całości, nim ją odwrócił. I tak tylko z grubsza rozumiał, co oznacza cała ta prawnicza gadanina.

Zmieniło się to dopiero wtedy, kiedy dotarł do paragrafu, w którym mowa była o wynagrodzeniu. To, co tam znalazł, było jednoznaczne. Johnowi dosłownie opadła szczęka.

McCaine żądał rocznej pensji w wysokości stu milionów dolarów!

## 23

John czuł, jak wzbiera w nim gorąca fala, kiedy patrzył na liczbę, która, jakby to było oczywiste, pyszniła się na papierze. To właśnie ta oczywistość tak go irytowała, ale zarazem, w trudny do pojęcia sposób, coś zmuszało go do przełknięcia swojej złości.

— Czy to nie, hm, lekka przesada? McCainie uniósł brwi.

— Co pan przez to rozumie?

John nieco uniósł kartkę. Zaczęła nagle ważyć cetnar.

— Jestem akurat przy akapicie o pańskim uposażeniu i mam wrażenie, że napisał pan o jedno zero za dużo.

— Nie, z pewnością nie.

— Ale sto milionów dolarów... Na całej Ziemi nie ma żadnego prezesa, który by choć w przybliżeniu zarabiał taką kwotę rocznie!

— Ależ proszę, John — odpowiedział McCainie z wyczuwalną złością w głosie. — Sto milionów, to odsetki od pańskiego majątku z jednego tylko dnia. A ja zwiększę pańskie zyski. Bez trudu je podwoję. To znaczy, że zarobię dla pana ponad trzystukrotność mojej pensji. Niech pan pokaże mi choćby jednego pracownika na tej planecie, który może to o sobie powiedzieć.

— Ale mi nie o to chodzi. Nie robimy tego wszystkiego przecież po to, by zagarnąć jeszcze więcej pieniędzy, prawda? Myślałem, że mamy do wypełnienia zadanie? Mamy przestawić losy świata na nowe tory?

McCainie oglądał swoje paznokcie.

— Wie pan, że ja nic sobie nie robię z pieniędzy, John. Moja pensja to symbol. Symbolizuje ona, że jestem szefem największej firmy na świecie. Z *dużym wyprzedzeniem* największej firmy na

świecie. Dlatego też moja pensja musi dystansować wszelkie pensje, jakie kiedykolwiek wypłacono, rozumie pan? Czegoś takiego nie można utrzymać w tajemnicy. Zresztą wcale tego nie chcę. Kiedy będę siedział naprzeciw któregoś z tych łebków, którzy zwykle uważają się za niesamowicie ważnych, chcę, żeby wiedział, że zarabiam pięćdziesiąt razy więcej od niego. Na tym polega ta gra, John. On będzie to wiedział i będzie się czuł taki malutki, nawet w kapeluszu, i zrobi wszystko, co mu powiem.

John znów spojrzał na tę liczbę. Sto milionów dolarów. Oczywiście, teoretycznie mógłby się wzbraniać to podpisać. Do niego należą pieniądze, do niego należy firma, do niego należy wszystko tutaj, krzesło, na którym siedzi McCaine, papier, na którym wydrukowano kontrakt, długopis, którym ma go podpisać. Może przekreślić tę liczbę i wpisać inną, na przykład dwadzieścia milionów albo dwadzieścia pięć, albo nawet tylko dziesięć, co nadal będzie mnóstwem pieniędzy, a jeśli McCaine tego nie zaakceptuje, to ich drogi po prostu się rozejdą.

Teoretycznie. Praktycznie kupił właśnie multikoncern naftowy, wydał miliony na biurowiec, zatrudnił ludzi, podpisał kontrakty... Rozpoczął różne sprawy, z którymi nigdy sam sobie nie poradzi. O wszystkim, co miało cokolwiek wspólnego z interesami albo światem gospodarki, miał mniej pojęcia niż Murali, piekarz pizzy. Nie potrafiłby nawet poprowadzić kiosku z gazetami, a co tu mówić o firmie, której kapitał własny jest większy niż kapitał trzystu kolejnych co do wielkości firm razem wziętych.

Poczuł, jak wilgotnieją mu dłonie. Jakby papier emanował gorącem. Spojrzał na McCaina, ale zobaczył twarz pokerzysty.

A może McCaine nie odejdzie? Ostatecznie ten projekt jest dziełem jego życia. Tak przynajmniej twierdzi. Na koniec okazał

się być tylko wyrafinowanym planem, jak szybko zdobyć dużo pieniędzy. Ale nawet, jeśli tak jest, nie ma wyboru. Wmanewrował się jakoś w sytuację, w której nie pomogą mu całe jego pieniądze.

— Hm — mruknął John. Tym, co go najbardziej bolało, nie były same pieniądze, ale poczucie, że został okpiony. A argumenty McCaina pewnie nie były nawet pozbawione racji.

Tak czy owak, nie miał wyboru.

John ponownie sięgnął po długopis, który wysunął mu się z palców, kiedy zaczął czytać kontrakt.

— No cóż — poczynił wąż próbę, by przynajmniej wyglądało to na suwerenną decyzję — myślę, że ma pan rację. Biorąc pod uwagę skalę naszych działań, kwota ta jest odpowiednia.

Przekartkował na ostatnią stronę i nabazgrał swój podpis w przeznaczonym do tego miejscu, pośpiesznie powtórzył tę procedurę przy dwóch pozostałych egzemplarzach, włożył jeden do teczki, a pozostałe oddał McCainowi, który przyjął je, nie okazując żadnego podniecenia.

Przez moment panowało pełne skrępowania milczenie.

— Okay — zawołał John z udawaną niedbałością, oparł się i klasnął w dłonie. — Kiedy ruszamy? Jakie zamiary mamy wobec Teksaszczyków?

McCaine podniósł się z fotela.

— Porozmawiamy — powiedział — z zarządem, wszystkim przyjaźnie uściśniemy dłonie, a potem zwolnimy połowę z nich.

— Co? Dlaczego? — John zamrugnął. W pomieszczeniu nagle zrobiło się jakby o kilka stopni chłodniej. — Czy to konieczne? To znaczy, chodzi mi o to, że przecież chyba robią dobrą robotę, skoro Exxon przynosi takie zyski?

— Na pewno. Ale to nie powód. Powód jest taki, że musimy im



jasno pokazać, kto tu teraz rządzi.

— Słucham?

— Wprowadzimy kilku naszych ludzi.

John uniósł dłoń.

— Proszę poczekać. To mi się nie podoba. Nie chcę mieć nic wspólnego z takimi absurdalnymi gierkami.

McCaine chłodnym wzrokiem spojrział na niego z góry.

— John, pan w głębi serca przechowuje jeszcze złudzenie, którego musi się pan jak najszybciej pozbyć. Mianowicie takie, że możemy zrobić to, co sobie zamierzeliśmy, i pozostać przy tym miłymi, lubianymi przez wszystkich chłopcami.

Pokręcił głową.

— Proszę o tym zapomnieć. To, co zrobimy ludziom, nie będzie łatwe, a już na pewno nie będzie przyjemne. Znienawidzą nas za to. Będą używać naszych nazwisk jako przekleństw przez następnych sto lat, a może już zawsze. Churchill swego czasu obiecał nam krew, pot i łzy, ale ta metafora jest zużyta; nie można przyjść do ludzi jeszcze raz z tym samym. My nie możemy pytać nikogo o pozwolenie, musimy po prostu narzucić, co trzeba narzucić, a to kwestia władzy, to fakt. O władzy, John, musi pan się jeszcze dużo nauczyć. Postrzegam to jako część mojego zadania, by nauczyć pana tego, co sam wiem.

Uniósł w górę obydwie egzemplarze swojego kontraktu.

— To była pierwsza lekcja. Czego się z niej pan nauczył?

John zmarszczył czoło.

— Jak pan to rozumie?

— Przedłożyłem panu umowę z żądaniem astronomicznej pensji, a pan ją podpisał, choć uważał ją za zdecydowanie za wysoką. Dlaczego?

— Ponieważ po przemyśleniu pańskie argumenty mnie

przekonały.

McCaine uśmiechnął się nieznacznie.

— To kłamstwo.

— Jak to? Przecież naprawdę nie muszę wszczynać wielkiego sprzeciwu z powodu kilku milionów...

— Teraz usprawiedliwia się pan przed sobą samym. Prawda jest taka: uważał pan moją pensję za zbyt wysoką, ale pomyślał pan, że nie ma innego wyboru, jak ją zaakceptować. Innymi słowy, ja stałem na silniejszej pozycji, choć to pan jest najbogatszym człowiekiem świata, a ja golcem.

McCaine odwrócił się, przeszedł kilka kroków, stanął.

— Chce pan wiedzieć, jak to zrobiłem?

Johnowi opadła szczeka i przez chwilę nie był w stanie zamknąć ust. Nie dość, że McCaine go wykiwał i będzie dostawał pensję dwieście razy wyższą niż uposażenie amerykańskiego prezydenta, to te raz jeszcze się tym pyszni i chce mu szczegółowo wyjaśnić, jak go wymanewrował?

— Jestem ciekaw — wychrypiał.

— Po pierwsze, popełnił pan duży błąd, którego nigdy więcej nie wolno panu powtórzyć. Elementarna zasada, gdy idzie o kontrakty. Pozwolił pan na to, byśmy podpisali umowę później. W ten sposób powstały fakty, a faktów dokonanych nie można już negocjować. Mogłem w spokoju poczekać, aż znajdzie się pan w sytuacji, w której nie będzie już dla pana możliwy odwrót. Jeśli jednak zaczyna się rokowania bez tej możliwości — by móc po prostu wstać i odejść bez zawarcia ugody — to stawia się automatycznie na gorszej pozycji.

Teraz McCaine wyglądał jak profesor wykładający elementarne podstawy swojej dziedziny.

— Załóżmy, że wprowadził się pan do nowego mieszkania, nie

umówiwszy się przedtem co do umowy najmu. Skoro się już pan wprowadził, wówczas właściciel może żądać dodatkowo, czego się da — wyższego czynszu, remontów każdego roku i tak dalej — gdyż panu brakuje alternatywy, którą miał pan przed wprowadzeniem, by po prostu zakończyć rozmowę i rozejrzeć się za nowym lokalem. Pańską alternatywą jest kosztowna i pracochłonna wyprowadzka. Rozumie pan, John? Dopuścił pan do powstania faktów dokonanych i przez to osłabił swoją pozycję w rokowaniach.

— To znaczy, że powinniśmy byli rozmawiać o pańskiej pensji już przy naszym pierwszym spotkaniu?

— W idealnym przypadku tak — skinął głową McCaine. — Wtedy pańska pozycja była optymalna, John. Ja byłem człowiekiem, który poświęcił życie pewnej idei możliwej do zrealizowania tylko za pańską zgodą. Pan jest najbogatszym człowiekiem świata i raczej niezbyt zainteresowany. Do diabła, wystarczyłoby tylko tego ode mnie zażądać, a ja byłbym gotów pracować dla pana *za darmo*.

John przypomniał sobie dzień, kiedy pierwszy raz bez wiedzy Vacchich przyjechał z Marco do Londynu.

— Najwyraźniej nie jestem zbyt zręczny w takich sprawach, prawda?

— To nie jest zdolność, z jaką przychodzi się na świat. Tego trzeba się nauczyć. Kurs właśnie się rozpoczął.

— Ma pan surowe i kosztowne metody nauczania, Malcolm.

— Bo to surowa branża — stwierdził McCaine. — Prawda, że pomyślał pan wcześniej: „Co zrobię, jeśli on zostawi mnie z tym wszystkim samego?”.

John wbrew woli przytaknął.

— Było to po mnie widać?

— Nie, ja wiedziałem, że pan to pomyśli. Ale zauważył pan również, że nie groziłem? Wówczas byłby to szantaż. Gdybym powiedział coś w rodzaju: „Albo pan podpisze, albo odejdę”, wtedy obudziłby się w panu opór. Moja siła tkwiła w tym, że wiedziałem, iż jest pan świadom moich możliwości i swojej sytuacji. Niewspominanie o jednym ani drugim jeszcze wzmocniło moją pozycję. Pan nie wiedział, co bym *zrobił*, ale jednocześnie wiedział, co *mógłbym zrobić*. Argumenty, które przedstawiłem, były wprawdzie merytorycznie słuszne, ale nie decydujące. Decydujący był chwilowy stosunek siły między nami.

McCaine zatoczył szeroki ruch ręką w kierunku okna.

— W następnych miesiącach będziemy wiele podróżować i zasiadać do wielu rokowań. Ważne, by pan rozumiał, co się w ich trakcie dzieje. To znaczy, co *naprawdę* się dzieje.

John patrzył na niego, próbując zrozumieć. Jakoś trudno było sobie wyobrazić, by to miały być reguły, według których funkcjonuje świat.

— Zatem który z nas jest zależny od drugiego? — zapytał. — *Naprawdę zależny*, mam na myśli.

McCaine wzruszył ramionami.

— Tak jak ja to widzę, zależność jest obustronna. Pan nie może przeprowadzić planu beze mnie, mojego doświadczenia i całej wykonanej przeze mnie pracy przygotowawczej, a ja bez pana. Nazywa się to chyba symbiozą.

John wziął egzemplarz umowy o pracę i podniósł go.

— To znaczy, że teraz to podrzemy?

McCaine złożył umowy wzdłuż i umieścił w wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Co też panu przychodzi do głowy? — uśmiechnął się drwiąco. — Proszę to zaksięgować jako czesne za kurs.

Polecieli do Teksasu, uśmiechając się przyjaźnie, uścisnęli dłonie wszystkim członkom zarządu Exxona, a kiedy usiedli, McCain , odczytał nazwiska wszystkich, którzy zostają zwolnieni ze skutkiem natychmiastowym. To było jak egzekucja. Ochroniarze, których przywiózł z sobą McCain, odprowadzili wyrzuconych do ich biur, pilnowali, by ci spakowali tylko rzeczy osobiste i by z nikim nie rozmawiali i nie odstępowali ich boku aż do parkingu. Specjaliści od komputerów zadbali o to, by ich hasła i kody dostępu zostały skasowane. John siedział, nie mówiąc ani słowa i przyglądał się biegowi rzeczy z nieprzenikniętą miną.

Media rozszalały się, tym bardziej, że nadal nie mogły uzyskać żadnego wywiadu, nie opublikowano żadnego oświadczenia. „Czego chce Fontanelli?” — tak zatytułowano komentarz we *Frankfurter Allgemeine Zeitung*.

McCaine był niezwykle zadowolony; niektóre z gazet leżały przez kilka dni otwarte na stoliku przy kanapie w jego gabinecie. John zapytał go, czy nie obawia się, że tego rodzaju meldunki mogą im zaszkodzić.

— Ależ skąd — odpowiedział tylko. — Za tydzień i tak to będzie zeszłoroczny śnieg.

I tak właśnie było. W połowie stycznia sześciodniowy dramat zakładników w Czeczeniu dobiegi krwawego końca, kiedy rosyjskie oddziały zrównały z ziemią wioskę Pierwomajskoje. Na początku lutego Boeing 757 tureckich linii lotniczych Birgen Air spadł i rozbił się u wybrzeża Republiki Dominikany. IRA po siedemnastu miesiącach przerwy znów odpaliła ładunki wybuchowe w Londynie, zabijając trzech ludzi i raniąc ponad setkę. W połowie lutego pływający pod liberyjską banderą tankowiec *Sea Empress* wpadł pod Milford Haven w Walii na

skąłę i zanieczyścił wyspy Skokholm i Skomer, tereny lęgowe dziesiątek tysięcy morskiego ptactwa oraz znajdujący się pod ochroną odcinek wybrzeża Pembrokeshire. Eksperci przypisali tej katastrofie ten sam rząd wielkości jak awarii *Exxon Valdez* w 1989.

— Powinniśmy zadbać o to, by naszym tankowcom nigdy więcej nic takiego się nie zdarzyło — zaproponował John i część jego świadomości była zaskoczona i zmieszana tym, z jaką naturalnością potrafi już mówić o *naszych tankowcach*.

— Naprawdę powinniśmy, dobry pomysł — orzekł McCaine po krótkim zastanowieniu. — A potem musimy dać do prasy odpowiednią informację.

Wkrótce pojawił się meldunek, że *Fontanelli Enterprises* zarządziło w przyszłości transportować ropę naftową tylko w tankowcach podlegających surowym kontrolom utworzonego wewnątrz firmy zespołu bezpieczeństwa, i że zlecono już budowę tankowca o podwójnych ścianach. Jedyną reakcją był spadek kursu akcji Exxona.

20 marca brytyjski rząd musiał przyznać, że nie można wykluczyć związku między chorobą bydła BSE a chorobą Creutzfeldta-Jacoba u ludzi, na co Unia Europejska zareagowała zakazem wywozu wołowiny na cały świat oraz przymusowym ubojem czterech i pół miliona wołów. Za nie podlegające dyskusji uznano tymczasem, że źródła BSE należy doszukiwać się w niezgodnym z naturą karmieniu bydła.

— Najwyższy czas, żebyśmy powstrzymali tych polityków — skomentował McCaine, zgniótł gazetę i cisnął ją do kosza na papiery z odległości siedmiu metrów tak celnie, że John odnotował to z podziwem.

Pod naciskiem wciąż nowych hiobowych wieści

zainteresowanie publiczności odwróciło się od działań *Fontanelli Enterprises* i jej zamiarów. Uwagi większości ludzi uszło to, że zakupy dopiero się zaczęły.

McCaine kierował się w dużym stopniu zaleceniami analityków, a John kierował się zdaniem McCaina. Kupowali duże firmy, małe firmy, firmy z branży żywnościowej i z przemysłu chemicznego, firmy transportowe, linie lotnicze, sieci telefoniczne, producentów elementów elektronicznych i producentów półproduktów metalowych, przedsiębiorstwa budowy maszyn i fabrykantów papieru, kopalnie, stalownie, elektrownie atomowe, firmy softwarowe, sieci supermarketów, ubezpieczalnie i firmy farmaceutyczne. Zdawało się, że McCaine już wcale nie śpi, za to czasem ma cztery ręce, którymi obsługuje równocześnie osiem telefonów. Jedno spotkanie gonilo następne, od wczesnego ranka aż do północy i w niesamowitym tempie. Wkrótce John potrafił lepiej obsługiwać sterowanie systemu wideokonferencji niż pilota własnego telewizora. W niektóre dni hol wejściowy był wypełniony tuzinami różnych delegacji, obsługiwanych przez zastęp młodych hostess. Ich rozmówcy podejmowali trudy dwunasto-, czternasto— albo dwudziestogodzinnych lotów, by po półgodzinnej rozmowie się pożegnać. Zakładali holdingi, które kupowały inne firmy, by je restrukturyzować, rozkładać i składać na nowo zupełnie inaczej. Z firmami, które były własnością prywatną albo z jakiegoś innego powodu nie można ich było kupić, zawierali umowy o kooperacji. Zdobywali prawa, patenty, licencje i koncesje. Kupowali tereny rolnicze, posiadłości, farmy i plantacje. Młody projektant na podstawie podpisu Giacomo Fontanellego pod XV-wiecznym testamentem zaprojektował eleganckie logo firmy, składające się głównie z zamaszystego małego *f* w kolorze

głębokiej czerwieni na białym tle, i owo po królewsku proste logo wyruszało właśnie na podbój świata.

To, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak skup towarów różnych, po bliższym przyjrzeniu się okazałoby się skomplikowanym splotem strategicznych zależności, o ile istniałby ktoś, kto mógłby się temu przyjrzeć — ponieważ jednak *Fontanelli Enterprises* było firmą prywatną, nie miało obowiązku publikowania swoich bilansów. Z największą dyskrecją zapewnili sobie monopol na wiele mało poważanych, ale niezastąpionych surowców, jak wolfram, tellur czy molibden i znaczny udział w rynku selenu i litu. Inwestycje w wytwarzanie i dystrybucję energii były ogromne, rozciągały się na każdą postać energii, a stamtąd na strategicznie decydujące obszary. Posiadali elektrownie atomowe, przede wszystkim jednak należały do nich firmy wytwarzające pręty regulacyjne dla rdzeni reaktorów oraz beryl, z których je robiono. Posiadali pola naftowe, rafinerie, rurociągi i floty tankowców, co najważniejsze jednak, do nich należały najbardziej obiecujące tereny ropoносne na całym świecie.

— Każdy idiota inwestuje dzisiaj w księgarnie internetowe i firmy softwarowe. To tłumaczy, dlaczego można zarobić miliony na akcjach firm nie przynoszących złamanego dolara zysku — stwierdził McCaine. — Ale kiedy przyjdzie co do czego, liczą się tylko prawdziwe wartości. Energia. Surowce. Żywność. Woda.

Mimo to *Fontanelli Enterprises* było reprezentowane również poza tym obszarem, kupiło wielki włoski dom mody, miało udziały w znanej na całym świecie agencji reklamowej i — co budziło podziw — kupiło dziesięć europejskich firm fonograficznych by połączyć je w jedną. To wszystko, według McCaina, miało służyć dwóm celom: zwieść zewnętrznych



obserwatorów i przynosić łatwe zyski. Pozbędą się tego rodzaju inwestycji, kiedy spadnie ich opłacalność.

— Musimy przede wszystkim najpierw podnieść naszą rentowność — wyjaśnił McCain. — Może pan to sobie łatwo przeliczyć, gdybyśmy osiągnęli rentowność w wysokości trzydziestu procent, to za dwadzieścia lat będzie do nas należał dosłownie cały świat!

Na strony tytułowe trafili również z powodu kilku spektakularnych zakupów nieruchomości, głównie wtedy, kiedy nabyli na Wall Street numer 40 — drapacz chmur, będący niegdyś przez rok najwyższym budynkiem Nowego Jorku, nim został pobity przez Chrysler Building. Od krachu na giełdzie w 1987 stał pusty i dostali go za nieco ponad pół miliarda dolarów. Niezwłocznie rozpoczęli prace renowacyjne w budynku, który już na planie Nowego Jorku z 1997 roku oznaczono jako *Fontanelli Tower*.

— Donald Trump też chciał go kupić — opowiadał McCain po zakończeniu pertraktacji. — Zaproponował nawet więcej niż my. Zadzwoiłem więc do burmistrza i kilku senatorów i wyjaśniłem im, że potrzebujemy właśnie tego budynku, by nasze interesy w Nowym Jorku prowadzić tak, jakbyśmy pragnęli, i że naszą jedyną alternatywą byłoby przeniesienie punktu ciężkości naszych amerykańskich aktywności do innego miasta — może Atlanty albo Chicago.

Uśmiechnął się złośliwie.

— Podziałało.

Wieczorem, na tle nocnego Londynu, wielka sala konferencyjna miała w sobie coś z katedry. Ich gość, przed drzwiami jeszcze ruchliwy i rozmowny, mimowolnie zamilkł z wrażenia.

McCaine od razu przeszedł do rzeczy.

— Chodzi mi o to, żeby używając najnowocześniejszych dostępnych środków stworzył pan program komputerowy, który tak dokładnie, jak tylko to możliwe, zasymuluje rozwój świata we wszystkich ważnych dziedzinach — wzrost zaludnienia, rezerwy energetyczne, rezerwy surowcowe, zanieczyszczenie środowiska i tak dalej — oraz który będzie w stanie wyliczyć, jakie będą skutki obecnie podejmowanych decyzji i środków przez przynajmniej pięćdziesiąt lat.

— Dokładnie to próbujemy zrobić od lat — powiedział ich gość.

— I co was do tej pory powstrzymuje?

— Brak pieniędzy, cóżby innego?

Profesor Harlan Collins był chudym człowiekiem tuż przed czterdziestką, robiącym dokładnie takie wrażenie, jakby pieniędzy brakowało mu nie tylko na pracę. Miał pognieciony garnitur, zamiast koszuli poprzecierany golf, a jego włosy najwyraźniej uznały, że najlepiej będzie powoli wypaść, by zaoszczędzić na kosztach fryzjera. Był ekologiem i cybernetykiem, prowadził *Instytut Badań Przyszłości* w Hartford i według McCaina w jego dziedzinie można go było uznać za potęgę. John jeszcze nigdy o nim nie słyszał, ale to nic nie znaczyło. Usunął się na swoją zwykłą pozycję obserwatora, kartkował przyniesione przez profesora materiały i pozostawił McCainowi prowadzenie rozmowy.

— Co to dokładnie znaczy? — dopytywał się tamten. — Nie mu pan wystarczającej liczby komputerów?

Collins machnął ręką jakby odpędzał muchę.

— Komputery nie są problemem. Dowolny PC z supermarketu ma dziś więcej mocy obliczeniowej niż mieli kiedyś do dyspozycji Forrester i Meadows. Nie, to, czego nam brakuje, to pieniądze na

kompetentnych pracowników. Musimy gromadzić dane, klasyfikować je, sprawdzać spójność każdej pojedynczej liczby. Nie da się stworzyć czułego modelu, bazując na niedokładnych danych. To właściwie logiczne, ale większą część mojego czasu spędzam najeźdzeniu i tłumaczeniu ewentualnym sponsorom tego truizmu.

— Od tej chwili z tym koniec— powiedział McCain. Oparł się wygodnie. — To znaczy, jeśli się dogadamy. Pojedzie pan z powrotem do swojego instytutu i zabierze się za swoją właściwą robotę. A jeśli będzie potrzebował pan pieniędzy, dostanie je pan od nas.

Profesor wytrzeszczył oczy.

— To się nazywa oferta. Co mam za to zrobić? Podpisać się własną krwią?

McCaine parsknął.

— Słyszał już pan może, że próbujemy tutaj spełnić pewne proroctwo. Mamy oddać ludzkości jej utraconą przyszłość. Opatrzność ofiarowała nam na ten cel bilion dolarów.

— Kocham zlecenia ze słusznym budżetem — kiwnął głową naukowiec. — Tak, słyszałem o tym.

— Świetnie. Co pan sądzi o tym podstawowym założeniu, że utraciliśmy naszą przyszłość?

— Zasadniczo zbyt wiele wiem o badaniach przyszłości, bym miał dużo dawać za takie twierdzenia.

— Pan mnie zadziwia.

McCaine przysunął do siebie jeden z przygotowanych laptopów, uruchomił program i wskazał na rysunek rzucany przez projektor wideo na ekran wielki jak w kinie.

— Spodziewam się, że zna pan ten wykres.

Profesor zamrugał.

— Tak, oczywiście. To standardowy przebieg WORLD3.

— Lekko zmodyfikowany. Widzi pan te czerwone linie, które kończą się na roku 1996? WORLD3 stworzono w 1971, by przepowiadać przyszłość. Wprowadziłem do programu rzeczywisty rozwój sytuacji od tego czasu. Do tej pory prognoza i rzeczywistość zgadzają się zdumiewająco dokładnie, nie uważa pan?

Profesor Collins nie mógł odmówić sobie wyrozumiałego uśmiechu.

— No cóż. Można na to patrzeć z różnych stron. Jest dla pana oczywiście jasne, że WORLD2 i WORLD3 od dawna nie odpowiadają współczesnym standardom techniki.

— Słucham? — McCaine był wyraźnie zaskoczony.

— Oba modele łączą państwa Ziemi w jedną operacyjną jednostkę, nie uwzględniając różnic regionalnych. Przypominam sobie, że na Uniwersytecie Sussex badano krytycznie zachowanie tych modeli i stwierdzono, że są niezwykle czułe na parametry wejściowe o szerokim zakresie błędów. Z drugiej strony wykazują swoje normalne zachowanie — właśnie owe słynne granice wzrostu — z grubsza niezależnie od danych wejściowych. Inaczej mówiąc, ich zachowanie wydaje się zależeć bardziej od cybernetycznych relacji, niż od danych wprowadzanych na starcie.

— Wydaje się? — powtórzył McCaine. — To nie brzmi jak wynik gruntownych badań.

— Sądzę, że Aurelio Peccei i innym członkom *Club of Rome* zależało przede wszystkim na tym, by szybko wywołać ogólnoświatową dyskusję. Do tego celu WORLD3 i jego prognozy nadawały się naturalnie wyśmienicie.

McCaine poderwał się i zaczął krążyć jak tygrys w klatce przed

ścianą okien ukazującą potężną panoramę światel nocnego Londynu.

— A co z modelem Mesarovica i Pestela? On uwzględnia regionalne różnice.

— *World Integrated Model*, tak. Wygląda na to, że oni rzeczywiście intensywnie zajęli się tą materią, jeśli jeszcze pan sobie przypomina. Wie pan zapewne również, że WIM daleko mniej uwzględnia wpływ środowiska niż modele WORLD. Często to krytykowano, wówczas uzasadniano to ogromnym stopniem skomplikowania modeli.

— Ale czy precyzyjny model nie musi być skomplikowany?

— Z pewnością. Jednak przede wszystkim musi być spójny. Musi być możliwe prześledzenie jego działania. Inaczej równie dobrze można wróżyć z fusów.

McCaine wyjął z jednej z szuflad opasłe tomisko i rzucił je na stół.

— To właśnie zrobili autorzy tego studium, jeśli mogę wyrazić moje zdanie. Zakładam, że je pan zna?

— Naturalnie. *Global 2000*, studium wykonane na zlecenie prezydenta Cartera. Prawdopodobnie najczęściej sprzedawana i nieczytana książka świata.

— I? Co pan o niej sądzi?

— No cóż. Na jej zawartość składają się głównie skróty prognoz rozmaitych ekspertów, uzupełnione o kilka niezbyt dokładnie udokumentowanych obliczeń modeli. Co zresztą niekoniecznie musi być gorsze. Ale jej największą wadą jest ograniczenie do roku 2000. Dziś już można przewidzieć, że prawdziwe przemiany, o ile w ogóle będą miały miejsce, nastąpią dopiero na początku następnego stulecia.

— Właśnie. A ja chcę wiedzieć, jakie — powiedział McCaine.

— A kiedy już będzie pan wiedział?

— Chcę za pomocą pańskiego modelu dowiedzieć się, jak mogę zapobiec katastrofie.

Naukowiec patrzył na niego długo, potem powoli skinął głową.

— Dobrze. Jakie założenia przychodzą panu do głowy?

McCaine nie zwlekał ani chwili.

— Po pierwsze — to musi być model cybernetyczny. Obojętne jak skomplikowany, obojętne jak drogi. Nie szacunki, nie intuicja, nie założenia. Wszystko musi być policzalne, wzajemnie powiązane, wynikać jasno z obliczeń komputerowych.

— Nad takim modelem pracujemy. Pan to wie, w przeciwnym razie nie zaprosiłby mnie tutaj.

— Zgadza się. Po drugie — mnie pierwszemu będzie pan raportował. Ja zdecyduję, kiedy będzie można opublikować wyniki.

Dało się słyszeć, jak profesor Collins wciąga powietrze między zębami.

— To surowy warunek. Spodziewam się, że nie da się pan od niego odwieść.

— Może się pan o to założyć — powiedział McCaine. — Po trzecie...

— Ile ich jeszcze będzie?

— Już tylko ten. Chcę dowiedzieć się prawdy. Żadnych politycznie poprawnych wypowiedzi. Żadnego uspokajania tłumów, żadnej propagandy. Prawda i tylko prawda.

Krótko potem gotowy był Jumbo Jet, którego kupili za czterysta milionów dolarów i polecili stoczni LHT w Fuhlsbüttel przebudować na komfortową latającą centralę koncernu, z biurami, pokojem narad, barem, sypialniami i pokojami gościnnymi, przez satelitę połączoną z całym światem i

stosownie wyposażoną. By zachować kolorystykę koncernu, cały samolot pomalowano na kolor śnieżnobiały, tylko na tylnej płetwie pyszniło się zamaszyste ciemnoczerwone *f*. Ze względu na pewne podobieństwo z liczbą „1” samolotowi nadano nazwę — najpierw wśród załogi, później również wśród pilotów i personelu lotnisk wszędzie na świecie, więc można powiedzieć oficjalnie — *Moneyforce One*.

Od tej chwili czasem całymi tygodniami non-stop latali Jetem wokół świata z jednej narady, negocjacji albo kontroli, na następną. Johnowi zaczęło się to podobać — występować jako człowiek interesu, lądować gdzieś w świecie własnym samolotem, pozwalać postawnym mężczyznom prowadzić się do długich czarnych limuzyn i samemu sobie wydawać się ważnym i pożądanym. Zaczął rozkoszować się siedzeniem w urządzonych ze smakiem salach konferencyjnych przy ogromnych stołach ze szlachetnych gatunków drewna i polubił wysłuchiwanie raportów podenerwowanych starszych panów, tym bardziej, że coraz częściej zdarzało mu się rozumieć co nieco z niektórych liczb wymienianych przez prezesów albo wyświetlanych przez nich na ścianach. Zdarzało się, że zadawał jedno albo dwa pytania, na które z reguły odpowiadano z trudnym do ukrycia drżeniem; przeważnie jednak chronił się w wieloznaczne milczenie, pozostawiając McCainowi prowadzenie rozmowy i tak z biegiem czasu zyskał sławę tajemniczego i nieprzystępnego.

John Fontanelli mógł być nieosiągalny dla dziennikarzy i petentów, ale dla swojej rodziny i dawnych przyjaciół taki nie był. Jak dawniej miał swój prywatny sekretariat, w którym pracował wprawdzie inny personel, ale według tych samych zasad jak w tamtym urzędzonym przez Vacchich. Ta sama była nawet lista znanych mu osobiście nadawców, których telefony

miano do niego łączyć i których przesyłki miano mu przekazywać nieotwarte — prześwietlano je tylko, by wykluczyć zamachy bombowe. Jego matka dopiero przy trzecim albo czwartym telefonie, który przełączono do niego, zorientowała się, że on znajduje się w samolocie, co z trudem przychodziło jej pojąć. Listy dostarczano mu z wprost niesamowitą zręcznością i szybkością, obojętnie, w jakim punkcie Ziemi akurat się znajdował. Zdawało się, że przez pomyłkę zatrudnili jasnowidza, który wcześniej od niego samego wiedział, gdzie następnym razem wyląduje Jumbo Jet. W taki sposób otrzymał pewnego dnia również pierwszą płytę Marvinina.

Z pewną ciekawością otworzył wyściełaną kopertę i nie mógł powstrzymać uśmiechu wyjmując CD. Tytuł brzmiał *Wasted Future*. Z okładki patrzył Marvin, wzrokiem zamglonym bólem świata, sfotografowany na tle czegoś w rodzaju hałdy śmieci. „Drogi Johnie, załączam pierwszy krok mojej — mam nadzieję — pnącej się stromo w górę, kariery”, nabazgrano na załączonej kartce podpisanej przez Marvinina i Constantine, która również wymieniona była na CD w rubryce *vocals*.

Bardzo interesujące. John zostawił wszystko jak stało, poszedł do samolotowego saloniku wyposażonego w aparaturę hi-fi za pięćdziesiąt tysięcy dolarów i z ciekawością włożył do niej płytę.

Była, krótko mówiąc, koszmarna. Z głośników buchnął tępy, brejowaty dźwięk, z którego nieprzyjemnie wybijała się jedynie gitara basowa, podczas gdy śpiewak bezradnie ginął wśród nadmiernego pogłosu i łoskotu, co było niewielką stratą, gdyż śpiew Marvinina brzmiał, jakby dopadły go równocześnie kliniczna depresja i nagłe suchoty. Wszystko gniotło się i tłoczyło w monotonnym rytmie, a jeśli czasem dawało się rozpoznać coś na kształt melodii, tak bardzo przypominała znane piosenki, że



uprawnione byłoby nazwanie jej plagiatem. Constantine nie było słycać prawie zupełnie, ale nawet ta odrobina pozwoliła ocenić, że strata była niewielka.

Z niejakim dreszczem pół godziny później John wyjął płytę; nie zdołał wysłuchać jej w całości i kilka razy przełączył na następną piosenkę. Było mu naprawdę przykro, że jest współwinny temu, iż światło dzienne ujrzała taka miernota, niewątpliwie nie będąca pierwszym krokiem, lecz końcem kariery. A to znaczyło, że Marvin niedługo znów będzie potrzebował pieniędzy.

Wyrzucił płytę wraz z okładką i kartką do śmieci i zadzwonił do swojego sekretariatu w Londynie, by nazwisko Marvina skreślono z listy.

## 24

Był słoneczny dzień pod koniec kwietnia, pierwszy naprawdę wiosenny dzień. Zamek promieniował jeszcze większą wspaniałością niż kiedykolwiek przedtem — prawdziwe centrum świata.

Marco również promieniował. Gdy tak stał ze słuchawką w uchu, włączoną krótkofalówką w dłoni, rewolwerem w kaburze pod pachą, w pierwszym rzędzie promieniowało od niego powalające wrażenie szczęścia.

— Wygląda na to, że panu naprawdę podoba się w Anglii — stwierdził John.

— Tak — skinął głową Marco. — Choć tak naprawdę nie chodzi o Anglię, ale o Karen.

— Karen?

— Karen O'Neal. Pamięta pan może, była sekretarką pana McCaina w jego starej firmie. — Znów to promieniowanie. — Jesteśmy teraz razem.

— Ach — mruknął John. — Życzę szczęścia.

— Dziękuję.

Marco sięgnął dłonią do ucha, docisnął słuchawkę.

— Samochód premiera właśnie minął bramę.

To było coś, czego nie dałoby się kupić za wszystkie pieniądze świata. Przeciwnie.

Od czasu historii z Constantine w Johnie zagnieździł się sceptycyzm, którego nie był w stanie się pozbyć. Wiedział, że mógłby mieć w łóżku najpiękniejsze kobiety świata, za pieniądze albo i bez. Ale odkąd przyjechał do Anglii, nie pozwolił żadnej się do siebie zbliżyć. Przy każdym uśmiechu czy mrugnięciu przenikała go nieufność, że zainteresowanie budzi nie on, lecz

jego majątek. Czasem nie trzeba było do tego nawet uśmiechu. Jak z tą dziennikarką, która grzebała w archiwum Vacchich i potem ujawniła publicznie prorocstwo.

A przecież nie była nawet w jego typie. Ani trochę. Bóg jeden wie, dlaczego jeszcze w ogóle o niej myśli.

Wyszli. Samochód premiera, ciemnoszary jaguar, nadjeżdżał tuł strony wzniesienia. Pawie stojące między rabatami jak na zamówić nie rozłożyły ogony.

John nabrał głęboko powietrza, jeszcze raz dyskretnie otarł dłonie o nogawki spodni, nawet w podeszwach stóp czuł walenie serca. Ostatecznie to był pierwszy szef rządu, z jakim miał rozmawiać.

To wszystko było pomysłem McCaina. A teraz zostawił go z tym samego. *Poradzi pan sobie*, stwierdził. Jego tempo, zastanowił się John, ma przynajmniej tę zaletę, że niezbyt często mam czas rozmyślać o swoim życiu uczuciowym.

Pojazd zatrzymał się dostojnie. Jeden z ochroniarzy otworzył drzwi i wtedy wysiadł najprawdziwszy premier John Major, nie do podrobienia ze swoimi białymi włosami zaczesanymi z przedziałkiem, wielkimi okularami oprawnymi w cienkie ramki i z szerokim uśmiechem, dokładnie taki, jak w telewizji, a kiedy ściskali sobie dłonie, Johnowi zdawało się, że polityk również jest nieco podenerwowany.

*On się będzie pana bał, uprzedził McCain. Na świecie jest zaledwie garstka krajów zdolnych stawić czoła atakowi pańskiego majątku — a Wielka Brytania nie może nawet marzyć o tym, by znaleźć się wśród nich. Będzie zastanawiał się, czego pan od niego chce. Będzie zastanawiał się, czy w czasie obiadu, między daniem głównym a deserem, bez pardonu nie zażąda pan od niego czegoś straszego.*

John czuł się tak, jakby stał z boku i ze zdziwieniem obserwował, jak ściska dłoń premiera Jej Wysokości Królowej Anglii i wymienia z nim formuły powitalne, jakby przez całe życie nie robił nic innego.

Przygotowując się do tej wizyty nalegał, by wziąć w Londynie kilka lekcji u jakiegoś dyskretnego nauczyciela etykiety, który wyjaśniłby mu wszystkie szczegóły protokołu i przećwiczyłby z nim wszystko, co jest możliwe do przećwiczenia.

McCaine śmiał się. *Jest pan najbogatszym człowiekiem świata, John — może pan się zachowywać, jak tylko zechce!*

Kiedy wchodzili, Johnowi zdawało się, że widzi, pod jak wielkim wrażeniem jest Major. Architektowi wnętrz, uważanemu za najlepszego na świecie, najwyraźniej udało się uzyskać zamierzony efekt. Eleganckie dostojne wnętrza, bez udawania, że żyje tu przedstawiciel wielowiekowej dynastii. Cenne antyki obok supernowoczesnych mebli ze stali i szkła, nowoczesne malowidła jako interesujące akcenty, a przede wszystkim w zamku po remoncie było jaśniej niż przedtem: imitujące dzienne światło promienniki rozjaśniały kąty dawniej ciemne, co w szacownych komnatach stwarzało atmosferę przestrzeni i lekkości.

Poszli, jak przewidywał to opracowywany przez cały tydzień program, na krótki spacer po ogrodach za zamkiem, obserwowani z oddali przez tuziny ochroniarzy, i próbowali swoich sił w konwersacji. John Major, jak się okazało, kochał operę i grę w krykieta — o jednym i drugim John nie potrafił sklecić nawet zdania. Nie miał również nic do powiedzenia na temat hodowli paw, wychwalali więc pogodę, niezwykle piękną jak na tę porę roku, i kilkakrotnie zapewniali się nawzajem, jak bardzo się cieszą, że mogą się poznać. Wreszcie premier

ociągając się, oznajmił, że Jego Królewska Wysokość Księżę Walii wykazał bardzo duże zainteresowanie poznaniem Johna.

— Nie powiedział wyraźnie, że mam pana od niego pozdrowić — dodał szef brytyjskiego rządu — ale to bardzo możliwe, że kiedyś pana zaprosi.

John skinął głową. Z McCainem dyskutowali o tym, czy zamiast premiera zaprosić następcę tronu, ale McCainie był temu przeciwny. *To byłoby grubiaństwo. Nie chodzi o to, że nie moglibyśmy sobie na to pozwolić i prawdopodobnie księżę Karol nawet by przyszedł — ale w ten sposób przedwcześnie odkrylibyśmy prawdziwy układ sił.*

Pół godziny później nadjechali pozostali goście. Szefowa cieszącego się uznaniem miesięcznika *20th Century Observer*, Wiktoria Holden, nazywana *wielką damą eleganckiego dziennikarstwa*, przyjechała z Londynu pociągiem i John polecił odebrać ją z dworca. Równocześnie z nią przybył Alain Smith, wydawca pisma dla mas *The Sun*, umieszczanego na skali dziennikarskiej jakości mniej więcej na przeciwległym do *Observera* końcu. Mimo to tych dwoje przywitało się jak starzy, dobrzy przyjaciele. Krótco potem pojawił się brytyjski korespondent *Washington Post*, chudy młodzieniec nazwiskiem David Moody, którego uścisk dłoni John czuł jeszcze przez pięć minut. A na koniec przytoczył się lord Peter Rawburne, sławny dziennikarz: wśród licznych wybuchów i trzasków zapłonu, sprawiających, że ochroniarze nerwowo sięgali do marynarek, swoim nadającym się raczej na złom astonem martinem z chrzęstem nadjechał przez wzgórze. Bezceremonialnie zaparkował obok wszystkich tych wytwornych wozów i wysiadł w wypchanych tweedowych ciuchach, jakby wpadł tu po drodze, wracając z polowania. Wyglądało na to, że nie robi sobie nic z

form ani konwencji.

Lord Peter Rawburne był również tym, który tego wieczora rozruszał towarzystwo.

— Dalej, proszę mówić, panie Fontanelli — powiedział, kiedy wy noszono talerze po przystawkach. — Nie zaprosił nas pan przecież dla zabicia czasu, czy mam rację?

John odłożył na bok serwetkę, spojrzął po zebranych i poczuł w brzuchu to ściskanie, które od kilku dni nie pozwalało mu spać. Miał nadzieję, że nie wygląda na tak śmiesznie niepewnego, jak się czuł. Swoją mowę przećwiczył sto razy, przed lustrem, przed kamerą wideo, aż miał wrażenie, że to, co ma do powiedzenia, potrafi wygłosić mniej więcej swobodnie i sprawiając wrażenie, jakby *nie* ćwiczył tego sto razy. Teraz chodziło jeszcze tylko o to, żeby swobodnie nawiązać do tematu.

— Nigdy bym się nie ośmielił — spróbował zażartować, ale nikt się nie roześmiał. Nie będzie to chyba takie proste.

— Szukałem — rozpoczął więc, co wyćwiczył — szukałem okazji, by wyjaśnić kilka spraw. Spraw dotyczących mojej firmy. *Fontanelli Enterprises* jest przez opinię publiczną traktowany jak zwykła inwestycja wielkiego majątku, której celem jest wypracowywanie zysków.

John zatoczył dłonią niewielki krąg, by zwrócić uwagę na otoczenie, w jakim się znajdowali.

— Z pewnością zgodzą się państwo ze mną, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest jeszcze więcej pieniędzy.

*Jedyną rzeczą, jaką musi pan przed nimi zataić, jest fakt, że w istocie dążymy do panowania nad światem,* upomniał go McCain. *Proszę okazać skromność.*

— Znam kilku ludzi, których to również dotyczy — sprzeciwiła się panna Holden. — Mimo to nie przestają. Spytałam kiedyś

jednego z nich, dlaczego chce zarabiać wciąż więcej pieniędzy, choć właściwie ich już nie potrzebuje. Odpowiedział: „Robię to nie dlatego, że tego *potrzebuję*, ale ponieważ to *potrafię*”.

— Ale ja przecież tego nie potrafię! — spontanicznie wyrwało się Johnowi. Odchrząknął. — Chodzi mi o to, że z pewnością nikt nie powiedziałby o mnie, że jestem urodzonym człowiekiem interesu.

— Ale najwyraźniej szybko się pan uczy — powiedział David Moody. — Inwestuje pan dość sprytnie i na całym świecie. Zdaje mi się, że jedyne kraje, w których nic pan nie kupił, to Irak i Korea Północna, a jedyny kontynent, na którym nie ma pan przedstawicielstwa, to Antarktyda.

— Mam sprytnych współpracowników. Poza tym tak ogromnego majątku nie można zainwestować w jednym kraju, ani nawet na jednym kontynencie, nie tworząc przy tym monopoli.

— Może nawet na jednej planecie — zakpił Alain Smith. Johnowi zrobiło się gorąco. Wydawca *The Sun*, nie zdając sobie z tego sprawy, był cholernie bliski prawdy.

— Mój majątek odbieram w pierwszym rzędzie jako zobowiązanie — powoli powiedział John. — Nie chcę gromadzić jeszcze więcej pieniędzy, ale chcę za ich pomocą służyć ludzkości.

— A więc jednak — wtrącił lord Rawburne. — Proroctwo pańskiego przodka nie daje panu spać?

— Dlaczego zatem nie rozdzieli pan swoich pieniędzy między biednych? — zapytał Smith. — Przynajmniej ich części.

John spojrział na niego.

— Ponieważ sędzę, że w ten sposób tak naprawdę nikomu nie wyrządziłbym przysługi.

— Bezdomny pod mostem na Tamizie miałby inne zdanie.

— Myliliby się — powiedział John. Sam był zaskoczony zdecydowaniem, z jakim przechodzi mu to przez usta, i jeszcze bardziej zaskoczony widząc, że to działa. Alain Smith zamilkł i skinął głową, jakby na poważnie brał pod uwagę, że John może mieć rację. Nikt inny również nie zgłosił zastrzeżeń, więc John powrócił do przygotowanej mowy. Nagle ogarnęło go uczucie, że zdołają wygłosić do końca, nie umierając przed finałem.

— To, co chciałbym powiedzieć, to fakt, że największą uwagę poświęcam ochronie środowiska. Jesteśmy w trakcie wprowadzania wytycznych jego ochrony, które będą obowiązywać w całym koncernie i to również w krajach i sytuacjach, gdzie będzie to dla nas niekorzystne ekonomicznie. Słyszeliście państwo może o naszych wysiłkach, by uczynić bardziej bezpiecznym transport ropy naftowej. To kosztuje pieniądze, ale zrobię, co w mojej mocy, by żadnemu statkowi pływającemu na moje zlecenie nie zdarzyło się nic takiego jak *Sea Express*. W tej chwili wprowadzamy środki, które można łatwo zastosować — na przykład powszechne stosowanie przez administrację papieru ekologicznego, segregację odpadków i recycling, rezygnację z paliw gazowych zagrażających warstwie ozonowej i tak dalej. Niestety, są to przeważnie środki o raczej symbolicznym znaczeniu. Wkrótce rozpoczniemy dalej idące projekty, jak na przykład przyjazną dla środowiska konstrukcję produktów, technologię produkcji i tym podobne. Mamy jednak bardziej ambitne plany. Ale — powiedział John i spojrzał na premiera — w ich przypadku potrzebna jest pomoc polityki.

Major zrobił wielkie oczy, a może tylko tak to wyglądało przez jego duże okulary.

— Zastanawiałem się już, po co mnie zaproszono — stwierdził



sucho.

John nabrał głęboko powietrza. Trzepotanie w brzuchu wciąż go nie opuszczało. Mówić dalej, nie pozwolić się zirytować!

— Grupa Fontanelli w przyszłości — sędzę, że mogę tak powiedzieć — będzie odgrywać znaczną rolę w gospodarce światowej. To dodaje mi odwagi do zainspirowania określonych zmian w polityce gospodarczej, o których myślę, że na dłuższą metę wyjdą na dobre wszystkim ludziom. Popierałbym stosowną politykę, biorąc pod uwagę również ewentualne straty, w nadziei, że *Fontanelli Enterprises* będzie przykładem, za którym pójda inni.

Spojrzał po zaskoczonych twarzach.

Alain Smith siedzący na drugim końcu stołu sięgnął po swój kieliszek i John usłyszał jak mamroce:

— Teraz będzie wesoło.

Twarz premiera była jak kamienna maska.

— Pańską gotowość do kooperacji przyjmuję do wiadomości z zadowoleniem — powiedział nadzwyczaj niezadowolonym tonem. — Mimo to muszę zwrócić uwagę na fakt, że w demokracji prawidłowa droga do wprowadzania politycznych zmian musi prowadzić przez parlament, nie może zaś odbywać się drogą prywatnych ustaleń przy kolacji.

Wiktoria Holden pochyliła się, niechcący z głośnym brzękiem przesuważąc perłami naszyjnika po talerzu.

— Panie Fontanelli, czy zechciałby nam pan wyjaśnić, o jakich konkretnie zmianach w polityce gospodarczej pan myśli?

John spojrzał na nią z wdzięcznością. *Panna Holden, mimo że zbliża się do osiemdziesiątki, będzie prawdopodobnie najbardziej postępowym i otwartym na zmiany duchem przy pańskim stole, prorokował McCaine. To, co ona mówi, ma większą wagę, niż*

*można by sądzić po nakładzie jej pisma.*

— Jestem, jak mówiłem, nowicjuszem w świecie interesów — wyjaśnił jej i pozostałym. — Być może dlatego dziwię się jeszcze wielu rzeczom, do których inni, którzy w tym świecie dorastali, już przywykli. Zastanawiam się na przykład, jak to możliwe, że opłaca się transportować kraby z Morza Północnego do Maroka, by tam obierać je ze skorup? Jak to możliwe, że można transportować samolotem jabłka z Nowej Zelandii i mimo to oferować je taniej niż krajowe? — Teraz płynął znów głównym nurtem swojej mowy i wreszcie dotarł do części, którą w większości wygłaszał z głębi serca.

— Lub uogólniając: jak to możliwe, że to, co bardziej szkodliwe dla środowiska, bardziej opłaca się ekonomicznie? Mianowicie tylko dlatego, że cena, jaką firma musi za coś płacić — w tym przypadku za transport — nie odpowiada rzeczywistym kosztom. Gdyby wszystko kosztowało tyle, ile obciąża środowisko, nie byłoby problemu z jego ochroną. Gdyż my, ludzie, świetnie potrafimy unikać kosztów. Wszyscy jesteśmy w tym bardzo pomysłowi. Historia uprzemysłowienia to nic innego, jak historia obniżania kosztów na dobra codziennego użytku. Dlaczego nie użyjemy tej pomysłowości, by rozwinąć bardziej dalekowzroczne gospodarowanie ziemią? Dlaczego nie wymusimy, by czynnik obciążenia środowiska musiał być uwzględniony we wszystkich kalkulacjach? Dlaczego nie urządzimy tego tak, by szkodzenie środowisku było po prostu *kosztowne*”?

Na nieskończenie długą sekundę zrobiło się tak cicho, jakby powiedział coś niepojęcie krępującego.

— Jeśli podniesie pan koszty transportu, ukręci pan szyję światowemu handlowi — powiedział w końcu David Moody i

opadł na oparcie krzesła. — Gospodarka jest zależna od dobrych warunków transportu.

To zastrzeżenie można było przewidzieć. Wpadł na nie nawet on, kiedy razem z McCainem przygotowywał te rozważania.

— Nie chodzi po prostu o koszty transportu. Gospodarka rozwinęła się tak, jak się rozwinęła, *ponieważ* transport był tani. Nie odwrotnie. To dla mnie jasne, że wprowadzenie mojej propozycji będzie miało ważne konsekwencje. Nie mówię również, że to wszystko musi się stać za jednym zamachem. Ale trzeba to wprowadzić.

— Pańska propozycja oznaczałaby na przykład — stwierdził Smith — skreślenie subwencji dla górnictwa i wprowadzenie zamiast nich sowitych podatków na węgiel. Prawda? Ale rezultatem byłyby tysiące bezrobotnych.

— Gdyby to niczego nie zmieniło, nie musielibyśmy tego robić — powiedział John.

Premier Jej Wysokości nic nie mówił, ale wyraźnie nie bawił się dobrze. Patrzył sztywno przed siebie i wyglądał, jakby pragnął być gdzie indziej.

Wśród kłopotliwego milczenia podano następne danie, pasztet z łososia w sosie riesling. *Co za szalone otoczenie na rozmowę o nędzy świata*, pomyślał John na widok fantazyjnie udekorowanego talerza, wprawną dłonią zręcznie przed nim postawionego.

— Uważam, że pan Fontanelli ma rację — zabrał głos lord Rawburne. Sięgnął po widelec i nóż do ryb. — Jesteśmy tu w swoim gronie, wszyscy jesteśmy w miarę inteligentnymi ludźmi, nie musimy więc się oszukiwać. Jeśli przyjrzą się państwo procesom gospodarczym, zawsze stwierdzicie, że można znaleźć granicę, przez którą zabiera my coś naturze — surowiec, produkt

naturalny — i inną granicę, przez którą coś naturze oddajemy — odpadki, z reguły. Wszystko, co dzieje się między nimi, jest — można powiedzieć — wewnętrzną sprawą ludzi. To właśnie istnienie tych dwóch granic stwarza problem środowiska. Korzystamy z zasobów, które nie są nieograniczone, a to, co oddajemy, również nie może być wchłonięte w nieograniczonych ilościach. Wiemy to wszyscy od dawna, ale ta wiedza nie zaowocowała dotąd żadnymi konsekwencjami. Propozycja pana Fontanellego trafia dokładnie w jądro problemu: dopóki szkodzenie środowisku nie będzie miało dla gospodarki negatywnych skutków finansowych, a chronienie go pozytywnych, nie ma ona możliwości odpowiednio działać. Specjalnie mówię: *nie ma możliwości*. Oczekiwać tego po niej, jak to czyni wciąż wielu idealistów, to oczekiwać, że gospodarka będzie działać niegospodarczo. Reguły gry nie przewidują względów na środowisko. Ale reguły gry można zmienić. To nie jest zresztą nic szczególnego; ciągle to robimy. Zmieniamy prawo bankowe, ubezpieczenia, prawo giełdowe, prawo podatkowe — to wszystko są reguły procesów gospodarczych. Równie łatwo możemy wprowadzić zasadę, że szkodzenie środowisku będzie kosztowało konkretne pieniądze. Wtedy to, o co dotychczas daremnie zabiegamy apelując do moralności, dokona się samą tylko dynamiką sił rynkowych. I wyłącznie tak można to zrobić. Nie ma innej drogi.

Podczas przemówienia Rawburna David Moody zaczął kręcić głową i wyglądało na to, że nie ma ochoty przestać.

— W tym wszystkim tkwi niewątpliwie dobra intencja — powiedział — choć myśl nie jest zbyt oryginalna. Mianowicie potrzeba państwowej kontroli. Tymczasem w rzeczywistości dzisiaj najlepiej powodzi się środowisku w krajach posiadających

wolny rynek, podczas gdy w dawnych krajach gospodarki planowej środowisko jest zrujnowane.

Rawburne pochylił się i skierował czubek swojego noża do ryb na Amerykanina, jakby miał w dłoni sztylet.

— Reguła gry to nie to samo, co gospodarka planowa i pan to dobrze wie, panie Moody. Państwo musi ustalać reguły gry. Po to właśnie jest. Pański wolny rynek nie działałby bez reguł gry stworzonych przez państwo — mówimy o rzeczach takich jak prawo akcyjne, nadzór bankowy, prawo o zawieraniu umów i tak dalej. A w państwach nie będących w stanie wyegzekwować przestrzegania tych reguł pański wolny rynek również nie funkcjonuje. Owo sławne środowisko gospodarcze, na którego brak skarży się każdy, kto tłumaczy, dlaczego nie chce inwestować w Rosji.

John poczuł, że musi coś powiedzieć, by nie dopuścić do eskalacji animozji między tymi dwoma, którą — jak mu się zdawało — wyczuwał.

— Z pewnością nie jestem ekspertem od problemów gospodarczych — oznajmił. — Zastanawiałem się tylko, jak wyglądałaby nasza gospodarka, gdyby Ziemia, natura, była firmą? Gdybyśmy wszystko, czego potrzebujemy, musieli od niej kupować? Naprawdę wszystko, nie tylko surowce, ale również wodę, powietrze, ziemię i glebę?

*Pewnego dnia my będziemy tą firmą*, powiedział McCaine, podnosząc szklankę jak do toastu.

Wiktorija Holden uśmiechnęła się.

— Wtedy prawdopodobnie nie byłoby nas stać na życie!

— To urojenie — stwierdził Smith.

— To byłby monopol — zagrzemiał Moody. — Pańska firma Ziemia mogłaby ustalić ceny na tak wysokim poziomie, że nikt

nie byłby w stanie ich zapłacić.

— Zdaje się pan zakładać, że my, ludzie, jesteśmy na Ziemi niepożądani — sprzeciwił się lord Rawburne. — Interesujące założenie, które w innych okolicznościach byłoby z pewnością warte bliższego przeanalizowania. A przecież odpowiedź na pytanie pana Fontanellego leży jak na dłoni: natura oczywiście nie jest firmą. Dostrzegam w tym wyzwanie dla państwa. Dotychczas państwo reprezentuje interesy swej gospodarki, w najlepszym przypadku niekiedy również swej ludności. Bardziej inteligentnie byłoby pozostawić gospodarkę samej sobie i przyjąć rolę powiernictwa przyrody.

— To wszystko brzmi dobrze i pięknie, lordzie Rawburne — powiedział premier. — Ale co się tyczy politycznego realizmu, to czysta utopia. Zakładając nawet, że tego rodzaju zmiana kursu zyskałaby poparcie większości — wszystko, co by pan osiągnął, to znaczne osłabienie pozycji Wielkiej Brytanii w warunkach coraz ostrzejszej międzynarodowej rywalizacji.

— Naturalnie to wymaga międzynarodowej kooperacji — oznajmiła panna Holden. — Działanie w odosobnieniu byłoby równie bezsensowne, co bezskuteczne.

Alain Smith machnął ręką.

— Proszę o tym zapomnieć, panno Wiktorio. Każde państwo szukałoby tylko sposobu ominięcia takich uzgodnień.

John Major pokiwał głową.

— Muszę się w tym zgodzić z pani kolegą.

Kolacja minęła wśród gorących, nie przynoszących jednak efektów dyskusji i w znacznej mierze bez wychwalania jej kulinarnej jakości. Potem, można powiedzieć, w najwcześniejszym możliwym momencie, nie urągającym zasadom dobrego wychowania, premier pożegnał się, nie zapominając oczywiście o

dodaniu kilku uprzejmych słów, wyrażających jak bardzo docenia zaproszenie oraz głoszących nadzieję na przyszłe dobre stosunki.

Alain Smith wyszedł chwilę później.

— Bądź, co bądź — oznajmił na pożegnanie — uważam za uspokajające, że na czele największego koncernu świata stoi człowiek, który kieruje się wartościami wyższymi niż powszechnie spotykana kombinacja pieniędzy, ambicji i żądz władzy.

— Jestem pewien, że pańskie zaangażowanie w ochronę środowiska stanie się przykładem — powiedział David Moody. — Nie powinien pan tylko przesadzać. Proszę stosować politykę małych kroków.

Wiktorija Holden nie udzielała rad, podziękowała mu tylko za zaproszenie.

Ostatni wyszedł lord Peter Rawburne.

— Myśli pan we właściwym kierunku — oznajmił, ściskając dłoń Johna. — Nie przemyślał pan tylko jeszcze tego do końca.

Wygłosiwszy te zagadkowe słowa dziennikarz wsiadł do swego niepozornego samochodu i odjechał, zanieczyszczając środowisko pozostałościami niedokładnego spalania paliwa.

John jeszcze długo stał w oknie salonu i patrzył na rozgwieżdżone niebo, podczas gdy cienkie jak nitki kontury pewnej idei zagęszczały się w stanowczą decyzję. Gdy to się dokonało, zerknął na zegarek. Wpół do dwunastej.

Podszedł do telefonu, zaczął kartkować leżący obok spis numerów. W zamku było ponad dwieście telefonów; dlatego wszystkie numery wewnętrzne były trzycyfrowe. Znalazł numer, którego szukał i wystukał go.

— O'Shaugnessy — zgłosił się nieco przestraszony głos.

— Tu Fontanelli — powiedział John. — Mam nadzieję, że pana nie obudziłem.

— Och, nie, sir — odpowiedział bibliotekarz. — Jeszcze czytałem.

John skinął głową. Niczego innego nie spodziewał się po chudym Irlandczyku z niezwykle rzadkimi włosami.

— Przykro mi, że muszę jeszcze tak późno panu przeszkadzać, ale mam pilną prośbę...



## 25

Tydzień później John wmaszerował rano do biura McCaine, położył przed nim książkę i stanął przed biurkiem w wyczekującej pozie. Był, nie da się ukryć, w nienajlepszym humorze.

— *Juan, un momento, por favor* — poprosił McCaine swego telefonicznego rozmówcę, położył dłoń na mikrofonie i pochylił się. Tytuł książki brzmiał: *Całkowicie automatyczny ratunek ludzkości*. Autorem był Peter Rawburne.

Przyłożył słuchawkę z powrotem do ucha.

— *Juan? Lo siento, Podria llamar usted más tarde? Vale. Hasta luego.* — Odłożył słuchawkę, wziął książkę do ręki i spojrzał na Johna.

— Dzień dobry, John. Gdzie pan to znalazł?

— O'Shaugnessy to znalazł — wyjaśnił John i zaczął kiwać się na obcasach.

— O'Shaugnessy? Patrzcie tylko. Sprytny bibliotekarz, trzeba przyznać.

McCaine odchylił pierwszą stronę okładki, z wyraźną przyjemnością odwrócił wyklejkę, studiował stronę tytułową.

— Dobrze zachowany egzemplarz. Lepiej niż mój własny. John parsknął.

— Zaprosił pan lorda Rawburne'a i kazał mi prezentować i podawać jako własne pomysły, które on spisał już przed dwudziestu laty. Wszedłem na idiotę.

— Nonsens — sprzeciwił się McCaine. — Był zachwycony. Sam mi pan to opowiadał. Stanął po pańskiej stronie, może nie?

— Wczoraj wieczorem po prostu mnie zatkało. Pan znał tę książkę. Dlaczego mi jej pan nie pokazał?

— Dlatego — cierpliwie wyjaśniał McCain — że uznałem, iż lepiej będzie, jeśli pan sam wpadnie na te pomysły.

— Ale przecież nie wpadłem na nie sam! To pan mi je podsunął, co do jednego.

McCaine pokręcił głową.

— Tamtego wieczoru siedzieliśmy razem przy butelce dobrego wina i roztrząsaliśmy strategię zmian w światowej gospodarce. My dwaj, ty i ja. OK, wspomniałem o pomysłach Rawburna — ale pan się ich chwycił, zaadoptował, kontynuował rozważania, był wprost zachwycony. I co? Czy te pomysły są inne przez to, że ktoś już wcześniej na nie wpadł?

— Powinien był mi pan powiedzieć, że twórca tych pomysłów będzie siedział przy stole, kiedy będę o nich mówił.

— Wtedy byłby pan skrepowany. Robiłby wrażenie neofity. Kogoś, kto właśnie nawrócił się na nową ideologię i teraz chce nią uszczęśliwić cały świat.

John drgnął.

— To był powód? Chciał pan, żebym wypadł wiarygodnie?

— John — powiedział McCain, powoli zamknął książkę i odłożył ją na szczyt stosu akt. — Nie jestem tak genialny, żebym miał sam wymyślić coś takiego. Przyznaję. Ale jest mi wszystko jedno, absolutnie wszystko jedno, skąd pochodzi dobry pomysł i kto na niego wpadł. Nie muszę kupować licencji na ratowanie świata. Jeśli jakiś pomysł jest dobry, używam go.

— Ale co z innymi? Oni też wiedzieli, że przeżuwam stare pomysły Rawburna, prawda?

— Żaden człowiek nie pamięta już dziś pomysłów Rawburna. — McCain wskazał książkę. — Ukazała się prywatnym nakładem. Wydrukowano dwieście egzemplarzy. Zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego? Albo zastanawiał się pan, czemu on tego

wieczoru po prostu nie dał panu w pysk? Dlaczego zachowywał się tak, jakby snuł dalej pańskie pomysły?

— Nie — musiał przyznać John.

— Dlatego, że panu uwierzył. Uwierzył, że sam pan do tego doszedł. A to obudziło w nim nadzieję, że czasy może powoli dojrzały do jego pomysłów. Kiedy pisał tę książkę — mógł wtedy mieć najwyżej dwadzieścia sześć lat — świat na pewno jeszcze nie był tak daleko. Nie może pan sobie nawet wyobrazić, jak wtedy był w swoich kręgach krytykowany, on i jego tezy. Podatki pobierać tylko od zużycia środowiska, posiadanej ziemi, od zużycia wody i surowców, od wyprodukowanych śmieci! Gdyby ci lordowie już wtedy sami nie byli na pół martwi, na pewno by go powiesili.

McCaine oparł się, splótł ręce na piersiach.

— Klasa wyższa do dziś mu nie wybaczyła i nigdy nie wybaczy. Reszta cywilizacji zna go jako prawdopodobnie najbardziej kompetentnego dziennikarza gospodarczego na świecie. Kiedy on coś powie, każdy nadstawia uszu, Wall Street tak samo jak Downing Street Nr 10, Frankfurt tak samo jak Biały Dom. To, że zyskał jego przychyłność, jest dla naszych zamiarów bardziej cenne, niż gdyby przyniósł panu na tacy British Petroleum.

John przełknął ślinę.

— Poważnie?

— Czytał pan w zeszłym tygodniu gazety?

— Hm — nie.

— A powinien pan. Zauważyłby pan, że został bohaterem. Angielskie popularne gazety donoszą obszernie o naszych inicjatywach w zakresie ochrony środowiska. Amerykańska prasa odkryła w świecie gospodarki nową tendencję troski o

środowisko, którą nazwano *Fontanelli Trend*. A na kontynencie i tak nie ma żadnego redaktora naczelnego, który by nie prenumerował *20th Century Observer* panny Holden.

John przyjrzał się McCainowi, którego koszula już o tej wczesnej porannej godzinie była przepocona pod pachami.

— I to wszystko ma być rezultatem jednej kolacji i mojej nijakiej przemowy?

— Może pan się spokojnie o to założyć. Nie jest pan już zwariowanym dziedzicem, który nie wie, co począć z pieniędzmi. Stał się pan obiektem sympatii. Ludzie zaczynają rozumieć, że jesteś prawdziwym dziedzicem, John; że wypełnisz to proroctwo. Został pan kimś w rodzaju gwiazdy rockowej — stwierdził McCaine. -1 proszę pogodzić się z tym.

Oblicze Johna zachmurzyło się.

— Każdy mógłby zrobić to, co ja. Jestem nieudacznikiem, któremu przypadkiem trafił się szalony spadek.

Sam przestraszył się własnych słów.

McCaine przyjrzał mu się w zamyśleniu, obrócił się potem krzesłem w bok i wyjrzał na dachy Londynu.

— Poniósł pan klęskę w świecie, który jest do gruntu źle spolaryzowany — powiedział spokojnie. — My zmienimy tę polaryzację. Zadbamy o to, żeby właściwi ludzie odnieśli sukces i żeby nagradzane było właściwe zachowanie, a cała reszta ułoży się sama.

Inną gwiazdę rockową John odkrył, kiedy na koniec pewnego pełnego emocji dnia zbyt pobudzony, by mógł zasnąć, usiadł przed telewizorem i przełączał programy. Oto niespodziewanie z MTV spójrzała na niego twarz Marvinina, który łypiąc ponuro okiem mamrotał pod nosem trudno zrozumiałe strofy łoskotliwej muzyki, podczas gdy w tle rosły coraz wyższe góry

samochodowych wraków, jakby nakładane niewidzialną ręką. Muzyka była jak dawniej okropna, ale wideo robiło wrażenie, szczególnie refren, kiedy przyłączała się z popiskiwaniami Constantine, ubrana tylko w to, co absolutnie niezbędne, a i to minimum wyglądało na znalezione na śmietniku. Jej lubieżne ruchy mimo woli przypomniały Johnowi pewien wieczór na pewnym, od miesięcy nieużywanym, stojącym na kotwicy jachcie, i to wspomnienie nie sprawiło mu przyjemności. W każdym razie Constantine nie zostanie już prokuratorem.

W piwnicach budynku prokuratury we Florencji było wciąż tak wiele kartonów z napisem *Listy z pogrózkami/Fontanelli*, że wypełniały w całości jedno pomieszczenie magazynowe. Do chwili wyprowadzki Johna Fontanellego do Wielkiej Brytanii zajmowała się nimi specjalna komisja, co skutkowało wieloma aresztowaniami i oskarżeniami na całym świecie i sporo ludzi zaprowadziło do więzień albo zakładów psychiatrycznych.

W czerwcu 1996 zwabiły ludzi do okien osobliwe dźwięki, dochodzące z wewnętrznego dziedzińca budynku. Pośrodku podwórka stała i terkotała ciężarówka firmy niszczącej dane, a umieszczony na jej tyle szarpacz pożerał czarne kartony tak, jak je przyniesiono z piwnicy, nieotwarte, przekornie podskakujące na połyskliwych zębach i podrygujące, aż jedno z metalowych ostrzy wreszcie wgryzało się w tekturę, odrywało kawałek i paczka pękała, potop kopert wysypywał się z niej niczym nasiona z dojrzałej torebki nasiennej, ale i je połykała mechaniczna gardziel i siekała na drobniutkie strzępy. Nie trwało nawet dwie godziny, a zbiór pogrózek wobec najbogatszego człowieka w historii świata zmienił się w opał, zgromadzony w brązowych papierowych workach.

— Wyraźne polecenie ministra sprawiedliwości — powiedział nadprokurator do swojego gościa, kiedy obserwowali przez okno to przedstawienie i skorzystał z okazji, by ukradkiem spróbować wyjąć włókienko mięsa, od obiadu tkwiące mu między zębami. — Słyszałem, że udzielił go na wyraźną prośbę ministra finansów.

— Naprawdę? — skwapliwie zdziwił się gość.

Włókienko mięsa poddało się. Co za wspaniałe uczucie. Nadprokurator z niechęcią obserwował to malutkie brązowe coś na swoim paznokciu.

— I miał rację, gdyby pytał pan o moje zdanie. Signor Fontanelli przy nadaniu obywatelstwa obiecał, że będzie w tym kraju płacił podatki, a już trzy miesiące później wyjechał do Anglii. Nie rozumiem, dlaczego właściwie mielibyśmy pracować dla kogoś takiego.

— Nie płacimy podatków? — John podniósł wzrok znad bilansu. — Czy to prawda?

McCaine był zajęty gryzmoleniem dłuższej notatki na marginesie jakiegoś pisma.

— To wewnętrzny papier przeznaczony tylko dla nas — powiedział, nie podnosząc wzroku. — A jednak z trudem przychodzi mi uwierzyć, że każda zawarta w nim liczba jest tak prawdziwa, jak prawdziwe potrafią być liczby.

— Napisano tu równe trzynaście milionów dolarów.

— O trzynaście milionów za dużo, jeśli pyta mnie pan o zdanie. Ale nie udało się ich uniknąć.

— Nie wiem. Obiecałem włoskiemu ministrowi finansów, że co najmniej przez rok będę płacił we Włoszech podatki...

— Te siedem miliardów, których nie zdołałem już uratować w

zeszłym roku, będą musiały mu wystarczyć.

— Obiecałem mu, rozumie pan? Zaręczyłem słowem.

Teraz McCaine jednak podniósł wzrok.

— Zaraz się rozplączę. Proszę wybaczyć, John, ale mówimy tutaj o dwudziestu, trzydziestu miliardach dolarów albo nawet więcej. Mógłby pan za nie kupić Ukrainę albo pół Afryki. Nie mam zamiaru wrzucać tylu pieniędzy do gardła żadnemu ministrowi finansów.

— Ale przecież nie możemy... to znaczy zarabiamy pieniądze. A kto zarabia, musi płacić podatki, tak już przecież jest, prawda?

— Jesteśmy przedsiębiorstwem międzynarodowym. Możemy sami wybierać, gdzie płacimy podatki. A skoro wolno mi wybierać, więc wybieram stawki podatkowe Kajmanów, mianowicie zero dolarów.

John zakłopotany skinął głową i ponownie wpatrzył się w arkusz papieru trzymany w ręce. Trzyście milionów.

— Jak to możliwe? — zapytał. — Nie jesteśmy przecież na Kajmanach. Jesteśmy tu, w Londynie.

— Mamy firmy na Kajmanach. Tak samo, jak mamy firmy na wyspie Sark, w Belize, na Gibraltarze, w Panamie i jak się tam te wszystkie raje podatkowe nazywają. Te firmy nic nie robią, nie mają pracowników, składają się tylko z zapisu w rejestr handlowy i małej tabliczki na skrzynce na listy. A na tych tabliczkach znajdują się nierzucające się w oczy nazwiska, gdyż nie chcemy, żeby każdy natychmiast wiedział, że należą do pana. Jedna z tych firm nazywa się na przykład *International Real Estate* i jest firmą zarządzającą nieruchomościami, należy do niej nasz wieżowiec i pański zamek i wystawia nam ona za nie rachunki na sowity czynsz. Te czynsze zmniejszają nasze zyski i naszą podstawę opodatkowania — ale co może zrobić urząd

finansowy ? Nie może nam przecież zabronić mieszkać i pracować w wynajętych pomieszczeniach. Tę samą sztuczkę można powtórzyć z ubezpieczeniami transportów, inwestycji, z honorariami konsultantów i tak dalej, aż praktycznie nie trzeba płacić żadnych podatków.

— A czy pieniądze są tam w ogóle bezpieczne, na tych wszystkich wyspach?

— Niech pan nie będzie naiwny. Pieniądze przesyłane są tylko w komputerach banków, przeksięgowywane z jednego twardego dysku na inny. Ani jeden *penny* nie opuszcza tego kraju, nawet w postaci bitów.

W to akurat Johnowi trudno było uwierzyć. Ale przywykł już do tego, że trafił w regiony, gdzie niemożliwe jest codziennością.

— Dla mnie to nie wygląda na czystą grę.

— Ależ nikt tak nie powiedział. Przeciwnie, to absolutnie naganne moralnie. Ale proszę spojrzeć na statystyki Międzynarodowego Funduszu Walutowego: ponad dwoma bilionami dolarów zarządza się w finansowych *offshore*. To znacznie osłabiłoby naszą pozycję, gdybyśmy my płacili podatki, a inni nie.

John przesunął dłońmi po twarzy.

— Każdy drobny rzemieślnik musi płacić podatki. Mój ojciec musi płacić podatki. Każdy. Jakim prawem mam zwolnić od tego siebie?

McCaine rozparł się na fotelu, złożył dłonie, stykając je opuszkami palców i oparł na nich brodę, przyglądając się bacznie Johnowi.

— Można patrzeć na to w różny sposób — oznajmił wreszcie. — Pan jest przedsiębiorcą. Jest pan jednym z największych pracodawców świata. Zaopatruje pół planety w dobra



codziennego użytku. Osiąga wyniki, jakich nie byłby w stanie osiągnąć żaden pojedynczy rząd. Zatem, jeśli chce pan poznać moje zdanie — nie uważam, żeby musiał pan do tego jeszcze płacić podatki.

— Łupieżcza wyprawa rusza dalej — huknął McCain, wchodząc do jego biura. Przez wiele tygodni jeździli po świecie, teraz na dłuższy czas zatrzymali się w Londynie i znów było tak, jakby po biurowcu szalała trąba powietrzna.

Ostatnio prowadzili niezliczone rozmowy z firmami w Europie Wschodniej, na Bliskim Wschodzie i w Afryce, oglądali hale fabryczne wyglądające czasem jak muzea albo przypominające ponure więzienia dla pozbawionych praw niewolników, widzieli zeskorupiałe rury kanalizacyjne, z których cuchnące, pieniające się ścieki bez przeszkód spływały do rzek, brodzili w oleistym błocie i potykali na opuszczonych wysypiskach śmieci, zawsze w towarzystwie prezesów lub dyrektorów zdanych na ich finansową pomoc.

— Syryjczycy zażądali, żebyśmy zrezygnowali z naszych inwestycji w Izraelu — opowiadał McCain Johnowi podczas jednego z ich skromnych obiadów, które mieli w zwyczaju jadać przy stole konferencyjnym. — Za to rząd izraelski chciał, żebyśmy nie inwestowali w Syrii. Powiedziałem do obydwu, słuchajcie, jeśli przychodzicie do mnie z takimi żądaniem, to nie będę inwestował ani u jednego, ani u drugiego. I nagle zrobili się całkiem cichutcy.

— Dobre ćwiczenie na rozgrzewkę — orzekł John, wciąż na nowo zdziwiony władzą, jaka została włożona w jego ręce.

— Przy okazji, na budowę fabryki mikroprocesorów w Bułgarii dostaniemy państwową dotację w wysokości trzystu milionów

dolarów. Poza tym przez pierwsze pięć lat państwo będzie pokrywało dziewięćdziesiąt procent wszystkich ewentualnie powstałych strat. Które oczywiście poniesiemy.

John zdziwiony wyprostował się.

— Czyżbyśmy już nie mieli więcej pieniędzy?

— Niech pan nie robi takiej przestraszonej miny, John. Mamy więcej pieniędzy niż kiedykolwiek przedtem. Może pan przecież zejść na dół do naszych handlarzy dewizowych i zobaczyć, jak je coraz bardziej pomnażają.

— Po co w takim razie potrzebne są nam dopłaty od państwa? McCaine odłożył widelec do sałaty.

— Jak powiedziałem panu już przy naszym pierwszym spotkaniu: bilion dolarów nie wystarczy, żeby kupić świat. Dlatego musimy, jeśli ma nam się udać, kontrolować tak dużo obcych pieniędzy, jak to tylko możliwe. I właśnie tak to robimy. Każdego dolara, którego bułgarski rząd da nam, nie może wydać na nic innego. Będzie słabszy, a my będziemy mocniejsi. A ponieważ będziemy mocniejsi, przy następnych tego rodzaju interesach będziemy mogli wynegocjować jeszcze więcej — i tak dalej. Nie mająca końca spirala.

— Rozumiem. — Tego rodzaju triki i manewry wciąż jeszcze niesmaczyły Johna, choć próbował zaakceptować fakt, że reguły gry o władzę funkcjonują właśnie w ten sposób. — Ale co jakiś rząd będzie miał z tego, że zainwestujemy w ich kraju, jeżeli w rzeczywistości za prawie wszystko zapłacą sami?

— Wmówiłem im — pomijając fakt, co i tak było dla nich jasne, że fabrykę elektronicznych chipów równie dobrze możemy zbudować w Rumunii albo na Węgrzech — powiedział McCaine — że w ten sposób zyskają międzynarodowy szacunek u innych inwestorów. Zgodnie z mottem, że gdzie zainwestuje *Fontanelli*

*Enterprises*, tam i inni mogą się na to odważyć.

Pokręcił głową i roześmiał się szyderczo.

— Wie pan, uwielbiam tę sytuację, kiedy ci szefowie rządów, w swoich starych pałacach, ze swoimi tytułami i z całą tą pustą pompą dają się urabiać w moich rękach jak wosk. Kiedy patrzą na mnie i widzę, że nagle zaczynają rozumieć, kto tu naprawdę rządzi. Że cała ich władza jest tylko karnawałową paradą dla ludu. Nie ma rządów, John, są tylko ludzie na urzędach. Niektórzy z nich są tak beznadziejnie głupi, że można im wmówić wszystko. Pozostali chcą przede wszystkim być wybrani ponownie i dlatego nowe miejsca pracy są dla nich ważniejsze niż zrównoważona gospodarka państwa.

— Nadszedł czas, by poznał pan tajemnicę cudownego pomnażania pieniędzy — oznajmił jakiś czas później McCain i dodał drwiąco: — Bo ostatnio martwił się pan, że mogłyby się nam skończyć pieniądze.

Johnowi przypomniał się Marvin, który w dawnych czasach chętnie podchwytywał mętne pomysły na pomnażanie pieniędzy i raz po raz próbował namówić go na uczestnictwo w łańcuszkach szczęścia albo podobnych zabawach. Zapewnił, że zmienia się w słuch, nie spodziewał się jednak nic szczególnego.

— Na początek — wyjaśnił McCain — stworzymy nową spółkę kapitałową. Nazwiemy ją, powiedzmy, *Fontanelli Power*. Cel biznesowy to handel energią elektryczną. W Europie najpóźniej za cztery lata zliberalizowany zostanie rynek prądu, mówimy więc o branży mającej niezłe widoki. Jako kapitał wniesiemy nasze różne elektrownie. Będą one zatem w przyszłości należały do *Fontanelli Power*, którego akcje z kolei należeć będą do *Fontanelli Enterprises*, więc w stosunkach własnościowych *de facto* na razie nic się nie zmieni.

Utworzenie *Fontanelli Power Limited* było sprawą łatwą i zostało załatwione w kilka dni. W zasadzie nie zdarzyło się nic innego, jak wydzielenie niewielkiej części obecnej firmy i nadanie jej nowej nazwy. Otrzymała również własne logo firmowe, tanio zaprojektowane przez nowojorską agencję reklamową, w której *Fontanelli Enterprises* miało udziały.

— Teraz drugi krok. Ogłosimy, że *Fontanelli Power* wejdzie na giełdę. To trochę bardziej pracochłonne, ponieważ trzeba spełnić rozmaite prawne przepisy, przede wszystkim jednak przygotowując wejście na giełdę trzeba rozbudzić zainteresowanie inwestorów. Co w obliczu nazwiska *Fontanelli* nie powinno stanowić problemu.

Sprawy prawne załatwili prawnicy firmy i w rozmowach padały pojęcia *jak prospekt giełdowy* i *nowa emisja*, których John wprawdzie nie rozumiał, ale które sobie jednak ukradkiem zanotował, by później o nich przeczytać. Agencja reklamowa opracowała kampanię, której ostatecznie jednak nie trzeba było przeprowadzać, gdyż same doniesienia prasowe wystarczyły, by wzbudzić ogromne zainteresowanie akcjami *Fontanelli Power*.

— Rzucimy na rynek tylko niewielką część akcji. Powiedzmy, piętnaście procent. Wywoła to nadpopyt na akcje...

— Słucham? — zapytał John, poirytowany mocno tą giełdową chińszczyzną.

McCaine ponownie przybrał mentorski ton.

— Złożonych zostanie więcej zleceń zakupu niż pojawi się na giełdzie akcji. Będziemy przydzielać akcje w drodze losowania, a tym, którzy zostaną z pustymi rękami, zaostrzy jeszcze na nie apetyt. Proszę zwrócić uwagę na notowania.

Cena emisyjna wyniosła 28 dolarów za akcję. Już pod koniec pierwszego dnia kurs wzrósł do 59 dolarów, a po tygodniu ustalił

się w okolicy 103 dolarów.

— Widzi pan, co teraz zaszło? Nadal posiadamy 85 procent *Fontanelli Power* — ale te 85 procent jest teraz warte trzykrotnie więcej niż cała firma przed wejściem na giełdę. Włożone przez nas pieniądze potroiły się więc w ciągu tygodnia, wprowadzając tylko na papierze, ale całkowicie legalnie i w zgodzie z regułami gry na giełdzie.

Johnowi wydało się to mocno surrealistyczne.

— A teraz wszystko sprzedamy? — próbował zgadywać.

— Tylko nie to. To jest właśnie najbardziej szalone: w chwili, w której rzucilibyśmy na rynek pozostałe akcje, podaż przewyższyłaby popyt i w następstwie cena by spadła.

— To znaczy, że ten majątek jest tylko pozorny, prawda?

— Co to jest pozorny majątek? Pański bilion istnieje również tylko w postaci impulsów w komputerach banków. Żaden z tych banków nie byłby w stanie wypłacić panu wszystkiego w gotówce.

— Ale co nam przyjdzie z tego, że nasza firma jest warta trzy razy tyle, jak w poprzednim tygodniu, jeśli nie możemy tej wartości obrócić na pieniądze?

McCaine uśmiechnął się przebiegle.

— To bardzo łatwe. Do tej pory kupowaliśmy firmy i płaciliśmy za nie pieniędzmi. Teraz możemy przejmować firmy, oferując w zamian akcje *Fontanelli Power*. Musimy tylko uważać, żeby zatrzymać pięćdziesiąt jeden procent, wtedy zachowamy nad nią kontrolę. Mówiąc jasno, manewr ten umożliwia nam przejmowanie firm na własność za pieniądze, które w ogóle nie istnieją.

John musiał prosić o powtórne wyjaśnienie tego mechanizmu, a potem jeszcze raz o narysowanie szkiców w notatniku, nim pojął,

że to rzeczywiście działa tak, jak zrozumiał od początku, ale nie mógł w to uwierzyć.

— To naprawdę tak działa — przyznał w końcu.

— Prawda? Jakby ktoś specjalnie dla nas stworzył reguły — stwierdził McCain. Na jego twarzy wypisana była nieskrywana pewność zwycięstwa, kiedy dodawał: — A będzie jeszcze lepiej.

— Jeszcze lepiej?

— O wiele lepiej. Teraz stworzymy bank.

Niemal dokładnie w rok po utworzeniu *Fontanelli Enterprises* na skutek fuzji kilku banków zakupionych przez McCaina, przeważnie w obszarze Morza Śródziemnego, powstał *Banco Fontanelli Di Firenze*, największy prywatny bank świata z siedzibą we Florencji.

Ponieważ nazwisko Fontanelli w świadomości publicznej było utożsamiane z niepojętą kwotą biliona dolarów, informację tę błędnie rozumiano w ten sposób, że *Banco Fontanelli* jest największym bankiem świata. W rzeczywistości nim nie był, w momencie utworzenia plasował się mniej więcej na miejscu czterystym. Sam John Fontanelli utrzymywał w swoim własnym banku raczej skromne konto, przynajmniej w porównaniu z jego kontami w wielkich bankach amerykańskich i japońskich. Ponieważ *Banco Fontanelli* jako bank prywatny podlegał tylko ograniczonemu obowiązkowi publikacji swoich wyników finansowych, sprawa ta nigdy nie stała się powszechnie wiadoma; tak zwany „człowiek z ulicy” uważał, że bank Fontanellego dysponuje kwotą biliona dolarów.

Uważana za tak silną finansowo instytucja bankowa automatycznie budziła zaufanie, a ponieważ *Banco Fontanelli* z okazji otwarcia oferował atrakcyjne warunki, liczni wielcy inwestorzy postanowili przenieść do niego swoje konta. Już w

kilka tygodni później *Banco Fontanelli di Firenze* plasował się na miejscu sto trzydziestym, z dalszą tendencją wzrostową.

— Będziemy największym bankiem świata — prorokował pewny zwycięstwa McCaine. — I to wszystko za pieniądze innych ludzi.

— Po co potrzebny nam bank? — zapytał John.

— Żeby kontrolować pieniądze — odpowiedział McCaine, nie odrywając wzroku od akt, które właśnie studiował.

Ich Jet był w drodze do Florencji, leciał nad rozpromienionym błękitnym Morzem Śródziemnym, nad którym szybowały małutkie, jakby poszarpane chmurki. Mieli wziąć udział w posiedzeniu rady nadzorczej, a po południu być z powrotem w Londynie, akurat w porę, by złożyć życzenia Marco, który dziś się żenił.

— Ale jak bank może kontrolować pieniądze innych ludzi? Chodzi mi o to, że właściciel konta może je przecież w każdej chwili wyjąć i zrobić z nimi, co zechce?

Teraz McCaine podniósł wzrok.

— W przypadku większości lokat pieniężnych w żadnym przypadku nie jest to możliwe. Przy tym nigdy nie zdarza się, żeby wszyscy ludzie równocześnie pobrali wszystkie swoje środki; to oznaczałoby ruinę banku. Nie, pieniędzmi, które powierzają nam inwestorzy, możemy spokojnie dysponować.

— Ale musimy im przecież za to płacić odsetki.

— Naturalnie.

John wziął do ręki kartkę z aktualnymi stopami procentowymi *Banco Fontanelli*.

— Muszę przyznać, że to nie wygląda na szczególnie dobry interes.

— Dlatego, że patrzy pan na stopy procentowe jak człowiek z ulicy. Trzy procent za lokatę oszczędnościową, dziesięć procent za kredyt, a więc powszechnie myśli się, że bank zarabia na tym siedem procent. Co uznaje się za akceptowalne. Jednak to nie działa w ten sposób.

— A jak?

McCaine uśmiechnął się swoim ledwie widocznym uśmiechem.

— Kiedy słyszy się to pierwszy raz, brzmi zbyt niewiarygodnie, by mogło być prawdziwe. Ale to prawda, może pan o tym przeczytać w każdej książce o bankowości. Interes banku działa w następujący sposób: założmy, że posiadamy 100 milionów dolarów we wkładach, którymi możemy dysponować. Musimy z nich zablokować przepisaną prawem minimalną rezerwę, powiedzmy dziesięć procent, natomiast resztę, a zatem w tym przypadku 90 milionów dolarów, możemy rozdysponować jako kredyty. Każdy, kto zaciąga u nas kredyt, powinien mieć konto bankowe, najlepiej u nas — będąc wielkim bankiem możemy — jeśli zechcemy — uczynić to warunkiem otrzymania kredytu — a zatem pieniądze, które mu damy, znów wylądują u nas. W idealnym przypadku po udzieleniu kredytów dysponujemy kolejnymi 90 milionami dolarów, z których znów, odejmując minimalną rezerwę, możemy rozdać jako kredyty 81 milionów, które również wylądują w naszych kasach, i tak dalej. W ten sposób 100 milionów wkładu może zmienić się w 900 milionów pożyczek, od których pobieramy wspomniane dziesięć procent odsetek, *summa summarum* odsetki w wysokości 90 milionów. Czy to wygląda na dobry interes?

John ledwie mógł uwierzyć swoim uszom.

— Czy to prawda?

— Tak. Brzmi jak licencja na drukowanie pieniędzy, prawda?



— No właśnie.

— I do tego mamy kontrolę. Możemy wybierać, komu pożyczymy pieniądze, a komu nie. Możemy zrujnować dowolną firmę żądając od niej z dnia na dzień spłaty kredytów, które u nas zaciągnęła. Do czego mamy zresztą wszelkie prawo; wystarczy, że powiemy, iż naszym zdaniem bezpieczeństwo kredytu jest zagrożone. Fascynujące, prawda?

— Ale to już chyba nie może być legalne?

— Całkowicie legalne. Dokładnie te reguły gry są opisane prawem i nadzorowane przez państwo. Bankierzy są najbardziej cenionymi i szanowanymi ludźmi pod słońcem. A my — McCaine uśmiechnął się i wrócił z powrotem do swoich dokumentów — znaleźliśmy się w tym nobliwym kręgu i jesteśmy tak samo cenieni i poważani. Będzie powierzać się nam tajemnice, o których nikt poza nami się nie dowie. Będziemy robić interesy niemożliwe dla ludzi z zewnątrz. Nie wspominając o tym, że posiadanie własnego banku znakomicie nadaje się do chronienia finansowych transakcji przed okiem państwowych organów nadzoru. Gdyby banki już nie istniały, musielibyśmy je wymyślić.

Zwalisty, wysoki na jedenaście pięter wieżowiec z piaskowca stał, można powiedzieć, w cieniu World Trade Center, co, jak szyderczo zauważył McCaine, stanowiło dokładną odwrotność faktycznego stanu rzeczy. Nad portalem pyszniła się ogromna, złożona prawdziwym złotem płaskorzeźba, na której można było przeczytać: *Kredyt to życiodajny oddech wolnego handlu. Tysiąckroć bardziej przyczynił się do wzbogacenia narodów niż wszystkie kopalnie złota na świecie.* John był wciąż oślepiiony, kiedy wchodzili w zaciszną strefę za płaskorzeźbą, do pomieszczeń *Moody's Investors Service*, największej na świecie agencji oceniającej lokaty kapitału.

*Moody's* brało pod lupę firmy, narody, wszystko, w co można zainwestować pieniądze, i badało je pod kątem ryzyka inwestycji. W żadnym innym miejscu na świecie nie strzeżono poufnych informacji na temat tak wielu państw i przedsiębiorstw. Do biur nie miał wstępu żaden obcy gość, choćby nawet był to papież we własnej osobie. Analitycy, sprawdzający na zaproszenie ministrów skarbu finanse państw, podróżowali zawsze parami, by zapobiec próbom przekupstwa i musieli ujawniać swoje prywatne inwestycje, by uniknąć konfliktów interesów. Wykonywana przez *Moody's* wycena zdolności kredytowej pożyczek państwowych wyrażała się na rynku czynnikiem ryzyka, a więc odsetkami, które rządy musiały płacić za obligacje. *Moody's* był niewrażliwy na podejmowane przez rządy próby wywierania nacisku. Jeśli na krótko przed wyborami *Moody's* zabierało się za sprawdzanie stanu kredytowego jakiegoś państwa, mogło to znaczyć, że rządząca partia właściwie już przegrała wybory. Dokładnie to zdarzyło się w marcu w Australii i doprowadziło do najcięższej porażki rządzącej Labour Party.

W zasadzie nie mieli żadnego konkretnego powodu do odwiedzin.

— *Moody's* to jedno z prawdziwych centrów władzy na świecie — oznajmił po prostu McCaine. — Nie zaszkodzi się tam raz pokazać. Skoro już będziemy w okolicy.

Poproszono ich o zaczekanie w wyłożonej grubymi dywanami sali, po chwili już wieziono na jedenaste piętro, prowadzono do eleganckiego pokoju konferencyjnego, w którym przywitał ich prezes tego utworzonego na początku stulecia przedsiębiorstwa.

— To prawdziwy zaszczyt, panie Fontanelli, poznać pana osobiście — oznajmił wyraźnie poruszony.

Potem zapewnił ich, że *Banco Fontanelli di Firenze* oczywiście uzyskał jak najlepszą ocenę i został oznaczony w dokumentach pożądanym przez wszystkich *Triple-A* — a gdyby przyznawali jeszcze czwarte A, z pewnością również by je dostali — oznajmił z błyskiem w oczach. John nie byłby zaskoczony, gdyby siwowłosa mężczyzna poprosił go zaraz o autograf. W wyrazie twarzy prezesa zobaczył samego siebie, takiego Johna Fontanellego, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Dla tego wysłużonego analityka, on, najbogatszy człowiek w historii ludzkości, był uosobieniem zdolności kredytowej. Postacią wprost legendarną. Bogiem Mammonem we własnej osobie.

— Miło słyszeć — powiedział John i uśmiechnął się. W wieżach World Trade Center odbijało się słońce jasnego sierpniowego dnia.

Z biegiem czasu odwiedzali jeszcze inne instytucje, o których John nigdy przedtem nie słyszał. Również *Society For Worldwide Interbank Financial Telecommunication*, krótko zwana Swift, czuła się zaszczycona odwiedzinami Johna Fontanellego. Limuzyna z przyciemnionymi szybami wywiozła ich z Amsterdamu i krętą drogą przywiozła do budynku, którego wygląd i wymiary mogli sobie przy wysiadaniu tylko z grubsza wyobrazić.

— Signor Vacchi też kiedyś tu był — opowiedział im blady, łysy Holender, prowadzący ich wzdłuż korytarza, z którego przez okna z szyby pancерnej widać było niekończące się szeregi wielkich komputerów. — Ale to było już dawno temu. Jak mu się wiedzie?

— Dobrze — powiedział po prostu John, który nie miał ochoty zgłębiać tematu.

Swift, jak się dowiedział, organizuje rocznie na całym świecie

pięćset milionów asygnat pieniężnych. Przy użyciu technik kodowania, spełniających wymagania militarne, organizacja dba o to, by banki mogły zawierać wiążące transakcje drogą elektroniczną. Wiadomości Swift trzeba potwierdzać dwukrotnie, nim możliwe jest dokonanie właściwej transakcji — niemożliwe jest wtargnięcie do tego systemu z zewnątrz. System nerwowy globalnego systemu finansowego jest zabezpieczony jak schron atomowy i tak tajny, jak otwierający go kod.

Będąc w Brukseli na rozmowach z posłami do Europarlamentu, odwiedzili *Euroclear*, organizację zajmującą się międzynarodowym handlem papierami wartościowymi, kryjącą się za anonimową fasadą z granitu i szkła przy Avenue Jaqumain, niepozorną, schowaną, dyskretną. Tutaj nie wolno im było zobaczyć centrali komputerowej, nie mówiąc już o wejściu do niej — tylko dziesięciu spośród ponad dziewięciuset pracowników miało na to pozwolenie — ale pokazano im awaryjne generatory prądu i zbiorniki z zimną wodą ustawione na dachu na wypadek awarii. W ściśle tajnym miejscu, jak się dowiedzieli, działa równoległe kompletny drugi system, gotowy przejąć wszelkie operacje, gdyby zepsuł się komputer główny. Interesy na giełdach robi się w sekundę i od ręki, jednak właściwa transakcja, choć do dyspozycji jest najlepszy elektroniczny sprzęt, jaki można dostać za pieniądze, a osieciowanie obejmuje cały świat, może trwać nawet trzy dni, gdyż obok właściwych partnerów handlowych trzeba uwzględnić również brokerów, narodowe centrale depozytowe oraz zaangażowane w transakcje banki.

— Czy nie miałyby sensu przetransferować do nas wszystkie moje lokaty ze wszystkich innych banków? — zapytał John podczas powrotnego lotu.

— Też się już od jakiegoś czasu nad tym zastanawiam — odpowiedział McCain i pokiwał głową. — Z pewnością byłoby to zyskowne. Ale z drugiej strony inne banki drżą na myśl, że mógłby pan to właśnie zrobić. A ja lubię wiedzieć, że oni trzęsą się ze strachu.

I tak nieprzerwanie pędzili wokół globu, zarządzali gigantyczne reorganizacje i restrukturyzacje, kupowali i sprzedawali, przedstawiali środki racjonalizacji na posiedzeniach trwających rzadko dłużej niż pół godziny. Jeśli przewidywano, że na jakąś konferencję trzeba więcej czasu, brali interesantów na pokład Jęta, w drodze do kolejnego celu, skąd ich rozmówcy musieli wracać do ojczyzny lotami liniowymi.

Kiedy coś mówili, słuchano ich, kiedy coś zarządzali, znajdowali posłuch, kiedy kogoś chwalili, wówczas osoba ta doznawała ulgi aż po samo dno swego serca. Byli panami świata. Większa część tego świata jeszcze o tym nie wiedziała, ale to oni mieli zostać władcami nadchodzącego stulecia. I byli niezwyciężeni.

## 26

Posiadanie własnego banku, który z niepojętą szybkością rozwinął się na rynkach całej planety w prawdziwe finansowe monstrum, ponownie otworzyło nieprzeczuwalne nowe możliwości. Niektóre z tych możliwości nie były całkiem legalne, jak studiowanie ruchów na kontach podczas nagłych wykupów akcji, by zdobyć informacje na temat planów, stosunków i koligacji konkurentów albo rozpoznać kandydatów do wykupu. Pracownicy działu analiz nie pytali, skąd McCainie ma listy, które kładzie im na stół, zawsze jednak uznawali je za bardzo pomocne.

A przecież akurat najskuteczniejsze możliwości były całkowicie legalne. Przez samo podanie strategii inwestycyjnych i kryteriów kredytowych mogli wedle uznania wspierać albo wpędzać w tarapaty całe gałęzie przemysłu i regiony, prowokować kryzysy rządowe w krajach trzeciego świata lub je zażegnawać. W następstwie takich kryzysów tuzinami nabywali firmy w Malezji, Korei Południowej bądź Tajlandii za przysłowiową kromkę chleba. Nie istniało takie zezwolenie ani koncesja, jakiej nie dostałoby *Fontanelli Enterprises*; zgromadzili w rękach więcej praw eksploatacji, praw odłowu i licencji wiertniczych niż ktokolwiek byłby w stanie wykorzystać do końca tysiąclecia. Tymczasem na całym globie nie znalazłby się ani jeden człowiek, którego pośrednio albo bezpośrednio nie dotyczyłyby decyzje podejmowane w latającym centrum zarządzania imperium Fontanellego.

— Jesteśmy jak czarna dziura — zacierał ręce zachwycony McCainie, kiedy Jet kolejny raz wznosił się w powietrze. — Zagarniamy dla siebie wszystko, co nas otacza, a im więcej

mamy, tym więksi i bardziej niepokonani jesteśmy, i tym szybciej wchłaniamy jeszcze więcej. Rośniemy, póki nie będziemy wielcy jak cały świat.

John nie patrzył na niego i nic nie mówił. Wyglądał przez okno, obserwując start. Wizja, że jest czarną dziurą, nie podobała mu się jakoś tak bardzo, jak zdawała się podobać McCainowi. To była niepokojąca wiadomość.

Podczas trochę komicznej akcji niemiecka i włoska policja podatkowa przeszukały filie *Banco Fontanelli* we Frankfurcie, Monachium, Florencji, Mediolanie i Rzymie, i zajęły nawet kilka skrzyń akt, oczywiście natychmiast odbitych przez bezzwłoczną kontrofensywę szwadronu prawników firmy, nim stróże prawa zdołali na nie choćby tylko rzucić okiem.

— Co to, do diabła, ma znaczyć? — krzyknął John, nie mogąc usiedzieć w fotelu. — Czego oni szukają? I co mogą nam zarzucić? — Wbił wzrok w okno, nic nie widząc.

— Nic — powiedział McCaine. — Nic nam nie mogą zarzucić. Proszę się nie denerwować, John, to nie jest tego warte. — Stał zrelaksowany, wygładzał sobie klapy marynarki i poprawiał krawat.

— Ale przecież musimy coś zrobić. Nie możemy tego tak zostawić!

— Oczywiście, że nie. Teraz nadszedł czas, by przed kamerami dać występ przed światową opinią publiczną i wyrazić nasze poważne obawy. Okażemy poważne zaniepokojenie finansami Europy. Podkreślimy znaczenie swobodnego przepływu kapitału, nieuniknioną konieczność globalizacji i niemożność kontroli międzynarodowych strumieni gotówki. I tak dalej. — Roześmiał się, jakby świetnie się przy tym bawił. — A oni znów uwierzą w

każde nasze słowo.

John niezdecydowany przypatrywał się McCainowi.

— Więc to byłoby możliwe? Kontrola międzynarodowych strumieni pieniędzy?

McCaine znów się roześmiał. *Niezwykłe* zabawna gra.

— Tak, z pewnością. Cała gotówka przepływa przez komputery banków, z tego systemu nie zginie nawet jeden cent. Czy można sobie wyobrazić lepszą kontrolę?

— A globalizacja? To przecież niemożliwy do powstrzymania proces?

— John — my *robimy* globalizację. My dwaj. Pan i *ja*. *Jesteśmy* globalizacją. Gdyby tam, na zewnątrz, wszystkie państwa się dogadały, mogłyby nas powstrzymać w mgnieniu oka, to oczywiście. Ale one właśnie nie mogą się dogadać. — Poprawił mankiet. — *Divide et impera*, tak, zdaje się, nazywa się tę zasadę.

Ktoś zapukał do drzwi i jedna z sekretarek wsunęła głowę w kolorze tycjanowskiej czerwieni.

— Panie Fontanelli, telekonferencja już przygotowana.

— Dziękuję, Frances — powiedział McCaine. — Już idziemy.

John chciałby mieć taką pewność siebie i bez troskę jak McCaine. Nie podobało mu się to wszystko. Poczł się nagle tak, jakby stąpali po cienkim lodzie. A żeby nie słyszeć, jak trzeszczy pod ich stopami, śpiewali i gwizdali głośno.

*Moneyforce One* leciał na północ wzdłuż wybrzeża północnego Borneo. Pod lewym skrzydłem połyskiwał głęboki błękit Morza Południowochińskiego, pod prawym migotały mgły nad ciemnozieloną puszcza Borneo.

— Spodoba się panu tam, gdzie właśnie lecimy — powiedział McCaine.



Dżungla rozciągała się do wielkiej zatoki, pośrodku niej miasto, które zdawało się unosić nad wodą. John wyglądał przez okno przy swoim fotelu i dopiero po chwili zauważył, że usta ma otwarte ze zdumienia.

— Ma pan rację — powiedział, prawie pozbawiony tchu. — To mi się podoba.

McCaine podniósł wzrok znad grubych akt i zerknął na zewnątrz, by zobaczyć, co John ma na myśli.

— Ach, to — powiedział. — To jeszcze nic.

*Kampong Ayer*, „miasto na wodzie”, jak później dowiedział się John, było rzeczywiście zbudowane na słupach, i to już przed wiekami. Arabscy żeglarze średniowiecza nazwali je tak, gdy na ląd wokół mówiono jeszcze Sribuza. W tym stuleciu rozrosło się w obie strony zatoki, zeszło na ląd stały i nazywało się teraz Bandar Seri Begawan, stolica Brunei Darussalam, sułtanatu Brunei. Było to, jak stwierdził John, gdy jechali szerokimi bulwarami, nowoczesne i zamożne miasto. Na ulicach nie dostrzegł ani jednego starego samochodu, po lewej i prawej stronie tłoczyły się eleganckie wille i supermarkety. Z minaretów muezini nawoływali do modlitwy, na co ich kierowca zatrzymał się, wysiadł i rozłożył dywanik.

— Ludzie tu mają wszelkie powody, by dziękować Allachowi — powiedział McCaine, obserwując przez szybę odprawiającego swoje modły mężczyznę. — Nigdy jeszcze nie musieli płacić podatków, szkolnictwo i opieka medyczna są bezpłatne, nie ma nędzy, dofinansowywane jest nawet prywatne budownictwo mieszkaniowe. A wszystkie brudne prace załatwiane są przez cudzoziemców, przeważnie Chińczyków.

— Wszystko dzięki ropie — domyślił się John.

— Dzięki ropie — przyznał McCaine. — Zastanawiające, z jaką

precyzją stwórcą prawie wszystkie wielkie zasoby ropy umieścił w krajach islamskich, nie sądzi pan? Daje to czasem do myślenia. Nasi koledzy z Shella płacą sułtanowi tyle, że nawet po odciążeniu wszystkich wydatków państwa może odłożyć sobie co roku dwa i pół miliarda dolarów do skarbonki. W której ma już około trzydziestu miliardów amerykańskich dolarów, lekko licząc. Sułtan Haj Hassanal Bolkiah był jednym z najbogatszych ludzi świata, nim na scenie pojawił się pan.

Kierowca na powrót zrolował swój dywanik, schował go do bagażnika i ruszył dalej, jakby nigdy nic.

— A po co dokładnie tu jesteśmy? — spytał John, czując się trochę nieswojo.

McCaine uczynił dłońmi niewyraźny gest.

— Nie zaszkodzi poznać go osobiście. Sułtan przyjmie nas i kazał przekazać, że jest ogromnie rad z możliwości spotkania.

— Powinienem czuć się zaszczycony?

— Dobre pytanie. Sułtan jest *Dewa Emas Kayangan*, złotym bogiem przybyłym z nieba. Przynajmniej dla tych spośród swoich poddanych, którzy szanują tradycję. Dla reszty świata jest po prostu potentatem. Potentatem z ropą naftową.

Samochód dojechał do nadbrzeżnej promenady i toczył się w kierunku ogromnego budynku z połyskującą złotem kopułą dachu.

— Ładne, prawda? — Zadrwił McCaine. John gapił się zdumiony na budowlę, Paskudztwo wyglądało jak skrzyżowanie Bazyliki św. Piotra z tuzinem minaretów.

— Największy pałac świata — wyjaśnił McCaine. — Zbudowany przez ucznia Le Corbusiera, który zresztą sam nie jest zbyt zachwycony swoim dziełem, gdyż sułtan najwyraźniej zbyt wiele mu narzucił. Pałac ma osiemset pokoi, dwieście pięćdziesiąt

toalet i powierzchnię dwóch i pół tysiąca domków jednorodzinnych. Architektów wewnątrz sprowadzono z Włoch, szklarzy z Wenecji, jedwabne tapety z Francji, czterdzieści rodzajów marmuru z Włoch, sztaby złota na salę tronową z Indii, płytki onyksowe z Maroka — i tak dalej...

— Wielkie nieba — powiedział John. — To musiało kosztować majątek.

— Około pięćset milionów dolarów. Trochę więcej niż nasz Jumbo. Ale to było w 1981.

— Nasz Jumbo jest znacznie ładniejszy.

— Ale nie tak przestronny — McCaine wzruszył ramionami. — Jak by nie było, chciałem, żeby pan to zobaczył. Może uwierzy mi pan teraz wreszcie, że pańskiej rezydencji daleko jeszcze do stosownego splendoru.

John przypomniał sobie te słowa, kiedy następnym razem mieli międzylądowanie w Londynie i jechał do domu. Do domu — no cóż. Zamek był imponujący i luksusowy i w ogóle, ale jego ogrom, podobnie jak setki zatrudnionego domowego personelu sprawiały, że wchodząc do niego czuł się, jakby wchodził na dworzec kolejowy, a nie do własnego domu. I to miało być *wciąż* „nieodpowiednie do pozycji”? Ile przepychu i splendoru musi jeszcze nagromadzić wokół siebie? I po co? Myślał czasem — jeśli udało mu się znaleźć chwilę czasu w całym tym młynie — o pierwszych tygodniach we Włoszech i o tym, jakie wtedy wszystko było idylliczne. Wtedy przeszkadzało mu nawet to, że dwóch ochroniarzy nie odstępowało go na krok. Tymczasem zorganizowało się wokół niego *wciąż* rosnące biuro bezpieczeństwa, własna armia, strzegąca każdego jego kroku i zabezpieczająca teren, nim nań stąpnie. Musiał tym ludziom

mówić rano, co zamierza robić w ciągu dnia, dokąd chce iść i gdzie zamierza się zatrzymać, a potem ruszali pędem, jego osobiste służby specjalne, sprawdzali, zabezpieczali, szukali bomb i zamachowców i gdzieś, gdzie nie mógł tego usłyszeć, analizowali grożące mu niebezpieczeństwa. Było ich wielu i starali się utrzymać dyskretny dystans, ale wiedział, że pocą się z nerwów, ilekroć przebywa na wolnym powietrzu albo wręcz w zatłoczonych miejscach, więc starał się ograniczać takie pobyty do minimum, mimo że czasem nie czuł się jak bogacz, ale jak więzień. Więzień, z zastosowaniem wszelkich środków ostrożności transportowany z celi do innej celi.

Ale nie mógł się skarżyć. Ani McCainowi, pracującemu jak opętany, ani nikomu innemu. Jest dziedzicem majątku Fontanellich, wykonawcą proroctwa. Te kilka niedogodności może znieść.

Jeremy czekał na niego. W scenerii prawdziwego angielskiego zamku nie robił już takiego wrażenia jako kamerdyner.

— Dzwonił niejaki pan Copeland — oznajmił. — Powiedział, że to sprawa życia i śmierci.

John poczuł, że czoło przecina mu pionowa bruzda.

— Skąd miał ten numer?

Jeremy zmarszczył brwi.

— Obawiam się, sir, że w dzisiejszych czasach łatwo jest dowiedzieć się o coś takiego.

— Gdyby zadzwonił jeszcze raz, niech się pan go jakoś pozbędzie. Nie chcę z nim rozmawiać.

— Tak jest, sir — skinął głową Jeremy z tą służalczą postawą, której John nie mógł nigdy ścierpieć u innych ludzi, nawet jeśli należeli do jego personelu. — Hm, sir, jest jeszcze coś...

Właściwie nie chciał już dziś o niczym rozmawiać. Chciał tylko

leżeć na sofie i słuchać muzyki, może Bruce'a Springsteena albo Muddy'ego Watersa.

— Tak? Słucham? I proszę, Jeremy, niech pan na mnie patrzy, kiedy pan ze mną rozmawia!

Kamerdyner uczynił próbę rozprostowania kręgosłupa. Udało mu się to o kilka stopni.

— Sir, wygląda na to, że niektórzy ze służby od wielu tygodni... hm, kradną, sir.

— Kradną?

— Sprzeniewierzono nieco artykułów żywnościowych i w zamku brakuje pewnej liczby wartościowych przedmiotów, sir.

John patrzył na niego zaskoczony. Myśl, że okradają go ludzie, z którymi stale spotyka się w swoich czterech ścianach, wydała mu się absurdalna.

— Jest pan pewien?

— Niestety tak, sir. — Wyprostowanego kształtu kręgosłupa najwyraźniej nie dało się utrzymać.

Pierwszym impulsem Johna było zignorowanie sprawy. Był wystarczająco bogaty, by nie przejmować się kilkoma kradzieżami. Ale, jak zauważył w następnym momencie, przejął się tym. Nie chciał, patrząc na każdą pokojówkę, każdego ogrodnika i każdego kucharza być zmuszonym podejrzewać, że ma do czynienia z kimś, kto go okrada i oszukuje w jego własnych czterech ścianach.

No dobrze, w jego własnych czterystu ścianach.

— Niech pan mi pokaże księgi — powiedział.

Studiując dokumenty stwierdził, że sprawy mają się jeszcze o wiele gorzej, niż się obawiał. Jeremy po prostu nie dawał sobie rady z prowadzeniem tak wielkiego domu. Listy dostarczonych towarów były prowadzone niechlujnie, zaległe od tygodni

rachunki nie były zaksięgowane. Kradzieże zauważono tylko dlatego, że złodzieje robili się coraz zuchwalsi. Nie ma rady — będzie musiał zająć się tą sprawą. Choćby po to, by nie karać uczciwych, będzie musiał znaleźć winnych i natychmiast ich zwolnić. Nie uniknie włączenia w to policji. I będzie potrzebował innego zarządcy domu.

Wydawało mu się, że czuje, jak na lodzie pod jego stopami tworzą się pierwsze rysy.

McCaine jak zwykle wstał, nim posłaniec przyniósł gazetę, i opuszczając dom wziął ją z sobą, by przeczytać w biurze.

Tego ranka rzuciwszy okiem na nagłówki zatrzymał się i stojąc na klatce schodowej przeczytał pierwszą stronę. Przeczytał ją raz i zaraz potem jeszcze raz.

Związek banków szwajcarskich SBC i Szwajcarskie Towarzystwo Bankowe dokonały fuzji. Nowy bank nazywał się *United Bank of Switzerland* (UBS), dysponował zbilansowaną sumą ośmiuset miliardów dolarów i zarządzał majątkiem wysokości półtora biliona dolarów. W ten sposób UBS został największym bankiem świata.

W artykule wyraźnie powiedziano, że odpowiednie rozmowy prowadzono od dłuższego czasu, ale w obliczu ustawicznego powiększania się koncernu Fontanellego przyspieszono ich sfinalizowanie.

Tego ranka sąsiedzi McCaina po raz pierwszy słyszeli, jak ze złości ryczy na całe gardło.

Tak zdenerwowanego McCaina John jeszcze nie widział.

— Tutaj! — krzyknął, rzucił mu gazetę i dalej chodził tam i z powrotem jak lew w klatce. — Łączą się przeciw nam!

John podniósł gazetę. Znow fuzja. Wczoraj *United Bank of Switzerland*, dziś połączyły się Mobil Oil i Texaco. Znow z tym samym uzasadnieniem, że tylko w ten sposób można przeciwstawić się dominującej pozycji *Fontanelli Enterprises*.

— A Urząd Antykartelowy daje im jeszcze swoje błogosławieństwo ! — wściekał się McCaine. — Ten sam Urząd Antykartelowy, który sprzeciwił się, kiedy *my* chcieliśmy kupić Texaco. To przecież śmierdzi na odległość!

— My chcieliśmy kupić Texaco? — zdziwił się John. — Nic o tym nie wiem.

McCaine zatrzymał się na chwilę, machnął ręką.

— Kilkudniowe intermezzo. Po co miałbym zawracać tym panu głowę? — Zacisnął pięść. — Ameryka. Cholera! Nie jesteśmy jeszcze tak daleko, żeby porywać się na USA, ale chciałbym móc tym łebkom z Waszyngtonu porządnie dołożyć!

— Mówi pan o rządzie wybranym w demokratycznych wyborach. — John poczuł, jak sztywnieją mu plecy i kark. Również jego głos zabrzmiał w jego uszach chłodniej, z większym dystansem i dezaprobatą, niż zamierzał. Ale nie było rady, musiał wyrazić swoje niezadowolenie. — W Północnej Dakocie i Minnesocie są typy, które budują sobie w lesie chaty, zbroją się po zęby i pokrzykują na rząd. Mniej więcej tak, jak pan teraz.

McCaine nic nie odpowiedział, spojrzał tylko na niego uważnie, jakby w jego oczach zainstalowano aparaty Roentgena, pozwalające mu widzieć człowieka na wskroś. Powoli rozwarł

pięść, opuścił ramię, odwrócił się i równie powoli poszedł do okna. Po drodze gniew, wypełniający go jeszcze przed chwilą, jakby wyparował.

— John — powiedział niespodziewanie, głosem przypominający smagnięcie batem — pan wciąż jeszcze nie zrozumiał, co tu jest grane. Inaczej nie robiłby pan takich żalosnych porównań.

Odwrócił się.

— Pańskie typy w Dakocie — znam tych ludzi. Nawet, może pan wierzyć albo nie, rozmawiałem z kilkoma z nich. Wiem, co im chodzi po głowie. Myślą, że świat już długo nie pociągnie. A kiedy wszystko się załamie, chcą mieć pewną twierdzę, w której będą mogli przeżyć. Twierdzę, której będą mogli bronić z bronią w rękę. Ci najwięksi egoiści, jacy istnieją, przyjęli postawę: „Do diabła z resztą świata, najważniejsze, żebyśmy my przeżyli!”.

John ponuro przytaknął.

— Właśnie.

— Ale rządy — mówił dalej McCain — demokratycznie wybrane rządy są dokładnie takie same! No, bo kto je wybrał? Naród! Rząd reprezentuje interesy jednego narodu. A większość narodów żyje według motta: „do diabła z innymi, najważniejsze, żeby nam się powodziło”.

John otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, co.

— Hm — mruknął więc, pragnąc nie być tak bezradny i niezręczny w rozmowach tego rodzaju.

— A co my tu robimy? Pracujemy nad tym, by zyskać pozycję, która pozwoli nam pokierować rozwojem spraw w bardziej korzystnym kierunku. Nie chcemy przecież nic dla nas samych. Mamy wszystko, więcej niż dość. Każdy z nas dwóch może bez problemu oddać część innym. Rozumie pan, żyjemy w takim dostatku, że podejrzenie, iż moglibyśmy chcieć się wzbogacić, w



ogóle nie może powstać. Cokolwiek zrobimy, wszystko będzie napędzane absolutnie racjonalnymi pobudkami. Wkrótce będziemy mieć do dyspozycji komputerowy model świata, najbardziej szczegółową cybernetyczną symulację, jaka kiedykolwiek została zrobiona. Dzięki temu będziemy mogli dokładnie przewidzieć następstwa każdego pojedynczego posunięcia, z uwzględnieniem wszelkich wzajemnych oddziaływań z innymi działaniami. Każdą co do jednej decyzję, podjętą przez nas, będziemy mogli bez problemu uzasadnić. Zaś naszym jedynym kryterium będzie przetrwanie ludzkości, jako największe dobro dla jak największej liczby ludzi.

McCaine stał przed nim, unosząc przed sobą rękę w zaklinającym geście.

— Nie rozumie pan, że wszelki rodzaj reprezentowania interesów jest naszym wrogiem? Każdy! Obojętnie, czy to będzie rząd, związek zawodowy, stowarzyszenie, porozumienie lobbystów — to wszystko są organizacje, które mają na celu tylko korzyści pewnej grupy. Oni *chcą* niesprawiedliwości! Rozumie pan? Taki jest cel każdego reprezentanta interesów — tworzenie niesprawiedliwości, wprowadzanie nierówności, i to korzystnej dla siebie!

John mimowolnie cofnął się o krok. Mieć przed sobą takiego McCaina, w pełni formy, było jak znaleźć się na drodze dwudziestotonowej lokomotywy. To, co mówił, niechętnie musiał zgodzić się John, brzmiało wprawdzie dziwnie, niemal bluźnierczo — jednak nie było pozbawione wewnętrznej logiki.

— Nie patrzyłem na to w ten sposób — przyznał niechętnie.

— Tak. — McCaine wwiercił się wzrokiem w jego oczy. — To dla mnie jasne.

— Chodzi mi o to, że w życiu nie opuściłem ani jednych

wyborów. Przynajmniej, odkąd mieszkałem w Nowym Jorku. Wbijał mi to do głowy mój dziadek, że powinienem szanować prawo wyborcze. Że wielu, wielu ludzi straciło życie za to, żebym mógł wybierać. On wtedy...

— Uciekł przed Mussolinim, wiem. I pański dziadek ma rację. Demokracja jest wielkim osiągnięciem, świetną sprawą, nie mam najmniejszego zamiaru temu przeczyć. Ale trzeba móc sobie na nią *pozwolić*! — McCain nabrał głęboko powietrza, cofnął się o krok, przyjrzał się Johnowi, jakby musiał sprawdzić, czego się może po nim spodziewać.

— Nie spodoba się panu, co teraz powiem.

— To, co mówił pan do tej pory, też nie było najlepsze.

— Nic na to nie poradzę. Taki jest świat. Kiedy grozi coraz bliższe niebezpieczeństwo, nie ma czasu na czcze gadanie. Można by zginąć, nim dojdzie się do jakiegoś wniosku — uniósł palec i skierował go na Johna. — W trudnych czasach trzeba kogoś, kto przejmie komendę. Przywódcy. Wie pan, skąd pochodzi słowo „dyktator”? Z łaciny. W starożytnym Rzymie w sytuacjach kryzysowych wybierano na ograniczony czas władcę, którego rozkazom się poddawano. To był *dyktator*. Kiedy grozi niebezpieczeństwo, demokracja robi sobie przerwę. Zawsze, w każdych czasach. Proszę obiektywnie przestudiować historię, a przekona się pan, że mam rację.

John poczuł, jak wzbiera w nim gorące przerażenie.

— Chce pan, żebyśmy zostali *dyktatorami*!

McCaine roześmiał się głośno.

— A jak nazwałby pan to, co zamierzamy zrobić? Dwóch ludzi zdobywa pozycję pozwalającą im dyktować reszcie świata, w jakim kierunku ma zmierzać. Taki był przecież plan od początku, prawda?

— Nigdy nie nazywał pan tego „dyktaturą”.  
— Wstałby pan i wyszedł, gdybym tylko wymienił to słowo.  
— Oczywiście. Teraz też zastanawiam się, czy nie wyjść.  
— Proszę. Nikt pana nie zatrzymuje. To pański bilion, ale John — pan ma do wypełnienia prorocstwo. Nim pan wyjdzie, proszę mi powiedzieć, co zamierza pan zrobić. Pańskiej wspaniałej demokracji nigdy dotąd nie udał się nawet taki marny drobiazg, jak zmniejszenie produkcji FCKW, nie mówiąc o naprawdę skutecznych posunięciach. Proszę, niech mi pan powie, co zamierza zrobić. Jeśli ma pan lepszy pomysł, proszę powiedzieć! Ja szukałem ćwierć wieku i nie znalazłem.

John przez cały czas patrzył na niego z rosnącym przerażeniem, zdawało mu się, że lada moment oczy wyskoczą mu z orbit. Musiał odwrócić głowę, poczuł się nagle tak, jakby ważył tonę.

— To nie jest łatwe, wie pan? Chodzi mi o to, że nigdy nie miałem jasnej wizji swojego życia. Ale z całą pewnością nigdy nie chciałem zostać *dyktatorem!*

A przecież przez cały czas sam mógł wpaść na to, że w tym kierunku wszystko zmierza.

— John — powiedział McCainie cicho, niemal łagodnie — nie brzydzimy się ludźmi w rodzaju Saddama Hussajna dlatego, że są dyktatorami. Brzydzimy się nimi, gdyż mordują ludzi. To właśnie czyni ich tyranami. My, John, nie będziemy zabijać ludzi — my będziemy ich *ratować*. Mamy taką władzę, jakiej nigdy dotąd nie miał nikt, i jesteśmy jedynymi, którzy mogą jeszcze odciągnąć ludzkość od przepaści, ku której zmierza.

John podniósł wzrok. Ociągał się. Myśli w jego głowie były jednym wielkim chaosem.

— Wiem, że to niełatwe. Ja miałem dwadzieścia pięć lat, by

oswoić się z tą myślą, a nawet to nie było łatwe.

— Rzeczywiście niełatwe — głos Johna zabrzmiał dziwnie, ochryple.

— Ja też zawsze chodziłem na wybory — zaśmiał się pozbawionym radości śmiechem. — Choć na Johna Majora nie oddałem głosu.

Przypomniała mu się kolacja. Chłodny dystans okazywany tego dnia przez premiera.

— Myślę, że jakoś sobie z tym poradzę.

— Pracujemy zatem dalej?

— Tak.

— Muszę wiedzieć, że jest pan ze mną, John.

John westchnął, poczuł na ustach obmierzły smak zdrady.

— Tak. Jestem z panem.

— Dziękuję.

Pauza. Cisza. Przez otwarte okno dobiegało dzwonienie Big Bena.

— I co teraz zrobimy? — spytał John.

McCaine stał przy krawędzi biurka, czubkami palców swobodnie zwisającej dłoni wystukiwał na blacie cichy, niespokojny rytm. Błądził wzrokiem w nieokreślonej dali.

— Walka rozpoczęta — powiedział. — Zatem ruszamy do walki.

Następnego dnia do Londynu z wszystkich możliwych krajów nadlecieli dyrektorzy, przewodniczący zarządów i menadżerowie. Pokój konferencyjny na najwyższym piętrze centrali *Fontanelli Enterprises* po raz pierwszy był tak pełen, że trzeba było przynieść dodatkowe krzesła.

Najwyższy szef wszystkich tych ludzi, John Salvatore Fontanelli, najbogatszy człowiek świata, wyznaczony na wybawcę przyszłości, otworzył zebranie krótkim, emfatycznym

przemówieniem o zagrożeniach naturalnych podstaw życia i centralnej roli, jaką w założeniach koncernu odgrywa ochrona środowiska. Kulminacyjne zdanie wykładu brzmiało: „Nie można zapominać o tym, że na ochronę środowiska trzeba móc sobie pozwolić. Nie wyżywimy się samymi szlachetnymi zamiarami. Jedynie wówczas, gdy po stronie kosztów naszego koncernu radykalnie zwalczać będziemy wszelkie marnotrawstwo, zdołamy zapewnić sobie bezpieczną przyszłość”.

Potem John wycofał się do swego biura i pozostawił McCainowi dopracowanie szczegółów. Nadal nie był wielkim mówcą. Przed tym krótkim przemówieniem był tak stremowany, że prawie nie opuszczał toalety, w nocy nie mógł zmrużyć oka, tylko w nerwowym półśnie nieustannie powtarzał swoją mowę, i teraz był tak zlany potem, że musiał wziąć prysznic i przebrać się w świeże ubranie. A kiedyś śmiał się z nalegań McCaina, żeby każde z ich biur było wyposażone we własną łazienkę i garderobę!

— To wydaje mi się trochę zakłamanie, cała ta gadanina o ochronie środowiska — przyznał McCainowi, który wpadł na chwilę po materiały: przezroczyste folie zadrukowane liczbami i barwnymi wykresami. — Myślę, że przecież chodzi po prostu o to, żeby zarobić więcej pieniędzy.

McCaine spojrzał na niego bez humoru.

— Rozczarowuje mnie pan, John. Ci tam — pogardliwym ruchem głowy wskazał w kierunku drzwi prowadzących do czekającego na niego zgromadzenia — nie spodziewam się po nich, że zrozumieją | wzajemne zależności. Ale po panu owszem.

— Taki już mój los. Rozmaici ludzie spodziewają się po mnie najrozmaitszych rzeczy, a ja nigdy nie spełniam ich oczekiwań.

— Więc dobrze. Powtórzę powoli, żeby zdążył pan zanotować. Jesteśmy największym koncernem świata, zgadza się? W każdym razie *jeszcze* jesteśmy. Musimy zatroszczyć się o to, byśmy nim pozostali. Nie mogą powstać inne ośrodki władzy mniej więcej tej samej wielkości, bo utkniemy w sytuacji patowej, i nie da się już przeprowadzić w ogóle nic z tego, co musi zostać zrobione. — McCainie złożył folie i przytrzymał je Johnowi przed nosem, jakby chciał go ukłuć rogiem stosu. — Czy tak trudno to zrozumieć? Niech pan myśli dalekowzrocznie, John. Dalekowzroczone wizje wygrywają.

Powiedziawszy to McCainie wrócił do sali konferencyjnej, gdzie przesunął wzrokiem po zebranych mężczyznach gapiących się na niego niczym przestraszone króliki, poprawił mikrofon i powiedział to, co w ciągu następnych dni miał powtórzyć jeszcze na wielu podobnych spotkaniach:

— Moi panowie, chcę od was tylko trzech rzeczy. Po pierwsze, zysków. Po drugie, zysków. I po trzecie, zysków.

Jedną z nielicznych kobiet wśród uczestników tych zakamuflowanych pod nazwą konferencji meetingów dyscyplinujących była Gladys Vane, menadżerka *Polytone Media*, koncernu medialnego powstałego z połączenia kilku europejskich wydawnictw fonograficznych, z siedzibą w Brukseli. W minionych trzech miesiącach dwóch gwiazdorów, jedna piosenkarka pop z Izraela i jeden angielski zespół przeszły do *EMI Electrola*, co sprawiło, że kwartalne zyski ześliznęły się głęboko pod kreskę. Przysadzista kobieta o popielatych włosach musiała z tego powodu przełknąć odpowiednio sporą porcję przygan.

Wróciwszy do Brukseli natychmiast zwołała podobne zebranie,

by szefom rozmaitych branż i filii w podobnych słowach naświetlić powagę sytuacji.

— Tego jednak nie da się osiągnąć bez nakładów — sprzeciwił się szef hiszpańskiego oddziału firmy. — Musimy inwestować w artystów. Na to, by artysta przebił się na rynek, trzeba trochę czasu, i jeśli nie damy im tego czasu, wkrótce nie będziemy mieć wcale nowych wykonawców.

— A jeśli my będziemy nierentowni, to wkrótce sami artyści nie będą mieli firmy płytowej — odparła Gladys Vane, zdecydowana nie dać się jeszcze raz poniżyć jakiemuś gburowatemu prostakowi. — Od dziś obowiązuje zasada — co się nie opłaca, wylatuje.

Menadżerowie filii pochylili się, gorączkowo kartkując swoje listy. Dyrektor *Cascata Records*, firmy płytowej z siedzibą w Mediolanie, od połowy roku również należącej do *Polytone*, w zamyśleniu przyglądał się danym na temat sprzedaży CD zatytułowanej *Wasted Future*.

— To odwet — powiedział McCaine. — To nie jest miłe, ale takie już jest życie. Odwety są nieuniknione, i odróżniają mężczyzn od chłopców.

John tylko skinął głową. Byli w drodze na lotnisko, lecz ich opancerzona limuzyna utknęła w popołudniowym korku. Patrząc w kierunku jazdy, miało się wrażenie, że ciężarówki i dwupiętrowe czerwone autobusy klinują się wzajemnie. Mżyło i wzdłuż ulicy chwiały się szare parasole.

— Właśnie teraz nie możemy spuszczać z oka naszych celów, inaczej zginiemy w pomniejszych wojnach. Jednym z naszych kolejnych kroków będzie Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Na tym właśnie polega zaleta prywatnego samolotu: nie trzeba

się martwić, że się spóźni na lot. John jeszcze raz przemyślał to, co właśnie powiedział McCain i zmarszczył czoło.

— MFW? — powtórzył. Czytał o tym. *International Monetary Fund* był, podobnie jak ONZ, ponadnarodową instytucją mającą zapewnić funkcjonowanie światowego systemu finansowego, wymienialność walut i tak dalej. Opis był długi i śmiertelnie nudny. — Musi mi pan to wyjaśnić — powiedział. — Co to ma wspólnego z nami?

— MFW liczy w tej chwili blisko 180 członków. Każdy członek musi wnieść pewien określony wkład, tak zwaną *Quote*, tym większą, im bogatszy jest dany kraj. Od *Quote* zależy liczba głosów, co znaczy, że kto najwięcej wpłaci, ten będzie miał najwięcej do powiedzenia. Obecnie są to USA, mają osiemnaście procent głosów. — McCain wyprostował palec wskazujący i objął go drugą dłonią, jakby musiał coś policzyć na palcach. — To pierwszy punkt, który pasuje do naszej koncepcji: bogactwo ma wpływy. Jawnie, nie skrycie, zagwarantowane ustawą.

— Wpływy, tak — przytaknął John. — Pytanie tylko, na co.

— To drugi interesujący nas punkt. MFW może zaglądać w księgi rachunkowe każdego ze swoich członków, może domagać się od rządów ujawnienia informacji o ich polityce pieniężnej i podatkowej, jednak nie ma prawa niczego nakazywać. W normalnym przypadku. Inaczej, jeśli jakiś kraj dostanie od MFW kredyt. Takie kredyty udzielane są wyłącznie na bardzo surowych warunkach, i wypełnianie tych warunków jest drobiazgowo kontrolowane. W żaden inny sposób nie można wywierać na politykę żadnego kraju tak bezpośredniego wpływu. — McCain obejmował teraz już palce wskazujący i środkowy. — Rozumie pan? Poprzez MFW będziemy mogli pilnować, żeby kraje rozwijające się nie zniszczyły środowiska



uprzemysławiając się w pośpiechu.

John patrzył na McCaina, jakby widział go po raz pierwszy. On sam, musiał to przyznać bez zawiści, nigdy w życiu nie wpadłby na taki pomysł.

— Poprzez MFW, tak — skinął głową. — Ale w jaki sposób chce pan wywierać wpływ na MFW?

McCaine wzruszył ramionami.

— Dobrym słowem. Propozycjami współpracy. Albo, mam taką zuchwałą wizję, robiąc z *Fontanelli Enterprises* pierwszego członka MFW, nie będącego państwem.

John mimowolnie zachłysnął się powietrzem.

— Muszę przyznać, że to naprawdę zuchwałe.

— Aż takie zuchwałe to znowu nie. Obecnie MFW dysponuje wpłatami o łącznej wartości może 190 milionów dolarów, do tego połowa w walutach niewymienialnych, zatem w pieniądzech niezdatnych do użytku. Dla nas wpłacenie więcej niż choćby USA byłoby pestką.

Przez chwilę John znów poczuł, jak narasta w nim świadomość, że jest niepokonany, uczucie, które towarzyszyło mu przez całe lato i które było lepsze niż seks. Jednak czymkolwiek był zbiornik przechowujący nastroje, jego musiał najwidoczniej mieć szczelinę, gdyż uczucie niezwyknięcia wyciekło i pozostał jedynie mdły niesmak.

— Nie sądzę, żeby nas zaakceptowali.

McCaine wyjrzał przez okno.

— To tylko kwestia czasu — powiedział. — Epoka państw minęła. Ludzie zachowają rządy jeszcze przez jakiś czas, jak serwis obiadowy prababci, którego się nigdy nie używa, bo nie nadaje się do zmywarki, ale któreś z przyszłych pokoleń nie będzie już rozumiało, po co komu potrzebny naród. — Wskazał

na zewnątrz, na okno wystawowe księgarni, w którym ułożono książki o zakończonych niedawno Igrzyskach Olimpijskich w Atlancie. — Jeszcze się pan przekona, proszę mi wierzyć. Pewnego dnia lekkoatleci na olimpiadzie nie będą reprezentowali żadnego kraju, tylko wystąpią w barwach koncernów.

— Może moglibyśmy ustanowić nagrodę? — zastanowił się John pewnego wieczora, wysoko nad Pacyfikiem. — Coś takiego jak Nagroda Nobla, ale za ochronę środowiska?

McCaine, jak zwykle podczas lotów nieustannie studiujący akta, opatrujący uwagami memoranda i projekty kontraktów albo dyktujący listy, podniósł wzrok znad notatnika.

— Nagrodę Fontanellego?

— Niekoniecznie. Myślę o dorocznej nagrodzie dla ludzi, którzy dokonali czegoś zgodnego z przesłaniem proroctwa. To znaczy, mogłaby to przecież być zachęta. Popieranie zmiany myślenia. I to by dobrze zrobiło naszemu wizerunkowi.

McCaine stukał się końcem długopisu w brodę.

— *Chce* pan ufundować taką nagrodę? — zapytał.

Intonacja pytania wydała się Johnowi trochę dziwna.

— Tak — powiedział.

— To niechże pan to zrobi.

— Ja? — John spojrzał na niego z powątpiewaniem. — Ja nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać.

McCaine powoli odłożył ołówek na blok.

— Nie musi pan mieć pojęcia, *jak* się coś robi. Pamięta pan, co powiedziałem podczas naszej pierwszej rozmowy? Pieniądz pokona wszystko, pieniądz zastąpi wszystko, pieniądz może wszystko. Pan musi tylko wiedzieć, *czego* pan chce. O *to*, *jak*,

niech martwią się inni.

— Na przykład kto?

— Zadzwoń pan do działu organizacyjnego, poprosi kogoś do siebie do biura i powie mu pan, czego chce. Po prostu. A on to zrobi, w końcu za to dostaje swoją pensję. — McCaine uśmiechnął się. — Zresztą uważam to za świetny pomysł.

Jeden z ich projektów racjonalizatorskich, firma HUGEMOVER, niegdyś wiodąca na rynku maszyn budowlanych, przyniosła nieoczekiwane rezultaty: związki zawodowe ogłosiły strajk.

— Halo, Jim — powiedział McCaine po rozpoczęciu telekonferencji. — Dochodzą nas tu pogłoski, którym z trudem dajemy wiarę.

John siedział nieco z boku, poza zasięgiem kamery. Tak mu doradził McCaine.

— Prawdopodobnie będzie okropnie — uprzedził.

Jim Straus, przewodniczący zarządu HUGEMOVER, był mężczyzną o łagodnym spojrzeniu i różowej cerze świeżo wykąpanego niemowlaka. Wzrok, jakim patrzył na nich z ekranu, miał w sobie trochę przekory. Donald Rash, jego zastępca, siedział obok niego i zdawało się, że stara się złamać długopis gołymi rękami.

— *Weil*, skłamałbym, gdybym powiedział, że nie rozumiem tych chłopaków — oznajmił Straus. — Obniżka płac o dwadzieścia procent, wydłużenie czasu pracy o dwie godziny, i to wszystko za jednym zamachem bez pertraktacji albo choćby propozycji? Pan by też strajkował, Malcolm.

— Co bym zrobił, a czego nie, nie podlega dyskusji. Pytanie, co pan zrobi, Jim.

— *Well*, myślę, że będziemy pertraktować.

— Właśnie tego nie chciałem usłyszeć. Ich płace są utopijne, w porównaniu z rynkiem światowym, a ich czas pracy mógłby komuś zasugerować, że HUGEMOVER to park rozrywki.

— Malcolm, przypomina pan sobie, że od początku zgłaszałem obiekcje. Zmiany są zbyt duże i wprowadzane za szybko. Powiedziałem to panu.

John widział, jak McCaine kilkakrotnie porusza szczęką, jakby żuł gumę.

— Powinien pan przy okazji sprawdzić w słowniku, co to jest „samospełniająca się przepowiednia”. I nie będzie pan pertraktował.

— Nie możemy postąpić inaczej. Dobre stosunki ze związkami zawodowymi to tradycja w HUGEMOVER.

McCaine opuścił głowę i lewą ręką intensywnie masował się u nasady nosa. Na chwilę zapadła cisza, tym bardziej złowroga, im dłużej trwała.

— I tak już byłem w złym humorze — powiedział w końcu McCaine — a jeszcze używa pan słowa, na które mam alergię. *Tradycja*. Dziś nie ma pan swojego dnia, Jim. Jest pan zwolniony.

— Co? — Widok, jaki przedstawiał Straus, mógłby znakomicie posłużyć do zilustrowania pojęcia „rozpływające się rysy twarzy”.

— Donald — McCaine zwrócił się do zastępcy Strausa — niech pan mi powie, czy umiałby pan lepiej sobie z tym poradzić.

Muskularny mężczyzna dał wreszcie spokój swojemu długopisowi.

— Hm, panie McCaine, sir...

— Donald — łatwe pytanie, łatwa odpowiedź. Poradzi pan sobie lepiej? Tak czy nie?

— Hm... — Pośpiesznie upuścił na stół szczątki długopisu i

rzucił niepewne spojrzenie na swojego dotychczasowego szefa, który wciąż jeszcze próbował się pozbierać. Wreszcie jakby do niego dotarło, co jest stawką w tej grze. Był wyższy o dwa centymetry, gdy spojrzał na McCaina i powiedział: — Tak, panie McCaine.

— Co pan zrobi, Donald?

— Nie będę pertraktował. Niech strajkują. Przetrzymamy to.

— Jest pan mężczyzną, Donaldzie. Dostanie pan nową umowę tak szybko, jak to możliwe. Proszę dopilnować, żeby pan Straus również otrzymał swoje dokumenty. — Potem McCaine się rozłączył.

Znieruchomiał na chwilę, patrząc w ciszy na martwy ekran, potem spojrzał na Johna.

— Uważa pan to za brutalne?

— Tak — powiedział John.

McCaine poważnie skinął głową.

— Czasem nie można inaczej. Musimy teraz okazać zdecydowanie.

Magazyn TIME opublikował duży artykuł o sporze w HUGEMOVER i do tego zdjęcie na okładce bazujące na plakacie starego filmu z Terence Hillem i Budem Spencerem, tylko, że tutaj ich twarze zastąpiono twarzami Johna Fontanellego i Malcolma McCaina, zaś tytuł brzmiał: *Lewe i prawe ramię diabła*. Artykuł był bezlitosny, zaangażowanie Johna w ochronę środowiska nazywał „obłudnym”, zaś praktyki biznesowe McCaina „rozbójnictwem”.

John poczuł, jak przy czytaniu rumieni się po uszy i zlewa potem. Dziwił się spokojowi i swobodzie, z jaką McCaine kartkował czasopismo.

— Powoli mam tego dość — odezwał się w końcu. — I tak

zawsze mieliśmy w planie kupować koncerny medialne — gazety, stacje telewizyjne i tak dalej. — Zamknął gazetę i rzucił ją niedbale na bok. — Najwyższy czas się za to zabrać.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Coraz częściej nad Tamizą wisiała gęsta mgła, rozsuwała się po całym mieście, zaczarowywała wieżowce w niesamowite zamki trolli, a uliczne latarnie w światła elfów.

Hitem tegorocznych zakupów przedświątecznych były artykuły oznaczone /jak Fontanelli. Ludzie kupowali czapki, filiżanki, breloczki, szale, aktówki i przede wszystkim koszule, wszystko całkiem białe oprócz przechodzącej w fiolet ciemnej czerwieni fantazyjnych zawijasów litery. Same dochody z licencji na używanie logo przyniosły do kas — nie do wiary — trzycyfrowe kwoty milionów dolarów.

Piętnastego grudnia Boeing i McDonnell-Douglas dokonały fuzji, stając się tym samym największym producentem samolotów na świecie. Wszystkie komentarze w czasopiśmie gospodarczych zwracały uwagę na błyskawicznie rosnącą strefę wpływów koncernu Fontanelli i powszechnie spodziewano się licznych kolejnych fuzji w najbliższych latach.

Impas w HUGEMOVER przeciągał się. Związki zawodowe strajkowały, kierownictwo przedsiębiorstwa odmawiało wszelkich rokowań. W czasie Bożego Narodzenia i Nowego Roku w obliczu pustych księżek zleceń spadek produkcji nie tylko dał się łatwo przeboleć, był wręcz mile widziany, jednak wraz z początkiem roku po jawiły się nowe zlecenia i zamówienia, których nie dało się obsłużyć samymi niezrzeszonymi w związkach pracownikami.

— W USA prawo pracy również zabrania zwalniania

strajkujących — wyjaśnił Donald Rash z miną, jakby miał ochotę gryźć. — Kupujemy tak dużo, ile możliwe od naszych zagranicznych filii i przeprowadzamy więcej reorganizacji na tydzień niż zwykle w ciągu roku, ale granice naszych możliwości są bliskie. W przypadku koparek już je osiągnęliśmy.

McCaine złożył dłonie przed ustami, jakby się modlił.

— Co pan zamierza?

— Zatrudnić nowych ludzi — odpowiedział szef HUGEMOVER.,

— Prawo pracy nie zabrania zatrudniania łamistrajków. Mamy recesję, inne firmy też redukują personel, a zza oceanu przyjeżdżają niezli pracownicy, którzy chcą pracować za małe stawki. Tymczasem uprościliśmy też wiele procesów roboczych tak dalece, że nie potrzebujemy samych fachowców. Dawniej ze strajkami był zawsze ten kłopot, że człowiek był zdany na tych ludzi, ale teraz już znalezienie nowych nie jest problemem.

— Związki też to wiedzą, prawda? — spytał McCaine.

— Hm, tak, tak sędzę. — Rash przyglądał się McCainowi, który czekał w bezruchu. — Ach tak. Może wystarczy, jeśli na początek tylko tym zagrozę.

— Warto spróbować — powiedział McCaine.

Dwa dni później strajkujący wrócili do pracy, dłuższej o dwie godziny na tydzień i za płacę niższą o dwadzieścia procent.

— No właśnie — to był jedyny komentarz McCaina, a w rysach jego twarzy po raz pierwszy od dawna zamajaczyło się coś na kształt uśmiechu.

Telefon przy łóżku wyrwał Johna ze snu. Poderwał się, gapił na przekłety aparat, nie będąc w pierwszej chwili pewnym, czy rzeczywiście dzwonił. Było wpół do trzeciej nad ranem. Śniło mu się, na pewno.

Wtedy zadzwonił ponownie. To zły znak. Telefon dzwoniący nocą o wpół do trzeciej nigdy nie robi tego po to, by przekazać ci dobrą wiadomość. Pośpiesznie podniósł słuchawkę.

— Halo?

— Ty cholerna kupo gówna... — kobiecy głos z oddali, z osobliwym pogłosem w tle, jakby dochodził z kanalizacji. I mówiła po włosku.

— Słucham?

— Powiedziałam, że jesteś cholerną *kupą gówna* — brzmiała bardzo pijacko.

John przesunął dłonią po twarzy, jakby to miało włączyć działanie mózgu.

— Niewątpliwie — powiedział. — Ale czy mogłaby mi pani powiedzieć, proszę, kim jest?

— *Porco Dio...* — Dłuższa przerwa, podczas której dało się słyszeć tylko ciężkie dyszenie. — Nie zapomniałeś mnie chyba? Powiedz, że mnie jeszcze nie zapomniałeś. — Zaczęła cicho i boleśnie płakać.

John łamał głowę, ale za nic na świecie nie mógł sobie przypomnieć, czyj głos to może być.

— Przykro mi... — powiedział z ociąganiem.

— Przykro ci? Tak? I dobrze. Powinno ci być przykro. Bo to ty jesteś wszystkiemu winien. — Usłyszał piskliwy szloch, którego brzmienie obudziło w Johnie niejasne wspomnienia. — To wszystko przez ciebie, słyszałeś? Tylko przez ciebie. To twoja wina, że Marvin siedzi w więzieniu. A mnie będziesz kiedyś mógł zdrapać z ulicy. Mam nadzieję, że wtedy też będzie ci przykro, ty kupo gówna. — Słuchawka opadła z trzaskiem i szuraniem, jakby miała problemy z trafieniem w aparat.

John został ze słuchawką w dłoni, siedział z dudniącym sercem



i gapił się przed siebie, nie pojmując. Constantine. To mogła być tylko Constantine. Na miłość boską! A on jej nawet nie poznał.

Marvin w więzieniu? Nie zabrzmiało to tak, jakby rzuciła to tylko po pijanemu. Wystukał numer służby bezpieczeństwa. Odebrał Marco, jego głos brzmiał zdumiewająco trzeźwo jak na tę porę. John opisał mu, co się wydarzyło.

— Przykro mi, panie Fontanelli. Nie umiem wyjaśnić, jak ta osoba zdołała połączyć się z panem. Właściwie pański numer jest najtajniejszym ze wszystkich tajnych numerów.

— Na pewno ma go od Marvina. Za dużo gada o takich sprawach. Ale nie dlatego dzwonię. — Wyjaśnił, o co mu chodzi. Później wskoczył w szlafrok i niespokojnie krążył po swoich apartamentach rozmiaru sporej sali, nim telefon wreszcie znów zadzwonił.

— Zgadza się — powiedział Marco. — Niejaki Marvin Copeland został pojmany w Brindisi. Pod zarzutem handlu narkotykami.

## 28

Dwa krzesła. To było całe umeblowanie kwadratowego, wysokiego pokoju, w którym cuchnęło pleśnią i uryną. Drzwi, przez które wprowadzono Marvina, miały okratowany wziernik i masywne obicia, wyglądające na nowe; jak się zdaje, jedyna pochodząca z obecnego stulecia rzecz w tym pomieszczeniu.

Siedział tu, Marvin Copeland, osowiały i zniszczony, ledwie zdolny utrzymać się prosto na krześle. W ubraniu, które miał na sobie, spał chyba od tygodni, a nie tylko przez te kilka dni spędzonych w więzieniu.

— Co się stało? — zapytał John.

Marvin wzruszył ramionami, skrzywił się. Wreszcie powiedział:

— A co się miało stać? Dorwali mnie.

— Handel narkotykami? To prawda?

— Ach, *fuck!* Moja firma płytowa wyrzuciła mnie na zieloną trawkę, z dnia na dzień. Podobno mój album źle się sprzedawał. A oni po prostu nie zrobili porządnej promocji, jak myślisz, jak człowiek ma się bez promocji wybić w porównaniu z takimi gwiazdami jak Michael Jackson albo Aerosmith? — Siedział pochylony do przodu, wbijał wzrok w podłogę, potem spojrzał z dołu krzywo na Johna. — Co ja mówię, moja firma płytowa? Teraz to już *twoja* firma płytowa. Twoja, tak samo, jak połowa planety.

— Marvin, miałeś sto tysięcy dolarów. Kazałem przysłać sobie dane z *Cascata Records*. Wyplacili ci zaliczkę trzystu tysięcy dolarów. W półtora roku przepuściłeś prawie pół miliona dolarów.

— Człowieku, i ty to mówisz, z twoim Jumbo Jetem.

— To nie jest Jumbo Jet.

— Tak, *shit*, to wszystko kosztuje. Jako gwiazda rockowa muszę jeździć odpowiednim wozem, ciuchy i tak dalej... Nie masz pojęcia, ile to kosztuje.

— Chcesz powiedzieć, że nie mam pojęcia, ile kosztuje kokaina. Masz zresztą rację.

— Chłopie, chłopie. Posłuchaj tylko sam siebie. Mówiłem ci przecież, że pieniądze cię zmieniają. Mówiłem.

— Marvin, kokaina! To coś innego niż twoje dawne jointy. I dawniej zawsze odmawiałeś dilerki.

Marvin odchylił się gwałtownie w tył, jakby chciał odłamać oparcie krzesła, zamknął oczy i oparł głowę o kark. Był blady, wyglądało, że jest na głodzie. Przez dłuższą chwilę nie ruszał się. Z wąskiego, umieszczonego wysoko pod sufitem zakratowanego okienka padało na niego słabe światło, z ulicy hałas dobiegał tak głośno, jakby ktoś podkręcił dźwięk: klaksony i warkot motocykli.

— To kometa — powiedział w końcu Marvin i otworzył oczy.

— Kometa?

— Hale-Bopp'a. Kometa. I nie mów teraz tylko, że jej nie widziałeś. Wisi na niebie taka wielka — głośno wciągnął powietrze przez zęby. — Komety przynoszą nieszczęście. To wiadomo od wieków. A artysta — taki jak ja — po prostu to czuje. Jest wrażliwy na coś takiego, wiesz? Okay, koka przenosi w jeszcze inny wymiar, ale nawet bez tego... — Pokręcił głową, przez dłuższą chwilę, mrużąc. Potem spojrzał na Johna. — Możesz mnie stąd wyciągnąć?

John patrzył na twarz Marvinina, widział wyraz jego oczu. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi coś w rodzaju cwaniactwa, potem znów była w nich sama prośba o pomoc, wielka

żebranina, jakby tylko resztki dumy powstrzymywały go od błagania na kolanach o ratunek z tego lochu.

— Po to właśnie przyjechałem — powiedział John, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście robi Marvinowi przysługę. — Mówią, że możesz wyjść za kaucją. Tylko nie wolno ci opuszczać miasta i tak dalej. — Głęboko odetchnął i z niesmakiem na języku dodał: — Choć nie zrukuje mnie, gdybyś jednak wyjechał. Jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

Marvin spojrzał na niego, jakby nie zrozumiał ani słowa, potem skinął głową.

— A jednak jesteś jeszcze przyjacielem. Mimo całej tej kasy.

Gdy John wrócił do Londynu, McCaine był *not amused*.

— Pański przyjaciel, czy za kogo go pan uważa — powiedział — to prototyp nieudacznika. Nigdy niczego nie dokonał, i nigdy niczego nie dokona. Niech pan o nim zapomni, John. Tak szybko jak to możliwe. Proszę unikać wszelkiego kontaktu. Nieudacznicy są niebezpieczni dla ludzi, którzy stawiają sobie wysokie cele, niech pan mi wierzy. Może pan być najzdolniejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi, jeśli będzie pan otaczał się nieudacznikami, i tak pan niczego nie dokona. Oni pociągną pana na dno. Zniweczą pańskie plany, pokrzyżują w decydujących momentach, po tysiackroć zatrują pańskie życie, jakby byli zakaźną chorobą. Nie jestem pewien, czy w pewien sposób naprawdę nią nie są.

John był zmęczony i żałował, że z lotniska nie kazał się zawieźć prosto do domu. Zupełnie nie miał nastroju do kłótni.

— Mówi pan o nim, jakby był szcurem albo kimś w tym rodzaju.

— A jak nazwałby pan to, co zrobił tej Constantine? — McCaine stał jak skała na tle wieczornej panoramy Londynu, splótl

ramiona. — Marco był tak uprzejmy i wprowadził mnie w temat.

— Constantine Volpe jest dorosłą kobietą i odpowiada sama za siebie — odpalił zdenerwowany John. — A Marvin bardzo mi pomógł w kilku ciężkich chwilach. Byłem mu coś winien.

— Był pan mu coś winien? Ach. No tak. A kiedy przestanie pan być mu coś winien?

— Nie mam pojęcia. — Nigdy jeszcze o tym nie myślał. Właściwie to nie może ciągnąć się tak bez końca, jeśli się nad tym zastanowić. — No cóż. Myślę, że teraz już jesteśmy kwita.

McCaine odchrząknął.

— Pan oczywiście zakłada, że swoją akcją zrobił mu przysługę.

— Wyciągnąłem go z więzienia.

— I co dalej? Jak pan sobie to wymyślił? Wpłaca pan za niego kaucję, on wychodzi na wolność i może zniknąć?

— Mniej więcej tak.

— Naprawdę pan sądzi, że swoim przyćmionym od narkotyków mózgiem będzie w stanie uniknąć kontroli granicznych i ukryć się przed śledztwem Interpolu? Niech pan nie będzie śmieszny.

— Tak, uważam go za dość wyrafinowanego w takich sprawach — gniewnie sprzeciwił się John.

McCaine rozplótł ramiona, przez chwilę bębnił czubkami palców o zewnętrzny kant biurka Johna, potem powiedział:

— No cóż, wszystko jedno. Właściwie chciałem prosić pana tylko o jedno, John — gdyby kiedyś w przyszłości znów miał pan problem tego rodzaju, proszę przyjść z tym do mnie. Możemy się tak umówić?

— Co pan rozumie przez „problem tego rodzaju”?

— Przecież wie pan, co mam na myśli. — McCaine zatrzymał się w drzwiach, z dłonią na klamce. — Niech pan nic nie robi potajemnie. Proszę z takimi rzeczami przychodzić do mnie. Ja się

nimi zajmę.

Projekt fundacji John przedstawił pewnemu kierownikowi projektu nazwiskiem Lionel Hillman, wyglądającemu na niezmordowanego mężczyznę o rudych lokach i tak samo rudawych włoskach wystających z nosa, na które nie sposób było się nie gapić, gdy się z nim rozmawiało.

Hillman z całą energią zajął się projektem, z czasem zdawał się nim oddychać i go pić, być z nim niemal jednym. To od niego wyszła propozycja, żeby nagrodę nazwać *Gea Prize*, od Gei, antycznej bogini Ziemi, matki nieba i tytanów, źródła marzeń, żywicielki roślin i dzieci. John, który nie znał wszystkich tych znaczeń, zgodził się, zachwycony. Dalej Hillman ustalił skład jury: pięciu znanych biologów, ekologów i specjalistów od ochrony środowiska, każdy z innej części Ziemi, opracował regulamin i model fundacji na wzór Nagrody Nobla, zlecił rzeźbiarzowi wykonanie trofeum, które jak dotąd — u każdego, kto je widział — wywoływało pełne szacunku kiwanie głową, i wreszcie przygotował kampanię reklamową, obiecującą odcisnięcie w świadomości wszystkich mieszkańców Ziemi informacji o istnieniu i znaczeniu *Gea Prize*, przed pierwszym wręczeniem jej w listopadzie 1997, w ostatnią sobotę miesiąca. Dzień ten — niecałe dwa tygodnie przed rozdaniem Nagród Nobla — został wybrany równie starannie jak miejsce, Kopenhaga, mające sprawić, że *Gea Prize* w świadomości publicznej usadowi się również w tej znakomitej sferze.

Zaprosił Johna na próbne zdjęcia do plakatu reklamowego. Matkę Ziemię miał uosabiać nie kto inny, jak Patricia deBeers, najdroższa modelka świata, przez media jednogłośnie okrzyknięta najpiękniejszą kobietą stulecia. I była piękna, na

Boga, wprost zapierała dech. John trzymał się nieśmiało na uboczu i patrzył, jak fotograf wydaje instrukcje, a otulona jedynie w welon, emanująca erotyką bogini Ziemia wiję się, przeciąga i obraca, i jak rozbłyskują reflektory. Jeśli to nie zachęci ludzi do zaangażowania się w ochronę przyrody, to nie ma pojęcia, co innego byłoby w stanie ich do tego skłonić.

— Przerwa — krzyknął fotograf. Wydał pomocnikom kilka instrukcji dotyczących ustawienia scenografii, i rozglądając się, odkrył Johna.

— Ach, pan Fontanelli. — Podeszedł, uścisnął mu dłoń. Był starszy, niż wydawał się z daleka i niż można było sądzić po jego ruchach, chudy mężczyzna z jasnoblond sterczącymi włosami i starczymi plamami na twarzy. — Curtis. Howard Curtis. Lionel wspomniał, że może pan do nas zajrzy. Jak się panu podoba?

John kiwnął głową, ociągał się. Tak, jest pod wrażeniem.

— Świetna kobieta, co? Naprawdę wspaniała. Absolutna profesjonalistka, wie na sto procent, jakie robi wrażenie, całkowicie panuje nad swoim ciałem. Zawodowiec w każdym calu, naprawdę.

John patrzył przez jego ramię na scenografię. Patricia deBeers siedziała wyprostowana na stołku, odsunęła welon i pozwalała pulchnej makijażystce pudrować sobie czymś piersi. Ten widok sprawiał, że z trudem przychodziło mu nadążać za słowami fotografa.

— Wie pan co...? — Człowiek, o którym Hillman mówił, że jest najlepszym portretowym fotografem świata, cofnął się o krok i przyjrzał Johnowi spod przymkniętych powiek. — Mam pytanie, panie Fontanelli — miałby pan ochotę czegoś spróbować?

— Niech pan tylko nie mówi, że chce mi zrobić zdjęcie.

— Koniecznie.

— Nie.

— Nie akceptuję żadnego *Nie*, panie Fontanelli.

— W żadnym wypadku.

— Dla dobra pańskiej fundacji.

— Właśnie dlatego. Nie chcę ośmieszać nagrody, nim zostanie pierwszy raz przyznana.

Curtis wzdychając ciężko, cofnął się jeszcze o krok i gwałtownie pocierał brodę, nie odrywając wzroku od Johna ani na moment.

— Mam propozycję — powiedział.

— Nie — powiedział John, zastanawiając się, czy po prostu nie odejść.

— Sfotografuję pana z panną deBeers i nagrodą. A pan postanowi na podstawie gotowych zdjęć. Proszę — Curtis uniósł dłoń, nim John zdążył cokolwiek powiedzieć. — Dla mnie. Jest pan to winien mojej renomie fotografa.

— A z gotowymi zdjęciami w dłoni będzie pan potem tak długo mnie namawiał, aż się zgodzę.

— Słowo honoru, że nie. Mogę to dać panu na piśmie albo przy świadkach, jak pan chce. Jeśli powie pan nie, to będzie nie i już.

— Curtis uśmiechnął się chytrze. — Ale nie powie pan nie.

Kilka dni po zdjęciach — wręczał bogini Ziemi nagrodę, można powiedzieć, do rąk własnych, starając się nie gapić na jej biust, wśród niekończącego się pstrykania i błysków — znalazł przy śniadaniu gazetę złożoną tak, żeby na wierzchu znalazła się informacja z jednej z ostatnich stron. Ktoś dodatkowo obwiodł ją czerwoną kreską. John nie miał pojęcia, kto. *Wycofano zarzut handlu narkotykami wobec amerykańskiego gwiazdora rockowego* głosił nagłówek. W tekście napisano, że zarzuty postawione Marvinowi cofnięto; pierwotne podejrzania okazały się bezzasadne.



— Niech pan nie będzie naiwny, John — powiedział McCain, gdy John wkroczył do jego biura i pokazał mu wiadomość. — Pański przyjaciel jest winny jak Judasz. Musiałem przekupić pięciu policjantów i dwóch sędziów, żeby to załatwić.

John patrzył na niego zaskoczony.

— Słucham? *Przekupić?*

— Powiedziałem, że się tym zajmę, prawda?

— No tak, ale łapówka...? — John wydał się sobie okropnym prowincjuszem.

McCaine cierpliwie splótł dłonie na brzuchu.

— John — nie sądzi pan przecież, że zdołalibyśmy uniknąć tytułów w rodzaju *Najbogatszy człowiek świata wykupuje handlarza narkotyków z więzienia?* Nie pomogłyby tu całe pieniądze świata. Jak by się to panu spodobało?

— Nie wiem. Ale nie podoba mi się też, że przekupujemy ludzi jak jacyś mafiosi.

— Nikt nie żąda, żeby się to panu podobało. — McCain zajął mu badawczo w oczy, z taką intensywnością, że John się przestraszył. Przez chwilę w pokoju panowała cisza, jakby przeszedł przez niego anioł. — To w porządku, że się panu nie podoba — powiedział w końcu McCain. Mówił tak cicho, jakby anioł siedział jeszcze w kącie pokoju. — Mnie też się to nie podoba. Ale jeśli będzie trzeba, będę mimo to przekupywał, będę kłamał i oszukiwał, czy jeszcze coś innego, zrobię to, jeśli to będzie konieczne dla wypełnienia proroctwa. Czy pan to rozumie? Tej misji poświęciłem życie. Oddałbym za nią moją duszę, John. Mówię to całkowicie serio. Własną duszę.

John patrzył w dół na mężczyznę siedzącego za biurkiem zastawionym telefonami i monitorami komputerowymi, w garniturze z Savile Row skrojonym tak, by emanował władzą i

wyższością. Jednak wszystko, czym promieniował w tej chwili McCain, to poświęcenie — poświęcenie ponad wszelką ludzką miarę. Na czas jednego uderzenia serca wyglądał bardziej na mnicha niż na kogokolwiek innego.

John odchrząknął, spojrział na swoją dłoń, w której zgniótł gazetę.

— Tak — powiedział, i zaraz ta odpowiedź wydała mu się niezwykle nędzna. Ale miał w głowie pustkę i jedyne, co zdołał jeszcze wykrztusić, to: — Dziękuję.

Potem wyszedł, nie patrząc więcej na McCaina.

Malcolm McCain rzeczywiście uważał się za kogoś w rodzaju mnicha. Jednak wieczorem tego dnia, jak zwykle do ostatniej minuty wypełnionego pracą bez spoczynku i podejmowaniem decyzji, wprawiających w ruch tysiące ludzi i miliony dolarów, postanowił, że nadszedł znów czas na mały wyjątek.

Wyprostował się, przeciągnął, rzucił przelotne spojrzenie na zegary na ścianie wskazujące aktualny czas w najważniejszych miastach świata. Potem ułożył teczki z bieżącymi sprawami na wierzch różnych stosów na swoim — jak zwykle chaotycznie zarzuconym biurku — narzucił marynarkę, z dyktafonów wyjął kasety i opuszczając biuro wyłączył światło.

Sekretarki już dawno poszły. Rozłożył kasetki na biurkach, potem poszedł do windy, która zwiozła go wprost do garażu w podziemiach.

W minionych dziesięcioleciach nie miał ani czasu, ani energii, które w jego mniemaniu łączą się z prawdziwym związkiem, i dlatego szukał alternatyw, by zaspokoić przynajmniej cielesne podstawowe potrzeby. Jedną z tych alternatyw była instytucja, do której po krótkim zastanowieniu się skierował. Dzięki

doskonałej higienie i sławie absolutnej dyskrecji zyskała sobie ekskluzywny krąg klientów, godzących się płacić równie ekskluzywne stawki.

Przywitała go szefowa domu, ubrana ze smakiem czterdziestolatka, którą bez trudu można było wyobrazić sobie również jako menadżerkę agencji telemarketingu. Nie nazywała nikogo po nazwisku, jednak pamiętała wszystkie twarze.

— Mamy dużo nowych dziewcząt — oznajmiła. — Piękne młode kobiety z Azji i Afryki...

— Tak, tak. — McCaine tak naprawdę nie rozumiał, co chciała powiedzieć. Mieszkał w tak wielu różnych krajach, dorastał z tak wielu ludźmi rozmaitych narodowości i różnego koloru skóry, że rasizm był mu całkowicie obcy. Nie zauważył więc rasizmu zawartego w tej uwadze.

On szukał czegoś innego. Powoli ruszył wzdłuż szpaleru, całkiem blisko dziewcząt, patrząc każdej badawczo w twarz. Patrzył w twarze zubożniałe, twarze gruboskórne, chciwe, czasem nawet dostrzegał coś na kształt życzliwości. Wiedział, że nie jest atrakcyjnym mężczyzną, za wielki, za ciężki, zbyt nieokrzesany. Szedł od jednej do drugiej, aż w oczach jednej dostrzegł ten wyraz, który mu zdradził strach: *Nie mnie! Żeby tylko nie wziął mnie!*

— Ty! — powiedział, z zadowoleniem rejestrując, jak przerażona łyka powietrze.

Była szczupła, nic szczególnego, miała niepozorne, półdługie włosy w kolorze brudnego brązu. Podobało mu się wchodzić za nią po schodach i widzieć w jej krokach opór. Podniecała go świadomość, że się nim brzydzi, lecz mimo to, z powodu jego pieniędzy, rozłoży przed nim nogi.

Zaczął się maj roku 1997. Brytyjczycy wybrali Labour Party z Tonym Blairem, i charyzmatyczny nowy *Prime Minister* obiecał wszystko naprawić. John oglądając wiadomości telewizyjne, zastanawiał się, czy miałyby sens zapraszać również Blaira; wydawał się przynajmniej bardziej sympatyczny od poprzednika.

Zdjęcia, które Curtis zrobił Johnowi Fontanellemu i Patricii deBeers były już gotowe i, jak przepowiedział fotograf, John był przyjemnie zaskoczony. Po pewnym wzbranianiu się i omówieniu sprawy z McCainem wyraził zgodę na użycie tych zdjęć w planowanej kampanii reklamowej.

HUGEMOVER znów stwarzał problemy. Związki zawodowe próbowały strajkiem włoskim i drobiazgowym trzymaniem się wszystkich regulaminów sypać piasek w tryby i w ten sposób wymusić nowe pertraktacje. Donald Rash wydawał się nieco bezradny, kiedy z ekranu nakreślał im sytuację.

Oblicze McCaina emanowało ponurą groźbą.

— Związki mają przecież w pańskiej firmie jakieś kluczowe postaci, funkcyjnych, podżegaczy. Wie pan, kto to?

— Tak — odpowiedział Rash. — Oczywiście.

— Proszę ich wyrzucić.

Muskularny Amerykanin wytrzeszczył oczy.

— Ale... to nielegalne!

— Mimo to proszę ich wyrzucić.

— A potem? Robotnicy będą strajkować. I w tym przypadku nie będę mógł złamać strajku pracownikami z zewnątrz. W każdym razie nie według obowiązującego prawa.

— W takim wypadku proszę wysłać wszystkich gryzipiórków z biura na dół, do hali — powiedział McCain. — Inżynierów, całe kierownictwo niższego i średniego szczebla. Pan sam niech

zejdzie i przykręca tabliczki znamionowe. — Wziął do ręki kartkę z zestawieniem danych o załodze HUGEMOVER. — I ma pan pięć tysięcy pracowników w niepełnym wymiarze, których może pan wykorzystać, nie naruszając prawa. Proszę im powiedzieć, że kto chce zachować miejsce pracy, ten musi się wziąć do roboty.

— Ale to jest... — Rash przerwał, zagryzł wargi i skinął głową. — OK.

McCaine pozwolił, by na chwilę zapanowała cisza, przypominająca żrący kwas. Potem powiedział:

— Mamy do czynienia z precedensem. Przetrzymajmy to. Rozumie pan, Donald?

Wyraz twarzy Donalda Rasha zdradzał, iż zrozumiał, że musi postarać się zrozumieć.

— Tak, panie McCaine — powiedział.

Następnego dnia w gazecie pojawiła się informacja, że HUGEMOVER zwolnił wszystkich funkcjonariuszy związków zawodowych. Następnego dnia w zakładach znów wybuchł strajk, pewny zwycięstwa, gdyż zwolnienia nie były zgodne z prawem. Tak czy siak, widok szefów działu zbytu ubranych w niebieskie kombinezony robocze, kadrowców manipulujących ciężkimi kombinerkami i sekretarek jeżdżących wózkami widłowymi wywołał powszechną wesołość.

Samotny projektor na końcu ogromnego stołu konferencyjnego wyświetlał na ścianie blade światło trapez. Ciemność rozsunęła się po najodleglejsze kąty pomieszczenia, przyczała w nich jak lękające się światła zwierzę.

— Co powie pan na ten wielki pojedynek szachowy? — zapytał McCaine profesora Collinsa, kiedy ten przygotowywał swoje

folie. — Człowiek przeciw maszynie. Kasparow przeciw *Deep Blue*.

Naukowiec podniósł wzrok.

— Muszę przyznać, że tylko pobieżnie śledziłem doniesienia. Jak się sprawy mają?

— Już skończony. Dziś Kasparow przegrał ostatnią partię po dziewiętnastu ruchach. Można powiedzieć, że komputer IBM został szachowym mistrzem świata.

Collins skinął głową.

— Cóż, jakich słów się pan po mnie spodziewa? Myślę, że ci, którzy teraz czują się urażeni w swej ludzkiej dumie, interpretują ten pojedynek zupełnie błędnie. Mnie to po prostu pokazuje, co potrafią komputery. Po to są komputery, po to w końcu są wszystkie maszyny: żeby wypełniać skomplikowane zadania lepiej, niż byłby to w stanie zrobić człowiek.

McCaine uśmiechnął się.

— Dobrze powiedziane.

Raport zaczął się tak, jak zwykle rozpoczynają się podobne raporty: przedstawieniem dokonań minionego roku. John musiał się pilnować, by nie ziewać.

— Przeprowadzka do nowego, większego budynku — opowiadał profesor Collins, kładąc na projektorze zdjęcie pozbawionej wyrazu budowli z płaskim dachem — miała niezwykle korzystny wpływ na naszą pracę. Mogliśmy pozyskać wielu doskonałych pracowników, choć ze względu na uzgodnione reguły utajnienia wyników nie jesteśmy tak atrakcyjni dla studentów i doktorantów, jak byśmy pragnęli. Jeśli chodzi o wyposażenie w komputery, dokonaliśmy kompletnej migracji na maszyny RS6000 i system operacyjny UNIX, wszystko jest połączone w sieć i przez barierę *firewall* komunikuje się z

Internetem. Jeśli więc chodzi o warunki pracy i motywację ludzi, chciałbym stwierdzić, że nie mogłyby być lepsze.

McCaine z zadowoleniem skinął głową. John oparł się i przesunął teczkę konferencyjną o trzy centymetry w lewo.

— I — kontynuował profesor Collins — przeprowadziliśmy pierwsze znaczące symulacje i przeanalizowaliśmy je.

John obserwował, jak drobne włoski na jego dłoniach prostują się, i podniósł wzrok. W głosie profesora było coś, co przeniknęło go na wskroś. To nie był po prostu raport. Badacz przyszłości przynosił alarmujące wieści.

Collins założył przeźrocze ze skomplikowanymi wykresami, przypominającymi raczej schemat układu elektronicznego. Przesuwał je nerwowo tu i tam, aż wreszcie zadowolony z ułożenia folii odchrząknął kilkakrotnie, wreszcie odzyskał swój zwykły rzeczowy ton. Teraz jednak zabrzmiał on jak odwracający uwagę manewr.

— W ostatnich dziesięcioleciach byliśmy świadkami — oznajmił — stałego wzrostu wydajności i w następstwie tego poprawy stopy życiowej. To elementarna zależność, gdyż niezależnie od wszystkich pozostałych czynników, przeciętny standard życia jest zależny od przeciętnej wydajności. Mamy tu przy tym do czynienia z pozytywnym sprzężeniem w układzie regulacji, a zatem z samonapędzającym się procesem: jeśli mianowicie uda się uwolnić wydajność nie zużytą do bezpośredniego podtrzymania życia, można inwestować w wykształcenie, w rozwój nowych metod pracy i środków pomocniczych, dzięki którym znów wzrasta wydajność i łatwiej jest uzyskać dalszą wydajność, i tak dalej. Skok wydajności, dokonany na początku stulecia przez Henry'ego Forda, wynikał z nowej metody pracy, wysokiego stopnia podziału pracy wzdłuż taśmy montażowej. W

dzisiejszych czasach praca z wykorzystaniem linii montażowej odgrywa podrzędną rolę; procent pracujących przy taśmach jest porównywalny z procentem zatrudnionych w rolnictwie. Wzrost wydajności uzyskiwany jest dziś przez wysoko rozwinięte maszyny, stosowanie robotów, środki chemiczne, j a przede wszystkim przez znacznie wyższy stopień wykształcenia i udoskonalone metody pracy. Powstaje nawet meta-warstwa, to znaczy opracowuje się metody pracy dla twórców ulepszonych metod pracy — to obszar zarządzania jakością, doradztwa w prowadzeniu przedsiębiorstw, i tak dalej.

McCaine pochylił się wojowniczo.

— To wszystko brzmi przecież dość pozytywnie.

— I byłoby takie, gdybyśmy dysponowali nieograniczonymi zasobami naturalnymi. Ale Ziemia nie jest nieograniczona. Jak dotąd wzrost wydajności niesie ze sobą — na szczęście nieproporcjonalne — wzmożone obciążenie środowiska. Surowce pozyskuje się efektywniej, powietrze, wodę i grunt silniej obciąża.

— Czy nie da się tego powstrzymać właśnie dalszym wzrostem wydajności? Przypominam sobie, że jako dziecko często stałem nad rzekami będącymi jedynie cuchnącymi kloakami, zanieczyszczonymi ściekami z fabryk chemicznych; dziś może — albo musi — być nas stać na oczyszczanie ścieków, i w tamtych rzekach mógłbym się kąpać, gdybym zechciał.

— Nie ma na to prostej odpowiedzi. Znalezione dobre rozwiązania techniczne wielu problemów. Konsekwentne odsiarczanie spalin dostarcza gipsu tak wysokiej jakości, że elektrocieplownie dosłownie zmiotły z rynku konwencjonalne kopalnie gipsu. Za to produktem oczyszczania ścieków zawierających metale ciężkie jest wysoce trujący koncentrat



metali ciężkich, i zbyt często ląduje on w miejscach, gdzie powoduje szkody. Albo proszę pomyśleć o całym temacie zmian klimatycznych. Wszystkie rozwiązania technologiczne wiążą się ze zużyciem energii, a zużycie energii to nieuniknione ocieplenie: zasilany z wielu dopływów potężny strumień ciepła, dość mocny, by zmienić klimat Ziemi.

McCaine położył dłoń płasko na stole z cichym kłaśnięciem, które jak sygnał rozeszło się echem po pokoju.

— Dobrze. Jaka jest pańska prognoza? Jeśli dalej sprawy będą szły tak, jak idą?

Zmieniono folię. Nowy rysunek przedstawiał filigranowy kłęb splątanych krzywych, niektóre z nich niezdarnie zaznaczono grubym pisakiem.

— Obecny trend, na pierwszy rzut oka pozytywny, utrzyma się jeszcze przez długi czas, co najmniej dziesięć, raczej dwadzieścia lat. Zakładając, że nie dojdzie do zmian politycznych; nasz model nie jest jeszcze dostatecznie czuły, by móc uwzględnić czynniki tego rodzaju. Będziemy więc doświadczać dalszego wzrostu produkcji i związanego z tym dalszego podwyższenia ogólnego poziomu życia, słabiej zaznaczonego w krajach biedniejszych, w krajach i tak bogatych — mocniej. Wzrost wydajności żywi się tymczasem w przeważającej mierze efektami silnego powiązania i integracji, znika coraz więcej przeszkód takich jak granice, bariery językowe, ograniczenia w handlu i tym podobne, wszelkie utrudnienia są w rosnącej mierze usuwane, co uwalnia rezerwy wydajności, których wcześniej trzeba było używać do usuwania tychże właśnie przeszkód. Ogólnie mówiąc, świat się zrasta gospodarczo, pod względem technik komunikacji, kulturowo, pod każdym względem. McCaine przytaknął.

— Nie uważam, prawdę mówiąc, że to źle.

— W zasadzie zgadzam się z panem. Ale nie ma nic za darmo, i tu pokazano cenę utraty dawniejszej heterogenności. Czego się nie dostrzega, to fakt, że w tym procesie wszelkie nasze systemy utrzymania życia, czy to naturalne, czy techniczne, stają się coraz bardziej podatne na uszkodzenie. Typowy skutek gospodarki monokulturowej. Weźmy na przykład wirusy komputerowe. W słabo osieciowanym, dalece niekompatybilnym środowisku komputerowym występowanie wirusów nie jest problemem — zaatakowany zostaje jeden komputer albo dwa, inni tego nawet nie zauważą. Inaczej, kiedy mamy do czynienia z wysoce kompatybilną siecią wysokowydajnych komputerów, wszystkie z tym samym systemem operacyjnym, wszystkie z tym samym oprogramowaniem. To sytuacja idealna, ale jeśli dostanie się do tej sieci wirus, może w mgnieniu oka zainfekować setki, tysiące, miliony komputerów i je sparaliżować, a w ten sposób zniszczyć cały system. I dokładnie to właśnie grozi również systemowi naszych podstaw życiowych.

— Wirus komputerowy?

— Nie. *Crash*. Utrata równowagi.

— Co to znaczy?

— Coraz bardziej obciążamy połączony w kompleksową sieć system, choćby przez samą naszą rosnącą liczbę. Niechybnie kiedyś jeden z połączonych komponentów przekroczy wartość graniczną i zawiedzie. Załamanie jednego komponentu będzie miało wpływ na cały pozostały system, a ponieważ całkowite obciążenie jest wysokie, z dużym prawdopodobieństwem doprowadzi to do przekroczenia limitów przez inne składowe i do ich załamania, i tak dalej, jak upada cały szereg kostek domina, kiedy przewróci się pierwszy w szeregu. To przewracanie dotyczy systemu jako całości, odbywa się

niesamowicie szybko w porównaniu z dotychczasowym tempem zmian w systemie.

John odchrząknął.

— Proszę wybaczyć. Co mam przez to konkretnie rozumieć? Że jakaś elektrownia atomowa wyleci w powietrze?

— Nie, takie wydarzenie byłoby zbyt słabe jako inicjator. Można sobie wyobrazić szereg scenariuszy upadku, wśród nich i takie, w których inicjatorem jest bezpośrednie działanie człowieka. Byłyby to jednak wydarzenia w rodzaju wojny nuklearnej albo sztucznie wywołanej epidemii. Większość scenariuszy zakłada, że zawiodą zasoby naturalne. — Założył na projektor mapę świata, ilustrującą prądy morskie. — Nasz obecny model zakłada jako inicjator zaniknięcie Golfstromu.

Przy tych słowach ciemność jakby podpełzła ku nim ze wszystkich kątów.

— *Golfstromu*? — powtórzył jak echo zaskoczony John.

Collins wskazał ostrzem ołówka odpowiednie strzałki na mapie.

— Prąd Północnoatlantycki, jak właściwie nazywa się Golfstrom, przenosi z szerokości tropikalnych do Europy ciepłą wodę, która ogrzewa i nawilża prądy zimnego powietrza z Arktyki, nim dotrą do kontynentu, i aż po Ural zapewnia umiarkowane temperatury i opady. Mechanizm napędzający ten prąd polega na różnicach w zasoleniu wody morskiej i temperaturze. Im dalej ciepła woda dotrze na północ, tym bardziej się schładza, i na skutek parowania wzrasta w niej zawartość soli. W końcu staje się *hipersalin*, jak się mówi, zatem cięższa niż wszystko, co znajduje się pod nią, opada na dno morza i na południowy zachód od Grenlandii wylewa się niczym podmorski wodospad w głębiny basenu Atlantyku. To właśnie

powstałe w ten sposób ssanie przyciąga z Zatoki Meksykańskiej stale nową ciepłą wodę.

John myślał o ich lotach nad Atlantykiem i cudownym widoku bezgranicznych wód, próbując wyobrazić sobie, o jak gigantycznych ruchach jest mowa.

— To przecież ogromny proces — powiedział. — Co może go pohamować?

— To niestety jest dość łatwe — powiedział Collins, patrząc posepnie. -1 nie mówię tu o *osłabnięciu* Golfstromu, mówię o jego *zaniku*. By do tego doszło, wystarczy ocieplenie półkuli północnej o zaledwie około pięć procent. Ku czemu wielkimi krokami zmierzamy. — Założył na projektor inny wykres, same strzałki i wzory, nic a nic nie mówiące Johnowi. — Chciałbym naszkicować ten proces w ogólnym zarysie. Ogólne ocieplenie prowadzi, jak powszechnie wiadomo, do nasilonego topnienia lodowców polarnych. W tym kontekście myślimy zawsze tylko o podniesieniu poziomu morza i cieszymy się, że nie mieszkamy w mieście portowym. Ale dla nas, tu w Europie, wzrost poziomu wód morskich to najmniejszy problem. O wiele donioślejszy jest fakt, że w przypadku lodowców polarnych mamy do czynienia z wodą słodką. Słodka woda jest lżejsza od morskiej, dlatego rozprzestrzenia się po powierzchni mórz i łatwiej zamarza. Z początkiem zimy wytwarza się cienka warstwa paku lodowego, izolująca ciepłą wodę z tropików od arktycznego zimnego powietrza, które zatem nie może być nagrzane ani nawilżone, nim dotrze do Europy. Z drugiej strony woda tropikalna nie odparowuje, co zapobiega wzrostowi jej zasolenia, i zamiast opadać w głębiny, rozplywa się po prostu po rozległej powierzchni Morza Północnego. Podmorski wodospad zanika, a wraz z nim również ssanie napędzające Golfstrom.

— Naukowiec spojrział na małą grupkę słuchaczy. — Z roku na rok klimat w Europie upodobniać się będzie do klimatu południowej Alaski albo środkowej Syberii — będzie chłodny, suchy, z długo zamarzniętym gruntem. W Londynie nawet w lecie temperatura ledwie przekroczy punkt zamarzania. W Europie mieszka pół miliarda ludzi — dokąd mają iść, czym się wyżywić? Następstwem byłyby łańcuchowa reakcja politycznych, gospodarczych i społecznych procesów, oznaczających koniec cywilizacji takiej, jaką znamy.

John czuł, że wyschły mu usta i mógłby przysiąc, że zrobiło się chłodniej.

— A jak można temu zapobiec? — zapytał.

— Powstrzymując ocieplenie.

— A jak powstrzymać ocieplenie?

— Redukując emisję dwutlenku węgla.

— A jak...? — zaczął John, lecz w słowo wszedł mu McCain.

— Nie, John, to nie tak. Rusza pan dokładnie w złym kierunku. To jest liniowe rozwiązywanie problemów, które nie skutkuje w złożonych systemach. Jeśli straci pan z oczu system jako całość, podejmie pan decyzje, które wprawdzie rozwiążą jeden problem, ale za to stworzą tuzin nowych, a dwa tuziny istniejących jeszcze pogorszą.

— Spojrzał na profesora. — Czy tak? Mam rację?

Collins przytaknął.

— Więcej elektrowni atomowych na przykład wyraźnie zredukowałoby emisję dwutlenku węgla, ale znacznie wzrosłoby prawdopodobieństwo wypadku z dużym obszarem napromieniowania radioaktywnego. — Zrobił ręką nieokreślony gest. — Poza tym rozwój modelu wykazuje, że z biegiem czasu do katastrofy prowadzi coraz mniejszy wzrost inicjatorów. Jeśli

Golfstrom się utrzyma, wówczas, powiedzmy, za dziesięć lat, wystarczy duże trzęsienie ziemi w Tokio, by doprowadzić do upadku światową gospodarkę i w następstwie wywołać klęski głodu niespotykanej wielkości, podczas których dojdzie do dalszego ostatecznego zniszczenia systemu ekologicznego na skutek takich rozpaczliwych działań, jak nadmierne zarybienie, spalanie drewna i tak dalej. Niezależnie od tego wzrośnie podatność całej cywilizacji na epidemie, z jednej strony dlatego, że inicjatory mogą coraz łatwiej i szerzej rozprzestrzeniać się po nowoczesnych drogach transportu, z drugiej przez to, że systemy immunologiczne wciąż większej liczby ludzi z szeregu powodów są coraz mniej odporne. I tak dalej. Mógłbym przedstawić panom długą, przerażającą listę możliwych inicjatorów, byłoby to jednak mylące, gdyż ujmowałyby to właśnie tylko inicjatory. Właściwym materiałem wybuchowym są powolne procesy, wzrost zaludnienia, przybierające na sile uprzemysłowienie, zmiany klimatu i tak dalej.

Kiedy wyłączył projektor, ciemność spływała po ścianach jak czarna krew.

— Jaka część tego, co nam pan właśnie opowiedział — zapytał McCain — jest znana innym? Rządom, organizacjom w rodzaju ONZ i tak dalej.

— Trudno powiedzieć — odparł profesor Collins. — W tej chwili dziwnym trafem jest w Białym Domu człowiek, który zna się na tej problematyce — przynajmniej pozwala tak wnioskować książka, którą napisał wiceprezydent Al Gore. Myślę, że amerykański rząd posiada w zasadzie te same informacje, co my. Tak czy owak, w ich decyzjach większą rolę grają interesy narodowe, nie globalne.

John położył dłoń płasko na blacie stołu, bezsensowny gest, ale

zapraǳnął czegoś dotknąć, upewnić się, że to wszystko jest jawą, a nie snem.

— Na ile pewne jest to wszystko? — spytał cicho. Jego głos ginął w ciszy ciemnej sali, a przecieź równocześnie nie dało się go nie słyszeć. — Na ile można polegać na pańskim programie, profesorze?

— Pomijając podstawy, opierające się na autorytetach jak Forrester, Meadows i tak dalej, nasz model jest mocno wsparty pracami Akira Onishi, który obecnie opracował *Global Model FUGI*. FUGI to skrót od *Futures of Global Interdependence*, już w nazwie więc bez ogródek wymienia czynnik przyszłości. To dynamiczny model cybernetyczny, którego poszczególne części składowe zostały zaprojektowane przez doskonałych fachowców i skalibrowane na podstawie danych historycznych. Znaczy to, że nasze symulacje rozpoczynają się w roku 1900 i powinny dostarczyć danych zgadzających się z procesami obserwowanymi w rzeczywistości do dnia dzisiejszego. Ponieważ tak właśnie jest, zakładamy, że udało nam się dobrze zaobserwować systematyczne współzależności i że dzięki temu wyliczenia prognozowane na przyszłość są prawidłowe.

McCaine splótł dłonie.

— Czy ten model, o którym pan wspominał, ten FUGI, daje takie same wyniki jak pański?

— Nie. Profesor Onishi pracuje dla ONZ; próbuje opracować prognozę przyszłych ruchów migracyjnych i strumieni uchodźców. — Collins postukał palcem w folię, wciąż jeszcze leżącą na projektorze.

— Poza tym w kilku istotnych punktach dochodzimy do wniosków zasadniczo różnych od niego. W przeciwnym razie moglibyśmy przecieź po prostu przejąć jego model.

— Rozumiem — McCain odsunął krzesło. Wydało ciche szuranie, które przypomniało Johnowi pogrzeb jego dziadka. Kiedy grabarze nałożyli pokrywę trumny i ją przykręcali, brzmiało to dokładnie tak samo.

Nikt nic nie powiedział. Cisza zdawała się rozplýwać w ciemności. Czy zrobiło się gwałtownie zimniej, czy tylko to sobie wyobrażał?

— Byłoby — w końcu profesor Collins nerwowo przerwał ciszę — trzeba podjąć decyzję, jaki będzie następny krok. Czy opublikować wyniki analiz...

— Nie — natychmiast odpowiedział McCain. Wciągnął głośno powietrze, szurając dłońmi o podłokietniki. — Opublikowano już dość ponurych prognoz. To nic nie da. Nikt nie chce tego wiedzieć. Ja zresztą też nie. — Wstał gwałtownie, jakby wprost tryskał energią.

— Co chcę wiedzieć, to jak możemy temu zapobiec. To w tym ma nam pomóc pański model. Czy jutro jest pan jeszcze w Londynie?

— Tak — skinął głową profesor Collins — mam pokój w...

— Dobrze. Spotkamy się jutro rano. Proszę przynieść to wielkie tomisko, specyfikację systemu. Ustalimy wszystkie czynniki, na jakie możemy wywrzeć wpływ przez *Fontanelli Enterprises*, i to, jak wielki powinien być ten wpływ. — Stąpał w ciemności, pięć kroków, nawrót, pięć kroków w innym kierunku. — Prześledzi pan symulacje wszystkich możliwych kombinacji oddziaływań. Tak długo proszę to robić, dopóki nie będziemy dokładnie wiedzieli, jaka strategia pozwoli zapobiec katastrofie.

Profesor Collins głośno odetchnął.

— Jest dla pana jasne, że to będzie dość sporo przebiegów? Permutacje tego rodzaju szybko urastają do milionów i



miliardów...

McCaine zatrzymał się.

— I co z tego? Dostanie pan tak dużo i tak szybkich komputerów, ile pan będzie potrzebował. Kupię panu *Deep Blue*, jeśli się panu przyda. Cóż on robił innego, oprócz przeliczania miliardów możliwych kombinacji ruchów? I wygrał. — Oczy mu się iskrzyły. — Dokładnie tak zrobimy.

Pociąg minął most na Łabie, podpory tylko śmignęły za oknem. Roztoczył się widok na port. Słońce wspaniale świeciło, dźwigi portowe wyglądały jak stado prehistorycznych stworów, brodzących w połyskującym nurcie rzeki. Hamburg, tak, czemu nie? Ursula Valen chuchnęła na szybę i przyglądała się, jak zaparowana plama szybko znika. Gdyby rzeczywiście miała zdecydować się na wyprowadzkę z Lipska. Gdyby znalazła pracę, choć nawet nie była pewna, czy chce ją znaleźć. Po co tu przyjechała? Czy naprawdę chce robić Public Relations dla jakiegoś koncernu? Oczywiście, że nie. Prawda jest taka, że szuka jakiegoś wyjścia.

Z perspektywy czasu musiała uznać to za błąd, próbę uniknięcia nieuniknionego. Sklep elektryczny, który jej ojciec założył zaraz po zjednoczeniu Niemiec, jego wielka duma, funkcjonował dobrze, to prawda. Ale nie dość dobrze. Powinna była przynajmniej nalegać na przeprowadzkę do innego, tańszego lokalu, nim zaczęła swoimi własnymi pieniędzmi zapychać dziury, pojawiające się jedna po drugiej, i podpisywać poręczenia, które będzie musiała spłacać do końca życia. Już wtedy, kiedy tak absurdalnie wzrósł czynsz... Nic nie pomogła żadna ekspansja, ani nowi pracownicy, ani reklama na tramwajach. W końcu ojciec jednak musiał poddać się i cieszyć,

że dostał etat u jednego z dawnych klientów.

Taki zatem jest bilans dwóch lat ciężkiej pracy: wszystkie pieniądze znikły, miała ogromne długi, i zamiast doktoratu zdołała akurat w ostatnim momencie obronić magisterkę, z taką średnią ocen, że świadectwo nie było warte nawet papieru, na jakim je wydrukowano.

Największe rozgoryczenie budził w niej fakt, że ostateczny cios sklepowi rodziców zadały horrendalne koszty leczenia jej dziadka. Czemu właściwie ci wszyscy starzy naziści są tak cholernie długowieczni? Dziadek liczył osiemdziesiąt osiem wiosen, wciąż jeszcze rześki i krzepki, twardy jak stal — cała ta przekłeta śpiewka z Hitlerjugend. Podżegał zidiociałych staruszków przeciw kierownictwu domu opieki, tyranizował zagranicznych pielęgniarzy rasistowskimi powiedzonkami, i najwyraźniej świetnie bawił się tym, że niektórzy o ciemniejszej skórze stanowczo wzbraniali się mieć z nim cokolwiek do czynienia. Obrywali za to jej rodzice, jak zawsze. O ile to tylko możliwe, od zjednoczenia było z nim jeszcze trudniej wytrzymać niż przedtem. W czasach NRD przynajmniej raz po raz siedział w więzieniu.

— Powinniście mnie byli w porę otruć — taka była cała jego odpowiedź na zarzuty Ursuli, że znów, kolejny raz, zniszczył marzenie jej życia.

Choć Ursula Valen nie wierzyła w Boga, podejrzewała czasem, że on jednak istnieje i ociąga się z powołaniem dziadka do siebie tylko dlatego, że też nie chce mieć z nim do czynienia.

Otoczył ją dworzec, ogromna hala, podobna do Dworca Głównego w Lipsku tak bardzo, że przez chwilę zdawało jej się, że już wróciła. Wysiadła, dała się porwać strumieniowi innych podróżnych, próbując myśleć o czekającej ją rozmowie, jednak

przed oczyma ciągle miała rodziców. Starzy i zmęczeni, prości ludzie, chcieli po prostu tylko porządnie żyć, a ona była całym ich szczęściem, jedynym dzieckiem. Cokolwiek miałyby ją oddalić od Lipska, oznaczać to będzie, że zostaną sami.

Nieobecna duchem studiowała rozkład jazdy metra, próbując wyszukać właściwą linię. Niewiele zmieniło się w Hamburgu odkąd tu była ostatni raz. Minęły już dwa lata, prawie dokładnie. Wtedy to była dochodowa wizyta, mimo to odrzuciła wszystkie propozycje, jakie pojawiły się potem, nie wiedząc właściwie, dlaczego.

Trzy godziny później było po wszystkim. Powiedzieli jej, że do niej zadzwonią, jednak takim tonem, który nauczyła się już rozumieć. Wyszła przez wielkie, szklane drzwi obrotowe, zatrzymała się, zamknęła oczy i odetchnęła, jakby przez cały czas wstrzymywała powietrze. Ulga. I całe popołudnie do powrotnego pociągu.

— Hamburg? Powinna pani koniecznie zobaczyć *Paraplui Bleue* — powiedział jej ktoś, kiedy wspomniała o planowanej podróży.

Zapytała, co to jest *Paraplui Bleue*.

— Bistro w pobliżu Gęsiego Targu. Reklamuje się niebieskim parasolem, nie można go przeoczyć.

— I co w nim takiego szczególnego?

— Niech pani sama zobaczy — powiedział jej dziennikarz, dawniej reporter w *Sternie*, teraz duża szycha w *Leipziger Zeitung*.

Rzeczywiście, nie dało się przeoczyć. W cichej, bocznej uliczce na tyłach przeludnionych pasaży Gęsiego Targu lalka bez twarzy balansowała niebieskim parasolem na wyciągniętej ręce, wysokim na trzy metry i stale zamykającym się i otwierającym. Weszła, rozejrzała się. W środku było tłoczno, aromat tostów i

szynki, poczuła nagle, że jest głodna. Usiadła na stołku przy barze.

Mężczyzna za barem nalał dwa kufle piwa i postawił je na tacy kelnera, potem odwrócił się do niej. Jadłospis wypadł Ursuli z dłoni.

Był to Wilfried van Delft.

— Co pan tu robi? — spytała osłupiała.

Van Delft wyglądał na nie mniej zaskoczonego od niej. Podniósł trzymany w dłoni ręcznik i uśmiechnął się krzywo.

— Pracuję.

Rozejrzała się mimo woli, szukając wzrokiem półek zapchanych rękopisami, gazetami i książkami, szukała rysunków dzieci na tablicach korkowych, lecz znajdowała tylko parasole we wszystkich możliwych kolorach i kształtach, stojaki na parasole, oprawione w ramki zdjęcia deszczu w mieście.

— Ale...

Wzrok van Delft ta prześliznął się po niej. Jego rysy nagle stwardniały.

— Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do pani i nie opowiedzieć o tym — powiedział. — Że mnie wyrzucono.

## 29

Okolo drugiej bistro znacznie opustoszało i van Delft znalazł chwilę czasu, by usiąść z nią przy jednym ze stolików i porozmawiać.

— Ten lokal należy do mojego brata i jego żony. Zdziwiające, ile pieniędzy to przynosi; można by niemal dać się skusić — Opowiadał z przelotnym uśmiechem. Bardzo przelotnym uśmiechem. — Ale oczywiście to nie jest dokładnie to, co naprawdę chciałbym robić do emerytury.

Ursula Valen wciąż jeszcze nie była w stanie wykrztusić słowa. Kiedy wcześniej jadła sałatkę z pieczonym kurczakiem, obserwując, jak van Delft notuje, podaje, kasuje, wszystko z zaskakującą rutyną, przez jej głowę przemykały tysiące pytań. Teraz zostało tylko jedno:

— Dlaczego?

— Oficjalnie — powiedział van Delft — zwolnienia tego nie dało się uniknąć w procesie wewnętrznej restrukturyzacji. — Pozwolił, by po tych słowach nastąpiła przerwa, wyraźnie mająca dać do zrozumienia, że nie jest to cała historia, a już na pewno nie jest prawdziwa. — Jednego wyrzucili, bo zabrał do domu garść długopisów, podarunków reklamowych po trzydzieści fenigów sztuka, dla swoich dzieci. Nieuczciwość. Szpiegowali go regularnie, nim nie znaleźli czegoś, co mogliby mu zarzucić. Chcę powiedzieć, że mogło to się i mnie przydarzyć. Z tego punktu widzenia miałem prawdziwe szczęście.

— Ale kto wpadł na idiotyczny pomysł, żeby kogoś takiego jak pan, z wieloletnim doświadczeniem...

— Mógłbym teraz zacytować Hamleta, ale dam temu spokój. Metoda jest przeraźliwie prosta. Wie pani chyba, że Gruner i Jahr

należą teraz, jak wkrótce pewnie połowa planety, do koncernu wykupionego przez pani sympatycznego, chroniącego środowisko, młodego bilionowego dziedzica? Cóż, byłem tak zarozumiały, by mniemać, że mogę przeciwstawić się obowiązującej od tego czasu cenzurze.

— Cenzurze?

— Oczywiście nikt nie dzwoni z Londynu i nie mówi, to możecie zamieścić, a tego nie. Tak prostacko mogliby postąpić może Goebbels albo Randolph Hearst, ale dziś? Nie, kiedy dziś chce się coś przemilczeć, miejsce w mediach zapełnia się po prostu czymś innym, najchętniej gadaniną bez znaczenia o prominentach bez znaczenia, i usprawiedliwia się to twierdzeniem, że właśnie o tym chcą czytać ludzie. I że trzeba pisać o tym, co chcą czytać ludzie, w przeciwnym razie traci się udziały w rynku i procenty, a wtedy spada liczba reklam i ginie się w bezlitosnej walce konkurencji, to przecież jasne, prawda? I już nikt się nie dowie, że w Afryce w ogóle toczy się jakaś wojna, ani że gdzieś jest klęska głodu albo doszło do politycznego konfliktu. — Przesunął szklankę po marmurowym blacie stolika. — Wszyscy wiedzą, jakie tematy zdaniem tych na samej górze zapewniają udziały w rynku i reklamodawców, a jakie nie. A kiedy kogoś się zwalnia, zawsze znajdzie się dobry neutralny powód, nieunikniona konieczność, uchybienie, cokolwiek. Ale każdy wie, że w rzeczywistości zwalnia się tych, co nie spodobają się panom w Londynie.

Ursula przyglądała się mężczyźnie o rudoblond włosach. Van Delft trochę przytył, odkąd widziała go po raz ostatni, i nie wyglądał już tak zdrowo jak wcześniej. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć. I nie chciała uwierzyć, że może być tak, jak on opowiada.

Van Delft spojrzał na nią badawczo.

— Brzmi to dla pani jak paranoja? Jak marne usprawiedliwienie nieudacznika?

Wzruszyła ramionami.

— Co takiego pan zrobił?

— Przepchnąłem reportaż o katastrofalnych warunkach w pewnej bułgarskiej fabryce chemicznej, należącej do grupy Fontanelli. Szkaradny kontrast do pełnych uwielbienia hymnów, wielbiących zwykle jego akcje na rzecz ochrony środowiska i koncepcje recyklingu. Rzecz ukazała się, cztery strony, siedem kolorowych zdjęć, tydzień później zaczęto mówić o restrukturyzacji, a z końcem miesiąca byłem już out. Z odprawą, rzecz jasna. Ale w moim wieku takie coś to koniec.

— Ale to przecież śmierdzi na odległość!

— Oczywiście. *I powinno* śmierdzieć. Jak pani myśli, jacy teraz ostrożni są inni, ze swoimi dziećmi na studiach i nie spleconymi hipotekami? To terror w każdym calu, jak w definicji, co do słowa. Terror, opakowany w jedwabne kłamstwa o nieuniknionej kolei rzeczy i presji udziału rynku. — Van Delft przyjrzał się szklance z wodą mineralną, podniósł ją zdecydowanym ruchem do ust i wychylił zawartość. — Dość narzekania. A co u pani? Co sprowadza panią do Hamburga? Jak tam studia?

Krótko i bez zaangażowania opowiedziała mu, co było do opowiedzenia.

Teraz była jego kolej na przerażone spojrzenie.

— Na miłość boską, Ursula! Chciała pani przecież robić doktorat? Opracować archiwum rodziny Vacchich i napisać od nowa historię gospodarki ostatnich pięciuset lat?

— Tak. — Odgarnęła włosy z czoła, odrzuciła je na kark i

przytrzymała tam. Daremnie, i tak nie miała spinki. — Dziecinne marzenia. Zamiast tego pisałam oferty i prowadziłam księgowość. Mogę opowiedzieć panu wszystko o kablach Ethernetowych, jeśli pan chce.

Spojrzał naprawdę zatroskany.

— To było przecież pani marzenie. Pani wizja... Mówiła pani, że archiwum we Florencji to dar niebios...

Ursula Valen przyglądała się krawędzi szklanki i odbijającym w niej oknom bistra.

— Dar niebios... Tak, wtedy tak mi się zdawało. — Cristoforo Vacchi przez jakiś czas dzwonił do niej, dowiadywał się, co u niej słychać. Nigdy nie próbował jej do niczego przymuszać. Po prostu kiedyś przestał dzwonić.

— A dziś? To się przecież skończyło? Co powstrzymuje panią, żeby właśnie teraz zrobić doktorat?

— Długi, na przykład. Muszę zarabiać. Poza tym, kim jestem? Tylko jedną z niezliczonych kobiet, które zrobiły dyplom i do niczego go nie użyły.

— Jest pani kobietą, której Vacchi udostępnili swoje archiwum.

— Chciałabym wiedzieć, dlaczego. — Zagapiła się w pustkę, przypomniała sobie tamte czasy, wąskie regały pełne ksiąg rachunkowych, zapach kurzu i skóry, testament pod szkłem... Pokręciła głową. — Nie. Ten rozdział jest zamknięty.

Zdawało się, że Van Delft chce się jeszcze sprzeciwić, ale spojrzał tylko zamyślony i powiedział:

— Pani wie najlepiej.

Przez chwilę przyglądali się przechodniom na ulicy, potem Ursula Valen spytała cicho, nie patrząc na van Delfta:

— Czy on naprawdę stał się tak potężny? To znaczy, Fontanelli.

— Tak mówią. Nie orientuję się za dobrze w świecie finansów,



ale od czasu do czasu spotykam Jo Jennera z redakcji ekonomicznej — może przypomina go pani sobie jeszcze, zawsze bardzo starannie ubrany, w okularach stylizowanych na lata pięćdziesiąte...

— Tak. Zdaje mi się, że wiem, o kim pan mówi. Zawsze trochę blady.

— Robi się zawsze jeszcze bledszy za każdym razem, gdy wspomnieć o Fontanellim. Mówi, że w ogóle trudno sobie wyobrazić, jaki z niego powstał gigant. Twierdzi, że bilion dolarów od początku był jak kupa materiału wybuchowego, zdolna wysadzić w powietrze wieżowiec. Ale Fontanelli podzielił materiał wybuchowy na małe paczuszki, rozmieścił w strategicznie ważnych punktach, starannie okablował i połączył. Teraz może jednym naciśnięciem guzika wysadzić cały świat, mówiąc obrazowo.

— Musimy wreszcie coś zrobić — powiedział John, odsuwając od siebie tacę. Pierś z indyka z rusztu, z sałatą, ale zdołał zjeść zaledwie kęs. Teraz ktoś sprzątnie i umyje talerz, detergenty wiążące tłuszcz wyleją się do ścieków. Wszystko razem wyląduje w najbliższej oczyszczalni, co się dzieje dalej, John nie był pewien. Jednak od czasu rozmowy z profesorem Collinsem w sali konferencyjnej stracił apetyt.

— W zasadzie ma pan rację — przeżuwając kiwnął głową McCain. — Ale najpierw musimy wiedzieć, co.

Collins odjechał z gigantycznych rozmiarów planem pracy w bagażu i z przyobiecana sumą pieniędzy wystarczającą na dziesięciokrotne zwiększenie liczby komputerów zajętych dzień i noc przeliczaniem miliardów symulacji. Choć wszystkie miały pracować całą mocą, pierwszych rezultatów należało oczekiwać

najwcześniej za trzy miesiące, pierwszej strategii, wskazówek co do działania.

John źle spał od tamtego wieczora, również w ciągu dnia nie opuszczało go powracające poczucie melancholii. Ledwie mógł zmusić się do czytania gazet, a w niektóre wieczory kusiło go, by po prostu się upić.

— Od dwóch lat — powiedział gniotąc palce — nie robimy nic innego, tylko skupujemy firmy. Ale wszystko, co dotąd osiągnęliśmy, to kilka ton formularzy wydrukowanych na papierze z makulatury zamiast na normalnym. Ale przecież nie o to chodzi, prawda?

McCaine przytaknął.

— Zgadza się. Nie o to chodzi.

— Przyszłość ludzkości. O to chodzi, czyż nie? Ale jeśli posłuchać profesora, to już jest za późno. Nie ma przyszłości. Zatem to tylko kwestia czasu, nim nastąpi koniec. A do katastrofy dojdzie tak czy inaczej.

— Jeśli nic się nie wydarzy.

— Ale co ma się wydarzyć?

— To właśnie ma dla nas wyliczyć.

— A potem? Czy zdołamy tego dokonać? Czy mamy dostateczną władzę? Czy w ogóle mamy władzę? Czy naprawdę możemy coś zdziałać? Proszę mi powiedzieć.

McCaine przytrzymał przed sobą widelec i przypatrywał się jego zębom, jakby pierwszy raz w życiu zastanawiał się, do czego służą.

— Mamy władzę — powiedział cicho. — Oczywiście, że mamy władzę.

— Ale jakiego rodzaju? Czy jeśli zechcemy, to zaczną maszerować armie? Czy możemy kazać więzić ludzi? Możemy

zwolnić ich z pracy, to wszystko.

— Nie chce pan maszerujących armii.

— Chcę tylko wiedzieć, jakiego rodzaju wpływy w ogóle mamy.

— Rozumiem. — McCainie znów zajął się swoim talerzem, odciął kawałek pieczeni, wsunął go między zęby, zmiażdżył szczękami. — Rozumiem — powiedział jeszcze raz. — No dobrze. Nie zaszkodzi pokazać pazurów. Przećwiczymy to.

— Cały obszar azjatycki boryka się z problemem przeludnienia — wyjaśnił McCainie, stojąc przed wielką mapą świata, zdobiącą jedną ze ścian jego biura. — Chiny starają się temu przeciwdziałać, nawet zadziwiająco skutecznie, Indie próbują coś zrobić, choć dotąd bez widocznych sukcesów. Całkowicie beznadziejnie mają się sprawy na Filipinach. Rządzi tam jeszcze kościół rzymskokatolicki, praktycznie każda metoda antykoncepcyjna jest zakazana jako grzech, filipiński *machismo* wymaga od mężczyzn, by spłodzili jak najwięcej synów, więc ludzie mnożą się tam w przerażającym tempie. — Postukał palcem w wysepki rozsypane po oceanie. — Tu zaczniemy.

John skrzyżował ramiona.

— Zakładam, że jako największy na świecie producent prezerwatyw i tabletek antykoncepcyjnych rozpoczniemy wielką kampanię reklamową.

— Zbyt drogie, zbyt pracochłonne, zbyt wolne, zbyt nieskuteczne. Proszę sobie przypomnieć, co opowiadałem panu o Międzynarodowym Funduszu Walutowym. To dźwignia. Wywrzemy finansowy nacisk na cały obszar — Tajlandię, Malezję, Indonezję, Filipiny i tak dalej — skumulowany spektakularny atak na ich waluty. MFW będzie musiał zareagować, zapewnić pomoc finansową, a jednym z warunków będzie znaczne ograniczenie liczby urodzin.

— Na pewno?

— Pan sam poleci do Waszyngtonu i przedstawi to dyrektorowi MFW jako nasz warunek zakończenia ataków finansowych. — McCainie uśmiechnął się złowieszczo. — Camdessus sam ma szóstkę dzieci. Jestem w stanie wyobrazić sobie, że niewysoko ceni kontrolę urodzin. Będziemy musieli to potężnie poprzeć.

John wpatrywał się w mapę świata i próbował przełykać ślinę tak, żeby McCainie tego nie zauważył. On sam...? Więc to byłby jakiś początek.

— A — spytał suchymi wargami — jakiego rodzaju będą te ataki finansowe?

— Niemal wszystkie waluty w tym obszarze są uzależnione od kursu dolara i dlatego mają zawyżoną wartość, odkąd dolar się umocnił. To zmniejsza szanse eksportu, ale rządy i firmy mają duże kredyty w dolarach amerykańskich, których po dewaluacji oczywiście nie byłoby już w stanie spłacić, dlatego się przed nią bronią. By się przed tym zabezpieczyć, zaczynają już wymieniać rodzimą walutę na dolary. My zrobimy tak: z rozmachem będziemy podpisywać kontrakty terminowe, dolary za waluty narodowe, z terminami i realizacji od jednego do dwóch miesięcy. — Wziął w dłoń cienkie, zszyte na grzbiecie memorandum, oznaczone w rogu logo *Fontanelli* i przekreślone czerwoną kreską, oznaczającą sprawę tajną tylko do wiadomości szefów. — Nasi analitycy już wszystko przeliczyli. Musimy tylko takimi kontraktami przekroczyć pewną krytyczną wartość, wtedy banki centralne będą zmuszone uniezależnić walutę narodową od dolara, kurs wymiany spadnie, a my podczas spadku będziemy mogli każdą z walut kupić taniej, niż ją sprzedaliśmy, j George Soros wypróbował raz podobny manewr na brytyjskim funcie i przy okazji prawie wysadził z torów

europijski system walutowy. Pewny interes, który oprócz otwartych uszu MFW przyniesie nam też sute zyski.

John wziął memorandum, przekartkował je, przyjrzał się diagramom i wyliczeniom. Zastanowił się przelotnie, kiedy McCainie je zlecił. Czy dział analiz stale produkuje takie monetarne plany wojny? Prawdopodobnie.

— A jeśli MFW nie zechce słuchać?

— Zechce. *Musi* zadziałać, zabezpieczyć kredyty, przynajmniej te, których wysokość wyraża się w dwucyfrowej liczbie miliardów. Wszystko to w wiadomościach nazwane zostanie „Program pomocy” albo „Natychmiastowa pomoc”, ale po dokładnym przyjrzeniu się widać, że wszystkie te miliardy są tylko po to, by popłynęły do naszych kas. I do kas tych, którzy wskoczą do pociągu w biegu. MFW musi nas słuchać, inaczej wyssiemy go do cna, po prostu.

Nie do wiary. John nagle znów poczuł to łaskotanie na karku uczucie wiwatującego tryumfu. A więc rzeczywiście jest tak, że mają władzę. Że pieniądze są największą potęgą na Ziemi.

Na obrazie zwycięstwa była tylko jeszcze jedna obrzydliwa plama.

— Ale jeśli to się powiedzie, to tylko dlatego, że te kraje są w kłopotach finansowych, prawda? Jesteśmy od tego uzależnieni?

— Nie. — McCainie pokręcił głową. — Jeśli zgodzimy się stracić kilka miliardów dolarów, możemy to samo zrobić z prawie każdym państwem na Ziemi, obojętne, jak dobre są jego finanse.

Obrzydliwa plama znikła. John przeczytał ostatnią stronę planu, przestudiował zestawienie liczb. *Wszystkie dane w miliardach dolarów*, napisano nad liczbami. Wielkimi liczbami.

— Jest pan pewien, że naszych środków na to wystarczy? — zapytał.

McCaine wyjął mu z dłoni zeszyt z bezwstydnym grymasem i poczłapał z powrotem do swojego biurka.

— Nikt nie mówi, że to wszystko muszą być nasze środki. Nie, my tylko damy sygnał do startu. Lecę później do Zurychu, na rozmowę ze zrzeszeniem banków. Ci nobliwi panowie są niezwykle chętni i gotowi inwestować, zgodnie z naszymi intencjami, wielkie kwoty. Bardzo wielkie. Jeśli teraz zachęcę ich jeszcze, by pozwolili nam to wyreżyserować, jutro możemy ruszyć do tańca. A ja ich zachęcę, bez obaw.

John poszedł za nim mając przy tym uczucie, że jest coraz lżejszy i lżejszy, że za chwilę uniesie się i poszybuje przez pokój.

— To brzmi nieźle.

— Czy to po pańskiej myśli?

— Absolutnie.

— To proszę powiedzieć „Start!”, i to się stanie.

John spojrział na McCaina, przyjrzał się ciemnym, wyczekującym oczom, w których migotała niestrudzona energia, gotowa ruszyć w świat i działać po myśli prorocstwa. Nabrał powietrza, próbując wyczuć, czy nadszedł już właściwy moment — gdyby to był film, rozbrzmiałaby dramatyczna muzyka, ale to nie był film, to była rzeczywistość — i powiedział:

— Start.

McCaine skinął głową, przycisnął guzik w interkombie i zażądał:

— Proszę uzgodnić termin w Zurychu. Dziś wieczorem. I proszę powiedzieć pilotowi. — Puścił guzik i uśmiechnął się. — Zaczyna się.

Powstała osobliwa pauza, podczas której nikt nic nie mówił.

— Hm — mruknął John. — Czy to już wszystko?

McCaine przytaknął.

— Tak.

— Dobrze. W takim razie, hm, życzę powodzenia i...

— Dziękuję. Proszę się nie martwić.

— Wszystko jasne. — John odwrócił się zakłopotany, czuł się niezręcznie, ale McCaine wyglądał tak, jakby tylko czekał na to, żeby znów być sam. Żeby jeszcze raz przejrzeć akta i tak dalej. Przygotować się. — Zobaczymy się jutro?

— Tak, tak myślę.

— Cóż, zatem dobrego lotu.

— Dziękuję. Ach... — McCainowi przypomniało się coś jeszcze, gdy John już stał w otwartych drzwiach. — Jest jeszcze jedna rzecz. Musielibyśmy ją pilnie uregulować.

John odwrócił się.

— Mianowicie?

— Od dawna już chciałem pomówić z panem o tym, ale sam pan widzi, cały czas problemy...

John powoli wrócił do biurka. McCaine oparł się, skrzyżował ramiona na piersiach, potarł dłonią nos.

— Tak, słucham? — zapytał. Musiał coś przeoczyć, nie miał pojęcia, co ma na myśli McCaine.

McCaine spojrzał na niego przenikliwie.

— Ludzie ze zrzeszenia banków zadali mi ostatnim razem pytanie, które już od dawna powinniśmy byli postawić sobie sami.

— Mianowicie?

— Co stanie się z *Fontanelli Enterprises* — zapytał — kiedy pan umrze?

John spojrzał na potężnego mężczyznę za masywnym biurkiem i miał uczucie, że nagle stanął obok siebie. Jakby to, co się tu dzieje, nie było realne.

— Umrę? — usłyszał, jak mówi. — Dlaczego miałbym umrzeć?

— To bankierzy, John. Bankierzy chcą zabezpieczeń.

— Wypełniam prorocstwo. Boską wolę. Nie pozwoli mi umrzeć, nim skończę.

— Obawiam się — uniósł brwi McCain — że bankierzy z Zurychu nie są tak bogobojni, żeby pojąć logikę tego argumentu. — Machnął gwałtownie ręką, jakby odganiał natrętną muchę. — Musi pan ich zrozumieć, John. Jeśli inwestują zgodnie z naszym zamysłem, chcą mieć pewność, że plan zostanie przeprowadzony do końca. Nie chcą, żeby w przypadku pańskiej śmierci odziedziczyli wszystko pańscy rodzice i na przykład podarowali Czerwonemu Krzyżowi, rozumie pan? Ja pojmuję ten tok myślenia. I obojętne, czy troska tych ludzi jest uprawniona, czy nie, martwią się, i dlatego ta ich troska jest naszym problemem — czymś, co staje na drodze naszym planom.

John zagryzł dolną wargę.

— A co pan proponuje? — zapytał.

— Długoterminowe rozwiązanie może wyglądać tylko tak, że poszuka pan sobie żony i będzie miał dzieci. Wtedy będziemy mogli argumentować, że są dziedzice, którzy oczywiście zostaną świetnie wychowani i wykształceni w najlepszych szkołach i kiedyś będą mogli wysunąć się na czoło koncernu. — McCain uniósł dłonie, przytrzymał je rozstawione szeroko, jak wędkarz opowiadający o swej największej zdobyczy. — Jak powiedziałem, to jest rozwiązanie długoterminowe. Trzeba na nie kilku lat. Podczas rozmowy z bankierami dziś wieczorem powinienem jednak móc im już coś przedstawić.

John nadal miał wrażenie, że śni.

— Ale przecież dotąd nikt nie pytał o nic takiego.

— Do tej pory mieliśmy do czynienia tylko z małymi graczami. Teraz to są bankierzy, John — ludzie, którzy razem zarządzają



większą ilością pieniędzy, niż pan posiada. Nawet, gdybyśmy sprzedali cały koncern, nie miałby pan tyle kapitału, ile ci ludzie są gotowi dać do naszej dyspozycji. Pieniądze innych ludzi, John. Tłumaczyłem przecież panu, że to klucz do sukcesu.

John skinął głową.

— Tak, pamiętam — ale nie mam pojęcia, skąd mam dziś po południu wziąć żonę i dzieci — powiedział, czując, że nie opuszcza go obawa, iż McCainie mógł już przygotować coś takiego, błyskawiczne małżeństwo i adopcję dziecka na przykład.

McCaine pokręcił głową.

— Nie potrzebuje pan żony i dziecka, potrzebuje pan spadkobiercy. A zdobyć może go pan łatwo i szybko. — Wyjął z szuflady kartkę papieru, sięgnął po długopis i podsunął obie te rzeczy Johnowi. — Proszę spisać testament i wyznaczyć mnie na spadkobiercę.

— Pana?

— Stop — uciął McCainie i ostrzegawczo uniósł dłoń. — Proszę mnie źle nie zrozumieć. Chodzi tylko o to, żebym mógł coś pokazać ludziom ze zrzeczenia banków. A ponieważ mnie znają, będzie dla nich najbardziej przekonujące, jeśli ja będę wymieniony jako dziedzic.

John wpatrywał się w białą kartkę, w długopis.

— Czy to teraz — spytał powoli — to znowu jakiś test? Lekcja, jak się obchodzić z władzą?

— Dobre pytanie. Odpowiedź brzmi — nie. Nie musi pan niczego robić. Mogę spróbować przekonać bankierów inaczej. Choć nie wiem, jak. — McCainie ułożył dłonie na stole przed sobą, otwarte ku górze, i spojrzał na niego poważnie. — To by nam bardzo pomogło.

John spojrzał na niego, czuł się brudny, nędzny, bezradny.

Przez chwilę podejrzewał McCaina, że ten chce go zaraz zamordować, teraz prawie wstydził się tej myśli. Prawie.

Usiadł, przysunął do siebie kartkę, wziął długopis i odkręcił obsadkę.

— To tylko, jak to się mówi, *pro forma*?

— Tak.

— Co mam napisać?

— Podyktuję panu. Najpierw nagłówek. *Moja ostatnia wola*.

John przyłożył długopis, zatrzymał się.

— Nie byłoby lepiej napisać tego na maszynie?

— Przeciwnie, wtedy byłoby nieważne. Testamenty muszą być pisane odręcznie.

— Ale ja mam okropne pismo.

— Nie o to chodzi. Chodzi o to, że to pańskie odręczne pismo.

— Skoro pan tak mówi. — John znów przyłożył długopis, znów się zatrzymał. — A co z moimi rodzicami? Czy mogę napisać, że ma pan ich wspierać do końca życia?

McCaine westchnął.

— Nie zależy mi. Tak, proszę to wpisać. I proszę również wymienić swoich braci. Ale proszę się za bardzo nie przejmować. To ma być tylko papier, który będę mógł pokazać na posiedzeniach jak dziś wieczorem, nic ponadto. Skoro tylko przyjdzie na świat pańskie pierwsze dziecko, spíše pan testament na jego rzecz, i wtedy wszystko zostanie ostatecznie uporządkowane.

— Hm — mruknął John. Mimo wszystko to mu się nie podobało. Wcale mu się nie podobało. Palce ściskające długopis, pobielały na końcach, tak mocno je ścisnął. Czy to dlatego, że zawsze możliwie daleko odsuwał od siebie myśl o śmierci i że szokiem było dla niego, że musi zajmować się tym bezpośrednio? Swoją

śmiercią, śmiercią przyszłości, śmiercią ludzkości... Jak wdepnął w to wszystko? Gdzie podziały się tamte beztroskie dni, kiedy nie marnował nawet jednej myśli ani na przyszłość, ani na przeszłość? Całym sobą chciał poderwać się i uciec, nie myśleć o śmierci, o epoce lodowcowej, dziurach ozonowych, zarazach, wojnach.

— Niech pan pisze — powiedział McCain.

I John napisał. Ja, John Salvatore Fontanelli, będąc w pełni duchowych sił postanawiam co następuje w mojej ostatniej woli...

— Dziękuję — powiedział McCain, kiedy John podpisał i podsunął mu kartkę.

W maju i czerwcu rynkami finansowymi wstrząsnęły spektakularne ataki na tajlandzką walutę baht. Tajlandia i Singapur wspólnie próbowały wspierać bahta, jednak z początkiem lipca rząd musiał się poddać i uniezależnić bahta od dolara amerykańskiego.

8 lipca 1997 Bank Centralny Malezji interweniował w obronie narodowej waluty ringgit, która znalazła się pod ogromnym naciskiem, lecz mimo, iż sprzedaż dewiz USA zdawała się początkowo pomagać, dwa tygodnie później Malezja również musiała skapitulować, a krótko po niej Indonezja. Kursy akcji na giełdach w Bangkoku, Kuala Lumpur, Dżakarcie i nawet w Hongkongu i Seulu w błyskawicznym tempie poleciały w dół.

II sierpnia Międzynarodowy Fundusz Walutowy ogłosił w Tokio program pomocy dla Tajlandii, kredyt w wysokości w sumie szesnastu miliardów dolarów, udzielony częściowo przez MFW, a częściowo przez sąsiadujące kraje.

— Co z Filipinami? — spytał John.

— Od dawna są pod kuratelą MFW — powiedział McCaine. — Załatwimy cały region za jednym zamachem.

W tamtych tygodniach we wszystkich dużych czasopismach na świecie ukazały się całostronicowe, kolorowe ogłoszenia, w których nowo powstała fundacja, *Fontanelli Foundation*, zapowiadała przyznawaną w przyszłości dorocznie i dotowaną sumą dziesięciu milionów dolarów nagrodę *Gea-Prize*, dla zaangażowanych w ochronę środowiska i zorientowanych na przyszłość projektów podejmowanych przez firmy. W towarzyszącym tekście jako członków jury wymieniano znanych naukowców z pięciu kontynentów. Postać bogini Gei, „Matki Ziemi”, uosabiała w ogłoszeniach sławna fotomodelka Patricia deBeers, o której wiadano, że wygrała więcej konkursów piękności niż jakakolwiek inna kobieta w historii; ze stosownym do tego erotyzmem przedstawiała ona mityczną postać.

Druga część ogłoszenia pokazywała, jak John „bilionowy dziedzic” Fontanelli powierza nagrodę w pieczę bogini Gei. Jay Leno był pierwszym, który w swoim Late-Night-Show pokazując ogłoszenie z komentarzem „Piękna i Bestia!”, wzbudził śmiech i zebrał oklaski.

Komentarz rozpowszechnił się w różnych odmianach, motyw ogłoszenia parodiowano w skeczach i komiksach, i McCaine zaczął martwić się o obraz Johna Fontanellego w powszechnej świadomości.

We wszystkich krajach uprzemysłowionych zlecono instytutom badania rynku sprawdzenie, co ludzie sądzą o Johnie Fontanellim. Ankiety wykazały, że dowcipy wzmożły zainteresowanie zaangażowaniem Johna w ochronę środowiska. Zaczepiony na ulicy mężczyzna uważał Johna Fontanellego za człowieka, który szczerze troszczy się o przyszłość planety i który

jest dostatecznie bogaty i potężny, by swoją troskę obracać w czyn.

— Wspaniale — powiedział Malcolm McCaine i kazał po akcji ogłoszeniowej rozpocząć plakatowanie.

Ursula Valen zobaczyła plakat z Geą w połowie lipca od razu w dużej ilości — oblepiony był nimi długi płot placu budowy wzdłuż drogi, którą wracała do domu z wizyty u rodziców. Wzbudziło to w niej niejasną irytację, wspomnienie, jak została potraktowana z góry i raczej arogancko. Potem tuż przed nią porsche zmienił pas, nie dając wcześniej znaku migaczem, co zmusiło ją do gwałtownego hamowania. Rozwścieczona nacisnęła kilkakrotnie klakson i krzyknęła na odjeżdżający wóz, zapominając o plakacie.

W domu stwierdziła, że roznosiciel gazet, nie dość, że jak zwykle przyniósł gazetę za późno, to znów włożył ją do skrzynki tak niedbale, że wypadła i leżała teraz na ziemi kompletnie wygnieciona. Wszystko jedno, bo i tak wiedziała już, co wydarzyło się w ciągu dnia. Zgarnęła zakurzone kartki i zaniósła je do kosza na śmieci. Na jednej ze stron znów zobaczyła zdjęcie z Geą. John Fontanelli, zgrywający się na obrońcę środowiska.

— To też już nie uratuje świata — mruknęła, upychając wszystko w śmietniku.

Ale teraz nie mogła już pozbyć się myśli o nim.

Weszła po schodach do swojego małego mieszkania na poddaszu. Otworzyła okna połaciowe, robiąc przeciąg, rzuciła torbę w kąt i nastawiła wodę. Wzięła z regału filizankę i wysypała do niej łyżeczkę kawy rozpuszczalnej. Włożyła płytę do odtwarzacza. Stała zamyślona przy kuchence i czekała, aż zagotuje się woda.

Dopiero po chwili zauważyła, że czajnik gwizdże. Zalała kawę. Ułożyła na talerzu kilka ciastek i jabłko.

Podeszła do regału przy biurku, pogrzebała w teczkach na najniższej półce, aż znalazła to, czego szukała. Wszystko jeszcze tu było. Zapomniała o swoich łupach z podróży do Florencji i pogrzebała je w myślach, przez wszystkie te miesiące ani razu nie pomyślała o tym, że wszystko to jak przedtem leży tutaj, oprawione w tecki i zapakowane, nie oddalone od jej życia nawet o metr.

Rozwiązała paczkę. John Salvatore Fontanelli. To od dawna był temat redakcji gospodarczych, a nie temat, w którym o zdanie pytano by studentkę historii. Ale to nie znaczy, że wyjaśniono już wszystkie pytania dotyczące przeszłości.

Na przykład to. Przyglądała się fotokopiom, jakie zrobiła księgom rachunkowym Giacomo Fontanellego i Michelangelo Vacchiego. Księgi Vacchich były prowadzone wzorowo. Każda strona zapisana tak czysto, że nawet wydrukowana nie mogłaby wyglądać lepiej. Księgi rachunkowe Fontanellego za to stanowiły dziką plataninę zapisów kwot we florenach, cekinach, talarach, groszach i fenigach, częściowo niemal nieczytelnych. Przekreślono całe fragmenty, opatrzone uwagami, na marginesach gdzieś prowadzono pomocnicze obliczenia, co do których nie było jasne, czy, a jeśli tak, to co mają wspólnego z właściwymi zapiskami. Temu kupcowi nawet najbardziej wielkoduszny kontroler gospodarczy skrzyłby kark.

Przez zadziwienie niechlujstwem Giacomo Fontanellego w prowadzeniu ksiąg niemal umknęłaby jej uwagi rzecz najdziwniejsza.

Księgi Vacchich rozpoczynały się pierwszego lutego 1525 stanem konta w wysokości trzystu florenów opatrzonym uwagą,

że sumę ową powierzył im Giacomo Fontanelli. Jeden floren, *fiorine d'oro*, zrobiony był z trzech i pół grama złota. Licząc według aktualnej ceny złota na giełdzie londyńskiej trzysta florenów odpowiada więc dziesięciu tysiącom dolarów amerykańskich — dziś niewiele, wtedy jednak dość zasobny majątek.

Księgi Giacomo Fontanellego zamykały się piątego stycznia 1525 roku kilkoma stanami kont w różnych walutach, które po przeliczeniu i zsumowaniu dawały rzeczywiście około trzysta florenów, lecz nie były naprawdę podzielone według walut: kilka sum było w cekinach, szereg kwot we florenach, i tak dalej. Za każdą liczbą zaś napisano, trudne do odcyfrowania, nazwisko. Wtedy przelotnie zastanowiła się, co to może znaczyć, jednak nie poszła za tą myślą.

Teraz zrodziło się w niej podejrzenie, tak nieprawdopodobne, że po prostu zapało jej dech.

Przekartkowała z powrotem, przebiegła wzrokiem kolumny, przyniosła kalkulator i notatnik, spróbowała odtworzyć rachunki. Czy to może być prawda? Przede wszystkim, czy to może być prawda, że po pięciuset latach jej pierwszej przyszła do głowy ta myśl?

Kwoty, którymi zamykały się księgi Giacomo Fontanellego, nie oznaczały majątku, ale długi, zaś nazwiska za liczbami były nazwiskami tych, którym był winien wymienione sumy. W roku 1525 florencki kupiec zbankrutował.

## 30

Na początku sierpnia strajkujący w HUGEMOVER skapitulowali. Wytrzymali przed bramami całe miesiące, rozwieszali transparenty i rozdawali ulotki, podczas gdy w halach produkcja szła dalej, ba, nawet wzrosła. W końcu ogłosili zakończenie strajku i podporządkowali się warunkom pracy, zaostrzonym tymczasem jeszcze bardziej, oświadczyli, że zgadzają się na zmniejszenie pensji i że w razie potrzeby są gotowi pracować do dwunastu godzin dziennie, również w weekendy, bez dodatków.

— Czuję się zdradzony — powiedział w telewizji tokarz, od 27 lat pracujący dla HUGEMOVER. — Czuję się tak, jakby moja firma wypowiedziała mi wojnę.

John czuł ucisk w dole brzucha, widząc tego mężczyznę wypowiadającego się na ekranie. Spojrzał na McCaina.

— Czy to naprawdę było konieczne, taka surowość? Tylko po to, żeby zwiększyć zyski o te marne kilka procent?

McCaine obrzucił go taksującym spojrzeniem.

— Po pierwsze procenty nigdy nie są tak nieważne, żeby wolno było powiedzieć „te marne kilka procent”. Pan powinien o tym wiedzieć, skoro zawdzięcza pan swój majątek nędznej, ledwie czteroprocentowej średniej stopie procentowej. Po drugie — powiedział, wysuwając kapryśnie dolną szczękę — nie zabraliśmy się do pracy po to, żeby dać ludziom bogactwo i szczęście. Ten człowiek — wskazał głową ekran — ma o wiele więcej jedzenia, niż potrzebuje, do tego dach nad głową, coś, czego miliony ludzi na tej planecie nigdy nie będą miały. Jesteśmy tu po to, żeby uratować przyszłość ludzkości, i będzie to, o ile w ogóle dojdziemy do celu, wyboista droga. Ludzie będą



musieli rezygnować, a w konsekwencji staną się ulegli. A niektórzy muszą swojej lekcji nauczyć się przed innymi. Taka jest prawda, choć oczywiście nigdy nie powiedziałbym tego przed kamerą telewizyjną.

John skinął głową, przyglądając się, jak na ekranie wieszana jest i podpalana kukła przedstawiająca Donalda Rasha. Rozumiał tych ludzi i ich gniew, lecz równie dobrze rozumiał, że nie dostrzegają generalnych zależności, jakże zresztą mieliby? To wszystko wydawało się takie fałszywe i takie wstrętne, lecz nie było alternatywy.

Tak czy siak, wygrali. Nawet, jeśli zwycięstwo miało mdły smak.

Wkrótce potem John Fontanelli, najbogatszy człowiek świata, bogatszy nawet niż przedtem, leciał do Waszyngtonu na rozmowę z dyrektorem Międzynarodowego Funduszu Walutowego. W gazetach utarło się tymczasem nowe pojęcie, *kryzys azjatycki*, według ostatnich doniesień również indyjska rupia znalazła się pod naciskiem, podobnie jak południowokoreański won.

Samolot Johna wylądował z najwyższym priorytetem na waszyngtońskim lotnisku i został skierowany do zagrodzonego obszaru, gdzie czekały trzy czarne limuzyny z przyciemnionymi szybami, z których jedna miała zawieźć Johna do siedziby MFW, zaś zadaniem dwóch pozostałych było odwrócenie uwagi czekających ewentualnie fotografów i reporterów. Fontanelli rzucił tylko pośpieszne, przelotne spojrzenie na budynek MFW, kanciasty klocek z żelazobetonu z osobliwymi ramami okien na najwyższym piętrze, wyglądającymi jak wyloty szybów wentylacyjnych. Nim wóz zanurkował do podziemnego garażu, z którego poprowadzono go i jego towarzyszy — prawników i

socjologów z grubymi aktówkami i ważnymi minami — przez korytarze i windy do obszernej sali konferencyjnej. Tam oczekiwał ich dobrze ubrany mężczyzna o krótko obciętych, siwych włosach, którego dłoń, gdy John podał mu swoją na powitanie, okazała się całkiem zimna.

— Nazywam się Irving — powiedział mężczyzna cichym, precyzyjnym głosem — Robert Irving. Pan Camdessus przekazuje panu swoje najserdeczniejsze pozdrowienia i wyraża głębokie ubolewanie, że nie mógł dziś niestety przybyć z przyczyn osobistych. Udzielił mi jednak pełnomocnictwa na rozmowy z panem.

John usłyszał, jak jego towarzysze odchrząkują, równie dosłyszalnie, co niechętnie. Jeden z nich nachylił się do niego i szepnął mu w ucho:

— To wymówka, sir. Powinniśmy ustalić nowy termin i polecieć z powrotem.

Ale to przecież w ogóle nie wchodziło w rachubę. Przez cały lot prawie nie opuszczał toalety z nerwów i tremy; chciał mieć to za sobą.

Poza tym niewiele było do pertraktowania — powie, co ma do powiedzenia, i gotowe. John przywołał na twarz uśmiech i powiedział:

— Bardzo mi miło.

Zasiedli więc wokół stołu, John i jego świta po jednej, Irving i jego sztab po drugiej stronie. Jedno miejsce po stronie MFW pozostało puste.

— Jeden z moich współpracowników trochę się spóźni — powiedział Irving. — Zaczniemy bez niego.

Szelest akt, odkręcanie wiecznych piór, przesuwanie notatników. *Niech pan pamięta o tym, że kontroluje pan co*

*najmniej dziesięć razy więcej pieniędzy niż Fundusz Walutowy — wbijał mu do głowy McCain.* — *Mają wszelkie powody, by się pana obawiać.* John odchrząknął i rozpoczął krótką mowę, którą przeciwiczył z McCainem. Że z troską obserwują rozwój wypadków w Azji, nie z powodu chwilowego kryzysu finansowego, lecz przede wszystkim w aspekcie procesów długoterminowych. I że szczególnym powodem do zmartwienia jest przyrost zaludnienia na Filipinach.

— *Wie pan, że staram się wypełnić pewne stare proroctwo — powiedział John, czując jak serce wali mu jak oszalałe z napięcia.* — *Chciałbym mianowicie prosić o wsparcie w tych usiłowaniach.* Nie uważam tej prośby za wygórowaną, gdyż ostatecznie tym, o co zabiegamy, jest dobro wszystkich.

*Może pan sobie pozwolić na to, by przemawiać łagodnie i wyrażać uprzejme prośby — powiedział McCain.* — *Jest pan tak potężny, że nie musi pan grozić, proszę o tym pamiętać.*

— *Mamy możliwość zakończenia kryzysu na azjatyckich rynkach finansowych.* Deklarujemy gotowość zrobienia tego, jeśli MFW rozszerzy listę zalecanych przez siebie czynników regulujących w tym regionie zaludnienie — to znaczy, zatroszczy się o to, żeby pozwolono na aktywną kontrolę urodzin i ją wprowadzono. — *Ruch dłonią, zaledwie krótkie spojrzenie, i jeden z prawników podał przez stół pismo.* — *Szczegóły znajdują panowie w tej propozycji, opracowanej przez naszych ekspertów.*

Papier podano dalej, aż dotarł do Irvinga, który go pobieżnie przekartkował i odłożył na bok, by zapalić kolejnego papierosa. Trzy niedopałki leżały już w popielniczce.

— *Dla mnie to brzmi — oznajmił, podczas gdy zapalniczka tylko strzelała iskrami, gdyż naciskał ją zbyt gwałtownie — jakby*

największy producent prezerwatyw i tabletek antykoncepcyjnych — którym pan zresztą rzeczywiście jest, o ile jestem dobrze poinformowany — chciał otworzyć sobie nowe rynki zbytu.

— Nonsens — powiedział John. Zabrzmiało to bardziej szorstko niż zamierzał, ale co tam, kilku z nich, zdaje się, drgnęło. Dobrze.

— Pomijając fakt, że MFW jako organizacja międzynarodowa nie może niczego narzucać firmom sektora prywatnego — kontynuował Irving — takie środki wykraczają daleko poza ramy zwykle stosowane w podobnych przypadkach. Choć za tą propozycją niewątpliwie kryją się dobre intencje, w to nie wątpię. Zresztą, jeśli chodzi o politykę ludnościową, według moich informacji nawet eksperci nie są zgodni co do tego, jak należy oceniać obecny rozwój sytuacji. Myślę, że decyzje na ten temat powinniśmy pozostawić każdemu narodowi do własnej kompetencji.

John zmieszany przyjrzał się szczupłemu, siwowłosemu mężczyźnie. Powiedział prawie słowo w słowo to samo co McCaine, kiedy podczas ich wieczornych próbnych dyskusji odgrywał rolę dyrektora MFW.

— Tak może to wyglądać w pańskich oczach — odparł więc, jak to robił już tuziny razy. — My jednak jesteśmy zdecydowanie innego zdania. Za kilka miesięcy przedstawimy wyniki symulacji komputerowej wzajemnego oddziaływania procesów, największej, jaka kiedykolwiek została wykonana. Nawet jeśli w tej chwili nie ustalono jeszcze szczegółów, możemy przyjąć za pewne, że niezbędne będą ogromne wysiłki w celu ograniczenia liczby urodzin. A im wcześniej zostaną podjęte, tym lepiej. — Dobrze. Lepiej, niż wychodziło mu przy McCainie.

Irving nic nie powiedział, zaciągnął się tylko papierosem i

przytrzymał go potem przed sobą, obserwując, jak żar przygasa. Pierścień dymu, jaki wypuścił, był doskonały.

— To nie przypadkiem chciał pan, żeby to, co pan mówi — *i jak* to pan mówi — zabrzmiało jak próba szantażu?

— Chcę jedynie powiedzieć, że mam wpływ na spekulantów i inwestorów, którzy decydują o rozwoju sytuacji w Azji. I co panu proponuję, to wykorzystanie tych wpływów zgodnie z pana intencjami, jeśli pan w rewanżu wykorzysta swoje wpływy zgodnie z moimi intencjami. W moim pojęciu proponuję panu interes, nic ponadto.

Irving pokręcił głową, lekki, ledwie dostrzegalny ruch.

— O tym nie może być mowy. Taki rodzaj pertraktacji wykracza poza moje kompetencje.

John poczuł w brzuchu coś na kształt bólu. Co on tu właściwie robi? Przed trzema laty rozwoził jeszcze pizze i jego jedyną troską było opłacenie czynszu. Czy to nie było lepsze niż szarpanie się z takimi ludźmi i takimi beznadziejnymi problemami jak wzrost zaludnienia na Filipinach? Raptem nie miał już siły na walkę z tym chłodnym, gładkim mężczyzną po drugiej stronie stołu.

— Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia — oznajmił beznamiętnie i chciał już tylko odejść.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Ostatni uczestnik rozmów ze strony Irvinga wszedł z szerokim uśmiechem, obszedł stół, kierując się wprost do Johna, wyciągnął do niego dłoń i powiedział:

— Cześć, John. Dawno się nie widzieliśmy.

Był to Paul Siegel.

Ursula Valen nie wiedziała już, czy głowa pęka jej od

bezlitosnego, sierpniowego upału, czy od niekończącego się rachowania. Obłożona była fotokopiami ksiąg rachunkowych Giacomo Fontanellego, jaśniejącymi jaskrawo w słonecznym świetle. Jej notatnik zrobiony z szarego papieru ekologicznego nie jaśniał, za to krople potu zostawiły na nim ciemne, okrągłe plamy.

Nie może się pomylić. Żeby tylko nie skompromitować się błędem w obliczeniach. Do cholery, przecież studiowała historię, to wszystko są rzeczy, na których powinna się znać. Zatem, jeszcze raz od początku, z powrotem do ksiąg. Skarbowość w średniowieczu oznaczała początkowo głównie mennictwo. Karol Wielki zbudował ją na srebrze, funta albo 384 gram podzielił na dwadzieścia *sous*, zwanych również solidami bądź szylingami, które podzielono dalej na dwanaście denarów albo fenigów. W roku 1252 we Florencji zaczęto bić monety ze złota, noszące na awersie godło miasta, lilię, zaś na rewersie portret Jana Chrzciciela: *fiorino*, zwany później florenem albo florinem, w krajach niemieckich mówiono o nim *Goldener* — złoty, albo *gulden*, później przenosząc tę nazwę na złote monety, które tam bito. Złoty floren zawierał trzy i pół grama złota i odpowiadał w roku 1252 dwudziestu solidom, w roku 1457 zaś stu ośmiu, na tym urywała się znaleziona przez nią lista. Był też srebrny floren, *fiorino d'argento*, o wartości dwóch trzecich talara, ale czym, do diabła, był w tym kontekście talar? *Zecchino*, cekin, był naśladowaniem florena w Republice Wenecji, zwanym również dukatem. W Europie Północnej popularny był dalej grosz, odpowiadający co do wartości czterem fenigom... Ależ chaos, niech to diabli! Cisnęła przez pokój książką razem z notatnikiem i długopisem i poczuła obezwładniający impuls, żeby wziąć to wszystko, całą tę teczkę, i wepchnąć do kontenera na śmieci na

podwórku.

Gdyby tylko nie ten upał. I ból głowy. Podniosła się, powlokła do lodówki i wlała w siebie mrożoną herbatę, prosto z kartonika, słodką jak ulepek, ale dobrą.

W dwunastym wieku w Genui i innych włoskich miastach utworzono pierwsze banki, które przyjmowały pieniądze i wypłacały za to odsetki, a kupcom, rzemieślnikom i wielmożom udzielały pożyczek. Od dawna już było w zwyczaju przed podróżą oddawać pieniądze wekslarzowi i wyruszać w drogę zabierając jedynie potwierdzenie złożonej na przechowanie kwoty i płacić takim kwitem. Był to zatem rodzaj handlu wymiennego. W czternastym wieku weneckie banki pierwszy raz zgodziły się, by klient pobrał więcej pieniędzy, niż wpłacił, w piętnastym cyfry arabskie i rachunek kupiecki rozpowszechniły się w całym świecie zachodu, a we Włoszech wymyślono podwójne prowadzenie ksiąg. Jednak Giacomo Fontanelli go nie używał. W jego księgach nie dawało się dostrzec w ogóle żadnego systemu.

A co, jeśli w poprzednich latach narobił strat, niepojawiających się w późniejszych bilansach — żeby ominąć podatki, czy tak po prostu, z czystego niechlujstwa? Tego można by się po nim spodziewać. Ponieważ nie skopiowała jeszcze wielu z jego ksiąg rachunkowych, znaczyło to, że nie uniknie ponownych odwiedzin w archiwum.

Przynajmniej po to, by zyskać pewność.

Jeszcze raz do Florencji? Opowiedzieć Vacchim coś, czego na pewno nie chcieliby usłyszeć? Gapiła się na pyłki kurzu, tańczące we wpadających przez okno dachowe promieniach słońca, i nagle jej myśli również ruszyły do tańca. Nie zastanawiając się dłużej, nie zwlekając, jak łucznik w Zen, który staje się jednym ze

strzałą i środkiem tarczy i tylko pozwala strzałowi zaistnieć, wyjęła notatnik, przekartkowała do numeru Cristoforo Vacchiego, podeszła do telefonu, wybrała.

— Naturalnie, signora Valen — odpowiedział natychmiast Cristoforo Vacchi. W głosie starego mężczyzny słyhać było zmęczenie — albo smutek, trudno powiedzieć — ale wyglądało na to, że jej telefon naprawdę go ucieszył. Ani słowa o dwóch latach, jakie minęły, żadnego pytania o przyczynę jej zwłoki, żadnych wyrzutów. — Proszę przyjechać, kiedy pani zechce.

Pokój nie był duży, a zaokrąglone narożniki sprawiały, że wydawał się jeszcze mniejszy. Owal stołu otaczał wolną przestrzeń pośrodku, wyglądającą jak arena, a szare krzesła na kółkach stały wokół w trzech rzędach. Na czołowej ścianie pokoju układała się w fałdy biała zasłona; nie było widać, co zakrywa.

— Tu obraduje egzekutywa, trzy razy w tygodniu — wyjaśnił Paul krótko machając w kierunku wyłożonych jasnym drewnem, częściowo obitych białym materiałem ścian. Spojrzał na Johna i pokręcił głową. — Szalone, co? Że spotykamy się akurat tutaj?

John przytaknął.

— Tak. To wszystko jest dość szalone.

— Zawsze było mi przykro, że nie zastałeś mnie w domu, gdy zadzwoniłeś z Waldorfa. Wyjechałem akurat do Japonii, na dwa tygodnie. Kiedy wróciłem, byłeś już tematem dnia we wszystkich wiadomościach, więc pomyślałem, że nie ma sensu oddzwaniać.

— Raczej nie miałoby sensu, tak.

Paul sięgnął do kieszeni i wyjął etui z wizytówkami.

— Ale przysięgłem sobie, że dam ci numer mojej komórki, gdybyśmy się jeszcze kiedykolwiek spotkali. I teraz dotrzymam



tej przysięgi. Nie, nic nie mów — przysięga to przysięga, i kto wie, może znów przydarzy ci się coś takiego... — nabazgrał numer telefonu na odwrocie kartonika i podał go Johnowi.

John obejrzał imponujące godło Funduszu Walutowego i nie mniej imponujący tytuł pod nazwiskiem Paula, odwrócił wizytówkę, przeczytał numer telefonu i wzdrygnął się.

— To śmieszne.

Paul zajęty był jeszcze wsuwaniem długopisu w odpowiednią szlufkę swego notatnika.

— Co? Że mam komórkę? Mówię ci, nie ruszam się już bez niej. Jak tylko pojawią się takie, które można sobie wszczepić, będę pierwszy.

— Nie, chodzi mi o numer. To przecież twoja data urodzin. Jak ci się udało go dostać?

Paul uniósł brwi.

— Człowieku, to całkiem proste. Można wybrać sobie numer, a ja mam komórkę od samego początku. Wtedy był jeszcze wolny wybór.

— Łatwo go zapamiętać.

— Jeśli się mnie zna.

Usiedli, John na fotelu rosyjskiego dyrektora, Paul na fotelu dyrektora z Arabii Saudyjskiej, i opowiadali sobie o trzech latach, jakie minęły odkąd siedzieli razem w mieszkaniu Paula w West Village na Manhattanie i John był biednym, zadłużonym po uszy niezgułą. Paul przed dwoma laty, po zakończeniu krótkiego romansu i wkrótce po otrzymaniu przez Johna spadku, zmienił pracę z konsultingu gospodarczego na Międzynarodowy Fundusz Walutowy i przeprowadził się do Waszyngtonu. Dlatego John wtedy się do niego nie dodzwonił. To było wszystko, co Paul miał do opowiedzenia. Miał nowe okulary, w których było mu do

twarży, swoje niesforne ciemnobrązowe włosy ścinał teraz inaczej, z czym nie było mu zbyt do twarzy, poza tym był nadal zupełnie taki sam, jak zawsze, uosobienie inteligencji, zdrowy rozsądek w ludzkim ciele.

John potrzebował znacznie więcej czasu na opowiedzenie, co minione lata zmieniły w jego życiu. Kiedy skończył, Paul przyglądał mu się długo w milczeniu.

— Nie wiem, czy mam ci zazdrościć, czy współczuć — przyznał w końcu. — Naprawdę. Bilion dolarów, Boże! Nie wiadomo, czy to kara, czy klątwa. — Roześmiał się. — Tak czy siak, teraz nie musisz się już martwić, że umrzesz z głodu.

John też musiał się roześmiać. Nagle znów wszystko było jak dawniej. Jak wtedy, gdy siedzieli na murze zawalonego domu na trzynastej ulicy i wymieniali się swoimi domysłami i wiedzą o dziewczynach.

— Co o tym wszystkim sądzisz? — zapytał. — Tylko między nami.

— O czym? O twojej propozycji dla Filipin?

— O wszystkim. O tym, co robię z pieniędzmi. O McCainie. *Fontanelli Enterprises*. O prorocत्वie.

— Nie mam wysokiego mniemania o prorocत्वach, zbyt wiele ich sam już zrobiłem — odpowiedział Paul i opadł na oparcie fotela. — Sam to już pewnie wiesz. Poza tym... Nie wiem. Gdy się dowiedziałem, że przyjedziesz, zasięgnąłem trochę informacji. Kilka szczegółów o poprzednich firmach Malcolma McCaina, nic podniecającego, i o tym, skąd się wziął. W IBM niechętnie pozwolono mu odejść, to usłyszałem wiele razy. Studia skończył z wyśmienitymi ocenami, niektórzy profesorowie jeszcze go pamiętają jako nieco niesforne ptaszka, to wszystko. A *Fontanelli Enterprises* — cóż. — Potarł nos, tak samo, jak miał

zwyczaj robić to dawniej. — Niezbyt podoba mi się istnienie takiego kolosa. Nie podobałoby się żadnemu ekonomiście. To niedobrze dla gospodarki, jeśli jeden uczestnik jest o tyle większy od wszystkich pozostałych. Zdominowałeś wielką część gospodarki, bardziej niż może podejrzewasz, a to jest sytuacja, która mi się nie podoba.

— Co zrobiłbyś na moim miejscu?

— Oho! — Paul pokręcił głową. — Gdybym to wiedział... — Rozejrzał się, przesunął wzrokiem po wielu pustych fotelach. — Myślę, że, bym to wydał. Zainwestowałbym w projekty ekonomicznego równouprawnienia kobiet wszędzie na świecie. Kobiety to klucz. Zauważyliśmy to w niektórych naszych własnych projektach; dla kolegów z Banku Światowego to od dawna truizm. Wszędzie, gdzie, kobiety są dostatecznie wykształcone i wolne, by móc samodzielnie decydować o swoim życiu, liczba urodzin spada do rozsądnych rozmiarów. Wszędzie, gdzie kobietom wolno posiadać własność, zamiast nią być, stopa życiowa osiąga poziom pozwalający myśleć o ochronie środowiska. W wielu projektach pomocy krajom rozwijającym się praktycznie już tylko kobiety dostają do ręki pieniądze, dlatego, że one za pomocą tych pieniędzy coś poprawią, podczas gdy mężczyźni tylko je przepiją albo pokupują sobie zegarki ze złotą bransoletą.

— Skoro tak, powinieneś poprzeć moją propozycję.

— John — tak, ale MFW nie jest do tego odpowiednim forum. Jesteśmy instytucją do nadzorowania międzynarodowego systemu walutowego, niczym więcej. Jesteśmy zdani na współpracę z wszystkimi rządami, uwikłani w polityczne uzależnienia wszelkiego rodzaju... Nie, to, co powiedziałem, mogłaby zrobić tylko organizacja prywatna. My nie możemy.

Nagle nie było już tak, jak dawniej na murze. Znowu znaleźli się w teraźniejszości, siedzieli naprzeciw siebie, przedstawiciel najwyższych stróżów walut planety i najbogatszy człowiek świata, przy stole, przy którym każdego tygodnia zapadały decyzje o światowym zasięgu, a na zewnątrz tuziny mężczyzn czekały na ich powrót. John wstał.

— Zastanowię się nad tym — powiedział.

Rolls-royce znowu czekał, gdy wyszła z dworca we Florencji, lecz tym razem to nie Benito nim kierował, ale młody człowiek, którego Ursula widziała pierwszy raz w życiu. On także ubrany był w mundur i odebrał jej walizkę, otworzył dziarsko bagażnik, obrzucając ją przy tym ognistym spojrzeniem.

— Benito miał atak — opowiadał Cristoforo Vacchi w drodze do posiadłości. — Nie tak źle, jak mogłoby być, ale nie może już prowadzić. Mieszka teraz w pobliżu, przy rodzinie, która się o niego troszczy, i odkąd może znowu chodzić, przychodzi codziennie i poleruje *Emmy* — statuetkę na chłodnicy, zresztą pani wie...

Ursula skinęła głową. *Padrone* wyglądał na drobniejszego, niż go zapamiętała, był prawie przezroczysty. Odejście Johna Fontanellego musiało go bardzo zboleć.

— Signor Vacchi, przykro mi, że tak długo się...

— Wiedziałem, że pewnego dnia pani wróci — przerwał jej, uśmiechając się łagodnie. — To była tylko kwestia sposobności.

Myli się, na pewno. Po prostu katastrofalnie się przeliczyła. Vacchi wyśmieją ją, w najlepszym wypadku, a w najgorszym będą się na nią złościć. Pojedzie jutro z powrotem, spali wszystkie notatki ze studiów i złoży podanie o pracę jako pomoc kuchenna w *Paraplui Bleue*. Nabrała głęboko powietrza,

opowiedziała, co zauważyła w księgach rachunkowych Fontanellich, czując się przy tym, jakby zamawiała katowski poczęstunek.

Ale, gdy skończyła, Cristoforo Vacchi mruknął tylko:

— Ach! — i przez chwilę pomrukując, kiwał głową. — Ta stara zagadka...

Ursula poczuła, jak jej oczy robią się coraz większe.

— Pan o tym wie?

*Padrone* uśmiechnął się.

— O tak! Moja rodzina od dawna łamie sobie nad tym głowę. I nie mamy żadnego pomysłu, skąd te pieniądze pierwotnie naprawdę się wzięły.

# 31

— To, czego doświadczył pan w Waszyngtonie, to siła inercji — oznajmił McCaine. — Siła, która usilnie stara się podtrzymać przy życiu te wszystkie procesy, przeciw którym walczymy. Każdy chce, żeby wszystko zostało tak, jak dla niego wygodnie. — Zacisnął pięść. — Widzi pan, że to iluzja, ufać w rozsądek, w dobrowolną rezygnację? To nie leży w ludzkiej naturze. Przymus — to jedyny środek, który działa.

John ponuro przytaknął.

— To znaczy, że musimy walczyć dalej.

— Za to spokojnie może pan jednego wypić. — McCaine sięgnął za faks, podniósł zwijającą się w rulon wstęgę papieru. — Wieści od Collinsa. Prace nad rozbudową posuwają się zgodnie z planem. Jego ludzie, można powiedzieć, dzień i noc nie robią nic innego, tylko rozpakowują nowe komputery, podłączają je do sieci, instalują programy symulacyjne i je uruchamiają. To znaczy, że wyniki będziemy mieć w zaplanowanym czasie.

— Dobrze — powiedział John. — A co będziemy robić do tej pory?

McCaine spojrział na niego dziwnie, wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem przed szklaną ścianą. Nie robił tego już od dawna. Na zewnątrz w jaskrawych promieniach sierpniowego słońca jaśniało miasto, jakby ktoś przeniósł je nad Morze Śródziemne.

— Mógłby mi pan pomóc — niespodziewanie powiedział McCaine i zatrzymał się, ze wzrokiem skierowanym na Johna. — W sposób, który panu wyda się może szalony — może nawet wyda się insynuacją, nie wiem — ale mógłby mi pan w ten sposób ogromnie, naprawdę ogromnie pomóc.

— Jeśli chciał mnie pan zaciekawić — powiedział John — to się

panu udało.

— Czekają nas walki. Twarde walki. Nasi przeciwnicy odtrąbili wojnę na wszystkich frontach i dojdzie do rzezi, to pewne. Będziemy może zmuszeni do wykonania paru szachowych posunięć, jakich nie przewidują reguły, jeśli pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć. Krótko mówiąc, to sytuacja, w której nic nie przyda nam się tak bardzo — powiedział McCaine i zaśmiał się ponuro — jak odwrócenie uwagi.

— Odwrócenie uwagi?

McCaine spojrział na niego z dołu wzrokiem godnym Jacka Nicholsona.

— Nie chcę, by w gazetach pisano o wszystkim, cokolwiek zrobię albo czego nie zrobię, rozumie pan? Po prostu. I dlatego byłoby nieźle, gdyby w gazetach pisano o czym innym.

— Aha — mruknął John. — Ale na czym polega problem? To znaczy, połowa wszystkich gazet należy do nas i...

— Problemem jest druga połowa. Gazety, które do nas nie należą.

John zamrugnął i spojrział na McCaina.

— Hmm, tak. Jasne. Obawiam się tylko, że nie rozumiem, co ja miałbym zrobić.

McCaine wrócił do biurka, wyciągnął szufladę, wyjął z niej gazetę, w której z daleka dało się rozpoznać niepoważnego brukowca, i rzucił ją w kierunku Johna stroną tytułową do góry.

— Proszę na to spojrzeć.

Gazeta była sprzed dwóch tygodni, nagłówek głosił: *Najpiękniejsza kobieta, najbogatszy mężczyzna — czy to miłość?* Poniżej wydrukowano zdjęcie, na którym John rozpoznał fotomodelkę z reklamy nagrody *Gea*, Patricję deBeers, jak trzymając się za rękę z jakimś mężczyzną idzie z nim ulicą i

szepce mu coś do ucha.

Tym mężczyzną, jak z bezgranicznym zdumieniem rozpoznał John, był on sam!

— Co to jest? — parsknął.

— Fotomontaż — powiedział McCain. — Zresztą naprawdę zręcznie zrobiony. Ta gazeta z tego słynie — zwykle publikują zdjęcia dzieci o dwóch głowach i latających spodków i tym podobne, i nikt się tym nie przejmuje, ale ciekawe, że tym razem telefony w redakcji się urywają. Cały świat chce wiedzieć, czy w tej plotce coś jest.

— Nic nie ma, oczywiście. Nigdy nie byłem z tą kobietą na spacerze, a już na pewno nie za rączkę.

— A ja właśnie chcę pana prosić — powiedział łagodnie McCain — żeby pan to zrobił.

John wbił w niego wzrok i powiedział:

— Coś musiało mi umknąć w naszej rozmowie. Słucham, co mam zrobić?

— Tak, zaskoczyłem pana, to jasne. — McCain podniósł gazetę złożył ją z nadmierną starannością i podniósł w górę, niczym dowód przed sądem. — Zwykle nikt nie wierzy w to, co pisze ta gazeta. Co sześć tygodni pojawia się Elvis albo potwór z Loch Ness, i nikt, wyjąwszy może kilku sensatów, nie bierze tego za dobrą monetę. Długo go reakcja na tę wiadomość dała mi do myślenia. Mówi mi, że świni *chciałby*, żeby ta plotka była prawdą. Opinia publiczna niczego nie widziałaby chętniej jak romansu najbogatszego mężczyzny z najpiękniejszą kobietą świata. To potwierdziłoby wszystkie stereotypy, spełniłoby wszelkie marzenia. Świat  *tęskni* za czymś takim.

— Może to i prawda, ale mnie z tą kobieta nic nie łączy. Podczas zdjęć zamieniliśmy może cztery czy pięć słów i starałem się nie



gapić na jej piersi, to wszystko — John przerwał i nagle ogarnęło go uczucie mdłości.

McCaine powoli i rozważnie skinął głową.

— Ale to byłby właśnie perfekcyjny manewr odwracający uwagę, nie uważa pan? Pan i Patricia deBeers i od czasu do czasu jakiś fotograf, któremu uda się zrobić wam zdjęcie, jak trzymacie się za ręce... To wpędziłoby media w gorączkę na długie tygodnie.

— Pan przecież do czegoś zmierza. — John studiował twarz McCaina, ostentacyjnie pozbawioną wyrazu. — Proszę mi powiedzieć, że to nie to, co akurat zacząłem podejrzewać.

McCaine zwinął gazetę w dłoni w rulon i gniótł ją z zapamiętaniem.

— Pozwoliłem sobie wprawić w ruch pański jacht. I tak był w Hongkongu na przeglądzie systemu radarowego. Dziś albo jutro ma wejść do portu w Manili. Ponadto zatrudniłem pannę deBeers, żeby...

— Słucham? *Zatrudnił pan?*

— Do kontraktu kazałem wpisać klauzulę milczenia i tak długo targowałem się z agencją, aż to mnie poproszono o zapewnienie z mojej strony zachowania w tajemnicy niskiego honorarium. To było nawet ciekawe.

— Zatrudnił pan? A po co?

— Wy dwoje będziecie odgrywać zakochaną parę, przynajmniej w oczach światowej opinii publicznej — co będziecie robić prywatnie, to wasza sprawa. Pożeglujecie trochę tu i tam wśród rajskich wysp na Filipinach, dacie się wytropić reporterom, od czasu do czasu wybierzecie na zakupy na ląd, ale tak medialnie, rączka za rączką, proszę...

— Pan nie mówi poważnie!

— Kiedy świat spojrzy w kierunku Filipin, ma zobaczyć was dwoje, a nie kursy giełdowe albo stopy procentowe. Tego właśnie mi trzeba.

— Pan mówi poważnie. — John położył dłoń na czole, jakby poczuł gorączkę. — Naprawdę i nie na żarty... Chce pan odegrać sznurowatą komedię.

— Ależ co pan, John. — McCainie wyrzucił gazetę albo to, co z niej zostało, do kosza na śmieci. — Mogłem wpaść na bóg wie jaki pomysł, gorszy niż wysłanie pana w tropiki na kilkutygodniowy rejs z jedną z najpiękniejszych kobiet planety, prawda? Kto wie, może na koniec się polubicie...

— Nie. Teraz już dosyć.

-...i iluzja zmieni się w rzeczywistość? — McCainie zrobił minę, jakby opowiedział sprośny dowcip. — Dobrze, ja się w to nie mieszam. Jak pan uważa. Chcę tylko jeszcze raz przypomnieć, że powoli powinien pan zacząć myśleć o założeniu dynastii...

— Na pewno nie z płatną fotomodelką — odpalił John. To wszystko wciąż jeszcze nie mieściło mu się w głowie. Nie, odmówi. Po prostu powie — nie, po prostu...

McCaine spoważniał.

— Bardzo by mi pan pomógł — powiedział. — I tak nie będzie łatwo. Musimy rzucić na kolana rządy pół tuzina krajów i międzynarodową organizację na dodatek, i to teraz, kiedy konkurencja czyha na nasz najmniejszy błąd. To naprawdę byłaby duża pomoc.

John z rezygnacją zamknął oczy. Westchnął. — Więc dobrze. Kiedy to ma się zacząć?

— Jak tylko będzie pan mógł. Panna deBeers jest już w drodze. Będzie oczekiwać pana na jachcie w Manili.

— Och. Nie mogę się doczekać. — Wstał, czuł się bezgranicznie

zmęczony. — W takim razie idę się pakować.

McCaine uśmiechnął się złośliwie. Jeśli się zastanowić, ostatnio dość często złośliwie się uśmiechał.

— Szczęśliwej podróży — powiedział. — Życzę dobrej zabawy.

— Och, dziękuję bardzo. — Wychodząc, John spojrzął na swoje odbicie w wąskim lustrze, które McCaine kazał zawiesić przy drzwiach do swego pokoju i mruknął, nie zwracając się do nikogo konkretnego: — Na co mi to wszystko?

Ursula czuła się dobrze. Wzięła prysznic i była przyjemnie zmęczona po długiej podróży pociągiem, siedziała teraz z *Padrone* i dwoma starszymi Vacchi — brakowało tylko Eduarda — przy tym cudownie nakrytym stole w dolnej jadalni, gdzie pachniało majerankiem, pomidorami i oregano. Cokolwiek to było, co podała Giovanna, wspaniale wyglądało na drogocennych nakryciach.

Przy stole omawiano jej odkrycie, najwyraźniej od dawna już znane rodzinie Vacchich.

— Jeśli uprzytomni sobie pani, że majątek Medicich, najpotężniejszej rodziny swoich czasów, nawet w czasach rozkwitu nie przekraczał znacznie wartości czterystu tysięcy florenów — powiedział Cristoforo Vacchi, osuszając sobie bez pośpiechu usta grubą, krochmaloną serwetką — to zobaczy pani, że trzysta florenów było wtedy przyjemną sumką. Mniej może przyjemną, jeśli było się na nią za dłużonym.

— Giacomo Fontanelli był kandydatem do więzienia za długi — wtrącił Alberto Vacchi, zapamiętale operując nożem i widelcem.

*Padrone* sięgnął po swój kieliszek i wziął małego łyka.

— Wpadł w spore tarapaty.

— Nie można by przyjąć — zaproponowała Ursula — że przez

lata odłożył rezerwy, które nie pojawiają się w księgach? Wtedy ostatnia strona byłaby po prostu zestawieniem długów do oddania. Sądzę, że uporządkował swoje sprawy, nim wstąpił do klasztoru.

— W zasadzie tak — powiedział Gregorio Vacchi przez zaciśnięte usta. Najwyraźniej zdecydowanie gardził takim postępowaniem.

— Jednak z jego kupieckich zapisków nie wynika, jak miałyby stworzyć takie rezerwy. Interesy po prostu nie szły mu dobrze, mówiąc wprost.

Ursula odłożyła widelec i spojrzała na każdego z trzech mężczyzn po kolei.

— I to was nie zdumiało? Nigdy nie kazało wątpić w waszą misję? To, że nie wiecie, skąd pochodzą pieniądze, od których to wszystko się zaczęło?

Znieruchomieli na chwilę, spojrzeli po sobie, wreszcie Cristoforo Vacchi również odłożył sztućce i nie spiesząc się, złożył ręce na krawędzi stołu przed talerzem.

— Żeby zrozumieć — powiedział — powinna pani wiedzieć, że księgi Giacomo Fontanellego są w naszym posiadaniu od niedawna. Trafiły w nasze ręce, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, w przededniu drugiej wojny światowej, a wówczas nikt nie miał czasu na to, by wnikliwie się nimi zająć. Mówiąc szczerze, dopiero kilkadziesiąt lat temu zwrócił naszą uwagę fakt, który pani odkryła.

— Kilkadziesiąt lat? — powtórzyła jak echo zaskoczona Ursula. W samochodzie zabrzmiało to tak, jakby rodzina Vacchich łamała sobie nad tym głowę od stuleci. — A jak do tego doszło? To znaczy, gdzie były księgi przez ten cały czas?

— W klasztorze świętego Stefana.

— Klasztorze Fontanellego?

— Właśnie. Był to malutki skalny klasztor w Apeninach; jadąc z Florencji w kierunku Forli mija się jego ruiny. Około roku 1890 zlikwidowano go i od tego czasu stał pusty, aż Mussolini zrobił w nim magazyn amunicji, który tuż przed końcem wojny wyleciał w powietrze. Mówi się, że to był nalot.

— A księgi?

— O ile wiem, po likwidacji klasztoru przewieziono je wraz z innymi dokumentami do Rzymu. Tam musiały przeleżeć kilka dziesięcioleci, aż ktoś nie wpadł na pomysł, żeby księgi rachunkowe przekazać mojej rodzinie.

— A kto to był?

Cristoforo Vacchi zmęczonym ruchem uniósł ręce.

— Przykro mi. Jak mówiłem, byłem jeszcze dzieckiem.

— Hm. Mówił pan, że były jeszcze inne dokumenty...

— Tak kiedyś powiedział mi ojciec. Że były. Nie wiedział, co to za dokumenty, ani gdzie się podziały.

— Ale ciekawie byłoby się tego dowiedzieć — powiedziała Ursula Valen czując coś, co mogło być tylko adrenaliną. — Prawda?

Zbudził się, gdyż przez okno wpadł promień słońca i połaskotał go w nos. Zerknięcie w okno powiedziało mu, że nadal jest w podróży; chmury pod nimi stanowiły wspaniałą widok, nie mniej niż ciemne niebo dostojnie sklepiające się nad maszyną. Sprawdził na zegarku. Już niedługo. W tyle słyszał ochroniarzy rozmawiających przyciszonym głosem. W równomiernym szumie silników nie dało się zrozumieć, o czym; gadanina bez znaczenia, prawdopodobnie, f dla zabicia czasu.

O czymś takim nigdy nawet nie marzył. Że część drogi ku

spełnieniu proroctwa będzie jak to, co teraz go oczekuje: włóczenie się z wynajętą piękną i zgrywanie playboya. Jakie to śmieszne. I jaki wstyd, gdyby prawda miała kiedyś wyjść na jaw.

Lądowanie było jak każde inne, również lotnisko nie różniło się od wszystkich pozostałych lotnisk. Przydzielono im zabezpieczone stanowisko, i jak zawsze czekała na nich limuzyna, tym razem wielka i biała, wyglądała jak Cadillac, ale nim nie była. Wszystko jedno. Przez ostatnie dwa lata tyle latał, że powoli zaczynał się martwić o możliwe nadmierne napromieniowanie. Nie będzie źle odpocząć przez kilka tygodni, do diabła z reporterami!

Podczas jazdy pobieżnie tylko wyglądał przez okno. Klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach, Manila z wnętrza luksusowego wozu wyglądała jak wszystkie metropolie: wysokośćowce, szerokie ulice, na nich o wiele za dużo ludzi, jaskrawe tablice reklamowe, jakie mogłyby równie dobrze stać w Los Angeles. Place budowy. Mężczyźni, w migotliwym żarze tropikalnego sierpniowego dnia pracujący przy; gorącym asfalcie albo obsługujący pneumatyczne młoty.

— Port — powiedział Marco, kiedy kołysząc się zboczyli z głównej szosy w szeroką, mniej ruchliwą drogę pełną wybojów.

Na widok swojego jachtu John, wbrew oczekiwaniom, poi /ul zachwyty. Czekał dumny i dostojny, marzenie w bieli, ogromny, czysty luksus. Od dwóch lat na nim nie był, posyłał go tylko tu i tani po szerokim świecie, żeby nie zastał się i żeby załoga nie wyszła z wprawy, podczas gdy on od rana do wieczora siedział w biurze i udawał, że zna się na interesach. Co za strata czasu!

Kapitan Broussard stał przy relingu mostka i machał na powitanie. John też do niego zamachał. W tej samej chwili, gdy

chciał postawić stopę na pokładzie, w jednym z wejść pojawiło się coś kolorowego, wirującego, wystrzeliło w jego kierunku, i nim zdążył zareagować, obejmowała go szczupła, przewiewnie ubrana kobieta i całowała namiętnie.

I długo. John, najpierw sztywny i wzbraniający się, zaczął znajdować w tym przyjemność, i to jaką! Objął ją również, poczuł miękką, pełną żaru skórę pod zwiewnym materiałem, wachał falujące kusząco włosy, rozpoznawał jednoznaczne reakcje swego ciała.

Patricia deBeers puściła go i cofnęła się o krok, jakby chcąc dokładniej obejrzeć go po długim rozstaniu. Wyglądała dobrze, o wiele lepiej, niż ją zapamiętał. Doskonała figura, regularna twarz, uosobienie kobiecego piękna — zaś tropikalne słońce wydobywało to wszystko i podkreślało. Znosi się na to, że podróż będzie przyjemniejsza, niż sądził.

Chwyciła jego dłoń i powiedziała:

— Chodź!

Pociągnęła go za sobą na pokład rufowy, śmiejąc się figlarnie jak zakochana pierwszy raz uczennica, a stamtąd przez szklane drzwi do salonu.

W środku puściła go, zamknęła drzwi i stanęła trzy kroki od niego, zakładając rękę na rękę.

— Takie jest moje zadanie, jeśli dobrze zrozumiałam. Jest pan zadowolony?

— Słucham? — wyrwało się Johnowi. W jej głosie było coś, co podziałało na niego jak wylane niespodziewanie na głowę wiadro zimnej wody, i zrozumiał. — Och, tak. Oczywiście. Absolutnie, hm, przekonująco zagrane. Absolutnie. — To wszystko na pokaz, jasne. Może nawet jest scenariusz wszystkiego, co mają robić przez następne tygodnie.

— Wspaniale. Uwielbiam, kiedy klienci są zadowoleni. — Nie zabrzmiało to, jakby naprawdę tak myślała. Wyglądem również tego nie potwierdzała. Stała, z napiętym wyrazem twarzy, każdy włoszek na karku nastroszony, drżąc na całym ciele z jakiegoś powodu. John poruszył dłonią, chciał zrobić coś, żeby ją uspokoić.

— Cudownie — powiedział uspokajającym tonem. — Jak mówiłem.

Odwróciła się, wyjrzała na świetliście błękitne morze, falanga masztów, dal. Przez chwilę stała tak nic nie mówiąc, wyglądając tylko jak ożywione zdjęcie z kalendarza.

— Wie pan, jak się czuję, *panie* Fontanelli? — spytała w końcu, zwracając się do niego głosem pełnym pogardy. — Może pan to sobie wyobrazić?

Miało to coś wspólnego ze sposobem, w jaki została zatrudniona. Wiedział to, nie musiała już mówić ani słowa.

— Proszę posłuchać...

— Nie, *pan* teraz mnie posłucha. Jeśli o mnie chodzi, może pan sobie być najbogatszy na całym bożym świecie. Ale to nie daje panu prawa, żeby traktować mnie jak śmiecia. Pozowałam do pańskiej nagrody *Gea*, w porządku. Tak się składa, że to mój zawód, pozowanie, wszędzie, gdzie się da. Ale to nie znaczy, że jestem dziwką, rozumie pan? Może pan wynająć mój czas, może kupić mój wygląd dla swoich celów — to interes. Zrobił pan to, i ja spełnię warunki. Jestem profesjonalistką. Ale nie może pan kupić mojej przychylności, *panie* Johnie Fontanelli, *panie* Billion Dolarów. Jestem modelką, ale przede wszystkim jestem kobietą, rozumie pan? Kobieta.

— Tak, widzę... Przepraszam, chciałem powiedzieć, że to dla mnie jasne. Że pani jest kobietą. To nie moja...



Zamrugnęła, jakby walczyła ze łzami.

— Nic innego nie mógł pan wymyślić? Czy ludzie robią się tacy, gdy stają się bogaci? Nie przychodzi im do głowy nic poza pieniędzmi?

— Nie, proszę zrozumieć...

— Mógł mnie pan po prostu *zapytać*. Po prostu zapytać, jak człowiek człowieka. Mężczyzna może zapytać kobietę, czy ona chce z nim być, nawet, jeśli to miałyby być tylko na ograniczony czas, na urlop, na kilka tygodni. Ona może odmówić, jasne, ale to ryzyko trzeba podjąć. Inaczej jej zgoda nie jest nic warta, rozumie pan?

John patrzył na nią bezradnie. McCainie nieźle go urządził.

— Tak — powiedział. — Rozumiem.

Spojrzała na niego, pokręciła głową tak mocno, że rozsypały się jej cenne włosy.

— Nie. Pan nic nie rozumie. Pan mnie po prostu zaangażował. Pan mi płaci. Dlatego moja zgoda nie ma żadnej wartości. Żadnej. — Na tym wyszła, zniknęła w mroku korytarza, nie włączając światła, i po chwili John usłyszał zatraskiwanie drzwi. Westchnął. Nie wiedzieć skąd, pojawił się steward z telefonem.

— Do pana — powiedział. Dzwonił McCainie.

— Kapitan powiadomił mnie, że pan przyjechał — zagrzmiał. — By I też już pierwszy występ, powiedział, na oczach co najmniej dziesięciu fotografów. Czy mam panu przysłać gazety, jak tylko znajdzie się pan na czołówkach?

— Proszę, nie — jęknął John i opadł na fotel. Podróż zapowiadała się o wiele gorzej, niż sądził.

— W porządku, nie to nie. Jeszcze tylko kilka szczegółów planu podróży. Wypłyniecie w morze, jak tylko bagaże będą na pokładzie, i na noc zarzucicie kotwicę w małym porcie w

zatoczce na południu. Rano na pokład przyjdzie urzędnik filipińskiego rządu, będzie wam towarzyszył, tłumaczył w razie potrzeby, i pokaże najpiękniejsze zakątki wśród tysiąca wysp.

— Gdzie reporterzy nie powinni móc nas łatwo odnaleźć, prawda?

— O to proszę się na razie nie martwić. Musimy ich odrobinę wspierać, jeśli chcemy pozostać dla nich interesujący. — McCaine przerwał. — Ma pan trochę przygnębiony głos. Czy coś jest nie tak?

John oparł głowę o miękkie obicie fotela i zapatrzył się we wzór czeczotki na suficie. Można było dostrzec tam głowy smoków i inne potwory, jeśli się chciało.

— Skąd to panu przyszło do głowy? Powodzi mi się doskonale. Następnego ranka w programie było śniadanie na pokładzie, by zaoferować coś ewentualnym fotografom. PROPHECY rzuciła kotwicę nieopodal małego, niezbyt licznie uczęszczanego portu jachtowego, i na górnym słonecznym pokładzie siedziało się jak na talerzu. Zadaszenie z błękitnego płótna żaglowego chroniło przed bezpośrednimi promieniami słońca, lecz nie przed wilgotnym skwarem, który obiecywał się jeszcze wzmóc.

— W sumie dziewiętnastu, panie Fontanelli — powiedział nie poruszając ustami steward, kiedy serwował im kawę i świeże, gorące croissanty.

— W sumie dziewiętnastu — co? — zdziwił się John, tak poirytowany osobliwym sposobem mówienia mężczyzny, że w pierwszej chwili nie zrozumiał, co ten ma na myśli.

— Trzech tam w szarym Hyundaiu na nabrzeżu, widzi pan? Człowiek na tylnym siedzeniu ma największy teleobiektyw, jaki kiedykolwiek widziałem. — Nalewał kawę specjalnie nazbyt ceremonialnie. Z pewnością naoglądał się za dużo filmów z

Jamesem Bondem. — Mamy na mostku świetną lunetę, stamtąd można przeszukać całą okolicę, nie będąc przez nikogo zauważonym. Widzi pan ten wielki żaglowiec przy trzecim pomoście, ten z niebieskim kadłubem? Jeden siedzi na rufie, dwóch na...

— W porządku — powiedział John i wyjął mu z dłoni filiżankę. — Dziękuję. Nie muszę tego wiedzieć aż tak dokładnie.

Steward wyglądał na dotkniętego. Nakrywał dalej w milczeniu obrażony, aż nadejście Patricii deBeers nie skierowało jego myśli na inne tory. Na tego rodzaju inne tory, że przy nalewaniu kawy kilka kropli spadło na spodek.

— A co to ma znaczyć? — ofuknęła bezbronnego mężczyznę.

— Przepraszam, panno deBeers, bardzo przepraszam — jąkał się — oczywiście natychmiast przyniosę świeżą fili...

— Mam nadzieję. I to jeszcze dziś, jeśli można.

— Jeszcze dziś, oczywiście, panno deBeers — zniknął pędem.

John znad krawędzi swojej filiżanki zmieszany przyglądał się jej, jak siada. Jak powiedziała wczoraj, była profesjonalistką. Otuliła się zwiewną podomką, włosy miała nieuczesane, a przecież wyglądała olśniewająco — przypadkowy obserwator nie mógłby dojść do innego wniosku, jak tylko, że oto ma za sobą upojną miłosną noc. Jej szorstkiego tonu nie słychać przecież na lądzie.

— I? Co dziś robimy? — spytała lodowatym głosem, choć uśmiechając się czarująco, i sięgnęła po croissanta.

John odstawił filiżankę. Powinien może wysilić się przynajmniej odrobinę, żeby nie niszczyć ogólnego wrażenia.

— Nie wiem. Później zjawi się wysłannik rządu, ma nas oprowadzić.

— Och. Jakże ekskluzywnie.

— Prawda? — Czy będą teraz przez całe tygodnie dokuczać sobie? Może być wesoło.

— Dziś w nocy — zaczęła, przerwała na chwilę, uśmiechnęła się, pozwoliła, by słowa wybrzmiały — czytałam przewodnik po Filipinach. Z biblioteczki pokładowej, proszę sobie wyobrazić. Niesamowite, jakie oni tu mają atrakcje. Na wyspie Palawan można pływać łódką po *Underground River*, ogromnej jaskini ze stalaktytami, jeszcze do końca nie zbadanej. Czy to nie podniecające?

— Mhm — mruknął John. — Brzmi nieźle. — Nawet jeszcze nie pomyślał o tym, żeby przejrzeć przewodnik. Czasem miał wrażenie, że mimo swego idiotycznego bogactwa marnuje własne, prawdziwe życie. Na przykład teraz.

— Albo te siarkowe źródła u stóp wygasłego wulkanu, Mount Makiling czy jakoś tak. To niedaleko stąd, może pięćdziesiąt mil. Proszę uczciwie powiedzieć — zmieniała ton głosu na obiecujące gruchanie — nie miałyby pan ochoty w tych gorących źródłach ze mną... *popływać*?

John popatrzył na nią. Chciał wziąć jeszcze jednego croissanta, ale jego dłoń po drodze zapomniała o swoim zamiarze.

— Pani nie mówi poważnie, prawda?

Zrobiła nadąsaną minę i podciągnęła nogi na siedzenie krzesła. Co utworzyło interesujące drapowania na jej podomce.

— Proszę mi też pozwolić na jakąś przyjemność — mruknęła dwuznacznie. Potem odwróciła głowę w kierunku wyjścia i krzyknęła: — Gdzie moja filiżanka, do cholery?

Wspinaczka na czwarte piętro kancelarii pozbawiło oddechu oboje — Ursulę, gdyż dźwigała swoją torbę, i Alberta Vacchiego, gdyż nie był już najmłodszy. Jego dłoń wyraźnie drżała, gdy

wkładał klucz do zamka.

— Cóż — powiedział, wciąż jeszcze dysząc — oto mieszkanie.

Ursula minęła go w drzwiach, rozejrzała się. Niski sufit, bielone ściany, meble z poprzedniego stulecia, uzupełnione lodówką, i staromodnym piecem i narzutami w wesołych kolorach. Czuć było stęchlizną.

— Długo już tu nikt nie mieszkał — powiedział, usprawiedliwiając się prawnik. Podszedł do jednego z okien i otworzył je szeroko. Hałas miasta wlał się do środka, odegnał poczucie beczasowości, jakie ogarnęło ją po wejściu. — Jest pani pewna, że chce tu zostać? Nie byłoby żadnego problemu. Szofer mógłby odbierać panią zawsze wieczorem i...

— Proszę spokojnie zamknąć — odpowiedziała Ursula, odstawiając torbę na ławę w kuchennej wnęce. — Nie, każdego dnia jechać tak daleko, to byłoby marnotrawstwo. Poradzę sobie.

Alberto Vacchi posłusznie zamknął okno, przejrzał szafki kuchenne otwierając z trzaskiem jedną po drugiej.

— Naczynia, ile pani chce. Tutaj, zapas puszek. — Wziął jedną w dłoń, zmarszczył nos, by przez dolną połowę swoich dwuogniskowych okularów odczytać napis. — Termin nawet jeszcze nieprzekroczony, coś takiego.

Ursula otworzyła lodówkę. Była włączona na najniższy stopień chłodzenia, znalazła w niej tylko butelkę wody.

— Mogę polecić pani kilka restauracji, całkiem niedaleko, gdzie mogłaby...

Ursula pokręciła głową.

— Będę jeść tutaj.

Stary prawnik przeciągnął dłonią po kręconej czuprynie.

— Powinniśmy byli pomyśleć o tym, żeby zorganizować coś do jedzenia. Czy mogę coś dla pani zamówić?

— Sama zrobię zakupy. Nie trzeba mi wiele. Kilka *pani*, trochę *latte*, odrobinę *verdura... e salame... vino rosso...*

— *Bene* — powiedział. — *D'accordo*. — Przez chwilę w zamyśleniu obserwował swoje buty. — Wyjawię teraz pani kombinację cyfr do sali z dokumentami. Zmienia się każdego miesiąca, ale do końca sierpnia zostały jeszcze prawie dwa tygodnie. Dostanie pani klucz.. Co jeszcze? — Spojrzał na nią. — Ach, tak. Powiem odźwiernemu. Przychodzi tu co drugi dzień i sprawdza dom. Musi o pani wiedzieć. — Zastanowił się chwilę, ale nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Uniósł ręce. — *Si*, to wszystko. Poza tym — wszędzie są telefony, więc gdyby pani czegoś potrzebowała... albo coś się działo... proszę po prostu zadzwonić.

— Tak zrobię — skinęła głową Ursula. Starszy człowiek z fircykowato poskładaną chusteczką w butonierce robił wprost wzruszająco zatroskane wrażenie.

— Co pani zamierza? — zapytał.

Ursula wzruszyła ramionami.

— Szukać — powiedziała. — To akurat potrafię dobrze. Szukać, aż coś znajdę.

Wysłannikiem rządu był młody, postawny Filipińczyk imieniem Benigno Tatad, mężczyzna o barach olimpijskiego pływaka. Uprzejmie przywitał się z Johnem, wyjaśnił, że prezydent Ramos przekazuje mu osobiste pozdrowienia. Robił przy tym tak onieśmiałe wrażenie, jakby bogactwo Johna było czymś, przed czym właściwie powinno się paść na kolana. Kiedy na dodatek w zasięgu wzroku pojawiła się Patricia, było po nim. Drżącymi rękami rozłożył mapę Filipin i zaproponował im kurs „do bajkowych wysp i zagubionych plaż ze snu”, jak się wyraził.

Prawie zemdlał, kiedy John wyraził swoją akceptację i poprosił go o zakomunikowanie kursu kapitanowi.

Wkrótce PROPHECY podjęła swój powolny rejs na południe. Minęli Balayan Bay, gdy słońce zachodziło nad Morzem Południowochińskim zaczarowując świat w symfonię czerwieni i pomarańcza. Kiedy dotarli do przesmyku Verde Island, tafla morza spokojnie, ciemnoszaro i fioletowo leżała przed cienistym zarysem północnego wybrzeża Mindoro. Z zapadnięciem zmroku zarzucili kotwicę przed Puerto Galera i kazali motorówce przenieść się w jaskrawe nocne życie.

Stanowili osobliwą grupę. Razem z ochroniarzami było ich siedmiu mężczyzn otaczających Patricię, czym królowa piękności zdawała się prawdziwie rozkoszować. Bardziej tańczyła, niż szła, flirtowała na prawo i lewo i sprawiała wrażenie, że świetnie się bawi.

— Czy ktoś nas obserwuje? — spytał John Marca, gdy opuszczali pierwszą dyskotekę.

Ten powoli przytaknął.

— Dwóch z kamerami, na ukos za nami. I z przodu jeden na rowerze też na takiego wygląda.

John pochylił się ku Patricii.

— Jesteśmy na służbie.

— Założę się, że panu się to podoba — zadrwiła.

Odwiedzili kilka tonących w jaskrawym świetle dyskotek, jeden prawdziwie niechlujny bar, i w końcu ruszyli wzdłuż plaży z powrotem do łodzi. Ich oddelegowany przez państwo towarzysz starał się robić dobrą minę do złej gry, ale jego uśmiech od jakiegoś czasu stał się nieco sztuczny, i kiedy John go spytał, przyznał, że jego zdaniem Puerto Galera *by night* niekoniecznie należy do tych atrakcji Filipin, które polecono mu pokazać.

Podczas dni, jakie nastąpiły potem, przepływali obok wielu wysp, bujnych lasów i obrębionych palmami plaż. Raz po raz pojawiały się pomalowane na jaskrawe kolory rybackie łodzie, pojedynczo albo grupkami, niektóre z warkotem silników i szeroko rozciągniętymi sieciami, inne przeciągały obok nich cicho, pchane żaglami w pysznych barwach. Machali do nich, ale rybaków najwyraźniej nie interesował potężny jacht. Przecięli Morze Sibuyan, skierowali się wzdłuż wybrzeży południowego Luzonu i w końcu zobaczyli wulkan Mayon, sterczący wysoko w niebo, o kształcie idealnego stożka. Rzadka chmura białego dymu wydobywała się z jego wierzchołka, niczym nieustanne ostrzeżenie o niebezpieczeństwie, jakie stanowi.

Patricia zaproponowała, żeby pospacerować trochę po Legaspi, mieście u stóp wulkanu. Benigno Tatad ostrożnie sprzeciwił się, że to niezwykle nudne i pozbawione atrakcji miasto, bez żadnego polotu.

— W porządku — natychmiast odpowiedziała Patricia. — W takim razie zrobmy co innego.

— Powinniśmy popłynąć do Boracay — doradził wysłannik. — Wielu mówi, że plaże Boracay są najpiękniejsze na świecie.

Więc popłynęli dalej, między mniejszymi i większymi wyspami, po wodzie czystej jak w raju, z powrotem na Morze Visaya i dalej na zachód. Pewnego razu nadleciał sportowy samolocik i krążył nad nimi, ale trudno powiedzieć, czy w środku byli reporterzy, czy bogaci turyści, pragnący zdobyć oryginalne zdjęcia. Powód ich podróży i jej cel i tak popadał stopniowo w coraz większe zapomnienie, spokojna monotonia dni, których największymi wydarzeniami były smakowite posiłki i godziny przedrzemane pod słonecznym parasolem, kiedy zasypiali ukołysani łagodnym kolebaniem statku i szumem wody rozpryskiwanej przez kil,



odwróciła ich myśli od świata istniejącego poza granicami tego raj. John czuł, jak warstwa za warstwą opada z niego napięcie ostatnich dwóch lat, owego niekończącego się maratonu, bez chwili wytchnienia czy choćby przerwy na złapanie oddechu. Chwilami wręcz zadawał sobie pytanie, czy, jeśli osiągnie całkowite odprężenie, jeszcze cokolwiek zostanie z niego samego.

Boracay. Kołysali się wśród mieniących się turkusem wód obszernych zatok, po których śmigały małe rybackie łódki pod kolorowymi żaglami, podziwiali plaże białe jak mleko w proszku, otoczone palmami kokosowymi niczym w książce z obrazkami. Największa z nich, White Beach, okazała się cała zabudowana atrakcjami dla turystów, ale dzięki wskazówkom Benigna znaleźli mniejszą plażę dalej na południe.

— Są tu cudowne rafy koralowe. Jeśli państwo macie ochotę, przy jednej z nich można nurkować — zachęcał Benigno.

John nie był zachwycony.

— Nie umiem nurkować.

— Zamówię dla pana instruktora, który pana nauczy, nie ma problemu. Razem ze sprzętem.

Patricia uznała to za świetny pomysł. Uparła się, żeby Benigno nurkował razem z nią, na co ten zgodził się z wyraźnie mieszanymi uczuciami. Następnego dnia przyjechał instruktor nurkowania, starszy wiekiem siwiejący Filipińczyk, mówiący poza zwrotami używanymi przy nurkowaniu tylko łamaną angielszczyzną, i wyładował ze swojej łodzi tyle aparatów tlenowych, że starczyłoby dla połowy dywizji.

John przeniósł swoje leniuchowanie na przedni pokład i pozwolił, by inni z tyłu ćwiczyli nurkowanie z rurkami i aparatami, sam zaś rozkoszował się spokojem.

— Oficjalnie przyjechałem, żeby przekazać pani nowe kody do zamków — oznajmił Cristoforo Vacchi, od jakiegoś czasu podpierający się przy chodzeniu laską, i uśmiechnął się delikatnie. — Ale oczywiście ten pretekst pojawił się w samą porę, bo chcieliśmy zobaczyć, co u pani słyhać. Codziennie przy kolacji rozmawiamy o pani. Że się o panią martwimy, to byłoby za dużo powiedziane, ale tak sobie rozmyślamy. Nie mamy przecież prócz tego wiele do roboty.

Ursula przyglądała się *Padrone* zmrużonymi oczami, zaskoczona jego niespodziewanym przybyciem, i poirytowana obecnością innego człowieka w tych pomieszczeniach.

— Czy to już naprawdę koniec sierpnia? — zapytała.

— Trzydziesty pierwszy.

— Nie do wiary. — Straciła poczucie czasu, jak zawsze, kiedy szperała w archiwach i kiedy ją przy tym zostawiono w spokoju. Zdawało jej się, że przyjechała tu dopiero wczoraj, i równocześnie uwierzyłaby, że na zewnątrz minęło już trzydzieści lat, gdyby jej tak powiedziano. Odłożyła ołówek i wstała, czuła się oszołomiona koniecznością rozmawiania. — Znalazłam coś, co wydaje mi się dziwne. Powinien pan to zobaczyć.

— Chętnie.

Otworzyła klimatyzowaną witrynę, w której przechowywano książki Giacomo Fontanellego, przejrzała te częściowo niezdarnie, częściowo wprawnie opracione tomy, z których wystawały pośpiesznie zabazgrane paski papieru, zakładki, przekartkowała je palcami.

— Tutaj. — Wyjęła wąski pasek papieru, jeden z ostatnich, otworzyła na zaznaczonej stronie i wskazała mu ją. — Tutaj. Ta notatka. Jak by pan to przetłumaczył?

*Padrone* poprawił okulary i przyjrzał się blademu, kulfoniastemu pismu.

— Hmm. To niełatwe.

— Fontanelli z biegiem czasu nabrał zwyczaju notowania na marginesach swoich ksiąg, to prawie coś w rodzaju dziennika. Z kim rozmawiał, gdzie wietrzy jakiś interes, tego rodzaju rzeczy. To jedyna notatka prywatnej natury.

Cristoforo Vacchi usiadł przy stole, przysunął sobie bliżej lampę, czytał po cichu wiersz po wierszu.

— Dziwne, naprawdę — stwierdził wreszcie i przetłumaczył: — *Dziś rozmowa z ojcem. Może jakieś wyjście.* Co mógł mieć na myśli?

— Sądziłam do tej pory, że był nieślubnym dzieckiem i nie znał ojca — powiedziała Ursula.

— Tak w każdym razie podaje w swoim testamencie.

— W którym stwierdza także, że zostawia majątek, a nie długi.  
— Ursula pokręciła głową. — Powtórzyłam wszystkie rachunki. Przez wszystkie lata, wszystkie floreny i cekiny i marki i fenigi. To niesamowity chaos, ale wszystko dobrze policzył. Jeśli kiedykolwiek odłożył jakieś pieniądze, to z interesów, których nie zapisano w księgach.

*Padrone* ostrożnie kartkował trzeszczące stare kartki.

— Z jakiego czasu pochodzi ten wpis?

— Marzec 1522. — Sprawdziła w notatkach, w grubym notatniku zapisanym kolumnami liczb. — Miał wtedy prawie pięćset florenów długu i zalegał ze spłatą dłużnikom, aż krótko potem niejaki *J.* podarował mu dwieście florenów. Niezły szachraj był z tego naszego wielkiego fundatora.

Vacchi zamknął księgę, odłożył ją na bok. — I jak pani to tłumaczy? Ursula pomasowała podbródek.

— Na razie w ogóle. Wiem tylko, że muszę jechać do Rzymu. Trzeba odszukać resztę dokumentów Giacomo Fontanellego.

— Które mogą być, Bóg wie gdzie.

— Przeniesiono je w tym stuleciu. Na pewno są jakieś zapiski o przejęciu, protokoły, cokolwiek, co pomoże mi je znaleźć.

— Poradzi sobie pani z tym?

— Tak. — Była w jednym z komitetów, które po upadku reżimu NRD miały decydować o dalszym zatrudnieniu nauczycieli, profesorów i innych urzędników państwowych. Jej talent do odnajdywania dokumentów ujawnił się w archiwach zlikwidowanych służb bezpieczeństwa, i czasem sama trochę się siebie bała, kiedy trafiała na dokumenty, obciążające kogoś o współpracę ze Stasi, choć je ukryto albo odłożono w niewłaściwe miejsce. To było jak szósty zmysł. Tak, poradzi sobie.

— Dobrze — powiedział *Padrone*. — Załatwimy wszystko. Znam parę osób, wiem, do kogo mogę zadzwonić, żeby otworzyć pani kilka drzwi...

Steward, kiedy go zbudził, nie zrobił tego, żeby przypomnieć mu o obiedzie, lecz by podać telefon. Dzwonił McCain, który powiedział:

— Księżniczka Diana nie żyje.

John usiadł prosto, przełożył słuchawkę do drugiego ucha i skrzywił się, by odegnać uczucie tępego zamroczenia.

— Słucham?

— Była żona brytyjskiego następcy tronu. Dziś w nocy w Paryżu rozbiła się samochodem o filar mostu.

— Co? — Wilgotny żar przygniatał głowę. — A dlaczego?

— Zdaje się, że próbowali uciec przed zgrają fotografów, ścigających ich na motocyklach. Byli we czwórkę, ona, jej

przyjaciel, kierowca i ochroniarz. Ten ostatni żyje jeszcze, ale nie wiadomo, czy uda się go uratować. Tragiczna sprawa.

— Coś takiego. — W końcu odzyskał zdolność wyraźnego widzenia. Potrafiłby znów powiedzieć, jak się nazywa. Powinien chyba odczuwać coś w rodzaju przygnębienia albo współczucia, ale jeszcze nie był na tym etapie. — A po co mi pan o tym opowiada? Mam może jechać na pogrzeb?

— Sprawy nie zaszły jeszcze tak daleko. Opowiadam to panu, ponieważ to oznacza, że uwaga opinii publicznej zwróci się teraz na inne, muszę przyznać bardziej interesujące wydarzenie, niż pański romans z panną deBeers.

— Aha. — Czy powinien poczuć się urażony? — Czy to znaczy, że mam wracać?

McCaine odkaszlnął.

— O, wygląda na to, że wprost nie może się pan tego doczekać. Czy naprawdę z najpiękniejszą kobietą świata układa się tak okropnie?

— No cóż, od jakiegoś czasu da się jakoś wytrzymać.

— Odkąd ją pan zwabił do łóżka, zapewne. No świetnie. Nie, chciałem pana prosić, żeby mimo to jeszcze został, gdzie jest. Chciałbym najpierw przekonać się, czy intensywność doniesień osłabnie. Znosi się wprawdzie właśnie na coś w rodzaju publicystycznego chronicznego orgazmu, ale nawet pogrzeb księżniczki kiedyś dobiegnie końca, a wtedy... Proszę zostać jeszcze dwa tygodnie. Na wypadek, gdybyśmy jednak musieli coś zainscenizować.

John przyglądał się swoim nagim stopom, poruszał palcami i mrużąc oczy spojrzał na niezgłębiony błękit nieba. Nie potrafił sobie wyobrazić, że w ogóle kiedykolwiek ma wrócić do biura.

— W porządku. Dla mnie w porządku...

*Mam nadzieję, że zabrzmiało to dostatecznie obojętnie,* pomyślał, opadając po skończonej rozmowie z powrotem na leżak i wzdychając z zadowoleniem. Nim zapadł znów w drzemkę, pomyślał jeszcze: *Kto by przypuszczał, że fotoreporterzy mogą być tak niebezpieczni...*

McCaine odłożył słuchawkę na widełki i na jego czole pojawiły się zatroskane zmarszczki. Była piąta rano, a on był po nocy spędzonej w biurze. Naprzeciw niego stały trzy telewizory, w których oglądał równocześnie wiadomości trzech stacji informacyjnych: CNN, NEW i SKY-News. Przez czwarty monitor nieustannie przemykały informacje tekstowe — usługa informacyjna agencji Reutera. Za oknem powoli budził się Londyn.

— Foster — powiedział w przerzedzającą się ciemność.

Mężczyzna, który podszedł do stołu, był szczupły i wysoki, wiele więcej nie dałoby się o nim powiedzieć, gdyby go spotkać na ulicy. Miał oczy w kolorze obsydianu i cieniutkie wąsiki, miewał jednak już oczy w wielu kolorach, a wąsy dawały się szybko zgolić, o ile i tak nie były fałszywe.

— Księżniczka nie jest jedyną kobietą, która wczoraj zmarła w Paryżu — powiedział McCaine, wyjął ze stosu cienką teczkę i podsunął ją do niego.

Foster czytał w milczeniu, przyglądał się zdjęciom.

— Constantine Volpe. Co ma się z nią stać?

— Nie w tym problem. Problem nazywa się Marvin Copeland. Niedoszły muzyk rockowy, i na nieszczęście pan Fontanelli uważa go za przyjaciela z dawnych czasów. — Opadł głęboko na fotel i przeczesał włosy obiema dłońmi. — Zgodnie z prawem nie powinien siedzieć teraz w paryskim areszcie śledczym, ale w prawdziwym włoskim więzieniu. Pan Fontanelli popełnił błąd i

uchronił go przed tym. Gdyby tego nie zrobił, Constantine Volpe nie byłaby teraz kolejną ofiarą heroiny we francuskich statystykach narkotykowych.

Foster oddał mu teczkę. Przeczytał ją, nie będzie mu już potrzebna.

— Co pan chce, żebym zrobił? McCainie podniósł się, ciężko wzdychając.

— Na lotnisku czeka Jet, który zawiezie pana do Paryża. Jak tylko francuskie sądownictwo zacznie pracę, ma pan u nich być. Proszę wyciągnąć Copelanda, za kaucję, za dobre słowo, obojętnie jak, i proszę go wywieźć z kraju.

— Dokąd?

— Do Kanady. Jest tam prywatna klinika odwykowa, w której dobrze wykonują swoją robotę i nie stawiają pytań, póki płacone są rachunki. — Otworzył szufladę i wyjął z niej wizytówkę. — Proszę, oto adres. — Druga wizytówka. — Pod tym numerem znajdzie pan człowieka, który od dawna pracuje dla mnie w USA. On może panu pomóc we wszystkim na miejscu.

Foster studiował oba arkusiki w bladym świetle stołowej lampki, po czym je również oddał.

— Jak on się nazywa?

— Jak on się nazywa, cóż — McCainie zastanowił się. — Powiedzmy, że nazywa się Ron Butler. — Otworzył inną szufladę i wyjął z niej grubą kopertę. — To jest sto tysięcy funtów. Tyle było akurat w sejfie. Jeśli będzie pan potrzebował na kaucję więcej, proszę do mnie zadzwonić. Proszę do mnie na pewno zadzwonić, jak tylko będzie pan miał Copelanda. Klinikę już poinformowałem, czekam jeszcze tylko na ostateczną zgodę; ich zarząd pracuje tylko w ciągu dnia.

— Dobrze. — Foster wziął kopertę i nie poświęcając jej uwagi,

wsunął ją w kieszeń. Ociągał się przez moment. — Klinika... czy to pewne rozwiązanie?

— Copeland to przyjaciel pana Fontanellego, proszę o tym nie zapominać.

— Nie zapominam.

— Poza tym mogę pana uspokoić. Klinika leży na odludziu w Quebec, i personel umie tam pilnować pacjentów. Mają lepszą statystykę ucieczek niż Alcatraz. Stamtąd wychodzi się dopiero, kiedy jest się absolutnie czystym — a czasem nawet wtedy nie. — McCaine potarł zaczerwienione oczy. — Póki są płacone rachunki. A będą płacone.

Foster skinął głową. Czy na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu? Prawdopodobnie to tylko złudzenie, odbłask z morza światła miasta.

McCaine wyprostował się, ciężko opuścił dłoń na stos akt.

— To na razie wszystko. Jakbym nie miał dość zmartwień z tymi wszystkimi pozwami karteli, doniesieniami i problemami z bilansem, teraz muszę się jeszcze troszczyć o idiotę, który pociągnie w katastrofę każdego, kto się z nim zada. Rzygać się chce. Niech pan idzie, Foster, i proszę, niech pan mnie uwolni od tego problemu.

— Jak zwykle, panie McCaine. — Krótkie skinienie głową, potem cofnął się z powrotem w światło świtu, zdawał się w nim rozpływać. Ale przy drzwiach zatrzymał się jeszcze raz. — To zdarzenie... Gdyby media to zwietrzyły, to byłoby nieprzyjemnie dla pana Fontanellego, prawda?

McCaine spojrział na niego ponuro.

— Prawda.

— Patrząc na to w ten sposób, można powiedzieć, że śmierć księżniczki była dla nas sporym szczęściem.



— Tak — powiedział tylko McCain.

Popłynęli dalej na południe. Wprost w królestwo tysiąca wysp, mijali małe garby lądu wystające z morza, piaszczyste zarośla, nisko zwieszające się palmy, wpływali wszędzie, gdzie echosonda wykryła rynnę wystarczająco głęboko, by mogli przepłynąć. Patricia i Benigno nurkowali, kiedy tylko PROPHECY zarzucała kotwicę, i — gdy John spotykał ich przy stole — zachwyceni opowiadali o wspaniałych barwach koralu, o morskich anemonach i ławicach ryb. Zdawało mu się przy tym, że w ich wzajemnym stosunku dostrzega poufałość, która kazała mu się zastanowić, czy Patricia nie rozpoczęła romansu z młodym, przystojnym wysłannikiem rządu. Z drugiej strony nic go to nie obchodziło; jeśli mają ochotę, proszę bardzo.

Na dłuższą metę jednak znudziło mu się drzemanie po całych dniach i dał się namówić na próbę nurkowania. Przez chwilę bulgotał pod okiem instruktora, zobaczył, jak tamtych dwoje znika zgodnie ramię w ramię w tajemniczych, lazurowych głębinach, oglądał rufę PROPHECY i nudził się. Gdy jacht sunął dalej po kryształowo czystym morzu, John ćwiczył oddychanie z aparatem tlenowym, uczył się najważniejszych znaków dłonią i zakładania kombinezonu z neoprenu. Wreszcie znów zarzucili kotwicę, w zasięgu wzroku nieco większej, najwyraźniej zamieszkałej wyspy, pod strzelistą skałą, za którą rozpoczynała się migocąca pstrokato rafa koralowa, której wąska plaża usiana była wyrzuconym na brzeg drewnem.

— Ta wyspa tam — wie pan, jak się nazywa? — John zwrócił się do wysłannika rządu.

Ten zajęty był swoim kombinezonem nurka.

— Panglawan — powiedział, rzucając pobieżnie okiem, z

przelotnym, nieco wymuszonym uśmiechem. John nauczył się już interpretować tego rodzaju odpowiedzi; znaczyło to, że Benigno nie wie, albo przynajmniej niedokładnie.

W gruncie rzeczy było to przecież obojętne. Po ostatnich upomnieniach instruktora John założył jak inni maskę, poprawił aparat tlenowy, i zanurzył się w turkusowym morzu, ruszając ku cudom nietkniętej natury.

Najpierw wokół niego był tylko chaos tańczących pęcherzyków powietrza, jakby aparat tlenowy chciał się usamodzielić, i potrzebował chwili, nim zaczął się orientować w otoczeniu. Gdy w końcu był w stanie się rozejrzeć, zobaczył tylko pustynię.

Wszystko wokół było martwe. Garstka małych, kolorowych, tropikalnych ryb przemknęła nad szarym dnem morza, jakby pragnęły stąd tylko uciec. Gdy John podpłynął bliżej, pośpiesznie schowały się w ziejących czernią jamach wymarłej rafy koralowej. John chwycił coś, co wyglądało jak skała, jednak rozkruszyło mu się w palcach. Spojrzał w górę. Zbliżała się do niego Patricia, z długimi, falującymi włosami wyglądała jak syrena, a w oczach miała ten sam niepokój, jaki odczuwał on sam.

Popłynęli dalej, Benigno w sporej odległości przed nimi, ale gdziekolwiek się znaleźli, wszędzie znajdowali tylko szarą, pozbawioną życia podwodną pustynię. Na każdym parkingu pod supermarketem było więcej życia niż w tej koralowej zatoce. W końcu Benigno zatrzymał się, odwrócił do nich i dał znak, żeby podpłynęli bliżej.

W tej samej chwili John usłyszał głucho „*Bum!*” i zaraz potem drugie. Potrzebował kilku sekund, by zorientować się, że to, co słyszał, to wybuchy.

Alberto Vacchi czekał na nią na tarasie przed hotelem, gdy wracała z archiwum państwowego, jak w poprzednie dni. Nie wiedziała, co robił całymi dniami; wyglądało na to, że nic poza siedzeniem tu, piciem cappuccino i czekaniem na nią.

Opadła na wolne krzesło naprzeciw niego, z torbą pełną notatników i fotokopii na kolanach, i spojrzała zmęczona.

— Wcześniej dziś pani przyszła — powiedział stary adwokat, odwzajemniwszy przez chwilę jej spojrzenie spod współczująco uniesionych brwi. — Chciałaby się pani czegoś napić? Ma pani z pewnością gardło pełne kurzu.

— Nie tylko gardło — przytaknęła Ursula Valen i przełożyła torbę na trzecie krzesło. — Wodę, tak, proszę. Albo whisky. Podwójną, potrójną...

Dał znak kelnerowi.

— *Madre mio*, to nie brzmi dobrze.

— To beznadziejne, Alberto. Beznadziejne. Nie przychodzi mi już do głowy żadne hasło, jakiego mogłabym szukać. Zdaje mi się, że miałam już w dłoni każdą co do jednej kartkę papieru, jaką tam mają.

— Może potrzebuje pani więcej pomocy. Mógłbym jeszcze kilka studentek z...

— Nie, nie o to chodzi. Ludzie, którzy mi pomagali, są wyśmienici — pilni, domyślni, angielski znają lepiej ode mnie... Nie, tych dokumentów tam nie ma. Koniec, kropka.

Pojawił się *Cameriere*, drobny, ciemnoskóry mężczyzna o ostro skrojonym, haczykowatym nosie. Ursula Valen zamówiła *San Pellegrini* i jedną *cafe eon latte*, Alberto Vacchi zamówił *amaretto*.

— Hmm — mruknął, kiedy kelner na powrót się oddalił,

wciągając przy tym głowę w ramiona w taki sposób, że na szyi utworzyły mu się okrągłe fałdki. — Ale są zapisane w księdze przyjęć, prawda? Powinny tam być.

— Szukaliśmy w skorowidzu osób. Żadnego Fontanellego. Był jeden Vacchi, ale nie miał nic wspólnego z wami. Szukaliśmy w spisie miejscowości, w katalogu słów kluczowych, w...

Raptowny hałas kazał im się odwrócić. W dwuskrzydłowych drzwiach, prowadzących do kuchni, ktoś się zderzył, na podłodze leżała taca, wokół niej rozprysnięte kawałki zielonej butelki wody mineralnej i szklanki, i stażystka, bliska płaczu, musiała wysłuchać reprymendy *Cameriere*.

Alberto zdawało się to bawić.

— Kiedy w zeszłym roku nocowałem tutaj, zdarzyło się dokładnie to samo — opowiedział. — Powinni umieścić tu coś w rodzaju znaków drogowych, żeby każdy od razu wiedział, przez które drzwi się wchodzi, a przez które wychodzi.

— Tak — odpowiedziała nieobecna duchem Ursula. — Myślałam właściwie, że to i tak ustalone. — Światło późnego słońca migocącymi refleksami załamywało się na jednym z kawałków szkła. Jedno ze skrzydeł drzwi wciąż się kołysało wydając cichy, skrzypiący dźwięk, przypominający ptasi świergot. Alberto coś powiedział, ale nie słyszała co, myślała o znakach drogowych i wyjściach z kuchni i zaczęła kręcić głową. — Ależ ze mnie idiotka! Jestem największą idiotką, jaka kiedykolwiek...

— Ursula? — spytał Alberto, patrząc na nią zatroskany. — Co pani jest?

Wstała, spojrzała na zegarek. Powinna jeszcze zdążyć.

— Muszę jeszcze raz pójść do archiwum — powiedziała i dopiero teraz zorientowała się, że przedtem nieświadomie

mówiła po niemiecku.

— Do archiwum? Ale co też pani zamierza tak późno...

— Książkę wypisów. Zapomniałam zapytać o książkę wypisów.

Wynurzyli się. Benigno chlapiąc wodą, zerwał maskę z twarzy.

— Łowią na dynamit — krzyknął podniecony i rozejrzał się. — Tam po drugiej stronie — wskazał ręką.

Rzeczywiście, na falach kołysała się wąska rybacka łódka, nie oddalona nawet o ćwierć mili. Można w niej było dostrzec dwóch mężczyzn, jeden wiosłował, drugi manipulował wielkim chwytakiem.

— W takim razie nie pozostaje nam nic, tylko odjechać — stwierdził John i rozejrzał się za PROPHECY, jednak jacht stał na kotwicy za skałą zamykającą zatokę, i stąd nie można było go dostrzec.

— Nie, muszę tam popłynąć — upierał się wysłannik rządu. — Łowienie na dynamit jest surowo wzbronione. Niszczy korale, narybek... Przecież pan widział. To mój obowiązek, zatrzymać tych ludzi.

— A jak pan to zamierza zrobić? Gołymi rękami? Ci ludzie mają *dynamit!*

Ale Benigno pokręcił głową, założył ponownie maskę i zanurkował w kierunku łodzi.

— I co teraz zrobimy? — spytała zaniepokojona Patricia. Nie możemy go przecież zostawić samego.

John zachmurzył się.

— Moi ochroniarze rzucają pracę, jeśli tak po prostu za nim popłynę. — Pomacał pasek, szukając małego plastikowego etui, które wmusił mu przed nurkowaniem Marco, otworzył je i wyjął aparat radiowy. — Zobaczmy, czy te urządzenia rzeczywiście są

tak wodoodporne, jak twierdzi producent. — Włączył aparat i, patrzcie tylko, choć kapała z niego woda, zapaliła się czerwona lampka. — Miła zabawka. — Nacisnął przycisk wywołania. — Marco? Słyszysz mnie pan?

— *Stychszę pachną głośno i wychrachźnie* — ze szczelnie osłoniętego głośnika wydobyły się trzaski.

— Marco, niech pan tu przyjedzie motorówką — krzyknął John do również szczelnie osłoniętego mikrofonu, mając nadzieję, że wyraża się dostatecznie prosto i jednoznacznie. — Jesteśmy w zatoce! I proszę się pospieszyć.

Odpowiedzią było dalekie, niezrozumiałe *Mchrchr-krchry*.

— Łódką — powtórzył. — Łódka. Przyjechać. Szybko.

— *Wchrchr krchchr techrchr*.

John spojrzał na czerwoną diodę, wyglądającą nagle jak szyderczo mrugające oko.

— Cóż, w każdym razie zrobiłem, co mogłem — orzekł, wyłączył urządzenie i wcisnął je z powrotem do kieszeni. — Chodźmy. Nie możemy zostawiać Benigno samego.

Odpięli aparaty tlenowe i popłynęli za nim, po powierzchni i bez szansy na dogonienie go. Najwyraźniej szerokie plecy pływaka zawdzięczał nie tylko swoim genom. Kiedy zbliżali się do łodzi rybackich, wokół nich na powierzchni morza unosiły się małe martwe rybki, coraz więcej, im bliżej podpływali do łodzi, ofiary dwu podwodnych eksplozji.

Obaj rybacy zajęci byli zbieraniem swego łupu po drugiej stronie łodzi i nie zauważyli ich. Kiedy Benigno zniemacka się przed nimi wynurzył, przelękli się niemal śmiertelnie.

Jeden prawie wypuścił z dłoni chwytak, drugi zaczął krzyżeć. Benigno odpowiadał mu krzykiem w języku, który w uszach Johna zadawał się składać wyłącznie z wariacji słów *malang-*

*malang* i *ala-la*, a potem krzyczeli wszyscy jeden przez drugiego.

Wtedy ten z wiosłem odkrył, że John i Patricia również podpływają do łódki. Poderwał się, uniósł wiosło do góry niczym maczugę, krzycząc i gestykułując, wyraźnie bliski utraty panowania nad sobą.

Drugi mówił coś do niego, próbował go uspokoić, lecz widocznie nie miał zbyt dużego wpływu na towarzysza.

— O Boże — krzyknęła Patricia, zachłysnęła się wodą, wypluła ją — on roztrzaska Benigno czaszkę!

John nic nie odpowiedział, głównie dlatego, że od szybkiego płynięcia całkiem stracił dech. Zatrzymał się i wyciągnął rękę, by powstrzymać Patricię od podpływania jeszcze bliżej do łódki, która pod wściekłym wioslarzem kołysała się z boku na bok i niewątpliwie przewróciłaby się, gdyby nie jej dwa wysięgniki. To już nie była zabawa.

— On się boi o swoją łódkę — wychrypiała, otrząsając się z wody Patricia. — Zostanie skonfiskowana, jeśli przyłapią go na łowieniu dynamitem. Dawniej groziła za to nawet kara śmierci.

John rzucił jej zdziwione spojrzenie.

— Skąd pani to wszystko wie?

— Było w przewodniku.

To czyniło zdenerwowanie mężczyzny zrozumiałym. Rybak bez łodzi, to oznacza ruinę. Ludzie mordowali już z błaższych powodów.

Jednak zamiast tłuc dalej wokół siebie, człowiek z wiosłem znieruchomiał nagle, stał niczym pomnik, gapiąc się ponad nimi na horyzont. Mimowolnie odwrócili głowy, chcąc zobaczyć, co tam może być — wprost na nich płynęła motorówka PROPHECY, biała i elegancka, mknęła po falach. Teraz, kiedy krzyki zamilkły, dało się słyszeć głuchy warkot łodzi.

Przysadzista sylwetka rybaka skurczyła się. Upuścił wiosło, usiadł i ukrył twarz w dłoniach, płakał. Drugi patrzył na niego przybity, z dłonią na kilku rybkach w jego kociołku, i tak pogodzili się ze swym losem.

Motorówka podpłynęła do nich wzdłuż burty. Za sterem siedział Marco, obok niego młody, chudy mężczyzna w okularach słonecznych, na imię miał Chris, o ile John pamiętał, rudowłosy Irlandczyk, najwyraźniej zmęczony tropikalnym słońcem.

— Wszystko w porządku? — spytał zatroskany Marco i spuścił drabinę, żeby mogli wejść na pokład.

Najbardziej wstrząsnęło Johnem to, jak mizerny był połów rybaków. W starym, plastikowym wiadrze w musztardowym kolorze dno było ledwie zakryte rybami, z których żadna nie była większa od dłoni. Razem z ogłuszonymi rybami jeszcze unoszącymi się na wodzie, byłyby z tego najwyżej dwa posiłki, gdyby zjeść również płetwy i ości.

— Nie rozumiem — powiedział do Benigno. — Jak to się może opłacać? Chodzi mi o to, że dynamitu nie dostają przecież za darmo.

Benigno nie był w nastroju dla ekonomicznych rozważań. Siedział, ocierał drżącymi dłońmi twarz i mamrotał pod nosem coś w swoim ojczystym języku.

— Ponad dziewięćdziesiąt procent raf koralowych zostało już zniszczonych dynamitem — wyrwało mu się. — Zabrania im się tego. Zabiera im się łodzie. A oni wciąż nie przestają.

— Tak — skinął głową John. — Ale musi być jakiś powód.

— Bo są głupi! Głupi, przesadni i uparci. — Wyglądał naprawdę na wykończonego.

John spojrział po zebranych. Marco patrzył na niego wyczekująco, czekał na polecenia. Patricia przykucnęła obok



Benigno na ławce i wydawała się niezdecydowana, czy ma go objąć, czy nie. Dwaj rybacy patrzyli na nich ze swojej kołyszącej się na falach łodzi, na ich twarzach malowało się przerażenie.

— Benigno — powiedział John. — Chciałbym zobaczyć, jak oni żyją.

Delegat rządu spojrział na niego, nie rozumiejąc.

— Jak żyją?

— Tak. Ich wioskę, ich rodziny, całe otoczenie. Chcę zrozumieć, dlaczego to robią.

— Po co?

— Chyba to właśnie powiedziałem: „Chcę zrozumieć, jak żyją”. Barczysty Filipińczyk chciał się sprzeciwić, jednak chyba przypomniało mu się, jakie zadanie mu przydzielono.

— Żyją bardzo prosto. To z pewnością dla pana nic ciekawego.

— Jeśli to mnie interesuje, to widocznie jest to dla mnie ciekawe. Wysłannik rządu walczył ze sobą.

— Ale to nie należy do pięknych stron mojego kraju. Miałem panu pokazać piękne widoki, a nie jakąś nędzną rybacką wioskę.

— Piękne widoki oglądam już od trzech tygodni.

Benigno wbił wzrok w pokład, jakby zobaczył tam coś fascynującego.

— Naprawdę, powinniśmy oddać ich policji i pojechać dalej. Tak byłoby najlepiej.

— Na pewno nie dla tych dwóch. A ja nie mam ochoty bawić się w policjanta. — John potarł brodę. — Ale oczywiście nie chcę pana do niczego zmuszać. Mój sekretariat może znaleźć innego tłumacza i przysłać go samolotem, to kwestia kilku godzin. — Kłamał, bo nie chciał go do niczego zmuszać. Pierwszy raz zdarzyło mu się świadomie i absolutnie z rozmysłem zastosować nauki McCaina o władzy i jej używaniu.

I to skutecznie. Benigno patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. W milczeniu, jakie nastąpiło po słowach Johna, można było niemal usłyszeć jego myśli. Odesłano by go do domu i byłaby to hańba.

— Nie, to nie jest konieczne — wymamrotał w końcu. — Jeśli pan ma ochotę...

— Dziękuję. — John wskazał na rybaków. — Proszę im powiedzieć, czego chcemy. Żeby nas zaprowadzili do swojej wioski.

— Teraz? — uniosła się Patricia. — Nie, John, nie może pan tego zrobić. Muszę wrócić na statek, wypłukać z włosów sól.

Oczywiście teraz, pomyślał John. Potem już ich na pewno więcej nie znajdziemy.

— Dziś wieczorem będziemy z powrotem. Benigno, proszę. Kiedy Patricia mruzczała pod nosem, delegat pochylił się nad łódką i rozmawiał z dwoma rybakami. Ten z wiosłem, przysadzisty mężczyzna o twarzy poranej bliznami, był najwyraźniej przywódcą, drugi, któremu — jak John dopiero teraz zauważył — na każdej dłoni brakowało po jednym palcu, co pozwalało się domyślać, że rybołówstwa za pomocą materiałów wybuchowych nie uprawia od dziś — był wprawdzie znacznie starszy, siwowłosy i pomarszczony, wyglądał jednak na posłusznego.

— Są dość niechętni — wyjaśnił Benigno. — Pytają, czego pan chce w ich wiosce. Myślą, że chcemy coś zrobić ich rodzinom.

— Niech pan im powie, że nie mają się czego bać i nie złożymy na nich doniesienia.

Benigno odchrząknął.

— Jeśli mogę coś zaproponować... Proszę podarować im trochę pieniędzy. Pięć dolarów albo dziesięć, to tutaj majątek. Wtedy

panu uwierzą.

John dotknął kombinezonu z neoprenu. Oczywiście nie miał przy sobie pieniędzy. Uprzytomnił sobie, że odkąd jest bogaty, prawie nigdy nie ma przy sobie gotówki.

— Czy ktoś ma dziesięć dolarów? — spytał i rozejrzał się po zebranych. — Marco, może pan? Oddam je panu.

— Z odsetkami i odsetkami składanymi? — uśmiechnął się Marco, przeszukujący już kieszenie. Rzeczywiście wydobył banknot dziesięciodolarowy i podał go Johnowi. — Teraz jest pan u mnie zadłużony.

— Dziękuję. — Podał banknot Benigno, który podał go rybakom. Nastąpiła dłuższa dyskusja, wioślarzowi zaświeciły się oczy, przyjrzał się im, jak patrzą na niego z wysokości swojej wielkiej motorówki, i przyjął owe dziesięć dolarów.

— Nazywa się Pedro, a ten drugi Francisco — tłumaczył wreszcie Benigno. — Zaprowadzą nas do swojej wioski.

Wioska znajdowała się tak blisko wody, jakby rosnący za nią las powoli spychał ją do morza. Małe, szare chaty o ścianach z plecionej słomy i dachach ze zwietrzałych palmowych liści stały ciasno jedna przy drugiej, niektóre z nich na palach nad wodą albo w koronach mangrowców wyrastających wprost z fal. Na linach wisały szmaty w wyblakłych kolorach, dopiero na drugi rzut oka dawało się w nich rozpoznać T-shirty, koszule, krótkie spodnie, podobnie jak dopiero na drugi rzut oka dostrzec można było przegrody z papy, blachy falistej i plastikowej folii, przyczajone za i pomiędzy chatami. Chmary dzieci, w większości półnagich, zbiegły się, gdy wielka, śnieżnobiała motorówka podpływała do ich walącej się przystani, niczym zjawą z innego świata.

— Proszę nikogo nie dotykać w głowę — ostrzegł cicho Benigno

— nawet dzieci. To uważa się za nieuprzejmość.

To niebezpieczeństwo jednak im nie zagroziło, gdyż dzieci z respektem trzymały się w oddali i chichotały tylko z ich obcisłych, jaskrawo-kolorowych kombinezonów do nurkowania. W takiej eskorcie poszli za dwoma rybakami, nawet Patricia, która do chwili rzucenia kotwicy powtarzała, że nie postawi stopy na lądzie. Na łodzi został tylko Chris.

Już na pomoście wyszedł im naprzeciw mężczyzna, zamiast prawej dłoni posiadający tylko zardzewiały hak; uścisnęli jego lewą dłoń. Przed jedną z chat siedział na krześle człowiek posiadający już tylko jedno udo, na którym przytrzymał brązową butelkę i przypatrywał się jej mętnym wzrokiem. Zobaczyli kilku młodych mężczyzn podpierających się na własnoręcznie wystruganych kulach, gdyż stracili jedną z nóg. Następny nie miał rąk, a kiedy ich przewodnicy zorientowali się, jak ich to poruszyło, pokazali im w jednej z chat człowieka, nie posiadającego rąk ani nóg i wiszącego w worku podwieszonym u sufitu. Powiedzieli coś i zaśmiali się serdecznie, śmiał się nawet człowiek w worku, brudnym, bezzębnym uśmiechem.

— Co oni powiedzieli? — spytał John.

— Że od czasu swojego wypadku spłodził dwójkę dzieci — wyjaśnił zakłopotany Benigno.

Patricia odwróciła się.

— Chyba zwymiotuję — powiedziała.

To było jak narkotyczna podróż przez obcy świat, koszmar z piekielnego malowidła. To nie była rybacka wioska, to było pole bitwy.

Jego mieszkańcy wyglądali, jakby żyli na froncie, na którym każda piędź ziemi naszpikowana jest minami, a przecież jedyną walką, jaką prawdopodobnie toczyli, była walka o przeżycie.

Doszli do chaty Pedra. Jego żona, delikatna istota o wielkich, pozbawionych złudzeń oczach, skłoniła się głęboko i pozostała tak, aż jej mąż szorstkim tonem odesłał ją, by przygotowała poczęstunek dla gości. Zniknęła i wróciła z pochyloną nisko głową, brązowymi butelkami bez nazwy, od których było czuć alkoholem, i miską zimnego ryżu z kawałkami ryby. Pedro tymczasem zaprezentował im swoje dzieci, siedmioro, z tego czterech synów, których przedstawił po imieniu. Potem zrozumiałymi dla wszystkich gestami zaprosił ich, by zasiedli, aby jeść i porozmawiać.

— Mam jeszcze trochę pieniędzy — szepnął Marco. — Gdyby wypadało podziękować za gościnność. To znaczy, zjemy teraz ich tygodniową rację, na moje oko.

— Później — odpowiedział szeptem Benigno.

Francisco, co do którego wciąż jeszcze nie pojęli, jaka jest jego relacja z Pedrem i jego rodziną, siedział razem z nimi, i stopniowo również inni mieszkańcy wioski przyłączali się, żeby obejrzeć obcych — choć mało kto odważył się popatrzeć na nich dłużej, pomijając może najmniejsze dzieci — i wtrącić się do rozmowy,

— Mówią, że muszą wypływać coraz dalej, bo w pobliżu wybrzeża nic już prawie nie można złowić — Benigno przetłumaczył dyskusję i dodał od siebie gorzko: — Nic dziwnego, przecież sami wszystko zniszczyli. Wliczając w to samych siebie.

Z miejsca, w którym siedział, John widział kawałek plaży i starego, obdartego mężczyznę, który jakby o tym wszystkim nie słyszał, ciągnął sieć, o dość drobnych, sądząc po migotaniu, oczkach, po płytkich wodach przybrzeżnych, z anielską cierpliwością, ciągle na nowo w tych samych miejscach.

— Czy oni w ogóle wiedzą, co wyrabiają tym dynamitem? — spytał John. — I dlaczego to jest zakazane?

Benigno spytał, zebrani rybacy odpowiedzieli, a potem mówił Benigno, zapewne wyjaśniał im zależności, o jakich oni, sądząc po wyrazie osłupienia na ich twarzach, nigdy dotąd nie słyszeli. Że rafa koralowa jest ojczyzną milionów żywych istot, z których wiele stanowi pożywienie dla ryb, co zwabia je całymi ławicami. Że dynamit niszczy to wszystko. Że próbą powiększenia połowów zniszczyli swoje łowiska i są na najlepszej drodze do tego, żeby stworzyć tu podwodną pustynię, która nie będzie już w stanie wyżywić ich dzieci.

John ponownie spojrzął na starego człowieka na plaży i przypomniał sobie, że raz, kiedyś, przed stu laty, jak mu się zdawało, siedział w swoim biurze i czytał książkę o tych zależnościach. Wtedy cudownie to wszystko rozumiał, przy czym zachowanie przy życiu raf koralowych wydawało mu się raczej pomniejszym problemem. Tutaj to była rzeczywistość. Dla tych ludzi zachowanie rafy koralowej było sprawą życia lub śmierci. Tu już nic nie było proste, zrozumiałe, a już na pewno nie było cudowne.

— Nie wiedzieli — oznajmił skonsternowany Benigno. — Myśleli, że łapanie ryb na dynamit jest zabronione, bo jest niebezpieczne dla rybaków. — Pokręcił głową. — Teraz też jeszcze tego tak do końca nie zrozumieli...

Patricia deBeers kręciła na palcach kosmyki włosów przyglądając im się przy tym krytycznie.

— Dlaczego w ogóle zaczęli? Przecież dobra, stara metoda musiała chyba funkcjonować od stuleci, prawda?

— Dobre pytanie — przytaknął John.

Benigno przekazał pytanie. Odpowiedzieli na nie głównie

starsi. Długimi, melodyjnymi opowieściami, którym pozostali z uznaniem przytakiwali. Jednak delegat zdołał streścić wszystko jednym, trzeźwym zdaniem:

— Połowy przestały wystarczać.

— A dlaczego?

— Zrobiło się za dużo ludzi.

— I musieli szukać sposobów łowienia większej ilości ryb, niż było to możliwe z użyciem starych metod. — John kiwał głową ze zrozumieniem. Zatem, jednak, matka wszystkich problemów: wzrost zaludnienia. Rozejrzał się, zmierzył wzrokiem chmurę dzieci, ludzkie odsetki i odsetki składane przodków. — Czy nigdy nie pomyśleli, żeby zamiast tego wydawać na świat mniej potomstwa?

Benigno ociągał się, kręcił głową.

— Nie muszę o to pytać. To niedozwolone.

— Co? — ostrym tonem spytała Patricia. — Zapobieganie ciąży?

— To wbrew prawu. To wbrew woli bożej.

— A podanie dziecku penicyliny na zapalenie płuc, to też przeciw woli bożej?

Rozcapierzył palce zakłopotanym gestem.

— Nie potrafię tego osądzić. To sprawa Kościoła. Ja kieruję się tym, co mówią księża.

— Kierujesz się, ach tak. — Przyglądała mu się ze złośliwym, urażonym uśmiechem, pochyliła się potem ku niemu i powiedziała cicho: — Mam dla ciebie zagadkę. Biorę pigułkę, tak czy nie? Zgadnij.

Benigno patrzył na nią szeroko otwartymi oczami i John miał silne wrażenie, że jeśli tych dwoje miało romans, on w każdym razie jest właśnie świadkiem jego końca.

Później, w powrotnej drodze do łodzi, spotkali starca z gęstą

siecią. W ciągu dwóch godzin, jakie tu spędzili, złapał tylko garść narybku.

John wskazał na niego i poprosił Benigno:

— Proszę go spytać, czy ma świadomość, że z tego narybku nie wyrosną już duże, zdolne do rozmnażania się ryby. Niech pan go spyta, czy wie, że niszczy ostatnią szansę, by za kilka lat również mógł schwytać coś do jedzenia.

Benigno westchnął dyskretnie i zrobił, jak powiedziano. Staruszek, ubrany w postrzępiony czerwony dres, spojrział na nich krótkowzrocznymi oczami, uśmiechnął się smutno i coś powiedział. Potem minął ich, a przechodząc, poklepał Johna po ramieniu.

John patrzył zakłopotany jego śladem.

— Co on powiedział? — zapytał.

— Powiedział — przetłumaczył Benigno — że jaka to dla niego korzyść, nie łapać małych ryb i poczekać, aż urosną duże, skoro do tego czasu umrze z głodu?

Było już późno, gdy wrócili na jacht. Od morza wiała chłodna bryza. Jak zwykle zjedli sutą kolację, z nieczystym sumieniem, ale za to z wielkim apetytem. W jej trakcie dwóch młodych ochroniarzy wypłynęło jeszcze raz motorówką, by przywieźć zostawione przez Johna i Patricię aparaty do nurkowania.

Wielki jacht kołysał się lekko na spokojnym morzu. Jeśli stanęło się przy relingu i posłuchało uważnie, można było dosłyszeć pracujące pod wodą stabilizatory. Chmury, przypominające kłęby dymu, zasłoniły częściowo gwiazdy; zdawało się nawet, że czuć dym.

Patricia, zamknięta w sobie, siedziała w salonie i pisała listy. Benigno przysiadł na dziobie i zatopiony w myślach wbił wzrok w wodę. John zrobił obchód, porozmawiał ze stewardami i z



kucharzem, z maszynistami i na koniec z kapitanem Broussardem, uznał, że wszystko jest w najlepszym porządku i w końcu wycofał się do swojej kabiny.

Uważał to pomieszczenie za najmniej zdatne do mieszkania, raczej za natrętnie umeblowany hotel niż za przytulne mieszkanie, jednak dzisiejszego wieczoru był zadowolony, że może zamknąć za sobą drzwi. Opadł na jeden z dwóch foteli, przez chwilę wbijał wzrok w powietrze tak intensywnie, że niemal wypatrzył w nim dziury. W końcu sięgnął za telefon i wybrał numer McCaina.

— Tym, co niszczy środowisko, jest w rzeczywistości bieda — powiedział po tym, jak opisał mu wydarzenia i doświadczenia dzisiejszego dnia. — Nie wzrost zaludnienia, nie brak wykształcenia — bieda Ktoś, kto głoduje, nie ma wyboru, nie może podarować życia zwierzęciu, które ma zabić, tylko dlatego, że jest to gatunek zagrożony wyginięciem. On musi zjeść *teraz*. Ktoś, kto marznie, nie może zrezygnować z wyrębu drzewa tylko po to, by zapobiec rozrostowi pustyni. On musi przeżyć, a to znaczy — drzewo albo on. Bieda przypiera do muru. Nie można mieć względów na nic, jeśli się jest przypartym do muru, na innych ludzi ani tym bardziej na przyrodę. Bieda jest jądrem tego problemu.

McCaine milczał przez chwilę, ale może była to tylko wina połączenia satelitarnego.

— Nie mogę się panu sprzeciwić — powiedział. — Pytanie tylko, jakie wyciąga pan z tego wnioski?

— Zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej powołać do życia wiele małych projektów, które — na całym świecie — mogłyby rozwiązywać konkretne problemy. Na przykład tutaj, na Filipinach. Trochę dzwoniłem przed kolacją, do kilku osób, które

podał mi delegat rządu, i jeszcze do kilku, których numery dostarczył mi sekretariat, i stwierdziłem, że akurat tutaj śmiesznie małymi pieniędzmi można by zdziałać ogromnie dużo. Gdyby naprawdę przestać używać dynamitu i na kilka lat zostawić rafy w spokoju, wówczas powróciłoby na nie życie, i byłoby znów dużo ryb. Mój Boże, pomaga nawet zatapianie starych opon jako namiastki raf. Trzeba to tylko zrobić. Trzeba by wyprodukować proste filmy szkoleniowe, w każdym z mnóstwa dialektów, jakie tu występują, żeby wyjaśnić rybakom zależności. I trzeba by usprawnić przetwórstwo — jak tu mówią i piszą — jedna trzecia połowów psuje się, sześćset tysięcy ton rocznie, tylko dlatego, że nie ma dość chłodni, maszyn do produkcji lodu i samochodów chłodniczych, a drogi są w okropnym stanie. Wychodzi mi suma dziesięciu, może piętnastu milionów dolarów, rozłożona na wiele lat, które tutaj, właściwie użyte, mogłyby zdziałać dosłownie cuda.

— Mmh. Niewątpliwie orientuje się pan, że na świecie są niezliczone ilości tego rodzaju projektów.

— Oczywiście. Ale w końcu mam do podziału cały cholerny bilion dolarów...

— Właściwie co najmniej dwa razy tyle, jeśli mogę się wtrącić.

— Tym lepiej. W każdym razie to wystarczy na sto tysięcy takich projektów. Sto tysięcy punktów na globusie, gdzie podejmiemy działania w sytuacjach, które można rozwiązać relatywnie niewielkim popchnięciem w dobrym kierunku. Wszystko lekkie ukłucia, ale w sumie jak leczenie planety akupunkturą, tak to sobie wyobrażam.

McCaine chrząknął.

— To, co pan proponuje — stwierdził — przypomina mi łatanie dziur w butach.

— To byłoby coś *prawdziwego* — nalegał John. — Nie tak, jak te wszystkie ogromne plany, które wałkujemy przez cały czas — że *kiedyś* coś zrobimy.

— Czy ma pan świadomość, John, co pan akurat robi? Miesza się pan w lokalne sprawy, gdyż przeraża pana kompleksowość globalnych uzależnień. Ale jeśli powróci pan do myślenia liniowego, tylko pogorszy pan wszystko, gdyż to właśnie takie myślenie doprowadziło świat do stanu, w jakim się znajduje. Zresztą to całkiem możliwe, że takie projekty okażą się sensowne, jak tylko nasz model komputerowy...

— Ale to przecież tylko *modeli* Nie rzeczywistość. Model nigdy nie zdoła uwzględnić wszystkich szczegółów, jakie tworzą rzeczywistość.

— To na szczęście wcale nie jest konieczne. Obliczenie trajektorii wokół Ziemi również opiera się tylko na modelu, i to do tego dość przybliżonym, a mimo to krąży w górze satelita, przez którego rozmawiamy — tłumaczył cierpliwie McCaine. — Proszę posłuchać, John, chciałbym podać panu przykład. Wyspa, na której pan był, nazywa się Panggalawan, tak pan powiedział?

— Zgadza się — przytaknął John.

— Podejrzewam, że wioska, którą pan odwiedził, była zbudowana bardzo blisko morza. Choć za nią rozciągał się płaski ląd i bujny las.

John był szczerze zaskoczony.

— Tak.

— Czy wie pan, dlaczego tak jest?

— Nie.

— Dlatego, że las należy do filipińskiego ambasadora przy Watykanie, dokładnie tak samo jak pola trzciny cukrowej we wnętrzu wyspy, a ten pobożny pan nie pozwala, żeby w jego lesie

mieszkał ktoś, kto nie pracuje dla niego. Widzi pan związek? Filipińczycy nie budują swoich chat na palach albo w koronach drzew dlatego, że to takie romantyczne, ale dlatego, że obszar nad samym morzem nie należy do nikogo. Gdyż niemal cała ziemia na Filipinach jest w posiadaniu dwudziestu klanów, które wylansowały się na właściwe pozycje jeszcze w starych, kolonialnych czasach i niczego nie pragną mniej, niż zmian. Oni na pewno podziękują, jeśli rozwiąże pan ich problemy, nie poddając w wątpliwość istniejących struktur władzy. Nie, John, w ten sposób tylko wyda pan swoje pieniądze, a potem wystarczy parę lat, i wszystko znów będzie po staremu. Nie na tym ma polegać „oddanie ludzkości utraconej przyszłości”.

John poczuł, jak słuchawka w jego dłoni staje się coraz cięższa, i wydało mu się, że jest balonem, w którym ktoś zrobił dziurkę i teraz uchodzi z niego powietrze.

— Hmm — mruknął. — Obawiam się, że nie mam kontrargumentów.

— Struktury władzy są kluczem — kontynuował McCain. — Nie trzeba tu wchodzić w szczegóły. Zresztą dotyczy to również nas. Nasz okres ochronny się skończył. Wielcy tego świata zrozumieli, co się dzieje. USA, Japonia — snuje się przeciw nam intrygi, nie uwierzy pan jakie. Wszystko potajemnie, oczywiście.

To w uszach Johna zabrzmiało nieco paranoidalnie.

— Jest pan pewien?

McCain zaśmiał się niewesoło.

— Wystarczy, żebym popatrzył na moje biurko, bym był pewien. Jesteśmy właśnie zarzucani skargami — naruszenie ustaw o konkurencji, prawa kartelowego, prawa do współdecydowania, ustaw o ochronie środowiska, wszystko, co da się znaleźć na półce z książkami prawniczymi; do tego pozwy

gwarancyjne o kompletnie szalone odszkodowania — wszystko wymyślone i skłamate, a przed sądem stają świadkowie, o których wiemy, że pracują dla CIA: i co pan na to? W Japonii urzędnikom policji skarbowej moglibyśmy dać legitymacje naszej firmy, tak często ostatnio przychodzą, odciągają nas od pracy i stawiają głupie pytania. Albo to: w Maroko chcieliśmy przejąć *Bank of Rabat*, wynegocjowaliśmy już wszystko i mieliśmy zgodę, a tu samolot amerykańskiego ministra spraw zewnętrznych ma międzylądowanie w powrotnej drodze z Izraela, podobno po to, by zatankować, co dziwnym zbiegiem okoliczności zajmuje mu ponad cztery godziny — a następnego dnia otrzymujemy informację, że jednak zdecydowano się dać pierwszeństwo *Chale Manhattan Bank*. Mam mówić dalej?

— Przecież panu wierzę. — John zmarszczył czoło. — Wolałby pan, żebym wrócił?

— Jeśli przypadkiem podczas swojego urlopu zdał pan egzamin prawniczy wraz z dziesięcioletnim stażem, to bardzo proszę. W innym wypadku niewiele może mi pan pomóc w tym wszystkim, i wolałbym nie mieć pana tutaj, żeby później mógł pan znów wystąpić jako pomnik ochrony środowiska. Słyszał pan o pożarach lasów?

— Pożarach lasów?

— W Indonezji wypalanie lasów wymknęło się spod kontroli i zachodzi teraz obawa, że w przeciągu kilku następnych tygodni spłonie tam mniej więcej cały las, gdyż w tym roku panowała tam najgorsza susza od pięćdziesięciu lat. Bezprecedensowa katastrofa. Dym i sadza docierają już do Malezji i Singapuru; moim zdaniem na Filipinach w ciągu kilku dni też coś poczujecie. A przy tym to dopiero początek.

— Co mogę w związku z tym zrobić?

— Piętnować nadużywanie natury, polityczną nieudolność władzy, takie rzeczy. Wygłosimy przemówienie, jak przyjdzie pora. — McCaine, sądząc po brzmieniu jego głosu, przeciągnął się przy tych słowach i wyprostował.

John zwlekał z odpowiedzią.

— To dla mnie dość trudne, siedzieć tu i odpoczywać, jeśli to prawda, co powiedział pan o tych wszystkich oskarżeniach i intrygach. Proszę mnie źle nie zrozumieć... Chciałbym tylko wiedzieć, czy z mojej firmy jeszcze coś zostanie, kiedy wrócę.

McCaine roześmiał się. Tym razem zabrzmiało to tak, jakby nawet się dobrze bawił.

— Oczywiście, że to prawda, co panu powiedziałem. Ale to nie znaczy, że nie panujemy nad sytuacją. Wojna trwa. Japońskie instytucje finansowe, które nasłaly na nas policję podatkową, mają od jakiegoś czasu *dziwne* kłopoty z nabyciem na światowym rynku płynnych środków. Jeden z nich, Yamaichi Securities, najstarszy dom brokerski Japonii i zdecydowanie najbardziej ceniony, jest przy tym wplątany w wysoce wstydliwą sprawę szantażu, co prowadzi do tego, że coraz więcej klientów wycofuje z niego pieniądze — będę zdziwiony, jeśli przetrwają do końca roku. A jeśli chodzi o USA: cóż, Bóg jest po naszej stronie. Dowiedzieliśmy się, że prezydent wszystkich Amerykanów miał romans z praktykantką w Białym Domu, a kiedy mu się znudziła, załatwił jej w Pentagonie pracę za siedemdziesiąt tysięcy dolarów, żeby się jej pozbyć. Jak pan myśli, jak można zagrać taką informacją? Ten człowiek będzie pocił się własną krwią. Nie będzie już miał czasu na intrygi, gdyż będzie żałował, że nie jest eunuchem, obiecuję to panu.

— Hmm — mruknął John. — Nie wiem. To mnie nie zwala z krzesła, mówiąc szczerze. Czy każdy prezydent poniżej

sześćdziesiątki nie miał romansów? Wątpię, by to kogoś poruszyło.

To naprawdę interesujący punkt widzenia, pomyślał McCaine, zakończywszy rozmowę.

Chciał wziąć łyka kawy, ale w filiżance pozostał już tylko brązowy ślad na dnie, termos również był pusty. Odstawił jedno i drugie na niski stolik naprzeciwko, gdzie wznosiły się już całe wieże pustych filiżanek. Powinien je kiedyś wynieść. Sprzątaczek nie mógł już wpuszczać, za wiele leżało tu tajnych materiałów, na wszystkich stołach i całe stosy na podłodze. W obecnej sytuacji musi zakładać, że Amerykanie użyją szpiegów, by dowiedzieć się, co *Fontanelli Enterprises* posiada, potrafi i zamierza. Z tego powodu ustawił przed drzwiami biura strażnika, każdego wieczora własnoręcznie zamykał drzwi na klucz, a jeśli w środku powoli zaczynało śmierdzieć, to po prostu była cena, jaką musi zapłacić.

Wyjął notatnik i wrócił do sali konferencyjnej, którą na swój użytek nazywał już tylko *War Room*.

-...mamy premiera na naszej liście płac, więc to żaden problem — mówił akurat ktoś, gdy wchodził, mężczyzna o byczym karku i długich, siwych włosach, związanych w imponujący koński ogon.

McCaine rzucił krótkie spojrzenie na mapę Ameryki Południowej, wyświetlaną na ekranie projektora. Nie wiedział, o jakim premierze jest akurat mowa, i było mu to obojętne.

Ważniejsze jest utrzymanie Fontanellego w dobrym nastroju. Jego powrót w tym momencie narobiłby za dużo kłopotu, nie mówiąc już o konieczności wyjaśnienia mu działań podjętych albo przygotowywanych w tej chwili, nie zawsze dokładnie odpowiadających temu, co potocznie określa się „moralnie bez skazy”.

Usiadł.

— Panie Froeman — zwrócił się do mężczyzny z kitką — moi panowie... wybaczcie, że przerywam. Pan Fontanelli zgłosił właśnie zarzut, związany ze sprawą Clintona, który uważam za godny uwagi.

— Mianowicie? — spytał Froeman, patrząc ponuro.

— Informacja o romansie nie zrobiła na nim dużego wrażenia. Stwierdził, że — o ile wie — każdy prezydent, który nie skończył jeszcze sześćdziesięciu lat, miał romanse.

— Tak, to prawda — krzyknął chudy młody człowiek, siedzący obok projektora.

McCaine skrzyżował ramiona.

— Być może przeceniamy efekt tej historii.

— Hmm — mruknął Froeman. Pochylił się, ruch, który w jego wykonaniu wyglądał agresywnie, podparł się na łokciach i zaczął kręcić grubą liną żeglarską, noszoną na przegubie. — To zależy, jak się to robi — powiedział wreszcie, przestając wbijać wzrok przed siebie. — Załóżmy, że nie zrobimy normalnej historii demaskującej, tylko... Tak. Możemy go dorwać na czym innym. To nawet lepsze. Puścimy najpierw jakieś przecieki — nic konkretnego, nic udowodnionego. Musi mu się wydawać, że się z tego wykpi, jeśli po prostu wszystkiemu zaprzeczy.

— A potem? — spytał mężczyzna obok niego, gruby Murzyn z blizną na brodzie, sceptycznie.

— Jeśli skłonimy go, żeby zaprzeczył temu romansowi pod przysięgą — wyjaśnił Froeman ze złym uśmiechem — to złamie ślubowanie. Wówczas będziemy mogli przedstawić dowody i złamać mu kark, kiedy tylko zechcemy.

— Odkąd to amerykański prezydent ślubuje, że nie będzie miał romansów? — burknął jego sąsiad.



Froeman pogardliwie uniósł brwi.

— W ślubowaniu prezydent zobowiązuje się przestrzegać prawa Stanów Zjednoczonych Ameryki. Chce pan ze mną dyskutować, czy krzywoprzysięstwo jest złamaniem prawa?

— Chwileczkę! — McCaine uniósł rękę. — Nie chcę obalić prezydenta. Chcę go tylko zająć innymi rzeczami.

Froeman niecierpliwie skinął głową.

— To jasne. Poradzimy sobie. Ale zakładam, że nie miałyby pan nic przeciw temu, żeby móc czasem do niego zadzwonić i poprosić o taką czy ową przysługę?

John obudził się niezwykle wcześnie i kiedy wyszedł na pokład, poczuł dym. Spojrzał na niebo, szare niezdrową, groźną szarością: to nie były chmury, ale dym.

Na pokładzie wszystkie słoneczne markizy były jeszcze zrolowane, nikogo nie było. Ale można było już wyczuć oczekujący ich tego dnia upał.

Wspiął się na pokład słoneczny, usiadł przy nie nakrytym jeszcze do śniadania stole i popatrzył na okolicę, tak piękną, jakby odnaleźli raj.

Jakiś czas później po schodach wszedł Benigno. Uśmiechnął się niewesoło na widok Johna.

— Magandang umaga po, Ginoong Fontanelli — powiedział i dosiadł się do niego.

— I panu życzę miłego ranka, *Ginoong* Tatad — odpowiedział John. Wskazał na pusty stół. — Czy coś się panu rzuca w oczy?

— Nie jest nakryty.

— Nie o to mi chodzi. Na to jeszcze za wcześnie.

Filipińczyk wbił wzrok w blat stołu, daremnie starając się znaleźć odpowiedź.

— Jest szary — pomógł mu w końcu John. — A właściwie powinien być biały. — Przetarł po blacie i podsunął potem do niego otwartą dłoń. Była czarna. — Sadza z lasów płonących w Indonezji.

Benigno przyjrzał się dłoni, potem śladowi, jaki zostawiła na specjalnie lakierowanym drewnianym stole.

— To okropne — powiedział w końcu.

— Prawda? Wydaje się, że sytuacja się zaostrza. — John wyjął z kieszeni chustkę i naprędce wytarł nią dłoń. — Zamierzam zresztą pojechać dziś jeszcze raz na wyspę i porozmawiać z ludźmi z wioski. Jest parę rzeczy, których nie rozumiem.

Wieść o ponownym przybyciu ludzi, którzy przyłapali Pedra i Francisca na łowieniu z dynamitem i nie donieśli na nich, rozeszła się w mgnieniu oka, i to, że dziś rozdają banknoty dziesięciodolarowe, prawdziwe amerykańskie dolary, również nie pozostało długo tajemnicą. Wkrótce goście siedzieli otoczeni wszystkimi, którzy tego dnia nie wypłynęli, czy to dlatego, że nie mieli już łodzi, czy dlatego, że nie byli już w stanie łowić ryb, i pytali o wszystko, co się da, o wioskę, czy jest w niej telefon, gdzie kupują żywność, jakiej sami nie produkują ani nie łowią, i gdzie sprzedają złowione ryby. Opowiedzieli im o Tuay i tamtejszym targowisku, gdzie można kupić ryż i olej kokosowy, o odbiorcy ryb ze skrzynią lodu i że w Tuay jest nie tylko telefon, ale prawdziwa poczta, poza tym urząd, lekarz i kościół.

— Niech pan ich zapyta — powiedział w końcu John do Benigno — kto sprzedaje im dynamit.

Nagle wszystkie uśmiechy na twarzach zamarły, oczy patrzyły w bok, co poniekąd wysunął się chyłkiem, rezygnując z banknotów dolarowych. John nie potrzebował tłumacza, by poznać, że to było niemile widziane pytanie.

— Proszę im powiedzieć, że ich nie zdradzimy. Że nie mamy nic wspólnego z policją.

— Już powiedziałem — stwierdził Benigno.

John zacisnął usta i zastanowił się.

— Niech pan słucha, Benigno, musi być ktoś, kto zarabia na tym interesie. Musi być ktoś, komu zależy na zachowaniu status quo. I to musi być ktoś, kto ma dostateczną władzę by sprawić, żeby tak właśnie było. Chcę to tylko zrozumieć, nic więcej. Stoimy na samym brzegu pajęczej sieci, a ja chcę tylko znaleźć pajaka.

Proszę im to powiedzieć. — Zrolował swój pęczek banknotów i tak, żeby wszyscy widzieli, wsunął go z powrotem do kieszeni. — Niech pan im też powie, że w razie potrzeby pójdziemy do innej wioski.

Teraz z ociąganiem zaczęli mówić. To odbiorca ryb sprzedaje im dynamit. Odbiorca ryb sprzedaje im również benzynę, do tych łodzi, które mają niewielki silnik i dzięki temu mogą wypływać dalej w morze, tam, gdzie są jeszcze ryby. Benzyna na jeden rejs kosztuje pięć peso, ale większość ich nie ma. Odbiorca pożycza pieniądze, żąda jednak za to zwrotu ośmiu peso.

— Dużo — orzekł John. — Sześćdziesiąt procent odsetek.

Większość rybaków ma długi, i owe długi z biegiem czasu raczej rosną, niż maleją. Jakoś, mówili smutno, nie dają rady ich spłacić. Bez dynamitu nie można nawet o tym marzyć. Jest jeszcze kilka miejsc, trzymanyh w tajemnicy, daleko od brzegu — tam można jeszcze łowić ryby zasługujące na swoją nazwę, czasem nawet *lapu-lapu*, najlepszą rybę na Filipinach, za którą dostają niezłe pieniądze. Nawet, jeśli przeważnie znaczy to tylko tyle, że odbiorca przekreśla liczbę w swoim czarnym zeszycie i wpisuje inną, i znów trzeba go prosić o kredyt, żeby kupić ryż.

— Ilu jest takich odbiorców ryb? — zapytał John.

W Tuay jest tylko ten jeden. Nazywa się Joseph Balabagan. Nie można z nim zepsuć sobie układów.

— Zatem on ustala cenę — kiwnął głową John — a rybakom nie pozostaje nic innego, jak się na nią zgodzić. Są od niego zależni.

Jeden z mężczyzn, ten z hakiem zamiast prawej dłoni, opowiedział, że spróbował spłacić swój dług. Wyjeżdżał o świcie, daleko w morze, i pracował do wieczora, aż padał z nóg.

Zdjął hak i wyprostował prawe ramię, wyrwane i poorane bliznami, z makabrycznym kikutem na końcu. Stało się to

pewnego wieczora. Był tak zmęczony, że ledwie mógł utrzymać otwarte oczy, i wtedy popełnił błąd, wypuścił z dłoni pałkę dynamitu o moment za późno.

— Moja piękna dłoń — dodał po angielsku, zabrzmiało to w jego ustach obco, i choć się uśmiechał, jak wszyscy tu stale się uśmiechali, w kącikach jego oczu błyszczały łzy.

John patrzył na niego przygnębiony, próbował wyobrazić sobie, co to znaczy utracić dłoń, lecz nie potrafił.

— A z czego pan teraz żyje? — zapytał cicho.

Rybak opuścił wzrok na plecioną matę, na której siedzieli, rysy jego twarzy stwardniały.

— Córka przysyła pieniądze. Pracuje w Hongkongu jako opiekunka do dzieci — przetłumaczył Benigno.

— Opiekunka do dzieci? — zdziwił się John.

Benigno odchrząknął speszony.

— To prawdopodobnie znaczy, że jest prostytutką — wyjaśnił cicho.

— Och. — John spojrział po grupie smagłych, kalekich mężczyzn, siedzących wokół niego i łagodnie się uśmiechających, lecz ze smutkiem w oczach, i nagle zdawało mu się, że jak w malignie widzi, jak za każdym z nich otwiera się przepaść przemocy i nędzy i wyzysku i cierpienia, ziejąca czeluść, z której na zewnątrz wydostają się tylko krzyki i woń krwi. Trwało to zaledwie jedno mgnienie oka, ale nagle na widok palm, morza i wioski przeniknął go dreszcz, choć na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało jak uosobienie idylli. Tropikalna sceneria wydała mu się nagle kulisami, jakby zamaskowaniem straszliwej tajemnicy, jak kwiaty rosnące na masowym grobie.

— Ile właściwie jest wart jeden peso, w dolarach? — zwrócił się do Benigno.

— Około dwa centy — odpowiedział pytany.

— Dwa centy. — Rozdzielił wśród nich resztę swoich pieniędzy, wstał i kiwnął na Marca. — Proszę zadzwonić na PROPHECY. Niech wyładują wóz terenowy. Jedziemy do Tuay.

Pierwsi rybacy wrócili z porannych połowów, gdy na ląd wyładowano samochód. Wciągnęli swoje łodzie na plażę i przyglądali się, jak duży, nienaturalnie czysty pojazd z metalowymi rampami wypychany jest z motorówki.

Patricia deBeers również przyjechała.

— Nie chcę zostawić panu całej przygody — powiedziała.

— Pani włosy ucierpią — powiedział John.

— Brud można wymyć, nudy nie.

Wąska droga do Tuay była wysypana białym szutrem i po chwili cały wóz pokrył się pyłem. Jechali pod wysokimi, bujnie rozrastającymi się drzewami i palmami, mijali błotniste sadzawki, otoczone chmarami owadów i ogłuszającym cykaniem i świergotem, i niecałe pół godziny później byli już w Tuay.

Miejscowość robiła wrażenie, jakby zbudowano ją w czasach hiszpańskich podbojów i od tamtej pory nic się nie zmieniło. Kościół, kłocowaty i bladobrązowy, wyrastał pośród garstki domów stojących wzdłuż uliczek, w których ledwie mieścił się samochód. Czuć było ogniem, rybą i gnijącymi odpadkami. Widzieli rzemieślników podkuwających buty i heblujących deski, widzieli kobiety przykucnięte przy garnkach, widzieli dzieci siedzące rzędami pod markizą i słuchające nauczyciela. I zobaczyli, zaskoczeni, port. Garstka mężczyzn rozładowywała brązowe worki i skrzynki coca-coli z holownika, przycumowanego przy kei.

— Może PROPHECY mogłaby tu przybić — stwierdził Marco. — Moglibyśmy wtedy po prostu wciągnąć wóz na pokład dźwigiem.

— Zastanowimy się przed powrotem — niechętnie odpowiedział John.

Joseph Balabagan okazał się być dobrze odżywionym mężczyzną około pięćdziesiątki, który, gdy przyjechali, wystrojony w krótkie spodnie, czystą białą koszulkę polo i czapkę z daszkiem, majstrował przed domem przy motorowerze. Najwyraźniej pojazd nie chciał być mu posłuszny, co zachęciło go do kręcenia na zmianę rozmaitymi kółeczkami silnika, wściekłego kopania i rzucania przekleństwami. Gdy Marco zatrzymał obok niego samochód, Balabagan niechętnie podniósł wzrok, przyjrzał im się krótko i pogardliwie i parsknął:

— Nie mam czasu.

— Musimy z panem porozmawiać — powiedział John.

Odbiorca ryb kopnął swój motorower.

— Powiedziałem, że nie mam czasu — odrzucił szorstko. — Żle pan słyszy?

Przenikliwy kobiecy głos krzyknął z mroku domu, na co Balabagan wściekle odwrzasnął coś, w czym słyhać było mnóstwo *Oo!* i *Oho!*, potem kopnął w rozrusznik, i jeszcze raz, i znów, wszystko na nic.

John dał Marco znak, by wyłączył silnik. Zobaczyli dwie małe dziewczynki, jak wynurzają się za mężczyzną z cienia sklepu, w którym widać było mnóstwo niegdyś pomalowanych na niebiesko drewnianych skrzynek, a w skrzynkach ryby zakopane w lodzie. Zapach soli mieszał się ze smrodem niedopalonych spalin.

— Chcemy porozmawiać z panem o metodach, jakie stosuje pan w interesach — wyjaśnił cierpliwie John. — O kredytach, jakich udziela pan rybakom. I o...

W tym momencie z domu rozległ się krzyk wprost mrozący

krw w żyłach. Kobieta krzyczała, wysoko, przenikliwie, wijąc się z bólu.

— Zjeżdżajcie! — wrzasnął Balabagan na Johna. — Słyszysz pan? Nie mam teraz czasu.

John spojrział na niego, potem na nędzny dom, w uszach brzmiało mu echo krzyku sprzed chwili. Bezradnie spojrział na pozostałych.

— John. — Patricia wsunęła się w szczelinę między przednimi siedzeniami. — Niech pan go spyta, czy jego żona musi jechać do szpitala.

— Skąd przychodzi to pani do głowy?

— Ten krzyk. Tak krzyczy tylko kobieta, u której zaczęły się bóle porodowe.

I już po chwili byli w drodze do Lomiao, najbliższego większego miasta, w którym był szpital. Marco jechał najszybciej, jak pozwalały mu cylindry i droga, John i Benigno ścisnęli się razem na fotelu pasażera, Patricia i małżeństwo Balabaganów na tylnym siedzeniu. Kobieta była złana potem i ledwie przytomna, jęczała, dyszała, a jej brzuch był tak ogromny, że mogłaby nim samym wypełnić całą tylną ławkę. Wyboje i koleiny musiały być dla niej torturą.

Po piętnastu milach pojawiły się nareszcie pierwsze przedmieścia, pełne ludzi, pęczniejące na dziko osiedla chat z blachy falistej, jaskrawe billboardy, rowery i motorowery. Balabagan pochylił się i zdenerwowany wskazywał drogę przez miasto, aż dotarli do budynku, będącego niewątpliwie szpitalem. Odbiorca ryb pobiegł do rejestracji, jego żona śmiertelnie błada leżała na siedzeniu i dyszała powtarzając coś, co mogło być tylko modlitwą, przycisnąwszy dłonie do łona. Wyglądała tak, jakby była bliższa śmierci niż życia. Patricia podtrzymywała jej głowę i



wszyscy niecierpliwie spoglądali na szerokie drzwi, z których w każdej chwili mieli wypaść lekarze i pielęgniarki.

— Wreszcie — wyrwało się Marcowi, gdy skrzydło drzwi poruszyło się, wyszedł z nich jednak tylko zniechęcony Joseph Balabagan, wrócił do samochodu i wybełkotał:

— Nie mam dość pieniędzy... Nie chcą jej przyjąć, jeśli nie zapłacę...

John sięgnął do kieszeni.

— Ile pan potrzebuje?

— To kosztuje 650 pesos, a ja mam tylko 500...

— Proszę, tu jest dziesięć dolarów. Czy przyjmują tu również dolary?

— Nie wiem. Zapytam. — Mężczyzna drżał, wchodząc ponownie do szpitala, ale najwyraźniej akceptowano dolary, gdyż zaraz potem nadbiegły dwie pielęgniarki z noszami i pomogły wydobyć ciężarną z samochodu.

*Na całym świecie szpitale wyglądają chyba tak samo*, pomyślał John. Zaparkowali samochód kawałek dalej i siedzieli teraz w holu, mając nadzieję, że albo Balabagan pojawi się ponownie, albo dowiedzą się, co się stało.

— Zdziwiłem się — powiedział John do Patricii — że wie pani, jak krzyczy rodząca kobieta.

Rozbawiona uniosła brwi, pokazywane na całym świecie we wszystkich czasopismach zajmujących się modą.

— A to czemu?

— Jakoś nie robi pani wrażenia, jakby знаła takie rzeczy.

— A jakie robię wrażenie?

— No cóż... Jakby była pani ponad takimi sprawami.

Westchnęła.

— Nie sądzi pan chyba, że deBeers to moje prawdziwe

nazwisko? Nazywam się Patricia Miller, dorastałam w Maine, najsmutniejszym mieście świata. Mam cztery młodsze siostry, wszystkie urodziły się w domu, wszystkie zimą i przeważnie w nocy, nim przyszła położna. Staram się unikać takich spraw, ale nie jestem ponad nimi.

— Ach tak — mruknął John i wydał się sobie strasznie głupkowaty.

Po jakimś czasie zjawił się zakłopotany Joseph Balabagan, mnąc w dłoni swoją czapkę z daszkiem i napisem *New-York-Yankees*.

— Przykro mi, że byłem taki nieuprzejmy — przełknął ślinę — choć przecież samo niebo mi was zesłało, teraz to wiem... — Zagryzł wargi i niezdarnie, szybko machnął ręką, jakby coś odrzucał daleko od siebie. — Ten motorower! Oszaleję przez niego! Psuje się zawsze, kiedy go potrzebuję! Powinienem go wyrzucić. Tak, naprawdę powinienem.

— Jak się czuje pana żona? — spytała Patricia. Gniótł dłonie.

— Mówią, że lepiej. Trzeba jeszcze poczekać — trzy dni, tak mówią. Na razie mam pojechać do domu...

Johna wypełniła osobliwa mieszanina zadowolenia i bezradności. Zadowolenia, gdyż swoją obecnością mogli pomóc kobiecie, pogrążonej w oczywistej rozpaczach — i bezradność, gdyż mąż tej kobiety był tym, kogo szukali, a przecież zupełnie nie odpowiadał obrazowi, jaki John wyrobił sobie po wysłuchaniu opowieści rybaków. Balabagan nie stanowił odpowiedzi na jego pytanie. Może i wyzyskiwał rybaków, sam jednak również był tylko ogniwem w łańcuchu. Posunęli się w pajęczej sieci o krok dalej, ale jeszcze nie znaleźli pajaka.

Dał odbiorcy ryb znak, by usiadł, i powiedział mu, co wiedzą o praktykach łowienia ryb dynamitem w Panglawan i o praktykach udzielania rybakom kredytów. Kiedy John mówił,

Joseph Balabagan robił się coraz cichszy, a kiedy mowa zeszła na dynamit, rozejrzał się wokół przestraszonym wzrokiem.

— Niech pan słucha — powiedział cicho — czego pan ode mnie chce? Próbuję tylko zapewnić byt rodzinie. Muszę domagać się ośmiu pesos za pięć, jakie pożyczam, bo większość i tak nigdy nie spłaca swoich długów. Więc co mam robić? Nie mogę przecież rozdawać pieniędzy. Och, tak często biorę od nich ryby, choć nie są już całkiem świeże; wkładam je w lód i mam nadzieję, że w fabryce tego nie zauważą. Ale często to zauważają, i płacą mi mniej, i kto mi to wynagrodzi? Nikt. Widzi pan przecież, że nie jestem bogaty. Czy, gdyby mi był bogaty, miałbym motorower, do tego wciąż zepsuty? Czy musiałbym prosić pana o pieniądze na szpital?

— A skąd pochodzi dynamit? — spytał Benigno Tatad.

Balabagan wzruszył ramionami.

— Dostaję go od pewnego policjanta. Muszę płacić nie tylko jemu, ale jeszcze jego szefowi, więc niewiele mi zostaje. Sprzedaję go tym rybakom, którzy chcą. Domagają się go, bo chcą łapać więcej ryb; tak to wygląda. Przecież każdy tego chce — zarobić więcej pieniędzy.

— A czy pan wie, jakie szkody robi dynamit na rafie koralowej? — wysyczał delegat rządu. — I że niszczy łowiska?

— Rify koralowej nie można zjeść — odpowiedział Balabagan, unosząc bezradnie dłonie. — Jeśli ja nie będę sprzedawał im dynamitu, zrobi to ktoś inny.

— Ta fabryka ryb — znów wmieszał się John — gdzie ona jest?

— W San Carlos. Płacą nadal tyle, co dziesięć lat temu, choć wszystko podrożało. Ale komu innemu mam sprzedawać ryby? Jeśli dostanę *lapu-lapu*, mogę ją sprzedać restauracji tu w Lomiao, ale całej reszty nie chcą. Nic nie mogę zrobić. — Pokręcił

głową. — Muszę też pilnować spłacania własnych rat. Mnie też nikt nic nie podaruje, a już najmniej bank.

John osłupiał.

— Bank? Jaki bank?

— Tu, w Lomia. Nie mają do mnie tyle cierpliwości, ile ja mam do rybaków, może mi pan wierzyć.

— A jakie raty musi pan spłacać?

Odbiorca ryb zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

— Po prostu raty — powiedział z ociąganiem.

— Za kredyty?

— Pewnie. A za co miałbym płacić raty do banku?

— Jakie to kredyty?

Przez chwilę mężczyzna wyglądał, jakby chciał wstać i odejść. Nawet Benigno głośno nabrał powietrza. Filipińczycy nie lubią takich bezpośrednich pytań, John już to wiedział, nie chciał jednak, by coś zepchnęło go z wyznaczonego szlaku, zmyliło trop. Nie odrywał wzroku od handlarza rybami, aż ten w końcu uległ.

— Zawsze coś jest — powiedział cicho. — Kiedy udało mi się spłacić maszynę do lodu, zepsuła się i nie miałem pieniędzy na naprawę. Potem musiałem kupić pojemnik na benzynę do dystrybutora... I tak dalej. — Zachmurzył się. — Doszło do tego, że ledwie już daję radę spłacać. Teraz nawet panu jestem winien pieniądze.

John rozłożył ręce.

— To prezent dla pana. I dla pańskiej żony. — Myślał o przetwórnicy ryb. Możliwe, że to jest następny stopień wyzysku. Prawdopodobnie robi to samo, co Balabagan: wykorzystują swój monopol, wykorzystują fakt, że handlarze rybami nie mogą sprzedawać ich nikomu innemu, oferują najmniejsze możliwe ceny i zbijają na tym pieniądze...

— Wie pan — odezwał się Balabagan — moim zdaniem 27 procent to naprawdę dużo.

— Słucham? — spytał John, myślami gdzie indziej. — 27 procent?

— Cóż, mówił pan przecież, że pożyczam rybakom pięć pesos, a chcę za to osiem, i że to 60 procent. Ale mój bank żąda 27 procent, i jeszcze zabezpieczeń... Uważam, że to naprawdę sporo, prawda?

John spojrział na niego z niedowierzaniem.

— 27 procent? — upewnił się. — Tutejszy bank udziela kredytów na *dwadzieścia siedem* procent?

— Tak.

Przywołał w pamięci stosowne wzory, których nauczył się kiedyś w swoim biurze. Dwadzieścia siedem procent, to znaczy, że kwota do spłacenia podwaja się co dwa lata, mniej więcej.

— Jak w takim razie chce pan to kiedykolwiek spłacić?

— Sam się zastanawiam. Przy maszynie do lodu było tylko czternaście procent, więc dałem radę...

— Ale dwadzieścia siedem procent! Dlaczego się pan na to zdecydował?

Balabagan zachnął się.

— A co innego miałem zrobić? Maszyna do lodu była zepsuta. Nie mogę prowadzić mojego interesu bez lodu.

— Powinien był pan iść do innego banku.

— Inne banki nie chciały mi dać kredytu.

John powoli skinął głową. To wyglądało na świeży trop. Poczul, jak jego niepokój ustępuje przed zimnym, bezwzględny gniewem, i przez głowę przemknęło mu pytanie, co robi, kiedy już wytropi centrum wszystkich tych bezlitosnych przymusów i bezwzględnych presji, znajdzie pająka tkającego tę sieć, koniec

łańcucha, szefa wszystkich szefów, największego wyzyskiwacza.  
Czy będzie w stanie się opanować.

— No więc; — szepnęła Ursula Valen. W pełnej kurzu ciszy biblioteki nawet to zabrzmiało jak zakłócenie spokoju.

Książka wyjść państwowego archiwum okazała się strzałem w dziesiątkę: w roku 1969 komplet dokumentów przekazano do Instytutu Historycznego na Uniwersytecie, gdzie w ramach pracy doktorskiej, nigdy nie dokończonych, przeleżały półtora roku, nim wreszcie złożono je w bibliotece instytutu, i to w tym zamkniętym oddziale, gdzie przechowywano historyczne oryginały i ze względu na to można było wchodzić do niego tylko za specjalnym zezwoleniem. Załatwienie tegoż zezwolenia kosztowało Alberta Vacchiego nie więcej niż jeden telefon.

Leżały tu zgromadzone niesłychane skarby — średniowieczne manuskrypty, prastare biblie, listy i dzienniki postaci historycznych, i tak dalej. Nie mogła się powstrzymać, by nie rzucić okiem do tej czy owej szarej, grubościennej skrzynki, w jednej z nich trafiła na listy Mussoliniego, krótkie, napisane odręcznie zamaszystym, strzelistym pismem. Oczywiście nie potrafiła odczytać ani słowa, i może się zresztą myliła, ale i tak było to niezwykle.

Wreszcie wyjęła z regału właściwą skrzynkę i zaniósła ją do stołu, który sam w sobie był antykiem, otworzyła, wstrzymując oddech i wreszcie, na pierwszym arkuszu, jaki wzięła do ręki, rozpoznała pismo, w którym sporządzono również notatki na marginesach ksiąg rachunkowych. To były one, osobiste zapiski Giacomo Fontanellego, florenckiego kupca z piętnastego wieku.

Zadziwiająco dużo notatek, jak na człowieka średniowiecza, pomyślała, kartkując niski stosik. Były to luźne kartki, dobrze

zachowane — i dobrze czytelne, gdyby znała średniowieczne włoskie dialekty. Prawie wszystkie wpisy były oznaczone datą, większość z roku 1521. Kilka arkuszy wyróżniało się innym formatem i obcym charakterem pisma, najwidoczniej były to listy do Fontanellego, które ten zachował...

Przy jednym z nich zatrzymała się zdziwiona. Bardzo osobliwe. Cały list składał się z kolumn liczb, tylko na końcu były dwie linijki normalnego tekstu. Przytrzymała kartkę pod lampą i dokładniej przyjrzała się kolumnom liczb. Rozpoczęły się następująco:

1525 300 12

1526 312  $12\frac{1}{2}$

1527  $324\frac{1}{2}$  13

Gdy zrozumiała, co ma przed sobą, zrobiło jej się gorąco. Pierwsza kolumna, to były lata. Druga, to zasoby. W trzeciej wpisano zawsze różnicę między wartością w drugiej kolumnie w danym roku i w następnym, zatem przyrost majątku. Przeliczyła w notatniku i wyszło jej w przybliżeniu oprocentowanie w wysokości czterech procent.

Powędrowała w dół kolumn, zdziwiła się ponownie, jak wtedy, kiedy podobne rachunki publikowano we wszystkich gazetach, jak majątek zwiększa się początkowo powoli i niedostrzegalnie, śmiesznie, wręcz opornie, by w pewnym momencie z ledwie pojętą prędkością zacząć rosnać i rosnać. Trzeba było ćwierci stulecia, mianowicie do roku 1556, nim z 300 florenów zrobiło się ponad tysiąc. W roku 1732 majątek pierwszy raz przekroczył milion, ale już w 1908 wynosił więcej niż miliard, by do 1995 wzrosnąć do trzydziestu miliardów florenów — w przeliczeniu właśnie ów bilion dolarów.

To, co znalazła, to obliczenia, jak majątek Fontanellego będzie

się rozrastał przez pięćset lat.

I *nie* zarobił ich Giacomo Fontanelli.

— Fabiana? — Rozejrzała się za młodą studentką historii, o której powiedziano jej, że może się do niej zwracać, jeśli będzie miała problemy ze zrozumieniem tekstu.

Fabiana miała wspaniałe czarne włosy aż po pośladki, wprawdzie nieco pucułowate rysy twarzy, ale wszystkie krągłości na właściwym miejscu. Ursula znalazła ją pochyloną nad skrzynką z mapami i z zapamiętaniem lakierującą sobie paznokcie.

— Ciao, Ursula — rozpromieniła się swobodnie. — Znalazła pani coś?

Ursula położyła przed nią ostatnią stronę listu i wskazała na tekst poniżej obliczeń.

— Co to znaczy?

Fabiana pochyliła się nad starym dokumentem, równomiernie dmuchając na paznokcie, i przyjrzała się nabazgranym lakonicznie wierszom.

— To znaczy, hmm... — Zmarszczyła czoło, zapomniała o dmuchaniu. — Przetłumaczyłabym to tak: *Widzisz więc, jak prawa matematyki uczynią moje dzieło nieśmiertelnym*. Dziwne zdanie, prawda? — Przeczytała jeszcze raz. — Tak, tak jest napisane. Podpis *Jacopo*.

— Co? — Ursula drgnęła jak porażona prądem. Przyjrzała się dokładniej. Podpis na pierwszy rzut oka wydał się jej nieczytelnym bazgrołem, ale teraz, gdy tak powiedziała... — *Jacopo?*

— Tak jest napisane — wyjaśniła niewzruszona dziewczyna.

— Myślę — jęknęła słabo Ursula — że muszę usiąść.



John, przedstawiając się, dostrzegł błysk w oku bankiera. Niewątpliwie ten człowiek słyszał jego nazwisko, znał również jego twarz, starał się jednak nie okazać, jakie to na nim zrobiło wrażenie.

— Miło mi — powiedział i wymienił swoje nazwisko, umieszczone również na tabliczce przypiętej do klapy jego staromodnie skrojonego garnituru: — Labarientos. — Wskazał na dwa krzesła przed biurkiem. — Co mogę dla pana zrobić?

Bank był mały, pomieszczenia klimatyzowane, i niewiele się w nim działo. Dla Johna, który tymczasem widział wszystko, co banki kiedykolwiek wymyśliły w temacie przepychu i dostatku, pomieszczenia te i ich wyposażenie wyglądały raczej skromnie, żeby nie powiedzieć ubogo. Balabagan ledwie odważył się przysiąść na krawędzi krzesła, zgięty w pokornym ukłonie.

John nie był pewny, jak najlepiej postąpić, żeby rozwikłać aferę, z jaką najwyraźniej miał tu do czynienia. W drodze rozważał, czy nie kupić po prostu banku, żeby móc bez problemu zajrzeć w jego księgi, ale potem powiedział sobie, że tę możliwość będzie miał jeszcze zawsze i że może najlepiej zjawić się tam z nienacka i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Oparł się wygodnie, zarzucił nogę na nogę, dłonie luźno oparte na kolanach, stosował dokładnie te sztuczki, jakich nauczył go McCaine, żeby podczas rozmaitych rozmów robić dostojne i imponujące wrażenie, po czym powiedział:

— Chciałbym wiedzieć, jak pan wpadł na pomysł, żeby obecnemu tu panu Balabaganowi naliczać dwadzieścia siedem procent odsetek za jego kredyty.

Teraz Labarientos zerkał nerwowo.

— Nie jest naszym zwyczajem — odpowiedział z ociąganiem — zdradzać szczegóły kredytów naszych klientów.

John skinął głową.

— Przy takim lichwiarskim procencie wierzę panu na słowo, że woli pan rozmawiać w cztery oczy. Ale pan Balabagan jest tutaj — proszę, może go pan spytać, czy się na to zgadza.

Handlarz rybami kiwnął głową tak pośpiesznie, jakby chciał zapobiec temu, że ktoś się do niego odezwie.

— Zatem dobrze — stwierdził urzędnik banku i odwrócił się do komputera, nacisnął kilka przycisków, zaczekał. Trwało to chwilę, ule w końcu na ekranie pojawiły się liczby.

— Przed dziesięciu laty udzieliliśmy panu Balabaganowi pożyczki, zgadza się. Posłużyła wtedy do zlikwidowania kilku innych, zaciągniętych wcześniej kredytów. Interesują pana dokładne kwoty, czy jeszcze coś?

— Interesują mnie odsetki. Dwadzieścia siedem procent, zgadza się?

— Tak, zgadza się.

John pochylił się.

— Zastanawiam się nad jednym: ile pan Balabagan już spłacił? Mniej więcej?

Labarientos zerknął niepewnie na handlarza ryb, postukał w klawiaturę, odnalazł odpowiedź.

— Pan Balabagan kilkakrotnie prosił o zawieszenie rat. Zgodziliśmy się na jego prośbę, ale jak pan może sobie wyliczyć, na skutek tego spłata oczywiście się opóźniła.

John poczuł, jak narasta w nim lodowata wściekłość.

— Zatem, ile spłacił do tej pory? Dwa procent? Jeden procent? Nic?

Teraz, mimo klimatyzacji, na górnej wardze urzędnika można było dostrzec kropelki potu.

— W istocie — przyznał — zachodzi ten ostatni przypadek.

— Co to znaczy? — spytał z niedowierzaniem Balabagan.

— To znaczy, że przez dziesięć lat płacił pan tylko odsetki, nie zmniejszając swojego długu nawet o jeden peso — wyjaśnił mu brutalnie John. Zresztą czuł, że wypełnia go brutalna złość, jakiej nigdy wcześniej nie doznawał. Miał ochotę chwycić za kark tego przysadzistego człowieka po drugiej stronie biurka i wyciągnąć go z jego niebieskiego garnituru.

— Co? — uniósł się handlarz rybami. — Ale dlaczego? Przecież prawie zawsze płaciłem, i to tak dużo...

— Za mało — John pokręcił głową.

— I co teraz będzie? Co dalej? Mam spłacać przez całe życie, czy jak?

Twarz Labarientosa skamieniała.

— Nie — powiedział. — Kredytu udzielono na dwadzieścia pięć lat. Po tym czasie albo musi być spłacony, albo dokonamy egzekucji.

— To znaczy — przetłumaczył John — że jeśli za piętnaście lat nie będzie pan mógł spłacić za jednym zamachem wszystkich jeszcze brakujących pieniędzy, a więc pożyczki plus jeszcze nie zapłaconych odsetek — bank zabierze pański dom i wszystko, co podał pan jako zabezpieczenie.

— Ale jak ja mam to zrobić? — krzyknął przerażony Balabagan. — Skąd mam wziąć pieniądze? Mój dom? Mój syn ma odziedziczyć dom i skup. Na co bankowi skup ryb?

— Wydzierzawi go pańskiemu synowi, może — powiedział John. Zaczynał rozumieć, na czym polega ta gra. Pochylił się, spojrzął na bankiera, z trudem hamował złość. — Panie Labarientos, jak pański bank może pobierać tak wysokie odsetki za pożyczkę? Proszę mi powiedzieć, czy to zwyczajna praktyka.

Stuk-stuk-stuk na komputerze. Wyglądało to na próbę zyskania

na czasie.

— Tej pożyczki — wyjaśnił powoli Labarientos — udzielono w okresie, kiedy obowiązywały wysokie odsetki, ze stałym oprocentowaniem. Ponadto ta pożyczka ma słabe zabezpieczenie, to znaczy, że jest ryzykowna dla banku. Jest zupełnie normalną praktyką ustanowienie w takim przypadku wyższego oprocentowania, ze względu na podwyższone ryzyko.

— Czy to wszystko? — spytał John, pomyślał o rybach łowionych na dynamit, o utraconych rękach i nogach, o człowieku, który już tylko wisi w worku, o córce, która wyjechała do Hongkongu, żeby wymieniać swoje ciało na pieniądze dla rodziny. — Czy tylko to jedno się liczy — ryzyko banku?

Labarientos spojrział na Johna, przesunął szybko językiem po wargach, ułożył splecione dłonie na biurku przed sobą.

— Jako bank — powiedział, ani trochę nie onieśmielony — jesteśmy w pierwszym rzędzie zobowiązani chronić naszych inwestorów. Na przykład pana, panie Fontanelli. Ma pan w naszym banku jedno z największych kont, jakie prowadzimy. Powierzył nam pan wiele milionów peso. Na pewno nie chce pan, żebyśmy stracili te pieniądze — i na pewno chce pan dostać od nich odsetki, prawda? To właśnie robimy. Zarabiamy pańskie odsetki.

Kiedy wracali, twarz Johna płonęła ze wstydu. Zostanie chyba pierwszym przypadkiem poparzenia skóry rumieńcami wstydu. Oparł się skrzywiony na tylnym siedzeniu, zakrył twarz ramieniem, i było mu niedobrze z przerażenia.

Powinien był to wiedzieć przez cały czas. To było takie oczywiste, takie proste, takie jasne. Jak na dłoni.

Pytanie: jak mnożą się pieniądze? Odpowiedź: wcale się nie mnożą.

Jakim był idiotą, że myślał inaczej.

A przecież — od najwcześniejszego dzieciństwa wmawiano mu, powtarzano nieustannie niczym modlitewną mantrę, żarliwiej niż Ojciec Nasz, w ogóle nie słyszał, by ktoś mówił inaczej: na koncie oszczędnościowym pieniądze się mnożą. Reklamy powtarzały to z monotonią modlitewnego młynka, rodzice, nauczyciele, koledzy, wszyscy to powtarzali: zanieś pieniądze do banku, żeby się rozmnożyły. Nawet Paul, ten mądry Paul Siegel, który skończył Harvard z *summa cum laude* i jest inteligentny jak nikt inny, upominał go: musisz sprawić, żeby twoje pieniądze pracowały na ciebie.

Ale pieniądze nie pracują. Tylko ludzie pracują.

Gdyby było inaczej, co powstrzymywałoby nas przed wydrukowaniem tylu pieniędzy, żeby każdego zrobić milionerem? Nic. Tylko, że wtedy nie byłoby już nikogo, kto piekłby bułeczki na śniadanie milionerom, nikogo, kto by uprawiał, zbierał i miał zboże na te bułeczki, nikogo takiego.

Pieniądze nie pracują. Pracować muszą zawsze ludzie.

I pieniądze się nie mnożą. Każdego dolara, każdy pojedynczy cent, o który wzrasta stan konta, ktoś wypracował. Ktoś, kto ma długi i dlatego z pieniędzy, jakie zarabia, musi oddawać część temu, u kogo jest zadłużony.

Długi, to znaczy czynsz od wynajętych pieniędzy. Długi i odsetki tworzą potężny, wyrafinowany mechanizm, by transportować pieniądze od tych, którzy mają mało, do tych, którzy mają ich dużo. Ten transport odbywa się w homeopatycznie małych dawkach, które większości nie sprawiają bólu, i z matematyczną, wykalkulowaną precyzją.

Tak powstał jego majątek. Oprócz kapitału, od którego zaczęło się to wszystko, owych śmiesznych dziesięciu tysięcy dolarów,

każdy z kolejnego tysiąca miliardów został wypracowany przez innych ludzi. John widział okiem duszy potworny splot, układ naczyń krwionośnych, grube żyły rozgałęziały się w małe, te w jeszcze cieńsze żyłki, a te w końcu w kapilary cienkie jak włos, oplatały całą kulę ziemską, każdy kraj, każde miasto, każdą wioskę, sięgały w życie każdego człowieka żyjącego na Ziemi, lecz tymi żyłami nie płynęła krew, ale pieniądze, centy i ułamki centów w kapilarach, skąd spływały się w grubszych żyłach w ćwierćdolarówki, w dolary w tych jeszcze grubszych, i w setki i tysiące i miliony, aż w końcu łączyły się w makabryczną rzekę pieniędzy, nieustannie wzbierającą i wylewającą się na jego konta, czterdzieści miliardów dolarów na rok, ponad sto milionów dolarów w każdy boży dzień.

Szedł tropem nitek pajęczej sieci, szukał pająka, i patrzcie tylko: był nim on sam. Badał łańcuch pokarmowy i stwierdził: na jego końcu znajduje się on sam. To on jest szefem wszystkich szefów. On jest największym z wyzyskiwaczy. On jest dziedzicem majątku Fontanellego i sądził, że stanie się rozwiązaniem wszystkich problemów świata. W rzeczywistości jest ich przyczyną.

— Proszę się zatrzymać — wychrypiał. Samochód stanął. Potykając się wysiadł i zwymiotował, jakby musiał wyrzucić z siebie wszystko, co jadł przez ostatnie dwa lata.

# 34

Jakoś udało im się dowieźć go na jacht. Jakoś przetrwał noc i rano. Potem znów zapragnął zejść na ląd, gdyż miał tam jeszcze coś do załatwienia. Zawieźli go motorówką do Tuay, gdzie wciąż stał jeep, i spytali, czy będzie jeszcze potrzebny. Nie, pokręcił głową, możecie go załadować z powrotem. Mówili jeszcze coś o tym, że PROPHECY jest za duża, żeby zawinąć do portu, a on tylko przytaknął, bolało go całe wnętrze, tak, rzeczywiście jest za duża, o wiele za duża dla jednego człowieka. I kiedy zabierali się za wciąganie wozu na motorówkę, on ciężkim krokiem poszedł w górę ulicą zrobioną tylko z ubitej ziemi i kilku wdeptanych w nią kamieni, prowadzącą do targowiska na bądź co bądź wyasfaltowanym placu, poddał się wrażeniu, jakie zrobił na nim widok nieproporcjonalnie dużego kościoła, zatrzymał się na chwilę z uczuciem w krtani, jakby rodził się w niej krzyk, niezdolny się wydobyć, aż w końcu poszedł w kierunku domu handlarza ryb.

Joseph Balabagan przycupnął na skrzyni i obserwował chłopca, majstrującego przy silniku motoroweru. Kiedy zobaczył zbliżającego się Johna, poderwał się i wyszedł mu naprzeciw. Dzwonił do szpitala, jego żona czuje się dobrze, dziś wieczorem pojedzie tam, w razie konieczności autobusem, jeśli do tego czasu nie naprawią motoroweru, i podziękował mu jeszcze raz za wszystko, co John dla niego zrobił.

John poszedł razem z nim, przywitał skinieniem głowy chłopca, uśmiechającego się do niego pogodnie, z uwalanymi czarnym smarem palcami. Handlarz ryb wysłał jedną z córek, by przyniosła im szklanki i wyjął ze skrzynki lodu dwie butelki coli. John usiadł na wskazanym mu krześle, i wyjął z kieszeni

książeczkę czekową i długopis, który, choć na to nie wyglądał, kosztował więcej niż wszystko, co posiadał jego gospodarz.

— Jak duży ma pan dług? — zapytał. Balabagan wytrzeszczył oczy.

— O nie — wykrztusił zduszonym głosem. — To jest... ja nie mogę...

John spojrział tylko na niego, czuł się wewnętrznie głuchy i obolały, i powiedział:

— Panie Balabagan, jestem najbogatszym człowiekiem świata. Pan mi pomógł, teraz ja chcę pomóc panu. A potrzebuje pan pomocy, gdyż własnymi siłami nigdy nie zdoła pan spłacić tego kredytu. Więc?

Handlarz ryb wbił wzrok przed siebie, na jego twarzy widać było wewnętrzną walkę, aż w końcu jedna strona zwyciężyła, może był to instynkt przetrwania. Cichym głosem wymienił sumę, a John, nie zadając sobie trudu przeliczenia jej na dolary, wpisał podwójną kwotę, wyrwał czek i podsunął go Balabaganowi.

— Byłoby dobrze, gdyby udało się panu tak to urządzić, żeby nie sprzedawać więcej dynamitu — powiedział.

— Ale... — zaczął Balabagan.

— Wszystkiego dobrego — powiedział John i wstał. — Proszę pozdrowić pańską żonę. I dziękuję za colę.

Potem poszedł. Znów czuć było dym, niebo na zachodzie zaciągnęło się szarymi smugami, gdyż w Indonezji palono lasy, gdyż i tam pracowali dla niego jego poddani, nieświadomi tego, że są mu winni daninę. Tak jest na całym świecie, wszędzie harują dla niego kobiety i mężczyźni, w pocie, trudzie, wykonują niebezpieczne, trudne i nudne prace, i — nie przeczuwając tego nawet — sporą część swego czasu pracują dla niego, mają udział



w przyroście jego majątku, czynią go bogatszym i bogatszym, a on nie musi robić zupełnie nic.

Gdyż, jak przerażony pojął dzisiejszego ranka, nie tylko ci są jego poddanymi, którzy sami mają długi. Maszynieria pieniędzy funkcjonuje o wiele bardziej wyrafinowanie. Marvin i on płacili czynsz pannie Person, właścicielce domu, ona jednak w rzeczywistości nie mogła zachować tych pieniędzy, ale musiała przekazać je do banku, żeby spłacić kredyt, który wzięła na kupno domu.

— Koszta kapitałowe — tak brzmi to pojęcie, które widział w niezliczonych kalkulacjach, nie zastanawiając się nad nim. We wszystkim, co się kupuje, spłaca się kredyty producenta. Potężną część podatków, odprowadzanych przez każdego, pożerają odsetki od długów państwa. Aż w końcu wszystkie te pieniądze lądują, takimi albo innymi zawikłanymi drogami, na jego koncie. Cóż, nie wszystkie, ale coraz więcej. W tym systemie największy majątek posiada największą siłę przyciągania, jest jak magnes, dzięki temu, co przyciągnie, jeszcze przybierający na sile. Jak powiedział McCaine: pewnego dnia będzie należał do niego cały świat.

John zatrzymał się, spojrział na zatokę i krajobraz, zachwycający rajskim wyglądem i cuchnący dymem i odpadkami. Czy on, czy jego pieniądze nie są winne temu kryzysowi? Czy sprawy świata nie potoczyłyby się inaczej, gdyby przez stulecia ten ogromny majątek ze swym nienasyconym głodem zysków z odsetek nie ciążył na wszystkim jak senny koszmar? Jak moloch, któremu cały świat nieustannie musi oddawać trybut, tak, że na potrzeby ludzi i natury zostawało zbyt mało?

A jeśli tak jest — musi to sprawdzić, przeliczyć, musi się nad

tym zastanowić, aż będzie pewny — czy w końcu okaże się, że to, co musi zrobić, to *zniszczyć* własny majątek?

Co za myśl. Tak paradoksalna, tak przekonująca, niemal urzekająca swą oczywistością. Nic dziwnego, że Vacchi nigdy nie odkryli tego, co kryje się za proroctwem. Zniszczenie majątku oznacza, że ze świata zdjęte zostanie jarzmo głodnego zysków, pazernego na odsetki biliona dolarów. Czy to on jest winien? Czy taka jest odpowiedź?

Zobaczył oczyma wyobraźni duży plac, rozległą równinę, może na jednej z pustyń na zachodzie USA. Będą potrzebowali dróg. Na pewno zjadą się gapie, żeby sobie obejrzeć to widowisko. Bilion dolarów w banknotach, ile to może być pełnych ciężarówek? Na pewno kilka. Co za wizja. To byłoby historyczne wydarzenie, ten widok, jak ciężarówka po ciężarówce wyładowuje pieniądze, masy powiązanych w pliki banknotów dolarowych, wznoszących się na stosie, jakiego jeszcze świat nie widział. Będą potrzebne uzbrojone posterunki, na pewno. Wygłosi krótką mowę, wyjaśni, do czego doszedł i dlaczego dobrze będzie zniszczyć pieniądze, weźmie pochodnię i rzuci ją w tych Benjaminów Franklinów i George'ów Washingtonów, po czym wspólnie z widzami z dreszczem zgrozy i ulgi będzie obserwował, jak ten największy majątek, jaki kiedykolwiek istniał, rozpływa się w dym i popiół, w popiół, który będzie opadał jeszcze o wiele mil dalej...

John zamrugał, potarł czoło, znów był tutaj, na głównej drodze z Tuay. Ludzie przyglądali mu się dziwnym wzrokiem.

W tej wizji był jakiś fałsz. Jakkolwiek podniecająca by nie była. Przesunął językiem po zębach, jak przesuwa się, szukając wyczutej kiedyś dziury. Przypomniał mu się widok w Banku Centralnym, nie pamiętał już, w jakim kraju, gdzie McCain i on stali za szybą ze szkła pancernego i przyglądali się ludziom,

którzy wybierali stare, uszkodzone banknoty, wrzucali je do niszcarki i zastępowali świeżo wydrukowanymi arkusikami.

Czy banknoty są tym samym, co pieniądze? Czy rzeczywiście zdoła zniszczyć swój majątek, wypłacając z wszystkich kont gotówkę i paląc ją? Uzmysłowił sobie, że w wielu krajach uznano by to za przestępstwo. W wielu państwach zabronione jest niszczenie banknotów, często noszących portrety królów albo bohaterów narodowych. Ale pomijając to, co powstrzymuje banki centralne od zastępowania zniszczonych pieniędzy nowymi? W końcu to tylko papier.

Skoro się już nad tym zastanawia — po co ten wysiłek z kolumną ciężarówek pełnych pieniędzy? Może poprosić *Federal Reserve Bank* o wydrukowanie specjalnie dla niego *banknotu biliondolarowego*. Mógłby go potem spalić w popielniczce, wygodnie i nie tak spektakularnie. O Boże, wystarczy kazać wystawić sobie czek! W końcu chodzi przecież tylko o to, żeby na jego kontach pojawiło się zero. Można to sprawić, wydając mu gotówkę lub czek, choć w końcu jedno i drugie to tylko coś w rodzaju kwitu. Wszystkie rachunki księgowe zbilansują się wtedy i wszystko odbędzie się prawidłowo. Ale równie dobrze mógłby pieniądze przelać na konto we własnym banku, potem po prostu pójść do działu komputerowego i programiście albo operatorowi powiedzieć:

— Tutaj, o, ta komórka w pamięci komputera, w którą teraz wpisany jest bilion — albo dwa biliony, czy ile tam — proszę to skasować i wpisać w nią zero. — Wtedy majątek również byłby zniszczony, prawda?

John pokręcił głową, odgarnął włosy z czoła. To wszystko jest tak zagmatwane. Gdyby tak łatwo było zniszczyć pieniądze, co w takim razie mogłoby powstrzymać kogoś przed równie łatwym

ich wyprodukowaniem? Dokładnie tak samo można by w tę komórkę pamięci wpisać sto bilionów albo sto trylionów — ale czy to też są pieniądze? A jeśli nie, to dlaczego? Czym w takim razie są pieniądze?

Nogi niosły go dalej, w miejsce w upalnym cieniu drzewa. Usiadł, wbił oczy w morze i promieniście biały jacht na nim, naprawdę ich nie widząc.

Pieniądze. Zakładając, że zniszczyłyby nie tylko swój przeklęty majątek, ale wszystkie pieniądze, jakie w ogóle istnieją na Ziemi. Co wtedy? Co się stanie? Czy ludzie byłiby bezradni, gdyby musieli zorganizować nową gospodarkę bez pieniędzy, wrócić do handlu wymiennego? Nieprawdopodobne. Jego ojciec wystawiłby kupon opiewający na parę butów, poszedłby z nim do piekarza i wymienił tam na bochenek chleba i kupony na określoną liczbę kolejnych bochenków chleba, i miarą tego byłyby ceny, jakie te rzeczy miały przedtem. Ludzie na własną rękę znów utworzyliby pieniądze, w jakikolwiek sposób i w jakiegokolwiek bądź formie.

O to właśnie chodzi. Pieniądze to ludzki wynalazek. I równie mało prawdopodobne, że uda się je usunąć z powierzchni Ziemi, jak to, że ludzie zniszczą bombę atomową.

— Halo? Pan Fontanelli?

John drgnął, poderwał się. Stał przed nim młodzieniec, w wieku szesnastu, może siedemnastu lat, patrzący na niego z zaciekawieniem, bystrym, trzeźwym spojrzeniem. Miał w oczach zatroskanie.

— Co się stało? — Rozejrzył się. Siedział na brudnej, żółtej, plastikowej skrzynce, jakich używa się do przewozu warzyw. — Czy to twoja skrzynka? Przepraszam, mam nadzieję że jej nie zepsułem...

— Nie, panie Fontanelli — machnął ręką chłopiec. — To nie moja skrzynka. Zobaczyłem tylko, jak pan tu siedzi i, no cóż, chciałem z panem porozmawiać. — Wyciągnął dłoń w jego kierunku i uśmiechnął się promiennie: — Nazywam się Manuel Melgar, sir. To dla mnie zaszczyt.

— No tak, w takim razie... — John uścisnął mu dłoń i przyjrzał się dokładniej. Manuel Melgar był szczupły, właściwie chudy, miał rozwichrzone czarne włosy, czyste jeansy, wyglądające, jakby były jego największą dumą, i błękitną koszulkę z nadrukiem *Bon Jovi* i *Keep The Faith*. John nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy to czytał; uśmiechu, od którego zabolalo go w piersiach. — Cześć, Manuel. Co słysząc?

— Dziękuję, w porządku, sir — odpowiedział godnie. Choć stał spokojnie, miał w sobie zwinność łasicy. Jakby nieczęsto zdarzało mu się stać spokojnie.

— To świetnie — powiedział John. — Miło słyszeć.

Manuel potarł nos, widać było, że się nad czymś zastanawia.

— Sir — czy ma pan może chwilę czasu. Wymyśliłem sobie coś i chętnie bym się dowiedział, co pan o tym sądzi. — Teraz kiwnął się nerwowo w przód i w tył. — Przepraszam, jeśli przeszkodziłem panu w rozmyślaniach, czy coś w tym rodzaju... Myślałem tylko, że skoro pan akurat tutaj jest...

— W porządku — skinął głową John. *Keep The Faith*. — Mam czas.

Uśmiech Manuela był po części spięty, po części zachwycony.

— A więc, zauważyłem, że u rybaków stosunkowo dużo ryb psuje się, nim zdążą je sprzedać. Na pewno jedna czwarta, jeśli nie jedna trzecia. Bierze się to stąd, że do handlarza ryb jest daleko; większość idzie do niego po powrocie z porannego połowu, ale wtedy ryby z wieczora leżą przez całą noc. Nic

dziwnego, że dużo się psuje.

John skinął głową.

— Kapuję.

— Jeśli teraz ktoś — powiedział Manuel — kupiłby trójkołowiec...

— Przepraszam — przerwał John. — Co to jest trójkołowiec?

— Motocykl z trzema kołami. A więc normalny motocykl z bocznym wózkiem. Był pan przecież wczoraj w Lomio; tam dużo z nich jeździ jako taksówki.

John mimochodem zastanowił się, skąd ten chłopak wie, że poprzedniego dnia byli w Lomio, ale przytaknął. Tak, przypomina sobie, widział mnóstwo tych pojazdów, pomalowanych na jaskrawe kolory i obklejonych mnóstwem naklejek i zaopatrzonych w wielkie ilości bezsensownych dodatkowych reflektorów, terkotały po całym mieście.

— Nazywa się je trójkołowcami. Nie wiedziałem.

— My je tak nazywamy, nie wiem, jak nazywają się gdzie indziej.

— Myślę, że gdzie indziej ich nie ma.

Manuel zawahał się, trochę zbity z tropu, pozbierał się jednak znowu.

— Mógłbym kupić taki trójkołowiec. Używany,, korzystna cena. I przebudowałbym boczny wózek tak, żeby można go było napełniać lodem. Pomoże mi w tym kolega, który pracuje w pewnym warsztacie w Lomio. Objeżdżałbym nim potem codziennie rybackie wioski i odbierał ryby, póki jeszcze są świeże. To będzie kosztowało wprawdzie trochę benzyny, ale opłaci się, bo nie będzie się już psuło tak dużo ryb, dokładnie to sobie przeliczyłem. — Spojrzał na niego wyczekująco. — Uważa pan to za dobry pomysł na interes, pan Fontanelli?

John spojrział na chłopca zmieszany.

— Brzmi nieźle, tak. Skąd będziesz brał łód?

— Od pana Balabagana. On chciałby, żebym jeździł po ryby dla niego, a on za to dawałby mi za darmo łód, ale nie dam się na to złapać.

— Dlaczego nie?

Manuel uśmiechnął się chytrze.

— Trzeba być niezależnym, jeśli chce się do czegoś dojść. Jeśli będę jeździł dla niego, to za dziesięć lat dalej będę dalej jeździł dla niego, a zyski z tego będzie miał tylko on. Nie, to ja będę skupywał od rybaków ryby, i będę sprzedawał je panu Balabaganowi. Za łód będę mu płacił, a jak tylko zdołam, kupię do wózka agregat chłodzący.

— Ale tak jest bardziej ryzykownie.

— Inni tracą pieniądze na grze w kości; ja za to zrobię coś rozsądnego. Poza tym na wybrzeżu są jeszcze inni handlarze ryb, i chcę móc sprzedawać temu, który mi najlepiej zapłaci. Jeśli na krótko przed terminem odbioru ktoś ma puste skrzynie, to mu się opłaci zapłacić więcej, bo mając na pace więcej ryb, dostanie lepszą cenę.

— Dobrze pomyślane. — John był pod wrażeniem.

— I mogę, jeśli i tak będę jeździł po wioskach, robić dodatkowy interes — z dumą kontynuował Manuel. — Wezmę ryż, olej i inne produkty i będę sprzedawał je za tę samą cenę, jaką musieliby zapłacić na targowisku. Ale ja kupię w Lomio, w hurtowni, gdzie jest dużo taniej. Na tym będę miał dodatkowy zarobek. — Złożył dłonie i wyczekująco spojrział na Johna. — Uważa pan, że to dobrze?

To było więcej niż dobre, John na serio zazdrościł chłopcu zmysłu do interesów. Mógł sobie żywo wyobrazić, jak Manuel

swoim kolorowym motocyklem — chłodnią terkoce po wioskach.

— To bardzo dobry plan — oznajmił.

— Prawda? Wyjdzie wszystkim na dobre. Jeśli teraz jedna trzecia ryb się psuje, a potem już nie będzie, to ilość ryb wzrośnie o pięćdziesiąt procent, nie kosztując nikogo więcej niż teraz. — Rozpromienił się i dodał, a w jego promiennym uśmiechu pojawił się cień przebiegłości: — Czy byłoby możliwe, panie Fontanelli, sir, żeby wsparł pan ten mój zamiar kredytem?

John ocknął się. Mimowolnie chwycił się za serce, tak go zabolalo.

— Kredyt? — wychrypiał. Nie będę już udzielał kredytów. Nie chcę już wysysać całej ludzkości jak jakiś wampir.

— Tak, ale widzi pan, sir — Manuel zmienił taktykę na uzalanie się i żebranie — mnie żaden bank nie udzieliłby kredytu. Sam nic nie mam, moi rodzice również są biedni, nie mam żadnych zabezpieczeń. Jedyne co mam, to ten pomysł. Pan jest bogaty. Wyobrażam sobie, że mógłby pan przez jakiś czas obyć się bez kilku setek dolarów... Dostanie je pan z powrotem, z odsetkami. Słowo honoru.

Spojrzał na chłopca, wciąż jeszcze czując mdłości i moralny niesmak, jednak tak, musiał przyznać, że pomysł jest dobry. Było to dokładnie to, co trzeba było tu zrobić, a ten chłopiec był gotów zrobić to z ochotą, i to zrobić dobrze, bez obaw. Wyjął książeczkę czekową.

— Ile potrzebujesz?

Oczy Manuela zabłysły. Nerwowo zaciskał dłonie, dyktując kwoty, które pewnie już od dawna obracał w myślach we wszystkie strony.

— No więc, trójkołowiec będzie kosztował sto pięćdziesiąt dolarów, do tego przebudowa, to jeszcze około pięćdziesiąt



dolarów. Do tego pieniądze na pierwszą benzynę i lód i na zapłacenie rybakom... Myślę, że potrzebuję trzystu dolarów.

— Dam ci tysiąc — powiedział John i w rubrykę *Odbiorca* wpisał *Manuel Melgar*.

— Nie, sir — szybko powiedział chłopiec. — Chce pan dobrze, ale za tyle pieniędzy nie mógłbym spłacić odsetek.

— Nie musisz płacić odsetek. Podaruję ci te pieniądze.

Cofnął się o krok.

— Przepraszam, panie Fontanelli. Tego nie chcę. Nie.

— Mogę się bez nich obejść, uwierz mi.

— Nie o to chodzi. Chodzi... o to! — Uderzył się dłonią w pierś.

— Sir, kiedy... kiedy będę już stary, chcę móc sobie powiedzieć, że do wszystkiego doszedłem własnymi siłami, rozumie pan? Ze zawdzięczam to *mojemu* pomysłowi. Mojej pracy. Nie jałmużnie.'

— Zdecydowanie pokręcił głową. — W ten sposób to nie byłaby przyjemność. Proszę, sir, trzysta dolarów pożyczki. Interes.

John przyglądał mu się, jak stoi, pełen energii i zdecydowania, i zapragnął sam mieć więcej jednego i drugiego. *Keep The Faith*. Właśnie.

— Dobrze, skoro tak uważasz — przytaknął. — Ubijemy interes. Trzysta dolarów?

— Trzysta dolarów.

— Ile to pesos?

— Wolałbym dostać dolary amerykańskie, sir.

— Jasne. — Wypełnił czek i podał go chłopcu, który przyjął go z godną pozazdroszczenia radością. Co za różnica, że nazwali to pożyczką?

Manuel ostrożnie wsunął czek do kieszeni spodni.

— Teraz potrzebuję jeszcze pańskiej wizytówki — oznajmił rzeczowo.

— Mojej wizytówki?

— Pańskiej wizytówki. Z adresem. Żebym wiedział, gdzie mam wysyłać raty.

— Ach tak. — Przeszukał kieszenie, znalazł wizytówkę, dał ją chłopcu. Na pewno pokaże ją kiedyś swoim dzieciom. Z biegiem czasu przekona się, że nic się nie stanie, jeśli zatrzyma pieniądze; że i tak będzie miał wystarczająco ciężko.

W tym momencie jednak był szczęśliwy, dziękował wielokrotnie, życzył mu wszystkiego dobrego, jeszcze raz podziękował i odszedł wraz ze swoim czekiem. John wstał, otrzepał spodnie i poszedł dalej, w dół w kierunku portu, w którym czekała motorówka.

— Opuszczę pana — oświadczyła Patricia deBeers, kiedy zjawił się na pokładzie. Siedziała na jednej z kremowych sof w salonie, otoczona gazetami i pustymi filiżankami po kawie, unosząc trzymany w dłoni list.

— Właśnie przyszedł. Casting w Hollywood; od dawna na to czekałam.

— Życzę powodzenia — powiedział John.

— Poprosiłam kapitana, żeby dziś po południu przewieziono mnie helikopterem do Cebu. Czy to w porządku? Stamtąd moja agencja załatwi mi lot do Los Angeles.

Opadł na jeden z foteli.

— Nawet nie wiedziałem, że w Cebu jest lotnisko.

— *Mactan-Cebu International Airport*. Myślę jednak, że będę miała przesiadkę w Manili. I tak trzeba się stąd wynosić. Słyszał pan o tych pożarach w Malezji i Indonezji? Przed chwilą w telewizji był reportaż, straszne. W Kuala Lumpur wygląda jak po wojnie atomowej. Ludzie noszą maski przeciwpyłowe, a dym jest tak gęsty, że nie widać nawet wieżowców, nie mówiąc o słońcu.

John wyjrzał przez okno. Niebo na zachodzie było oleście szare; z każdym dniem coraz bardziej.

— Tak — powiedział. — Słyszałem o tym.

Pojawił się steward. John poprosił go o przyniesienie również jego poczty.

Patricia deBeers z namysłem przyglądała się listowi w swojej dłoni.

— Jak to właściwie jest? Skąd pańska poczta wie z takim wyprzedzeniem, dokąd ma przesłać korespondencję?

— Najpowszechniejsza teoria głosi, że zatrudniliśmy jasnowidza — powiedział John, biorąc plik listów podany przez stewarda. W oko wpadła mu duża, brązowa koperta. Sądząc po nadawcy przysłano ją z Rzymu, lecz nazwisko nic mu nie mówiło.

— Jasnowidza. Interesujące. Nie byłoby lepiej przydzielić go do pańskich maklerów giełdowych?

— Nie wiem — stwierdził John. — Co by wtedy było z moją pocztą? — Rozerwał kopertę palcem wskazującym. W środku był plik spiętych kartek, fotokopii pisanego na maszynie tekstu. Po włosku. Wyjął załączony list, na szczęście po angielsku.

Przysłał go naczelny redaktor szkolnej gazetki, dla której pisał Lorenzo. Odnalazła się druga część artykułu i przysłała jej kopię. *Wbrew podejrzeniom, pisał, winy za opóźnienie nie ponosi wioska poczta. List Lorenza wpadł za jedną z naszych szaf; znaleźliśmy go tam, kiedy datek jednego z miejscowych domów towarowych umożliwił nam wyposażenie naszego biura w nowe meble. Ja tymczasem skończyłem szkołę, nie zapominając jednak poinformować o wspaniałomyślnym datku, obiecany nam przez pana na wypadek odnalezienia artykułu.*

Oczywiście na pokładzie nie było żadnego włoskiego słownika.

Zapisał więc sobie wszystkie słowa, których nie znał albo których kontekstu nie rozumiał, przefaksował listę z prośbą o przetłumaczenie do swojego sekretariatu i wyszedł na pokład, by pożegnać się z Patricią.

Pocałowała go na pożegnanie, Benigno musiał zadowolić się uściskiem dłoni.

— Więc co mam zrobić? — przekrzykiwał rozpędzającą się turbinę helikoptera. — Jestem siódmym z ósemki dzieci. Gdyby wtedy była kontrola urodzeń, nie byłoby mnie na świecie!

— Świetny argument — odpowiedziała Patricią. — Mam przyjaciółkę, której by nie było, gdyby jej matka nie została zgwałcona. Spytam ją przy okazji, czy uważa, że gwałty są w porządku. — To mówiąc wsiadła, maszyna uniosła się w niebo, w połowie zakryte już chmurami dymu.

Gdy zszedł, faks z biura tłumaczeń już czekał. Wziął go, przyniósł sobie notatnik i długopis i ukrył się w kabinie.

*W pierwszej części dowiedzieliśmy się, że to nie technika ani nauka ponoszą winę za nędzę świata, lecz industrializacja, czyli mówiąc inaczej, ekonomia. I choć nasza stopa życiowa dalece przewyższa poziom życia każdego średniowiecznego potentata, wszyscy mamy w głowie tylko jedno: wzrost! Coraz większy i większy wzrost gospodarczy, coraz szybciej zużywamy zasoby naturalne, usypujemy coraz wyższe hałdy śmieci.*

*Ale właściwie dlaczego? To zawsze najważniejsze pytanie: po co właściwie wszyscy harują jak głupcy?*

*Normalnie odpowiada się na to, że my, ludzie, jesteśmy po prostu pazerni i nigdy nam nie dość. To odpowiedź, która ma tę zaletę, że jest prosta, i tę wadę, że jest błędna. Rozejrzyjcie się tylko, a zobaczycie, jak niewiele trzeba do szczęścia większości z nas. Tłuste frytki, piwo i piłka nożna — i już wielu jest szczęśliwych.*

*Jest może kilku chciwców, ale większość ludzi zadowala się tak małym, że to może wprost przerażać.*

*Nie, przyjrzyjcie się dokładniej. Jeśli rozmawiacie jeszcze ze swoimi rodzicami, porozmawiajcie z nimi. Opowiedzą wam, że wysilają się tak dlatego, bo muszą. Ponieważ, obojętne jak się haruje, wciąż ma się poczucie, że nie nadąży się ze wszystkimi opłatami. Nawet kiedy wzrastają dochody, wydatki wzrastają jeszcze bardziej, ceny, podatki, opłaty, wszystko. Jak Alicja w krainie czarów, trzeba biec najszybciej, jak się potrafi, żeby pozostać w miejscu, w którym się jest.*

*A to — przyjaciele, Rzymianie, rodacy — ma przyczynę w małym, głupim błędzie konstrukcyjnym systemu naszej gospodarki. Właściwie błahostka, ale nie zapominajcie — ta błahostka jest na najlepszej drodze do zniszczenia naszej planety. Mała przyczyna, wielkie skutki.*

*To, że coś jest nie tak, że w tym systemie tkwi jakiś błąd, to uczucie prześladowuje ludzi od dawna. Błędu dopatrywano się najpierw w samych pieniądzach. Rany, ileż już się nanarzekano na pieniądze. Nie było ani jednej religii, żadnego apostoła moralności, który by ich nie przeklął — choć zawsze chętnie przyjmowali je na tacę. Mimo to, przyjaciele, to nie pieniądze są przyczyną. Moglibyśmy to teraz obszernie przedyskutować, gdyby starczyło na to miejsca i waszej ochoty do czytania; ponieważ jednak żaden z tych warunków nie został spełniony, zaprezentuję tylko wniosek: pieniądze są wspaniałym wynalazkiem, i są niewinne.*

*Następnym podejrzany był zawsze odsetki. Jak przypominacie sobie z lekcji matematyki, obliczanie odsetek nie jest proste i prowadzi niekiedy do zaskakujących rezultatów, gdyż odsetki składane, a więc odsetki od odsetek, sprawiają, że całość błyskawicznie potęguje się do niepojętych rozmiarów. Dlatego*

większości ludzi odsetki wydają się raczej straszne, tymczasem zależności są w zasadzie proste. Kiedy ktoś pożycza drugiemu pieniądze, chce coś z tego mieć, i dobre rozwiązanie jest takie, że ten drugi płaci mu, że tak powiem, dzierżawę za te pożyczone pieniądze, tak samo, jak płaci się za wynajem samochodu. A dzierżawę płaconą za pożyczony pieniądze nazywa się odsetkami. Jasne, kiedy ktoś pożyczyci sobie za dużo, może się nieźle napocić, jeśli się wcześniej dobrze nie zastanowi. A ktoś, kto ma dużo pieniędzy, więcej niż potrzebuje, może je mądrze wypożyczać i kasować za to mnóstwo dzierżawy albo odsetek, o ile to możliwe, tak dużo, żeby poza wypożyczeniem pieniędzy nie musiał już niczego robić.

To było cierniem w oku naszych przeważnie mniej sprytnych przodków — może zresztą byli po prostu zazdrośni — w każdym razie zakaz pobierania odsetek wciąż na nowo wracał jako temat na przestrzeni dziejów. Ponieważ Żydom było to dozwolone, a Kościół chrześcijański zabraniał, miały miejsce najróżniejsze straszliwe masakry, a do tego, o dziwaczna jednomyślności, również w statutach faszystów poczesne miejsce zajmował zakaz pobierania odsetek, uzasadniany tym, że uzyskiwanie dochodu bez pracy jest niemoralne i niegodne.

Mimo to nawet w czasach kościelnych zakazów zawsze płacono odsetki, dlatego, że zawsze zdarzała się konieczność pożyczania pieniędzy. Czasem po prostu trzeba mieć od razu sporą sumę, żeby w ogóle rozpocząć.

Na przykład nie miałyby sensu oszczędzać całe życie, żeby dopiero po osiemdziesiątce zbudować sobie dom. Lepiej zbudować go wcześniej, a oszczędzać, że tak powiem, później, nawet, jeśli będzie przez to kosztował więcej. Albo ktoś, kto chce się usamodzielnąć, powiedzmy jako rzemieślnik: potrzebuje maszyn i

*narzędzi na starcie, żeby móc w ogóle pracować i zarabiać pieniądze, zatem ma sens, żeby pożyczył te pieniądze i spłacał je potem w ratach. Gdyby tego zakazano, musiałby pozostać biedakiem.*

*Mimo to jesteśmy blisko rozwiązania zagadki. Właśnie w splocie pieniędzy i odsetek kryje się ów konstrukcyjny błąd. Zaraz do tego dojdziemy.*

*Najpierw chciałbym przypomnieć wam, że w normalnym życiu pieniądze są jak układ krwionośny. Kupujecie w sklepie za rogiem colę. Wasze pieniądze wędrują do kasy, a właściciel sklepu płaci nimi rachunek producentowi napojów. Ten kupuje za nie nowy komputer, płacąc za niego, między innymi, pieniędzmi pochodzącymi z waszej kieszeni. Wasz ojciec pracuje w firmie komputerowej, która wpłaconymi pieniędzmi płaci mu pensję, z której on znów wydziela wam kieszonkowe. I tak dalej.*

*Graliście już na pewno w znaną grę MONOPOLY. Na początku ma się niewiele w kasie, wędruje z lekkim sercem po planszy i starannie obmyśla, na zakup których ulic można sobie pozwolić. Pod koniec masowo buduje się domy i hotele, kasuje zapierające dech w piersiach czynsze i kąpie w pieniądzach. Teraz pytanie konkursowe: skąd właściwie wzięły się te wszystkie pieniądze? Przyjrzyjcie się dokładnie. Pomijając kilka pomniejszych kwot pochodzących z kart-niespodzianek, całe pieniądze w grze pochodzą stąd, że co jakiś czas ktoś przechodzi przez pole START i za każdym razem kasuje sławne 20000 lirów.*

*A teraz zastanówcie się, jak to się odbywa w prawdziwym życiu. Tu także w obiegu jest określona ilość pieniędzy, i ta ilość nie może stale pozostać taka sama. Gospodarka rozwija się jak opętana, potrzebuje zatem coraz więcej pieniędzy. Skąd się biorą? Oczywiście, to żaden problem wydrukować banknoty — nie o to*

*jednak chodzi. Pytanie brzmi: jak wchodzi do gry? Jeszcze nigdy nie dostałem od Banku Centralnego listu, w którym napisano by coś w rodzaju: „W tym roku również okazało się niezbędne powiększenie ilości pieniędzy znajdujących się w obiegu. Każdy obywatel otrzymuje z tego powodu pięćset tysięcy lirów. Patrz załączone banknoty”. Założę się, że i wy również nie dostaliście takiego listu, i w ogóle nikt.*

*Jak to jednak w takim razie funkcjonuje ? Jak nowe pieniądze wchodzi do gry? Inie mówcie teraz, że to was nie interesuje, bo powinno. Gdyż właśnie w tym tkwi nasz konstrukcyjny błąd.*

*Tego, co wyjaśnię teraz, nie uczą w szkole. Wszyscy wiemy, że tak czy owak w szkole nie uczą niczego, co przydaje się w życiu, dlatego niech to będzie gwarancją jakości. Kto nie dowierza, może przeczytać potem o tych zależnościach w książkach o ekonomii i gospodarce; hasło brzmi „tworzenie pieniędzy”.*

*Założmy, że wspomniana wyżej firma produkująca napoje chce zbudować nową rozlewnię. Bierze na to kredyt w swoim banku. Normalnie bank udziela pożyczki z wkładów zdeponowanych w nim przez ciułaczy, ale założmy, że ma ich w danym momencie trochę za mało, bo udzielił wielu kredytów. W takim przypadku zwraca się do banku centralnego. Bank centralny może udzielać kredytów, nie mając na nie pokrycia we wkładach. Może je, że tak powiem, stwarzać z niczego i w ten sposób wprowadzać do gry nowe pieniądze. Każdy bank może tu dostać dodatkowe pieniądze, oczywiście również w formie pożyczki, a więc musi przedstawić zabezpieczenia i płacić ustalone odsetki, tak zwaną stopę dyskontową. Podają ją codziennie w gazecie w dziale gospodarczym, sprawdźcie sami. Ustala ją sam bank centralny, według następującej zasady: jeśli bank centralny uważa, że udzielane jest więcej kredytów, niż to korzystne dla gospodarki,*



podwyższa stopę dyskontową, przez co kredyty są droższe i tym samym mniej interesujące. Odwrotnie, poprzez obniżenie stopy dyskontowej można sprawić, żeby kredyty były tańsze i w ten sposób bardziej atrakcyjne dla inwestorów. Stopa dyskontowa jest zatem czymś w rodzaju instrumentu do sterowania gospodarką.

Brzmi nieźle, co? A tymczasem to największa głupota. Miliony bankowców uczą się o tym i uważają, że to wspaniałe, ale jeśli się raz głębiej nad tym zastanowić, zauważa się, że właśnie w tym tkwi nasz konstrukcyjny błąd.

Pomyślmy, co się tu dzieje. Bank centralny udziela kredytu z niczego w wysokości, powiedzmy, stu milionów lirów. Stopa dyskontowa niech wynosi na przykład trzy procenty. Znaczy to, że spłacić trzeba (z założeniem rocznego okresu spłaty, którego dla uproszczenia chcemy użyć do wszystkich przykładów) sto trzy miliony lirów.

Ale skąd mają się wziąć te dodatkowe trzy miliony lirów? Przecież one wcale nie istnieją! Nie istnieje też możliwość dostarczenia po prostu trzech dodatkowych milionów lirów, gdyż tylko bank centralny może wytwarzać pieniądze, ale chce za to dostać odsetki, i tak dalej! Co za głupota!

Tak, oczywiście w obiegu jest jeszcze więcej pieniędzy i w praktyce właśnie nimi spłaca się odsetki — z takim skutkiem jednak, że gdzie indziej tych pieniędzy zabraknie. A gdzie brakuje pieniędzy, trzeba znów brać kredyty, z nadzieją ich późniejszej spłaty. Ekonomia to wielki system, w którym wiele się rozdziela, równoważą, działa z opóźnieniem, nigdy jednak nie zdarza się jedno: nic nie ginie, nawet jeden marny lir. W końcowym efekcie wszystko zmierza do tego, że — kiedyś, gdzieś — w banku centralnym zostanie wzięty następny kredyt, by spłacić odsetki pierwszego.

*Gdyby gospodarka była człowiekiem, powiedzielibyśmy o nim: jest uzależniony. Uzależnił się od banku centralnego.*

*Może być również inaczej. Pamiętacie uroczystości jubileuszowe w naszej szkole w zeszłym roku. Każdy z nas dostał czerwony plastikowy żeton jako talon na kawałek pizzy, niebieski na colę i zielony na loda. Na czas trwania imprezy te żetony były pieniędzmi. Ja wymieniłem mój zielony żeton na czerwony, bo nie lubię lodów. Widziałem kogoś, kto wymienił wszystkie swoje żetony na niebieskie, bo chciało mu się pić. Wszystko świetnie zadziało, każdy dostał mniej więcej to, na co miał ochotę. I kiedy impreza się skończyła, nasz rektor wyrzucił żetony, gdyż pizze były zjedzone, cola wypita i z lodów również nic nie zostało.*

*Wyobraźcie teraz sobie, że firma, która wytwarza te żetony, nie sprzedalaby mu ich, ale powiedziałyby: ma pan tu tysiąc czerwonych żetonów — ale chcemy dostać za nie z powrotem tysiąc trzydzieści czerwonych żetonów. Nawet nasz rektor nie jest taki głupi, żeby nie zauważyć, że to idiotyzm.*

*Nie, to, co nie uświadamiając sobie zobaczyliśmy na tej imprezie, to prawidłowo działający system monetarny. Pieniądze odpowiadały ilości istniejących dóbr, a kiedy je zużyto, i one znikły. Służyły tylko jednemu celowi, w jakim pierwotnie wymyślono pieniądze: uproszczeniu wymiany różnych towarów. W ten sposób po przyjęciu każdy mógł spokojnie pójść do domu. Nie trzeba było szukać żetonów, które w ogóle nie istnieją.*

*Powiedzmy teraz najważniejsze: przez fakt, że bank centralny żąda odsetek od nowo wytworzonych pieniędzy, powstają długi większe, niż jest w obiegu pieniędzy. To właśnie błąd w systemie.*

*Od tej chwili gra toczy się jak Czarny Piotruś, tyle, że z każdą partią do gry wchodzi więcej Czarnych Piotrusiów. Każdy musi się starać pozbyć swoich Czarnych Piotrusiów, i przychodzi mu to tym*

*trudniej, im więcej jest ich w grze. Trzeba być jeszcze szybszym, pracować jeszcze ciężiej, trzeba prześcignąć innych, nie można mieć żadnych względów, trzeba starać się aż po kres sił. Wszystko toczy się coraz szybciej, bez nadziei ucieczki. Spirala zakręca się coraz bardziej i bardziej.*

*Czy nie to właśnie obserwujemy? Gospodarka rozwija się i rozwija, ale — o cuda, o dziwy — wszędzie trzeba coraz bardziej oszczędzać, brakuje miejsc pracy, każdy musi ciężiej pracować, ma mniej czasu dla siebie i rodziny, podatki rosną, każdy ma uczucie, że jest coraz gorzej, i to pomimo, że wszyscy usilnie pracują nad tym, by było coraz lepiej. Nie będzie lepiej. Im bardziej się wysilamy, tym więcej powstaje długów, nie dających się spłacić, niezniszczalnych. Im bardziej staramy się ująć nędzy, tym więcej ją pogarszamy. Jedyńm wyjściem jest znaleźć kogoś innego, kto zapłaci rachunek — kogoś daleko stąd, albo samą przyrodę. Po prostu wyrąbmy jeszcze tę puszcę tropikalną, będą z tego pieniądze, to pozwoli nam pozbyć się długów. Wprowadźmy na rynek jeszcze jeden produkt, jakiego w gruncie rzeczy nikt nie potrzebuje, wmówmy ludziom, że mimo wszystko jest im niezbędny, choćby tylko po to, żeby być „trendy”, i wytwórzmy tę rzecz tak, żeby się szybko zepsuła, wtedy sprzedamy jej więcej. Wyciągajmy ludziom z kieszeni pieniądze wszystkimi możliwymi sposobami, żebyśmy przynajmniej my mogli spłacić nasze długi. Trujące odpadki po prostu zakopmy, nie stać nas na zapłacenie za ich utylizację. Każdy jest bliźnim siebie samego, każdy walczy tylko za siebie.*

*Perfidne w tym jest to, że długi są czymś prywatnym, czymś sekretnym. Większość ludzi zachowuje swoje długi w tajemnicy, uważając je za oznakę swojego nieudacznictwa. Szybciej przyznaliby się do tego, że są zboczeńcami, niż ujawniliby swoje*

*długi. Oficjalnie nikt nie ma długów, na zewnątrz wszyscy udają bez troskę. Nikt nie ma problemów finansowych, podobnie jak w epoce wiktoriańskiej nie dawano poznać po sobie, że się posiada organy płciowe.*

*Co robić? Gospodarka służy do tego, żeby wytwarzać to, czego potrzeba nam do życia. To nie funkcjonuje bez pieniędzy, one są, że tak powiem, krwią gospodarki. Ale ta krew jest chora. Sprawia, że gospodarka rozrasta się absurdalnie, niszcząc przy tym podstawy naszego życia. Gdyby gospodarka była żywą istotą, powiedzielibyśmy, że choruje na rodzaj białaczki. Dlatego bez uzdrowienia ekonomii wszystko, co moglibyśmy zrobić dla uratowania Ziemi, nie odniesie skutku. Trzeba usunąć błąd konstrukcyjny.*

Zadzwoił telefon. John podniósł wzrok i dopiero teraz poczuł, jak zmęczone i obolałe ma oczy. Spojrzał na zegarek. Krótka po wpół do drugiej, rany boskie. O tej porze można spodziewać się tylko katastroficznych wieści. Podniósł słuchawkę.

— Fontanelli?

— Eduardo Vacchi — powiedział nie słyszany od wieków głos.

— Przepraszam, dowiedziałem się właśnie, że jesteś na Filipinach. Czy jest bardzo późno?

— Tak. Ale i tak jeszcze nie spałem.

— Chodzi o dziadka — powiedział Eduardo. — Umiera. Poprosił mnie, żebym ci powiedział, że chciałby cię jeszcze zobaczyć.

# 35

Przesiadka w Manili. Samolot do Bangkoku. Dalej do Paryża z przesiadką w Karaczi, wreszcie Florencja, dwadzieścia sześć godzin później. Tak długo musi żyć jeszcze Cristoforo Vacchi, jeśli chce go zobaczyć.

John ledwie się orientował, gdzie są, pozwolił po prostu kierować sobą ochroniarzom. Na lotnisku w Manili było jak w piekle, w halach i na zewnątrz tym bardziej. Nie do wiary, że samoloty mogły lądować w tej oleistej, czarnej mgłę przesłaniającej niebo, a gdzie indziej, jak mówiono, było jeszcze gorzej: lotnisko w Kuala Lumpur już zamknięte, do Singapuru również nic nie lata; coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy dotąd, szpitale przepełnione ludźmi, których oczy i drogi oddechowe nie wytrzymały już smogu, zdarzyły się pierwsze przypadki śmiertelne.

Wreszcie wzbili się w powietrze i wynurzyli z warstwy smogu. We wnętrzu maszyny przestało śmierdzieć dymem. John odmówił machnięciem ręki, kiedy stewardessa proponowała mu napoje; chciał po prostu tylko siedzieć i przyciskać czoło do chłodnej, plastikowej szyby. Samolot skręcił szerokim łukiem na zachód. Z góry, z promiennej wysokości stratosfery, chmura dymu wyglądała jak wstrętny, czarny kalafior, sięgający po horyzont, wstrętna narośl, rozrastająca się, pęczniejąca i zdeformowana.

*Metastazujący rak wątroby*, tak Eduardo nazwał chorobę dziadka. Przed półtora rokiem odkryto guza, rosnącego względnie powoli, jak zwykle u ludzi starych, i z powodu wieku niewiele można było zrobić. Teraz zbliża się koniec. Powinien się pospieszyć.

Jakich wyrzutów będzie musiał wysłuchać? *Padrone* w obliczu śmierci nie będzie miał żadnych względów, bezlitośnie powie mu, co o nim myśli. Że wraz z McCainem obrał błędną drogę, zmarnował cenny czas na budowanie imperium, nie zbliżając się do celu. Że on, Cristoforo Vacchi, jest nim głęboko rozczarowany. Że John jednak nie jest właściwym spadkobiercą.

*Lorenzo wiedziałby*. To rozbrzmiewało w nim echem, uderzało stale w ten sam punkt jak chińska wodna tortura. Sam fakt ponownego pojawienia się artykułu wydał mu się szyderstwem niewidzialnych mocy przeznaczenia. I nie dość, że on sam nigdy w życiu nie wpadłby na nic podobnego — on nawet teraz tylko w ogólnym zarysie rozumiał, co Lorenzo w ogóle miał na myśli.

Lorenzo wiedziałby, powie Cristoforo Vacchi. Lorenzo byłby prawdziwym spadkobiercą.

Wszystko w nim drżało z obawy przed tą chwilą, kiedy stanie przed starym człowiekiem. Łatwo mógłby tak to urządzić, żeby przyjechać za późno. To przecież podróż przez pół kuli ziemskiej, nie błahostka. Nikt nie robiłby mu wyrzutów.

Nikt poza nim samym.

To było osobliwe uczucie, znów być tutaj, wyglądać przez okno i czytać *Peretola Aeroporto*, wczesnym rankiem, prawie jak wtedy, przed dwoma i pół laty. Dopiero tu naprawdę się zaczęło jego nowe życie. Dwa i pół roku. Zdawało mu się, że to cała wieczność, a równocześnie, jakby to było wczoraj.

To było osobliwe uczucie, znów jechać tym samym rolls-royce'em, który i wtedy wiózł go przez Florencję, i teraz również obrał tę samą drogę, obok handlarza ferrari... Jednak to nie Benito prowadził teraz samochód. Eduardo opowiedział o jego ataku, wzruszył ramionami, takie jest życie.

— Jaki miałeś lot? — zapytał.

— Cztery i pół godziny oczekiwania w Karaczi wolałbym sobie podarować — stwierdził John. — Poza tym okay. Cieszyłem się, że w ogóle jest jakiś lot.

— Myślałem, że przyjedziesz może własnym Jetem.

— Nie, jego... Hmm... — *Jego potrzebuje McCain* chciał powiedzieć. Lepiej nie. — Jego musiałbym najpierw sprowadzić. To w żadnym razie nie byłoby szybciej.

Eduardo przytaknął.

— Ach tak. Jasne.

Wyglądał inaczej, niż John go zapamiętał. Poważniej. Nie, dojrzej. Doroślej. Chętnie by się dowiedział, jak mu się wiedzie, ale niezręcznie było pytać. Może później.

— Jak... on się czuje? — zamiast tego spytał przygnębiony. Eduardo wyjrzał przez okno.

— Gaśnie. Nie wiem, jak mam to inaczej określić. Każdego ranka wchodzimy do niego, a on... nadal tam jest. Całkiem pogodny, wiesz? Niczego nie chce, ze wszystkiego jest zadowolony, uśmiecha się, kiedy z nim porozmawiać. Najczęściej śpi.

— I to pewne, że... to znaczy, naprawdę nic nie można zrobić?

— Lekarz przychodzi dwa razy dziennie i ustawia pompę morfinową tak, żeby nie miał boli. To wszystko, co można zrobić.

— Rozumiem. — Spojrzał w przód. Marco siedział obok kierowcy, wydawał się rozkoszować możliwością rozmowy w ojczystym języku. Tak to przynajmniej wyglądało przez szybę. — Zatem to już tylko kwestia czasu.

— Lekarz codziennie się dziwi. Mówi, że ma wrażenie, jakby dziadek na coś czekał.

*Na mnie*, pomyślał John i poczuł, jak robi mu się niedobrze. Obejrzał się na ciężkiego mercedesa, w którym jechali za nimi

pozostali ochroniarze. Oni również nie mogli mu teraz pomóc.

To było osobliwe uczucie, wejść znów do wiejskiej siedziby Vacchich. Rozejrzeć się i stwierdzić, że nic tu się nie zmieniło. Czy wyjeżdżał? Czy rzeczywiście minęło tyle czasu? Pozdrowił ich, wszyscy z powagą na twarzach.

— Niech pan idzie — powiedział potem cicho Alberto, jakby zauważył, że John się ociąga. — On na pana czeka.

Wreszcie nie było więcej dłoni do ściskania, musiał wejść do góry, po wiekowych marmurowych stopniach, wzdłuż wysokiego korytarza, z sercem bijącym jak oszalałe i drżeniem rąk podszedł do drzwi wskazanych przez pielęgniarkę. Ciężka klamka była chłodna w dotyku, nacisnął ją, nie było już innej rady.

Pokój był duży, cichy, przyciemniony. Choć można było wyczuć, że jest regularnie i porządnie wietrzony, w powietrzu wisiał zapach środków dezynfekcyjnych, przywodzący na myśl szpital. Potężne łoże z baldachimem, z podwiązanymi kotarami, ustawione szczytem do ściany od strony korytarza wypełniało przestrzeń. Po przeciwległej stronie czekał stojak na kroplówkę, na którym wisiał woreczek z klarownym płynem, wężyk jeszcze zrolowany, obok na metalowym wózku ułożono opatrunki, pudełeczka z lekarstwami i najrozmaitsze sprzęty. A w łóżku leżał, na pierwszy rzut oka prawie niedostrzegalny, *Padrone*. Ta jego część, która przebywała jeszcze na tym świecie.

— John — powiedział. — Przyjechał pan... — Nie spał, patrzył na niego ciemnymi, zapadłymi głęboko oczami. Głos był ledwie słyszalny, choć w pokoju panowała całkowita cisza. John musiał podejść jednak nieco bliżej, żeby go usłyszeć.

— *Padrone*, ja... — zaczął pośpiesznie John, lecz umierający przerwał mu.

— Niechże pan weźmie sobie krzesło. — Wskazał palcem w



stronę półmroku. — Tam musi jakieś stać.

John poszedł i przyniósł coś, czego nigdy nie określiłby mianem „krzesła”: wyściełane siedzisko z podłokietnikami i kosztownie rzeźbionym oparciem, dobrze zachowane i niewątpliwie warte majątek. Ale i tak ostatecznie można było na nim tylko siedzieć.

— Cieszę się, że znów pana widzę, John — powiedział staruszek. — Dobrze pan wygląda. Opalony na brązowo.

John splótł dłonie, gniótł je.

— Byłem na Filipinach. Sześć tygodni czy coś kolo tego, na statku.

— Ach tak, Eduardo coś mi wspominał. Na Filipinach, świetnie. Miałem czasem wyrzuty sumienia, że tak wpłynąłem na pańskie życie, wrzuciłem panu to wszystko na kark... Ale wygląda pan, jakby powodziło się panu dobrze, prawda?

— Tak, jasne. Powodzi mi się... tak, dobrze. Oczywiście. *Padrone* uśmiechnął się.

— Ta dziewczuszka, z którą widziało się pana w gazetach... Mówię dziewczuszka, proszę wybaczyć, oczywiście to kobieta, Patricia deBeers. Czy z nią to coś poważnego? Proszę wybaczyć moją ciekawość.

John przełknął ślinę, pokręcił głową.

— To było tylko... To znaczy, ona jest w gruncie rzeczy w porządku, i pod koniec nawet jakoś się dogadywaliśmy, ale na początku to było tylko — show. Dla mediów, wie pan.

— Ach. — Skinął głową, niezwykle leciutko, ledwie dostrzegalnie. — To on wymyślił? McCain?

— Tak.

Uśmiechnął się.

— McCain. To mnie jakoś uspokaja. Prawie się tego domyślałem, ale byłem zdania, że nikt nie byłby tak prostacki,

żeby zainscenizować coś takiego... Zdjęcia wyglądały na ustawiane. Nie umiałbym powiedzieć, dlaczego. Panna deBeers jest oczywiście bajecznie wyglądającą młodą damą, niewątpliwie... ale zawsze miałem wrażenie, że nie pasuje do pana.

John przytaknął, nie wiedział, co ma na to powiedzieć. Nie wiedział też, co ma o tym myśleć. Nie spodziewał się, że człowiek leżący na łożu śmierci będzie interesował się takimi sprawami.

*Padrone* zamknął na chwilę oczy, przesunął dłonią po czole, po bladej skórze, niemal przezroczyściej.

— Myśli pan może — powiedział wtedy i otworzył znów oczy, patrząc na niego zaskakująco jasnym i mocnym spojrzeniem — że jestem panem rozczarowany, prawda? Proszę szczerze powiedzieć.

John spokojnie skinął głową.

— Tak.

Uśmiechnął się łagodnie, niemal pieszczotliwie.

— A nie jestem. Myślał pan, że chcę pana widzieć, żeby obsypać zarzutami? Że czymś takim zepsuję sobie ostatnie godziny?

John przytaknął, czując ucisk w gardle.

— Nie, chciałem po prostu jeszcze raz pana zobaczyć. Nader samolubne życzenie, musi pan przyznać. — Patrzył wprost przed siebie, w okno, za którym widać było jeszcze jasne niebo. — Pamiętam jeszcze chwilę, kiedy uświadomiłem sobie, że dane mi będzie uczestniczyć w odnalezieniu spadkobiercy. Miałem wtedy dwanaście lat, tak mi się zdaje. Na krótko przed wojną. Wszyscy mówili o Hitlerze, pamiętam jeszcze. Przeliczałem wiele razy, aż miałem pewność. Mój ojciec, który przez całe życie opowiadał mi o tym, nie będzie mógł tego dożyć – ale ja tak. Czułem się wybrany. Czułem się związany z panem, jeszcze nim pojawił się

pan na świecie. Każdego roku dwa razy pana odwiedzałem, kiedy był pan dzieckiem, przyglądałem się, jak pan rośnie, widziałem, jak się bawi, próbowałem odgadnąć pańskie życzenia i marzenia. Czy tak trudno zrozumieć, że nie chciałem umrzeć, nie zobaczywszy pana raz jeszcze? — Przerwał na chwilę. Mówienie zdawało się go wyczerpywać. — Nie zrobił pan tego, czego się spodziewałem. Czy to miałyby być dla mnie powód, żeby pana osądzać? Nie spodziewałem się, że będzie pan robił to, czego ja oczekuję. W przeciwnym razie przecież sam mógłbym to zrobić.

— Ale ja połączyłem się z człowiekiem, którego mi pan odradzał, odradzał mi go każdy z was. Użyłem tych pieniędzy do zbudowania światowego imperium, zamiast pomagać biednym, sycić głodnych, ratować puszcę tropikalną albo robić cokolwiek innego sensownego. Dążyłem do władzy i sam już właściwie nie wiem, po co właściwie. Ja...

— Szs... — staruszek uciszył go unosząc dłoń. — Wzburzyło mnie pańskie odejście, przyznaję. Potrzebowałem trochę czasu, żeby się i, tym pogodzić. Dość sporo, mówiąc szczerze. — Opuścił rękę. — Ale kiedy śmierć podchodzi do kogoś tak blisko, że kątem oka już się ją widzi, obojętnie, w którą stronę się patrzy — to na nowo porządkuje hierarchię ważności tego, co liczy się w życiu. Proszę nie myśleć o sobie tak źle. Pan jest dziedzicem. Cokolwiek pan zrobi, będzie właściwe.

— Nie. Nie jestem tym dziedzicem, którego miało na myśli prorocstwo. Teraz to wiem. Lorenzo byłby właściwym dziedzicem. On...

— John...

— Przesłano mi jego artykuł, w którym zastanawia się nad ekonomią i odkrywa, gdzie tkwi błąd, mianowicie w samej

ekonomii. To genialne. Na coś takiego nigdy w życiu bym nie wpadł. Nawet teraz jeszcze dobrze tego nie rozumiem. Lorenzo wiedziałby, co trzeba zrobić, *Padrone* — ja nie wiem.

— Ale Bogu spodobało się powołać Lorenza do siebie, na kilka dni przed wyznaczonym dniem. Zatem pan jest dziedzicem. Zwróci pan ludziom utraconą przyszłość za pomocą swego majątku. Tak głosi prorocstwo, i tak będzie. Nie może pan nic zrobić w tym celu ani nic przeciw niemu, to nie jest w pańskiej mocy. Cokolwiek pan zrobi, na koniec okaże się, że to było słuszne.

John spojrział na niego oszołomiony.

— Pan nadal wierzy.

— Nadal wierzę, to prawda. Ale nic na to nie poradzę. Po prostu tak jest. — Zamknął oczy, jakby musiał wsłuchać się w swój wewnętrzny głos. — Myślę, że czas na mnie, żebym nieco pospał. John, dziękuję panu, że pan przyjechał. Martwiłem się trochę, szczerze mówiąc...

Jego głos był coraz cichszy, na koniec niemal samo tchnienie, zbyt słaby, zagłuszał go nawet szelest ubrania.

John uświadomił sobie, że to mogą być ostatnie słowa, jakie być może zamienił z *Padrone*, z *Mister Angelo* swego dzieciństwa, ze zwiastunem lata i jesieni; że wszystko, co było jeszcze do powiedzenia, musi być powiedziane teraz albo nigdy. Szukał w sobie tego niewypowiedzianego i niczego nie znajdował, i tylko bezradnie patrzył na umierającego.

— Ach, żebym nie zapomniał — przypomniał sobie jeszcze Cristoforo Vacchi — jest tu z wizytą pewna młoda dama — zdaje się, że pan ją zna — odkryła coś naprawdę zadziwiającego. Powinien pan na to rzucić okiem. — Jego drobniutka dłoń przesunęła się po kołdrze i dotknęła prawej ręki Johna, leciutko,

bardziej jak cień niż jak rzeczywista część ciała. — Zegnaj, John. I proszę się odprężyć. Zobaczy pan, na koniec wszystko będzie dobrze.

Dłoń odsunęła się znowu, ułożyła się bez siły wzdłuż wychudzonego ciała, prawie niedostrzegalnego pod kołdrą. Przez chwilę John przerażony myślał, że zobaczył moment śmierci, ale Cristoforo Vacchi tylko zasnął. Przyjrzawszy się dokładnie, można było zauważyć, że klatka piersiowa niedostrzegalnie unosi się i opada.

John wstał powoli, starając się nie robić najmniejszego hałasu.' Czy ma odstawić krzesło? Lepiej nie. Spojrzał na *Padrone*, starając się pojąć, że to może jest ostatni raz, kiedy widzi go żywego — a przecież nie mógł tego zrozumieć, rozumiał tylko, że dobrze było pożegnać się, jakkolwiek by się tego nie zrobiło. Wpatrywał się w niego, próbując zatrzymać tę chwilę, wyrwać ją czasowi i przechować, przynajmniej we wspomnieniach, ale wszystko mu się wymykało. Nigdy jeszcze nie czuł tak dotkliwie, jak nieubłaganie mija czas.

Wreszcie przestał próbować osiągnąć cokolwiek, po prostu patrzył na starca, który pokładał w nim tak niepojęte zaufanie, stał i patrzył, aż poczuł jak wypełnia go spokój i wiedział, że już wystarczy. Wtedy odwrócił się i wyszedł.

Kiedy był na zewnątrz i po cichu zamknął za sobą drzwi sypialni, zauważył, że ma wilgotne policzki i że szlocha.

Siedziała przy stole, jakby należała do rodziny, blada i poważna, i John musiał przez chwilę zastanowić się, skąd ją zna: racja, wtedy w archiwum. Niemiecka studentka historii, która przetłumaczyła testament i podała do wiadomości publicznej proroctwo.

— Ursula Valen — przypomniała mu swoje nazwisko, kiedy się

witali.

Wtedy dość mocno się na nią rozzłościł, tyle jeszcze pamiętał, ale nie wiedział już, dlaczego.

— *Padrone* mówił, że odkryła pani coś, co powinienem koniecznie zobaczyć — powiedział.

Uniosła brwi.

— Tak panu powiedział? Zdziwiające.

— Dlaczego?

— Ach, tylko tak. Zrozumie pan, jak zobaczy — machnęła ręką.

— Jak tylko to tutaj... no cóż, się skończy.

Ale to nie miało stać się jeszcze tak szybko. Siedzieli i czekali, a lekarz, schodząc po schodach, za każdym razem kręcił głową.

— Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś był tak pogodny na łożu śmierci — powiedział raz, a kiedy indziej zapytał: — Czy w najbliższym czasie przypada jakaś data, która ma dla niego znaczenie? Rocznica czy coś takiego?

— Nic mi o tym nie wiadomo — powiedział Alberto. — Dlaczego to takie ważne?

— Zdarza się, że umierający z całych sił trzymają się życia, ponieważ chcą jeszcze doczekać pewnego określonego dnia — urodzin, jubileuszu, rocznicy śmierci żony...

— Nasza matka zmarła w maju 76, to nie może być to — wtrącił Gregorio. Wyjął terminarz, zastanawiał się chwilę i pokręcił głową.

— Nie, nic mi nie przychodzi do głowy.

Więc czekali dalej. Ursula mieszkała w pokoju gościnnym, John również dostał pokój, ochroniarzy nie zmieszczono już w domu i wynajęto dla nich pokoje w wiejskiej gospodzie. Siedzieli razem, Vacchi wspominali dawne czasy, jedzono i pito, co podała Giovanna, a nie było tego mało: jakby mogli uratować życie

*Padrone*, wyjadając do pusta piwnicę. Nadeszła noc i kolejny ranek, a *Padrone* nadal żył, oddychał, godzinami obojętnie patrzył przez okno w niebo, ale nie chciał z nikim rozmawiać.

W owe godziny wydawało się, że dom i cała posiadłość pogrążyły się w głębokim spokoju, spokoju jakby nie pochodzącym z tego świata. Zdawało się, że rzucono na nich czar, zdolny oddalić od nich wszystko wokół i zatrzymać czas.

Jednak poza kręgiem rodzinnym czar nie działał.

— Proszę nie uważać mnie za pozbawionego szacunku — odezwał się do lekarza Gregorio Vacchi — ale tak już jest, że życie toczy się dalej, czekają terminy, który nie można bez końca przekładać...

— Nie potrafię panu powiedzieć — odpowiedział lekarz. — Nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa. Nikt nie może tego powiedzieć. Kilka dni temu byłbym pewien, że nie musi się pan martwić o terminy w następnym tygodniu, ale teraz... może przeciągnąć się jeszcze na październik. W każdym razie nie zdziwiło by mnie to.

Czekali więc dalej. Coraz mniej było tematów do rozmów; zatapiali się w myślach albo niespokojnie snuli po domu, z nerwami rozdygotanymi od intensywności przesączającej atmosferę.

— Czy pan też myśli, że on na coś czeka? — spytała Ursula Valen, kiedy późnym popołudniem spotkała Johna w ogrodzie, w jego najodleglejszym końcu, tam, skąd można było patrzeć na morze.

John rozłożył ręce.

— Nie mam pojęcia. Mam tylko nadzieję, że nie czeka na to, aż ja wpadnę na genialny pomysł, jak wypełnić proroctwo.

— To brzmi, jakby pan wierzył w to proroctwo.

— Nie wiem, co o tym sądzić. *On* w każdym razie w nie wierzy. Przytaknęła.

— Tak, wiem — powiedziała i odwróciła wzrok na morze. Nad brzegiem zalegał welon rzadkiej mgły. Nadciągała jesień, również tutaj.

John przyglądał się jej profilowi. Była piękna, na jakiś cierpki sposób. Przy pierwszym spotkaniu w ogóle tego nie zauważył. Poczul ochotę, żeby powiedzieć jej komplement, jednak zaniechał tego; na wspomnienie, jak się zachował ostatnim razem.

— Prowadziła pani badania w archiwum — powiedział zamiast tego. — Do swojej książki. Chciała pani przecież napisać książkę, o ile dobrze pamiętam?

— Kiedyś zamierzałam, tak. — Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem, założyła rękę na rękę i znów patrzyła w dal. Wspaniale, teraz doprowadził do tego, że przypomniała jej się kłótnia w kancelarii. Dokładnie to, czego chciał uniknąć.

Odwróciła się i przyjrzała domowi.

— Stoimy dokładnie pod oknami *Padrone*, zdaje się. Tam, z tymi grubymi zasłonami. Prawda?

John spojrział we wskazanym przez nią kierunku, spróbował uświadomić sobie rozkład domu. Przypomniał sobie ciężkie, złociste zasłony.

— To możliwe.

— Myśli pan, że on nas widzi?

— Myślę, że z łóżka widzi tylko niebo. — Przez długą milczącą chwilę rozważał podwójne znaczenie tego sformułowania. — Na swój sposób mu zazdroszczę — przyznał wreszcie i zdziwił się, że to powiedział.

— Umierającemu?



— Umiera ze świadomością, że spełnił przeznaczone mu w życiu zadanie. Chciałbym móc wierzyć, że mi kiedyś też tak się uda. Chciałbym przynajmniej wiedzieć, jakie jest to moje życiowe zadanie.

To chyba jej się nie spodobało.

— Czy każdy z nas nie ma takiego samego zadania? Przeżyć własne życie?

John wbił wzrok w trawnik pod stopami, patrzył na suche, stwardniałe źdźbła trawy.

— Prawdę mówiąc, nie wiem, co to miałoby znaczyć.

— Że życie to nic trudnego. Żyje się. Kocha się. Śmieje się. Albo płacze, kiedy trzeba.

— To ludzie robią od tysięcy lat, i jeśli będą robili tak dalej, za kilkadziesiąt lat już ich nie będzie. — Pokręcił głową. — Nie. To nie jest odpowiedź.

Teraz ona spojrzała na niego. Jej oczy były jak wielkie, ciemne jeziora. Niezgłębione. Ale podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyła. I że na niego patrzyła.

— Trochę dużo bierze pan na siebie — stwierdziła.

— Obarczono mnie tym. Razem z obłędnie wielką ilością pieniędzy. — Pieniądzy, zmieniających wszystkich na świecie w niewolników. Nie wolno mu o tym myśleć.

— Myślę — powiedziała — że jest coś, co jak najszybciej powinnam panu pokazać.

— To zadziwiające odkrycie?

— Bardziej niż zadziwiające. — Rozejrzała się. — Musielibyśmy w tym celu pojechać do Florencji, do kancelarii.

Zauważył nagle, jak jest cicho. Wtedy w krzewach cykały cykady, teraz jednak nawet one zdawały się czekać w milczeniu. Podobnie chmury na niebie, nieruchome i blade.

— Lekarz powiedział, że to może jeszcze potrwać — powiedziała. John ociągał się.

— Takie ryzyko, tylko dlatego, żeby zaspokoić ciekawość?

— Czy to naprawdę ryzyko? Umrzeć i tak każdy musi sam.

A jeśli miałyby być jeszcze coś do powiedzenia, było po temu dość okazji, tak. John spojrział na nią i ogarnęło go owo osobliwe uczucie, że zna ją już od wieków. Poczuł, jak wilgotnieją mu oczy, i nie musiał tego ukrywać.

Spojrział w górę na okno, za którym stary człowiek czekał na śmierć, i poczuł, jak przenika go głęboka zgoda. *Cokolwiek pan zrobi, będzie właściwe.*

— Chodźmy — powiedział.

Na pierwszym piętrze kancelarii panował dziki nieporządek. Witryny pootwierane, cenne foliały niestarannie zrzucone na stopy, na stołach w nieładzie słowniki i leksykony, góry notatek, nawet na ścianach wisiały karteczki z datami, kwotami, hasłami po niemiecku, których nie potrafił przeczytać. Musiała tu pracować już od dłuższego czasu.

— Tutaj, proszę najpierw obejrzyć sobie to. — Wzięła książkę z klimatyzowanej witryny, która lekko pokryła się parą, gdy otworzyła drzwi, i położyła ją otwartą przed nim. — To jedna z ksiąg rachunkowych Giacomo Fontanellego. Są w niej dwie rzeczy godne uwagi. Po pierwsze, w piętnastym wieku we Włoszech wynaleziono to, co dziś j nazywamy *podwójnym księgowaniem*. Wtedy nazywało się to księgowaniem *a la veneziana*, i ta nowa metoda była jedną z przyczyn dominującej pozycji, jaką posiadali wówczas włoscy kupcy. Jednak Fontanelli jej nie stosował, zamiast tego prowadził coś w rodzaju kupieckiego dziennika, i to, mówiąc oględnie, niezbyt systematycznie. Proszę zwrócić uwagę na pismo — miękkie,

płynne, o zmiennym nachyleniu. Identyczne, jak w testamencie.

John przyglądał się wyblakłym bazgrołom, porównywał je z pismem w testamencie, leżącym nadal na swoim miejscu pod szkłem. Tam piszący bardziej się starał pisać wyraźnie, ale poza tym była to niewątpliwie ta sama ręka. — No cóż — stwierdził. — Tego można było się spodziewać, prawda?

Ursula ledwie zauważalnie skinęła głową.

— To później będzie jeszcze miało pewne znaczenie. W tej chwili istotne jest, że ów sposób, powiedzmy, chaotycznego prowadzenia zapisków utrudnia szybkie wyrobienie sobie opinii o rzeczywistym stanie interesów kupca. Dlatego długo nikt nie zauważył, że księgi Fontanellego zamykają się trzystoma florenami, ale nie zysku, tylko strat. Dokładnie mówiąc, ja pierwsza to zauważyłam, i to nie więcej niż trzy miesiące temu. — Położyła przed nim inną księgę rachunkową, ostatnią w rzędzie, otwartą na ostatniej zapisanej stronie. — Punkt dwa.

— Strata? — John zmarszczył czoło, przyglądając się liczbom. Nic mu nie mówiły. Musiał jej zaufać, wierzyć, że Ursula wie, co mówi. — Ale jak mógł zostawić majątek, skoro go nie posiadał?

— Zadałam sobie to samo pytanie. Dlatego zaczęłam szukać innych dokumentów Giacomo Fontanellego — zresztą przy pomocy Alberto Vacchiego, który najwyraźniej zna w tym kraju wszystkich i każdego z osobna — powiedziała, uniosła pokrywę wyglądającej na starą metalowej skrzynki i wyjęła z niej kilka wyglądających równie staro papierów. — Aż w końcu znalazłam to.

Było to kilka arkuszy wypełnionych kolumnami liczb. John wpatrywał się w nie, starając się zrozumieć, co widzi. Krój cyfr wydawał się obcy, dwójka przypominała raczej leżącą falistą linię...

— Czy to liczby lat? — osłupiał. — Tutaj, 1525, 1526... — Przekartkował do końca. — Kończy się na 1995.

— *Bingo!* — powiedziała Ursula. — To wyliczenie, jak majątek będzie rósł dzięki odsetkom i odsetkom składanym z roku na rok w ciągu pięciuset lat. I proszę zwrócić uwagę na pismo — mocne, precyzyjne, równe. Ktokolwiek to pisał, na pewno nie był to Giacomo Fontanelli. To, co pani widzi, to list, który musiał dostać około roku 1523.

John wpatrywał się w szeregi cyfr, mając uczucie, że gałki oczne zaczynają go parzyć. — To znaczy...?

— To nie były jego pieniądze, i to nie był jego pomysł — wreszcie sformułowała tę niesamowitą prawdę. — Ktoś inny wymyślił cały ten plan i dał do dyspozycji pieniądze.

Zdawało mu się, że podłoga się zachwiała.

— Ten, kto pisał list? — Kartkował, szukając końca. — Ten... jak to było? *Jacopo*?

— *Jacopo* — potwierdziła Ursula Valen — to włoska forma niemieckiego imienia Jakob. Wiadomo, że Jakob Fugger przez całe życie miał zwyczaj właśnie tak podpisywać listy do Włoch. Czy nazwisko Jukob Fugger coś panu mówi?

— Jakob Fugger Bogaty — John usłyszał swoje słowa. McCaine wspomniał to nazwisko, przypomniał sobie. *Najpotężniejszy człowiek, jaki kiedykolwiek żył na tej planecie.* — Myśli pani, że jemu zawdzięczam mój majątek?

Jej oczy były jak wielkie, zagadkowe, szlachetne kamienie.

— Więcej — powiedziała. — Myślę, że jest pan jego potomkiem.

Kiedy siedział zagubiony i patrzył na nią, wyglądał tak otwarcie i bezbrinnie, że najchętniej wzięłaby go w ramiona. Nie zostało w nim nic z tej arogancji, którą, jak jej się zdawało, dostrzegła w nim za pierwszym razem, było tylko przyciąganie, tak silne, że

wszystkie jej instalacje alarmowe rozdzwoniły się na cały głos, przypominając jej Nowy Jork, Friedhelma, nagiego, zdradzającego ją z tamtą kobietą, i własną, szaloną złość. Choć minęło już tyle czasu, nadal czuła blizny, jakie pozostawiło to na jej duszy. Czuła je w obecności tego mężczyzny, wobec którego ogarnęło ją niewyjaśnione ciepło, jakby był kimś, na kogo długo czekała, kimś, kto wyjechał na długo, a teraz nareszcie wrócił.

Ale oczywiście nie może być o tym mowy. Nie może. Nie ma. Nie, po prostu jest rozbita nagłą zapaścią starego Vacchiego przed trzema tygodniami. Przejęła się, obserwując dzień po dniu jego pogarszający się stan. Bliskość śmierci wytworzyła sytuację wyjątkową, w której wszystkie emocje, wszystkie wrażenia odczuwa się intensywniej, obudziła głód życia... To znaczy, że musi uważać i nie dać się porwać uczuciom.

Sfera faktów i teorii historycznych była bezpieczną fortecą. Chwyciła leksykon historyczny jak koło ratunkowe.

— Wszystko się zgadza. Jakob Fugger urodził się w roku 1459, jako najmłodszy z siedmiu synów, i właściwie zaplanowano dla niego życie duchownego. Kiedy jednak czterech jego braci zmarło, na choroby zakaźne, jak się sądzi, we wrześniu 1478 sprowadzono Jakoba z klasztoru z powrotem do firmy w Augsburgu. Na początek wysłano go w podróż do Włoch, by w tamtejszych filiach Fuggerów od podstaw poznał, jak się prowadzi interesy. Najpierw pojechał do Rzymu i krótko potem do Wenecji, gdzie pozostał przez mniej więcej rok. Potem wrócił do Augsburga, by stać się tym, któremu miano nadać przydomek „Bogaty”. Odłożyła księgę, spojrzała na niego. — Według oficjalnych źródeł historycznych Jakob Fugger pozostał bezdzietny, z nieznanых powodów. Często przypisuje mu się impotencję, ale nie ma na to dowodów. Niepłodność na skutek

przebytej choroby byłaby innym potencjalnym powodem. Jakkolwiek jednak by nie było — wtedy, w 1479, był młody, miał akurat dwadzieścia lat, i znalazł się w Wenecji, tętniącym życiem mieście handlowym, nienawykły do intensywnego słońca i upału... Czy można sądzić, że to nie miało na niego wpływu? Bale maskowe, swoboda obyczajów — czy można spodziewać się, że młody, zdrowy mężczyzna mógłby spędzić cały rok w tej gęstej atmosferze, nie mając przynajmniej przelotnego romansu? I nawet jeśli potem był bezpłodny, czy nie można by sobie wyobrazić, że wtedy, w kwiecie młodości, przynajmniej raz okazał się zdolny do zapłodnienia? To równie możliwe jak prawdopodobne, że Jakob Fugger podczas swojego pobytu w Wenecji zapłodnił młodą kobietę i wyjechał, nie dowiedziawszy się o tym. Kobietę, której znamy tylko nazwisko.

Spojrzał na nią, skinął głową ze zrozumieniem.

— Fontanelli.

— Właśnie. Data urodzenia Giacomo Fontanellego, 1480, świetnie by do tego pasowała. Pasują również inne szczegóły. Dlaczego na przykład wzbraniał się prowadzić księgi *a la Veneziana*? Może dlatego, że matka przez swoje złe wspomnienia wszczepiła mu niechęć do wszystkiego, co pochodziło z Wenecji.

John Fontanelli przyglądał się listowi, liczbom na nim, podpisowi.

— Co z tym pismem?

Wyjęła z teczki faks, przysłany przez chętnego do pomocy kuratora z Niemiec, odbitkę innego listu Fuggera.

— Proszę. Nie jest identyczne, ale wystarczająco podobne.

— Nie do wiary. — Przytrzymał oba arkusze obok siebie, przyglądał się im, ale myślami zdawał się być gdzie indziej. Nagle podniósł wzrok, spojrzał na nią i powiedział: — Panno Valen,

chciałbym przeprosić. Nie wiem, czemu przy naszym pierwszym spotkaniu byłem tak nieuprzejmy, ale jest mi przykro.

Spojrzała na niego zaskoczona. To było tak niespodziewane, że nie wiedziała, co powiedzieć.

— No cóż — wybąkała z trudem — ja też nie byłam uosobieniem uprzejmości.

— Ale ja zacząłem — upierał się. — Proszę mi wybaczyć. Naprawdę podziwiam, że pani odkryła to wszystko. Naprawdę, chciałbym tak potrafić... — Uniósł listy, uśmiechając się bezradnie. — W każdym razie nie odziedziczyłem po nim talentu do interesów, wie pani? Stan konta przed otrzymaniem spadku przeczy pani teorii.

Mimo woli musiała się roześmiać, a ponadto była mu wdzięczna za to, że pozwolił jej wrócić do tematów historycznych.

— Ach, wcale nie o to chodzi. Nawet pański przodek Giacomo nie odziedziczył specjalnie wiele zmysłu do interesów. Często był zadłużony, stale lawirował, i to raczej kiepsko, niż zręcznie. Niech pan tylko spojrzy, o, tutaj. — Położyła przed nim tę samą księgę rachunkową, którą pokazywała już *Padrone*. — Tutaj, ten wpis. Marzec 1552. Niejaki *J.* pożycza mu dwieście florenów.

— *J.* jak Jacopo.

— Można przypuszczać.

— Ale jak nawiązał kontakt z ojcem? I czemu nigdy nie powiedział, kto jest jego ojcem?

Ursula ociągała się. Była to spekulacja tak karkołomna, że kręciło jej się od niej w głowie.

— Mogłabym wyobrazić sobie, że matka kiedyś opowiedziała mu wszystko. Może krótko przed śmiercią, przy czym nie wiemy, kiedy umarła. Kim został ów Jakob Fugger, którego w młodych

latach poznała w Wenecji, wiedział w ówczesnej Europie wtedy każdy. Wyobrażam sobie, że Fugger podarkami kupił milczenie Fontanellego. Sądząc po notatkach w księgach rachunkowych, kontakt nawiązali najwcześniej w 1521. Jakobowi Fuggerowi zostały wtedy jeszcze cztery lata życia, i może przeczuwał już zbliżającą się śmierć. Na następcę J wyznaczył swego bratanka Antona, i z całą pewnością Jakob Fugger nie chciał zmieniać tego na korzyść nieślubnego syna, a już na pewno nie na korzyść syna tak nieudolnego w interesach.

— Ale to on uknuł ten plan.

— Z pewnością. Komuś tak dalekowzrocznemu i znającemu się 5 na finansach jak Jakob Fugger o wiele prawdopodobniej można przypisać taki pomysł.

— Ale — powiedział powoli — co z prorocstwem?

Teraz doszli do sedna. Ursula czuła, że robi jej się gorąco.

— Myślę, że Giacomo Fontanelli naprawdę miał ten sen. Musi pan pamiętać, że wyrósł w klasztorze, wśród tych wszystkich mistyków i historii o prorokach i męczennikach — wcale mnie w tej sytuacji nie dziwi, że piętnastolatek śni taki sen i tłumaczy go sobie jako proroczą wizję.

— Sen, w którym niezwykle celnie opisał nasze czasy, pięćset lat później.

— Tak pan uważa? To wszystko przecież raczej ogólne obrazy, mogące równie dobrze pochodzić z Biblii, na przykład z Apokalipsy albo z Księgi Daniela. Nie, on miał ten sen, pojął go jako wizję, może nawet jako prorocstwo — ale myślę, że Jakob Fugger wykorzystał to prorocstwo do swoich celów. — Wskazała na ostatnie linijki listu. — To tutaj w dosłownym przekładzie znaczy: *W ten sposób prawa matematyki nadadzą memu majątkowi nieśmiertelność, ty zaś możesz dzięki temu uznać, że to*



*również wypełni twoje proroctwo.* Chciał wykorzystać religijne zaangażowanie Giacomo Fontanellego i jego przyjaciela Michelangelo Vacchiego, by to, co stworzył — największy majątek wszech czasów — odtworzyć na nowo w dalekiej przyszłości.

John przez chwilę wpatrywał się w pustkę.

— Można by na to patrzeć również w ten sposób, że boska opatrność wykorzystwała pieniądze i inteligencję Jakoba Fuggera, by stworzyć warunki konieczne do wypełnienia proroctwa.

— Tak. Tak też można na to patrzeć. Tak to widzi na przykład Cristoforo Vacchi. Ja w każdym razie nie.

— Pokazała mu pani to wszystko?

— Oczywiście. — Ursula uniosła brwi. — To nie było przyczyną ataku, bez obaw.

Wstał, przeciągnął się, jakby próbował zrzucić z barków ciężący na nich ciężar — daremnie — i poszedł wzdłuż rzędu szafek z przeszklonymi przodami.

— A to wszystko tutaj? Rodzina Vacchich dokonała niewiarygodnej rzeczy, nie uważa pani? Z trudem przychodzi mi uwierzyć, że sprawił to jakiś Jakob Fugger, a nie boska moc.

— Nie podaję w wątpliwość religijnych przekonań rodziny Vacchich. Co podaję w wątpliwość, to relewancję proroctwa.

— Myślałem, że to jedno i to samo.

— Nie. Nie zgadzam się z poglądem, że zadaniem jednego człowieka mogłoby być przywrócenie ludzkości jej utraconej przyszłości. Nie zgadzam się, że trzeba do tego pieniędzy. Nie zgadzam się nawet z tym, że ludzkość w ogóle utraciła swą przyszłość.

Wytrzeszczył oczy.

— Wszystkie symulacje wykazują...

— Wszystkie symulacje się mylą. Zawsze się myliły. Na przełomie stuleci robiono symulacje dotyczące nasilającego się ruchu ulicznego, według których dziś powinniśmy po pas grzęznąć w końskim łajnie. To wszystko bzdury, John. Nie żyjemy w epoce schyłku, ani mniej, ani bardziej niż ludzie w którymkolwiek innym momencie historii. Jesteśmy tylko nieco zbici z tropu, gdyż rachubę czasu znów znaczy początek nowego tysiąclecia. To wszystko.

Stał tak przed nią, patrzył na nią, a ona w jego oczach widziała duszę ścisną lodowatym jarzmem.

— Pani nie wie, jak to jest. Posiadanie takiego ogromu pieniędzy oznacza, że trzyma się w dłoniach losy świata. Chciałbym dobrze to wykorzystać, a nie wiem, jak. Nie wiem, czy w ogóle można to dobrze wykorzystać. Ale wiem jedno, bardzo łatwo można tymi pieniędzmi narobić mnóstwo zła.

— Więc niech je pan wyda. Niech pan tworzy fundacje. Rozdziel je. Niechże pan nie pozwoli im się przytłaczać.

— Pani nie rozumie. Jestem dziedzicem. Muszę...

— Pan musi przede wszystkim żyć, John — powiedziała. — Żyć.

— Żyć — powtórzył, powoli, jakby nigdy dotąd nie używał tego słowa. W jego spojrzeniu migotał jakby ból. — Szczerze — nie wiem, jak się to robi.

*Nie.* To było jak ssanie, emanujące z jego ciała i przyciągające jej ciało. *Nie. Nie dam się niczemu porwać.* Pomyślała o Friedhelmie, o Nowym Jorku, lecz wszystkie wspomnienia raptem utraciły barwę, wyblakły jak fotografie z ubiegłego wieku.

— Przecież już pan to robi. Musi pan tylko przestać wierzyć, że przemówił do pana Bóg. On tego nie zrobił.

— Więc kto? Jakob Fugger?

— Nikt. To po prostu tylko stara historia, nic więcej. Oddychał szybciej, już od paru chwil, ale teraz ona to zauważyła, jak również to, że łapie oddech z przerwami, jak ktoś, kto za chwilę zacznie szlochać. Dłonie mu drżały, oczy żarzyły się prze-1 rażeniem.

— Ale jeśli — rozpoczął, odetchnął ochryple, szeptał dalej: — Ale jeśli ja nie mam zadania... jeśli nie mam w życiu zadania... kim w takim razie jestem? Kim? Po co żyję?

Nie mogła inaczej, objęła go, przytuliła, kiedy zaczął płakać, przytrzymała w objęciach, czując, jak drży i szlocha i jak jest zrozpaczony, jak łzy przerażenia powoli przestają płynąć i jak się stopniowo uspokaja. Co za scenografia, przemknęła jej myśl, wśród tych wszystkich starych ksiąg, w tym starym domu...

Wreszcie wyswobodził się z jej objęć. Zauważyła, że niechętnie go puszcza.

— Dziękuję — powiedział, pociągając nosem, wygrzebał z kieszeni chusteczkę. — Nie wiem, co mi się stało.

— Za wiele się wszystkiego zebrało. — Dziwne, to wszystko nie było ani trochę krępujące.

Stał, patrzył na nią uważnie, wyglądał na zdziwionego.

— Podobało mi się, czuć panią tak blisko — powiedział z pewnym rodzajem zdziwienia. — Może to teraz brzmi głupio, ale nie chciałem odejść, nie mówiąc pani tego.

Zdawało jej się, że się chwieje.

— To brzmi trochę głupio.

Spojrzeli na siebie. Stali tak, patrzyli sobie w oczy, czuli, że coś się z nimi dzieje. *To niemożliwe*, krzyczało coś w niej, a przecież wytworzyło się między nimi pole siłowe urągające wszelkim zasadom i odsuwające w cień przesady, pchało ich ku sobie, kazało im się objąć, stali tak potem, czując siebie wzajemnie,

trwało wieki, nim dotknęli się ustami, najpierw ostrożnie, potem zatopili się w sobie i coś, co było silniejsze niż cały wszechświat, porwało ich w taniec, taniec, który był samym życiem.

— Chodźmy na górę do mieszkania — to było ostatnie jasno sformułowane zdanie, jakie wypowiedziano tego wieczoru, i potem nie potrafili przypomnieć sobie, które z nich je powiedziało.

Owej nocy, o drugiej trzydzieści, zmarł Cristoforo Vacchi, osobliwym zbiegiem okoliczności na kilka minut przedtem, nim silne trzęsienie ziemi wstrząsnęło środkowymi Włochami, zbierając kilka ofiar śmiertelnych i niszcząc częściowo sławną na cały świat Bazylikę św. Franciszka w Asyżu. Wstrząsy brały początek w epicentrum w górskim regionie Foligno i dało się je odczuć aż w Rzymie i Wenecji, lecz na czwartym piętrze kancelarii Vacchich we Florencji pewien mężczyzna i kobieta byli zbyt zajęci sobą, by cokolwiek zauważyć.

## 36

McCaine tonął w górach akt, zalegających na podłodze jego biura. To stało się nie do zniesienia. Po tym, jak przed kilkoma dniami dostarczono wreszcie pancerną szafę, ustawiono ją oczywiście pod jego nadzorem, i przymocowano masywnymi śrubami do podłogi, nie musiał już tego dłużej znosić. Trzeba było przejrzeć stos po stosie, każdy dokument sklasyfikować, umieścić w odpowiedniej przegrodzie, w zawieszonym segregatorze, nadać numer i założyć kartę identyfikacyjną, miał je teraz starannie posegregowane, zawsze pod ręką, łatwe do znalezienia. W kącie stała niszczarka, ale nie miała wiele roboty: McCaine nie uznawał niszczenia dokumentów. Zbyt często już zbawienna okazała się możliwość odtworzenia szczegółów dawno zakończonego projektu, czy to po to, by uczyć się na własnych błędach, czy też dla udokumentowania historii spraw bieżących.

Szafa była monstrualna, jednak tak zgrabnie zamontowana i zamaskowana okładziną z drewna orzechowego, że prawie nie było jej widać. McCaine wolałby palisander, ale nie byłoby to stosowne w gabinecie szefa koncernu, który na sztandarach wypisał sobie hasła ochrony środowiska. Musiał uważać na takie rzeczy. Udzielał już w swoim biurze wywiadów, między innymi dziennikarzom z redakcji gospodarczych rozmaitych stacji telewizyjnych i meblościanka z drewna tropikalnego nie zrobiłaby dobrego wrażenia. Choć jego zdaniem nie miało to sensu i było typowym przykładem krótkowzrocznego podejścia do problemów ochrony środowiska, bez uwzględnienia wzajemnych wpływów. W opinii McCaina najbardziej skutecznym sposobem zredukowania zjawiska trzebienia

puszczy tropikalnej pożarami byłoby umożliwienie porastanym przez nią krajom zyskowej sprzedaży drewna, zamiast jego palenia. Ale nie miał cienia nadziei, że zdołałby to wytłumaczyć któremukolwiek dziennikarzowi czy wręcz opinii publicznej.

Raz po raz wystawiał głowę przez drzwi, ale hol wejściowy wciąż pogrążony był w ciszy i pustce wczesnego poranka.

— Czyżbym był jedynym idiotą, który jeszcze się stara na tym kwiecie? — warknął, kolejny raz przymykając drzwi.

To była ciężka praca. Każde akta oznaczały jeden interes, jedną wojenną wyprawę, jedną inwazję. A nie wszystkie projekty były udane, przeciwnie. Robiło się coraz trudniej. Notowania giełdowe rosły jak szalone, rozmaite firmy, jedna śmieszniejsza od drugiej, osiągały raptem milionowe ceny akcji: jakieś tam firemki internetowe, nie posiadające *dosłownie niczego* — tylko nazwę, biuro, kilka zdezelowanych komputerów — w życiu nie zarobiły jeszcze złamanego centa. W porządku, i tak by nie chciał ich kupić, ale było tego coraz więcej. Weźmy telekomunikację: bliska już była chwila, kiedy pierwsza firma telefoniczna osiągnie wartość ponad stu miliardów dolarów. Szczególnie rozgoryczał go fakt, że to on sam w znacznej mierze przyczynił się do tego procesu swoimi manewrami giełdowymi, jakie w przeszłości przeprowadziło *Fontanelli Enterprises*. Wszystkie te przejęcia firm, zapłacone akcjami o sztucznie zawyżonej wartości, można powiedzieć, powietrzem. Teraz to się mści.

Wreszcie, za dziesięć siódma, pierwsza sekretarka łaskawie zjawiała się na stanowisku.

— Kawy — wrzasnął na nią, nim jeszcze zdążyła zdjąć płaszcz.  
— Cały dzbanek.

A John Fontanelli jest we Włoszech, do tego jeszcze u Vacchich. Żeby tylko nie nagadali mu jakichś bzdur. Poczul przemożną

chęć, by cisnąć czymś w ścianę, na samą myśl o tym, czego mógłby dokonać, jakim zgubnym zjawiskom zdołałby zapobiec, gdyby tylko miał do dyspozycji majątek Fontanellego dwadzieścia lat wcześniej. *Za późno!* Ilekroć o tym myślał, zawsze dochodził do tego samego wniosku. *Za wolno!* Wszystko, czego się imał, co powołał do życia, co rozwijał — było zbyt wolne, obojętne, jak bardzo popędzał, groził i ile mówił.

Spojrzał na mapę świata za swoim biurkiem, na której zaznaczono wszystkie oddziały, zakłady, filie, kooperantów, zmonopolizowane przez nich rynki, zakres wpływów. Ich imperium nie miało sobie równego, wciąż jednak było za małe i za słabe, by nadawać bieg sprawom świata. I trudno było znaleźć coś, co jeszcze dałoby się zmienić. *Za późno* zaczęli i zbyt wolno posuwają się naprzód.

Zapukano do drzwi. Kawa. Odebrał ją i zażądał przywołania do; telefonu profesora Collinsa. Stał potem, pił kawę prosto z dzbanka, wyglądał przez okno i czekał.

Dwadzieścia lat wcześniej, a można by zapobiec oberwaniu się lawiny. Wszystko, co robią teraz, to próby jej zatrzymania. Próby pozbawione szansy sukcesu.

Telefon. Collins, bardzo zaspany.

— Potrzebuję wyników — zażądał McCaine. — Przyjadę do pana, proszę tylko powiedzieć, kiedy.

— Przyszły piątek? — zaproponował profesor. — Do tego czasu...

— Zgoda. W piątek o piątej jestem u pana — powiedział McCaine i odłożył słuchawkę.

— Wiesz, że trochę mi głupio? — spytał John.

— Że poszedłeś na całość? Że ryczałeś jak ranny byk?

— Ja?

— Nie wiem. Możliwe, że to byłam ja.

— Nie, głupio mi, bo zapomniałem o tym, że Marco i Chris czekają na nas. Możliwe, że przesiedzieli całą noc w samochodzie. Na pewno wyobrażają sobie, bóg wie co.

— Ach tak. Twoja gwardia przyboczna. — Ursula naciągnęła poduszkę na twarz. — Do tej chwili udawało mi się nie myśleć o tym, jak żyjesz.

Ta kobieta bada moje pochodzenie aż po mroki przeszłości, a teraz coś takiego.

— Nie krzyw się tak. To dla mnie poważny problem.

— A myślisz, że dla mnie nie? Ale wtedy miałem wybór tylko między dwiema możliwościami: za dużo pieniędzy albo za mało pieniędzy. A jak to jest, kiedy się ma za mało pieniędzy, dobrze wiedziałem.

— Co oni by właściwie zrobili, gdybyś odrzucił spadek?

— Nigdy się na tym nie zastanawiałem. Hmm. Na pewno ciekawe byłoby zobaczyć ich miny, co?

— Na pewno. Gdybyś miał aparat fotograficzny, mógłbyś... Hej, a to co?

— Zgadnij.

— No, gdyby okazało się, że Jakob Fugger naprawdę był impotentem, musiałabym jeszcze raz przemyśleć moją teorię...

Gdy zbudzili się po raz drugi, było krótko przed południem.

— Naprawdę powinniśmy powoli wziąć pod uwagę wstanie z łóżka — wymamrotał sennie John, przytulił się do Ursuli i całował ją z zapamiętaniem.

Wreszcie wysunęła się z jego ramion i wychrypiała:

— *Boże*, tak mnie jeszcze nigdy nikt nie całował. Przez chwilę mogłabym przysiąc, że ziemia pode mną drży.



John uśmiechnął się mile połechtany.

— To chyba potrzeba nadrobienia zaległości — przerwał. — *Oh, shit*, zdaje się, że naprawdę drży!

Razem patrzyli z niedowierzaniem, jak filiżanka, stojąca na krawędzi stołu, spada i rozbija się na wydeptanej, kamiennej posadzce.

Po nocnym trzęsieniu ziemi w Umbrii następnego dnia nastąpiły jeszcze dwa kolejne, silne wstrząsy, o 11:41 i 11:45, które zmiotły z mapy między innymi górskie wioski Cesi, Collecurti i Serraville. Dowiedzieli się o tym w drodze powrotnej do posiadłości Vacchich od obu ochroniarzy, którzy wysłuchali w radiu południowych wiadomości. Od nich dowiedzieli się również, że *Padrone* zmarł tej nocy, spokojnie, we śnie.

W domu zastali mieszaninę żałoby i ulgi. Cristoforo Vacchi był starym człowiekiem, któremu dane było zasnąć w spokoju po spełnionym, bogatym życiu. Potwierdzali to goście z wioski, przybyli oddać zmarłemu ostatnią cześć. Giovanna gotowała i karmiła każdego, kto przyszedł. Gregorio Vacchi zajął się pogrzebem, zaplanowanym na środę następnego tygodnia, podczas gdy jego starszy brat Alberto stał w ogrodzie nieobecny duchem i nieustannie okręcał na palcu kosmyki brody. Każdemu, kto się do niego odezwał, oznajmiał, wytrzeszczając oczy, że teraz to on jest najstarszym Vacchi. Niedługo do *niego* zacznie się mówić *Padrone*.

W tej sytuacji i w tym otoczeniu niestosowne wydawało im się zbyt otwarte afiszowanie się swoim świeżym zakochaniem. Wiezorami, gdy wszyscy rozchodzili się do swoich pokoi, siedzący w ciemności ochroniarze słyszeli otwierające się drzwi i ciche, szybkie kroki nagich stóp wzdłuż korytarza. Gdy tylko zamknęły się drugie drzwi, dyskretnie i bezszelestnie zajmowali

nowe pozycje, w należyтым oddaleniu, by nie słyszeć, co dzieje się w pokoju, jednak dostatecznie blisko, by na wypadek krzyku móc natychmiast zjawić się na miejscu.

— I co my ze sobą zrobimy? — spytała Ursula jednej z tych nocy. — To znaczy, kiedy to wszystko tutaj się skończy.

— Zabiorę cię do mojego zamku — wymamrotał sennie John — otulę cię w atłasy i jedwabie, zasypię biżuterią, a potem pobierzemy się i będziemy masowo powoływać na świat dzieci.

— Świetnie. O takim właśnie życiu zawsze marzyłam. — Zabrzmiało to na tyle sarkastycznie, że John się obudził.

— Czemu pytasz? Przecież na pewno zostaniemy razem, to chyba jasne.

— Nie jestem pewna, czy to się uda.

Usiadł prosto.

— Hej. Nie mów teraz, że jestem dla ciebie tylko przygodą.

— A ja jestem dla ciebie czymś innym?

— Czy ty...? Słucham? — Przeczesał dłonią włosy. — Jesteś kobietą mojego życia. Myślałem właściwie, że jesteś dla mnie przeznaczona w gwiazdach.

— Widziałam u Giovanny taką gazetę. Byłeś na stronie tytułowej, ramię w ramię z Patricią deBeers. Wakacje na Filipinach. Jej też mówiłeś takie rzeczy?

— Nie, przestań. O, do diabła. To nie tak. Ja...

— Nie musisz się usprawiedliwiać. Wszystko w porządku. Jesteś bogatym i sławnym mężczyzną, kobiece serca dla ciebie biją...

— Dla mnie? Gdyby to była prawda! Raczej dla mojego portfela.

— Ja się przecież nie skarżę. To piękna przygoda. Ale nie musisz przede mną udawać. To tylko chciałam ci powiedzieć.

Pokręcił głową.

— Niczego nie udaję. Nic nie było między mną a Patricią deBeers, naprawdę. A ja... Kocham cię. Pobierzmy się. Proszę.

— Muszę to jeszcze przemyśleć — odpowiedziała i odwróciła się w drugą stronę, tłamsząc pod sobą poduszkę. — Poza tym nie oświadcza się w ten sposób. To się robi na romantycznej kolacji i z różą w ręce.

W poniedziałek pojechali do Florencji, na zakupy, gdyż żadne z nich nie miało ubrania odpowiedniego na pogrzeb. John, jako że nie miał przy sobie ani grosza, po pierwsze pomaszerował do imponującej głównej siedziby *Banco Fontanelli*, i dopiero na widok zszokowanego spojrzenia, jakim Ursula rozglądała się po przypominającym kościelną nawę holu, pełnym złota, sztukaterii i marmuru, uświadomił sobie, że nie było to może zbyt eleganckie. Na dodatek recepcjonistka niemal zemdląła z przejęcia, krzyknęła „Signor Fontanelli” kilkakrotnie i tak głośno, że wszyscy się na nich obejrzel, i zupełnie nie mogła się uspokoić. Czy ma ich zaprowadzić do dyrektora? Albo zawołać dyrektora na dół? John uniósł ręce w uspokajającym geście i próbował wyjaśnić jej, że potrzebuje tylko trochę gotówki.

— Ile pieniędzy będziemy potrzebować? — zapytał Ursulę, kiedy kobieta nareszcie zrozumiała i odprowadziła ich do kasy.

Ursula nie widziała nic poza wysokimi pod niebo marmurowymi kolumnami, potężnymi, oprawnymi w złote ramy renesansowymi malowidłami na ścianach, i obszerną, nowocześnie pomalowaną kopułą.

— To wszystko *należy* do ciebie? — wykrztusiła, wytrącona z równowagi. — Tak? To do ciebie należy?

John popatrzył za jej spojrzeniem. McCaine był zdania, że główna siedziba *Banco Fontanelli* powinna wyglądać, jakby ktoś kupił Bazylikę św. Piotra i przerobił ją na bank. Jego również ten

widok za każdym razem przytłaczał.

— Obawiam się, że tak.

Z trudem otrząsnęła się z wrażenia, pokręciła głową, jakby musiała pozbyć się uczucia oszołomienia.

— Fugger w mieście Medicich. Zdaje mi się, że stać cię na to, by zaprowadzić mnie do jednego z tych ekskluzywnych sklepów, Gucci albo Coveri, czy jakoś tak. Weź dwadzieścia milionów lirów.

Powtórzył sumę człowiekowi za szybą ze szkła pancernego i zapytał:

— Ile to będzie w dolarach?

— Około dziesięciu tysięcy, zdaje mi się — powiedziała Ursula i wzięła go pod ramię. — Zresztą, mój bogaty kochanku, powiedz — właściwie po co komuś takiemu jak ty karta kredytowa?

— Ja właśnie nie mam żadnej — stwierdził John. Uznał, że lepiej będzie nie mówić jej, że zwykle sklepy dostarczają mu towary do wyboru do domu, i że może wychodzić z restauracji, nie troszcząc się o uciążliwe bzdury jak rachunki i płacenie. — Ach, proszę mi lepiej dać czterdzieści milionów lirów — powiedział do kasjera, który pośpiesznie przeliczał banknoty, i na koniec ze skrupulatną pedanterią poprosił o pokwitowanie.

— Czy ty właściwie uważasz, że to porządku, gdy ludzie tak przed tobą pełzają? — zapytała Ursula, kiedy wyszli w gwar miasta o osobliwym średniowiecznym uroku.

— Nie — powiedział John. — Ale przestałem próbować ich od tego odzwyczaić.

Sceptycznie przyjrzała się czterem ochroniarzom, znów kręcącym się wokół nich.

— Doprowadzają mnie do obłądu tymi swoimi okularami słonecznymi — szepnęła do niego.

— Hej, uspokój się. W końcu mam w kieszeni czterdzieści milionów lirów.

— Tak, już dobrze. Możesz sobie potem usiąść ze swoimi chłopakami w kawiarence, a ja pójde sama trochę powłóczyć się po sklepach i nacieszyć się tym, że jestem zupełnie normalnym człowiekiem.

Przybyło o wiele więcej gości, niż mógł pomieścić mały wiejski kościółek. Choć nawet w przednich, zarezerwowanych rzędach ławek panował ścisk, połowa zebranych musiała czekać na zewnątrz i wysłuchać mszy przez otwarte drzwi; nie pomyślano o sprowadzeniu nagłośnienia.

Wzdłuż wąskich uliczek wioski ustawili się długim szpalerem ludzie, gdy żałobny orszak szedł w kierunku cmentarza. Cristoforo Vacchi został pochowany, jak wiedział to od zawsze, w rodzinnej kaplicy Vacchich, od stuleci wznoszącej się tuż za kaplicą cmentarną i stanowiącej coś w rodzaju centralnego punktu wąskiego, łagodnie schodzącego w dół zbocza cmentarza

— Piękny widok się stąd roztacza — powiedział w zamyśleniu Alberto Vacchi, kiedy odmówiono wszystkie modlitwy, odśpiewano pieśni i złożono wieńce i wiązanki kwiatów.

W spokojnej, powrotnej drodze Ursula szła przygnębiona obok Johna, w pewnej chwili dyskretnie odciągnęła go na stronę.

— Chciałabym przedstawić cię moim rodzicom — szepnęła do niego.

John wytrzeszczył oczy. To zabrzmiało obiecująco. Bo w końcu odkąd to przedstawia się rodzicom przelotną przygodę?

— W każdej chwili — odszepnął. — A ja ciebie moim.

— Po drodze możemy zwiedzić Augsburg.

— Augsburg?

— Miasto Fuggerów.

— Fuggerów? Myślałem, że już ich nie ma?

— Jeszcze się zdziwisz!

Poczuł wzbierającą w nim dziką radość. To było równoznaczne z wyzwaniem, by się dobrze zastanowił, jak i kiedy zaaranżuje romantyczną kolację i różę.

— Jasne — powiedział. — Kiedy ruszamy?

Rozejrzała się podejrzliwie.

— Co powiesz na dziś wieczór?

— Jestem za. — I tak za długo korzystał z gościnności Vacchich.

— A co powiesz na to — dodała — żeby zostawić tu twoich goryli?

John musiał odkaszlnąć.

— Ojej. Chodzi ci...?

— Tylko ty i ja. Urwiemy się. Pojedziemy drugą klasą, pociągiem, jak miliony innych ludzi i na kilka dni zapomnimy o całym tym cyrku.

Wyraźnie słyszalny wewnętrzny głos mówił mu, że nie uniknie tej przygody, jeśli nie chce jej stracić.

— To nie takie proste, jak myślisz — mimo to ostrożnie sprzeciwił się. — Stale jestem w gazetach i w telewizji. Ktoś mnie rozpozna. I ktoś mógłby wpaść na jakiś głupi pomysł.

— Jeśli będziesz bez ochroniarzy, nikt cię nie rozpozna. Przyjmę każdy zakład. Ludziom nie rzuca się w oczy twoja twarz, ale że idzie ktoś otoczony nachalnie dyskretnymi osiłkami.

— Sam nie wiem. Tak się już do tego przyzwyczailem, że teraz czuję się nagi na samą myśl...

— O *Boże!* — Wywróciła oczami.

— Więc dobrze, co mi tam — pospiesznie powiedział. — Ale musimy najpierw dowiedzieć się, kiedy jest pociąg i...

— Krótco przed dziesiątą jest nocny pośpieszny do Monachium

— przerwała mu Ursula i wyjaśniła: — Sprawdziłam w poniedziałek, kiedy chodziłam bez was, chłopców.

John nie mógł powstrzymać myśli o swoim ferrari, stojącym bezużytecznie w Portecéto, w garażu przy domu, który był wprawdzie niezamieszkały, lecz niewątpliwie doskonale utrzymany.

— A jak mamy się tam niepostrzeżenie dostać? Spojrzała na niego drwiąco.

— To przecież proste — powiedziała.

Wieczorem kazali się znów zawieźć do kancelarii we Florencji. Oznajmili, że chcą jeszcze trochę poszperać w książkach i spotkali się z powszechnym zrozumieniem, choć nikt nie krył się z tym, że nie wierzy im w ani jedno słowo. Nikt nie zauważył, że Ursula zabrała z pokoju gościnnego niektóre swoje rzeczy.

Ochroniarze jak zwykle zatrzymali się przed drzwiami, zabezpieczyli otoczenie i pozwolili im wysiąść. Nim zamknęli za sobą drzwi domu, Marco zapytał:

— Czy będzie pan nas jeszcze dziś potrzebował?

— Nie — odpowiedział John. Nawet nie skłamał. — Dziękuję. Zadzwoń do pana.

Posprząтали, spakowali rzeczy Ursuli, po czym John musiał ubrać tanią kurtkę, również kupioną przez Ursulę podczas jej samotnego spaceru.

— Twoja elegancka, milionerska kurteczka powędruje na czas podróży do torby — postanowiła.

— Wszystko zaplanowałam — stwierdził John, przyglądając się swemu odbiciu w mętnym od starości lustrze w korytarzu. — Wyglądam okropnie.

— Wyglądasz jak normalny turysta — poprawiła.

Ściemniło się już, wąska boczna uliczka była cicha i

opuszczona, kiedy drzwi kancelarii Vacchich otworzyły się i wyszły z nich dwie postaci, jedna z torbą podróżną zarzuconą na ramię. Zatrzasnęli za sobą drzwi i słuchali, jak ukryte stalowe zasuwę ze stukiem opadają na swoje miejsce. W chwilę później weszli na florencki dworzec *Santa Maria Novella* i kupili dwa bilety do Monachium.

Wszystko to pozostało niezauważone, dopóki następnego ranka o wpół do dziesiątej człowiek ze straży nie zadzwonił do Vacchich.

— Czy nie mówił pan, że tych dwoje młodych ludzi miało dziś być tutaj? Nikogo tu nie ma. Tylko obok zamka na dole wisi kartka, która wygląda na list.

W tym czasie jednak Ursula i John spacerowali już ulicami Augsburga.

Budowla miała kolor delikatnie rudy, pojedyncze kontury podkreślono złotem.

— Pierwszy prywatny bank Fuggerów. — John przeczytał tabliczkę obok prostych, szklanych drzwi. Za nimi po bruku toczyły się samochody, przechodnie cisnęli się wokół, a w pewnym oddaleniu łukiem mijał ich z łoskotem obszerny, błękitny tramwaj. Miejski krajobraz naznaczony był pełnymi przepychu starymi fasadami, sztukaterią, ściennymi malowidłami i złotymi zdobieniami, ale ulice wydawały im się szerokie i przestronne po średniowiecznej, nasączonej historią ciasnocie Florencji.

Spojrzał na Ursulę.

— Czy to znaczy, że Fuggerowie nadal mają tu coś do powiedzenia?

— Nie. Ale nadal istnieją. Ten bank tutaj należy do księżęcej rodziny Fugger-Babenhausen. Fuggerowie nadal są niezwykle



bogaci, posiadają browary, udziały w przemyśle i zaniki, jednak przede wszystkim ziemię. Należą do dziesiątki największych właścicieli ziemskich w Niemczech. A przy tym ta rodzina od czasów Antona Fuggera nie zarobiła już ani grosza. Czerpią tylko z tamtego spadku, od ponad czterystu lat. — Wskazała bistro w pobliżu. — Chodź, zjemy śniadanie.

Pod oprawionymi w ramki zdjęciami motocykli i ścianą obwieszoną felgami, wieńcami laurowymi i flagami Formuły 1 wypili mocną kawę i zjedli croissanty z szynką. John wyjął z torby trochę niemieckich pieniędzy, wymienionych w Monachium za liry, i przyglądał się monetom i banknotom.

— Kim właściwie jest Klara Schuman? — mruknął. Odwrócił banknot i obejrzał wydrukowany po drugiej stronie fortepian. — Musi mieć coś wspólnego z muzyką.

Wydrukowanie tych banknotów musiało być pracochłonne, te wszystkie znaki wodne, wplecione połyskujące włókna i druk wyglądający na tłoczony. Bez porównania z dolarami. Które zresztą wyglądają równie imponująco, jego zdaniem.

Przyzwyczał się już do tego, że nikt nie zwraca na niego uwagi. W gruncie rzeczy to było jak uwolnienie. I rzeczywiście przez całą podróż nikt go nie zaczepił; nikomu nawet nie rzuciło się w oczy żadne podobieństwo do Johna Fontanellego. Przygnębiała go jedynie myśl, że Marco i pozostali martwią się o niego, oględnie mówiąc — umierają pewnie ze strachu.

— A co tu jest do oglądania? — zapytał. — Pewnie jakieś muzeum.

— Coś o wiele lepszego — powiedziała Ursula, ocierając palce małą serwetką. — *Fuggerei*. Fuggerówka.

Przeszli na drugą stronę jezdni, powędrowali płataniną wąziutkich uliczek, minęli kolejną szeroką ulicę, potem jeszcze

jedną przecnicę, za tureckim kioskiem z kebabami skręcili w prawo i oto stali już przed pomalowanym na bladożółty kolor frontem budynku z dwoma rzędami małych okien pod stromym dachem, pozwalającymi domyślać się niskich stropów we wnętrzu domu. Nad łukiem bramy, pomalowanej w ukośne błękitne i kremowe paski, wykuto łacińskie litery: MDXIX. IACOB FVGGERI AVGVST GERMANI. Wąskie drzwiczki w bramie były otwarte, przeszli przez nie i wkroczyli w inny świat.

Akurat gdy przechodzili pod łukiem bramy, słońce wychyliło się zza chmur i zalało jesiennym światłem szerokie alejki między rzędami ładnych szeregowych domków w kolorze piasku. John poczuł się, jakby przeniesiono go z powrotem do Włoch, tak bardzo śródziemnomorskie wydało mu się osiedle, które zobaczył.

— A gdzie jest ta *Fuggerei*? — zapytał. Ursula zatoczyła ręką szeroki gest.

— Właśnie do niej weszliśmy. To jest Fuggerówka, najstarsze na świecie osiedle dla ubogich.

— Osiedle dla ubogich? — John patrzył na proste, lecz estetycznie zaprojektowane domy, mury przyjemnie porośnięte bluszczem, stojące tu i ówdzie we wnękach murów figury świętych. Przypomniały mu się osławione dzielnice Nowego Jorku, zbudowane jako osiedla, socjalne, wytłuczone szyby okien, zabazgrane sprayem ściany i przesypujące się śmietniki. — Zdziwiająca. Fuggerówka? To znaczy, jak' sędzę, że została zbudowana przez Fuggerów?

— Przez Jakoba Fuggera Bogatego we własnej osobie. Około roku 1511 odczuł potrzebę, by objawić się światu jako mecenas, a ponieważ niewysoko cenił wspieranie artystów, jak robili to Medici albo Grimaldi, zamiast tego kazał zbudować to tutaj. Był

to pomysł niewątpliwie genialny, gdyż Fuggerówka po dziś dzień okrywa go lepszą sławą, niż pewnie zasługiwałby z uwagi na swoje czyny.

John przytaknął. Rzeczywiście, wszystko tutaj wyglądało tak sympatycznie, że już teraz czuł się niezwykle miło ujęty osobą swego domniemanego przodka.

Dotarli do uroczej studni, jaka równie dobrze mogłaby stać na starówce Portecéto. Wrażenia z krótkiego pobytu we Włoszech odcisnęły najwyraźniej na potężnym kupcu piętno na całe życie, skoro wybrał taki styl zabudowy.

— A kto tu mieszka? — zapytał John. Choć w każdym z małych okienek widać było firanki i doniczki z kwiatami, to uderzał panujący na uliczkach spokój. Tylko jedna przygarbiona staruszka z trudem szła krok za krokiem, z siatką pełną zakupów w jednej i laską w drugiej ręce.

— Fuggerówkę założono jako miejsce zamieszkania dla wyznających katolicyzm obywateli Augsburga, którzy nie z własnej winy popadli w biedę. Jeśli się nie mylę jest tu dokładnie sto sześć mieszkań, przeważnie trzypokojowych i urządzonych niezwykle komfortowo jak na ówczesne warunki. Całe osiedle otoczone jest murem i zamknięte, małe miasto w mieście — wyjaśniła Ursula. — Bramy zamyka się na noc, również obecnie.

— Kiedy, mówiłaś, kazał to zbudować?

— Między 1514 a 1523. To znaczy, że Giacomo Fontanelli nawiązując z nim kontakt w roku 1521, poznał Jakoba Fuggera już od lat zajętego planowaniem, co po jego śmierci oraz w dalszej przyszłości ma stać się z jego majątkiem.

— Hmm — z powątpiewaniem mruknął John. — A może spojrział wstecz na swoje życie i zadał sobie pytanie, po co było to wszystko. Nagłe pojawienie się syna, o którym nic nie wiedział i

który prosił go o pomoc w urzeczywistnieniu swojej wizji, musiało wydać mu się boskim zrządzeniem.

Ursula pokręciła głową.

— Nie wierzę, że Jakob Fugger myślał w ten sposób — oznajmiła, odgarniając z twarzy kosmyk włosów. Wskazała wąską uliczkę biegnącą w poprzek ich dotychczasowej drogi. — Chodź, pokażę ci, dlaczego nie.

Na końcu uliczki w szeregu domów zbudowano kościółek, mały, wysoki budynek z drewnianym kasetonowym sklepieniem nad potężnym, okazałym ołtarzem z kilkoma ławkami przed nim. W małej gablocie przy wejściu wywieszono do wiadomości zwiedzających tekst Informujący, że ta świątynia nosi nazwę Kościół Św. Marka i służy za miejsce codziennej modlitwy za spokój duszy fundatorów Georga, Ulricha i Jakoba Fuggerów.

— Rozumiesz? — spytała Ursula, przetłumaczywszy mu zawartość starannie napisanej na maszynie kartki. — Każdy mieszkaniec Fuggerówki jest od jej początków zobowiązany do dwóch rzeczy. Po pierwsze, musi uiszczać roczny czynsz w wysokości jednego guldena. Już wówczas była to raczej symboliczna kwota, dziś płaci się dokładnie jedną markę i siedemdziesiąt dwa fenigi, naprawdę śmieszłą sumę, za którą trudno byłoby kupić bochenek chleba. Po drugie — i to właśnie chciałam ci pokazać — każdy mieszkaniec Fuggerówki ma obowiązek codziennej modlitwy za dusze fundatorów. Ten obowiązek zapisany jest w umowie najmu i przestrzegany ze śmiertelną powagą. W akcie fundacyjnym dokładnie opisano rodzaj i ilość modlitw — jeden Paternoster, jedno Ave Maria, jedno Credo, jedno Chwała Ojcu. Ten kościół tutaj zbudowano tylko w tym celu.

John w zamyśleniu patrzył na wąskie okna kościółka i starał się

zrozumieć, co mogło przywieść kogoś do takiego zapisu.

— Nazbierało się sporo tego wstawiennictwa przez pięćset lat, prawda?

— No właśnie. Wątpię, czy za czyjąkolwiek duszę modlono się więcej niż za duszę Jakoba Fuggera i jego braci.

John poczuł osobliwy niepokój, próbując to sobie wyobrazić.

— Dziwne, prawda? Co takiego swoim zdaniem zrobił, że potrzebował aż tyle modlitwy?

— Nie sądzę, żeby tym się kierował — stwierdziła Ursula. — Myślę, że on po prostu w sprawach religii również myślał jak kupiec. Jeśli jedna modlitwa jest dobra, to wiele modlitw niewątpliwie jest odpowiednio lepsze. I znalazł sposób, tak samo za życia jak po śmierci, żeby z tego, co chciał dostać, zabrać dla siebie więcej niż ktokolwiek inny. Jakob Fugger chciał pozostać bogatym człowiekiem również w niebie, ot co!

Fuggerowie byli w Augsburgu wszechobecni, takie wrażenie miał John pod koniec tego męczącego dnia. Wspięli się na wieżę, maszerowali wzdłuż historycznych uliczek i fragmentów miejskich i murów, byli w Złotej Sali ratusza, gdzie urządzona w przyległej sali wystawa informowała o niesamowitej wielkości gospodarczego imperium, jakim Fuggerowie objęli cały ówczesny świat, aż po odkrytą wówczas właśnie Amerykę Południową. Zwiedzili dawną centralę koncernu, owe domy Fuggerów na Maximilianstrasse, które mijali już rano i niedaleko których zjedli śniadanie. Dziś znajdował się w nich Bank Fuggerów i luksusowy hotel, wejście do którego wydało się Johnowi zbyt ryzykowne; przenocowali w innym, nieco skromniejszym hotelu w śródmieściu, gdzie nikt nie pytał ich o paszporty i gdzie mogli zameldować się jako *John i Ursula Valen*.

Kiedy Ursula wyszła jeszcze raz, żeby zadzwonić do swoich

rodziców — na wszelki wypadek nie z hotelu, ale z budki telefonicznej w bezpiecznej odległości — John leżał na łóżku, wpatrywał się w sufit i próbował uporządkować kotłujący się chaos myśli, dokuczliwy jak spłoszona chmara pszczoł bzyjących w jego głowie. Śmierć *Padrone*, który ani na chwilę nie zwątpił w swą wiarę w prorocstwo. Odkrycie, że pieniądze nie mnożą się i że w rzeczywistości są nie wybawcą, ale największym krwiopijcą ludzkości. Drugi artykuł Lorenza... Czy to, co napisał jego kuzyn, może być prawdą? Czy szesnastoletni chłopiec mógł odkryć coś, co umknęło uwadze ekonomistów, laureatów Nagrody Nobla? To wydało mu się nieprawdopodobne. Choć trafiało do przekonania, brzmiało logicznie i spójnie... Będzie musiał kogoś zapytać, kiedy będzie z powrotem w Londynie. Jakiegoś ekonomistę. Może Paula Siegela. On powinien wiedzieć.

Spojrzał na zegarek. Gdzie ona się podziewa? Teraz, skoro i tak się poruszył, równie dobrze może wstać i podejść do okna. Wzdłuż ulicy żarzyły się kolorowe reklamy, o połowie napisów wiedział, że to nazwy firm należących w całości albo częściowo do *Fontanelli Enterprises*. Nawet ten hotel należy do sieci, w której mają trzydzieści procent udziałów. Część pieniędzy, jakie zapłacił za ten całkiem przyzwoity pokój, przejdzie przez wiele rąk i wróci do niego. To samo dotyczyło czarnej sukni, którą kupił Ursuli. Wygląda na to, że pewnego dnia będzie do niego należeć wszystko i wtedy w ogóle nie będzie w stanie wydać swoich pieniędzy.

Zobaczył Ursulę, jak idzie między zaparkowanymi samochodami i spacerującymi przechodniami prosto do hotelu, rozglądając się przy tym bystro na wszystkie strony. Opuścił stęchłą kotarę. Nadal nie rozumiał, co między nimi zaszło, ale czy

musi to rozumieć? Wiedział tylko, że w jej obecności czuje się szczęśliwy i że wszystko inne przestaje się liczyć, kiedy tylko ona na niego spojrzy.

Może powinien postąpić tak, jak mu zaproponowała. Po prostu wydać te pieniądze na małe, sensowne projekty. Samochody-chłodnie dla Filipin, tego rodzaju rzeczy, leczenie planety akupunkturą. Mógłby poświęcić na to resztę życia i byłoby to cholernie dobre, dające satysfakcję życie. Koniec z całym tym głupim luksusem, przepychem, puszeniem się. Obojętne, czy Jakob Fugger był jego przodkiem, czy nie — będzie kontynuował to, co Fugger rozpoczął budową swojego osiedla. Pomoże ludziom, a przyszłość niech troszczy nic o siebie sama.

Drzwi otworzyły się, wpadła Ursula.

— Wszystko umówione — oznajmiła. — Moi rodzice oczekują nas jutro po południu.

Spojrzał na nią i poczuł się szczęśliwy.

— A w weekend polecimy do Nowego Jorku — zaproponował. — Wtedy poznasz moich rodziców!

Coś w jej twarzy nie pasowało do tego planu.

— Poczekaj — powiedziała, ociągając się. — Poczekaj, aż... poznasz *całą* moją rodzinę.

To, co mieli mu do powiedzenia o świcie ochroniarze, McCainie nie uznał za zabawne.

— Inaczej mówiąc, nie wiecie, gdzie spędził wczorajszy dzień — warknął.

— Odkryliśmy, że dziewczyna dzwoniła do swoich rodziców w Lipsku — zabrzmiał w słuchawce głos Marco Benettiego. — Oczekują jej i pana Fontanellego dziś po południu na kawie.

— A wy oczekujecie tych dwoje na dworcu, mam nadzieję.

— Oczywiście. Chris rozmawia właśnie z pilotem Jeta, który zawiezie nas do Lipska.

— Niech pan pomodli się za to, żeby tych dwoje nie wywiodło pana w pole. — Rzucił słuchawkę na widełki telefonu i chwycił za pilota telewizora, żeby zrobić głośniej, gdyż obok spikerki wiadomości pojawiło się logo *Fontanelli*.

-...senator Drummond wypowiedział się zdecydowanie przeciw przyjęciu Dayton Chemicals przez grupę Fontanelli. Wezwał senat do...

McCaine znów wykręcił numer.

— Wesley? Oglądam właśnie wiadomości na *NEW*. Kto to właściwie jest ten senator Drummond? — Słuchał chwilę. — Dobrze, w takim razie niech pan pośle do niego kogoś, kto mu wytłumaczy, że nie jesteśmy zmuszeni kiedykolwiek w przyszłości kupować czegokolwiek od jakiegokolwiek dostawcy z Ohio, jeżeli się nie wycofa. Gdyby miał tego nie zrozumieć, niech mu pan wyliczy, ile miejsc pracy będzie to kosztować, niech mu pan opowie, na jakich kanałach telewizyjnych i w ilu gazetach pojawi się jako główny winowajca, i niech pan zaproponuje przyszłemu byłemu senatorowi pracę pomocnika pakowacza w centrum wysyłkowym w Toledo. Słucham? Oczywiście, że jeszcze dziś. Dziś wieczorem chcę zobaczyć w wiadomościach, że kupiliśmy Dayton Chemicals.

Same zmartwienia. Potarł skronie, patrząc na terminy zaplanowane na dzisiejszy dzień. Delegacja z Wenezueli już czeka. Ropa naftowa nadal stanowi kręgosłup koncernu. Wykorzystał swoje wpływy prawie we wszystkich portach przyjmujących tankowce i sprawił, że statki *Cumana Oil* odprawiane były szczególnie powoli i szczególnie często poddawane kontroli. Zdarzyły się niedotrzymane terminy i



klienci odeszli, dzieła dopełniły wysokie kary, firma dojrzała do tego, by ją zaatakować, i on ją dziś kupi. Potem zje obiad z dyrektorem zarządzającym *Miyasaki Steel Corporation*, którego musi przekonać do przemyslenia na nowo struktury jego dostawców w obliczu napiętej sytuacji kredytowej firmy.

A na koniec dnia wybierze się do Hartford, by posłuchać, co powie mu profesor Collins, jak użyć tej zbudowanej przez niego wielkiej, skomplikowanej sieci o światowym zasięgu, sieci władzy i zależności, jak dzięki niej spełnić prorocstwo Giacomo Fontanellego.

O wiele za dużo samochodów na drodze wprawilo go w zły humor, gdy wyjeżdżał z Londynu. To bezwzględnie będzie pierwsze zadanie, skoro tylko osiągnie pozycję monopolisty na rynku ropy naftowej: podniesie cenę benzyny tak, żeby motoryzacja przestała być interesująca ekonomicznie.

Jeden wielki ścisk, trąbienie klaksonów, przepychanka, okropność. Rozważał sprowadzenie profesora Collinsa do siebie do biura, zdecydował się jednak tego nie robić. Chciał na własne oczy zobaczyć ten *Instytut Badania Przyszłości*, stwierdzić, czym się stał przez czas, kiedy nieustannie pompowali w niego pieniądze, i wyrobić sobie opinię o tym, na ile może polegać na wynikach badań profesora. To było możliwe tylko na miejscu.

Dzisiejsze rozmowy nie poszły dobrze. Pewnie nie skoncentrował się dostatecznie. Normalnie pożarłby Wenezuelczyków ze skórą i kośćmi za żądanie gwarancji samodzielności dla *Cumana Oil*, dziś jednak zadowolili się odesłaniem ich do domu z niczym i wydaniem chłopcom z działu inwestycji rozkazu, by wzmóc zmasowany atak na giełdzie. Co też oni sobie wyobrażają? Jasne, że firma jest od podstaw zdrowa. Inaczej przecież wcale by się nią nie interesował. Ale są

mali, a on jest duży; sama natura daje mu prawo ich połączyć.

A Kasaguro Gato najwyraźniej znalazł kredytodawcę, o którym on nie wiedział. Prawdopodobnie udało mu się zyskać na cichego udziałowca jednego z tych starych japońskich miliarderów, tylko tak można wytłumaczyć jego uśmiechniętą i nieugiętą postawę. Mógł się na razie pożegnać z wpływami *Mijasaki Steel* na największych pracodawców w regionie południowo-wschodniej Azji i uzyskaniem w ten sposób karty przetargowej przeciw rządowi japońskiemu.

Nie czuł się dobrze. Za wiele niepowodzeń na jeden dzień. Nie udawało mu się odsunąć od siebie myśli o tym, co dziś zaszło. Właściwie był to również powód, dla którego chciał wyjechać do Hartford — sam, bez kierowcy, bez ochroniarzy — żeby po drodze zyskać dystans do codziennych spraw, by być w stanie znów dostrzec wielkie zależności. Ale gotowało się w nim. Zły dzień.

Niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami, co uznał za bardzo adekwatne. Dziś wieczorem powinno padać, może nawet będzie burza. W mroku pod pokrywą chmur zalegał jakiś niedobry, fioletowy cień.

I wciąż korek, nawet tu za miastem, kiedy wreszcie mógł się cieszyć, że wyjechał z Londynu. Gniótł kierownicę swojego jaguara, kiedy posuwał się naprzód samochód za samochodem, jak w chińskiej torturze kroplami wody. Acha, uznali za stosowne urządzić tu remont jezdni, do tego jeszcze dość długi, i to w piątek po południu w czasie szczytu. *Co za idioci*, pomyślał zirytowany.

Przed placem budowy jezdni zwięźała się z dwóch pasów do jednego. McCaine obserwował rytm, z jakim pojazdy jak ząbki zamka błyskawicznego splatały się na jednym pasie, przepuścił

rozklekotanego starego volkswagena z zasuszoną staruszką za kierownicą i chciał akurat wjechać za nią, kiedy z jego lewej strony wyskoczył brudny brązowy wóz i bezwzględnie wcisnął się na pas przed McCainem. Kiedy rozwścieczony spojrzał w jego kierunku, zobaczył za kierownicą barczystego małpoluda o blond włosach, gapiącego się na niego z głupkowatym wyrazem tryumfu w błękitnych oczach i najwyraźniej doznającego wprost zwierzęcej radości z wyprzedzenia jaguara. Obok niego przycupnęła wystrojona jak dziwka kobietka z miną bezmózgowca.

McCaine patrzył za tymi dwojgiem zbity z tropu. Kiedy przesuwali się powoli wzdłuż placu budowy — zaludnionego zresztą przez dwóch zmęczonych robotników bez chęci do pracy — kobieta kilkakrotnie obejrzała się na niego, śmiejąc się złośliwie, najwyraźniej zachwycona bohaterskim wyczynem swego towarzysza. Rozmawiali o nim. Wyśmiewali. Czuli się jak jacyś zwycięzcy. McCaine czuł na ten widok mdłości. Ale ten typ ma zamiast mózgu mięśnie, z pewnością nie byłoby dobrym pomysłem stuknąć go, wywlec z samochodu i spróbować udusić czy coś w tym rodzaju.

Przez wlokące się bez końca minuty czołgał się za tymi dwojgiem i przeżuwał pytanie, dlaczego właściwie, do diabła, zaharowuje się tak, żeby ratować ludzkość. Ludzkość? Czy nie składa się w większości z takich idiotów jak ci przed nim? Głupie, bezduszne bydło, a on marnuje na nich swój czas? Ewolucja — albo ślepy przypadek — wyprodukowała może kilku ludzi wartych jego trudu, ale większość to przecież oczywiste odpadki.

Może, pomyślał ponuro McCaine, nadszedł już czas, żeby ludzkość wymarła.

## 37

Pół godziny przed Lipskiem pociąg zatrzymał się w małej miejscowości Naumburg nad Saale, i kierowani spontanicznym impulsem John i Ursula wysiedli już tutaj i resztę trasy przejechali taksówką.

Kierowca cieszył się niespodziewanym, lukratywnie dalekim kursem, i kiedy Ursula omawiała z nim, gdzie ma ich wysadzić, John dodał tylko:

— Najważniejsze, żeby nie na dworcu.

Nie mógł się pozbyć uczucia, że Marco i reszta już tam na niego czekają.

Wysiedli w centrum, na wielkim placu z wielką fontanną, otoczonym imponującymi fasadami. John zapłacił taksówkarzowi, który podziękował mu w kulawej angielszczyźnie i odjechał, machając przyjaźnie, potem przyłączył się do Ursuli, która czekała na niego z torbą u stóp i rękami wbitymi głęboko w kieszenie. Robiła się coraz bardziej milcząca i zamknięta w miarę, jak zbliżali się do Lipska, a teraz była tak spięta, jakby spodziewała się czegoś straszego.

— I co? — zapytał.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała, rozglądając się wokół, jakby musiała się upewnić, że wszystko tutaj jest wciąż takie, jak zachowała w pamięci. — Augustusplatz. Dawniej nazywał się Karl-Marx-Platz. Tu się wszystko zaczęło. — Wskazała na imponujący budynek za fontanną. — To opera. Naprzeciw jest Gewandhaus, sala koncertowa. — Z tyłu wznosił się wieżowiec, wyglądający jak ogromna, na wpół otwarta książka. — To należy do uniwersytetu, tak samo jak ten budynek z przodu...

— Zaczęło? — Wtrącił się. — Co się tu zaczęło?

Spojrzała na niego.

— Demonstracje. Osiem lat temu było tu jeszcze NRD. Układ Warszawski. Mieszkaliśmy za żelazną kurtyną, a wy, Amerykanie, byliście naszymi wrogami.

— Ach tak, racja — skinął głową John. Osiem lat temu? Wtedy akurat jego związek z Sarah zbliżał się do równie bolesnego, co nieuniknionego końca. — Coś sobie przypominam. Wtedy upadł mur berliński, prawda?

Ursula uśmiechnęła się smutno.

— Nie upadł. My go zburzyliśmy. — Spojrzała obok niego, ale jej spojrzenie w rzeczywistości skierowane było w przeszłość. — Tu się to wszystko zaczęło. Pierwsze demonstracje, we wrześniu 1989. Tu w Lipsku. W listopadzie już w całym kraju ludzie wyszli na ulice. Węgry otworzyły granice na zachód, a dziewiątego listopada otworzono granice z Niemcami Zachodnimi. Z RFN. A rok później nie było już NRD — ledwie dostrzegalnie zadrżała. — Tak łatwo się to opowiada. Trochę inaczej było wtedy przy tym być.

Wskazała na dość nowoczesny, prostokątny budynek naprzeciwko, dużo bieli i dużo szkła, z ogromną, pociemniałą płaskorzeźbą nad wejściem.

— To było miejsce, do którego tęskniłam. Uniwersytet. — Po jej twarzy przemknął bolesny uśmiech. — Głowa na płaskorzeźbie ma przedstawiać Karola Marksa. Zrobiono ją z masywnego metalu i tak połączono z fundamentem, że trzeba by zburzyć budynek, żeby to zdjąć. Tylko dlatego jeszcze tu jest. — Odwróciła się i wskazała na długi kompleks budynków po przeciwnej stronie. — Tam pracowałam. Na poczcie głównej, biurowe sprawy, wklepywanie faktur, rzeczy bez znaczenia. Wtedy uważałam, że to przypadek, że mam w zasięgu wzroku

uniwersytet. W czasie przerw obiadowych czasem mieszałam się między studentów i wyobrażałam sobie, że jestem jedną z nich.

— A dlaczego nie byłaś? — spytał ostrożnie John.

— Musiałabym skończyć liceum, a na to mi nie pozwolono. Nie dlatego, że byłam za głupia, ale ponieważ pochodzę z niewłaściwej rodziny. Z powodów politycznych. — Podniosła torbę i niezdecydowanie zarzuciła ją na ramię. — Polityka. Wszystko było polityką. Długo trzymałam się z dala od demonstracji, nie chciałam podpaść jeszcze bardziej... Bałam się. Wiedziano, że Stasi fotografuje każdego, kto przychodzi na msze do kościoła Św. Mikołaja. Mimo to przychodziło coraz więcej ludzi, nawet kiedy kościół był już o wiele za mały, żeby pomieścić wszystkich. Po mszy maszerowali tutaj, na plac Karola Marksa, i szli potem dalej do dworca, wzdłuż całej obwodnicy śródmiejskiej, ze świecami w dłoni, spokojnie. To wykończyło rząd: że wszyscy zachowywali się spokojnie. Inaczej mieliby pretekst do ataku, rozumiesz? Ale tak... Przechodzili obok „Okrągłego Rogu”, głównej kwatery Stasi, śpiewali pieśni i stawiali świece na schodach przed wejściem. Co mieli zrobić? To wszystko było nieszkodliwe, prawda? A naprawdę był to początek końca.

John słuchał jej zafascynowany, próbował wyobrazić sobie, jak to tak zwyczajnie wyglądające miejsce, na które patrzył, musiało wtedy wyglądać, i wiedział, że nie będzie w stanie tego pojąć.

— Punktem kulminacyjnym był dziewiąty październik. Poniedziałek. Demonstracje były zawsze w poniedziałki. Pojawiły się plotki, że Komitet Centralny postanowił w ten poniedziałek zdławić kontrrewolucję w Lipsku. Tak to nazywali. W rzeczywistości znaczyło to, że mieli strzelać do demonstrantów. To właśnie tego obawiali się przez cały czas

wszyscy — „chińskiego” rozwiązania. W czerwcu w Pekinie była ta studencka rewolta, pamiętasz? Na Placu Niebiańskiego Pokoju, kiedy rząd wjechał czołgami i było wielu zabitych. Wielu sądziło, że to samo zdarzy się w Lipsku. Ale przyszli tu, mimo to.

Spojrzała na długi, piaskowo-brunatny budynek, nadal mieszczący pocztę główną.

— Byłam tego wieczoru w biurze. Zostałam dłużej, miałam dużo pracy i tak dalej, ale przede wszystkim... nie wiem. Może chciałam zobaczyć, co się stanie. Pamiętam jeszcze, jak stałam przy oknie, tam, na czwartym piętrze... wyłączyliśmy światło, staliśmy tylko w otwartym oknie i wtedy przyszli... Tysiące ludzi, cały plac był pełen ludzi, wszędzie, fontanny wtedy jeszcze nie było... i krzyczeli: *My to lud*. Wciąż powtarzali to zdanie, wciąż na nowo pod ciemnym niebem, w świetle ulicznych lamp, jakby jednym głosem — *My to lud. My to lud*. To mną wstrząsnęło. Nic mnie już nie powstrzymywało, zbiegłam w dół i przyłączyłam się. Było mi obojętne, co się stanie. Jeśli mają strzelać, niech strzelają. Od tej chwili zawsze się przyłączałam, w każdy poniedziałek, aż do końca. Skoro nie byłam z nimi od początku, chciałam przynajmniej pomóc odprowadzić dyktaturę do grobu, tak mi się zdaje.

Spojrzał na nią zdumiony. Ruch uliczny wokół nich, ludzie z torbami światowych marek mody albo z komórką przy uchu czekający na tramwaj, wszystko to zdawało się być całkiem nierealne, cienka warstwa tynku na ponurej, przytłaczającej rzeczywistości.

— Czy to cię w ogóle interesuje? — spytała. Przestraszył się powagi w jej oczach. Był w stanie tylko niemo przytaknąć i ucieszył się, że to zdawało się jej wystarczać. Otarła oczy, trzymając torbę wciąż na ramieniu. — To dla mnie jak podróż w

przeszłość. Przepraszam.

— Cieszę się, że nikt do ciebie nie strzelał — powiedział i wziął od niej torbę. — Że to były tylko plotki.

Pokręciła głową.

— To nie były tylko plotki. Później okazało się, że naprawdę była taka decyzja. *Wachtregiment* imienia Feliksa Dzierżyńskiego odkomenderowano do Lipska i żołnierze mieli rozkaz strzelać. Ale nie strzelali. Po prostu tego nie zrobili. Dyskutowali w swoich jednostkach i postanowili odmówić wykonania rozkazu.

*Instytut Badania Przyszłości* położony był na południe od Hartford i z daleka wyglądał jak obiekt wojskowy. Trzy duże, płaskie pawilony o frontach z połyskującego zielono szkła izolacyjnego, rozmieszczone wokół własnej elektrociepłowni, starego budynku z cegły z nowym kominem, błyszczącym, jakby go wypolerowano. Strażnik przy bramie zażądał od McCaina dokumentów i nie doceniając zupełnie dostojęstwa prominentnego gościa, zadzwonił ze swojej budki do instytutu, by upewnić się co do jego tożsamości, do tego przez cały czas łypiący złym okiem doberman nie odrywał wzroku od McCaina. Ten tymczasem obejrzał sobie otaczający cały teren, wysoki na trzy metry płot, zwieńczony grubymi zwojami kolczastego drutu. Na wysokich masztach umieszczono reflektory jak na więziennych strażnicach, trawnik wokół instytutu był płaski i skoszony równo co do źdźbła. Wszystko było, jak przykazał.

— Witamy, sir — oznajmił krępy mężczyzna, oddając mu dowód, z wyrazem twarzy osobliwie przypominającym minę swego psa. Wsunął z powrotem do kabury półautomatyczną broń, którą przez cały czas trzymał wyjętą za plecami, i nacisnął guzik, uruchamiający otwieranie polakierowanej na białą



metalowej bramy.

McCaine zaparkował na dziwnie jak na tę porę dnia pełnym parkingu i dopiero idąc w kierunku wejścia, zauważył, że zarezerwowano dla niego miejsce przy samych drzwiach. Niebo nad Hartfordem zachmurzyło się, pachniało burzą. Kolejny strażnik za szybą otworzył mu przejście przez obrotowe drzwi, a za nimi czekał już profesor Collins, przywitał go z niespodziewaną czołobitnością i od razu przystąpił do oprowadzania.

McCaine oglądał korytarze i biura, duże i małe hale, wszystko pełne komputerów, jeden przy drugim, całe regały pełne monitorów, po których biegły szeregi liczb, migotały wykresy, zmieniające się nieustannie graficzne diagramy wszelkiego rodzaju. Szum niezliczonych wentylatorów zlewał się w jeden monotonie szemrzący chór anielskich głosów wieszczących nieszczęście, raz po raz zagłuszany zgrzytem drukarki, ze świstem wypluwającej arkusz papieru. Żaden taki arkusz nie leżał ani przez chwilę, każdy natychmiast zabierany był przez pracownika, który przypinał go do ściany obok mnóstwa podobnych wydruków lub wkładał do wybranego starannie segregatora. Na ścianie umieszczono tablice z napisami w rodzaju *Strategia EN-1* albo *Kompleks RES/POP*, na stołach stosami wznosiły się puste kartony po pizzy i filiżanki po kawie pełne niedopałków papierosów. Pod sufitem biegły rury systemu wentylacji, mimo to cuchnęło tu przeпоconymi koszulami i dymem papierosowym. W jednym z mniejszych biur McCaine wypatrzył młodego, nieogolonego człowieka, leżącego z otwartymi ustami na składanym łóżku i śpiącego, z długopisem w leżącej luźno dłoni.

— Tim Jordan, odpowiedzialny za integrację strategii punktów

ekstremalnych — wyjaśnił cicho Collins. — Jest tu bez przerwy od wtorku.

— Nietrudno uwierzyć — mruknął McCain, nieufny wobec tak obcesowo demonstrowanej pracowitości.

Wreszcie dotarli do biura profesora, które nie robiło wrażenia wygodniejszego niż reszta instytutu, dysponowało jednak komfortem wolnego fotela. Ściany, o ile nie zajmowały ich półki z książkami ani szafy na dokumenty, jak również wszystkie okienne szyby, bez reszty pokryte były wykresami i schematami pieczołowicie sklejonymi z mnóstwa wydruków.

— Proszę zająć miejsce — Collins wskazał mu fotel. — Czy mogę panu zaproponować coś do picia? Herbata, sok, woda...?

McCaine pokręcił głową.

— W tym momencie wystarczy mi plan, który zadziała. Profesor zamrugął za szklami okularów.

— Ach, tak, rozumiem — stwierdził, zacierając nerwowo rękę. — Chce pan dowiedzieć się, jakie uzyskaliśmy wyniki. — Skinął głową, jakby teraz dopiero tego się domyślił, i zaczął przechadzać się tam i z powrotem przed swoimi obklejonymi papierem ścianami. — Może dobrze będzie, jeśli najpierw objaśnię strategię, jakich użyliśmy. Ustaliliśmy w maju, na jakie parametry modelu i jak silny, to znaczy w jakim zakresie, może wywierać wpływ *Fontanelli Enterprises*. Wynika z tego określona liczba skoków parametrów, jak my je nazywamy, a zatem dyskretnych zmian stanów w określonym momencie, przy czym owe momenty również można zmieniać, w naszym przypadku poczynając od stycznia 1998. Jako że mamy tu do czynienia z kompleksowym modelem, rozmaite parametry mogą wywierać na siebie wpływ w nieprzewidywalny sposób, a to znów oznacza, że dla uzyskania większej pewności zastosować należało metodę

*brute-force*, to znaczy kombinację każdego z możliwych parametrów z dowolną kombinacją zmian wszystkich pozostałych parametrów, co w matematyce określa się pojęciem permutacji. Nawet permutacje niewielkich zbiorów dają w wyniku ogromne liczby, w naszym przypadku liczba jest astronomicznie wielka. Dlatego zastosowaliśmy rozmaite metastrategie mające na celu wykluczenie już na wstępie obszarów nieefektywnych kombinacji, bądź przynajmniej ograniczenie ich liczby, i wzmożone skoncentrowanie uwagi na zestawach parametrów obiecujących sukces. Jedną z takich strategii było sprawdzenie na początek permutacji punktów ekstremalnych, oznaczających największe możliwe wpływy w jak najwcześniejszym momencie. Inna strategia miała na celu przestudiowanie wpływu punktów krytycznych, by zidentyfikować wrażliwe obszary — co, chciałbym od razu zaznaczyć, okazało się niezbyt wydajne, dlatego w połowie lipca przerwaliśmy te badania, by skierować cały wysiłek na doskonalenie prognoz obiecujących kombinacji ekstremów. Zdołaliśmy...

McCaine uniósł dłoń, by zatrzymać potok wymowy profesora.

— Jeśli dobrze pamiętam — wtrącił — wszystko to omówiliśmy dokładnie już w maju.

Collins wzdrygnął się, potem skinął głową.

— Możliwe. Rzeczywiście.

— W takim razie chciałbym pana prosić, żebyśmy teraz *wreszcie* przeszli do wyników.

— Tak. Oczywiście. Jak pan sobie życzy. — Profesor wyglądał na niezwykle spiętego. Jego ręka machnęła zamasyście w kierunku porozwieszanych na ścianach wykresów, potem znów bezwładnie opadła na bok. — Tu pan widzi wyniki. Wszystkie

razem.

— Widzę tylko linie — powiedział McCain.

— Naturalnie, trzeba je oczywiście zinterpretować. To tutaj na przykład to rozwój gospodarczy w Azji, jako suma rozwoju ekonomicznego wszystkich gałęzi przemysłu we wszystkich krajach azjatyckich, przy czym linia przerywana wyznacza dodatnie ekstremum — oznaczone identyfikatorem określonego cyklu obliczeniowego — a linia punktowana ekstremum negatywne, również z odsyłaczem do zestawu danych wyjściowych. Lista obok jest zestawieniem wszystkich kombinacji danych, jakie doprowadziły do uzyskania wartości ekstremalnych; dzięki odsyłaczom łatwo odszukać zależności...

— Profesorze Collins — ponownie przerwał mu McCain. — Nie jestem w tej chwili zainteresowany dyskutowaniem o pana metodach badawczych. Przyjechałem tu po wyniki.

Naukowiec zgodnie skinął głową, opierając się ciężko na krawędzi swego biurka.

— Ma pan na myśli plan, jak rozwój ludzkości można skierować na stabilne, trwałe tory.

— Właśnie. Mówiąc szczerze, pańskie długotrwałe wprowadzenie budzi we mnie podejrzenie, że nie posunął się pan jeszcze z pracą tak daleko, jak uzgodniliśmy to w maju, i jak raportował mi pan przez cały czas.

— Och, nie, jesteśmy bardzo zaawansowani — sprzeciwił się Collins, zdjął okulary i zaczął czyścić szkła rogiem swego białego fartucha. — Zaszliśmy nawet dalej, niż sądziłem. Ale obawiam się, że w wynikach nie znalazłem planu, jaki mieliśmy nadzieję uzyskać.

— To niemożliwe.

Profesor wziął z biurka kartkę papieru.

— Zamierzonym celem było sto dwadzieścia milionów cykli symulacyjnych do początku października. W ten sposób prześledzilibyśmy całkowicie wszystkie zestawy punktów ekstremalnych i pięćset najlepszych zestawów bardzo dokładnie. W rzeczywistości do dzisiejszego ranka, do godziny dziesiątej, wykonaliśmy dokładnie 174.131.204 cykli, zatem blisko półtorakrotnie więcej, niż planowaliśmy. — Odłożył kartkę z powrotem na blat. — Powodem, dla którego nie znaleźliśmy żadnego działającego planu nie jest zbyt wolne tempo pracy ani za mała liczba użytych komputerów. Powód jest prosty: taki plan nie istnieje.

Znaleźli miejsce w jednej ze starych kościelnych ławek, pomalowanych białym lakierem, teraz już starym i spękany, usiedli i milczeli.

John poddał się atmosferze tego miejsca. Wydawało mu się całkowicie niemożliwe, że to miałyby być miejsce, w którym rozpoczęła się rewolucja. Kościół św. Mikołaja był mały i niepozorny, otoczony na zewnątrz placem budowy, w środku oszczędnie oświetlony i prawie pusty. Okna zastawiono od zewnątrz, te, których nie zasłaniały ciemne kotary za matowym szkłem. W kącie obok nich, przy tablicy ogłoszeń i skarbonie stała duża, ręcznie malowana tablica, przedstawiająca we wnętrzu okrągłej tarczy mężczyznę ze wzniesionym młotem. „Miecze na lemiesz” — Ursula przetłumaczyła szeptem napis. „Modlitwa o pokój w św. Mikołaju, w każdy poniedziałek o 17.00”.

Tak to się więc zaczęło. Zwykle zaproszenie do kościoła. John próbował poczuć, czy to miejsce zachowało wspomnienie tamtych pełnych nadziei, zwątpienia, strachu, gniewu, drżących i

zdecydowanych na wszystko ludzi — ale nie, nic, a jeśli nawet, nie dało się tego wyczuć. Widział matowe, białe płyty boazerii, ozdoby w delikatnej, jasnej zieleni, potężne kolumny, wspierające dach nawy, spoczywające na stylizowanych wieńcach i na górze zakończone równie stylizowanymi pędami bluszczu; po prostu normalny kościół, Zdziwiło go, że nie ma nawet żadnej tablicy pamiątkowej przypominającej wydarzenia jesieni 1989. Nawet nowy rząd nie uznał za stosowne tego zrobić.

Tak, jakby nowi rządzący woleli zapomnieć, jak łatwo jest obalić każdy rząd — wystarczy, że wszyscy ludzie równocześnie wstaną i powiedzą: „Dość! ”.

Ursula spojrzała na niego badawczo.

— Czy ty właściwie jesteś... jak to się mówi? Wierzący?

— Chodzi ci o to, czy chodzę do kościoła? Ostatni raz w kościele byłem dwadzieścia lat temu, kiedy żenił się Cesare. To mój najstarszy brat — dodał.

Uśmiechnęła się przelotnie.

— Wiem. Siedziałam raz obok niego w samolocie.

— Ach tak, racja. — Była to jedna z historii, jakie opowiadali sobie w minione noce.

— Nie, chodzi mi o to, czy jesteś religijny. Czy wierzysz w jakiegoś boga.

— Wierzę w jakiegoś boga? — John głośno odetchnął. — Trzy albo cztery lata temu miałbym na to pytanie jasną odpowiedź, ale dziś... Nie wiem. Pytasz ze względu na proroctwo, prawda?

— Jasne. Jeśli wierzysz, że Giacomo Fontanelli miał swoją wizję od Boga, to logiczne, że musisz również wierzyć w Boga.

John pokiwał głową.

— Powiedzmy, że staram się być otwarty na możliwość, że w tym wszystkim mógłby kryć się jakiś boski plan... Może mam

nawet taką *nadzieję*. Ale czy wierzę...?

— Tak, jak wierzył Cristoforo Vacchi?

— Nie. W ten sposób nie — John pokręcił zdecydowanie głową.

— Chciałbym tak potrafić.

— Ostatni raz wierzyłam w coś na ślubowaniu młodzieży. Jesteście gotowi wszelkie swoje siły poświęcać dla szczęścia klasy robotniczej? Tak, ślubujemy. Dla pokojowych, demokratycznych i niezawisłych Niemiec? Tak, ślubujemy. I tak dalej. Chciałam żyć w duchu przyjaźni między narodami, znaleźć swoje miejsce w szeregach solidarnej wspólnoty klasy robotniczej... A potem nie przyjęto mnie do szkoły średniej, chociaż byłam najlepsza w klasie. Kiedy się skarżyłam, wszyscy tylko spuszczaali wzrok z zakłopotaniem i szukali wymówek — żadna tam solidarna wspólnota. Same puste frazesy. Wiara i idealizm, to nic innego jak zachęta dla innych, by cię wykiwali.

Trwali w milczeniu, tak długo, że dotarły do ich świadomości dalekie odgłosy ruchu ulicznego na zewnątrz.

— Myślisz, że tak samo Jakob Fugger wykorzystał wiarę Giacomo Fontanellego?

— Nie zapominaj o Michelangelo Vacchim.

Z przodu przy ołtarzu pojawił się mężczyzna, prawdopodobnie kościelny, z brzękiem przesunął dwa świeczniki w inne miejsce i zaczął przygotowywać świece. Wszystko wyglądało tak przeraźliwie normalnie.

— A ci ludzie wtedy — zapytał John — w co wierzyli? Przecież przyszli tu do kościoła. *Musieli* w coś wierzyć.

Ursula wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Zdaje mi się, że po prostu byli tylko zagubieni, a nie było żadnego innego miejsca, w jakie mogliby pójść. Z całą pewnością nie sądzili, że będą w stanie obalić państwo.

— Nie?

— Nikt w to nie wierzył. Zresztą niewielu tego chciało. Większość zadowoliliby się odrobiną więcej demokracji i swobody podróżowania. Od tego się przecież wszystko zaczęło — że nazwiska ludzi, którzy złożyli wniosek o zezwolenie na wyjazd, wywieszano w kościelnej gablocie, gdyż były obawy, że w przeciwnym razie nagle znikną bez śladu. — Odwróciła się do niego. — Nikt na poważnie nie liczył na to, że może dojść do czegoś takiego jak zjednoczenie — na tym polega cały dowcip, rozumiesz? Mimo Gorbaczowa w Moskwie, mimo *pierestrojki* i *głasności* nikt na całym świecie na to nie liczył. Ani służby bezpieczeństwa, ani rządy, nikt. Nie przepowiedział tego żaden jasnowidz, nie wyliczył żaden komputer, nie ma ani jednego fantastycznego opowiadania, które odważyłoby się opowiedzieć o zjednoczeniu Niemiec i rozpadzie Układu Warszawskiego, do tego jeszcze pokojowo i bez przelewu krwi. I ja uważam, że nie było to ani przewidywalne, ani nieuniknione. Równie dobrze sprawy mogły potoczyć się zupełnie inaczej. Dziewiątego października mogli zacząć strzelać. Dziewiąty listopada mógł stać się początkiem trzeciej wojny światowej. Rozstrzygnięcie ważyło się na ostrzu noża. Po prostu mieliśmy szczęście.

— Albo tak chciała opatrność.

— Ta sama opatrność, która czasem zmienia bieg spraw? W takim razie dziękuję. Na co mi potrzebna opatrność, która równie dobrze mogła zrząść moją śmierć? Wolę już mówić, że to było szczęście, jeśli to było szczęście.

— Naprawdę było tak groźnie? Wcale tego nie pamiętam.

— Nigdy tego specjalnie nie nagłaśniano. Badałam to, była to potem jedna z moich pierwszych prac na studiach historycznych. Nie istniały żadne plany militarne na wypadek pokojowego



buntu ludności prowadzącego do ustąpienia rządu. Poza tym wieczorem dziewiątego listopada ludzie tylko dlatego poszli tłumnie do przejść granicznych, ponieważ źle zrozumieli komunikaty rządowe — dosłownego otwarcia granic w ogóle nie przewidywano, tylko uproszczoną procedurę rozpatrywania wniosków o wyjazd. Co by było, gdyby choć jeden pogranicznik strzelił? — Pozwoliła, by sam się zastanowił, i dopiero gdy zobaczyła, jakie zrobiło to na nim wrażenie, dodała: — Dla mnie to oznacza, że wszystkie te sprytne plany, prognozy i analizy można puścić z dymem. Zdarzy się, co ma się zdarzyć, wszystkie naprawdę ważne wydarzenia w tym stuleciu zaszły niespodziewanie. Jeśli dziś popatrzeć na stare prognozy, sprzed pięćdziesięciu lat albo starsze, nie sposób się nie roześmiać — dosłownie nic nie poszło tak, jak przewidywano. — Położyła mu rękę na ramieniu. — Dlatego mówię ci, to wszystko blaga. Ludzkość, która utraciła przyszłość — blaga.

— A to, że należy do mnie połowa planety? To może też blaga? Ursula zmrużyła oczy.

— Musisz uciekać przed własnymi ochroniarzami jak jakiś złodziej. Jakbyś to określił? Spełnione, wolne życie?

Profesor otworzył gruby segregator, rzucił nim ciężko na stół przed McCainem i przekartkował, wskazując mu wykresy.

— Na przykład tutaj. Możliwe drogi rozwoju wszystkich gospodarek krajowych. Jak może pan łatwo zobaczyć, pański wpływ wszędzie tu jest duży. Może pan sobie wybrać prawie każdy kraj na tym świecie i zdecydować, czy chce pan doprowadzić jego gospodarkę do rozkwitu, czy zrujnować. Numery stosownych zestawów danych podano na wykresach, odpowiednie strategie w załączniku. Podręcznik panowania nad

światem.

McCaine odwracał kartki czubkami palców.

— Nie mogę zrozumieć, jak takie wpływy mogą być bezużyteczne.

— Dlatego, że myli pan dwie rzeczy — *pieniądze* i *rzeczywistość*. Wszystko, co może pan kontrolować, to pieniądze. Ale pieniądze to tylko fikcja, umowa ludzkości. Jeśli kontroluje pan pieniądze, może pan kontrolować gospodarkę — ale tylko dopóty, dopóki nikt nie złamie milczącej umowy. Jednak na to, co nie jest częścią procesów gospodarczych, nie ma pan żadnego wpływu. — Collins podszedł do jednej z tablic, stuknął w nią wierzchem dłoni. — To prognoza możliwego rozwoju zaludnienia. Uderzającą wąski kanał, nie uważa pan? Jeszcze przed rokiem 2000 przyjdzie na świat sześciomiliardowy człowiek, to nieuniknione. Ta liczba jeszcze się podwoi, również tutaj możliwe zmiany są tylko marginalne.

McCaine zasłonił usta zaciśniętą pięścią, patrzył ponuro na wykresy i niechętnie kręcił głową.

— A to zaledwie połowa prawdy — kontynuował naukowiec.

— Jeśli przyjrzeć się strategiom, które na tym wykresie tłumią wzrost zaludnienia, można zauważyć, że sprzyjają one na przykład powiększaniu się powierzchni pustyń, stepowieniu i zasoleniu gruntów.

— Wskazał na inną, mniejszą tablicę. — Proszę, oto rozwój gruntów rolnych. W roku 1980 każdy mieszkaniec Ziemi miał do dyspozycji 0,31 hektara żyznej ziemi, w roku 2000 pozostanie mu już tylko 0,16 hektara. Żyzne gleby zanikają, zarówno jeśli chodzi o ich obszar, jak również jakość i wydajność. Erozja, nasilająca się jeszcze na skutek nieuniknionej orki: zasolenie na obszarach, gdzie nieodzowne jest nawadnianie, i wreszcie zanieczyszczenie

zbierają daninę. Za dwadzieścia pięć lat będzie prawdopodobnie przypadało mniej niż 800 metrów kwadratowych na głowę — a zatem zaledwie nieco większy ogródek. Jak to ma wystarczyć? — Bezsilnie opuścił rękę. — *Nie wystarczy.*

Przez chwilę nie ruszali się, jakby zeszywnieli, zatopieni w myślach. Potem McCain powoli opadł na oparcie fotela, który zatrzeszczał przy tym przenikliwie.

— Mimo wszystko nadal nie mogę w to uwierzyć — powiedział.

— Co będzie na przykład z surowcami? *Fontanelli Enterprises* ma *de facto* monopol na liczne metale o decydującym znaczeniu dla techniki. Moglibyśmy zatrzymać wydobycie, gdybyśmy chcieli. Albo energia? Nie kontrolujemy wprawdzie całego rynku ropy naftowej, ale możemy prawie dowolnie windować w górę cenę. To przecież musi mieć widoczne efekty w pańskich symulacjach.

Collins znów przysiadł na krawędzi biurka.

— Ma. Ale jeśli wywiera pan nacisk na złożony system, powstają w nim strategie uniku — całkiem automatycznie, gdyż swoim działaniem zwiększa pan atrakcyjność opcji alternatywnych. Niech pan weźmie na przykład energię. W równej mierze, o jaką wzrośnie cena ropy, atrakcyjniejsze staną się inne systemy energetyczne. Na przykład energia słoneczna.

— Nie miałbym nic przeciwko temu.

— Ale tym samym traci pan swój środek nacisku. To samo dotyczy surowców. Są już nawet historyczne precedensy. Podczas wojen światowych zwaśnione strony próbowały wzajemnie odcinać sobie dostęp do surowców, poprzez bojkoty albo blokady morskie — z takim skutkiem, że wynajdowano surowce zastępcze, częściowo nawet znacznie lepsze.

McCaine ze skamieniałą twarzą położył dłonie na

podłokietnikach fotela.

— Czy to są pańskie wyniki? Że wszystko jest stracone, że to wyłącznie kwestia czasu?

— Tego nie powiedziałem. Wynik moich badań jest taki, że *pańskie* możliwości wywierania wpływu na system nie są wystarczające, aby zapobiec kolapsowi. To nie leży w pańskiej mocy, mówiąc po prostu.

— Och, dziękuję — powiedział McCain.

— To jeszcze nie oznacza, że wywierając bardziej kompleksowe wpływy, jak na przykład dzięki współpracy międzynarodowej...

Profesor przerwał, widząc, jak jego gość na te słowa odrzuca głowę w tył i wybucha gromkim krzykiem, brzmiącym na poły jak wrzask, na poły jak szyderstwo.

— Współpraca międzynarodowa! — grzmiał McCain. — Profesorze, na jakiej planecie pan żyje? Kiedy i gdzie istniała kiedykolwiek jakaś skuteczna międzynarodowa współpraca? Potrafiłby pan podać jakiś przykład? Ja znam tylko przykłady katastrof. Wszystkie te konferencje o ochronie środowiska, wszystkie co do jednej, nie odniosły żadnego skutku... Nie, proszę mi nie wspominać o czymś takim. To po prostu absurdalne.

— Dysponujemy najbardziej precyzyjnymi wyliczeniami wykonanymi na najlepszej bazie danych, jaką kiedykolwiek stworzono. Moglibyśmy na jakiejś międzynarodowej konferencji obliczyć skutki zaproponowanego programu ochrony i jeszcze tego samego dnia przedstawić je delegatom.

McCaine parskając, pokręcił głową.

— Niech pan o tym zapomni.

— Moglibyśmy opublikować...

— Nie będzie żadnych publikacji.

— Pan jest szefem. — Szczupła postać Collinsa jakby zapadła się

w siebie. — Ale jeśli szybko i zdecydowanie nie wydarzy się nic istotnego, nie mogę panu zaproponować nic ponad niewyobrażalne klęski głodu i zarazy, a na koniec spustoszoną, skażoną, wytrzebioną Ziemię, na której już nie będzie warto żyć.

Czekali na nich przed domem, w którym swoje małe, trzypokojowe mieszkanie z balkonem mieli rodzice Ursuli. Jak spod ziemi wyrósł przed nimi zniecka Marco i powiedział:

— Dzień dobry, panie Fontanelli.

Naprawdę się starał, by w jego głosie nie słychać było wyrzutu. Nie całkiem mu się to udało. Pozostali wysiedli z zaparkowanego samochodu i patrzyli na nich ponuro, bez słowa.

Valenowie mieszkali na czwartym piętrze, bez windy. Stali w drzwiach, czekając, aż Ursula i John wejdą po ciemnych schodach, dwoje skromnie, pocziwie wyglądających ludzi, których twarze rozjaśniły się na widok córki. Przywitali ją, matka Ursuli powiedziała wprawdzie:

— *Welcome*. — Pośpiesznie dodała jednak: — i *don't speak English*.

Musiała to jednak powtórzyć kilkakrotnie, nim John zrozumiał, co chce mu oznajmić.

Ojciec mówił łamaną angielszczyzną; firma komputerowa, będąca dawniej jego klientem, a dziś pracodawcą, była niemiecką filią amerykańskiego koncernu, musiał więc przyswoić sobie podstawy angielskiego. W szkole uczył się tylko rosyjskiego, jak powiedział, nic już jednak nie pamięta. Mówiąc dużo się śmiał i przywitał Johna, jakby znali się już od wieków. Przy stole stale odkładał na bok sztuce, by mimochodem masować przeguby rąk, co, jak John wiedział od Ursuli, wynikało z jego reumatyzmu.

Ursula była bardzo podobna do matki, którą można by uznać za starszą siostrę, gdyby nie babcina sukienka w kwiatuszki i narzucony na nią szary fartuch. Musiała bawić się w tłumaczenie, gdyż matka chciała dowiedzieć się mnóstwa rzeczy o Johnie, o jego rodzicach, rodzeństwie, czy chce mieć dzieci i ile. Gdy John odpowiedział na to „dziesięć”, Ursula wzbraniała się przetłumaczyć. Jednak ojciec również zrozumiał i zdradził żonie odpowiedź Johna, co wywołało gromki śmiech i sprawiło, że Ursula zarumieniła się po uszy.

— Tutaj dorosłam — powiedziała Ursula, kiedy wyszli na balkon i spojrzeli w dół na plac zabaw. — O, ta sama stara huśtawka. Lubiłam ją. A tam w tyle, za śmietnikiem, chciał mnie pocałować jeden chłopak, miałam wtedy jedenaście lat.

— Niestosowne miejsce.

— Też tak pomyślałam.

Mieszkanie było małe i ciasne, na dodatek zastawione meblami i najrozmaitszymi bibelotami. Dawny pokój Ursuli zajął ustawiony z pedantyczną starannością model kolejki, którą zachwycony ojciec zaprezentował im, kiedy matka zajęta była w kuchni wykańczaniem kolacji. Przed jedzeniem podano szampana o nazwie pochodzącej od postaci z bajki — John nie bardzo zrozumiał, jakiej, jak również co miała wspólnego z szampanem, ale szampan smakował niezłe — u deserze wydobyto albumy ze zdjęciami i John oglądał Ursule jako nagie niemowlę, w przedszkolu, pierwszego dnia szkoły i jako podrostka na wakacjach na Węgrzech. Musieli obejrzeć jeszcze przezrocza z podróży Valenów na Wyspy Kanaryjskie, z okazji trzydziestej rocznicy ślubu, i kiedy się w końcu pożegnali, była już prawie północ, a tata Valen niezupełnie trzeźwy.

Trochę padało. Demonstracyjnie milczący ochroniarze zawieźli

ich do mieszkania Ursuli na drugim końcu miasta i tylko wyszczerzyli zęby, kiedy John zakomunikował im, że nie będzie ich już potrzebował tej nocy.

Kiedy McCaine opuścił późnym wieczorem instytut, spadły pierwsze krople, a nim zaparkował przed gospodą w Hartfordzie, gdzie zarezerwowano mu pokój, rozpętało się już oberwanie chmury. Był tej nocy jedynym gościem, a pokój, który otrzymał, był wręcz za duży dla jednego człowieka. Rzucił torbę i mokry płaszcz na jakby zagubione podwójne łóżko i nie włączając światła, podszedł do drzwi tarasu.

Nie miał co liczyć na sen. Deszcz lał strumieniami, jakby znów gdzieś jakaś arka czekała na potop, a błyski piorunów i grzmoty zdawały się wskazywać, że tym razem niebo ma zostać strzaskane na kawałki.

Jak to możliwe? Zrobił przecież wszystko, co możliwe, poświęcił wiele nocy, przyjaźnie, kobiety, głodował, żeby tylko móc studiować, naprawdę się nie oszczędzał, nie, na pewno nie — a mimo to...

Jak to możliwe? Wszystko przecież tak świetnie pasowało. Los wyznaczył go do tego zadania, zawsze był tego pewny. Opatrzność kierowała jego krokami, postawiła go w miejscu, w którym na koniec się znalazł, kiedy nareszcie nadszedł czas... Oddał życie, by pójść za głosem przeznaczenia, miał pełne prawo tak twierdzić. I to nie raz. I to wszystko miałoby być na darmo?

Niepojęte. Niemożliwe.

Nie do zniesienia.

McCaine patrzył przez szybę na zewnątrz, na szaleństwo elementów, przyciskał dłoń do chłodnego szkła, czując tętnienie pulsu w opuszkach palców. Deszcz wściekle smagał okno, spływał spienionymi smugami, kulił się pod naporem burzy. Ulicy poniżej nie było już widać, nawet wtedy, gdy rozpalał się błysk kolejnego pioruna, jaskrawą kipiela, błękitno-białe światło o niesamowitej mocy, pozostawiając na siatkówkach jego nieruchomych oczu zarysy cieni za mglistymi, rozjaśniającymi się welonami. Gdzieś otworzyła się i waliła o mur okiennica, pies wył żałośnie, jakby żywcem obdzierano go ze skóry, lecz jedno i drugie było zaledwie słabym, wątkim odgłosem w oddali, ledwie przedzierającym się przez szaleństwo burzy.

Grzmoty, eksplozje potęgi niosącej koniec świata, od których pękała czaszka, a krew zmieniała się w pył. Stał tylko i przyglądał się, pozwalał, by dreszczem przenikało go echo wrzących mocy, wszystko, co tylko mogło ugasić choć odrobinę



zwątpienia, palącego go rozdygotanymi płomieniami, pożerającego aż po trzewia.

Za późno. Zbyt powoli. Wyliczenia profesora potwierdziły tylko jego przeczucia. Za późno rozpoczął dzieło, które musiało być wykonane. Za długo czekał. Obawiał się tego zawsze, odkąd Vacchi wypędzili go ze swojego domu.

Zawiódł... Nie. To niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe. Zrobił wszystko, oddał wszystko, wypełnił swoją część zadania, naprawdę. To przepowiednia powinna była dopełnić swojej.

Znów piorun i grzmot, tym razem równocześnie, wprost nad nim, jak Sąd Ostateczny. Odsunął się od szyby, oślepiiony, głuchy, przez jedno uderzenie serca zdawało mu się, że cios rozszarpał go na strzępy i krzyczałyby ze szczęścia, gdyby tak było naprawdę. Krawat dusił mu krtań, zerwał go z szyi, zdarł marynarkę, rzucił wszystko nieuważnie w ciemność za sobą. Nie mogło mu się pomieścić w głowie — te niesamowite środki złożone w jego ręce, z którymi nic nie mogło się równać, owa nigdy wcześniej nie posiadana przez jednostkę ogromna władza, owo rozsadzające wszelką zdolność pojmowania bogactwo, wszystko to miało być niczym, miało nie wystarczyć, by bieg świata skierować na tor podtrzymujący życie, tor prowadzący ku przyszłości, która by zasługiwała na tę nazwę? Czy to naprawdę możliwe, że żaden plan nie byłby w stanie tego sprawić? Był tak pewny swego, zawsze. Głęboka pewność, wspierająca go w tamte noce, kiedy nie miał węgla do ogrzania pokoju i siedział przy stole w swetrach i płaszczach z długopisem w odzianych w rękawiczki dłoniach, pisząc, czytając, ucząc się. Pewność, tak oczywista jak to, że każdego ranka wschodzi słońce, wspierała go w chwilach zwątpienia, w pierwszych dniach po założeniu własnej firmy, kiedy spadała wartość akcji, w które zainwestował, a inwestorzy

żądali zwrotu pieniędzy... Zawsze był pewien, nie, on *wiedział*, że to się dobrze skończy. Gdyż przepowiednia wyznaczyła mu tę drogę, wybrała go spośród wszystkich ludzi, do spełnienia jedyne go w swoim rodzaju zadania.

Czy to się skończyło? Czy może nigdy nie było prawdą?

Ale te wszystkie szczęśliwe zbiegi okoliczności! Owe zrządenia losu, które wyrównały mu drogę, przypadki, które mu pomogły, a ich wykorzystanie zawsze było akurat w jego mocy. Czy to wszystko...? Nie, to nie mogła być autosugestia. Przeczyła temu wszelka statystyka, wszelki rachunek prawdopodobieństwa. Niemożliwe. Coś nim kierowało i go wiodło, przez cały czas, przez wszystkie te lata, przez całe życie.

*Nie starczy dla wszystkich*, powiedział na koniec profesor Collins. Jego oczy płonęły, jego płuca, serce. Żadnego błędu w strategiach, żadnej pomyłki w modelu jako takim, nic, o co można by zaczepić nadzieję. *Nie starczy dla wszystkich*. Ziemia, niedostatecznie duża, by zapewnić wszystkim ludziom przyszłość, wartą przeżycia życia w godności, bezpieczeństwie i zdrowiu. Niedostatecznie bogata.

Dowodzą tego liczby. Wykresy są jednoznaczne. Trzeźwe, bezlitosne obliczenia nie pozostawiają wątpliwości. Czy to możliwe, że Bóg tego chciał? Czy zmienił zdanie w czasie, jaki upłynął od proroctwa? Czy postanowił jednak pozwolić ludzkości wyginąć?

McCaine rozpiął koszule, wyszarpnął ją ze spodni, zerwał z ramion, odrzucił. Jego spojrzenie padło na nocną szafkę obok łóżka. Szuflada. Rzucił się ku niej, wysunął. Leżała w niej książka, Biblia. Noe, jak to było z Noem? Kartkował książkę, ale to była tylko biblia gedeonitów, Nowy Testament w trzech językach, on zaś potrzebowałby Starego Testamentu. „I rzekł

Pan: Zgładzę człowieka, którego stworzyłem, z powierzchni Ziemi, począwszy od człowieka aż do bydłęcia, aż do płazów i ptactwa niebios, gdyż żałuję, że je uczyniłem". Minęło już wiele czasu, odkąd uczył się tego w szkole. Niejasno tylko sobie przypominał.

— Czyżbym był drugim Noem? — rzucił w ciemność pytanie, wsłuchując się, jak wybrzmiewa jego własny głos. Nasłuchiwał jakiegoś znaku, jednak daremnie.

Nadal siedział na łóżku, patrzył na potoki wody spływające po szybie i na uliczną latarnię, której rozmyte zarysy widoczne były w tle, widział, jak chwieje się pod naporem burzy. Noe zbudował arkę, ogromny statek, do którego zaprosił po jednej parze z każdego gatunku zwierząt i na który zabrał po jednym egzemplarzu z wszystkich gatunków roślin. To legenda, oczywiście, dziś jednak byłoby to wykonalne. Bunkier, wzniesiony w ustronnej okolicy, zamaskowany i zabezpieczony, a w nim wiedza całego świata w bazach danych, zapisana na płytach CD-ROM albo mikrofilmach, do tego próbki genów wszystkich znanych gatunków... To kosztowne, fakt, ale wykonalne. Środki *Fontanelli Enterprises* niewątpliwie wystarczyłyby na pokrycie kosztów takiego przedsięwzięcia.

Poczuł, jak chłód przenika jego ciało, nadal jednak siedział, patrząc przed siebie, bez ruchu, ledwie oddychając, czując, jak serce mu zamarza. Czy naprawdę to jest właśnie przeznaczone mu zadanie? Zadbać, by wiedza ludzkości przetrwała mroczne lata albo stulecia, by pewnego dnia można było rozpocząć na nowo? To wydawało mu się takie beznadziejne. Takie tchórzliwe. Czekanie na katastrofę...

Komputery profesora ostrzegłyby go w porę. Pozostałoby jeszcze kilka lat, może dziesięcioleci. Mógłby się zastanowić, kogo

należałoby uratować, poczynić przygotowania do przetrwania w bunkrze — a potem? Później? Do czego mieliby wrócić ostatni ludzie? Do skażonego, wyniszczzonego świata? Na radioaktywne pustynie? W ruiny?

Nie. To pożałowania godne. Nie ma w tym nic z owej wielkości, jaką wyczuwał wcześniej w przepowiedni. Z pewnością nie o to chodzi.

*Nie wystarczy dla wszystkich.* Te słowa pobrzmiwały echem w jego głowie niczym przerażająca mantra, niczym wyrok skazujący, wyrok dla wszystkich ludzi, złożony na jego barki. Dźwignął się, chwając się pod przytłaczającym ciężarem, rozpiął spodnie, opuścił je nieuważnie, rozsznurował buty i ściągnął razem ze spodniami.

W tej samej chwili poczuł ją, w głębinach podświadomości, myśl, tak wielką i potężną i potworną, że nie dałoby się jej nawet pomyśleć, odkrycie tak fundamentalne i obfite w skutki, że wprost mogłoby stanąć serce, gdyby poddać mu się nazbyt lekkomyślnie. Zesztywniał, nie wiedząc, co począć. Myśl rosła, góra lodowa dryfująca kursem ku nieuniknionej kolizji, spadająca kometa, myśl, która powinna powstać w umyśle tytana, nie śmiertelnika.

*Zagłada...*

Pewnego dnia do tego dojdzie, dziś jeszcze trudno to sobie wyobrazić, lecz tak wiele już wydawało się niewyobrażalne, a potem przecież do tego doszło, tak wiele było przepowiedni, wyśmiewanych, a potem jednak spełnionych. Pewnego dnia dojdzie i do tego: koniec cywilizacji. Koniec znanego nam świata.

Nagle poczuł, że bielizna parzy mu ciało. Zsunął skarpetki, zdjął wszystko, stał nago pośród nocy, wyczekując katastrofy.

*Zagłada...*

Może choroba, na którą nie będzie lekarstwa. Wirus, zabójczy jak AIDS i zakaźny jak grypa. Albo jakaś lokalna katastrofa, na przykład pęknięcie elektrowni atomowej w Europie, następstwem czego będą wielkie wędrówki ludów, wojny, zachwianie równowagi, załamanie się systemu zaopatrzenia w żywność, zasilania w energię...

I oto pojawił się pierwszy odłamek tej miażdżącej, pustoszącej myśli, rozpadł się nad nim, promieniejąc jasnością, nieporównaną z niczym innym, wspaniałą w swojej potworności, w swojej krystalicznej, boskiej nieuchronności.

*Im później dojdzie do zagłady*, zrozumiał Malcolm McCainie w owym straszliwym momencie, w którym rozsunęły się przed nim zasłony boskiej prawdy, *tym gorzej*.

Opadł na kolana, musiał pochylić się i ukryć głowę w ramionach. Drżał w obliczu tego, co się z nim działo. Przeniknęło go to niczym piorun, niczym trawiący trzewia ogień, i choć teraz znów było ciemno i cicho, to przecież owa świadomość pozostała, i nic nie mogło już usunąć jej z tego świata. *Im później dojdzie do zagłady*, *tym gorzej*.

Tym większe zniszczenia dokonają się na planecie. Tym więcej zużytych surowców. Tym więcej rozsianej trucizny, zgromadzonych radioaktywnych odpadków i uprawnej gleby zmienionej w pustynię.

Tym więcej zmarłych, których trzeba pochować.

Zamknął oczy, pragnął przestać myśleć. Z tej myśli wynikało cod, co przeczuwał, wiedział o tym, ale nie chciał tego pomyśleć, chciał odsunąć to od siebie, jak długo się da.

*Czy to możliwe...?*

Nie. Nie myśleć więcej. Nie w tym kierunku.

*Czy to możliwe, że... ?*

Tego nie żądano nawet od Noego. Nawet od Poncjusza Piłata. McCaine poderwał się, rozejrzał się gwałtownie, czy w tym pokoju nie ma żadnego barku, żadnego alkoholu, nic, co uspokoiłoby pędzące myśli?

*Czy to możliwe, że jego zadaniem w istocie jest... ?*

Zachrypiał. Serce waliło mu jak oszalałe. Poczł raptem pewność, że ta myśl, pomyślana do końca, zabije go, ta myśl przeznaczona dla tytana wwierca się w jego duszę aż po dno. Ale tak, to jest również zbawieniem. Tak.

*Czy to możliwe, że jego zadaniem w istocie jest przyspieszyć zagładę ? I zadbać o to, by przeżył nie ktoś przypadkowy, ale właściwi ludzie — i by znaleźli potem jeszcze świat, w którym da się odbudować przyszłość?*

Przewrócił się na bok, leżał z zamkniętymi oczami. Czas płynął. Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo tak leżał, ale burza już ustała, gdy znów odważył się poruszyć, przekonać, że wciąż żyje. Było mu zimno, na wskroś. Serce waliło mu ociężale, jakby krew zakrzepła w gęsty syrop, miał zatkany nos.

A zatem teraz ma wszystko jak na dłoni. Z trudem podniósł się, drżąc, czuł się tak, jakby miał w każdej chwili rozpaść się na kawałki. Ale widział jasno. Widział drogę, którą ma pójść, widział również drogę, którą już przeszedł, rozumiał, dlaczego wszystko musiało odbyć się w ten właśnie sposób.

Oczywiście, te zależności nie mogły objawić mu się wcześniej. W swoich młodych latach był zbyt wielkim idealistą, by podjąć taką odpowiedzialność. Wiedza o prawdziwych relacjach byłaby brzemieniem, które by go przytłoczyło, zamiast dodać mu skrzydeł. Przepowiednia łaskawie pozwoliła mu zachować złudzenie, że drzwi prowadzące ku przyszłości będzie mógł otworzyć wszystkim ludziom. Zawsze wprawdzie zadawał sobie

pytanie, jak to się ma odbyć, nie wierzył w powodzenie. To dawało mu siłę.

Potrzebował pewności tych niedościgle szczegółowych symulacji, by oczy otworzyły mu się na prawdziwe rozmiary kryzysu. Trzeba było upadku na dno najgłębszego zwątpienia, by pojął niezbedność tego, co musi zrobić. Przenikał go dreszcz na myśl o majestatycznym okrucieństwie natury. Ona potrzebuje nie tylko życia, potrzebuje również śmierci. Jedno i drugie stanowią jedno, jedno nie jest możliwe bez drugiego. Wszelkie życie to próby i błędy, to nadmiar i eliminacja słabych.

Dotychczas zamykał oczy przed boskim wymiarem, skrępowany ideami swojej epoki. Jednak tam, gdzie istnieje życie, musi być również miejsce dla umierania. Bez tej równowagi nie byłoby przyszłości, nie byłoby trwania. Tej równowagi zawsze szukał w swoich planach, obliczeniach, nie mogąc jej jednak odnaleźć, gdyż nie był gotowy zapłacić ceny, jedynej, za którą można było osiągnąć ową równowagę.

Nie podniósł się na nogi, na czworakach powłókł się po szorstkiej wykładzinie w kierunku łóżka, zepchnął torbę i płaszcz z krawędzi i wczołgał się pod kołdrę. Jak długo tak leżał, nagi na chłodzie? Z trudem odwrócił głowę. Cyfry zegara migają bezsensownie, musiało na chwilę zabraknąć prądu. Rozcierał ręce i ramiona, nie zanosił się jednak na to, by zdołał się w ten sposób rozgrzać. Potrzebował gorącego prysznica, obojętne, jak jest już późno.

Kiedy, woda pryskała na niego, dotkliwie jak ukłucia igłą, i zaczął na całym ciele odczuwać mrowienie, pomyślał znów o jasnowłosym małpoludzie, który z prymitywnym tryumfem wymusił na nim pierwszeństwo, o tym barczystym *homo erectus*, który w głowie nie ma zapewne nic poza seksem i samochodami.

Jakie prawo do istnienia — trzeba nareszcie pozbyć się przesądów i pozwolić sobie na postawienie takiego pytania — jakie prawo do istnienia ma taka prymitywna egzystencja? Ludzie — ach, skąd — *stworzenia* tego rodzaju żerują tylko na pracy innych, produktywnych ludzi, takich jak on sam albo ci, którzy dla niego pracują. Pasożytuja na wartościowych, przydatnych ludziach. Ludziach wyposażonych w rozum i smak, dążących do czegoś, szukających w życiu celów, próbujących działać coś dla otoczenia. Jednak nie wszyscy są tacy. Są również pasożyty, i to niemało. To zupełnie niepotrzebne, żeby utrzymywać przy życiu takich półludzi, kiedy i tak zaczną wszystkiego brakować.

Skoro nie wystarczy dla wszystkich, trzeba zadbać o to, żeby wystarczyło dla właściwych.

Malcolm McCaine skierował na twarz gorący strumień myśląc przelotnie o tym, że niełatwo będzie skłonić Johna Fontanellego, by podzielił ten pogląd.

Po obudzeniu John potrzebował chwili, by przypomnieć sobie, gdzie jest. Łagodne słońce wpadało przez jedno z okien dachowych, jego światło łaskotało go w nos i to go zbudziło. Mieszkanie Ursuli było małe, składało się, w zależności od tego, jak liczyć uskoki muru i parawan, z jednego albo dwóch pokoi i łazienki, wszystko to jednak było pomysłowo wkomponowane w skomplikowany dach i John oglądał je z zainteresowaniem. I choć po większości mebli widać było, że nie kosztowały wiele, wszystko emanowało jakąś magią, która sprawiała, że od razu poczuł się tutaj dobrze.

Ursula leżała obok niego na pół przykryta, i jakby poczuła, że ją obserwuje, też się obudziła, zamrugła zaspanymi oczami,



uśmiechając się przy tym.

— Wygląda na to, że ci się podobam — wymamrotała niewyraźnie.

— Na to wygląda — uśmiechnął się John.

Przekręciła się na drugi bok, co stanowiło nie mniej atrakcyjny widok, i sięgnęła po budzik.

— Och, dziś jest sobota, tak?

— Jeśli nie zmieniono kalendarza.

— Nie żartuj. Dziś nasz piękny romans może dobiec raptownego końca.

— Niech zgadnę. Chcesz przedstawić mi swojego męża, a on jest bokserem.

— O wiele gorzej. Chcę przedstawić ci mojego dziadka, a on jest starym nazistą.

John dziwił się nerwowości, jaką dostrzegał u Ursuli. Ostatecznie przecież nie chce się żenić z jej dziadkiem, prawda? Ale na to zareagowała tylko pełnym napięciem:

— Poczekajmy.

Zdawało się, że naprawdę się boi, iż on zostawi ją bez słowa i rzuci się do ucieczki. Ależ to musi być bydlak, ten jej dziadek. Powoli robił się naprawdę ciekawy.

W drodze do domu seniora Ursula była osobliwie podenerwowana, bez przerwy rozmawiała z ochroniarzami, dopytywała się, jak właściwie z tym sobie radzą: przez całą noc obserwują dom i mimo to rano wyglądają na wypoczętych, jakby dopiero co wykluli się z jajka. Marco ochoczo wyjaśnił jej schemat, według którego chodzą spać i wziąć prysznic w pokoju hotelowym, zarezerwowanym w pobliżu, jak radzą sobie z samochodami i jak można zjeść w aucie śniadanie, nie zmieniając go w chlew.

— Jest jeszcze nadzieja — oznajmiła później, kiedy wchodzili już do domu opieki. — Przypomniało mi się właśnie, że dziadek przecież nie mówi ani słowa po angielsku.

John nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— W takim razie nieźle się wynudzę, kiedy będzie snuł swoje wojenne opowieści.

Dwóch ochroniarzy szło za nimi. Ursula miała rację: pierwszy raz od wielu dni znów ludzie się za nimi oglądali.

— Nie będzie żadnych wojennych opowieści — odpowiedziała ponuro. — Był instruktorem w dywizji SS-Totenkopf. Jest na wskroś nazistą, a *Mein Kampf Hitlera* zna na pamięć.

Ścisnął jej dłoń, chcąc w ten sposób ją uspokoić.

— Nie zna angielskiego, ja niemieckiego. Możesz mówić, co chcesz, i tak będę musiał we wszystko uwierzyć.

Josef Valen rzeczywiście nie mówił po angielsku. Ale po włosku tak, i to lepiej od Johna.

— Przez trzy lata stacjonowałem we Włoszech, na osobisty rozkaz marszałka rzeszy Himmlera — wyjaśnił zwięźle, po wojskowemu. — Oficer łącznikowy do włoskich towarzyszy. Dokładna nauka języka była obowiązkowa, miałem być dostępny do zadań w tajnych służbach. Później to się zmieniło, ale znajomość języka pozostała.

Ursula przerażona musiała usiąść. John był bardziej niż zmieszany. Dziadek Ursuli był staruszkciem i siedział w wózku, jednak Johnowi rzadko zdarzało się spotkać kogoś myślącego tak trzeźwo i jasno, jak Josef Valen.

Teraz rozumiał, dlaczego Ursula się go bała. Ten stary człowiek emanował jakimś złem, rozłączał fluidy bezlitosnej i pozbawionej miłosierdzia surowości, wyczuwalne tak wyraźnie, że Johnowi nastroszyły się włoski na karku. Resztki włosów miał

ścięte krótko i uczesane z idealnie równym przedziałkiem, a jego jasne, szare oczy lustrowały Johna takim wzrokiem, jakim wilk mierzy swoją ofiarę. Bez trudu można było wyobrazić sobie tego człowieka, jak rozstrzeliwuje kobiety i dzieci. Ale lepiej było nie pytać, żeby nie poznać odpowiedzi.

— A zatem pan to ten sławny John Salvatore Fontanelli — powiedział Josef Valen. Wskazał na jedno z krzeseł stojących pod ścianą. — Proszę usiąść. Mój syn zapowiedział pana wizytę; to dla mnie zaszczyt.

— *Grazie* — mruknął John i usiadł.

Ursula zasłaniała usta dłonią, a w oczach miała panikę.

Valen skręcił swoim wózkiem nieco w bok.

— Wiele o panu słyszałem, *signor Fontanelli*. Oczywiście nie spodziewałem się, że pewnego dnia pana poznam. Zafascynowała mnie w pańskiej historii informacja o tym prorocctwie.

— Tak — przytaknął John, czując się coraz gorzej. — Mnie też.

— Zwrócić ludzkości utraconą przyszłość... — Staruszek nie odrywał swoich zimnych, szarych oczu od Johna, patrząc na niego badawczo. — Zadawałem sobie pytanie, czy właściwie jest dla pana jasne, kiedy ludzkość *straciła* swoją przyszłość?

John oparł się, poczuł za plecami ścianę. Czy w pokoju zrobiło się zimniej, czy tylko tak mu się zdawało?

— Szczerze mówiąc — odpowiedział z ociąganiem — nie.

— 1945 — powiedział Valen. — Kiedy ogólnoswiatowy żydowski spisek rzucił naszą ojczyznę na kolana. Kiedy wyszło na jaw, w jakim stopniu Ameryka zdominowana jest przez żydowski kapitalizm.

John pomyślał, że powinien był spodziewać się tutaj czegoś właśnie takiego.

— Ach, tak — skinął głową. To się niedługo skończy. — Rozumiem.

— Niech pan nie mówi „tak, rozumiem"! Pan *nie* rozumie, przecież widzę! — wrzasnął starzec. — Opatrzność wyznaczyła Adolfa Hitlera, by dostrzegł zależności, zrzucił z oczu ludzkości klapki obłąkanej teorii oślepiającej ją od stuleci, i by działał. I on *działał*. — Valen pochylił się i skierował kościsty palec na Johna. — Czy to dla pana w ogóle jasne, że Hitler pragnął tego samego, co pan?

John łapczywie nabrał powietrza.

— Co ja?

— Zachować dla ludzi przyszłość — oczywiście! To właśnie nad tym pracował. Było dla niego jasne, że świat ma swoje granice, że nie może wystarczyć go dla wszystkich. I że nieunikniona jest walka o ziemię i surowce. Zrozumiał, że tej walki pragnie sama natura, a rasy będą musiały się w niej sprawdzić, bo tylko dzięki tej walce pozostaną silne.

— Czy powszechne zapobieganie ciąży nie byłoby bardziej oryginalnym pomysłem na rozwiązanie tego problemu? — ostro spytał John.

— Pan nie rozumie, *signor Fontanelli*. Natura rzuca na świat istoty żywe, i one muszą się na nim sprawdzić. Słaby umiera, silny żyje — takie jest prawo natury, arystokratyczna zasada samego życia. Natura nie zna zapobiegania ciąży, zna tylko nadmiar i wytrzebiecie tego, co nie jest zdolne do życia. Pozostać powinno tylko najbardziej zdatne do przeżycia, tego chce natura. A dziś? Niech pan się tylko rozejrzy — wszystko się łączy w pary bez żadnej świadomości rasowej, każdego genetycznie chorego i debila utrzymuje się przy życiu za wszelką cenę i pozwala mu rozmnażać, a jakie są skutki? Dziedzictwo genetyczne rozwadnia

się i ginie. Rasy białe, właściwi twórcy ludzkiej kultury, wszystko chore aż do szpiku kości. Degeneracja, rozumie pan? Świat, w którym żyjemy, to świat ludzi zdegenerowanych i niezdolnych do życia, dlatego jest skazany na zagładę.

John chciał coś powiedzieć, chciał powstrzymać potok bezlitosnych słów, nie wiedział jednak, jak.

— Ludzkość musi znów poddać się mądrości natury albo wymrze. To jedyny sposób, *signor Fontanelli* — ciągnął dalej Josef Valen. — Ale mądrość natury jest okrutna. Nie ma w niej miejsca na pacyfizm ani miłosierne religie, zna tylko prawo silniejszego. Silny podporządkowuje sobie słabego, i tym zwycięstwem dowodzi swojego prawa do życia. W Trzeciej Rzeszy nie chodziło o to, żeby po prostu zdobywać — chodziło o to, żeby polepszyć rasę ludzką, o to, żeby zapewnić przetrwanie gatunku. Rozumie pan? Przetrwanie gatunku, taki był cel. Ten sam cel, jaki przyświeca panu...

— Jedno pytanie, *signor Valen* — wtrącił się John, a serce waliło mu tak, że czuł je niemal w gardle. — Nie wygląda pan już jak uosobienie zdrowia i sprawności, ale wolno panu żyć i dbają tu o pana — nie ma pan chyba nic przeciw temu, prawda?

Josef Valen podjechał bliżej, tak blisko, że Johnowi zrobiło się prawie niedobrze od jego cuchnącego oddechu, i wysyczał:

— Szydę z nich wszystkich, a te tchórze to znoszą. Pluję na ich żalosne współczucie, a oni to znoszą. Ale na nic innego nie zasługują. Sami niewolnicy, co do jednego!

— Dobrze wiedzieć. Ja natomiast już tego nie wytrzymam. — John wstał i cofnął się o krok. — Miło mi było pana poznać, *Signor Valen*, i mam nadzieję, że nie spotkam pana nigdy więcej. Życzę miłego umierania. — Mówiąc to, wyszedł i później musiał sam przed sobą przyznać, że w tym momencie było mu obojętne,

czy Ursula idzie za nim, czy nie.

Ale poszła za nim, a on otoczył ją ramieniem i poczuł, jak drży. Gonił ich śmiech starca i John usłyszał, jak krzyczy za nimi:

— Podoba mi się pan, Fontanelli! Niech pan poczeka, pewnego dnia zrobi pan, co trzeba!

Wreszcie byli za rogiem i mijający ich skrzypiący wózek zagłuszył niezrozumiałą krzyk.

— Nienawidzę tego — wymamrotał John, bardziej do siebie samego niż do kogokolwiek innego. — Kiedy ktoś przepowiada mi, że zrobię co trzeba, chce mi się wyć...

— Po wojnie skazano go na dwadzieścia pięć lat więzienia — opowiadała Ursula w drodze na lotnisko. — Prawdopodobnie na szczęście dla mojego ojca, bo dzięki temu dorósł mniej więcej bez obciążeń. Był późnym dzieckiem, miał dwóch starszych braci, którzy zginęli w ostatnich dniach wojny, powołani do Volkssturmu.

— Nie rozumiem, jak w ogóle możecie się z nim zadawać.

— Ja też nie. Mój ojciec jakoś nie może się z nim rozstać. Czasem myślę, że chce mu coś udowodnić. Może, że miłość zwycięża nienawiść albo coś w tym rodzaju, nie mam pojęcia. Dla mnie to zawsze było okropne, kiedy musieliśmy go odwiedzać, w jakichś więzieniach i szpitalach, i kiedy traktował nas swoimi powiedzonkami.

John wyjrzał przez okno. Pracownik lotniska odsuwał bramę i z przyjaznym uśmiechem wskazywał im drogę na plac manewrowy, gdzie czekał już Jet Johna, mający zawieźć ich do Londynu.

— Jeśli o mnie chodzi, nie musisz go już nigdy odwiedzać — powiedział.

McCaine zarządził, że przez dwie godziny będzie nieosiągalny przez telefon. Siedział przed panoramą świeżo umytego i skąpanego w październikowym słońcu centrum Londynu, z odchylonym oparciem fotela, nogi oparł wysoko, na kolanach ułożył teczkę pełną zapierających dech liczb, spojrzenie skierował w nieokreśloną nieskończoność i zastanawiał się, jak wymrze ludzkość. Albo przynajmniej jej nieprzydatna część.

Oczywiście nasuwał się głód. Głód, cicha, dyskretna śmierć. Każdego roku miliony ludzi umierają z głodu, i to już od dziesiątków lat, nie wywierając tym znaczącego wpływu na opinię publiczną. A przy tym głodujący ludzie są zbyt słabi, by wszczynać wojny; to również argument, przemawiający za głodem.

Minusem był fakt, że analizując liczby, głodu nie wywołuje w istocie brak żywności, ale błędy w jej rozdiale. Ludzie nie umierają z głodu dlatego, że nie ma nic do jedzenia, ale dlatego, że nie mają dość pieniędzy, by coś sobie kupić. Trzeba będzie znacznego sprytu, by rozbudować międzynarodową logistykę i przekształcić światowe stosunki handlowe, nie zmieniając tego stanu rzeczy. Podwójnie trudno będzie zrobić to wszystko tak, by nie wzbudzić podejrzeń.

To istotny minus. Właściwie kryterium wykluczające.

McCaine przyglądał się wykresowi przyrostu zaludnienia w ostatnich dwóch tysiącach lat. Jedyne siodło w przebiegającej poza tym stale rosnąco krzywej było spowodowane zarazą, epidemią dżumy w połowie czternastego stulecia, która pochłonęła jedną trzecią ludności Europy. Poza tym nic nie pozostawiło śladów, nawet druga wojna światowa.

Zarazy. Dżuma naturalnie nie wchodzi już w grę, jest na to zbyt dobrze uleczalna. Ale nieźle wygląda AIDS, prawda? AIDS

wywoływane jest przez wirusa, nie bakterię, a przeciw wirusom nie ma właściwie jeszcze nic w arsenale medycyny. AIDS byłoby w stanie dokonać tej sztuki, nie jest prawie wcale zaraźliwe, a przeciż, dzięki przenoszeniu drogą stosunków płciowych, rozprzestrzenia się nieustannie. A od zarażenia do pierwszych objawów choroby mija dość czasu, by zdążyć zarazić kolejne ofiary.

Przekartkował pracę epidemiologiczną, pochodzącą z pewnego cenionego szwedzkiego instytutu. Jej treść odczytywał w następujący sposób: AIDS zabija głównie tych, którzy nie są dość inteligentni, by się skutecznie chronić, albo zbyt mocno rządzą nimi popęd, by to robili. Innymi słowy, AIDS dokonałoby pozytywnego doboru naturalnego, czy nie? Ta myśl fascynowała go. Dodawała całości owego odium rządzącej nim przepowiedni, woli bożej, której chętnie pozwalał sobą kierować.

AIDS wygląda naprawdę nieźle. AIDS jest zarazą, że lepszą trudno byłoby wymyślić. Nasuwa się tylko pytanie: czy dokona swego dzieła dość szybko?

W tym aspekcie statystyki jeszcze rozczarowywały. Liczba zarażeń była mała w porównaniu z liczbą urodzin, a w wielu miejscach nawet malała. Oczywiście, to dopiero początek, ale jeszcze długo nie doprowadzi do kolejnego załamania krzywej wzrostu zaludnienia.

Może tu właśnie jest odpowiednie miejsce by, jak się to mówi, wkroczyć. Można by przejąć kontrolę nad odpowiednimi firmami farmaceutycznymi, sprawić, by lekarstwa stały się nieosiągalnie drogie i zredukować badania nad szczepionką, aż przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie. Praktyczne powody takiego działania zawsze się znajdują; w razie potrzeby można by użyć jako argumentu *shareholder value*, którego popularność w



rozmaitych kręgach rosła i wygląda na to, że można go podać jako niepodważalną przyczynę dowolnego przedsięwzięcia.

Telefon zadzwonił, mimo udzielonych wskazówek. Chwycił słuchawkę.

— Tak? Ach. Rozumiem. Z przyjaciółką? No, coś takiego! Dobrze, dziękuję, że mnie pan poinformował.

Chris O'Hanlon jest najsumienniejszym informatorem wśród ochroniarzy, trzeba mu to przyznać.

McCaine zamknął teczkę z dokumentami i odniósł ją na miejsce w szafie. W wolnej chwili będzie musiał zastanowić się nad zwiększeniem kontroli nad żywnością, nasionami i szczepionkami, ale nie dziś. Potrzebna będzie broń, by w odpowiednim czasie bronić ostatnich szkańców cywilizacji przeciw nacierającym barbarzyńcom. To również będzie wymagało istotnego przebudowania portfela, a nie miał nawet cienia pojęcia, jak zdoła do tego przekonać Johna Fontanellego.

On naprawdę miał zamek. Nie mogła w to uwierzyć, nawet wówczas, kiedy przed kutą, żelazną bramą czekali, aż otworzą się wrota oznaczone ciemnoczerwonym *f* Fontanellego. Nie dość, że lecieli małym Jetem, którego mieli tylko dla siebie, i przywiozła ich tu jedna z tych długich, czarnych limuzyn, czuła się w niej, jakby grała w filmie — na dodatek jeszcze zamek, o którym John tyle razy opowiadał, istniał naprawdę. Przez cały czas myślała, że to żart.

Szary, posępny, ogromny, wylaniał się z za wzgórza jak nierealny twór, wydawał się jej osobliwie niestosowny dla kogoś, kto po prostu tylko ma pieniądze, nie jest zaś potomkiem szczytującej się pokoleniami władców rodziny. Służba czekała na nich ustawiona w szpaler, setki mężczyzn i kobiet, w mundurach tradycyjnych dla swoich zawodów — kucharze, pokojówki, kelnerzy, ogrodnicy, rzemieślnicy, stajenni i tak dalej, a kiedy szofer otworzył drzwi samochodu, z szeregu wystąpił prawdziwy kamerdyner w sztywnym fraku i przywitał ich w nieco przekwitłym, wąskoustym *Britain English*.

Patrzyły na nią setki par oczu, kiedy wysiadała. Żeby się teraz tylko nie potknąć, nie zrobić nic głupiego, o czym tygodniami szeptano by potem osłaniając usta dłonią. John zdawał się tym wszystkim nie przejmować, nie robił dostojnego wrażenia ani nawet nie starał się go robić; pośród całej tej pompatycznej scenerii wyglądał po prostu jak zwykły chłopak z Nowego Jorku.

Zamek, prawdziwy i materialny! W holu poczuła się tak, jakby weszła do niedawno zmodernizowanego muzeum; mimo woli rozejrzała się za okienkiem, w którym sprzedawane są bilety wstępu. I bez przerwy służba, obserwująca ją z zaciekawieniem,

czy może to, co widzi w niektórych oczach, to zazdrość? Zateśniła za małym, prostym pokojem, w którym mogłaby po prostu być sobą i nikt by jej przy tym nie oglądał.

— Szybko się do tego przyzwyczajają, uwierz mi — oznajmił John, biorąc ją za rękę. — Chodź, muszę ci coś pokazać, nie uwierzysz.

Schody w górę, długie korytarze, drzwi i drzwi i drzwi, W końcu portal, wystarczająco wysoki, by nawet największy człowiek wyglądał w nim jak karzeł, dalej sala balowa w błękicie i złocie, z okazałymi draperiami na ścianach i ogromnymi kryształowymi żyrandolami na suficie, a pośród całego tego wprost orientального przepychu... potężne złoczone łoże z baldachimem! Przelewały się na nim jedwabne poduszki i luksusowe narzuty, osłonięte połyskującymi kotarami zawieszonymi na marmurowych kolumnach, koszmar w brokacie.

Ursula zaniemówiła, i to na dłużej.

— Nie sądzisz chyba — wyjąkała w końcu — że będę spała w tej ohydzie?

John tylko się uśmiechnął.

— W tej ohydzie nikt jeszcze nie spał. To sypialnia na pokaz — tylko po to, żeby fotografowie mogli robić zdjęcia. Gwiazdy w Hollywood mają takie pokoje, tak powiedział architekt wewnątrz, i twierdził, że mi też to potrzebne.

Basen zdawał się jej podobać, tak samo jak obie sauny, łaźnia parowa i korytarzyk przez szklarnię z roślinami tropikalnymi. John siedział na krawędzi, machał nogami w wodzie i przyglądał się jej, jak leżąc na plecach pozwala się unosić w wodzie, z zamkniętymi oczami, i jak łagodne fale rozchodzą się od niej ku brzegom basenu. Refleksy świetlne tańczyły na mozaice w

różnych odcieniach błękitu i na sztucznych skałach, po których mógłby z pluskiem spływać mały wodospadzik, gdyby mieli ochotę.

— Pływasz? — parsknęła wodą, podpłynąwszy bliżej. — Przepływasz codziennie rano kilka basenów?

John uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Właściwie nie.

— A więc nie zasługujesz na taki basen. — Odbiła się od ściany, zanurkowała, wypłynęła znów na powierzchnię i potrząsnęła głową, aż podfrunęły jej długie włosy. Wyglądała porywająco.

— Hej — zawołał — widziałas kiedyś już takie maskowanie? — Wokół całego basenu rozmieszczono wodoszczelne przełączniki. Nacisnął jeden z nich i jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki wielkie szyby wychodzących na ogród okien zmatowiały i stały się nieprzejryste. To był najnowszy krzyk mody, przeraźliwie drogi.

Ursula przyglądała się temu skonsternowanym spojrzeniem.

— A co to takiego?

— *Piezo-coś*, zapomniałem jak się dokładnie nazywa. Dopóki płynie prąd, szkło jest kompletnie nieprzejryste; przepuszcza jednak dokładnie tak samo dużo światła jak wcześniej.

— Świetnie, ale po co?

— No cóż — stwierdził ostrożnie John — żeby nikt nie mógł nas podglądać. To znaczy... moglibyśmy na przykład kąpać się nago. Gdybyśmy chcieli. Albo... coś innego...

Nie potrafił zinterpretować spojrzenia, jakim go obdarzyła.

— Tak zadomowiona jeszcze się tu nie czuję — powiedziała i zniknęła pod wodą. Na długo. Barwny cień, przemykający w migotliwej głębi.

— Tak tylko powiedziałem — mruknął John i przycisnął guzik,

który przywrócił szkłu przezroczystość.

Można się było do tego przyzwyczaić. Do śniadań przy elegancko nakrytym stole, do zawsze świeżego ręcznika przy świeżo umyтым prysznicu, do kwadransa profesjonalnego masażu przed kąpielą. Pokoje, w których naprawdę spali i mieszkali, były urządzone ze smakiem i w najlepszym gatunku, jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki zawsze czyste i wysprzątane. Można się było do tego przyzwyczaić, rzeczywiście.

A więc to jest Londyn, to, co widać po drugiej stronie przyciemnianych szyb z pancernego szkła.

— Od dwóch miesięcy nie byłem w biurze — oznajmił John i poprosił ją, żeby pojechała z nim i poznała jego partnera i dyrektora zarządu, Malcolma McCaina.

Nigdy jeszcze nie była w Londynie, ani nawet w Wielkiej Brytanii. Przyglądanie się lewostronnemu ruchowi przyprawiało ją o lekkie mdłości, dlatego skoncentrowała się na obserwowaniu miasta. Naprawdę byli tu mężczyźni w melonikach trzymający ciasno zwinięte parasole, nie do wiary! Takie rysunki w swojej starej książce do angielskiego brała zawsze za karykatury.

Nazwisko Malcolm McCaine było jej, jak zresztą każdemu innemu mieszkańcowi Ziemi, znane tak samo dobrze jak nazwisko amerykańskiego prezydenta. Szef *Fontanelli Enterprises*, największego koncernu w historii. Człowiek zarabiający rocznie sto milionów dolarów. Człowiek, którego połowa dziennikarzy gospodarczych uważa za obdarowanego największą charyzmą menadżera planety, a druga połowa za cwane oszusta.

Ale nie poznałaby go, gdyby wpadła na niego na ulicy. Właściwie nigdy nie pokazywał się w telewizji. Wszystkie gazety miały w archiwum chyba tylko jedno jego zdjęcie, do tego

wszystkie to samo. Van Delft opowiadał jej, że w poprzednim roku pewien australijski magazyn gospodarczy chciał ogłosić McCaina *Menadżerem Roku 1996*, ale ten nie zgodził się na zdjęcia ani na wywiad, zatem nic z tego nie wyszło.

Szofer przejechał dla niej obok Buckingham Pałace, przez Trafalgar Square i kawałek wzdłuż Tamizy, by mogła rzucić okiem na Big Bena. A więc one wszystkie naprawdę istnieją, te legendarne budowle! Po tak wielu podróżach takie odkrycie wciąż ją zachwyca.

Potem wieżowce, stare i nowoczesne, banki i towarzystwa ubezpieczeniowe, sławne na cały świat i nieznane. Przed jednym z nich samochód skręcił, stanął, wysypali się ochroniarze, rozglądając się, jakby znaleźli się na terenach objętych wojną, i dopiero na ich znak wolno im było wysiąść i pośpiesznie wejść do przeszklonego foyer. Tabliczka informująca o tym, że znaleźli się w *Fontanelli Enterprises Headquarters*, była tak nonszalancko niepozorna, że prawie ją przeoczyła.

Eskortowano ich do windy, w której na ścianie wisiał prawdziwy Picasso, efektownie podświetlony i z pewnością równie efektownie zabezpieczony przed kradzieżą. Ruszyli w górę, a z każdym metrem czuło się narastające poczucie, że zbliżają się do środka świata, do jedynej naprawdę liczącego się centrum władzy u końca dwudziestego wieku. Gong, oznajmiający u celu otwarcie drzwi, zabrzmiał jakby ogłaszał ich przybycie do stóp tronu, z którego rządzi kręgiem Ziemi sam Bóg Ojciec.

— Panna Valen — usłyszała niski głos i jednak go poznała. McCain. Uścisnął jej dłoń, skłonił się lekko, uśmiechnął i powiedział: — Miło mi panią poznać — jakby naprawdę tak uważał.

Johna powitał nie mniej radośnie.

— Dobrze pan wygląda — oznajmił — tropikalne słońce dobrze panu zrobiło. I znalazł pan damę swego serca, jak widzę...?

Poczuła się wręcz niezręcznie, widząc, jak John rozpromienił się na te słowa. Niczym uczeń słyszący pochwałę z ust uwielbianego nauczyciela. Musiała odwrócić wzrok, spojrzała na przelewającą się obfitość roślin między kanapami: orchidee, paprocie i krzewy, prawdziwa dżungla tropikalna pod zawieszonymi nisko lampami imitującymi światło dzienne.

Poprowadzono ich do sali konferencyjnej, której emanująca siłą i potęgą atmosfera sprawiła, że niemal stanęło jej serce, i dalej przez biura. Podczas gdy biuro Johna wyglądało jak niezamieszkałe, pokój McCaina tchnął niezmordowaną pracowitością. Mapa świata za ogromnym biurkiem, w przeważającej większości w kolorze czerwieni Fontanellego, zdradzała, że tu właśnie jest prawdziwe centrum, wszystkich spraw. John może i jest właścicielem tego wszystkiego,<sup>1</sup> ale tu i tak jest tylko gościem.

Potem zeszli piętro niżej do kasyna, własnej małej, luksusowo urządzonej restauracji, gdzie zjedli razem obiad. McCain zachowywał się przystępnie, choć wrząca energia, którą kipiał, chwilami miała w sobie coś niesamowitego, niemal przytłaczającego. Wypytywał ją o jej życie i gusta i słuchał z zainteresowaniem jej odpowiedzi, ona jednak nie mogła się pozbyć wrażenia, że i tak od dawna wiedział wszystko, co mu opowiada.

— Wiele działaliśmy, kiedy był pan w podróży — powiedział do Johna i obdarzając Ursulę niezgrabnym uśmiechem, dodał: — Ale nie chcę tym teraz nudzić pańskiej towarzyszki.

John poważnie skinął głową.

— Będę znów regularnie przychodził do biura. Myślę, że już od jutra.

— Tylko spokojnie — machnął ręką McCain. — Mamy wszystko pod kontrolą. Nie powinien pan rujnować swojego prywatnego życia tylko dlatego, że ja odwykłem od swojego.

Jedzenie było smaczne. Widok bajeczny. McCain poradził jej, żeby najpierw udała się na porządną przechadzkę po sklepach, a potem zakosztowała londyńskiego życia kulturalnego.

— Ja wprawdzie nie jestem już na bieżąco — przyznał — ale mówiono mi, że jak dawniej sporo się tu dzieje.

Ursula obiecała się nad tym zastanowić.

— Dziwny człowiek, ten McCain — powiedziała do Johna w drodze powrotnej.

Przytaknął.

— Można tak powiedzieć.

— W zasadzie to *on* robi wszystko, prawda? To on prowadzi interesy. Decyduje o wszystkim.

— No cóż — ale bez mojego podpisu nic nie może zrobić — sprzeciwił się natychmiast John.

Ursula spojrzała na niego uważnie. Ten temat zdawał się być dla niego nieprzyjemny.

— Nie miałam na myśli krytyki — powiedziała. — Pytałam tylko, bo chcę zrozumieć, o co tu chodzi.

John spojrzał posępnie.

— On jest dyrektorem zarządu. Jak nazwa wskazuje, zarządza interesem. Ale jest moim pracownikiem. Ja jestem tym, do kogo to wszystko należy.

— Ale podpisujesz wszystko, co ci podłoży, prawda? Czy mówisz czasem „nie, to zrobimy inaczej”?

— Mógłbym to w każdej chwili powiedzieć, oczywiście. Po



prostu jeszcze nigdy nie doszło do takiej sytuacji. Bo tak się składa, że jest dość dobry i nie przychodzi mu do głowy głupie pomysły.

Rozdrapywał ranę, to było jasne jak słońce. Ranę, o której nawet nie wiedział, że ją ma.

— Jesteś w stanie ocenić? — spytała, pełna osobliwego okrucieństwa, o którym sama nie wiedziała, skąd się wzięło. — Chodzi mi o to, że nie studiowałaś ekonomii ani...

— Oczywiście nie muszę — przerwał jej John. — Jestem tak wrednie bogaty, że już w ogóle nie muszę nic potrafić ani wiedzieć. Mimo to należy do mnie pół świata. To właśnie jest szalone.

Mimo woli wstrzymała oddech.

— To — powiedziała ostrożnie — nie zabrzmiało, jakby cię szczególnie uszczęśliwiało.

— Bo nie uszczęśliwia. — Patrzył prosto przed siebie. — Trzy lata temu byłem jeszcze rozwozicielem pizzy. Trzeba czasu, żeby odnaleźć się w tej sytuacji. Nie da się tak z dnia na dzień. — Zrobił ręką nieokreślony gest. — Jasne, McCaine to wszystko studiował, umie wszystko, ma wielki plan i tak dalej. Ja podjąłem tylko jedną jedyną decyzję — pozwoliłem mu działać.

Sięgnęła w jego kierunku, położyła mu dłoń na ramieniu.

— To przecież w porządku — powiedziała cicho.

Spojrzał na nią.

— Ale teraz będzie inaczej — oznajmił. — W przyszłości będę bardziej dbał o szczegóły.

Znów było tak samo jak dotąd, tylko lepiej. Przyjemniej było wyjść do pracy, mając za sobą cudowną noc i świadomość, że w domu czeka wspaniała kobieta. John każdego, kogo spotkał, witał promiennym uśmiechem, w unoszącej go ku górze windzie czuł,

jak wraca owa wspaniała pewność zwycięstwa, wmaszerował wprost do biura McCaina z okrzykiem:

— I co? Mamy plan?

McCaine chciał akurat zadzwonić, odłożył jednak słuchawkę i spojrzał na niego, marszcząc czoło.

— Plan? Zawsze mieliśmy plan.

John pokręcił głową.

— Nie, mam na myśli profesora Collinsa. Musiał już chyba skończyć swoje symulacje, prawda?

— Ach, to — powoli przytaknął McCaine. — Tak, jasne. Byłem u niego w zeszły piątek. Skończył pierwszą fazę. Aż do północy omawialiśmy wyniki.

— I?

McCaine powoli przełożył dokumenty na stosie na biurku, nie sprawiając przy tym wrażenia, że szuka czegoś określonego.

— Dziwna sprawa z tymi komputerami. Oczywiście same nic mają żadnych pomysłów. Ale jeśli kazać im tępo przeliczyć wszystkie możliwe kombinacje dowolnych danych początkowych, robią to zupełnie beznamiętnie, bez żadnych przesądów. Nie myślą: *Ach, to i tak nic nie da!* — przeżuwiają liczby i wypluwają wynik. I czasem w ten sposób wpadną na coś, co przeczy wszelkim oczekiwaniom — i inspirują człowieka do pomysłów, na jakie inaczej nigdy by nie wpadł.

— Podniósł wzrok, spojrzał na Johna, zdawało się, że szuka właściwych słów. — Pamięta pan pierwsze dni w Londynie? Jak powiedziałem panu, że pewnego dnia amerykańskie silosy zbożowe będą dawały większą władzę niż lotniskowce US Navy? Właśnie o to chodzi.

— O silosy czy lotniskowce?

— Jedno i drugie. W zasadzie to całkiem proste. Wielkość

zaludnienia rośnie, powierzchnia gruntów uprawnych kurczy się. Jakże jest tego logiczne następstwo? Cały świat zmuszony jest zwiększać wydajność ziemi. Jednak znanymi metodami niewiele więcej można już osiągnąć. Co więc pozostaje?

John założył rękę na rękę.

— Głód, jak sądzę.

— Głód — albo technologia genetyczna.

— Technologia genetyczna? — Zamrugął zmieszany. — Zawsze pan mówił, że ta dziedzina nas nie interesuje.

— Od piątku już tak nie mówię. Od piątku ta dziedzina jest najbardziej interesująca ze wszystkich. — McCaine uśmiechnął się złym uśmiechem. — Dzięki technologiom genetycznym będzie można tworzyć rośliny, które będą znacznie wydajniejsze i równocześnie odporniejsze na choroby, szkodniki i inne negatywne wpływy środowiska niż wszystko, co można uzyskać drogą normalnej hodowli.

— Pouczająco pokiwał palcem wskazującym. — A przede wszystkim: kod genetyczny można opatentować. A nikt nie będzie mógł na dłużej zrezygnować z naszych nasion, po prostu dlatego, że zmusi go do tego problem wydajności upraw. Wydaje się, że to korzystna pozycja, prawda?

John skinął głową.

— Bardziej niż korzystna.

— A będzie jeszcze lepiej. Rynek nasion już dziś opanowany jest przez zaledwie kilku wielkich...

-...których kupimy... — wtrącił John i uśmiechnął się.

— Naturalnie. Ale ciekawe jest to, że już dzisiejsze techniki dają możliwość uprawy gatunków, które są tak zwanymi hybrydami, a więc bezpłodnymi krzyżówkami spokrewnionych gatunków. Mówiąc prościej, chodzi o to, że kupuje pan nasiona, z których

wyrasta wspaniałe zboże albo warzywa, niezdolne jednak do wyprodukowania własnych nasion, a jeśli nawet, to jego nasiona nie potrafią wykiełkować.

— Nie można więc uniezależnić się, tylko trzeba do każdego siewu kupować nowe nasiona — zrozumiał zdziwiony John.

— Właściwość, którą można zaprogramować w nasionach uzyskanych na drodze technologii genetycznej — przytaknął McCain. — A to oznacza, jeśli to właściwie przeprowadzimy, absolutną kontrolę.

John opadł na fotel, założył ręce za głowę i z podziwem spojrzął na McCaina.

— To genialne. Państwa będą musiały robić, co zechcemy, z obawy, że inaczej nie dostarczymy im więcej nasion.

— Choć oczywiście nigdy otwarcie tym nie zagrozimy.

— Oczywiście, że nie. Kiedy zaczynamy?

— Już zacząłem. Niestety wartości giełdowe tych firm genetycznych są, łagodnie mówiąc, wygórowane. Nie unikniemy sprzedania kilku udziałów. I znów musimy liczyć się z oburzeniem i niechęcią. To oznacza, że musimy zatrzymać w rękę media, żeby móc to wytłumaczyć.

— Niechęć? Kto może mieć coś przeciw temu, że wytworzymy lepsze nasiona?

— Inżynierowie genetyczni są nieliczni, i obecnie wielu prowadzi badania medyczne. Będziemy musieli przerwać kilka projektów badawczych, żeby ściągnąć do nas odpowiednich ludzi. — McCain potarł czubek nosa. — Myślę przede wszystkim o badaniach nad AIDS.

Ursula przyglądała się Johnowi nad wystawnie nakrytym stołem. Wrócił z Londynu rozpromieniony, wspominał coś o

genialnym planie, który ma posunąć do przodu misję wypełnienia proroctwa, i sprawiał wrażenie tak euforyczne, jakby był pod wpływem narkotyków.

— Czy ty właściwie lubisz tu mieszkać? — spytała, gdy rozmowa nareszcie zaczęła nieco zwalniać i akurat nie było przy nich żadnego kelnera.

Przez chwilę bez celu grzebał w deserze.

— Dlaczego? Zamek jest przecież super? Jak w bajce.

— O, właśnie, jak w bajce. Obejrzałam go sobie dzisiaj.

— Nie mów, że jeden dzień ci wystarczył? Jestem rozczarowany.

Westchnęła.

— Czy ty już go obejrzałeś? Byłeś w każdym pokoju?

— Czy byłem w każdym pokoju? — Podniósł wzrok, wzruszył ramionami. — Nie mam pojęcia.

— John, odkryłam korytarze, w których na każdej kłamce był kurz. Są tu tuziny pokoiów, w których nie ma zupełnie nic — kompletnie pustych.

Nie zrozumiał. Miała ochotę nim potrząsnąć.

— Kurz na kłamkach? — powiedział, marszcząc czoło. — Ładne rzeczy. Za co ja właściwie tym ludziom płacę?

— Płacisz za to, że prowadzą ci zamek, który jest dla ciebie o wiele za duży — odpowiedziała ponuro Ursula.

John z zapamiętaniem oblizywał łyżkę.

— Wiesz, gdzie mi się naprawdę podobało? — spytał potem, gestykulując trzymanym sztucem. — W moim domu w Portecéto. Muszę ci go kiedyś pokazać. Jest naprawdę piękny. Na południu. We Włoszech. I nie jest za duży. Akurat w sam raz.

— Więc czemu tam nie mieszkasz? Jeśli tam ci się podoba? Spojrzał na nią jak na głuptasa.

— Bo moja centrala jest tutaj w Londynie. I jeszcze dlatego, że, jeśli się dobrze zastanowić, dom w Portecéto nie jest wystarczający dla mojej pozycji.

— Niewystarczający dla pozycji? Rozumiem. A kto ustala, co wystarczy, a co nie?

John uniósł kieliszek i przyglądał się chwilę wypełniającemu go winu o złotym odcieniu.

— Popatrz, jestem najbogatszym człowiekiem świata. To musi być *widać*. To psychologicznie ważne, żeby robić na ludziach wrażenie.

— Dlaczego to ważne? O tym, że jesteś najbogatszym człowiekiem świata, wie już każde dziecko; nie musisz tego nikomu udowadniać. A zresztą, kto cię tu w ogóle widzi? Najbliższa droga jest trzy kilometry stąd.

Spojrzał na nią wyrozumiale.

— Był tu na przykład premier. Nie Blair, ten poprzedni, Major. Był pod wrażeniem, możesz mi wierzyć. A to ważne. — Westchnął zrezygnowany. — To wszystko należy do planu McCaina. Ja też musiałem się najpierw do tego przyzwyczaić. Hej, jestem synem szewca z Jersey — myślisz, że w dzieciństwie jadałem złotymi sztuccami?

Nie powstrzymała śmiechu na widok śmiesznej miny, jaką przy tym zrobił. A może, zastanowiła się, naprawdę patrzy na to wszystko zbyt surowo. Pomyślała o własnym dzieciństwie i jak często wtedy przy stole rozmawiano o tym, jak dostać coś konkretnego i kto mógłby to załatwić. Nieustanny brak czegoś należał do codzienności i improwizacja była chlebem powszednim. Wprawdzie i jej od zjednoczenia poprawiło się, ale jednak tak z dnia na dzień znaleźć się w świecie permanentnego nadmiaru, to naprawdę było duże wyzwanie.

Na zejście do kasyna pozwalali sobie tylko wówczas, gdy przyjmowali gości. Poza tym wrócili do dawnego zwyczaju zamawiania malej przekąski do pokoju konferencyjnego.

— Czy to dla pana właściwie jasne, że pieniądze tak naprawdę się nie mnożą? — spytał John przy takiej okazji.

McCaine spojrzał na niego, przeżuwając.

— Jak pan to rozumie?

— Tak się przecież zawsze mówi. Żeby oddawać pieniądze do banku, to przyniosą odsetki. Ale jeśli wpłacę pieniądze, wtedy odsetki, które dostaję, pochodzą od innych ludzi. Oni muszą je wypracować. — W krótkich słowach John wyjaśnił, czego dowiedział się na Panglawan, nie wchodząc w szczegóły i nie wspominając o szoku, jakiego doznał, czyniąc to odkrycie — wstydził się po prostu, że nie rozumiał tych zależności wcześniej. Wyglądało to prawie tak, jakby nadal wierzył w Świętego Mikołaja i dopiero teraz dowiedział się, że prezenty tak naprawdę kupują rodzice.

— Słusznie — zgodził się McCaine. — Inwestowanie pieniędzy oznacza wypożyczanie pieniędzy. A ten, komu je pan pożyczasz, musi zadbać o to, żeby uiścić za nie czynsz.

— Więc dlaczego wciąż to ludziom wmawiamy? Obejrzałem sobie prospekty naszego banku — dokładnie te same brednie. *Pozwólcie, by wasze pieniądze pracowały za was.*

— Opowiadamy to, bo ludzie lubią wierzyć w bajki. A dopóki wierzą w bajki, nie pytają o rzeczywistość, po prostu — wyjaśnił McCaine. — Tak naprawdę pieniądze nie są niczym innym niż narzędziem służącym do regulowania dwóch rzeczy o elementarnym znaczeniu dla współistnienia ludzi. Po pierwsze, *kto co* musi robić, a po drugie, *kto co* dostanie. Jeśli spotka się dwóch ludzi, w gruncie rzeczy zawsze chodzi o to, który zmusi

drugiego by robił to, co on chce. A to, czego jeden chce od drugiego, przeważnie jest niezwykle prymitywne. Daj mi część swojego łupu! Daj mi seks! Daj mi, co tam masz! Tak skonstruowani jesteśmy my, ludzie, a ponieważ pieniądze są naszym wynalazkiem, w nich również znajduje odbicie nasza natura — cóż by innego? — McCain zamaszyście machnął widelcem. — Ale to brzmi wybitnie nieatrakcyjnie, musi pan przyznać. Nikt nie chce tego wiedzieć. Proszę mi wierzyć, ludzie wolą słuchać bajek.

Powoli Ursula zaczynała rozpoznawać niektóre twarze wśród liczego domowego personelu. Kelner, który nakrywał do śniadania, nazywał się Lance, miał bladą, nadającą mu chorowity wygląd cerę i poobgryzane paznokcie i mówił niewiele, przeważnie nic. Francesca, jedna z pokojówek w ich skrzydle domu była młodą kobietą, z trudem zdobywającą się na odwagę, by spojrzeć komuś w oczy i stale robiącą wrażenie smutnej, jednak swoje obowiązki wykonywała z oddaniem. Zaś szofer z owłosionymi dłońmi, wożący ją na zakupy do miasta, ilekroć zechciała, nazywał się Innis. W czasie jazdy dobrze było rozmawiać z nim albo zamykać szybę rozdzielającą szoferkę od części pasażerów, gdyż o ile nie miał ust zajętych czym innym, z upodobaniem wygwizdywał różne melodie, zniekształcone nie do poznania.

John dał jej złotą kartę kredytową, wystawioną na jej nazwisko, której limit mierzony normalną miarą wystarczyłby na całe życie, nie mówiąc o jednym miesiącu, Ursula jednak robiła z niej użytek bardzo rzadko. Przez większość czasu tylko spacerowała, obserwowała ludzi, oglądała, co też mogłaby kupić i próbowała zapomnieć o obecności dwóch barczystych mężczyzn, towarzyszących jej na każdym kroku, oczywiście w stosownej



odległości. Pewnego razu wpadł na nią pijak i zaczął obrzucać ją naprawdę grubiańskimi obelgami, w dialekcie, który Ursula ledwie rozumiała — tak czy owak chciał pieniędzy, tyle rozumiała — wtedy tych dwóch pojawiło się jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki po jego lewej i prawej stronie i... no cóż, szybko go *oddalili*, dyskretnie i skutecznie.

Po tym zdarzeniu tak się zamyśliła, że nie mogła się skoncentrować na oferowanych perfumach, sukienkach i biżuterii, i wkrótce kazała odwieźć się z powrotem.

Przy jednym z takich spacerów po mieście przeszukała największe księgarnie i w końcu znalazła album o średniowieczu, zawierający dobrą reprodukcję portretu Jakuba Fuggera Bogatego namalowaną przez Albrechta Dürera. Kupiła ten tom i wycięła z niego stronę z obrazem przedstawiającym poważnego mężczyznę o surowym, trzeźwym spojrzeniu ubranego w pozbawioną ozdób czerń, kazała ją oprawić i zawiesiła w sypialni na ścianie tak, by nie dało się jej przeoczyć.

— Zakładasz galerię przodków? — zdziwił się wieczorem John.

Ursula pokręciła głową.

— To ma ci przypominać.

— Przypominać? Co? Jakuba Fuggera?

— O tym, że on przez całe życie był tym, kto pociąga za sznurki. Wszystkie wysiłki skupiał na tym, by skłonić innych do postępowania zgodnie z jego wolą.

John spojrział na nią. Oczy zabłysły mu złością, gdy zrozumiał.

— Masz oryginalny sposób na zepsucie pięknego wieczoru — mruknął i odwrócił się na drugi bok.

John w wielkim stylu kazał przynieść sobie z księgowości księgi rachunkowe, studiował je wnikliwie, przeliczał ponownie i posuwał się nawet do tego, że zapraszał do siebie odpowiednich

specjalistów i domagał się od nich wyjaśnienia swoich wątpliwości. Kiedy był sam, pozwalał sobie na sięganie do książek ekonomicznych, zamkniętych starannie w biurku, i dopiero gdy i one nie były w stanie mu już pomóc, szedł do McCaina.

To znaczy, za pierwszym razem wpadł do niego z pytaniem:

— Od kiedy posiadamy udziały w firmach zbrojeniowych?

— Słucham? — McCaine niechętnie oderwał wzrok od pracy. — Ach tak, to. To bez znaczenia. Zaparkowane pieniądze.

John zamachał trzymaną w ręce wyceną.

— To *miliardy*. Miliardy udziałów w firmie produkującej amunicję do broni maszynowej, pociski przeciwpancerne i materiały wybuchowe wszelkiego rodzaju.

— Wiemy o spodziewanym dużym zamówieniu z obszaru krajów arabskich. Zarobimy na wzroście akcji. — McCaine podniósł ręce, jakby się poddawał. — To wszystko robimy przez podstawionego człowieka, który potem przeczuci nas na technologie genetyczne. Musimy być tu ostrożni, inaczej niepotrzebnie podbijemy ceny akcji.

John zamrugał zmieszany, niejasno przeczuwając, o co chodzi.

— Ach tak — powiedział, i kiedy McCaine dał mu do zrozumienia, że chce wrócić do studiowania swoich dokumentów, wycofał się, dziękując zawstydzony.

Jednak następnego dnia znów natknął się na punkt, który okazał się dla niego taką zagadką, że powtórnie musiał pofatygować się do McCaina.

— Czy ma pan chwilę czasu? — zapytał uprzejmie.

McCaine siedział przed komputerem i wpatrywał się w gęstwinę cyfr. Widok, od którego najwyraźniej z trudem był w stanie się oderwać.

— Znów jakieś odkrycie? — zapytał krótko, przebywając myślami zupełnie gdzie indziej.

— Tak, można tak powiedzieć — John spojrzął na trzymaną w dłoni kartkę. — Według tego zestawienia wypłaciliśmy firmie o nazwie Callum Consulting w zeszłym roku ponad trzysta milionów funtów w formie honorariów konsultanckich. — Patrzył z niedowierzaniem. — Cóż to, na miłość boską, za firma?

— Doradztwo dla przedsiębiorstw — odpowiedział niechętnie McCaine. — Przecież jest w nazwie.

— Doradztwo dla przedsiębiorstw? — powtórzył jak echo John. — Po co nam doradztwo? Do tego jeszcze za takie honoraria? To przecież... to przecież prawie miliard dolarów?

McCaine wydał z siebie bliskie eksplozji westchnienie, odwrócił się fotelem od monitora i wstał. Był to gwałtowny, groźnie wyglądający ruch, jak bokser, wychodzący ze swego narożnika na pierwszą rundę.

— Ci ludzie pracowali dla nas. Na całym świecie. Wysoko wykwalifikowani specjaliści, najlepsi, jakich można dostać za pieniądze i dobre słowo. A właśnie takich ludzi potrzebuję do tego, co zamierzamy zrobić. Bo mianowicie nie jestem w stanie zrobić wszystkiego sam, rozumie pan?

— Tak, ale jednak, Malcolm — honorarium konsultanckie w wysokości miliarda dolarów! To przecież absurd!

McCaine wzruszył ramionami, nadal wyglądając jak rozgniewany bokser.

— John — powiedział powoli, wysuwając dolną szczękę — myślę, że nadeszła pora, by postawić sprawę jasno. Mój dzień ma dwadzieścia cztery godziny, i w danej chwili mogę być tylko w jednym miejscu. Pracuję dzień i noc — w czasie, gdy pan, nawiasem mówiąc, pływa po morzach południowych,

nadskakuje najpiękniejszym kobietom świata i bawi się ze swoimi ochroniarzami w kotka i myszkę. Co zresztą, proszę, żeby nigdy się już nie powtórzyło. Nie ma pan pojęcia, na jakie niebezpieczeństwo naraził pan siebie i całe nasze przedsięwzięcie. Reszta jest w porządku — ja pana o to prosiłem, służyło to naszej sprawie, nie mówiąc o tym, że to pan jest spadkobiercą, co daje panu przywileje, których nie zamierzam poddawać w wątpliwość. Ale — kontynuował głosem przypominającym uderzenia siekiery — z samych rejsów jachtem i orgii nie powstanie światowa potęga, taka, jaką właśnie stworzymy. Ktoś musi wykonać robotę, ktoś, kto to *potrafi*. Ludzie z Callum Consulting potrafią. To moje oczy i uszy, moje ręce i usta na całym świecie. Robią, co musi być zrobione, i pracują tak ciężko, jak trzeba. Płacimy im dużo pieniędzy, to prawda — ale warci są każdego zapłaconego im centa.

John wbił wzrok w dziurki w trzymanym w dłoni papierze i był pewien, że uszy ma tak czerwone jak światła uliczne. Puls walił mu jak oszalały. Nie obsztorcowano go tak, odkąd opuścił szkołę.

— Już dobrze — wymamrotał. — Tylko pytałem. Chciałem tylko zrozumieć... — Przerwał, podniósł wzrok. — Skoro są tak dobrzy — nie lepiej byłoby ich po prostu kupić?

McCaine opuścił ramiona, obdarzył go wyrozumiałym uśmiechem.

— Niektórych firm — powiedział — nie można kupić, John. Nawet my nie możemy.

— Naprawdę? — zdziwił się John.

— Poza tym oczywiście wykorzystałem czas, kiedy pan razem z panną deBeers ściągali na siebie uwagę opinii publicznej. To, co pan tu widzi, to tylko ekstremalna wartość. Nie opłacałoby się kupować tej firmy. Nie kupuje się przecież krowy, kiedy

potrzebuje się szklanę mleka.

— Hmm — mruknął niezdecydowanie John. — No cóż. Tylko pytałem.

— Niech pan pyta. Ale tylko wtedy, kiedy jest pan w stanie znieść odpowiedzi.

John nie wiedział, co na to odpowiedzieć, kiwnął więc głową i odszedł. Wychodząc, odwrócił się jeszcze raz i dodał:

— Poza tym nie spałem z Patricią deBeers.

McCaine tylko pogardliwie uniósł brwi.

— Cóż, w tej sprawie nie jestem panu w stanie pomóc.

A potem Ursula, kiedy przed nią klęczał z różą w lewej i z etui kryjącym pierścionek zaręczynowy za dwadzieścia dwa tysiące funtów w prawej ręce, powiedziała:

— Nie mogę tego zrobić, John. Nie mogę za ciebie wyjść. Patrzył na nią, czując się tak, jakby właśnie spadł na niego wór piasku ważący dwadzieścia dwa tysiące funtów.

— Co? — wychrypiał.

Jej oczy zwilgotniały. Światło świec odbijało się we wzbierających łzach.

— Nie mogę, John.

— Ale... dlaczego nie? — Zadbął o wszystko, naprawdę. Zorganizował romantyczną kolację, dobrał menu, zatrudnił kwartet smyczkowy, który w kostiumach z epoki przygrywał im nastrojowe melodie, w żadnym szczególnie dekoracji małej jadalni nie zdał się na przypadek, na tę chwilę wszystko musiało być przygotowane perfekcyjnie. I kupił pierścionek. Cały bukiet róż, z którego wybrał najpiękniejszą. Przestał cokolwiek rozumieć: — To znaczy, że mnie nie kochasz?

— Kocham, oczywiście. Dlatego to takie trudne — odpowiedziała. — Chodź, wstań.

Pozostał na kolanach.

— Pierścionek ci się nie podoba? — zapytał głupio.

— Bzdura, jest cudowny.

— To powiedz, czemu nie.

Odsunęła krzesło, usiadła przy nim na podłodze i objęła go, siedzieli tak razem na dywanie obok stołu i razem szlochali.

— Kocham cię, John. Odkąd dotknęłam cię pierwszy raz, czułam się tak, jakbym znała cię już zawsze. Jakby twoje i moje serce biły w jednym rytmie. Jakbym zgubiła cię kiedyś i nareszcie odnalazła. Ale kiedy pomyślę, że miałabym wyjść za ciebie za mąż — powiedziała łamiącym się głosem — aż ściska mnie w dołku.

Patrzył na nią przez łzy, chciał uciec i równocześnie pragnął, by nigdy nie wypuściła go z objęć.

— No to dlaczego?

— Bo jeśli za ciebie wyjdę, będę musiała powiedzieć „Tak” również życiu, jakie prowadzisz. Będę je musiała wtedy z tobą dzielić. A to mnie przeraża, John, naprawdę.

— Przeraża cię bogactwo?

— Przeraża prowadzenie życia, które nie jest ani moje, ani twoje, John. Godzinami chodziłam po tym zamku, i nie widzę w nim ani cząstki ciebie, nigdzie. Kiedy jesteś tutaj, wygląda, jakby to wszystko nie miało z tobą w ogóle nic wspólnego. Mieszkają tu twoi pracownicy. Ty jesteś tylko gościem.

Czuł w krtani dygotanie, jakby miała pęknąć. Świat zaczął pękać, o to chodziło, a za szczelinami czaiła się otchłań.

— Chcesz, żebyśmy zamieszkali gdzie indziej? — zapytał drętwym językiem, wiedząc, że nie da się już nic uratować, że wszystko się rozpada. — Jeśli o mnie chodzi, możemy kupić — czy ja wiem — jakiś dom w mieście albo na wsi... gdzie

zechcesz...

— Nie o to chodzi, John. Chodzi o to, że ja chcę dzielić twoje życie, ale ty nie masz własnego życia. Pozwalasz, by człowiek, który nie żyje od pięciuset lat, mówił ci, co ma być sensem twojego istnienia. Dyrektor twojej firmy mówi ci, gdzie i jak masz mieszkać. Pozwalasz nawet, żeby architekci wewnątrz wmawiali ci, że potrzebujesz sypialni na pokaz, o Boże!

— Wszystko się zmieni — powiedział. We własnych uszach jego głos zabrzmiał słabo i bezbrinnie. — Zmieni się, przysięgam.

— Niczego mi nie przysięgaj, John — poprosiła smutno.

Podniósł wzrok, rozejrzał się, byli sami. Muzycy musieli wycofać się dyskretnie, nie zauważył kiedy. Kelnerzy taktownie zniknęli. Jadalnia była opuszczona, opustoszała, martwa.

— Co teraz zrobisz? — zapytał.

Nie odpowiedziała. Spojrzał na nią, na jej twarz, i poznał odpowiedź.

McCaine przyglądał mu się długo, nic nie mówiąc, kiwał tylko od czasu do czasu głową i wyglądało na to, że dokładnie zastanawia się, co powinien powiedzieć i zrobić.

— Przykro mi z pana powodu, John — powiedział w końcu. — Naprawdę robiła wrażenie, że jest tą właściwą dla pana... O ile jestem w stanie ocenić, oczywiście. Ja też raczej nie jestem ekspertem w stosunkach damsko-męskich.

John czuł się jakby był martwy. Jakby wyjęto mu operacyjnie serce i w jego miejscu została tylko pusta jama.

— Uparła się, że poleci lotem liniowym — powiedział. — Nie chciała nawet, żebym odprowadził ją na lotnisko.

— Hmm.

— Myśli pan, że to prawda? Kiedy kobieta mówi, że potrzebuje

czasu i odległości, żeby się nad wszystkim zastanowić... czy to możliwe, że w końcu jednak wróci?

Zapukano do drzwi, w drzwiach pojawiła się głowa jednej z sekretarek. McCainie szorstkim gestem dał jej znak, by znikła.

— Nie wiem, John. Ale jeśli mam być szczery... — zawiesił głos.

— Tak? — John szeroko otworzył oczy.

McCaine zagryzł wargi, jakby żałował, że zaczął to mówić.

— Mogę oczywiście sądzić tylko po tym, co pan mi opowiedział, John.

— Tak? I?

— Przykro mi, że muszę to panu powiedzieć, ale wydaje mi się, że to jest kobieta z zasadami. Zasadami, które znaczą dla niej więcej niż pan.

John jęknął. A więc ma jeszcze serce. W każdym razie miejsce, które może boleć.

— I — McCainie dalej drapał w otwartej ranie — najwyraźniej nie potrafi zaakceptować odpowiedzialności, jaka wiąże się z dziedzictwem. Pan to potrafi, John. To wielki ciężar, czasem bolesny — ale pan mimo to go dźwiga. To właśnie czyni pana dziedzicem. I, choć przykro mi to mówić, pańska partnerka musi pana w tym wspierać albo nie może być pańską partnerką.

Tak, tak właśnie jest. John wbił wzrok w podłogę, wpatrywał się w granatowe i czarne linie na wykładzinie, rozbiegające się jak rysy.

— Poradzi pan z tym sobie — powiedział McCainie. — Ale nie wolno panu teraz rozpaczać, John.

— Nie wiem — żałośnie poskarżył się John.

— John, do cholery, ma pan zadanie. Ma pan misję. Pan jest *dziedzicem*, John!

— Gdybym nim nie był, nie odeszłaby.



McCaine wydał dźwięk, który zabrzmiał jak efektownie wysyczone przez zęby przekleństwo, ciężko krocząc, przeszedł kilka kroków po pokoju i przeczesał sobie dłońmi włosy.

— Wielkie nieba, John, to brak godności. Nie mogę na to patrzeć. Niech pan, do cholery, przestanie litować się nad sobą.

John wzdrygnął się jak od smagnięcia batem.

— Tam na zewnątrz jest prawdziwe cierpienie — McCaine parsknął, wskazując falangę swoich telewizorów. — Na wszystkich kanałach dostarczają nam je gratis do domu, a nikt nie rozumie, że to, co dostajemy naprawdę, to zerknięcie w przyszłość, w *naszą* przyszłość — o ile my dwaj, pan i ja, John, nie weźmiemy się do roboty i nie zrobimy tego, co musi być zrobione. Rozumie pan? Nie możemy pozwolić sobie na siedzenie tu, lizanie ran i rozpamiętywanie smutków. Musimy działać. Liczy się każdy dzień. I dlatego pan to przełknie. Jest dużo do zrobienia.

— Dużo do zrobienia? — powtórzył jak echo John. — A co takiego? McCaine przeszedł ciężkim krokiem przez pokój, zatrzymał się przed mapą świata i pacnął dłonią w Amerykę Środkową.

— Meksyk. Tu w przyszłym tygodniu odbędzie się pierwsze przygotowawcze spotkanie następnej konferencji ekologicznej, spotkanie robocze narodowych grup roboczych. Musi pan w nim wziąć udział.

— Ja? — John przerażony patrzył na mapę. Wszystko, co kojarzyło mu się do tej pory z Meksykiem, to tacos z barów szybkiej obsługi, kiedy już nie mógł patrzeć na pizzę. — Ale nie jestem przecież od niczego specjalistą.

— Ale jest pan John Salvatore Fontanelli. Jest pan fundatorem nagrody *Gea*. Wszyscy będą uważnie słuchać, co ma pan do

powiedzenia. A jeśli pan posłucha, dowie się pan sporo o sytuacji świata.

Johna potarł twarz dłońmi.

— Do Meksyku? Mam jechać do Meksyku? McCainie założył rękę na rękę.

— Przynajmniej przestanie pan myśleć o tamtym.

McCaine odprowadził go na lotnisko, instruując po drodze, jak ma prowadzić rozmowy w Mexico City. Stos dokumentów robił wrażenie — segregatory, zbindowane naukowe rozprawy z całego świata, dyskietki, rezolucje, tłumaczenia i synopsy. Dziewięć godzin lotu wystarczy akurat, żeby to wszystko pobieżnie przekartkować.

Jak zwykle skierowano ich samochód na pole manewrowe, gdzie czekał już przygotowany *Moneyforce One*. Kiedy wysiadali, czuć było paliwem i spaloną gumą, ziemia było wilgotna od nocnego deszczu, a ostry wiatr gwizdał nad rozległym, płaskim arealem.

— To będzie szpagat — McCainie przekrzykiwał huk rozgrzewających się silników. — Z jednej strony musimy dążyć do tego, żeby stworzono podstawy obowiązujących globalnie regulacji prawnych ochrony środowiska, z drugiej strony jednak nie może to nas w tej chwili nic kosztować. Do tego zmierza koncepcja giełdy zanieczyszczeń, rozumie pan?

Grupka mężczyzn i kobiet w mundurach lotniczych zeszła pośpiesznie, by wyładować skrzynie z dokumentami i zanieść je na pokład. Zszedł również pilot ze spiętymi checklistami pod pachą, ucisnął im dłonie i wyjaśnił, że najwyższy czas startować.

— Jeśli przegapimy przydzielone nam okienko startowe, możemy godzinami czekać na następne. EUROCONTROL nie

popuszcza.

— Tak, tak — krzyknął niezadowolony McCain. — Jeszcze chwilę.

— Dlaczego to nie może nas nic kosztować? — zapytał John. McCain jakby unikał jego wzroku, zamiast tego wpatrywał się w horyzont.

— Przecież panu tłumaczyłem. Przebudowujemy cały koncern pod kątem nowej strategii. Jeśli w tym momencie zobowiązemy się wprowadzić wszędzie oczyszczalnie spalin, stracimy pole do manewrów finansowych, a to może nas kosztować zwycięstwo.

Raptem wszystko wydało się Johnowi jakby nieprawdziwe. Jakby stali na scenie i odgrywali fragment teatru absurdu. Poczuł, jak wzbiera w nim coś, co mogło skończyć się atakiem niepowstrzymanego śmiechu albo mdłościami, albo jednym i drugim.

— Kiedy właściwie *naprawdę* coś zrobimy? — przekrzykiwał huk silników. — Ciągłe tylko kupujemy, gromadzimy władzę i wpływy, ale *nic* z tym nie robimy. Przeciwnie, tylko wszystko pogarszamy!

McCain spojrzał na niego niemal morderczym wzrokiem. Było oczywiste, że zmienił tekst sztuki. Śmiertelny grzech u aktora, prawda?

— Pan widzi to wszystko trochę błędnie — zawołał McCain. — Ale obawiam się, że teraz nie ma czasu, żeby to dokładnie przedyskutować. Porozmawiajmy o tym, kiedy pan wróci.

W tym momencie zobaczyli samochód, pędzący ku nim na złamanie karku. W mgnieniu oka Marco był przy nich i stanął przed Johnem, mówiąc:

— Może lepiej byłoby, gdyby pan wsiadł do samolotu, panie Fontanelli.

— Co, u diabła...? — krzyknął McCain, ale w tej chwili samochód już zahamował z piskiem opon, drzwi otworzyły się i wyskoczył z nich biegiem mężczyzna.

— Szukam Marca Benetti — krzyknął. Był szczupły, miał ciemny garnitur, cienkie wąsiki i małą torbę podrózną w ręce.

Marco nadal trzymał dłoń w marynarce. — To ja.

Mężczyzna wyjął legitymację z rozpoznawalnym z daleka znakiem służb ochrony koncernu.

— Centrala miała dziwny telefon od pańskiej żony, Marco — wychrypiał. — W każdym razie sądzą, że to była pańska żona. Próbowali oddzwonić, ale nie podchodziła do aparatu. — Wyciągnął rękę z kluczykami do samochodu. — Mam pana zmienić. Może pan wziąć wóz.

Marco pobladł.

— Czy to coś z dzieckiem?

— Nie wiemy, jak mówiłem. Pomyśleli, że najlepiej będzie, jak pan sam sprawdzi. Proszę. — Wcisnął mu w dłoń kluczyki.

— Niech pan idzie — skinął głową McCain, gdy Marco wciąż stał niezdecydowany.

Pilot wyjrzał z okienka kokpitu, postukał znacząco w zegarek. Najwyższy czas.

— Tak, niech pan idzie — potwierdził John. — Damy sobie radę.

— Dziękuję — powiedział Marco i ruszył.

Później, kiedy byli w powietrzu podczas wlokącego się bez końca lotu transatlantyckiego na zachód, John przywołał gestem nowego członka zespołu ochroniarzy.

— Chciałbym wiedzieć, jak pan się nazywa — powiedział. Spojrzał na niego wzrokiem bez wyrazu. Jego oczy miały ciemny kolor zastygłej lawy.

— Foster — powiedział. — Nazywam się Foster.

Zostawił samochód na zakazie postoju. Przejeżdżał przez skrzyżowania na czerwonym świetle, nie zwracał uwagi na znaki stopu i przekraczał wszystkie ograniczenia prędkości, nic się nie liczyło. Dom, nie najnowszy już budynek z sześcioma mieszkaniami w położonym na południowy zachód od Londynu Walton nad Tamizą, wyglądał tak cicho i spokojnie, że aż się wzdrygnął. Rzucił się schodami do góry, w biegu wyjmując klucze, drżącymi palcami otworzył zamek i...

Karen stała w przedpokoju, z butelką niemowlęcą i zaplamionym śliniaczkiem w dłoni.

— Marco?

— *Madre Dios!* — wyrwało mu się. Aż zwiotczał od poczucia ulgi, chwiejnie podszedł do niej i prawie schował całą w swoich objęciach.

Nie wiedziała, co się dzieje.

— Hej, ciszej, właśnie zasnęła... Pozwól mi przynajmniej odłożyć śliniaczek... Powiedz, zrozumiałam coś nie tak? Nie powinieneś być teraz w drodze do Meksyku?

Marco wypuścił ją i spojrzał na nią.

— Dzwoniłaś do centrali?

— Do centrali?

Opowiedział, co się zdarzyło.

— W drodze do Meksyku jest teraz mój bagaż. Coś mi się wydaje, że będę sobie musiał kupić drugą golarkę. — Pokręcił głową. — Jak w centrali wpadli na pomysł, że dzwoniłaś?

Karen wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Nie dzwoniłam. Chciałam zadzwonić do Betty, czy nie wpadłaby dziś na herbatę, ale się nie dodzwoniłam.

— Nie dodzwoniłaś. — Marco podszedł do aparatu, podniósł słuchawkę i słuchał.

— Dziś rano sygnał też brzmiał dość dziwnie, teraz sobie przypominam — powiedziała sceptycznie Karen.

Marco pokręcił głową.

— To nie sygnał. Sieć jest uszkodzona.

Odłożył słuchawkę zamyślony. Oczywiście to wszystko mogło zdarzyć się przypadkiem. Nieudane połączenie, nieporozumienie, nadmierna reakcja, uszkodzona sieć telefoniczna. Takie rzeczy się zdarzają.

Mimo to nagle nabrał złych przeczuć.

# 40

Przy lądowaniu Mexico City wyglądało jak rozlewające się bezbrzeżnie, pozbawione konturów morze domów, otoczone górami i wulkanami i otulone brązowym smogiem. John patrzył w dół na ojczyznę dwudziestu milionów ludzi, jedno z największych miast na świecie, będące równocześnie poglądowym przykładem nadciągającej katastrofy ekologicznej. Niewątpliwie odpowiednie miejsce na rzeczowe przygotowanie następnej konferencji o ochronie środowiska. Zamknął ostatni segregator, odłożył go i zateśnił za łóżkiem.

Z lotniska polecili dalej helikopterem, bo samochodem, jak mu powiedziano, nie mieliby szans przejechać. „*Rush hour*” powtarzali wszyscy, i rzeczywiście potem z powietrza, kiedy hałas turbiny helikoptera rozłupywał mu prawie czaszkę, John zobaczył na wszystkich ulicach ciągnące się bez końca, nieruchome blaszane węże.

Lecili na południe, ponad cieniami rzucanymi przez zachodzące słońce. Krótco przed lądowaniem John rozpoznał po ilustracjach w studiowanym podczas lotu przewodniku sławną bibliotekę uniwersytecką z ogromną, zagadkową mozaiką. Na terenie uniwersytetu miały odbywać się obrady, ale dopiero za kilka dni, kiedy uda mu się jako tako wyspać. Pozwolił, by Chris Foster pomógł mu wysiąść z helikoptera i wsiadł do czekającego na nich samochodu, mając wrażenie, że ogłuchł.

Chroniony apartament, do którego go zawieziono, znajdował się w otoczonej wysokimi murami enklawie spokoju, w której szumiały palmy i szemrały sztuczne strumyki. Drut kolczasty na blankach muru, uśmiechnięci ochroniarze z pistoletami w kaburach i najnowocześniejsze systemy alarmowe *made in USA*

miały zadbać o to, żeby nikt i nic nie zakłócało spokoju mieszkańców. Naprzeciw nich wyszedł młody człowiek w jasnym garniturze, mający wskazać mu jego apartament, a na widok czystej wody pluszczącej wzdłuż ścieżek Johnowi przypomniało się, że czytał o chronicznym braku wody w Mexico City, położonym na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów i cierpiącym czasem nawet na brak tlenu. Naprawdę bardzo odpowiednie miejsce na zorganizowanie konferencji ekologicznej.

Apartament urządzono w stylu nowoczesnego ascetyzmu, białe ściany, szkło i metal, do tego był wręcz ogromny. Nieliczne, ale szlachetne meble w stylu kolonialnym podkreślały jeszcze obszerność pomieszczeń; wszystko razem jak wymarzone.

— Gdzie jest sypialnia? — zapytał John.

Chris odstawił torbę podróżną z niezbędnymi rzeczami na niską komodę.

— Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś, sir?

— Snu — powiedział John.

— Rozumiem. Dobranoc, sir. — Zamknął drzwi od zewnątrz. John rzucił się na łóżko i poczuł się tak ciężki, jakby przyleciał nie do innej strefy czasowej, ale do strefy podwyższonej siły ciężenia. Dziś się już nie podniesie. Zaśnie tu w garniturze i jutro rano będzie wyglądał strasznie.

Zadzwoił telefon. *Ja śpię*, pomyślał John.

Ale telefon nie przestawał dzwonić. W końcu przewrócił się na bok i sięgnął po aparat na nocnej szafce.

— Słucham?

— Tu Foster, panie Fontanelli. — Głos ochroniarza docierał do jego ucha jakby z daleka. — Przykro mi, że muszę panu jeszcze przeszkadzać, sir, ale może to ważne...



— Proszę mówić — mruknął John.

— Jestem w domku wartownika przy bramie — powiedział Foster — przed drzwiami stoi młoda kobieta, mówi, że nazywa się Ursula Valen...

— Co? — To było jak wstrząs elektryczny, brzmienie jej imienia, uderzenie adrenaliny. Stał prosto, nim się zorientował, co się dzieje. Ursula? Jak, na miłość boską, Ursula znalazła się tutaj, w Meksyku? I do tego jeszcze teraz, dziś wieczorem? Skąd mogła wiedzieć...

— Czy zejdzie pan, sir?

— Tak! — wrzasnął John do słuchawki. — Tak, zejdę! Chwileczkę, już idę. — Ursula? Tutaj? Nie do wiary, po prostu nie do wiary...

Rzucił słuchawkę i pobiegł, otwierał drzwi, pędził po chłodnych, gładkich marmurach, w górę po schodach, splątane kręte ścieżki wśród palm i zarośli, wszystko oświetlone i spokojne.

Kiedy dotarł do bramy, Foster stał niezdecydowany na ulicy na zewnątrz.

— To naprawdę dziwne... — mruczał do siebie, opierając dłonie na biodrach.

— Co jest? Gdzie ona jest? — wydyszał John, na krótką chwilę ogarnięty przerażeniem, że tamten telefon mógł mu się tylko przyśnić.

Foster patrzył niezdecydowany w górę ulicy, pocierał nos.

— Właśnie poszła. Mówiłem jej, że pan przyjdzie, ale...

— Poszła? Dokąd?

— Tam w dół, za róg — powiedział ochroniarz i wskazał koniec ogrodzenia, gdzie zaczynała się wąska przecznica, po której jechało kilka samochodów.

John ruszył biegiem.

— Sir, nie! — usłyszał jeszcze tylko za plecami krzyk, ale nic nie było ważne, liczyło się tylko, żeby ją dogonić. Droga schodziła w dół, nogi niosły go same, zdąży. W powietrzu pełno było spalin, piekły go oczy, paliło gardło, ale biegi. Biegł do końca wysokiego muru apartamentowca, skręcił za róg, na końcu wąskiej ścieżki dostrzegł postać kobiety, krzyknął:

— Ursula!

Cios w tył głowy sprawił, że zniknęła kobieta i miasto, i w ogóle wszystko.

McCaina obudziło dzwonienie telefonu na nocnej szafce. Telefonu, zarezerwowanego dla spraw absolutnie najwyższej wagi. Usiadł i włączył światło. Za trzy minuty piąta. Za moment i tak zadzwoniłby budzik.

— Nie spieszyli się — wymamrotał, odchrząknął i odebrał. — McCaine.

— Tutaj Chris O'Hanlon, sir — wykrztusił zadyszany głos. — Sir, coś się stało. Pan Fontanelli, hmm, zgubiliśmy go.

McCaine uniósł brwi. Interesujące sformułowanie, jeśli się dobrze zastanowić.

— Czy może mi pan to bliżej wyjaśnić?

Dało się słyszeć, że ochroniarz jest wytrącony z równowagi.

— To było tak, że... no więc, Foster miał pierwszy straż na bramie, i ja się na ten czas położyłem. Obudziłem się dopiero, kiedy z lotniska przyjechał samochód z dokumentami i resztą bagażu, i on mi wtedy powiedział, zupełnie mimochodem...

— Co panu powiedział?

— Że pan Fontanelli, krótko potem, jak go odprowadziłem do apartamentu, znów wyszedł. Powiedział mu, że chce się

przespacerować i że umówił się z kimś z uniwersytetu w jakimś lokalu w pobliżu...

— Niech zgadnę. Jeszcze nie wrócił.

— Tak, niestety. A mógłbym się założyć, że padnie natychmiast do łóżka jak martwy, wyglądał na tak zmęczonego...

McCaine wydał dźwięk przypominający chrząknięcie.

— Czy Foster nie zastanowił się, dlaczego buduje się chronione osiedla?

— Już mu to powiedziałem. Jest dość przybity, mam wrażenie, że boi się o posadę i w ogóle...

— I ma rację — powiedział McCaine i dodał: — Proszę to na razie zatrzymać dla siebie.

— Tak, sir. — O'Hanlon przełknął. — Jezus Maria, szefie, to by się nigdy nie zdarzyło, gdyby tu był Marco. Na pewno by się to nie zdarzyło.

— Tak, też tak sędzę — powiedział McCaine. Ze stosu dokumentów, jak zwykle leżących przy nim na jeszcze nigdy nie używanej drugiej połowie podwójnego łóżka, wziął kalendarz i otworzył. Przez cały dzień nie ma ani jednego spotkania. Pstryknął długopisem. — Niech pan się odpręży, Chris, i posłucha. Zrobi pan teraz jak mówię...

Najpierw nic nie rozumiał, czuł tylko ten potworny pulsujący ból w głowie. Ostrożnie pomacał potylicę i znalazł guza, bolesnego guza, dotykając go wyczuwał strupy. Dotarło do niego, że coś jest nie tak. Na dodatek ten dziwny ucisk w nadgarstkach, opór, związany z brzęczącym hałasem, kiedy się poruszała... Wreszcie udało mu się otworzyć oczy i zobaczył, co ma na nadgarstkach: kajdanki.

— No, świetnie! — jęknął. Uprowadzony. Porwano go.

Wyprostował się. Tym razem łatwiej przyszło mu znieść szok, choć głowa przy każdym ruchu bolała go tak, jakby miała rozpaść się na dwie części. Była tam ściana, o którą mógł się oprzeć, zrobił to, dysząc jak przy ogromnym wysiłku, i nareszcie się rozejrzał.

Cela. Nieotynkowane ściany, okno zamurowane oprócz wąskiej szczeliny u samej góry, żarzącej się przenikającym z zewnątrz jaskrawym dziennym światłem. Tu w środku było mroczno i panował stęchły odór potu i ludzkich ekskrementów: więzienie, to jasne, szerokie na trzy kroki i długie na cztery, gdyby mógł się poruszyć. Ale nie mógł; kajdanki połączono łańcuchem oplatającym masywną żeliwną rurę, przecinającą pomieszczenie od sufitu do podłogi. Przestrzeń, po której mógł się poruszać, ograniczała się do materaca, na którym siedział, było tam jeszcze w kącie wiadro z pokrywą, a na nim rolka papieru toaletowego... John odwrócił się z obrzydzeniem i postanowił dostać zatwardzenia.

Więc to była pułapka. Wpadł w nią jak idiota. Westchnął i najchętniej pokręciłby głową, zaniechał jednak tego roztropnie. Skąd porywacze znali imię Ursuli? Zagadkowe. Może z gazety. Wprawdzie jego krótkie niemieckie intermezzo pozostało prawdopodobnie niezauważone, jednak jest osobą publiczną i jego życie prywatne stanowi obiekt publicznego zainteresowania. Tylko wtedy, kiedy by to się naprawdę przydało, *paparazzi* się nie zjawiają. Jak teraz.

Jakiś przyprawiający o gęsią skórkę szelest na ciemnej podłodze sprawił, że mimowolnie podciągnął nogi. Coś się poruszyło. Wstrzymując oddech pochylił się i zobaczył grubego karalucha, jak pełźnie ku niemu, ciemnobrązowy, wielkości dłoni i złowieszczy w swoim uzbrojonym w czułki pancerzu.

John gwałtownie zdarł ze stopy buta, chwycił go oburącz i uderzył bestię, miał wrażenie, że trafił, lecz karaluch, zamiast jak należy pozostać zmiażdżony na podłodze, zawrócił tylko i zniknął w szczelinie muru, z której prawdopodobnie wyszedł. Na myśl, że insekt może łąził po nim, kiedy leżał nieprzytomny, Johnowi zrobiło się niedobrze.

Znów oparł się o ścianę, zamknął oczy, poczuł w czaszce tępy, pulsujący ból i zapragnął znaleźć się daleko stąd, w innym miejscu, w innym życiu. Musiał przy tym zdrzemnąć się chwilę, na siedząco, gdyż na dźwięk zbliżających się kroków poderwał się gwałtownie.

Zapukano do drzwi.

— *Hola!* — zawołał głos. — Ty spać?

John skrzywił się, co natychmiast zemściło się bólem.

— Nie całkiem.

— Leżeć. Twarz do materac. Nie patrzeć, inaczej ciebie zabić. Leżeć — *ánde!e, ánde!e!*

— Tak, tak, w porządku — krzyknął John i zrobił, jak mu kazano. Materac śmierdział niemiłosiernie. Prawdopodobnie przesiąknięty był potem trwogi licznych ofiar kidnapingu.

Usłyszał, jak odsuwa się skobel, dobiegł go dźwięk kroków i szuranie, potem drzwi zatrzasnęły się z tępym odgłosem, jakby zrobione były tylko z kartonu, i znów zgrzytnęła metalowa zasuwka.

Kroki oddaliły się. Cisza.

Prawdopodobnie oznaczało to, że może znów się poruszyć. John powoli podniósł wzrok. Stał tam talerz z kawałkiem chleba, a obok blaszany kubek, z którego dobiegał zapach czegoś w rodzaju kawy; prawdziwy smakowity aromat w tym stęchłym lochu.

Tak, jest głodny. W ogóle, pomijając ból głowy, czuje się dobrze. Wyspany. Jakby spał przez cały dzień. Nie potrafił dokładnie ocenić, gdyż jego wyposażony w datownik zegarek zniknął.

Podsunał bliżej talerz i filiżankę. Kawa była znośna, z mlekiem i cukrem, a chleb wydawał się świeży. Ten zbytek komfortu znajdzie z pewnością odbicie w wysokości okupu, ale tak czy inaczej za jego pieniądze coś mu się tu oferuje. W ogóle to wszystko robiło osobliwie profesjonalne wrażenie; w głosie nieznanego i w jego zachowaniu nie było śladu paniki ani wyjątkowości sytuacji, zachowywał się raczej tak, jakby wykonywał po prostu swoją codzienną robotę kidnapera.

Porwany! Niepojęte! Przez tyle lat nic się wydarzyło. Ochroniarze towarzyszyli mu wszędzie, ale nigdy nie mieli nic do roboty, najwyżej od czasu do czasu zapewniali mu przejście, gdy reporterzy i ciekawscy gapie stawiali się zbyt natrętni. Nigdy nie czuł się naprawdę zagrożony, tym bardziej, odkąd wyrwał się z Ursulą i wszystko dobrze poszło. Ale najwyraźniej mieli wtedy szczęście. McCaine miał rację, jak zwykle.

Kiedy odstawiał talerz i jego łańcuch zabrzączał przy tym o grubą metalową rurę, spojrzął na nią i dokładnie obejrzał. Dźwięk, jaki wydawał uderzający o nią łańcuch, musiał być głośno i wyraźnie słyszalny u góry. Czy w ten sposób zorientowali się, że się obudził? Na pewno. I natychmiast nastawili wodę na kawę.

John wstał, starając się nie brzączać łańcuchem, i stanął przy rurze. Jeśli funkcjonuje to w jedną stronę, musi też zadziałać w przeciwną, prawda? Przyłożył ucho do chłodnego metalu, przycisnął je ostrożnie i zatkał sobie drugie ucho — czego oczywiście kajdanki nie ułatwiały.

Rzeczywiście. Słyszał dudnienie telewizora, strzępy

sentymentalnej muzyki i niski głos prezentera, słyszał, jak ktoś pogrękuje garnkami w kuchni i pogwizduje wesoło. Rura była jednym wielkim urządzeniem podsłuchowym. Zadzwoił telefon, odebrano, i ktoś melodyjnie, lecz niezrozumiale odezwał się po hiszpańsku.

Na dłużej pozycja ciała konieczna do podsłuchiwania była jednak męcząca, a ponieważ i tak nie znał hiszpańskiego, nie dało mu to nic ponad wyrobienie sobie ogólnego zdania o całej sytuacji. Wyglądało na to, że porywacze mają wszystko pod kontrolą. Usiadł ponownie i poświęcił się obserwacji szczeliny, w której mieszkał gigantyczny karaluch.

Tymczasem zasnął, obudzono go na kolejny posiłek, składający się z fasoli z dodatkiem niewielkiej ilości mięsa i kubka wody.

— Trochę cierpliwości — poinstruował go nieznajomy nieproszony, stawiając mu jedzenie i zabierając nakrycie po śniadaniu.

Drzemka przez większość czasu okazała się najlepszym sposobem na wprowadzenie tej rady w życie. Stopniowo światło w szczelinie nad oknem zmieniło się w szarówkę zmierzchu. Nim zapadła całkowita ciemność, John przemógł się zmuszony potrzebą i wysikał do wiadra, które potem odsunął od materaca tak daleko, jak zdołał.

Podsłuchiwał jeszcze raz. W telewizji nadawano jakiś amerykański serial, pewnie z hiszpańskimi napisami, jakiś kryminał, w którym chodziło o uprowadzoną córkę jakiegoś multimilionera. *Można to potraktować jako doksztalcanie*, pomyślał John układając się do snu. Ale zamiast zasnąć, wpatrywał się tylko w bezkształtną ciemność i nasłuchiwał, czy nie zbliża się do niego stado karaluchów.

W końcu musiał jednak zasnąć, gdyż nagle zbudził się i

zobaczył, że jest już dzień. I nie ma wokół niego żadnych karaluchów. Podniósł się nie brzęcząc łańcuchem, i nasłuchiwał. Telewizor wyjątkowo nie był włączony, zamiast tego usłyszał rozmowę kilku mężczyzn, bardzo zrelaksowaną, jakby siedzieli razem przy kawie i nie mieli nic innego do roboty, jak zabijać czas pogawędką.

— Śniadanie, *por favor* — mruknął John i mocno zabrzączał łańcuchem.

Nie pojawiło się jednak śniadanie, ale inny mężczyzna niż poprzedniego dnia, mężczyzna, który nie zawracał sobie głowy pukaniem i udzielaniem instrukcji, tylko po prostu wszedł. Mówił po angielsku, do tego slangiem amerykańskiego wschodniego wybrzeża.

— Nigdy jeszcze się nie spotkaliśmy — powiedział — ale się znamy.

John przyjrzał mu się sceptycznie. Miał nabrzmiałą, grubo ciosaną twarz, na której swoje piętno odcisnął młodzieńczy trądzik, gęste owłosienie całego ciała wylewało się na kołnierzyk i z rękawów. Niesympatyczne zjawisko. Ktoś, kogo poznanie nie interesowało Johna ani trochę. Wtedy mu się przypomniało. Tak, rzeczywiście widział już tego człowieka. Z inną fryzurą. Na ekranie telewizora.

— Bleeker — powiedział. — Pan jest Randolph Bleeker.

Później nie można było odtworzyć drogi, jaką pogłoski dotarły do wiadomości publicznej. Urzędników meksykańskiej policji powołanych do komisji specjalnej zobowiązano do absolutnego milczenia i przeprowadzone potem dokładne śledztwo nie dało podstaw do podejrzeń, że któryś z nich był źródłem przecieku. Mimo to na lotnisku w Mexico City wylądowały nagle zespoły



kamerzystów zagranicznych stacji telewizyjnych, nadchodziły zapytania faksem i telefonicznie, cały świat chciał wiedzieć, ile prawdy jest w twierdzeniu, że John Salvatore Fontanelli został porwany.

Centrala koncernu *Fontanelli Enterprises* w Londynie odmawiała wszelkich komentarzy. Policja z Mexico City nie chciała zająć stanowiska. Na terenie *Universidad Nacional Autónoma de Mexico* zaroilo się raptem od ludzi z kamerami i mikrofonami.

— Nie ma chwili spokoju — jedna z sekretarek poskarżyła się McCainowi. — Teraz dzwonią już nawet z naszych własnych stacji telewizyjnych. Co mam im mówić?

— Nic — odpowiedział McCaine. Marszcząc czoło, zamknął cienki segregator i wsunął go do szuflady. — Proszę odwołać wszystkie moje terminy na następne pięć dni i zarezerwować dla mnie lot do Mexico City.

— Co to ma znaczyć? — spytał John. — Czy to zemsta za to, że nie powiodła się panu sztuczka z moim bratem?

Bleeker skrzywił się pogardliwie.

— Zemsta? Ależ skąd. Nie jestem pamiętliwy. W tej sprawie jestem całkowicie pozbawiony emocji, wie pan? Robię tylko, co mi każą.

— Ach tak. Co panu każą.

— Nie pyta pan chyba o moich zleceniodawców? Na to jest pan za mądry.

John wzruszył ramionami.

— Co teraz będzie? Jakie ma pan wobec mnie zamiary?

— Och, okup za pana przejdzie do historii, jak sądzę. — Bleeker dbał o to, by trzymać się poza zasięgiem jego łańcucha. Miał na

sobie lekki, dość wymięty jasny garnitur i nieustannie pocierał sobie jedno miejsce pod uchem. — Poza tym... To zależy...

— Od czego?

— Od pana, na przykład. Od pańskiego zachowania, gotowości do współpracy. Również od innych rzeczy, na które nie ma pan wpływu.

— Nic z tego nie wyjdzie — powiedział John, dziwiąc się własnej zimnej krwi. — Znów się panu nie uda, Bleeker. Tak samo jak wtedy, kiedy sprowadził pan nieszczęście na Lina.

Bleeker patrzył na niego i wyszczerzył zęby.

— Zdziwiłby się pan, gdyby wiedział, jak szczegółowo pański brat wyobrażał sobie swoje życie ojca dziedzica biliona dolarów.

John był w stanie uwierzyć, że przynajmniej to nie jest kłamstwem. Lino zawsze stosował motto *Brać, co się tylko da*. W odniesieniu do kobiet, pieniędzy, wszystkiego. Skrzyżował ramiona.

— Proponuję, żeby pan mi wreszcie powiedział, po co tu przyszedł.

— Kontrola jakości — powiedział Bleeker. — Muszę być przecież pewny, że moi... *podwykonawcy* zrobili dobrą robotę. Że dorwali właściwego człowieka.

— Pańscy podwykonawcy.

— Ja to robię tylko dla pieniędzy, panie Fontanelli. Za mną nikt nie rzuca groszem, muszę na nie pracować. Odkryłem, że można całkiem przyjemnie żyć, jeśli jest się gotowym od czasu do czasu zrobić coś nieprzyjemnego. Jak na przykład to tutaj.

— A co jeszcze? Nie zamierza pan przecież na pewno zostawić mnie przy życiu. Oskarżyłbym pana, jak tylko znalazłbym się na wolności.

— To mi nie przeszkadza. I tak się ukrywam, zapomniał pan?

Poznałem już potrzebne sztuczki, i czy mi pan uwierzy, czy nie, nawet mi to się podoba. W ten sposób życie przynajmniej nie robi się nudne.

McCaine z niesmakiem patrzył na monstrualne kryształowe świeczniki nad swoją głową. Mexico City jest czasem nawiedzane przez trzęsienia ziemi; gdyby akurat dziś miało dojść do jednego z nich, te świeczniki niewątpliwie go zabiją. Odchrząknął, i wszystkie oczy, mikrofony i obiektywy kamer skierowały się na niego.

Konferencja prasowa odbywała się w Wielkiej Sali hotelu *El Presidente*. Na suficie i na ścianach udrapowano szerokie, przywodzące na myśl namioty wstęgi jedwabiu, układając je artystycznie w fałdy, złożone kolumny zdawały się wspierać symboliczny dach namiotu, a wszystko to kontrastowało groteskowo z ogromnym, intensywnie barwnym malowidłem ściennym za plecami McCaina, namalowanym własnoręcznie przez Diego Riverę, największego spośród meksykańskich malarzy. Nie trzeba było być szczególnie wykształconym, żeby to wiedzieć: hotel robił co mógł, żeby nikt nie pozostał nieświadom tego faktu: wszędzie ulotki informacyjne, tablice i napisy.

— Do tej pory — oświadczył McCaine, po przedstawieniu przyczyny swojej obecności — wiemy tylko, że pan Fontanelli zniknął. Okoliczności zaginięcia, na ile je znamy, nie sugerują użycia przemocy; nie można jednak jej wykluczyć. Jeśli rzeczywiście miałyby chodzić o porwanie, porywacze dotychczas nie zgłosili się.

Jedna z kobiet podniosła rękę.

— Czy wiadomo, kim była osoba, z którą chciał się spotkać pan Fontanelli?

— Nie — powiedział McCain. — Wątpię również, że w ogóle był z kimkolwiek umówiony. O ile wiem, pan Fontanelli nie znał na tutejszym uniwersytecie nikogo.

To wywołało poruszenie.

— Dlaczego więc tak powiedział? — zawołał jeden z mężczyzn, nie czekając, aż McCain udzieli mu głosu.

McCaine pochylił się do przodu nad lasem mikrofonów.

— To ogólnie znany fakt, że pan Fontanelli ryzykuje raz po raz wyprawę bez ochrony. W przeszłości na takich wycieczkach nigdy nie doszło do wypadków, ale oczywiście jego ochroniarze niechętnie patrzą na takie eskapady. Ja zresztą również. Ale pan Fontanelli jest dorosły i nie musi nikogo pytać, co ma robić albo nie. Tak czy owak ustaliliśmy, że krótko potem zniknął również jeden z ochroniarzy — dodał, rzucając spojrzenie na krąg pilnie stenografujących dziennikarzy. — Czy te dwie sprawy są ze sobą związane, bada jeszcze policja.

Zgłosił się korpulentny reporter ubrany w T-shirt z logo pewnej amerykańskiej stacji.

— Sądzi pan, że chodziło tu o zaplanowane porwanie?

— Nie wiem, jak ktoś miałby to zaplanować. O przyjeździe pana Fontanellego do Meksyku postanowiono dopiero kilka dni temu i nie ogłaszano go nikomu — powiedział McCain. — O ile wiem, policja zakłada, że mamy tu do czynienia ze spontanicznym czynem karalnym.

— Zapłaci pan okup? — krzyknął ktoś.

— Do jakiej wysokości? — dopytywał się inny.

Zamigotały lampy błyskowe, dyktafony podniosły się wyżej. McCain przez chwilę patrzył zamyślony w pustkę, nim odpowiedział.

— Z pewnością — oznajmił — zrobimy co w ludzkiej mocy, by

uwolnić pana Fontanellego całego i zdrowego, jeśli znajduje się w rękach porywaczy. W tej chwili jednak, jak powiedziałem, nie wiemy nic pewnego.

— Podobno jest świadek, który widział, jak pan Fontanelli gdzieś biegł — sprzeciwił się ktoś. — Co pan na to powie? Czy to możliwe, że uciekał?

McCaine rozłożył ramiona przepaszającym gestem.

— Nie potrafię tego skomentować. Nie było mnie przy tym.

— Co będzie, jeśli pan Fontanelli nie żyje? Kto odziedziczy majątek? — krzyknął ktoś z końca sali.

— Tak, właśnie? Kto dziedziczy? — krzyknął inny, nastąpiło ogólne poruszenie, jakby wszyscy tylko czekali na to pytanie, ale nikt nie odważył się go zadać.

McCaine przesunął ponurym wzrokiem po zebranych i odczekał, aż powróci względny spokój.

— Zapewniam państwa, że wszystkie sprawy dotyczące dziedziczenia są uregulowane w wystarczającym stopniu — oświadczył wreszcie. — Jednak w tym momencie uważam prowadzenie szczegółowych dociekań i udzielanie wyjaśnień za pozbawione smaku.

Nie uznał za konieczne wspomnieć, że wsiadł do samolotu do Mexico City dopiero wówczas, gdy jeden z najbardziej znanych angielskich ekspertów prawnych Wielkiej Brytanii dokładnie sprawdził spisany odręcznie testament Johna i zapewnił go, że bez wątplenia można go uznać za prawomocny.

To czekanie szarpało mu nerwy. Gdyby mógł, krążyłby nieustannie po celi jak tygrys po klatce, ale nie pozwalał mu na to łańcuch. Gdyby przynajmniej jego mógł się pozbyć! Kiedy nieznajomy przyniósł mu jedzenie, poprosił go, wciskając

posłusznie twarz w materac, żeby zdjął mu łańcuch, ale tego mężczyznę najwyraźniej tylko to rozśmieszyło. Później przyjrzał się drzwiom swojej celi i zrozumiał, dlaczego: gdyby nie był przywiązany łańcuchem, mógłby rozbić je jednym kopniakiem, który do tego nie musiałby być szczególnie mocny ani specjalnie hałaśliwy.

Zamiast tego podnosił się więc co kilka minut, stawał przy rurze, przyciskał ucho do metalu i nasłuchiwał, aż zdrętwiały mu plecy i kark, wtedy z powrotem siadał na ziemi. Przez większość czasu słyszał tylko telewizor. Wyglądało na to, że jest włączony bez przerwy. Przesłodzona muzyka rozbrzmiewała na zmianę z sentymentalnymi albo sztucznie rozemocjonowanymi dialogami tanich seriali, przeplatanymi wiadomościami czytanyymi przez lektora o głosie przypominającym staccato karabinu maszynowego. Od czasu do czasu dało się słyszeć odgłosy kuchenne, w rodzaju pobrzękiwania garnkami albo siekania jarzyn na desce. Czasem dobiegała go rozmowa kilku mężczyzn o niskich, matowych głosach, w których dało się słyszeć niesamowite znużenie. Rozmawiali po hiszpańsku, ale nawet gdyby John znał ten język, nie rozumiałby ani słowa, tak rozwlekła i niechlujna była ich mowa.

Ilekcroć siadał, mówił sobie, że równie dobrze mógłby poniechać tego podsłuchiwania, gdyż nic z tego, co usłyszał, nie dało mu najmniejszej wskazówki co do biegu wydarzeń ani co do zamiarów porywaczy względem niego. Powtarzał to sobie i wpatrywał się w szczelinę, z której wychodził karaluch, później jednak mimo wszystko nie wytrzymał i znów wstawał, by dalej podsłuchiwać.

Podsłuchiwał więc i nagle usłyszał swoje nazwisko.

W brzmieniu własnego nazwiska jest coś magicznego. Nawet

jeśli nie słucha się uważnie, nawet, jeśli jest się otoczonym mową, z której nie rozumie się ani jednej sylaby, nawet, jeśli stoi się wśród tłumu ludzi mówiących jeden przez drugiego — skoro tylko padnie własne nazwisko, natychmiast sieje usłyszy. A jego dźwięk, tym bardziej dlatego, że niespodziewany, wstrząsa człowiekiem niczym lekki szok.

John usłyszał swoje nazwisko. Wymienił je głos z telewizora.

Wzdrygnął się, przestraszony. To musiała być chyba halucynacja? Na pewno, mówiły mu rysy i plamy na murze przed nim. Ponownie przycisnął ucho do zimnego metalu i słuchał ze wstrzymanym oddechem, jak w głosy mężczyzn raptem wdarło się podniecenie.

Słuchali wiadomości. Nerwowe szemranie. Przełączyli odbiornik na następny kanał, szemranie zmieniło się w podniecone utyskiwanie. Jeden wchodził drugiemu w słowo, przekrzykiwali się nawzajem, coraz głośniejsze, aż wreszcie jeden z nich znalazł posłuch u reszty i ich uciszył.

Wyglądało na to, że gdzieś dzwoni, pokrzykuje na kogoś nieprzyjaźnie. Odrzucił z trzaskiem słuchawkę i znów powróciło wzburzenie, w którym coraz mocniej pobrzmiwała panika.

Coś poszło nie tak, jak planowali.

John odsunął się od rury i musiał przycisnąć dłoń do piersi, tak mocno serce waliło mu o żebra. Niedobrze. Nawet bardzo źle. Sprawy musiały potoczyć się inaczej, niż zakładali jego porywacze, a on czytał wystarczająco wiele historii o kidnaperach, żeby wiedzieć, że to może okazać się dla niego niebezpieczne.

Próbując oddychać spokojnie i unikając pobrzękiwania łańcuchem wrócił na miejsce i znów zaczął podsłuchiwać.

Byli nadal wzburzeni, jednak podniecenie jakby już nie rosło.

Po pewnym czasie trzasnęły drzwi, rozległy się ciężkie kroki i we wrzawę wmieszał się nowy głos mówiący tylko łamanym hiszpańskim, Johnowi wydawało się, że poznaje Randolpha Bleekera.

Mężczyźni napadli go gwałtownie, atakowali zarzutami, chyba zresztą nie tylko zarzutami. Bleeker sprzeciwiał się, mówił, krzyczał, zaklinał i przeklinał, aż wreszcie John zrozumiał, co zapewne się stało: jego porywacze nie wiedzieli, kogo porywają. Nie wiedzieli, kim on jest. Dopiero w momencie, kiedy telewizja doniosła o uprowadzeniu najbogatszego człowieka świata, dotarło do nich, kto siedzi spętany łańcuchem w ich lochu. I zaczęli się bać.

Prawdopodobnie byli oni rzeczywiście zawodowymi porywaczami, od czasu do czasu porywali mniej lub bardziej zamożnych ludzi, wypuszczali ich za stosowny okup i w ten sposób zarabiali na życie. Policja zapewne nie była w stanie poradzić sobie w takich przypadkach albo w ogóle się o nich nie dowiadywała. Ale, tak sobie teraz z pewnością mówili, nikt nie chciałby mieć na swoim koncie porwania Johna Fontanellego. Teraz policja poruszy piekło i niebo by ich znaleźć, i nie ustanie, aż ich dopadnie. Ta sprawa była dla nich o rozmiar za duża.

Bleeker niewątpliwie próbował przekonać ich, że jest wręcz przeciwnie. Przeklinał i argumentował, z pewnością chciał, żeby nadal trzymali się planu, ale ci ludzie krzyczeli teraz jeden przez drugiego, słyhać było przewracane krzesła, odgłosy popychania i bijatyki, aż w końcu wyrzucili Bleekera. John słyszał, jak dawny amerykański prawnik wykrzykuje wulgarne amerykańskie przekleństwa, ale brzmiało to tak, jakby wypchnęli go już na korytarz, i za chwilę drzwi się zatrzasnęły.

John cofnął się o krok.



*Zabiją mnie, pomyślał i poczuł, jak narasta w nim wysublimowany strach, jak lodowacieje mu serce i krtań. Przyjdą i mnie zabiją.*

Opadł na materac i zastanowił się, jak to zrobią. Strzał z pistoletu, pchnięcie nożem? Czy będzie bolało? I to tutaj, mój Boże, w tej cuchnącej uryną norze! Co za koniec dla wybrańca, wyznaczonego do wypełnienia boskiego proroctwa.

Duszący śmiech zagulgotał mu w płucach. Jakie szczęście miał *Padrone*, że po długim życiu zmarł w spokoju, ukojony pewnością, że wypełnił swoją misję — odszedł w porę, by nie musieć dowiadywać się, jak straszliwie się pomylił.

Ursula mu to mówiła, przez cały czas. Jego wiara w proroctwo nie była niczym więcej jak wygodną wymówką od podejmowania własnych decyzji. Gdyż to oznaczałoby, że musi wziąć na siebie odpowiedzialność. Jakże wygodnie było mówić: *Bóg tak chce*, obojętnie, co się działo, nie ponosić żadnej winy. Wspaniała sprawa dla każdego tchórza.

John wbił wzrok w blade drzwi, przez które niebawem wejdą mordercy, i czuł, jak wiara w proroctwo umiera jeszcze przed nim, jak rozpala się gwałtownym płomieniem i gaśnie, i nie zostaje po niej nawet popiół. Czy nie mówi się, że w obliczu śmierci przed oczyma człowieka przesuwają się całe jego życie? Widział wszystkie etapy swego życia z dotkliwą jasnością, widział też, że zawsze szukał kogoś, kto mu powie, co ma robić. Swoich rodziców. Wyprowadził się z domu, bo tak chciała Sarah. Marvinowi pozwolił doradzić sobie pracę w Pizza-Service Muralisa. Cristophoro Vacchi powiedział mu, że jest powołany, a Malcolm McCaine wiedział, jak to powołanie wypełnić. Tylko Ursuli nie posłuchał.

Do cholery, nawet to, że poszedł do łóżka z Constantine, było

pomysłem Eduarda. A Ursula? Ursula chciała, żeby pojechali do Niemiec bez ochrony, i on tak zrobił.

Drzwi nie poruszały się. Żadnych kroków. Jego mordercy nie przychodzili. Spojrzał na rurę i postanowił nie podsłuchiwać więcej. Nie chciał usłyszeć, że może już nikogo nie ma. Nie chciał dowiedzieć się, że uciekli zostawiając go samego, żeby tu umarł i nikt go nie znalazł. Siedział dalej, wbijał wzrok w światło zmierzchu i przestał rozmyślać o swoim życiu, przestał w ogóle myśleć, patrzył tylko przed siebie i nie robił nic poza oddychaniem. Czas zatrzymał się, światło pociemniało i zgasło, aż w końcu odezwały się kroki.

Pukanie do drzwi.

— *Hola ?* Ty nie spać?

— Nie — odpowiedział głos Johna.

— Położyć się. Twarz na materac.

Jeszcze i to. Przez całe życie słuchał innych, czemu miałby tego nie robić w chwili śmierci. Położył się więc na brzuchu, zamknął oczy i poddał nieuniknionemu.

Otworzono drzwi, tym razem weszło kilku mężczyzn. Jakaś dłoń pomacała jego głowę. John czuł, jak całego na wskroś przenika go drżenie, zagryzł zęby, by nie skamleć o łaskę! Nagle jednym ruchem naciągnięto mu coś na głowę, ktoś wykręcił mu ręce na plecy i związał je, potem silne ramiona postawiły go.

— Iść z nami — powiedział nieznajomy.

Poprowadzili go schodami w górę, korytarzem, w którym obtłukł sobie ramiona o meble, uprzedzili o progu, za którym kilka stopni schodziło w dół, do pomieszczenia, w którym nawet przez maskę czuć było trocinami i olejem napędowym. Najwyraźniej garaż, gdyż podnieśli go jak zabawkę i wepchnęli do bagażnika samochodu. Słyszał jeszcze, jak otwierają bramę,

potem ktoś z hukiem zapalił silnik, i ruszyli.

Jechali bez końca, i każda próba ewentualnego zapamiętania trasy albo choćby kolejności skrętów w lewo i prawo było pozbawiona szans. Na dodatek do bagażnika wnikały skądś spaliny, od których robiło mu się tak niedobrze, że wszystkie siły zużywał na to, żeby nie zwymiotować do wnętrza worka, okrywającego mu głowę aż po szyję.

W końcu się zatrzymali. Ktoś wysiadł, po chwili wrócił i wskoczył z powrotem na siedzenie, potem samochód nawrócił i pojechał jeszcze kawałek w tył, po wyboistym podłożu. Otworzono bagażnik. Chwycili go za nogi i związali mu je także, drutem, wrzynającym się boleśnie w ciało. John protestował, ale nikt tego chyba nie słyszał, zamiast tego chwycili go, wyciągnęli, przenieśli kawałek i rzucili potem szerokim łukiem.

John krzyknął. Wylądował dość miękko, chyba na szmatach i pogniecionych papierach, zmieszanych jednak z twardymi i ostrymi odłamkami, o które się poranił. Śmierdziało przeraźliwie. Spróbował się przetoczyć, ale przy każdym jego ruchu poruszało się również to, na czym leżał, w niepokojący sposób; tak, jakby miał w każdej chwili w tym zatonąć.

Leżał więc dalej w niewygodnej pozycji na boku, ze związanymi stopami, rękami spętanymi na plecach, z twarzą na podłożu. Przez tkaninę maski coraz mocniej przenikał smród, jakiego nie czuł dotąd nigdy w życiu, niesamowita mieszanina zgnilizny i pleśni, zmurszenia i rozpadu, piekielne, morowe powietrze cuchnące pleśnią, rdzą i stęchlizną, w porównaniu z nim zaduch w jego lochu był wprost sterylną, rozkoszną wonią. Zszokowany zrozumiał, gdzie zostawili go porywacze. To było wysypisko śmieci. Wyrzucili go na wysypisku.

# 41

Chłód przyszedł powoli, wpełzał powoli przez ubranie do skóry i przenikał ją niepowstrzymanie aż do kości. W miarę, jak robiło się coraz zimniej, było też coraz ciszej. Najpierw słyszał z oddali ruch uliczny i dźwięk jakiejś maszyny, lecz maszynę tę wyłączono po jakimś czasie, natężenie ruchu zmalało, i wszystkim, co jeszcze słyszał, był własny oddech.

I napełniający trwogą wyraźny szelest.

Szczury.

John mimowolnie wzdrygnął się, przetoczył, wpadł trochę głębiej i zeszywniał w przerażeniu. Naturalnie, na śmietniku muszą być szczury. Szczury gryzą. Mogą człowieka poważnie zranić, może nawet zabić. Nie potrafił inaczej, jak wyobrazić sobie kłębiące się futrzane, obrzydliwe cielska, z siekaczami i gołymi, zakręconymi ogonkami, grzebiące w gnijących resztkach żywności i w fermentujących śmieciach w poszukiwaniu łupu, i z przerażenia jego ciało instynktownie kurczyło się tak bardzo, że prawie wyłamały się spętane na plecach ramiona.

Może uda mu się, jeśli będzie cicho. Może wtedy zostawią go w spokoju. Ledwie miał odwagę oddychać, nasłuchiwał, napiętymi zmysłami śledził każdy trzask, gotowy rzucić się dziko, by je odegnąć. Nie spać, nie wolno mu zasnąć. Tylko to może go uratować.

Przestraszył się, gdy nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń, i w tej samej chwili zorientował się, że jednak zasnął. Znowu było słychać hałas ulicy, warkot dalekiej maszyny, a wokół niego rozlegały się kroki. Było mu zimno, jakby spędził noc w lodówce, ramiona zmieniły mu się w odrętwiałe, mięsne wyrostki, a związane stopy zdawały się być martwe.

— Pomocy! — wychrypiał i potrząsnął głową, dusił się niemal od tkaniny na twarzy, teraz już zeszywniałej i klejącej. — Rozwiążcie mnie, proszę!

Głosy nad nim naradzały się. Głosy dzieci. Jedno szturchnęło go, stopą, jak szturcha się przejechane zwierzę, żeby zobaczyć, czy jeszcze żyje.

— Pomóżcie mi wreszcie! — krzyknął i podrzucił całym ciałem, żeby nie pozostawić wątpliwości co do tego, że nie jest martwy. Do diabła, nawet jeśli nie mówi po hiszpańsku — czy trudno domyślić się, o co prosi? — Rozwiążcie mnie, proszę!

Znów poczuł dłonie na ciele, małe dłonie o zręcznych palcach, ale nie rozwiązywały supłów ani nie rozluźniały jego pęt, tylko przeszukiwały kieszenie jego spodni i koszuli. Kiedy nic nie znalazły, żadnego portfela, żadnych pieniędzy, żadnych kluczy, w głosach dało się słyszeć rozczarowanie.

— Hej, do jasnej cholery! — warknął John, ale dzieci nie robiły nic, żeby mu pomóc. Zdawało się, że się naradzają, potem ich kroki oddaliły się, szurając i chrzęszcząc po śmieciach, i żadne krzyki nie były w stanie sprowadzić ich z powrotem.

Leżał więc dalej, bezradny, zagubiony, i czuł, jak ciało zlewa mu pot. Który niewątpliwie zwabi zwierzęta. Zresztą, czy to nie Ursula jest winna jego położeniu? Tylko dlatego, że go porzuciła, wpadł w zasadzkę porywaczy. Jeśli pewnego dnia ktoś znajdzie tu jego zwłoki, wtedy będzie rozpaczała, i dobrze jej tak.

Ktoś łkał i po chwili John zorientował się, że to szlocha on sam. Drżenie wstrząsało jego ciałem, obolałym w spętanych miejscach, ale nie był w stanie go powstrzymać. Czuł się rozpaczliwie źle; przyczyną był z pewnością ów smród, od którego miał już w ustach niesmak, który wniknął w jego ciało i zaczynał właśnie je rozkładać. Teraz było mu gorąco, tak

potwornie gorąco, że język mu wysechł i spuchł, aż zdawało mu się, jakby miał w ustach gumową piłeczkę.

Coraz bliższe szuranie. Kroki? Szczury? Niech go sobie zjedzą, cóż go to obchodzi. Ale go nie pożarły, gryzły rzemienie na jego plecach, a potem jego ręce odpadły bez życia od tułowia tak ciężko, jakby były martwe, nie należały już do niego, pulsowały i tętniły, jakby miały pęknąć.

Potem poszły do jego krtani i tam dotykały go jak dłonie, rozsypywały i gniotły i szarpały, aż w końcu ściągnęły mu z głowy kaptur. Jaskrawe światło napełniło mu oczy łzami. Widział nad sobą tylko nieskończoną szarość, a na jej tle niewyraźną twarz ciemnowłosej kobiety.

— Ursula — powiedział uszczęśliwiony.

Ursula powiedziała coś, zdziwił się, że rozmawia z nim po hiszpańsku. Poczul łaskotanie, gdy ustąpił ucisk wokół łydek. Podała mu rękę, miała szeroką, anielską twarz, oczy ciemne jak głębokie studnie. Pomogła mu się podnieść, a dziecko u jej boku pomogło mu także, ale jego wszystko bolało, gdy stał, stopy bolały jak otwarte rany, a kiedy spojrział w dół, zobaczył, że jego buty znikły.

— To podłóść — powiedział do niej. — To były buty na miarę od Johna Lobba, za sześć tysięcy dolarów.

Spojrziała tylko na niego i pozwoliła mu się oprzeć o siebie, i tak powoli poszli w dół hałdy śmieci, do drzwi, w których wisiał kawałek kraciastego materiału. Za nim było ciemno i ciasno, i było miejsce, na którym mógł się położyć. Ktoś dźwignął jego głowę i napił go ciepłą wodą, smakowała metalem, ale zwilżyła język i gardło, nasączyła ciało, a kiedy kubek był pusty, pozwolono mu się położyć i zasnąć.

Raz po raz budził się z gorączkowych koszmarów, wynurzał z

otchłani strachu i zwątpienia, zrywał z krzykiem — i była tam dłoń, która kładła go z powrotem i przykładała mu do ust kubek z wodą. Łagodny głos, nie rozumiał go, ale uspokajał się na jego dźwięk, aż z powrotem pogrążał się w ciemności.

W tamtym czasie serce waliło mu jak opętane, zużyło zapas uderzeń z połowy życia, by wypędzić z jego krwioobiegu truciznę, wybić załążki choroby, wypocić koszmary. Tonął w pocie, rzucał się, słyszał, jak łka i skarży się i wzdycha, aż znów ogarniało go zapomnienie.

Mówiła do niego, śpiewała mu dziwne piosenki. To nie Ursula, nie. Kobieta miała aksamitną, brązową skórę i patrzyła na niego smutno. Schładzała mu czoło wilgotnymi chustami, kiedy było mu za gorąco, gałki oczne paliły a serce groziło, że pęknie. Kładła mu czasem dłoń na piersi i zaklinała nieznanym bogów, aż zaczynały mu ciążyć powieki i powracał sen.

John zbudził się z uczuciem, że gorączka się wypaliła. Był słaby, każda zmiana pozycji popychała serce do gonitwy, ale umysł miał jasny, ciało lekkie, trzeźwe spojrzenie. Znów wiedział, co zaszło, i wiedział też, że jest uratowany.

Była tam zasłona, którą pamiętał, zasłona z tkaniny w kratkę, jaśniała, gdyż na zewnątrz panował dzień i świeciło słońce. Było słychać głosy, dalekie wołania, bliskie rozmowy, wokół musiały być setki ludzi. Pobrzękiwał metal, kamienie stukały o kamienie, skrzętna pracowitość. A wszystko to przesiąknięte gryzącym zapachem śmieci, dymu, rozkładu, zgnilizny.

Powietrze było brudne. On był brudny. Czuł się tłusty. Skórę pokrywała mu warstwa nierozpuszczalnego łożu, bielizna wrzynała się sztywno i kleiście w kroku, skóra na głowie swędziała rozpaczliwie... Kiedy dotknął swojej brody, odkrył zarost, i to jaki, wielki Boże — jak długo musiał być chory? To już

nie była kłująca bródka, ale miękka, długa broda, jakiej nie miał jeszcze nigdy w życiu.

Rozejrzył się. Nędzne schronienie z blachy falistej i kartonu, tylko obok niego był kawałek kruszącego się muru. Zajmował jedyne legowisko w pomieszczeniu, pełen guzów i pęknięć materac nakryty szarym kocem. Obok niego stały kartony po pomarańczach i zwichrowany, spłowiały koszyk z dobytkiem, osmalony obraz Matki Boskiej był jedyną ozdobą, pod nim wisiał kawałek stłuczonego lustra, a na ziemi, wzdłuż muru, stały brudnozielone butelki z wodą, pudło pomarszczonych jarzyn i, osobliwa tutaj, para butów na wysokich obcasach.

Przewrócił się na bok, jęknął przy tym, mógł teraz w kawałku lustra dojrzeć swoje odbicie, i zobaczył obcego. Zapadłe policzki na wychudłej twarzy, sfilcowane włosy, do tego osobliwie skłębiona broda: nawet własna matka by go nie poznała. Musi być tu już co najmniej od dwóch tygodni, jeśli nie dłużej. O ile ten, którego widzi w lustrze, to naprawdę on. O ile jakimś cudem albo przez nielegalną operację jego dusza nie znalazła się w ciele innej osoby, jakiegoś starego włóczęgi i zbieracza śmieci. Nie był całkiem pewny.

Odsunięto kotarę, do środka wpadła szeroka smuga światła, odzierając kryjówkę z wszelkiego malowniczego uroku i bezlitośnie obnażając jej nędzę. John rozglądał się, mrugając. Ona. Ta, która go uratowała, zabrała ze śmietniska, uwolniła, przygarnęła i pielęgnowała. Mała, ciemnoskóra kobieta z szeroką twarzą o indiańskich rysach i tłustych, czarnych włosach, ubrana w prostą sukienkę w nieokreślonym kolorze, stała i patrzyła na niego spokojnie.

— Ty dobrze? — zapytała.

— Tak. Dziękuję — skinął głową John. — Czuję się już o wiele



lepiej. Bardzo dziękuję, że mnie pani przygarnęła; myślałem już, że umrę tam na tych śmieciach.

Pokiwała lekko głową, jakby musiała przemyśleć to, co powiedział, wyglądała na zmartwioną.

— Ty iść — powiedziała potem. — Jedna godzina. Potem wrócić. Okay?

John patrzył na nią zbity z tropu, niepewny, czy ją dobrze zrozumiał.

— Mam wyjść na godzinę?

— Tak. Godzina, potem wrócić. Położyć.

— Jasne — przytaknął. — Nie ma problemu. — Usiadł i zauważył, że jednak jest problem. Musiał podeprzeć się o kamienną ścianę, aż ustało ciemne migotanie wokół niego. — Nie ma problemu — powtórzył mimo to i spróbował stanąć na nogach. Sufit był za nisko, by się wyprostować, ruszył więc na zewnątrz, odsunął zasłonę i zamrugał w jaskrawym świetle dnia.

— Ja ciebie zawołać — usłyszał ją, głos dochodził od rozmytej twarzy na oślepiająco jasnym tle.

— Jasne — odpowiedział John, mocno kiwając głową i wymacał drogę wzdłuż resztki muru wysokiego do bioder. Szedł tak jakiś czas, aż jakieś zwierzę otarło mu się o nogi, kot, i pomyślał, że może lepiej będzie nie oddalać się tak bardzo od chaty.

Nie czuł się jeszcze naprawdę dobrze, o nie. Łzawiącymi oczyma rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby usiąść. Dym palił go w nos i w oczy, ocierając je wierzchem dłoni odkrył, że dym wydobywa się z ogniska w pobliżu. Stał na nim pogięty garnek, w którym bulgotało coś, co pachniało warzywami i kukurydzą. Dwa parchate psy leżały obok z wywieszonymi językami. Pojawiła się przygarbiona, stara kobieta, zamieszała zupę i burknęła coś nieprzyjaźnie, John nie zrozumiał nawet, czy do niego, czy do

psów. Na wszelki wypadek wstał i poszedł dalej.

Było tu prawdziwe osiedle u stóp góry śmieci, wioska z blachy, płacht plastyku i drewnianych desek, wzniesiona na gruzie, wzgórzach zbutwiałego papieru i hałdach podartych na strzępy plastikowych worków. John zdziwiony obserwował, jak dzieci i dorośli, przygarbieni, przeszukują zbocza śmietniska i skarpy odpadków, wybierając to, co uznają za warte dalszego używania, jak układają złom na stosy pilnowane przez innych członków tej dziwacznej armii zbieraczy śmieci, jak rozkłada się kartony i fachowo rozrywa worki ze śmieciami, wydobywając z nich podarte ubrania, stare akumulatory, butelki, puszki i inne różności. Starsi mieli na głowach czapki z daszkiem, osłaniające twarze chustki i rękawice, dzieci dzinsy i koszulki polo w paski, z krótkimi rękawami, nie wyglądały nawet specjalnie biednie, raczej tak, jakby były na wagarach i przeczekiwały je na śmietniku.

Nagle w mężczyzn, kobiety i dzieci wstąpiło ożywienie. Ciężki silnik wył, coś trzeszczało i skrzypiało, aż w końcu na górnej krawędzi hałdy śmieci pojawiła się ogromna ciężarówka. Manewrowała u góry, podczas gdy na dole wzdłuż zbocza walczone o najlepsze miejsca, potem wywrotka podniosła się z przenikliwym piskiem i jej zawartość wysypała się w przepaść. W jakiś absurdalny sposób wyglądało to tak, jakby ha fedrujących w śmieciach górników wypróżnił się róg obfitości pełen dobrodziejstw.

Natychmiast rozgorzała gwałtowna kłótnia o najlepsze kawałki. Ktoś chwycił wiązkę kabla, inny ciągnął worek ubrań, trzeci zdobył pociętą mikrofalówkę. Oddzielano butelki i wkładano je do wleczonych za sobą plastikowych wiader, wyglądało na to, że przydają się kawałki drewna każdej wielkości, blaszane puszki

przed wrzuceniem do worków i toreb rozgniatano obcasami.

Dopiero teraz John odkrył kilka grubych postaci, przycupniętych na obrzeżu na stosach materaców albo zniszczonych fotelach. Do nich pielgrzymowali zbieracze, by przedstawić im swój łup, zważyć go i dostać za niego pieniądze. Każdy z tych wodzów był odpowiedzialny za inny surowiec, jeden za metale, inny za plastik, korpulentna kobieta skupowała szkło, a gruby mężczyzna drewno. Więc i tutaj chodzi o pieniądze, jak wszędzie. Pewnie i tu mógłby zacząć pytać i wiercić, by w końcu dowiedzieć się, że wszyscy ci ludzie przegrzebują kupę śmieci, zbierają i sortują, by dołożyć swoją część do jego majątku. Zemdlilo go, ten smród, to miejsce, wszystko.

Ktoś zawołał. John potrzebował chwili, nim zrozumiał, że okrzyk ten skierowany był do niego.

— Przyjść — wołała kobieta z chaty, kiwając. Podniósł się, potykając o gruz i skorupy poczłapał z powrotem, okrążając strugę brązowego, połyskującego olejem cieku, sączącego się spod śmieci. Widział, jak za kobietą wyszedł z chaty mężczyzna zapinający spodnie, i zrozumiał, że jego wybawicielka jest prostytutką.

Gorączka wróciła, powaliła go, na długi czas pozbawiając jego gospodynię zarobku. Raz obudził się w nocy, zobaczył ją, jak zapala świeczkę przed obrazem Matki Boskiej i pomyślał z gorączkową pewnością, że modli się o jego wyzdrowienie albo żeby pozbyć się go jakoś w przyzwoity sposób. Za dnia, kiedy się budził, siedział przy nim chłopak, przykładając mu do czoła wilgotne szmaty i patrzył na niego poważnym wzrokiem.

— Jak się nazywasz? — spytał John.

— *Mande?* — spytał chłopiec. Miał może siedem lat albo nawet

mniej, ubrany był w krótkie spodnie i poplamioną, kraciastą koszulę.

Widział kobietę, jak gotuje przed drzwiami na otwartym ogniu, i kiedy przynosiła mu miskę zupy, głód był silniejszy od wszelkich zahamowań. To się jej chyba podobało, w każdym razie uśmiechała się wtedy zawsze i dawała mu więcej.

Gorączka wróciła, ale już go nie zżerała, musiała tylko dokończyć rozpoczętego dzieła i opadała z dnia na dzień. Wkrótce siedział obok niej, kiedy gotowała, i przyglądał jej się; rozmawiała w tym czasie z synem, nie przejmując się nim, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem, że on tutaj jest. Czasem zamieniali kilka słów, posługując się jej nieporadnym angielskim i rękami. Dowiedział się, jak się nazywa: Maricarmen Berthier. Potrafiła to nawet napisać, i kazał nabazgrać jej to na małym kawałku kartonu, który troskliwie wsunął do kieszeni.

— Okażę swoją wdzięczność, jak tylko będę mógł — oznajmił jej, nie wiedząc, ile ona z tego rozumie. — Mam konto w każdym banku na świecie, możesz to sobie wyobrazić? Muszę tylko tam pójść i powiedzieć, kim jestem, wtedy dostanę pieniądze. I wtedy cię spłacę. A nawet więcej.

Kiedy mówił, ona mieszała w garnku, uśmiechając się boleśnie.

W końcu poczuł się dostatecznie silny, by odejść. Powiedziała mu, że powinien iść na zachód. Podziękował jej jeszcze raz i pożegnał się. Została przed swoją chatą, krzyżując ręce na piersiach, jakby sama musiała się przytrzymywać, i patrzyła za nim, aż zniknął.

Kiedy doszedł do drogi, zatrzymała się przy nim mała ciężarówka, jadąca ze śmietniska, i pozwolono mu jechać w skrzyni obok złomu. Pędzili w iście piekielnym tempie szerokimi i wąskimi ulicami, mijając niezliczone slumsy, zadymione tereny

przemysłowe i bezduszne osiedla wieżowców, trasą, na której pokonanie piechotą potrzebowałoby wielu dni, ale po pewnym czasie uzmysłowił sobie, że nie wie, dokąd właściwie go wiozą i czy czasem w tym piekielnym tempie nie oddala się od celu. I jaki właściwie w ogóle jest jego cel? Zapukał do kabiny kierowcy i dał znak, że chce wysiąść.

Stał potem na krawędzi drogi, zdany tylko na siebie, zagubiony w mieście, w porównaniu z którym Nowy Jork wydał mu się całkiem przejrzysty i nieskomplikowany. Pomachał oddalającej się z warkotem ciężarówce, z której odmachalo mu nagie brązowe ramię, potem i to znikło.

Rozejrzał się. Wysokie, odpychające mury, zwietrzałe tablice reklamowe, okratowane okna. Nieliczni chodzący tu ludzie ustępowali mu z drogi, i kiedy spojrzął po sobie, zrozumiał, dlaczego. Jego niegdyś elegancki, szyty na miarę jasny garnitur wisiał na nim strzępami nieokreślonego koloru, na stopach nie miał butów, zamiast tego szedł w dziurawych, przetartych skarpetkach, i dawno już przestał czuć, jak bardzo śmierdzi. Niejasno uświadomił sobie, że nie będzie mu łatwo udowodnić, że jest najbogatszym człowiekiem świata.

W jednym miejscu, wyglądającym na przystanek autobusowy, przyśrubowano do muru tablicę z przyklejonym rozkładem jazdy i pogładowym planem miasta *Mexico D.F.* i jego okolic. John zagłębił się w jego studiowanie. Wyglądało na to, że znajduje się na północy miasta, w jakiejś jego części nazywającej się Azcapotzalco. Spróbował zrekonstruować drogę, którą wiozła go ciężarówka, i doszedł do wniosku, że wysypisko musiało być w Netzahualcóyotl, miejscowości w pobliżu jeziora o nazwie Texcoco.

Znaczyło to, że powinien teraz trzymać się kierunku na

południe. Spróbował na podstawie położenia słońca i prawdopodobnej pory dnia oszacować, gdzie może być południe. Przez chwilę zastanawiał się, jak mógłby zdołać dostać się do autobusu, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Potrzebowałyby wielogodzinnej kąpieli, całkiem nowej garderoby i pieniędzy, nim mógłby o czymś takim pomyśleć.

Odwrócił głowę na odgłos nadjeżdżającego samochodu. Było to auto policyjne. Oczywiście, policja! Z pewnością szukają go od chwili uprowadzenia. Musi tylko zwrócić się do najbliższego policjanta, by pozbyć się wszystkich kłopotów.

W tej samej chwili pod dachem domu naprzeciwko otworzyło się okno, wystawiła z niego głowę jakaś stara kobieta, wskazała na niego palcem i krzyknęła coś. Samochód policyjny zatrzymał się, wysiadło z niego dwóch mężczyzn i zbliżyli się do niego, kołysząc się demonstracyjnie w stylu macho, z pałkami gotowymi do ciosu w dłoniach.

Nie wyglądało na to, by przyjechali zmniejszyć ilość jego kłopotów. John spróbował oddalić się w przeciwnym kierunku i ucieszył się niezmiernie, gdy policjanci okazali się usatysfakcjonowani takim wynikiem swojej interwencji.

Więc jednak to nie był taki dobry pomysł. Zwrócenie się do policji oznaczało oddanie się znów w ręce kogoś, kto ma broń, a tego miał na razie dość. Przypomniała mu się pewna uwaga wygłoszona przez kogoś podczas lotu tutaj, prawdopodobnie jednego z ochroniarzy: w Meksyku nic nie jest tak niebezpieczne jak policja. Nie, poradzi sobie sam. *Fontanelli Enterprises* ma w Mexico City filię, do której może się bezpiecznie zwrócić. Nie wiedział wprawdzie dokładnie, gdzie znajduje się biuro, ale w każdym razie gdzieś w centrum. I będzie musiał dotrzeć tam pieszo.

Ruszył więc. Jeśli nawet będzie potrzebował kilku dni, co z tego? Nie potrzebuje niczego, po długim czasie w gorączce nie odczuwa nawet głodu. Od czasu do czasu trafiał na studnię albo małą strużkę, z której brał kilka łyków, by spłukać kurz z gardła; nie przejmował się tym, że woda ma słonawy smak albo połyskuje oleiście. Wędrował wzdłuż ulic, na których ruch zagęszczał się coraz bardziej, im dalej się posuwał, co uznał za dowód, że zmierza we właściwym kierunku. Przechodził malowniczymi zaułkami wśród malutkich, kolorowych chatek, w drzwiach których w zardzewiałych żelaznych beczkach rosły kwiaty i zioła, a pranie suszyło się na linach rozpiętych w poprzek ulicy. Dzieci bawiły się tu z kotami i patrzyły za nim ciekawie, a jakaś kobieta skinęła na niego i podarowała mu parę znoszonych tenisówek — prezent, który sprawił, że oczy wypełniły mu się łzami. Wyszukiwał drogę przez nędzne dzielnice, gdzie udeptana ziemia usłana była odpadkami, domy po prawej i lewej były tylko niedokończonymi budowlami z betonu, stalowe pręty zbrojenia sterczały z murów na wszystkie strony i rdzewiały, a nad nimi rozpościerało się niebo pełne anten telewizyjnych i fantazyjnie krzyżujących się w różnych kierunkach kabli. Parszywe psy kłębiły się w ciemnych kątach, niektóre dzieci były owinięte tylko w koce: tutaj nawet on nie rzucał się w oczy. Potem znów szedł przez lepsze dzielnice, w których domy miały fasady zdobione sztukaterią i małe balkoniki w francuskim stylu, a przed kościołami rozpościerały się malownicze place, otoczone drzewami i bujnymi palmami. Domy robiły się coraz wyższe, rosła ilość neonów i szerokość ulic, i kiedy wreszcie znów natknął się na plan miasta, było na nim przedstawione już tylko centrum, nie było przedmieść.

Tutaj też pierwszy raz zobaczył żebraków w tak dużej ilości:

kalecy mężczyźni, przykucnięci na skraju drogi i wyciągający błagalnie dłoń do każdego przechodnia, kobiety z niemowlętami zawiniętymi w chustę, narzucające się idącym do samochodów mężczyznom w dobrych garniturach i dające za wygraną dopiero, gdy dostały swoją monetę, dzieci w ubraniach brudniejszych nawet od tych, jakie widział w slumsach, z głośnym lamentem otaczające pierścieniem japońskich turystów. Mieszkańcy miasta przechodzili wśród tej powszechnej zebraniny obojętnie, choć można było poznać po nich wysiłek, by jak najmniej przyjmować ją do wiadomości.

Znalazł budkę telefoniczną, w której książka numerów była na tyle dobrze zachowana, że mógł z niej odczytać adres filii i znaleźć go mniej więcej na planie śródmieścia. Plaża de San Juan, nieco na południe od Alameda-Parks, który łatwo znaleźć: ilekroć kogoś pytał, każdy był zadowolony, że chce od niego tylko informacji, a nie pieniędzy; musiał po prostu iść za pośpiesznie wyciągniętą ręką:

— Alameda ? Alla!

W końcu odszukał biuro, wąski dom w stylu kolonialnym, na którego frontonie na białym tle widniało nieomylnie rozpoznawalne ciemnoczerwone *f*. Wokół niego tłoczyli się reporterzy.

Człowiek za kierownicą wozu transmisyjnego opróżnił puszkę coli po ostatnią kroplę. Grdyka podskakiwała mu przy łykaniu. Potem zgniótł puszkę w dłoniach i niedbale rzucił ją na ulicę.

— Zakładając, że jego zwłoki pływają w jakimś morzu — powiedział do stojącej przy nim w otwartych drzwiach kobiety. — Jak w takim razie chcą je znaleźć? Nie ruszymy się stąd przez pięć lat.

— Uspokój się, za pięć lat już nas tu nie będzie — odparła



kobieta.

Była szczupła i delikatna i miała dziką grzywę rudych loków.

John, stojący za nimi na ulicy i, podobnie jak oni, przyglądający się budynkowi naprzeciw, zrozumiał, że tych dwoje rozmawia o nim. Myślą, że nie żyje. Jeśli teraz wejdzie do tego domu, rzuca się na niego tak, że w końcu będzie żałował, że jeszcze żyje.

— Akurat Mexico-City — narzekał dalej mężczyzna. — Niedobrze mi się robi od tego miasta. Mówię ci, naprawdę, czuję to w gardle. Codziennie rano, kiedy się budzę, nie mogę powstrzymać kaszlu, jakbym zupełnie niepotrzebnie rzucił palenie. Co na to powiesz? Po to odzwyczajam się do palenia, żebym potem całymi tygodniami tkwił w tym mieście, w którym na każdym rogu śmierdzi przeraźliwie... — Przy tych słowach odwrócił się gwałtownie, jakby zwąchał Johna. Skrzywił się jeszcze bardziej. — Hej, Brenda, popatrz tylko. Mamy widownię.

Jego koleżanka odwróciła głowę i spojrzała. Johna przeniknął gorący dreszcz, gdy uświadomił sobie, że zna tę kobietę. *Brenda Taylor, CNN*, pamięć z nieprzydatną na nic skrupulatnością podsunęła mu nazwisko. To była ta kobieta, która na pierwszej konferencji prasowej w domu Vacchich spytała go, czy bogactwo go uszczęśliwia. A teraz przyglądała mu się badawczo...

Wiedziony intuicją John wciągnął głowę w ramiona i zaczął lamentować w mniej więcej takim slangu, jaki w starych amerykańskich serialach telewizyjnych był znakiem rozpoznawczym Meksykanów:

— Please, missis! Ten dollars, please, missis!

— O Boże! — jęknął mężczyzna. — Jak ja tego *nienawidzę*.

Natychmiast przestała go badawczo obserwować. Zerknęła w bok, otuliła się ramionami i rozdrażniona syknęła do swojego kolegi:

— Daj mu te cholerne dziesięć dolarów, żeby zniknął.

— Dziesięć dolarów? To po prostu bezczelność, Brenda, żeby komuś... — zniesmaczony sięgnął do kieszeni, wyłowił z niej banknot i rzucił go Johnowi. — No dobrze, masz. A teraz spadaj. *Vamos*. Cholera, jak ja nienawidzę tego miasta — zazgrzytał zębami i też się odwrócił.

— *Gracias* — wymamrotał John, na czym zresztą kończyła się jego znajomość hiszpańskiego. — *Muchas gracias, señor*. — I szybko odszedł.

Kilka ulic dalej znalazł mały urząd *Teléfonos de Mexico*, reklamujący się niebiesko-białym szyldem z napisem *larga distancia*. Zszedł kilka stopni w dół do niskiego pomieszczenia, w którym stał automat z napojami, a za ladą siedział gruby mężczyzna z mapą Meksyku za plecami. Ściany obklejone były grubą warstwą plakatów informujących o koncertach i nabożeństwach. Biuro było zapuszczone, ale na tyle czyste, że mężczyzna czuł się uprawniony do zlustrowania go pogardliwym spojrzeniem.

— Czy mogę zadzwonić? — spytał John i położył na ladzie dziesięciodolarówkę.

Krzaczaste brwi uniosły się.

— Za granicę — dodał John. — USA.

Brwi opadły. Opierścieniona łapa ściągnęła banknot z blatu, druga wskazała prawy z dwóch aparatów telefonicznych na ścianie.

— *Está bien. Dos minutes*.

John podziękował sinieniem głowy i wziął słuchawkę. Teraz tylko się nie pomylić. Wybrał kierunkowy za granicę, 98, wypisany wyraźnie i we wszystkich popularnych językach na aparacie. Potem 1 dla USA.

Potem przerwał. Chciał zadzwonić do sekretariatu nowojorskiej filii i polecić, by dyskretnie zabrały go stąd służby bezpieczeństwa. Ale teraz ten pomysł wydał mu się jakoś dziwną pomyłką.

Mężczyzna za ladą bąknął coś, gestykulując ponaglał go, by dalej wybierał numer:

— Ánde!e, ánde!e!

Nie. To nie jest dobry pomysł, choć nie wie, dlaczego. John uniósł dłoń, chciał już nacisnąć widełki, gdy przez głowę przemknęła mu myśl, której posłuchał, nie zastanawiając się więcej. Jego palce wystukały zero i potem cyfry numeru telefonu, którego nigdy by nie zapomniał, tak samo, jak nie zapomina się daty urodzin swojego najlepszego przyjaciela.

— Halo? — odezwał się głos Paula Siegela.

*Zócalo* był sercem miasta i jego największą dumą. Wielki, jakby stworzony dla przemarszów i parad, otoczony potężną katedrą i pompatycznym pałacem, rozległy i przestronny, dzień i noc pełen tłoczących się na nim przechodniów, żebraków, malarzy ulicznych, zakochanych par, rodzin i fotografujących się turystów. Wokół niego przelewał się nigdy nie słabnący strumień samochodów, a na środku dumnie powiewała narodowa flaga. Wieczorem maszerował tu oddział gwardii, aby ceremonialnie ściągnąć ogromną płachtę, potem wzdłuż fasad zapalały się tysiące lamp, jednocząc się w efektowną nocną iluminację.

John czuł się niewidzialny. Powoli wędrował wokół placu, cały czas rozglądając się, stale gotów rzucić się do ucieczki, obojętne z jakiego powodu, ale nikt na niego nie patrzył ani nic od niego nie chciał. Przeszedł wzdłuż ciągnącego się bez końca frontonu *Palacio Nacional*, zatopił w kontemplacji reliefu na katedrze, włóczył bez celu po arkadach pełnych sklepów sprzedających albo ozdoby, albo kapelusze, nic innego. Zatrzymał się przed gablotą i zamyślony oglądał biżuterię leżącą w niej niczym złoto Azteków, kiedy postawna matrona w ondulowanej fryzurze wcisnęła mu w dłoń kilka monet, tak zdecydowanie, że nie odważył się zaprotestować. Na stoisku w jednej z przecznic dostał za nie taco, zjadł je w mgnieniu oka, a potem żałował, bo zalegało mu w żołądku jak beton.

Czuł się niewidzialny i w osobliwy sposób wolny. W ciągu minionych tygodni jakby opadły z niego wszystkie niezbędne atrybuty cywilizacji, wszystkie te uciążliwe codzienne zabiegi higieniczne, niezliczone zobowiązania życia społecznego, wszystko to przypominał sobie jak coś, co dotyczyło kiedyś kogoś

innego i o czym tylko mu opowiadano. Nie miał nic do roboty, jednak nie nudził się, był zadowolony mogąc gdzieś przysiąść, oprzeć się o mur, i spokojnie patrzeć na ludzi. Co jakiś czas czuł fizyczną potrzebę, ale nienatarczywą, jakby jego ciało chciało jemu pozostawić decyzję, czy pójdzie za nią, czy nie. Głód, pragnienie, zmęczenie — wszystko było obecne, ale trzymało się w tle, nie narzucało się ani go do niczego nie zmuszało.

Odczuwał pokój ze sobą i ze światem, jakiego nie czuł jeszcze nigdy, i niemal życzyłby sobie, żeby Paul nigdy nie przyjechał.

Ale w końcu przyjechał. Zawsze ta sama szczupła postać w okularach, stał przed głównym wejściem do katedry i nie zaszczycając historycznej budowli nawet jednym spojrzeniem, rozglądał się po placu. John wstał z westchnieniem i powlókł się do niego, szerokim łukiem i powoli, żeby nie rzucać się w oczy, aż nierozpoznany stanął tuż obok niego.

— Cześć, Paul — powiedział.

Paul Siegel odwrócił się i spojrzał na niego, najpierw z niedowierzaniem, potem, im dłużej to trwało, coraz bardziej oszołomiony.

— John...? — zadyszał, a jego oczy wyglądały tak, jakby tylko szkła okularów powstrzymywały je przed wypadnięciem.

— Tak się zmieniłem?

— Zmieniłeś? — złapał oddech Paul. — O *Boże*, John — wyglądasz jak fakir, który po dwudziestu latach medytacji zszedł z Himalajów.

— I śmierdzę jak czyściciel rur kanalizacyjnych, jak mi się zdaje.

— Tak, po dwudziestu latach w kanale. — Potrząsnął głową. — Co za szczęście, że mam samochód z wypożyczalni.

Wyjechali z miasta i pojechali na północ, z otwartymi oknami,

gdyż Paul inaczej by nie wytrzymał. Miał przy sobie różne jedzenie, herbatniki, owoce, napoje i tym podobne, i dziwił się, że John ociąga się z sięganiem po nie.

— Wszystko higienicznie bez zarzutu — podkreślił.

— Mhm — mruknął tylko John.

Zatrzymali się przy hotelu, który Paul zakreślił sobie w grubym, szczegółowym przewodniku.

— W samolocie z Waszyngtonu miałem dużo czasu na czytanie — powiedział, niemal usprawiedliwiając się. — Mógłbyś mnie teraz spytać, o co chcesz, zdaje mi się, że znam Meksyk jak własne mieszkanie. — Załatwił formalności i przemycił Johna do pokoju wyposażonego w ciepłą wodę i wannę. — Pomyślałem, że to nie zaszkodzi, kiedy opowiedziałeś mi o śmietniku. I to też — stwierdził i wyjął z torby dużą plastikową butelę specjalnego mydła w płynie. — Używają tego górnicy i, no cóż, śmieciarze.

John wziął jaskrawoczerwoną, imponującą butelę do ręki.

— Ty potrafisz naprawdę wszystko zorganizować. Niech zgadnę — czyste ubranie też masz?

— W bagażniku. Przyniosę je, kiedy ty zanurkujesz do wanny.

— Jesteś geniuszem.

Paul uśmiechnął się smętnie.

— Ach tak? To dlaczego w takim razie nie jestem szczęśliwy i bogaty? Chodź, do łazienki. Jesteś obrazą ludzkości. Acha, i jeszcze coś — na twoim miejscu nie goliłbym brody.

Po kąpeli i mnóstwie specjalnego mydła John czuł się jak nowo narodzony. Bielizna, którą przywiózł Paul, pasowała jako tako, natomiast koszule, spodnie i pantofle dobrał tak, że mogły pasować właściwie każdemu. Siedzieli potem przy stole nakrytym w hotelowym patio, jedli kolację i omawiali dalsze plany.

— Poleciałem do San Antonio i przekroczyłem granicę w Laredo — wyjaśnił Paul. — I jeśli nie masz nic przeciw temu, wróciłibyśmy tą samą drogą. Ach, przy okazji, twój paszport — dodał, wyjął z kieszeni niebieski amerykański dokument i podsunął go po blacie stołu.

— Słucham? — John wziął, przekartkował. Zdjęcie przedstawiało szczupłego mężczyznę z rzadką bródką, w rubryce *nazwisko* wpisano *Denis Young*, urodzony 16 marca 1966 w Rochester. — Kim jest Denis Young?

— Dobrym przyjacielem dobrego przyjaciela. Nie zadaje pytań i nie zna dziennikarzy.

John przyjrzał się twarzy o młodzieńczym wyglądzie.

— Myślisz, że się uda?

— Musisz mieć paszport, jeśli chcesz przekroczyć granicę, prawda? I, prawdę mówiąc, jestem zaskoczony, jak dobrze to zdjęcie pasuje do ciebie po twojej śmietnikowej kuracji. Nie sądzę, żeby jakiś celnik cokolwiek podejrzewał.

— Hmm — mruknął zamyślony John. — Cóż, pewnie się nie uda.

— Wsunął dokument do kieszeni. — Dziękuję.

— Proszę — powiedział Paul. Nalał sobie nieco wina, potem, trzymając kieliszek za nóżkę, pochylił się do Johna. — Wiesz, jakie pytanie będę ci musiał zadać?

— Jasne jak słońce.

— Mogłeś iść na policję.

— Tak.

— Wciąż cię szukają.

— Nie bardzo w to wierzę.

— Mogłeś przynajmniej zadzwonić do swoich ochroniarzy.

— Chciałem w pierwszej chwili. — John głośno odetchnął. —

Nie umiem ci tego wytłumaczyć. To było... przeczucie. Myślę nawet, że intuicja. Głos, który doradził mi, że lepiej zniknąć z tego wszystkiego bez śladu i pozostać w ukryciu.

Paul przyglądał mu się sceptycznie.

— Głos.

— No cóż, właściwie nie głos — przyznał John. — Nie wiem dokładnie, co to było. Uczucie, jakie masz czasem, kiedy przesuwasz językiem po zębach i coś wydaje ci się nie w porządku — ale kiedy spojrzysz lustro, nic nie widać.

— Hmm — mruknął Paul.

John zgarnął na obrusie kilka okruchów.

— Ten Bleeker mówił o jakichś zleceniodawcach. To nie daje mi spokoju.

Mieszkanie Paula w Waszyngtonie przypominało to, które miał na Manhattanie tak bardzo, że John przez chwilę miał wrażenie, że nie jest w żadnym określonym miejscu. Widok nie roztaczał się na Hudson, tylko na Potomac River, a w oddali widać było Kapitol, ale meble były te same, ten sam wyszukany smak i prawie taki sam układ pokoi.

— Firma budowlana też była ta sama — stwierdził Paul. — Zdaje mi się, że taniej jest budować według sprawdzonego projektu.

Wszystko poszło gładko. Bez problemów przejechali przez meksykańską wyżynę, bez żadnych pytań przekroczyli granicę w Laredo i przylecieli najbliższym lotem do Waszyngtonu. Oddając samochód, Paul poskarżył się na niemiły zapach, pogarszający się podczas jazdy, na co pracownik wypożyczalni powiedział, że przyczyną może być uszkodzenie w układzie wentylacji, zaproponował obniżkę ceny i odetchnął, kiedy Paul ją odrzucił: aż tak źle znów nie było.



— Dałem wolne sprzątaczkę — oznajmił Paul, kiedy wrócił z zakupami na weekend. — Musimy sami sprzątać nasze brudy, póki tu będziesz.

— Nie ma sprawy. — John wygodnie rozsiadł się przed telewizorem i studiował wiadomości. Wyglądało na to, że McCainowi udało się doprowadzić do upadłości banku Yamaichi i wplątać japoński rząd w skandal finansowy; powtarzano wciąż ujęcie, w którym zapłakany minister finansów kłania się bez przerwy i prosi o wybaczenie. Mówiono, że jeden z dyrektorów banku popełnił samobójstwo.

O zniknięciu Johna Fontanellego przed ponad trzema tygodniami wspomniano tylko na marginesie. Specjalna komisja policji uważnie sprawdza każdą informację otrzymaną od ludności, zagęszczają się wskazówki, że było to porwanie, nadal nie przedstawiono jednak żadnych zarzutów, przynajmniej żadnych wiarygodnych. Brzmiało to tak, jakby w gruncie rzeczy nic nie wiadano.

— Co teraz zamierzasz? — spytał potem Paul. Siedzieli przy stole, na wprost okna, z którego roztaczał się wspaniały widok. Gotował Paul, smakowało wyśmienicie, choć jedzenie było proste. John zastanawiał się, czy istnieje coś, w czym jego przyjaciel z dzieciństwa nie jest doskonały.

— Wczoraj przed zaśnięciem — powiedział, sięgając spojrzeniem w dal poza bajeczne migotanie rzeki — przyszła mi do głowy pewna myśl. Dość potworna i, prawdę mówiąc, najchętniej wyrwałbym ją obcęgami i zapomniał, ale nie potrafię.

— Myśli czasem tak mają.

— To podejrzenie.

— To zrozumiałe.

John zaczął poprawiać na stole szklankę i układać nóż i widelec symetrycznie na talerzu.

— Kilka dni nim McCaine wysłał mnie do Meksyku — rozpoczął, zacinając się — pierwszy raz zainteresowałem się księgowością koncernu, rozumiesz? Na początku nic z tego nie rozumiałem, ale powoli świtało mi to i owo, w każdym razie... zacząłem stawiać pytania.

— Trzyma w napięciu — sucho stwierdził Paul. — Brzmi jak odcinek *Denver Clan*.

— Paul, *Fontanelli Enterprises* zapłaciło miliard dolarów honorarium pewnej firmie konsultacyjnej. Miliard dolarów!

Paul patrzył na niego zmieszany, przez ciągnące się w nieskończoność mgnienie oka wyglądał jak skamieniały, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

— I ty myślisz — krzyknął rozbawiony — że z tego powodu McCaine chciał ciebie usunąć? Bo go przejrzałeś?

John patrzył ponuro, jak Paul pokłada się ze śmiechu.

— Co w tym takiego śmiesznego?

— Och, John... — Naprawdę *plakał* ze śmiechu. — Naprawdę wciąż jeszcze jesteś synem szewca z New Jersey, dla którego nawet miliard to więcej, niż jest w stanie sobie wyobrazić. Och, John, to naprawdę pyszne...

— To znaczy, że to głupie podejrzenie?

— Głupie? — naigrawał się Paul. — Więcej niż głupie — na to po prostu brakuje słów...

John oparł się i poczekał, aż Paul się jako tako pozbiera.

— Cieszę się, że masz z mojego powodu trochę rozrywki — powiedział wtedy — ale chętnie pośmiałbym się z tobą.

— John — zaczął Paul, nadal ocierając kąciki oczu i policzki — interesowałeś się księgowością. W takim razie na pewno

będziesz potrafił podać mi kilka podstawowych liczb. Az nich będzie można wyciągnąć kilka podstawowych wniosków. Jakie na przykład były obroty koncernu w zeszłym roku?

John zmarszczył czoło.

— Coś ponad 2, 4 biliona dolarów.

— A *operating profit*? To znaczy czysty zysk.

— Prawie 180 miliardów dolarów.

Paul przez chwilę miał w głowie usłyszane liczby.

— No cóż — powiedział — niezbyt imponujący wynik, ale jak na koncern tej wielkości całkiem znośnie. Ilu pracowników ma w sumie *Fontanelli Enterprises*?

— Siedem i pół miliona.

— To więcej niż ludność Finlandii, tak przy okazji. Jak wysokie są całkowite koszty personalne?

John wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia.

— Hmm — mruknął Paul. — Ostrożnie szacując, pół biliona dolarów rocznie. Zależy, jak duża część jest umieszczona w krajach z tanią siłą roboczą. — Uśmiechnął się kpiąco. -1 ty myślisz, że McCainowi choćby drgnie powieka z powodu jakiegoś marnego miliarda? Nie mówiąc o tym, że miałyby knuć mroczne plany? Daj spokój.

John przytaknął. W gruncie rzeczy słysząc to, odczuł ulgę. Nagła nieufność wobec McCaina przez cały czas leżała mu na sercu, choć jej sobie nie uświadamiał.

— Chyba masz rację. Z tym synem szewca. Właściwie do tej pory przyzwyczałem się co najwyżej do rzędu wielkości „milion”. Miliard — za *doradztwo* — mój Boże, myślałem, to przecież ogromne pieniądze...

— Mnie wydają się one raczej skromne — pokręcił głową Paul.

— Już od dawna zastanawiałem się, jak McCain radzi sobie z tym wszystkim. To znaczy, on jest prawdziwym monstrum w skórze menadżera. W tak niewiele lat zbudować od podstaw taki koncern...

— Miał przecież do dyspozycji moje pieniądze — wtrącił się John.

— Ale zastanów się sam przez chwilę, jak daleko byłbyś dziś, gdybyś działał bez niego — poradził mu Paul. — Nie, to naprawdę spore dokonanie, nikt go tak łatwo nie powtórzy. Zgoda, na pewno nie jest z niego sympatyczny gość. Ale Henry Ford też nie był miły. — Zastanowił się. — Tak na szybko nie przychodzi mi do głowy właściwie żaden wielki przedsiębiorca, który nie miałby przynajmniej jednej sporej wady. Zdaje mi się, że to właśnie jest cena.

— Hmm — mruknął John. Wciąż nie był całkiem zadowolony. Nadal było jeszcze coś, jakiś szczegół, który umknął jego uwadze, a przecież był istotny. Jakiś związek, zależność, ale, do diabła, nie miał pojęcia, gdzie jej szukać.

— To przemawia raczej na jego korzyść, że zaprasza do siebie doradców biznesowych, choć nie zmusza go do tego żaden kryzys — tłumaczył dalej Paul, wyglądał teraz, jakby wygłaszał wykład przed salą słuchaczy ze świata gospodarki i nauki. — Właśnie komuś o pozycji McCaina grozi niebezpieczeństwo, że usłyszy zbyt mało krytycznych głosów i uzna swój własny osąd za absolutną rację. Czego następstwem byłoby, że nie wiedząc o tym, straciłby kontakt z rzeczywistością, i podejmowałby coraz bardziej bezsensowne i niebezpieczne decyzje. Najwidoczniej jest świadom tego niebezpieczeństwa. Utrzymanie wewnątrz firmy kultury krytyki jest trudnym zadaniem, a w przypadku firmy tej wielkości co *Fontanelli Enterprises* prawie

niewykonalnym. Zewnętrzny konsultant oferuje dlatego, że właśnie za to mu płacą, krytykę i daje konieczną równowagę. A do zarządzania drażliwymi projektami często lepiej jest wynająć kogoś z zewnątrz, komu jest obojętne, czy po zakończeniu projektu będzie znienawidzony, czy lubiany...

— Miałem wrażenie, że finansujemy całą branżę — wyznał John, słuchający tylko mimochodem.

— Och, tyle to aż nie, ale na pewno spory kawałek — Paul podchwycił wątek. — Możesz mnie związać, ale po głowie chodzi mi jakieś czterdzieści albo pięćdziesiąt miliardów dolarów, jako całkowite obroty w sektorze usług konsultingowych na całym świecie. Jak nazywają się te firmy? Zakładam, że korzystaliście z największych w branży — McKinsey, Anderson, KPMG...

— Nie. To była tylko jedna firma. Callum Consulting.

— Callum? — zdziwił się Paul. — Nigdy o takiej nie słyszałem.

John zmarszczył czoło.

— Wygląda na to, że nie jesteś na bieżąco, co?

— Na to wygląda — skinął głową Paul i wstał. — Wybacz, ale to coś, na co nie mogę sobie pozwolić.

Wspiął się po kręconych schodach, prowadzących do małego biura na poddaszu. John poszedł za nim i razem czekali, aż włączy się komputer. Tu z góry też był ładny widok, na ścieżki rowerowe i przydomowe ogródki.

— Jest kilka gospodarczych firm konsultingowych pracujących dla Międzynarodowego Funduszu Walutowego — wyjaśnił Paul, łącząc się z Internetem. — Do jednej z nich teraz się zaloguję, i właściwie powinienem cię prosić, żebyś się odwrócił, kiedy będę wpisywał hasło.

— Jeszcze jakieś życzenia? — burknął John.

Pojawiła się strona z imponującym godłem. Paul wprowadził

swoje dane identyfikacyjne, potem pojawiła się informacja, że nawiązywana jest komunikacja w trybie chronionym. Klepsydra obracała się i obracała.

— Callum Consulting — John jakby chciał poczuć na języku smak tej firmy. — Cos jakby mi dzwoniło, już od dawna. Callum — co to właściwie znaczy?

Paul wzruszył ramionami.

— Zdaje mi się, że to imię. Szkockie imię, jeśli się nie mylę.

— Imię? — Och, do diabła. To na pewno ważne. Tkwi w tym jakieś światło, ale nie chce się zapalić.

Paul uruchomił wyszukiwanie.

— Na pierwszym roku na Harvardzie mieszkałem w pokoju z jednym takim, było mu na imię Callum — opowiadał. — Głupi karierowicz. Jego ojciec odniósł sukces jako adwokat, ale chyba nie sądzisz, że przypomnę sobie teraz jego nazwisko?

Klepsydra obracała się.

— McKinley? — zastanawiał się dalej Paul. — Nie, nie McKinley.

John nagle poczuł się tak, jakby oblewał go wrzątek. *Nie jestem szczególnie obdarzony wyobraźnią, jeśli chodzi o nazwy moich firm; nazywam je imionami członków rodziny.*

— McCaine — wyrwało mu się.

— Nie. McCaine na pewno nie, to by mi się...

— Ojciec McCaina nazywał się Philipp Callum McCaine — przerwał mu John. — Dlatego *Callum Consulting*. Jego matka nazywa się Ruth Earnestine, więc jego firma brokerska nazywała się *Earnestine Investment*. Zlikwidował ją, ale nigdy go nie pytałem, czy nie ma jeszcze jakiejś drugiej firmy...

— Co? — Paul był kompletnie zbity z tropu.

W tej samej chwili na monitorze pojawił się wynik

wyszukiwania, i mieli to czarno na białym. Callum Consulting była firmą konsultacyjną dla przedsiębiorstw z siedzibą na Gibraltarze. Miała formę prawną firmy jednoosobowej, wszystkiego dziesięciu pracowników, a jedyny właściciel i dyrektor nazywał się Malcolm McCaine.

Do Bożego Narodzenia zostały już tylko niecałe trzy tygodnie i Arturo Sanchez nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy martwić tym zleceniem.

— Niech pan tu poczeka — prawnik powiedział to do kierowcy małej ciężarówki. Mężczyzna zmarszczył nos, co doskonale mógł zrozumieć. Nie lepiej było, gdy wszedł na śmietnisko i zaczął wypytywać *pepenadores*, śmieciowych górników, gapiących się na niego jak na dwugłowego osła.

Po długim wypytywaniu dotarł do koślawej, blaszanej chatki u stóp śmieciowej góry i mógł spytać młodą, zniszczoną kobietę, prawie sztywną od brudu:

— Czy pani nazywa się Maricarmen Berthier?

A ona powiedziała:

— Tak.

Sanchez odetchnął z ulgą. Nareszcie.

— Czy mniej więcej cztery tygodnie temu uratowała pani z hałdy śmieci mężczyznę i zaopiekowała się nim, kiedy był chory?

Z ociąganiem kiwnęła głową.

— *Americano*. Mój syn go znalazł. Myślałam, że umrze od gorączki, ale nie umarł. Uleczyła go Matka Boska. — Uniosła dłonie. — Ale już go tu nie ma. Odszedł tydzień temu.

— Tak, wiem. — Arturo Sanchez obejrzał się. — Czy możemy gdzieś...? A zresztą, co tam. — Położył aktówkę na najbliższym kawałku gruzu i otworzył błyszczący zatrask, wyjął notatnik i

ołówkę, podał je kobiecie. — Proszę napisać na tej kartce swoje nazwisko.

Wyglądała na zawstydzoną, ale w końcu napisała swoje imię. Prawnik wyjął fotokopię, którą mu posłano, i porównał charakter pisma. To była ona, bez wątpienia.

— *Señora* Berthier — powiedział — mężczyzna, którym się pani opiekowała, nazywa się John Fontanelli, i polecił mi panią znaleźć. Chce pani podziękować za to, że uratowała mu pani życie. A ponieważ jest bogatym człowiekiem, chce pani coś podarować.

Jak spod ziemi wyrósł przy nich mały chłopiec i schronił się za spódnicą matki. Sanchez zatrzymał się i spojrział na tych dwoje, jak stali tak, pośród całej tej nędzy. Zasłużyli na to, na Boga.

— Coś podarować? — zapytała, robiąc wielkie oczy.

Sanchez przytaknął i wyjął dokumenty.

— Chodzi o mieszkanie na nowym osiedlu San Rosario, jednorazową darowiznę na meble, ubrania i tak dalej i szczodłą miesięczną rentę do końca pani życia. Pan Fontanelli kazał panią poinformować, że byłby szczęśliwy, gdyby przyjęła pani to wszystko jako prezent. Pani syn mógłby tam chodzić do szkoły — dodał.

— Do szkoły? — powtórzyła, wytrzeszczając oczy. Rozejrzała się na wszystkie strony, jakby pierwszy raz dostrzegła, w jakim otoczeniu do tej pory żyła. Przez jej twarz przemknął cień obrzydzenia.

Sanchez schował dokumenty z powrotem do torby. Na to będzie jeszcze czas.

— Mam u góry samochód — powiedział. — Jeśli pani chce, możemy jechać natychmiast.



## 43

Sobota, 29 listopada 1997, była w Londynie wilgotnym, chłodnym dniem. Gęsta mgła ciążyła nad miastem, zasnuwała szczyty wieżowców, przydawała sylwetce Tower Bridge wyglądu kościstej zjawy i zabarwiała dzwonięcie Big Bena ponurą nutą. Nocą padało, zimna, przenikliwa mżawka, zapowiadająca bliską zimą. W taki dzień nikt nie wychodzi z domu, jeśli koniecznie nie musi.

Około południa przez mgłę przebiło się słońce, biało rozżarzony krążek na białej chmurze, unoszącej się nad rozlaną szeroko Tamizą. City z chłodnymi, dostojnymi frontonami domów i imponującej wysokości budowlami było opustoszałe, jeśli nie liczyć strażników, którzy z postawionymi wysoko kołnierzami płaszczy odbywali swoje codzienne obchody, oraz przemykających tu i ówdzie elegancko ubranych mężczyzn pośpiesznym krokiem zdążających do najbliższej stacji metra. Dlatego portier pełniący służbę na parterze budynku *Fontanelli Enterprises* zdziwiony podniósł wzrok znad gazety, kiedy na podjeździe przed głównym wejściem zatrzymała się jedna z nieomylnie rozpoznawalnych londyńskich taksówek.

Wysiadł z niej mężczyzna. Ubrany w ciemnozieloną kurtkę przeciwdeszczową z kapturem, nie zaszczycając odjeżdżającej taksówki nawet jednym spojrzeniem — co, zgodnie z dotychczasowymi obserwacjami portiera w tym zakresie, robił prawie każdy — pomaszerował wprost do budynku. W jego ruchach było zdecydowanie, budzące w obserwatorze wprost trwogę. Wyglądał jak człowiek-czołg mający zamiar włamać się przez główne wejście, choćby nawet zrobione było ze stokrotnie zbrojonego pancernego szkła. Portier odłożył gazetę i umieścił

dłoń na przycisku alarmowym.

Niedostrzegalnie odetchnął, kiedy mężczyzna się zatrzymał, by wstukać kod wejściowy, jak musiał to robić każdy pracownik poza zwykłymi godzinami pracy. Zamek jednak nie otworzył się. Zamiast tego na pulpicie rozbłysła czerwona lampka. Oznaczało to błędny kod,

Portier zmarszczył czoło. Chyba najlepiej będzie od razu zawołać jednego z ochroniarzy? Mógłby wyjść i dokładnie obejrzeć sobie tego typu.

Spróbował jeszcze raz, znów bezskutecznie. Wtedy dał za wygraną, podszedł wokół portalu prosto do okna, zapukał w szybę i odrzucił kaptur.

— Pan Fontanelli! — wyrwało się portierowi.

Szef we własnej osobie. Po tym, jak cały świat szukał go w Ameryce Środkowej, uznał tego człowieka za martwego, a teraz stoi tutaj, przed jego oknem! Portier dał znak ręką, że mu otworzy, naturalnie, natychmiast, pośpiesznie obszedł pulpit, podszedł do drzwi, włożył swoją kartę chipową do wewnętrznego zamka i otworzył drzwi, wpuszczając go razem z falą wilgotnego chłodu.

— Pan Fontanelli, co za radość.... Nie wiedziałem.... Myślałem, sir...

— Tak, dziękuję — odpowiedział John Fontanelli. — Czuję się dobrze.

Portier nie mógł jeszcze złapać oddechu.

— Przykro mi z powodu kodu wejściowego — zapewnił. — Pan McCaine kazał zablokować pański kod, na wszelki wypadek...

— Proszę go znów aktywować.

— Ja... no więc, jego tu dziś wcale nie ma, pana McCaina, to znaczy...

— Wiem — powiedział Fontanelli.

— Jest w Kopenhadze, wie pan, na wręczeniu...

— ...nagrody Gea — skinął głową Fontanelli — wiem. Proszę powiedzieć, ilu ochroniarzy jest tu dzisiaj?

Portier zamrugął.

— Och — mruknął, zaskoczony pytaniem — myślę... zdaje mi się, że normalna obsada weekendowa. Dwunastu ludzi, jak sędzę.

— Proszę ich zawołać — rozkazał Fontanelli. Wskazał na czerwony telefon na pulpicie portiera. — Dziesięciu pójdzie ze mną. I mają wziąć wszystkie wytrychy, narzędzia i łomy, jakie tylko znajdą.

Ubrani we fraki skrzypkowie stroili instrumenty. Stary człowiek w liberii szedł przez salę i poprawiał krzesła, aż stały jak ustawione pod linijkę. Ludzie od oświetlenia manipulowali coś przy kablach i statywach i naradzali się z członkami ekipy telewizyjnej. Dwie scenografki nadawały ostatni szlif dekoracji, kunsztownie udrapowanej wstędze z godłem Nagrody Gea. W środku tego zamieszania stały trzy Afrykanki we wspaniałych świątecznych kostiumach i starały się zrozumieć, czego chce od nich mistrz ceremonii. Trzy kobiety były przedstawicielkami tegorocznego laureata, inicjatywy kobiecej, która na skraju obszarów Sahel uruchomiła godny podziwu projekt rewitalizacji i samodzielnie go realizowała.

McCaine siedział w jednym z foteli w ostatnim rzędzie i obserwował przygotowania uroczystego wieczoru. Zamek Christiansborg, obszerna, budząca szacunek budowla, z portem w zasięgu wzroku, była stosownym miejscem na tę uroczystość — ostatecznie tu przecież jest siedziba Folketing, duńskiego parlamentu, jak również Sądu Najwyższego, a królewskie sale

reprezentacyjne pod względem splendoru i okazałości nie pozostawiają nic do życzenia. Niestety nie udało się namówić jej królewskiej wysokości, Małgorzaty II, królowej Danii, do własnoręcznego wręczenia nagrody; zadanie to przypadło najstarszemu z jurorów. Królowa i książę małżonek będą przynajmniej obecni na uroczystości i McCaine dobitnie upomniał ekipy telewizyjne, żeby podczas transmisji pokazywali ich tak często, jak tylko to będzie możliwe. Wysłano zaproszenia do organizacji ochrony środowiska na całym świecie, z których większość nie dała się długo prosić; w najlepszych hotelach Kopenhagi nie widziano pewnie jeszcze nigdy tylu gości debatujących o ochronie środowiska jak w ten weekend. Fontanelli Enterprises, ufając w skuteczność poprzedzającej wydarzenie kampanii reklamowej, przy projektowaniu wystroju dzisiejszej uroczystości narzuciła sobie daleko idącą wstrzemięźliwość. Jeśli ktoś chciał zobaczyć ciemnoczerwone f, musiał naprawdę długo szukać. McCaine, w zastępstwie nieobecnego niestety Johna Fontanellego, wygłosi tylko krótką mowę powitalną.

Wszystko zatem szło jak najlepiej, kiedy obok McCaina pojawiła się jedna z sekretarek.

— Telefon z Londynu — powiedziała i podała mu kartkę.

Był to mniej więcej ten sam moment, kiedy John Fontanelli przed zabezpieczonymi zamkiem kodowym drzwiami biura McCaina powiedział do dziesięciu ochroniarzy z łomami:

— Wyłamać.

McCaine przeczytał notatkę.

— Fontanelli? — wyszczał i spojrzał na kobietę z niedowierzaniem.

Skinęła głową.

— Tak powiedział.

— W Londynie?

Wzruszyła ramionami.

Mniej więcej w tej chwili w Londynie ciężkie drzwi poddały się i rozpadły w drzazgi. John Fontanelli wmaszerował do pokoju, wskazał na szuflady i półki biurka oraz na obudowaną szafę na akta przy ścianie i powiedział.

— Wyłamać. Wszystko.

— Proszę zadzwonić na lotnisko — polecił szeptem McCaine. — Maszyna ma być natychmiast przygotowana do lotu. Muszę jak najszybciej wracać.

Siedział tu teraz, kartkował grubą na kciuk teczkę, czytał nazwy firm, o jakich nigdy jeszcze nie słyszał, pojęcia ekonomiczne, o których miał tylko mgliste wyobrażenie, patrzył na niezrozumiałe wykresy i strony pełne zagadkowych liczb, pracowicie odcyfrowywał uwagi i hasła dopisane koślawym pismem McCaina, przebiegł wzrokiem faksy, teksty kontraktów, organigramy i kopie listów. Wreszcie doszedł do końca i marszcząc czoło odłożył akta na stos innych, wyjętych z szuflady wcześniej i równie mało zrozumiałych.

Nie spodziewał się, że to będzie tak trudne. Jego twarde zdecydowanie słabło z każdą minutą, kiedy siedział za biurkiem McCaina, otwarte siłą szuflady szczyrzyły do niego pogięte metalowe rygle i strzaskane w drzazgi drewniane obudowy. Rozbite drzwi do przedsionka można było tylko przymknąć, słyszał za nimi rozmawiających strażników, półgłosem, wciąż kompletnie zaskoczonych szturmem, jaki przypuścił przez pierwsze pół godziny. Burza przeszła. Wszystko, co teraz go wypełniało, to zwątpienie: poczucie, że jest niewiarygodnym idiotą.

Podniósł wzrok. Po drugiej stronie szklanej ściany biała nicość, majaczące w niej niczym zjawy sąsiednie budynki zdawały się z niego szydzić. Co też on sobie myślał, że co tu znajdzie? Albo, mówiąc dokładniej, co obciążającego spodziewał się tu znaleźć? Choćby nawet w tych dokumentach otwarcie planowano największe spiski, najnikczemniejsze intrygi, najprzebieglejsze zdrady — on nic z tego nie dostrzeże.

Szafa z aktami. Prawdziwe monstrum, gdy otwarte były wszystkie drzwi. John oglądał wieszak na segregatory, starannie opisane zawieszki teczek, cały ten budzący szacunek systematyczny porządek, o który nigdy nie posądzałby McCaina, widząc choćby stan jego auta albo pomysłowość w codziennym wyborze krawata, czy — lepiej mówiąc — całkowity brak pomysłowości w tym zakresie. Jednak spojrzenie w ten prowadzony z bezwzględną dyscypliną zasobnik na dokumenty ujawniało upór w dążeniu do celu, którego samo choćby przeczucie zapierało dech, wprost potworne opętanie jedną misją, dla której wypełnienia żadna ofiara nie była zbyt wielka, osobista, ani w ogóle jakakolwiek ofiara.

O,teczka *Exxon*. John dotknął zawieszki, zastanawiał się, co też ciekawego w niej znajdzie, jednak zrezygnował z jej przejrzenia, kiedy dalej w tyle, w cieniu górnego wysuwanego wieszaka, dostrzegł zawieszkę z napisem *Fontanelli, John*.

Wyjął teczkę, otworzył ją. Odkrył w niej swoje życie, starannie streszczone w gęsto zapisanym raporcie nowojorskiego biura detektywistycznego Dalloway. *John Salvatore Fontanelli, urodzony 1 września 1967 w Bridgewater, New Jersey, syn szewca Francesco Fontanellego i Gianni Fontanelli, z domu Ventura. Dwóch starszych braci: Cezar, ur. 1958, i Lino, ur. 1961, obaj bezdzietni. Ojciec rocznik 1936, jedyne dziecko Enrico*

*Fontanellego, w 1932 przed prześladowaniami politycznymi Mussoliniego zbiegłego do USA...*

I tak dalej, i tak dalej. Obecnie zatrudniony jako rozwoziciel pizzy w Super-Pizza-Service, właściciel G. Murali. Brak dostrzegalnych ambicji, by coś w tym zmienić. Ten cholerny Dalloway, kimkolwiek był, cholernie dobrze to zaobserwował. John przekartkował kopie świadectw szkolnych, zdjęcia, jak jedzie rowerem przez Manhattan, były nawet kopie jego żalonych wyciągów z konta, dopóki miał jeszcze konto. Dokumenty o rodzicach, rodzeństwie, patrzcie tylko, Helen przez trzy lata leczyła się u psychoterapeuty! Cezar nigdy nic o tym nie powiedział.

I protokół o badaniach przydatności do lotów Lina, oczywiście. Zatopiony w myślach kartkował strony, aż do ostatniej, na której znalazł wtedy to słowo, było tu nadal: *Nieplodny*.

Jedno słowo, które rozstrzygnęło bratobójczą wojnę.

Więc to tak. Zamknął teczkę i chciał ją już odłożyć z powrotem, kiedy jego wzrok padł na inną teczkę upchniętą za jego teczką, zasłoniętą przez zawieszkę.

— Patrzcie tylko — powiedział cicho John i wyjął ją. Otworzył. Czytał.

To było od razu na pierwszej stronie. Napisano ją po włosku, ale decydujące słowo, przesądzające krótkie zdanie było podkreślone na czerwono, z wykrzyknikiem na marginesie, John przeczytał je, przeczytał powtórnie i jeszcze raz, gdyż był skłonny raczej nie dowierzać swojej znajomości języka niż temu, co jego oczy widziały i rozum pojmował, ale za każdym czytaniem znikła część świata, takiego, jaki znał, ziemia, na której stał, kruszyła się, aż w końcu nie pozostało nic poza bezdenną otchłanią.

Najazd czarnych limuzyn. Atak mężczyzn w szarych garniturach. Malcolm McCaine, dyrektor zarządzający największego koncernu w historii ludzkości i najlepiej opłacany menadżer świata energicznym krokiem pomaszerował do głównego wejścia, które portier pośpiesznie przed nim otworzył.

— Gdzie on jest? — parsknął.

— U góry, sir... panie McCaine... — wykrztusił staruszek w służbowym uniformie.

— Proszę sprowadzić mi windę.

Kiedy portier pobiegł spełnić jego polecenie, McCaine powiedział do swoich towarzyszy:

— Załatwię to sam. Proszę tu na mnie poczekać.

Potem rozległ się gong i połyskujące srebrno drzwi windy otworzyły się.

Na górze, kiedy McCaine wysiadał z windy, strażnicy stali sztywno, niektórzy prężyli się, jakby mieli zamiar zaszalutować. McCaine zignorował ich, całą jego uwagę skupiły drzwi, zwisające z zawiasów połamane i rozbite. Poszedł do nich, odsunął je na bok i wszedł do swojego biura, od dwóch lat prawdziwego centrum władzy na tej planecie.

John Fontanelli siedział za biurkiem z opuszczonymi ramionami. Szuflady i drzwiczki były wyłamane, tak samo szafa na dokumenty. Akta leżały wokół zrzucone w nieporządne stosy, dywan usiany był drzazgami.

— Czy mogę — zapytał McCaine głosem, po którym znać było z trudem hamowaną wściekłość — dowiedzieć się, co się tu dzieje?

John Fontanelli podniósł zmęczony wzrok. Oczy miał zapadnięte i był blady, jakby zobaczył ducha, więcej nawet, jakby jakaś zjawa z zaświatów przepowiedziała mu rychłą i zadaną przemocą śmierć. Zaczął mówić, ale po pierwszych słowach



musiał odchrząknąć i zacząć jeszcze raz od początku.

— Po to właśnie przyszedłem — powiedział. — Żeby dowiedzieć się, co się tu dzieje.

McCaine skrzyżował ramiona na piersiach i rozejrzał się demonstracyjnie.

— Czy to pan? Pan kazał wyłamać wszystkie moje szafy?

— Tak — odpowiedział po prostu John.

— Czy mogę spytać, dlaczego? I czy mogę spytać — kontynuował z lodowatą wściekłością — co, u diabła, w ogóle pan tutaj robi? Skąd wziął się pan tak nagle, kiedy cały świat myśli, że porwano pana w Meksyku? Że może nawet od dawna jest pan martwy?

John potarł brodę.

— Martwy, tak — mruknął spokojnie. — Niewiele brakowało. — Zmęczonym gestem sięgnął po teczkę, leżącą przed nim na stole i podsunął ją do McCaina. — Czy pan wie, co to jest?

Ten spojrział niechętnie.

— Nie mam pojęcia.

— To dossier, które znalazłem w pańskiej szafie na akta. Zresztą zaraz za dossier, jakie założył pan dla mnie. — Odwrócił teczkę tak, żeby opis na zawieszce był wyraźnie widoczny. — Co zresztą nie dziwi, uwzględniając kolejność alfabetyczną.

Na zawieszce napisane było *Fontanelli, Lorenzo*.

— I co? — spytał zgryźliwie McCaine.

John otworzył teczkę.

— Pierwszy dokument — westchnął — to karta choroby. Całkiem podobny medyczny raport, jaki załatwił pan sobie o moim bracie Lino, diabeł sam wie, jak. Dokument jest napisany po włosku, ale wyraźne podkreślenie — robione pańską ręką, jak sędzę — wskazuje miejsce, o które chodzi. — Postukał w

podkreśloną na czerwono linijkę. — Napisano tutaj *Alergia na pszczoły — niebezpieczeństwo szoku anafilaktycznego*.

McCaine patrzył tylko na niego, nic nie mówiąc. W zapadającym wcześniej zmroku jego widok napełniał trwogą, sama jego obecność. Zdawał się całkowicie wypełniać pomieszczenie, zdolny zmiażdżyć każdego, kogo zechce.

— Idiota ze mnie — powiedział John. — Przyznaję. Można mi wmówić wszystko: ja uwierzę. Nie zadaję pytań, nie dostrzegam sprzeczności, a już zupełnie nie potrafię rozpoznać oszustw. Jestem tak naiwny, że musi być trudno powstrzymać śmiech, kiedy się na mnie patrzy. Po prostu idiota. — Wyjął akta i położył je przed sobą. — Ale kiedy leżą przede mną wszystkie fakty, jasne i jednoznaczne; kiedy poza tym da mi się dość czasu i do tego może jeszcze kilka razy uderzy twardym przedmiotem w głowę, wtedy nawet ja zrozumiem, co jest grane.

Wstał, tak mozolnie, jakby dźwigał na ramionach niewidzialny ciężar wążący całe tony.

— Pan przygotowywał się na wyznaczony dzień przez dwadzieścia pięć lat. Oczywiście tak samo jak Vacchi obserwował pan potencjalnych dziedziców. Obserwował pan mnie, a kiedy przyszedł na świat Lorenzo, obserwował pan jego — jakim jest człowiekiem, jak się rozwija, czego zamierza dokonać w życiu. — Zaśmiał się gorzko. — Pech Lorenza polegał na tym, że był zbyt inteligentny, zbyt samodzielny, zbyt bystry. Był cudownym dzieckiem, nagradzanym i chwalonym, obiecującym i niepokornym. Musiał mu pan też się przyglądać i uznać, że nigdy nie będzie pan w stanie pokierować tym chłopcem. Lorenzo był kimś, kto natychmiast byłby w stanie poczynić własne plany co do spadku, do tego *dobre* plany. Był geniuszem matematycznym, obliczenia gospodarcze i ekonomiczne byłyby dla niego pestką.

Szybko nauczyłyby się używać władzy i pieniędzy — jeśli nie on, to kto? Lorenzo nie potrzebowałby pana. Cały pański piękny plan, wszystkie pańskie przygotowania nie przydałyby się na nic, gdyby to Lorenzo odziedziczył bilion. Zatem postanowił pan, że lepiej będzie uczynić dziedzicem tego głupkowatego, niezaradnego życiowo chłopaka od szewca z New Jersey.

McCaine nadal nic nie mówił. Zmrok był coraz gęściejszy, ale ciągle jeszcze przez wysokie okna wpadało dość światła, żeby widzieć, że oczy Johna Fontanellego wypełniły się łzami.

— Lorenzo był prawdziwym dziedzicem — szepnął John — a pan go zabił. On nim był — dziedzicem, którego przepowiedziało proroctwo, człowiekiem, który byłby w stanie przywrócić ludzkości utraconą przyszłość. Przeczuwałem to przez cały czas. To nie ja nim jestem, nigdy nim nie byłem — ja byłem tylko pionkiem w pańskiej grze, McCaine. Pan zabił prawdziwego dziedzica, gdyż chciał pan za wszelką cenę zrealizować swój plan.

Jego szept załamywał się w ciemnych kątach pokoju w osobliwe echo, brzmiące jak syk węży.

— John — powiedział powoli McCaine — pan sobie coś wmawia.

John Fontanelli jakby go nie słyszał.

— Nie wiem, jak pan to zrobił. Jak zabija się kogoś przy pomocy pszczoł? Wyobrażam sobie słoik, zakręcany słoik ze świeżą, słodką, soczystą gruszką środkiem, może kilka malutkich dziurek, żeby pszczoły miały powietrze. Wyobrażam sobie mężczyznę, trzymającego drobnego chłopca i wciskającego mu do ust gruszkę pełną pszczoł. Nie wiem, czy tak to się odbyło. Poznał pan Lorenza? Rozmawiał pan z nim pod jakimś pozorem, żeby wy badać, jak mógłby pan sobie z nim poradzić? Może i pan miał

kilka ukąszeń, ale co tam. Wiedział pan, że Lorenzo umrze od pszczelego jadu, jak zawsze wie pan wszystko o każdym, z kim ma do czynienia. I umarł, w porę przed wyznaczonym dniem i w sposób nie budzący żadnych podejrzeń.

Zapadła cisza, w której słyhać było tylko oddech Johna, brzmiący jak skryty szloch.

McCaine w końcu głośno odchrząknął.

— Nie, John, tak nie można. Zanim postawi pan komuś tak ciężkie zarzuty, musi pan się upewnić, że wszystko, co pan twierdzi, może udowodnić.

— Ach — skinął głową John, nie słuchając.

— A tego pan nie zdoła, John — dodał McCaine. — Niczego nie zdoła pan mi udowodnić.

John nabrał powietrza, pociągając nosem.

— Gdzie był pan w dniu, kiedy zmarł Lorenzo?

— Niech pan nie zachowuje się jak błazen — nie wytrzymał McCaine. — Oczywiście, nie wiem teraz. Ale nie wątpię, że wystarczy mi spojrzenie w stary kalendarz, żeby to odtworzyć.

— Śledztwo może zostać wznowione.

— Nie było żadnego śledztwa. Coś się panu pokręciło, John.

— Na podstawie rezerwacji w liniach lotniczych można by odtworzyć, kiedy był pan we Włoszech. — Przerwał na chwilę. — Ale jeśli pomyślę, jak łatwo udało mi się wylecieć z USA z fałszywym paszportem, to pewnie nie miałyby to za dużego sensu?

McCaine przytaknął.

— Nie może pan mi nic udowodnić. Bo nie ma nic do udowodnienia.

— Ma pan rację. Nie mogę nic udowodnić — powiedział John i włączył lampkę na biurku. — Ale jest jeszcze coś, co pan zrobił,

prawdziwe głupstwo, a ja mogę je udowodnić. — W jego głosie pojawił się nagle ton twardy jak stal, a ruch, jakim wyjął z marynarki złożony arkusz papieru, przywiódł na myśl panterę, podnoszącą łapę do ciosu.

— Przełał pan honoraria za konsultacje w całkowitej kwocie miliarda dolarów na firmę *Callum Consulting*. Na firmę należącą do pana. Każdy sąd na tej planecie doszuka się w tej sprawie co najmniej niełojalności, a tym samym naruszenia pańskiego kontraktu dyrektora zarządzającego, naruszenia tak ciężkiego, że usprawiedliwione jest zwolnienie ze skutkiem natychmiastowym.

McCaine obejrzał się. Jak spod ziemi w drzwiach i wzdłuż ściany za nim wyrosli strażnicy. Włączenie lampy na biurku było jednym z sygnałów, jakie ustalił z nimi John.

— Zwalniam pana, McCaine — powiedział lodowato John. — Jeśli ma pan w biurku rzeczy osobiste, może je pan wziąć teraz. Potem ci panowie odprowadzą pana do wyjścia. — Obrzucił go spojrzeniem pełnym pogardy. — Zresztą zna pan procedurę.

Został sam. Sam wystawił się na grad pytań prasy. Sam siedział w pokojach po drugiej stronie marmurowej bariery i próbował prowadzić koncern, który znał ledwie schematycznie. Sam czytał dokumenty, przyjmował pracowników, organizował narady, podejmował decyzje. Sam siedział przy ogromnym stole w olbrzymiej sali konferencyjnej, jadł lunch, wędrując wzrokiem po zimowej panoramie londyńskiego centrum finansowego, którego był samotnym, niezwyciężonym królem.

Prasie opowiedział o porwaniu tak, jak rzeczywiście się odbyło. Przemilczał tylko szczegóły swojego powrotu do Wielkiej Brytanii; powiedział, że pomógł mu przyjaciel, i że to musi wystarczyć. Wspomniał o spotkaniu z Randolphem Bleekerem i o tym, że ten twierdził, iż pracuje na zlecenie ludzi chcących pozostać w tle. Opowiedział też o tygodniach spędzonych w slumsie przy śmietniku.

To były minuty, w których — jak na warunki konferencji prasowej — zapanowała wprost przejmująca cisza.

— Wynająłem prawnika, aby odszukał tę kobietę. Będzie mogła potwierdzić moje słowa, na przykład również to, że byłem związany, kiedy mnie znalazła — oświadczył John. — Przy czym to jest tylko pomniejszy powód mojego zlecenia. Główny powód jest taki, że pragnę jej wyrazić moją wdzięczność. — Opowiedział o mieszkaniu, które zamierza podarować kobiecie, o dożywotniej rencie, a przedstawiciele żółtej prasy jęknęli z zachwytem. Kroplą goryczy był tylko fakt, że John nie chciał podać jej nazwiska.

Później odwiedzili go jeszcze urzędnicy Interpolu, którzy spisali jego zeznania w protokole, nie robiąc mu jednak wielkiej nadziei, że doprowadzą one w jakikolwiek sposób do ujęcia porywaczy.

Co najwyżej może zdarzyć się, że pewnego dnia przypadkiem wpadnie w ich ręce Bleeker, i na tę okazję chcieli mieć w aktach, to znaczy w komputerach Interpolu, materiał obciążający. Dowiedział się od nich przy okazji, że Ursuli oczywiście nie było w Meksyku, nic o tym wszystkim nie wiedziała, i że nadal bezskuteczne są poszukiwania ochroniarza, który w tajemniczych okolicznościach zastąpił Marca Benottiego, a którego jego koledzy znali pod nazwiskiem Foster,

To była jedyna odmiana w tych tygodniach. Poza tym pracował tak, jak nie pracował jeszcze nigdy w życiu. Przychodził do biura rano o siódmej, a kiedy zauważył, że to nie wystarcza, przychodził o szóstej, i wreszcie o piątej, do dziewiątej czytał góry listów, projektów umów i memorandumów, potem jedna narada goniła drugą aż do późnej nocy. Pytał ludzi o raporty, instruował, kazał tłumaczyć sobie projekty, plany i finanse, wyjaśniać problemy i propozycje rozwiązania i podejmował decyzje, wciąż podejmował decyzje, mówił *Tak* lub *Nie* i domagał się alternatyw. Siedział u szczytu wielkiego, połyskliwego stołu, z sylwetką miasta za plecami, skierowane na niego były oczy pięćdziesięciu lub więcej dyrektorów, z których każdy był co najmniej o dziesięć lat starszy od niego, mówił im, czego chce, żąda, przedstawiał swoje pomysły, i odprawiał skinieniem głowy, gdyż czekała już kolejna konferencja.

Na początku to było podniecające. Czysta adrenalina. Był ważny, trzymał w dłoni wszystko, dźwigał na ramionach ciężar świata. Niekiedy to było lepsze niż seks i zaczynał rozumieć, dlaczego tak wielu tak bardzo pragnie kariery, władzy i wpływów. Poznał przyjemne uczucie, kiedy wstając wieczorem od biurka, od wielu godzin otulonego tym samym mrokiem, który zastał tu rano — zatem przed wiekami — czuł zmęczenie

po bogatym w wydarzenia dniu jak po meczu albo miłosnej nocy.

Ale już po kilku dniach zauważył, że zaczyna brakować mu sił. Rano ledwie był w stanie podnieść się z łóżka, biorąc kąpiel, widział w lustrze worki pod oczami, potrzebował mnóstwa niewiarygodnie mocnej kawy, żeby się ruszyć, i jeszcze więcej, żeby nie paść. Szybko stało się zwyczajem, że jego rolls-royce wytaczał się z podziemnego garażu dopiero po północy, i w powrotnej drodze do zamku regularnie zasypiał. Podczas narad był drażliwy, szybko tracił cierpliwość, zrobił się gwałtowny i szorstki. Wprawdzie ludzie odchodzili jak zmyci i szukali w sobie winy za zły humor potężnego władcy, ale John wiedział, że to jego własna słabość, że nie ma już kontroli na tym, co robi i mówi. Miał wyraźne poczucie, że to może być niebezpieczne, jednak tylko mgliste pojęcie, co to konkretnie może znaczyć: w końcu cały koncern, aż po ostatnią śrubkę i najbardziej wypisany ołówek należy do niego — nie grozi mu na pewno utrata stanowiska. Do tego jest dostatecznie bogaty, by umrzeć w dostatku nawet gdyby przez resztę życia miał ponosić miliardowe straty.

Pomny motto McCaina, że pieniądze zrekompensują wszystko, nawet brak talentu, przez kilka dni potajemnie brał dyskretne lekcje u jednego z najlepszych konsultantów na świecie. Zaczął nadawać priorytety. Przestał akceptować raporty dłuższe niż jedna strona. Wymagał, by nikt nie przychodził do niego z żadnym problemem, nie będąc w stanie równocześnie zaproponować rozwiązania. Odbywał narady na stojąco, by trwały krócej. Ćwiczył się w sztuce prawidłowego delegowania kompetencji. I tak dalej.

Mimo to nie nadązał. Chciał właściwie sprzedać zamek i kupić mieszkanie w mieście, ale nie znajdował na to czasu. Rozważał



wstawienie łóżka do przylegającego do biura pokoiku: nawet ten zamiar spalił na panewce. Nie miał czasu zadzwonić do Ursuli — choć właściwie musiał przyznać, że nawet gdyby wróciła do niego, nie wiedziałaby, jak znaleźć dla niej miejsce w swoim wypełnionym po brzegi życiu.

Boże Narodzenie prawie całe przespał, przerwa na złapanie oddechu, której koniecznie potrzebował. Mimowolnie odczuwał respekt, zastanawiając się, jak właściwie McCainie wytrzymał to przez te wszystkie lata.

— Niestety — powiedział prawnik, zacierając dłonie białe jak kość słoniowa, zawsze, gdy nie zajął ich akurat czym innym, jakby same z siebie wędrujące do paczki papierosów w jego kieszeni i cofające się dopiero w ostatniej chwili.

John spojrzał na niego i poczuł, jak duszę dławi mu ogromne zmęczenie, niczym gęsta pokrywa śniegu. Żar jego gniewu tlił się gdzieś pod nią, ledwie jeszcze dający się zlokalizować i bliski wygaśnięcia.

— Ale to, co zrobił McCainie, *jest* przecież zdradą, prawda? — zapytał.

— Nie w tym problem. Problem w tym, czy uzyskamy wyrok? A to widzę czarno — powiedział prawnik łagodnym głosem. — Nim zostanie wyjaśnione, który sąd jest odpowiedni, miną lata. Pan McCainie jest bogatym człowiekiem. Może wynająć najlepszych prawników, jacy istnieją.

— Najlepszych prawników? Myślałem, że to my ich mamy?

— No cóż, powiedzmy, że to będzie walka równych partnerów. Na pewno niezwykle interesująca. Jedna ze spraw, z których latami żyją całe kancelarie.

John przyglądał się prawnikowi i projektowi pozwu i myślał o Lorenzo, który był prawdziwym spadkobiercą, a musiał umrzeć

od ukąszeń pszczoły, gdyż nie pasował do planów McCaina. Nigdy nie zdoła tego dowieść, choć z całego serca był przekonany o tym, że tak to musiało się odbyć. Więc skoro nie za to, chciał wsadzić McCaina do więzienia przynajmniej za zdradę.

— Niech pan go oskarży — powiedział i poczuł w sercu smutek uwierający jak drzazga. — Wszystko mi jedno, ile to potrwa.

— Jak pan sobie życzy — skinął głową prawnik, a kiedy ją skłonił, widać było, jak przerzedzone ma już włosy. — Przy okazji, jeśli to pana uspokoi — ze skargą McCaina będzie podobnie.

— Jaką skargą?

— Zdziwiłbym się, gdyby nie domagał się dalszego płacenia uposażenia i ponownego zatrudnienia z powodu niezgodnego z prawem zwolnienia. W jego umowie o pracę jest kilka niezwykle wieloznacznych klauzul, z którymi można zrobić prawie wszystko. — Uśmiechnął się z wyższością. — Ale jak mówiłem — to będzie ciągnąć się całe dziesięciolecie. My też się na tym znamy.

Niezwykle wielu pracowników na kluczowych kierowniczych stanowiskach zwolniło się w pierwszych dniach 1998 roku ze swoich odpowiedzialnych, dobrze płatnych etatów szeroko rozgałęzionej hierarchii *Fontanelli Enterprises*. Dopiero, gdy jeden z głównych analityków zgłosił się u Johna i opowiedział mu, że w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia zadzwonił do niego McCain i zaproponował mu opuszczenie koncernu i objęcie nowego, lepiej opłacanego stanowiska, John zrozumiał, że ma groźniejszych przeciwników niż brak czasu i przemęczenie.

Ci, którzy złożyli wymówienia, nie chcieli nic powiedzieć o przyczynach; jeden tylko mówił coś niejasno o *słabości dowodzenia i zabezpieczeniu przyszłości*, nie chcąc sprecyzować,

kogo albo co konkretnie ma na myśli. Przy niektórych z tych rozmów John miał wrażenie, że dana osoba nie działa zupełnie dobrowolnie, ale tak, jakby McCain miał w rękach coś przeciw niej.

Niektóre z tych zwolnień pozostawiły po sobie kłopotliwe luki, powodując dodatkowe napięcia. Stopniowo jednak okazało się, że może być coś jeszcze gorszego niż poplecznicy McCaina, którzy opuścili koncern: mianowicie ci, którzy zostali, by niepostrzeżenie sypać w tryby piasek. Zdarzały się raptem pustki w magazynach, bo „zapomniano” w porę odnowić rezerwy, w następstwie czego trzeba było zatrzymać całe linie produkcyjne. W ważnych ogłoszeniach, przetargach i kontraktach zdarzały się „głupie błędy”, których następstwem były straty albo irytujące prawne przekomarzenia. „Niewyjaśnione awarie komputerów” paraliżowały całe zakłady, wprowadzały zamęt w pokrywającej świat logistycę, czyniąc szkody w bilansach i wizerunku koncernu. Dział dewizowy po dwóch tryumfalnych latach doznawał teraz „pasma pechów” i robił tak kiepskie interesy, że John nie mógł postąpić inaczej, jak zupełnie go zamknąć.

W połowie stycznia Johnowi udało się zadzwonić do Harfordu. Już grobowy głos, którym odezwał się profesor Collins, nie zapowiadał nic dobrego, i John tak naprawdę nie zdziwił się, kiedy badacz przyszłości na jego pytanie, co słysząc z projektem, odpowiedział:

— Już nic. Wszystko zniszczył wirus komputerowy.

Czasy, w których profesor Collins przejściowo przywiązywał wagę do swego wyglądu i ubrania, odeszły do przeszłości. Nieliczne włosy, jakie mu pozostały, robiły, co chciały, a tego, że koszula ma plamy i w marynarce wypruwają się rękawy, zdawał

się nie dostrzegać. Cienie pod oczami kazały przypuszczać, że ostatnio nie spał za dobrze.

— To mógł być tylko sabotaż — oznajmił. — Po ataku nie tylko maszyny UNIX-owe były kompletnie spustoszone, na dodatek PC-ty, na których zapisaliśmy również kod programów, były sformatowane, programy bezpowrotnie stracone.

Słońce promieniało na jasnym, wiosennym niebie i zalewało salę konferencyjną niestosownie pogodnym światłem. Johna kusiło, żeby opuścić zaciemnienie, choćby tylko dlatego, że refleksy światła na dzbanku do kawy kłuły go w oczy. Zadowolił się jednak tym, że odwrócił metalowe ucho dzbanka nieco w bok.

— Nie rozumiem — oznajmił zmęczonym głosem. — Musiał pan przecież chyba zabezpieczyć zapasowe kopie danych.

— Naturalnie. Ale taśmy zapasowe nie dają się odczytać. Ani jedna. Ktoś musiał umieścić je w silnym polu magnetycznym. — Naukowiec zaczął masować sobie czoło. — Wszystko zniszczone. Jesteśmy w trakcie rekonstruowania programów i danych z pisemnych zapisków, wydruków i tak dalej, ale to zajmie nam miesiące. Po prostu katastrofa.

— Kiedy to się stało?

Collins westchnął.

— W połowie grudnia. W nocy z czternastego. W weekend.

— A dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

Badacz przyszłości osłupiał, zdumiony patrzył na Johna.

— Tak, sam zastanawiam się przez cały czas... Nie, nie, ale wysłałem panu faks. Dokładnie pamiętam. Cały poniedziałek zajęło nam szacowanie rozmiarów szkody, a we wtorek wysłałem panu faks. Tak było. Nie chciałem dzwonić, gdyż byłem zbyt zdenerwowany, dobrze pamiętam. I musiałem przecież poinformować pana o drugiej fazie.

— Druga faza? — John pokręcił głową. — Faks do mnie nie doszedł, profesorze. Takie rzeczy obecnie, niestety, często się zdarzają. O drugiej fazie również nic nie wiem.

— Ale czy pan McCainie nie powiedział panu...?

— Nie.

— Ach tak. — Ze zrozumieniem skinął głową. Potem nakreślił przebieg wieczoru, w który zaprezentował McCainowi rezultaty pierwszej fazy. — Następnego ranka przyjechał jeszcze raz, chciał, żeby mu przegrać na laptopa nową wersję programu. Chwilę to trwało, i w tym czasie omówiliśmy założenia drugiej fazy. Są nieco spekulacyjnej natury; chciał na przykład, żeby obliczyć mu skutki ogólnoświatowej epidemii w roku 2009 i tym podobne... Właśnie mi przyszło do głowy — ten laptop! On musi go jeszcze mieć. Nie zostawił go przypadkiem gdzieś tutaj?

— Nie. Prawdopodobnie wziął go z sobą. — John z niechęcią machnął ręką. — Niech się cieszy.

Pod koniec stycznia 1998 pewien temat zajmował w wiadomościach coraz więcej miejsca, aż wreszcie opanował całe media: seksualne uchybienia amerykańskiego prezydenta. Ledwie po długim prawnym przeciąganiu liny w pewnej nabrzmiewającej od miesięcy sprawie złożył zeznania pod przysięgą, pojawiły się nowe nazwiska i dwuznaczne taśmy magnetofonowe, spór zaostriżył się. Prezydent, jak mówiono, miał zachęcić do krzywoprzysięstwa pewną praktykantkę, chcąc zatuszować swój romans z nią. Kiedy jego przeciwnicy domagali się wszczęcia procedury usunięcia z urzędu, prezydent zanegował, że w ogóle miał romans ze wspomnianą kobietą. Jego żona mówiła o spisku kręgów prawicowych, kurs dolara spadł na międzynarodowych rynkach finansowych, a kryzys finansowy, osięgający właśnie w Azji Południowo-Wschodniej kolejne

apogeum, groził przeniesieniem się do Stanów Zjednoczonych.

John przysłuchiwał się wiadomościom z osobliwym poczuciem irracjonalności. Brzmiała mu jeszcze w uszach rozmowa telefoniczna z McCainem w czasie podróży na Filipiny. Przestał słuchać komentatora, wstał, podszedł do starej szafy na dokumenty McCaina, znalazł teczkę zatytułowaną *Clinton, Bill*, zawierającą koncepcję zaplanowanego długoterminowo moralnego mordy. Na początku wpięte było krótkie dossier o działającym w czasie tak zwanej *afery Whitewater* specjalnym wysłanniku, przy jego zdjęciu McCain nabazgrał ręcznie notatki: urodzony w Vernon, Teksas, ojciec pastor; prowadzi nieźle prosperującą praktykę adwokacką (1997: 1 milion dolarów), klientela m. in. przemysł tytoniowy. Potem streszczenie umowy, do której amerykański rząd chciał zmusić przemysł tytoniowy: producenci papierosów, by chronić się przed dalszymi skargami, mają zapłacić w ciągu 25 lat w sumie 368,5 miliarda dolarów na koszt leczenia chorych palaczy. Ile oni właściwie zarabiają ? nabazgrał obok McCaina, i jeszcze: Clinton chce zaostrezenia, negocjacje do kwoty 516 miliardów.

Niejasne przeczucie wiszącego w powietrzu nieszczęścia opanowało Johna niczym przestroga.

Potwierdzenie tego przeczucia znalazł, gdy krótko potem otworzył *Financial Times* i przeczytał, że Malcolm McCain został powołany na przewodniczącego zarządu koncernu *Morris-Capstone*. O tym przedsiębiorstwie wiadomo było niewiele więcej ponad to, że znajduje się prawie całkowicie w posiadaniu pewnej starej rodziny amerykańskich kapitalistów, dla których określenie „żyć dyskretnie” trzeba by wymyślić, gdyby jeszcze nie istniało: nieznane były nawet zdjęcia większości jej członków. John musiał spytać swoich analityków, żeby

dowiedzieć się, że Morris-Capstone, oprócz tego, że posiada udziały w kilku owianych tajemnicą firmach technologii genetycznej i w fabryce broni ręcznej wszelkiego kalibru, przede wszystkim jest jednym z największych producentów wyrobów tytoniowych na świecie.

W posiadaniu wspomnianej starej amerykańskiej rodziny przedsiębiorców była również stacja telewizyjna, której Malcolm McCaine udzielił swego pierwszego wywiadu po odejściu z *Fontanelli Enterprises*. Na ten temat właśnie wypowiadał się najobszerniej. W żadnym razie, podkreślał, odpowiadając na stosowne pytanie, nie zwolniono go; o wiele bardziej to on, nie mogąc już ścierpieć eskapad Johna Fontanellego, po jego ostatniej włóczędze, pozorowanym uprowadzeniu w Meksyku, nie widział dla siebie innej alternatywy, jak odejść.

— Proszę wyobrazić sobie, że panią by uprowadzono — zażądała od swojej rozmówczynie — i odzyskałaby pani wolność — co by pani zrobiła? Na pewno poszłaby pani na policję, prawda? Każdy by tak zrobił. Ale nie John Fontanelli. On zniknął bez śladu i pojawił się jakimś cudem trzy tygodnie później w dobrym zdrowiu, w oddalonym o sześć tysięcy mil miejscu, Londynie. Czy uważa to pani za normalne?

Oczywiście dziennikarka nie uznała tego ani trochę za normalne.

McCaine opowiadał dalej z żarliwością godną lepszej sprawy, jak ze wszystkich sił angażował się, by stworzyć stabilną firmę, zdolną nawet w czasach globalizacji zagwarantować pewne miejsca pracy milionom ludzi.

— Fontanelli myśli, że potrafi wszystko sam — kontynuował. — Jednak prowadzi koncern dopiero niespełna dwa miesiące, a już kruszy się na wszystkich końcach i krawędziach. Boli mnie, że

muszę na to patrzeć — dodał, robiąc gorzką minę. Potem szczegółowo opisał kryzysy na wszystkich końcach i krawędziach imperium Fontanellego, tak szczegółowo, że równie dobrze mógłby od razu przyznać, że ma w koncernie wewnętrznych informatorów.

— Jaka jest pańska prognoza? — spytała redaktorka. — Czy wszystkie miejsca pracy są zagrożone?

McCaine poważnie skinął głową.

— Absolutnie.

Po tym wywiadzie John musiał wyłączyć telewizor. Poinstruował swój sekretariat, by nie przeszkadzano mu przez następną godzinę, po czym podszedł do okna, by przez godzinę gapić się na dziką, śnieżną zadymkę nad London City i zastanawiać się, co tu u diabła właściwie jest grane.

Mżawka zmieszana ze śniegiem uderzała umiarkowanie o wysokie okna, kulisy miasta rozmywały się w niej w czarno-białe kleksy. Jedna z sekretarek podała kawę i ciastka, ale lord Peter Rawburne nie tknął ich jeszcze. Dziennikarz gospodarczy, z upodobaniem zamiast w biznesowy garnitur ubierający się w gruby sweter z białej owczej wełny o irlandzkim splocie, do tego ciemnozielone sztruksowe spodnie i znoszone wysokie buty. Siedział wygodnie w fotelu i uważnie słuchał, co John ma mu do powiedzenia o sensie i celu zaproszenia go tutaj.

— Otwarcie przyznam, że od tamtej pamiętnej kolacji w pańskim zamku czekałem na to — powiedział potem, splatając dłonie. — Właściwie myślałem wtedy, że dostatecznie pana zainteresowałem, ale... no cóż. — Wyrzucił ręce do góry i spuścił je z powrotem na kolana. — Zatem chce pan wiedzieć, jak można by jeszcze uratować ludzkość.

John nieswojo skinął głową.



— Można tak powiedzieć.

— Świetnie. — Przelotny uśmiech. — Cóż, pierwszy krok jest całkiem łatwy: proszę zlikwidować podatek dochodowy.

Przez chwilę John miał wrażenie, że obserwuje samego siebie z boku, że jest w niewłaściwym filmie.

— To żart, prawda?

— Zapewniam pana, że mówię zupełnie poważnie.

Marszcząc czoło, przyjrzał się dziennikarzowi.

— Właściwie oczekiwałem czegoś innego.

— Bo czytał pan moją książkę, to jasne. Ale ja napisałem ją dwadzieścia lat temu. A potem nie przestałem zastanawiać się nad tymi problemami. A kiedy się długo i nieprzerwanie rozmyśla, nie do uniknięcia jest, że komuś od czasu do czasu przyjdzie do głowy coś nowego. — Rawburne rozłożył ręce. — Przy czym przyznaję, że zlikwidowanie podatku dochodowego ma być w pierwszej linii sposobem na znalezienie przychylności dla moich reform. Sądząc po tym, co ludzie gotowi są zrobić tylko po to, żeby zaoszczędzić na podatkach, nie powinno być trudno zyskać ich poparcie dla rozsądnego podejścia do zmian. Pomijając to — dodał z uśmiechem — lubię tę kwestię, bo wywołuje takie intensywne reakcje.

John skrzyżował ręce na piersi i opadł na oparcie fotela.

— Rzeczywiście intensywne.

Rawburne przybrał pouczający ton, jakby wygłaszał ten wykład już wiele razy albo przynajmniej ćwiczył.

— Ciekawie jest przestudiować historię podatków. Opłaty od ludności pobierane są, odkąd istnieją cywilizacje miejskie. Tym właśnie sposobem klasa panująca finansowała swoje koszty utrzymania, militarne awantury i inne projekty. Wiele podatków wymyślonych w czasach antycznych jest zresztą pobieranych po

dziś dzień, choć w zmienionej formie i mimo faktu, że stanowią zaledwie znikomy ułamek dochodów państwa, a czasem ich pobranie kosztuje więcej, niż przynoszą. Wynika to również z tego, że obecnie sumaryczne obciążenia podatkowe są wyższe niż dawniej. Przez całe wieki dziesięcinę, a więc dziesięcioprocentową opłatę, uważano za prawie niemożliwą do zaakceptowania. — Uniósł brwi z drwiącym arystokratycznym uśmiechem. — Dziś padlibyśmy na kolana z wdzięczności, gdyby podatki kiedykolwiek spadły choć w okolice tamtego poziomu — do czego, mówiąc między nami — nigdy nie dojdzie. A to dlatego, że od rewolucji przemysłowej i związanych z nią przemian, jak wyższy koszt broni i prowadzenia wojny, wzrost wydatków na cele socjalne, wynalazek subwencji dla określonych gałęzi gospodarki i tak dalej, wydatki państwa wzrosły znacznie szybciej niż gospodarka narodowa, w istocie tak wysoko, że dziś praktycznie wszystkie kraje są zadłużone i można się tylko zastanawiać, jak zdołają z tego wybrnąć.

— To proste — wtrącił półgłosem John. — Pożyczą pieniądze ode mnie.

Rawburne nie podjął tego wątku.

— Wielka Brytania wprowadziła podatek dochodowy w 1799 roku, żeby sfinansować wojny napoleońskie, i w 1815 go zlikwidowała. Ale to wystarczyło, by nabrano apetytu. W 1842 wprowadzono go ponownie, mówiąc, że to tylko tymczasowy środek zaradczy, ale jak wszyscy wiemy, tak już zostało. Podobnie odbyło się to we wszystkich zachodnich krajach, w których dziś podatki od obrotów, zysków, płac i dochodów przynoszą największą część dochodów państwa.

— Podniósł palec wskazujący. — Chcę przez to powiedzieć, że podatek dochodowy nie został nam dany przez Boga ani nie jest

niedotykalny. Wprowadzono go, więc można też zlikwidować. Trzeba to zrobić.

— Ale dlaczego miano by go zlikwidować? — sprzeciwił się John.

— To znaczy, nikt nie lubi płacić podatków, ale nie widzę nic, co wskazywałoby na tak katastrofalny wpływ podatku dochodowego, że trzeba go aż zlikwidować.

— Oczywiście, w jego miejsce należałoby wprowadzić coś innego — przyznał Rawburne. — Ostatecznie nowoczesne państwo nie może utrzymywać się z samego podatku solnego.

— Pański podatek za niszczenie środowiska.

— Jest pan blisko. Ale to był stan rzeczy, jak mówiłem, sprzed dwudziestu lat. Moje rozważania poszły już dalej. — Rawburne zrobił nieokreślony gest ręką. — Przede wszystkim trzeba pamiętać o tym, że podatki mają funkcję sterującą. Tłumią obszar, w którym je podniesiemy. Podatki na wartościotwórczą działalność jak praca, inwestycje albo handel hamują je właśnie, gdyż przez to, że obliczane są procentowo, na dodatek z reguły progresywnie, są czynnikiem, którego nie można nigdy zaniedbać, obojętne, ile się zarabia. W USA ściągane jest około 500 miliardów podatków od zarobków, ale to oczywiście powoduje wzrost kosztów pracy, co z kolei skutkuje tym, że może powstawać mniej nowych miejsc pracy, gdyż próg, od którego miejsce pracy się opłaca, jest wyższy. Wywołane tym straty w całej gospodarce szacuje się na 150 miliardów dolarów. Podobne obliczenia można przeprowadzić dla każdego rodzaju podatku i każdego kraju, i nie istnieje żadna sztuczka, za pomocą której można by usunąć ze świata tę zależność, gdyż mamy tu do czynienia z regułą matematyczną, niezmienną jak gwiazdy i nieodwracalną jak prawo ciążenia.

John zastanowił się chwilę.

— Ale te straty powstałyby przy każdym rodzaju podatku, prawda? Nie można ich uniknąć, chyba że nie pobierano by żadnych podatków.

— Słusznie — zgodził się dziennikarz. — Nie chodzi o to, żeby ich uniknąć, ale o zrozumienie, w jaki sposób podatki wywierają wpływ na zachowanie i decyzje ludzi. Podatki sterują. W taki sposób, że karzą to, od czego są pobierane. Dławią to. — Przekręcił dłonie tak, by ich wnętrza skierowane były ku górze. — Moim pierwszym pomysłem było, jak zresztą już pan powiedział, ustanowienie podatków od zniszczenia środowiska. Brzmi dobrze w pierwszym momencie, prawda?

John zdziwił się.

— Tak. Dlatego tu jesteśmy.

— Tak mszczą się na nas grzechy młodości — westchnął lord, ale nie wyglądał na naprawdę zmartwionego. — A mianowicie diabeł tkwi w szczegółach. Jak bowiem obliczyć zniszczenie środowiska? W mojej książce pominąłem milczeniem pytania tego rodzaju. Jaka ma być jednostka emisji szkodliwych materiałów i ile ma kosztować? Czy kadm w ziemi kosztuje więcej niż dwutlenek węgla w powietrzu, a jeśli tak, o ile więcej? Czy podatek od śmieci liczyć według objętości, wagi czy składu? I jak mierzyć promieniowanie cieplne maszyn? Złożony temat, wręcz zaprasza do manipulacji i stosowania sztuczek. Wtedy myślałem, że to drugorzędne szczegóły, ale kiedy zacząłem się tym zajmować, przez dziesięć lat wypróbowałem różne obliczenia daremnie, szukając prostoty i sprawiedliwości. Aż pojąłem, co było błędne od podstaw.

Teraz nareszcie zajął się swoją filiżanką, nalał kawy, dodał cukru, spokojnie zamieszał. John zauważył, jak delikatne dłonie

ma Rawburne, dłonie muzyka albo artysty, osobliwie kontrastujące z jego rustykalnym stylem ubierania.

— W latach osiemdziesiątych wpadł mi w ręce bilans gospodarki narodowej Kostaryki, na pierwszy rzut oka bardzo obiecujący, ale już przy drugim spojrzeniu wprost przerażający. Ci ludzie wyrąbali ponad czterdzieści procent swoich zasobów leśnych, na których wyhodowanie trzeba było setek lat, i drewno wyeksportowali. To, co mnie najbardziej zaszokowało, to fakt, że w obliczeniach produktu narodowego brutto był to czynnik wyłącznie pozytywny. Przykładając tę miarę, najlepiej byłoby, gdyby wycięli i sprzedali co do jednego wszystkie drzewa w kraju. Z liczb w żaden sposób nie można było wyczytać, że w następnych latach sprowadzi to na rolnictwo katastrofę. Długo o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że tu się zaczyna całe zło: po prostu źle liczymy.

John chciał sięgnąć po filiżankę, ale zatrzymał się w połowie ruchu.

— Źle obliczony bilans? Tego nie rozumiem.

— Och, bilans sam w sobie był prawidłowy. Nie o to chodzi. Reguły, według których go wykonano, były błędne. Definicja produktu narodowego brutto jest błędna, gdyż w ogóle nie uwzględnia tuk ich czynników jak środowisko i ograniczone zasoby naturalne. Z biegiem lat zaczęto używać innego wskaźnika, produktu krajowego brutto, ule nie jest o wiele lepszy.

— Krytykuje pan ekonomię jako taką, jeśli dobrze rozumiem.

— Są wybitni ludzie, którzy zaprzeczają, jakoby coś takiego jak ekonomia w ogóle istniało.

— Czy to przypadkiem nie ci sami ludzie, którzy zaprzeczają, że lądowanie na Księżycu odbyło się naprawdę?

— Mnie przy lądowaniu na Księżycu nie było, pan może był?

— Nie miałem wtedy nawet dwóch lat.

— Różnica polega na tym, że w tym przypadku nie muszę wierzyć w to, co ktoś mi mówi. Mogę policzyć sam. I odkąd to wiem, wciąż na nowo stwierdzam, że wszystkie katastrofy zaczynają się od błędnych obliczeń. — Wreszcie zaryzykował łyka kawy. Weźmy energię jądrową. Niezależnie od wszystkich sporów za i przeciw wykorzystaniu siły atomu, w większości posiłkujących się raczej emocjami niż rzetelnymi argumentami, faktem jest, że nigdy nie zbudowano by ani jednej cywilnej elektrowni jądrowej, gdyby od początku liczone prawidłowo. Ów, jakoby tak tani prąd z atomów, był tani tylko dlatego, że producenci starannie unikali uwzględnienia w kalkulacjach jakiegokolwiek wzmianki o utylizacji atomowych odpadów. Energia jądrowa była dobrze widziana ze względów politycznych, mogli więc zakładać, że zdołają cichcem podsunąć te koszty społeczeństwu, do tego w chwili, kiedy już nie będzie można ich oskarżyć. Gdyby jakaś firma energetyczna musiała po prostu podjąć decyzję, czy budować elektrownię jądrową czy inną, niechybnie by stwierdzono, że energia jądrowa się nie opłaca. *To* mam na myśli, mówiąc o błędnych obliczeniach. Jeśli pański księgowy postępuje w ten sposób, pan, Fontanelli, trafi do więzienia.

Swobodnie odstawił filiżankę.

— Zastanawiałem się też przez jakiś czas nad metodami obliczeń i nad tym, jak w przypadku Kostaryki trzeba by wkalkulować utratę zasobów leśnych, i doszedłem do wniosku, że w obecnym podejściu do problemu tkwi błąd, polegający na założeniu, że zasoby są niewyczerpane, i uwzględnianiu jako kosztów jedynie samych wydatków na ich pozyskanie. To mniej

więcej tak samo rozsądne, jak gdyby kupiec, który przejął sklep z wielkim magazynem, dajmy na to, tosterów, w swoich kalkulacjach ujmował tylko koszty, jakie ponosi na pójście do magazynu i zdjęcie tosterów z półki. A my to właśnie robimy. Mamy oto las i jako koszt liczymy tylko, że do ścięcia drzewa potrzebne są siła robocza i zużycie piły, może jeszcze transport do portu, i cieszymy się z wszystkiego, co na tym zyskamy. Tak, nasze nauki ekonomiczne zachęcają nas nawet, byśmy tak myśleli, liczyli i postępowali. Przy tym w przypadku lasu można jeszcze przeczuwać, że coś się nie zgadza. Ale jeśli tylko wydobywamy coś z ziemi — ropę, rady i tym podobne — i jest to związane z pewnym wysiłkiem, nie budzi to żadnych naszych wątpliwości.

Ponieważ zaległa cisza i lord Rawburne patrzył na niego pytająco, John skinął głową i oświadczył:

— Rozumiem.

Zadowolony tym i kontynuował:

— Przez jakiś czas snułem nad tym rozważania, jak mówiłem, aż w końcu zamajaczyło mi, że w tym podejściu do problemu kryje się jego rozwiązanie, do którego przegryzałem się przez ponad dziesięć lat. — Zrobił sztuczną pauzę, nim oznajmił: — Jak by to było, zastanawiałem się, gdyby zlikwidować wszystkie istniejące podatki i pobierać wyłącznie podatek od surowców?

— Co? — wyrwało się Johnowi. — Ale to byłoby w najwyższym stopniu... ach tak? — Zamilkł na chwilę. — Chciałem powiedzieć, że to byłoby niesprawiedliwe, bo dotknęłoby tylko zakłady przetwarzające surowce, ale...

Rawburn uniósł palec wskazujący pouczającym gestem.

— Chciałbym przy tym zauważyć, że podatki muszą być ujednoczone na całym świecie, żeby nie dopuścić do

przenoszenia się przemysłu w inne regiony, a płacić musiałyby zawsze ten, kto zabiera coś Ziemi — przemysł wydobywczy ropy naftowej, kopalnie i tak dalej. Ale oczywiście w formie wyższych cen przekaże ten koszt dalej, aż w końcu zapłacą wszyscy. Tylko nakład pracy na zarządzanie systemem podatkowym byłby znacznie mniejszy niż obecnie. Nie byłoby już zeznań podatkowych, nie odprowadzano by podatków od płac — za to jednak rzeczy codziennego użytku byłyby droższe.

— Gdyż w cenach wyrobów, do których producent stosuje surowce, ukryte byłyby podatki.

— Właśnie.

John przez chwilę rozważał pomysł Rawburna. Czy to największa bzdura, jaką słyszał kiedykolwiek w życiu, czy genialny projekt, porównywalny z jajkiem Kolumba?

— Zatem oszczędniej obchodzono by się z surowcami i energia zastanowił się John. — Nie opłacałoby się przewożenie konserw przez pół Europy; a przynajmniej nie wystawiano by ich na regałach za kilka centów. Opakowania byłyby droższe, a więc ludzie bardziej skłanialiby się ku nieopakowanym towarom.

Rawburne przytaknął.

— Od razu zaczęłyby się opłacać recycling. Dziś trzeba firmy zmuszać do przyjmowania z powrotem starych puszek pa napojach i tym podobnych. Dlaczego? Ponieważ surowce są o wiele za tanie. Ponieważ ich ceny nie odpowiadają rzeczywistości ani ekonomicznej, ani ekologicznej. Ale niech pan tylko zacznie pobierać podatek od surowców, a nagle firmy recyclingowe będą pukały ludziom do drzwi i *odkupowały* od nich śmieci.

— Byłaby to mocna zachęta do budowania trwalszych i wytrzymalszych urządzeń — snuł dalej wątek John. — Nawet,



jeśli będą więcej kosztować, to mógłby nadal być dobry interes.

— Dokładnie. Kiedy surowce są drogie, każdy się dłużej zastanowi, czy rozrzucić je po środowisku w postaci szkodliwych zanieczyszczeń. — Rawburne uniósł dłoń. -1 niech pan tylko pomyśli, naturalnie znikną również wszystkie formy podatku obrotowego. To znaczy, że praca będzie znów tańsza, gdyż nie będzie już obciążona podatkami. Usługi wszelkiego rodzaju będą raczej tańsze niż droższe. Bezrobocie przestanie być problemem.

John potakująco kiwał głową.

— Ale — przyszło mu do głowy — czy to byłoby sprawiedliwe? Chodzi mi o to, że człowiek potrzebuje pewnego podstawowego obrotu zasobów, przede wszystkim energii, po prostu, żeby utrzymać się przy życiu. Czy pański podatek nie dotknie przede wszystkim biednych, podczas gdy bogaci będą mieli wolną rękę w wydawaniu swoich pieniędzy na niszczącą środowisko działalność?

Rawburne rozłożył szeroko ramiona.

— Panie Fontanelli, w dotychczasowym pańskim życiu nie uszło zapewne pańskiej uwagi, że wszelkie uciążliwości życia bardziej dotyczą biednych niż bogatych, pomijając może kryzys w branży kawioru. Na tym właśnie polega nasza definicja bogactwa, prawda?

— Na pewno, ale nie muszę zaostrzać tego jeszcze bardziej systemem podatkowym. Albo niech pan pomyśli o tym, że kraje dysponują różną strukturą występowania surowców. Japonia na przykład prawie wcale ich nie posiada. Mogłaby zatem ściągać tylko minimalne podatki.

— To lepszy zarzut — zgodził się Rawburne — i na to też mam propozycję. Podatki od surowców muszą, jak powiedziałem, obowiązywać jednakowo na całym świecie, ale pozostawiłbym

do wyboru poszczególnym państwom, albo nawet regionom lub miastom, dodatkowe opodatkowanie swoich obywateli. Byłby to podatek, który bogatych karałby mocniej i w ten sposób przyczyniałby się do socjalnej równowagi. Więcej jeszcze, w taki sposób byłoby możliwe usunięcie wielu przeszkód, które dziś są przeszkodą w uzyskaniu prawdziwej wolności — granice, limity imigracyjne, ograniczenia w zezwoleniach na pracę i tak dalej — gdyż ruchy migracyjne spowodowane różną atrakcyjnością regionów regulowałyby się same.

John musiał przyznać, że to brzmiało nieźle. Nagle przypomniała mu się jego pierwsza wizyta w Londynie, w innym biurze, z innymi założeniami, i że wtedy też wszystko brzmiało dobrze, niemal genialnie.

To nie było tak dawno. Od tego czasu zdarzyło się tak wiele — a przecież... *nic...*

— Ale czy wtedy nie będzie pan miał znów tego samego problemu? — zapytał. — Jak chce pan ustalić, który surowiec na ile opodatkować?

Rawburne przytaknął, jakby czekał na ten zarzut.

— To ten sam problem, z tą różnicą, że jest dla niego rozwiązanie. Wprost brutalnie proste, matematyczne rozwiązanie. Mianowicie musi pan prawidłowo zbilansować, według dokładnie tej samej skali, jaka obowiązuje w przedsiębiorstwach. Niech pan weźmie na przykład węgiel i ropę naftową. Nikt już dziś nie zaprzeczy, że w tym przypadku chodzi o surowce występujące w ograniczonej ilości. Są różne teorie na to, jak duże zostały jeszcze zasoby, ale wszyscy są zgodni co do tego, że są ograniczone. Cóż, w ekonomice przedsiębiorstw zapasy są częścią planu i trzeba je bilansować kosztami odtworzenia zasobów. Dokładnie to samo musimy zrobić tutaj.

— Koszty odtworzenia? — zdziwił się John. — Ale jak chce pan odtworzyć ropę naftową?

— Ropa naftowa jest płynnym nośnikiem energii, a zatem w istocie zmagazynowaną energią słoneczną. Jako wartość odtworzenia trzeba uwzględnić co najmniej koszty, które umożliwiłyby w obecnej chwili pozyskanie odpowiedniej ilości energii Słońca. Poza tym, jako że spalanie pewnej ilości ropy naftowej powoduje dodatkowo mierzalne pogorszenie jakości powietrza, należałoby uwzględnić jeszcze — przyznaję, że nieco trudniejszy do obliczenia — dodatek na oczyszczanie powietrza. *Voil* — podatek od płynnych nośników energii.

John nastroszył brwi.

— Ale to znaczy, że licząc w ten sposób, energia słoneczna byłaby zawsze tańsza od każdego innego rodzaju energii.

Rawburne uśmiechnął się chytrze.

— Gratuluję. Zauważył pan już, do jakich błogosławionych wniosków doprowadzi ludzi moja reforma.

— Ale jak oblicza pan koszt odtworzenia, powiedzmy, miedzi? Ją trzeba by chyba przywieźć z innej planety, prawda?

— Trzeba by, ale w tym wypadku możemy sobie pozwolić na myślenie pragmatyczne — powiedział Rawburne. — Jak pan zapewne wie, praktycznie każdy pierwiastek występujący w skorupie ziemskiej znajduje się również rozpuszczony w wodzie morskiej, i to w tak zapierających dech ilościach, że zawarte w niej zasoby starczyłyby na dłużej, niż możemy mieć nadzieję przetrwać na tej planecie jako gatunek. Jedyne problem w tym, że odfiltrowanie z wody wspomnianych pierwiastków — miedzi, na przykład — jest ekstremalnie energochłonne. Jednak wcześniej znaleźliśmy już sposób obliczania kosztów energii. Zastosujemy go po prostu teraz, i już mamy nasz podatek od

miedzi.

— Ale to brzmi tak, jakby surowce miały być absurdalnie drogie.

— Dzięki czemu zachęta, aby rozwijać oszczędne technologie, będzie równie absurdalnie silna — zgodził się Rawburne. — Świetnie są znane historie o tym, jak brak czegoś pobudził techniczną myśl wynalazczą.

— Ale skoro w morzu wszystkie surowce są obecne w nadmiarze — wtrącił John — wówczas w rzeczywistości nie będzie w ogóle żadnych niedoborów surowców. Najwyżej energii.

Dziennikarz-arystokrata wycelował w niego palec.

— Kandydat uzyskał sto punktów. Zbliżamy się do sedna mojego konceptu. Podatek od surowców nie ma mianowicie w pierwszym rządzie na celu zachowania ograniczonych zasobów. W istocie surowce nie wyczerpią się nam tak szybko, pomijając jedynie ropę naftową i gaz ziemny. Co nam się jednak wyczerpie, i to wkrótce, to pojemność ekosystemów na wchłanianie zanieczyszczeń i nadmiarowej energii. Moglibyśmy zmienić cały świat w jeden wielki, niezamieszkały pojemnik na śmieci, a w skorupie ziemskiej nadal znajdowałyby się jeszcze wystarczająco wiele metali, by utrzymać produkcję na obecnym poziomie. Sedno w tym, że używamy surowców i energii do zaśmiecania środowiska. To w zasadzie ten sam pomysł, co wtedy w mojej książce, tylko potraktowany z drugiego końca. Z tego końca, który łatwiej jest skontrolować. Zasada jest ta sama — opodatkować to, co szkodzi, i w ten sposób przestawić zwrotnice na przekonstruowanie gospodarki. A ta reorganizacja, i to jest w moim pomysle piękne, odbędzie się całkowicie dobrowolnie. Nie trzeba żadnych przepisów, żadnych planów dziesięcioletnich,

żadnej policji środowiskowej, niczego w tym rodzaju. Wszystkie szczegóły można pozostawić mechanizmom rynku. Rynek ureguluje wszystko z tą samą doskonałością, z jaką robi to zawsze. Właściwe warunki brzegowe, tylko to trzeba stworzyć. Proszę zlikwidować podatki od ludzkiej pracy i opodatkować surowce, a ratunek ludzkości nastąpi automatycznie.

Kiedy Rawburne wyszedł, John chodził po swoim biurze tam i z powrotem jak uwięziony tygrys, ciągle w kółko, tak samo jak myśli wirujące w jego głowie. Miał nadzieję, że ta rozmowa da mu nowy plan wypełnienia proroctwa, ale zamiast jasności i pewności wypełniały go teraz zamęt i przygnębienie.

— A zatem, jak ja mam to zrobić? — pytał. — Ja nie ustanawiam podatków. Rządy o nich decydują.

Rawburne tylko wzruszył ramionami.

— Pan ma władzę. Posłuchają pana.

Czy tak? Przedsiębiorcę, żądającego zmiany systemu podatkowego? Nigdy w życiu.

— Ja mogę tylko dostarczać pomysłów — odparował Rawburne. — Wprowadzać je w życie muszą inni.

Na tym skończyli.

John wpatrywał się w okno, coraz wyżej pokrywające się śniegiem. Czy to w ogóle ma szansę powodzenia? Wszystko to nieźle brzmi, ale on nie jest specjalistą, w gruncie rzeczy nie potrafi tego ocenić. Dobrze, mógłby obarczyć tym dział ekonomiczny. Mógłby kazać przygotować analizę we współpracy z uniwersytetem. Zaprosić na rozmowy ludzi z Funduszy Walutowych albo z Banku Światowego, obeznanych w międzynarodowymi koncepcjami finansowymi.

— Nie mogę — powiedział głośno i nasłuchiwał brzmienia swojego głosu.

— Nie mogę — powtórzył i uznał, że brzmi to prawdziwie. Nie był już w stanie sercem i duszą oddać się planowi kogoś, kto obiecywał przynieść światu ratunek. Obojętne, jak przekonująco brzmiał. Nie miał już siły ani wiary. McCain na początku był równie przekonujący i John czuł, że jego zdolność zaangażowania się całkowicie wyczerpała się w projektach Szkota.

Zacisnął prawą dłoń w pięść, powoli, przyglądając się przy tym swoim palcom.

— Chciałbym sam raz w życiu mieć jakiś pomysł — powiedział do swego odbicia w szybie, przez którą już wcale nie było widać świata na zewnątrz, tonącego w nocy i chłodzie.

Później zadzwonił do Paula Siegela i powiedział:

— Potrzebuję ciebie.

— Znowu? — zapytał Paul.

— Chcę, żebyś przejął zarządzanie *Fontanelli Enterprises*.

Na drugim końcu dało się słyszeć coś jak przeciągające się nabieranie oddechu.

— John — to miło z twojej strony i na pewno masz dobre intencje i twoja propozycja niewątpliwie mnie zaszczyca. Ale jestem ekonomistą, nie specjalistą od przedsiębiorstw.

— Paul — odpowiedział John — obroty mojego koncernu są wyższe niż produkt narodowy brutto większości krajów na świecie. Mam więcej pracowników niż Finlandia mieszkańców. Kto, jeśli nie ekonomista, miałby sobie z tym poradzić?

Przez chwilę panowała cisza. Potem Paul Siegel zakaszłał.

— To rzeczywiście jest argument.

*Temple Tomorrow Society* zorganizowało kongres pod hasłem *Planet Management*. Zaprosiło do San Francisco laureatów Nagrody Nobla, byłych prezydentów Stanów Zjednoczonych, posiwiąłych wśród szacunku i uznania dawnych szefów państw, a przede wszystkim najbardziej ich zdaniem liczących się liderów gospodarki z całego świata, by przez trzy dni w sławnym Fairmont Hotel, owym kultowym centrum dobrobytu, w intensywnych dyskusjach *zbadać drogę w 21. stulecie i wytyczyć szlak ku nowej cywilizacji*. Okoliczność, że na lunch jeżdżono zewnętrzną hotelową szklaną windą do *Crown Room's Restaurant*, skąd roztaczał się wspaniały widok na most Golden Gate, dalekie wzgórza Berkeley i Dolinę Krzemową, uznano za jak najbardziej stosowną i równocześnie podniecającą. Fakt, że wśród zaproszonych gigantów gospodarki nie było Johna Fontanellego, zdawał się nikomu nie przeszkadzać.

— Nie jestem urażony ani nic w tym rodzaju — powiedział John, gdy Marco przyszedł zaprezentować mu wyniki śledztwa, jakie na miejscu przeprowadzili członkowie organizacji ochroniarskiej. — Chcę tylko wiedzieć, co się tam dzieje.

— Naturalnie, panie Fontanelli — powiedział Marco.

John spojrzał na niego.

— Chyba mi pan wierzy, co?

— Tak — powiedział ochroniarz i położył folię na projektor.

*Temple Tomorrow Society* utworzono krótko przed Bożym Narodzeniem 1997. Założycielem i honorowym prezesem był Bradford C. Tempie, dotychczasowy prezes zarządu *Morris-Capstone*, który w następstwie przejęcia obowiązków przez Malcolma McCaina przeszedł na emeryturę. Tempie był

jasnowłosym, obdarzonym sporym brzuchem mężczyzną ze Środkowego Zachodu, i, sądząc po zdjęciach, można by go posądzić raczej o namiętność do konnych gonitw albo młodych striptizerek, ale nigdy o założenie towarzystwa, które by wpisało sobie do statutu *wyprostowanie drogi ludzkości w przyszłość*.

— Za tym stoi McCaine — stwierdził John. Zatem jasne, dlaczego go nie zaproszono.

Kongres *Planet-Management* obradował w klauzurze, absolutnej separacji od mediów. Tylko mała, starannie dobrana garstka dziennikarzy została dopuszczona do pewnej ilości półpublicznych posiedzeń, przy czym wszystkie doniesienia prasowe oraz nagrania dźwiękowe i telewizyjne musiały przed publikacją być autoryzowane.

Jedno z takich nagrań wideo Marco włożył do odtwarzacza. Tak szybkie dostarczenie go z San Francisco do Londynu musiało kosztować majątek.

Pewien profesor ekonomii mówił o wolnym handlu i jego przyszłym rozwoju. Jakiś miliarder zajął się inwestycjami w nowe rynki. Nikt nie przemawiał dłużej niż pięć minut, wszystko było przedstawiane w maksymalnym skrócie. Menadżer pewnej firmy komputerowej opowiadał, jak u nich programiści z całego świata — dzięki połączonym w sieć komputerom — pracują przez okrągły dzień, kiedy chcą i ile są w stanie, bez problemów z zezwoleniami na pobyt i niezależnie od lokalnych rządów i ich przepisów dotyczących prawa pracy.

— Ludzie są zatrudniani przez komputer, pracują na komputerze i przez komputer są zwalniani.

Magnat handlowy z Azji Południowej prorokował, że w następstwie rosnącej wydajności pracy w przyszłości wystarczy dwadzieścia procent ludności w wieku produkcyjnym do



utrzymania w ruchu całej światowej gospodarki. Jedna piąta wystarczy, by wyprodukować wszystkie towary i dostarczyć wszystkie usługi, na jakie będzie stać świat.

Malcolm McCaine był tym, który po nim podszedł do mównicy, potoczył po zebranych gniewnym spojrzeniem, by potem zadać pytanie, które musiało tutaj paść:

— Ale co mamy zrobić z nadwyżką ludzi?

John nie dowierzał własnym uszom. McCaine naprawdę użył wyrażenia *surplus people* — nadwyżka ludzi. I nikt się nie sprzeciwił. Po sali nie przebiegł nawet szmer.

Paul Siegel rozpoczął działalność jako prezes zarządu *Fontanelli Enterprises* z początkiem marca. Przyjechał do Londynu kilka dni wcześniej i dokonał tego, co John daremnie próbował mu wyperswadować: przy pomocy pośrednika nieruchomości i z „nieprzyzwoitym wprost mnóstwem szczęścia” znalazł mieszkanie, do tego takie, które spełniało wszystkie jego życzenia. Znowż zatem było zaskakująco podobne do jego poprzednich mieszkań, tyle tylko, że teraz piękny widok z wysokiego piętra roztaczał się nie na Hudson ani Potomac, ale na Tamizę.

John kazał odnowić biuro McCaina i sam się do niego wprowadził, pozostawiając Paulowi swoje dotychczasowe biuro. Nie mógłby znieść myśli, że umieści przyjaciela w tym samym biurze, w którym rezydował McCaine, jakby w jego zastępstwie.

Paul wprowadził na piętrze zarządu nowy styl bycia. Z miejsca położył koniec samotnym, skromnym obiadom przy stole konferencyjnym — Paul Siegel jadał południowy posiłek w kantynie, razem z wszystkimi obecnymi akurat dyrektorami, nie miał nic przeciw zsunięciu kilku stołów razem i zachęcał mężczyzn i nieliczne kobiety do mówienia wprost, co im leży na

sercu. John z pewnym ociąganiem przyłączył się i stwierdził, że przyjemnie jest choć na chwilę opuścić wyżyny samotnego posterunku dowodzenia.

Ale Paul Siegel był nie tylko towarzyski i otwarty. Szybko dowiedział, że — jeśli musi — potrafi również być radykalny. Uważnie wysłuchał, jak trójka dyrektorów zachwyca się McCainową wizją istnienia czegoś takiego jak *surplus people*. Detektywi, którym polecił się nimi zająć, znaleźli u dwóch dowody powiązań z McCainem, w następstwie czego zwolnił obu ze słowami: „*surplus people* — to panowie” i oskarżył ich o nielojalność, zachęcanie do sabotażu i o szpiegostwo gospodarcze. W trakcie śledztwa ujawnił liczne dalsze „wtyczki” na różnych poziomach zarządzania, które również wszystkie bez wyjątku wyrzucił.

John w sumie trzy razy próbował zadzwonić do Ursuli. Za pierwszym razem zaczął wybierać numer, ale po kierunkowym odłożył słuchawkę, mówiąc sobie, że odezwałaby się, gdyby jej jeszcze cokolwiek na nim zależało. Kilka dni później przemógł się i wybrał numer do końca, ale usłyszał tylko jej automatyczną sekretarkę i rozłączył się, nie zostawiając wiadomości: tego, co chciał jej powiedzieć, nie dałoby się załatwić w ten sposób. Kiedy kilka dni później spróbował jeszcze raz, nie zgłosiła się nawet sekretarka, ale sygnał powtarzał się bez końca i daremnie.

To właśnie w tych dniach jedna z sekretarek przyniosła Johnowi list, który uderzająco różnił się od normalnej poczty biznesowej.

— Najpierw myśleliśmy, że to jeden z tych listów, jakie piszą czasem do pana dzieci — powiedziała — ale on naprawdę dotyczy interesów.

— Naprawdę? — zdziwił się John i wziął do ręki kopertę. Jak

wszystkie listy do niego był oczywiście prześwietlony i wcześniej otwarty. Obklejony mnóstwem naklejek i zaadresowany ręcznie długopisem, niezgrabnym pismem, ale prawidłowo, do *Pana Johna S. Fontanellego*, były na nim znaczki Republiki Filipin. Nadawca był niejaki Manuel Melgar.

— Kim jest Manuel Melgar? — mruknął John i w tej samej chwili przypomniał sobie. Chłopiec. Tuay. Panglawan. Naciskał go o trzysta dolarów.

Koperta zawierała list, w którym Manuel przedstawiał swoje pierwsze zawodowe sukcesy i porażki — kupił i przebudował trójkołowca, po dwóch miesiącach pokłócił się z Balabaganem, znalazł też innego handlarza ryb, interes szedł dobrze, przy czym sprzedaż słodczych dzieciom, jaką prowadził przy okazji po drodze, okazała się nieoczekiwanym strzałem w dziesiątkę. W załączeniu zdjęcie obklejonego naklejkami reklamowymi trójkołowca, z promieniejącym dumą młodym Filipińczykiem za kierownicą, i jeszcze wypisany starannie na kratkowanym papierze plan spłaty trzystu dolarów. Manuel sam wybrał okres spłaty piętnaście lat i wyszła mu miesięczna rata 2 dolary i 5 centów. Za pierwsze półrocze przypiął czek opiewający na \$15,18.

— Tak, do cholery — wymamrotał John. — Czy ja już w ogóle nie jestem w stanie pozbyć się pieniędzy?

Paul jakby nie podzielał zdenerwowania Johna. Przebiegł wzrokiem list, spokojnie przestudiował plan spłat, wskazał na jedną z liczb i powiedział, sięgając po kalkulator:

— Zdaje mi się, że tu się pomylił.

— Ale przecież wcale nie o to chodzi — wybuchnął John.

— A o co takim razie? Pożyczyłeś mu pieniądze, więc je oddaje. Najnormalniejsza rzecz na świecie.

— Z odsetkami! — John podskoczył. — Niech to diabli, dałem mu te pieniądze, żeby miał szansę, żeby mógł stworzyć coś dla siebie... a teraz jeszcze na tym *zarabiam!* Jak to się ma właściwie skończyć? Daję ludziom pieniądze, oni oddają mi więcej pieniędzy. To przecież kiedyś musi się skończyć! Inaczej pewnego dnia trafią do mnie *wszystkie* pieniądze świata, i co wtedy? To, do wszystkich diabłów, kompletnie nie ma sensu.

Paul opadł na oparcie fotela i przyglądał mu się w zamyśleniu.

— Nie sądzę, by do tego doszło. To by znaczyło, że kiedyś będzie należał do ciebie cały świat.

— Ty w to nie wierzysz. Paul, do mnie spływa więcej pieniędzy, niż jestem w stanie się pozbyć. Jak to się może skończyć inaczej, niż że pewnego dnia wszystko trafi do mnie?

— Dotychczas każdy wielki majątek kiedyś zniknął.

— Dotychczas.

— Gdyby to było takie proste, jak myślisz, świat od dawna należałby do rodziny Rockefellerów, o ile nie do potomków Fuggera.

John wydał ostry krzyk.

— A kim ja jestem? Potomkiem Jakoba Fuggera!

— Twierdzi tak niejaka Ursula Valen. Jeśli o mnie chodzi, jesteś w pierwszym rzędzie potomkiem Francesco Fontanellego.

— Ach tak — John rzucił się na jeden z foteli, zasłonił usta splecionymi dłońmi i wbił wzrok w sufit. Przez chwilę panowało milczenie, odmierzane pstrykaniem długopisu, którym bawił się Paul. A co z prorocstwem?

— A co ma być? — głos Paula dobiegał z odległości milionów mil.

— Jestem dziedzicem? Tak. *Czy jestem prawdziwym dziedzicem?* Nie. Nie potrafię oddać ludziom utraconej

przyszłości. Nie mam pojęcia, jak miałbym to zrobić. Nawet nie wiem, o czym mowa. — Zaczął poruszać splecionymi dłońmi tam i z powrotem. — Lorenzo by wiedział. On byłby tym prawdziwym dziedzicem. Ale McCaine go zabił...

— John? — przerwał mu Paul.

— Hmm?

— Nie wiem, czy specjalne wrażenie zrobiłaby na mnie Boża Opatrzność, która dałaby sobie tak łatwo dmuchać w kaszę komuś takiemu jak McCaine.

John zaskoczony spojrział na niego. Paul siedział za biurkiem, kręcił w dłoniach długopisem i wyglądał na nieco rozdrażnionego. — Co?

— Ja uważam to wszystko za jeden wielki *bullshit* — powiedział Paul. — To przecież całkowicie obojętne, czym potomkiem jesteś i jakie wizje ktoś miał kiedyś. Liczy się teraźniejszość. Masz teraz po prostu na karku ten majątek i ten koncern, i musisz się z tym jakoś uporać. Co też innego miałby wymyślić twój kuzyn? Na Boga, on miał szesnaście lat. Co w tym wieku wie się o życiu?

— Co w tym wieku wie się o życiu? — John podniósł się. — Pokażę ci, co Lorenzo w tym wieku wiedział o życiu. — Rzucił się do swego biura, przegrzebał jedną z szuflad w poszukiwaniu obu artykułów do szkolnej gazetki i zrobionych przez siebie tłumaczeń, i wrócił z nimi do Paula. — Proszę. Przeczytaj to.

Paul przeczytał. Czytał, na początku się uśmiechając, potem coraz bardziej marszcząc czoło, aż w końcu mruknął: — Hmm. — I co? — dopytywał się John. — Genialne, prawda?

— Nie wiem. Brzmi trochę tak jak jeden z tych pamfletów, które starają się udowodnić, że Einstein nie miał racji albo że teoria ewolucji musi się mylić. Na Times Square wciskają ci takie do ręki różne oszołomy ze sfilcowanymi brodami i błyskiem

szaleństwa w oku.

Odsunął arkusze na bok, jakby obsiadły je pchły.

— Dlaczego? — powiedział do niego John. — Powiedz mi, co się nie zgadza. Ja to czytałem. Wytwarzanie pieniędzy tak działa. O banku centralnym i bankach komercyjnych. Lorenzo tego nie wyjaśnił, ale ja przecież znam reguły gry z mojego własnego banku: ktoś zakłada konto i wpłaca pieniądze, ja pożyczam je komuś, kto znowu wpłaca je do mnie, i znów mogę je komuś pożyczyć, i tak bez końca. Tak powstaje coraz wyższy stan rachunków, który uważa się za pieniądze. To się przecież zgadza, prawda?

— Tak — niechętnie skinął głową Paul.

— Ale to, co on mówi, nie jest napisane w książkach, które czytałem. A przecież to jasne jak na dłoni. Gdyż wraz z dobrami na rachunkach muszą powstawać odsetki. Zawsze, koniecznie. I dalej, w następstwie odsetek, *więcej* długów niż dóbr. Ten cały system jest jednokierunkowy. Trzeba go napędzać coraz dalej, a im bardziej człowiek się stara, tym bardziej zbliża się do zguby. Efekt śnieżnej kuli.

Paul Siegel zamrugał poirytowany.

— Nie wiem. To dość nieortodoksyjny punkt widzenia... To sprzeczne z wszystkim, czego się uczyłem.

— To dla mnie jasne. — John opadł z powrotem na fotel. — I choćbym się nie wiem, jak starał, nie wiem, co z tym począć.

Przez chwilę panowało milczenie. Cichy szelest dobiegający od biurka zdradził, że Paul jeszcze raz czyta tekst.

— Masz tylko dwie alternatywy — stwierdził w końcu. — Albo gospodarka pieniężna, z wszystkimi jej zaletami i wadami, albo powrót w takiej czy innej formie do handlu wymiennego. Który ma głównie wady. To znaczy, w porządku, można sobie

wyobrazić, że dziś ze wszystkimi tymi komputerami i Internetem dałoby się zrobić to, co dawniej nie było możliwe... Ale, prawdę mówiąc, brak mi fantazji, żeby wyobrazić sobie szczegóły.

— Wierzysz — spytał John — że mając genialną alternatywę do systemu wymiany pieniężnej, mielibyśmy w ogóle dość władzy, by wprowadzić to w życie?

— Nie — bezzwłocznie odpowiedział Paul.

— Największy koncern świata? Największy prywatny majątek wszech czasów?

— Nigdy w życiu. W takim wypadku cały świat by się zjednoczył. Przeciw tobie.

— Tak — skinął głową John i odchylił głowę do tyłu, na oparcie. — I ja tak myślę.

W czaszce mu tętniło. Czuł się źle, trochę tak, jakby coś przeoczył, jakiś związek, jakiś ważny szczegół, nie mógł tylko wymyślić, co. Ale może po prostu będzie chory. Dotknął czoła. No cóż, nic dziwnego, po ostatnich tygodniach pełnych stresu. Wstał. Na zewnątrz już zmierzchało.

— Idę do domu — powiedział. Paul spojrział na niego zaskoczony. — Źle się czuję. Lepiej napiję się ziołowej herbaty i pójdę wcześniej do łóżka.

— Och — powiedział Paul. — Zrób tak. — Uniósł w górę tłumaczenia. Mogę je zatrzymać jeszcze na jakiś czas? Może coś wymyślę.

— Jasne, nie ma sprawy. Uratujemy świat innym razem. Kiedy zajechali przed zamek, przywitał ich wstrętny śnieg z deszczem.

— Czy mam wjechać przez garaż, sir? — spytał szofer. Tym sposobem dotarłby do domu suchą stopą, ale musiałby pokonać niezliczone schody, co w tej chwili wydawało się Johnowi gorsze niż pięć kroków w deszczu.

— Nie — powiedział. — W porządku.

Wewnątrz kamerdyner odebrał od niego wilgotny płaszcz, podał mu podgrzany ręcznik do włosów i, kiedy John się osuszył, grzebień i lustro. Wtedy John poprosił go o przyniesienie herbaty na przeziębienie i powlókł się do swoich pokoi na górze.

Pokojówka przyniosła gorący napój. Była to Francesca, po tylu latach wciąż tak samo nieśmiała jak wtedy, kiedy zaczynała pracę w Villa Portecéto. Postawiła przed nim tacę, na której stał mały, kosztowny porcelanowy dzbanek, pasująca do niego filiżanka, cytryna, mleko, cukier, i mała, oprawna w złoto klepsydra, wskazująca, kiedy trzeba wyjąć siteczko oraz przeznaczony na nie talerzyk. Ponieważ nadszedł akurat właściwy czas, wyjęła sitko i naląła mu herbaty do filiżanki.

— *Grazie* — powiedział John.

— *Prego* — wyszeptała, ale zamiast zniknąć cicho w cieniu, jak miała w zwyczaju, zaczęła z ociąganiem: — *Scusi, signor Fontanelli...*

Johna doszedł aromat herbaty, ale jednocześnie poczuł się chory, jakby czaszka miała mu pęknąć w każdej chwili. — *Si?* Zdawało się, że ledwie ma odwagę przedstawić swoją prośbę.

— Ja, hm... chodzi o to, że ja, hm... — zaczęła, a każde słowo pulsowało w jego uszach tak mocno, że się wzdrygał.

— *Come ?* — szepnął.

— CD — wykrztusiła, wiosłując dłońmi, jakby miała tu i teraz dostać ataku spazmów. — Kupiłam sobie płytę CD i... chciałam pana spytać, czy nie ma pan nic przeciw temu...

Spojrzał na bladą, szczupłą pokojówkę i zadał sobie w duchu pytanie, czy ona naprawdę sądzi, że on jest władny zakazać jej zakupu CD.

-... żebym przesłuchała ją na pańskim odtwarzaczu? —



wykrztusiła wreszcie, odsunęła się, jakby spodziewała się ciosu, i spojrzała na niego wytrzeszczając oczy. — Oczywiście tylko wtedy, kiedy pana nie będzie w domu — dodała szeptem.

To wszystko? John wykończony skinął głową.

— *Si. D'accordo* — rzekł i dziękował niebiosom, że zostawiła go w spokoju.

Małymi łyżkami wypił herbatę, i z każdym łykiem jego dolegliwość mniej wyglądała na przeziębienie. Raczej tak, jakby jego mózg pełen był wrzących myśli. Do tego ważących tony. Czy powinien wezwać lekarza? Albo wziąć tabletkę?

Nie był w stanie się nad tym zastanowić, podjąć jakąś decyzję. Niewątpliwie dziś w nocy rozsadzi mu głowę — i co z tego. Wypił herbatę i poszedł do łóżka, gdzie zapadł w niespokojny, dręczony koszmarami sen.

Następnego dnia obudził się, czując się tak, jakby nie spał, ale został ogłuszony. Miał się trochę lepiej, ale niewiele: jakby ranę pokryła pierwsza cienka błona, mogąca w każdej chwili pęknąć. Mimo to — nie chciał siedzieć w domu, kazał więc zawieźć się do biura. Tam znalazł na biurku notatkę od Paula, w której przyjaciel życzył mu wyzdrowienia, i informował, że przez cały dzień będzie na rozmowach w Paryżu i wróci dopiero wieczorem.

Odwołał wszystkie terminy, zamiast tego czytał raporty biznesowe *Banco Fontanelli* i południowoamerykańskiej spółki kopalnianej oraz gazety. McCain, który w ciągu ostatnich kilku tygodni częściej występował publicznie niż przez dwa lata szefowania *Fontanelli Enterprises*, awansował powoli na idola inwestorów z całego świata. Często opowiadał się za tym, żeby „elitę produkcyjną” uwolnić od obciążeń, których jedynym celem jest utrzymanie przy życiu „produkcyjnych nieudaczników”.

— Przyroda również nie zna składek socjalnych — oznajmił, zyskując poklask na jednym z sympozjów gospodarczych, domagając się przy tym rygorystycznej likwidacji wszelkich czynników hamujących handel oraz radykalnej deregulacji rynków.

John obejrzał reportaż telewizyjny o demonstracjach, odbywających się przed zamkniętymi drzwiami centrum konferencyjnego. Starszy człowiek ze szklami w okularach grubymi jak dna butelek tłumaczył reporterce:

— Jestem ciężko chory na cukrzycę i dlatego od siedmiu lat bezrobotny. Demonstruję, bo mam uczucie, że McCain i jego świta najchętniej zagazowaliby ludzi takich jak ja.

Memorandum z działu analiz rynkowych informowało o rosnącej liczbie firm kooperujących pod przywództwem McCaina, zasiadającego tymczasem już w jedenastu radach nadzorczych, między innymi w radzie drugiego co do wielkości po *Fontanelli Enterprises* producenta energii. Kursy giełdowe firm należących do Morris-Capstone, o ile były one notowane na giełdzie, rosły do wysokości, jakie dotychczas uważano za nieosiągalne.

John przyjmował to wszystko do wiadomości, ale jakkolwiek by nie podchodził do tematu, nie mógł pozbyć się uczucia zagrożenia i goryczy, że zawiódł.

Lokal pogrążony był w półmroku, przez okna widać było morze świateł Londynu. Byli jedynymi gośćmi i jeśli człowiek za barem na drugim końcu wielkiego pomieszczenia czekał na to, żeby wreszcie móc iść do domu, zamiast zabijać czas polerowaniem czystych szklanek, to nie dawał tego po sobie poznać.

— Dawniej można było po prostu usiąść w jakiejś knajpie — powiedział John.

Paul łyknął swojego drinka.

— Mimo to nigdy tego nie zrobiliśmy.

— Ale *moglibyśmy* to zrobić.

— Nie moglibyśmy. Bo nigdy nie miałeś dość pieniędzy.

— Zawsze coś musi być — John zajrzał do swojej szklanki. — Od czasu Meksyku pilnują mnie tak dobrze, że niekiedy czuję się, jakbym siedział w więzieniu.

— Cóż. Wszystko ma swój koszt. Nawet bezgraniczne bogactwo.

Od okien dobiegał łagodny chłód. Tamiza w oddali migotała mroźnie. Nisko w dole widać było przejeżdżające samochody i spacerowiczów, w większości pary, wchodzące na chwilę w mgliste kręgi światła ulicznych latarni i kilka kroków dalej znów roztopiające się w nocy.

— Co dalej? — zapytał John.

Paul uniósł brwi.

— Co masz na myśli?

— Zapominamy o prorocctwie. Pogrzebaliśmy wszelkie ambicje wywierania wpływu na bieg świata. Robimy *business as usual*, kupujemy, sprzedajemy, zatrudniamy, zwalniamy, liczymy pieniądze. — John obracał w dłoniach szklankę. — A potem?

Paul opadł na oparcie.

— Nie ma „a potem”. Można tak robić przez całe życie.

— Ale jaki to ma sens?

— Nie jesteś przedsiębiorcą, wyraźnie to widać. Nie chodzi o liczenie pieniędzy, chodzi o to, by coś tworzyć. Taki koncern ciągle się rozwija. Permanentnie coś się wydarza, zmieniają się warunki, trzeba reagować albo działać zapobiegawczo. Takie są reguły gry. To gra, jak baseball. Ostatecznie gra się w nią, bo się lubi.

John patrzył na resztkę napoju w szklance, wychylił ją wreszcie

i dał znak, że zamawia następnego drinka.

— Kiedy ostatnio byłeś na meczu baseballowym?

— Och. — Paul zastanowił się. — Dawno temu. Myślę, że ostatni raz byliśmy razem na New York Yankees. Nim poszedłem na Harvard. — Pokręcił głową. — Ale zabij mnie, nie pamiętam już, z kim grali.

— Ja też nie.

Kelner podszedł, postawił przed nim nowego drinka i zabrał starą szklankę. Paul zamówił jeszcze raz to samo.

— Przez jakiś czas śledziłem rozrywki ligowe, ale potem nie miałem telewizora i całkiem odpadłem.

— Ze mną było podobnie. Przygotowania do egzaminu.

John skinął głową, zaśmiał się sucho.

— Czy to nie okropne? Jak szybko traci się poczucie, co naprawdę ważne?

— Po prostu tragiczne. — Przyszedł nowy drink Paula. Przyjął go, kiwając z wdzięcznością, wypił łyka i poczekał, aż mężczyzna odejdzie. — Wiesz — powiedział wtedy — co teraz będzie? Od ciebie rozpocznie się następna finansowa dynastia. Taka rodzina jak Rockefellerowie, Rothschildowie albo Medici. Albo i Fuggerowie. Kiedyś przecież spotkasz jeszcze kobietę, która będzie w stanie znieść luksus i pieniądze, będziesz miał kupę dzieci, które pod troskliwą opieką wyrosną, pójdą do najlepszych szkół na świecie i stopniowo wprowadzisz je do interesu...

— Teraz mówisz jak McCaine. On też ciągle gadał o tym, że mam stworzyć dynastię.

— No cóż, nie wszystko, co mówił, było głupie. Sądząc po tym, co mi opowiedziałeś, i po tym, co czytam w gazetach, wygląda na to, że dopiero ostatnio mu odbiło. — Paul przesunął szklanką po stole. — To takie proste, wiesz? W Harvardzie można się było

dobrze przyjrzeć wszystkim tym synom z zawodu, także córkom... Za twojego życia majątek urośnie, twoje dzieci utrzymają go, a w pokoleniu twoich wnuków zaczną go ubywać. Tak dzieje się z każdym wielkim majątkiem. Ale bilion dolarów starczy na pokolenia, obojętne, jak będą rozrzutne.

John wziął łyka i miał ochotę upić się dziś naprawdę na całego.

— Brzmi wspaniale. Może będą musieli kiedyś wyrzucić kilka milionów na ostatnie wiadro czystej wody, kto wie?

— Hej — krzyknął Paul. — Możesz też rozdać pieniądze, jeśli wolisz. Stary Rockefeller to zrobił, kiedy w końcu dopadł go psychiczny kryzys i brak poczucia sensu, i dziś nie można wyobrazić sobie medycyny, edukacji i nauki bez jego fundacji.

— Najlepiej poszukam sobie kogoś z wizją. Niech złoży pół miliona dolarów na pięćset lat, i jakiś nieszczęśnik w roku 2500 odziedziczy trylion dolarów. Czy jaka tam wtedy będzie waluta.

— Wychylił drinka jednym haustem, co tam, i rozkoszował się paleniem w gardle. Dobrze to mu robiło, tłumilo ból duszy jakby otulając go miękką chustą. — Kto wie, może majątek Fuggera też tak powstał? Zaśmiałybym się na śmierć, gdyby to się wydało pewnego dnia. Hej! — krzyknął unosząc pustą szklanekę. — Jeszcze jeden. Podwójny!

Paul przyjrzał mu się krytycznie.

— Zamierzasz się upić?

— Trafna diagnoza — wyraził uznanie John.

— Nie rób tego.

— Muszę. Muszę, inaczej myśli rozsadzają mi dziś w nocy mózg.

— Ale skinął na mężczyznę za barem. — Rozkaz cofnięty. Proszę colę.

Powstała krępująca przerwa, która przeciągnęła się, aż na stole przed Johnem stanęła cola. Potem Paul westchnął i stwierdził:

— Wiesz, może przeżywamy akurat o wiele ważniejszą fazę, niż nam się wydaje. Może doświadczamy akurat powrotu średniowiecza.

— Średniowiecza? — Johnowi, nie wiedzieć czemu, stanęło w tym momencie przed oczyma spoglądające surowo oblicze Jakoba Fuggera, nadal wiszące w jego sypialni.

— Czytałem kiedyś coś takiego; nie pamiętam już, gdzie. Ktoś zrobił zestawienie, jakie podobieństwa istnieją między dzisiejszymi koncernami a średniowiecznymi strukturami władzy. Ty na przykład jesteś królem, ja kanclerzem, dyrektorzy to mianowani przez ciebie książęta, i tak dalej aż do pracowników, twoich poddanych. — Machnął ręką od sufitu do podłogi. — Twój zamek, strzeżony przez dzielnych rycerzy, co? Uwzględniając, że we wszystkich kantynach, firmowych stacjach benzynowych i tak dalej można płacić firmowym identyfikatorem, masz nawet własny system finansowy. I podczas kiedy wokół pustoszeją kraje i upadają odziedziczone po przodkach obyczaje, barbarzyńcy atakują granice i nabrzmiewają wszelakie kryzysy, ty i inni królowie coraz bardziej poszerzacie swoje królestwa, wasza , władza rośnie, aż stare imperium — kiedyś Rzym, dziś pewnie Ameryka — upadnie, a wy ustanowicie nowy porządek świata.

— Hej — wtrącił zafascynowany John. — To nie takie głupie. — Przed jego wewnętrznymi oczami przekornie pojawiły się klasztorne mury, j opancerzeni rycerze i barwne kupieckie karawany. Dosłownie czuł na swoich ramionach ciężar gronostajowego płaszcza.

— Prawda? — stwierdził Paul i dodał smętnie: — Ale średniowiecze oznacza mroczne stulecia ignorancji, pełne wojen, zaraz i nędzy. Może powinniśmy, póki jeszcze możemy,

ustanowić kilka klasztorów, w których miałyby szansę zostać przechowana przynajmniej dzisiejsza wiedza. Skoro wolność i demokracja po krótkim okresie rozkwitu mają znów ustąpić feudalizmowi.

John z przejęciem skinął głową.

— Tak — powiedział. — Może naprawdę powinniśmy to zrobić. — Powędrował spojrzeniem za okno. Wieże miasta przemieniły się nagle w blanki wrogich zamków, ulice w bastiony i obwarowania. Mgła wydawała się być dymem pobliskiej bitwy. — Co za myśl...

Później nie potrafiłyby powiedzieć, co właściwie było punktem zapalnym. Poczł nagle, jak sztywnieje, jak coś w nim się kurczy, jakby błona, która zdawała się porastać ranę jego duszy, nagle wyduła się w pęcherz i pękła, i pozwoliła wyciec wszystkiemu, co się pod nią nagromadziło, co zalało go teraz falami obrazów, pomysłów i emocji. Z pewnością w tym, co powiedział Paul, musiało być jakieś hasło, wyzwajające łańcuch skojarzeń, niepowstrzymany jak przewracający się rząd kamieni domina, i kiedy to wszystko się działo, otoczenie rozsypało się w drzazgi i poskładało z powrotem, z tych samych części, tylko ułożonych na nowo, ułożonych lepiej, pierwszy raz prawidłowo, pierwszy raz, odkąd nauczył się myśleć. Było tak, jakby spadła na niego lawina ciężkich jak ołów kawałków puzzli, by samodzielnie ułożyć się w gotowy obraz. Nie kosztowało to już żadnego wysiłku, gdyż cały wysiłek został poniesiony wcześniej, musiał tylko wciągnąć kark, chroniąc się przed zderzeniem i wstrzymać oddech.

— Już wiem — szepnął ochryple. Dalej siedział sztywno, ze spojrzeniem nadal skierowanym na zewnątrz, na jakiś budynek, w nim jasne okno, mały, świecący żółto punkcik w oddali.

— Słucham? — spytał Paul.

— Wiem, co musimy zrobić. — Siedział nieruchomo, gdyż najmniejszy ruch mógłby spłoszyć wizję.

Paul pochylił się ku niemu i patrzył teraz na niego z podejrzliwą uwagą.

— Niby co? — powtórzył.

— Żeby wypełnić proroctwo.

— John, czy ty się...

— To całkiem proste. Takie proste. Już dawno mogliśmy na to wpaść.

— Och — bąknął osłupiały Paul. Zamyślił się na chwilę, podczas gdy John wpatrywał się w ten mały migotliwy punkt w mrocznej oddali, wreszcie Paul zapytał: — A co takiego?

John powiedział mu. Powiedział, co muszą zrobić.

Kiedy skończył, w pomieszczeniu zapadła cisza, jakby powietrze stężało. John otrząsnął się z zeszywnienia, poszukał wzroku Paula, spojrział w wielkie, patrzące z niedowierzaniem oczy.

Pierwszy raz w życiu udało mu się zaskoczyć Paula Siegela.



## 46

New York, *caput mundi*, stolica świata. Pierwszy naprawdę wiosenny dzień rozświetlał miasto nad rzeką Hudson, sprawiając, że wilgotne kaniony między domami parowały, a szklane wieże Manhattanu świeciły daleko nad Atlantykiem. Można było wjechać na dach *World Trade Center* i spoglądać na szeroki, świeżo umyty świat, nie będąc wyganianym przez lodowaty wiatr ani zacinający deszcz.

Żaden z tych, co obserwowali samolot z ciemnoczerwonym/na tylnym stateczniku lądujący na lotnisku Johna F. Kennedy'ego, nie pomyślał sobie przy tym nic szczególnego. Maszyna przylatywała do Nowego Jorku dostatecznie często, by stać się codziennym widokiem.

— *Moneyforce One*, masz pozwolenie na lądowanie.

Nikt nie przeczuwał, że tym razem John Fontanelli przybywa, by zmienić świat.

Siedziba Narodów Zjednoczonych nad East River jest wielkim, otwarcie i zapraszająco zaprojektowanym budynkiem, który, wzniesiony według pomysłu architekta Le Corbusiera, po dziś dzień promieniuje wielkością i optymizmem. Mimo to każdy, kto chce tu wejść, musi zaopatrzyć się w dyskretny identyfikator ze zdjęciem, wydawany dopiero po dokładnym sprawdzeniu, i pozwolić na pedantyczną kontrolę osobistą i bagażu. Uzbrojeni ochroniarze, urządzenia prześwietlające i wykrywacze metalu odciskają piętno na obrazie hali wejściowej.

Limuzyna, która przywiozła z lotniska Johna Fontanellego i Paula Siegela, została skierowana przez muskularnego wartownika na przeznaczone dla niej miejsce. Kordon uzbrojonych ochroniarzy eskortował ich w górę szerokich

schodów, mogli pokonać wszystkie bariery nie niepokojeni przez nikogo, nawet kontrolę dokumentów, po czym zawieziono ich na 38 piętro, gdzie czekały na nich obszerne, robiące niemal sterylne wrażenie pomieszczenia i sekretarz generalny ONZ, Kofi Annan, we własnej osobie.

— Zawsze przeczuwałem, że pewnego dnia się poznamy — powiedział. — Witam.

Później, w wąskim kręgu i po wymianie zwykłych uprzejmości John mógł powiedzieć o swojej sprawie.

— Wie pan, że staram się wypełnić proroctwo mego przodka — zaczął. — Długo nie było dla mnie jasne, jak mam tego dokonać. Teraz już wiem. Chcę zrobić coś, w czym przydałoby mi się pańskie poparcie. Nie potrzebuję go koniecznie, ale chciałbym je mieć. W razie potrzeby mogę również samodzielnie przeprowadzić mój zamiar, ale wolałbym tego nie robić.

— Jak mogę panu pomóc? — zapytał Annan.

— Pomówmy najpierw — poprosił John — o globalizacji.

W roku 1998 na całym świecie odbyło się 25 000 połączeń firm, a więc fuzji albo przejęć. Jedną z najbardziej spektakularnych fuzji odbyła się między niemieckim koncernem Daimler-Benz AG i amerykańskim Chrysler Corporation, w efekcie czego powstała pierwsza „transatlantycka firma” Daimler-Chrysler i trzeci co do wielkości producent samochodów na świecie. Najbardziej gigantycznym interesem było przejęcie Domu Inwestycyjnego *Bankers Trust Corporation* przez Deutsche Bank, który w ten sposób z bilansem w kwocie 1, 4 biliona marek niemieckich przesunął się na pierwsze miejsce wśród wszystkich banków na świecie, wyprzedzając dotychczasowego faworyta — *United Bank of Switzerland*.

— O czym mówimy? — powiedział Paul Siegel. — Mówimy o

tym, że likwidowane są bariery, że powstaje komunikacja. Mówimy o tym, żeby to, co od dawna znamy na Igrzyskach Olimpijskich — ogólnoświatowe współzawodnictwo bez względu na pochodzenie, kolor skóry czy religię — zaistniało również w dziedzinie gospodarki. Programiści z Indii, inżynierowie z Korei, reżyserzy z Argentyny, lekarze z Egiptu — twierdzenie, że wszędzie na świecie są zdolni ludzie, nie jest już teoretyczne: jesteśmy tego świadkami. Stare przesady błędą, powstaje wzajemny respekt. Ludzie ze sobą rozmawiają nie dlatego, że muszą, ale dlatego, że chcą. Mówimy o coraz obszerniejszej globalnej sieci, sprawiającej, że pokój jest coraz atrakcyjniejszy i bardziej prawdopodobny niż wojna, i już to starczy za uzasadnienie prawa bytu globalizacji. Kiedy mówimy o globalizacji, mówimy, by ująć to w jednym zdaniu, o procesie, w którym tkwi potencjał zdolny rozwiązać największe problemy ludzkości.

Sekretarz generalny przytaknął z zadowoleniem.

— Ujął pan w słowa to, co jest treścią mojego życia — oznajmił.

— Ciemną stroną globalizacji — powiedział John Fontanelli — jest powstanie koncernów zdolnych wykorzystywać państwa narodowe przeciw sobie, by doprowadzać je do rujnujących ustępstw. Wiem o tym, gdyż sam robiłem to dostatecznie często. Wywierałem nacisk na rządy, przekupywałem deputowanych, wabiłem inwestycjami albo groziłem likwidacją miejsc pracy, żeby dostać, czego chciałem: prawa do wydobywania albo inne licencje, intratne monopole albo warunki, pozwalające mi zniszczyć konkurencję. Czasem wręcz niszczyłem przemysły narodowe, żeby mieć rynek tylko dla siebie. Z takim wynikiem, że nie istnieje już równość szans, nawet w przybliżeniu. Wystąpienie przeciw koncernowi rządu *Fontanelli Enterprises*

jest dla normalnej firmy jak gra w szachy z przeciwnikiem, grającym równocześnie piętnastoma królowymi. — Uniósł ręce w usprawiedliwiającym geście. — Nie jestem z tego dumny. Mówię tylko, jak było. Działiałem pod wpływem mojego ówczesnego prezesa zarządu, co nie zmienia faktu, że ponoszę odpowiedzialność. Na wszystkich kontraktach, listach i innych dokumentach widnieje mój podpis.

— Nikt nie czyni panu zarzutów — powiedział Annan.

John skinął głową.

— Tak. Ale dokładnie na tym polega problem, prawda? Że nie ma nikogo, kto *mógłby* poczynić mi zarzuty. Nie ma już prawa, które by mnie naprawdę wiązało. Mogę robić albo nie, co tylko zechcę.

— John pochylił się. — Mamy słowo na określenie organizacji, które robią, co chcą, nie przejmując się przepisami. To słowo pochodzi z włoskiego: *Mafia*.

12 lipca 1998 reprezentacja Francji wygrała Piłkarskie Mistrzostwa Świata, pokonując faworyta — drużynę Brazylii. Ciekawe było to, że wielu graczy w zespole pochodziło z dawnych francuskich kolonii w krajach zamorskich i w Afryce Północnej. W okresie po Mistrzostwach Świata dało się zauważyć, że prawicowe partie we Francji wstrzymały swoje dotychczasowe, naznaczone rasizmem kampanie.

— Nie można tego nie dostrzegać — kontynuował John. — Wymuszamy wszędzie obniżanie płac i zmniejszanie pomocy socjalnej. Za to nasze zyski rosną w tempie dwucyfrowym wskaźnika wzrostu, nie wspominając nawet o kursach giełdowych. Chodzi mi o to, że widać jak na dłoni, iż rządy nie powinny wspierać takich procesów, jeśli rzeczywiście chodzi im o dobro ich ludności. Ale po prawdzie nie mają wyboru. Nawet

jeśli wielu szefów rządów karmi się jeszcze iluzją, że przynajmniej w kluczowych sprawach mogą podejmować suwerenne decyzje. Otóż, nie mogą, a koncerny — takie jak mój — czerpią z tego zyski.

Człowiek przewodzący Organizacji Narodów Zjednoczonych z troską pokiwał głową.

— Jeśli mówię „czerpią zyski”, mam na myśli zarabianie pieniędzy. Temu celowi poświęcane jest wszystko, wszystko podporządkowane. Nawet *Fontanelli Enterprises*, jak stwierdziłem, na przekór wszelkim oświadczeniom woli, wszędzie tam, gdzie nie jest to karalne, odprowadzało nieoczyszczane ścieki do rzek, wyrzucało na hałdy śmieci odpady przemysłowe, zanieczyszczało powietrze, naruszało przepisy bezpieczeństwa pracy, ignorowało nakłady na ochronę środowiska i omijało przepisy zdrowotne. A dlaczego? Ponieważ, gdybyśmy tego nie robili, robiliby to inni. W niektórych przypadkach położyłem temu kres, z takim rezultatem, że nasi konkurenci mogli oferować swoje produkty taniej i nasz udział na danym rynku malał, aż musieliśmy likwidować branżę. — John wyciągnął rękę, z wnętrzem dłoni skierowanym ku górze. — Nie robimy tego ze skąpstwa. Robimy tak, bo wydaje się nam, że *musimy*. Ktoś nas goni, poganiamy się nawzajem. Ponieważ wszystko jest dozwolone, nie możemy pozwolić sobie na skrupuły ani wzbraniać się przed żadnym szkodliwym czynem.

Przez jeden irytujący moment John miał uczucie, jakby zawsze wiedział, że pewnego dnia tu się znajdzie. Nawet wtedy, kiedy jeszcze pędził rowerem, rozwożąc pizze, tam w dole, gdzie teraz parkuje jego limuzyna. Jakby całe jego życie było tylko przygotowaniem do wygłoszenia słów, które teraz ma powiedzieć.

— Ale czy to ideał? Firma, która może działać niezależnie od prawa? Nie wiem, jak taka firma miałaby odróżniać się jeszcze od przestępczej organizacji. — Pokręcił głową. — Nie sądzę, by ktoś naprawdę tego chciał. Ludzie chcą może być bogaci — ale to można osiągnąć również tam, gdzie przestrzega się reguł gry. Tylko że muszą to być reguły sprawiedliwe, no i muszą obowiązywać wszystkich. To zasadniczy punkt. Takie reguły gry, takie prawa nie byłyby naprawdę ograniczeniem, przeciwnie — byłyby ułatwieniem. W gruncie rzeczy *brakuje* nam ich.

Sekretarz ONZ milczał, uniósł tylko brwi. John splótł palce dłoni.

— W czasach Dzikiego Zachodu ludzie szli w głąb nieznanego kraju szybciej, niż mogła nadążyć za nimi instytucja państwa. Wówczas szerokie połacie kraju opanowały bandy rabusiów, nim prawo mozolnie nie zajęło swego miejsca. Dziś znów znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Multinardowe koncerny stały się potężniejsze niż państwa narodowe. To nie oznacza nic innego, niż że zasada suwerenności narodów została wyprzedzona. Potrzebna jest ponadnarodowa władza, wprowadzająca prawo i porządek na poziomie globalnym.

Kofi Annan patrzył na niego w zatroskanym zamyśleniu.

— Mam nadzieję, że nie ma pan na myśli Organizacji Narodów Zjednoczonych? — upewnił się.

— Nie — zaprzeczył John Fontanelli. — Nie mam na myśli ONZ.

W owych dniach budynek przy Wall Street 40, do tej pory znany jako *Fontanelli Tower*, był obiektem intensywnych prac budowlanych. Bataliony umundurowanych tragarzy dźwigały meble, kartony i skrzynie, i ładowały je do wozów przeprowadzkowych, podjeżdżających w ciągnącej się bez końca

kolejce. Równocześnie trwały prace nad fasadą zewnętrzną. Najniższe pięć pięter zamalowano niezliczonymi stylizowanymi postaciami ludzkimi w kolorze czerwieni, żółci, czerni, zieleni i błękitu. Wyższe piętra malowano nowo wynalezioną specjalną farbą, zawierającą rozjaśniacze optyczne podobne do tych ze środków piorących, dzięki czemu budynek rozpromienił się niespotykaną, niemal nieziemską bielą.

— Co to będzie? — pytali kierownika budowy reporterzy.

— Na dolnych pięciu piętrach — wyjaśniał, przekrzykując hałas ciężarówek i kompresorów rozpryskujących farbę — będzie kwatera główna...

— Nie, część pomalowana na biało?

— Ach, to...? — Kierownik budowy zdjął hełm i otarł z czoła pot i kurz — Tak, to jest coś...

— Podobnie jak wszystkie inne międzynarodowe organizacje — Światowa Organizacja Handlu, Międzynarodowe Fundusze Walutowe, Bank Światowy i tak dalej — Organizacja Narodów Zjednoczonych została powołana do życia przez rządy głównie po to, aby stworzyć forum do rozmów na tematy o znaczeniu międzynarodowym. Ale te organizacje jako takie nie mają władzy. Nigdy nie było intencji stworzenia światowego rządu. Przeciwnie, wszelkimi środkami chciano *zapobiec* powstaniu światowego rządu. Dlatego ONZ-towi odmawia się prawdziwej władzy.

Sekretarz generalny zmarszczył czoło.

— Co dokładnie ma pan na myśli?

— Na tej planecie jest tylko jedna prawdziwa władza — powiedział John Fontanelli. — Potrzebowałem dużo czasu, by to zrozumieć. Choć to przecież powinno być oczywiste.

Dynamiczny mężczyzna o rdzawobrązowych, kręconych włosach czekał, aż fotografowie będą gotowi do strzału, i wtedy zamasztywym ruchem zerwał białą tkaninę z szyldu przy portalu wejściowym. Stał oślepiiony błyskami, wskazując dłonią na godło, które odsłonił.

Przedstawiało ono na tle mapy świata, przypominającej emblemat ONZ-tu, pięć stylizowanych głów nieokreślonej płci w tych samych barwach, w jakich zwykle rysowano kółka olimpijskie — w błękitnie, żółci, czerni, zieleni i czerwieni — rozmieszczonych również mniej więcej podobnie.

Poniżej był napis: We The People Org. — Headquarters.

Czuł się tak, jakby we wnętrzu jego piersi tlił się pożar, który go pożerał, zmuszał do powiedzenia tego, co trzeba było powiedzieć, nim będzie za późno, bez zwłoki, bez ociągania się, bez zastanowienia. Jak odległe świetlne refleksy na krawędzi świadomości pojawiły się inne, wątpliwe myśli — nie dopuścił już Paula do głosu, choć podzielili się rolami. Czy życzliwe zainteresowanie sekretarza generalnego nie okaże się na koniec tylko uprzejmością, gdyż nawet sekretarz generalny ONZ nie chce sobie pozwolić na zirytowanie najbogatszego człowieka na świecie? W następnym momencie te myśli jednak odfrunęły, zapomniane, jakby nigdy ich nie było.

— Nie jestem już w stanie zliczyć okazji — powiedział — przy których zwodziłem, okłamywałem albo co najmniej odwracałem uwagę słuchaczy, tych sytuacji, kiedy próbowałem celową manipulacją mediami odwrócić uwagę opinii publicznej od określonych spraw. Nie wiem, ile godzin spędziłem w sumie nad łamaniem sobie głowy, jak ludzie przyjmą to, co zamierzam zrobić. Wydałem mnóstwo pieniędzy po to, by wzbudzić w



ludziach określone emocje, zyskać ich poparcie albo przed czymś powstrzymać, krótko mówiąc, by wpływać na ich myślenie, czucie i w ten sposób determinować ich decyzje. A teraz pytam pana: właściwie po co?

Pytanie jakby zawisło w powietrzu jak dźwięk, który wybrzmiewa tak powoli, że w pewnym momencie traci się pewność, czy się go jeszcze słyszy czy tylko sobie wyobraża. John Fontanelli obejrzał się na milczące twarze pozostałych. Jak czuł się Giacomo Fontanelli, kiedy opowiadał o swojej wizji? Czy też prześladowały go chwile zwątpienia, te przebłyski iskrzące się trwogą, przenikające jak uderzenia prądu?

— Po co ten trud? — mówił dalej cicho, łamiącym się głosem. — Mówi się przecież, że jestem potężnym człowiekiem. Po co zadaję sobie tyle trudu, żeby wywierać wpływ na zwykłych ludzi na ulicy, w fabrykach i metrze? Mogłoby przecież być mi obojętne, co myślą. A może nie?

Dźwięk jego głosu ginął wśród nagich ścian biura, a jego spojrzenie padało na wprost bezgraniczne morze domów, niknące dopiero wśród brunatnej mgły na horyzoncie.

— I proszę pomyśleć o wszystkich *naprawdę* potężnych ludziach, wielkich dyktatorach historii — każdy z nich opętany był myślą o kontrolowaniu mediów i sterowaniu nimi, chcieli mieć kontrolę nad tym, co się drukuje, pokazuje, mówi. Dlaczego? Przecież skoro jest potężny, czemu przejmuje się plotkami? — John złożył dłonie, objął lewą dłonią palec wskazujący prawej, czuł tętnienie krwi. — Dlatego, że tak naprawdę nie ma władzy. Dlatego, że ja też tak naprawdę nie mam władzy. To tylko tak się zdaje.

Teraz, nareszcie, jakby budził się z wywołanego strachem paraliżu, sekretarz generalny zaczął znów kiwać głową, całkiem

leciutko, a na jego ustach pojawił się słaby uśmiech. Jak w pijackim upojeniu Johnowi przyszło do głowy, co się tu właśnie odbywa. On, syn szewca z New Jersey, mówi do najważniejszego człowieka w ONZ — a ten słucha go uważnie...

— Na Ziemi jest tylko jedno źródło prawdziwej władzy — powiedział John, czując się tak, jakby słowa wychodzące z jego ust były wykute w stali — a mianowicie sami ludzie. Lud. I kiedy to mówię, nie mam na myśli, że „tak powinno być”. Nie mówię o wielkodusznej idei ani pięknym marzeniu. Mówię o fakcie, tak niezmiennym jak ruchy ciał niebieskich na niebie. Człowiek, który chce mieć władzę, musi innych skłonić do tego, żeby dali mu swoje poparcie — to jest demokracja — albo zmusić ich, by zapomnieli, że mają władzę, sprawić, żeby myśleli, iż są bezsilni. A to jest tyrania.

Spojrzał na Paula, który kiwaniem głową dodawał mu odwagi, potem na Annana, który powoli gładził się po kręconej brodzie. Ale czuł się tak, jakby w tej chwili znów siedział w Lipsku w kościele św. Mikołaja i jakby tym razem czuł to, czego wtedy nie był w stanie odczuć.

— Zrozumiałem to dopiero kilka tygodni temu — wyznał. — W Lipsku dowiedziałem się, że lud może po prostu wstać i powiedzieć: „Dość”. I co się wtedy stanie. Ja tylko się dziwiłem. Mówiłem sobie, że to musiało być szczególne wydarzenie — niewątpliwie było — ale nie rozumiałem, że znalazła tam wyraz podstawowa zasada. — Uniósł ręce w geście kapitulacji. — Można to zaobserwować nawet w demokracjach, jeśli się dokładnie przyjrzeć. Rolę odgrywają tu nie tylko odbywające się co kilka lat wybory. Nie, prawie co tydzień zdarza się, że jakiś minister albo sekretarz pozornie mimochodem robi jakąś uwagę albo zgłasza propozycję, a potem obserwuje się, jak reagują

ludzie. Jeśli rodzi się niezadowolenie, można zawsze jeszcze wszystko zdementować, zaklinać się, że nie to miało się na myśli albo że zostało się źle zrozumianym. W ten sposób lud permanentnie współustala, co się będzie działo, nawet nie zdając sobie z tego sprawy!

Wycelował palec wskazujący na sekretarza generalnego, czuł, jak jego dłoń drży.

— Narody pana nie wybrały. Nikt, kto zasiada w pańskim plenum, nie został wybrany przez mieszkańców Ziemi. Organizacja Narodów Zjednoczonych nie ma demokratycznych podstaw. Dlatego jest słaba.

— Myślę, że wiem, co pan zamierza — powiedział Annan.

— Nie — powiedział John Fontanelli. — Nie sędzę.

Czteropiętrowy budynek był nieco odsunięty od Paradeplatz w Zurychu, siedziby wszystkich szwajcarskich wielkich banków i największego placu przerzutowego gotówki w alpejskiej republice. Z okien biura, w którym pracował Ernst Farber, szef *Fontanelli Foundation for Money Education*, widać było żeliwnego lwa i niektóre z latarni w kształcie winogron, i słychać było dzwonięcie tramwajów.

— Kilka dziesięcioleci temu — oznajmił swoim gościom kwadratowy mężczyzna z wąsikami i przenikliwymi, błękitnymi jak chabry oczyma — na całym świecie organizowano kampanie mające na celu powszechne uświadomienie konieczności zachowywania podstawowych zasad higieny. Za nimi poszły zakrojone na wielką skalę prawdziwe boje, by każdego dorosłego, który jeszcze tego nie umie, nauczyć czytać i pisać. My postrzegamy naszą przyszłą działalność w kontekście tej tradycji.

Jeden z dziennikarzy uniósł długopis.

— Hmm... czy to znaczy, że chcą państwo nauczyć ludzi w Trzecim Świecie liczyć?

Faber odnalazł go wzrokiem. Na jego czole powstała groźna zmarszczka.

— Jeśli pan tak napisze, młody człowieku, nie zostanie pan już nigdy zaproszony na żadną konferencję prasową. Naszym zamiarem jest nauczyć wszystkich ludzi prawidłowego obchodzenia się z pieniędzmi. Liczyć...? To najłatwiejsze. Zresztą większość to potrafi.

— Ale obchodzić się z pieniędzmi przecież też — sceptycznie wtrącił inny reporter.

— Tak pan uważa? Dlaczego zatem tak wiele jest beznadziejnie zadłużonych gospodarstw domowych? Dlaczego tak wielu ludzi przez całe życie ciężko pracuje, a na koniec i tak są biedni? Ilu ludzi nie ma najmniejszego pojęcia, ile pieniędzy i właściwie na co wydaje? — Faber pokręcił głową. — Potem przedstawię państwu jeszcze doktora Füeli, naszego psychologa, który reprezentuje pogląd, że większość ludzi ma więcej problemów z pieniędzmi niż z seksem. Czy podzielicie państwo jego zdanie, zdecydujecie sami, ale, moje panie i moi panowie: obchodzenie się z pieniędzmi to nie jest temat luksusowy. Nie jest to coś, na co można by zerknąć sobie przy okazji, jak kartkuje się przewodnik przed urlopem. Pieniądze to temat elementarny. Nikt nie może go uniknąć, nawet mnich w klasztorze. Problemy finansowe mogą zniszczyć wam małżeństwo albo doprowadzić was do choroby, zbyt wiele długów może oznaczać dla was wcześniejszą śmierć, a to, czy zrealizujecie państwo marzenie swojego życia czy nie, jak najbardziej może zależeć od tego, czy potraficie dobrze przeliczyć koszty jakiegoś kredytu.

Poprowadził gromadę dziennikarzy przez jasny, świeżo i

przestronnie wyglądający dom, pozwolił im rzucić okiem do większych i mniejszych biur, w których sumiennie pracujący ludzie siedzieli przy komfortowo wyposażonych biurkach.

— Posiadamy własne satelity telewizyjne, dzięki którym sygnał może dotrzeć do każdego zamieszkałego zakątka Ziemi — oznajmił. — Od przyszłego miesiąca nasze stacje telewizyjne będą produkować i nadawać programy edukacyjne, na początek w stu dwudziestu jeden językach. Obecnie tworzymy codziennie gdzieś na świecie co najmniej dwa instytuty, natychmiast rozpoczynające pracę; z reguły zlecając lokalnej drukarni wyprodukowanie materiałów szkoleniowych i książek.

— To brzmi, jakby państwo sami mieli dość pieniędzy do dyspozycji — stwierdziła jedna z dziennikarek.

Farber poważnie skinął głową.

— Kapitał fundacji wynosi sześćdziesiąt miliardów franków. W ten sposób *Fontanelli Foundation for Money Education* jest największą kiedykolwiek utworzoną fundacją. — Pozwolił sobie na dyskretny uśmiezek. — Przynajmniej jak dotąd.

— Jest takie przysłowie: *Pieniądze rządzą światem*. Dziwną kolejną rzeczą jednak nikt nie zastanawia się, kto właściwie rządzi pieniędzmi, według jakich reguł to się odbywa. Nie ma bardziej tajemniczej dziedziny niż finanse.

John spojrział na pozostałych, czując, jak w jego wnętrzu rozprzestrzenia się ciężkie, niemiłe uczucie. Strach. Tak, jakby tymi słowami wtargnął na terytorium potężnego wroga.

To przecież szalone, prawda? Należy do niego jeden z największych banków świata. Posiada największy prywatny majątek w historii. To on sam jest tym wrogiem!

Ale nie czuł się tak. Tak naprawdę on nie należy do tego świata.

Dla dyrektorów swojego banku jest obcym, intruzem, uzurpatorem. Nawet po trzech latach nie był tu akceptowany ani przyjęty do klubu.

— Pieniądze traktuje się tak, jakby były czymś w rodzaju wodociągów. Nudne. W gruncie rzeczy bez znaczenia. Coś, co i tak funkcjonuje według niezmiennych prawideł, więc nie opłaca się marnować na to myśli — powiedział John i miał wrażenie, że mówi o sobie samym. Tak było z nim przez większość jego dotychczasowego życia. Pieniądze się miało albo się ich nie miało, a kiedy się je miało, wydawało się je. Nawet konto oszczędnościowe było poza granicami jego wyobraźni. Coś dla innych. Gospodarczą częścią gazety wykladał kosz na śmieci. — A przecież nic bardziej błędnego. Prawidła nie są niezienne, a już na pewno nie są bez znaczenia.

Zobaczył szary monitor komputerowy na biurku sekretarza generalnego, wskazał go.

— Finanse są jakby systemem operacyjnym naszej cywilizacji. Ich reguły decydują, jak ma przebiegać wszystko inne. Ten, kto te reguły może ustalać, ten rządzi światem.

Mężczyzna, stojący na czele Organizacji Narodów Zjednoczonych, uniósł brwi.

— Wcześniej założyłbym się, że pańska propozycja polega na ustanowieniu światowego rządu, któremu podporządkowane byłyby wszystkie siły zbrojne na świecie. A wtedy powiedziałbym panu, że to niemożliwe.

John skinął głową.

— Niewątpliwie.

— Ale pan raczej zmierza ku temu, by stworzyć nadzór nad finansami o światowym zasięgu.

— Zgadza się.

Sekretarz generalny splótł dłonie.

— Takich rzeczy próbowano już wiele razy, panie Fontanelli — powiedział poważnie. — Nikt nie przeczy, że taka instytucja mogłaby mieć błogosławiony wpływ. Ale do tej pory wszystkie inicjatywy tego rodzaju spełzały na niczym, gdyż państwa nie chciały dać się ograbić ze swojej suwerenności.

John przytaknął. Z przeraźliwą jasnością zrozumiał nagle, że nieporozumieniem było sądzić, że wizja daje człowiekowi pewność. Nie dawała. Dawała co najwyżej stanowczość.

— Pańskie zaangażowanie jest godne szacunku — kontynuował Kofi Annan — ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak chciałby pan to osiągnąć.

— Nie? — John Fontanelli zdziwiony uniósł brwi. — Myślałem, że to jest oczywiste.

Lany King pochylił się nad stołem, z kciukami zahaczonymi o szerokie szelki, jego znak firmowy.

— Panie Fontanelli — cóż takiego mogłaby zdziałać taka instytucja? Taka... Co to właściwie miałoby być? Coś w rodzaju światowego banku centralnego?

— Nie. Raczej coś w rodzaju światowego ministerstwa finansów — powiedział jego gość.

— Czyżbyśmy tego potrzebowali? — natychmiast odparował słynny moderator *talk-show*. — Zdaje mi się, panie Fontanelli, o ile sobie dobrze przypominam, że proroctwo, do którego wypełnienia pan przystąpił, brzmiało, że dziedzic fortuny — czyli pan — przywróci ludzkości utraconą przyszłość. Przychodzą tu do głowy — mnie w każdym razie — raczej rzeczy w rodzaju dziury ozonowej, ochrony klimatu czy bomby demograficznej. Niekoniecznie pieniądze i podatki.

— Jednak za wszystkim kryją się pieniądze. Ludzie głodują, gdy

nie mają pieniędzy najedzenie. Ludzie powołują na świat dużo dzieci, jeśli jest to jedyna szansa na zabezpieczenie sobie utrzymania na starość. Zapewnić sobie utrzymanie to znaczy zarobić pieniądze, dlatego finansowe warunki regulują niemal wszystko, co robimy albo czego powinniśmy zaniechać.

— Ale czy to uratuje świat, jeśli będę płacił taki sam podatek jak, powiedzmy, hodowca ryżu w Indochinach albo wiejski lekarz w Tanzanii?

Najbogatszy człowiek świata uśmiechnął się.

— To raczej pójdzie w tym kierunku, że system podatkowy zostanie generalnie zmieniony. — Wsparł się na podłokietnikach swojego fotela. — Chciałbym podać panu przykład, który znam z mojej własnej obserwacji. Wie pan, że niewyobrażalnie duże ilości pieniędzy przepływają przez rynki dewizowe na świecie, ponad półtora biliona dolarów dziennie, w ułamku sekundy wymieniane z jednej waluty na inną, żeby zarabiać nawet na najmniejszych wahaniach kursu. Jest to interes, żeby powiedzieć całkiem jasno, w którym nic nie jest produkowane czy wytwarzane. Nie można się tym nasycić. Każdego dnia więcej pieniędzy zmienia właściciela, niż w ciągu całego roku trzeba by na całkowity obrót towarowy na Ziemi, ale wieczorem nie pojawia się przez to na świecie ani jedna dodatkowa kromka chleba. Osiągane są wielkie zyski, ale każdy zysk jest po ostatnie miejsce po przecinku nieuchronnie równy stracie kogoś innego. Ja sam jeszcze kilka tygodni temu miałem dział obrotu dewizami i też mieszałem w tym interesie, ale nie jestem z tego dumny, proszę mi wierzyć.

— Ale ludzie uprawiający ten interes są przecież w swoim gronie? Chodzi mi o to, że może odbywa się to trochę jak przy stole gry — ale czemu ja mam się tym przejmować?



— Ponieważ pan cierpi tego skutki. Rozumie pan, taka fala pieniędzy nieustannie w ruchu, prawdziwe tsunami elektronicznych dewiz, podporządkowuje sobie wszystkie procesy w realnej, materialnej gospodarce, spłaszcza je po prostu jak walec dzięki samemu impetowi swej ogromnej ilości. Kryzys azjatycki, z całą jego nędzą, okradzionymi sklepami i zbankrutowanymi firmami zawdzięczamy gwałtownemu szturmowi w handlu dewizami.

— Który rozpętało *Fontanelli Enterprises* — wtrącił Larry King i zamrugał za grubymi okularami w rogowych oprawkach. — Specjalnie. Żeby wyrzucić nacisk na rządy w regionie.

— Tak. Mogliśmy to tak po prostu zrobić. Nie było to może miłe, ale nie było nielegalne.

— Ale co mogłoby działać przeciw temu pańskie światowe ministerstwo finansów?

— Coś zaskakująco prostego i skutecznego — powiedział John Fontanelli. — Mianowicie już od lat siedemdziesiątych istnieje pewien plan, stworzony przez ekonomistę i laureata Nagrody Nobla, Jamesa Tobina, i w zasadzie naukowo niepodważalny. Przewiduje on, żeby po prostu od każdej transakcji dewizowej pobierać podatek, który nie musiałby być wyższy niż jeden procent.

— Zatem musiałbym zapłacić jeden procent podatku, kiedy, powiedzmy, wybiorę się na urlop do Francji i będę wymieniał dolary USA na francuskie franki?

— Ależ to przecież byłoby malutkie obciążenie w porównaniu z opłatami, które i tak nalicza bank. Normalny eksport byłby dotknięty bardzo nieznacznie, podobnie długoterminowo zaplanowane poważne inwestycje.

— Świetnie, ale co w takim razie ma działać ten podatek?

— Spekulant dewizowy — wyjaśnił Fontanelli — wymienia dużą sumę jednej waluty — powiedzmy, sto milionów dolarów amerykańskich — na inną, tylko po to, żeby po kilku godzinach, a może minutach, wymienić je z powrotem. Zakładając, że kurs wymiany poprawił się o jedną setną procenta, zarobi na tym dziesięć tysięcy dolarów. Jeśli jednak będzie musiał zapłacić od wymiany jeden procent podatku, co w tym wypadku wyniosłoby jeden milion dolarów — a przecież musi wymienić dwa razy, raz tam, i raz z powrotem — cały ten interes z miejsca przestałby być opłacalny. A przy tym podatek nie musiałby wcale wynosić jeden procent, nawet stawki podatkowe w wysokości jednej dziesiątej procenta miałyby już dobroczynne, hamujące działanie.

Larry King podparł brodę.

— Cóż, świetnie. Chłopcy tracą robotę — a potem? Co będzie miał z tego hodowca ryżu w Indochinach?

— Dziś wygląda to tak, że kryzys finansowy w jednej części świata natychmiast rozprzestrzenia się na resztę globu. Zainwestowany kapitał ucieka, przez co kryzys zaostrza się jeszcze bardziej. Może zdarzyć się, że hodowca ryżu raptem dostanie za swój ryż mniej pieniędzy i popadnie w nędzę tylko dlatego, że w Japonii zbankrutował jakiś bank albo gospodarka Brazylii się potknęła. — Fontanelli złożonymi dłońmi zbudował na stole coś w rodzaju ściany. — Podatek Tobina spełniałby taką rolę, jak tama przy fali powodziowej. Do pewnego stopnia tak rozgraniczyłby od siebie regiony, by odpowiednie banki emisyjne znów mogły sterować poziomem odsetek w swoich krajach, stosownie do własnej sytuacji gospodarczej. Chodzi przy tym tylko o rodzaj progę, nie o mur — rządy nadal więc nie będą mogły robić, co zechcą.

— Ale to oznaczałoby mniej wolności w handlu dewizami,

prawda?

— Jak to? Wolność handlu dewizami nie zostanie ograniczona w żaden sposób. Nadal będzie można wymieniać każdą wymienialną walutę w dowolnej ilości na każdą inną — tyle, że będzie to trochę kosztowało.

— Ale czy to się będzie opłacać? To znaczy, jeśli w obrocie jest tyle pieniędzy, ile pan wcześniej powiedział — potrzeba z pewnością armii komputerów, żeby to wszystko skontrolować?

— Na pewno. Ale te komputery już istnieją, inaczej handel na światową skalę w ogóle nie byłby możliwy do opanowania. Trzeba tylko zaadaptować ich software. Byłby to jeden z najłatwiejszych do wprowadzenia podatków.

Moderator pokiwał głową.

— Nie wiem. Jeśli to takie proste, dlaczego nie zrobiono tego już dawno?

— Ponieważ ci, których to ma dotknąć, rozgrywają państwa nawzajem przeciw sobie. Gdyż gdyby choć jeden rynek finansowy na świecie był wolny od tego podatku, przyciągnąłby do siebie cały handel dewizami. Ten podatek zadziała jedynie pod warunkiem, że zostanie wprowadzony jednolicie na całym świecie.

— A jak uratuje naszą przyszłość?

— To tylko pierwszy, mały krok. Jest więcej pomysłów, które trzeba sprawdzić — na przykład przejście do podatków zorientowanych ekologicznie.

Lany King odwrócił się do kamery.

— To wszystko omówimy po reklamach. Prosimy pozostać z nami.

Sekretarz generalny ONZ spojrział bardzo sceptycznie na swego

gościa.

— Założyłem organizację, która w najbliższych dniach zacznie pracę oznajmił John Fontanelli. — Chodzi o niezależną fundację, wyposażoną w kapitał stu miliardów dolarów, która w następnych miesiącach zorganizuje ogólnoświatowe głosowanie, referendum dotyczące pytania, czy ludzkość życzy sobie takiej instytucji z globalnymi kompetencjami. Nazwa organizacji brzmi *We The People*, siedzibę będzie miała na Wall Street 40. — Teraz to powie. Ten cały szalony plan. — Wybrany zostanie *World Speaker*, przedstawiciel narodów, mający koordynować działania lokalnych rządów w sprawach o globalnym oddziaływaniu. — John podniósł dłoń, jakby chciał uprzeczyć sprzeciw. — Na kartkach do głosowania będzie oczywiście przewidziana również możliwość zagłosowania przeciw takiej instytucji.

Kofi Annan pochylił się, wsparł przedramiona na podłokietnikach i spojrzał na Johna.

— To szalone.

Zabrzmiało to tak, jakby miał zamiar powiedzieć coś o wiele bardziej niedyplomatycznego. Pokręcił głową.

— To absolutnie... szalone — powtórzył, jakby nie przychodziło mu do głowy żadne inne słowo.

John przez cały czas, odkąd wszedł do budynku, właściwie już od chwili, kiedy wsiedli do samolotu, próbował uzbroić się na wypadek odmowy. Teraz ku swemu bezgranicznemu zdziwieniu zauważył, że właśnie z tej odmowy rośnie jego siła, jakby coś w nim czekało tylko na przeciwnika, by się wzmocnić i rozkwitnąć. Uśmiechnął się.

— Z jakiegoś powodu każdy to mówi. Wątpi pan, że uda się przeprowadzić takie referendum?

— Mając sto miliardów dolarów w zanadrzu? Chciałbym mieć

choćby jeden. Nie, nie wątpię, że może pan przeprowadzić takie wybory. Wątpię tylko, czy coś z nich wyniknie. Co pozwala panu zakładać, że rządy posłuchają czegoś, co powie *World Speaker!*

— To, że będzie mieć jako argument votum całej ludzkości.

Sekretarz generalny chciał się sprzeciwić, przerwał jednak nagle, przez chwilę wpatrywał się niewidzącym spojrzeniem w pustkę, i w końcu w zamyśleniu skinął głową.

— To niewątpliwie silna moralnie pozycja — przyznał. Podniósł wzrok, spojrzał na Johna. — Jak chce pan uniknąć zarzutu, że głosy zostały zmanipulowane?

— Wszystko, aż po przebieg samego głosowania, będzie odbywać się w pełni jawnie. Do każdego lokalu wyborczego zostaną wpuszczeni obserwatorzy, głosy po zamknięciu lokali zostaną przeliczone publicznie. Użyjemy normalnych kartek do głosowania, na których wystarczy postawić krzyżyk — żadnych komputerów ani innych maszyn, którymi można by manipulować. Nawet finanse samej organizacji *We The People* będą prowadzone radykalnie jawnie. Jako że nie ma nic, co trzeba by ukrywać, każdy, kto sobie zażyczy, będzie mógł przez Internet albo osobiście dokonać wglądu we wszystkie ruchy na koncie i w dokumenty księgowe.

Powstała przerwa, jak przerwa na oddech mitologicznego potwora.

— *We The People* — powtórzył w zamyśleniu Annan.

— Tak — przytaknął John Fontanelli. — Ludzie, którzy przed dziewięćmi laty wyszli na ulice Lipska i innych miast wschodnich Niemiec, wołali: „Lud to my!” O to właśnie tutaj chodzi.

— Jeszcze nikt nigdy tego nie próbował — powiedział wtedy sekretarz generalny.

— Dlatego najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił — odparł John.

*Nazwa Fundacji:* We The People Organisation.

*Siedziba:* Wall Street 40, New York, NY, USA.

*Cel fundacji:* organizacja i przeprowadzanie głosowań, wyborów i referendów o światowym zasięgu.

*Kapitał fundacji:* Kapitał fundacji wynosi 100 miliardów dolarów USA. Fundatorem jest John Salvatore Fontanelli. Wysokość kapitału zakładowego została dobrana tak, aby wszelkie spodziewane wydatki mogły być w pełnej wysokości pokryte ze środków fundacji.

*Prezes:* Lionel Hillman.

*Główne obszary działania:* Urządzanie lokali wyborczych (w sumie ok. 5, 1 miliona) we wszystkich krajach Ziemi. Zwerbowanie i wykształcenie na miejscu w regionach członków komisji wyborczych. Rejestracja wyborców. Prowadzenie list wyborców. Przyjmowanie kandydatur, przedstawianie kandydatów opinii publicznej. Druk i przygotowanie kartek wyborczych. Ogłaszanie i przeprowadzanie głosowań. Ogłaszanie wyników.

*Jawność:* Wszystkie dokumenty, ruchy na koncie, księgowanie i inne procesy w fundacji są jawne. Na stronie internetowej fundacji ([www.WeThePeople.org](http://www.WeThePeople.org)) możliwy jest stały wgląd w konta. Zainteresowani obywatele mogą w każdej chwili zajrzeć do wszystkich dokumentów; prosi się o zgłoszenie telefoniczne.

*Wyjątki od jawności:* Listy wyborców nie są ogólnie dostępne. Na żądanie każdy obywatel może się jednak dowiedzieć, czy i ewentualnie na której liście jest umieszczony oraz może zażądać wpisania siebie względnie przepisania na inną listę. W tym celu konieczne jest przedstawienie dowodu tożsamości; w tej sprawie prosimy zwracać się do swojego regionalnego biura WTPO.

*Jawność podczas głosowań:* Obserwatorzy wyborów będą w

każdej chwili wpuszczani do każdego lokalu wyborczego, zarówno podczas głosowania, jak również podczas publicznego liczenia oddanych głosów. Wyniki wszystkich głosowań będą publikowane w regionalnych gazetach z dokładnością do lokalu wyborczego.

*Podstawy wyborów:* Wszystkie głosy są tajne, wolne i równe. Uprawnieni do oddania głosu są wszyscy dorośli, którzy ukończyli 18 lat lub więcej, w chwili wyborów nie znajdują się w więzieniu skazani za przestępstwo i co do których nie ustanowiono kurateli z powodu ułomności psychicznej.

*Wskazówki turystyczne:* Biura fundacji znajdują się na najniższych pięciu piętrach (rozpoznawalne po wielobarwnej kolorystyce fasady; jej autorem jest chilijski artysta Chico Roxas). Górna, pomalowana na biało część budynku od szóstego piętra w górę przeznaczono na przyszłą rezydencję *World Speaker'a*.

Annan siedział głęboko w fotelu, drobnokościste dłonie splótł razem, zamyślił się. Na jego twarzy widać było zmagania fascynacji i profesjonalnego sceptycyzmu.

— Czy myślał pan już o tym — zapytał wreszcie — że będzie pan potrzebował kandydatów?

John Fontanelli i Paul Siegel wymienili spojrzenia.

— Między innymi dlatego tu jesteśmy — skinął głową John.

— Do roli *World Speackera* idealnie nadawałby się — oznajmił Paul — dawny szef państwa albo ktoś na porównywalnej pozycji. Ktoś znany na całym świecie, cieszący się dobrą sławą i mający kontakt z ważniejszymi rządami.

— Myśleliśmy o panu — dodał John.

Kofi Annan najpierw zdziwiony unióśł brwi, potem ręce w obronnym geście.

— O nie. Ja się do tego nie nadaję. — Pokręcił głową. — Nie.

Dziękuję.

— Dlaczego nie? Pan...

— Gdyż jestem dyplomatą. Mediatorem między różnymi stanowiskami. Administratorem. — Rozłożył ręce. — Nie owijajmy w bawełnę. W gruncie rzeczy zamierzacie panowie wybrać prezydenta świata. A mnie nie zaakceptowano by jako kandydata do tej funkcji.

— Ależ nikt nie jest bliższy tej pozycji niż pan.

— Właśnie nie. — Sekretarz generalny pokręcił głową. — Choćby tylko z powodu politycznej suwerenności mnie ostatniemu wolno byłoby kandydować. Musiałbym pozwolić na pytania, czy nie wspieram pańskiego zamiaru tylko po to, żeby samemu robić karierę.

Paul Siegel odchrząknął.

— Mówiąc szczerze, jako pierwszego spytaliśmy Michaiła Gorbaczowa — powiedział. Odmówił, ponieważ jego żona jest ciężko chora i chce się nią opiekować. To on zaproponował pana.

— Czuję się zaszczycony, mimo że muszę odrzucić tę propozycję.

John poczuł ogromne zmęczenie, ogarnęło go raptownie, z sekundy na sekundę. Czyżby to miał być problem? Nie, niemożliwe, żeby to był problem. Wizje nie upadają przez takie błahostki. Odgarnął z twarzy kosmyki włosów, jego ręka była jak wykręcona ścierka.

— Ale — mówił dalej Kofi Annan — mogę kogoś panom zaproponować. Kogoś, kogo bardzo podziwiam i kto nadaje się na ten urząd jak nikt inny.



# 47

Jeszcze zanim samolot przeleciał Atlantyk, do agencji prasowych wysłano stosowne informacje i na całym świecie zostały nadane pierwsze audycje informacyjne, zapowiadające globalne referendum. Już w drodze z London Heathrow do London City zadzwonił telefon w marynarce Johna.

— John? — ryknęło ze słuchawki. — Czy pan teraz kompletnie oszalał?

Musiał odsunąć aparat od ucha.

— Malcolm? Czy to pan?

— Tak, do jasnej cholery. Niech pan powie, czy pan zupełnie nic nie zrozumiał? Światowe głosowanie? Pozwolić niewykształconym, nie mającym o niczym pojęcia ludziom głosować, co się ma wydarzyć? Nie mogę pojąć. Latami tłumaczyłem panu, jak działa świat, i ledwie odszedłem, zaczyna pan snuć swoje mrzonki. Jak pan myśli, co wybierze chłop z ryżowych pól Dżakarty albo robotnik z kopalni w Peru, jeśli go pan spyta, jak chce żyć? Wyrzeczenia i niedostatek?

— Przecież wcale go o to nie będę pytał — odpowiedział chłodno John.

— John, jeśli ludzkość będzie mogła decydować o swoim stylu życia, będzie pan mógł wybrukować planetę po ostatnią piędź ziemi przedmieściami pełnymi centrów handlowych i willi z basenami. Tak się to skończy, mam nadzieję, że to dla pana jasne?

— Jestem pewien, że dla większości ważniejsza będzie przyszłość ich dzieci niż basen.

McCaine wydał dźwięk, jakby próbował równocześnie krzyknąć i łapać powietrze.

— Pan jest marzycielem, John!

— Moja matka też tak zawsze mówiła — odpowiedział John. — Myślę, że dlatego los wybrał na dziedzica mnie, a nie pana. Żegnam, Malcolm. — Przerwał połączenie, zadzwonił do swojego sekretariatu i zarządził, żeby telefonów McCaina nie przełączano w przyszłości do niego, ale do działu prawnego.

Utwór muzyczny, który dudnił z jego salonu, i to z takim natężeniem, że już na korytarzu włosy stawały dęba, wydał się Johnowi jakoś znajomy.

Unborn children  
want your Money  
and their screaming  
never stops.

House on fire  
god is leaving,  
you're not important  
anymore.

Wasted future, wasted future,  
all you offer me are tears ...

Chrzęszczący dźwięk, destrukcyjny tekst — to CD Marvinina, bez wątpienia. Ale czy on jej wtedy nie wyrzucił?

Kiedy wszedł do salonu, na środku pokoju stała Francesca, z zamkniętymi oczami, otoczyła się rękami jakby obejmowała samą siebie, i zapamiętała mruzczała pod nosem w rytm dźwięków gitary basowej. John patrzył na nią jak na ósmy i dziewiąty cud świata w jednym: ta tępa kakofonia instrumentów elektrycznych zdawała się jej naprawdę podobać!

Zobaczyła go w drzwiach, drgnęła i natychmiast popędziła do

odtwarzacza CD, żeby go wyłączyć. Raptowna cisza zadzwoniła w uszach.

— *Scusi* — wyszeptała, wyciągając srebrny krążek z urządzenia i chowając go do pudełka. — Zupełnie zapomniałam, że pan dziś wraca. — Zatoczyła ręką ruch dookoła pokoju. — Ale wszystko posprzątane. Wszystko czyste, wszystko zrobione.

— *Va bene* — powiedział uspokajająco John, ale przemknęła już obok niego z ledwie dosłyszalnym *Buona notte*, przyciskając do piersi jak skarb płytę ze zdjęciem Marvina.

John popatrzył za nią, w niejasny sposób zaniepokojony obserwacją, jak bardzo mogą różnić się gust i obraz świata u różnych ludzi. A Marvin, o Boże — już od wieków nic o nim nie słyszał. Nie miał pojęcia, gdzie też on się może podziewać.

Kiedy Marvin dostawał zgodę na wyjście, wabiły go nieruchome zbocza gór, wspinał się więc w głąb lasów, otaczających dolinę na wzór majestatycznych wartowników. Tam godzinami włóczył się po leśnym podszyciu, przełaził przez zwalone drzewa, wdychał zimne, czyste powietrze i wsłuchiwał się w ciszę, w której słychać było jedynie dźwięki natury, jego własny oddech i szmer kroków. Gdyby na drzewach i stalowych prętach nie było tych białoczerwonych taśm, wyznaczających granicę między obszarem, po którym wolno mu się poruszać w elektronicznych okowach a resztą świata, czułby się wolny jak jeszcze nigdy dotąd.

Pozwalali mu już nawet na cztery godziny spaceru po południu. Mimo to sygnał na łydce wzywający go do powrotu zawsze odzywał się zaskakująco wcześnie.

Z góry klinika wyglądała jak elegancki, biały, wiejski domek, dziwnie nie na miejscu pośród samotnych bezdroży. To, że okna

są okratowane a droga dojazdowa strzeżona, widać było dopiero, gdy podeszło się bliżej. A innych pacjentów, co do jednego ćpunów, aroganckich, pozbawionych serca synów bogatych rodzin, czarne owce, comiesięcznym czekiem tatusia przykute do tego zagubionego na ziemi niczyjej miejsca, ich widać było dopiero, kiedy weszło się przez drzwi. Marvin nienawidził tego momentu.

Tego dnia miał wrażenie, że nie jest w lesie sam.

Nikogo nie było widać. To było raczej... przeczucie. Jak nie raz przedtem? Miał nadzieję, że nie. Marvin poczłapał z powrotem do miejsca na skraju lasu, z którego widać było cały teren kliniki i policzył żalosne postaci na ogrodowych alejkach. Nikogo nie brakowało. Ktokolwiek się tu skradał, to nie był pacjent.

Postanowił się tym nie przejmować. Wspinał się swoimi ścieżkami przez gęste zarośla, dyszał ciężko i widok własnego, białego od mrozu oddechu przypominał mu dawne czasy, miasto, spaliny na ulicach, wypalane w oknie skręty. To wszystko działo się jakby w innym życiu. Mógłby przysiąc, że mieszka w klinice od stu lat, w pokoju z widokiem przez kraty na kawałek trawnika, bezkształtny i nudny jak zielony dywan. A zanosilo się na to, że zostanie tutaj do końca życia.

To był mężczyzna. Ubrany w ocieplaną kurtkę khaki i granatową bejsbolówkę, zjawił się nagle przed nim w zaroślach, po drugiej stronie linii granicznej, i obserwował go nieruchomo.

Marvin przyjrzał mu się. Mógł go po prostu zostawić i odejść swoją drogą; ostatecznie stanie w lesie nie jest zabronione. Ale jednak tego nie zrobił, tylko krzyknął do niego:

— Hej! Jak się masz?

Mężczyzna pozdrowił go uniesieniem ręki, po czym skinął na niego, by się zbliżył.

— *Sorry!* — odkrzyknął Marvin i wskazał swoją prawą stopę. — Mam na kostce założony taki aparat, który wstrzyknie mi środek usypiający, jeśli pójdę dalej. Tu są takie zwyczaje, wie pan?

Wyglądało na to, że tamten zrozumiał, gdyż pofatygował się bliżej, niezdarnie potykając o korzenie i kamienie.

— Czy tu naprawdę jest tak surowo? — zapytał, podchodząc do Marvina.

Marvin wzruszył ramionami.

— Najdalej dwadzieścia kroków dalej rozdzwoni się alarm. To ma coś wspólnego z odległością od nadajnika. A jeśli musieliby gonić mnie z psami, wtedy przez minimum dwa tygodnie nie wyszedłbym na świeże powietrze.

— Brzmi źle. — Mężczyzna miał szorstką, pokrytą bliznami twarz i krzaczaste wąsy. Marvin miał niejasne wrażenie, że już go kiedyś widział, ale ostatnio często mu się zdarzało mieć wobec różnych ludzi takie wrażenie. Uboczne działanie lekarstw, które brał na początku, tak sądził doktor Doddridge, jego terapeuta.

Marvin machnął ręką.

— Myślę, że muszą tak robić. Niektórzy tutaj to naprawdę nieciekawe typy.

— Pan chyba się do nich nie zalicza. Mam na myśli nieciekawe typy.

— O Boże, nie. Ja brałem tylko trochę. W każdej chwili mogłem z tym skończyć, gdybym chciał. — Marvin chwycił źdźbło trawy, zerwał je i włożył do ust. Uznał, że tak wygląda bardziej cool. — To jakoś należało do tego całego gwiazdorstwa, wie pan? Człowiek żyje w niehumanicznym napięciu. To może po prostu wykończyć, jeśli wie pan, co mam na myśli.

— Hmm — mruknął nieznajomy. — Ale wydaje mi się, że czuje się pan znów całkiem dobrze.

— Tak, jasne. — Miał tylko niewyraźne wspomnienie tego, jak czuł się wcześniej. Ale doktor Doddridge twierdził, że wszystko znów sobie przypomni. — To, co oni tu robią z człowiekiem, to naprawdę niesamowite. Kuracja wodna, odtruwanie, hipnoza, terapia rozmową — tak, całkiem nieźle postawili mnie na nogi.

W spojrzeniu tego mężczyzny było jakieś przyczajenie, które upodabniało go do węża.

— Więc dlaczego jest pan jeszcze tutaj?

— Nie mam pojęcia. Myślę, że może jednak nie jestem jeszcze do końca naprawiony.

— I naprawdę pan w to wierzy?

Marvin spojrzał nieufnie na nieznanego. Ubrany był w ciemnoczerwony, wełniany sweter, na szyi z dekoltu wylewało mu się gęste, czarne owłosienie.

— Co pan ma na myśli?

— Pan mnie już zrozumiał. Nigdy nie zastanawiał się pan jeszcze, co naprawdę kryje się za tym wszystkim, co się panu przytrafiło?

— A co ma się za tym kryć?

— Proszę się zastanowić — poradził mu mężczyzna i odwrócił się, żeby odejść.

— Hej, co to ma znaczyć? — zniecierpliwiał się Marvin, najchętniej pobiegłby za nim. — Nie może mnie pan przecież tak po prostu tutaj zostawić? Kim pan w ogóle jest?

Mężczyzna tylko na chwilę uniósł rękę, nie odwracając się więcej.

— Wróć tu — zawołał. — Do tego czasu niech pan to przemyśli. — To mówiąc, zniknął wśród drzew.

Marvin najchętniej wymazałby to spotkanie z pamięci, ale oczywiście przez resztę dnia nie był w stanie myśleć o niczym

innym. A w środku nocy przypomniało mu się, skąd zna tego człowieka.

Media nie mogły zaprzysiężnić się z określeniem *World Speaker*. Nawet gazety i stacje telewizyjne należące do koncernu *Fontanelli* nie zatrzymały się przy nim dłużej. W wiadomościach mówiono, że wybrany ma zostać prezydent świata. Pierwsi komentatorzy wyglądali, jakby nie byli pewni, czy nie zrobiono im złośliwego żartu.

Wyszłoby im na dobre, gdyby zapytali o to w dziale ogłoszeń. Już następnego dnia w praktycznie całej wolnej prasie świata — nawet w gazetach należących do rządów, co nigdy dotąd jeszcze się nie zdarzyło — ukazały się dwustronicowe, płatne ogłoszenia, w których organizacja *We The People* przedstawiała się i prezentowała przebieg oraz tryb głosowania. Zdziwieni ludzie we wszystkich częściach Ziemi dowiedzieli się, że każdy dorosły może ubiegać się o urząd *World Speakera*, jeśli zbierze wystarczającą ilość podpisów osób popierających jego kandydaturę, przy czym połowa z nich musi być innej narodowości niż kandydat. W knajpach i kantynach zastanawiano się nad pierwszymi kandydatami, jeszcze nim rządy całego świata otrząsnęły się z szoku. Już drugiego dnia po rozpoczęciu kampanii do Nowego Jorku wpłynęły pierwsze kandydatury. A seria ogromnych ogłoszeń trwała dalej. Minutowe spoty w telewizji, w najlepszym i najdroższym czasie antenowym. Logo z pięcioma barwnymi głowami pojawiło się nagle wszędzie, na plakatach, stacjach metra, na odwrocie kinowych biletów, na boiskach piłkarskich, na autobusach i pociągach i przed każdym filmem, wyświetlanym w jakimkolwiek kinie gdziekolwiek na całej planecie. Na stronie

internetowej *We The People* można było przeczytać, że organizacja do terminu wyborów wyda na reklamę więcej niż korporacja Coca Cola przez ostatnie dziesięć lat. Zrozumiano, że *We The People* ma nieograniczone fundusze i jest zdecydowana włożyć w działalność uświadamiającą tyle pieniędzy, ile będzie potrzeba. Zrozumiano, że sprawa jest poważna.

Urzędujący i piastujący godności politycy byli na tyle rozsądni, że starali się nie pytani nie wypowiadać na temat planów Fontanellego. Instynktownie wiedzieli, że w ten sposób tylko przydaliby znaczenia jego zamiarom. Również pytani zachowywali dystans, mówili niejasno o prawie do wyrażenia opinii, chwalili wypróbowane struktury demokracji. Pewien komisarz Unii Europejskiej, a zatem członek tego posiadającego władzę gremium, którego skład ustalały rządy państw UE bez żadnego udziału wyborców, stwierdził, że nie widzi powodu, aby zmieniać cokolwiek w istniejących układach.

Wywiad, którego John Fontanelli udzielił japońskiej telewizji, był tylko jednym z przystanków w podróży dookoła świata, w trakcie której przekonywał do swojego pomysłu. Już po kilku dniach umiałby co do słowa przewidzieć przebieg każdej rozmowy. Gdziekolwiek przybywał, aktualny rozmówca wyjaśniał mu obszernie, jak odmienny jest jego kraj i jak jego kultura jest inna od reszty świata, aby na koniec zadać dokładnie te same pytania, co wszyscy pozostali.

— Panie Fontanelli — powiedział atletycznie zbudowany Japończyk, którego imię John zapomniał natychmiast po tym, jak się przedstawił — ale włożył do kieszeni jego wizytówkę, na wszelki wypadek — czy naprawdę myśli pan, że kraje takie jak Chiny, Irak albo Korea Północna pozwolą na wolne i tajne głosowanie?



Rząd w Pekinie już się zgodził, ale na razie nie chciał tego nikomu wyjaśniać. Chiny potrzebowały pszenicy; to było łatwe. Kuba, to jest prawdziwe zmartwienie.

— Rząd, który nie pozwoli swoim obywatelom wziąć udziału w głosowaniu — John zadowolili się wypróbowanym stwierdzeniem — musi wiedzieć, że tym samym rezygnuje z późniejszego prawa głosu przy ustanawianiu globalnego systemu finansowego.

— Czy będzie pan wywierał nacisk na takie rządy? — dopytywał się mężczyzna.

Jego słono opłacany sztab psychologów, retorów i autorów przemówień opracował na to przewidywane pytanie równie imponującą, co nic nie mówiącą odpowiedź, ale, do diabła, w takim razie równie dobrze można by posłać magnetofon, prawda? Nagle nie mógł się oprzeć ochocie, żeby rzucić wyzwanie. Odchrząknął i powiedział, uśmiechając się krzywo:

— Chcę to raz wyraźnie powiedzieć. Jeśli ktoś nadal sądzi, że jeden pojedynczy kraj może oprzeć się wpływowi wielkich koncernów, najwyższy czas, żeby ktoś mu to wyjaśnił.

Minął tydzień, nim mężczyzna znów przyszedł.

Marvin codziennie rozglądał się wśród olbrzymich pni cezalpinii, nie zważając na deszcz i chłód, ale nikogo nie było. Musiał wracać z powrotem na to miejsce i patrzeć na ślady stóp, by się upewnić, że spotkanie mu się nie przyśniło. A kiedy tydzień później znów tam poszedł, mężczyzna już czekał.

— Wiem, kim pan jest oznajmił od razu Marvin.

— Ciekawe — powiedział mężczyzna.

— Widziałem pana w telewizji. Nazywa się pan Randolph Bleeker. Reprezentował pan brata Johna Fontanellego, i odkąd oszustwo się wydało, szuka pana policja.

Wyglądało na to, że Bleeker nie zaniepokoił się tym ani trochę.

— Słusznie, panie Copeland — powiedział. — Ale czy pan wie, że policja szuka również pana?

Marvin gapił się na niego, jakby ktoś wytargał go za uszy.

— Mnie?

— Francuska policja chętnie postawiłaby panu kilka pytań w związku ze śmiercią pańskiej przyjaciółki Constantine Volpe.

Pamięta pan panią Volpe?

— Constantine...?

Wspomnienie zalało go niczym fala powodzi. Przed jego oczyma pojawiły się ciemne uliczki, Algierczyk liczący banknoty frankowe, plastikowy woreczek z białym proszkiem... A potem — urwany film — przebudzenie obok zimnego, zabarwionego niebieskawo ciała. Drżącymi dłońmi próbował wybrać numer w telefonie. Znów cela. Aż przyszedł jakiś mężczyzna, z pustymi czarnymi oczami.

— Ktoś pana tu przywiózł. Ukrył. To jest nie tylko klinika, panie Copeland — to również kryjówka. W każdym razie dla pana. — Mężczyzna, który był Bleekerem i który w innym życiu próbował oszukać jego kumpla Johna, a przy okazji również cały świat, spojrział na niego pogardliwie. — Nigdy nie zastanawiał się pan, kto to był? I dlaczego to zrobił?

Nie, rzeczywiście nigdy się nad tym nie zastanawiał. Marvin z ociąganiem pokręcił głową.

— Nie — przyznał. — Nie mam pojęcia.

— Chce pan wiedzieć?

— Tak. Jasne.

Bleeker głośno nabrał powietrza.

— To się panu nie spodoba — powiedział, patrząc z powątpiewaniem. — Jest pan wpłątany w coś, co jest większe, niż

mogłoby się panu przyśnić w najgorszym koszmarze.

— Hej — zawołał Marvin. — To już mój kłopot, *okay*?

Bleeker przez chwilę mu się przyglądał, jakby się decydował.

— Dobrze. Chodźmy, siądźmy razem, tam, na pniu. Lepiej, żeby pan siedział.

Teraz Marvin poczuł się trochę nieswojo. Na skroniach tętniło mu coś, jakby siedziało tam zwierzę pragnące wydostać się na wolność. Usiadł obok Bleekera na drzewie powalonym przez zimową burzę, i czekał na to, co miało nadejść.

— Czy może pan sobie wyobrazić — zaczął mężczyzna o grubo ciosanych rysach twarzy — że za wszystkim, co się dzieje na świecie, w rzeczywistości stoi niewielki krąg potężnych ludzi, którzy pociągają za wszystkie sznurki, manipulują informacjami i skrycie załatwiają swoje interesy? Że nie jest tak, jak się pozornie wydaje?

Marvin przytaknął.

— *Yeah*, człowieku. Myślę tak przez cały czas.

— Tak właśnie jest. Wiem o tym, bo pracowałem dla tych ludzi. Szaleństwo. Gdyby tylko nie bolała go tak głowa.

— Naprawdę? — spytał, starając się nie podniecać.

Bleeker pochylił się jakby pod niewidzialnym ciężarem, oparł przedramiona na kolanach.

— Właśnie — powiedział. — Dlatego tu jestem. Żeby dowiedział się pan prawdy.

Nelson Rolihlahla Mandela, rocznik 1918, od 1962 do 1989 więzień polityczny w Republice Południowej Afryki, a od 1994 wybrany w demokratycznych wyborach prezydent, podszedł do mikrofonów przedstawicieli prasy z całego świata i oświadczył, że John SaWatore Fontanelli poprosił go o kandydowanie na urząd *World Speakera*.

— I zdecydowałem się — powiedział — przystać na tę prośbę.

Dziennikarzy zwykle niełatwo jest zaskoczyć. Nawykli do wysłuchiwania najbardziej nieoczekiwanych oświadczeń, najbardziej szokujących wyznań i najbardziej zaskakujących przemówień. Jednak po tych słowach na sali wybuchło piekło. Zapominając o wszelkiej dyscyplinie, przekrzykiwano się przez całą salę pytaniami, chwytało telefony komórkowe, dyktowano pośpiesznie nabazgrane meldunki, a na zewnątrz w korytarzach widać było ludzi biegnących do budek telefonicznych.

Wiadomo było, że Mandela nie zamierza kandydować na drugą kadencję, jednak do tej pory przyczyny upatrywano w jego wieku. Ale prezydent świata...?

— Wkrótce pożegnamy stulecie, które pod wieloma względami było dla ludzkości bolesną epoką. Gdyby pokusić się o bilans, nie unikniemy stwierdzenia, że wiele części naszej planety wciąż jest opanowanych przez konflikty i wojny. Musimy przyznać, że większość ludności Ziemi żyje w nędzy; i że w stosunkach między narodami równowaga jest zaburzona na korzyść silniejszych. Nie mówię tego, żeby szerzyć zwątpienie i brak nadziei, ale by wymienić kilka z wyzwań, z jakimi wejdziemy w nowe stulecie. Widzieliśmy przerażające przykłady naszej wzajemnej niehumanności. Niszczylśmy zwierzęta i rośliny, wiele gatunków

doprowadziliśmy na skraj wyginięcia, poniewieraliśmy nasze naturalne środowisko. Nie możemy jednak zaprzeczyć, że byliśmy również świadkami licznych tryumfów ludzkiego ducha w dziedzinie nauki, literatury, sztuki i na wielu innych obszarach. Nowoczesne środki komunikacji i globalna gospodarka zmieniły świat w małą, przejrzystą wioskę, w którym żaden kraj nie może już żyć tylko dla siebie ani sam rozwiązywać swoich problemów. Musimy stworzyć międzynarodowe organizacje, skutecznie służące interesom wszystkich i mogące wzmocnić w nas poczucie wspólnego nam wszystkim człowieczeństwa. Z tego powodu z radością i pokorą przychyliłam się do prośby o kandydowanie na urząd ' , przedstawiciela ludów. Równocześnie apeluję do ludzi we wszystkich częściach świata, aby wykorzystali historyczną szansę i wzięli udział w głosowaniu, i proszę każdego z nich o jego głos. Obiecuję ze wszystkich sił wspierać tych, których uczciwym zamiarem jest stworzenie świata, w którym ludzie mogliby współistnieć w godności i przyjaźni. Dziękuję państwu.

— Niech mnie diabli — powiedział do swojego kolegi angielski dziennikarz — jak dla mnie to wygląda cholernie dobrze.

— To nie powód, żeby przeklinać — odpowiedział tamten.

W Kolumbii obława oddziału antynarkotykowego ujawniła w dżungli tajny magazyn i punkt przeładunkowy narkotyków. Żołnierze zabezpieczyli pięćdziesiąt cetnarów kokainy, zapakowanych w plastikowe worki ze znakiem firmowym *Morris-Capstone-Company*. Rzecznik firmy pośpiesznie oświadczył w telewizji, że koncern *Morris-Capstone* nie ma z tym nic wspólnego. Worki były przeznaczone dla brazylijskich plantacji tytoniu; prawdopodobnie zostały ukradzione.

Mniej więcej w tym samym czasie McCain w pewnym *talk-show* wypowiedział się przeciw wspieranym przez państwo programom rekonwalescencji narkomanów.

— Nie działają sprawnie, tylko pożerają pieniądze. Nie mogą funkcjonować, gdyż ci, których dotyczą, uciekają przed wyzwaniem stawianym przez życie w sztuczne zaspokojenie, obiecywane przez narkotyki, i brakuje im odpowiedzialności za samych siebie — oświadczył. — Konieczność finansowania takich programów urąga wszystkim ludziom, którzy chcą uczciwie żyć i rzetelnie się trują. Jako że świat i tak pęka w szwach, powinniśmy być wdzięczni każdemu, kto dobrowolnie zwalnia miejsce.

Niezupełnie dobrowolnie zwolnili miejsce ujęci w Kolumbii handlarze narkotyków. W niewyjaśniony sposób zostali zamordowani w więzieniu, jeszcze nim którykolwiek z sędziów zdążył ich przesłuchać.

Najważniejsze to nie dać nic po sobie poznać, że nadszedł sygnał. Miał zresztą cztery godziny. Mnóstwo czasu.

Polakierowane na biało drzwi zatrzasnęły się za nim, szybko zamknięto je na klucz, wszystko jak zawsze. Marvin wciągnął nosem chłodne, aromatyczne powietrze, nie dłużej niż zwykle, ale też nie krócej, potem ruszył wolnym — jak każdego popołudnia — krokiem w górę wzgórza.

Obserwowali go z jednego ze ślepo błyszczących okiem, tego był pewny. Nigdy nie dali mu nic poznać, jakby nie interesowało ich, dokąd idzie, dopóki punktualnie wracał. Ale mieli to urządzenie radiolokacyjne i tak dalej; robili co mogli, żeby wiedzieć o nim wszystko.

Cztery godziny, jak mówił. Droga na skraj lasu nie trwała nawet

dziesięć minut.

Sygnałem była żółta taśma na jednym z drzew, które widział ze swojego pokoju, ledwie dostrzegalna, jeśli ktoś nie szukał właśnie jej i nie wiedział, gdzie patrzeć. Musiał przedzierać się spory kawałek przez zarośla, aż dotarł do drzewa i rzeczywiście znalazł dziurę po sęku, a w niej woreczek plastikowy z mapą okolicy, kluczyk samochodowy, trzysta dolarów kanadyjskich, dwieście amerykańskich, i coś, co mogło być tylko kluczykiem do bransolety na jego nodze. Wyglądało trochę inaczej niż urządzenie używane przez strażników, ale pasowało, Marvin zdjął bransoletę i, jak wbijał mu do głowy Bleeker, natychmiast ją z powrotem zamknął.

Nie mógł jednak powstrzymać się od pozostawienia jeszcze chłopcom zagadki. Znalazł dwa młode drzewa, których grube jak kostka u nogi pnie rosły blisko siebie i krzyżowały się na wysokości bioder, i zamknął bransoletę wokół jednego z nich. Wyglądało to trochę tak, jakby jakiś czarodziej zamienił go w parę drzew. Myśl o tym, jakie zrobią miny i jak będą się zastanawiać, co — u diabła — tu się stało, rozbawiła go.

Potem schował wszystko i ruszył w drogę. Prowadziła wzdłuż traktu dojazdowego, szczytami wzgórz, po bezdrożach, kamienista, najeżona szczelinami skalnymi i niebezpiecznymi krawędziami. Było to diabelnie męczące i, choć bez obręczy na kostce szło mu się łatwiej, i tak wkrótce zlany był potem i dyszał z trudem łapiąc oddech. Każda komórka jego ciała wołała o przerwę, ale przerwy nie było w programie. Miał cztery godziny, to znów nie tak bardzo dużo jak sądził, a on był w drodze do wypełnienia najważniejszej misji, jaką kiedykolwiek miał jakiś człowiek.

Kandydatura Nelsona Mandeli stworzyła nowy wymiar w bitwie na argumenty za i przeciw dla globalnego referendum. Poza dyskusją było pytanie, czy inicjatywę należy brać poważnie; dyskusja zawężyła się do pytania, czy powinien powstać urząd *World Speakera*, a jeśli tak, to kto ma nim zostać.

Popularność południowoafrykańskiego prezydenta była, sądząc po reakcjach na jego oświadczenie, niesamowita. Aktor, pisarz i specjalny wysłannik ONZ, sir Peter Ustinov, który zgłosił swoją kandydaturę jako jeden z pierwszych, wycofał się teraz, by jednoznacznie poprzeć Nelsona Mandelę. Ci publicyści, którzy byli przeciw referendum i dlatego próbowali zdyskredytować osobę Mandeli, oddali swojej sprawie niedźwiedzią przysługę, gdyż ludność Trzeciego Świata uznała takie wypowiedzi za zwykły rasizm. W wielu miejscach odbywały się spontaniczne manifestacje, i wkrótce nie można już było wyobrazić sobie żadnej demonstracji bez plakatów z napisem *Mandela For World President*, nawet wtedy, gdy wiec dotyczył zupełnie innych postulatów.

Mimo to podnosiły się również inne głosy. Pewna europejska grupa inicjatywna opowiedziała się za kandydaturą czeskiego prezydenta Vaclava Havla i na przekór jego wzbranianiu się pilnie zbierała głosy.

W USA powstał ruch mający na celu skłonienie do kandydowania dawnego prezydenta, Jimmy'ego Cartera, co jednak ten, sześć lat młodszy od Mandeli, odrzucił, mówiąc:

— Nie sądzę, aby w pierwszych wyborach jakiś biały miał szansę na wygraną.

CNN w ramach audycji specjalnej przeprowadziło obszerny wywiad z prezesem organizacji *We The People*, Lionelem Hilmanem.



— Panie Hillman — dziennikarka przywitała człowieka o kasztanowych lokach — czy to prawda, że kandyduje Kadafi?

Hillman z uśmiechem przytaknęła.

— Jeśli śledzi pani nasze publikacje, to wie pani, że to prawda. Muammar al-Kadafi dostarczył wczoraj prawomocne zgłoszenie.

— To znaczy, że prezydent Libii będzie umieszczony na kartkach do głosowania?

— Oczywiście.

Dziennikarka, ciemnowłosa kobieta imieniem Deborah Norris, zmarszczyła czoło.

— Uważa pan, że to w porządku?

Przyszły szef światowych wyborów uważał, że to absolutnie w porządku.

— To demokracja. Wszystkich obowiązują te same reguły. A jeśli nie lubi pani jakiegoś kandydata, to go po prostu pani nie wybierze.

Pani Norris uznała za stosowne zmienić temat.

— W jakim stopniu pokrywają już państwo mapę świata? Słyszano, że Chiny pozwolą na głosowanie. Co z Irakiem? Kubą? Koreą Północną?

— Na Kubie będą głosować, to już pewne. Castro był najpierw przeciwny referendum, gdyż zostało zainicjowane przez kapitalistę, ale po osobistej rozmowie z Johnem Fontanellim dał swoją zgodę. Irak też zapewne zezwoli na wybory, jednak obserwujemy tam silną presję na społeczeństwo, mającą na celu zniechęcić obywateli do zbliżania się do lokali wyborczych — taktykę zastraszania, stosowaną niestety w wielu krajach, na przykład w Afganistanie albo na Haiti.

— A Korea Północna?

— Wygląda na to, że Korea Północna pozostanie ostatnią

enklawą całkowitego ubezwłasnowolnienia. Żałuję, ale obecnie niczego tu nie da się zmienić.

— Wiele rządów deklaruje, że — o ile *World Speaker* zostanie wybrany — one go nie uznają.

— Co znaczy wiele? Prawie wszystkie — powiedział Hillman, wzruszając ramionami. — Ale nie uważam tego za problem. Moje zadanie to tylko zorganizowanie wyborów. Dalej sprawy muszą potoczyć się same.

— Hasło: John Fontanelli. Ile on ma do powiedzenia w *We The People*? — spytała prowokująco Deborah Norris.

— Nic — odpowiedział krótko Hillman. — Jest obywatelem z jednym głosem, jak każdy inny.

— Ale to on dał pieniądze, za które pan pracuje.

— Oczywiście, ale dać pieniądze, to się z nimi pożegnać. Zresztą nie wiem, jakich specjalnych praw można by od nas zażądać. Wszyscy jemy w tej samej kantynie i chodzimy do tych samych toalet, i ten stan rzeczy może zmienić tylko *World Speaker*, i to nawet on jedynie w drodze referendum.

Ugodowo skinęła głową.

— Jak będzie wyglądał przebieg? Ile będzie tur głosowania?

— Dwie. W pierwszej turze staną do wyborów wszyscy prawomocni kandydaci, w drugiej wybierzemy jednego spośród dwóch kandydatów o największej liczbie głosów.

— Kogo spodziewa się pan w finale? Hillman pokiwał głową.

— Oficjalnie nie mam na ten temat zdania.

— A nieoficjalnie?

— Nieoficjalnie spodziewam się, że wybór dokona się między Nelsonem Mandelą a opcją odrzucenia.

— A zatem możliwością głosowania przeciw ustanowieniu urzędu *World Speakera*.

— Właśnie.

— Jakiego wyniku pan oczekuje?

Lionel Hillman uśmiechnął się salomonowo.

— Ponad siedemdziesięcioprocentowej frekwencji na wyborach.

— A co pan zrobi, jeśli wygra opcja odrzucenia?

— To samo, co zrobimy w każdym innym przypadku: za cztery lata zorganizujemy kolejne wybory.

— Mamy już jednego prezydenta świata — powiedział Malcom McCaine w wywiadzie telewizyjnym. — Znacie go wszyscy: nazywa się John Salvatore Fontanelli. Czy to nie oczywiste? Na całym świecie wszystko dzieje się tak, jak on chce. Przypadkiem zechciał, aby przygotowano lokale wyborcze, gdyż nabił sobie głowę utopijną ideą. I choć powinno być jasne dla każdego, jak bardzo jest to bezsensowne, i tak wszyscy go słuchają.

McCaine był pierwszym, który zajął ofensywne stanowisko przeciw planowi Fontanellego. W ogłoszeniach, plakatach, telewizyjnych spotach finansowanych przez *Morris-Capstone* atakowano ten zamiar i wyśmiewano go. W Europie jego propagandziści w intelektualnych *talk-show* z wyważonym spokojem prezentowali pogląd, że choć idea światowego rządu naturalnie ma swój *charme*, jest jeszcze za wcześnie nawet na pierwszy krok. W tygodnikach malowali czarnymi farbami obraz, jak w przyszłości, zgodnie z planem Fontanellego, miliard Hindusów i miliard Chińczyków zdecyduje o przyszłości Europy. W Izraelu reklamy radiowe przestrzegały przed udzieleniem Arabom choćby cienia prawa głosu decydującego o tym, co dobre dla żydowskiego państwa, natomiast w arabskich telewizjach płatne audycje specjalne wyjaśniały, że *Tak* dla planu

Fontanellego oznaczałoby szerokie otworzenie drzwi wpływowi skorumpowanego, moralnie przegniętego Zachodu. W Stanach Zjednoczonych całostronicowe ogłoszenia i minutowe spoty w najdroższym czasie antenowym trąbiły: „Prezydent Ameryki jest najpotężniejszym człowiekiem świata. Nie ma powodu nic w tym zmieniać.”, a na samochodach pojawiły się naklejki, na których nad grafiką przypominającą logo *We The People* umieszczono napis: *Just Ignore!*

Ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ w niezwykle ostrych słowach skrytykował decyzję Kofi Annana o poparciu dla referendum wymyślonego przez „tego milionera”. W dobrze poinformowanych kręgach wnioskowano z tego, że dni sekretarza generalnego są policzone.

Marvin zatrzymał się na wysypanym żwirem poboczu drogi i z daleka przyglądał się motelowi. Wyrzeźbiony z pnia drzewa niedźwiedź grizzly przed wejściem, dwa płaskie, podłużne budynki, pomalowane na żółto ściany — opis się zgadzał. Sądząc po zaparkowanych samochodach, tylko dwa apartamenty były zajęte, a do jednego z dwóch wozów, starego forda pickupa, akurat wsiadało dwóch barczystych mężczyzn, wyglądających na drwali w podróży.

Znów ruszył i pokonał ostatni odcinek do motelowego parkingu. Za ladą recepcji siedział niechlujnie wyglądający mężczyzna z kitką, z osobliwie pozbawioną brody twarzą, wyraźnie bez ochoty na załatwianie procedury przyjęcia gościa.

— Czy z pokoi można telefonować? — spytał Marvin, kiedy recepcjonista sortował pieniądze w kasie.

— Zero przed numerem — zabrzmiała burkliwa odpowiedź.

— Również za granicę?

— *Yep.* — Klucz przysunięty po blacie. — Numer trzy. Po wyjściu zaraz w lewo.

Pokój miał przeraźliwie obrzydliwą brązową tapetę, ale poza tym był mniej więcej w porządku. Marvin umył sobie twarz, wyjrzał raz przez okno, nie widząc nic innego jak las, las i jeszcze raz las, potem usiadł na łóżku i wziął na kolana aparat telefoniczny. Żadnej komórki, wbijał mu do głowy Bleeker. *Oni potrafią dokładnie zlokalizować każdą komórkę na świecie z dokładnością do dziesięciu kroków.* Logiczne. To należało do ich planu. A on im go udaremni, choćby to miało być ostatecznie, co zrobi w życiu.

Marvin zastanowił się chwilę, potem wystukał długi numer. Zgłosił się kobiecy głos, wymienił nazwisko, coś zadzwoniło. Po krótkiej chwili zgłosiła się inna kobieta, mówiąca po angielsku z czarującym włoskim akcentem.

— Cześć, Francesca — powiedział. — To ja, Marvin.

— Marvin? — wyszeptała, jakby miała za chwilę zemdleć przy telefonie. — Gdzie jesteś? Co...? Cały czas o tobie myślę, Marvin, codziennie i... kupiłam twoją płytę...

— Francesca — przerwał jej łagodnie. — Potrzebuję twojej pomocy.

— Mojej pomocy?

— Francesca, *darling* — musisz znaleźć dla mnie numer telefonu...

— Mówi się o pokojowej transformacji Republiki Południowej Afryki jak o cudzie — powiedział Nelson Mandela podczas wizyty państwowej w Australii. Dla całego świata wydaje się być oczywiste, że przeznaczeniem RPA było pogrążyć się w krwawych rozruchach na tle rasowym. Jednak przywódcy

rozmaitych organizacji i partii politycznych wbrew prorokom zagłady wykazali gotowość do negocjacji i kompromisów. Jeśli doświadczenie Afryki Południowej znaczy coś dla reszty świata, będąc, mam nadzieję, przykładem, że ludzie dobrej woli potrafią spotkać się i pokonać różnice poglądów dla dobra ogółu, to będzie można znaleźć pokojowe rozwiązania nawet najtrudniejszych problemów.

Zebrani pod gołym niebem słuchacze uprzejmie klaskali. Światło zabarwiało się jesiennie, w Australii zaczynała się właśnie chłodna pora roku.

— Bardzo emfaticzne — mruknął jeden z dziennikarzy do swego sąsiada i podniósł dłoń, zgłaszając chęć zadania pytania. — Ile prawdy tkwi w plotkach, że jako *World Speaker* będzie pan miał zobowiązania wobec koncernu Fontanellego? — zapytał, kiedy udzielono mu głosu.

Mandela uważnie przyjrzał się pytającemu.

— Słyszałem o tych plotkach — powiedział potem. — Są nieprawdziwe. To nie pan Fontanelli będzie mnie wybierał, o ile dojdzie do wyborów, ale ludzie wszystkich narodów Ziemi. To wobec nich będę miał zobowiązania. Ale mogę panu powiedzieć, że — jeśli zostanę wybrany — będę robił to samo, co robiłem w moim kraju: dążył do prawdy i sprawiedliwości.

Przez zebranych przeszedł ogólny, nieokreślony pomruk. Część słuchaczy, przede wszystkim zaproszeni goście ze świata gospodarki i polityki, uznało pytanie dziennikarza za niestosowne.

— Kaprys losu — kontynuował Nelson Mandela z łagodnym, niemal przeproszającym uśmiechem — chce, że na nowym finansowym porządku świata akurat pan Fontanelli ucierpi jako pierwszy, gdyż swego czasu przyjął spadek, nie odprowadzając

podatku spadkowego. Taka jest prawda. I to jest niesprawiedliwe. Nie będziemy mogli tego tolerować.

## 49

Zatem tak się to kończy.

Światło w holu wejściowym było jakby ciemniejsze niż zwykle, głosy w korytarzach cichsze, kolory mebli bardziej szare. Ludzie, którzy jeszcze wczoraj uważali go za władcę świata, teraz unikali go, patrzyli na niego jak na skazanego na śmierć.

Prawnicy niczym sfora wściekłych psów kłębiąca się wokół okrągłego stołu, zastygli w połowie ruchu, kiedy John Fontanelli wszedł do sali konferencyjnej działu prawnego. Mieli plamy potu pod pachami i góry papierów przed sobą, a niektórzy z nich wyglądali, jakby przez całą noc dyszeli żądzą krwi i chcieli gryźć. Czuć tu było rzezią.

— I co? — spytał John, siadając.

— Jak dotąd wszystko jest całkowicie niejasne — warknął szef prawników firmy, postawny, żyłasty mężczyzna z grubymi palcami. — W jakim kraju trzeba zapłacić ten podatek? We Włoszech? W USA? Na jakiej podstawie prawnej można żądać dopłaty?

— Jakiego systemu prawnego należy w ogóle użyć, jeżeli dojdzie do negocjacji? wchodząc mu w słowo, szczerknął przysadzisty adwokat z podskakującym jabłkiem Adama.

— Jak wygląda sprawa obowiązywania uzgodnień, jakie poczynił pan z włoskim rządem? — ujadła robiąca wrażenie zagłodzonej na śmierć blondynka, celując długopisem jak floretem.

— Ale pan Fontanelli ich nie dotrzymał — zawarczał na nią inny, grubas o krostowatej cerze. — Nie możemy się na nie powołać.

John Fontanelli uniósł dłoń i poczekał, aż powróci coś w



rodzaju spokoju. Patrzyli na niego, z drżącymi chrapami, niemal szczerząc kły, jakby marzyli tylko o tym, żeby wypuszczono ich z klatki i żeby mogli wreszcie rzucić się na wroga, jednak patrzyli i czekali.

— Ile? — zapytał.

— Pięćset miliardów dolarów — żałośnie zaskamlał któryś.

— Co najmniej — dodał inny.

— O ile nie pojawią się dodatkowe roszczenia.

— Brakuje tylko, żeby komuś przypomniało się, że Vacchi też nie płacili podatków.

— Ale dlaczego my mielibyśmy za to odpowiadać? — zaskowyczał jeden, uderzając pięścią w jeden z oprawnych w skórę tomów, rozrzuconych po stole.

John ponownie uniósł dłoń, uciszył głosy.

— Zapłacę — powiedział.

Wszyscy zgodnie otworzyli usta. Wszyscy tak samo wytrzeszczyli oczy, jakby połączeni byli ukrytym pod stołem pneumatycznym sterownikiem.

— Cóż innego pozostaje? — dodał.

Spojrzeli po sobie, szukali kogoś, kto wiedziałby, co pozostaje, ale nie było odpowiedzi prócz kilku nieokreślonych dźwięków, brzmiałych jak ucieleśnienie bólu.

John sam był zaskoczony, kiedy łamał sobie nad tym głowę przez całą niespokojną, bezseną noc. Ktoś, kto ma poparcie większości wszystkich żyjących ludzi — ta idea była fascynująca, wtedy, kiedy powstała w jego umyśle, gdy ją omawiali i wspólnie szlifowali. Ani przez moment nie pomyśleli o tym, że mogłoby to dotyczyć ich samych, cóż, że *musi* to dotyczyć ich samych. Tak przywykli już do tego, że nie muszą przestrzegać prawa poszczególnych państw, tak wyćwiczyli się w rozgrywaniu dla

własnej korzyści krajów wzajemnie przeciw sobie, że sama myśl o tym, że *World Speaker* mógłby stawiać im żądania, była dla nich szokiem.

Słowa Mandeli usłyszał w telewizji. Nie było przed nimi ucieczki na żadnym z kanałów, z wyczuwalnym tryumfem wszystkie agencje podchwyciły oświadczenie kandydata, dyskutowano o nim i komentowano je. W pierwszej chwili John poczuł jakby szyderczą pogardę. Czegokolwiek nie wygadywali politycy i czego by nie postanowili, tak naprawdę nigdy nie dotyczyło to jego, był ponad to. Taki sposób myślenia wykształciły w nim lata spędzone z McCainem, uświadomił to sobie nagle, a teraz on jest nawet bardziej arogancki. Najpierw drwić pogardliwie i zaraz potem kombinować, jak można by ich wykiwać, tych kundli i obszczymurków, takiego odruchu nabył i tym torem również teraz jego myśli pobiegły jakby automatycznie.

Aż po prawie bolesne zatrzymanie. Bo przecież: gdzie chce się ukryć przed *World Speakerem*? Kogo chce rozegrać przeciw komu? Nie ma nikogo. Do tego zabrać mu jego pieniądze — to sprawa, w której narody świata aż nadto chętnie poprą *World Speakera*.

Bez szans.

— Zapłacę — powtórzył John. — To znaczy, że muszę sprzedać większą część koncernu. Chciałbym państwa prosić o skierowanie swoich wysiłków na przygotowanie tej sprzedaży. Zleciłem już działowi analiz opracowanie odpowiednich koncepcji. Do wyborów zostało jeszcze kilka miesięcy; powinno być dość czasu na to, żeby nie działać pod presją i osiągnąć dobre ceny.

Ktoś chciał się sprzeciwić, ale zamknął usta; i skinął głową jak

pozostali.

— I jeszcze jedno, przykro mi, że wczoraj z takim naciskiem poleciłem państwu pracować — dodał John wstając. — To było nieprzemysłane. Proszę mi wybaczyć.

Ponownie kiwnęli głowami. Kiwali, dopóki nie wyszedł za drzwi.

Paul przeciął mu drogę, szukał go, towarzyszył mu do windy.

— Ale niespodzianka, co? — oznajmił.

Dobrze było wyjść, zamaszystym krokiem maszerować wzdłuż korytarza.

— Czemu? — zapytał John. Nagle poczuł się dziwnie lekko, prawie zadowolony. — Tego przecież chciałem, prawda?

— Żeby Mandela zabrał ci całe pieniądze?

— Zostawi mi przecież jakiś milion albo dwa. A zresztą i tak nie wiedziałem, co z nimi począć. Niech martwi się ten, kto je dostanie.

— Nie wiem... — Paul pokręcił głową. — Jest w tym wszystkim jakaś niewdzięczność.

John zatrzymał się nagle.

— O to przecież przez cały czas nam chodzi, prawda? Sprawiedliwość dla wszystkich, ale dla nas specjalne prawa. — Roześmiał się. — Paul, nie rozumiesz, co się tu dzieje? Nie widzisz? To działa. Nasz plan działa.

Telefon zadzwonił, kiedy John siedział w samochodzie wiozącym go do domu. Który już niedługo ma przestać być jego domem, pomyślał, wyjmując telefon z kieszeni.

— Słucham?

— To ja — odezwał się głos, nie słyszany od wieków. — Marvin.

— Marvin? — wyrwało się Johnowi. — Co za... — Niespodzianka to za mało powiedziane. — Co u ciebie? Skąd

dzwonisz?

Głos był cichy, dobiegał z daleka, z ledwie zauważalnym opóźnieniem, jak ma to miejsce przy rozmowach transatlantyckich.

— Wszystko jedno, gdzie akurat jestem, chłopie. Nie dzwonię pogadać o starych czasach. Dzwonię ze względu na ciebie. Jesteś akurat na najlepszej drodze, żeby wdepnąć w straszne gówno. Spuszczasz nas wszystkich do kibla i jeszcze myślisz, że robisz coś dobrego. Dlatego dzwonię, chłopie.

— Co? — John zamrugnął. Na zewnątrz latarnie uliczne przemykały jedna po drugiej niczym łańcuch księżyców, perlących się na czarnym aksamicie.

— John, wiem, że zostałeś wielkim maklerem i wszyscy robią, co im każesz, ale raz w życiu, proszę cię, ten jeden raz w życiu musisz mnie wysłuchać. Do końca. Bo tym razem to cholernie, zajebicie *ważne*, jasne? — głęboki wdech. — Byłem na odwyku. Odstawili mnie na bok. Do takiej kliniki. Innym razem mogę ci opowiedzieć, co zapisali mi małym druczkiem i o przyjemniaczkach adwokatów, teraz chodzi o to, że poznałem tam jednego gościa, który wie, o co chodzi. Który absolutnie — rozumiesz? — absolutnie wie, co jest grane. Bo też w to grał, ale przestał. Dlatego go gonią, nawiasem mówiąc. Łapiesz póki co?

— Hmm — mruknął John marszcząc czoło. — Jasne.

— Pierwszy hak to twoje pieniądze. Twój bilion dolarów. Odsetki i odsetki składane i pięćset lat, cała ta historia. Po prostu fortuna Fontanellego, wszyscy ją znają z filmów, radia i telewizji, John, czy właściwie siedzisz?

Mimowolnie John upewnił się, kładąc dłoń na pieszczotliwie miękki zamsz tylnego siedzenia. — Tak.

— Dobrze. Chodzi o to, że fortuna Fontanellego w

rzeczywistości wcale nie istnieje.

W trudno wyczuwalny sposób głos Marvina brzmiał inaczej niż zwykle. Nie zaspany ani pijany, ale też nie taki, jak John go zapamiętał.

— Interesujące — powiedział ostrożnie. — Marvin, jadę właśnie opancerzonym mercedesem, który kosztował milion dolarów, i wmawiam sobie, że za niego zapłaciłem. I to nie pieniędzmi zarobionymi na rozwożeniu pizzy, tego przypadkiem jestem całkiem pewny.

Wyglądało na to, że Marvin nie jest w nastroju do żartów.

— Tak, chłopie, jasne — dali ci kupę pieniędzy. To jasne. Nie o to chodzi. Rzecz w tym, że one nie wzięły się stąd, co ty myślisz. W starej Florencji był wprowadzić jakiś Giacomo Fontanelli, i nawet był kupcem i pewno twoim przodkiem, ale nie zostawił żadnych pieniędzy. Zero. *Nada. Niente.*

— Och — wyrwało się Johnowi. Jak Marvin zdołał dowiedzieć się tego, co odkryła Ursula? Jak w ogóle ktokolwiek mógł się tego dowiedzieć? — Ale?

— Kiedyś — wyjaśnił Marvin — w połowie lat osiemdziesiątych, był pewien tajny projekt pod nazwą *Millenium Fonds*. Coś w rodzaju funduszu inwestycyjnego, ale dostępnego tylko dla typów z naprawdę grubymi portfelami. Bankierzy i przemysłowcy wpłacali pieniądze, aż uzbierał się bilion dolarów. To właśnie te pieniądze dostałeś. Cała reszta bzdur, prorocstwo i tak dalej, to wszystko szwindel. Testament, w ogóle wszystkie dokumenty, są fałszywe. Wciągnęli cię w ukartowaną co do kropki grę, w której każdy wie, co jest grane, tylko ty nie. I ludzie nie wiedzą. Ale wszyscy pozostali są wtajemniczeni. McCaine. Rodzina Vacchich. Żaden Michelangelo Vacchi nigdy nie istniał. Chłopie. Zajrzałeś kiedykolwiek do jakiejś książki o historii

ostatnich pięciuset lat? Mówię ci, żaden człowiek nie zdołałby przenieść takiego ogromnego majątku bez szwanku przez ten chaos. Absolutnie wykluczone. Padłeś ofiarą oszustwa, uwierz mi. Przez cały czas tylko cię wykorzystywali. Od początku byłeś ich marionetką. A teraz, John — dodał — nadszedł dzień zapłaty. Teraz przyjdą do ciebie skasować swoją dolę. Bo do funduszu inwestycyjnego nie tylko się wpłaca — kiedyś chce się coś dostać z powrotem. I to niemało.

— Dzień spłaty? — powtórzył zaniepokojony John. W tym, co Marvin wygadywał, było coś, co przyprawiało go o gęsią skórkę. A może to dźwięk jego głosu, to, jak on to mówił? — O czym ty mówisz, Marvin? Zakładając nawet, że to mogłaby być prawda — co ktoś miałby zyskać na tym, co się wydarzyło?

— O to przecież wcale nie chodzi, *shit*. Nie chodzi o to, co się wydarzyło. Chodzi o to, co się jeszcze *ma* wydarzyć. No co, świta ci?

John poczuł nagłą ochotę, żeby opuścić szybę i wyrzucić telefon na zewnątrz w mrok nocy.

— Nie, przykro mi.

— Władza nad światem, chłopie. Przecież tworzysz właśnie światowy rząd. A oni właśnie tego chcą. Cała reszta, najmłodszy męski potomek, spadek, prorocstwo — to wszystko kino. Hollywood. Wymyślone i skłamate, żeby tylko zrobić show. Wrażenie na ludziach. Chcą dokładnie tego, żeby powstał światowy rząd, a ty jesteś marionetką, mającą ludzi do tego zachęcić, a nawet ich tym zachwycić. Bo ludzie w ciebie wierzą. Jesteś dziedzicem, wypełnisz prorocstwo, przywrócisz nam wszystkim przyszłość, Amen. *Shit*, chłopie. Narobisz gówna. Światowy rząd, to znaczy, że będą mieli tylko jedno miejsce, którym będą musieli manipulować, przekupywać, sterować nim

za plecami. Będą mieli łatwiej. Przejmą ostateczną kontrolę nad nami wszystkimi. Wytatuują nam na skórze kody kreskowe, a my będziemy się zachwycać, że możemy zostawić w domu karty kredytowe. Wyperswadują nam płodzenie dzieci i zaczną w swoich genetycznych laboratoriach produkować przyszłych niewolników, takich, jakich zechcą. Nadejdzie moment, że będą istnieli już tylko *oni*, około tysiąc rodzin, zostaną władcami absolutnymi, rasą panów — a my, cała reszta, będziemy ich niewolnikami, bezbronnymi bezmózgowcami. Samo *mięso*. John, zaklinam cię, musisz to powstrzymać!

Przez chwilę mu uwierzył. Przez chwilę poczuł się tak, jakby rozerwała się przed nim zasłona i ukazała widok na niesamowicie odrażającą scenerię, spisek o potwornym zasięgu, świat tak makabryczny, że samo spojrzenie na niego mogłoby przyprawić o utratę zmysłów. Ale wtedy przypomniały mu się inne idee, którymi opętany był Marvin — obcy z Roswell, legendy Indian Hopi, narkotykowa filozofia Carlosa Castanedasa, prorocze siły runów i uzdrawiająca moc szlachetnych kamieni.

— A co ci ten twój tajemniczy nieznajomy powiedział o Elvisie, żyje jeszcze?

— Co? — parsknął Marvin. — Hej, a co to za gówno?

— Marvin, zapomnij o tym. To niemożliwe, nikt nie byłby w stanie zaplanować tego tak, jak się zdarzyło.

Dało się słyszeć dźwięk przypominający głęboki jęk, dobiegł z opóźnieniem międzykontynentalnej rozmowy telefonicznej.

— Nie wiesz, co oni potrafią! Wszystkich podkupili, przeniknęli do każdej organizacji, każdej partii... kryją się za wszystkim, naprawdę za wszystkim... Do tego mają technologie, o jakich ci się nawet nie śniło, hipnoza, niesamowite narkotyki, potrafią nawet wywierać wpływ na twoją aurę...

— Tak. Mogę sobie doskonale wyobrazić, że to potrafią.

— Tak, chłopie, mówię ci, mają w ręku też technologie istot pozaziemskich z UFO, które spadły w latach czterdziestych. Potrafią latać na Marsa na latających spodkach z napędem magnetycznym, i od dawna budują tam swoje miasta, a przed nami udają, że tam jest tylko martwa pustynia...

— Marvin? — przerwał mu John. — To wszystko *bullshit*. Ten, kto ci to opowiedział, to niezły świr. Albo kłamie. Nawet to o światowym rządzie to nieprawda. Nie zakładam światowego rządu.

— Ale tym się to skończy.

— Może za pięćdziesiąt lat. Na razie chodzi tylko o to, żeby wybrać *World Speakera*, a on co najwyżej zmieni nam kilka podatków i...

— O, człowieku! — zabrzmiało to tak, jakby Marvin zwymiotował. — Powinienem był wiedzieć. Już cię mają. Mają w ręku twój umysł. Cholera, chłopie. Siedzą w twoim mózgu, John, a ty nawet o tym nie wiesz!

— Nikt nie siedzi w moim mózgu.

— Gównno, chłopie, słyszę, jak oni przez ciebie *mówią!* — krzyknął Marvin, potem połączenie zostało gwałtownie przerwane.

John odsunął telefon od ucha, przez chwilę patrzył na niego zaniepokojony, w końcu go wyłączył. Skąd właściwie Marvin ma jego numer? Wygląda na to, że przynajmniej w tym jednym punkcie McCainie się nie mylił. Naprawdę będzie lepiej, jeśli w przyszłości postara się unikać z nim kontaktów.

Po pierwszym wybuchu złośliwej radości z cudzego nieszczęścia, wywołanej głębokim ciosem zadany bilionerowi



Johnowi Fontanellemu, również inni ludzie zrozumieli, że ich majątek musi obawiać się oka sprawiedliwości. Powstał nowy rodzaj nacisku. Wszędzie na świecie prawnicy, mający wśród swoich klientów bogaczy, i do tej pory sławiący się raczej cnotą dyskrecji i nierzucania się w oczy, nagle „odkrywali”, że udział w wyborach *World Speakera* można by oceniać w kategoriach zdrady państwa. W końcu większość kodeksów prawnych zna opatrzone wysokimi karami paragraf o wstąpieniu do zagranicznych armii: czy oddanie głosu w globalnym referendum nie jest w istocie tym samym? Rozgorzały pełne emocji debaty z prawnikami nie podzielającymi tej interpretacji, mnożyły się dyskusje panelowe, *talk-show*, i zapełniły kolumny w gazetach.

Liczne firmy bez pardonu kazały swoim pracownikom podpisywać oświadczenia, w których ci zobowiązywali się trzymać z dala od głosowania.

— Te podpisy nie mają mocy prawnej — wołali inni prawnicy i oskarżali firmy o naruszenie prawa do swobodnego wyrażania opinii. Ale procesy miały się ciągnąć dłużej niż do wyborów, i na razie wszyscy byli zaniepokojeni.

Ugrupowania przeciwne referendum oznajmiały, że chcą wysłać do lokali wyborczych swoich obserwatorów — nie tyle po to, żeby obserwować wybory, ale żeby mieć na oku wyborców i sporządzać listy tych, którzy wzięli udział w wyborach. Na temat przeznaczenia tych list zachowywano wieloznaczne milczenie, które działało bardziej zastraszająco niż wszelkie konkretne groźby. Organizacja *We The People* nie miała możliwości przeszkodzić im w tych zamiarach, ostatecznie jawność wyborów była podstawą całego procesu i prawo do wglądu zapewniano każdemu obywatelowi, również tym, którzy są

przeciwni całemu przedsięwzięciu.

Naciski. Nękanie. Zastraszanie. Sondaże wykazywały gwałtowny spadek przewidywanego uczestnictwa w wyborach, zresztą nawet te sondaże były często sfalszowane, by zniechęcić chętnych do głosowania.

Czekał. Siedział na podwójnym łóżku z ciemnożółtą pościelą, wyglądającą ohydnie przy brązowej tapecie, gapił się na drzwi apartamentu i czekał. Co pięć minut zrywał się, biegł do okna i przez zasłony, cuchnące gromadzonym od wieków dymem, zerkał na dziedziniec, dojazd, parking.auta przyjeżdżały i odjeżdżały. Wsiadały do nich młode pary, mówiące po francusku i sprawiające wrażenie, jakby miały za sobą namiętą noc. Starsi, samotni mężczyźni w koszulach w dużą kratę i kapeluszach uwalanych przynętą ładowali wędki i skrzynki do bagażników. Niemowlęta kwiliły na tylnych siedzeniach i matki uspokajały je. W weekendy cholernie dużo tu się działo.

Motel miał mały kiosk o dumnej nazwie *Super Marche*, niewiele jednak większy od rozłożonej gazety, Marvin od czasu do czasu pędził do niego i kupował coś do jedzenia, chipsy, czekoladę i wszystkie kanapki, jakie mieli od Bóg-wie-kiedy, twarde jak skóra, gumowe, obłożone pozbawionym smaku kurczakiem i włóknistą sałatą albo szynką, śmierdzącą obrzydliwie, on mimo to zjadał je do ostatniego okruszka. Nie dlatego, że naprawdę był głodny, ale żeby się czymś zająć. Pilnował, by resztę wydawano mu w ćwierć-dolarówkach, kanadyjskich ćwierćdolarówkach, dziwnie wyglądały, ale były to jedyne monety, jakie połykał telewizor. Jedna godzina kosztowała ćwierć dolara, i przeważnie kończyła się akurat w chwili, kiedy kryminał zaczynał trzymać w napięciu, ale obraz znikał i kazał mu wracać do rzeczywistości,

napierającej ze wszystkich stron i dławiącej.

Wszystko w nim drżało. Jakby po skórze pełzały mu małe stworki, pożerające kawałek po kawałku jego rozum. To drzenie zaczynało się w kościach, był wobec niego bezradny. Czekał więc, siedział na ciemnożółtej pościeli, zasypanej okruszkami, gapił się na drzwi apartamentu, i kiedy ten człowiek nareszcie przyjechał, ledwie miał siłę wstać, żeby podać mu rękę.

— Schrzałem to — powiedział, uprzedzając pytanie.

Mężczyzna patrzył na niego. Z początku nie chciał siadać, odsunął tylko stopą zaścielającą podłogę plastikowe woreczki i pudełka po herbatnikach i patrzył na niego, teraz jednak mimo wszystko musiał usiąść.

— Co to znaczy? — zapytał, więc Marvin opowiedział, jak mu poszło.

Po rozmowie z Johnem myślał, że może błędem było wspominać o UFO i o miastach na Marsie; to były sprawy, o których Bleeker nic mu nie mówił, dopowiedział je sobie sam. Ostatecznie przeczytało się przecież co nieco, słyszało to i owo, a reszta była prosta jak dwa dodać dwa. Dla Johna było tego za wiele, zamknął się potem kompletnie. Ale lepiej będzie nie mówić o tym Bleekerowi. Nie trzeba nasuwać mu podejrzenia, że za dużo wie.

— Co to znaczy? — jeszcze raz spytał Bleeker, gdy z grubsza przedstawił mu przebieg rozmowy.

Marvin patrzył na niego, nie poganiał czasu, wzdragał się przed wydaniem wyroku.

— Mają go już w ręku — powiedział w końcu. — Jakoś. Może przez hipnozę, czy ja wiem. Ale on... on się kompletnie blokuje, kiedy mu tłumaczyć. Kompletnie. Żadnej szczeliny.

Bleeker na te słowa zbladł, zrobił się biały jak śmierć, patrzył

na niego wstrząśnięty, oczyma wielkimi jak samochodowe felgi.

— Zatem los ludzkości jest przesądzony — powiedział.

Powtórzył to jeszcze raz, i jeszcze, niczym ślubowanie złym bóstwom, a jego głos był głęboki niczym chiński gong, rozbrzmiewający echem w głębinach duszy.

W piątek, 26 czerwca 1998, o północy czasu lokalnego Nowego Jorku, zakończył się dziesięciodniowy okres zgłaszania kandydatów na *World Speakera*. W sumie nadeszło 167411 zgłoszeń, z których jednak tylko 251 spełniało wymagane kryteria. Większość nie miała wystarczającej liczby podpisów, albo ich wcale nie załączyła; wiele list z podpisami nie odpowiadało żądaniu, żeby zawarte na nich nazwiska dało się zweryfikować, na 12 listach z wymaganą ilością podpisów odkryto fałszerstwa, co dyskwalifikowało zgłoszenie. Mimo to lista kandydatów na pierwszą turę głosowania była imponująco długa.

Wśród kandydatów znalazło się zaledwie 12 kobiet, na co powszechnie się skarżono, czego jednak nie można było zmienić, i co — jak oświadczył przewodniczący wyborów, Lionel Hillman — „prawdopodobnie mówi nam coś o kondycji świata”. Obok dawnych szefów państw kandydowali również sławni aktorzy, bogaci przedsiębiorcy, znani pisarze i popularni sportowcy, wśród nich południowoamerykański idol piłkarski (sądząc po zakładach bukmacherów, mający zadziwiająco duże szanse), dalej przywódca kontrowersyjnej sekty, dawna gwiazdka porno, prawdziwy król (afrykańskiego plemienia) oraz zadziwiająco duża liczba nieznanymi ludzi, którym w zagadkowy sposób udało się zgromadzić żadaną liczbę podpisów. Tylko 34 kandydatów było przed sześćdziesiątką, a żaden nie miał mniej niż

czterdzieści lat. Opublikowano jeszcze jedną statystykę, zliczającą kandydatów według krajów pochodzenia, innych kategorii nie uwzględniono.

W sobotę, 27 czerwca, na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ miała odbyć się ceremonia inauguracji wyborów. Miał przemówić sekretarz generalny Kofi Annan, potem jako jego gość przewodniczący wyborów Lionel Hillman, mający ponownie wyjaśnić powszechnie już znany Regulamin Wyborów, zaś oko kamery, transmitującej to wszystko na cały świat, miało na chwilę przenieść się na Johna Fontanellego, którego zaproszono, by przyglądał się jako gość. Okazja i miejsce uroczystości wywołały ożywione dyskusje, ale członkowie Zgromadzenia Ogólnego przegłosowali ją niewielką większością głosów, a że do nich należała decyzja, co dzieje się na areale ONZ na wschodnim Manhattanie, ich rządy mogły sobie grzmieć. Mówiono, że sekretarz generalny w osobistych rozmowach z delegatami nie krył przekonania, że ONZ dobrze zrobi, nieoficjalnie traktując *World Speakera* jako swego przyszłego szefa, gdyż w przeciwnym razie ewentualny globalny parlament mógłby powstać gdzie indziej, i tym samym ONZ straciłby rację bytu.

John Fontanelli i jego sztab przyjechali do Nowego Jorku w dniu poprzedzającym *Global Plebiscite Opening Ceremony*. Podczas lotu dotarły do nich wyniki najnowszego sondażu opinii publicznej, przy czym tym razem nie było to amatorskie zliczanie amatorskich wywiadów z przechodniami na całym świecie, ale profesjonalne badanie, zamówione przez *New York Times* w renomowanym instytucie badawczym. Użyto najnowocześniejszych metod, wybrano reprezentatywną grupę badanych, potwierdzono uzyskane wyniki.

Rezultat był powalający.

— Nic z tego nie będzie, John — stwierdził zatroskany Paul, studiując faks, jakby miał nadzieję, że coś jeszcze może zmienić się w tym, co miał lekko rozmazany druk na papierze czarno na białym. — Jeśli rzeczywiście tylko piętnaście procent weźmie udział w wyborach, możesz zapomnieć o *World Speakerze*. Będzie śmieszny.

John wziął od niego kartki, przeczytał je i oddał bez komentarza.

— Nie — sprzeciwił się, gdy Paul chciał mówić dalej. — Bez dyskusji. Przeprowadzimy to, obojętne, cokolwiek i ktokolwiek będzie mówił.

Na konferencję prasową w wieczór ich przybycia do Nowego Jorku największa sala hotelu okazała się za mała. Dziennikarzy musiały być tysiące, błyskali fleszami i kierowali mikrofony do przodu, i wszyscy, wszyscy czytali wyniki sondażu.

— Badanie opinii publicznej to nie głosowanie — oznajmił John Fontanelli. — To chwilowy obraz. Przed nami dwadzieścia tygodni przygotowań, podczas których kandydaci do urzędu *World Speakera* będą starali się zyskać nasze głosy. W listopadzie po przeliczeniu wszystkich głosów będziemy wiedzieć więcej.

Krzyki, tumult. Nie można wyłowić żadnego pytania. John po prostu mówił dalej, mówił, co mu akurat przyszło do głowy. Był zmęczony. Myśl, że projekt mógłby się nie powieść, przerażała go bardziej, niż chciał przyznać.

— Czekają nas nie tylko dokonanie wyboru spośród 251 kandydatów — mówił. — Stoimy przed znacznie bardziej zasadniczą decyzją, a mianowicie musimy wybrać między demokracją rozszerzoną o jeden wymiar, a nową epoką feudalną, mającą tym razem oblicze koncernów.

Jakże oni wszyscy skrobą, nagrywają każde słowo, posyłają je

dalej, myślą już o nagłówkach i stronach tytułowych... John czuł już tylko pustkę. Cichy wewnętrzny głos upominał go, żeby lepiej przestał i zamilkł, niż powiedział coś, czego potem mógłby żałować. Ale nie mógł przestać, z jakiegoś powodu, silniejszego od wszystkich dobrych argumentów i wszelkich zaleceń o publicznych wystąpieniach.

— Jeśli to Bóg postawił mnie na tym miejscu i przeznaczył do tego zadania — mówił John Salvatore Fontanelli ku przerażeniu swego sztabu i ku zachwytowi publiczności — to niewątpliwie chciał, żebym zrobił to, co zgodnie z moją wiedzą i sumieniem uznaję za właściwe. A to, co ma się zdarzyć, uważam za właściwe. Czekają nas wielkie wyzwania. Jeśli nie zdołamy stawić im czoła w przyzwoity, ludzki sposób, to nie jesteśmy warci tego, by dalej istnieć.

To zabrzmiało jak rozmowa chorego na depresję z jego terapeutą, miał później powiedzieć Paul Siegel, któremu udało się w tym momencie gwałtownie zakończyć konferencję prasową.

Uczestników ceremonii zaproszono na próbę generalną po południu o drugiej czasu miejscowego, by przećwiczyli dokładny przebieg, kto, kiedy i gdzie ma przejść i dokąd odejść, i żeby oświetleniowcy mogli optymalnie dostroić światła. Po ciężkiej nocy i milczącym poranku John wsiadł więc do limuzyny, tym razem sam, towarzyszyli mu tylko Marco i jeszcze dwóch ochroniarzy, gdyż Paul miał spędzić dzień na rozmowach z przedstawicielami amerykańskich koncernów. Zanosilo się na to, że pierwsza firma, którą kupił, będzie również pierwszą, którą sprzeda: Mobil Corporation wykazało zainteresowanie zakupem Exxon'a.

Prawie go przeoczył. Wsiadł, kiedy otworzono mu drzwi,

poszedł wzdłuż czerwonego dywanu, jak robił to już niezliczoną ilość razy na całym świecie, mijając wartowników i inny personel, rozglądając się za ważnymi gośćmi, kiedy nagle do jego uszu, do jego świadomości wdarł się głos, który mówił:

— Cześć, bracie.

John gwałtownie odwrócił się, gorączkowo przebiegając wzrokiem twarzą wzdłuż drogi, jaką przeszedł, i w końcu go znalazł.

— Lino?

— Niespodzianka — powiedział, uśmiechając się krzywo. Stał tam po prostu między dwoma innymi ochroniarzami, w mundurze oddziałów ONZ, jakby do nich należał.

— Lino...? Co ty tu robisz?

Lino poklepał dłonią w kaburę rewolweru u pasa.

— Uznali, że powinienem cię trochę popilnować.

— Ty? — John pokręcił głową. — Jak to?

— Rozkaz to rozkaz. W zeszłą sobotę odmrażałem sobie jeszcze tyłek nad morzem Beringa i nie przeczuwałem nawet swojego szczęścia.

— A gdzieś zostawił swój myśliwiec?

Lino wydymając wargi, przesunął wzrokiem po wznoszącym się wysoko nad nimi dachu i po rzędach masztów z flagami krajów członkowskich naprzeciwno.

— No cóż — powiedział — trochę tu za ciasno na kołowanie.

Postarzał się. Jakby chłód dalekiej północy wyrzeźbił na jego twarzy zmarszczki i pobielił pasemka niegdyś tak ciemnych, gęstych włosów. W oczach migotał cień bólu.

John chwycił go za rękaw i pociągnął za sobą, do wnętrza holu, gdzie mogli znaleźć spokojniejszy kąt.

— Lino, przykro mi — powiedział z trudem — że to wszystko



się wtedy stało...

Pokręcił głową.

— Nie powinno ci być przykro, John. Byłem sam sobie winny. Ja... no cóż, myślałem, że jestem cholernie sprytny. A byłem kompletnym idiotą.

Nie pozwalają ci już latać, tak?

— Nie z twojego powodu, żebyś tylko tak nie myślał. Tam u góry jest gównianie zimno, i czasem człowiek po prostu potrzebuje trochę whisky, żeby się rozgrzać. — Lino gryzł wargę, to przynajmniej zostało mu z jego dawnych nawyków. — Trochę się rozsypałem, kiedy Vera wyszła za mąż za tego handlarza nieruchomości. Prawie mnie wyrzucili. Niewiele brakowało. Zdaje mi się, że po prostu uznali za cięższą karę, jeśli każą mi trzymać wartę za kołem polarnym.

— A tam znów coś wywinąłeś i wysłali cię tutaj.

Lino uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Tak, może trochę za mocno przyłożyłem w bójce z komendantem...

Roześmiali się, potem objęli, zmieszani, bo ostatnio robili to jako dzieci, i tylko przez jedną, oczyszczającą chwilę.

— To było naprawdę dziwne — odezwał się potem Lino z wilgotnymi oczami, które pocierał ukradkiem. — To znaczy to, jak tu trafiłem. Do mojego komendanta ktoś zadzwonił, tylko raz, i pstryk, już siedziałem w następnym samolocie. Najpierw myślałem, że jest zadowolony, że się mnie pozbywa, ale potem przyszło mi do głowy, że może ktoś chce dać nam szansę, żebyśmy sobie wybaczyli? Nie mam pojęcia.

— Ale to możliwe — przytaknął John. — Byłeś w domu?

Lino poważnie skinął głową.

— Na czterdziestolecie ślubu. Mama była bardzo

rozczarowana, że jakaś fabryka w Bułgarii była dla ciebie ważniejsza.

— Hmm — mruknął John. — W przyszły piątek, zdaje się, jest czterdziesta druga rocznica, prawda? Mógłbym zostać na tydzień, jak się to wszystko skończy...

W tym momencie do Johna podeszła drobna kobieta o azjatyckich rysach twarzy.

— Pan Fontanelli? Proszę wybaczyć. Jest pan oczekiwany w środku.

John spojrział na Lina przepaszająco.

— Ale się jeszcze nie skończyło, jak widzisz.

— Rozkaz to rozkaz — powiedział Lino i zasalutował. — Idź już, ja tu trochę popilnuję.

— Jasne.

Sala Zgromadzenia Ogólnego ONZ jest prawdopodobnie najbardziej imponującym gmachem parlamentu, zbudowanym kiedykolwiek przez ludzi. To jedyna sala posiedzeń na całym terenie, w której umieszczony jest emblemat Organizacji Narodów Zjednoczonych, stylizowana kula ziemską otoczona gałązką drzewa oliwnego. Dobitnie pyszni się na połyskującej złotem frontowej ścianie sali, wkomponowana w architekturę, w niepowtarzalny sposób przykuwającą wzrok obserwatora i tworzącą obraz doskonale oddający ducha statutu organizacji. Dwa potężne, ukośne, ciemne uskoki muru odważną linią obramowują widownię. Za wąskimi okienkami widać tłumaczy, niezbędnych przy wykonywanej tu pracy, jednak spojrzenie wędruje dalej, ku przodowi na scenę i niżej na pulpit mówcy, a ten, kto akurat tam stoi, w architektonicznej ogniskowej sali, dostrzegalny jest równocześnie zewsząd i wygląda jak mały, zwykły człowiek, zdany na wspólnotę innych ludzi i ich

współistnienie.

W sali mieści się tysiąc ośmiuset delegatów, przy długich, wygiętych w łuki stołach, bladozielonych ze złotym obramowaniem i z mikrofonem przy każdym miejscu. Nad widownią wznosi się wielka kopuła, na której umieszczono reflektory świecące w dół niczym gwiazdy. Ten, kto pierwszy raz wchodzi do tej sali, wstrzymuje oddech, i kto nie jest całkowicie przesiąknięty cynizmem, ten przeczuwa tutaj trochę, co mogliby osiągnąć wspólnie ludzie.

Po południu 27 czerwca ta majestatyczna sala była prawie pusta. Przed podium stała garstka ludzi omawiających przebieg ceremonii, dwoje z nich dźwigało na ramionach kamery telewizyjne, a wysoko nad nimi reflektory zapalały się i gasły. Ktoś z papierami w jednej ręce i gdakającą krótkofalówką w drugiej krążył wokół i wydawał polecenia. Mężczyźni w kombinezonach układali grube kable i przyklejali je czarną taśmą do podłogi. Sekretarz generalny stał za mównicą i cierpliwie pozwalał, by człowiek wyposażony w światłomierz manipulował mu nim przed nosem. Lionel Hillman czekał w pewnym oddaleniu, skrzyżował ramiona i uważnie przysłuchiwał się temu, co mówił do niego inny człowiek z innymi papierami.

John Fontanelli nie miał nic do roboty, musiał tylko siedzieć na przydzielonym mu miejscu, czekać na chwilę, kiedy skierowana zostanie na niego kamera, i zrobić wtedy dostojną minę, albo przynajmniej nie dłubać akurat w nosie. Wszystko, co musiał zapamiętać, to kiedy ma wejść do sali i przez które drzwi, a to wyjaśniono mu szybko. Siedział teraz tylko, pełen radości z nieoczekiwanego pojednania z bratem, przyglądał się innym i wczuwał w atmosferę audytorium.

Sala ta zdawała się emanować pocieszającą ufnością, cierpliwą, spokojną, niemal upartą wytrwałością, właśnie tak, jakby zadomowiły się tu dusze Mahatmy Gandhiego i Martina Luthera Kinga. Te ściany zdawały się mówić *A jednak*, puste ławki szeptały *Pewnego dnia. To tylko kwestia czasu*. Pewnego dnia powstanie światowy parlament, rząd dla całej Ziemi, i żyjącym wtedy ludziom wyda się to zupełnie oczywiste. Dzieci będą uczyły się na lekcjach historii, że kontynenty podzielone były dawniej między narody, że kraje miały własne rządy, własne armie i własne pieniądze, i będzie wydawało im się to tak absurdalne, jak dziś postrzegamy czas, kiedy Ameryka Północna była angielską prowincją, a niewolnikami handlowano jak bydłem.

John podniósł wzrok w górę ku kopule. Może będzie tu kiedyś sala posiedzeń parlamentu światowego, stateczna i bogata w tradycję. Niemal fizycznie odczuwał tę prawdopodobną przyszłość. Widział stojącego na przodzie prezydenta świata — albo panią prezydent — jak wygłasza swoje expose. Słyszał niewidzialny, nie wzniecony jeszcze niepokój w ławach parlamentu, gdyż nadal będą istniały partie, różnice zdań, spory o pieniądze, wpływy, i o to, jaką drogą należy pójść. To się nie zmieni, widział nagle z jaskrawą jasnością, będzie tak, póki na tej planecie będą istnieć ludzie, gdyż jest to częścią tego, co oznacza ludzkie życie. Czuł również świat za murami, taki, jaki będzie wówczas, wielki, dziki, skomplikowany świat dziwnych mód i osobliwych technologii, pełen ludzi i idei i jeszcze nie wymyślonych wynalazków, pulsujący kosmos rozmaitych sposobów na życie, utrzymywany w całości przez zapierającą dech, skomplikowaną sieć wzajemnych powiązań i duchowych zależności, nie pozostawiającą miejsca na podziały i rozłamy.

Czuł świat, w którym nie było już ochoty na marnowanie choćby najmniejszego wysiłku na separację, i ten świat mu się podobał. *Tak*, myślał. Tak.

Z trudem powrócił z tej wizji do rzeczywistości, i mrugając rozejrzał się, szukając wzrokiem człowieka z krótkofalówką, który wskazywał na niego i wołał:

— Jest pan gotowy, panie Fontanelli? Przećwiczymy wszystko jeszcze raz.

Hol był niespodziewanie jasny i niespokojny. Media zorganizowały tu swoją własną próbę generalną, z tuzinów ogromnych reflektorów wylewało się światło, ludzie biegali, potrącając się, łączyli wtyczki, montowali kamery i statywy. John obejrzał się, zobaczył czekający na zewnątrz samochód, rozglądał się za Linem, którego nigdzie nie mógł dostrzec. Skinął na Marco, przepychającego się ku niemu przez tłum.

— Ktoś chce z panem porozmawiać — powiedział ochroniarz i wskazał dłonią kogoś za plecami Johna.

John odwrócił się, nagle poczuł uderzenie, i jeszcze jedno, gorący ból, palący go w całym ciele. Nogi osunęły się pod nim, wokół słyszał bieganinę i krzyki, wznoszący się i opadający chór głosów i ruchów. Spojrzał po sobie w dół i zobaczył krew na brzuchu i dłoniach, które przycisnął do ciała. Była jaskrawoczerwona, dosłownie tryskała, i nagle przypomniało mu się to, co zapomniał, czego przez cały czas nie zauważył.

*Testament*, chciał krzyknąć do tych, którzy stali wokół niego, ale oni krzyczeli i przepychali się i nie słuchali go, czuł się tak, jakby nie był w stanie wydobyć z ust żadnego dźwięku. W ustach miał smak żelaza, a gardło wypełniło mu się ciepłą cieczą, która zalała jego struny głosowe.

Teraz świat kręcił się wokół niego, powolny balet, widział

wszystko, czy oni tego nie rozumieją? *Testament*. To klucz. Wielki błąd. Jemu z brzucha leci krew, a oni go nie słuchają.

Ktoś pochylił się nad nim. Marco, łzy w oczach. *Testament!* Musi koniecznie o tym powiedzieć. Nie wolno mu wcześniej pozwolić sobie na opadnięcie w przytulną ciemność, wzywającą go, wabiącą obietnicą spokoju i odpoczynku. Najpierw musi im powiedzieć, co odkrył, co mu się przypomniało, może za późno...

Testament. McCaine ma jeszcze mój testament. Zapomniałem spisać nowy. Jeśli umrę, on odziedziczy wszystko...

Komisja śledcza pod przewodnictwem starszego detektywa Roberta A. Wilsona złożyła po zakończeniu dochodzenia raport o objętości tysiąca stron, zwany później *Raportem Wilsona*.

Zgodnie z nim Marvin Copeland, urodzony w roku 1968 w Nowym Jorku, został dnia 3 września 1997 odwieziony ze średnio ciężkimi objawami głodu heroinowego do położonej w kanadyjskiej prowincji Quebec kliniki Landsteiner, celem odbycia terapii odwykowej, i tam został przyjęty pod nazwiskiem Marvin Bruce. Używanie fikcyjnych nazwisk przedstawiono śledczym jako powszechną praktykę; jako że często terapii poddaje się tam członków sławnych rodzin, kluczową sprawą w tym interesie jest zachowanie dyskrecji. Personelowi kliniki nie było wiadomo, że Copeland był w owym czasie poszukiwany przez francuską policję kryminalną.

Zniknięcie Copelanda zdaje się pozostawać w ścisłym związku ze śmiercią włoskiej bezrobotnej asystentki prokuratora, Constantine Volpe, zmarłej na skutek przedawkowania heroiny w nocy 31 sierpnia w pewnym hotelu pod Paryżem. Copelanda ujęto po tym, jak inni goście hotelowi usłyszawszy krzyki z pokoju pary, zawiadomili policję. Copeland w chwili aresztowania nie był zdolny złożyć zeznań i dlatego odwieziono

go do izby chorych aresztu śledczego w 19. dzielnicy. Stamtąd w niewyjaśniony sposób zniknął we wczesnych godzinach porannych...

Niejasne jest również, jak Copeland znalazł się w Kanadzie. Do kliniki odwiózł go mężczyzna w średnim wieku, podający się za Briana Smitha. Koszty terapii pokrywano comiesięcznym przelewem z konta w *First Pacific Bank* w Vancouver, otwartego na nazwisko Ron Butler. Konto zostało otwarte 2 września 1997 i od razu wpłacono na nie gotówką pokaźną kwotę, jedyny ruch na koncie spowodowany był spłacaniem kosztów leczenia. Osoby o nazwisku Ron Butler nie udało się odnaleźć; złożone kopie dokumentów okazały się sfałszowane, czego jednak do tej pory nikt w banku nie zauważył.

Copeland spędził w klinice ponad dziewięć miesięcy i odbył tam normalny program klinicznego leczenia odwykowego, regeneracji fizycznej oraz psychoterapię. 10 czerwca 1998, według słów lekarzy na trzy tygodnie przed planowanym zwolnieniem, Copeland uciekł z kliniki. Uwzględniając stosowane środki bezpieczeństwa, należy przyjąć, że musiał przy tym mieć pomoc z zewnątrz. Jego zniknięcie zostało zauważone po około czterech godzinach; podjęte natychmiast poszukiwania za pomocą psów zwiadowczych oraz będącego własnością kliniki helikoptera doprowadziły do odnalezienia w lesie śladu kończącego się na parkingu przy jednej z dróg dojazdowych. Wszystko wskazuje na to, że stamtąd Copeland odbył swoją ucieczkę samochodem, co również każe wnioskować o pomocy osób trzecich.

Po południu 11 czerwca Copeland wynajął apartament w położonym przy autostradzie 113 motelu o nazwie *Wooden Grizzly*, gdzie pozostał do rana 14 czerwca. Jak wynika z

dokumentów motelu, był on wtedy w posiadaniu ukradzionego w Toronto, szarego mitsubishi colt. Według słów pracowników motelu Copeland zaopatrywał się przez te dni w sklepiku motelowym, spożywając przy tym wszystkie posiłki w swoim apartamencie, którego poza tym w ogóle nie opuszczał. Przeprowadził dwie dłuższe rozmowy zamiejscowe, pierwszą późnym wieczorem 11 czerwca, drugą następnego dnia. W danych aparatu telefonicznego sprawdzono, że pierwszego wieczora wybrał numer londyńskiej rezydencji Johna Fontanellego, drugiego dnia numer prywatnej komórki Fontanellego. Wieczorem 13 czerwca odwiedził go mężczyzna w czarnym, sportowym wozie, prawdopodobnie corvetta, który zatrzymał się u Copelanda około trzy godziny. Copeland opuścił hotel następnego ranka.

Jego dalszej trasy nie da się zrekonstruować z absolutną pewnością. Napotkano wskazówki, że w położonej w pobliżu Lac St. Jean miejscowości La Dore kupił zaskakująco dużą ilość owoców, przede wszystkim melonów. Świadkowie mieli zauważyć nad Lac Le Barrois, małym jeziorkiem nieopodal autostrady 167, mężczyznę ćwiczącego strzelanie. We wskazanym miejscu spacerowicze znaleźli później rozbite na kawałeczki resztki owoców, niewątpliwie mogące pochodzić z ćwiczeń strzelniczych.

Jak dowiedziano się od jego znajomych, Copeland nigdy wcześniej nie posiadał ani nie używał broni, nie miał też żadnego militarne doświadczenia.

Niejasne jest również, gdzie Copeland przekroczył granicę. Urzędnik graniczny sądzi, że przypomina sobie przejeżdżającego w szarym mitsubishi niespokojnego młodego człowieka, do którego pasowałby opis Copelanda; przeszukał go pod kątem



narkotyków, nic jednak nie znalazł, a w szczególności żadnej broni.

Pewne jest, że rankiem 22 czerwca Copeland dotarł do Nowego Jorku, gdyż około wpół do dziewiątej rano jego auto zostało odkryte jako źle zaparkowane przez patrolującego teren policjanta Warrena Martina, który zidentyfikował je jako skradzione. Copeland jednak nie wrócił do swego pojazdu. Nie zdołano również ustalić, gdzie spędził ten tydzień w Nowym Jorku. Nikt z kręgu jego znajomych nie przyznał się do udzielenia mu gościny; uznawano jednak za prawdopodobne, że zatrzymał się u jednej z dawnych kochanek.

Informacja, że w sobotę w budynku ONZ ma odbyć się *Global Plebiscite Opening Ceremony*, oficjalne otwarcie wyborów *World Speakera*, była podawana we wszystkich mediach. O tym, że planowana jest próba generalna i o jej terminie można było dowiedzieć się również na wiele sposobów, choćby dzwoniąc po prostu do administracji budynku. Cały teren ONZ był tego dnia zamknięty dla zwiedzających. Z tego powodu nie przeprowadzano zwykłych tutaj kontroli bezpieczeństwa (wykrywacze metalu, prześwietlanie bagażu), jednak oprócz sił bezpieczeństwa ONZ obecni byli również liczni ochroniarze Fontanellego, można było zatem zakładać, że środki bezpieczeństwa są wystarczające.

Szczególnie trzeba wspomnieć o osobliwych okolicznościach, jakie doprowadziły tego dnia do obecności wśród oddziałów bezpieczeństwa Lina Fontanellego, starszego brata Johna Fontanellego. Lino Fontanelli, dawny pilot myśliwca US Air Force, zyskał rozgłos w maju 1995 w związku z tak zwaną „Aferą Bleekera”, został zdegradowany z powodu problemów psychicznych i wielokrotnych kłopotów z alkoholem, na koniec

przydzielono go do załogi posterunku Shaktoolik nad Zatoką Hortona na Alasce. Stamtąd przekazany telefonicznie rozkaz przeniesiono go do Nowego Jorku i oddelegowano do sił bezpieczeństwa ONZ.

Nie jest jasne, jak do tego doszło. Komendant posterunku, major Norman Reed, jest gotów przysiąc, że rozpoznał głos swego bezpośredniego przełożonego, pułkownika Jamesa D. Buchanana. Ten znów przeczy jakimkolwiek związkom z tym wydarzeniem. Rozkaz miał być potwierdzony faksem, transmisja faksu jednak została przerwana — co według słów majora Reeda było raczej regułą niż wyjątkiem — nim pojawił się podpis pułkownika Buchanana. Jako, że major Reed, co sam przyznaje, nie był niezadowolony pozbywając się problemu Fontanellego, wystarczyło mu to za podstawę, żeby wysłać go do Nowego Jorku.

Lino Fontanelli został 27 czerwca przydzielony do straży obszaru wejściowego *General Assembly Hall*, jego przewidywany czas służby rozpoczynał się o pierwszej po południu i miał zakończyć o jedenastej wieczorem, z przerwą między piątą a wpół do siódmej. Był uzbrojony w długolufowy rewolwer Smith&Wesson Magnum 41.

John Fontanelli przybył około dziesięć minut przed drugą przed budynek *General Assembly Hall*. Po tym, jak wysiadł ze swojego wozu, opancerzonego lincolna, doszło do niespodziewanego spotkania z jego bratem Linem, z którym następnie odbył krótką rozmowę. Około godziny drugiej John Fontanelli udał się na próbę generalną do sali posiedzeń, zaś Lino Fontanelli wrócił na swoje miejsce w strefie wejściowej. Próba generalna trwała półtorej godziny i zakończyła się o wpół do czwartej.

Jeden z ochroniarzy pana Fontanellego, Marco Benetti,

urodzony w 1971 w Rzymie, żonaty, zamieszkały w Londynie, podał do protokołu, że krótko przed trzecią został zapytany przez jednego z żołnierzy ONZ, Georga Browna, urodzonego w 1976 w Alliance, Ohio, czy wie coś o tym, że pan Fontanelli spodziewa się gościa. Odpowiedział, że nie słyszał nic takiego, poszedł jednak z Brownem, kiedy ten go o to poprosił, nie zapominając jednak poinformować o tym swojego kolegi Chrisa O'Hanlona. Obaj byli wyposażeni w telefony komórkowe i uzgodnili, że O'Hanlon bezzwłocznie powiadomi Benettiego, jeśli próba generalna się skończy.

Okazało się, że pracownicy ochrony terenu ONZ złapali pewną osobę przy próbie wejścia na zagrodzony obszar. Osobą tą był, jak po przybyciu stwierdził Benetti, Marvin Copeland, znany Benettiemu osobiście. Copeland oświadczył, że rozmawiał telefonicznie z Johnem Fontanellim, i twierdził, że ten poprosił go o spotkanie po zakończeniu próby generalnej. Na sceptyczne powątpiewanie Benettiego Copeland odpowiedział pokazaniem kartki z numerem telefonu, w którym Benetti rozpoznał numer telefonu komórkowego Johna Fontanellego. To kazało Benettiemu uwierzyć, że wspomniana telefoniczna rozmowa rzeczywiście się odbyła, i zaproponował Copelandowi, że zaprowadzi go do budynku. Choć był przekonany, że pracownicy służb bezpieczeństwa ONZ już przeszukali Copelanda, sprawdził go jeszcze raz osobiście. Nawiązała się na ten temat rozmowa, podczas której Copeland wyraził swoje zrozumienie dla podjętych środków bezpieczeństwa.

Krótko po trzeciej dotarli do głównego wejścia. W holu rozpoczęły się już przygotowania do wieczornej transmisji telewizyjnej, w związku z czym Copeland zaproponował, żeby zaczekali nu zewnątrz. Benetti się zgodził. Po drodze

kontynuowali rozmowę. Copeland, według zeznań Benettiego, opowiadał mu, że już przed ponad pół rokiem wrócił do Nowego Jorku, z tantiem za swoją pierwszą płytę kupił sobie niewielkie mieszkanie w Greenwich Village i pracuje teraz nad kolejną płytą, dla której jednak nie znalazł jeszcze firmy fonograficznej. Benetti podjął wtedy podejrzenie, że Copeland chce spotkać Fontanellego przede wszystkim dlatego, że ma nadzieję, iż ten pomoże mu dostać się do firmy fonograficznej, jak już to raz zrobił.

Krótko przed wpół do czwartej O'Hanlon zadzwonił do Benettiego, że próba generalna dobiegła końca. Copeland wyglądał na zdenerwowanego i poprosił Benettiego, by ten mu szybko powiedział, którędy idzie się do toalet, co też Benetti zrobił.

Gdy Copeland wrócił, Fontanelli wyszedł już z sali i znajdował się w holu. Copeland i Benetti pośpiesznie poszli w jego stronę, przy czym, na krótko nim dotarli do pana Fontanellego, rozdzielili się, omijając dwiema stronami przeszkodę — stół, na którym dwie pracownice układały akurat kompozycję z kwiatów — przez co Copeland znalazł się za plecami Fontanellego. W tej samej chwili, kiedy Benetti starał się zwrócić jego uwagę na obecność przyjaciela, Copeland całkowicie niespodziewanie wyjął broń, pistolet automatyczny Sig-Sauer 9 mm, i szybko kilkakrotnie strzelił do Fontanellego.

Należy przyjąć, że Copeland w poprzednim tygodniu wziął udział w zwiedzaniu budynków ONZ, jednym z wielu, podczas którego ukrył broń w toalecie. Udało mu się schować ją tak sprytnie (zawieszoną na pocernionej nitce w prowadzącym ku dołowi szybie wentylacyjnym), że skrytki nie tylko nie odkryto podczas poprzedzających ceremonię kontroli, ale nawet po

zamachu omal jej nie przeoczono.

Copeland oddał w sumie pięć strzałów, z tego cztery celne, dwa trafiły w brzuch, jeden w górny fragment prawego płuca, a czwarty musnął szyję. Potem pierwszy z wielu strzałów, jakie oddał do niego Lino Fontanelli z odległości siedemdziesięciu stóp, ryzykując znacznym zagrożeniem życia obecnych, trafił go w głowę, zabijając na miejscu. Świadkowie zgodnie przyznali, że Lino Fontanelli nieustannie krzyczał, aż przemocą powstrzymano go i podano silny środek uspokajający.

Obudził się z trudem, otworzył oczy, pokonując nacisk mnóstwa ton, czuł się osobliwie oddzielony od swego ciała, bolącego go straszliwie. Jednak na szczęście ból docierał do niego jakby przez różowo-czerwoną watę, był bardziej informacją niż prawdziwym doznaniem. Zamrugał, powieki poruszały się jak pancerne wrota bramy do bunkra przeciwatomowego, powoli, ociężale, popiskując nieustannie.

Ach, nie, to piszczy nad nim urządzenie w granatowej, metalowej obudowie, jak w jednym z tych seriali szpitalnych w telewizji.

Ta obserwacja przez chwilę snuła mu się po głowie, bezwładnie, ciężko, powoli zmieniając się w przypuszczenie: Czy to możliwe, że leży w szpitalu?

Och-och.

Tak, przecież coś się stało. Niewyraźne obrazy krwi, przeciekającej mu przez palce. Wokół krzyki i bieganina ludzi, kurczące się, gdyż od krawędzi pola widzenia ku środkowi nasuwały się ciemne cienie.

Strzał, czy to możliwe? Strzelano do niego? I tak okropnie straszliwe było to uczucie? W telewizji zawsze wyglądało to zupełnie inaczej.

Nie tak... nieustannie.

Na chwilę zdrzemnął się, szybował wśród gwiazd, pogrążał w złotych oceanach, aż usłyszał wołające go głosy. Tym razem otwieranie . oczu poszło łatwiej, za to trwało trochę, aż odzyskał ostrość wzroku. Jasna plama okazała się twarzą kobiety o migdałowych oczach.

— Obudził się — powiedziała do kogoś i zniknęła. Inna twarz

pojawiła się na niebie i powiedziała cicho:

— Cześć, John.

Znał ją. Tak. Stuk-puk, wszystko wracało, wszystkie wspomnienia, całe jego życie. Ursula. Gdyby tylko jego usta nie były tak suche, język opuchnięty tak grubo, i czy coś mu zapycha gardło? Nos? To wszystko jest takie męczące.

— Nie musisz mówić, jeśli ci trudno — powiedziała, uśmiechając się smutno.

Miała zaczerwienione oczy, jak przy przeziębieniu albo po locie przez Atlantyki. Było jeszcze coś, od czego oczy mogły się zaczerwienić, ale nie mógł sobie przypomnieć, co. Tylko to, że oczy od suchego, rzadkiego powietrza w samolotach mogą zrobić się tak czerwone i opuchnięte, tylko to pamiętał.

— Ja... — wykrztusił.

Uśmiechnęła się, dotknęła jego ramienia, było gdzieś daleko.

— Ja... próbowałem... do ciebie dzwonić...

— Tak — powiedziała. — Wiem.

— Ciebie... nie było...

— Przez cały czas byłam we Florencji — wyjaśniła mu, uśmiechając się smutno. — W archiwum, wiesz. Zagrzebałam się w pracy.

Spróbował skinąć głową, ale nie mógł.

— Ale teraz jesteś... tutaj.

— Tak, teraz jestem tutaj.

Zamknął oczy, głęboko odetchnął, czuł się szczęśliwy. Znów spojrzał na nią, pomyślał o czasie, jaki spędzili razem.

— Wiesz — powiedział — od tej chwili wszystko będzie inaczej. Uwierz mi. Muszę zapłacić podatek spadkowy, wyobraź sobie. Pewnie już słyszałaś. Myślę, że resztę pieniędzy też oddam. No cóż, może oprócz kilku milionów. I jeśli ty... no więc, gdybyś

mogła sobie wyobrazić, ze mną... nie wiem, jak to powiedzieć...

Dziwne, jakby go nie słuchała.

— John? — krzyknęła, a jej spojrzenie panicznie wędrowało po urządzeniach nad jego głową. — John, co się dzieje?

— Dlaczego? — zapytał. — Co ma się dziać?

— *Siostro!* — odwróciła się, rzuciła biegiem.

John chciał spojrzeć za nią, ale zobaczył tylko dwa skrzydła drzwi kołyszące się na zawiasach, z cichym popiskiwaniami.

Nie był jednak sam. Była tam jeszcze jedna postać.

Padrone.

Stał, tak swobodny, jak go zapamiętała, i powiedział:

— Cześć, John.

— Cześć — z ociąganiem odpowiedział John. Był zaskoczony, że go widzi. Był jakiś powód, z którego nie powinno go tu być, ale nie mógł sobie przypomnieć. — Spartoliłem to, prawda?

— Czemu tak myślisz?

— Powinienem był wypełnić proroctwo. Zwrócić ludziom ich utraconą przyszłość. — Nagle poczuł ogromny smutek. — Ale nie zdołałem. Teraz umrę, a McCaine odziedziczy majątek. Bóg jeden wie, co z nim zrobi.

— Dlaczego myślisz, że McCaine odziedziczy majątek?

— Zapomniałem spisać nowy testament — ze wstydem przyznał John. — Nawet o tym nie pomyślałem. — Odwrócił wzrok ku sufitowi, którego ciemny wzór zaczął się rozplýwać. — To nie miałem być ja, prawda?

*Padrone* podszedł do łóżka i spojrzał na niego.

— Wszystko, co ma McCaine, to kawałek papieru. Cóż to znaczy?

— Prawomocny testament — powiedział John pełen rozpacz.

— Ależ nie, prawomocne jest tylko to, co ludzie uznają za



prawomocne. — *Padrone* położył mu na czole dłoń, chłodną i dającą ukojenie. — Zapomniałeś, że zaczął się okres wyborczy? Pierwsze światowe głosowanie, jakie odbędzie się kiedykolwiek? Wezwałeś ludzi do tego, by zdecydowali. A teraz, po zamachu na ciebie, wiedzą: Jeśli zdecydują się na to, by wszystko zostało po starym, wybiorą McCaina. Wtedy McCain odziedziczy majątek i pewnego dnia zostanie władcą świata. Ale nie musi się tak stać. Będzie głosowanie. Głos, nic ponadto — mały, cichy, na pozór bez znaczenia — a przecież potężniejszy niż cała broń świata, ponieważ to głos wszystkich ludzi. Mogą zdecydować się na zmianę biegu rzeczy. To tylko pierwszy krok, ale wszystko tak się zaczyna. — Spojrzał na niego, dobrotliwa twarz, prawie przezroczysta. — A ty to umożliwiłeś. Otworzyłeś drzwi do przyszłości. Teraz do innych należy wejść przez nie albo się odwrócić; za to już nie odpowiadasz. Ale teraz, w tym momencie, w tych dniach, ludzie mają przyszłość. A ty im ją dałeś.

John patrzył na niego, czuł, jak oczy wypełniają mu się łzami.

— Czy to prawda?

— Wiesz, że tak jest.

Tak. Wiedział. Ale był zaniepokojony, mimo wszystko.

— A ja? Co się teraz stanie ze mną?

*Padrone* wyciągnął do niego dłoń.

— Chodź.

John ociągał się.

— A jeśli to jednak był błąd? Jeśli powinienem był zrobić wszystko inaczej? Może, gdybym spróbował... przynajmniej spróbował zmienić system podatkowy...? Tyle jeszcze tego, czego nawet nie spróbowałem...

Cisza zdawała się przeciągać w nieskończoność. Ale im dłużej trwała, tym więcej jego wątpliwości wsiąkało w nią, jak rozlany

atrament wsiąka w bibułę. Łzy wyschły. Był teraz spokojny.

— Powiedz mi jedno — zażądał *Padrone*. — Czy zrobiłeś, co mogłeś?

— Nie wiem. Ja...

— Nie, co mógłby zrobić ktoś. Co ty mogłeś?

John zastanowił się, przemyślał swoje życie, wiele zwrotów, jakich zaznało.

— Tak — powiedział. — Nie zawsze postępowałem dobrze, ale zawsze tak dobrze, jak mogłem.

*Padrone* lekko skinął głową.

— Więcej — powiedział spokojnie — od ciebie nie żądano.

John usiadł, pozwolił, by *Padrone* pomógł mu wstać. Podłoga była gładka i chłodziła nagie stopy, ale nie było tam pantofli ani butów, nic.

— Chodź — powiedział *Padrone*.

John rozejrzał się, zobaczył chorego na łóżku za sobą, nie wyglądał dobrze z wszystkimi tymi rurkami i kablami i przewodami oplatającymi ciało, mnóstwem aparatury i migających lampek nad nim, i jakoś nie czuł się dobrze, zostawiając to wszystko.

Ale *Padrone* stał już w drzwiach i kiwał na niego.

— Nie musisz się martwić, John. Wypełniłeś swoje zadanie. Nagle miał tego dość, tego wiecznego zgadywania sensu życia i pytania o zadanie, jakie jakoby każdy ma do spełnienia.

— Wie pan co, *Padrone*? — powiedział. — Teraz już mnie to nie obchodzi.

Wreszcie skrzydła podwójnych drzwi otworzyły się przed nimi i wyszli do wypełnionej wprost nieziemskim światłem sali.

# Podziękowania i uwagi

Przede wszystkim chciałbym podziękować mojej żonie Marianne, która nieustrudzenie dodawała mi odwagi i pomagała nie stracić entuzjazmu dla tego tematu. Bez niej ta książka by nie powstała.

Chciałbym również podziękować wielu ludziom, którzy wspierali mnie w moich badaniach — mam nadzieję, że o nikim nie zapomnę.

Moje podziękowania otrzymuje Timothy Stahl za liczne informacje o codziennym życiu i regulacjach prawnych w USA, Robin Benatti i Nirbija Fucha za podobne informacje o Włoszech. Thomas Braatz, Manfred Orłowski i Dirk Berger z Lipska opowiedzieli mi wyczerpująco o wszystkim, co chciałem wiedzieć o życiu w NRD, demonstracjach poniedziałkowych i o upadku muru. Ralf Wagner, docent ekonomii z Berlina, cierpliwie odpowiadał na szereg trudnych pytań, przede wszystkim o to, jak powstają pieniądze — przy czym chciałbym dobitnie podkreślić, że nie ponosi on żadnej odpowiedzialności za to, co ja z tego zrobiłem.

Chciałbym podziękowania skierować również do moich przyjaciół — Thomas Thiemeyer i Davin Kenlock czytali tę powieść w wersji roboczej — za otrzymaną od nich zachętę, krytykę i wskazówki. David Kenlock przekonał mnie, żeby powieść zaczynała się tak, jak się teraz zaczyna — trzeba było skreślić ponad sto stron!

Dziękuję również pracownikom biblioteki miejskiej Kornwestheim za ich wielkoduszną interpretację pojęcia *termin oddania książki* oraz administratorom internetowego archiwum

gazety DIE WELT ([www.welt.de](http://www.welt.de)), które było dla mnie nieocenioną pomocą.

W wielu miejscach nie można było uniknąć pojawienia się naprawdę istniejących współcześnie osób; niekiedy musiałem również wkładać w ich usta dialogi, których nigdy nie prowadziły. Ofiarą tej szeroko rozpowszechnionej wśród pisarzy haniebnej praktyki padł przede wszystkim sekretarz generalny ONZ, Kofi Annan — mam nadzieję, że mi wybaczy. Właścicielem budynku przy Wall Street 40 jest zresztą, o ile wiem, w rzeczywistości Donald Trump (którego w mojej powieści *Wideo z Jezusem* nieco przedwcześnie określiłem mianem *tego, który popadł w zapomnienie* — sorry, panie Trump).

Moja wizja gospodarki światowej, systemów pieniężnych i zależności między koncernami opiera się między innymi na następujących źródłach:

Eduard Lehmann, *Dynamik des Geldes* (Zurych 1998)  
(Dynamika pieniądza)

Johann-Günther König, *Alle Macht den Konzernen* (Reinbek 1999) (Cała władza dla koncernów)

Reiger Liedtke, *Special: Konzerne* (Reinbek 1995)) (*Koncerny*)

Ance Packard, *Die Ultra-Reichen* (Dusseldorf 1990)  
(Superbogacze)

Joel Kotkin, *Stämme der Macht. Der Erfolg weltweiter Clans in Wirtschaft und Politik* (Hamburg 1996) (Plemiona władzy. Sukcesy ogólnoswiatowych klanów w gospodarce i polityce)

Hans Christoph Binswanger, *Geld und Natur. Das wirtschaftliche Wachstum im Spannungsfeld zwischen Ökonomie und Ökologie* (Stuttgart 1991) (Pieniądze i natura. Wzrost gospodarczy w obszarze napięć między ekonomią a ekologią)

Margrit Kennedy, *Geld ohne Zinsen und Inflation* (Monachium

1990) (Pieniądze bez odsetek i inflacji)

Anthony Samson, *Globalmacht Geld* (Hamburg 1990) (Globalna władza: pieniądz)

Kilka istotnych pomysłów zaczerpnąłem również z czasopisma *Der Blaue Reiter, Journal für Philosophie (Błękitny rycerz)*, którego numer 11, opublikowany w styczniu 2000 w Stuttgarcie, poświęcono tematowi „Pieniądze”.

Ważne informacje dotyczące politycznego znaczenia surowców znalazłem w pracy *Die strategischen Rohstoffe* (Wuppertal 1988) (*Strategiczne surowce*), autorzy Dieter Eich i Karl Hubner, oraz w *Zum Beispiel Erdöl* (Getynga 1991) (*Na przykład ropa naftowa*), Ekkehard Launer.

Wszystkie szczegóły na temat Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW) zaczerpnąłem z jego strony internetowej ([WWW.imf.org](http://www.imf.org)) lub z książki *IWF und Weltbank i Bank Światowy* (Getynga 1999), autor Uwe Goering.

Kompendium globalnych danych ekonomicznych znalazłem pod adresem [www.ntu.edu.sg/library/statdata.htm](http://www.ntu.edu.sg/library/statdata.htm).

Dane finansowe koncernu Exxon uzyskałem z opublikowanych na [www.exxon.com](http://www.exxon.com) sprawozdań biznesowych firmy. Historię Johna D. Rockefellera, Standard Oil Trusts i jego podziału na znane dziś koncerny naftowe znaleźć można w *Encyclopaedia Britannica*.

Istotne szczegóły o wartości pieniądza w historii znalazłem w publikacji *Allgemeine Munzkunde und Geldgeschichte des Mittelalters und der neueren Zeit* (Oldenburg 1976, reprint z 1926) A. Luschina von Ebengreuth (*Podstawy numizmatyki i historia pieniądza w średniowieczu i czasach nowszych*), w *Geschichte des privaten lebens* (Frankfurt 1991) Philippe Aries i Rogera Chartier (*Historia życia prywatnego*), oraz w pracy Ernsta Samhabera *Das*

*Geld. Eine Kultur geschichte* (Monachium 1964) (*Pieniądz. Historia kultury*).

Z książek mających za temat przyszłe istnienie ludzkości na tej planecie, mogę na tym miejscu przywołać tylko najważniejsze:

Dennis Meadows, Donella Meadows, Erich Zahn, Peter Milling, *Die Grenzen des Wachstums* (Stuttgart 1972) (*Granice wzrostu*)

Dennis Meadows, Donella Meadows, *Das globale Gleichgewicht* (Stuttgart 1974) (*Globalna równowaga*)

Mihailo Mesarovic, Eduard Pestel, *Menschheit am Wendepunkt* (Stuttgart 1974) (*Ludzkość w punkcie zwrotnym*)

*The Global 2000 Report to the President* (Waszyngton 1980)

Herbert Gruhl, *Himmelfahrt ins Nichts. Der geplünderte Planet vordem Ende* (Monachium 1992) (*Wniebowstąpienie donikąd*)

Na temat przeludnienia pouczające wiadomości znalazłem w pracy Heinricha von Loesch, *Stehplatz für Milliarden?* (Stuttgart 1974) (*Miejsce stojące dla miliardów?*)

Dynamikę Golfstromu i to, jak może się on załamać, opisał Wolfgang Jeschke w edytoriale do *Science-Fiction-Jahrbuch 1998* (Monachium 1997): W tym przypadku nie chodzi jednak o science fiction, ale o streszczenie niektórych tez z książki *Der Schritt aus der Kälte — Klimakatastrophen und die Entwicklung der menschlichen Intelligenz* (Monachium 1997) Williama H. Calvina (*Krok z chłodów — katastrofy klimatyczne i rozwój ludzkiej inteligencji*)

Historię Fuggera znalazłem szczegółowo opisaną w *Kauf dir einen Kaiser* (Monachium 1978) Güntera Oggera (*Kup sobie cesarza*). Uzupełniające dane wzięłem z broszury *Die Fuggerei* (*Fugerówka*), jaką można kupić w *Museum der Fuggerei* w Augsburgu.

Sceny rozgrywające się na filipińskiej wyspie Panglawan

napisane są w oparciu o rzeczywiste okoliczności, przedstawione przez Guntera i Peer Edererów w ich opracowaniu *Das Erbe der Egoisten* (Monachium 1997) (*Dziedzictwo egoistów*).

Również meksykańscy zbieracze śmieci istnieją naprawdę. Wartościowym źródłem okazała się tu książka *18-mal Mexiko* (Monachium 1986) (*18 razy Meksyk*) Alana Ridinga, oraz artykuł „*Vom Leben auf Mexikos Müllhalden*” (*O życiu na hałdach śmieci Meksyku*) w *Stuttgarter Zeitung* z dnia 16 października 1996.

Wielką inspiracją w rozwoju drogi, którą podąża McCaine, była lektura książki *Hitler als Vorläufer* (Monachium 1998) (*Hitler jako prekursor*) Carla Amery, równocześnie najbardziej przekonującej i przerażającej analizy narodowego socjalizmu, jaką kiedykolwiek czytałem.

Pomysły, zgłaszane przez lorda Petera Rawburne, pochodziły pierwotnie ode mnie. W jednym z wydawanych corocznie raportów *World-watch Institute*, mianowicie w numerze z roku 1996 „*Zur Lage der Welt*” („*O położeniu świata 1996*”, Frankfurt 1996) znalazłem artykuł Davida Malina Roodmana, „*Marktmechanismen für den Umweltschutz nutzen*” (*Jak wykorzystać mechanizmy rynkowe dla ochrony środowiska*), w oparciu o który jeszcze raz gruntownie je przerobiłem. Część argumentów zaczerpnąłem z artykułu Guntera Purwiga „*Ohne korrekte Bilans keine korrekte Ökonomie*” (*Nie ma prawidłowej ekonomii bez prawidłowego bilansu*), który ukazał się w wydaniu z listopada 1997 czasopisma „*Der dritte Weg*” (*Trzecia Droga*), Treuchtlingen. Oba artykuły i autorzy nie mają jednak z sobą nic wspólnego.

Konferencja w hotelu „The Fairmont” w San Francisco odbyła się mniej więcej w opisany sposób, jednak nie w 1998, ale już we wrześniu 1995. Gospodarzem był wtedy ówczesny przywódca

Związku Radzieckiego, Michaił Gorbaczow. Jednym z nielicznych dziennikarzy, jakim pozwolono przysłuchiwać się obradom grup roboczych, był redaktor gazety SPIEGEL, Hans Peter Martin, który następnie razem ze swoim kolegą Haraldem Schumannem napisał bestseller *Die Globalisierungsfalle — Der Angriff auf Demokratie und Wohlstand (Pułapka globalizacji — atak na demokrację i dobrobyt)* (Reinbek 1996). W pierwszym rozdziale tej książki można przeczytać oryginalne wypowiedzi uczestników.

Bogate w informacje na temat globalizacji były również artykuły w czasopiśmie SPIEGEL, numery 39/1996 str. 82 i następane oraz 25/1999, 121 i następane.

Pomysły, które Lorenzo Fontanelli przedstawił w swoim artykule, są po części zainspirowane pracą Larry'ego Hannigana *I Want The Earth Plus 5%*, Australia 1999, jaką można znaleźć w różnych miejscach w Internecie.

Przemyślenia na temat świtania nowego Średniowiecza, podjęte przez Paula Siegela, nie pochodzą oczywiście od nikogo innego, jak od Umberto Eco, *Auf dem Wege zu einem neuen Mittelalter (W drodze ku nowemu Średniowieczu)* Monachium 1989.

Koncepcja dewizowego podatku obrotowego pochodzi rzeczywiście od ekonomisty i laureata nagrody Nobla Jamesa Tobina (1981 nagroda Nobla w dziedzinie ekonomii), dlatego nazywana jest „podatkiem Tobina”. Szczegóły na ten temat zaczerpnąłem z książki *Die 10 Globalisierungstigen (10 kłamstw globalizacyjnych)* Geralda Boxbergera i Haralda Klimenta (Monachium 1998).

Wypowiedzi włożone w powieści w usta Nelsona Mandeli pochodzą w większości z jego mowy wygłoszonej 28 stycznia



1999, kiedy odbierał Nagrodę Niemieckich Mediów w Baden-Baden.

Istotne informacje zawdzięczam również dziełu Giovanniego Sartori, *Demokratietheorie (Teoria demokracji)* (Darmstadt 1992).

Na koniec mała prośba: gdybyście wspominali o tej książce znajomej albo znajomemu z amerykańskiego obszaru językowego, nie zapomnijcie proszę o tym, że liczba, jaką my określamy terminem *bilion*, tam nazywana jest *trylionem*, podczas gdy mówiąc o *bilionie dolarów* mają oni na myśli zwykły *miliard*. Aby zostać właściwie zrozumianym, tytuł powieści trzeba zatem tłumaczyć jako *One Trillion Dollars*. Dziękuję.